4767/85

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1862.

Tom pierwszy.

POCZET NOWY, TOM I.

WARSZAWA.
W drukarni Gazety Polskiéj,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

—

1862.

4620. 1862. 1
II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 26 Grudnia (7 Stycznia) $18^{61}/_{62}$ r.

Cenzor, RADCA KOLLEGIALNY
Stanisławski.

Biblioteka Sejmu Śląskiego
30.000
X-14184
4620/II
1862
1.

ŻYCIE I PISMA
SALOMONA MAJMONA (*).

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

„Rationem, quo ea me cumque ducet, sequar."
Cicero. Tusc. II, 5.

Głośnéj sławy i wielkiego a zgoła bezużytecznego animuszu książę Karol Radziwiłł *Panie kochanku*, podczas jednéj z tylu hałaśliwych wycieczek z Nieświeża w okolice, w towarzystwie niezliczonéj tłuszczy dworusów, strzelców, milicyi, przy odgłosie janczarskiéj muzyki odbywanych, zatrzymał się nieopodal od rezydencyi w jednym żydowskim domu we wsi Mohilnie, na obiad. W momencie ubrano stół w złociste serwisy i puhary, rozesłano per-

(*) Szczegóły dotyczące prywatnego życia tego męża, jako też szczegóły specyalnie dotyczące talmudyzmu i rabinizmu, czerpane są z dzieł: *„Maimoniana, oder Rhapsodien zur Charakteristik Salomon Maimons, aus seinem Privatleben gesammelt von Sabatia-Joseph Wolf D. M. Berlin 1813;"* tudzież: *„Salomon Majmons Lebensgeschichte, von ihm selbst geschrieben und herausgegeben von K. P. Moritz. Berlin 1792."* Jakkolwiek co do widoków ogólnie moralnych i edukacyjnych nie różnimy się w zdaniu od samego Majmona i jego biografa, to co się tyczy związku ich ze stroną religijną, takowy pozostawiamy na ich odpowiedzialności, powtarzając tylko w niniejszéj rozprawie to, co było gruntem ich przekonań, bez żadnéj ze swéj strony konkluzyi, do któréj nie mamy prawa.
Przyp. aut.

skie dywany, duszna i zakopcona izba przedstawiła połączenie azyatyckiego zbytku przybyszów z lapońską nędzą mieszkańców. Widok zbliżającego się tłumu i gospodarującego jak u siebie, nie ustraszył jednak dwoch kobiét domowych, ufnych snadź w prerogatywę słabości; ale młody, szesnastoletni chłopiec, za piérwszém spojrzeniem na kierunek, jaki przybrała kawalkada, umknął na cztery wiatry i nie pokazał się, aż opadł kurz za odjeżdżającemi po obiedzie nieproszonemi gośćmi; nie pokazał się, aby nie zostać pastwą dobrego humoru panów, dla których po kilku węgierskich libacyach, młody żydek w jarmułce i łapserdaku byłby mógł być przedziwną do figlów gratką. Ten młody żydek, którego oczy nie mogły wówczas znieść pańskiego oblicza, byłto Salomon Majmon, przyszły filozof, jeden z piérwszych myślicieli XVIII wieku.

Rodzina jego zdawna osiadłą była w dobrach Radziwiłłowskich na Litwie; dziad Majmona trzymał od dworu korzystny pacht, a jedno z drugiém, jak to powszechnie bywało i bywa dotąd po wsiach, prowadził różne interesa handlowe, dzierżawił młyny, karczmy, przyczém musiał być zarazem zawiadowcą kommunikacyj lądowych i wodnych, gdyż lubo w kontrakcie miał sobie zapewnioném utrzymanie dróg w stanie używalności, ale dwór zarówno troszczył się o drogi jak i o kontrakt, tojest bardzo mało; dzierżawca przeto, aby nie odstręczać kupujących obawą złamania karku, musiał sam myśléć o konserwacyi dróg. Interesa dziada Majmonowego były w kwitnącym stanie, ale upadek sił z wiekiem, zazdrość i podkupy współwyznawców, zła wiara rządców dworskich, podkopały fortunę, która nareszcie rozdzielona pomiędzy kilkoro rodzeństwa, dawała każdemu zaledwie słaby punkt oparcia. Na nieszczęście, ojciec Majmona był, jak to po dziś dzień jeszcze wyraża pospólstwo żydowskie, *naucznym*, co bynajmniéj nie znaczy, uczonym; to przeszkadzało mu zajmować się sprężyście interesami, przez co przy nieszczęśliwych mianowicie okolicznościach, wkrótce nieubłagana nędza wtargnęła do domu raz na zawsze. Ojciec naszego filozofa przepędzany z folwarku do folwarku, chwytał się coraz innych interesów, tracił na każdym i ostatnią biedę łatał lichym zarobkiem, jaki tu i owdzie za funkcyą

rabina lub za domowe nauczycielstwo udało mu się osiągnąć. W trakcie takich peregrynacyj i niedoli przyszedł na świat nasz Salomon r. 1754 w mieście Nieświeżu, czy gdzieś w okolicy.

Od najpiérwszych lat okazywał on nadzwyczajne do nauk zdolności, ale na nich nikt ani się poznać, ani właściwie i systematycznie rozwijać ich nie potrafił; główną przeszkodą temu była ówczesna wyłączność judaistyczna z jednéj, a położenie polityczne żydów polskich z drugiéj strony. Opłakanym był stan oświaty w całym kraju, klassa stanowiąca właściwy naród za przewodnictwem Jezuitów przeżuwała tylko plewy scholastyczne i strasznie w tyle pozostała po za oświatą Zachodu, cóż dopiéro mówić o edukacyi dla żydów, którzy tak mało uważanemi byli za obywateli, że troska o ich oświatę, o jakieś szkoły publiczne, byłaby zgorszeniem całego kraju, gdyby mogła być choć na chwilę dopuszczoną. Żyli oni jako coś oderwanego, odpychanego, w stanie moralnego względem klassy społecznéj ilotyzmu. Z drugiéj strony, zamknęli się oni, jak powiadamy, zbyt szczelnie w swoim judaizmie: wszystkiemi siłami uporu i przesądu, odpychali postępowe insynuacye, jakie zkądkolwiek w ciągu wieków do nich nadciągały. Dla nich oświata była tylko w umiejętném stosowaniu biblii do wszystkich szczegółów życia domowego, ztąd komentatorowie tylko byli dla nich prawdziwemi mędrcami, a nauka właściwa wykreśloną została z rzędu potrzeb umysłu i ducha; w takim tedy kierunku utworzyli oni sobie szkoły prywatne mające kształcić młode pokolenia, szkoły niezależne od rządu, oderwane od społeczesnego życia, żadnego związku ze społeczeństwem nie mające. Taki stan rzeczy i umysłów do jakich nadużyć, przesądów i filuteryj otwierał pole, łatwo można sobie wyobrazić. To téż nic okropniejszego nad opis szkoły żydowskiéj, gdzie młodzież odbiera wychowanie tak nazwane religijne i na osiągniętéj tam wiedzy poprzestać musi już całe życie. Nie wiem, do jakiego stopnia szkoły te prywatne dzisiaj uległy reformom przez same gminy *proprio motu* wprowadzonym, ale posłuchajmy opisu samego Majmona, jak te szkoły wyglądają u nas w drugiéj połowie

zeszłego wieku. Szkoła zazwyczaj mieści się w małéj, dusznéj izbie, a dzieci rozsypane częścią po ławkach, częścią na gołéj ziemi. Nauczyciel w brudnéj koszuli siedząc na stole, trzyma między kolanami donicę, w któréj wielką herkulesową pałką trze sobie tabakę i zarazem komenderuje pułkiem pacholąt. Podnauczyciele, czyli jego czeladnicy, każdy w swoim kącie, egzercytują podwładnych i równie jak sam nauczyciel obchodzą się z niemi wcale despotycznie. Wszelkiego posiłku przysyłanego dzieciom do szkoły zatrzymują większą część a czasami i wszystko dla siebie, a biedne dzieciska uskarżyć się nawet nie mogą, z obawy, aby nie ściągnąć na siebie zemsty uczonych tyranów. Tam tedy trzymają je na uwięzi od rana do wieczora, bez chwili wolnéj, prócz poobiedzia w piątki i na nowiu. Co się tyczy nauki, to wprawdzie wprawiają się dzieci w dosyć dobre czytanie hebrajskiego pisma, ale rozumienie języka jest rzadkim wypadkiem, a o jego grammatyce ani mowy być nie może. Nauczyciel przystępuje wprost do wykładu biblii i tłumaczy pojedyncze zdania; ile takich zdań zrozumié uczeń i zapamięta wyrazów, tyle zna z hebrajskiego języka, ale jakie prawidła przewodniczą łączeniu się tych wyrazów w mowę, o tém ani wyobrażenia mieć nie może i bardzo naturalnie. Chciawszy wyłożyć grammatykę języka książkowego, trzebaby się oprzéć na jakiéjkolwiek grammatyce, tymczasem i nauczyciel i uczniowie za macierzysty język mają co? oto jedynie przebrzydły szwargot żydowsko-polski, a jak na Litwie połączony z chłopsko-ruskim dyalektem, którym tłumaczą się bez najmniejszego kłopotu o prawidło, i takim to szwargotem nauczyciel wykłada Pismo; jakimże więc sposobem mogą dostać się do grammatycznego gruntu? Uczeń tedy jak języka biblijnego, tak i treści Pisma przy takim wykładzie nie wiele się nauczy, tém bardziéj, iż ograniczony nauczyciel samowolnie i najczęściéj według fałszywych komentarzy tłumaczy tekst, nie troszcząc się sam o porządne zrozumienie języka. Na takim wykładzie Pisma według talmudycznych wskazówek ogranicza się cała, męcząca edukacya pacholąt żydowskich, o naukach specyalnych, a témci gorzéj o humaniorach ani słychać;

i z takiemi zasobami wiedzy chłopiec idzie w świat niczego bardziéj nie cierpiąc jak nauki, i nic dziwnego. Którekolwiek dziecko w kwiecie młodości skazane zostało na taką piekielną szkołę, łatwo sobie wyobrazić, z jaką rozkoszą wychodzi z niéj i jakie przekleństwo nauki zostawia po sobie.

Taka szkoła miała pretensyą i naszego Salomona wykształcić na człowieka; zakosztował on jéj dobrodziejstw, ale te bynajmniéj w smak mu nie poszły. Powiedzieliśmy, że z natury obdarzony był wielką bystrością umysłu, usposobienie jego nadto było skierowaném do samodzielnego myślenia, ztąd też wcześnie bardzo interesował się kwestyami o wiele wiek jego przechodzącemi, a postępy w wykładanych mu przedmiotach czynił zadziwiające; co widząc ojciec, człowiek troskliwy, ale mniéj niż pospolity, nic lepszego nie mógł dla syna obmyśléć, jak wyuczyć go doskonale talmudu i wykierować na rabina: wykształcenie właściwe, wszechstronne, do jakiego miał prawo wysoki jego syna umysł, ani mu na myśl nie przyszło. Ażeby należycie ocenić taką determinacyą ojca Majmonowego, musimy kilką słowy chociaż określić, co to jest talmud i czém talmudysta, czyli rabin jest, nie powiadam, dla prawdziwie światłych izraelitów, bo ci po za talmudem widzą jeszcze całe morze niedościgłéj wiedzy i wielkich obowiązków, ale dla owego *profanum vulgus*, który stanowi massę, mianowicie u nas: a nie zawadzi zwrócić uwagę i na to, czém ta massa była przed stu laty, tojest w epoce, o któréj mówimy.

Talmud jest jakoby zbiorem wskazówek życia opartych na Piśmie, stanowi on niejako arteryą przeprowadzającą element biblijny do życia, jest on zatém jego prawidłem moralném. Ale talmud, lubo mający za zadanie popularyzować Pismo, koleją czasu sam stał się niepopularnym, a raczéj dla ogółu nieprzystępnym. Złożony z różnych wschodnich dyalektów, zlanych w jedno, przepełniony osobliwemi wyrażeniami, których znaczenie skryło się po za zasłoną wieków, olbrzymiéj przytém objętości, wymaga on wielkiego obeznania się ze starożytnościami i hermeneutyką, oraz niepospolitéj przenikliwości umysłu, aby mógł być zrozumianym. To też

najświatlejsze umysły mężów izraelskich nie zawsze zwycięzko wychodziły przy kommentowaniu talmudu, który sam jest tylko kommentarzem Pisma. Ztąd nauka talmudu jest punktem ambicyi izraelskiego ludu i głównym celem naukowego wychowania. Dostatek, zalety powierzchowne, talenta wszelkiego rodzaju nie lekceważą się wprawdzie, ale nic nie może iść w porównanie z godnością dobrego talmudysty. Opinia jego przeważa nad zdaniem najdostojniejszych ludzi w gminie. Jeżeli przychodzi w towarzystwo, to bez względu na jego wiek i stan, wszyscy przybierają względem niego postawę pełną szacunku i piérwszego ustępują mu miejsca. On jest doradcą sumienia, prawodawcą i sędzią gminy. Kto mu nie okaże należytego szacunku, ten według zdania talmudystów potępionym jest na całą wieczność. Zwyczajny człowiek nie może nic niezgodnego ze zdaniem uczonego przedsięwziąć. Zwyczaje religijne, dozwolone i zakazane potrawy, małżeństwa i rozwody, podlegają nietylko niezliczonéj liczbie rabinicznych ustaw, ale nadto pojedynczym wyrokom rabina, który do szczególnych wypadków stosuje ogólne dane, zupełnie według swego indywidualnego zapatrywania się. Bogaty kupiec, czy professyonista mający córkę, dokłada wszelkich starań, aby ją wydać za talmudystę, który chociażby był niewiedzieć jak szpetny, chorowity i ograniczony, zawsze mieć będzie przed innemi pierwszeństwo. Przyszły teść takiego feniksa, musi zaraz przy zaręczynach rodzicom jego wypłacić pewną summę i oprócz posagu wyznaczonego córce obowiązany już ją i jéj męża przez jakie sześć lub ośm lat po ślubie żywić, odziewać, płacić za mieszkanie, a przez ten czas posag leży gdzieś na procencie, którego zięć używa na koszta dalszéj nauki. Po upływie tego czasu bierze on pieniądze do ręki i albo obejmuje jakąś naukową funkcyą, albo też całe życie przepędza w uczoném próżnowaniu. W obu razach wszystkie troski domowe podejmuje żona, dosyć szczęśliwa, że za to przyjmie udział w sławie i przyszłém szczęściu męża.

Do takiéj to karyery ojciec przeznaczył Salomona, i chłopczyna poddawał się jéj ze wstrętem wprawdzie, ale z uległością. Mówimy, ze wstrętem, gdyż on wcześnie

już bardzo oceniał należycie wszystkie stosunki swego społeczeństwa i kochając je serdecznie, bolał nad jego ciemnotą, która nie opierała się żadnym nadużyciom moralnym i obracała się z przyjemnością w kółku nicości; bolał nad nią zarówno jak nad upokarzającém położeniem politycznem, którego ta ciemnota właśnie i przesądy wcale poprawić nie mogły. Cieszył się wielce z szacunku, jakim lud jego otaczał osoby ugodnione wyższością umysłową, ale opłakiwał to, że szacunek ten był najczęściéj uzurpowanym przez pozór i zręczność, a rzadko dostawał się prawdziwéj zasłudze. Odgadując pochód cywilizacyi u innych społeczeństw, oburzał się na zabobony, które przybrały formy religijnéj pewności i psuły właściwą religię przodków, ów wzniosły i ludzki zakon Mojżesza. Sam opowiada, jak go zgorszyło następujące zdarzenie.

„Książę Radziwiłł, powiada on, który był wielkim zwolennikiem polowania, przybył raz z córką, (późniejszą hrabianką Rzewuską) i z całym dworem do naszéj wsi, aby tam urządzić polowanie. Młoda księżniczka około południa udała się ze swemi damami i służbą na wypoczynek do téj właśnie izdebki, gdzie ja, zwyczajem chłopczyny, siedziałem sobie pod piecem. Olśniła mnie świetność i wytworność dworu, unosiłem się nad pięknością osób i ich złotem i klejnotami wyszywaną odzieżą, tak, że oczu nasycić nie mogłem. Nadszedł ojciec właśnie, kiedy ja pełen oczarowania, zawołałem w uniesieniu: — Ach! jak to piękne! — Aby mnie uspokoić i zarazem wzmocnić w zasadach naszéj wiary, ojciec na to szepnął mi do ucha: — Głupiś! na tamtym świecie ta wielka dama będzie nam w piecu palić". Te wyrazy ojcowskie, powiada Majmon, tak go zasmuciły i w taki wprowadziły kłopot, że długo nie mógł sobie ich wybić z głowy; chciał i nie śmiał temu dziwactwu uwierzyć.

Co krok napotykając podobne przykłady, myślał już nad tém chłopiec, jakby przyjść do jakiéjś pewności i podźwignąć moralnie społeczeństwo swoje, za czém i podźwignienie politycznych warunków nastąpić miało. Rwał się do nauki gwałtownie. Pomimo, że miał zakaz czytania czegokolwiekbądź prócz talmudu, dobierał się kryjomo do biblioteki ojca, złożonéj z samych hebrajskich dzieł

i wyczerpał ją całą powoli. Książki, jakie tam znajdywał, jeżeli nie nauczyły go wiele bezpośrednio, nastręczały mu jednak materyał do myślenia, do analizy, były dlań oliwą, która podsycała wewnętrzny płomień. Jak wielkie były jego zdolności, dosyć przytoczyć, iż gdy pomiędzy innemi książkami znalazł w bibliotece ojca hebrajskie dzieło o astronomii, przypiąwszy się do niego, zrozumiał je doskonale, nie znając jeszcze żadnych zasad matematyki, bo mu ich nie miał kto wyłożyć, a nawet według znalezionych w niém wskazówek, sam sobie z patyczków i nitek ułożył planisferium. Wszystko to działo się kiedy Majmon miał lat dziewięć, wtedy już umysł jego przez myślenie, czytanie książek, pomoc naukową jednego światłego nadrabina z Miru i częste z nim dysputy talmudyczne, tak się rozwinął, że i ojciec i nauczyciele rady sobie dać nie mogli z kwestyami i zarzutami, jakie im czynił, a odpowiedzi jego zjednywały mu coraz więcéj rozgłos cudownego dziecka. Nic też dziwnego, że ojciec kierował go na rabina, co miało mu zastąpić bardzo problematyczną sukcessyą, a nawet ojcu samemu, prawem zwyczaju, zapewnić jakieś porękawiczne. Szukano dlań karyery, a nikt nie zatroszczył się o pragnienia jego duszy: Salomon od piérwszych chwil życia znalazł się jak szlachetny kwiat pomiędzy chwastem, i całe też jego życie było ciągłém przedzieraniem się między chwastem i cierniem.

Ojcu pilno było bardzo z ożenieniem syna, to też tak się uwinął, że Salomon w jedenastym roku życia już był ożenionym; towarzyszyła temu aktowi bardzo piękna perspektywa, która w rezultacie srodze zawiodła młodzieńca. Wdowa, z któréj córką ożenił się, nie dotrzymała obietnic co do utrzymania mającego zapewnić mu spokojne oddawanie się naukowéj pracy, nadto obchodziła się z nim z wyszukaném okrucieństwem, nie szczędząc brutalskich słów i razów; żona była dlań zupełnie obojętną, więcéj nawet przyjmowała stronę matki przeciwko biednemu „darmozjadowi"; nędza w domu i ustawiczne swary czyniły go istném piekłem, a tu myśl Salomona gwałtem wydzierała się do nieba. Chwile przebyte w tém rodzinném pożyciu zostawiły w umyśle Salomona najbo-

leśniejsze wspomnienia, których ani czas ani późniejsze wyniesienie w świecie nauki wygładzić nie zdołały. Było to ciągłe szarpanie się pomiędzy nędzą, niedolą, upokorzeniem i brakiem wszelkich środków, a gorączkową chęcią kształcenia się i przyniesienia ulgi całemu jego społeczeństwu. Z latami mężniejąc w siły ducha i dojrzewając w umyśle Salomon jasno określał przyszłe możliwe stanowisko swoje, chciał dobra dla siebie jako dla jednostki, aby je przelać w ogół. Ze wszystkich jego późniejszych prac i rozumowań widzimy, iż on przez intuicyą zakreślał sobie te właśnie cele, do jakich garnie się dzisiaj oświecona część izraelskiéj ludności, czego i w naszym kraju zaczynamy niemylne dostrzegać oznaki: pragnął słowem, przy zachowaniu nieskazitelności wiary, zlać się w obywatelską całość z narodem, podzielić z nim zdolności i prawa, dążenia i korzyści, miłość hierozolimiańską przelać na ojczystą ziemię, u odmiennych ołtarzy jednę z nim zanosić prośbę i jedno dziękczynienie; pragnął okręt swego ludu wepchnąć na pełny ocean postępu, a tu widział dokoła nieruchome, cuchnące jezioro, zarosłe zielskiem ciemnoty, uporu i fanatyzmu. Ileż tu więc było do zrobienia, ile sił ku temu należało użyć!

Przedewszystkiem należało się samemu ukształcić, a to w ówczesnéj Polsce było niepodobieństwem. Przeszkodę w tém stanowiły głównie ustawy krajowe i położenie ludności żydowskiéj, która, jak sam twierdzi Majmon, podobną była do muła podwójnym objuczonego ciężarem. Z jednéj strony ciemnota własna i połączone z nią przesądy religijne, z drugiéj brak oświaty i właściwe przesądy klassy panującéj obarczały plemię żydowskie i oddalały od wszelkiego postępu; a co się tyczy osobiście Majmona, to prywatna niedola jego rodziny odbierała mu wszelką nadzieję wydobycia się z mroku, jaki go wówczas pokrywał. Na własne plemię nic rachować nie mógł, wszelka edukacya świecka była dla żydów bardzo podejrzaną, trąciła apostazyą, narażała na prześladowanie, tak, iż nietylko w tym względzie nie można było pomocy od swoich oczekiwać, ale raczéj obawiać się losu Akosty lub Spinozy, tojest publicznego przekleństwa.

Odkryć pragnienia swe i myśli szlachcie było równém niepodobieństwém, mógł być bowiem pewnym, że go odepchną lub wyśmieją: że zaś nie miał istotnie pochlebnego wyobrażenia o téj klassie, to pokazuje się z następujących słów jego, których słuszności nie będziemy dowodzić, bo jéj dowiodły fakta: „Naród polski, pod którym rozumiem jedynie polską szlachtę, jest bardzo rozmaity. Niektórzy tylko mają sposobność wykształcić się przez wychowanie, naukę i umyślne podróże i tym sposobem działać na dobro własne i swoich poddanych. Większość przepędza życie w obskurantyzmie i swawoli, oddając się na igraszkę brzydkim namiętnościom, które zgubne są dla tysiąców poddanych. Błyszczą oni tytułami i godnościami, które zyskują za Bóg wié jakie sprawy; posiadają wiele dóbr, któremi nie potrafią rządzić i najeżdżają się wzajem, przez co kraj, niestety! musi kiedyś stać się łupem sąsiadów zazdroszczących jego wielkości". Takie mając o panach wyobrażenie, nie dziw, że się Majmon nie udał do nich o pomoc i radę, ale rachował tylko na własne siły i chciał z nich wydobyć wiele się da.

Wprawdzie już w 11 roku życia, dzięki kierunkowi przez ojca nadanemu, był on rabinem skończonym, przyswoił sobie przytém niektóre wiadomości z historyi i matematyki, ale wszystko to bez planu i ładu. Marzeniem jego było nauczyć się po polsku i po łacinie, ale w takim zakącie dojść do tego można było tylko przez blizki stosunek z jakim katolickim księdzem, tojest wystawić głowę na wszystkie pociski fanatyzmu współwyznawców, inaczéj mógł się obracać jedynie w zaklętém kółku hebrajszczyzny, z któréj też wyciągnął w parę lat wszystko co tylko było pożywném: poznał kabałę i pisma Majmonidesa, przez nie wprowadzony został w sferę filozofii arystotelicznéj; wzbijanie się na coraz wyższe szczeble, drażniło tylko organizm spragniony wiedzy, ale go nie zaspokajało, brak języków i książek czuć mu się dawał coraz bardziéj. W takiém łamaniu się ducha z materyalnemi przeszkodami przepędził Majmon na Litwie 16 lat, tojest do 25 roku życia, bakalarką i tym podobnemi zajęciami zarabiając na nędzny kawałek chle-

ba, w dusznéj atmosferze nędzy moralnéj. W tym to właśnie czasie mieszkając z żoną i jéj matką, miał zaszczyt, jak wspomnieliśmy na początku, kryć się w domu własnym przed książęcém obliczem Radziwiłła, który zbyt łaskawém okiem spoglądał na jego żonę uwijającą się koło domu. Pożycie rodzinne było dlań tak dokuczliwém, że często po kilka kwartałów i po roku całym najmował się opodal na nauczyciela domowego i cały zarobek odsyłał żonie. Ciekawym jest pojedynczy opis takiego zawodu.

Było to u jednego ubogiego pachciarza, który trzymał zarazem i karczmę. Życie tego człowieka równie jak powierzchowność były odrażające; mowę jego stanowił jakiś rodzaj mruczenia, które rozumieli tylko chłopi, gdyż on nietylko hebrajskiego nie umiał języka, ale nawet ani słówka po żydowsku, a tylko chłopsko-ruskiém odzywał się narzeczem. Żona i dzieci były kubek w kubek do ojca podobne. Teraz przyjrzyjmy się mieszkaniu. Składa się ono z jednéj izby dymnéj, czarnéj jak sadze wewnątrz i zewnątrz, bez komina, z małym tylko otworem w dachu do wypuszczania dymu, który to otwór, jak tylko się wytli na kominie, zamykają zaraz jak najszczelniéj, aby ciepło nie uszło. Miejsce okien zastępowały ułożone nakrzyż cienkie drzazgi pociągnięte papierem. Izba ta była mieszkaniem, szynkiem, jadalnią, pracownią i sypialnią. Dodajmy, że w izbie téj, szczególniéj zimową porą było tak gorąco i wilgotno, dymu w niéj tak pełno, że wyraźnie trzeba się było dusić. Tu rozwieszone brudne aż strach łachmany; tam suszy się niedoprana bielizna; ówdzie schną wiszące kiełbasy, z których tłuszcz kapie ludziom po głowie, gdzieindziéj stoją cebry z kwaśną kapustą i burakami; w innym kącie woda do codziennego użytku, a obok niéj pomyje. Tam mieszą, zarabiają i pieką chléb, doją krowę i t. p. W tym to przybytku siedzą chłopi na gołéj ziemi (wyżéj siedzieć nie można, bo dymby zadusił), pociągają wódkę i wrzeszczą; w kącie przysiedli domownicy, a pod piecem siedzi nasz Salomon ze swemi brudnemi, półnagiemi uczniami i tłumaczy im ze staréj podartéj biblii tekst hebrajski na

rusko-żydowski. Wszystko to musiało tworzyć nieporównaną grupę godną Hogartowskiego pędzla.

Takie to było życie człowieka, który kiedyś miał na równi z Mendelsonem i Kantem traktować najwyższe kwestye filozoficzne. Życie to przykrzyło mu się bardzo, duszą wyrywał się za góry i morza, gdzie szerszy horyzont otwierał się dla myśli, ale miłość ojczystéj ziemi, przywiązanie do swoich, zatrzymywało go na miejscu. Kto wié, jak długo jeszcze byłby Majmon pleśniał w ten sposób, gdyby niespodziewane prześladowanie nie skłoniło go do więcéj stanowczych kroków. W dobrach Radziwiłłowskich stanęło cudzoziemskie wojsko, które mając sobie za obowiązek niszczyć majątki konfederatów barskich, dopuszczało się niesłychanych gwałtów, a już co z żydami to obchodziło się jak tylko sobie wyobrazić można. Pomiędzy innemi wzięli oni sobie za prawidło, ot tak dla żartu, chwytać po drodze piérwszego lepszego żyda na przewodnika z jednéj stacyi do drugiéj; dla żartu, gdyż mieli wyborne karty dróżne. Taki improwizowany przewodnik nie mógł się tłumaczyć nieznajomością miejscowości, lecz jeżeli nie doprowadził, to go z pewnością czekała bastonada, ogolenie brody lub coś w podobnym guście. Otóż Majmon chodząc sobie raz samotnie po polu i dumając o ulubionych zagadnieniach, popadł w podobne towarzystwo, a obejście jakiego doznał, do reszty obrzydziło mu pobyt w kraju. Niedługo téż potém ze łzami w oczach, z pustą kieszenią, w nędznem odzieniu, bez żadnéj znajomości świata, ludzi, porządnego nawet języka, puścił się drogą do Królewca, przyłączywszy się do karawany kupców, którzy tradycyonalnemi furami, jakie do dziś jeszcze napotykamy po gościńcach, wieźli towary za granicę.

Smutném było położenie Majmona przy opuszczeniu ojczystéj ziemi, bo przewidywał on, że powrót do niéj będzie mu bardzo trudnym, a pozostać w niéj przy swém usposobieniu i dążnościach umysłowych w żaden sposób nie mógł. Gdyby go Bóg nie był obdarzył charakterem moralnie wyższym, to przy zdolnościach, jakie posiadał i troszcze szarlatanizmu, mógłby opływać w dostatki, pędzić życie najswobodniejsze. Ale Majmon upatrując wła-

śnie nieszczęście swego ludu w wyłączności i błąkaniu się po labiryncie religijnych zagadek z treścią wiary żadnego nie mających związku, ubolewał tylko nad takim kierunkiem, potępiał w duchu ludzi, którzy doń podżegali i sam za nic w świecie do tegoby ręki nie przyłożył. On pragnął cywilizacyi i postępu dla swych współwyznawców, a tu umysły ich tak były nieprzygotowane, tak od tego odległe, że piérwsze otworzenie ust w tym przedmiocie byłoby hasłem do prześladowania, jako przeciwne interesowi piśmiennych, władnących opinią i sumieniami ciemnego ogółu. Stojąc niezłomnie przy wierze przodków, nie mógł również węzłem wiary panującéj połączyć się z narodem, który wtedy ofiarowałby mu środki wyższego kształcenia obok nawet szlacheckiéj prerogatywy; Majmon jakkolwiek wysoko cenił naukę, ale takim środkiem dochodzić do niéj nie chciał. Kochał on naukę dla nauki saméj, lecz kochał zarazem wiarę swą i plemię, nie mógł więc zezwolić na to, aby nauka miała go z jego ludem poróżnić. Z dalszych owszem działań Majmona okazuje się, iż on nauki i stanowiska, jakie ona zapewnia, pragnął użyć nietylko za środek wpływu na umysły współwyznawców, ale zarazem korzystać z tego stanowiska, aby odezwać się poważnie do ludzi mających udział w rządzie, iżby żydom polskim udzieloną była pewna opieka i możność zbliżenia się do ogniska cywilizacyi. Takiemi ożywiony myślami, takie umiłowawszy cele, Majmon nie mógł zgodzić się z położeniem swojém w kraju; wolał cierpieć nędzę, niż schlebiać bałamuctwom podtrzymywanym przez mniemanych uczonych swego ludu. Jednakże chociaż dużo cierpiał, nie wyniósł przeto z kraju żadnéj dla nikogo osobistéj nienawiści: Radziwiłłowi nawet przebaczył bolesne dla drugich fantazye, których był świadkiem; wyrzucając je w pismach swych, przypisywał je raczéj temperamentowi księcia i złemu wychowaniu, niż jego charakterowi. Odzywając się zdaleka o swych współziomkach czy to chrześciańskich, czy izraelskich, sądzi obie strony z zupełną bezstronnością: słowo jego jest słowem nauki, pobudką do refleksyi, żaden wzgląd nie odwodzi go od wypowiedzenia prawdy. Nie szczędzi Majmon zwłaszcza swoich współwyznawców,

mianowicie za ich upór w przesądach i oddanie się na łaskę szarlatanizmowi naukowo-religijnemu, którego on jest nieubłaganym wrogiem. Ścigając go wszędzie, Majmon naraża się wielu ludziom. Ale trudna rada, powiada on w jednem miejscu: „ja kocham prawdę, gdzie trzeba za nią walczyć, nie pytam nawet na samego djabła i jego prababkę. Dla poszukiwania prawdy porzuciłem mój naród, ojczyznę i rodzinę, ztąd każdy łatwo pojmie, że kiedy chodzi o wypowiedzenie prawdy, to powstrzymać mnie żadne drobne względy nie mogą. Osobistéj nieprzyjaźni nie żywię dla nikogo, ale jeżeli kto występuje jako nieprzyjaciel prawdy, kto wpływu swego na publikę używa dlatego, aby ją z nizkich pobudek w błąd wprowadzać, ten jest *eo ipso* moim wrogiem, tego ja ścigać będę, kimkolwiekby on był, czy professorem, czy biskupem rzymskim, czy sułtanem tureckim". Takiego też programatu trzymał się Majmon w życiu praktyczném, we wszystkich dziełach swych i pomniejszych artykułach, któremi zasilał ówczesne pisma peryodyczne niemieckie.

Trzeba mieć tak silne postanowienie i dwadzieścia pięć lat, ażeby, jak Majmon, puścić się w świat o suchym obwarzanku i kilku śledziach, z kilko-złotowym zaledwie zapasem i stawić czoło przygodom, jakie człowieka czekają pomiędzy ludźmi nieznanemi. Kupcy, z któremi się zabrał Salomon, dowieźli go szczęśliwie do Królewca, a tam na piérwszym zaraz kroku dał mu się uczuć brak znajomości miejscowego języka. Majmon znał wprawdzie wybornie język hebrajski, ale ten jest tylko, jak łacina, językiem uczonych, do codziennego użytku wcale się nie przydał; mieszane żydowsko-polsko-ruskie narzecze, do którego przywykł, dobre było w Litwie, ale nie w mieście zaludnioném przez Niemców; całym więc jego ratunkiem była trocha i to źle wymawianéj niemczyzny, któréj się w domu omackiem nauczył. Poznał się on tam z kilku paniczami swojego wyznania, uczniami uniwersytetu, którzy sądząc po minie i wymawianiu, wzięli go zrazu za hetkę pętelkę, ale gdy on im źle czytanego wprawdzie po niemiecku Fedona Mendelsonowego zaczął wykładać doskonale językiem hebrajskim, dopiéro wprawił ich w podziwienie i obudził szacunek. Nie znalazł jednak

tam Majmon ani serca, ani dobréj rady. Inni widząc współwyznawcę żądnego nauki, przygarnęliby go do siebie, dali mu jaki kącik i otworzyli stosunki, na jakich w Królewcu nie zbywało; ci zaś, z którymi piérwszą zabrał znajomość Majmon, odesłali go na naukę do Berlina pod pretekstem, że tam najwięcéj kwitną nauki filozoficzne, nie pytając, zkąd on weźmie na podróż i za co tam się utrzyma. Widocznie chcieli go się pozbyć i dokonali tego, ofiarując mu na drogę kilka sztuk staréj odzieży.

Z Królewca do Berlina udawał się nasz pielgrzym okrętem przez Szczecin. Z jakiemi prywacyami połączoną byłą ta jego podróż morzem i lądem, opisywać nie będziemy, dość powiédzieć, że przebył w niéj cierniowe męki, bo to ani się z kim rozmówić, ani się czém posilić, ani gdzie wygodnie głowę do snu złożyć, tak, że biedny miłośnik nauki i prawdy był już niemal umierającym z głodu i utrudzenia, kiedy nareszcie ujrzał kres swoich życzeń, mury Berlina. Gdyby Majmon wjeżdżał do Berlina ekstrapocztą i stanąwszy przed hotelem zażądał eleganckiego mieszkania, uprzedzanoby się w podejmowaniu *polskiego grafa;* ale, że szedł pieszo w podartym łapserdaku, boso i w koszuli bezkolorowéj, przeto gościnność stołeczna inaczéj mu się wcale objawiła. W Berlinie ubóstwo nie jest tak łatwo tolerowane jak u nas, a w owym czasie wyłącznie dla nędzarzy izraelskich przeznaczonym był dom za miastem, w którym przybywających trzymano czas jakiś, dopóki starsi gminy po zasięgnięciu stósownych wiadomości nie poświadczyli, kogo z nich można wpuścić do miasta bez obawy ciężaru dla stołecznéj ludności: takiemu losowi uległ i Majmon. Kiedy już czas jakiś kwarantannę odbywał w tém miłosiernem więzieniu, zjawił się tam na szczęście w odwiedziny rabin berliński. Majmon przypiął się do niego, jak do zbawcy; rabin berliński musiał być człowiekiem postępowym, protegującym nauki, więc téż młody ochotnik z całą szczerością, z powagą, ale bez przesady, wyjawił mu skryte myśli, zamiary, i na dowód, że już coś umié i może, okazał mu komentarz, jaki w domu jeszcze nakreślił sobie po hebrajsku nad znakomitém dziełem Majmonidesa hiszpańskiego: *More Nebuchim.* Po wysłuchaniu Majmona, rabin wziął

się za głowę i odskoczył odeń, jak od zapowietrzonego, a wróciwszy do miasta oświadczył przed swojemi, że młody przybysz przynosi z sobą najzgubniejsze dla Izraela zasady i chęci. Pokazuje się, że nietylko u nas, ale i w Brandeburgii izraelici ówczesni dzielili się na postępowych i konserwatystów i że ci ostatni liczebnie i moralnie dzierżyli przewagę. Skutkiem takiego oświadczenia wzbroniono Majmonowi wnijścia do miasta i z domu schronienia wyrzucono go na gościniec. Salomon był cierpliwym i wytrwałym, ale obie te cnoty mają gdzieś kres ostateczny; po takiém obejściu ogarnęła go chwilowo ostatnia rozpacz. Wyszedłszy z nieszczęsnego domku, i nie wiedząc gdzie się obrócić, co z sobą począć, padł twarzą na ziemię i jęczał jak opętany. Przechodnie omijali spiesznie nieszczęśliwego; ci co się zatrzymali, nie rozumieli słów, któremi uskarżał się na nieludzkość współbraci; jeden tylko równie jak on nędzny i odarty dłużéj mu się przypatrywał, pozostał przy nim, zrozumiał go i odezwał się doń jego językiem. Byłto żyd polski, z powołania żebrak; on jeden podał mu rękę, podniósł go z ziemi, otarł łzy z rozpalonéj twarzy i rozłamał się z nim użebranym chlebem. Temu człowiekowi Majmon zawdzięcza życie, a my znakomitość naukową.

Jak prędko dążył Majmon do Berlina, tak teraz, zakosztowawszy jego gościnności, jeszcze prędzéj odeń chciał uciec. Ostatni stopień nędzy i brak wszelkiego ratunku, skłoniły go do połączenia się z żebrakiem, który w dobroci serca nie chciał opuścić nieszczęśliwego ziomka, a tułając się tu i owdzie, znał wszystkie drogi i mógł go doprowadzić, gdzieby zażądał. Skierowali się więc oba ku ojczystym stronom i po półrocznem tułactwie, żywiąc się użebranym groszem, stanęli w Poznaniu. Rodzinna ziemia wyraźnie jakby chciała wynagrodzić Majmonowi zawód i okrucieństwo, jakiego doznał na obcéj. Tu znalazł tyle serca, tyle prawdziwie ludzkiego uczucia, że codzień, co godzina, musiał tylko błogosławić i płakać łzami wdzięczności. Po roku najokropniejszéj nędzy ujrzał się nagle pod gościnnym dachem, w ciepłéj izdebce z łóżkiem, którego oddawna nie widział, ubrany w porządną odzież, otoczony jakby rodzinną troskliwością życzliwych mu osób.

Pomyślność tę głównie zawdzięczał Majmon miejscowemu nadrabinowi, który szczęściem stanowił zupełną sprzeczność z owym mędrcem berlińskim. Przez jego to wpływ i stosunki, Majmon stał się znajomym całemu miastu jako rzadkiéj nauki człowiek, zyskał powszechny szacunek, rozmowa z nim stała się pożądaną przez młodych ludzi szukających postępu i prawdy. Jeden ze znaczniejszych mieszkańców, izraelita, ofiarował mu u siebie miejsce nauczyciela do syna jedynaka, pod bardzo świetnemi warunkami; w domu tym Majmon, otoczony czcią i serdecznością przebył dwa lata, już to kształcąc i oświecając wszystkich na około siebie, już też pracując dla wykształcenia własnego. Dwa lata, ogromny to kapitał czasu dla człowieka z talentem; przez ten czas Majmon nietylko dopełnił studyów nad pomnikami hebrajskiemi, ale umocniwszy się w kilku językach, obeznał się z naukami światowemi, z historyą, literaturą, naukami przyrodzonemi; nad czytanemi dziełami czynił sobie zaraz spostrzeżenia, które w późniejszym czasie posłużyły mu za materyał do rozwiniętych studyów. Żyjąc w braterskiéj jedności z ludźmi podzielającemi jego sposób myślenia, nie przestawał jednak powstawać na głupstwo i przesądy, jakie napotykał u innych, dał sobie na to słowo i przestrzegał go wszędzie: to czyniło go nienawistnym dla wielu, i naturalnie, nasuwało podejrzenie o brak ortodoxyi. Majmon przeto postanowił raz jeszcze zejść z oczu ludziom, którzy wiary bez zabobonów nie rozumieją, i dla zdobycia sobie jeszcze bardziéj niezależnego stanowiska, umyślił bądź co bądź udać się znowu do Berlina i tam przy stosownych stosunkach i środkach, rozpocząć pracę na wielkę skalę.

Przed wjeżdżającym pocztą, Berlin nie zamknął gościnnych bram, jak przed dwoma laty; jednakże gdy przyszło zatrzymać się dłużéj, żydowska policya nie dała pokoju biednemu wędrowcowi, i kiedy nareszcie wypatrzono u niego książki, a pomiędzy innemi Logikę Majmonidesa, „Mylath Hygojan", z kommentarzem Mendelsona, przerażony policyant bez ceremonii radził Majmonowi, aby się wynosił swoim kosztem z Berlina, jeżeli nie chce, iżby go zeń z całą okazałością kosztem miasta wyprowadzono. Ale

Majmon, dowiedziawszy się, iż w Berlinie mieszka dla nauki jeden z jego ziomków, udał się do niego o poradę. Trafił jak najszczęśliwiéj, znalazł otwarte serce i ramiona; w długiéj rozmowie o kraju ojczystym, dwaj młodzi ludzie zbliżyli się uczuciami, tak jak zbliżeni już byli wspólnością celów naukowych. Nowy przyjaciel poznał go z możnemi a pełnemi zacności ludźmi, którzy przez stosunki swoje wyjednali mu nareszcie spokojny pobyt w Berlinie. Na to też czekał tylko Majmon, aby bez odwłoki przystąpić do zamierzonego przedsięwzięcia.

Przypadkiem dostał się do Metafizyki Wolfa, uratowanéj za dwa srebrne grosze z rąk maślarza, który już do właściwego użytku napoczynał ją anatomizować. Było to piérwsze z ważniejszych dzieł nowoczesnéj filozofii, z którém młody adept poznać się miał; to też rzucił się doń z ciekawością i zapałem. Dzieło nie zawiodło jego skwapliwości, i nie tylko sama dostojna treść jego, ale układ i matematyczna metoda sławnego professora, precyzya w tłumaczeniu się, ścisłość w dowodzeniach i umiejętny porządek w wykładzie, rzuciły nowe do jego ducha światło.

Nawykły do filozoficznego myślenia, obeznany z Majmonidesem, nad którym od dzieciństwa tyle dni i nocy prześlęczał, z nadzwyczajną łatwością zdał sobie sprawę z systematu Wolfa, szczególniéj co do ontologii, kosmologii transcendentalnéj i psychologii, które to części wchodzą w skład jego metafizyki, znajdują się w ścisłym z sobą związku, i dążą do utworzenia korony całego dzieła, tojest: teologii naturalnéj. W téj ostatniéj dopiéro części zawadził Majmon o trudności, dostrzegając, iż objawione w niej zasady, nie odpowiadają poprzednim a nawet są im przeciwne. Nie zadowolnił Majmona wywód bytności Boga *a posteriori*, jako sprzeczny z poprzednio wypowiedzianą zasadą samego Wolfa, co do bytu bezwzględnego mającego przyczynę w samym sobie i dla siebie wystarczającą. Wprawdzie Wolf nie powiedział w téj materyi prawie nic nowego, ale spożytkował tylko i usystematyzował to, co przed nim dowodzili po Platonie, Dekart i Lejbnitz, i co według tego ostatniego filozofa da się spopularyzować w ten sposób: w całéj dziedzinie empirycznych obserwa-

cyj, panuje zasada przyczyny wystarczającéj (ratio sufficiens). Ażeby jakiś byt istniał, musi mieć względnie do siebie przyczynę dostatecznie motywującą jego istnienie. Jeżeli więc przyczyna ta nie zawiera się w samym bycie, to musi znajdować się gdzieindziéj, w przyczynie najwyższéj, absolutnéj, to jest w Bogu, który sam jest stwórcą siebie samego i dostateczną przyczyną szeregu istnień, jako też czynów wiążących się we wszechistnieniu. Następnie, ponieważ nie istnieje nic takiego, coby nie zależało od téj pierwszéj przyczyny, czyli od Boga, więc Bóg musi być nieograniczonym i obejmować wszystkie możliwe rzeczywistości. Innemi słowy: w świecie całym wszystko jest przypadkowością (contingens), nic niema koniecznego (absolutum), nic nie jest *causa sui*. Żeby więc usprawiedliwić byt wszystkiego co jest, należy przypuścić przyczynę, którąby była konieczną: *causa sui et rerum omnium*. Ta przyczyna jest, ponieważ jest konieczną, za czem idzie, że jest Bóg, ponieważ ona jest Bogiem. Ten dowód *a posteriori* ma swoję słabą stronę. Wnikając bowiem w ten świat, w jego siły i prawa, można śmiało przyjść na tę myśl, że on, bynajmniej nie potrzebuje czegoś innego, coby było dlań dostateczną przyczyną, ale przeciwnie, tworzy wystarczającą dla siebie całość, ma wszystko co mu potrzeba, porusza się tak dobrze, iż zdaje się, jakoby ani dziś ani nigdy nikogo gwoli swéj nie potrzebował. Pomimo téj wadliwości, wszyscy po Lejbnitzu idący pisarze, polegając na jego wziętości, trzymali się tego argumentu, *pierwotnéj i saméj dla siebie przyczyny*, chociaż on silnie odpieranym był jeszcze za życia Dekarta, który go wznowił w filozofii zachodniéj. Wolf czując jego niedostateczność, a nie mogąc na drodze experymentalnéj, którą przyjął w całéj swéj ogromnéj pracy, nic lepszego wymyślić, zmienił mu tylko formę i rozwinął go w sposób następujący: „W związku istot i rzeczy, trzeba odróżnić konieczność względną od konieczności bezwzględnéj. Przez konieczność bezwzględną rozumie się to, że gdyby najmniejsze zdarzenie miało stać się inaczéj niż się stało, toby trzeba ażeby wszystko wprzód odbyło się inaczéj i ażeby wszystko również inaczéj odbywało się na przyszłość. Ale też i to prawdą niezawodną jest, iż mogło było zajść niezliczone mnóstwo kombinacyj,

prócz téj, która się urzeczywistniła. W rozumie Bożym znajdowało się mnóstwo innych światów możliwych, i niejedno co niepodobném jest w naszym świecie, byłoby bardzo możebném w innym. Tak więc niemożebność jest równie względną jak konieczność, jedna i druga względnie do ogólnego stanu rzeczy; przy innym bowiem stanie jedna nie byłaby niemożebnością, druga nie byłaby koniecznością. Sam świat obecny nie był wcale koniecznym, ale owszem, przypadkowym. A zatém jeśli jest przypadkowym, i jeżeli tém czem jest, nie jest w skutek konieczności własnéj, przeto ma swego stwórcę; a tym jest Bóg." Forma tego wywodu, lubo doskonalsza od poprzednich, nie jest jednak zadowalniającą: dowodzi ona bowiem tylko konieczności przyczyny, dostarcza tego co czasami w filozofii spekulacyinéj nazywają *prius*, byt najpiérwszy w porządku czasu; ale to *prius*, tak abstrakcyjne i kompletnie żadne, nie jest Bogiem. Jest ono wprawdzie absolutem, ale tak czystym i próżnym, że doń żadnych nie można zastosować przymiotów, co nie jest wcale przekonywającém dla umysłu ludzkiego, który potrzebuje dojść do pojęcia i wykazania sobie jakiejś jedności pierwotnéj, takiéj co byłaby nie tylko rzeczywistą substancyą, ale osobą moralną. Wywody, które akceptował Wolf w piérwszéj części swojéj teologii, wykazują też wprawdzie jakąś przyczynę abstrakcyjną, jakiś pierwiastek; ale skoro ten może być tak dobrze duchowym jak materyalnym, a zatém przyjętym przez wszystkie systemata prawdziwe i fałszywe, skoro może posługiwać zarówno spirytualizmowi jak materyalizmowi, panteizmowi i nawet ateizmowi, przeto wartość argumentacyi, która pierwiastek ten tak niezdeterminowany i abstrakcyjny wywiodła, jest bardzo kruchą. Duch ludzki szuka dla siebie Boga osobowego, jakim Go przedstawia objawienie, *ens perfectissimum*; dotąd nie znalazł go wprawdzie na drodze czysto naukowego badania i zapewne nie znajdzie nigdy; najprędzéj, jak się to dotąd zdarzało, skończy na panteizmie, lub przyzna się do swéj niemocy, jak Kant, i odeśle ku dalszym poszukiwaniom rozum spekulacyjny do rozumu praktycznego, jawnie kapitulując. Nie zadowalniający w dowodzeniu swém bytności Boga Wolf *a posteriori*, tojest w argumentach wysnutych ze świata,

w drugiéj części teologii zostaje na innym gruncie, poszukując dowodów metafizycznych, naturalnie wyższych i pewniejszych. Ale i tu nie wznosi się wyżéj nad dowód Śgo Anzelma. Z samego czystego rozumu daje się wysnuć idea Istoty absolutnie doskonałéj, idea ta jest konieczną, ale to nieszczęście, że czysto subjektywną; od pojęcia téj idei do jéj rzeczywistości objektywnéj nie ma prawnego przejścia, przynajmniéj ani Wolf, ani nawet Kant przejścia tego nie odkryli.

Takie to i tym podobne wątpliwości wykrywszy Majmon w znakomitém dziele Wolfa, napisał porządną krytykę, w któréj system ten dowodzeń porównał z systematem Majmonidesa a raczéj Arystotelesa i napisawszy posłał go do przeczytania Mendelsonowi, którego wprawdzie jeszcze osobiście nie znał, ale o którego stanowisku w świecie nauki wiedział już dobrze. Zdziwił się wielce Mendelson, otrzymawszy tę rozprawę i odpowiedział mu natychmiast, że wątpliwości jego są uzasadnione, że jednak one nie powinny odciągać, ale owszem zachęcać do coraz ściślejszego badania przynoszącego zaszczyt umysłowi ludzkiemu.

Tém ośmielony Majmon napisał nową w języku hebrajskim rozprawę, w któréj podaje w wątpliwość zasady teologii zarówno objawionéj jak i naturalnéj. Nadto, artykuły wiary w liczbie trzynastu przez Majmonidesa ułożone (1) sprowadziwszy na pole filozoficzne, zbija filozo-

(1) Polemizując przeciw artykułom wiary ogłoszonym przez Majmonidesa, Majmon nie przedstawia się przeto bynajmniéj w charakterze kacerza, te bowiem artykuły wcale nie odpowiadają chrześciańskim *kanonom* i nie mają żadnéj sankcyi duchownéj. Majmonides poprostu, w odpowiedź na zarzuty chrześcian, że żydzi kryją się z zasadami swojéj religii, streścił w tych 13 punktach jéj dogmatyczną stronę, ażeby przekonać prześladowców, iż religia Mojżeszowa nie mieści bynajmniéj szkodliwych zasad. Dziś nawet, gdyby kto ujął coś z tych artykułów, lub dodał co do nich, nie naruszając atoli jedynéj obowiązującéj w Mozaizmie zasady *jedynego Boga wszechmogącego*, i prawd ztąd wynikających, byłoby to tylko rzeczą zwyczajnéj dyskussyi religijnéj nie zaś kanonicznym sporem, swoboda bowiem religii Mojżeszowéj otwiera pole wszelkiemu rozumowaniu, nie krępując się żadnym autorytetem. Trzynaście artykułów Majmonidesa obracają się głównie około trzech punktów: Boga jedynego, objawionego, nagrody i kary, a zatém i nieśmiertelności duszy.

ficznemi argumentami i ze szczętem obala, wyjąwszy jednego, to jest o przyszłych nagrodach i karach, któremu pozwala ostać się ale tylko w filozoficznym sensie, uważając pojęcie kary i nagrody za naturalne następstwo czynów z wolnéj woli wynikających. W pierwszych zaraz pracach piśmiennych okazuje Majmon ten sceptyczny kierunek umysłu, który też wciąż towarzyszy jego badaniom. Nową tę pracę posłał znowu Mendelsonowi, który na ten raz uderzony siłą i głębokością filozoficznych poglądów Majmona, nie mógł wyjść ze zdumienia, ażeby „żyd polski" bez żadnych przygotowań uniwersyteckich zajść mógł tak daleko w badaniach ontologicznych i metafizycznych. Jako uczciwy i niezazdrosny a bardzo naukę ceniący człowiek, spostrzegłszy, że ma do czynienia z niepospolitym człowiekiem, chciał go wydobyć z ustronia, otworzył mu więc swój dom i tym sposobem związał go stosunkami ze wszystkiemi, co w Berlinie oznaczało się rozumem, nauką, wpływem i zamożnością. Odtąd Majmon nabywa w stolicy uczonych Niemiec rozgłosu uczonego człowieka, ustnie i piśmiennie znosi się z myślącemi ludźmi, otwarte dlań biblioteki dostarczają mu środków poznania się z wiedzą wszechświata, co dla Majmona, przy jego zdolnościach, jest rzeczą krótkiego zachodu.

(Dokończenie nastąpi).

HAMLET

KRÓLEWIC DUŃSKI

DRAMAT W 5 AKTACH SZEKSPIRA,

PRZEKŁAD

Józefa Paszkowskiego.

OSOBY.

Klaudyusz, król duński.
Hamlet, syn poprzedniego a synowiec teraźniejszego króla.
Poloniusz, szambelan.
Horacy, przyjaciel Hamleta.
Laertes, syn Poloniusza.
Woltymand, Korneliusz, Rozenkranc, Gildenstern, Ozryk, } dworzanie
Ksiądz.
Marcellus, Bernardo, } oficerowie.
Francisko, żołnierz.
Renaldo, sługa Poloniusza.
Rotmistrz.
Poseł.
Duch ojca Hamleta.
Fortynbras, norwegski książę.
Gertruda, królowa duńska, matka Hamleta.
Ofelia, córka Poloniusza.

Panowie, Damy, Oficerowie, Żołnierze, Aktorowie, Grabarze, Majtkowie, Posłowie i inne osoby.

Rzecz się odbywa w Elzynorze.

AKT I.

SCENA I.

Taras przed zamkiem.

FRANCISKO *na warcie.* BERNARDO *zbliża się ku niemu.*

BERNARDO.

Kto tu?

FRANCISKO.

Nie, pierwéj ty sam mi odpowiedz:
Stój, wymień hasło!

BERNARDO.

Niech Bóg chroni króla.

FRANCISKO.

Bernardo?

BERNARDO.

Ten sam.

FRANCISKO.

Bardzo akuratnie
Stawiacie się na czas, panie Bernardo.

BERNARDO.

Tylko co biła dwunasta. Idź, spocznij,
Francisko.

FRANCISKO.

Wdzięcznym wam za zluzowanie,
Bom zziąbł i głupio mi na sercu.

BERNARDO.

Miałżeś
Spokojną wartę?

FRANCISKO.

Ani mysz nie przeszła.

BERNARDO.

Dobra noc. Jeśli napotkasz Marcella
I Horacego, z któremi téj nocy
Straż mam odbywać, powiedz niech się spieszą.
(*Horacy i Marcellus wchodzą*).

FRANCISKO.

Zda mi się że ich słyszę.—Stój! kto idzie?

MARCELLUS.

Lennicy Danii.

HORACY.

Przyjaciele kraju.

FRANCISKO.

A zatém dobréj nocy.

MARCELLUS.

Bądź zdrów, stary.
Kto cię zluzował?

FRANCISKO.

Bernardo. Dobranoc.
(*Odchodzi*).

MARCELLUS.

Hola! Bernardo!

BERNARDO.

Ho! Czy to Horacy
Z tobą, Marcellu?

HORACY.

Niby on.

BERNARDO.

Witajcie.

HORACY.

I cóż? Czy owa postać i tej nocy
Dała się widzieć?

BERNARDO.

Ja nic nie widziałem.

MARCELLUS.

Horacy mówi, że to przywidzenie,
I nie chce wierzyć wieści o tém strasznem,
Dwa razy przez nas widzianém zjawisku;
Uprosiłem go przeto, aby z nami
Przepędził część téj nocy dla sprawdzenia
Świadectwa naszych oczu i zbadania
Tego widziadła, jeżeli znów przyjdzie.

HORACY.

Nic z tego; ręczę, że nie przyjdzie.

BERNARDO.

Usiądź,
I ścierp, że jeszcze raz zaszturmujemy
Do twego ucha, które tak jest mocno
Obwarowane przeciw opisowi
Tego, czegośmy przez dwie nocy byli
Świadkami.

HORACY.

Dobrze, usiądźmy; Bernardo,
Opowiedz jak to było.

BERNARDO.

Przeszłéj nocy,
Gdy owa jasna gwiazda na zachodzie
Tę samą stronę oświecała,
Gdzie teraz błyszczy, i zamkowy zegar
Bił piérwszą, Marcel i ja ujrzeliśmy—

MARCELLUS.

Przestań; spojrzyjcie tam: nadchodzi znowu:
(*Duch się ukazuje*).

BERNARDO.

Zupełnie postać nieboszczyka króla.

MARCELLUS.

Horacy, przemów doń: uczony jesteś (1).

(1) Ponieważ umiał po łacinie a zaklęcia czyli egzorcyzmy, których przemawiając do duchów, jedynie można było użyć skutecznie, ułożonemi były przez księży w tym języku.

BERNARDO.

Możeż być większe podobieństwo? powiedz.

HORACY.

Prawda:—słupieję z trwogi i zdumienia.

BERNARDO.

Zdawałoby się, że chce, aby który
Z nas doń przemówił.

MARCELLUS.

Przemów doń, Horacy.

HORACY.

Ktoś ty, co nocnéj pory nadużywasz
I śmiesz przywłaszczać sobie tę wspaniałą
Wojenną postać, którą pogrzebiony
Duński monarcha za życia przybierał?
Zaklinam cię, na Boga: odpowiadaj.

MARCELLUS.

To mu się nie podoba.

BERNARDO.

Patrz, odchodzi.

HORACY.

Stój! mów; zaklinam cię: mów.
(*Duch znika*).

MARCELLUS.

Już go nie ma.

BERNARDO.

I cóż, Horacy? Pobladłeś, drżysz cały.
Powieszże jeszcze, że to urojenie?
Cóż myślisz o tém?

HORACY.

Bóg świadkiem, że nigdy
Nie byłbym temu wierzył, gdyby nie to
Tak jawne, dotykalne poświadczenie
Własnych mych oczu.

MARCELLUS.

Nie jestże to widmo
Podobném, powiedz, do zmarłego króla?

HORACY.

Jak ty do siebie. Taką właśnie zbroję
Miał wtedy, kiedy Norwegczyka pobił:
Tak samo, pomnę, marszczył czoło wtedy,
Kiedy po bitwie zaciętéj na lodach,
Rozbił tabory Polaków. Rzecz dziwna!

MARCELLUS.

Tak-to, dwa razy, punkt o téjże saméj
Godzinie przeszło marsowemi kroki,
To widmo mimo naszych posterunków.

HORACY.

Coby to w gruncie mogło znaczyć, nie wiem;
Atoli wedle kalibru i skali
Mojego sądu, jest to prognostykiem
Jakichś szczególnych wstrząśnień w naszym kraju.

MARCELLUS.

Siądźcie, i niech mi powie, kto świadomy,
Na co te ciągłe i tak ścisłe warty
Poddanych kraju noc w noc niepokoją?
Na co to lanie dział i skupywanie
Po obcych targach narzędzi wojennych?
Ten ruch w warsztatach okrętowych, kędy
Trud robotnika nie zna odróżnienia
Między niedzielą a resztą tygodnia?
Co powoduje ten gwałtowny pośpiech,
Dający dniowi noc za towarzyszkę?
Objaśniż mi to kto?

HORACY.

Ja ci objaśnię.
Przynajmniéj wieści chodzą w taki sposób:
Ostatni duński monarcha, którego
Obraz dopiero-co nam się ukazał,
Był, jak wiadomo, zmuszony do boju
Przez norwegskiego króla, Fortynbrasa,
Zazdroszczącego mu jego potęgi.
Mężny nasz Hamlet, (jako taki bowiem
Słynie w téj stronie znajomego świata),
Położył trupem tego Fortynbrasa,
Który na mocy aktu, pieczęciami

Zatwierdzonego i uświęconego
Wojennem prawem, był obowiązany
Części swych krajów ustąpić zwycięzcy,
Tak jak nawzajem nasz król, na zasadzie
Klauzuli tegoż samego układu,
Byłby był musiał odpowiednią porcyą
Swych dzierżaw oddać na wieczne dziedzictwo
Fortynbrasowi, gdyby ten był przemógł.
Owóż syn tego, panie, Fortynbrasa,
Awanturniczym pobudzony szałem,
Zgromadził teraz zebraną po różnych
Kątach Norwegii, za strawę i jurgielt,
Tłuszczę bezziemnych ochotników, w celu,
Który bynajmniéj nie trąci tchórzostwem,
A który, jak to nasz rząd odgaduje,
Nie na czém innem się zasadza, jedno
Na odebraniu nam siłą oręża,
W drodze przemocy wyż rzeczonych krain,
Które utracił był jego poprzednik:
I to, jak mi się zdaje, jest przyczyną
Owych uzbrojeń, powodem czat naszych
I źródłem tego wrzenia w całym kraju.

BERNARDO.

I ja tak samo sądzę: tém-ci bardziéj,
Że to zjawisko w wojennym przyborze
Odwiedza nasze czaty, i przyjmuje
Na siebie postać nieboszczyka króla,
Który tych wojen był i jest sprężyną.

HORACY.

Znak to dla oczu ducha płodny w groźbę
Gdy Rzym na szczycie stał swojéj potęgi,
Krótko przed śmiercią wielkiego Juliusza,
Otworzyły się groby i umarli
Błądzili jęcząc po ulicach Rzymu;
Widziane były różne dziwowiska,
Jako-to gwiazdy z ogonem, deszcz krwawy,
Plamy na słońcu i owa wilgotna
Gwiazda, rządząca państwami Neptuna,
Zmierzchła, jak gdyby na sąd ostateczny.
I otóż takie same poprzedniki
Smutnych wypadków, które jako gońce,
Biegną przed losem, albo są prologiem
Wróżb przyjść mających, nieba i podziemia
Zsyłają teraz i naszemu państwu.
(*Duch powraca*),

Patrzcie! znów idzie.—Zastąpię mu drogę
Choćbym miał zdrowiem przypłacić.—Stój, maro!
Możesz-li wydać głos albo przynajmniéj
Dźwięk jakikolwiek przystępny dla ucha:
To mów!
Jest-li czyn jaki do spełnienia, zdolny
Dopomódz tobie a mnie przynieść zaszczyt:
To mów!
Masz-li świadomość losów tego kraju,
Które wprzód znając, możnaby odwrócić:
O, mów!
Albo-li może za życia pogrzebłeś
W nieprawy sposób zgromadzone skarby,
Za co wy duchy, bywacie, jak mówią,
Skazane nieraz tułać się po śmierci.
(*Kur pieje*).
Mów! Stój! mów!—Zabież mu drogę Marcellu.

MARCELLUS.

Mamże nań natrzeć halabardą?

HORACY.

Natrzéj,
Jeśli nie stanie.

BERNARDO.

Tu jest.

HORACY.

Tu jest.
(*Duch znika*).

MARCELLUS.

Zniknął.
Krzywdzim tę postać tak majestatyczną,
Chcąc ją przemocą zatrzymać: powietrze
Tylko chwytamy i czcza nasza groźba
Złośliwém tylko jest urągowiskiem.

BERNARDO.

Chciał coś podobno mówić, gdy kur zapiał.

HORACY.

Wtém nagle wzdrygnął się jak winowajca
Na głos strasznego apelu. Słyszałem,
Że kur, ten trębacz zwiastujący ranek,
Swoim donośnym przeraźliwym głosem

Przebudza bóstwo dnia i na to hasło
Wszelki duch, czy-to błądzący na ziemi,
Czy w wodzie, w ogniu, czy w powietrzu, spiesznie
Wraca zkąd wyszedł: a że to jest prawdą,
Dowodem właśnie to cośmy widzieli.

MARCELLUS.

Zadrżał i rozwiał się, skoro kur zapiał.
Mówią, że ranny ten ptak, w owéj porze,
Kiedy święcimy Narodzenie Pana,
Po całych nocach zwykł śpiewać i wtedy
Żaden duch nie śmie wyjść z swego siedliska:
Noce są zdrowe, gwiazdy nie szkodliwe,
Złe śpi, ustają czarodziejskie wpływy,
Tak święty jest ten czas i dobroczynny.

HORACY.

Słyszałem i ja o tém i po części
Sam daję temu wiarę.—Ale patrzcie,
Już dzień w różaunym płaszczu zstrząsa rosę
Na owym wzgórku wschodnim. Zejdźmy z warty.
Moja zaś rada, abyśmy niezwłocznie
O tém, czegośmy tu świadkami byli,
Uwiadomili młodego Hamleta;
Bo prawie pewny jestem, że to widmo,
Milczące dla nas, przemówi do niego.
Czy się zgadzacie na to, co nam zrobić
Zarówno serce jak powinność każe?

MARCELLUS.

Jak najzupełniéj, i wiem nawet, gdzie go
Na osobności zdybiemy dziś z rana.

(*Wychodzą*).

SCENA 2.

Sala audyencyonalna w zamku.

KRÓL, KRÓLOWA, HAMLET, POLONIUSZ, LAERTES, WOLTYMAND, KORNELIUSZ, *panowie i orszak.*

KRÓL.

Jakkolwiek świeżo tkwi w naszéj pamięci
Zgon kochanego, drogiego naszego

Brata Hamleta, jakkolwiek-by przeto
Sercu naszemu godziło się w ciężkim
Żalu pogrążyć, a całemu państwu
Zawrzéć się w jeden fałd kiru; o tyle
Jednak rozwaga czyni gwałt naturze,
Że pomnąc o nim nie zapominamy
O sobie samych. Dlatego,—z zatrutą,
Że tak powiemy, od smutku radością,
Z pogodą w jedném a łzą w drugiém oku,
Z bukietem w ręku a jękiem na ustach,
Na równi ważąc wesele i boleść,—
Połączyliśmy się małżeńskim węzłem
Z tą niegdyś siostrą naszą a następnie
Dziedziczką tego wojennego państwa.
Co wszakże czyniąc nie postąpiliśmy
Wbrew światlejszemu waszemu uznaniu,
Które swobodnie objawione dało
Temu krokowi sankcyą. Dzięki za to.—

A teraz wiedzcie, że młody Fortynbras,
Czyli-to naszą lekceważąc wartość,
Czyli-to sądząc, że z śmiercią drogiego
Brata naszego w królestwie tém znajdzie
Nieład i bezrząd, i na tém jedynie
Budując płonną nadzieję korzyści,
Nie zaniedbuje naglić nas przez posłów
O zwrot tych krain, które prawomocnie,
Za sprawą świętéj pamięci Hamleta,
Brata naszego, z rąk jego rodzica
Przeszły na własność Danii. Tyle o nim.
Terazże o nas i o celu, w jakim
Tu się zeszliśmy. Wzywamy tém pismem
Stryja młodego Fortynbrasa, dzisiaj
Króla Norwegii,—który z sił opadły,
Obłożnie chory, może i nie słyszał
O tych zabiegach swojego synowca,—
Aby powstrzymał go od popierania
Tych roszczeń; aby mu wzbronił zbierania
Wojsk i czynienia wszelkich nieprzyjaznych
Nam demonstracyj.—Wam zaś, Korneliuszu
I Woltymandzie, poruczamy zanieść
To pismo, łącznie z pozdrowieniem naszém
Władcy Norwegii, nie upoważniając
Was do wchodzenia z nim w nic więcéj nad to,
Co treść powyższych słów naszych zakreśla.
Bywajcie nam więc zdrowi i niech pośpiech
Chwali gorliwość waszą.

KORNELIUSZ i WOLTYMAND.

Jak we wszystkiém,
Tak i w tém starać się będziem jéj dowieść.

KRÓL.

Nie wątpię o tém. Bywajcież nam zdrowi.
(*Korneliusz i Woltymand wychodzą*).
Miałeś nas o coś prosić, Laertesie;
Jakiż jest przedmiot téj prośby? Mów śmiało.
Nie traci próżno słów, kto się udaje
Z słuszném żądaniem do monarchy Danii.
Czegóżbyś pragnął, czegobym nie gotów
Spełnić wprzód jeszcze niżeliś zapragnął?
Głowa nie bliżéj jest pokrewną sercu,
Ręka nie skorszą ku przysłudze ustom,
Jak tron nasz ojcu twemu Laertesie,
Czegóż więc żądasz?

LAERTES.

Pozwolenia waszéj
Królewskiéj mości na powrót do Francyi,
Zkąd chętnie wprawdzie tu przybyłem, aby
Złożyć powinny hołd przy koronacyi
Waszéj królewskiéj mości, ale teraz,
Gdym już dopełnił tego obowiązku,
Życzenia moje i myśli, wyznaję,
Ciągną mię znowu do Francyi; ku czemu
O przychylenie się i przebaczenie
Kornie śmiem waszą królewską mość błagać.

KRÓL.

Cóż na to ojciec waszmości? Przystaje
Na to Poloniusz?

POLONIUSZ.

Usilnemi prośby
Póty kołatał do mojego serca,
Ażem do życzeń jego mimochętnie
Przyłożył pieczęć zezwolenia. Racz, mu
Wasza królewska mość nie bronić jechać.

KRÓL.

Jedź więc, rozrządzaj według woli czasem
I łaską naszą.
Do ciebie się teraz

Zwracam, kochany synowcze Hamlecie,
Synu mój.

HAMLET
(*na stronie*).

Trochę więcéj niż synowcze,
A mniéj niż synu.

KRÓL.

Jakiż tego powód,
Że czarne chmury wciąż cię otaczają?

HAMLET.

I owszem, panie, jestem wystawiony
Bardzo na słońce.

KRÓLOWA.

Kochany Hamlecie,
Zrzuć tę ponurą barwę i przyjaźnie
Wypogodzoném okiem spojrz na Danią;
Przestań powieki ustawicznie spuszczać
W ziemię o drogim ojcu rozmyślając.
Co żyje, musi umrzeć: dziś tu gości,
A jutro w progi przechodzi wieczności:
To pospolita rzecz.

HAMLET.

W istocie, pani,
Zbyt pospolita.

KRÓLOWA.

Gdy wszystkim jest wspólną,
Czemuż się tobie zdaje tak szczególną?

HAMLET.

Zdaje się pani? bynajmniéj, jest raczéj;
U mnie nic żadne zdaje się nie znaczy,
Niczem sam przez się ten oczom widzialny
Czarnéj żałoby strój konwencyonalny;
Wietrzne z trudnością wydawane tchnienie,
Obficie z oczu ciekące strumienie,
Żałość na widok stawiana obliczem,
Miną, gestami: to wszystko jest niczem;
To tylko zdaje się, bo potajemnie
Można być obcym temu; ale we mnie
Jest coś, co w ramę oznak się nie mieści,
W tę larwę żalu, liberyą boleści.

KRÓL.

Zaletę-ć czyni, Hamlecie, ten smutek,
Którym oddajesz cześć pamięci ojca;
Lecz wiedz, że ojciec twój miał także ojca
I że go także utracił tak samo,
Jak tamten swego. Dobry syn powinien
Jakiś czas boleć po śmierci rodzica;
Lecz uporczywie trwać w utyskiwaniach,
Jest to dowodzić bezbożnéj czułości,
Sprzeciwiającéj się wyrokom niebios;
Jest-to nie męzkie okazywać serce,
Niesforny umysł i płochą rozwagę.
Bo skoro wiemy, że coś jest zwyczajném,
Jak każda inna rzecz najpowszedniejsza,
Na cóż stawiając opór konieczności
Brać to do serca? Wstydź się, jest to grzechem
Przeciw naturze, przeciw niebu, przeciw
Zmarłemu nawet; jest-to naostatek
Wbrew rozumowi, który od skonania
Pierwszego z ludzi, aż do śmierci tego,
Którego świeżą opłakujem stratę,
Ciągle i ciągle woła *tak być musi!*
Rzuć więc, prosimy cię, te płonne żale,
I pomnij, że masz w nas drugiego ojca,
Niechaj się dowie świat, żeś ty najbliższym
Naszego tronu i naszego serca;
Co się zaś tyczy twojego zamiaru
Wrócenia nazad do szkół wittembergskich,
Jest on życzeniom naszym wręcz przeciwnym:
Przetoż wzywamy cię, abyś się zgodził
Na pozostanie tu, pod czułą pieczą
Naszego oka, jako nasz najmilszy
Dworzanin, krewny i syn.

KRÓLOWA.

O, Hamlecie,
Nie daj się matce prosić nadaremnie;
Pozostań z nami, porzuć myśl jechania
Do Wittemberga.

HAMLET.

Ze wszystkich sił moich
Będęć posłusznym, pani.

KRÓL.

To mi piękna,
Co się nazywa, synowska odpowiedź!—

Pójdź ukochana żono, ta uprzejma
Nie przymuszona powolność Hamleta,
Rozpromieniła mi serce; dlatego
Każdy wzniesiony dziś na zamku toast,
Moździerze wzbiją w obłoki, i niebo
Wtórząc radosnym królewskim wiwatom
Odpowie ziemi równym grzmotem. Idźmy.

(*Król, Królowa i wszyscy, prócz Hamleta, wychodzą*).

HAMLET.

Bogdaj to trwałe, zbyt wytrwałe ciało
Stopniało, w lotną parę się rozwiało!
Lub bogdaj Ten, tam w niebie nie był karą
Zagroził samobójcy! Boże! Boże!
Jak nudnym, nędznym, lichym i jałowym
Zda mi się cały obrót tego świata!
To nie pielony ogród: samym tylko
Bujnie krzewiącym się chwastem porosły.
O wstydzie! że też mogło przyjść do tego!
Parę miesięcy dopiéro jak umarł!—
Nie, nie, i tego nie ma;—taki dobry,
Taki anielski król, naprzeciw tego
Istny Hyperyon naprzeciw Satyra:
A tak do matki mojéj przywiązany,
Że nie mógł ścierpieć nawet, aby lada
Przyostry powiew dotknął się jéj twarzy.
Ona zaś,—trzebaż abym to pamiętał!—
Wieszała mu się u szyi tak chciwie,
Jakby w niéj rosła żądza pieszczot w miarę
Zaspokojania jéj. I w miesiąc potém,—
O, precz z tą myślą!—Słabości, nazwisko
Twoje kobieta!—W jeden marny miesiąc,
Nim jeszcze zdarła te trzewiki, w których
Szła za biednego mego ojca ciałem,
Zalana łzami jak Niobe,—patrzcie!—
Boże mój! zwierzę, bezrozumne zwierzę
Dłużéjby czuło żal,—zostaje żoną
Mojego stryja, brata mego ojca,
Lecz który tak jest do brata podobny,
Jak ja do Herkulesa. W jeden miesiąc,—
Nim jeszcze słony osad łez nie szczerych
Z zaczerwienionych powiek jéj ustąpił,—
Została żoną innego! Tak prędko,
Tak lekko skoczyć w kazirodne łoże!
Nie jest-to dobrem ani wyjść nie może
Na dobre. Ale pękaj serce moje,
Bo usta milczéć muszą.

(*Horacy, Bernardo i Marcellus wchodzą*).

HORACY.

Przyjm pozdrowienie nasze, drogi książe.

HAMLET.

Miło mi widzieć panów w dobrém zdrowiu.—
Wszak to Horacy! albo zapomniałem
Jak się sam zowię.

HORACY.

Ten sam i jak zawsze
Waszéj królewskiéj mości biedny sługa.

HAMLET.

Dobry przyjaciel raczéj; weź to miano,
A mnie daj tamto. Cóż cię z Wittemberga
Sprowadza?—Wszak-to Marcellus?

MARCELLUS.

Tak, panie.

HAMLET.

Bardzom rad widzieć pana. Dobry wieczór.
Ale na seryo, powiedz mi, Horacy,
Co cię przywiodło z Wittemberga?

HORACY.

Skłonność
Do próżniackiego życia, mości książe.

HAMLET.

Tegoby nie śmiał mi powiedzieć nawet
Twój nieprzyjaciel, i sam téż źle czynisz,
Chcąc ucho moje przymusić do wiary
W własne zeznanie twoje przeciw tobie.
Wiem, żeś nie próżniak: jakiż więc być może
Cel przebywania twego w Elzynorze?
Nauczysz się tu pić tęgo.

HORACY.

Przybyłem
Na pogrzeb ojca twego, mości książe.

HAMLET.

Nie żartuj ze mnie, szkolny towarzyszu;
Przybyłeś raczéj na ślub matki mojéj.

HORACY.

W istocie, prędko nastąpił po tamtym.

HAMLET.

Oszczędność, bracie, oszczędność! Przygrzane
Resztki przysmaków z pogrzebowéj stypy,
Dały traktament na ucztę weselną.—
O, mój Horacy, wolałbym był ujrzéć
Najzawziętszego mego wroga w niebie,
Niż dożyć tego dnia. Mój biedny ojciec,—
Zda mi się, że go widzę.

HORACY.

Gdzie?!

HAMLET.

Przed duszy
Mojéj oczyma.

HORACY.

Widziałem go niegdyś:
Był-to król, jakich mało.

HAMLET.

Człowiek, powiedz.
Chociażby wszystko w tym fałszywym świecie
Było tém, czém się napozór wydaje,
Jeszczeby drugi taki się nie znalazł.

HORACY.

Zda mi się, że go widziałem téj nocy.

HAMLET.

Widziałeś? kogo?

HORACY.

Króla, ojca waszéj
Książęcéj mości.

HAMLET.

Króla? Mego ojca?!

HORACY.

Zawieś na chwilę zdumienie, o panie,
I baczném uchem racz wysłuchać tego
Nadzwyczajnego doniesienia, które

Zgodnie z świadectwem tych dwóch zacnych ludzi,
Mam ci uczynić.

HAMLET.

Mów, na miłość Boską!

HORACY.

Przez dwie już nocy po sobie idące,
Wśród głuchéj ciszy północnéj, cóż sami
Oficerowie, Marcel i Bernardo,
Straż odbywając przy zamku, miewają
Następujące widzenie:—
Postać podobna do świętéj pamięci
Ojca twojego, panie, uzbrojona
Jak najkompletniéj od stóp aż do głowy,
Staje przed nimi, uroczystym krokiem
Przechodzi mimo zwolna i poważnie;
Trzykroć przeciąga przed ich zdumiałemi
I struchlałémi oczyma, tak blizko,
Że ich nieledwie laską swą dotyka:
Oni zaś stoją jak wryci i jakby
Zgalareceni przerażeniem, nie śmią
Przemówić do niéj ani słowa. Mając
Wieść o tém sobie przez nich udzieloną
Jak najtajemniéj, udałem się z nimi
Następnéj nocy samotrzeć na wartę:
I rzeczywiście o tym samym czasie,
W taki sam sposób, co do joty zgodnie
Z przywiedzionémi szczegółami, przyszło
Widziadło. Znałem ojca twego, panie:
Te ręce mniéj są do siebie podobne.

HAMLET.

Gdzież się to działo?

HORACY.

Na tarasie, panie.

HAMLET.

Nie przemówiłżeś do tego zjawiska?

HORACY.

I owszem, ale żadnéj odpowiedzi
Nie otrzymałem. Raz tylko podniosło
Głowę i zdało się chcieć coś powiedzieć:
Ale w téj chwili zapiał kur poranny,

Na głos którego zerwało się nagle
I znikło nam z przed oczu.

HAMLET.

Osobliwsza!

HORACY.

Jak żyw tu stoję, mości książe, jest-to
Rzetelną prawdą, i mieliśmy sobie
Za obowiązek donieść o tém waszéj
Książęcéj mości.

HAMLET.

Zaprawdę, to widmo
Niespokojności mię nabawia. Macież
Téj nocy wartę?

WSZYSCY TRZEJ.

Mamy, mości książe.

HAMLET.

Było więc uzbrojone?

WSZYSCY TRZEJ.

Tak jest, panie.

HAMLET.

Od stóp do głowy?

WSZYSCY TRZEJ.

Od czaszki do kostek.

HAMLET.

Nie widzieliście więc jego oblicza?

HORACY.

I owszem: miało przyłbicę wzniesioną.

HAMLET.

Groźnież na twarzy wyglądało?

HORACY.

Smutno
Bardziéj niż gniewnie.

HAMLET.

Blado czy rumiano?

HORACY.

O, bardzo blado.

HAMLET.

I wzrok w was wlepiało?

HORACY.

Nieporuszenie.

HAMLET.

Szkoda, żem tam nie był.

HORACY.

Byłbyś był, panie, osłupiał.

HAMLET.

Być może,
Być może. Długoż bawiło?

HORACY.

Tak długo,
Jak długoby ktoś przy średnim pośpiechu
Sto musiał liczyć.

MARCELLUS i BERNARDO.

O, dłużéj.

HORACY.

Nie, wtedy,
Kiedy ja byłem.

HAMLET.

Siwąż miało brodę?

HORACY.

Zupełnie taką, jaką u zmarłego
Króla widziałem: czarną posrebrzoną.

HAMLET.

Będę dziś z wami na warcie: być może,
Iż przyjdzie znowu.

HORACY.

Przyjdzie niezawodnie.

HAMLET.

Skoro przyjmuje postać mego ojca,
Muszę z nim mówić, choćby całe piekło
Rozwarłszy paszczę milczéć mi kazało.—
Co do was, moi panowie, jeśliście
Tę okoliczność dotąd zataili,
Trzymajcież ją i nadal pod zamknięciem,
I cobądź zdarzy się téj nocy, bierzcie
Wszystko na rozum, ale nic na język:
Zawdzięczę wam tę dobroć. Bądźcie zdrowi.
Pomiędzy jedenastą a dwunastą
Zejdziem się na tarasie.

WSZYSCY TRZEJ.

Słudzy waszéj
Książęcéj mości.

HAMLET.

Bądźcie przyjaciołmi,
Tak jak ja jestem waszym. Do widzenia.
(*Horacy, Marcellus i Bernardo wychodzą*).
Duch mego ojca! uzbrojony! Coś tu
Złego się święci, coś tu krzywo idzie.
Oby już była noc! tymczasem jednak
Milcz, serce moje. Zbrodnie i z pod ziemi
Wychodzą, aby stać się widomémi.
(*Wychodzi*).

SCENA 3.

Pokój w domu Poloniusza.

LAERTES i OFELIA.

LAERTES.

Już rzeczy moje zniesione na pokład.
Bądź zdrowa, siostro: a gdy wiatr przyjaźnie
Zadmie od brzegu i który z okrętów
Zdejmie kotwicę, nie zasypiaj wtedy,
Lecz donoś mi o sobie.

OFELIA.

Wątpisz o tém?

LAERTES.

Co się zaś tyczy Hamleta i pustych
Jego zalotów, uważaj je jako
Mamiący pozór, wynikłość krwi wrzącéj;
Jako fijołek młodocianéj wiosny,
Wczesny lecz wątły, luby lecz nie trwały;
Woń, kilka tylko chwil upajającą:
Nic więcéj.

OFELIA.

Więcéj nic?

LAERTES.

Nie myśl inaczéj.
Natura ludzka, kiedy się rozwija,
Nietylko rośnie co do form zewnętrznych;
Jako w wznoszącéj się świątyni, służba
Duszy i ducha zwiększa się w niéj także.
Być może, iż on ciebie teraz kocha,
Że czystość jego chęci jest bez plamy;
Ale zważywszy jego stopień, pomnij,
Że jego wola nie jest jego własną.
On sam jest rodu swego niewolnikiem;
Nie może, jako podrzędni, wybierać
Dla siebie tylko, od jego wyboru
Zależy bowiem bezpieczeństwo, dobro
Całego państwa, przeto téż i jego
Wybór koniecznie musi być zależnym
Od życzeń i od przyzwolenia tego
Wielkiego ciała, którego jest głową.
Jeżeli zatém mówi, że cię kocha,
Rozwadze twojéj przystoi mu wierzyć
O tyle tylko, o ile on zgodnie
Ze stanowiskiem przez się zajmowaném
Będzie mógł słowa swojego dotrzymać:
Tojest, o ile powszechny głos Danii
Przystanie na to. Uważ, jaki zakał
Grozi twéj sławie, jeśli łatwowiernie
Poszeptom jego podasz ucho, serce
Sobie uwięzisz i skarb niewinności
Otworzysz jego bezwodznym zapędom.
Strzeż się, Ofelio, strzeż się, luba siostro;
I stój w odwodzie twéj skłonności. Zdala

Od niebezpieczeństw i napaści pokus.
Wstydliwe dziewczę za wiele już waży,
Gdy przed księżycem wdzięki swe odsłania (1):
Na samą cnotę pada rdza obmowy;
Robak zbyt często toczy dzieci wiosny,
Nim jeszcze pączki zdążyły otworzyć;
I kiedy rosa wilży młodość hożą,
Wpływy złośliwych miazm najbardziéj grożą.
Strzeż się więc, tarczą najlepszą w téj próbie
Niedowierzanie, nawet saméj sobie.

OFELIA.

Treść téj nauki postawię na straży
Mojego serca. Nie idź jednak, bracie,
Za śladem owych fałszywych doradzców,
Którzy nam stromą i ciernistą ścieżkę
Cnoty wskazują, a sami tymczasem
Kroczą kwiecistym szlakiem błędów, własnych
Rad nie pamiętni.

LAERTES.

Bądź o mnie spokojną,
I bądź mi zdrową. Lecz oto nasz ojciec.

(*Poloniusz wchodzi*).

Podwójne błogosławieństwo, podwójne
Szczęście przynosi: szczęśliwe spotkanie,
Które mi zdarza sposobność ku temu.

POLONIUSZ.

Laërtes jeszcze tu? Daléj na okręt!
Wiatr wzdyma żagle, czekają na ciebie.
Raz jeszcze daję ci błogosławieństwo
Na drogę:

(*Kładzie rękę na głowę synowi*).

Weź je i wraź sobie w pamięć
Tych kilka przestróg: Nie bądź skorym myśli
Wprowadzać w słowa a zamiarów w czyny.
Bądź popularnym, ale nigdy gminnym.
Przyjaciół, których doświadczysz, a których
Wybór okaże się być ciebie godnym,
Przykuj do siebie żelaznémi klamry;
Ale nie plugaw sobie rąk uściskiem
Dłoni pierwszego lepszego socyusza.

(1) Odnosi się to do istniejącego w czasach Szekspira zwyczaju, który damom nakazywał zasłaniać twarz maską, kiedy wychodziły z domu.

Strzeż się zatargów, jeśli zaś w nie zajdziesz,
Tak się w nich znajduj, aby twój przeciwnik
Nadal się ciebie strzedz musiał. Miéj zawżdy
Ucho otworem, ale rzadko kiedy
Otwieraj usta. Chwytaj zdania drugich,
Ale sąd własny zatrzymuj przy sobie.
Noś się kosztownie, o ile ci na to
Mieszek pozwoli, ale bez przesady;
Wytwornie ale nie wybrednie; często
Bowiem ubranie zdradza grunt człowieka,
I pod tym względem Francuzi szczególniéj
Są pełni taktu. Nie pożyczaj drugim
Ani od drugich; bo pożyczkę daną
Tracim najczęściéj razem z przyjacielem,
A braną psujem rząd potrzebny w domu.
Słowem,—rzetelnym bądź sam względem siebie,
A jako po dniu noc z porządku idzie,
Tak za tém pójdzie, że i względem drugich
Będziesz rzetelnym. Bądź zdrów; niech cię moje
Błogosławieństwo utwierdzi w téj mierze.

LAERTES.

Z pokorą żegnam cię ojcze i panie.

POLONIUSZ.

Idź już; czas nagli: wszystko w pogotowiu.

LAERTES.

Bądź zdrowa, siostro, i pamiętaj na to
Com ci powiedział.

OFELIA.

Zamknęłam to w sercu
A ty masz klucz od niego.

LAERTES.

Bądź mi zdrowa.

(*Wychodzi*).

POLONIUSZ.

Cóż-to on tobie powiedział, Ofelio?

OFELIA.

Coś, co tyczyło się księcia Hamleta.

POLONIUSZ.

W porę mi o tém wspominasz Słyszałem,
Że on cię często nawiedzał w tych czasach,
I że znajdował z twojéj strony przystęp
Łatwy i chętny. Jeżeli tak było,
(A udzielono mi o tém wiadomość,
Jako przestrogę), muszę ci powiedzieć,
Że się nie cenisz tak, jakby przystało
Dbałéj o sławę córce Poloniusza.
Jakież wy macie stosunki? Mów prawdę.

OFELIA.

Oświadczał mi się, ojcze, z swą skłonnością.

POLONIUSZ.

Z skłonnością? hm, hm! Mówisz jak dzierlatka
Niedoświadczona w rzeczach niebezpiecznych.
Wierzysz-li tym tak zwanym oświadczeniom?

OFELIA.

Nie wiem, co myśléć mam, mój ojcze.

POLONIUSZ.

Nie wiesz?
To ja ci powiem: Masz myśleć, żeś dziecko,
Gdy oświadczenia te bez poświadczenia
Rozsądku bierzesz za dobrą monetę.
Nie radzę ci się z nim świadczyć, inaczéj,
(Że téj igraszki słów jeszcze użyję),
Doświadczysz następstw nie dobrych.

OFELIA.

Wynurzał
Mi swoją miłość bardzo obyczajnie.

POLONIUSZ.

Tak, tak, bo czynić to jest obyczajem.

OFELIA.

I słowa swoje stwierdził najświętszémi
Jakie być mogą przysięgami.

POLONIUSZ.

Plewy
Na młode wróble! Wiem ja, gdy krew kipi,
Jak wtedy dusza hojną jest w kładzeniu

Przysiąg na usta. Nie bierz tych wybuchów
Za ogień, więcéj z nich światła niż ciepła,
A i to światło gaśnie w oka mgnieniu.
Bądź odtąd trochę skąpszą w przystępności
I więcéj sobie waż rozmowę swoją,
Niż wyzywanie drugich do rozmowy.
Co się zaś księcia Hamleta dotyczy,
Bacz na to, że on jeszcze młodzieniaszek,
I że mu więcéj jest wolno, niż tobie
Może być wolno kiedykolwiek. Słowem,
Nie ufaj jego przysięgom, bo one
Są, jak kuglarze, czém innem, niż szaty
Ich pokazują: orędownicami
Bezbożnych chuci biorącémi pozór
Świętości, aby tém łacniéj usidlić
Naiwne serca. Krótko mówiąc, nie chcę,
Abyś od dziś dnia czas swój marnowała
Na zadawaniu się z księciem Hamletem.
Pamiętaj, nie chcę tego. Możesz odejść.

OFELIA.

Będęć posłuszną, panie.

(*Wychodzą*).

SCENA 4.

Taras zamkowy.

HAMLET, HORACY i MARCELLUS *wchodzą*.

HAMLET.

Ostry wiatr wieje; przejmujące zimno.

HORACY.

W istocie: bardzo szczypiące powietrze.

HAMLET.

Która godzina?

HORACY.

Dwunasta dochodzi.

MARCELLUS.

Dwunasta biła już.

HORACY.

Już? Nie słyszałem.
Zbliża się zatém czas, o którym widmo
Zwykło się jawić.

(*Odgłos trąb i wystrzałów za sceną*).

Co to znaczy, panie?

HAMLET.

To znaczy, że król czuwa z czarą w ręku,
Zgrają opilców dworskich przepijając;
Każdy zaś taki sygnał trąb i kotłów
Jest tryumfalném hasłem nowéj miary
Przeczeń spełnionéj.

HORACY.

Czy to taki zwyczaj?

HAMLET.

Zwyczaj zaiste; mojém jednak zdaniem,—
Lubom tu zrodzon i z tém oswojony,—
Chlubniéj byłoby taki zwyczaj łamać
Niż zachowywać. Te biby na zabój
W pośmiech i w wzgardę tylko nas podają
U innych ludów: beczkami nas mienią,
I trzodzie chlewnéj właściwy przydomek
Hańbi nazwisko nasze (1). W rzeczy saméj,
Choćbyśmy zresztą byli bez zarzutu,
To jedno jużby starło z naszych czynów
Zaszczytną cechę ich wnętrznéj wartości.
I pojedyńczym ludziom się to zdarza:
Nie jeden skutkiem naturalnych przywar,—
Czyli-to rodu (czemu nic nie winien,
Bo któż obiera sobie pochodzenie),
Czy-to jakiegoś krwi usposobienia,
Które częstokroć rwie tamy rozumu;
Czy-to nałogu, przeciwnego formom
Przyzwoitości,—nie jeden, powiadam,
Upośledzony w taki sposób jaką
Szczególną wadą, bądź-to organicznie,

(1) Duńczycy w istocie, sławni byli z opilstwa tak, że to weszło było nawet w przysłowie. Gdy jednego Francuza wracającego z Danii, zapytano co tam widział, odpowiedział: *Rien de singulier, sinon qu'on y chante tout le jours: le Roi boit.* Było to coś jak u nas za smutnéj pamięci króla Sasa.

Bądź przypadkowo,—choćby jego cnoty
Były zkądinąd jako kryształ czyste
I mnogie, jako być mogą w człowieku,—
Tą jedną skazą zarażony będzie
W opinii ludzi. Jedna drachma złego
Niweczy wszelkie szlachetne pierwiastki.

(*Duch wchodzi*).

HORACY.

Widzisz go, panie.

HAMLET.

Aniołowie Pana
Zastępów, miejcie mię w swojéj opiece!—
Błogosławionyś ty, czy potępiony,
Tchniesz-li tchem niebios, czy wyziewem piekieł!
Masz-li zamiary zgubne, czy przyjazne,
Przychodzisz w takiéj postaci, że muszę
Wydobyć z ciebie głos. Hamlecie, królu,
Ojcze mój, władco Danii, odpowiadaj:
Nie pozostawiaj mię w niewiadomości;
Powiedz, dla czego święte kości twoje
Na wieki w trumnie złożone przebiły
Śmiertelny całun; dlaczego grobowiec,
W który widzieliśm cię zstępującego,
Podniósł swe ciężkie, marmurowe wieko,
By cię powrócić nazad? Co to znaczy,
Że ty, trup, znowu w kompletnym rynsztunku
Podksiężycowy ten padół odwiedzasz,
Czyniąc noc straszną i nas niedołężnych
Synów téj ziemi wstrząsając myślami,
Przechodzącémi metę naszych pojęć?
O, powiedz, co to jest? Co za cel tego?
Czego chcesz od nas?

HORACY.

Daje ci znak, panie,
Abyś z nim poszedł, jakby chciał sam na sam
Pomówić z tobą.

MARCELLUS.

Jak uprzejmym gestem
Wzywa cię, panie, w ustronniejsze miejsce.
Nie idź z nim jednak.

HORACY.

Nie chodź, mości książe.

HAMLET.

Chce ze mną mówić: pójdę.

HORACY.

Nie czyń tego,
Łaskawy panie.

HAMLET.

Czegożbym się lękał?
To życie szpilki złamanéj nie warte,
A dusza moja jak on nieśmiertelna.
Patrz, znowu na mnie kiwa;—pójdę za nim.

HORACY.

A gdyby on cię zaprowadził, panie,
Nad przepaść, na brzeg owéj groźnéj skały,
Która się stromo spuszcza w morską otchłań,
I tam przedzierżgnął się w inne postacie,
Jeszcze straszniejsze, któreby ci mogły
Odjąć, o panie, przytomność umysłu
I w obłąkanie cię wprawić? Zważ tylko!
Już samo tamto miejsce bez żadnego
Innego wpływu budzi rozpaczliwe
Usposobienie w każdym, kto spostrzeże
Morze na tyle sążni tuż pod sobą,
I słyszy jego huk.

HAMLET.

Wciąż na mnie kiwa:—
Idź już, idź; pójdę z tobą.

MARCELLUS.

Zostań, panie.

HAMLET.

Puśćcie mnie!

HORACY.

Wstrzymaj się, panie: pozostań!

HAMLET.

Los mój mnie woła i najmniejszą żyłkę
Mojego ciała czyni tak potężną,
Jak najsilniejszy nerw lwa nemejskiego.
(*Duch nie przestaje kiwać*).

Ciągle mnie wzywa!—Puśćcie mnie!—
(*wyrywając się*)
Na Boga!
W upiora zmienię tego, co mnie dłużéj
Wstrzymywać będzie.—Idź, spieszę za tobą.
(*Duch i Hamlet wychodzą*).

HORACY.

Imaginacya w szał go wprawia.

MARCELLUS.

Idźmy
W trop za nim; tu nie w porę posłuszeństwo.

HORACY.

Idźmy. Na czémże się to skończy?

MARCELLUS.

Widno
Jest coś chorobliwego w duńskiem państwie.

HORACY.

Niebo zaradzi temu.

MARCELLUS.

Spieszmy za nim.
(*Wychodzą*).

SCENA 5.

Oddalona część tarasu.

DUCH i HAMLET *wchodzą*.

HAMLET.

Gdzie mnie prowadzisz? Mów: nie pójdę daléj.

DUCH.

Słuchaj mnie.

HAMLET.

Słucham.

DUCH.

Zbliża się godzina,
O któréj w srogie, siarczyste płomienie
Muszę powrócić znowu.

HAMLET.

Biedny duchu!

DUCH.

Nie lituj się nademną, ale baczném
Uchem ogarnij to, co ci mam odkryć.

HAMLET.

Mów, powinnością moją słuchać ciebie.

DUCH.

Jak niemniéj zemścić się, gdy mnie wysłuchasz.

HAMLET.

Zemścić się?

DUCH.

Jestem duchem twego ojca,
Skazanym tułać się nocą po świecie,
A przez dzień jęczeć w ogniu, póki wszystek
Kał popełnionych za żywota grzechów
Nie wypali się we mnie. Gdybym miejsca
Mojéj pokuty sekret mógł wyjawić,
Takiebym rzeczy ci opisał, których
Najmniejszy szczegół rozdarłby ci duszę,
Młodą krew twoją zmroził, oczy twoje
Jak gwiazdy z posad wydobył, zwinięte
Gładkie kędziory twoje wyprostował
Tak, że ich każdy włos stanąłby dębem,
Jako na jeżu kolce: ale takich
Podań nie znosi ludzkie ucho. Słuchaj,
O słuchaj, słuchaj, jeśli choć cokolwiek
Kochałeś twego ojca.

HAMLET.

Przebóg!

DUCH.

Pomścij
Smierć jego, dzieło ohydnego mordu!

HAMLET.

Mordu?

DUCH.

Tak, mordu: wszelki mord ohydny,
Lecz ten był nadzwyczajny, niesłychany.

HAMLET.

Dla Boga, wymień go, wymień czémprędzéj,
Abym na skrzydłach chyżych jak modlitwa,
Lub myśl kochanka podążył ku zemście.

DUCH.

Zdajesz się pełen dobrych chęci, byłbyś
Téż nikczemniejszy niż najlichsze ziele
Wegetujące nad brzegami Lety,
Gdybyś pozostał na to obojętnym.
Słuchaj więc, słuchaj Hamlecie. Puszczono
Rozgłos, że podczas mego snu w ogrodzie
Wąż mię ukąsił; takim-to skłamanym
Powodem śmierci méj zwiedziono Danią:
Dowiedz się bowiem, szlachetny młodzieńcze,
Że ów wąż, który zabił twego ojca,
Nosi dziś jego koronę.

HAMLET.

O nieba!
Stryj! Nie zawiodły mię przeczucia moje.

DUCH.

Ten-to bezwstydny, cudzołożny potwór,
Zdradnym dowcipem, czarami wymowy,—
(Przeklęty dowcip, przeklęta wymowa,
Która tak może ułudzić!),—potrafił
Skłonić k'sromocie wolą mojéj niby
Cnotliwéj żony. O Hamlecie! cóż-to
Był za upadek! Odemnie, którego,
Miłość statecznie chodziła dłoń w dłoni
Z ślubną przysięgą w objęcia nędznika,
Którego dary przyrodzone były
Naprzeciw moich tak liche!
Lecz jako cnota pozostaje czystą,
Choćby ją sprosność w postaci niebianki
Usiłowała skusić, tak zła żądza,
Choćby ją łączył ślub z aniołem nawet,
Prędko uprzykrzy sobie święte łoże
I rzuci się na barłóg.

Ale dość tego! Już powietrze ranne
Czuć mi się daje; muszę kończyć: kiedym
Raz po południu jak zwykle w ogrodzie
Bezpiecznie zasnął, wkradł się stryj twój z flaszką
Zawierającą blekotowe krople,
I wlał mi w ucho ten zabójczy rozczyn,
Którego siła tak jest nieprzyjazną
Ludzkiéj naturze, że jak żywe srebro
Przebiega nagle wszystkie drogi, wszystkie
Kanały ciała, i jako sok kwaśny
Wlany do mleka ścina wnet i zgęszcza
Wszystką krew zdrową. Tak było i z moją:
I wraz plugawy trąd jak u Łazarza
Wystąpił na mnie i brzydką skorupą
Pokrył mi całe ciało.
Tak-to śpiąc, ręką brata pozbawiony
Zostałem życia, berła i małżonki,
Zkoszony w samym kwiecie moich grzechów:
Bez namaszczenia, bez przygotowania,
Bez porachunku z sobą wyprawiony
Zdać porachunek z win jeszcze niezmytych.
O, to okropnie! okropnie! okropnie!
Masz-li iskierkę czucia, nie ścierp tego:
Nie pozwól, aby łoże władców Danii
Było ohydném gniazdem wszeteczeństwa.
Jakkolwiek jednak czyn ten pomścić zechcesz,
Nie uwłócz swemu sercu, nie czyń przeciw
Matce zamachów; pozostaw ją niebu
I owym cierniom, które w głębi łona
Występnych siedzą: zrobią one swoje.
Bądź zdrów, świecący robaczek oznajmia,
Że ranek już jest blizki; wątłe bowiem
Światełko jego znacznie już pobladło;
Żegnam cię, żegnam cię: pamiętaj o mnie.

(*Znika*).

HAMLET.

O wy niebieskie potęgi! O ziemio!
Cóż więcéj? Mamże piekło jeszcze wezwać?
Nie, o, nie! Krzep się, krzep się, serce moje!
Prężcie się nerwy!—Pamiętać o tobie?
O, biedny duchu, stanie ci się zadość,
Dopóki tylko na tym wietrznym globie
Pamięć żyć będzie. Pamiętać o tobie?
Wraz pamięć moja z tablic swych wykryśli
Wszelkie powszednie tuzinkowe myśli;
Książkową mądrość, obrazy, wrażenia,

Płody młodości lub zastanowienia,
Wszystko, co związek ma z przeszłym mym bytem;
To, coś mi zlecił, to tylko wyrytém
W księdze mojego mózgu pozostanie:
Tak mi dopomóż wiekuisty Panie!—

O, wiarołomna niewiasto! O, łotrze,
Uśmiechający się, bezczelny łotrze!
Muszę to sobie zapisać, że można
Nosić na ustach uśmiech i być łotrem,—
W Danii przynajmniéj.
(*Wyjmuje pugilares i zapisuje*). (*1*)
Tak; siedź tu, stryjaszku,
Teraz-że duszo moja pilnuj hasła:
A tém jest: *Żegnam cię, pamiętaj o mnie!*
Przysiągłem mu być wiernym.

HORACY.
(*za sceną*).
Królewicu!

MARCELLUS
(*podobnież*).
Książe Hamlecie!

HORACY
(*podobnież*).
Chroń go Panie!

HAMLET.
Amen!

MARCELLUS.
Hop, hop, hop, mości książe!

HAMLET.
Hop, hop, chłopcze!
Tu tu, mój ptaku!
(*Horacy i Marcellus wchodzą*).

HORACY.
I cóż?

(1) Zwyczajem było, za Szekspira, nosić przy sobie pugilares dla zapisywania bądź w kościele, bądź w teatrze, odznaczających się lub bardziéj się podobających ustępów. Już w tém miejscu okazuje się Hamlet raczéj reflektującym niż pochopnym do czynu.

MARCELLUS.

I cóż, panie?

HAMLET.

Dziwy!

HORACY.

Opowiedz nam to panie.

HAMLET.

Właśnie!
Żebyście potém roztrąbili.

HORACY.

Jażbym
Mógł to uczynić?

MARCELLUS.

O, ani ja pewnie!

HAMLET.

Cóż wy powiecie na to? któżby sądził?—
Ale będziecież milczeć?

HORACY i MARCELLUS.

Jak Bóg w niebie!

HAMLET.

Nie ma na całą Danią nikczemnika,
Któryby nie był kompletnym ladaco.

HORACY.

Do objawienia nam tego, nie trzeba,
Żeby aż duchy wychodziły z grobów.

HAMLET.

W istocie macie słuszność. Owóż tedy,
Nie pozostaje nam teraz nic więcéj,
Jedno bez żadnych dalszych korowodów
Uścisnąć sobie dłonie i pójść z Bogiem.
Wy idźcie gdzie wam każe iść interes
Lub skłonność,—każdy bowiem na tym świecie
Ma jakąś skłonność lub interes;—ja zaś
W prostocie mojéj pójdę się pomodlić.

HORACY.

To są czcze tylko słowa, mości książe.

HAMLET.

Przykro mi żeście obrażeni; z serca,
W istocie, z serca przykro.

HORACY.

Mości książe,
Nie ma tu żadnéj obrazy.

HAMLET.

I owszem,
Zaprawdę mówię wam, jest tu obraza,
I wielka. Co się tyczy tego ducha,
Jest to duch dobry: poprzestańcie na tém;
Co zaś pomiędzy nim a mną tu zaszło,
Ciekawość swoją w téj mierze przytłumcie
Całą możliwą dozą rezyguacyi.
A teraz, moi mili przyjaciele,
W imię przyjaźni, w imię koleżeństwa,
Zróbcie mi jednę grzeczność.

HORACY.

Jaką, panie?

HAMLET.

Nie mówcie, coście widzieli téj nocy.

HORACY i MARCELLUS.

Nie powiem, panie.

HAMLET.

Przysiążcie mi na to.

HORACY.

Na honor, nic nie powiem.

MARCELLUS.

I ja także,
Na honor!

HAMLET.

Na ten miecz raczéj przysiążcie.

MARCELLUS.

Jużeśmy, panie, przysięgli.

HAMLET.

Przysiążcie
Na ten miecz, na ten miecz, mówię.

DUCH
(*z pod ziemi*).

Przysiążcie!

HAMLET.

Ha! to ty! Ztamtąd odzywasz się, ptaku?
Słyszycie tego kipra tam w piwnicy?
Przysiążcież!

HORACY.

Na cóż mamy przysiądz, panie?

HAMLET.

Że o tém, coście widzieli, nikomu
Nigdy a nigdy nie powiecie słowa.
Przysiążcież na ten miecz!

DUCH
(*z pod ziemi*).

Przysiążcie!

HAMLET.

Znowu?
Hic et ubique? Odmieńmy więc miejsce.
Pójdźcie tu moi panowie, połóżcie
Na moim mieczu palce i przysiążcie,
Że o tém, coście słyszeli, nikomu
Nic nie powiécie.

DUCH
(*z pod ziemi*).

Przysiążcie!

HAMLET.

Ha, krecie!
Tak prędko umiesz szybować pod ziemią?
Wyborny z ciebie minier!— No, panowie.

HORACY.

Na boga, to są rzeczy niepojęte!

HAMLET.

Chciałżebyś wszystko pojąć? O Horacy,
Więcéj jest rzeczy na ziemi i w niebie,
Niż się ich śniło waszym filozofom.
Pójdźcie tu, i jak pierwéj w imię Boga
Przysiążcie, że jakkolwiekbym się kiedy
Wydawał dzikim, dziwacznym w obejściu,—
Być bowiem może, że mi się na przyszłość
Wyda stosownem przybrać taką postać,—
Że mówię, widząc mnie takim,
Żaden z was ani potrząsaniem głowy,
Ani wzruszaniem ramion, ani wreszcie
Jakiemikolwiek wątpliwemi słowy,
Jako to *hm, hm, wiem ja*;—albo: *mógłbym*
Gdybym chciał;—albo: *gdybym był gadułą*;—
Albo: *są tacy coby mogli*;—zgoła,
Niczem dwóznaczném nie da się domyślić,
Że wié coś o mnie.—Poprzysiążcież na to,
Jeśli pragniecie, aby się nad wami
W nieszczęściu Pan Bóg zmiłował.

DUCH
(*z pod ziemi*).

Przysiążcie! (1)

(1) Że Szekspir sam był i aktorem, i że grywał w swoich sztukach, to nie ulega wątpliwości; niewiadomo tylko, w których mianowicie rolach udział przyjmował na scenie. Wszystko co w téj mierze odkryć zdołano, jest, że grał Ducha w *Hamlecie* i starego Adama w komedyi *Jak się wam podoba* (As you like it). Wywnioskowano z tego (Rowe a za nim inni), że wielki dramaturg mniéj był szczęśliwy jako dramatyczny artysta. Wnioski te wszakże nie mają zasady, bo rola Ducha w Hamlecie nie jest wcale tak małą, jakby się napozór zdawać mogło. Kiedy Hamlet wprowadzony był na scenę w Hamburgu, rolę Ducha grał jeden z najpierwszych aktorów F. L. Schröder, a w najnowszych czasach nie miał sobie za ubliżenie przyjąć ją sławny Ludwik Dewrient. Jak zaś wielkie sprawiał w niéj wrażenie, pokazuje się to z następującéj anegdoty. Kiedy Dewrient zaczął pod sceną wołać: „przysiążcie," maszynista postawiony tam do przesuwania deski, na któréj Duch w ziemię zapadał, tak był przerażony grobowym akcentem jego głosu, że uciekł, i oświadczył reżyserowi, że dłużéj swych obowiązków sprawować nie może. Utrzymywał on, że Dewrient musi mieć przy sobie prawdziwego ducha, który się odzywa tak

HAMLET.

Ukój się, ukój, rozdrażniony duchu!—
Pomnijcież na wasz ślub mili panowie,
A przez co tylko taki biédny człowiek,
Jak Hamlet będzie wam zdolny okazać
Swoją życzliwość, to was nie ominie.
Teraz rozejdźmy się.—Świat wyszedł z formy:
I mnież to trzeba wracać go do normy!

(*Wychodzą*).

okropnie, i ledwie go potrafiono przywieść do opamiętania. Za tém zresztą, że Szekspir był i aktorem niepospolitym, przemawia nie tylko świadectwo Aubrey'a, najdawniejszego jego biografa, który w 50 lat po jego śmierci zbierał szczegóły jego życia, ale i przechowany list lorda Southampton, jego mecenasa i przyjaciela, do lorda Ellesmere pisany, w którym nasz poeta jako aktor wspomniany jest na równi z Ryszardem Burbadge, zwanym angielskim Roscyuszem i o obudwu jest powiedziane, że byli znakomitymi w swojéj sztuce (both are right famous in their qualities).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

WYPRAWA GARIBALDEGO DO SYCYLII.

WSPOMNIENIA OSOBISTYCH WRAŻEŃ,

SPISANE PRZEZ

Maksyma Du Campa.

I.

SYCYLIA.

„Quelque chose que je puisse dire, votre majesté ne peut se faire une idée de l'état d'oppression, de barbarie, d'avilissement dans lequel ce royaume était".

(*Joseph Bonaparte à Napoléon*).

I.

Przybywszy do Genui w piérwszych dniach sierpnia 1860 roku, na wstępie zdziwiony zostałem jawnością, z jaką wyprawa Garibaldego, do któréj pragnąłem należéć, przygotowywaną była. Wymknąwszy się z pod wpływu rządu turyńskiego, Genua stała się pewnym rodzajem arsenału, dostarczającego dyktatorowi dla Sycylii ludzi i materyału wojennego. Jednakże sprawiedliwość wyznać nakazuje, iż minister piemoncki pragnący sprzeciwić się wypłynięciu ochotniczéj falangi i wylądowaniu jéj w Marsalii, skoro zapytał się gubernatora wojennego Genui, czy może on rachować na wojsko, którém komenderuje, ten z całą szczerością odpowiedział mu, iż na piérwszy znak Garibaldego wszyscy żołnierze armii sardyńskiéj porzucą swe

szeregi i za nim się udadzą. W takim stanie rzeczy, co można było najlepszego uczynić, to zamknąć oczy na wszystko, a ograniczyć się tylko na zamieszczeniu w dyplomatycznéj korrespondencyi kilku ubolewających uwag, których w gruncie nie podzielało się wcale. Tak téż uczyniono, a wypadki nad wszelkie spodziewanie okazały, że jedność i wolność włoska tak często napróżno wygłaszane, tym razem były blizkiemi spełnienia, i byłoby szaleństwem stawiać im zapory.

Ochotnicy, których każdy mógł poznać po czerwonych koszulach, przy odgłosie bębnów przebiegali wązkie ulice Genui. Oficerowie gromadnie zbierali się zawsze w kawiarni *Concordia;* żołnierze tak młodzi po większéj części, iż można ich było brać za dzieci, przepędzali czas na bawieniu się w różne gry pod drzewami *Aqua-Sola;* dom zaś doktora Bertaniego, téj wcielonéj duszy całego owego ruchu, przepełniony bywał wszelkiego rodzaju interessantami. W porcie znów, statki parowe buchały dymem z kominów, zabierając na pokłady ochotników, podczas gdy ci wydawali nieustannie okrzyk, co stał się następnie hasłem, za pomocą którego zdobyto całe potężne królestwo, okrzyk: *Niech żyje Italia, cała, jedna!*

Ta niespokojność, ten ruch, te wojskowe marsze, te patryotyczne śpiewy co chwila mieszające się z gwarem dziennym lub milczeniem nocy, nadawały miastu dziwny i niezwyczajny urok; zdawało się, że jakaś gorączka go opanowała. Tak, była to *gorączka czerwona*, jak słusznie powiedział jeden z ministrów Wiktora Emanuela, ten sam co wyrzekł: „iż Włochów napadła choroba potężna, nieznana dotychczas, a którą doktorzy przezwali *garibaldità*". Choroba lub nie, ruch ten był jednakże w jedności swojéj wspaniały; każda prowincya dobijała się o zaszczyt wysłania żołnierzy swoich i przyłączenia ich do téj patryotycznéj wyprawy. Zastarzałe niechęci, uprzedzenia i nienawiści prowincyonalne, municypalne miłości własne, co były niegdyś powodem tylu klęsk dla narodu włoskiego, wszystko to pod wpływem jednéj szlachetnéj myśli, zapomnianém zostało. Istotnie, te dawne małe państwa, walczące zawzięcie pomiędzy sobą, dzisiaj wysilały się w połączeniu wszystkich sił swoich, na zdobycie i utwo-

rzenie pomimo tysiąca przeszkód, jednéj wspólnéj ojczyzny. Wysilenia te miały przynieść zbawienne owoce; każde słowo staje się ciałem i Włochy muszą być jednym potężnym narodem, ponieważ nim być chcą!

Armia zgromadzona naówczas pod bezpośrednimi rozkazami Garibaldego, uważaną była za dostateczną do opanowania Królestwa Neapolitańskiego i do zniesienia rządu Franciszka II. 6,000 ludzi pod przewodnictwem pułkownika Piangianiego miało się zebrać na wyspie Sardynii, zkąd przy zdarzonéj sposobności miano ich wysłać do państwa papiezkiego dla atakowania wojsk tamże stojących. Zamiar ten układany przez ludzi należących do najczynniejszego stronnictwa ruchu w największéj tajemnicy, jak mam słuszne powody mniemać, nie był nawet wiadomym Garibaldemu. Lecz skoro w ostatniéj chwili dowiedział się o nim, pojął odrazu jak wielkie niebezpieczeństwa pociągnąłby za sobą, więc sprzeciwił mu się stanowczo. W tym nawet celu udawszy się zaraz osobiście do Sardynii, całéj téj wyprawie polecił udać się do Sycylii pod rozkazami najgłówniejszych swoich oficerów, a pułkownik Piangiani, który słowem honoru zobowiązał się do najścia przedewszystkiém posiadłości papiezkich, widząc się w tak wyraźnéj opozycyi z naczelnym wodzem armii południowéj, uważał za stosowne podać się do uwolnienia ze służby. Jakkolwiek głęboka tajemnica otaczała zawiązywanie się téj wyprawy, minister piemoncki dowiedział się o niéj i postanowił siłą nawet jéj się sprzeciwić; więc téż w chwili, gdy pułkownik Piangiani siadał w Genui na statek w celu udania się do Sardynii, gdzie korpus jego obozował w błotnistéj i źle wybranéj pozycyi pod Terra-Nuowa, trzy bataliony *berzaglierów* przybywszy w największym pośpiechu z Turynu, siadało także na pokład rządowéj fregaty, która miała ich odwieźć do Toskanii na granicę państwa papiezkiego, ażeby tam przeszkodzić wylądowaniu ochotników. Coby się było stało, gdyby Garibaldi energicznie temu nie zapobiegł? Starcie z rządem piemonckim, który dążył również do tego samego celu, lecz innemi środkami, albo téż dezercya wojska królewskiego na stronę armii powstańczéj. W obu tych przypadkach, opłakanych na-

stępstw można się było obawiać, a dzieło blizkie spełnienia mogło być na długo w biegu swym wstrzymane.

Byłem świadkiem odjazdu Piangianiego; późniéj korpus ten wysłany zrazu do Melazzo i do Fary, wylądował w Kalabryi około Sapryi, w miejscu gdzie sławny Pisacano znalazł grób dla siebie, a połączywszy się pod murami Kapui z armią południową, brał czynny udział w bitwach, jakie ochotnicy z żołdactwem Franciszka II stoczyli na brzegach Wulturny. Dnia 15 sierpnia ostatnie szeregi należące do téj wyprawy, co w trzy dni późniéj miała być rozwiązaną, około południa siadały na statki; Genueńczycy tłumnie w porcie zebrani, żegnali ich głośnemi okrzykami życząc serdecznie wszelkiego powodzenia, wieczorem zaś i na nas przyszła kolej.

O dziesiątéj wieczorem generał Turr, hrabia Sandor Teleki, pułkownik Frapolli i ja, w cywilném ubraniu wsiedliśmy na oczekujące na nas czółno. Noc była piękna, gwiazdy świetnie iskrzyły się na firmamencie; w krótkim przeciągu czasu stanęliśmy na pokładzie parowca noszącego nazwę *Provence*. Każdy z nas udał się najprzód do przeznaczonéj kajuty, następnie wyszliśmy na wierzch, ażeby siadłszy na osobności, w milczeniu przypatrzyć się niebu, na którém morska latarnia genueńska, niby olbrzymi meteor wspaniale przyświecała. Każdy odjazd ma w sobie zawsze coś uroczystego, obecny zważywszy na towarzyszące mu okoliczności, jeszcze uroczystszym się wydawał. W téj chwili zwrócić się już było niepodobieństwem; każdy z nas bez wątpienia rzucał ponure wejrzenie po za siebie, rozpatrując się w fantastycznych widziadłach świata nadzmysłowego. Jakiś szczególny niepokój ogarniał mię, gdy się zastanowiłem nad aktem spełniać się poczynającym; rzekłbyś, iż wszystkie najtajemniejsze i najdroższe uczucia, które cię przywiązują do życia, naraz zadrgały w tobie, ażeby cię wyrwać i w tył cofnąć; dawno w duszy twéj zamilkłe głosy na nowo do życia wzbudzone, z głębi twego serca podnoszą się zwolna i wołają: Zostań! a dusza twoja wzruszona, pomimo codziennego rozczarowania w aspiracyach ku niedoznanemu nigdy szczęściu, chwieje się, pragnie i wierzy, iż takowego zakosztować jeszcze może. Około pół-

nocy podniesiono kotwicę w pośród monotonnych pieśni majtków, szruba z łoskotem zakręciła się w tyle statku, kapitan krzyknął: — W drogę! — Wypłynęliśmy z portu, by gonić za nieznanym a pełnym uroku bóstwem, noszącem w swéj dłoni porażkę lub zwycięztwo.

Morze było nam przychylne a niebo przyjazne. Przez dwa gorące i jasne dnie, przesuwaliśmy się po lekkich falach pięknego chociaż często niebezpiecznego Śródziemnego morza. Przepływając obok Korsyki, Sardynii i Elby, ciągle prawie ziemię mieliśmy na oku; niebieskawa jéj barwa, jak krople fal rozpryskujących się w szmaragdowe perły o boki naszego parowca, przy zachodzie słońca okrywała się w purpurę, zamieniając się stopniowo w zupełną ciemność; natenczas oprócz gwiazd odbijających się na ruchomej powierzchni morza, wzrok nie mógł nic rozeznać. Trzeciego dnia naszéj podróży, około godziny piątéj z rana, przemknęliśmy się obok wyspy Ustiki (Ustica), otoczonéj chmarą bark rybackich o kolorowych żaglach, niby stadem różowego ptastwa latającego po nad wodą; chwilę późniéj, przecinając jéj ogromną sylwetkę, piérwszy brzask wschodzącego słońca, odkrył nam Sycylią. „Wyspa ta oprócz wulkanów, nie przedstawia nic godnego uwagi", pisał autor *Listów perskich*. Wyrok ten jest zbyt surowym i zdaje mi się, że starożytna Trinakrya śmiało od niego apelować może.

Zwolna, wsparte na Monte-Pellegrino, które wyciąga ku morzu swe zielone ramiona, Palermo się ukazuje ze swemi wieżami, kościołami, fortecą i drzewami ozdabiającemi miejsca ulubionéj mieszkańców przechadzki. Miasto jest obecnie w stanie wielkiego nieładu; zadane mu świeżo ciężkie rany w milczeniu opatruje, ale czuć, że po raz piérwszy od bardzo dawnego czasu, oddycha ono swobodnie. Czujesz w tym wielkim grodzie jakąś rozkoszną atmosferę, która ci mimowolnie przywodzi na myśl marzenia miodowych miesięcy. Najważniejszém zapewne zajęciem Palermitańczyków, powinna być nie mniéj, nie więcéj jak tylko zabawa, a po niéj spoczynek. Musi to być kraina serenady, snieżnych sorbetów i jedwabnych drabinek; kto wié, może właśnie tego wszystkiego tam nie ma: może to jest miasto ponure, jak ospą mnichami

oszpecone; może kupiectwem jedynie zajęte... Zaledwie je widziałem w przechodzie; wypowiadam więc tylko moje osobiste wrażenie, nie mając sposobności sprawdzenia go na miejscu.

Są rzeczy godne widzenia w Palermie, pomiędzy innemi katedra, do której wszedłem na chwilę; lecz myśl moja nie była w stanie zająć się ani sztuką, ani historyą; opuściłem tedy zaraz ogromny ów kościół, a uwaga moja zajętą została widokiem mustrujących się z pocieszającą dokładnością na placu przed świątynią rekrutów. Młody jeden ksiądz, w szerokim kapeluszu galonowanym złotą taśmą na głowie, mając wyhaftowane krzyże sabaudzkie na kołnierzu, stał oparty z pewnym wdziękiem na pałaszu wiszącym u pasa, i jak ja, przypatrywał się z zajęciem manewrom wojskowym. Dowiedziałem się później nie bez pewnego zdziwienia, że miałem przed oczami dowódzcę batalionu złożonego z samych księży, który właśnie naówczas organizowano. Duchowieństwo sycylijskie należało do opozycyi, czyli pragnęło zniesienia władzy burbońskiéj; miałożby to znaczyć, iż jest liberalném? Wątpię: są pewne wyobrażenia religijne, nie dające się nigdy pogodzić z niektóremi ideami filozoficznemi. Cokolwiekbądź, przyznać potrzeba, iż z klasztoru Karmelitów Bosych przezwanego Gancia, wypadł pierwszy strzał karabinowy 4 kwietnia 1860 roku, dając hasło do powstania, które się jednakże nie powiodło. Klasztór ten został zrabowany, kościół także, również jako i domy do niego dotykające. Pomiędzy duchowieństwem świeckiém, nieprzychylném dynastyi burbońskiéj, a nawet i papieżowi z powodu dawnych przeciwko Rzymowi uraz, Garibaldi znalazł wiele poparcia. Nie wiem co się później stało z owym duchownym batalionem i czy został on na pewno uorganizowanym. W Kalabryi i Neapolu, widziałem wielu księży z pozapuszczanemi brodami i włosami na głowie, maszerujących obok naszych żołnierzy konno lub piechotą z krzyżem i pistoletami za pas pozatykanemi, a pokazujących z niejaką chlubą czerwoną koszulę z pod duchownéj sutanny; lecz ci byli to ochotnicy nie należący do wojska regularnego, nie mieli też oni nic wspólnego z kapelanami przyłączonymi do każdéj

brygady, a podzielającymi wraz z żołnierzami wszystkie trudy kampanii. Kapłanów tych szanowano, wielbiono, bo żaden z nich nie wyłamywał się z ciężkiego obowiązku służenia gorliwie ojczyznie; gdy nie było co innego jeść nad prosty kawałek suchara, moczyli go z innymi w wodzie i spożywali, sypiali pod gołém niebem, szepcząc w ucho rannego słowa pociechy i nadziei, przyszłego, lepszego żywota. Otóż, jeżeli w ten sposób duchowni biorą udział w walce za niepodległość, trudno odmówić im szacunku; lecz kiedy ksiądz bawiąc się tylko w żołnierkę, stroi się jak na maskaradę, wtedy zdaje mi się być podobnym do tamburmażora mszę odprawiającego.

Przestrach, jaki panował podczas bombardowania miasta w miesiącu czerwcu 1860 r., widocznym był jeszcze na wielu palermitańskich domach. Każdy z nich przed żołdactwem Franciszka II, starano się osłonić jakim znakiem obcéj narodowości. Na wielu drzwiach czytano naprędce skreślone napisy: *własność angielska, własność francuzka, własność belgijska, własność duńska.* Jednakże doświadczenie nabyte podczas rzezi i rabunku dnia 15 maja 1848 r. w Neapolu, powinno było Palermitańczyków nauczyć, że podobne napisy nie wstrzymują nigdy żołnierzy czytać wcale nie umiejących, a ostatnie wypadki w chwili właśnie, gdy Garibaldi staczał śmiertelną walkę z nimi, dowiodły, że Neapolitańczycy tak samo włoskie, jako szwajcarskie i francuzkie domy doskonale rabować umieli.

Z nadejściem nocy, dziwny ruch ogarnął miasto: odrazu tak wielkie mnóstwo zapalono latarń, lamp, lampionów, świec i kagańców, jak podczas najświetniejszéj illuminacyi. Ulice napełniły się pojazdami i pieszo idącymi przechodniami; przekupnie wrzeszczeli na całe gardło, zachwalając jeden wodę, drugi sorbety, inni pomarańcze, pastylki, berberyjskie figi i t. p. W kawiarniach natłoczonych ludźmi, słychać było odgłosy różnych pieśni; ulicznicy zaś, rzucali przechodniom pod nogi pukawki i rozmaitego rodzaju petardy, uszczęśliwieni, że chociaż w ten sposób przyczyniają się do powiększenia gwaru i zamieszania. „Czy to dziś jakie święto?" zapytałem. „Nie panie, u nas tak co wieczór", odpowiedziano mi. Prze-

chadzając się po ulicach, zauważałem, iż w każdym sklepie obok wizerunku Najświętszéj Panny, oświetlonéj wiecznie palącą się lampką, wisiały także dwa portrety: Garibaldego i Wiktora Emanuela. Późniéj w Messynie, we wszystkich miastach Kalabryi, Bazylikatu, a nawet i w Neapolu, te same godła pobożności i polityki oświetlone lampkami lub świeczkami, na każdym kroku spotykać było można. Jeżeli kto spełni jaki wielki uczynek, natychmiast wizerunek jego lud ten umieszcza obok Matki Boskiéj, albo którego z domowych patronów, oddając mu cześć na równi ze świętymi. Naród tamtejszy nie jest pogańskim, katolickim takżebym go nie nazwał: po prostu jest on obrazo-chwalcą.

Towarzysze moi, przez cały dzień dowiadywali się w różnych ministeryach o Garibaldego, ale nigdzie niewiedziano gdzieby się z pewnością mógł znajdować. Mówiono tylko, iż na statku parowym angielskim udał się do Messyny, lecz w którém miejscu miał wylądować, to było dla wszystkich tajemnicą. Późno już położyłem się, obiecując sobie nazajutrz zwiedzić lepiéj miasto i jego okolice, ale o godzinie piątéj z rana, zostałem obudzony ze snu przez jednego oficera, który mię uwiadomił, iż Garibaldi przybywszy około północy do Palermo, odpływa natychmiast do Messyny i że na jego statku są dla nas miejsca przeznaczone. Istotnie, podczas gdy Garibaldego każdy wysyłał w rozmaite miejsca podług przywidzeń własnéj wyobraźni, on tymczasem udał się na wyspę Sardynią dla rozwiązania zamierzanéj wyprawy pułkownika Piangianiego, a następnie wracając do Sycylii, tak blizko znalazł się około wysepki Kaprery, że z towarzyszącymi mu przyjaciołmi wstąpił do ubogiéj swojéj siedziby. Z dziecinną niemal radością przyjmował ich na téj skale, na któréj własnemi rękami domek sobie postawił; pokazywał im sad założony i szczepiony przez siebie; potém przyrządy służące do rybołowstwa i maleńki port, jaki wyżłobił dla zabezpieczenia swego czółenka; daléj zaszedł z nimi na wąziuchną łączkę, gdzie nieliczne jego bydełko się pasło. Tam to właśnie zdarzyła się scena, malująca doskonale owego nadzwyczajnego człowieka.

Pomiędzy krówkami była jedna, którą bardzo lubił i którą przyzwyczaił jeść z własnéj ręki. Opowiadał on o tém przyjaciołom swoim, chwaląc wielce łagodność *Brunetty*, tak się bowiem nazywała. Skoro stanął przed nią na kilka kroków, zawołał ją do siebie: zwierzę podniosło głowę, popatrzyło na niego swemi dwoma łagodnemi oczyma, lecz jakaś obawa je opanowała i kroku z miejsca nie ruszyło. Garibaldi zbliża się do *Brunetty*: ona się w tył cofa; on robi krok naprzód: ona krok w tył; poczyna ją przyzywać najprzyjazniejszemi słowy: „*Brunetta mia, mia cara Brunettina*:" nic nie pomaga, owszem, krówka przejęta jakąś niespokojnością, zaczyna trząść głową z widocznym gniewem. Garibaldi desperuje, nie wie już co robić; przyjaciele jego pokryjomu złośliwie się uśmiechają; w jednéj chwili uderza ręką w czoło: odgadł powód. „To nasze czerwone koszule straszą ją," powiada zrzucając swoją; wszyscy poszli za jego przykładem, i Brunetta zupełnie uspokojona, przybiegła podając panu swą wilgotną mordkę do głaskania.

W godzinę po uwiadomieniu nas, byliśmy już na pokładzie małego parowca angielskiego, nazwanego *Amazonką;* dzielny i barczysty jego kapitan, nie posiadał się z radości, iż będzie miał zaszczyt wieźć Garibaldego, *the lion of the day*. Pewna część osób należących do głównego sztabu generała, była już umieszczoną w tyle statku i pomiędzy nimi mogłem poznać tych, których wiara i poświęcenie bez granic, jest jednym jeszcze tytułem chwały dyktatora. Piérwszy z nich Wekki (Vecchi), dziedzic ogromnych dóbr w Sardynii, kocha Garibaldego miłością tak wielką, jakiéj jeszcze nie było przykładu; w bitwach na krok go nie odstępuje a w życiu prywatném otacza go takiemi dowodami czułości, jakimi tylko kochanek kochankę otaczać może. Pomimo siwych już włosów, szczera młodzieńcza wesołość na chwilę go nie odstępuje, świadcząc o uczciwości, prostocie serca i duszy. Dziusmaroli (Giusmaroli), starzec nizkiego wzrostu, z zapuszczoną brodą, zwinny w ruchach, był niegdyś księdzem proboszczem, a teraz służąc człowiekowi, służy zarazem jego sprawie. Nie spuszcza on nigdy oka z Garibaldego, sypia podedrzwiami jego mieszkania, a w razie niebezpieczeństwa, własnemi

piersiami go zasłania. Podczas zdobycia Palerma, potrzeba było przejść przez ulicę Toledo, ażeby się dostać do pałacu królewskiego; w ulicy téj dwa bataliony neapolitańskie, piekielnym ogniem raziły każdego, kto na niéj ośmielił się pokazać. Dziusmaroli biegnie sam jeden na środek ulicy, zatrzymuje się; żołnierze Franciszka IIgo, obaczywszy go dają ognia, on zaś cudownie ocalony, daje znak Garibaldemu, który nie mogąc zrozumieć co on czyni, przechodzi szczęśliwie ulicę. Daléj Frocianti, niegdyś zakonnik; ten także nie odstępuje Garibaldego: w życiu prywatném wykonywa jego rozkazy, w boju zaś, walczy przy jego boku. Na Kaprerze, uczy generała szczepić drzewa, i często sprzecza się, kłóci się z nim nawet dysputując o rozmaitych sposobach hodowania sadów. Rzecz dziwna, Garibaldi niecierpi księży w ogólności, gorzéj jeszcze może jak encyklopedyści XVIII wieku, a z dwóch ludzi, których sobie wybrał za najpoufalszych przyjaciół, jeden jest dawnym proboszczem, a drugi mnichem! W armii jego, generałem posiadającym największe jego zaufanie, jest Sirtori, były mnich także. Był tam jeszcze Basso, sekretarz Garibaldego, który pośród olbrzymich trudów kampanii, gotów jest zawsze pisać lub czytać korrespondencye ze wszystkich stron świata adresowane do generała.

Jakieś czółno odbija od brzegu, inne je odprowadzają: to Garibaldi udaje się na pokład naszego parowca; wysiadł szybko, ścisnął nas za rękę, dla każdego mając w pogotowiu uprzejme słowo; otarł się o kilkunastu oczekujących na niego z prośbami, dał znak kapitanowi i wszedł do kajuty. Podniesiono kotwicę, maszyna zagwizdała, ruszyliśmy w drogę wymijając i oddalając się od bark napełnionych ciekawymi, którzy powiewając chustkami i kapeluszami krzyczeli: „Niech żyje Garibaldi!"

Obrawszy kierunek wschodni, całą siłą pary opływaliśmy brzegi Sycylii. Ziemia jéj zdawała się być bardzo urodzajną; gdzieniegdzie małe białe domki tonęły w zielonéj roślinności, poprzyczepiane do boków gór, których fioletowe stoki rysowały się cudownie na niebie prześlicznego niebieskiego koloru. Morze było bardzo spokojne, ryby tylko wyskakiwały niekiedy około boków naszego statku, ruchem szruby zaledwie z lekka się wahającego.

Siadłem sobie pod parapetem z lewego boku parowca i przypatrywałem się, jak dwóch siwych wołów przeżuwało kilka garści siana porzuconego na pomoście. Wtém zbliża się do nich kucharz, był to otyły, muszkularny i rudy z czerwoną twarzą, z podwiniętemi od koszuli rękawami Anglik, niby drugi Pantabolin z Don Kiszota. Przypatrując się przez pewien czas uważnie jednemu z wołów, uderzył go ogromną maczugą w czoło; bydlę się zachwiało i w jednéj chwili padło na pokład jakby rażone piorunem. Gdy długim niezmiernie nożem przerznął mu gardziel, obfity strumień ciepłéj krwi natychmiast wytrysnął. W oczach biednego zwierzęcia, wielkie można było dostrzedz zdziwienie; podniósłszy się na dwóch przednich nogach, z trudnością mogło wznieść głowę pokazując na swéj szyi szeroką krwią ciekącą ranę; następnie rozwarłszy nozdrza i mordę już blednącą, wydało płaczliwe westchnienie, które mi serce ścisnęło; wstrząsnąwszy się jeszcze dwa albo trzy razy konwulsyjnie, na zawsze oczy zamknęło. Wtedy kucharz ćwiertowanie rozpoczął. Drugi zaś wół, zwietrzywszy nosem zapach krwi strugą płynący, najspokojniéj strawę swoją daléj spożywał. Zwierzęta podobno czują lepiéj od nas, iż na śmierć są przeznaczonemi; więc téż patrzą na nią zawsze obojętnie. Gdy z powodu téj sceny w moich oczach odbytéj, wpadłem w pewien rodzaj głębokiego zamyślenia, na tylnéj wyniosłości statku śpiew usłyszałem. Udawszy się tamże, widzę jak wpośród stojących w milczeniu majtków i oficerów swoich, Garibaldi śpiewa. Nie był to już wówczas ani dyktator, ani naczelny wódz powstańczéj armii, ale poczciwy towarzysz korzystający z chwili, ażeby się z przyjaciołmi rozweselić. Młody jakiś człowiek odziany w czerwoną koszulę, niby odpowiadając, powtarzał za nim strofy miłym tenorowym głosem. Garibaldi nucąc wskazywał mu piosnki, które chciał słyszeć, a w potrzebie gdy tamten nie mógł sobie ich przypomnieć, sam wyśpiewywał. Była to scena niezmiernie rzewna i nadzwyczajnéj prostoty. Probowano potém niektórych wyjątków z oper, ale te jakoś nieszły dobrze, więc zwrócono się do pieśni ludowych. Wtedyto Garibaldi zaintonował ów piękny romans neapolitański:

„Jo t'amo, tu lo sai,
Ma tu non pensi a me!"

Miałem więc sposobność przypatrzenia mu się swobodnie i podziwiania w nim tych bogatych zewnętrznych przymiotów, jakiemi natura szczodrze go obdarzyła. Wzrost jego średni, ramiona szerokie, nogi silnie zbudowane. Ręka ciężka i gruba, jak człowieka przyzwyczajonego do grubéj pracy; szyja muskularna, kark zmarszczony i zakryty długiemi blond włosami, w których siwizna gdzieniegdzie przebija. Czoło bardzo wyniosłe, nadaje całemu wyrazowi twarzy, pewien rodzaj nakazującéj powagi, pełnéj niewysłowionego a miłego uroku. Gęsto spadające brwi, zasłaniają poczęści oczy, koloru niebieskiego, dziwnie słodkiego wejrzenia. Nos szeroki, prosty, rozwarty ruchomemi nozdrzami, skłania się nad gęstemi wąsami pokrywającemi usta grube, znamionujące może człowieka cokolwiek zmysłowego; płowa zaś broda łącząca się z wąsami, pokrywa dolną część twarzy. Typ ogólny fizyonomii generała, przypomina lwią głowę: spokojność i siła pewna siebie, któréj w ostateczności tylko używa, jest jéj dominującą cechą. W chwilach swobodnego wypoczynku, posiada on niewysłowioną słodycz i uprzejmość w obejściu się z drugimi; lecz w gniewie bywa tak strasznym, że w najdzielniejszych i najodważniejszych sercach, wzbudza głębokie przerażenie. Przypominam sobie jednę taką gwałtowną scenę, która silne i niezatarte na umysłach przytomnych jéj uczyniła wrażenie. Było to w Kazerta w głównéj generalskiej kwaterze, pod koniec miesiąca października. Książę d'E... nadintendent dóbr królewskich, kazał się anonsować Garibaldemu, a ten podług swego zwyczaju przyjął go w salonie napełnionym sztabowymi oficerami. Książę d'E.. ubrany w czarnym fraku i białym krawacie, po kilku głębokich ukłonach, począł opowiadać generałowi, iż od jednego z oficerów Wiktora Emanuela pośpiesznie natenczas maszerującego, odebrał list bardzo ważny, który radby mu zakomunikować. Garibaldi dał znak przyzwalający; pan nadintendent wydobywa tedy ów list z kieszeni i głośno czyta. Ale źle się wybrał nieboraczysko. W liście tym było: iż dowiedziawszy się z niezmiernem oburzeniem, że zwierzyna w parkach królewskich nie

jest dosyć przez żołnierzy należących do armii południowéj szanowaną, uwiadamia niniejszém księcia d'E..., ażeby udał się osobiście do dyktatora i wezwał go, aby wydał niezwłocznie rozporządzenia w celu ukrócenia tak skandalicznego żołnierzy swych postępowania. Garibaldi nie dawszy do końca przeczytać pisma, przyskakuje do nadintendenta, a obłożywszy go słowami, których mi tu niepodobna przytoczyć, krzyknie: „Kto się tu ośmiela gadać mi w téj chwili o bażantach i kuropatwach? Co! moi biedni żołnierze, nie mający się czém okryć, dziesiątkowani neapolitańskimi kartaczami, znoszą trudy tak ciężkie, że od nich nie jedna regularna armia wymrzećby mogła (w miejscu tém wyrażenie jego było mniéj łagodne), a mnie tu przychodzą gadać, ażebym myślał o konserwowaniu zwierzyny! Powiedz błaznom, którzy cię do mnie przysłali, iż jeżeli się jeszcze ośmielą zatrudniać mię podobnemi głupstwami, rozpuszczę po parkach królewskich moich Kalabryjczyków i każę im w pień wyciąć wszystkie żyjące zwierzęta. Co do mnie, wyjeżdżając ztąd, nie tknę się żadnego waszego bażanta!" A kiedy książę d'E... w drżących ręku obracając kapeluszem stał jak skamieniały niewiedząc co począć: „Precz ztąd!" krzyknie Garibaldi: biedne intendencisko z nosem spuszczonym na kwintę, jak niepyszny drapnął czemprędzéj. Tego rodzaju uniesienia rzadko się przytrafiają generałowi. W zwyczajném życiu, przeciwnie, jest on pełen łagodności i naiwnéj nawet dobroci.

Powierzchowność jego nie ma nic ponętnego, w znaczeniu, jakie temu słowu kobiety nadają, ale za zbliżeniem się jego, czujesz w nim jakąś siłę i skłaniasz przed nią mimowolnie głowę. Kiedy przemawia, wierzysz mu zupełnie, bo ten piękny głos metalicznego dźwięku, jakiego nikt nie posiada, wywiera na tobie wpływ z niczem niedający się porównać. Czy słyszysz go mówiącego w poufném przyjaciół gronie, czy do zgromadzonych tłumów słowa swoje stosuje, umie on wzruszyć, porwać, przekonać. W dodatku jeszcze, posiada dar powiedzenia właśnie tego tylko, co powiedzieć potrzeba. Na dowód przytoczę przykład, który mię mocno uderzył. Lud neapolitański w mimice jest nieporównanym; zaraz po wejściu Garibaldego do Neapolu, mieszkańcom tego miasta przyszła ochota witając

się, podnosić do góry u prawéj ręki wskazujący palec, co miało znaczyć *jeden*, rodzaj mimicznego anagramu politycznéj obecnie dążności, dający się wytłumaczyć w te słowa: *niech żyje Italia jedna!* Pewnéj niedzieli, Garibaldi poszedł odwiedzić rannych w szpitalach, następnie udał się na obiad do hotelu Wielkiéj Brytanii; cała neapolitańska ludność z muzyką i chorągwiami na czele, otoczyła hotel i domagała się widzieć uwielbianego generała. Garibaldi ukazawszy się na balkonie, skłonił się wszystkim; a kiedy zaczęto wołać ażeby przemówił, po pewnym namyśle rzekł: „Cóż wam mogę powiedzieć, o moi kochani Neapolitańczycy? wam, co jednym tylko gestem przypominacie Włochom jakie są ich prawa i powinności!" Potém wzniósłszy palec do góry krzyknął: „*Una!..*" Łatwo sobie wyobrazić zapał wywołany temi słowy. Pewne szczególne wyrażenia, mogące być w danéj chwili najszczęśliwiéj użyte, nigdy nie zawodzą Garibaldego, zawsze je ma jakby na zawołanie; rozkazy zaś, które wydaje, odznaczają się nadzwyczajną jasnością i dokładnością. Nie ma wątpliwości, że wczasie wojny, rozkaz dobrze zrozumiany, znaczy to samo co w połowie wykonany.

Miałem nieraz sposobność w życiu mojém znajdować się w towarzystwie ludzi okrzyczanych za znakomitych, a którzy zbliska strasznie jakoś wydali mi się małymi; jeden tylko Garibaldi nie sprawiał na mnie żadnego ujemnego wrażenia. Urodził on się wielkim tak, jak inni rodzą się blondynami albo brunetami; natura raz go wydawszy, nic w nim nie zmieniła. Jeden z deputowanych turyńskiego parlamentu, jeżeli się nie mylę Scialoja, powiedział o nim te pełne prawdy słowa: „Nie wierzcie, ażeby Garibaldi był człowiekiem genialnym, albo niezwykłéj intelligencyi; jest on po prostu człowiekiem wielkiego instynktu." Od czasu mego do Francyi powrotu, niezmierna liczba osób zapytywała mię: Co to jest Garibaldi? Jednę zawsze każdemu dawałem odpowiedź: „Jest to Joanna D'Ark!" Wistocie, trudno sobie wyobrazić skromność i prostotę Garibaldego. Wszystkie jego wielkie czyny są tylko owocem niezmiernéj miłości ojczyzny: dla niéj, niema trudności, na których przełamaneby się nie rzucił z całém przekonaniem o ich pokonaniu. Nauki nie wiele on

posiada, intelligencya jego jest pospolitą, umysł zaś dosyć łatwowierny, ale serce jego jest wielkie, a wiara w przyszłość Włoch niewzruszona.

Niezaprzeczając Garibaldemu ogromnego osobiście udziału, jaki miał w oswobodzeniu rodzinnego kraju, przyznać potrzeba, że Włosi dzielnie mu w tém dopomagali. Wielki ten naród, jednością pochodzenia, jednością mowy i religii tak silnie związany, niemający pomiędzy sobą innych nad dyplomatyczne tylko granice, znużony został do najwyższego stopnia arbitralnemi sporami mnóstwa średniowiecznych tyranów i nowożytnéj dyplomacyi, która nie radząc się nigdy Włochów, losami ich samowolnie rozporządzała. Sprzykrzyło im się nareszcie być ciągle uważanymi na równi z gromadą owiec, strzyżonymi i skubanymi bez pytania; porachowawszy się, spostrzegli, że są narodem dwudziestokilkomilionowym: więc zebrawszy członki swe tu i owdzie porozrzucane, chcą nareszcie być całością, chcą być jednością. W niecierpliwości ludzi, przez długi czas zostających pod wpływem ciężkiéj niemocy, a którym doktorowie nakazują używać ostrożnie dobroczynnego wpływu słońca i powietrza, oburzają się nieuniknioną powolnością dyplomacyi. Popchnięci niewidzialną ręką ku swojéj najdroższéj idei jedności, silni świętością i słusznością sprawy, przekonani nareszcie, iż zużyte sprężyny biurowych manipulacyj nie na wiele się już przydać mogą: wzięli się do czynu, pragnąc tylko od swych koronowanych zwierzchników neutralności. Rozumiejąc wysokie patryotyczne zasługi Kawura, zdało się niektórym, iż on jeszcze nie przestaje lawirować, gdy do czynu wziąć się już należało; ażeby mu w tém niesłychanie trudném dziele dopomódz, naród włoski zapragnął rzucić na dyplomatyczną wagę ciężar spełnionych wypadków, i wtedy to na jedno skinienie Garibaldego, powierzył swe losy w ręce tego wielkiego obywatela. Pomiędzy ludem włoskim a Garibaldim, istnieje zaufanie nieograniczone; Garibaldi wie, iż go prowadzi do zwycięstwa, i w wierze téj leży główna tajemnica wielu spełnionych już tryumfów. Jest tu jakiś rodzaj wspólnego i niewytłumaczonego porywu: jak niegdyś Piotr pustelnik na krzyżowcach, tak dziś Garibaldi ten sam wywiera urok na współziomkach swoich.

W oczach tego ciemnego, zabobonnego i tak skorego do wzruszeń ludu, Garibaldi jest więcéj jak człowiekiem: on jest prawie świętym, a przynajmniéj apostołem. Nie wymagają jeszcze wprawdzie od niego, ażeby oręże błogosławił lub dotknięciem chorych uzdrawiał, ale to może nastąpić. Oto przykład, jaki się zdarzył na pokładzie *Amazonki*, w mojéj i trzydziestu innych osób obecności. Pomiędzy passażerami, którzy wsiedli na statek w Palermo, był człowiek mogący mieć około lat czterdziestu kilku, z małemi oczkami, które z powodu nadzwyczaj krótkiego wzroku ciągle przymrużał; na czerwonéj jego koszuli znajdował się zielony kołnierz taki sam, jaki właśnie podczas oblężenia Rzymu w 1849 roku nosili wszyscy oficerowie armii narodowéj. Odtąd, człowiek ten nie widział wcale Garibaldego; lecz skoro znalazł się z nim na jednym statku, przystąpił do niego, nazwał się po imieniu, a wziąwszy za ręce generała, ze łzami w oczach i głosem drżącym od wzruszenia rzekł: „Mam was prosić o jednę łaskę, generale; nie odmawiaj jéj staremu twemu towarzyszowi broni; oto daj mi guzik od twego ubrania, a będzie on całego mego życia talizmanem". Garibaldi roześmiał się, wydobył nóż z kieszeni, odciął guzik i dał go swemu wielbicielowi. „O! któraż z kul będzie mię teraz śmiała dotknąć!" krzyknął wywijając dumnie amuletem. Może to śmieszne, może do łez wzruszające? Doprawdy: ja sam nie wiem.

Palermitanki widząc go nieraz jak z pośród gradu kul karabinowych cały i nietknięty wychodził, utrzymują, że „aniołowie osłaniają go swemi skrzydły". Już on dziś stał się legendowym człowiekiem i nie może być inaczéj. Pod Melazzo naprzykład, cały kartaczowy nabój obsypał go dokoła, wyrwawszy tylko spód strzemienia wraz z podeszwą od buta; w Reggio, kula przeszyła mu na wylot kapelusz; pod Wulturną przecięła pas od pałasza. Miszelet z wielką trafnością powiedział o nim: iż jest *szczęśliwym człowiekiem!* Wylądowanie jego w Sycylii należy do czarodziejskich z tysiąca nocy powieści; flota neapolitańska uwiadomiona o wypłynięciu Garibaldego z Genui, szukała go wszędzie; na trzy godziny tylko oddaliła się z portu Marsalskiego i właśnie przez ten czas zdołał on w porę wylądować i losy Włoch rozstrzygnąć. W chwili

szturmu do Palermu, wiedział o tém bardzo dobrze, iż w koszarach miasta znajdowało się sześciuset żołnierzy; rzeknie więc do generała Turra: „Weź z sobą dwudziestu ludzi i nienarażając się zbytecznie, zabierz do niewoli wojsko królewskie tamże stojące". Turr posłuszny rozkazom wodza, rzuca się na koszary a koszary są puste: od dwóch godzin batalion wyznaczony dla ich obrony, wymaszerował do Katany. Na co się przyda to ciągłe i niemające już znaczenia powtarzanie o jakichciś zdradach, mających niby ułatwiać zadanie Garibaldego i usprawiedliwiać jego powodzenia. W chwili gdy odpływał z Genui, nikt, nawet sam Garibaldi nie wiedział w którém miejscu wylądować w Sycylii mu wypadnie; wszystko powierzone było przypadkowi, temu istnemu bóstwu zuchwałych. Szczęście, powiadamy ; ogół zaś narodu włoskiego mówi naiwnie, iż to cud! Ludzie, których jednakże za głupich uważać nie można, opowiadali mi z największą powagą, iż czerwona koszula Garibaldego, to proste majtków okrycie, jest koszulą *zaczarowaną;* po każdéj bitwie zdejmuje ją z siebie, otrząsa, a mnóstwo kul których nie czuł wcale, wylatuje z niéj na ziemię. Jedna z wielkich dam w Bazylikacie mówiła mi za rzecz najpewniejszą, „iż Garibaldemu wszczepiono w ciało kawałek hostyi, dlatego też żadna kula drasnąć go nie może." Utrzymują, że widywano go w rozmaitych miejscach w jednéj i tejże saméj chwili; pod Wulturną naprzykład, linia bojowa rozciągała się przeszło na trzy mile, a wszędzie gdzie tylko zachodziła konieczna potrzeba, Garibaldi z niesłychaną szybkością umiał w właściwéj porze się znaleźć. Legenda zawładnęła już nie tylko życiem jego, ale sięga do antenatów poetyzując ich po swojemu. Palermitanie nieprzekręcając jak Kalabryjczycy imienia Garibaldego na *Karobardo*, dają mu pochodzenie święte, cudowne prawie. Wiadomo, że święta Rozalia, uwielbiana ich patronka, przez ojca swego należała do rodziny Sinibaldich; otóż powiadają oni, iż nazwa Garibaldi, przez czas i stopniowe zepsucie uległa przeistoczeniu, i że prawdziwe imię oswobodziciela Włoch nie jest inne, jak Sinibaldi.

Wszystkie te oznaki miłości i pochlebstwa, nie czynią na nim żadnego wrażenia; wielka sprawa, którą sobie obrał za cel swego życia, ona jedna duszę, serce i całą

myśl jego pochłania. Każdy, kto tylko na tym nędznym padole płaczu kocha cnotę, szczerość, odwagę i bezinteresowność, czyż może obojętnie patrzéć na tego człowieka? Każdy, co nie zwątpił jeszcze w przyszłość ludzkości, współczucia swego odmówić mu nie może. Wszystkie prawie narody spieszą dlań z pomocą, i gdyby Garibaldi chciał, mógłby armię swoją podzielić na narodowe oddziały i uformować z nich legiony, jak to uczynił ze sławnym węgierskim legionem. Jednakże, jeżeli wszystkie narody podziwiają jego cnoty i wielkość, nie dla wszystkich żywi on w równym stopniu przyjazne uczucia; zdaje mi się nawet, iż dla Francuzów ma ich bardzo mało: owszem, pewien rodzaj niechęci dla Francyi widocznie w nim się przebija. Wspomnienie oblężenia Rzymu, tudzież niespodziany pokój Willafranka, ściska mu boleśnie serce. Jako Włoch, jako naczelny wódz armii bijącéj się za niepodległość, posiada on więcéj aspiracyi do wolności, jak do równości obywatelskiéj; więc téż Anglia ma dla niego więcéj nierównie uroku, co przebija się wyraźnie we wszystkich jego z tym krajem stosunkach. Nie odmawia on narodowi francuzkiemu najlepszych chęci, ale zdaje mu się, że wstrzymano w nim naturalny rozwój dziejowy. W tym względzie, przekonanie Garibaldego opiera się na fałszywej zasadzie. Jeżeli jest jaki naród w niedocieczonéj woli Boskiéj, przeznaczony do obdarzenia świata wolnością, to niezawodnie Francuzi, naród ruchliwy, gotowy zawsze do poświęceń, posiadający w charakterze swoim coś kobiecego, bo w łonie jego znajdują się wszystkie słabostki, obok entuzyazmu i niewieściéj gotowości do ofiary. W obecnéj chwili nawet, pomimo rozmaitych okoliczności, przytula on do łona swego wszystkie spragnione narody, i w drżące ich usta wlewa obficie pokarm odwagi, rezygnacyi i nadziei. Anglicy z zazdrością pielęgnują wolność u siebie, niszcząc ją u innych narodów: Francuzi w swéj szlachetnéj niekonsekwentności, gotowi są czynić przeciwnie.

Szczerze mówiąc, największa niechęć Garibaldego względem Francyi, ma swe źródło w świeżém przyłączeniu Nicei i Sabaudyi; przyłączenia tego nigdy on jéj nie przebaczy. Lecz i tutaj rozważając kwestyą ze stanowiska

czysto włoskiego, zdaje mi się, że Garibaldi nie ma także racyi. Byłoby wprawdzie nierównie lepiéj dla Francyi, gdyby się była nie upominała wcale o tak nazwane naturalne granice, bo ani Alpy, ani Ren, nie były nigdy istotną przeszkodą do tamowania jéj ruchów na zewnątrz, gdy tego uczuła potrzebę. Francya jest zawsze tém, czém jest, i jakiekolwiek są jéj granice, ciężar jéj nacisku przechyli nieuchronnie balans europejski na stronę, na którą przechylić jéj się podoba. Dla wielu innych powodów, których tutaj zbytecznie byłoby przywodzić, Francya ubiegając się o posiadanie tego kawałka ziemi, zbłądziła, gdyż zaokrąglając terytoryum swoje, zmniejszyła znacznie, co jest rzeczą ważną, moralny skutek swego pięknego czynu. Ale czy Piemont niezależnie od szczególnych okoliczności, jakie nań przeważnie wpływały do ustąpienia, nie uczynił bardzo dobrze rzucając na pastwę swéj potężnéj sąsiadce, wzgórzystéj Sabaudyi i małego hrabstwa Nicei? W chwili gdy przyjęto za zasadę, iż wszystko co jest francuzkiém powinno należeć do Francyi, oczywiście tém samém już przyznano, że wszystko co jest włoskiém musi do Włoch należéć. Jedność włoska była więc logicznem następstwem przyłączenia tych dwóch prowincyj. Jeden z dzielnych włoskich synów, półkownik Frapolli, doskonale to zrozumiał, gdy dnia 29 maja 1860 roku, w parlamencie turyńskim, z powodu rozpraw w tym względzie toczonych, obróciwszy się na mównicy do loży przez reprezentantów Francyi zajmowanéj zawołał: *A te, Francese la Francia intera*; *a noi, l'Italia una!* (Dla was Francuzi Francya cała, dla nas Italia jedna!) Jakiekolwiek odtąd będzie terytoryalne powiększenie domu sabaudzkiego, Francya nie ma nic do powiedzenia: ostatnie wypadki najlepiéj tego dowiodły. Włosi inaczéj już dzisiaj na całą tę sprawę się zapatrują, bo najmocniéj uprzedzonych przekonano o dobroczynnych w następstwa skutkach; jeden tylko Garibaldi nie chce się dać przekonać. A jednak nie ma wątpliwości, iż jeżeli mógł wyjść z Messyny i pod okiem fregaty francuzkiéj swobodnie wylądować w Kalabryi, zdobyć bez wystrzału stolicę Obojga Sycylii, wypędzić starą dynastyę, a kraj, którym rządziła, do reszty Włoch przyłączyć; to niezawodnie wiele zawdzię-

czać powinien owemu na rzecz Francyi ustąpieniu, którego samo wspomnienie jak rana wciąż otwarta, serce mu zakrwawia. Gdyby jednakże, jak chciał zrazu i od czego szczęśliwie umiano go powstrzymać, gdyby po wzięciu Neapolu, zostawiwszy część wojska dla obserwowania Kapui zresztą rzucił się na Rzym, byłby z pewnością zgubił siebie i całą ojczyznę swoję.

Nie tego rodzaju myśli snuły mi się po głowie, gdym się Garibaldemu przypatrywał; owszem, z całą naiwnością chwilowego uszczęśliwienia przysłuchiwałem się pieśniom, przez tego bohatéra spokojnie i z pewną duszy swobodą wyśpiewywanym. Około godziny trzeciéj, ujrzano jakiś wojenny statek na przodzie naszego parowca; w saméj rzeczy, szeroko rozpięte żagle rozpływały się w mglistéj przestrzeni, ale nie doznawaliśmy żadnéj obawy, bo płynąc tuż przy brzegu, kilka uderzeń szruby mogło nas więcéj jeszcze do niego zbliżyć, a na maszcie powiewał pawilon angielski, który wszędzie i zawsze bardzo jest szanowany. Statek ów zniknął nam wkrótce z oczów i znowu samotnie opływaliśmy sycylijskie brzegi. Po krótko trwającym posiłku, gdzie Garibaldi wierny swemu zwyczajowi, niby drugi Samson, pił tylko czystą wodę, każdy z nas począł się krzątać około wybrania sobie miejsca na spoczynek. Jakieś ruchome światła zabłysły na powierzchni morza: były to latarnie, w jakie zaopatrują się rybacy łowiący w tamtych stronach nocną porą ryby.

„Co to jest Melazzo?" zapytywał piśmiennie Napoleon I brata swego Józefa, przygotowując nową do Sycylii wyprawę, która jak wszystkie, nie miała przyjść do skutku. Jeśliby mi kto uczynił podobne zapytanie, nie wiedziałbym co odpowiedzieć, a jednak o północy wraz z generałem Turrem dającym jakieś rozkazy dowódcy brygady należącéj do jego dywizyi, wysiadłem w tém mieście. Przypominam sobie wielką spadzistą ulicę, oświetloną samotną latarnią; przypominam sobie, że widziałem młodych śpiących na ziemi żołnierzy; przypominam sobie regularne stąpanie przechodzących patroli: i to wszystko. O świcie wsiedliśmy znów na statek; gdyśmy w drogę ruszyli, ujrzałem w dolinie Melazzo ugrupowane pośród

zatoki i bronione mocno na wystającym w morzu kawałku ziemi zbudowaną forteczką; wschodzące słońce różową barwą powlekało piękną zieloność wzgórz otaczających dolinę. Znużony owinąłem się burnusem i położyłem się spać na ławce. Gdym się przebudził, opływaliśmy właśnie szerokie i długie piaszczyste ławy, na których końcu świeciła wyniosła wieża wapnem pobielana: było to miasteczko Fara (Phara), gdzieśmy nareszcie na ląd wysiąść mieli. Zarzucono kotwicę i stanęliśmy w miejscu najwęższém cieśniny. Przed nami na prost, wznosiła się Sycylia, na lewo Messyna błyszczała białemi i różowemi murami, na prawo Śródziemne morze roztaczało niebieskie swe łono, a przy nas miasteczko Fara rozłożone na brzegu i pod zasłoną licznych bateryj, rozlegało się odgłosami bębnów i trąb wojennych. W tyle za nami widać było Kalabryą z jéj wyniosłemi i ostremi górami, na szczytach których wznosił się dym z ognisk jako sygnały pozapalanych, a zaś wzdłuż jéj brzegów i w dostatecznem od naszych strzałów armatnich oddaleniu, można było widzieć przypływające i odpływające a buchające wciąż dymem z kominów dwie neapolitańskie fregaty. Naprzeciwko Fary w pobliżu cyrku piaszczystego, wznosi się spadzista skała; na niéj stoi forteca niby z jednego wyciosana kamienia: to Scylla. Starożytne przekleństwo bogów, zdaje się otaczać jeszcze swą opieką ów potwór, bo w pobliżu właśnie Scyllii, Paweł de Flott padł przeszyty śmiertelnym strzałem! Garibaldi wylądowawszy w Farze, wsiadł zaraz do oczekującego nań powozu i puścił się w kierunku Messyny drogą idącą po nad morzem. Bez wypoczynku udał się do Taorminy, dla odbycia przeglądu pierwszéj brygady oczekującéj w pogotowiu na rozkazy jego względem wylądowania na ląd stały. Z wielką biedą udało nam się dostać barkę, która pomimo silnéj fali i przeciwnego wiatru, zaniosła nas dosyć prędko do Messyny

II.

Smutne wspomnienie pozostało mi po tém dużém ale brudném mieście; nieustanny dźwięk dzwonów bez

żadnego powodu z dziesięć razy na godzinę się powtarzający, zdaje się nie mieć innego celu, nad samą przyjemność dzwonienia. Jeżeli do tego dodamy łoskot bębnów i chrapliwy odgłos trąb, śpiewy ochotników przechodzących bandami ulice, wystrzały młodych nowozaciężnych sycylijskich żołnierzy, a strzelających co chwila jak gdyby się chcieli przekonać, że karabiny ich są prawdziwemi karabinami, pisk skrzypiących odwiecznéj konstrukcyi powozów ciągnionych wołami, wrzaski popędzaczy mułów, trzaskanie biczów furmańskich, głośno wydawane rozkazy oficerów, nareszcie regularny chrzęst broni i stąpania mustrujących się wszędzie żołnierzy, łatwo sobie wyobrazić co za gwar straszliwy panować tam musiał i jaki wpływ na najpotężniejsze nerwy mógł wywierać.

Armia nasza była dosyć nabożną: co niedziela każda brygada poprzedzana swą muzyką udawała się na mszę do kościoła. Z okien moich widziałem zawsze przechodzących naszych żołnierzy, odzianych niedbale w czerwone koszule rozmaitego kroju, niezachowujących wprawdzie dosyć ściśle równości w szeregach, rozmawiających z przechodzącymi, lecz wesołych, żwawych: jedném słowem dzielnych chłopaków; więcéj uległych niż posłusznych; w godzinie odwrotu niebardzo w zebraniu się akuratnych, ale w chwili alarmu gotowych zawsze do ataku. Zresztą, przypominali oni dziwnie ruchomą gwardyą paryzką, którą tyle zajmowano się w niebezpiecznych dniach 1848 roku. Armia południowa mogła natenczas liczyć pod bronią około piętnastu tysięcy ludzi, podzielonych na trzy dywizye, dowodzone przez generałów: Turra, Medicego i Kosenza (Cosenz). Późniéj, skoro nadciągnęły posiłki organizowane przez komitet genueński i rekruci kalabryjscy, uformowano jeszcze dwie nowe dywizye i oddano je pod rozkazy Sirtorego i Nino Bixia. Głównym elementem téj armii, złożonym wyłącznie z ochotników, byli powiększéj części północni Włosi. Wszyscy młodzi ludzie rodem z Wenecyi, którym udało się ujść baczności austryackiéj władzy, byli tutaj z nami; miasto Medyolan przysłało piękny korpus berzaglierów, rywalizujących w zwinności i dzielności z berzaglierami genueńskimi, tak słusznie podziwianymi w bitwach pod Kalatafi-

mi i Melazzo. Dwa wojowniczego ducha lombardzkie miasta: Bergamo i Brescia, nie powstydziły się swéj sławy; najwaleczniejsi ich synowie znajdowali się zawsze przy boku Garibaldego. Mieszkańcy państwa papiezkiego, licznie także stawili się pod sztandar narodowy zielonego, białego i czerwonego koloru; poznać ich można było zawsze po pewnym dźwięku ich mowy i po heroicznéj istotnie wytrwałości, z jaką trudy kampanii znosili. Było jeszcze wielu Toskańczyków, bardzo młodych powiększéj części a bijących się z godną uwielbienia dzielnością. Modena i Parma, miały także w obozie swoich przedstawicieli, i śmiało można powiedzieć, że cały kraj włoski dbał o zaszczyt ubiegania się w wspólném dziele odrodzenia i wyzwolenia ojczyzny. Nie brakło także cudzoziemców; pomiędzy noszącymi czerwone koszule, wielu było Węgrów, kilku Niemców, ze stu Francuzów, cokolwiek więcéj Szwajcarów, nieco Polaków, ze dwunastu Rossyan i Anglików, tych ostatnich najwięcéj pomiędzy oficerami. Co się tyczy legii angielskiéj, złożonéj z tysiąca dwustu przeszło ludzi dobrze odzianych i uzbrojonych kosztem mieszkańców Wielkiéj Brytanii, a o któréj tyle mówiono, ta dopiero w połowie października połączyła się z nami w Neapolu.

Probowano rozbudzić militarnego ducha pomiędzy ogółem ludności sycylijskiéj, ale to była sprawa zbyt trudna i musiano jéj w końcu zaniechać. Napróżno poruszano struny uczucia narodowego, napróżno wielkiemi słowy: „ojczyzna, wolność," do ich serc przemawiano; wszystko to nic nie pomagało. I jakże mogło być inaczéj? Tę nieszczęśliwą Sycylią przez tyle wieków tak męczono i gnębiono, że dziś stała się ona trupem prawie. Potrzeba zostawić temu Łazarzowi czas, by mógł wyjść z grobu, zanim do czynnego życia wezwać go będzie można. W braku tego zapału, który w pewnych historycznych epokach popycha naród na pola wielkich niebezpieczeństw i heroizmem skronie jego otacza, zadekretowano przymusowy werbunek i zebrano pewien oddział wojska, który jeżeli nie zawsze w boju świetnymi czynami się zalecał, dał jednakże dowody wielkiéj energii i rezygnacyi. Słyszałem ludzi łających z goryczą Sycylijczyków i dających im

obelżywe przydomki, jakich niepodobna mi tu przytoczyć; ale było to niesprawiedliwością, gdyż nieuwzględniano okropnéj tyranii denerwującéj i poniżającéj ten nieszczęśliwy naród. Wyrwani raptem z jéj szponów, Sycylijczycy nie mogli z razu przyjść do siebie: własnym oczom nie wierzyli. Widząc nas przechodzących przez ulicę, patrzyli na nas z podziwieniem, niewiedząc jak sobie postąpić, co z sobą zrobić; chcieli na znak radości klaskać w ręce, lecz bali się skompromitowania, bo „Burboni mogli wrócić". Dla nich policya, była to władza, był to rząd, jaki kiedykolwiek znali i wszędzie, na ulicy, w domu, na wsi, na morzu, przed jéj argusowém okiem nigdzie się skryć nie mogli. System rządowy neapolitańskich Burbonów zdołał nietylko zmordować naród, lecz nawet inne koronowane głowy następstwami mogącemi ztąd wypłynąć przerazić; tutaj leży tajemnica ich postawy, tudzież środków, krórych na drodze perswazyi nie wahali się czynić tylekrotnie monarchom Obojga Sycylii. Król Ferdynand poniósł z sobą do grobu okropny przydomek *Bomba*, nie chcąc nic słyszéć, nic ustąpić; w systemacie swoim był on niewzruszonym, nieubłaganym. Jako monarcha z Bożéj łaski, nikomu prócz Boga nie chciał tłumaczyć się z czynności swoich; władał więc bez przerwy podług swéj woli nie radząc się nikogo. W tym względzie, był on w raz przyjętéj zasadzie konsekwentnym, a logikę z niéj wypływającą, posuwał aż do faktów niczem niemogących być usprawiedliwionymi. Żaden okrutny a niesprawiedliwy czyn, nie zamącał jego sumienia, bo według swego przekonania, cała władza jaką posiadał, nadaną mu została od Stwórcy wszech rzeczy, a zatém co czynił, czynił z Jego woli.

Łatwo zgadnąć, do jakich nadużyć może dojść człowiek obłąkany podobnemi maksymami. Czyż można się więc dziwić, że co tylko nie było mu ślepo posłusznem, uważał za bunt i anarchią?—„Cały ten naród do ciebie należy," mówił książę Willroa (Villeroy) do Ludwika XV, gdy ten dzieckiem był jeszcze. Czegóż tu się spodziewać po ludziach w ten sposób wychowywanych?

Franciszek II przejąwszy się w młodości swojéj takowemi zasadami, mimowolnie naśladował ojca. Pomiędzy

nim a ludem, nie było innego pośrednictwa, jak tylko policyjnych agentów i księży; pierwsi ścieśniali i uciskali życie aż do zrobienia go automatycznem, drudzy wiedli dusze oddane na ich pastwę, po drodze niewolniczego i ślepego poddaństwa. „Król jest na ziemi przedstawicielem Boga, kto się opiera rozkazom króla, powstaje przeciwko woli Boga i tym sposobem duszę swoję skazuje na wieczne potępienie." Kiedy naród od wieków podobnemi maksymami jest rządzony i to z kazalnic, mających zwykle ogromny wpływ moralny, z trudnością można w nim znaleźć silną do wielkich czynów wolę i dzielne w niebezpieczeństwie serce. Neapolitańscy Burbonowie tak rządzili Sycylią, jak niektórzy doktorowie leczą swych chorych przez opium i krwi puszczanie. Kiedy pierwiastek życia wycieńczy się i wyczerpie, wówczas naród wpada nieznacznie w stan pewnego rodzaju niemocy, graniczącéj ze śmiercią. Potrzeba wiele czasu i niezwykłych wypadków, ażeby go wstrząsnąć, rozbudzić a i tak nawet, niezawsze jest on zdolnym do obcesowego działania. Nie należy się więc dziwić, że Sycylijczycy w pierwszéj chwili odzyskania swobody, nie okazali dosyć zmysłu militarnego; konskrypcya u nich nie istniała wcale, a zatém w domowych ich ogniskach żadna starego wracającego z wysługi żołnierza gawęda, opisująca z chlubą odbytą wojaczkę lub dająca wyobrażenie o życiu garnizonowém, o uszy ich się nie odbijała, narodowéj miłości własnéj w nich nie rozniecała. Skutkiem bowiem polityki wiecznie podejrzliwéj, niedowierzającéj, rząd neapolitański nie chciał brać nigdy Sycylijczyków do wojska. Z dziwną tedy i rozrzewniającą prostotą, biedni ci ludziska nieraz mówili: „My nie wiemy co to jest być żołnierzem; ale to z czasem przyjdzie, a wtedy będziemy się mogli tak dobrze bić jak inni." W istocie, na dobrych chęciach nie zbywało im wcale; to już i tak wiele a nawet wszystko czego od nich wymagać się godziło. Skoro się przyzwyczają do zaszczytnéj służby którą teraz pełnią, zapomną może złego przykładu, jaki im przez czas długi Neapolitańczycy dawali; brak subordynacyi i skłonność do rabunku, spada w głównéj części na generałów dowodzących tymi żołnierzami; nie posiadali oni bowiem dosyć sumienności na powstrzy-

mywanie nadużyć, tak łatwo niestety z wojskowéj przewagi wynikających. Oto jeden jeszcze przykład, którego nie godzi się przemilczeć.

Na mocy konwencyi zawartéj w dniu 28 lipca 1860 r., pomiędzy generałem brygady ze strony Franciszka II a generałem Jakóbem Medicim ze strony dyktatora Garibaldego, postanowiono, że miasto Messyna z fortyfikacyami, oddaną zostanie armii południowéj z wyjątkiem cytadelli i fortów Don Blasko, della Lanterna i San-Salwadore, pozostających nadal jeszcze w posiadaniu wojsk neapolitańskich, z warunkiem jednakże, iż pod żadnym pozorem strzelać na miasto nie będą, chyba, że rozpoczętoby w nim sypać aprosze, albo uczyniono jakiekolwiek usiłowania w celu atakowania wyżéj wspomnianych fortów. Warunki te uznano i potwierdzono. Z wyjątkiem cytadeli i fortów, o których mowa, oddalonych znacznie od miasta, lecz ciągle mu grożących, cała zresztą Messyna była w naszéj mocy, również jako i droga wiodąca do Fary i Fara sama. Ta ostatnia atoli, nie była objęta konwencyą, więc téż okręty neapolitańskie bezustannie ją ostrzeliwały, co zmuszało kanonierów naszych do ciągłéj w bateryach czynności. Pewnego dnia, z wojennego portu Messyny, wypływa fregata z francuzkim pawilonem i staje na pozycyi pod Farą, jak gdyby chciała przypatrzyć się zblizka fortyfikacyom. Myślano, iż to istotnie jedna z francuzkiéj eskadry fregata, wysłana w celu obejrzenia postępu robót czynionych około zabezpieczenia miasta od wszelkiéj niespodzianéj wojennéj przygody. Nietylko, iż nikt żadnéj przeciwko niéj ostrożności nie przedsięwziął, ale owszem, młodzi nasi żołnierze tłumnie nadbiegli do brzegu, ażeby przypatrzyć się jéj ewolucyom. W jednéj chwili, ze wszystkich armat lewego boku daje niespodzianie ognia, obraca się, z prawego to samo czyni; potém spuściwszy pawilon francuzki, wywiesza neapolitański i całą siłą pary oddala się na morze. Wtedy dopiéro poznano, iż to była królewska fregata *il Borbone*. Czterdziestu ośmiu ludzi z naszéj strony padło śmiertelnie ugodzonych na miejscu, nie licząc wcale rannych. Nazajutrz, jakiś statek francuzki kupiecki, najęty przez rząd neapolitański, wyszedł z Messyny, a uniesiony silnym

prądem wody, ukazał się przed Farą. Artylerzyści nasi myśląc, że znów podstępnie zamierza zbliżyć się pod fortyfikacye, oburzeni nikczemnym czynem dnia wczorajszego, dali do niego z kilku dział ognia i zmusili napowrót do portu zawinąć. Kapitan owego statku, począł krzyczéć w niebogłosy na pogwałcenie praw narodów, a to tém więcéj, że ani jego okręt, ani nikt z ekwipażu kulą draśniętym nie był. Udawszy się następnie ze skargą do konsula francuzkiego, konsul w nieobecności dyktatora wezwał dowódzcę piérwszéj dywizyi armii południowéj, dla wytłumaczenia się z podobnego postępowania. Otrzymawszy od generała Turra gdyż on nim był właśnie, missyą przeproszenia kapitana i uczynienia stósownych konsulowi objaśnień, uczyniłem to tém chętniéj, iż przyjęcie jakiego doznałem, cechowała szczera i ujmująca uprzejmość. Zresztą, wypadek ten nie mógł być za winę nam poczytywanym, gdyż padłszy raz ofiarą okrutnéj neapolitańskiéj chytrości, nie chcieliśmy się dać w podobny sposób drugi raz złapać.

Pomimo wyż wspomnianéj konwencyi, nie trudno było wcale o alarm; dwadzieścia tylko metrów przedzielało grangardy nasze od nieprzyjacielskich, a dla rozrywki, strzały ciągle pomiędzy sobą zamieniały. Z początku ogień zwykle bywał rzadki, następnie coraz się wzmagał i całą linią obejmował, aż nareszcie w plutonowy się zamieniał. Wtedyto, nadbiegały posiłki batalionami biorąc się ochoczo do akcyi, a kule po nocy świstały na wszystkie strony. I trwało tak zwykle dopóty, dopóki który z wyższych oficerów nie wmieszał się i ognia zaprzestać nie nakazał. Wówczas zabierano kilku zabitych i rannych, oficera dowodzącego awanpostami wsadzano do aresztu, następowała cisza i znów nazajutrz ta sama historya na nowo się rozpoczynała.

Dnia 20 sierpnia, mieliśmy pewien rodzaj familijnéj uroczystości. Z powodu przybycia swego do Sycylii, generał Turr zaprosił wszystkich oficerów dywizyi na obiad; a trzeba wiedzieć, że dywizya jego była najliczniejszą w ludzi, więc najważniejszą z całéj południowéj armii. Obiad ten, przypadł właśnie jakoś w dzień św. Stefana patrona Węgier i danym był w pałacu zajmowanym kwa-

terą przez dowódzcę brygady Ebera i sztab jego. Nie mam potrzeby wspominać, że każdy stawił się chętnie na oznaczoną godzinę; generałowie Sirtori i Medici, zasiedli obok Turra, stu pięćdziesięciu zaś innych oficerów odzianych zarówno w czerwone koszule, zajęło miejsce wokoło stołu ustawionego w podkowę. Przy deserze, podpułkownik Spangaro wniósł toast za zdrowie generała Turra, który na podziękowanie odezwał się w te słowa: „My Węgrzy jesteśmy w tym roku we Włoszech, lecz wam Włosi daję na rok przyszły *rendez-vous* nad brzegami Dunaju!" Powyższe *rendez-vous* zostało przyjęte w pośród okrzyków *eljen* i *evviva!*

Wyborna muzyka brygady Ebera na wielką pociechę mieszkańców Messyny tłumnie zbiegłych dla jéj słyszenia, grała pod naszemi oknami. Po skończonym obiedzie, młodzi oficerowie zachęceni odgłosami walców i mazurków ująwszy się w pół, poczęli wesoło zawodzić tany, gdy jednemu z Madziarów przyszła myśl zaimprowizować bal co się nazywa. Na Węgrach, niedziela jako dzień odpoczynku, obchodzony zwykle bywa tańcami trwającymi od południa do północy. Kiedy do zaniesionéj w tym względzie prośby, generał Turr łaskawie przychylić się raczył, rozbiegła się młodzież do sąsiednich domów, wzywając damy do wzięcia udziału w zabawie. Więc téż jak która mogła najpiękniéj się ustroiwszy, w towarzystwie mężów odzianych w świąteczne suknie, z dziećmi nawet, stawiły się drżące z trwogi przed nami, wyglądając raczéj na pogrzebowy kondukt, aniżeli na balowe zgromadzenie. Miejsce dawnéj królewsko- neapolitańskiéj władzy, zajęły dzisiaj czerwone koszule, lecz przestrach, jaki ona niegdyś na tych biednych ludziach wywierała, był tak silny, iż nikt nie ośmielił się niespodzianemu owemu zaproszeniu odmówić. Ojcowie, matki, mężowie, żony, bracia i dzieci, wszystko to przybyło razem, nie chcąc się w tak stanowczéj chwili rozłączać, pragnąc wspólnie gdyby do tego przyjść miało, umierać. Milczący i z pewnym rodzajem głębokiéj rezygnacyi, przechodzili trwożliwie około nas, przytulając się z obawy do siebie i patrząc wielkiemi oczyma na owych młodych ludzi odzianych w czerwone koszule; szlachetne ich oblicza,

szczery na twarzy uśmiech, uprzejme obejście, zaledwie w połowie przestraszonych Messyńczyków uspokoić mogło.

Ustawiono w sali muzykę: muzykanci dla nabrania sił potrzebnych, tudzież dla dodania sobie ochoty, syrakuzańskiém winem suto się częstowali. Nareszcie zagrano walca; nasi danserowie objąwszy wpół kobiety, już mieli puścić się w tany, gdy jeden z oficerów stojący w otwartém oknie, dał znak milczenia: muzyka raptem ucichła, każdy w miejscu stanął jak wryty, a w oddaleniu dały się słyszéć gęste karabinowe strzały. Alarm na awanpostach: wielu z naszych uzbroiwszy się pobiegło. Pomimo tak niespodzianego przerzedzenia szeregów, postanowiono znagła przerwany bal kontynuować, kiedy przybywa adjutant, zbliża się do generała Turra i list jakiś mu oddaje. Byłto rozkaz wysłania natychmiast do Fary brygady dowodzonéj przez Ebera, zkąd przy zdarzonéj okazyi na stały ląd miała być przerzuconą. Kto tylko został jeszcze w sali z oficerów naszych, porwawszy za pałasz i kaszkiecik, wybiegł na swoje stanowisko. Biedni Messyńczycy nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc, w obec pijących jeszcze z większą zawziętością muzykantów i gaszącéj światło służby, nie wiedzieli co z sobą począć. Najśmielszy z pomiędzy nich powstaje, prawą rękę podaje żonie, lewą chwyta dzieci i z senatorską godnością wychodzi z sali; inni idą za jego przykładem i jestem przekonany, że powróciwszy do siebie, piérwszy raz dopiéro tego wieczora swobodnie odetchnęli, winszując sobie zapewne, iż tak tanim kosztem udało im się wymknąć z wielkiego niebezpieczeństwa.

III.

Nazajutrz o godzinie piątéj z południa, w chwili gdyśmy mieli zasiąść do obiadu, usłyszeliśmy w stronie cytadelli wystrzał armatni, potém drugi, potém trzeci. Na ulicach wszczął się rozruch; sklepy i okna na gwałt zamykano, każdy się chronił gdzie mógł, z okien wyglądały oblicza, na których przestrach się malował. W po-

śród odgłosów trąb do broni wzywających i huku dział, co chwila się zwiększającego, nareszcie i głuchy świst bomb usłyszéć już było można. Tym razem nie był to czczy alarm, gdyż cytadella pomimo konwencyi miasto bombardowała. Kto w Boga wierzył biegł do awanpostów; major Karissimi wysłany na parlamentarza, nie był wstanie skłonić nieprzyjaciela do zaprzestania ognia; generał Turr w towarzystwie Mediciego i sześciu oficerów, idzie prosto pod wały fortecy, wzywa ażeby otworzono bramy, aż tu plutonowym ogniem na to mu odpowiadają, i cudem tylko ani on, ani jego towarzysze żadnego nie otrzymali postrzału. Nakoniec generał Medici poprzedzony trębaczem i przewodnikiem niosącym białą chorągiew, zdołał wejść do cytadelli; onto podpisał konwencyą z dnia 28 czerwca, do niego więc należało zmusić do szanowania jéj tych, co o warunkach jéj z naszéj strony tak zawsze ściśle zachowywanych, zapominają. Komendant fortecy tłumaczył się jak mógł, dowodząc, iż nie był w stanie zawziętości swoich żołnierzy powstrzymać; w końcu wydał rozkaz zaprzestania ognia. Kilka palących się już domów, zdołano naprędce ugasić, zabitych zaś było: dwóch szyldwachów, stary wyrobnik, kilkoletni chłopczyk, trzech mułów i pies. Potrzeba jednak wyznać, że mieszkańcy Messyny chociaż przestraszeni niespodzianém pogwałceniem solennie zawartéj umowy, przecież wśród grożącego im niebezpieczeństwa z pewną godnością się znaleźli; gwardya narodowa maszerowała w porządku, wstrzymując na ulicach popłoch rodzący zwykle największe zamieszanie. Nie spodziéwałem się tego po Messyńczykach, gdyż aż dotąd, nie brali oni żadnego prawie udziału w sycylijskiém powstaniu.

W dniu tym, niebo zdawało się być w porozumieniu z ludźmi dla ich niepokojenia: zaledwie bombardowanie się skończyło, zerwał się ogromny hurragan, podsycany gwałtownym wiatrem sirroko. Straszliwe błyskawice rozdzierały gęste chmury pędzone ku brzegom Kalabryi, grzmoty ryczały z przerażającą siłą, jak gdyby chciały się urągać z umilkłego dopiéro armat odgłosu, w stronie zaś cytadelli, piorun kilka razy uderzył. Potoki deszczowéj wody spływały zewsząd ku morzu, oczyszczając ulice

przepełnione zwykle we Włoszech różnego rodzaju nieczystościami i śmieciem. Wieczorem, przed udaniem się do kwatery, przyszła mi ochota zwiedzić awanposty. Ulice tak przepełnione po zachodzie słońca ludnością, teraz były puste, tylko gdzieniegdzie spóźnionego przechodnia biegnącego dostrzedz można było; kawiarnie, w których nasi żołnierze wesoło zwykle czas przepędzali, pozamykane. W porcie ta sama cisza, tylko czasami smutna jakaś rybacka piosenka do ucha dolatała. Wszystko to przedstawiało obraz smutku i opustoszenia. W pobliżu cytadelli rysującéj majestatyczne swe ostre kształty na ponurém tle niebios, spotkałem szyldwacha nieruchomie wspartego na karabinie, z wzrokiem i słuchem wytężonym ku fortecy. „Co tam słychać nowego?" zapytałem przechodzącego z rondem angielskiego oficera. „Nic" odpowiedział mi: „all right!"

Dla uniknienia palących sierpniowych promieni słońca, zanim jeszcze weszło, wsiadłem do powozu i udałem się do Fary. Droga prowadziła wciąż po nad brzegami morza, zasiana rozkosznémi willami obfitującemi w wina, południowych stref kwiaty i drzewa; niebieskawy kolor Śródziemnego morza, gór sycylijskich i stałego lądu, rozpływał się w czystéj, kryształowéj atmosferze, jaką tylko na Wschodzie ujrzéć można. Po drodze rosły rzędy pięknych kaktusów, rozkładających széroko swe ostre i kolczaste liście, uwieńczane złotemi kwiatu kielichami; widziałem mnóstwo aloesów i innych wdzięcznych roślin, napełniających atmosferę wanilowém swém tchnieniem; na chwilę zdawało mi się, że jestem gdzieś na Wschodzie, ale urok ten prędko mijał; to nie Wschód, to Włochy, tylko cieplejsze, tylko więcéj saraceńskie. Gdzież tu są owe wysmukłe i nadobne minarety otoczone w około fontannami? Gdzie palmy szepczące zcicha tajemnicze przeszłości słowa? Gdzie góry różowe jakby miodem polane? Gdzie karawanowéj grzechotki odgłosy? Gdzie jest jedném słowem, ta czarująca poezya Wschodu, która tak głęboko wciska się i na długo utrwala w duszy tych, co jéj zakosztowali? Tutaj nic innego nie mogę dostrzedz, jak tylko jakąś poezyą przechodnią, służącą raczéj za łącznik stykający się pomiędzy świetną prozaicznością Europy,

a jaskrawémi i pełnémi tajemniczego uroku marzeniami Wschodu.

W przejeździe przez wioskę *della Pace*, zamyślenie moje zostało przerwane straszliwym grzmotem dział; jakaś fregata i bryg, należące do marynarki neapolitańskiéj, poczęły ostrzeliwać Farę, która odpowiadała im ogniem ze wszystkich swoich bateryj. Gęste kłęby czarnego węglowego dymu, buchające z komina fregaty, mieszały się z białemi obłokami detonacyi, po za któremi zupełnie prawie z oczu ginęła, przedstawiając zdaleka pośród morza obraz ogromnego jakiegoś pożaru. Kule odbijające się rykoszetem o fale morskie, wyrzucały w górę wielkie słupy wody, rozpryskujące się następnie w tysiączne krople. Wkrótce zaraz, dwa te statki stanowiły jednę olbrzymią piramidę dymu błyskającą płomieniami; kiedy ogień ustał, wiatr odsłonił nieco tę gęstą mgłę spalonego prochu, i można było widzieć, jak fregata zawróciwszy się, popłynęła zaraz ku brzegom Kalabryi.

Gdym przybył do Fary, ujrzałem wojsko ustawione eszelonami po nad brzegiem i gotowe do odparcia każdego ze strony morza ataku. Ta krótka bitwa, któréj zdaleka świadkiem byłem, oprócz trzydziestu ludzi zaniesionych do ambulansu, żadnéj innéj szkody nam nie przyniosła. Jedna z bomb wpadła do kramarskiego baraku, przewracając i tłukąc na miazgę karafki, szklanki, talerze i t. p. rzeczy. Biedny przekupień drżący ze strachu, opowiadał każdemu o niebezpieczeństwie, jakiego cudem uniknął, patrząc ze łzami w oczach na stratę od nielitościwéj bomby poniesioną.

Garibaldi korzystając z miejscowości, zabezpieczył doskonale flotyllę małych statków transportowych, na które w danym razie cała armia mogła wsiąść i na przeciwnym cieśniny brzegu wylądować. Statki te nie były wprawdzie zbyt wygodne i bezpieczne, każdy z nich mógł zabrać do trzydziestu ludzi, ale żadnéj przed wystrzałami działowemi zasłony nie dawały. Dla transportowania koni i armat, użyto pewnego rodzaju pontonów, których powierzchnia płaska, z trzech stron balustradą była obita. W obecnéj chwili, stały w liczbie dwóchset cicho i spokojnie pod osłoną bateryj fortecznych, a kilku-

nastu młodych ochotników korzystając z wolnego czasu, zabawiało się melancholicznie łowieniem z nich ryb na wędkę.

W pięknéj dolinie, poprzecinanéj winem i figowemi drzewami, rozbito obóz, którego główną ozdobą były słomiane, liściem obłożone szałasy, albo prześcieradła wiszące na drzewach, dla osłonienia przed niebezpiecznemi w téj kanikularnéj porze roku słońca promieniami. W jednym z takichto improwizowanych namiotów, odwiedziłem zacnego pułkownika Ludwika Winklera i zostałam u niego na śniadaniu. Ten sam Winkler, 18 marca 1848 roku w Wenecyi, będąc jeszcze porucznikiem Kroatów, rzucił się przed kompanię swoję chcącą dać ognia do ludu, krzycząc: „Wprzód mnie zabijcie, aniżeli strzelicie do tego ludu bezbronnego!" Odtąd przestał służyć Habsburgom, a posłuszny tylko głosowi swego szlachetnego serca, dzielny ten Węgier poświęcił się duszą i ciałem sprawie wolności, bijąc się za niepodległość włoskiego narodu.

Kiedy rząd tymczasowy w Wenecyi reprezentowany przez Manina, Grazianiego i Kawedalisa zadekretował uformowanie legionu madziarskiego, dowództwo nad nim oczywiście powierzył Winklerowi. Jego odwaga, wytrwałość i rzadkie wojskowe przymioty, jakiemi się zalecał, przyczyniły się nie mało do uświetnienia tego pamiętnego na zawsze Wenecyi oblężenia. Ci którzy w dwanaście lat później, widzieli go pod murami Kapui, z zakrwawioną twarzą, od rany w czoło kulą mu zadanéj, na koniu przeszytym trzema strzałami, wiedzą najlepiéj jak on pojmuje obowiązki ochotnika walczącego za sprawę niepodległości.

Odwiedziwszy potém jeszcze generała Orsiniego dowódzcę artyleryi, który przed zdobyciem Palerma zrobił dziwnie szczęśliwy marsz na Korleone, przez co zwiódł w sposób tak śmieszny generała Bosko i jego Neapolitańczyków; udałem się na obejrzenie fortyfikacyj okalających i broniących Farę. Jużto cały ten system obronny, w razie gdyby nieprzyjacielska armia chciała to miasteczko atakować z tyłu, podczas gdy statki wojenne atakowałyby go z frontu, nie na wiele mógłby się przydać; wzięci we dwa ognie, łatwo z pozycyi bylibyśmy wyparci i w cieś-

ninę wrzuceni. Ale Neapolitańczycy nie pomyśleli nawet o tém wcale, a może i nie chcieli tego uczynić. W takim razie Miszelet ma racyą, Garibaldi jest szczęśliwym człowiekiem i jeżeli kto, to on z pewnością ma nad sobą szczęśliwą gwiazdę.

Zaczepki podobne do téj, jaką uczyniła przeciwko Farze neapolitańska fregata, zdarzały się każdéj nocy prawie, i nie było dnia, ażeby kilkanaście lub więcéj kul nie wymieniono wzajemnie. Czy chciano uczynić jaką ważniejszą w tém miejscu demonstracyą? Wątpię. Najniezawodniéj, chciano tylko utrzymywać nas w ciągłéj baczności, męczyć nieustanną groźbą i zmusić tym sposobem Garibaldego do pilnowania brzegów i przeszkodzenia mu wylądowania w Kalabryi, któréj wzgórza widne naszym oczom, zdawały się nas do siebie zapraszać. Ale w tak chytrze uplątaną matnią, nie łatwo było pochwycić człowieka takiego jak Garibaldi; on w długiéj swojéj amerykańskiéj tułaczce, zaprawił się w podstępach czerwonoskórnych wojowników i przejął od nich ów nieporównany dar, odgadywania chytrych przeciwnika zamiarów. Więc téż przygotowania ku zamierzonemu wylądowaniu nie ustawały, a my z niecierpliwością oczekiwaliśmy na pierwszy znak rzucenia się na ląd stały.

Od piętnastu dni przeszło, dwustu naszych ludzi było już czynnych z tamtéj strony cieśniny, prawda, odciętych od nas zupełnie, beż żadnéj wieści, w pośród niedostępnych gór i bijących się z licznemi oddziałami nieprzyjaciół. Tylko niekiedy wysokie kłęby dymu z ich ognistych sygnałów ku niebu się wznoszące, uwiadamiały nas o ich istnieniu. Dowódzcą tych dzielnych ludzi, był nie ustraszonéj waleczności Missori i niepodobna było dla téj na stracenie przeznaczonéj wyprawy, szczęśliwszego uczynić wyboru. Missori jest bardzo młodym, w sposobie ubierania się wyszukanym, w obejściu wytwornym, intelligencyi wzniosłéj, szeroko sięgającéj. Urodził się w Medyolanie, lecz oddawna przestał być Lombardczykiem, ażeby Włochem zostać. W roku 1848, mając zaledwie lat czternaście, uciekł z kollegium gdzie był na naukę oddanym i poszedł bić się z Austryakami śpiéwając: *Va fuori, straniero!* Od tego czasu, rodzina jego czyniła co

mogła, ażeby go przy sobie zatrzymać, ale młodzieniec ten, albo raczéj to dziecko, umiało się wydrzeć z jéj opieki i pewnego poranku, pokój jego mieszkania został opróżniony, a otwarte okno świadczyło o nowéj znów ucieczce. Wyleciał ptaszek z klatki, by pobujać po Bożym świecie. Gdzież mógł się znajdować? W Krymie, pod Komo, pod Marsala, pod Kalatafimi, wszędzie gdzie tylko bił się Włoch za moralną i polityczną wielkość swéj ojczyzny. Pod Melazzo, padłszy z koniem przebitym kulą działową, Missori trzema wystrzałami z rewolweru zabija trzech nieprzyjaciół otaczających Garibaldego, a czwartemu, który go już chwytał za gardło, mózg rozstrzaskał. Jeżeli mu kto czyn ten przypomina, rumieni się jak panienka piętnastoletnia, odwracając głowę i spuszczając oczy na ziemię. Ci, co bywają często u wód w Aix w Sabaudyi, przypomną sobie może młodzieńca, zawsze smutnego i łagodnego w obejściu, który podczas gdy inni tańczyli, siadał najczęściéj w gronie kobiet nie mówiąc o niczém jak o Italii, kiedy one możeby chętniéj innéj rozmowy z nim pragnęły; byłto Missori, przezwany małym z niebieskiemi oczami Medyolańczykiem. Kobiety, które go takim znały, nie mogły wyjść z podziwienia, gdym o czynach jego rozpowiadał: „Co! ten młodzieniec! czy to być może?" Tak, to on sam, ze swoim cichym i nie śmiałym głosem, ze swoim orlim wzrokiem, ze swoją niby obojętnością i zaniedbaniem na pospolite objawy zewnętrznego świata; onto nie mając już czego zazdrościć najsławniejszym weteranom w boju, jest naszéj młodéj armii istnym bohatérem.

Zachował on głęboko w duszy swojéj tajemnicę wycierpianych trudów, niebezpieczeństw, głodu i niewczasu poniesionego w téj zdala i w opuszczeniu od swoich piętnastodniowéj kampanii. My jednakże ciągleśmy o nim myśleli, a każde spotkanie pomiędzy sobą, zaczynało się zawsze od słów: co robi Missori? Droga była zewsząd zamknięta i pełna niepodobnych do zwalczenia przeszkód. Cztéry fortece uzbrojone w działa dalekonośne, strzegły cieśniny i do pewnego stopnia brzegi Kalabryi czyniły nie zdobyte; fortece te noszą nazwę: Alta Fiumara, Punta-del-Pezzo, Torre-Cavallo i nareszcie najstraszniejsza Scylla,

która sama jedna w roku 1808, zdolna była przez dni trzydzieści ośm, stawić opór francuzkiemu korpusowi dowodzonemu przez generała Regniera. Nadto, wojenne neapolitańskie okręty, przeciwko którym nie mogliśmy nawet jednego statku postawić, dzień i noc strzegły brzegów na wysokości Redżio i Scylii. Ażeby podejść czujność nieprzyjaciela, potrzeba było użyć podstępu, gdyż siłą otwartą nietylko nic skutecznego, lecz nawet na największe niebezpieczeństwo narazićbyśmy się mogli. Należało więc czekać cierpliwie, to też czekaliśmy patrząc z ufnością na Kalabryą. Najsprzeczniejsze wieści krążyły po mieście, nikt nie wiedział czego się trzymać, komu wierzyć. Niepewność naszego położenia zwiększała znacznie jeszcze nieobecność Garibaldego. Gdzież on być może? W Melazzo, w Taorminie, w Palermie, w Kalabryi, w Neapolu? Kto to mógł wiedzieć.

Ta pozorna zwłoka i zupełna nieświadomość zamiarów dyktatora, męczyła nas nadzwyczajnie, a niecierpliwszych, którzy bądź co bądź wylądować pragnęli, do rozpaczy przyprowadzała. Wielu z nich powzięło szalony zamiar opanowania siłą lub perswazyą któréj z fregat piemontskich stojących na kotwicy w Messynie, i spróbować wylądowania; ciekawe były w tym względzie ich rozumowania: „Sprawa jakiéj służymy, jest sprawą całych Włoch; Piemont jest ich cząstką: mamy więc prawo dla dobra Włoch użyć pośrednio sił piemontskich.” Szczęściem zamiary te nie przyszły do skutku; goręts udali się na pokład fregaty należącéj do tego państwa, lecz komendant nie przyjął ich i na tém się rzecz skończyła. Węzły łączące Kawura z Garibaldim i tak już podówczas znacznie się rozprzęgały, a nie ma wątpliwości, że podobny wypadek, więcéjby jeszcze poróżnił pomiędzy sobą tych dwóch wielkich mężów.

Garibaldi ze swojéj strony nie próżnował wcale; kombinując wszelkie żywioły ruchu, jakie w mocy jego były, to udawał pozornie zamiar wylądowania na brzegach Kalabryi, ażeby trzymać w ustawicznéj czujności wojska królewskie na całéj przez nich zajmowanéj przestrzeni, to znów ze wzrokiem utkwionym w wierzchołki Kalabryi, śledził ażali nie ujrzy umówionych znaków Missorego;

na wszelkie zapytania tyczące się przejścia cieśniny, odpowiadał lakonicznie: „wkrótce!"

IV.

Nakoniec, nowiny poczęły się sypać jedna po drugiéj i tym razem prawdziwe; cechowało je jakieś piętno nadzwyczajności, jak wszystko co dotyczyć mogło przewodniczącego nam człowieka. W nocy, 19 sierpnia, Garibaldi z brygadą umieszczoną na parowcach *Franklin* i *Torino*, opuścił Taorminę: przez całą noc trwającéj nawigacyi, morze było dosyć wzburzone i dopiéro nad ranem znajdowali się na krańcowym punkcie Włoch południowych, przy miasteczku Melito.

Garibaldi ze swoim starym towarzyszem Origonim płynąc na *Franklinie* i sam tym statkiem komenderując, dał znak, ażeby drugi idący za nim *Torino*, przyspieszył swój pochód i jak najprędzéj przybił do brzegu, gdyż kroazerowie neapolitańscy co chwila mogli się ukazać. *Torino* z takim pędem rzucił się nierozważnie na przód, iż uderzywszy o piaszczystą ławę uwiązł natychmiast. Sześć godzin czasu stracono nad wydobyciem go ztamtąd, ale widząc niepodobieństwo zaradzenia złemu, zdecydowano się zostawić go w pokoju; wywiesiwszy następnie pawilon amerykański, dzięki temu podstępowi, *Franklin* przepłynął bez przeszkody wpośród statków króla neapolitańskiego. Przyspieszono o ile możność dozwalała wylądowanie, i kiedy już ostatni człowiek stanął na ziemi, wówczas nieprzyjacielskie fregaty w całéj sile pary nadbiegły; lecz jak w Marsalii, tak i teraz, nadbiegły zapóźno: rozpocząwszy jednak okropny ogień do osiadłego na mieliźnie statku, wkrótce go do szczętu zatopiły. Żołnierze na rozkaz Garibaldego, co żywo wdrapali się na wzgórza chroniąc się tym sposobem przed strzałami fregat, które ich już ostrzeliwać poczęły. Dzień 20 sierpnia użył Garibaldi na robienie marszów i kontrmarszów w celu uwiedzenia baczności nieprzyjacielskiéj: w tego rodzaju manewrach nie ma on sobie równego. Z nadejściem nocy, niewiedziano jeszcze w którą

stronę armia się obróci. Czy zamyśla atakować Redżio, czy je obejść tylko? czy rzucić się w bok na Scyllę? czy w góry teatr wojny przeniesie? Wojska neapolitańskie wszędzie na dyktatora oczekiwały, a on jak węgórz w trzcinie, wykręcał się pomiędzy nieprzyjacielskiemi kolumnami. Około północy pokazały się przednie straże Missorego, dając znać o zbliżaniu się młodego partyzanta. On jeden tylko wiedział o planie naczelnego wodza, więc też skoro ujrzał umówione sygnały, wyszedł z niedobytych swych kryjówek zajmowanych na szczytach Aspro-Monte, a maszerując po drodze najeżonéj przepaściami, połączył się szczęśliwie z Garibaldim. Na gołéj ziemi, pod niebem iskrzącém się gwiazdami uczyniono krótką naradę. Całą armią rozdzielono na trzy oddziały: piérwszy dowodzony przez Bixia, otrzymał przeznaczenie atakowania z frontu miasta Redżio; dwa zaś drugie pod rozkazami dyktatora i Missorego, miały je obejść z tyłu i wziąć Neapolitańczyków we dwa ognie. O godzinie trzeciéj i pół nad ranem (21 sierpnia 1860 r.), przednia straż czerwonych koszul wpadła na wedety królewskie. „Stój! kto idzie?" „Italia i Wiktor Emanuel! Niech żyje król! Niech żyje Garbaldi!" bój się rozpoczął.

Armia neapolitańska ugrupowana massami przed głównem wejściem do miasta, tak straszliwym ogniem nas przyjęła, że nasi żołnierze na chwilę cofnąć się musieli. Ale otóż przybywa Garibaldi. „A co, moje dzieci! niedobrze wam tu idzie? Rozumiem, po marszach dnia wczorajszego jesteście zmęczeni; to nic: odpocznijcie sobie trochę." Zatrzymują się, zgromadzają wkoło, odpoczywają. W kilka minut późniéj, głosem swym dziwnie zawsze łagodnym rzeknie: „A co, teraz będzie lepiéj, nieprawda? Wiedziałem żeście byli zmęczeni; lecz już dosyć na dziś strzelania: potrzeba nam amunicyi oszczędzać, gdyż do samego Neapolu musi nam wystarczyć. Idźcie więc i spędźcie mi z drogi tę hałastrę bagnetami!" Puściwszy ich, sam pobiegł połączyć się ze swym oddziałem, w pośród cieni nocnych milczkiem miasto okalającym. Atak na bagnety był stanowczym; Neapolitańczycy wyparci z pozycyi i rozbici, schronili się w mury cytadelli. Wznoszący się u stóp miasta fort, Bixio zdobył odrazu.

Gdy się to dzieje, Garibaldi i Missori zaatakowali cytadellę z tyłu; żołnierze nasi uzbrojeni wybornemi angielskiemi karabinami, razili skutecznie artylerzystów, gdy który wychylił głowę z za parapetów; lecz nie mieliśmy wcale armat, a nieprzyjaciel miał ich podostatkiem. Bixio usadowiwszy się w pośrodku miasta, zdołał zająć gmach więzienny, broniony przez kilka kompanij królewskich strzelców; znalazł on tam siła amunicyi i dwa działa, które posłał natychmiast Garibaldemu: Garibaldi skierowawszy je na cytadellę, począł z nich prażyć nieprzyjaciela. Ze wschodem słońca, Bixio w mieście, Garibaldi i Missori zewnątrz miasta, z większą jeszcze wściekłością walczyli. Gdy wtém dają znać dyktatorowi, iż neapolitański generał Briganti zasłaniający kalabryjskie brzegi od strony Messyny w Villa-San-Giovanni, pomiędzy fortecami Alta Fiumara i Punta-del-Pezzo, usłyszawszy z téj strony huk armat, podwójnym marszem zbliża się na odsiecz. Garibaldi porzuca natychmiast pole bitwy, a ufny w dzielność swych towarzyszy, bierze pół brygady Eberharda i idzie na spotkanie Brigantego. Ten zaś obaczywszy zdaleka czerwone koszule, uważał za stosowne nakazać swéj armii odwrót i nie oparł się, aż pod zasłoną *dział* fortecy *Alta Fiumara*. Garibaldi zwrócił się do Redżio i chociaż w jego nieobecności bitwa nic na zawziętości nie straciła, jednak przybyciem swojém nową energii walczących nadał impulsyą. Neapolitańczycy wycofawszy się z miasta, zamknęli się w cytadelli: tutaj więc bój cały się ześrodkował i nasze kule zmiatały co chwila dzielniejszych obrońców Franciszka II^go^. Jednym z nich był pułkownik Lorenzo, ugodzony śmiertelnie na czele swego oddziału; upadając krzyknął: „Niech żyje król!" Około południa, nieprzyjaciel coraz więcéj w murach naciskany, począł okazywać już znaki zniechęcenia; znaczna liczba Neapolitańczyków rzuciwszy broń, szukała ocalenia w ucieczce; wkrótce téż generał Galotta głównodowodzący w cytadelli, na znak poddania wywiesił białą chorągiew. Natychmiast z jednéj i drugiéj strony ogień ustał: wysłano parlamentarzy. Gdy bitwa w ten sposób przerwaną została, Garibaldi chcąc otrzeć pot z czoła, zdejmuje mały, czarny kapelusz, jaki zwyczajnie nosił na głowie i ujrzał jak kula nawylot go przedziurawiła. O go-

dzinie w pół do szóstéj zawarto umowę i cytadella kapitulowała. Wojsko wyszło z bronią, bagażami i trzydniową żywnością; zresztą cały materyał wojenny został w naszych rękach (1): wielu żołnierzy przeszło na naszą stronę.

Nazajutrz (22 sierpnia), Garibaldi przysłał do nas depeszę, jak zawsze bez żadnych szczegółów, donoszącą o tém zwycięztwie: „Znowu dzisiaj zwyciężyliśmy: Redżio jest w naszéj mocy." Że wiadomość ta była nam bardzo przyjemną, nie ma potrzeby wspominać; muzyki pułkowe przebiegały ulice miasta, grając pieśni patryotyczne, wieczorem zaś Messyna zajaśniała illuminacyą. Więcej jak kiedykolwiek krzyczano: „Niech żyją Włochy!" Lecz oficerowie garybaldyjscy skazani na bezczynność w Messynie, a liczba ich była znaczna, szemrali z nieukontentowania, iż w świeżém tém zwycięztwie żadnego udziału miéć nie mogli. Ciekawość nasza po wzięciu Redżio znowu na ciężkie próby wystawioną została. Co teraz pocznie Garibaldi? było to pytanie po tysiąc razy wspólnie sobie zadawane, i oczywiście, każdy odpowiadał naprędce ułożonym planem, bo trzeba wiedzieć, iż w podobnym wypadku, każdy ma swój plan gotowy i to zawsze najlepszy. Co do mnie, wyznaję, nie miałem żadnego: wiedziałem, że jeżeli przepłynę cieśninę, to w towarzystwie generała Turra; wezwawszy więc cały zasób cierpliwości, do jakiéj byłem jeszcze zdolnym, oczekiwałem z rezygnacyą na tę upragnioną chwilę.

Dzień 22 sierpnia, co nam przyniósł tę wielką nowinę, przepędziłem cały prawie na tarasie, nie wiem już jakiéj oberży, dającym widok na cieśninę. Uzbrojony długą marynarską lunetą, przypatrywałem się nieustannie kalabryjskim brzegom, roztapiającym się szeroko w niebieskawym kolorze atmosfery. Alta Fiumara, Torre-Kawallo a nawet Scylla, te fortece zwykle tak hałaśliwe i co chwila otoczone białemi obłokami armatniego dymu, dzisiaj jakże były milczące. Tylko telegraf na szczycie messyńskiéj cytadelli, zdawał się chorować na epilepsią: to się kręcił, to od-

(1) Ośm armat, ośm dział a la Paixhans 80 funtowych, sześć dział 36 f, ośmnaście pozycyjnych, trzy moździerze bronzowe, około 1200 karabinów, żywność, mnóstwo ziemnych węgli i mułów.

kręcał, to wyprawiał gzygzaki, to machał na wszystkie strony skrzydłami gestykulując konwulsyjnie, jak topiący się w wodzie człowiek. Żaden neapolitański okręt nie pokazywał się na morzu; wczoraj jeszcze, nieprzyjacielscy kroazerowie tak ruchliwi, tak czynni w strzeżeniu tych brzegów, dzisiaj zniknęli. Ognie powstańcze także jakoś pogasły, bo dymu nigdzie nie można było ujrzeć. Od strony Fary, najmniejszego znaku życia: nasze działa i armia cała, wszystko zdawało się głębokim snem być uśpione. Wzdłuż kalabryjskiego wybrzeża, pośród drzew rosnących nad spadzistemi wzgórzami, obok jakiejś okrągłéj wierzyczki, będącéj telegrafem, młynem czy forteczką, ujrzałem ludzi niby wojsko maszerujących: raz się zatrzymywali, to znów w drogę ruszali. Jakiego koloru były ich mundury? czerwone czy niebieskie? Odległość rozeznać nie pozwalała, a jasność słonecznych promieni odbijała się tylko i łamała ruchomie na błyszczących bagnetach. Jacyś jeźdzcy, jak gdyby z rozkazami biegali na koniach w rozmaite strony. Czasami zamykałem zmęczone oczy i słuch wytężałem; lecz żaden odgłos zdaleka nie dochodził, tylko gwar miejski u stóp mych się rozlegał. Widziałem potém jak dwa oddziały wojsk idące ku sobie z przeciwnéj strony, nie dochodząc zatrzymały się; trwało tak dosyć długo: potém ci którzy szli od południa, niby z Redżio ku Neapolowi, oddalając się znikli za pochyłością wzgórza. Zadawałem sobie tysiące kwestyj, nie mogąc żadnéj rozwiązać. Stałem wciąż na miejscu, patrząc ciągle i nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc, aż słońce skryło się za Sycylią, ozłacając wierzchołki gór wyniosłych i rzucając szeroki cień na ziemię. Wróciłem do głównéj kwatery, pytałem się o nowiny, ale nic nowego niewiedziano.

Nazajutrz, dnia 23 sierpnia, o godzinie piątéj z rana, zakommunikowano nam depeszę przysłaną o północy treści następującéj: „Dyktator do generała Sirtorego. Dwie brygady: Melendez i Briganti zdały się na łaskę. Jesteśmy panami ich artylleryi, broni, całego wojennego materyału i fortecy Punta-del-Pezzo". Otóż wczoraj z mojego obserwatoryum nie wiedząc o niczém, byłem świadkiem tego ważnego faktu. Okrzyki: „niech żyją Włochy!" rozległy się

na nowo i znów tysiące nowych planów każdy począł układać.

Oto szczegóły dnia tego. Po wzięciu Redżia, Garibaldi wyruszył w marsz przez góry, w celu atakowania generała Briganti usadowionego w Villa-San-Giovanni; po drodze spotkał brygadę Melendera; lecz nie raczył się nawet zatrzymać i odpowiedzieć ogniem na ogień jéj do niego wymierzony. Przez ten czas, Missori podług zeznania gońców, daleko naprzód zaszedłszy, szukał pozycyi, któraby mu pozwalała atakować Neapolitańczyków z boku, podczas gdy dyktator miał im wydać bitwę z frontu. Zręczny ten manewr nie wydawał się jeszcze dokładnym Garibaldemu: więc dał rozkaz Kosenzowi (Cosenz), ażeby wsiadłszy w nocy na statki w Farze, wylądował w dzień pomiędzy Scyllą a Bagnarą i tam sforsowawszy pozycyą Solano, zabrał tył Neapolitańczykom niedomyślającym się niczego. Przed rozpoczęciem bitwy, Garibaldi posłał do połączonych już generałów Melendeza i Brigantiego uwiadomienie o krytycznem ich położeniu. Odrzucili oni trzykrotnie ofiarowane sobie propozycye kapitulacyi; Garibaldemu zaś nie spieszyło się wcale: pewny wygranéj, mógł swobodnie czekać stanowczéj godziny,—położył się więc pod drzewem i zasnął. Obudziwszy się, posyła znów do neapolitańskich generałów adjutanta swego z tym atoli warunkiem, iż jeżeli za pół godziny nie zdecydują się poddać, da rozkaz bezwłocznego ich atakowania. Melendez i Briganti nie mogli sobie robić żadnych illuzyj: po prawéj swojéj, mieli morze; po lewéj stał Missori w doskonałéj i panującéj nad nimi pozycyi; z tyłu Kosenz na dany znak gotów był rzucić się na nich ze szczytów gór przez siebie zajmowanych: z frontu zaś, Garibaldi na czele wojska upojonego i dumnego ze zwycięstwa pod Redżio, otoczył ich jak żelazną klamrą dokoła. Pozycya Neapolitańczyków nie była do wytrzymania, pojęli to bardzo dobrze: więc téż broń złożyli, oddając zarazem w ręce dyktatora małą forteczkę Punta-del-Pezzo, a wkrótce za nią drugą Alta-Fiumara.

Rozbrojeni upadli na duchu, znużeni niepotrzebnemi marszami; nareszcie upokorzeni uważaniem się za zwyciężonych skutkiem jedynie niedołężnego wyboru stanowiska

przez generałów, żołnierze Franciszka IIgo poczęli się rejterować jedyną drogą jaka im została, drogą prowadzącą obok Torre-Kavallo przez Scyllę. Garnizon tych dwóch fortec, z których piérwsza jest zameczkiem zawieszonym na skale, widząc towarzyszów swoich uciekających w nieładzie, bez broni i bez artylleryi, zlękli się blizkiego ich opuszczenia; przestrach udzielający się tak łatwo żołnierzom przywykłym do garnizonowéj bezczynności, nawskróś ich przeniknął. Nim nawet pomyślano ich atakować, opuścili swój posterunek prosząc o kapitulacyą, któréj oczywiście im nie odmówiono. Przysłowie: *audaces fortuna juvat*, najdokładniéj się sprawdziło. Garibaldi opuściwszy Sycylią w nocy 19 sierpnia, 23 wieczorem zdobył Redżio, zmusił do złożenia broni dwie neapolitańskie brygady i bez wystrzału stał się panem czterech fortec: Alta Fiumara, Punta-del-Pezzo, Torre-Kavallo i Scylli. Odtąd cieśnina należała już wyłącznie do niego, neapolitańska marynarka zupełnie ubezwładniona, zmuszoną została ukryć się pod zasłoną messyńskiéj cytadelli, a straszliwe przejście tak naszą armią przerażające, stało się odtąd krótko trwającym spacerem morskim. Ulises przemógł nakoniec Scyllę i Charybdę.

Od tego czasu z Taorminy do Fary, z Palermo do Melazzo, nie żenując się wcale, przygotowywano się już otwarcie do wylądowania w Kalabryi. Ze schronienia farskiego wyciągnięto przed samo miasto szalupy, gotowe na przyjęcie i pomieszczenie ludzi; w Messynie, żołnierze nasi, wśród białego dnia wsiadali na statki parowe, przy odgłosie trąb, pod samemi działami cytadelli tym razem zachowującéj głębokie milczenie. Co się zaś tyczy fregat, które w téj chwili nawet wdaniem się swojém mogłyby nam nie małą szkodę zrządzić i wiele naszych transportowych statków zatopić, niewiadomo co się z niemi stało. Czy oplynęły Sycylią, czy korzystając z nocy przeszły cieśninę, nikt z nas nie wiedział; ale jak zcicha utrzymywano i jak się późniéj w rzeczywistości okazało, udały się do Neapolu.

W Messynie panował ruch nadzwyczajny: żołnierze nasi ze wszystkich ulic pojedynczo, gruppami albo kompaniami schodzili się do portu, gdzie na oczekujące ich

statki wsiadać mieli, śpiewając wesoło i dumni z przeznaczenia jakie ich oczekiwało. Mieszkańcy patrząc na to wszystko, wydawali pożegnawcze okrzyki: „Niech was Najświętsza Panna prowadzi!" „Strzeżcie się królewskich żołdaków!" „Szczęść wam Boże!" „Gdzie idziecie?" „Do Neapolu i do Wenecyi." „Niech żyją Włochy" „Bywajcie zdrowi!"

Ogólne więc wylądowanie jawne i wśród dnia białego a nie ciche, nocne i częściowe, o jakiém Garibaldi projektował, przygotowywało się stanowczo. Otóż w jednem z takich, padł śmiertelnie ugodzony człowiek, którego śmierć całą armią okryła grubą żałobą: był nim Paweł de Flott.

Przywodząc przedniéj straży generała Kosenza, Paweł de Flott, w nocy z 20 na 21 sierpnia, pomimo granatów neapolitańskich, nie doznawszy żadnéj w ludziach straty, wysiadł na brzegi Kalabryi. Miał on sobie przeznaczone przejść pomiędzy Scyllą i Bagnarą, dostać się na wzgórze Aspro-Monte i utorować drogę dla korpusu Kosenza, ażeby tenże mógł zająć pozycyą z tyłu generałów Melendeza i Brigantiego. Noc jeszcze trwała gdy wyruszył na czele oddziału złożonego z Francuzów i Anglików. Arabowie mają racyą, gdy mówią, że „nie kula, ale przeznaczenie zabija człowieka." O świcie doszedł do wyniosłości panującéj nad wioską Solaną, bronioną przez jeden batalion Neapolitańczyków. De Flott oddziałowi swemu rozkazał pójść do ataku, a dając z siebie przykład, zabija z rewolweru jednego żołnierza, a dwóch innych bierze do niewoli. Królewscy nie mogąc się ostać, poczęli uciekać do wioski. Przy wejściu do uliczki osłoniętéj rzędem kaktusów, jakiś Neapolitańczyk zasadziwszy się zdradziecko, przypuszcza de Flotta na dwa kroki i strzela: kula trafiła w czoło, rozsadziła czaszkę i mózg na wierzch wypchnęła. Wymówiwszy kilka słów niezrozumiałych, de Flott obrócił się na miejscu i padł twarzą na ziemię. Kiedy go podniesiono, już nie żył. Na kilka dni przed śmiercią, dziwne przeczucia wciąż go niepokoiły: „Nikogo jeszcze w mém życiu nie zabiłem, nawet nigdy jeszcze nie strzelałem; ale mam to przekonanie, iż jeżeli zabiję człowieka, a mógłbym go tylko zabić w słusznéj obronie, sam zabitym będę: prawa odwetu są niekiedy fatalne." To co powiedział,

sprawdziło się niestety! zabił człowieka, ale i on natychmiast życie postradał. Przeczucie to nie osłabiało w niczem wrodzonéj mu odwagi, ani ujmowało energii w chwili stanowczego działania. W kilku poprzednich utarczkach, albo w zamierzoném w oczach nieprzyjaciela wylądowaniu, stał zawsze odkryty przy rudlu, wyniosłą swą postawą służąc za cel nieprzyjacielskim pociskom. Rozmaite dziwne wieści krążyły głucho o jego śmierci, tłumaczące ją czasami w sposób nie korzystny; co do mnie, nie zajmując się niemi szczegółowo, to tylko mogę powiedzieć, że pewien rodzaj moralnego zniechęcenia opanował już był tę szlachetną duszę, tęskniącą zawsze do najwyższych sfer duchowych. Zaprawdę, jeżeli zwątpienie i upadek na duchu może nie być rażącym w człowieku, to chyba po doznaniu gorzkich zawodów, po zniweczeniu i potarganiu najdroższych życia nadziei. Nie wiem o ile de Flott cierpiał moralnie, i czy koniecznie pragnął śmierci; ale to pewna, że Francya w jego osobie, sprawie niepodległości włoskiéj, poświęciła jednego z najszlachetniejszych swych mężów.

Pomimo wrodzonego popędu do akcyi, de Flott był mistykiem, a przez szczególną osobliwość charakteru, nie będącą jednakże rzadkością pomiędzy Francuzami, działał i marzył jednocześnie. Odrzucił i odepchnął on doktryny kasty, do któréj z urodzenia należał, zmierzając śmiałym krokiem w sferę nowych wyobrażeń, usuwających się w miarę naszego do nich zbliżania. „To waryat, to utopista" mówiono; przeciwnie, to był tylko humanista pragnący szczęścia całéj ludzkości; kochał on ludzi i wierzył w nich, i kiedy widział to cisnące nas ku ziemi potężne brzemię nędzy, wpadał w głęboki smutek mówiąc zcicha do siebie: jak to wszystko zmienić?

Z trybuny naszych zgromadzeń parlamentarnych, pełnémi wzniosłéj powagi słowy, zyskał on sobie szacunek wszystkich politycznych swoich przeciwników (1); mowy jego poważne, nacechowane pewną religijną meta-

(1) Obranym był z Paryża do zgromadzenia prawodawczego 10 marca 1850 r., przez 126,982 głosów.

fizyką, nie były zawsze należycie zrozumiane od ludzi przesiąkłych obawą lub szalonemi nadziejami, od ludzi walczących pomiędzy sobą z gwałtownością narażającą na szwank wielką sprawę wolności. De Flott pomimo młodego wieku zazwyczaj smutny i poważny (1), patrząc na zapasy roznamiętnionych stronnictw, rzucał niekiedy pośród nich słowa przestrogi, które przyszłość urzeczywistniła, ale na które nikt wówczas nie zważał. Zgromadzenie prawodawcze (l'assemblée législative) nie chętnie go przyjęło do swego grona, uchodził on bowiem w oczach wielu za czerwonego rewolucyonistę. Czy brał on istotnie udział w tém opłakaném czerwcowém powstaniu? Może uniesiony gorącym swym mistycyzmem, wmieszał się do téj nieszczęsnéj sprawy: w takim razie źle uczynił. Historya nas uczy, iż powstanie nie opierające się na pewnéj zasadniczéj idei, skazane jest na śmierć; jeden jeszcze więcéj tego dowód mieliśmy w czerwcu 1848 roku.

Zawód jego prawodawczy, przerwany został gwałtownie wypadkami z grudnia 1851 r. Należał on do tych, którzy im czynny stawiali opór, wieść nawet o jego śmierci rozeszła się wieczorem w Paryżu. Chociaż zamieszczony na liście proskrypcyjnéj, de Flott nie chciał opuszczać Francyi, i pod przybraném nazwiskiem wszedł do administracyi kolei żelaznéj, gdzie dzięki nabytemu ukształceniu w specyalnym zawodzie oficera marynarki, otrzymał dosyć korzystną posadę; korzystną względnie, gdyż potrzeby jego były zawsze bardzo skromne. Następnie porzucił ją, ażeby się udać z Garibaldim do Sycylii i walczyć za wolność, którą kochał w przekonaniu, że pracując na wyzwolenie jednego, oddaje się przysługę wszystkim narodom. Padł na polu bitwy, jakem powiedział, mając zaledwie lat czterdzieści dwa i pół.

M. E. Forcade powiedział (2): „W sprawie oswobodzenia włoskiego położyło życie dwóch znakomitych ludzi, walczących w dwóch przeciwnych sobie obozach: de Flott i Pimodan. Dlaczegóż dwie te ofiary rewolucyi włoskiéj

(1) Urodził się 1 lutego 1817 r.

(2) Patrz *Revue des Deux Mondes*. 1 października 1860 roku, str. 734.

należą do Francyi?" Bo ci dwaj ludzie nieskazitelni, szczerzy, bezinteresowni, byli rycerzami dwóch walczących z sobą od wieków we Francyi zasad: władzy i wolności. Każdy z nich w gronie swych stronników, był kochanym i szanowanym, a co więcéj i co w naszych czasach częstego dla materyalnych korzyści zaparcia się najsilniejszych pozornie przekonań, jest rzadkością, na gruncie zasad nie wzruszonymi i konsekwentnymi do śmierci pozostali. Jeden z nich otwarty nieprzyjaciel rewolucyi francuzkiéj, wierzący tylko bezwzględnie w średniowieczną formułę praw z Bożéj łaski, były adjutant Radeckiego i Windyszgreca, pobiegł bić się za sprawę władzy doczesnéj, podniesionéj w jego przekonaniu aż do dogmatu nieomylności; drugi, szukając wszędzie sprzymierzeńców dla rewolucyi francuzkiéj, gorliwy apostoł wszechwładztwa ludowego, dawny barykadowy żołnierz, pobiegł walczyć za niepodległość narodu, pobiegł walczyć za wolność.

Pimodan i de Flott przedstawiali tutaj dwie cnoty téj tak dziwnie sprzecznéj z sobą Francyi, przezwane duchem rutyny i duchem awanturniczości, lecz które nazwałbym raczéj: wiernością w szukaniu idealnego szczęścia na ziemi. Co do mnie, nie żałuję wcale tych dwóch ludzi tak powierzchownie różniących się pomiędzy sobą, a na gruncie poświęcenia, odwagi i ducha ofiary, tak do siebie podobnych; gdyż jeżeli padli, padli dla sprawy, którą dobrowolnie za cel swego życia obrali i sądzę, że jeżeli gdzie spełnia się jaki wielki akt ofiar i szczerego, bezinteresownego dla ludzkości poświęcenia, dobrze, iż Francya przez dzieci swoje jest reprezentowaną.

Tłumaczył z francuzkiego, **Maurycy Karasowski.**

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„O Dandyzmie i Brummelu" szkic obyczajowy p. d'Aurévilly. — Porównanie romansu francuzkiego z angielskim „Guy Livingstone", Lawrence'a. — Franciszka Hugo ósmy tom przekładu dzieł Szekspira. „Krzysztof Kolumb" dramat p. Metespès. — „Wakacye doktora" komedya Rolland'a. — Odkrycia Bunsen'a i Kirchhoff'a. — Biografia ś. p. Izydora Geoffroy Saint-Hilaire. — Wiadomości literackie.

Podobnie jak gospodynie mające do karmienia liczną czeladź, na przednówku skrzętnie wyprzątają śpiżarnie i wynoszą na stół wiktuały zapomniane w czasach obfitości; tak teraz wydawcy paryzcy otrzepują z pyłu zapomniane książki, przedrukowują francuzkie, tłumaczą angielskie i zapełniają niemi puste stodoły ducha: księgarnie. Publiczność tutejsza nie tylko nie utyskuje na chudość takiéj strawy, ale ją zajada smacznie: są z niéj zadowoleni ci mianowicie, co wolą zawsze tłumaczone arcydzieło niż oryginalne głupstwo: czyli, szukając jeszcze porównania w kuchni, nad świeżo upieczonego wróbla przekładają odgrzewanego bażanta.

Otóż, książki wznowione i tłumaczenia, to dwie potrawy, któremi obecnie czytająca ludność Paryża się karmi. Przekłady angielskich powieści, w największéj są modzie; wznowienia także z romansowego pola przybywają najczęściéj, zapewne dlatego, że jak dowodzi Mefistofeles Faustowi, „tylko krzew życia wiecznie się zieleni".

„*Alles war schon da gewesen*" powtarza rabin Gutzkowa nowatorowi Akoście; jeżeli tak jest, jeżeli z czar-

noksięzkiéj latarni mózgu ludzkiego żaden nowy twór już nie wyjdzie; jeżeli to tylko nowe, co się zestarzało; nie mała wdzięczność należy się francuzkim wydawcom, że przedrukami lub tłumaczeniami powieści znakomitych, zalewają wyschłe łożysko natchnienia literackiego; może tym sposobem obudzą u siebie uśpionego ducha obserwacyi.

W rzędzie utworów wznowionych, piérwsze zajmuje miejsce studyum obyczajowe pana Barbey d'Aurévilly, pod napisem: „*Du Dandysme et de Brummel*". Książka ta niegdyś odbita tylko w kilku egzemplarzach, rozdawana nie sprzedawana, miała wielki rozgłos w małém kole dostojnych czytelników, ale na ulicę nie zeszła. Dziś dopiéro, odszukana w arystokratycznych bibliotekach i odbita na tysiące exemplarzy, stała się, jak wszystko co dobre, częścią powszechnego mienia. Nie sądźcie jednak, żeby to była szkatuła pełna brzęczącéj monety, powszedniéj a użytecznéj; nie: jest to raczéj klejnot artystycznie opracowany, mogący razem za broń służyć, bo ma i świetność brylantu i jak on krajać może.

Heliogabal wzniósł niegdyś mauzoleum „cieniom kryształowéj czary". Aurévilly pamięci równie błahego przedmiotu dzieło swoje przekazał: bohatérem jego Jerzy Brummel, sławny dandy angielski. Historya tego kawalera niepospolita: plebejusz, wnuk pasztetnika, opanował najdumniejszą i najwyłączniejszą w świecie arystokracyą.

Faworyt księcia Walii, przyjaciel wszystkich znakomitości swego czasu, wyrocznia klubów, król *rautów*, prawodawca etykiety, Brummel przez lat piętnaście rządził samowładnie na powierzchni brytanicznego świata. Młodzież kopijowała jego ubiory jak malarze kopijują arcydzieła mistrzów; węzeł jego krawatu był problematem dla czcicieli dobrego smaku; lodowate obejście i obosieczne uśmiechy, dodały salonowemu kodexowi kilka nowych paragrafów w rozdziale o *bezczelności*: krótko mówiąc, Brummel był praojcem licznéj dziś rodziny dandych, tworem ciekawym, nie w królestwie przyrody, bo nie Bóg go stworzył, ale w królestwie Wilhelma Zdobywcy.

Ażeby dowiedzieć się co to jest dandyzm, trzeba żyć z arystokracyą angielską na stałym lądzie: mimo mnogich usiłowań, mamy tylko mdłe próbki tego rodzaju. Dandyz-

mem zwie się kształt dziwny, którego nabiera próżność ludzka pod wpływem angielskiéj oryginalności. Dandy, jest to król wykwintu, bożek nudy, patrzący na świat okiem szklanném, jak jego lornetka; człek trapiący się krzywém zagięciem mankietu jak sybaryta fałdkiem różanego listka; sto razy czulszy dla konia, który go niesie, niż dla ludzi, których obryzguje, migając, po angielsku na czole wyrytym napisem: pomiędzy wami a mną, nic wspólnego.

Pycha, obojętność i szyderstwo, oto trzy cnoty teologiczne dandego. Świat kończy się dlań z końcem jego paznokci... zapał, uwielbienie, miłość nawet są mu nie znane. Patrzy, i pozwala patrzyć na się. Na teatrze świata odgrywa rolę wzgardliwego spektatora, na którego nawet aktorowie spoglądają ukradkiem. Sądzi jedném słowem, gani jedném wejrzeniem; tajemna ugoda przyznaje mu nieomylność w błahościach, które w słowniku elegancyi noszą miano cnot i zbrodni. Jestto próżnujący pan przewrotnego świata.

Oto charakter dandyzmu i dandego. Kreślimy tu tylko lekko piórkiem szkic przedmiotu, który pan Aurévilly głęboko umiejętnym rylcem sztychuje. Krawiec mógłby go wyręczyć wybornie, gdyby ów dandyzm, który w Brummellu uosobił, nie był za jedną połę do historyi przyszyty.

Autor obok portretu Brummela, stawia obraz angielskiéj społeczności. Obraz jest arcydziełem, portret zdaniem naszém, zbyt pochlebny. Pan Aurévilly pędzlem Van Dyck'a wymalował figurę zasługującą co najwięcéj na ołówek Gavarniego. Nie stosownie jéj było taką nadawać wagę. Człowiek znaczący przez elegancyą, nie może znaczyć trwale: dandyzm jest *fazą* tylko, nie professyą. Młodość z modą przemija, urok znika; zostaje... co? drąg do wieszania sukien.

Brummel przeszedł całe to przeobrażenie. Niełaską monarszą wyrzucony do Francyi, bez majątku i protekcyi, ów lew pyszny schodzi do rozmiarów komara: duma jego, która była tylko salonową pozą, skruszyła się w piérwszém starciu z ubóstwem; rozebrawszy go ze zbytku, nędza odkryła mizerny szkielet: zepchnięty z tronu elegant nie przydał się nawet na ambasadora czwartéj klassy. Dwadzieścia lat wegetował w Calais, grając dla siebie sa-

mego dawną rolę. Zamiast chleba kupował pachnidła, wreszcie jak Clarence w małmazyi, utopił się w kolońskiéj wodzie.

Gdyby nie to lapidarne przedstawienie znikomej Brummella postaci, studyum p. Aurévilly możnaby w poczet najlepszych policzyć. Głębokie tam poczucie opisywanéj epoki, fantazya bujna obok zdrowego rozsądku: żart nawet każdy ma znaczenie. Gdyby mi kazano ułożyć winietę na okładce téj książki, przedstawiłbym autora pod postacią Clio piszącéj historyą ołówkiem na wachlarzu.

—Z nowych angielskich romansów tłumaczonych na francuzkie, dotąd najpierwsze zajmuje miejsce „*Guy Livingstone*" Lawrenc'a. Dążność téj powieści wysoka.

Uderzony zniżeniem miary charakterów, pobłażliwością z jaką wystygła brakiem słońca wiary, ludzkość, przepuszcza najpodlejsze czyny byle ukoronowane powodzeniem, młody szlachcic angielski, prosty porucznik Horse-Guardów, Jerzy-Alfred Lawrence, w ciągu dwudziestu siedmiu dni napisał, a raczéj zaimprowizował powieść, która go jednym rzutem postawiła w rzędzie pierwszych romansopisarzy angielskich.

Talent Lawrenc'a całkowicie usprawiedliwia koleżeństwo z Walterskotem i Cooperem, na które uwielbienie ziomków go wyniosło. „*Guy Livingstone*" nie jest mądrze opracowaném opowiadaniem, ani artystycznie oszlifowaną fraszką, ale wybuchem oburzonéj duszy, protestacyą stale prawdę miłującego serca przeciwko moralnemu upadkowi ludzkości.

Próżnoby szukać czego podobnego w płodach młodych romansopisarzy francuzkich.

Pomiędzy romansową literaturą angielską i francuzką zachodzi niezmierna różnica: każdy prawie romans angielski jest moralny, prawie każdy francuzki niemoralny. Pochodzi to ztąd, że powieść, owa zamaskowana historya prywatnego życia, nie może fałszować faktów. Otóż Anglicy posiadają nad Francuzami ogromną wyższość obyczajową: praktykują oni *romansowość w prawowitości*, kiedy Francuzi znają tylko *romansowość w nieprawowitości*. Zamiast włożyć, jak Anglicy, poezyą w małżeństwo, szukają jéj w związkach przelotnych; poezya

u nich przed stułą jak przed lodem zmyka. Gdyby Abeilard mógł był ożenić się z Heloizą, stałby się był niechybnie najobojętniejszym małżonkiem. Anglik czci swoją żonę, całą potęgą uczucia, jakie Francuz zachowuje dla kochanki; nie wybiera też sobie we 25 minut towarzyszki całego życia. W Londynie przejście z panieńskiego pokoiku do małżeńskiéj komnaty trwa lat kilka, a stacye na téj drodze znaczą niełatwe próby. Francuzi zastosowują elektryczność do legalnego zrzeczenia się siebie. Małżeństwo tu kupuje się jak grób: *Concession à perpétuité.*

Ztąd musiała wyniknąć niezaprzeczona wyższość moralna romansu angielskiego nad francuzkim: piérwszy jest obywatelem, drugi awanturnikiem.

Potrzeba geniuszu Balzaka lub Georges Sanda, żeby nawet Francuz mógł przebaczyć niektóre malatury własnych obyczajów. Romans angielski jest naturalném zwierciadłem rodziny; romans francuzki, skoro tylko wchodzi w zakres normalny, natychmiast stygnie i staje się kubkiem wody letniéj, niepodobnéj do przełknięcia. Nie jestto wina pisarza, ale wina społeczności, któréj on jest fotografem.

Można całkowicie zastósować do romansu francuzkiego, bujającego zwykle po szczytach społeczności, słowa owego łorda, który zapytany podczas reprezentacyi *Demi-Mondu*, jak mu się sztuka podoba, odrzekł: „Sztuka dobra, ale społeczność nie warta, żeby ją przedstawiano".

Powieść francuzka, równie jak dramat czerpiąc natchnienie tylko z życia zewnętrznego, musi mieć cechę lekkomyślności, która umysły poważne razi. Romans angielski przeciwnie, czerpiąc żywioły w życiu domowém, jest niby brewiarzem brytanicznéj wyobraźni. Francuzcy powieściarze piérwéj są artystami, niż ludźmi; angielscy piérwéj ludźmi, a potém... czasem artystami.

Ztąd ów ton pozytywny angielskiego romansu, zawsze uczący, rzadko bawiący. W gruncie literatura francuzka grzeszy optymizmem: literatura angielska jest pessymistką.

Zważywszy to wszystko, łatwo wytłumaczyć sobie niełaskę, jakiéj Bajron we własnym kraju doznawał.

Mógł on zaspokoić hojnie wszystkie aspiracye i zachcenia na stałym lądzie, ale nie mógł żadnym sposobem wsiąknąć w angielską krew. Silna budowa trzech połączonych królestw nie przyjmuje téj przedziwnéj trucizny; a gdyby przypadkiem działać chciała, zażywa antidotum: kilka kart Thackeray'a lub Dickensa, zakłócone bicie pulsu regulują.

Francuzi jeżeli chcą pozostać w przepisach surowéj przyzwoitości, wydają co najwięcéj tak blade i mdłe talenta jak Feuillet.

Jeżeli pragniesz wyjść na chwilę z niezdrowéj atmosfery, w któréj myśli paryzkich pisarzy więdną teraz, jak paryzkie kwiaty w ciemnych buduarach; jeśli wzrok twój skrócony mnogością karłów, zasmucony plam widokiem, pragnie zobaczyć ludzi działających na wolném powietrzu, czytaj *Livingstona*. Nie jestto już romans, ale nowoczesna epopea. Dzieje Livingstona, to *Iliada* w czarnym fraku. Bohatérowie jéj z jednéj sztuki ulani, nie czynią koncessyi wielmożnym; nie znają dróg krętych; nie wojują bronią podłych, chytrością: idą zawsze do celu prosto, czy na téj drodze przepaść, czy oaza ich czeka. Wytrwałość ich granitowa! Dzięki takim ludziom, wyraz *niepodobieństwo* nie istnieje w angielskim języku.

Wspaniałomyślność dla słabych, miłość dla serc nie dających się dwa razy, nienawiść niesprawiedliwości i niewoli: te są cechy figur romansu Lawrence'a: widownią jego Wielka Brytania.

Na tle ponurém angielskich i irlandzkich krajobrazów, mieniącém jak ocean co ich brzegi oblewa, pachnącém wonią lasów, szumiącém morską falą obok męzkich kolosów, trzy niewieście rysują się postacie: Flora, rodzaj angielskiéj Celimeny, podbójcza piękność czarnooka, typ wyborowy anglo-saksońskiéj rasy; Konstancya, piękna blondynka, uosobienie rezygnacyi, i Izabella, typ pośredni, pełen rodzimych powabów. Wszystkie trzy te dziewice można pokochać, można je nawet zaszczycić braterską miłością, tak mają ustalony charakter i wybitną osobistość swoją. Istnienie swobodne, pełne światła i powietrza, jakiego używają w rzeczywistości i romansach, nadaje Angielkom znaczenie, które wszędzie szacunek męz-

kim swym puklerzem otacza. Stare rycerskie zasady dotyczące kobiet, żyją i obowiązują dotąd w Wielkiéj Brytanii. *Półświat* nie odziera tam z uroku świata: najwystępniejsza z bohatérek Lawrenca, Flora jest łowiecką Dyaną, któraby we Francyi otrzymała nagrodę cnoty.

Franciszek Hugo wydał ósmy tom swego przekładu Szekspira. Zapał, z jakim pierworodny syn wielkiego poety dokonywa tego pomnikowego dzieła, w ciągu kilkoletniéj pracy nie zwolniał ani na chwilę: ostatnie przekłady równie wierne i natchnione, jak piérwsze.

Tom ósmy zawiera dwa arcydzieła: „*Weneckiego kupca*" i *Jak wam się podoba*". Ta ostatnia sztuka była przedmiotem szczególnych starań tłumacza; poeta liryczny widocznie rozkoszował się tą sielanką, która w dziele Szekspira jest jak owa „palma zielonowłosa", co wędrowca na pustyni „z cieniem i owocem czeka". Nic w istocie czarowniejszego, jak ta na wieś wycieczka, w któréj Szekspir najsłodsze snuł marzenia. Zmordowany badacz okrutnego i przewrotnego świata, z widoczną radością ucieka na pustynią, kryje się w Ardeńskim lesie i tam swój dramat zamyka. Las ten choć nazwę rzeczywistą nosi, nie jest z tego świata, ale ze strefy idealnéj, gdzie pływa wyspa *Burzy*, gdzie wznoszą się Ateny *Snu nocy letniéj*. Jestto świątynia natury, na któréj ozdobę roślinność wszystkich klimatów się składała, a zwierzęta wszystkich krajów zeszły się, jak do arki Noego. Wygnany z królestwa swego monarcha, w tym raju zapomina o świecie i prawach ludzkich; ze wszystkich bogów przeszłości przywiódł z sobą na pustynią tylko jednego: Miłość.

Wśród szczęśliwych cieni tego elizeum, jeden stary Jakób nie wygoił serca z ran otrzymanych w towarzyskiém życiu. Nawet wymogi życia fizycznego go rażą: widzi skazy w tym raju, płacze nad dolą ściganego jelenia; twierdzi, że człowiek mordujący niewinne zwierzęta na łonie natury jest najgorszym z tyranów.

W całym teatrze Szekspira nie ma dziwniejszéj figury, jak ten ardeński filozof. Jestto Hamlet w spoczynku, Hamlet na wakacyach, usunięty z pola czynu, już bez-

interesowny w życiu, ale wyszydzający je po odegranéj w niém roli, jak aktor za kulisami drwiący z dokończających sztukę kolegów. „Świat cały jest teatrem, powiada Jakób, a wszyscy ludzie jego komedyantami; wszyscy mają swoje wejścia i wyjścia, każdy odegrywa rozmaite role siedmiu wieków. Najprzód dziecko płacze i ślini się na ręku mamki; potém student z książką, rozmazany i rumiany, wlecze się niechętnie, jak ślimak do szkoły. Potém kochanek śpiewa, niby piec rozpalony, swój czarny tryolet do brwi swéj lubéj. Potém występuje żołnierz z pełnemi przekleństw usty, brodaty jak lampart, drażliwy w punkcie honoru, do kłótni skory, goni za dymem sławy aż do armatniéj paszczy. Potém sędzia pulchny z surowém wejrzeniem, brodą uroczyście ostrzyżoną, pełen mądrych przypowieści i banalnych zasad wychodzi i gra także swoją rolę. Szósty wiek pokazuje nam chudego Pantaleona w pantoflach, w okularach na nosie i workiem przy boku. Głos jego dawniéj pełny i męzki, powraca do dziecinnego flecika i gra na nim świszczącą nutę. Scena finalna zakończająca ten historyczny dramat, jest drugie dzieciństwo: stan zapomnienia, bez zębów, bez oczu, bez smaku, bez niczego".

W ten sposób ów splennik humorystycznie szydzi z ludzkiego życia. Zjawienie Rozalindy przerywa jego monologi i spokój oazy zakłóca. Córka byłego króla przebrana za pazia wraz z Celią córką uzurpatora, przybywają do Ardeńskiego lasu. Orlando kochanek Rozalindy przybiega za nią. Miłość wnet rozpościera się po lesie, akcya wolnieje, jak cięciwa porzuconego na wrzosach łuku; jakieś lube omdlenie opanowuje dramat i zmienia go w sielankę. Las działa na ludzi a ludzie na niego; on daje im spokój, oni jemu duszy swéj użyczają; kora pokrywa się cyframi kochanków; na krzewinach rosną sonety, strumienie łzy toczą nie wodę, mrucząc zwrotkę genueńskich nosiwodów: „*Son lagrime d'amor non e acqua!*" Miłosne pary snują się między drzewami, a szeptom ich wtóruje odległy odgłos rogu lub nuta pasterskiéj fletni... Miłość kochanków nastraja na swój ton wszystkie serca, natura rozwiązuje dramat: przemienia złych, rozbraja zbuntowanych. Kain pada w objęcia Abla. A kiedy

klassyczny himen z zapaloną pochodnią przybywa łączyć pary, rzekłbyś, że to geniusz czarownego zacisza, przychodzi cieszyć się swém dziełem i uświęcić swe cuda.

Jakaż różnica pomiędzy tą idyllą a czarnym dramatem *Weneckiego Żyda!* Nie wiadomo, co w nim więcéj podziwiać: geniusz czy bezstronność Szekspira? W téj sztuce pełnéj przesądów swego czasu, wypowiada on nad schyloną w prochu rasą żydowską, sprawiedliwe wyroki, podobnie jak ów prorok, co przyprowadzony na górę, żeby przeklinał Izraela, nagle owiany szczytném tchnieniem, zmienia klątwy w błogosławieństwa. —„Co czynisz? spytał Balak Balaam'a. Przywiódłem cię, żebyś przeklinał mego wroga, a ty go błogosławisz"? Prorok na to: „Nie mamże wypowiedzieć tego, co Bóg w moje usta kładzie"?

Cóż to za typ potężny ten Shylock Szekspira! Jestto żyd taki, jakim go zrobiły średnie wieki: upiór i męczennik chrześciaństwa, złoty cielec ofiarny, wysłaniec zarazy i głodu, żywy potępieniec zamknięty w mieście boleści zwaném Ghetto. Kościół go przeklina, tron go odziera, miasto go traduje; prawo kładzie mu na głowę żółtą czapkę i piętno wybija na ramieniu. Przez gorzkie usta Shylocka, Szekspir opowiada wszystkie te obelgi i wszystkie zemsty:

„Panie Antonio, mówi żyd do weneckiego kupca, który chce od niego pożyczyć 3,000 dukatów, nieraz szydziłeś z mego handlu i lichwy; ja na to wzdrygałem tylko ramionami, bo cierpienie jest udziałem mego narodu; zwałeś mnie psem wściekłym i plułeś na moje żydowskie suknie. Teraz mnie potrzebujesz, przychodzisz do mnie i mówisz: pożycz pieniędzy, ty coś pluł na mą brodę i jak psa kopałeś nogami. Cóż mam ci odpowiedzieć? Czy, że pies nie ma pieniędzy, czy też mam ci się skłonić nizko i rzec: piękny panie, wczoraj wypchnąłeś mnie za drzwi, onegdaj pokopałeś, przedonegdaj policzkowałeś: za tyle dobroci ja dzisiaj pożyczę ci pieniędzy".

Antonio odpowiada: „Nieraz ci jeszcze w twarz plunę i wygnam jak psa, kopiąc nogami. Ale co to ma do pożyczki? Pożyczając nieprzyjacielowi, jeźli ci na termin nie odda, łatwiéj ci będzie go pozywać".

Z tego dyalogu łatwo zrozumieć układ, którym żyd daje chrześcianinowi złoto za funt ciała. Całe średniowieczne współzawodnictwo żyda z chrześcianinem streszczone w téj tragicznéj przenośni. Chrześcianin depce żyda jak podłego robaka; robak wyślizguje się z pod rozgniatającéj go nogi, spina się i kąsa wroga swego w *kieszeń*, jedyną szparę, jaka istnieje u zbroicy, którą go prawo opancerzyło. Tą szparą żyd wyciąga uprzywilejowanemu chrześcianinowi fortunę, życie, honor, najczerwieńszą krew z żył jego.

Dziwna nielogiczność! Ludzie w wiekach średnich gardzili pieniędzmi, a splendory ich czcili; brzydzili się nabywaniem, a nie brzydzili wydawaniem złota. Przemysł, spekulacya, handel, wszystko to dla ówczesnych możnych było zajęciem podłém, krzywdzącą robotą. Sam tylko żyd w owych żelaznych wiekach posiadał magnes złota. Wymyślił on algebrę bogactwa, kredyt, dzierżył klucze od skarbów Wschodu. Ghetto czarnym kawałem sterczące wśród rozkosznego miasta, podobne było do owéj góry magnesu z Tysiąca Nocy, która przyciągała do siebie żelaztwo wszystkich rozbitych okrętów. Pistole i denary ściekały tam niewidzialnemi kanałami. Prędzéj czy późniéj, pyszny książe lub burgraf wyniosły, którego szpada przybijała do ziemi żyda, co śmiał następować na jego cienia, zapotrzebowawszy pieniędzy na okup lub festyny, musiał przestąpić piekielne bramy Ghettu. Szła tam szlachta o szaréj godzinie, postukać do drzwi Izaaka lub Nataniela: wtedy starzec ze złotą lampą w ręku otwierał. Nie byłto już ów parya w łachmanach, który w dzień ze spuszczoną głową, chyłkiem około muru, pełzał po ulicach, oglądając się wkoło. Patryarchalny turban otaczał łysą jego głowę; długa suknia wschodnia dawała mu pozór kapłana lub sędziego. Ściany pokoju lśniły od złota i azyatyckich materyj; z wnętrza domu wiała woń, jaką przywożą wyładowane indyjskiemi towarami okręty. W głębi z po za kwiecistéj firanki ukazywała się głowa dziewicy z orlim nosem i dyamentowemi oczyma, głowa córki gospodarza. Ona patrzyła na *goya* wzrokiem żądz pełnym, a ojciec z gościem zasiadał przy stole, gdzie stała szala złota. Tam przy świetle siedmio-

ramiennego lichtarza układali pożyczkę żyd z chrześcianinem, jak równy z równym. Podczas téj jedynéj chwili zrównania, wsie pańskie, jeziora i lasy wpadały do skrzyni, z któréj hebrajczyk wyciągał swoje wory.

Cały ten obraz staje ci w oczach, kiedy czytasz „*Weneckiego Żyda*".

Shylock Szekspira jest okrutny, ale nie jest podły. W lichwiarskiéj jego piersi bije nienawiścią wzdęte, goryczą strute serce: uosabia on wszystkie nędze i urazy Izraela, urazy, które zatrzeć mogą ledwie przez wieki świadczone dobrodziejstwa; jest on wcieleniem błota, ciemności i przekleństw całego Ghetto; przez jego usta jęczy naród uciśniony; czasami głos Shylocka podnosi się do wysokiego tonu ludu broniącego swéj sprawy w obec ciemiężyciela. „Czyż to żyd nie ma zmysłów, czucia, namiętności: czy nie jest podległy tymże chorobom, leczony temiż leki, ziębiony tąż samą zimą, rozgrzewany tém samém słońcem co chrześcianin? Jeżeli nas kłujecie, czyż krew nie płynie? Jeżeli nas trujecie, czy nie umieramy? Jeżeli nas depczecie, czy się nie mścimy? Podobni wam we wszystkiém i w tém także podobni jesteśmy. Ha! nauczyliście nas mścić się: korzystajmy z przykładu, a jeśli można, prześcignijmy naszych mistrzów".

Chociaż już, dzięki niebu, we Francyi tych prawd powtarzać nie trzeba, pan Dugué z małemi odmianami przełożył *Weneckiego Żyda* i kazał go przedstawiać w Ambigu. Shylock francuzki jest zaledwie cieniem Szekspirowskiego, ale trochę go przypomina. To dość, żeby pouczyć widzów.

W teatrze *de la Gaîté* przedstawiają *Krzysztofa Kolumba*, dramat dogadzający oczom, uszom i sercom ludu. Autor (Métespés) więcéj radził się legendy niż historyi wielkiego żeglarza, i lepiéj zrobił, bo mimo jéj kwaśnych komentarzy, Kolumb był i będzie figurą cudowną. Historya dowodzi, że Kolumb matematykę i kosmografią znał słabo; że odkrył Amerykę bezwiednie; iż żeglował po morzu snów swoich, biorąc wyspy za stałe lądy, a lądy za

wyspy; cierpka ta weredyczka zapiera nawet, żeby Kolumb chciał się poświęcić dla ludzkości: twierdzi, że pochodnią oświecającą jego przedsięwzięcie była zapłata, któréj się spodziewał. Ale wszystkie te szykany, podobne zarzutom, jakie czyni *Gazeta francuzka* Garibaldemu, ani jednego promyka jego sławy nie gaszą. Człowiek, który wydobył świat ze swego mózgu, którego wiara silniejsza niż ta co góry przenosi, wyłowiła z oceanu drugą pół-kulę; jasnowidzący bohatér, co przeczuł niewidzialność i ażeby ją schwycić, rzucił się w ryczące fale ciemnego oceanu: człowiek taki, mówię, zasługuje zawsze na uwielbienie świata, i czy znał matematykę czy nie znał, godzien jest ażeby go ludzkość czciła w cudownéj formie.

Owa niezmordowana walka umysłu proroczego z ciemnotą epoki, owa podróż piérwsza, która jest tém w porównaniu z podróżami późniejszych żeglarzy, czém Geneza do Odyssei; owe dwa powroty, z których jeden był tryumfem, drugi pochodem winowajcy; niewdzięczność rosnąca w olbrzyma, jakby chciała wielkości dobrodziejstwa dorównać; niezłomna wiara starca rzucającego się na niewdzięczne morza prawie w godzinie skonu, i odkrywającego lądy nowe na podobieństwo owych patryarchów, którzy w starości poczynali ludy.... ubóstwo jego, w obec naładowanych złotem okrętów, które z nowego świata prowadził; wreszcie skon samotny i gorzki... owe kajdany, które kazał włożyć do trumny, ażeby powstać z nimi i pokazać je na sądzie ostatecznym jako świadectwo niewdzięczności ludzkiéj: wszystko to do najwyższego stopnia nęci wyobraźnią poety i może łatwo natchnąć dramaturga.

Na scenie w Gaité, życie Kolumba roztacza się jak panorama kolorowa. Intryga miłosna, równie nie stosowna w tak wielkim przedmiocie jak słodki bilecik pomiędzy kartami mappy świata, przeplata ważne wypadki.

Z genueńskiego domu bohatéra, widz udaje się z Kolumbem do klasztoru, który odgadł jego geniusz. Następnie Krzysztof ukazuje się na okręcie, zkąd odkrywa *ziemię*; potém na wyspie San-Domingo przyswaja łagodne plemiona, które do niego w pław biegły. Jeden

z najpiękniejszych obrazów jest przedstawiający *widzenie*, które Kolumb opowiada w liście królowéj hiszpańskiéj z Hiobowém przerażeniem i Ezechielowską wymową.

Izabella nieco podrosła w dramacie pana Metéspés. Wprawdzie piérwszy jéj zapał trwał krótko: niewdzięczność wnet go ostudziła; ale historya wdzięczną jéj jest za tę jednogodzinną wiarę: jako Kalidia Mahometa, uwierzyła w Kolumba, kiedy jeszcze nikt w niego nie wierzył.

Dramat zyskał wielkie powodzenie. Aktorowie grają wybornie, dekoracye przepyszne. Obrona wyspy i balet dzikich, przypominający pijane niedźwiedzie, które Chateaubriand widział tańcujące w winnicy, budzi niewypowiedzianą uciechę w całém audytoryum, po większéj części bluzowém.

—Młody dramaturg paryzki, Amedeusz Rolland, autor *Dorobkowicza* i *Mimowolnego doktora*, którego wolny przekład rymowny, Biblioteka Warszawska umieściła niedawno, napisał dla Odeonu cztero-aktową komedyą wierszem, tak pod względem układu jak stylu wyższą od dwóch poprzednich utworów. *Wakacye doktora*, chociaż wiele jeszcze do życzenia zostawiają, postawiły Rollanda w piérwszym rzędzie młodych dramaturgów francuzkich, być bardzo może, iż ich wszystkich z czasem prześcignie.

Zarzucano słusznie Rolandowi, że dorabia muzykę do powszedniego życia. Tą razą wpadł w błąd przeciwny: wiersze jego grzęzną w prozie po uszy. Ale to już nie unikniona wada skutéj aleksandrynami komedyi. (Mówię *komedyi*, bo taką nazwę nosi we francuzkim języku, każda, choćby najsmutniejsza historya wzięta ze spółczesnego życia prywatnego, napisana w formie klassycznéj i niekończąca się śmiercią.) Komedya tedy spółczesna, mówi nie swoim językiem, gra na fałszywym instrumencie. Jeżeli do liryzmu się wznosi, utraca prawdopodobieństwo; jeżeli na ziemi pozostaje, tworzy uderzającą niestosowność z akcyą: jest w tym rodzaju coś fałszywego, poziomego, czego największy talent poprawić nie może: wiersz w ustach episiera zawsze razić będzie. Po za tragedyą i dramatem, tylko figury dziejowe, widziane w perspektywie wieków, mogą właściwie mówić wierszem.

Uczyniwszy tę ogólną uwagę, bezstronny krytyk już tylko chwalić musi dwa piérwsze akty téj pełnéj łez *komedyi*, któréj przedmiot sto razy podjęty, wiecznie zajmuje. Jestto zmartwychwstanie piérwszéj miłości, która zdawała się umarłą, a była tylko żywcem pogrzebioną. Ocknąwszy się nagle, dawna namiętność spostrzega inną, panującą w sercu, z którego ją wygnano: straszliwa walka wszczyna się pomiędzy obecném szczęściem a minioną rozkoszą, pomiędzy aniołem usiłującym zachować swą zdobycz, a szatanem, który chce schwycić ją powtórnie.

Dla większego wrażenia, autor postawił w arenie dwie przyjaciółki. Hrabia Raul poznał w domu opiekuna doktora dwie młode sieroty. Armanda była uboga jak on; pokochał ją i postanowił z nią się ożenić. Ale podczas kiedy pojechał na drugą półkulę zdobywać dla niéj majątek, Armanda niecierpliwa dostatków, poszła za jakiegoś starego księcia. Raul powróciwszy, byłby umarł z rozpaczy, gdyby obok niewiernéj kochanki nie był znalazł Joanny, jéj przyjaciółki, któréj dobroć uleczyła jego zranione serce.

Raul sądząc się zupełnie wyleczony z dawnéj miłości, zaślubia Joannę. Następnego roku, Joanna ufna w przywiązanie męża, przyjmuje w swój dom Armandę. Tam zerwany węzeł się zawiązuje na nowo. Dramat rozpoczyna chwila, kiedy wiarołomstwo już pod dach młodéj pary się wkradło.

Piérwszy akt maluje dobrze niepokój poprzedzający nadchodzącą burzę. Joanna domyśla się zdrady, ale nie wie jeszcze, iż ma ją obok siebie. Szuka rywalki. Przeczucie pcha ją ku Armandzie, ale ilekroć chce jéj czynić wyrzuty, cofa się z niedowierzaniem. Najbezecniejsza z namiętności, zazdrość, znakomicie w tym piérwszym akcie odszkicowana.

W drugim akcie Joanna już wie wszystko: odgadła zabijającą swe szczęście nieprzyjaciółkę; czyni zasadzkę i schodzi miłość zbrodniczą. Następna scena jest przerażającą. Znieważona małżonka czyni kochance gorzkie wyrzuty. Armanda dowodzi gwałtownie, że piérwéj panowała w sercu Raula i ono do niéj należy. Tragiczna

zgroza cechuje tę kłótnią dwóch kobiet wyrywających sobie jednego. Szkoda, że dramat na niéj się nie kończy.

W ostatnim akcie Joanna szpetnieje podając mężowi truciznę, któréj się sama pierwéj napiła. Wprawdzie Joanna zabija, jak Hermiona ze zbytku miłości, ale jest w arszeniku jakiś brud piekielny, który najbielsze i najszlachetniejsze ręce wala: podana w bronzowéj czaszy starożytnéj, trucizna przeraża—rozpuszczona w filiżance ziółek, obrzydzenie sprawia.

Nieszczęśliwa ta trucizna pociąga za sobą w komedyi, konieczne antidotum. Podaje go doktor w sam czas, a scena wchodzi w zakres melodramatycznéj apteki. Nagłe nawrócenie Armandy zostającéj zakonnicą, także nieprawdopodobne; dodać jeszcze trzeba, że doktor puszczający krew zapadłemu w gorączkę dramatowi, nie usprawiedliwia wcale tonu nieomylnéj wyroczni, w jakim przemawia. Trzymając za puls pacyentów, deklamuje morały, ale niebezpieczeństwo spostrzega dopiéro, skoro trucizna skutkować poczyna. Możnaby także zarzucić, że pan Raul jest zbyt niepoczesną nagrodą tak zażartego boju. Ale podmuch namiętności przebiegający sztukę, zwiewa omyłki i niedostatki. Publiczność pozostaje do końca pod wrażeniem porywających scen drugiego aktu: wzruszenie jest tak gorące, że nie ma czasu ostygnąć.

Prócz tych, o których wspomniałem, dwie jeszcze sztuki zajmują obecnie Paryżanów: znana trzech aktowa komedya Musseta *On ne badine pas avec l'amour*, przedstawiana po raz piérwszy w Théatre français, i nowa komedya Wiktora Sardou, pod tytułem *Nos intimes*. Ostatnia ta sztuka jest rodzoną siostrą komedyi obrazkowéj *les Faux Bonshommes* którąśmy na tém miejscu szczegółowo rozbierali.

W teatrze Ambigu przedstawiony ma być téj zimy, pięcio-aktowy dramat Franciszka Hugo, ułożony z zapowiadanéj a dotąd nie drukowanéj powieści Wiktora Hugo *Les Miserables*.

Na dowód, że postępy nauki na jakimbądź punkcie globu dokonane nie są mu obojętne, Napoleon III posłał

dwom professorom hejdelberskim dwa ordery: Bunsenowi krzyż oficerski a Kirchhoffowi krzyż legii honorowéj.

Senator i członek Akademii nauk, Dumas, rozprawiał szeroko na zebraniu uczonego grona, o świeżém naukowém odkryciu, którém Niemcy wsparły filozofią naturalną. „Równie jak w początku tego wieku, powiedział Dumas, elektryczność w ręku p. Davy stając się środkiem analizy powszechnéj, odłączyła kruszec od ziemi; tak dziś światło niemniéj płodne w cuda, dawszy fotografią sztuce, stało się w ręku Bunsena i Kirchhoffa narzędziem analizy powszechnéj, narzędziem delikatności niesłychanéj, wykrywającém istnienie nieznanych metali."

Daléj, wykładając ziomkom przystępnie odkrycie hejdelberskich professorów, Dumas powiedział obszernie co tutaj w treści podajemy:.

Wiadomo każdemu, że rozłożony promień słońca, składa się z siedmiu kolorów, z których każdy swojéj barwy gammę zawiera, a od drugiego przedzielony jest czarną kréską. Wiadomo także, iż księżyc i planety, które jak tyleż zwierciadeł odsyłają ziemi światło słoneczne, rzucają zupełnie takie jak ono promienie. Inaczéj rzecz się ma z gwiazdami stałemi. Promienie ich powtarzają wprawdzie siedm kolorów głównych, ale przedzielające je czarne kreski rysują się inaczéj. Na promieniu każdéj gwiazdy stałéj owe rysy czarne naznaczone w inny sposób, dowodzą, pomiędzy temi od siebie i od nas tak odległemi światami, różnic i podobieństw, wedle których możnaby je uklassyfikować.

Światła sztuczne dostarczają także kolorowanych promieni, ale narysowane na nich krésy, których promień słoneczny nie posiada, charakteryzują ten rodzaj światłości.

Te to krésy, na słonecznym promieniu czarne, na odblasku ogniska kolorowe, zdradzając obecność, lub brak pewnych żywiołów chemicznych w gwiazdach lub płomieniach, panowie Bunsen i Kirchhoff zużytkowali.

Przekonali się oni, że wszystkie sole tegożsamego metalu, zapalone, tworzą w promieniu krésy jednakowego koloru i położenia. Że sole innego kruszcu, mają inny

kolor i inną pozycyą; że najmniejsza doza obcego metalu do zmienienia ich wystarczy.

Każdy tedy żywioł chemii nadaje widmu swój płomień właściwy, zdradzający jego obecność. Ztąd metoda analizy chemicznéj równie nadzwyczajna przez swoję prostotę i niezmierną czułość, jak przez swą powszechność i nieomylność, bo pokazuje z jakich żywiołów każda mieszanina się składa, jakich w niéj brak, a co większa, wskazuje dokładnie obecność nieznanych dotąd żywiołów.

Metoda, o któréj mowa, delikatnością przechodzi wszystkie znane sposoby rozbioru. Podzielmy naprzykład, dwa funty soli morskiéj na milion części, a każdą z tych na trzy miliony; jeden z tych śladów tak nieuchwytnych, wystarczy żeby zakomunikować płomieniowi własności charakterystyczne, zdradzające obecność sodium będącéj treścią soli morskiéj.

Teraz już żaden żywioł znany czy nie znany, nie będzie się mógł ukryć przed poszukiwaniem chemii. Istniejące przerwy w spisach ciał prostych, przeszkadzające dopełnieniu ich klassyfikacyi, będą zapełnione, rozbiór wód mineralnych zdoła zdać sprawę z ich własności. Geologia, która często szczątków jestestw organicznych używała jako świadectwa spółczesności gruntów stałych, powołując się na obecność lub nieobecność pewnych żywiołów w tychże gruntach, przywróci konstytucyą chemiczną mórz przedpotopowych, które je utworzyły, podobnie jak przywróciła przed pół wiekiem, populacyą roślinną i zwierzęcą.

Nie potrzeba już będzie dotykać ciała, żeby jego naturę chemiczną oznaczyć: dość będzie je zobaczyć.

Widmo słoneczne stało się teraz *świadkiem* konstytucyi chemicznéj atmosfery słonecznéj. Poznano w niéj żelazo, wapno i nikiel. Srebro, miedź, ołów zdają się w niéj nie znajdować. Rzecz godna uwagi: dwa żywioły gliny tak obfitéj na powierzchni ziemi *silicium* i *glin*, także się w niéj nie znajdują.

Czego dzisiejszy stan narzędzi optycznych pozwala dokonać względem słońca i głównych gwiazd stałych, nowe postępy dozwolą człowiekowi probować względem dalszych gwiazd, mniéj jasnych, i poznać tym sposobem,

z jakich żywiołów Bóg utworzył światy zaludniające przestwór.

Nauki fizyczne, od czasów Levoisièr'a, który piérwszy zdefiniował prawdziwe pierwiastki ciał, nie zrobiły większego postępu ku dokładnemu poznaniu rzeczywistych żywiołów materyi. Chemia mineralna wyprzedzona przez chemią organiczną i opuszczona, jednym skokiem odzyskuje dawną przewagę: teraz nikt nie może przewidzieć jak daleko zajdzie z pomocą nowéj metody.

Kończąc odczyt, którego tu treść podajemy, Dumas zawołał z goryczą: fizycy francuzcy, którzy długo i gorliwie studyowali też same co Bunsen i Kirchhoff rzeczy, mogą słusznie żałować, że nie oni dali filozofii naturalnéj pochop, jaki otrzymała od uczonych niemieckich.

Historya naturalna poniosła wielką stratę: dziesiątego listopada umarł tu Izydor Geoffroy Saint-Hilaire, sławny professor, autor dzieł wielu i piastun mnóstwa naukowych urzędów.

Izydor Geoffroy Saint-Hilaire urodził się w paryzkim ogrodzie botanicznym 16 grudnia 1805 roku. Jako syn uczonego Stefana, za młodu był wkładany do nauk, które kiedyś miały mu dozwolić dźwigać brzemię ojcowskiéj sławy. W szkołach poświęcał się przedewszystkiem matematyce i naukom przyrodzonym. W roku 1829 otrzymał stopień doktora medycyny. Znakomita *teza* jego nosi tytuł: *Propositions sur la monstruosité considereé chez l'homme et chez les animaux.*

Powyższa praca rozpoczyna szereg prac teratologicznych pana Saint-Hilaire, jest niejako wstępem do najważniejszego jego dzieła wydanego pomiędzy rokiem 1832 a 1837, pod tytułem *Historya powszechna anomalij u ludzi i zwierząt.*

W 1831 roku Saint Hilaire począł wykładać w Muzeum historyi naturalnéj, drugą część ojcowskiéj ornitologii, oraz kurs zoologi i teratologii.

Roku 1833 zajął w Akademii nauk opróżniony fotel pana Latreille.

W r. 1837 zastąpił miejsce ojca swego w Sorbonie.

W r.1840, został inspektorem Akademii paryzkiéj, a w skutek dymissyi ojca, professorem w Muzeum historyi naturalnéj.

W r. 1844 mianowano go inspektorem uniwersytetu i członkiem królewskiéj rady wychowania publicznego.

Po śmierci Blainvilla w r. 1850 otrzymał jego katedrę zoologii. W tym czasie poświęcał się studyowaniu zoologii stosowanéj i wykazał potrzebę zawiązania Towarzystwa aklimatacyi. Skutkiem jego przedstawień założono tu w r. 1860 ogród aklimatacyi, którego był zwierzchnikiem.

Odkrycia i prace Izydora Geoffroy Saint-Hilaire są podstawą klassyfikacyi przyjętéj dziś w naukach przez niego wykładanych.

Biografia Humboldta napisana po niemiecku przez p. Klencke, została przetłumaczona na język francuzki przez doktora Burgkly, lekarza majora paryzkiéj straży ogniowéj. Przekład dobry poznajomi Francuzów z wielkim naturalistą, którego więcéj na wiarę niż z przekonania wielbią.

—Gospodarz wiejski Barral, który oddawna zasilał rolnictwo zdrowemi radami, wysnutemi z doświadczenia, zaczął wydawać rocznik, pod napisem: *Dobry gospodarz.* Potrzebę téj publikacyi motywuje w ten sposób:

Tak zwany *Dobry ogrodnik*, którego piérwsze wydanie przeszło sto lat liczy, daje corocznie nowe, nauczające szczegóły dotyczące oranżeryi, kwietników, sadów i ogrodów warzywnych.

Marynarka posługuje się tak zwaną *Connaissance des temps*, gdzie znajduje wykazy, z pomocą których okręta mogą żeglować bezpiecznie. Bez téj książki handel morski nie mógłby istnieć a żaden okręt wypłynąć na pełne morze.

Annuaire du bureau des longitudes zawiera objaśnienia ku powszechnemu użytkowi, dokumenta statystyczne a nadto tabelle zastosowane do potrzeb męża stanu, urzędnika, inżyniera i ekonomisty, w miarę postępu nauk.

Gospodarze tylko dotąd nie mieli takiéj pochodni, którąby ich do postępu wiodła; *Dobry gospodarz* poda rolnikowi niezbędne wiadomości potrzebne do wykonania mnogich jego przedsięwzięć: będzie on dla rolnika tém, czém *Connaissance des temps* dla marynarza.

— Wyszło trzecie wydanie *Chemii fotograficznéj* panów Barreswil i Davanne. Książka uczy fotografować na szkle, papierze i blasze. Jestto zbiór wszystkich zastosowań chemii do sztuki fotograficznéj. Do nowéj edycyi dołączono opis wynalazków najnowszych. Jeden cały rozdział poświęcony jest sposobom powiększania mikroskopicznych odbić.

— Do Biblioteki Użytecznéj, przybył znowu tom jeden: *Historya domu Habsburgów*", napisana przez Rollanda.

Zanim dotkniemy téj książki, przypomnijmy, co to jest Biblioteka Użyteczna? Jestto zbiór małych książeczek, których zadaniem rozpowszechniać wiadomości najpotrzebniejsze człowiekowi i obywatelowi. Nauki fizyczne zajmują dział obszerny, znajdujemy w nim: *Notions d'Astronomie; Histoire de la Terre; Principaux faits de la Chimie; Mécanique Appliquée; Phénomènes de l'Atmosphère et de la Mer* etc. Hygiena powszechna, medycyna ludowa, wyłożone są obszerniéj. Niektóre książki zajmują się prawodawstwem; kilkanaście wykłada historyą. Do tego działu przybyła: „*Histoire de la Maison d'Autriche*".

Jestto tomik o 92 stronnicach; jedyną jego wadą, że się nie składa z trzystu. Autor opowiada zbyt treściwie, dlatego często czytelnikowi wątek się urywa, a szkoda, bo rzecz ciekawa. Wzrost rodziny Habsburgów rozwijającéj się i potężniejącéj jakąś tajemniczą siłą, rodziny, któréj wszystko na korzyść się obraca, czy to bezczynność, czy zręczność, podłość, śmiałość, tchórzostwo, śmieszności i wielkie czyny, same nawet zbrodnie, jest najciekawszym fenomenem dziejowym. Nic więcéj nauczającego dla ludów zawsze zbyt ufnych, jak obraz tego wzrostu i powodów, jakie się doń przyczyniły. „Przez ośm wieków, powiada autor, rasa Gunthram'a, Kazelin'a i Radbod'a, rosła na grabieży, utrzymywała się gwałtem, a usiłowała oczyszczać z przekleństw i zabezpieczać od

buntów, zapraszając kościół katolicki do podziału swych zysków".

Trudno krócéj i lepiéj zdefiniować dzieje domu Habsburgów.

— Edward Fournier napisał w dwóch tomach historyą tak zwanego Nowego Mostu, który jest najstarszym z paryzkich mostów. Właściwszy tytuł dzieła byłby, historya anegdotyczna Paryża. Każda karta w tych dwóch tomach jest obrazkiem: widzisz defilujące orszaki królów francuzkich; obok tych monarszych uroczystości, krwawe walki i wojny domowe, których ten most odwieczny był świadkiem. Daléj autor wprowadza czytelnika do teatru niegdyś na Pont Neuf istniejącego; tam pokazuje dzieckiem jeszcze, dziś ośmdziesiątletnią pannę Déjazet i wielu innych aktorów, którzy tam występowali nieznani jeszcze światu, sławiącemu ich późniéj. Pan Fournier jest uczonym i dowcipnym tłumaczem wszystkich tych obrazów.

— A propos obrazów. Byłbym zakończył to sprawozdanie, nie wspomniawszy o koronie księgarskiéj „Powieściach Perrault'a" illustrowanych przez Dorégo. Chociaż ta przepyszna księga znajduje się już zapewne we wszystkich bogatych księgarniach ziemskiego globu, grzechem byłoby nie zapisać tutaj jéj metryki: „*Powieści czarodziejskie*" urodziły się w Paryżu, w księgarni Hetzla, w miesiącu listopadzie roku Pańskiego 1861, z genialnych małżonków Perrault'a i Dorégo.

— Lekarz naczelny marynarki francuzkiéj pan Toussagrives, autor uczonego dzieła „*Hygiène Navale*", wydał nową książkę lekarską pod tytułem: „*Hygiène Alimentaire des malades*". W książce téj autor wykazuje pomoce, jakie może dać sztuce lekarskiéj hygiena, tak w czasie brania lekarstw, jak po ich używaniu. Piérwszy rozdział zawiera wykaz własności rozmaitych pokarmów i napojów. Drugi, mówi o sposobie używania takowych; zastósowywanie pokarmów do wieku, płci i temperamentu chorego stanowią treść trzeciego rozdziału. W czwartym, autor zajmuje się dyetami wyjątkowemi, jak zupełne powstrzymanie się od jadła, pokarm suchy, warzywny i t. d. Chociaż książka, o któréj mowa, była pisana dla

doktorów, może być zrozumianą przez każdego, a mnóstwo w niéj zawartych przepisów, bez pomocy lekarza można używać skutecznie.

— Pani Lambert, któréj talent pisarski objawił się przed parą laty ładną książeczką pod tytułem: „*Moja wioska*", zuchwale wypowiedziała wojnę najsilniejszemu szermierzowi nowoczesnéj dyalektyki: Proudhonowi. W książce zatytułowanéj „Idee anti-Proudhońskie", pani Lambert idąc w ślad za autorem *Systemu sprzeczności ekonomicznych*, usiłuje zbijać nie rzadkie w dziele Proudhona bluźnierstwa. Istna to wojna Dawida z Goliatem. Dawid bardzo jest logiczny i nieraz trafia kamieniem w szpary zbroicy. Wszystkie teorye Proudhona o miłości, kobiecie, małżeństwie są bardzo szczęśliwie pobite.

— Książe Piotr Bonaparte sławny strzelec i filozof żyjący zdala od tronu, w skromnym domku na skraju Bulońskiego lasu, tłumaczy wierszem tragedyą włoskiego poety Niccolini, znaną pod tytułem: „*Nabuchodonozor*". Jestto polityczna alluzya do panowania Napoleona I, dotyka wszystkich wielkich wypadków piérwszégo cesarstwa. Bohatér jest tam sądzony surowo, ale znać, że geniusz jego mierzył prawdziwy poeta. Osoby sztuki pod pseudonimem przedstawiają: Nabuchodonozor, Napoleona; Vaslis, matkę jego Letycyą; Amiti, Maryą Ludwikę; Mitraue arcykapłan magów, Piusa VII; Asphène, Caulaincourt'a; Arsak, Carnot'a. Satrapy i magi wyobrażają senatorów i deputowanych. Akcya rozpoczyna się w chwili piérwszego wtargnięcia nieprzyjacielskiego.

Już wyszły z druku dwa akty; trzeci pojawi się niebawem. Przekład poetycznéj tragedyi Niccoliniego, jest niby idealną koroną dwudziestotomowéj *rzeczywistości* Thiers'a.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

Dziennik ekonomistów (Journal des économistes) z pierwszego półrocza 1861 roku.

Z rokiem 1861 *Dziennik ekonomistów* rozpoczął dwudziesty rok istnienia. Im dłużéj pismo to poświęca prace swoje dla nauk gospodarstwa społecznego, tém większéj zdania jego nabierają powagi, z tém silniejszém zajęciem ogół myślący szuka i znajduje w niém rozbiory i ocenienia najważniejszych zadań ekonomicznych. Słusznie téż redakcya w przedmowie do piérwszego zeszytu roku 1861 przyznaje, że wszędzie, gdzie umysł ludzki oświecać się pragnie, widoczny okazuje się kierunek do badań ekonomicznych; że Dziennik ekonomistów poczytuje sobie za zaszczyt służenie, jako środek i jako narzędzie dla tego ruchu myśli. Niewczesną byłoby skromnością, powiada p. Baudrillart w imieniu redakcyi, zaprzeczać, że działanie mężów należących do składu towarzystwa ekonomistów, nie mało wielokrotnie wpłynęło na postanowienia rządu francuzkiego, czy to czynność ich rozwijała się jako mężów stanu, czy tylko jako naukowych pisarzy. Wpływ towarzystwa i na zewnątrz jest widoczny, bo na jego wzór powstają w innych krajach podobne stowarzyszenia i takież zawiązują się pisma.

Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że Dziennik ekonomistów w znacznéj części swoich wypracowań, odnosi się więcéj do sobie właściwéj miejscowości i przedmiotami Francyi dotyczącemi głównie zajmuje się; wiele jest jednak i takich rozpraw, które bądź same teoretyczne zadania nauki rozpoznają, bądź podają zajmujące badania do innych krajów odnoszące się. I piérwsze i drugie prace są według nas równie

ważne; bo nauka ekonomiczna opierając się wyłącznie na objawach i czynach, z nich dopiéro ogólniejsze wyprowadza wnioski. Pod temi względami, jak i pod wielą innemi nauki gospodarstwa społecznego zbliżone są do nauk przyrodzonych. Jak w jednych tak drugich, tylko drogą doświadczeń i spostrzeżeń dochodzi się do poznania zasad kierujących życiem pojedynczych tworów przyrodzenia i społecznego biegu ludzkości.

W sześciu zeszytach Dziennika ekonomistów z piérwszego półrocza 1861 r. znajdujemy niektóre rozprawy czysto teoretyczne; a chociaż te ułamki naukowego wykładu prawie zawsze gruntownie są przedstawiane, nie ustępują im jednak w zajęciu i ważności te właśnie prace, które opowiadając pojedyncze objawy, albo opisując stan pewnych zakładów, wyświecają ogólny obraz życia społecznego.

Do takich teoretycznych rozbiorów należy rozprawa w zeszytach marcowym i kwietniowym zamieszczona p. J. Dupuit: o zasadach prawa własności, w któréj pisarz stawia naprzeciw sobie dwa zdania: piérwsze utrzymujące, że własność poprzedza wszelkie prawo społeczne, a prawo tylko ją uznaje; drugie twierdzące, że własność jest dopiéro następstwem prawa, że zatém własność tam tylko istnieje, gdzie jest prawo do jéj oznaczenia i ograniczenia. Autor bezwarunkowo za tém drugiém zdaniem oświadcza się i stosuje zasady przez siebie przyjęte, głównie do trzech rodzajów własności, tojest do własności gruntowéj, do własności pisarskiéj czyli literackiéj i do własności wynalazków przemysłowych. W streszczeniu uwag swoich mówi p. Dupuit, że opieranie własności gruntu na prawie piérwszego zajmującego lub piérwszego pracownika jest w sprzeczności z najdawniejszemi dziejami ludzkości, bo podług nich obejmowanie w posiadłość ziem było dziełem wspólném gromad; jest w sprzeczności i z dziejami cywilizacyi, bo widzimy, że własność miewała w różnych krajach i ma dotychczas rozmaite kształty, w niczém prawu przyrodzonemu nie przeciwne. Nauka wyprowadzająca własność z pracy i sprawiedliwości, doprowadza do bardzo ważnych błędów ekonomicznych, jakoto: że ziemia o tyle tylko posiada wartość, o ile praca jest w nią włożona, gdy przeciwnie, jest rzeczą niezawodną, że same przymioty ziemi niezależne od pracy, są często wyższéj wartości od téj, jaką jéj praca nadaje. Osobiste przywłaszczenie gruntu oparte na sprawiedliwości i uważane za sposób prawnego

przywłaszczenia wszelkiego bogactwa, zrodziło różne pożądania własności, których społeczność przyznać nie mogła. Własność literacka i własność wynalazków przemysłowych jest bez wątpienia więcéj jak inna do osoby przywiązana; a wszakże ci, co na sprawiedliwości własność opierają, nie nadają téj własności wieczystego trwania. Podług p. Dupuit własność nie na sprawiedliwości, lecz na zasadzie użyteczności publicznéj opiera się. Celem bowiem społeczeństwa jest dobry byt jéj członków, i umowy czyli ustawy społeczeństwo rządzące dążą do zapewnienia każdemu jéj członkowi największéj ilości dobrego bytu, szanując zawsze równie ważne bogactwa wolności i praw przyrodzonych. Wszelkie wartości mogące się stać przedmiotem własności, znakomite przedstawiają różnice co do sposobu powstawania, stawania się użytecznemi i zużywania się. Własność osobista gruntu podwyższa jego płodność, polepsza ziemię nie wystawiając jéj na stratę. Wartość wytworzona książką lub wynalazkiem, nie niweczy się przez użycie czyjebądź i w jakimkolwiek czasie. Staje się największą, gdy książka lub wynalazek weszły w posiadanie ogółu; przeciwnie, osobiste przywłaszczenie zmniejsza tę wartość. Rozmaite więc bogactwa rozmaicie uwłaszczane być powinny, stósownie do interesu, jaki dla społeczeństwa przedstawiają; a choć sposoby dochodzenia do własności od wielu szczególnych zależą warunków, zawsze jednę zasadę mają wspólną, tojest, że dobro konsumenta powinno być miane na piérwszym względzie, tak, iżby summa bogactwa była ile możności największa.

Takie rozumowania p. Dupuit, chociaż z wielkiém przekonaniem nastawiane, ozdobione świetnym a czasem nawet humorystycznym wykładem nie zadowalniają badacza, bo nie rozwiązują pojedynczych a bardzo licznych zagadnień ekonomicznych do własności odnoszących się, i miałyby większą wagę wtedy dopiéro, gdyby zwycięzko przeprowadzone być mogły przez całość nauki.

Pożyteczniejsze dla ogółu znajdujemy krótkie uwagi p. A. Rondelet w zeszycie majowym zamieszczone, objaśniające ważność moralną produkcyi. Prawdy ekonomiczne mają to wspólnego z najwyższemi zadaniami ludzkości, że im są prostsze, zwyczajniejsze, pospoliciéj pod oczy podpadające, tém są ważniejsze i poszanowania godniejsze. Takiemi się okazują dwie zasady przez p. Rondelet'a rozwinięte, że produkcya nie

jest zadosyćuczynieniem naszym potrzebom, ale wypełnieniem koniecznego obowiązku i że produkcya nie jest celem, na którym działalność nasza spocząć powinna, lecz środkiem do osiągnięcia celów wyższych. Nie można dosyć powtarzać tych prawd tak prostych stanowiących zupełne przeciwieństwo między pracą niewolniczą, pogańską, a pracą wolną, chrześciańską. To uzacnienie pracy tak wybitnie w naszym wieku ujawnione, podnosi też naukę gospodarstwa społecznego do godności kierowników postępu ludzkości.

Pięknie także znajdujemy objaśnione wysokie stanowisko moralne nauki gospodarstwa społecznego w sprawozdaniu p. J. Pautet o dwóch dziełach tegoż samego Rondelet'a (zeszyt marcowy), gdzie z powodu dzieła: o spirytualizmie w ekonomii politycznéj słusznie twierdzi, że nauka ta odnosi się do duszy ludzkiéj, do wolności człowieka i jego odpowiedzialności, że się opiera na prawie przyrodzoném i na odwiecznéj moralności, tojest na ideach dobra, piękna i sprawiedliwości zapisanych w sumieniu ręką boską. Tak wiele słyszymy nieuzasadnionych zarzutów materyalizmu przeciw ekonomii politycznéj, że zawsze przyjemną i pożyteczną rzeczą jest znaléźć serdeczne uniesienie ich obrońców wołających tak, jak tutaj p. Pautet: Jakto? nauka zajmująca się dobroczynnością i miłosierdziem, jest nauką materyalizmu? nauka wydająca najszacowniejsze dzieła o wspomaganiu ubogich, o polepszaniu umysłowém i moralném ludów, jest nauką materyalizmu? Nauka zgłębiająca środki poprawy więzień i więźni, rozpoznawająca które podatki są niesprawiedliwe lub niemoralne, odpychająca przywiléj dla równości prawa, zasłaniająca słabych przed mocnemi, miałaby być nauką materyalizmu? Nie, zaiste: taka nauka musi być postawiona na piérwszym rzędzie ludzkiéj wiedzy obok filozofii, któréj rzeczywiście jest wypływem.

Do prac szerszego rozmiaru poświęconych ściśle oznaczonemu przedmiotowi, należy sprawozdanie złożone akademii nauk moralnych i politycznych przez p. Ludwika Reybaud o stanie moralnym, umysłowym i materyalnym robotników żyjących z przemysłu bawełnianego. Zwiedził on w tym celu Francyą, Szwajcaryą, Niemcy i Anglią. Sprawozdanie tworzyć będzie, jak się zdaje, dość znaczne dzieło, bo chociaż obszerne z niego ustępy, zamieszczone są już w trzech poszytach Dziennika ekonomistów (styczeń, luty, kwiecień), jednak zaledwie

opis stanu przemysłu bawełnianego we Francyi jest rozpoczęty. Autor przechodzi najprzód dzieje rozwijania się przemysłu tego, który dopiéro w końcu zeszłego wieku szersze rozmiary przybierać zaczął, a następnie nader szybko do ogromnych doszedł wypadków. Pod względem położenia robotników znakomite zmiany nastąpiły dopiéro wtenczas, kiedy fabrykacya domowa zaczęła przechodzić na wyroby wielkich fabryk. Poprzednio przerabianie bawełny zajmowało w Europie zaledwie 50 do 60,000 robotników. Po zaprowadzeniu wielkich zakładów fabrycznych z potężnemi siłami mechanicznemi w nich użytemi, otworzyło się pole zarobkowania dla półtora miliona robotników bezpośrednio w fabrykach zajętych i dla trzech milionów pomocnicze rzemiosła wykonywających, nie licząc w to czterech milionów Afrykanów i Azyatów poświęcających się uprawie bawełny. Zarzucano wprawdzie, że zatrudnienie w fabrykach przytępia umysł robotników; lecz zarzuty te nie są słuszne, bo podział pracy podaje każdemu robotnikowi łatwiejsze i mniéj wysilenia potrzebujące zatrudnienie, a trudno przypuścić, aby cięższa dla ciała praca miała się przyczyniać do umysłowego rozwinięcia robotnika. Co do materyalnego utrzymania robotników, liczby przez autora przytoczone przekonywają, że zarobki w zakładach fabrycznych są znacznie wyższe od tych, jakie robotnicy przy fabrykacyi domowéj otrzymywać mogli. Lecz pozostaje do rozwiązania najtrudniejsze zagadnienie, tojest wpływ zakładów wielkich fabrycznych na moralność robotników, i pod tym téż względem p. Reybaud w szczegółowych dalszych poszukiwaniach z największą starannością przedstawia, co już w różnych miejscowościach i z jakim skutkiem zrobiono. Rozpoczynając przegląd od przemysłu bawełnianego we Francyi, przechodzi on historycznie rozwijanie się onego, a mianowicie najświetniejszy rozrost w Alzacyi i Wogezach. Najważniejszém tam miejscem kwitnienia przemysłu bawełnianego jest miasto Mühlhausen i jego okolice, które do rewolucyi francuzkiéj tworząc małą rzeczpospolitę z ludnością 6,000 mieszkańców już oddawna temu przemysłowi było poświęcone. W roku 1798 miasto Mühlhausen przyłączyło się dobrowolnie do Francyi, wzrosło obecnie do 40,000 ludności i posiada kilkanaście wielkich zakładów fabrycznych w zupełnéj utrzymujących się pomyślności. Ten stan kwitnący zawdzięcza Mühlhausen głównie *towarzystwu przemysłowemu* zawiązanemu pomiędzy

właścicielami fabryk i z największą zgodnością celów i środków od roku 1826 rozwijającemu się. Towarzystwo to zajmuje się ze szczególną pieczą losem robotników i zachętą w swoim przemyśle, tak, że ze składek własnych rozdaje obecnie corocznie 84 nagród i medali wartości blizko 200,000 fr. Przez lat kilkanaście przedstawiało rządowi potrzebę wydania prawa ukrócającego nadużycia co do pracy dzieci w fabrykach i opiekuńcze to prawo wyjednało. Urządziło nauki elementarne dla młodzieży fabrycznéj, godząc czas pracy poświęcony z godzinami dla nauki przeznaczonemi; zaprowadziło ochronki i sale robót ręcznych dla dziewcząt, czytelnie i biblioteki dla starszych, szkołę rysunków. W czasach drożyzny urządzają właściciele fabryk w Mühlhausen piekarnie i dostarczają chleb niżéj od taksy miejskiéj, a nawet niżéj kosztu; są tam także zaprowadzone składy towarów najpotrzebniejszych, jakoto drzewa, węgla, oleju, płodów kolonialnych, sprzętów domowych, odzieży zwyczajnéj, sprzedawanych robotnikom po cenach, jakie kosztują. Podobnież urządzone są łazienki i pralnie. Dla ochronienia robotników od szkodliwych następstw sprowadzanych przez wielkie gorąco izb potrzebnych przy niektórych częściach fabrykacyi i przez roznoszenie w powietrzu pyłku bawełnianego, właściciele zakładów silą się na wynajdowanie i stósowanie najskuteczniejszych środków zaradczych; podobnież dla osłonięcia ile możności robotników od nieszczęśliwych wypadków z pochwycenia przez machiny w biegu będące; towarzystwo przemysłowe nie ustaje badaniami i nagrodami obmyślać potrzebne ostrożności, co jest także przedmiotem starań rządu. Dla zapewnienia dobrego bytu robotnikom, właściciele fabryk w Mühlhausen zaprowadzili domy schronienia, pomoc lekarską, kassy oszczędności, a dla podniesienia tych ostatnich urządzone zostało w roku 1850 oddzielne towarzystwo zachęty do oszczędności. Każdy stowarzyszony zobowiązał się wnosić 3% od zarobków robotników bądź składających, bądź nie składających wnioski do kassy oszczędności. Trzecia część tych składek przeznaczona jest na dom schronienia dla starców, albo na pensye po 100 do 200 fr. na osobę; ostatnie dwie trzecie służą na uiszczanie nagród w stosunku 2% zarobków dla tych robotników, którzy zgodzą się na wnoszenie 3% do kassy oszczędności. Tak połączone 5% gromadzą się na korzyść robotników. Najwygodniejszy prawie wykwintny dom schro-

nienia kosztował 65,000 fr. Pomimo jednak tych środków robotnicy nie skwapliwie z nich korzystali, a mianowicie z domu schronienia, przekładając pozostawać w rodzinnych pomieszczeniach. To usposobienie skłoniło właścicieli fabryk w Mühlhausen do zaprowadzenia takiego urządzenia, aby robotnicy z zarobków swoich mogli dochodzić do własności domu i ogrodu. Towarzystwo w tym celu zawiązane, z pomocą od rządu uzyskaną w summie 300,000 fr., w krótkim czasie do najświetniejszych doszło skutków. Kosztem blizko dwóch milionów franków wystawiono za miastem 560 domów z ogródkiem przy każdym z nich, z których 384 już jest na własność sprzedanych, reszta tymczasowo najmowana; znajdują się oddzielne pomieszczenia dla zakładów do wspólnego użycia. Należności od robotników na spłatę wartości domów regularnie są wnoszone, i pod tym względem odznaczają się najuboższe rodziny. Praca p. Reybaud, któréj dalszy ciąg zapewne w następnych poszytach Dziennika znajdziemy, tém jest w obecnéj chwili ważniejsza, że z powodu wojny domowéj w Stanach Zjednoczonych Ameryki i utrudnionego dowozu bawełny surowéj, zakłady trudniące się wyrobami bawełnianemi, na wstrząśnienia są narażone.

To społeczeństwo Ameryki północnéj tak zadziwiające swoim szybkim i nadzwyczajnym rozrostem, użyło za jednę z najsilniejszych do tych wypadków dźwignią kredyt do najdalszych posunięty granic. P. X. Eyma (w zeszycie styczniowym), podaje wiadomość o instytucyach i środkach kredytowych w Stanach Zjednoczonych. Systemat kredytowy amerykański, w Europie wielokrotnie potępiany, może się streścić następującemi zasadami: obfita cyrkulacya znaków obiegowych pod jakimkolwiek kształtem; rozdrobnienie znaków tych, aż do przesady, (zdarzały się takie, które wyrażały wartość niżéj franka); wielka ilość instytucyj kredytowych; dozwalanie rachunków na długie termina; łatwość eskonty; bardzo szerokie zaliczenia na przedmioty wszelkiéj natury. Pojąć można, że zasady te łatwo prowadziły do nadużyć; lecz z drugiéj strony tak ogromną rozbudzały czynność, że przy awanturniczém usposobieniu ludności a ztąd wypływającém nieograniczoném zaufaniu w instytucyą i znaki kredytowe, ogólne skutki stały się prawdziwie zadziwiające. Bez tego płodnego choć niebezpiecznego systematu kredytowego, Stany Zjednoczone nie byłyby doszły do bogactwa

narodowego ocenianego dziś na 110 miliardów franków: obrot handlowy w r. 1857 nie byłby doścignął przeszło półczwarta miliarda franków; a wszakże na 2,620,000 mil kwadratowych, składających powierzchnią Unii zaledwie jest 87,300 mil gruntu uprawie poddanego. Produkcyą rolniczą Stanów Zjednoczonych oceniają blisko na 6 miliardów fr.; mają one 6,000 kilometrów kanałów i 41,775 kilo. dróg żelaznych. Już w r. 1834 P. M. Chevalier uważał, że do stworzenia tych cudów najwięcéj pomógł kredyt: Amerykanie, mówi on, mają niewzruszoną wiarę w monetę papierową, a nie jest to wiara ślepa lecz wyrozumowana odwaga na zastanowieniu się oparta. Ogromne mnóstwo banków i powtarzające się przesilenia handlowe, wywołały potrzebę założenia w r. 1816 centralnego banku Stanów Zjednoczonych; lecz wiadomo jakie instytucya ta, późniéj za prezydencyi Jacksona, wywołała zatargi głównie z powodów politycznych pochodzące. Zarzucano, że bank ten ściąga kredyt do krajów najbliżéj położonych stolicy ze szkodą dalszych; przez jego upadek zaradzono wprawdzie temu złemu; lecz nie mniéj uczuwać się daje, potrzeba pewnéj centralizacyi kredytu, a przynajmniéj ściślejszego jego ograniczenia. Jednakże wielość banków w Stanach Zjednoczonych jest zgodna z instynktem spekulacyjnym ludu amerykańskiego. Nowy Orlean ma 21 wielkich źródeł kredytu, na 150,000 ludności; Nowy York posiada 54 banki, których obroty w r. 1856 przedstawiły summę 932 miliony fr. Dla rozbudzenia grubych nerwów amerykańskich, powiada P. M. Chevalier, potrzeba im gwałtownych wzruszeń; opinia i kazalnice wzbraniają Amerykanom zmysłowych uciech, wina, zbytków książęcych, gier hazardowych: potrzebują więc wstrząśnień giełdowych dla samego poczucia że żyją. Dlatego téż częste bankructwa, nie są wcale tak uważane jak w Europie; nazywają je nieszczęśliwemi przypadkami, wzbudzającemi więcéj współczucia jak pogardy. Ztąd także pochodzi wielka rozmaitość w prowadzeniu interesów przez rozliczne banki, tak, że żadnych jednostajnych w téj mierze zasad dostrzedz nie można. Porównywając tygodniowe bilanse banków w różnych Stanach, znajdujemy w Karolinie południowéj na 12 milionów fr. inkasu metalicznego; 44 mil. fr. w cyrkulacyi; kiedy w Luizyanie pierwsza summa wynosi 81 mil. fr., druga 46 mil. fr. W Massachusetts inkas czyni 51 mil. fr. na 99 mil. fr. stanu obiegowego;

w New-York przeciwnie pierwsza summa jest 149 mil. fr., druga tylko 133 mil. fr. Takie różnice w obrotach bankowych okazują się tedy wynikłe z potrzeb miejscowych i niebezpieczną byłoby rzeczą zmiany pod tym względem wprowadzać.

Z wiadomości dotyczących wyłącznie Francyi, przytoczyć należy jako ważniejsze, badania nad systematem podatków, których dalszy ciąg podaje (zeszyt lutowy) p. Esq. de Parrieu wice prezes rady stanu, a mianowicie o wpisach (enregistrement). Jest to ciekawy obraz historyczny i porównawczy z innemi krajami, podatku tego mającego łączność z opłatą stemplową już poprzednio przez tego samego autora rozpoznaną. Zeszyty kwietniowy i czerwcowy obejmują historyą ministeryum Algieryi, które trwało tylko dwa lata od r. 1858 do 1860. Jako miejscowy przedmiot, nie wiele nas obchodzi, ale jest to zmajmujący obraz czynności administracyjnéj.

P. Coq (zeszyt czerwcowy) czyni niektóre uwagi nad stanem w roku 1801 instytucyi kredytu ziemskiego francuzkiego (Crédit foncier). W nich widzimy poświadczenie wielokrotnie dochodzących nas wiadomości, że instytucya ta nie czyni takich postępów, jakie z razu były spodziewane. Ogół pożyczek hypotecznych długo terminowych, udzielonych przez Towarzystwo kredytu ziemskiego, od początku jego założenia wynosi 220 milionów franków; z tego w ciągu roku 1860 udzielono 48 mil. fr., wtenczas kiedy obroty hypoteczne ziemskie oceniają na 5 do 6$^{\text{ciu}}$ set milionów fr. rocznie, i kiedy ogół długów gruntowych we Francyi podawany jest na 10 do 11 miliardów franków. Wszelako czynność Towarzystwa kredytu ziemskiego, zaczyna się rozszerzać w innym kierunku, tojest przez udzielanie pożyczek gminom i stowarzyszeniom miejscowym zawiązywanym dla osuszania okolic i innych pożytecznych przedsięwzięć ekonomicznych. Dopiéro w roku zeszłym wydane prawo, dozwoliło Towarzystwu udzielania takich pożyczek, które mogą być dawane nawet bez hypotecznego zabezpieczenia, tylko z oparciem na pewności składek, jakie zaciągające dług gminy lub stowarzyszenia na osoby interesowane rozpisują. Takich pożyczek w roku zeszłym udzielono około 20 milionów fr. Co się tyczy pożyczek hypotecznych na nieruchomości ziemskie i miejskie, p. Coq uważa za jednę z głównych przeszkód do rozwinięcia się tych działań, przepis dotąd obowiązujący, że każda pożyczka musi być rozpoznana i udzielona przez radę z dwudzie-

stu członków złożoną, zasiadającą w Paryżu. Przedstawia zatem korzyści, jakie Towarzystwo osiągnęłoby przez decentralizacyą swoich czynności, tojest przez wybranie i upoważnienie w różnych miejscach kraju ajentów, którzyby pożyczki w imieniu Towarzystwa przyznawać mogli; radzi, aby do tego użyć notaryuszów, którzy jak wiadomo są we Francyi pośrednikami ułatwiającemi pozyskiwanie pożyczek hypotecznych: pożyczki te notaryusze zwykle wyjednywają dla dóbr wiejskich za procentem 8, 10, a nawet 12 od sta na rok, kiedy Towarzystwo kredytu ziemskiego udziela na 5 procent, a szukający pożyczek odstręczani są, po większéj części długością czasu potrzebnego do wyjednania pożyczki w Radzie Towarzystwa w Paryżu i niepewnością, w jakiéj wysokości pożyczka przez nią będzie udzielona.

Wiele znajdujemy materyałów statystycznych zamieszczanych w Dzienniku ekonomistów, a chociaż dane statystyczne bardzo na wartości zyskują, gdy są zebrane w obszerniejszą całość, niemniéj jednak i porozrzucane wiadomości tego rodzaju, stają się szacownemi dla pojedynczych badaczy. Dla ogółu, za najpożądańszą rzecz poczytać można, krótkie a dokładne obrazy stanu ekonomicznego kraju, przedstawiające w głównych liczebnych zebraniach jego siły, tudzież bogactwo wewnętrzne i zewnętrzne. Za wzór do tego rodzaju prac przytoczyć się godzi, zamieszczony w majowym poszycie artykuł P. A. Legoyt pod napisem: Anglia w r. 1860 podług źródeł urzędowych. Jestto najogólniejsza statystyka połączonych trzech królestw Wielkiéj Brytanii, zawierająca w 12^tu^ kartkach wszelkie najpotrzebniejsze wiadomości. Z powodu zaś prostoty w swoim układzie i wielkiego bogactwa w szczupłych ramach, zasługuje na bliższe przedstawienie.

Cała wiadomość statystyczna o Anglii, podzielona jest na 11 paragrafów. §. 1. *Obszerność i kommunikacye.* Anglia, Wallia, Szkocya i Irlandya, zawierają przeszło 31 milionów hektarów powierzchni, (około 1,800,000 włók, gdyż hektar równy niespełna dwom morgom n. m. p. czyli przeszło siedmiu ćwierciom morgi). W tém jest 18 3/4 milionów hekt. gruntu pod uprawą, czyli 60%—7 3/4 mil. pod zbożem, a 11 mil. pod pastwiskami; zaś 12 1/2 mil. hekt. ziemi nie uprawnéj lub uprawianą być nie mogącéj. Kanałów w saméj Anglii z Wallią jest 3,540 kilometrów, (prawie tyleż wiorst), a 2896 kilom. rzek spławnych: razem wód spławnych 6436 kilom. Dróg żelaznych

we wszystkich trzech królestwach jest 15,295 kilom.; w roku 1858 przewiozły one przeszło 139 milionów podróżnych; 73 milionów tonnów (blizko 1,800 milionów cetnarów) towarów i 11 milionów sztuk zwierząt domowych. §. 2. *Ludność.* W Anglii od roku 1801 do 1851 podwoiła się; wynosiła w tym roku 18,054,095. Irlandya, która w r. 1841 miała 8,175,124, w latach następnych skutkiem wychodztwa utraciła część ludności, tak, że się ludność zmniejszyła do 6,552,385. Szkocya ciągle wzrastając w ludność, tak jak Anglia, posiadała w r. 1851 około 3 miliony, a wyspy 145,434 mieszkańców. Ogół 27,674,270. §. 3. *Siły produkcyjne.* 1. *Rolnictwo.* Rzeczą jest uwagi i prawie zadziwienia godną, że właściwa Anglia nie posiada wcale urzędowych wiadomości o wypłodach (produkcyi) rolniczych. Wnoszone w tym celu na parlament bile, bywały przez Izbę niższą odrzucane, z powodu znanéj trwożliwości posiadaczy gruntowych do wyjaśniania wartości majątków. W przybliżeniu tylko oznaczają z rozległości przeszło 5 milionów hektarów poświęconych uprawie, na pszenicę 1,416,100 hekt. wydających średnio na hektarze 23, 38, hektolitrów. (około $10\frac{1}{4}$ korcy z morgi), na jęczmień 606,900 hekt. z wydatkiem średnim 32, 38 hektolitrów, (przeszło $14\frac{1}{4}$ korcy na morgę); tyleż prawie na żyto i owies z takimże wydatkiem. Ze Szkocyi i Irlandyi wiadomości są dokładniejsze; na uprawę pszenicy oba te królestwa poświęcają 298,359 hektarów, ze średnim wydatkiem w Szkocyi nieco wyższym a w Irlandyi prawie równym wydatkowi otrzymywanemu w saméj Anglii. 2. *Przemysł górniczy.* Główne płody górnicze, tojest węgiel kamienny i żelazo, wynoszą rocznie przeszło 675 milionów cetnarów metrycznych węgla, a 36 milionów cetnarów żelaza, wartości odpowiedniéj 400 i 358 milionów franków. W Anglii i Szkocyi znajduje się 833 wielkich pieców do wytapiania żelaza. 3. *Przemysł fabryczny.* Nie ma także urzędowych danych co do wszystkich gałęzi przemysłu; lecz najgłówniejsza jego część, a mianowicie zakłady przędzalniane i tkackie, podają następujące ogromne wypadki: zakładów 4,600, między któremi 1,932 do wyrobu bawełny, 1,497 do wyrobów wełnianych, 501 do wyrobów mieszanych, 393 do wyrobów płóciennych, 277 do wyrobów jedwabnych. Wrzecionek w przędzalniach 33 miliony; warsztatów 370,195, siła poruszalna w machinach koni parowych 137,711, w spadkach wodnych 23,724. Wzrost fabryk ciągły i silny, ludność fa-

bryczna mężczyzn 273,137, kobiet 409,360. 4. *Handel.* Wyrażając wypadki w milionach franków, znajdujemy za rok 1859, wartość przywozu 4,483, wartość wywozu 3,891; ogół obrotu handlowego 8,374. Ta wyższość przywozu nad wywóz, świadczy o potędze zużycia, czyli w innych wyrazach o bogactwie Anglii. W ogólności przywóz stosuje się głównie do materyałów surowych, a wywóz do wyrobów fabrycznych. Biorąc dla przykładu jednę z najważniejszych fabrykacyj, tojest bawełnianą, widzimy, że w roku 1859 przywieziono 455 milionów kilogramów, (kilogram około 2 ½ funta) bawełny surowéj, a wywieziono przeszło 3,100 milionów kilogramów tkanek i przędzy: wyrób niektórych z tych przedmiotów w ciągu ostatnich lat 15, zwiększył się o 100 do 150%. W ogólny obrot handlowy wyżéj podany, nie wchodzi przywóz złota i srebra, który wynosił 927 mil. fr., ani ich wywóz czyniący 892 miliony. Marynarka kupiecka angielska posiadała w r. 1859 statków żaglowych 18,675 z ładunkiem, 3,948,253 tonnów, parowych 895 z ładunkiem, 394,749 tonnów, razem statków 19,570, z ludnością służbową 172,506 osób. §. 5. *Finanse.* Czysty dochód na budżecie 1859 r. pomieszczony, wynosił 1541 milionów franków; w téj summie stanowiły: cła od cukru, herbaty i tytuniu, każdy po 130 do 140 mil. fr.; myta (akcyza) od napojów gorących 223 mil., od słodu 135 mil., podatek dochodowy (income tax) 163 mil. Wydatki budżetowe w r. 1859 główne były: na dług publiczny 713 mil. fr., na wojsko i marynarkę 562 mil., na koszta poboru podatków 115 mil., na wydział sprawiedliwości 83 mil,, na rząd cywilny 58 milionów. W tymże roku wydatki budżetowe na roboty publiczne wynosiły 23 mil., a na wychowanie publiczne 29 mil. §. 6. *Siła zbrojna.* 1. *Wojsko.* Z dniem 1 stycznia 1860 r. 218,971 ludzi, 30,072 koni i 360 armat. 2. *Flota*; ogół statków 627, tojest: 372 śrubowych, 105 kołowych, 150 żaglowych: w tém okrętów liniowych, fregat i korwet 254. §. 7. *Zakłady kredytowe.* Największy na świecie zakład kredytowy, tojest Bank angielski posiadał z zamknięciem rachunków za rok 1859, w stanie czynnym 1177 mil. fr.: w nim 275 mil. długu rządowego winnego Bankowi, a w stanie biernym 1100 mil. fr. Ilość wypuszczonych na okaziciela biletów przez wszystkie Banki do tego w połączonych trzech królestwach upoważnione, czyniła 1007 mil. fr., w czém 525 mil. Banku angielskiego, 87 mil. Banków szkockich. §. 8.

Wsparcie ubogich. W saméj Anglii w r. 1860 udzielono wsparcie 851,020 ubogim, z których 119,026 było utrzymywanych w domach zarobkowych. Ilość ta w ciągu ostatnich lat 12 nie wielu uległa zmianom. Przeciwnie w Irlandyi i Szkocyi w roku 1849 doszła do zastraszającéj liczby 620,747, kiedy w r. 1860 spadła na 44,929. §. 9. *Kassy Oszczędności.* Posiadały z końcem roku 1859 kapitał w wysokości 975 mil. fr. i summa ta spadła była najniżéj w r. 1848 na 702 mil. fr. §. 10. *Sądownictwo kryminalne.* W ostatnich pięciu latach, po koniec roku 1859 w Anglii z Wallią było w przecięciu rocznie oskarżonych 20.041; skazanych 15,145; wypadał jeden oskarżony na 958 mieszkańców, kiedy w poprzedzających 10 latach był jeden oskarżony na 628 mieszkańców. W ostatnich latach ilość kobiet oskarżonych znacznie się powiększyła, co jest smutném następstwem rugowania kobiet przez mężczyzn i przez machiny z udziału w ogólnéj pracy narodowéj. W Szkocyi i Irlandyi, o ile występki dochodzą do rozpoznania sądowego, co szczególniéj w Irlandyi wielkich doznaje przeszkód, ilość stosunkowa obwinionych, zdaje się mniejsza jak w saméj Anglii. §. 11. *Wychodztwo.* Pod tym względem najbardziéj odznaczające zjawiska okazały się w Irlandyi; od roku 1845 do 1849, wychodziło rocznie po 205,942 mieszkańców; w następnych latach pięciu po 329,739, a w latach od 1850 do 1859 po 160,128, w ostatnich latach wychodztwo zniżyło się już do stu kilkunastu tysięcy. W ogóle w ciągu ostatnich lat 15 ze trzech królestw Wielkiéj Brytanii, wyszło za granicę 3,469,794 osób, po większéj części do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Wiadomą jest rzeczą, że odkrycie pokładów złotodajnych, głównie do tego wychodztwa przyczyniło się. Pomimo tego znakomitego ubytku, ludność ogólna Anglii ciągle się powiększa; lecz to powiększanie głównie do właściwéj Anglii odnosi się: ludność Szkocyi stoi prawie w miarze, a ludność Irlandyi nie przestaje zmniejszać się.

Z wiadomości statystycznych, znajdujemy jeszcze w zeszytach Dziennika ekonomistów, o których mówimy, następujące godne wzmianki podania:

1. Budżet Księztw połączonych Multan i Wołoszczyzny na rok 1860, (zeszyty styczniowy i majowy). Piérwszy to raz młode to państwo, na drodze konstytucyjnéj budżet swój ogłosiło, dający wyobrażenie o zasobach i rządzie jego. Przychody obu księztw wynoszą 118,022,345 piastrów (piastr równy około

18 gr. pol.), czyli przeszło złp. 70,800,000, wydatki o 350,000 piastrów, czyli 210,000 złp. więcéj. Przychody dzielą się: na podatki stałe, tojest gruntowy, osobisty, patentowy i drogowy, razem 47 mil. piastrów; podatki niestałe, z których główniejsze są: cła od soli, od trunków, opłaty stemplowe; a w Wołoszczyznie opłaty od sprzedaży majątków, kary sądowe, mostowe na mostach przez rząd wystawionych, razem 30 mil. piastrów; dochód z dóbr rządowych 22 mil., inne dochody 16 mil.; Wołoszczyzna stanowi blizko $^5/_8$ dochodów budżetowych, a Multany $^3/_8$. Takiż sam prawie stosunek jest i co do wydatków, które uważając oba księztwa w połączeniu, rozdzielają się ministeryami w porządku ich ważności jak następuje: wojny 29 mil. piastrów, finansów 25 mil., wyznań i oświecenia publicznego 21 mil., robót publicznych 17 mil., spraw wewnętrznych 15 mil., sprawiedliwości 8 mil., spraw zagranicznych 2 milio. piastrów.

2. P. J. A. Soutzo professor ekonomii politycznéj w uniwersytecie Ateńskim, podał (zeszyt marcowy) wiadomość o objawach ekonomicznych spełnionych w Grecyi od r. 1833 do r. 1860. Siedm lat wojny o niepodległość, tak dalece nieszczęśliwy ten mały kraik wyniszczyły, że większa część gruntów leżała odłogiem, bydło prawie zupełnie wyniszczało, zabudowania były w zwaliskach, statki handlowe albo zupełnie znikły, albo nie były do użycia, wszelkie zapasy ruchome zużyte, a ludność w r. 1833 zniżyła się do 712,608 mieszkańców. Obecnie ludność dochodzi do 1,200,000; produkcya zbóż z 2 milionów hektolitów (1,500,000 korcy), podniosła do 3 mil. (2,3000,000 korcy), winnice zajmujące przed rewolucyą tylko 25,000 stremmów, czyli 2,500 hektarów, (około 4,400 morgów), liczą teraz blizko milion stremmów, czyli 100,000 hektarów, (około 180,000 morgów); produkcya rodzynków korynckich z 10 milionów kwart, wzrosła do 100 mil. kwart; ilość drzew figowych stanowiących główne bogactwo Messeńczyków, powiększyła się z 70,000 na 360,000, a ilość morw, przy znakomitém rozwijaniu się chowu jedwabników, wzrosła z 380,000 do 1,500.000. Marynarka handlowa mająca w roku 1833 zaledwie kilkaset statków, posiada ich obecnie 4,000 z ładunkiem, 277,122 tonnów i 27,000 majtków. Obrot handlowy dosięgnął w r. 1859, 75 milionów fr., w czém wywóz wynosi 25 milionów. Dochody publiczne bez powiększenia podatków, wzrosły z 14 do 22 mil. fr. Pod względem zarządu, ulepszenia znakomite zostały

dopełnione: sądownictwo odznacza się niepodległością i dobrém urządzeniem; zakłady wychowania publicznego liczą 60,000 uczniów, tojest dwudziestą część ludności, z zakładami wyższemi, jako to: uniwersytetem, szkołą politechniczną i dwiema handlowemi; hypoteki zostały urządzone; taryfa celna na zasadzie wolności handlowéj z opłatami protekcyjnemi nie przenoszącemi 15% ustanowiona. Pomiędzy głównemi ulepszeniami jeszcze do wprowadzenia pozostającemi, wymienia autor: zmianę podatku gruntowego, dotąd będącego dziesięciną w naturze, poprawę kommunikacyj wewnętrznych; założenie banków rolniczych dla zniżenia uciążliwéj lichwy; polepszenie zarządu lasów rządowych, oddanie w ręce prywatne znakomitych dóbr rządowych.

3. Nad wypadkami handlu zewnętrznego Francyi w r. 1860 (zeszyt marcowy) P. M. Block podaje uwagi dotyczące wpływu, jaki wywarł traktat handlowy, z Anglią zawarty w dniu 5 maja 1860: ponieważ skutki jego zaczęły się objawiać dopiéro w końcu roku; wypadki zatém handlowe częściowo tylko mogą być ocenione. Dostrzegł jednak p. Block, że w porównaniu z latami zeszłemi wchód wyrobów zagranicznych, a mianowicie płodów surowych, jakoto bawełny i wełny powiększył się; podobnież zwiększył się wywóz niektórych przedmiotów, jakoto bydła, tkanek wełnianych, machin; lecz dochody celne doznały blizko 50 milionów straty, chociaż ruch handlowy nie zmniejszył się ani co do ilości statków, ani co do ich ładunku.

4. W uwagach, jakie p. Horn podaje w zeszycie lutowym nad zamierzonym, a ciągle opóźniającym się traktatem handlowym Francyi ze związkiem celnym niemieckim, znajdujemy przytoczone wypadki tegoż związku celnego niemieckiego (Zollverein) z lat ostatnich. Okazuje się z tego, że ludność państw do związku celnego należących wynosiła w r. 1858. 33 ½ milionów. Cały obrót handlowy związku celnego wynosił w r. 1858. 672 milionów talarów, w czém 321 milionów handlu przywozowego, a 350 milionów wywozowego. Nadto tranzyt uczynił 111 milionów talarów. Główne przedmioty wprowadzane były: bawełna surowa, wełna i kawa po 20 do 22 milionów talarów, przędza bawełniana, wyroby wełniane, skóry, jedwab, tytuń, żyto, wyroby jedwabne, po 10 do 18 milionów. Przedmioty ze związku celnego za granicę wyprowadzane: wyroby jedwabne i wełniane przeszło po 40 mil. talarów

za każdy z tych przedmiotów; wyroby bawełniane za 33 mil, talarów; wełna za 17 mil., pszenica za 13 mil. talarów. W ciągu lat 25 handel wywozowy ze związku celnego podniósł się o 169%, a wywóz samych wyrobów fabrycznych wykończonych o 143%, ale i przywóz tych wyrobów również się zwiększył o 138%. Dochody celne od roku 1834, w którym czyniły $14\frac{3}{4}$ milionów tal. podniosły się w r. 1859 do 24 milionów tal., z których przeszło połowę pobierają Prusy, a resztę inne państwa do związku celnego należące.

5. Do prac statystycznych wszakże więcéj historycznie rozwiniętych, należy rozprawa p. A. Butowskiego (zeszyty majowy i czerwcowy) o przemyśle fabrycznym w Rossyi. Autor który długi czas bawił w Paryżu, jako wysłany przez rząd rossyjski w celach handlowych i przemysłowych i liczy się do znakomitszych ekonomistów rossyjskich, podaje po większéj części ze źródeł urzędowych wiadomości o rozwijaniu się stopniowém i obecnym stanie różnych gałęzi przemysłowych w Rossyi.

Dziennik ekonomistów zawiera wiele rozbiorów i ocenień dzieł ekonomicznych bądź we Francyi, bądź nawet za granicą wychodzących, a krytyka ta należy bez wątpienia do największych pisma tego zasług. Znajdujemy zwykle poważne nazwiska pod rozbiorami temi podpisane i dlatego też zdania te rzadko w polemikę wyradzające się, rzeczywistą mają wartość. O następujących ważniejszych sprawozdaniach z dzieł ogłoszonych wspomnieć się godzi.

1. P. L. Wołowski, tak świetnie i zasłużenie przedstawiający nasz naród pomiędzy ekonomistami francuzkiemi, podał (zeszyt lutowy) wiadomość o nowém tłómaczeniu przez pp. Massé i Vergé dzieła niemieckiego prawnika Zachariae: prawo cywilne francuzkie. Uczony ten professor heidelbergski (zmarły w r. 1843) znany ze znakomitych prac na polu teoryi praw tak niemieckich jak i zagranicznych, ocenił w zupełności pomnikowe zalety kodeksu Napoleona i słusznie powiedział, że kodeks ten dostąpił chwały, wzorowego wysłowienia w całości, obok ścisłego rozgraniczenia między brzmieniem prawa a twierdzeniami dzieła naukowego. Zachariae pracę swą podzielił na dwie części: tojest na wykład naukowy przedmiotów kodeksem objętych i na przypiski, w których własne zdania objawia.

Dzieło też jego stanowi, podług p. Wołowskiego jeden z najpiérwszych a bez wątpienia najzupełniejszy komentarz kodeksu. Nowe tłómaczenie francuzkie, które jest już drugiém, odznaczać się ma dokładnością i bogatemi przypiskami tłumaczy.

2. P. Leoncyusz de Lavergne zdał sprawę (poszyt lutowy) z dzieła p. M. Block: Statystyka Francyi porównana ze statystyką innych krajów europejskich. Oddając wielkie zalety pracy téj, sprawozdawca uważa, że p. Block rozszerzył zwyczajne ramy statystyki, gdyż oprócz wypadków liczebnych szczegółowo rozwija wynikające z nich wnioski. Ten sposób wykładu statystyki używany był wielokrotnie, a mianowicie szczęśliwie jest zastósowany w znakomitém dziele Mac Culloch'a: Obraz opisowy i statystyczny państwa Wielkiéj Brytanii. Lecz dzieło p. Blocka ma ważność jeszcze w tém, że wszędzie stara się porównywać Francyą z innemi krajami. Złożone ze dwóch dużych tomów, dzieło to w tomie piérwszym jest prawie wolne od zarzutu, bo podaje wypadki niemal pewne, odnoszące się do urządzenia politycznego, administracyjnego, sądowego, finansowego, wojskowego, duchownego i zakładów dobroczynności we Francyi. Drugi zaś tom obejmujący wiadomości o rolnictwie, przemyśle i handlu, oparty jest na źródłach więcéj przypuszczalnych, lecz pracowicie zebranych.

3. P. H. Dussard podaje (zeszyt kwietniowy) wiadomości o dziele p. J, Simon pod napisem: Robotnica, będąca obrazem stanu i położenia kobiét we Francyi zarobkujących na własne utrzymanie. Smutne i przerażające jest proste opowiadanie p. Simon, mianowicie kiedy przedstawia stan wyrobnic w zakładach fabrycznych. W Lugdunie w fabrykach wyrobów jedwabnych, dziewczyny na sta i tysiące liczące się, mające lat 13 do 18 pracują 15 godzin dziennie od kwadrans na 6tą z rana do kwadrans na 9tą wieczór, z przerwą niespełna dwóch godzin na posiłek i uporządkowanie gospodarstwa. W Paryżu życie dziewczyny zarobkującéj nie jest szczęśliwsze, a wszakże p. Simon utrzymuje, że nie ma istoty wstrzemięźliwszéj, cierpliwszéj, że nawet zarzut rozwiązłości jest przesadzony i zupełnie niesłuszny, że i owszem dziwić się należy, jak mało dziewcząt ulega pokusom tak silnie rozwiniętym. Przyznaje autor, że los wieśniaczek jest nierównie szczęśliwszy, a lubo obraz zakładów wsparcia robotnic przedstawia pocieszające dowody, czynionych usiłowań dla polepszenia bytu téj zajmują-

céj części ludności, jednak zagadnienie co do stanu kobiét wyrobkiem trudniących się, pozostaje jeszcze do rozwiązania.

4. P. L. de Lavergne jeden z najznakomitszych teraźniejszych ekonomistów francuzkich odznacza się szczególnie badaniami nad rolnictwem. Dzieło jego: Obraz gospodarstwa wiejskiego w Anglii, Szkocyi i Irlandyi (znane z polskiego tłumaczenia świeżo wydanego) zjednało mu zasłużoną sławę, do któréj równe prawo nadaje drugie dzieło jego: Gospodarstwo rolne we Francyi od r. 1789. Drugie wydanie dzieła tego stało się powodem do zamieszczenia obszerniejszéj o niém wiadomości przez p. E. Lecouteux (zeszyt kwietniowy). Autor znaczną część dzieła poświęca przebiegowi historycznemu i ocenieniu wpływu, jaki na stan rolnictwa miały zmiany polityczne we Francyi; dochodzi zaś do wniosku, że zasady wolności zarobkowania, wolności ekonomicznéj, handlowéj i przemysłowéj ciągle utrwalając się i rozwijając, przyczyniają się głównie do wzrostu rolnictwa. Następnie przechodzi autor koleją różne części Francyi, które na sześć oddziałów rozróżnia, wskazując wydatne różnice zachodzące między temi okolicami co do rodzaju i siły produkcyi rolniczéj. Biorąc całą przestrzeń Francyi, znajduje wielką rozmaitość płodów, ale też i uderzające różnice zamożności, dla ocenienia których przychodzi do wskazania, że część Francyi północno-zachodnia posiada 109 mieszkańców na 100 hektarów, płaci podatku z hektara 85 fr., a z jednéj osoby 74 fr.; kiedy dla części południowo-wschodniéj trzy liczby powyższym odpowiednie są: 64 mieszkańców, 27 i 44 fr., a dla części środkowéj tylko 50 mieszkańców i 12, tudzież 25 fr. podatku. Dzieło to szczególnie jest ważne dla osób zastanawiających się nad środkami polepszenia bytu moralnego i materyalnego ludności wiejskiéj; dlatego i u nas korzystnie zalecone być może.

5. W zeszycie majowym p. K. Dunoyer członek instytutu, zdaje sprawę z dwóch dzieł na uwagę zasługujących: piérwsze o wolności handlowéj przez P. Dupuit, zawierające szczegółowy rozbiór zasad téj wielkiéj podstawy ekonomicznéj i ocenienie czynionych przeciw niéj zarzutów. Sprawozdawca oddając pochwały dziełu, zarzuca mu zbytnie rozszerzenie niektórych części, a ściśnienie lub pominięcie innych. Zawsze jednak przedmiot przez autora rozbierany jest tak ważny, mianowicie, jak p. Dunoyer słusznie uważa, dla krajów mniéj posuniętych

w rozwoju ekonomicznym i mniéj uposażonych. że i u nas nieraz pewnie badania głębokie wywoła.

Tytuł drugiego dzieła przez p. Dunoyer rozbieranego, tojest o prawach pracy i ludności przez p. du Puynode znanego już korzystnie uczonego, nie dotrzymuje tego co zapowiada, bo jak słusznie sprawozdawca uważa, obejmowaćby powinno wywód ogólnych zasad rządzących pracą i ustosunkowaniem ludności. Dzieło zaś jest szczególniéj skierowane do ocenienia, w czém przepisy praw i urządzeń we Francyi odnoszących się do pracy, okazują się niezgodne z ogólnemi zasadami nauki gospodarstwa społecznego. Oddając wszelką słuszność sumiennym badaniom pisarza i wysokim zaletom wykładu, żałuje jednak sprawozdawca, że dzieło nie wskazuje zarazem środków usunięcia złego ani rozbiera przeszkód, jakie na téj drodze spodziewane być mogą.

6. Z wielkiemi pochwałami ocenione jest (poszyt czerwcowy) dzieło p. F. Verdeil: o przemyśle tegoczesnym, mogące służyć za odpowiedź tak często napotykającym się a tak płytkim w zasadzie zarzutom, jakoby rozwój przemysłu dążył tylko do zmateryalizowania ludzkości. Porównywa autor w wywodzie historycznym, dzieje pracy od początku cywilizacyi do dni dzisiejszych i ocenia jéj objawy pod trojakim względem; tojest: używanych w przemyśle środków, jego celu i stanu ludności przemysłowi poświęcającéj się. Środki pracy przemysłowéj w czasach starożytnych były prosto empiryczne i dlatego potrzebną i konieczną niemal stało się rzeczą przekazywanie w rodzinach sposobów działania, zkąd powstały kasty. Celem pracy nie tyle było zadosyćuczynienie potrzebom, jak utrzymanie wyższości kast duchownéj i wojennéj nad pracownikami będącemi najprzód w niewoli a późniéj w poddaństwie. Wówczas ludność pracująca produkowała dla uprzywilejowanéj części konsumentów. W średnich wiekach przeciwnie: gdy zawiązane korporacye pracę między siebie dzieliły, konsumenci poddani zostali prawom narzucanym przez uprzywilejowanych producentów. W czasach dopiéro nowych wszystkie trzy warunki pracy stanowczéj uległy zmianie. Środki przemysłowe opierają się na nauce dochodzącéj do wyjaśnień i wynalazków dawniéj za cuda uchodzących. Celem przemysłu jest dostarczanie wszystkim, a przynajmniéj największéj liczbie ludności nowych narzędzi i nowych skutków pracy; obfitość, zniżenie cen pro-

dukcyjnych, udział wszystkich w dobrodziejstwach pracy: to są skutki nauki i przemysłu tegoczesnego. Nie doścignięmy może nigdy w drobiazgowéj doskonałości ręcznego wyrobu szalów kaszemirskich, ale za to Manchester i Leeds dostarczają tysiącom milionów ludzi wygodnego odzienia. Pod względem stanu ludności przemysłowéj p. Verdeil przyznaje, że odznaczającą się cechą teraźniejszej epoki jest poddanie klassy zarobkującéj, przewodniemu wpływowi kapitałów, tojest dawniejszéj nagromadzonéj pracy; ztąd wszystkie krzyki na despotyzm kapitalistów. Ale już i sławny angielski ekonomista Stuart Mill uważał, że wysokość zarobków przemysłowych, oprócz ogólnych ekonomicznych warunków ofiarowania i żądania, zależy także od zwyczajów i miejscowych położeń; że kapitaliści, właściciele zakładów przemysłowych nie mogą i z natury rzeczy i w własnym interesie nieograniczenie zniżać zarobków. Równowaga więc następuje tym mianowicie sposobem, że kapitaliści nie tworzą kasty zamkniętéj, lecz i owszem kierownictwo w przemyśle stoi ciągle otworem dla klassy zarobkującéj. Dwa wszakże, podług p. Verdeil są do tego konieczne warunki, tojest: jak największe ułatwienia dla robotników, aby mogli posiąść naukę potrzebną do przewodniczenia pracy i dostępność kapitału za osobistemi rękojmiami zdatności i uczciwości. W Anglii, gdzie warunki te są najsilniéj rozwinięte, widzimy téż największe majątki przemysłowe z ludności robotniczéj powstałe. Obok tych ogólnych a wielce filozoficznych uwag, P. Verdeil w dziele swojém przechodzi pojedynczo różne gałęzie przemysłowe i rozbiorem tym wspiera główne zasady przez siebie położone.

Oprócz takich oddzielnych rozbiorów dzieł, Dziennik ekonomistów w każdym zeszycie, poświęca oddział pod napisem: bibliografii, ocenieniu rozlicznych pism ekonomicznych, zawsze z powagą, bez uniesień, bez gwałtownéj polemiki, zwięźle, podając główne cele, treści i zalety dzieł, nie pomijając i usterków, ale tylko w widoku dobra nauki. Do dwudziestu takich rozbiorów znajdujemy w zeszytach, o których mówimy, a między niemi i dzieł nader ważnych, jako to: kursu prawa publicznego i administracyjnego p. Laferrière; Filozofii handlu, czyli teoryi zysków i cen, z zastosowaniem do cen zboża, pracy i pieniędzy przez Stirlinga, tłómaczonéj z niemieckiego przez pana Saint-Germain Leduc.

W miarę odbywania się posiedzeń akademii nauk moralnych i politycznych, Dziennik ekonomistów podaje o nich wiadomości. Każdy zaś zeszyt zawiera jeszcze dwa obszerne działy poświęcone wiadomościom bieżącym finansowym i handlowym: piérwszy dotyczący ruchu finansowego we Francyi, drugi takiegoż ruchu w krajach zagranicznych. W kronice ekonomicznéj podawane są doniesienia i objaśnienia o innych wydarzeniach z gospodarstwem społeczném związek mających.

Pomijając wchodzenie w bliższe szczegóły co do tych części Dziennika ekonomistów, równie jak i co do wielu drobniejszych lub mniéj nas bezpośrednio obchodzących artykułów, pozostaje nam danie dokładniejszéj wiadomości o najciekawszym niemal oddziale Dziennika, tojest o sprawozdaniach z posiedzeń Towarzystwa ekonomii politycznéj (Société d'économie politique) zamieszczanych w każdym zeszycie.

Dziennik ekonomistów jest organem tego Towarzystwa, przezeń założonym i utrzymywanym. Towarzystwo ekonomistów najlepiéj dowodzi, jak dalece przy dozwoleniu zespolenia się pracy i usiłowań ludzi w nauce i postępie zamiłowanych, przy wytrwaniu i rozumnym kierunku, mogą być osiągnięte wypadki dla oświaty i pomyślności krajowéj świetne. Urządzenie Towarzystwa jest nader proste, nie wielu otoczone formami, ale liczące w gronie swojém mężów gorliwie w nauce pracujących i dobrem jéj rzeczywiście zajętych. Składa się Towarzystwo ze 120 członków krajowców i zaprasza cudzoziemców na współczłonków, czyli członków przybranych (Associés). Biuro, tojest zarząd Towarzystwa stanowią: dwaj prezesi i czterech wice prezesów, dla przewodniczenia miesięcznym posiedzeniom. Obecnie członkami biura Towarzystwa są prezesi: p. Kar. Dunoyer, członek instytutu, dawny Radca Stanu, wybrany w roku 1845. P. H. Passy, członek instytutu, dawny minister finansów, wybrany w r. 1845. Wice Prezesi: P. K. Renouard, radca sądu kassacyjnego, dawny członek Izby Parów, wybrany w roku 1845. P. Mich. Chevalier, członek instytutu, senator, wybrany w r. 1845. P. L. Wołowski, członek instytutu, dawny reprezentant, professor prawa przemysłowego w konserwatoryum sztuk i rzemiosł, wybrany w r. 1858. P. Leon. Lavergne, członek instytutu, dawny deputowany, wybrany świeżo w r. 1861 po śmierci Horacego Say'a. Prócz tego do składu bióra Towarzystwa należą: sekretarz stały (Secretaire perpetuel) p. Józef

Garnier, professor w szkole dróg i mostów, wybrany w r. 1845; kwestor p. Guillaumin, dyrektor Dziennika ekonomistów, wybrany w r. 1845 i skarbnik p. Quijano, wybrany w r. 1855. Nowych członków przyjmuje biuro Towarzystwa na przedstawienie dwóch członków. Każdy członek płaci składkę 10 franków na rok. Posiedzenia Towarzystwa noszą tylko nazwę *Zebrań* (réunions) i odbywają się co miesiąc, każdego 5^go^ dnia miesiąca, za zwołaniem przez kwestora. Na zebrania te czynione być mogą przez biuro, w imieniu Towarzystwa, *zaproszenia* do osób obcych do Towarzystwa nie należących. Członek przez ciąg roku nie przybywający na zebrania Towarzystwa, uważa się za wychodzącego z jego składu, chyba że przed biurem dostateczne nieobecności przełoży powody.

Oprócz wydawania Dziennika w poszytach miesięcznych (około 10 arkuszy druku), Towarzystwo ogranicza się na rozprawach ustnych odbywanych na miesięcznych zebraniach, których także nie nazywa rozprawami, dyskusyami, lecz prostą rozmową. Jakoż unikając wszelkich zewnętrznych urzędowych oznak, zebrania Towarzystwa mają raczéj cechę koleżeńskich i poufnych zgromadzeń. Na jedném takiém zebraniu, a mianowicie 5 stycznia 1861 r. znajdowałem się, będąc zaproszony przez Towarzystwo i wprowadzony przez ziomka naszego wice prezesa Towarzystwa p. L. Wołowskiego, u którego rodacy znajdują zawsze najprzyjaźniejsze przyjęcie, najgorliwszą pomoc i chętne przewodnictwo we wszelkich poszukiwaniach lub badaniach w stolicy nauk ekonomicznych, instytucyj społecznych i piśmiennictwa gospodarstwa narodowego. Wysokie stanowisko naukowe i społeczne, jakie szanowny nasz ziomek pracą i rozumem pozyskał, jest dla każdego u nas chlubą przed obcemi, a mianowicie przed Francuzami nie łatwemi do uznania zasług cudzoziemca. Pod powagą tedy, tak słusznie cenionego Wice Prezesa, byłem w możności bliżéj przyjrzeć się sposobowi działań Towarzystwa ekonomistów, który mię szczególnie zajął powagą i wytrawnością, bez żadnych wymuszonych utrudnień. Zebranie 5 stycznia, odbyło się w jednéj z licznych jadalni w *Palais royal*, albowiem każde miesięczne zebranie rozpoczyna się od składkowego obiadu, nie zbytkowego lecz wytwornym porządkiem zalecającego się, co już usuwa wszelki pozór urzędowego posiedzenia. Gdy żaden z prezesów nie był obecny, objął przewodnictwo zebrania p. Renouard jeden z wice prezesów,

a po zajęciu miejsc w ozdobnéj sali, znalazło się obiadujących do 40 osób, co za liczne zebranie było uważane, zwłaszcza, że znajdowało się kilku zaproszonych gości cudzoziemskich. Właściwe posiedzenie czyli rozmowa naukowa, rozpoczęła się za zebraniem ostatniego dania, lecz wszyscy na miejscach swoich pozostali. Obecni mieli rozdany drukowany spis pytań na posiedzenie to przygotowanych, a mających ulegać rozbiorowi: każde pytanie miało swego wnoszącego członka. Na to posiedzenie spis obejmował do wyboru pytań 16, z których kilka dla przykładu przytaczamy:

Czy można oznaczyć wpływ obfitości drogich kruszców na stopę procentu?

Czy korporacye powinny mieć przyznane prawo posiadania własności?

Czy protekcya przemysłowa nie jest środkiem dojścia do wolności handlowéj?

Jakie jest działanie na bogactwo narodowe, wzrostu zarobków, a mianowicie na ceny żywności?

Jakie są przeszkody w rozwoju kredytu rolnego?

Czy nieinterwencya powinna być przyjęta za prawidło w stosunkach ekonomicznych między-narodowych? Czy interes ekonomiczny narodu, potrzeby jego przemysłu i handlu, upoważniają go do używania środków zmuszających względem narodu obcego?

Do rozbioru na dzisiejszém zebraniu wybrano pytanie podane przez p. Du Mesnil-Marigny, jakie prawdziwe znaczenie przywiązywać należy do wyrazów: bogactwo narodowe? Zadanie to inaczéj streszczone było przez p. Józ. Garnier, a mianowicie: jakim sposobem sporządzić inwentarz bogactwa danego narodu?

Zanim jednak do rozbioru pytania tego przystąpiono, sekretarz Towarzystwa udzielił wiadomość o zmianach zaszłych w składzie Towarzystwa, o nadesłanych mu przez niektórych członków zagranicznych rozprawach i pismach, tudzież o innych wiadomościach ekonomicznych zgromadzenie obchodzić mogących. Takież doniesienia czynione były przez przewodniczącego i jednego z wice prezesów. Na każdém także miesięcznem posiedzeniu, tego rodzaju najróżnorodniejsze wiadomości ekonomiczne, udzielane są członkom Towarzystwa i następnie przez

ogłaszanie w Dzienniku ekonomistów, stają się własnością publiczności.

P. Du Mesnil-Marigny po otrzymaniu głosu, rozwinął dość obszernie wniesione przez siebie zadanie, które następnie było w wielu punktach zbijane przez innych członków, a w rozprawie téj odznaczyli się p. J. Garnier sekretarz Towarzystwa, jędrną, logiczną i żywą wymowę posiadający; p. L. Wołowski wice prezes umiejący zawsze w świetnym, łatwym a często ozdobnym wykładzie, oprzeć rozumowanie swoje na zasadach naukowych, stale już i niewątpliwie przyjętych; p. L. De Lavergne spokojny, sumienny, gruntownie przekonywający mówca; p. Renouard przewodniczący obradom, posiadający jak widać wiele urzędowéj wprawy, a nawet nakazujący niemal sposobem mówienia przewagę zdaniom swoim; p. Horn rodem Węgier, z brzmieniem w języku francuzkim wydatnie cudzoziemskiém, ale porywający gorącém dowodzeniem, trafném ujmowaniem najbledszych odcieni rozprawy, natarczywie i prawie zawsze zwycięzko nacierający na zdania przeciwnika; wreszcie kilku innych mówców zawsze łatwo i poważnie wyrażających się. Taka naukowa rozmowa, z wzorowym porządkiem prowadzona i nigdy prawie zgiełkiem łączących się z sobą głosów nie przerywana, stanowi rzeczywistą umysłową rozkosz dla każdego, kto czuje nieocenioną wartość naukowego kształcenia się narodu; a w tym sposobie jak przez Towarzystwo ekonomistów została urządzona, przywiązuje swobodą, umiarkowaniem a zarazem głębokością i szerokim zakresem widoków. Nie jest też zbyt utrudzająca, bo się nie przeciąga dłużéj nad parę godzin i kończy się streszczeniem przez przewodniczącego wynurzonych zdań i wniosków, co lubo jest rzeczą wcale nie łatwą, zjasnością i bezstronnością przez p. Renouard'a zostało dopełnione, a co zarazem przekonywa, jak dalece mężowie naukowi we Francyi wytrawni są w przedmiotach, które badają, i jak dalece życie publiczne i postępowe prace, rozwijają w nich siłę jasnego wypowiadania myśli swoich.

W ciągu lat czterech od roku 1857, Towarzystwo ekonomistów rozebrało na takich wspólnych naradach więcéj jak pięćdziesiąt zadań i przedmiotów ekonomicznych, z których ważniejsze, na dwa a nawet trzy miesięczne zebrania wracały. Z każdéj takiéj rozprawy, zaraz w najbliższym zeszycie Dziennika,

znajduje się dokładne sprawozdanie, co poczytać należy za wysoką zasługę sekretarzowi Towarzystwa p. Garnier, podziwiając zarazem dokładność, z jaką te pobieżne niemal rozmowy, podane są w naukowym kształcie czytelnikom Dziennika.

Z tak licznych w latach zeszłych rozbieranych przedmiotów na posiedzeniach Towarzystwa ekonomistów, przytoczyć można niektóre ważniejsze, jako to: o spisie ludności we Francyi i przechodzeniu ludności wiejskiéj do miast; o zachętach dla nawodniania łąk; o ruchu idei ekonomicznych w Stanach Zjednoczonych, w Belgii, w Niemczech; o wolności banków, o instytucyach zabezpieczeń przez rząd wykonywanych; o taksach mięsa; o obowiązkowém wychowaniu początkowém; o własności literackiéj i artystycznéj; o stosunku cen żywności z cenami pracy; o sprawiedliwości podatku na tytuń; o wykładzie ekonomii politycznéj przy wychowaniu kobiét; o wykładzie tejże nauki w zakładach rządowych wychowania i wiele innych.

W piérwszych sześciu miesiącach 1861 r. znajdują się w Dzienniku ekonomistów, sprawozdania z następujących rozpraw:

Zebranie styczniowe. Wspomnione już wyżéj zadanie, p. Du Mesnil-Marigny rozwinął w ten sposób, że rozróżnił bogactwo narodu na dwojakie: jedne *bogactwo ocenione* na pieniądze czyli bogactwo wartości; drugie *bogactwo użytkowe.* Do piérwszego zalicza dobra nieruchome i ruchomości, tudzież produkcyą roczną, zmniejszoną rocznem zużyciem. Drugie, bogactwo użytkowe, oznaczone być może przecięciowo na jednego mieszkańca, podług natury i ilości rocznéj konsumpcyi. Tym sposobem może wypaść naprzykład wartość rocznego zużycia na Indyanina 60 fr.; na Hiszpana 150 fr., na Anglika 300 fr., a wartość ta będzie inna od téj, jaka wypadłaby z prostego podzielenia *bogactwa* narodu *ocenionego* na pieniądze, przez ilość mieszkańców. Ponieważ więc *bogactwo użytkowe* stanowi większą lub mniejszą ilość zadosyćuczynienia potrzebom pojedynczego mieszkańca, jest tedy główną podstawą prawdziwego bogactwa narodu i powinno być oddzielane od ocenienia wartości na pieniądze. P. Horn nie upatrywał dostatecznéj różnicy w podawanych przez wnoszącego określeniach, twierdząc, że bogactwo narodowe, do którego ekonomia polityczna prowadzi, daleko więcéj zależy od dobrego użycia i sprawiedliwego rozdziału jak od ilości wartości przez naród posiadanych. P. Wołowski dodał, że rozróżnienie przez wnoszącego podawane, da się spro-

wadzić do znanych w nauce określeń, wartości zamiennych i wartości użytkowych, tudzież że dla dania wyobrażenia o bogactwie narodu, należy do ogółu majątków pojedynczych mieszkańców, dodać wartość majątku publicznego, jako to: dróg, kanałów, mostów i t. p.; p. De Lavergne i przewodniczący w streszczeniu rozpraw, podzielali wyjaśnienia pp. Horna i Wołowskiego.

Zebrania lutowe i majowe, poświęcone były rozbiorowi pytania postawionego przez pp. K. Dunoyer, i J. Garnier: czy wychowanie młodzieży powinno być przez rząd krajowy urządzane; czy ma on popierać zakłady wzorowe; czy powinien starać się kierować nauczaniem. Rozpoznanie pytań tych wywołało obszerne rozprawy, w których wielu członków udział brało. Wnoszący p. Dunoyer, poparty przez p. Garnier, stawiał pytanie na gruncie czysto teoretycznym i usiłował je sprowadzić do stanowiska ekonomicznego, uważając wychowanie za pracę społeczną i poddając ją, tak jak każdą inną pracę produkcyjną, wolności działania. Rozciągał nawet tę wolność do wszystkich trzech stopni wychowania: początkowego, średniego i wyższego, twierdząc, iż rząd ograniczyć się powinien na pilnowaniu, aby każda gałąź wychowania zostawała w sobie właściwych granicach, lecz początkowanie w nauczaniu pozostawić usiłowaniom prywatnym. P. Garnier streszczając zdania wnoszącego, które sam podzielał i uzupełniał, sądził, że można następujące dać odpowiedzi: że rząd ustanawiając ciało osób nauczających, staje się monopolistą i wstecznym; że kierunek wychowania przez rząd, rozwija w osobach przez niego do tego użytych ducha wyłączności; że dawanie szczególnéj zachęty wzorowym zakładom przeszkadza rozwijaniu się zakładów prywatnych. Pomimo silnych rozumowań w ten sposób rozwiniętych, znalazły one mało poparcia jako zanadto bezwzględne i w ostateczność wpadające. Znakomici ekonomiści, jak pp. Hip. Passy, Villaumé, Renouard, Wołowski, Baudrillart i wielu innych, zbijali stawione wnioski przytaczając: że posłannictwem rządu a raczéj państwa, jest przysposabianie obywateli dla kraju; że rząd może wpływać na wychowanie nie zagarniając sobie w téj mierze monopolu; że działanie rządu powinno być zastosowane do stanu umysłowego i społecznego ludności; że w każdym razie wychowanie początkowe dla wszystkich potrzebne, w zupełności usprawiedliwia wdawanie się rządu w jego rozpowszechnienie; że ta zasada rozciąga się i do wychowania wyższego, w którém najszlachetniej-

sze i najwyższe nauki, nie zawsze użytkowo mogą być stosowane; że i owszem wychowanie średnie obejmujące wiele nauk, jeżeli tak rzec można, dających chleb, można śmieléj i skuteczniéj pozostawić prywatnym staraniom. Tę ostatnią myśl p. Baudrillart bardzo szczęśliwie wyraził utrzymując: że im silniejsze są żądania materyalne, tém bardziéj ludność potrzebę ich uczuwa; przeciwnie im większe są moralne potrzeby ludności, tém ich poczucie jest słabsze. W ogólności zbijający zdania pp. Dunoyer i Garnier'a słuszną zakończyli uwagą, że rozwiązanie zadania co do udziału państwa w wychowaniu, powinno się więcéj opierać na podaniach historycznych jak filozoficznych, i że na tém tylko trudność polega, aby udział ten nie stanowił rzeczywistéj przeszkody w swobodzie postępowego rozwoju nauk.

Zebranie marcowe. Wybrano do rozbioru pytanie podane przez p. A. Courtois kupca, jednego z redaktorów Dziennika ekonomistów: czy właściwą jest rzeczą nazywać *grą giełdową*, spekulacye na papiery publiczne i przemysłowe? Utrzymywał wnoszący, że nazwanie to jest ubliżające, bo w grze poświęca się wszystko losowi, a na giełdzie intelligencya walczy z nieprzewidzianym wypadkiem; że operacye giełdowe podnosząc cenę niektórych wartości, zwiększają tém samém korzyść ekonomiczną; że przyspieszają obieg wartości, że zatém mnożą ilość kapitałów obiegowych. Wnoszący popierany był w zdaniach swoich przez p. P. Coq, a w części i przez p. J. Garnier. Przeciwnie, pp. Esquirou de Parrieu, Dussard, Horn, Dupuit, Lamé-Fleury i kilku innych, słusznie wystąpili z rozróżnieniem operacyj giełdowych na korzystne dla społeczeństwa, na bezużyteczne i na szkodliwe. Do piérwszych należy zwyczajne kupno i sprzedaż wartości giełdowych z istotném przejściem do innego właściciela; do drugich zmiana właściciela tylko pozorna, przez płacenie różnicy kursu w pewnych terminach; do trzecich korzystanie z osobistego położenia, lub sztuczne podnoszenie albo zniżanie kursu giełdowego. Ostatnie operacye pod wszelkim względem tak ekonomicznym jak moralnym są naganne; inne albo na zachęcenie, albo na obojętność zasługują.

Zebranie kwietniowe. P. du Puynode wniósł do rozbioru pytanie: czy korporacye powinny mieć przyznane prawo posiadania własności, i w wywodzie swoim doszedł do wniosków przeczących, twierdząc, że własność stowarzyszeń, a nawet gmin, nie opiera się na prawie przyrodzoném, lecz na prawie

krajowém, którę prawo posiadania własności może korporacyom odebrać, tak, jak je im nadaje. Odróżnił wnoszący posiadanie we współce, gdzie każdy wspólnik jest osobistym właścicielem swéj części, od posiadania gminnego, a tém bardziéj stowarzyszenia nie mogącego własności alienować, które pod względem ekonomicznym jest mniéj produkcyjne. Podług wnoszącego, wszelkie prawo posiadania własności powinno być korporacyom odmówione. To zdanie tak widocznie krańcowe, mało téż było popierane i owszem wszyscy niemal obecni członkowie, jakoto: pp. Garbé były prefekt, Horn, H. Passy, J. Garnier, Renouard, H. Baudrillart, zbijali wnioski p. du Puynode, a nawet ci z członków, którzy nie mogli na samém posiedzeniu głosu zabrać, jak pp. L. de Lavergne, Clavé i Clamagéran przysłali następnie piśmienne ich poparcie. Niektórzy posunęli się do objawienia podziwienia, jakim sposobem twierdzenia tak przeciwne wolności, mogły wyjść z ust znakomitego wnoszącego ekonomisty. Przedstawiali oni, że posiadanie przez osobę zbiorową jest równie uzasadnione, jak przez osobę pojedynczą; dojrzeli z łatwością, że zarzuty p. du Puynode wymierzone były głównie przeciw zgromadzeniom religijnym, posiadającym majątki niepozbywalne (biens de main morte), a nie broniąc ich istnienia, odmawiali im tylko prawa wiecznego posiadania majątków bez możności ich zbycia, ale nie odmawiali prawa własności; tylko wolność alienacyi za środek zrównoważenia potęgi zgromadzeń religijnych poczytywali. Nie zgadzali się także na pomieszanie natury zgromadzeń religijnych z gminami cywilnemi własność wspólną posiadać mogącemi: wszakże te sztucznie utworzone osoby, czyli osoby moralne, mogą i powinny być poddane prawom krajowym pod względem posiadania własności. Czy jest rzeczą korzystną lub nie, utrzymywać takie korporacye, wychodzi po za zakres położonego pytania.

Zebranie czerwcowe. Na zebraniu tém prezydowaném przez p. M. Chevalier i na którém między innemi zaproszonemi znajdował się p. J. Stuart Mill, jeden z najsławniejszych tegoczesnych ekonomistów, toczyła się rozmowa naukowa o skutkach ekonomicznych rozerwania Stanów Zjednoczonych Ameryki i wpływie tego wypadku na produkcyą bawełny. Z wnoszącym p. J. Garnier, wielu członków zgadzało się na uwagę, że z odłączenia się Stanów południowych ani one, ani Stany północne korzyści nie osiągną; że zatém byłoby dla obu stron

pomyślniéj, gdyby były przed wybuchem wojny do wspólnego przyszły porozumienia. W każdym razie powstanie murzynów zawsze będzie groźne i wojnę wszczętą uważać można za ostatnią walkę niewolnictwa z wolnością. Obie strony podlegać mogą zarzutom, bo i Stany północne podnosząc cło protekcyjne dla swoich wyrobów, naraziły Stany południowe na straty. Lecz powstała wojna większe jeszcze znajduje zasilenie w poburzeniu wzajemnych namiętności, jak w przyczynach ekonomicznych. I pod względem produkcyi bawełny nie sądzili obradujący, iżby przyszłość przemysłu europejskiego była zachwiana, gdyż jest wszelkie podobieństwo do prawdy, że wydatek bawełny w innych krajach, a szczególnie w Indyach wschodnich, powstały brak w niedługim czasie zapełni.

W. Ł.

KRONIKA LITERACKA.

Taras Szewczenko, studyum przez Leonarda Sowińskiego, z dołączeniem przekładu Hajdamaków. Wilno, nakładem Michała Gałkowskiego. 1861.

Przedmowę do swojego przekładu kończy autor następnemi słowy: „Sam zamiar ogłoszenia Hajdamaków wywołał tu i owdzie krzyki namiętne. Nie odpowiadam na nie. Gdzieindziéj, wskazanie narodowi czegoś, co z życiem jego ma jakąkolwiek styczność, zasługuje na podziękowanie życzliwe; nie odmówią mi go rozumni,—o innych nie dbam."

Jakkolwiek wiemy z góry, że podejmując rękawicę p. Sowińskiego, wyrzekamy się tém samém miłego nam (jako nieodrodnym ludziom) miana rozumnych, i że w tym smutnym razie, autor, jak to zapowiedział, dbać o nas przestanie; przecież w sprawie potrzeby powszechnéj, w sprawie tych których przykład p. Sowińskiego uwieść może, w sprawie wreszcie własnego sumienia, zmuszonemi się widzimy wypowiedzieć kilka słów naszego przekonania—czyli raczéj braku przekonania do utworu, który p. Sowiński uznał być godnym wybornego swojego przekładu. A najprzód, zgódźmy się na jedno. Pytam się wszech w obec i każdego z osobna (w któréj to liczbie i p. Sowińskiego także): czy nie *to tylko* z rzeczy wiążących się z życiem narodu, zasługuje na przyswojenie, i w zamian za to na wdzięczność, co jest prawdą bezwzględną? Inaczéj, od czegóżby była krytyka historyczna, o któréj zasługach nie tu miejsce rozprawiać. A wszakże sam tłumacz nie tai tego bynajmniéj, że Szewczenko jak najstronniéj wykoszlawia fakta: że „przenosi okropności gwałtów wojennych

w okres długoletniego pokoju, spotwarza najohydniéj konfederacyę Barską, a oczerniwszy w ten sposób obóz przeciwny, wywiesza ponad swoim chorągiew wszystkiego co najświętsze. Co większa, nie poprzestał Szewczenko na wyborze przedmiotu, ale zamierzył jeszcze rehabilitacyę czynu, który w oczach historyi pozostanie na zawsze najokropniejszą zbrodnią. Dla dopięcia założonego celu, wypadało poecie zająźrzyć stosunek ówczesny stron obu, uogólnić doniosłość miejscowych wybuchów, i w zasadzie poruszenia zdradzającego dezorganizacyę i moralny upadek plemienia, postawić jakąś myśl organiczną i szlachetniejszą". Na obronę tego wszystkiego, a jak słusznie mniemać mamy prawo na obronę także swego wyboru pomiędzy utworami Szewczenki, powiada p. Sowiński: że „nieświadomość, do któréj się sam poeta przyznaje w przedmowie, dostatecznie wytłumaczyć go powinna." Nie wchodząc w fałszywość tego założenia, przewracamy kilka kartek daléj, w celu sprawdzenia cytaty, i oto przekonywamy się z podziwem, że autor jest nierównie szczerszym od swego tłumacza. Szewczenko wyznaje tam najbezczelniéj: „że Żeleźniak i Gonta może i nie są u niego takimi jakimi byli w rzeczywistości, *ale kiedy łżą starzy, to i on z nimi łgać musi.*" Osobliwszegożto rodzaju przymus!..—Koniec końcem jak widzimy nie ma co dłużéj słuchać w tym względzie p. Sowińskiego. Nie śmiał być apologistą swego autora—zresztą znalazł już posadę zajętą—więc zapragnął przynajmniéj podjąć się złéj sprawy, i probuje bronić jéj, bez względu nawet na to, czy potrafi zebrać dostateczną liczbę sędziów, którzyby mieli stoicyzm wysłuchać go do końca.

Apologistą Szewczenki jest Kulisz—zaprawdę nie ma co z nim iść w zawody. Posłuchajmy z kolei co *on* mówi o Szewczence: „Poezya Tarasa jest winem rozweselającém; bo choć posępną i łzami nabrzmiałą nutą opiewa on czarną tę dolę ludzką, lecz w duszę wlewa posilną i ożywiającą wodę, bo nie zesłał go Pan Bóg ażeby śpiewał dla umarłych, lecz by żyjących porywał ku *dziełom żywota.*" Bledną i drżą nam usta, ilekroć przymusimy je wyszczególnić te dzieła żywota, ku którym Szewczenko porywa *żyjących.* Nóż, głownia, strumienie gorzałki nawpół z krwi strumieniami. Czyny podobne nieraz już po za obrębem ludzkości dobijały się prawa obywatelstwa i uznania ludów; poczekajmy lepiéj, aż nie zmądrzejemy przykładem z za morza, po co nam probować tych rzeczy u siebie! Zresztą doświadczenia galicyjskie wyszły na pożytek komu innemu, niż tym, których pobudzono ku dziełom żywota.

Szewczenko jestto Byron chłopski; Byron ma się rozumieć przenicowany i wywrócony podszewką na wierzch. Chorował on na nadmiar darów Bożych, z któremi nie wiedział co zrobić; marzył być wielkim, ale wolał wybrać drogę łatwiejszą, biorąc za mistrza Herostrata. Nie próbował nawet nic budować: burzył tylko. Wyniosły i dumny ze swego pochodzenia, rad był zdeptać, gorzéj niż zdeptać bo ohydzić, gorzéj jeszcze niż ohydzić bo obrócić w niwecz wszystko, co tylko było czém innem jak siermięga. W tym względzie cynizm jego przechodzi wszelką wiarę: zdaje się, że pisał krwią a zasypywał zgliszczami. Gorączkowa, szalona jakaś, oślepiająca go na wszelkie względy pycha, zdaje się być cechą charakterystyczną tego człowieka. Niby wszystkich swoich braci kocha w sobie, a tymczasem, całkiem przeciwnie, siebie tylko kocha w drugich. Z przeszłości rozumie jedynie hulanki hajdamackie, nie dość jeszcze jak mniema uzupełnione, z obowiązków społecznych dzisiejszych tylko prowadzenie dalsze owego zerwanego wątka. Jego stanowisko zapatrywania się na prawo odwetu jest więcéj niż pogańskie, bo nawet zwierzęce. Jerzy Sand powiedział, że zemsta jest najszlachetniejszą ze zbrodni: Szewczenko idzie daléj, bo robi z niéj szlachectwo duszy. Co do jego osobistych porachunków ze społeczeństwem, to te nierównie dotykalniéj jeszcze wykazują jego nędzę moralną i Herostratyczną niemoc w zapasach z pychą bez granic. Jeżeli o kim, to o Szewczence, da się powiedzieć w całém znaczeniu tego słowa: że *improbus labor vincit omnia*. Człowiek ten wyraźnie powiedział sobie, że będzie mizantropem *quand même*, i dowiódł w tym względzie stałości woli niezachwianéj niczem. W ciężkiém upracowaniu ducha szuka on, coby tu nazwać nieszczęściem i prześladowaniem ze wszystkiego co przechodził w życiu, a jeszcze i przy mocnych wysileniach nie bardzo mu się udaje zostać bohatérem.

Spróbujmy przebiegnąć w krótkości życie jego, pisane jego własném piórem, któremu nie żałował czernidła! Przy najlepszych chęciach wykazania tyranii, jakiéj podlegał w domu swego pana, zaledwie raz wszystkiego może przytoczyć, że został ukarany, a i to za to, że tylko co nie podpalił domu. Trzeba czytać, z jak żółciową zajadłością mówi o tém, że go pan jego, odkrywszy w nim talent do malarstwa, oddał na naukę do Petersburga. Tam się poznajomił z Soszenką, Gregorowiczem i Żukowskim; wykupiono go z poddaństwa: został ulubionym uczniem Bryłowa i reszta życia poszła jak po maśle. Z tegoto tedy życia, nie po-

zostało Szewczence nic innego, jak tylko „okropne przeświadczenie jego przeszłości." Słowa te są jego własne, według słów tych niechże osądzony będzie. Jedyne krzywdy, jakich doznał w życiu, pochodziły właśnie od jego współbraci, a i to, krzywdami takiemi krzywdzone jest każde dziecko, choćby i najbardziéj pańskie, skoro raz mu przyszło wstąpić w cierniową ścieżkę początków nauki. W skutek krzywd tych, uciekając od djaka do djaka, już zamierzał skończyć karyerę na tém, od czego ją rozpoczął Sykstus V; kiedy wtém pan jego przesadził wszystkich krzywdzicieli dotychczasowych, biorąc go od towarzystwa z nierogatemi do swego własnego pokoju, z którego późniéj, jak już wiadomo, oddał go światu. Takiémto było życie człowieka, który znalazłszy wszelkie inne role poobsadzane dostatecznie, uznał, że dla niego nie pozostało: jak zrobić się wieszczem pomsty, biczem Bożym.. Gdyby warto było głębiéj sięgnąć w przyczyny, które Szewczenkę pokłóciły z życiem, znalazłoby się niewątpliwie, że zapewne nie dość wiedziano o nim po za obrębem Ukrainy: pan Sowiński tedy starał się zaradzić i temu.

W tém miejscu pożegnamy wreszcie autora, z którym pomimo (gdyby nawet najtryumfalniejszych) zalet, radzibyśmy mieć na przyszłość jak najmniéj do czynienia, a zapytamy się przekładcy: jakiém prawem zrobił się dragomanem téj Kanibalskiéj biesiady ducha, któréj imię Hajdamacy? Przez usta nasze przemawia głos historyi, głos uczuć narodowych; wreszcie choćby już tylko głos dobrego smaku. Pytamy się, co mogło spowodować p. Sowińskiego do podobnego wyboru, kiedy w studyach swoich nad Szewczenką, ani do niego, ani osobliwie do jego Hajdamaków nie ma najmniejszego złudzenia? Posłuchajmy, co sam powiada z téj okoliczności: „Wieszcz ludu powinien być chrześcianinem. Ozłacając poezyą uczucia i sprawy gminu, wtenczas tylko dorówna powołaniu swemu, gdy wyższy nad błędy i uniesienia ciżby, postawi je w obec ideału, w obliczu Prawdy Przedwiecznéj, kierującéj losami indywiduów i narodów. Dusza piewcy gminnego jest mistrzynią swojego ludu: i płacz jéj i wesele powinny podnosić i uszlachetniać braci. Pieśń rozbestwiona żądzą, zatruta nienawiścią i zemstą, ziejąca krwią i płomieniem, może być wpływową: nie może być budującą i zacną. Czy pomyślał też o tém autor Hajdamaków? Trudno go usprawiedliwić w tym względzie. W całym poemacie od początku do końca, kilka zaledwie ustępów jaśnieje myślą poczciwszą. Wszędzie niemal uderza nas solidarność kobziarza z bohatérami dum jego; wszędzie Opatrzność

historyczna rozbija się o fatalizm bezmyślny; wszędzie ideał obywatelsko-chrześciańskiéj swobody poniża się do wymiarów bezwzględnéj równości i rozpasanéj swawoli.” Do tych przedziwnych słów prawdy nie mamy nic do dodania. Ale jakże tém mniéj wytłumaczyć sobie teraz możemy ową osobliwszą miłość, z jaką pan Sowiński wziął się do odtworzenia *z góry* potępionego przez siebie utworu. Nie cofamy słów naszych: przekład wykonany jest z miłością godną arcydzieła, i jako taki, ze wszech miar zasługuje na uznanie. Przypomina on najlepsze czasy przekładów, jakie miał np., rękopism Królodworski pod piórem Lucyana Siemieńskiego, lub Słowo o pułku Igora, kiedy je przyswajał Bieowski. Tak znamienitych zalet czyż nie należało użyć przyzwociéj? Nawet nie wychodząc z obrębu utworów Szewczenki, można było i pomiędzy niemi znaleźć nie jeden godniejszy miejsca w literaturze. W studyach nad Szewczenką obznajamia nas p. Sowiński, bądź w treści, bądź w wyjątkach z wielu utworami tego poety, z pośród których, z wielkiém naszém zdumieniem znaleźliśmy, że najmniéj należało wybrać Hajdamaków. Jest tam np. powiastka nosząca napis Najmyczka (najemnica). Za jéj przekład mielibyśmy p. Sowińskiemu wdzięczność, zdolną nawet zapomnieć mu przyswojenie Hajdamaków. Prześliczna to idylla, pełna wdzięku, rzewna, uderzająca prawdą. Znalazłoby się i wiele innych rzeczy, bez porównania wyższych od Hajdamaków, układem, formą, treścią, że już nie powiemy dążnością.

Doprawdy, nie mówmy już dłużéj o téj złéj chęci p. Sowińskiego w wyborze Hajdamaków: zbyt nas to kosztuje. Oto, wolimy się już czepić Szewczenki, który nie jest nasz, a który winien nie mało, że mu podsunął tę pokusę, jakby podszept nie dobry. Na zakończenie tedy, staniemy ręka w rękę z p. Sowińskim, żeby z całego serca podzielić z nim jego wyrazy, na zapytanie Szewczenki: „czy prawdę śpiéwa?”— Nie prawdę, nie prawdę!— odpowiadamy w imię onego słowa Bożego, które poeta upatruje w okrzykach szału pijanego, lub w ryku roznamiętnionych nienawiścią i zemstą tłumów. Powtórzymy jeszcze ten protest po rozpatrzeniu innych jego utworów: sumienie i dzieje będą podstawą naszą. *(f).*

Dzwonek. Pismo dla ludu. Lwów. Druk i nakład Winiarza. 1860.

Mamy przed sobą trzy tomy tego pisma, obejmujące okres półtoraroczny, tojest od 1 lipca 1859 r., po 21 grudnia 1860 r. Wychodzi go co dni dziesięć arkusz druku, co stanowi z końcem półrocza książkę złożoną z 288 stronnic, która kosztuje 1 reński srebrem, tojest złp. 4. Uważamy publikacyę tę za jednę z najtańszych, zważając zwłaszcza, że papier jest biały, piękny, druk ścisły choć przedziwnie wyraźny; że do każdego kompletu rocznego dołącza się rycina kolorowana, a nawet jeszcze książka zbiorowa dodatkowa. Tyle o materyalnéj stronie tego pisma.

Boga, dzieci, Boga trzeba:
Ko chce syt być swego chleba.

Takie jest wezwanie dzwonka.

Dewiza ta zdaje nam się być wziętą z rotuł Mikołaja Kochanowskiego: zresztą rzecz to obojętna. Idzie tylko o to, że jest wybornie odpowiednia i celowi pisma i czytelnikom, ku których pobudce dzwoni: lud bo galicyjski nieszczęściem tak się był już rozpaczliwie zaprzał Boga! Wezwanie zdaje się mówić: z Bogiem musi poczynać, kto chce, aby miał chleba do sytości, i zarazem, ażeby mu chléb, około którego chodzi, wyszedł na pożytek. Dając ten wykład nie chcieliśmy powiedzieć ogólnika. Każdemu przecież wiadomo: że człowiek stworzon do pracy jak ptak na latanie; i znowu, że nie samym chlebem tylko żyje; jak niemniéj, że jakibądź on tam jest ten chléb: czy biały, czy czarny, czy choćby nawet owsiany, napół z plewą, strawniejszy on stokroć, jeśli jest zagniatany własnym znojem pracownika, niż kiedy cudzą krwią, która prędzéj czy późniéj o pomstę do Boga zawoła. Ale stawiając się w położeniu przedsiębiercy podobnego pisma w Galicyi, mniemamy, że potrzebował niemałego zapasu wytrwałości, że niemało osobliwszych prób do przebycia naznaczyć sobie musiał, niemało przeczekać zawodów, nie mało strat materyalnych, na téj tak chwalebnéj drodze dobra powszechnego, która nie zawsze jest gościńcem prosto wiodącym do celu. Zdaje nam się widzieć go przez czas długi pustelnikiem pośród głuszy borowéj, wstrząsającym dzwonek kapliczki, raczéj ku Chwale Pańskiéj, jak ku świadomości kogobądź z żyjących. Uspokaja nas nieco, że księgarz jest nakładcą przedsięwzięcia; musi zatém

nie tylko wychodzić na swoje, ale mieć jeszcze i zyski odpowiednie. Radzibyśmy posiadać jakie dane statystyczne w tym względzie. Powiadają, że lud tamtejszy jest dość gęsto piśmienny; w takim razie, jeśliby jeszcze i chęć dobra po temu, zakres działania Dzwonka powinienby już dzisiaj nie mieć sobie równego. Jestto pismo redagowane z wielką znajomością rzeczy. Nie spotyka się tam ani jednego z tych nagich, wywiędłych, wypłowiałych, porozsychanych morałów, które przy najlepszych chęciach wyglądają tylko na nieustające gderanie, nieco zbyt naiwnie poczciwe. Stowarzyszenie Dzwonka żyje wśród ludu, z nim czuje, gada jego własnym językiem, jego wrażeniami opędza potrzeby życia. Nie boi się rubaszności chłopskiéj, karczmy, jarmarku, odpustu; słowem tego wszystkiego, co jest ściśle zrosłe z obyczajami ludu wiejskiego. Zamaszysty humor wieśniaczy, w sposób niesłychanie urozmaicony ubarwia tysiączne obrazy wad społecznych, śmieszności, głupstwa, przesądów i uprzedzeń tego społeczeństwa tyle posiadającego w sobie sił żywotnych, a tak niezdrowe tymczasem mającego o tém pojęcie. Dramatyczna forma opowiadania przedstawia rzecz każdą, jakby w odbiciu zwierciadła; sens moralny wszędzie gra w chowanego, ku tém większéj uciesze moralnéj czytelnika. Od Pielgrzyma w Dobromilu i innych pism podobnéj treści z tamtéj epoki, cóż to za olbrzymi krok naprzód! Postęp widnieje nawet w samém piśmie. Studya coraz sumienniejsze, natura coraz żywiéj chwytana na uczynku, zaczém i swoboda coraz rozleglejsze zagarniająca obszary. Nie weźmie nam tego nikt za samochwalstwo prowincyonalne, bo zresztą i nikogo to nie zdziwi, skoro powiemy z chlubą, że powiastka naszego Gregorowicza, zaraz w połowie piérwszego tomu, poprowadziła za sobą cały szereg ulepszeń w treści i w formie. Bo téż istotnie serce się raduje czytać to rzeźwe, doświtkowe bajanie, *o wiernym koniu białonóżce*. Zresztą spotyka się tam najcelniejsze imiona literatury ludowéj, jak Walerego Łozińskiego, Brunona Bielawskiego (który był redaktorem Dzwonka), Pauliny Wilkońskiéj, Walerego Wielogłowskiego, Lenartowicza. Jest tam i nasz Wójcicki i Wacław Szymanowski ze swoją historyą o kowalu Matyasku, przedrukowaną z Czytelni niedzielnéj, bo Dzwonek nie gardzi i przedrukami, jeśli co gdzie opatrzy godnego siebie. Jest téż nie mało nazwisk znakomitych, poprzebieranych po chłopsku dla niepoznaki: Walery Łoziński nazywa się tam Walentym ze Smolnicy, Jaśko Żuczek znaczy Mieczysława Romanowskiego, Józef z pod Krakowa Józefa Szujskiego, Ludka z Myślenic Ludwikę Leśniewską.

Grześ z Mogiły (J. Starkel), niby furmani tu i owdzie po świecie, żeby miał co opowiadać o ziemi polskiéj za powrotem. W ogóle dobór przedmiotów wiedzy, ich wykład i zastosowanie nie pozostawia nic do życzenia. Stanowisko wyraźne, nie zaćmione żadnym względem wstecznym, nie ścieśnione żadnemi konwencyonalnemi ramkami, ani nastrajane do tego ckliwego liryzmu tak dalekiego od słów gołéj prawdy, zaleca to pismo niepospolicie pożyteczne. Poezya przedstawia się też tam w całéj godności wysokiego swego posłannictwa. Nie mówimy już o Lenartowiczu, Polu, Szujskim, Romanowskim; ale są tam imiona mniéj znane, a może równie przedziwnie strzegące „narodowego pamiątek kościoła", jak pieśń gminna rodzima, któréj autorów nikt nie zna. Pozwolimy sobie przytoczyć jedno z tych drobnych arcydzieł, które gdyby spotkać przyszło w Zbiorze pieśni ludowych, niktby się ani domyślił podrobienia. Jestto piosnka o królu Janie, Grzesia z Mogiły:

Czy to mgła ze stawów taka czarna wstaje,
Czy szarańcza leci w niemieckie zagony;
Czy przepiórcze stado leci z onéj strony?
Ani cito czarna mgła ze stawów wstaje;
Ani to szarańcza leci na zagony;
Ani cito stadem nie lecą przepiórki:
Jeno co na koniach czarne pędzą Turki.

Lecą Turki, lecą, szable się im świecą;
A co jeno żyje, po norach się kryje;
A gdzie się ostali: to się wszystko pali.

Kuka w czarnym borze żałosna zazula,
Szłą Niemcy pisanie do polskiego króla:
—Hej, panie Sobieski! hej, ty królu polski!
Przyjdźże w imię Boga, bo nam wielka trwoga:
Turek srodze broi, mało nas nie pojé.

Słucha król Jan posły i nasrożył wąsy;
Klasnął tęgo w rękę, woła na wojenkę.

Piszą Niemcy piszą, szlą drugie pisanie:
—Hej, ty panie polski! hej, ty królu Janie!
Przyjdźże jeno rychło, bo tu wielkie licho:
Toć nam już trzy ćwierci do okrutnéj śmierci.

Słucha król Jan posły i nasrożył wąsy.
Zagrał w srebrną trąbkę, na konika siędzie,
Polskich wojowników na wojenkę wiedzie.

Jedzie wojsko, jedzie, a król Jan na przedzie
I wnet przyjechali, kędy Turcy stali.
Westchnął król Jan z piersi:—Hej, mój Boże miły!
Na ochrzczoną ziemię Turki się zwaliły.
Dodajże mi męztwa z wysokiego nieba,
Bo ich duża siła, to mi go potrzeba.—
Jeno ci to wyrzekł, popatrzy do góry,
Aż tu orzeł biały wyleciał z za chmury;
Skrzydła mu się szkliły i powietrze biły,
Usiadł Sobieskiemu na zbrojném ramieniu:
—Hejże, w imię Boskie, moje hufce polskie!
Uderzmy na wroga: taka wola Boga.
A tu hukły kotły i trąby zagrały,
Aż ci się gdzieś lasy i góry ozwały.

Siedzi wrona, siedzi, pokrakuje sobie:
—A co też ja z temi poganami zrobię.
Chyba ja polecę po kruka i kawkę,
A będziemy mieli z Turkami zabawkę.

Jak zielone siano kiej po sianożęci,
Leżą polem Turki, leżą bez pamięci;
Zlatują się kruki i kawki i wrony,
I psi nadciągają od przeróżnéj strony.

A we Wiedniu mieście wielkie kamienice,
Jedzie król Jan jedzie w szeroką ulicę;
Jedzie król Jan jedzie na siwku, na przedzie,
Czapeczką potrząsa i pokręca wąsa.

Siedzi Niemka w oknie, i tak myśli sobie:
—Śliczny ten król polski, a cóż ja też zrobię:
Tak ci mi naczynił swojemi wąsami,
Że mi tylko jechać z temi Polakami.

Nie frasuj się Niemko, bo tak źle nie będzie:
Niech tam każdy siedzi, kędy raz usiędzie.

Jak ci wojownicy Turków zwojowali,
Pięknie się skłonili, do dom pojechali.
Jedzie król Jan, jedzie, na siwku, na przedzie,
A Bogu na chwałę śpiewa wojsko całe.

Być może, nie jednéj z podobnych pieśni, przebaczą potrosze, że była pisana piórem z niezbyt mądréj gęsi, mającém nawet nieco pogryzioną chorągiewkę. Przy stosownem przerobieniu i dodaniu śpiewu, uwięźnie ona w pamięci ludu, i nikt się już wtedy

nie dopyta: zkąd się wzięła, kiedy i jak? Naprożno nawet krytycy dowodzić wtedy będą potrzeby pozbycia się intruza; lud zamiast krytyk będzie wolał czytać Dzwonek, i słuszność będzie po jego stronie. Dziś nie wiemy jeszcze, co sądzić o wpływie podobnego pisma na lud prostaczy. Zakończenie trzeciego tomu, pomiędzy innemi, te także słowa zwraca do swoich czytelników: „Były czasy, że nie jednego *z nas* uwiódł zły duch piekielny; a wtedy człek od roli, rzucał się na swego brata pana we dworze i zabijał go, i żonę i dzieci jego! Nasrożył się Pan Bóg na one zabójstwa, i zesłał nieszczęścia na onych zabójców, że skapali i zczeźli w niedoli i opętaniu złego ducha. I zesłał pan Bóg na nas jeszcze gorsze czasy: głód i słabość. Czytajcie Dzwonek i rozważajcie sobie co w nim napisano. My wam życzymy całém sercem i nieba radzibyśmy wam przychylić, a przecież nie jeden może z was złość ma ku nam w nienawiści niedobrego serca". Przypomina to coś słowa Temistoklesowe: „bij, ale słuchaj". *Habent sua fata libelli.* Doprawdy, Dzwonek robi wszystko co może. Wygląda on jak sygnaturka na wieżyczce dzwoniąca o zachodzie na Anioł Pański. Ten i ów zdejmie czapkę i modli się. Jeśli nie za pierwszą razą, to za drugą, to za trzecią: A jak nie dziś, to jutro—czas jest zawsze.

Nie możemy go tedy stosowniéj na ten raz pożegnać, jak jego własném życzeniem, którém byt swój rozpoczął:

Dzwońże, dzwonku nasz maleńki; dzwoń przez kraje całe:
Dobrym ludziom na pociechę, a Bogu na chwałę!

(f).

Duma o Hiawacie Henryka W. Longfellow. Przekład Feliksa Jezierskiego. Warszawa. Nakładem księgarni Stanisława Arzta w Lublinie. 1860.

Jeden z pisarzy francuzkich rozbierając niegdyś Ewangellinę Longfellowa, zrobił był sobie zadanie doszukiwać się w nim teutonizmu skandynawskiego; miał nawet dobrą wolę dopatrywać w rytmie jego wiersza alliteracyj islandzkich, o czém jednak, według jego własnego przyznania, poeta z pewnością ani myślał. Wprawdzie wzgląd ostatni nie stanowi zarzutu, jak i przyznanie krytyka śmieszności (bo wiadomo nie od dzisiaj, że się nasiąka

wpływami nie zawsze samowiednie, a najczęściéj mimo wiedzy się z niemi zdradza); nie przeto jednak krytyk rzecz naciągnął.

Nie tu jest miejsce zbijać Filareta Chasles'a (onto bowiem z wysokości katedry objawił przekonanie powyższe); do uprzedzenia jego mogła mu mniéj potrzebnie posłużyć wiadomość, że Longfellow wychowywał się w Europie, że ztąd wyniósł najbogatszy zapas wiedzy, ale osobliwie, że znaczną część swego życia spędził w Szwecyi i Danii. Zresztą stanowczo zaprzeczylibyśmy mu tylko co do Ewangelliny, w któréj poeta zdaje się dopiéro szukać właściwéj drogi, podobnie jak jego bohatérka swojego kochanka. Właściwie zaś przytaczamy tu ten szczegół dlatego jedynie, że przekładca Hiawaty ma w tym względzie pogląd, o wiele jeszcze śmiałością pomysłu wyprzedzający francuzkiego uczonego. Pan Jezierski wyznaje w przedmowie, że: „pomiędzy wielu pobudkami do przekładu Hiawaty, najważniejszą może była mu dostrzeżona w nim dziwna pokrewność i jakby rysy familijne, ducha słowiańskiego przypominające". Stopniując rzecz coraz mocniéj, dowodzi daléj, że: „Longfellow przeniósł pieśni *nasze* pod cienie dziewiczych lasów Ameryki". Następnie nie waha się mieć to za przekonanie, że poeta jego „czerpał natchnienie i kierunek *z naszych pieśni narodowych*". Wreszcie w ten sposób przygotowawszy czytelnika do usłyszenia rzeczy całkiem niespodziewanéj, przyznaje Longfellowi wręcz już *polskość* w obrazach i obrazkach i ostatecznie we wszystkich jego zaletach.—Przedewszystkiem nie widzimy powodu, dla czegoby się przekładca miał usprawiedliwiać ogółowi, że podjął robotę, za którą w każdym razie pewien mógł być wdzięczności. Autor jest znakomity, rzecz sama z siebie piękna, to sądzimy, że i dosyć. Czyż nas tylko polskość obowiązuje, lub jedynie pociąga? Zkądinąd znowu zapewnić możemy czytelników, że w całym poemacie nie ma ani jednego powiewu od naszéj ziemi; témbardziéj tedy o korzystaniu z naszych pieśni narodowych nie może być mowy. Longfellow, który zapewne ledwie z geografii wié o nas, sam zdziwiłby się niesłychanie, gdyby się dowiedział o *zapale*, z jakim przeniósł pieśni *nasze* pod cienie dziewiczych lasów Ameryki. Kogo wykołysała choć jedna piosnka wieśniacza; kto wykarmił chłopięctwo swoje choć jedném wspomnieniem dożynek, wieczornicy lub wesela chłopskiego; kto wreszcie miał w ręku choćby najmniéj wystarczający zbiór pieśni ludu: ten nie dozna w tym względzie złudzenia. Niektóre miejsca poematu zbliżają się wprawdzie nieco charakterem do klechd, prze-

wijających się jak mgły senne po szerokiéj naszéj ziemi; ale i w tym względzie dziwnie ostrożnym być trzeba. Klechdy nie wszystkie urodziły się w domu; wiele ich przywędrowało zdaleka: to ze Wchodu, to z Północy. Fantazya w nich dziwnie niejednostajna, i w tém oczywisty dowód nie jednego ich pochodzenia. Mógł tedy Longfellow spotkać się z nami, nie koniecznie biorąc od nas. W tym względzie, kto wié, czy Filaret Chasles nie będzie miał słuszności za sobą. Czego trudno dopatrzyć w Ewangellinie, to się znajdzie może w poemacie Hiawaty. Choć i tu dając za pewnik coś podobnego, koniecznie posądza się autora o fantazyą zbyt twórczą, lub przynajmniéj barwy naleciałe, w rodzaju tych, jakiemi słońce przystraja szyby okien, bez względu na to, że ich obowiązki nie powinnyby przekraczać warunków przezroczystości. A tymczasem autor jest może tylko wiernym spisywaczem tego, co zasłyszał od staréj niańki, lub napotykał wiejące w powietrzu, w czasie samotnych wędrówek, pośród puszcz i trzęsawisk krainy Odżybwejów, po nad Wyższém Jeziorem. Istotnie, rapsodye składające niby całość dumy o Hiawacie, nie wszędzie szczelnie zszywają się z sobą: miejscami zdarzy się przerwa, miejscami szczegółu jakiego za wiele, lub jaki obcy głównemu przedmiotowi; co nasuwa mniemanie, że jest wzięty z odrębnéj całości opiewającéj innego bohatéra. Ostatecznie rzecz biorąc, zbiór pieśni o Hiawacie wygląda na rupiecie powydobywane z arki przymierza, w któréj zamierzchłe pokolenia staréj Ameryki, pochowały „broń swoich rycerzy, swych uczuć przędzę i swych myśli kwiaty". W tym względzie osobliwszą jest przykrością dla czytelnika brak stósownych objaśnień. Czy ich autor poskąpił, czy tłumacz zaoszczędził? nie wiemy. Longfellow pisał dla tych, co może jak on rzecz rozumieją, będąc jéj blizkiemi; ale dla nas należało się postarać o abecadło, od któregoby zacząć można naukę. Myśl błąka się po omacku, wyraźnie jakby w dziewiczéj puszczy pierwotnego świata, pośród tego nawału podań, że już nie powiem imion własnych, ani wyjaśnionych, ani choćby uporządkowanych systematycznie; i łatwo dla téj okoliczności, nie daléj jak u wstępu, uprzedzić się i zrazić może do całości. Na usprawiedliwienie naszego twierdzenia przytoczymy zaraz z przedśpiewu: czaplę Szuszugę, łyskę Czetowaika i gęsi Wawa. Nie możemy z tém wszystkiém trafić do ładu, nawet z pomocą słowniczka załączonego na końcu. Jeżeli to są imiona własne w rodzaju Stymfalickich ptaków, Strymońskich żórawi, lub hydry Lerneńskiéj; co tedy znaczą w mitologii, czy w podaniach narodu Odżybwejów

(o których także radzibyśmy mieć dokładniejsze nieco szczegóły nad samo ich nazwisko)?—jeśli zaś tylko poprostu znaczą to samo po amerykańsku, co załączony obok wyraz polski, nie było przyczyny zachowywać je w naturze. I daléj znowu:

Sosna mówi: „Minne-Wawa",
Woda mówi: „Mudwaj-Aushka".

Nie wiemy nic co one mówią. Są to dla nas próżne dźwięki, jesteśmy jakby na niemieckiém kazaniu, i co gorsza, w towarzystwie tłumacza, którego słowniczek tą razą zachowuje uparte milczenie, jakby już sam nie wiedział, o czém mowa. Są to wszystko usterki, dla których dzieło acz ze wszechmiar (bo i jako pierwowzór i jako przekład) znakomite, nie pociąga tak jakoś odrazu, jak nie jedno mniéj dobre. Zaprawdę, rzadko wytrwały czytelnik bywa równie hojnie nagrodzonym, jak się jest po przeczytaniu téj dość grubéj książki,— ale znowu nie każdy jest wytrwałym.

Spróbujemy, ile się da, streścić przedmiot Hiawaty dla dania ogólnego o nim pojęcia.

Przedewszystkiem wiedzieć trzeba, że Hiawata jest niby Heraklesem, niby Ozyrysem, niby Orfeuszem, niby także Astreą tych plemion północno-amerykańskich, o których zaledwie coś wiemy z romansów Coopera. Oczyścił on im świat z rzeczy szkodliwych, nauczył uprawy roli i rzemiosł, i wreszcie zasad sprawiedliwości i uobyczajenia; a przechodząc przytém koleje zwyczajnego życia ziemskiego, dał z siebie przykład, jak należy nie zapominać się w szczęściu i nie upadać pod ciężarem cierpień.

Teraz przystąpmy do historyi tego półboga.

Razu pewnego Dżycze Manito Wielki Duch, zapaliwszy fajkę Zgody, zwołał tym sposobem ludy od czterech wiatrów, żeby im obwieścić przyjście proroka Wybawiciela. Jakoż z Wenony dziewicy, za sprawą zachodniego wiatru, rodzi się wkrótce dziecię owo cudowne. Matka niebawem odumiera je z rozpaczy opuszczona przez kochanka, i małego półboga bierze na wychowanie babka Nokomis, niegdyś księżycowa rusałka.

Wieczorami posród lata
Siedzi w progu Hiawata,
I dziecięce ucho skłania
Na gwar sosen, wód szemrania,
Słowa cudu i muzyki...
. . . . . .
Raz na wschodzie wstęga tęczy
Rozpięła się w pół obręczy.
— Cóż to? cóż to?—wnuk zapyta.

Na to babka Hiawaty:
— Widzisz, to jest niebo kwiatów
Wszystkie dzikie, leśne kwiaty,
Wszystkie lilie barwy swemi,
Gdy powiędną tu na ziemi,
Kwitną w niebie po nad nami
. . . . . .
Więc od ptasząt, Hiawata
Jął się uczyć ich języków,
Wszystkich imion i tajników:
Jak na zimę gdzieś się kryją,
Jak na lato gniazda wiją;
A w spotkaniu, zaraz mami
Do rozmowy wszystkie ptaki,
Zwąc je „swemi kurczętami".
To znów miana zwierząt bada,
Jaki zmysł ich, jaka mowa,
Jak bóbr pałace zakłada,
Gdzie wiewiórka żołądź chowa,
Czemu Ren tak w biegu żywy,
Czemu królik tak płochliwy—
I rozmawia się z wszystkiemi
Zowiąc: „braćmi rodzonemi"....

Dorosłszy, Hiawata rozpoczyna swój zawód bohatérski, od pomszczenia śmierci matki; zaczém wyzwawszy na rękę wiatr zachodni, tak mu się daje we znaki, że mu tenże zmuszony jest przepowiedzieć wszystkie wielkie dzieła, których dopełni, przyrzekając zarazem w dziedzictwie wiatr północno-zachodni, skoro jego ziemska godzina wybije. Następnie przygotowywa się do spełnienia swego posłannictwa przez modlitwę i post całotygodniowy. Dnia czwartego zstępuje do niego posłannik niebieski niejaki Mondamin, który zdaje się być uosobieniem pracy rolnéj, i wyzywa go do walki. Trzy dni trwają te święte zapasy, wreszcie Hiawata zwycięża przeciwnika i grzebie go w ziemi według zaleconych sobie poprzednio przez tegoż przepisów. Ostatniego dnia postu proroka, wykwita z tego miejsca kukurydza. Daléj sprzęga się Hiawata węzłami przyjaźni z Kwasyndem, wielkim ziemi mocarzem, oraz Chibiabosem lutnistą. Ten ostatni rozmawiał w życiu swojém z Sebowishą, Owaissą, Wawonaissą i Opecheem. Szczęśliwy! wiedział przynajmniéj z kim gada, bo co do nas, potrzebowaliśmy niejakiéj prezentacyi, któréj nie ma załatwić komu. Bądź co bądź, Kwasynd zdaje się być uosobieniem potęgi máteryalnéj, Chibiabos zaś łagodnego cywilizacyjnego wpły-

wu. Następnie Hiawata wynajduje żeglugę, potém rybołówstwo, wreszcie zwalcza króla Perłowego, który osobliwie się kochając w zastałych trzęsawiskach, nieustannie zsyłał na krainę jego zaraźliwe wyziewy. Zdziaławszy już tyle dobrego, mniema, że czas wreszcie i jemu pomyśléć o sobie. Zdawna już wpadła mu była w oko, a ztąd w serce, Minnehaha (znaczy to imię „uśmiechająca się woda"), jedyna córka osamotniałego starca, robiącego sławne ostrza do strzał w krainie Dokotahów. Téj tedy przedsięwziął powierzyć w ręce szczęście swego życia. Mówi o tém rapsodya X. Jestto jeden z najpiękniejszych ustępów. Nie możemy się odjąć chęci przytoczenia kilkunastu wierszy z téj pełnéj wdzięku idylli.

A błogosławieństwem nieba
Przez gałęzie słońce świéci,
Mówiąc do nich:—Moje dzieci,
Miłość.jestto światło słońca,
Zawiść, jestto cień, a życie
To naprzemian cień i słońce.
Hiawato, w ziemskim bycie
Ty władaj—tylko miłością.
A nocą, księżyc prześliczny
Rzucał w namiot blask magiczny,
Szepcząc do nich: – paro miła,
Dzień to walka, noc to cisza.
Niewiasta—słabość, mąż—siła.
I ja mam połowę władzy,
Choć ulegam,— Minnehaho!
Władaj—tylko powolnością.
Tak w pielgrzymkę aż do końca
Z oblubieńcem szła dziewica.
Tak on wiedzie Nokomisie
Światło ognia, gwiazd, księżyca,
A ludowi światło sło-ca—
Minnehahę wodę śmiechu.

Daléj idą gody weselne Hiawaty, o których mniemamy, że są wtrętem należącym może do innego cyklu, jak podanie o proroku Wybawicielu. W tém miejscu najdotkliwiéj czuć się daje brak studyów nad życiem społecznem i zwyczajami tych narodów, pośród których dzieje się rzecz poematu. Nic nie rozumiemy co ma za znaczenie wśród obrzędów weselnych taniec Dziada, mistyczne igrzysko, które wyprawia towarzyszom biesiady Pan-puk-kewis, wcale nowa figura w poemacie, i będąca jak się zdaje bohatérem oddzielnego cyklu. Dwa jeszcze inne ustępy poświęcone

temu niespokojnemu duchowi, jak bądź niezbyt się jednoczą z całością, upoważniają do mniemania, że poeta przedsięwziął uosobić w nim próżniacze a hulaszcze życie, kosterstwo, niewczesne junactwo i warcholskie upodobania, przeciw którym, dla umoralnienia narodu, walczyć go powołano. Rapsodya XII, którą opowiada niby bajarz Jagoo, stanowi epizod, który jest najwyraźniéj osobną klechdą, nie należącą wcale do Hiawaty. W XIII wracamy znowu do proroka, który nauczywszy już braci swych rolnictwa, zaprowadza następnie obrzęd ubłogosławienia zasiewów. Dziwnyżto ten obrzęd! Pośród ciemnéj nocy, piękna Minnehaha z zalecenia męża, wykrada się naga z Wigwamu, i obwłóczy granice pól swoją szatą godową. Zdaje się jednak, że tą razą nieomylność proroka napotkała próby całkiem nieprzewidziane. Kahgadgee książe Kruków, podpatrzywszy w ciemności magiczne praktyki nagiéj kobiety, śmieje się z nich na całe gardło wraz z całą swoją zgrają, na skutek czego Hiawata zmuszony jest błogosławieństwu swemu przyjść w pomoc dobrą siecią konopną; zdaje się ustęp ten przyznawać prawdę przysłowiu francuzkiemu: *aide toi Dieu t'aidera*. Rzecz kończy się, jak zawsze, zwycięstwem Hiawaty. Horda kruków, wron i kawek, zostaje bez miłosierdzia w pień wycięta; jeden tylko książe téj zgrai, pomimo piekielnego swego nazwiska, ma sobie darowane życie, ale na to tylko, żeby przepędzał dalsze dni swego istnienia na dachu Wigwamu, uwiązany za nogę sznurem brzostowym.

—Mój Kahkadgee—rzekł zwycięzca —
Ty dowodzisz zbójców zgrają;
Z ciebie wszystkie krzywdy, zdrady,
Z ciebie zbrodnie i napady—
Siedźże wasza krucza mości,
Jako zakład uległości,
Od kruczego pokolenia!—

Daléj Hiawata daje swemu ludowi pismo obrazowe. Następnie przechodzi rozmaite koleje niedoli. Najprzód traci przyjaciela Chibiabosa, który nieszczęśliwym trafem na polowaniu topi się w załamanym lodzie. Smutna ta okoliczność daje poecie przedmiot do opisu ciekawéj, pomimo braku objaśnień, uroczystości, mającéj na celu uspokojenie żalu po zmarłym i zarazem cieniów jego. Dwie następne pieśni opiewają wielce karogodne pustoty, jakich się dopuszcza Pan-puk-keewis w Wigwamie Hiawaty, korzystając z jego nieobecności. Pomiędzy innemu grube-

mi żartami ukręca on łeb uwięzionemu książęciu kruków. Za to wszystko ścigany przez proroka, napróżno szuka schronienia u króla bobrów, u królowéj dzikich gęsi, wreszcie u starego męża władnącego górami; dłoń Hiawaty sprzymierzona z nawałnicą i piorunem, dosięga sprosnego Warchoła nawet w głębi skały, w któréj wnętrzu ktoś inny aniby go się nawet domyślił. Potém umiera Hiawacie drugi przyjaciel jego duszy Kwasynd, mąż przepotężnéj siły, którego jednak zabija karli Chochlik jedną marną szyszką sosnową. Ustęp ten zdaje się być także osobną legendą. Następnie nawiedzają Hawiatę duchy tych, których kochał w życiu, ucząc go potrzeby pamiętania o zmarłych, oraz stosownych potemu obrzędów. Wreszcie przychodzi najdotkliwsza próba. Pośród srogiéj, dziwnie śnieżnéj zimy, z głodu i nędzy, umiera prorokowi ukochana jego Minnehaha—uśmiechająca się woda. Jestto ustęp dziwnéj piękności. Aliści z piérwszym wiosny powiewem, z dalekich wędrówek od Wschodu, przybywa Jagoo stary bajarz, niegdyś piastun Hiawaty; opowiada rzeczy dziwne: nikt mu wiary dać nie chce.

. . . . . widział wodę,
Bardzo gorzką, nie do picia,
Głębszą niż jezioro wielkie
Szerszą także. . . . . !
Na téj wodzie oskrzydlona
Łódź ogromna żeglowała.....
. . . . . z paszczy łodzi,
Na spotkanie go wychodzi
Błyskawica, grom iskrzasty,
Za nią piorun . . . . . .
. . . . . a w téj łodzi
Skrzydlatéj naszły narody.—
Stu zbrojnych przyżeglowało.
A z nich każdy twarz miał białą,
I kędziory pozdłuż brody.
Na to starcy i kobiety
W śmiech szyderczy, ...
. . . . . .
Tylko jeden Hiawata
Nie wyśmiewa przyjaciela,
I szyderstwa nie podziela;
Lecz odrzekł słowem wspaniałém:
— Ja w widzeniu to widziałem.
Widziałem lud białéj twarzy,
Widziałem korab' skrzydlaty;
W nim od Wschodu, lud brodaty
Pożeglował . . . . . .

Jakoż niebawem przybywają istotnie przychodnie od Wschodu, z pokojem i przebaczeniem (?) na ustach, a wtedy Hiawata uważając posłannictwo swoje za skończone, odpływa do krainy swego ojca w stronę całkiem przeciwną. Postępek ten godny jest zaprawdę ducha proroczego. Wiemy, jaki to pokój przyniosła Ameryce Europa, i jak jéj przebaczała Mamonę, po którą fatygowała się w najlepszéj chęci z tak daleka.

Jakbądź mamy wszelkie prawo mniemać, że dwie ostatnie pieśni poematu są czysto pomysłem Longfellowa, nie możemy im odmówić ścisłéj harmonii z całością. Widocznie wątek podania urywa się na śmierci Minnehahy. Należało jednak rzecz zaokrąglić. Więc zrobił to od siebie poeta dzisiejszy, mając jednak na piérwszym względzie, że sam jest potomkiem tych, co przybyli: cywilizacyą zastąpić barbarzyństwo pomysłów dzikiego proroka, czyli raczéj, co rzecz nierównie krótsza a kwestyę uproszczająca, dać samych siebie na miejsce barbarzyńców. Biorąc rzecz jednak ze stanowiska artystycznego, przyznać należy, że niepodobna było wdzięczniéj dopełnić myśli, będącéj duszą podań o Hiawacie. Istotnie pieśń jest skończona w porę:

Więc odpłynął z tego świata
Ukochany Hiawata,
Za tém słońcem, co w powodzi
Purpurowéj mgły zachodzi,
Odpłynął w kraje Ponemach (przyszłości),
Za niebokręgu granice,
Gdzie ojczysty Keewaydin
Wiatr północny ma stolicę,
Do wyspy błogosławionéj,
Do królestwa z tamtéj strony.

Książka nosi tytuł: Dumy o Hiawacie. Istotnie jestto dumanie, pełne zasłuchania się w naturze, i w tych dźwiękach przeszłości, o które w Ameryce pytać już tylko ptaków leśnych, drzew puszczy, czerwonych skał i stepowego powiewu. Dużo tam słodkiéj tęsknoty i rzewnych zwrotów godzących z życiem. Niekiedy wątek jaskrawieje w śmiałe, ruchliwe obrazy, podobne do urojeń. Niekiedy myśl jakby zbita z tropu, sama niewiedząc o tém, upuszcza wątek, zapomina się, i odbiega daleko, zupełnie w rodzaju tych błędnych wycieczek, z których ją nieraz nawracać przychodzi, skoro się człowiek opatrzy: Inną razą, kołysze się jak senne marzenie, zastałe w miejscu. Czasem wiotka jak przędziwo pajęcze wiejące pod blask słoneczny, czasem prawie nama-

calna w swojéj prawdzie plastycznéj. Plastyczność jest jedną z właściwości amerykańskiego poety, uznano to nie od dzisiaj. Istotnie Longfellow wygląda jakby się uczył u Deotymy; ale, jak powiedziano, uczeń nie będzie nigdy nad mistrza.

Pozostawałoby powiedzieć coś jeszcze o zaletach przekładu, ale daliśmy jego próbki: sam więc mówił za siebie. Przekonać się z nich można, że jest tak piękny, jak nie może być piękniejszym sam pierwowzór. Pan Jezierski jest artystą myślącym poważnie. Nie małe zasoby swojéj wiedzy obraca ku obznajmieniu nas z wzorami mało przystępnemi, a ze wszech miar godnemi zdobyczy ducha. Dał nam już Ewangelinę i Złotą legendę; dziś godnie sięgnął przyswoić literaturze ojczystéj rzecz równie piękną. Uwagi nasze co do braku stosownych objaśnień i studyów choćby najzwięźlejszych, o życiu społecznem, zwyczajach, wierze i obrzędach narodów, wśród których odbywa się rzecz poematu, może zechce uwzględnić przy drugiém jego wydaniu; bo nie wątpimy, że takowe niebawem okaże się potrzebą ogólnych wymagań miłośników prawdziwego piękna. Bo istotnie przekład ten jest piękny jak rzadko. Na drodze téj p. Jezierski zrobił postęp zastanawiający. Wydaje się, jakby się zrósł z autorem, jakby się stał nim samym, jakby utwór poety z antypodów był iście pierwowzorem w téj tak wdzięcznéj, tak bogatéj naszéj mowie, tak zda się bez trudu podającéj się każdéj możebnéj formie wyrażenia myśli. Mniemamy tedy, że niepodobna nam godniéj podziękować w tym względzie p. Jezierskiemu, jak odzywając się do niego temi staropolskiemi, niby spowszedniałemi, a jednak tak poczciwie zachęcającemi słowy: „Bóg zapłać za *już*, a prosimy o *jeszcze*".

(f).

Pokłosie. Zbieranka literacka na korzyść sierot. Rok szósty. Poznań. Nakładem L. Merzbacha. 1862.

Sam tytuł tego zbiorowego pisma usposabia czytelnika do pobłażliwego sądu o jego treści, najprzód dlatego, iż Pokłosie składa się z uronionych kłosów; powtóre, że nic innego nie zapowiada, jak tylko zbierankę, tojest mieszaninę rzeczy dobrych i mniéj dobrych: wreszcie dlatego, iż ta zbieranka przeznaczona jest na korzyść sierot. Ten ostatni wzgląd stanowczo na zdanie nasze wpływać

powinien, tém bardziéj, że na samym wstępie téj książki spotykamy wiersz p. A. E. K., w którym każda z ostatnich strof kończy się jedném z następujących zdań: Pokłosie żywi sieroty; sieroty żywi Pokłosie; Pokłosie sieroty żywi. Tąż samą cyfrą znajdujemy podpisane i inne wiersze do tego zbioru należące, bądź oryginalne, bądź tłumaczone, a między temi ostatniemi na wzmiankę zasługuje wiersz Laprada, odznaczający się współczuciem i wzniosłemi myślami. Z pomiędzy poezyj w tym zbiorze zamieszczonych zwrócimy jeszcze uwagę na 1 i 2 pieśń Dantowego Piekła, tłumaczenia p. Cypryana Norwida. Jeżeli p. Norwid tłumaczył więcéj jak te 2 pieśni, szkoda, że nie inny dał do Pokłosia wyjątek, albowiem te 2 pieśni jeszcze trudniejsze od wielu innych do zrozumienia bez komentarza, oddzielnie wzięte nie przedstawiają interesu. P. Norwid, utalentowany pisarz, dał tu dowód, że może Danta tłumaczyć; w dalszym ciągu téj mozolnéj pracy nabyłby zapewne potrzebnéj łatwości do jasnego oddania po polsku zwięzłych strof téj dramatycznéj epopei, którą Włosi nazywają doskonałą czyli boską. W tém miejscu nie możemy się powstrzymać od przypomnienia, że przed kilkoma laty zamieszczonym był w Bibliotece wielkiéj wartości przekład 7miu piérwszych pieśni Piekła przez Ludwika Kamieńskiego. Pod względem wierności, wersyfikacyi i stylu przekład ten, gdyby był równie szczęśliwie doprowadzonym do końca, mógłby zająć znakomite miejsce w naszéj literaturze.

Co do artykułów prozą, przedewszystkiem wspomnimy o rozprawce tłumaczonéj z francuzkiego, pod tytułem: Święty Augustyn, podającéj treść dzieła tego Ojca kościoła *De Civitate Dei*. Powiada tłumacz, iż do najznakomitszych dzieł Św. Augustyna należą Konfessye i Państwo Boga. Przydałaby mu się może wiadomość, iż mamy po polsku Wyznania Św. Augustyna tłumaczone przez p. Szyszko, tudzież dzieło O Społeczności Bożéj przekładu ks. biskupa Gładyszewicza.

Nauka przeciwko grze w karty, przez tyle zasłużonego i niezapomnianego ks. Karola Antoniewicza, odznacza się siłą przedstawienia i namaszczeniem jemu właściwém. Tegoż ks. Antoniewicza są dwa listy, zawierające w sobie wspomnienie o jego żonie, po śmierci któréj wstąpił do stanu duchownego.

Można przeczytać nie bez zajęcia artykuł p. Białeckiego O sobótkach na górze Elborus i drugi tłumaczony, opisujący w sposób satyryczny charakterystykę dwóch stolic w r. 1842.

Na sam koniec zostawiliśmy wzmiankę o Opisie podróży do Tatrów galicyjskich, odbytéj w r. 1853, bo pomimo najlepszéj

chęci zamknięcia się w granicach pobłażliwego sądu, znaleźliśmy tam uwagi, których nie możemy bez właściwego zastrzeżenia pominąć. Autor, który w r. 1853 był jeszcze młodzieńcem, miejscami dosyć ładnie zdaje sprawę ze swoich wrażeń i nie źle opisuje Tatry; za to możnaby mu może wybaczyć nietylko zarozumiałość, ale nawet zastawianie się jakąś wyższością położenia towarzyskiego; ale w każdym razie za nierozwagę musimy to poczytać, iż po ośmiu latach, drukując opis téj młodzieńczéj podróży, nie wypuszczono uwag takiéj wartości, jak np. następująca:

„Lecz i piękną myśl zaprowadzenia w stanie włościańskim wstrzemięźliwości owionął zły duch naszego wieku, pochwycając ją za jedno z narzędzi zniszczenia właściciela. W Tatrach najwięcéj się wybija ten złośliwy cel dokuczenia panu, gdyż przez zaprowadzenie tam wstrzemięźliwości, prawie jedyny dochód właściciela w tych stronach, propinacya, całkiem upada."

. . . . . .

„Wspomniałem tu nawiasem o wstrzemięźliwości, gdyż jak w Galicyi, tak i w Karpatach zadziwiło mnie to bardzo, iż ona całkiem nie wpłynęła na polepszenie stanu włościan, i nie mogłem sobie tego inaczéj wytłumaczyć, jak tylko tém, że czysto moralno-religijną zasadę obrócono ku niegodziwym celom politycznym, a tak poczciwa myśl skrzywiona nie mogła dobrych owoców wydać".

Ks. Antoniewicz pewnieby nic podobnego nie powiedział. Ale nie będziemy się nad tém rozszerzali, tém bardziéj: że Pokłosie żywi sieroty, sieroty żywi Pokłosie, Pokłosie sieroty żywi.

(e.)

Kalendarz ludowy illustrowany na r. 1862, ułożony przez Franka z Wielkopolski. Warszawa. Nakładem i drukiem J. Glücksberga 1861 r. (W 16ce, str. 96). Rok pierwszy. Układem jak i treścią odpowiada swemu założeniu. Część literacka dobrana starannie jest zajmującą i dobrym napisana językiem. Franek z Wielkopolski wywiązał się sumiennie ze swego zadania, ale nakładca daleki jest od tego. Pomijamy drzeworyty, które wcale nie są gorsze od zagranicznych w tego rodzaju publikacyach; ale nieszczęśliwie przesadzona spekulacya p. księgarza wydawcy odbija w niedbałéj oprawie. Zamiast dobrego zszycia książeczki, tandetowym sposobem tak ją zlepiono (chociaż ślad nici widać), że za rozcięciem kart cały kalendarz się rozlata. Gdzież tu miano uwagę na użytek czytelników, dla których książeczka ta przeznaczoną jest podług nadpisu? Nie widzimy téż potrzeby zapeł-

niania kilkunastu stronnic, katalogiem książek i doniesieniami obcemi dla ludu, jak np. Szkoła na fortepian, praktyczne ćwiczenia dla rozwinięcia mechanizmu palców, nie do robót rolniczych, ale do gry na fortepianie! (?). Nie potrzebne to dodatki: koszt papieru na nie i druku dałby fundusz na lepszą oprawę kalendarza. Cena przystępna 20 groszy, tém się tłumaczy, że od stempla zwyczajnego publikacya ta uwolnioną została. Czy wielu naszych chłopków będzie czytać ten kalendarz ludowy, powątpiewamy, znając cyfrę statystyczną, ilu z nich umié czytać; ale nadzieja w Bogu, że młode pokolenie przy otwierających się szkółkach wiejskich zapozna się z następnemi kalendarzami tego rodzaju. Zawsze myśl piękna i szlachetna, a usterki przez nas wytknięte łatwo przy dobréj woli wydawcy dadzą się sprostować w następnych latach. Rozkupienie 4,000 egzemplarzy wydrukowanych w krótkim czasie tego kalendarza daje rękojmią temu wydawnictwu świetnego powodzenia na przyszłość. (*w.*).

Abecadlnik historyczny ułożony i rysowany przez A. Lerue. Nakładem Michała Glücksberga księgarza. Wydanie drugie poprawne i znacznie pomnożone. Warszawa 1861. W drukarni J. Glücksberga.

Na czele czytamy: „Wierszyki o téj książeczce", które treść jéj dokładnie podają:

„Patrz dziecinko do książeczki,
Jakie piękne obrazeczki:
I królowie i książęta,
I królewny i panięta,
I uczeni i hetmani,
Święci, święte i kapłani:
A to wszystko są Polacy,
Byli oni dobrzy tacy,
Całe życie pracowali,
I wciąż o to się starali,
Ażeby ojczyzna miła
Silną i szczęśliwą była.
O! moja duszko kochana,
Tyś także dziecko téj ziemi;
A więc co wieczór, co rana,
Pana Boga proś za niemi;
I proś także, moje dziecię,
Byś jak oni dobrą było,
I przez całe swoje życie,
Dla swéj ziemi wciąż służyło.
Przypatrz im się dobrze, zblizka;
Niech ci mama o nich czyta,
I pamiętaj ich nazwiska,
Gdy się o nic kto zapyta.
Mama za to cię pochwali,
Tato kupi zabaweczki:
Więc, dziecinko ucz się daléj,
Ucz się pilnie z téj książeczki".

Część historyczna starannie zredagowana tak prozą, jak wierszem; w każdym ustępie znać biegłe i wytrawne pióro, które wybornie wykład swój zastósowywa do pojęcia swoich czytelników. Rysunki p. A. Lerue starannie wykonane, lubo nie wszystkie

przypominają właściwe postacie. Naruszewicz poważny dziejopis narodowy i biskup, przedstawiony tu, jak młody student niemiecki, albo kupczyk siedzący nad rachunkowemi książkami. Artysta mógł przecież dać choć zbliżoną w podobieństwie postać do Naruszewicza. Czyż dziecię pozna *kronikarza Naruszewicza*, jak podpis wcale niestósownie wyraża, znakomitego historyka polskiego? Trudno się teraz dziwić cudzoziemcom, że tak nasze przekształcają postacie, kiedy artysta, rodak, w stolicy Królestwa, poważną postać przeszłości tak dziwotwórnie przedstawia.

(r.).

Historya organizacyi sądownictwa w Królestwie Polskiém, przez Augusta Heylmana, radcę stanu Królestwa. Tom I. W Warszawie, w drukarni Banku Polskiego. 1861. W 8-ce. Str. 190. — Uczony nasz prawnik w latach 1834 i 1835 wydał dwa dziełka własnego pomysłu teoretycznego: jedno p. n. „O sądownictwie w Królestwie Polskiém, wykład historyczny", drugie p. n. „Wykład historyczno-praktyczny porządku i postępowania wewnętrznego w sądzie apelacyjnym i trybunałach cywilnych pierwszéj instancyi".

„Pomysł ten (pisze A. Heylman we wstępie) nastręczyła mi praktyka sądownicza w urzędowaniu, jako podprokuratora przy sądzie apelacyjnym: gdy nader często w toczących się różnego rodzaju sprawach, a mianowicie cywilnych, handlowych, hypotecznych, kryminalnych i dyscyplinarnych, do urządzeń sądowniczych organicznych odwoływać się należało, a nie dostawało zbiorowéj ustawy organiczno-sądowéj, ani żadnéj pracy literackiéj, któraby zasięgnięcie prawniczych objaśnień ułatwiła.

Dziełka te początkowały od nowego z wątku porządku sądowego, na wzór systematu sądowego francuzkiego w Księztwie Warszawskiém w r. 1808 zaprowadzonego, który następnie do Królestwa Polskiego z jedyną prawie zmianą sądu kassacyjnego na sąd najwyższéj instancyi przeszedł.

Że zaś wszelkie tak pierwotne jak dalsze urządzenia organiczne sądownictwa Księztwa Warszawskiego, jako też późniejsze Królestwa Polskiego, tylko częściowo i kolejnie wydawanemi były; przeto obok bezwarunkowéj zalety metody historycznéj w nauce prawa, tém bardziéj za torem historycznym w wykładaniu postępu organizacyi sądownictwa cywilnego kryminalnego, oraz administracyjnego postąpić należało.

Historyczny wykład ten, objął trzy okresy, a mianowicie: piérwszy od konstytucyi Księztwa Warszawskiego; drugi od konstytucyi Królestwa Polskiego; trzeci od statutu organicznego temuż Królestwu w r. 1832 nadanego.

Był to wszakże tylko początkowy zarys historycznego rozwoju sądów cywilnych, kryminalnych i administracyjnych, a zbywało mu na szczegółowém rozwinięciu pojedynczych żywotnych czynników organizmu sądowego.

Dla tego nie przestawałem w późniejszym czasie zajmować się poszukiwaniem materyałów, przerobieniem a zwłaszcza uzupełnieniem piérwszego dziełka. W postępie ponowionéj pracy téj okazało się, że zupełne poznanie i ogarnięcie tak w ogóle jak w szczegółach stanu organicznego sądowego, nie dozwala pominięcia wspomnień o urządzeniach przechodniéj komissyi rządzącéj, która w chwili przechodniéj między ustąpieniem w r. 1807 rządu pruskiego a początkową dobą Księztwa Warszawskiego, jako najwyższy rząd krajowy, nad ustałemi departamentami tak zwanych Prus południowych ustanowiona, z nadzwyczajną skrzętnością cały prawie porządek sądowniczy od najniższych sądów zacząwszy aż do ostatecznego trybunału zaprowadziła; bo z porządku tego widoczne ślady w nowéj organizacyi sądowéj francuzko-polskiéj pozostały.

Skutkiem tego przybyły do niniejssego wydania oddzielne rozdziały: o urządzeniach sądowniczych komissyi rządzącéj; o stopniowaniu naukowém w wydziale sprawiedliwości; o sądzie kassacyjném; najszczególniéj zaś o sporach juryzdykcyjnych; o składzie, komplecie, o atrybucyach i kompetencyi sądów; o obrońcach publicznych; o urzędnikach, tak zwanych pozasądowych w dyscyplinarności: nakoniec oddziały. o prokuratorach przy sądach i o jawności sądownictwa zupełnego doznały przerobienia.

Historya ta wprawdzie doprowadzoną jest tylko do końca epoki najwyższéj rady tymczasowéj Księztwa Warszawskiego w r. 1813 ustanowionéj, którą w r. 1815 krótki byt rządu tymczasowego Królestwa Polskiego zastąpił; lecz jéj wydanie dlatego następuje, ażeby nie dopuszczać zatracenia moralnéj pracy literackiéj, stan organiczny sądownictwa byłego Księztwa Warszawskiego wyjaśniającéj, gdy zwłaszcza stan ten tak w ogólności jak w większéj części szczegółów, dotychczas w Królestwie Polskiém się przechowuje i wykończoną całość przedstawia.

W całym przebiegu okresu Księztwa Warszawskiego, jako téż włączącym się z nim, oraz bieżącym czasie Królestwa Polskie-

go dał się uczuć niedostatek kodeksu organicznego sądowego, który obok innych kodeksów, zwłaszcza kodeksu procedury cywilnéj, niezbędną stanowi potrzebę dla jurisprudencyi foralnéj w przeprowadzeniu spraw przez różne sądy lub instancye sądowe, w celu usunięcia licznych a zawsze powtarzających się lub ponawiających kwestyj prawnych w zakresie niewzruszalnego porządku publicznego sądowego, które bieg i tok spraw, oraz ostateczny wymiar sprawiedliwości, oraz wykonanie i urzeczywistnienie wyroków sądowych utrudzają.

Dzieło niniejsze co do swojego okresu zastąpi kodeks organiczny sądowy a nawet użyteczniejszém być może od prostego kodeksu artykułowego, gdy nie tylko na wyraźnych ustawach, uchwałach, dekretach, urządzeniach lub ogólnych reskryptach obowiązujących jest opartym, ale nadto punkta początkowania zasad, historyczny tok w rozwijaniu porządku i prawideł, oraz jego motywa i rzeczywisty stan organiczny wskazuje: bo jurysprudencya nie polega na prostéj rutynie i umiejętności wynalezienia różnych urywkowych zdań kommentatorskich francuzkich, przyczepionych do porządku artykułów kodeksowych: lecz na zbadaniu historycznem tak ogólnego zawiązku prawodawstwa i towarzyszącego mu porządku organicznego i proceduralnego, jak każdego szczegółu prawa co do jego wątku początkowego rozwoju i znaczenia, oraz na zwięzłém pojmowaniu myśli i ducha, i wszystkich szczegółów, lub artykułów prawa w odnoszeniu ich do sterujących założeń, princypiów i celów prawodawstwa.

O drugiém dziełku zawierającém tak zwaną organizacyą wewnętrzną w normalnych sądach cywilnych, wspomniałem dlatego, że ma bardzo blizki związek z ogólną organizacyą sądownictwa i że w szczególności wystawia historyą tworzenia się porządku i postępowania wewnętrznego sądowego, która do uzupełniających objaśnień teraźniejszego wydania, jest prawie niezbędną.

Dalszy rozwój zmian w różnych kierunkach sądownictwa cywilnego, kryminalnego, oraz administracyjnego nastąpionych, pozostawiam wspólnym trudom innych prawników, nadmieniając, że w łonie sądownictwa krajowego zacząwszy od r. 1808 aż dotąd w istocie jedna nastręcza się epoka żywotnych zmian, z ustawy o warszawskich departamentach rządzącego senatu IX i X i o ogólném ich zebraniu z dnia 12 marca v. s. 1842 r. czerpana.

I niniejsza praca literacka w krótkim swoim okresie zamknięta, atoli pewną całość organiczną tworząca, zmierza do podniesienia w umysłach potęgi sprawiedliwości; téj duchowéj równowagi, która wątek, byt i rękojmią społeczeństw i rządów stanowi; która wprawdzie jest najtrudniejszą, ale oraz najwyższą cnotą i najprawdziwszą pociechą serca ludzkiego!

KORRESPONDENCYE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Olbrzymi postęp, jaki w naszym wieku nauki przyrodzone uczyniły i wyprowadzone z tego zadziwiające odkrycia i wynalazki nadały i historyi naturalnéj większe dziś niż kiedykolwiek znaczenie, a z wzrostem téj ostatniéj umiejętności powiększyła się i ważność gabinetów historyi naturalnéj. Patrzymy z podziwieniem jak mnożą się w różnych krajach miłośnicy tego rodzaju zbiorów, których ubogacanie wywoływa śmiałość do zapuszczania się w najniedostępniejsze okolice ziemi, odwagę do przedsiębrania wyłącznych handlów dziełami cudownéj i wspaniałéj natury i rozkrzewienia tego przedsiębierstwa w osobną gałąź przemysłu. Właściciele tych, tak odłączonych sklepów, pragnąc na swój towar tegoż który inni mają odbytu, udają się do sposobu, jakiego miewamy przykład w postępowaniu niektórych księgarzy: nowo zjawiające się przedmioty rozsyłają do miejsc, w których spodziewają się znaleźć kupujących przez obudzenie w nich żądzy na nowość samém jéj nasunieniem przed oczy. Właścicielom więc lub zawiadowcom muzeów, posiadaczom zbiorów nadsyłają od czasu do czasu różnemi partyami te nowe przedmioty, pewni, że niektóre z nich zawsze zostaną wybrane i zatrzymane, i że wybrakowana i napowrót odesłana reszta, już nie będzie ową posłaną całością.

Nasz zoologiczny Gabinet, który coraz namiętniéj publiczność Warszawska zamilowywa, w ostatnich czasach dosyć miał szczęścia do znajdowania opiekunów w naczelnikach oświaty. Nie jest tu miejsce szczegółowo wymieniać i nie do nas to należy, ile zyskał na tém i jak się rozmógł w naukową obfitość: nie zdołamy wszakże wstrzymać się od powiedzenia, że największą z nowszych korzyści jego była ta, iż mu przybył w pomoc z nauką i zbiorami swojemi prawdziwy naturalista, obserwator i autor, który podjąwszy obowiązek konserwatora, potrafił wkrótce zwrócić na tę piękną niwę wszystkie kanały zasilać ją mogące.

Jakoż, od czasu jak p. Taczanowski jest przy Gabinecie zoologicznym, zbiór ten z każdym miesiącem więcéj naukowéj ceny nabywa. Tego rodzaju zbiory tylko wtenczas prawdziwe życie przenika, tylko wtenczas usprawiedliwia istnienie ich użyteczność lub potrzeba, gdy się tacy ludzie koło nich skupiają. P. Taczanowski otworzył Gabinetowi związki, przez które on otrzymuje nabytki nowe ze Wschodu i Zachodu. Corocznie par-

tyc nowych przedmiotów przysyłają mu do wyboru bracia Verreaux z Paryża, znani tam właściciele szeroko rozpostartego handlu zoologicznego: zatrzymuje się z nowości tych wybrana ilość taka, na jakiéj nabycie wysokość funduszów Gabinetu wystarcza. Z otrzymywanych pod takiemi warunkami nadsyłek, zawsze coś ważnego do Gabinetu przybywa, nabyte w ten sposób opieką rządową: a gdyby téj nie wystarczało, któżby z naszych obywateli możniejszych odmówił p. Taczanowskiemu pomocy w zatrzymaniu tego, co mu taką chlubę i radość sprawia, gdy się wciela w zbiór z serdeczną troskliwością opatrywany przez niego. Bez podobnych ofiar dusza zachowawcy zbioru byłaby wystawiona na często uczucia niemiłe, których gorycz tylko ten sobie wystawić może, kto jak p. Taczanowski, swój zawód miłuje, swoje powołanie rozumie.

Zmarły niedawno, z głębokim smutkiem naszym ś. p. Leon hr. Łubieński, który z gorliwością wszystko skutecznie popierał w czém naszą ogólną korzyść upatrzył, a dziś, niestety, znikł z naszego grona! przyłożył się także i do powiększenia zoologicznego Gabinetu Warszawskiego. Jednego razu znaczniejsza temu Zakładowi nadesłaną została od pp. Verreaux partya zamorskich ptaków. P. Taczanowski wybrał z niéj najpilniéj nam potrzebne, ale wyborem nie mógł przekroczyć granic nad zakreślone wysokością summy, na jaką w tym roku fundusze zezwolić mogły. Zostały się i piękne i rzadkie, które żal było odsyłać już przybyłe do nas, i nam ukazane: już więc w połowie dla nas poświęcone. Świadek takiego żalu, nieoszacowany Leon Łubieński zapytał, ileby żądana cena tej reszty wynosić mogła? i w tejże chwili summę na przeszło 500 franków obliczoną, swoim i godnego spólzawodnika swoich wysokich przedsięwzięć, p. Aleksandra Kurca wpływem u możnych czcicieli umiejętności zebrać przyrzekł. Summa z tém przeznaczeniem znalazła się już po zgonie jego. Czcigodny ojciec zmarłego, generał hr. Tomasz Łubieński, wszystkie chwalebne zamiary syna przywodząc do skutku, polecił mi, jadącemu wówczas do Paryża, wypłacenie pp. Verreaux, których pokwitowanie wyszczególnia nabyte ptaki. Za obowiązek uważam wypisać tu cały ten szereg nazwisk, bo takim tylko sposobem mogę określić dar, który bodajby jak najdłużéj stawał za przykład do naśladowania dla innych, był jak najtrwalszą po ofiarującym pamiątką.

Abecadłowy spis 79 skór ptaków z ich cenami, zapłaconych w dniu 8 grudnia 1860 r. pp. Verreaux w Paryżu, z funduszu zebranego na to przez ś. p. hrabię Leona Łubieńskiego, w kwocie rsr. 150.

	fr.		fr.
Agelaius gubernator	5	Calliste cyanoptera	4
„ thilius	3	„ labradoroides . . .	3
Alecto Dinemelli	15	„ melanonota	3
Auripasser luteus	3	„ nigroviridis	3
Biziura lobata	30	Cassiculus albirostris	4
Buarremon brunneinucha . .	6	Chondectes grammaca . . .	3
Calliste aurulenta	3	Chrysothraupis artus	4
			24

	fr.
Clupeilarus fuscescens . . .	15
Coccoborus auriventris . . .	6
Compsocoma Victorini . . .	6
Cyaniloxia parellina	6
Dendrocygna fulva	12
„ Gouldi	15
Diuca diuca	5
Dolichonyx oryzivora . . .	2, 50
Emberiza ciopsis	8
Erysmatura leucoceph. ♂ et ♀	30
Estrelda atricapilla	6
Euphonia aenea	3
Fondia erythrops	5
Fringillaria striolata	8
Hyphantes baltimore	4
„ spurius	2
„ „ ♀ . . .	2
Hyphantornis capensis . . .	2, 50
Icterus croconotus	4
„ gularis	7
Ixothraupis graminea . . .	2
Larus zonorhynchus	5
Maiaqueus aequinoctialis . .	10
Nectris chilensis	15
Nettapus albipennis	12
„ auritus	14
Nyroca australis	15
Passerella iliaca	3
Pendulinus cucullatus . . .	3
„ dominicensis . .	6
„ posthemelas . .	7
Pentheria laticauda	12
Phoenicothraupis rubricoides	6
Plocepasser melanorhynchus	8
Poecilothraupis lunulata . .	6
Procellaria glacialis	5
Puffinus assimilis	15
Pyranga Azarae	3
„ rubra	4
„ „ ♀	4
„ rubriceps	5
Ramphocelus sanguinolentus	25
„ „ ♀	20
Saltator atriceps	5
„ atricollis	5
„ similis	3
Spindalis nigrocephalus . .	20
„ „ ♀ .	15
Sterna cayennensis	6
Sturnella hippocrepis . . .	6
Sycalis brasiliensis	2, 50
Sylochelidon aurantia . . .	6
Symplectes bicolor	3
Tachyphonus coryphaeus .	2, 50
„ leucopterus .	2
„ surinamus . .	3
Thyellus chlororhynchus . .	15
Urobrachia axillaris	12
Xanthocephalus perspicillatus	4
Xanthornus mesomelas . . .	6
Zonotrichia albicollis . . .	3
„ leucophrys . .	3
„ „ ♀ .	3
„ melodа	3
razem fr.	571

Reçu de Monsieur le Professeur Waga la somme de Cinq Cent soixante onze francs, pour la fourniture des objets indiqués sur cette note.

Paris, le 8 Décembre 1860. (podpisano) *Ed. Verreaux.*

A. Waga.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

Miesiąc Listopad 1861 roku.

DZIEŁA.

Encyklopedya powszechna. Tom VIII, Zeszyty 71, 72 i 73, Warszawa, 1861, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8-ce str. od 673—784, 785—896, 897—983, spisu rzeczy XIV, (Farmakologija-Fleming), okł. druk. Każdy zeszyt kop. 35.

Thiers A. Historya konsulatu i cesarstwa. Dzieło ozdobione 20 rycinami. Warszawa, 1861, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8-ce, str. od 673 do 700, spisu rzeczy w T. IX zawartych XI, Tomu X-go str. 72, okł. druk.

Skrzypiński Piotr. Krótki rys historyi powszechnéj dla początkującéj młodzieży, z trzema krajobrazami, podług *S. Smaragdowa.* Wydanie 4-te poprawne. Warszawa, 1861, druk J. Ungra, w 8-ce, str. 359.

J. G. Courcelle-Seneuil. Wykład teoretyczny i praktyczny czynności bankowych, z francuzkiego przełożył *Fr. Henryk Lewestam.* Warszawa, 1861, nakł. b. Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiém, druk K. Kowalewskiego, w 8-ce większ. str. X, 595 i spisu przedmiotów nieliczb. 5.

Mullois ks. Ojciec święty i Rzym. Przetłumaczył na język polski ks. *M. N.* Z drzeworytem Ojca świętego. Warszawa, 1861, nakł. C. Lewickiego, w 8-ce mniejsz., str. 67.

Brodziński Kazimierz. Dzieje Starego i Nowego Testamentu, czyli wybór przykładów i nauk z Pisma Świętego, według wydania *T. Derome.* Wyd. 10-te. Warszawa, 1862, nakł. S. Artzta, druk J. Glücksberga, w 8-ce, T. I, str. 191, T. II, str. 224, okł. druk.

Longfellow Henryk W. Duma o Hiawacie, przekład *Feliksa Jezierskiego.* Warszawa, 1861, nakł. S. Artzta, druk S. Orgelbranda, w 8-ce, str. 286 i nieliczb. 2.

Historya Starego i Nowego Testamentu, opowiedziana w skróceniu, z dodatkiem wiadomości o pierwszych wiekach chrześciaństwa aż do Konstantyna Wielkiego. Warszawa, 1861, nakł. b. Towarzystwa rolniczego w Król. Pols., druk Gazety Polskiéj, w 8-ce, str. 129, II, kop. 20.

Darowski Wincenty. Katechizm rolniczy dla młodzieży wiejskiéj. Wydanie drugie. Warszawa, 1861, nakł. Gazety rolniczéj' druk A. Gins, w 8-ce mniejsz., str. 36, nieliczb, 2, Tab. 1.

Biblioteczka dla polskiego rolnika. Tomik I-szy. O potrzebie ochraniania użytecznych zwierząt, napisał *Albin Kohn.* Warszawa, 1862, nakł. i druk J. Psurskiego, w 8-ce mniejsz., str. X, 171, kop. 30.

Zapyty Językowe. Dalszy ciąg zapytów etymologicznych, przez *Glossofila.* Warszawa, 1861, druk K. Kowalewskiego, w 8-ce, str. 69.

Buliński Melchior ks. Historya kościoła powszechnego. Warszawa, 1861, druk J. Jaworskiego, w 8-ce, str. 425, nieliczb. 14.

Abecadlnik z Historyi polskiéj. Wyd. 2-gie poprawne i znacznie pomnożone. Warszawa, 1861, nakł. M Glücksberga, druk J. Glücksberga, w 16-ce. str. 88 i 24 obrazków rysowanych p. *A. Leruc.*

Brunner M. L. Czynności podniebienia miękkiego i gardzieli. Warszawa, 1861, druk Gazety Polskiéj, w 8-ce, str. 22 (przedruk z Tygodnika lekarskiego).

Bokiewicz L. Hygiena popularna czyli nauka zachowania zdrowia dla ludu wiejskiego. Warszawa, 1861, nakł. b. Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiém, druk Gazety Polskiéj, w 8-ce, str. IV, 224, IV.

Catalogue des livres français dans le cabinet de lecture de Julien Müller. Varsovie, 1862, druk J. Psurskiego, w 12-ce, str. 37.

Przepisy obowiązujące utrzymujących sprzedaż szczegółową gotowych wyrobów tabacznych, ułożone podług ustawy o podatku konsumpcyjnym od tytuniu i tabaki, z dnia $^{9}/_{21}$ kwietnia 1860 roku i instrukcyi Kommissyi rządowéj przychodów i skarbu z dnia $^{19}/_{31}$ maja, 1860 roku, nr. 30,944, ustawę pomienioną rozwijającéj. Warszawa, 1861, druk Ch. Kelter et S. Rothmühl, w 8-ce, str. 13.

Przepisy obowiązujące utrzymujących sprzedaż cząstkową gotowych wyrobów tabacznych, ułożone podług ustawy o podatku konsumpcyjnym od tytuniu i tabaki, z dnia $^{9}/_{21}$ kwietnia 1860 roku i instrukcyi kommissyi rządowéj przychodów i skarbu, z dnia $^{19}/_{31}$ maja 1860 roku, nr. 30944, ustawę pomienioną rozwijającéj. Warszawa, 1861, druk Ch. Kelter et Rothmühl, w 8-ce, str. 14.

Instrukcya dla Domu zleceń z nad Warty i Pilicy, pod firmą: Rucz, Siemieński, Zielonka i spółka. Warszawa, (1861), druk Gazety Warszawskiéj, w 4-ce. str. 4, 3.

Heilman August. Historya organizacyi sądownictwa w Królestwie Polskiém. Tom I-szy. Warszawa, 1861, druk Banku Polskiego, w 8-ce, str. VIII, 190, spisu rzeczy nieliczb. 2.

Kudasiewicz Adolf. Kurs początkowy nauki języka polskiego. Warszawa, 1861, druk K. Kowalewskiego, w 8-ce, str. III, 105, kop. 45.

Gawarecki Zygmunt. Uprawa roślin pastewnych w Polsce i ich użytkowanie na paszę (z drzeworytami). T. II. Warszawa. 1862, nakł. Gazety rolniczéj, druk A. Gins, w 8-ce, str. 331. (Dzieło niniejsze wchodzi w skład Biblioteki rolniczéj).

Wiązanie dla grzecznych chłopczyków. Początki czytania polskiego z 24 obrazkami kolorowanémi. Drugie poprawione i powiększone wydanie. Warszawa, 1862, nakł. B. Lessmana, druk braci Hindemith, w 8-ce, str. 92.

Najnowszy sekretarz czyli podręczny przewodnik pisania listów, próźb, kontraktów i innych korrespondencyj w różnych przedmiotach, zawierający nadto zbiór powinszowań, przepisy stemplowe, wekslowe, i buchalteryjne, oraz wiadomości o testamentach, rewersach, obligach, cessyach i plenipotencyach. Zebrane przez *J. N. C.* Warszawa, 1862, nakł. J. Breslauera, druk A. Gins, w 8-ce, str. spisu rzeczy nieliczb. 14, tekstu 527, okł. druk.

Zieleniewski Michał. Notatki do historyi akuszeryi w Polsce. Warszawa, 1862, druk Gazety Polskiéj, w 8-ce, str. 184.

Szulc Dominik. Stanowisko historyi polskiéj. Warszawa, 1862, druk Gazety Polskiéj, w 8-ce, str. 32.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Księga świata etc. Zeszyt III-ci, str. od 81—112, zawiera:

Steyer (Styr) gniazdo niemieckiego żelaza. Kajetan Kozmian, p. *A. W.* Rys dziejów szkoły aleksandryjskiéj, z rzutem oka

na bibliotekę, muzeum i samo miasto. Abissynia i Egipt. Szpadnik albo Ostropysk. Rzuty ogólne o piśmiennictwie ukraińskiém, a w szczególności Grzegórz Kwitka powieściopisarz. Piśmiennictwo norwegskie. Mieszkańcy wysp Borneo i Timor. Pieśni ludu, p. *J. S.* O życiu Antonilli i Eleonory Cyrynianek.

KALENDARZE.

Hauskalender für das Jahr, nach der Geburt Jesu Christi, 1862. Warschau, Druck und Verlag der Gebrüder Hindemith. W 8-ce mniejsz., str. nieliczb. 28. Druga część p. t.: *Jahrbuch zur Belehrung und Unterhaltung. Herausgegeben von Gebrüder Hindemith*, str. 44, i nieliczb. 24, zawiera:

Der Liebhaber-Konvent auf dem Balkon. Anekdoten und Schwanke. Jahrmarkts-Verzeichniss.

Deutscher Warschauer Kalender für das Jahr 1862, welches ein Gemein Jahr von 365 Tagen ist. Warschau. Verlag der M. Rodzyn, druk J. Jaworski, w 8-ce mniejsz., str. 72, XXIV, zawiera:

Der Genius der Liebe, oder Steeple-Kuss mit Hindernissen. Der Handschen, frei nach Schiller. Die praktische Seite des Lebens. Leiden der Korpulenz. Die Nase reklamirt ihre angestammten und natürlichen Rechte. Der Hausfreund. Poetische Betrachtungen der Natur. Anekdoten. Industrie und Wirthschaft. Jahrmarkts-Verzeichniss.

Józefa Ungra Kalendarz warszawski popularno-naukowy illustrowany, na rok zwyczajny 1862, który ma dni 365. Rok 17-sty. Warszawa, nakł. i druk wydawcy, w 4-ce, str. nieliczb. 16, liczb. VIII, 136, VIII, 24, okł. druk., kop. 50, zawiera prócz części kościelnéj i astronomicznéj:

Kalendarz, p. *J. I. Kraszewskiego.* Ks. Antoni Melchior Fijałkowski, Arcybiskup. Stanisław Jachowicz. Wspomnienie Sommosiera. Zamek krakowski, p. *Wł. L. Anczyca.* Kalwarya zebrzydowska. Czarnogórze. Jaskinia w Ochocach. Hayden, Mozart i Beethowen, szkic charakterystyczny, p. *Maurycego Karasowskiego.* Cuda mikroskopu, p. *J. B. Wagnera.* Książe Biały, szkic historyczny, p. *Kazimierza-Władysława Wojcickiego.* Nowolipie i Nowolipki, p. *F. M. Sobieszczańskiego.* O wpływie literatury na moralność i na rózwój swobody w instytucyach społecznych, p. *F. H. Lewestama.* Odwiedziny w klasztorze Braci miłosierdzia, p. *Medarda.* O złotych dziesięć, p. *Medarda.* Idea konstytucyjna zaaplikowana do małżeństwa, p. *Cześnikiewicza (J. A. Miniszewskiego).* Z ręko-

pismów niedoszłego doktora, który został bakałarzem, kilka rysów o człowieku w ogólności, w szczególności o głowie, p. *Protazego*. Piosnka biesiadnicza, p. *Dzotymę (Jadwigę Łuszczewską)*. Kolenda, przekład z Longfellowa. Zgłoskowanie (do dziatwy), p. *W. Syrokomli (Ludw. Kondratowicza)*. Przypowieść o podkowie, p. *J. Chęcińskiego*. Skradziony koń, z Szandora, p. *Wł. Sabowskiego*. Bukiet na niwie polskiéj zebrany i w porządku abecadłowym ułożony, obejmujący zdania, maksymy i przysłowia, p. *Adama Bartoszewicza*. Wiek przeszły i teraźniejszy. Krótka wiadomość o zasadach kalendarza, p. *A. Prażmowskiego*. Wellingtonia, p. *J. Aleksandrowicza*. Nasz przemysł w ogólności, a mianowicie wiejski. Domowy metronom czyli narzędzie do oznaczania taktu w muzyce, p. *J. B. Wagnera*. O regulacyi gruntów folwarcznych i włościańskich, p. *Piotra Maciejowskiego*. O przeistaczaniu systemów rolniczych, p. *Nepomucena Kurowskiego*. O zbiorze ziarna, p. *A. Maczyńskiego*. O aklimatyzacyi obcych i oswajaniu dzikich zwierząt w Polsce, p. *Albina Kohna*. O uprawie winnic p. *Alb. Kohna*. Piece czeskie zwane kodymkami, p. *J. F. Nowakowskiego*. Jarmarki krajowe i zagraniczne. Termina opłacania podatków. Tabella ruchu poczt w Warszawie. Rozkład jazdy na drodze żelaznéj warszawsko-wiedeńskiej. Skorowidz domów, ulic, cyrkułów i parafij w Warszawie. Taryfa domów w Warszawie i Pradze. Spis ulic Warszawy i Pragi.

Kalendarz popularno-ziemiański na rok 1862, który jest rokiem zwyczajnym mającym dni 365. Warszawa, nakł. M. Rodzyna, druk J. Jaworskiego, w 4-ce, str. 72, XVI, zawiera prócz części kalendarzowéj i informacyjnéj, następne artykuły:

Aplikant dandy, ustęp z pamiętników starego kancelisty. Zbiór pięknych myśli. Cień rzeczywistości. Anegdoty i fraszki. Poczye. Kawa i herbata, p. *Leona Mortwella*. Przeczucie zwierząt. Panna Magdalena, powieść. Rzeczy gospodarskie.

Kalendarz ludowy illustrowany na rok 1862, ułożony przez Franka z Wielkopolski. Rok pierwszy. Warszawa, 1861, nakł. i druk J. Glücksberga, w 8-ce, str. XXVI, 96, zawiera prócz części kalendarzowéj następne artykuły:

Braterskie przemówienie Janka z Bielca na nowy rok 1862. Opowiadanie mojego dziadka. Zuzanna, legenda. Stolarz Chyłchowski, prawdziwe zdarzenie. Ludność. Wydra darowana królowi Janowi Sobieskiemu, przez Jana Chryzostoma Paska. Oszczędność pieniędzy. Oszczędność czasu. Oszczędność pracy. Myśli i zdania moralne. Przysłowia gospodarskie i przygodne. Jan z Kent. Król chłopków. Nie wódź nas na pokuszenie. Przez Kościół do nieba. Wezuwiusz. Pogadanki

warsztatowe. Dwa psy, bajka. Poradnik gospodarski. Rady lekarkie.

Kalendarz ścienny na r. 1862. Nakł. W. Nowakowskiego, druk drukarni rządowéj, fol., kop. 30.

Kalendarz ścienny chromolitografowany na r. 1862. Nakł. i litogr. M. Fajansa, druk A. Ginsa, rys. W. Gersona.

Kalendarz ścienny na r. 1862. Nakł. i druk A. Gins, w 4-ce.

Kalendarz biurowy (ścienny) na rok 1862, druk Banku Polskiego, fol.

Kalendarzyk (pugilaresowy) na rok 1862, druk Banku Polskiego.

Kalendarz ścienny chromolitografowany na rok 1862, rys. A. Lerue, lit. L. Piechaczek, w litogr. A. Dzwonkowskiego, druk J. Glücksberga.

Jana Jaworskiego Kalendarz Astronomiczno-gospodarski na rok zwyczajny 1862. Opisów roślin rok dwudziesty piąty. Warszawa, nakł i druk wydawcy, w 4-ce, str XX, 172, VIII, XL, okł. druk., zawiera prócz wiadomości kościelnych i astronomicznych, następne artykuły:

Kuczyński Aloizy: Życiorys Edwarda Ostrowskiego. *Mieczyński Adam:* Pisma weterynaryjno-gospodarskie Edwarda Ostrowskiego. *Jankowski Władysław:* O kartoflach. *Gluziński Józef:* Dzierlatka. *Sławiński Henryk:* Pastewność w Kleczy-górnéj pod Krakowem. *Gawarecki Zygmunt:* Opisy roślin gospodarskich. *Wisłicki Adam:* Opis ziemi opatowsko-sandomierskiéj pod względem przemysłowym i handlowym. *K. W.:* Łowiectwo polskie. *Toporczyk:* O rachunkowości gospodarskiéj, a w szczególności o rachunkowości podwójnéj czyli włoskiéj. *Kozielski Franciszek:* Orka płaska w uprawie łąk, tak zwana orka Fellenberga. *Stelmaszewicz A. K.:* Hodowla owiec. *Gawarecki Zygmunt:* Nowe gatunki pszczół. *Kohn Albin:* Hodowla drobiu domowego. *Izert Julian:* O analizie gruntów. *Z. G.:* O nowych narzędziach używanych w gospodarstwie. *Morzycki Julian:* O ogrodach warzywnych. *Jasieński Aleksander:* O systematach rolniczych. *Gawarecki Zygmunt:* Nowe gatunki ryb. *Toporczyk:* Budownictwo wiejskie. *Hipolit Skimborowicz:* Życiorys Jana Śniadeckiego. Obserwatoryum astronomiczne w Krakowie. *Wójcicki Kazimierz-Władysław:* Samuel książe Korecki. *Lewestam Henryk:* O wyższości poezyi nad innémi sztukami pięknémi. *Wieniarski Antoni:* Szczęśliwy człowiek. *Maleszewski Władysław:* List bratni. *Bartoszewicz Julian:* Księżna Katarzyna z Sobieskich Radzi-

wiłowa na zamku bialskim. *Wiślicki J. M.* Irena i jéj okolice w powiecie zamojskim. *Grajnert Józef:* Lwy i lwiątka w Warszawie. *Zofia z Brzozówki:* Dwa krzyże, powieść. *Przybysławski Henryk:* Marzyciel, powiastka. *A. B.:* Mozaika ze zdań, maksym i przysłów z pisarzy polskich, porządkiem abecadłowym ułożona. *Korzeliński Seweryn:* Ułamek z podróży do Azyi Mniejszéj. Spis alfabetyczny niektórych miast Królestwa Polskiego, wykazujący w któréj gubernii miasto położone, jaka jest odległość od Warszawy i jego położenie geograficzne. Gospodarstwo wiejskie jako nauka. O jedwabniku ricinowém. O rozwijaniu się kurczęcia w jaju. Ks. Antoni Melchior Fijałkowski, Arcybiskup metropolita warszawski. Król polski Jan III Sobieski. Poezye. Wiadomości informacyjne.

Kalendarzyk kieszonkowy gospodarski na rok 1862 mający dni 365. Warszawa, nakł. i druk K. Kowalewskiego, w 12-ce, str. 284, zawiera prócz zwykłych kalendarzowych wiadomości, następne artykuły:

Zołzy u koni, p. *Ludwika Strobach.* Zaraza racic u owiec, p. *P. Seifmana.* Wiadomości informacyjne.

Kalendarz domowy i gospodarski na rok 1862, który ma dni 365. Warszawa, nakł. i druk braci Hindemith, w 4-ce, str. 64, zawiera prócz części kościelnéj, astronomicznéj i informacyjnéj, następne artykuły:

Marya, powiastka. Miłość modna, obrazek. Wspomnienie. Wiktor Każyński, życiorys. Poezye. Anegdoty. Wiadomości gospodarskie.

Kalendarz ścienny na rok 1862. Warszawa, druk J. Tomaszewskiego fol.

Kalendarzyk ruchomy. Warszawa, nakł. i litogr. G. Gebethner i R. Wolff.

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik Religijno-moralny. Serya 2, T. VIII, N. 11, M. Listopad 1861, str. od 481—600, zawiera:

Wykład Pisma Świętego: dokończenie księgi Deuteronomium, p. ks. *W. Serwatowskiego.* Śpiéw i muzyka kościelna, p. ks. *Franciszka Sławianowskiego.* Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj (dok.). Wizyta kościołów parafialnych, odbyta przez biskupa suffragana mohylewskiego Józefa Maksymiliana Staniewskiego. Rzut oka na upłyniony

rok 1860, pod względem administracyjnym i spraw duchownych. Kronika kościelna i rozmaitości. Kronika zagraniczna. Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna.

Roczniki gospodarstwa krajowego. Tom XLV, Poszyt 1. M. październik, 1861, str. 194, zawiéra:

Czynności sekcyi administracyjnéj. Lista członków Towarz. rol. ubyłych na r. 1861. O oddzielaniu i urządzaniu gruntów folwarcznych i włościańskich, p. *Konstantego Górskiego*. Jaki zachodzi stosunek pomiędzy pożywną wartością siana łąkowego i liści suszonych, oraz jakie korzyści zapewnić może użycie tego ostatniego surrogatu paszy, w żywieniu rozmaitych gatunków zwierząt gospodarskich. O dochodzie gruntowym i jego wynajdowaniu. Rozmaitości. Bieżąco wiadomości rolnicze. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. sierpień 1861 roku.

Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Serya III, T. III, Poszyt XI, dnia 15 czerwca, str. od 337—368, T. IV, Poszyty I, II, III, IV, V, 15 i 31 lipca, 15 i 31 sierpnia, 15 września, 1861, str. 152, zawierają:

Dalszy ciąg uwag dotyczących leczenia przetok pochwo-pęcherzowych, p. *Adama Gliszczyńskiego* (c. d.). O połogowym zakrzepie i zapaleniu żył, p. *Ludwika-Adolfa Neugebauer*. Choroba św. Walentego albo padaczka, przypadek opisany, p. *Beniamina Rosenblum*. Sprawozdanie z czynności lekarskich w oddziale chirurgicznym kobiet Szpitala Dzieciątka Jezus za rok 1860, p. *A. Gliszczyńskiego*. Kastracya krów przez pochwę maciczną, p. *Piotra Seifman*. Słowo o operacyach wcielonych do okulistyki w ciągu lat ostatnich, p. *Ksawerego Jasieńskiego*. Posiedzenia Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Wiadomości z czasopismów zagranicznych. Bibliografia.

Tygodnik Lekarski. M. listopad 1861, NN. 45—48, zawierają:

Miłosz: Mieszaniny lekarskie. *Dymnicki:* Zdrój buski (c. d.). *Karpiński:* Mydło tranowe wiedeńskie. *Sciborowski:* Wiadomości z pism zagranicznych. Posiedzenie Towarzystwa lekarskiego podolskiego. *Koniuszewski:* Listy lekarskie. *Eborowicz:* O narośla na dziąsłach, zwanych epulis. Wyciągi z pism zagranicznych. *Sciborowski:* Przegląd czynności szpitala św. Aleksandra w Willanowie w r. 1860. *Janikowski St.:* Dochodzenie sądowo-lekarskie plam krwawych. *Natanson:* Rektor Dietl i dziennikarstwo wiedeńskie. *Drużyłowski:* Zastosowania elektryczności do terapii. (c. d.). *Trojanowski:* Krzeczek tarantula. *Karpiński:* Podfosforan sody i żelaza. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Przyjaciel zdrowia. M. listopad, 1861, NN. 3—5, zawierają:

Hygiena filozoficzna duszy z dzieła Foissaka. O przechowaniu wody deszczowéj na użytek domowego gospodarstwa. O wpływie dziecinnego wieku na rozwój wielu chorób (dok.). O wągrach u świń i o wpływie ich na ludzkie zdrowie. O żywności: obiady garnuszkowe. O skórze (dok.). Rozmaite fałszowania artykułów żywności. Apteczka domowa. O włosach. O kołowaciźnie owiec. O czokoladzie. Rozmaitości.

Ruch Muzyczny. M. listopad, 1861, NN. 45—48, zawierają:

Położenie muzyków społeczne w Polsce. Trzy marsze. Przegląd kompozycyj na wiolonczellę. Złote kajdany, tragi-komedya w 5-ciu aktach Józefa Korzeniowskiego (rozbiór). O muzyce w Rossyi. Krzysztof Gluck i wznowienie w Paryżu opery jego „Alcesta" (dok.). Gazeta muzyczna.

Kółko domowe, pismo poświęcone polskim rodzinom. M. listopad, 1861, Poszyt 8, zawiera:

Grobowiec Władysława Białego, wiersz, p. *W. Chomętowskiego*. Wspomnienia rodzinne, p. *Sabinę z Gostkowskich Grzegorzewską* (c. d.). Liban i Damaszek, p. *Alexandrę z Chomętowskich Borkowską* (c. d.). Julian Blake, p. tęż. Wspomnienia historyczne z miesiąca listopada. Korrespondencya z zagranicy. O ubiorach. Objaśnienia tablicy rysunków, przytém tablica i rycina mód.

Przyjaciel Dzieci. M. listopad, 1861, NN. 31—35, zawierają:

Dzieje narodu polskiego, p. *Leona Rogalskiego* (c. d.). Historya święta p. *Michała Szymanowskiego* (c. d.). Wigilia Bożego Narodzenia, powieść *Dickensa*, tłum. z angielsk. Bluszcz. Sitarz z Biłgoraja. Żydek z laskami. Rzeka Nil. Ateny, obrazek. Szlachetna zemsta, powieść genueńska. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. Wspomnienia, p. *Aloizego Kuczyńskiego*. Pies raniony, powiastka. Królowe polskie, p. *L. Huberta*. Likurg. Przyjaciele rolnika pomiędzy płazami. Hussarz, p. *Kazimierza-Władysława Wójcickiego*. Do kochanych dzieteczek, p. *K. G.* Róże cudowne. O kruszcach czyli metalach. Arnauda Rocas, powieść cypryjska. Typy uliczne. Bajki. Myśli. Zdania. Rozmaitości.

Jutrzenka, Tygodnik dla Izraelitów polskich. M. listopad, 1861, NN. 18—22, zawierają:

Czytelnia bezpłatna w Warszawie. Żyd Polak, p. *M. L. J.* Wyjątki z dzieł rabinicznych. Życiorys Jehudy Löba Benzewa, p. *F. Str.* Nasze nazwiska. Prawa żydów w Polsce, p. *L. Gumplowicza*. O dobroczynności prywatnéj, p. *H. Glatt-*

sterna. Trenderl, p. *Leopolda Kompert*, tłum. *J. E.* (dok.). Gmina izraelska w Zamościu, p. *J. Altberga.* O cudowności. Pszczoła w kwestyi żydowskiéj. Miesiąc Kislow, p. *A. J. Kohna.* Korrespondencye. Rozmaitości.

Magazyn Mód. M. listopad, 1861, NN. 44—48, zawierają:

Jeden dzień w Krakowie, p. *S. Grzymałę* (c. d.). Tryest. Rady matki dla córki przyjmującéj obowiązek nauczycielki domowéj, ułomek z nie wydanéj powieści *Pauliny z L. Wilkońskiéj.* Korrespondencye. Nowości zagraniczne. Poezye. Gwiazdka. Mody. Opisy wzorów i ryciu mód. Przepisy kuchenne. Szarady.

Tygodnik Illustrowany. M. listopad 1861, NN. 110—114, zawierają:

Salomon Majmon, p. *Kazimierza Kaszewskiego*, z drzewor. Wycieczka do Gdańska, p. *Deotymę (Jadwigę Łuszczewską).* Dzień zaduszny, p. *Kazimierza-Władysława Wójcickiego.* Gra szachowa nowego pomysłu na 100 polowéj szachownicy. Jerzy Matuszewicz, p. *Juliana Bartoszewicza*, z drzewor. Kilka słów o sądach przysięgłych, p. *L. J.* Komunikacye, przemysł, handel. Zwycięztwo nad Turkami pod Chocimem 11 listopada 1673 r., p. *Kazimierza-Władysława Wójcickiego.* Kilka słów o piśmiennictwie dla ludu p. *Z. J. A.* Jan Śniadecki, p. *Wojciecha Grochowskiego*, z drzewor. Źródła niektórych przesądów dotąd u nas istniejących, p. *J. Grajnerta.* Nieżyn, z ryc. Kasper Bekiesz, p. *Wojciecha Grochowskiego*, z ryc. Listy z Wilna, *Wacława Przybylskiego*, z ryc. Bitwa pod Warną, z ryc. Nauka logiki i jéj korzyści. Jedno pytanie. Tytus Działyński, z drzewor. List *Tadeusza Padalicy (Zenona Fisza)* z Ukrainy, z drzewor. Poezye. Korrespondencye. Kronika tygodniowa. Szachy. Rebusy.

Kmiotek. M. listopad, 1861, NN. 44—48, zawierają:

Opowiadania Góralczyka z historyi polskiéj (c. d.). Dzień wszystkich Świętych. O papierze. Obrzędy kościelne (c. d.). Łaskawy chléb (dok.). List z pod Radziejowa. Herbata. Cmentarz parafialny. Święty Stanisław Kostka. Cudowne drogi Opatrzności. Święta Katarzyna Panna i Męczenniczka. Historya o gospodarzu Marcinie, wierszem napisana. Jako król polski Kazimierz Wielki kmotrował biednemu chłopku.

Czytelnia Niedzielna. M. listopad, 1861, NN. 44—47, zawierają:

Ksiądz Grzegórz Piramowicz. Opowiadanie panienki. Okolice Krakowa. Strzałki piorunowe. Przodownik. Włochy (c. d.). Sandomierz. Pod borem, wiersz. Dwa pogrzeby, obrazek ze wsi. Studnie świdrowane czyli artezyjskie. O suchym badylu,

wiersz. Gawędy warsztatowe. Wpływ lasów na urodzajność pól. Oblężenie Głogowa. Różności.

Gazeta Warszawska. M. listopad, 1861, NN. 261—285, zawierają:

Listy z miasta. Wspomnienie pośmiertne o Karolu Jastrzębskim, artyście sceny warszawskiéj. Historya o Pra-pra-prawnuku i Pra-pra-pra-dziadku, powieść w 2-ch częściach, p. *Teod. Tom. Jeża* (c. d.). Towarzystwo Tellus. O drogach bitych w Królestwie. Najważniejsze tego czasu odkrycia. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Gazeta Polska. M. listopad, 1861, NN. 260—284, zawierają:

Listy redaktora z podróży. Kopciuszek, powieść *Józefa Ignacego Kraszewskiego*. Listy z Mokotowskiéj ulicy. Ś. p. Dr. Romanowski. Kronika paryzka, p. *Z. W.* Przegląd literatury krajowéj. Towarzystwo Tellus. Uwagi o wychowaniu publicznem. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Pszczoła. M. listopad, 1861, NN. 259—283, zawierają:

Z regestru życia. Kilka listów Warszawianki, zarys obyczajowy. Freski. Ramotki po *Auguście Wilkońskim*. Generał Fremont. List podpułkownika *Paszkowskiego* do Juliana Bartoszewicza. Dziwowiska natury. Humoreski, *Władysława Sabowskiego*. Rozmaitości. Wiadomości bieżące.

Kuryer Warszawski. M. listopad, 1861, NN. 259—283.

Dziennik Powszechny, pismo urzędowe, polityczne i naukowe. M. listopad, 1861, NN. 28—52, zawierają:

O duchu praw i instytucyj. Powody do projektu organizacyi wychowania publicznego w Królestwie. Opisanie wypadków zaszłych w Warszawie d. $^3/_{15}$ października r. b. Finlandya. Wiadomości z nauk ścisłych. Thietmar. Uwagi i wnioski w przedmiocie urządzenia szkoły prawa lub wydziału prawnego przy Uniwersytecie, p. *H. Krzyżanowskiego*. Prace Towarzystwa geograficznego w Petersburgu. O opinii, p. *J. A. Miniszewskiego*. Obraz stanu istniejących obecnie w Królestwie Polskiém szkół powiatowych i gimnazyalnych, oraz myśli co do przyszłéj ich organizacyi, p. *Adama Plewe*. Opis starożytności znajdujących się w Królestwie Polskiém. Bibliografia polska, rossyjska, francuzka, niemiecka. O obyczajach, p. *J. A. Miniszewskiego*. Alcoholometr G. Lussaca. Katalog wydań Cesarskiej publicznéj biblioteki w Petersburgu. Humanizm i realizm; znaczenie nauk przyrodzonych w ukształ-

Biblioteka Sejmu Śląskiego

ceniu ogólném; metoda ich wykładu p. Dra *Tytusa Chałubińskiego*. Badania historyczne, mianowicie na polu dziejów Polski XVII wieku, p. *J. K. Plebańskiego*. O podatkach obecnie w Królestwie Polskiém istniejących. O potrzebie reformy wychowania domowego, p. *Ig. Boczylińskiego*. Prace Towarzystwa historycznego w Moskwie. Statystyka. Wiadomości rozmaite.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. listopad, 1861, NN. 263—287, zawierają:

Cyganka, ustęp z życia pewnego oficera angielskiego (c. d.). Żebractwo w Neapolu. Żebraczka.

Warschauer Zeitung. M. November, 1861, NN. 247 — 271, zawierają:

Der Mechaniker und Tausendkünstler Gallermayer, v. Hyacinth Holland. *Der Hansische Stahlhof in London*, v. Reinhold Pauli. *Gervinus über Schlosser. Das toscanische Stroh. Ein Falschmünzer. Der Kampf um die Montauer Spitze. Ueber Forstnutzungen, Berechtigungen dazu und über Forstkultur in Polen. Der grosse Unbekante. Technisches. Lokalbericht. Vermischtes.*

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. M. listopad, 1861, NN. 87—94, zawierają:

Żniwo machinami na Ukrainie w 1861 roku. O narzędziach i sprzętach rolnika polskiego XIX stulecia, wyrabianych w fabrykach krajowych i używanych w gospodarstwach naszych (c. d.). Leśnictwo polskie, przez Aleksandra Połujańskiego, (rozbiór) p. *Antoniego Aulettnera*. Nowy gatunek bobu, pochodzący z Navaoe. Instrukcya dla Domu zleceń rolników z nad Warty i Pilicy pod firmą Rucz, Siemieński, Zielonka i spółka. Kilka uwag o chorobie pyska i racic u bydła rogatego, przez *Karola Haubnera*. Doświadczenie z użyciem soli kuchennéj na nawóz, p. *G.* Korrespondencye. Wiadomości handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta Rolnicza. M. listopad, 1861, NN. 44—46, zawierają:

Najpewniejsze sposoby wychowywania zdrowych i rosłych koni. O wytępianiu szarańczy, p. *Józefa Glazińskiego*. Drobna szlachta w obec oczynszowania, p. *Józefa Zawadzkiego*. Maszyna karczunkowa pomysłu J. Z. Wagnera. Kilka słów o chlebie i jego wyrabianiu, p. *Juliana Izerta*. Życiorys Antoniego Rose, redaktora Ziemianina poznańskiego. Kilka słów z powodu wydawnictwa pisma: „Przyjaciel zdrowia," p. *Adama Mieczyńskiego*. O wpływie lasów na gospodarstwo rolne

i o sposobie gospodarowania lasów (c. d.). Piśmiennictwo rolnicze. Polska bibliografia rolnicza. Korrespondencya gospodarska. Nowiny i ogłoszenia gospodarskie.

MUZYKALIA.

Cieniom ś. p. ks. A. Melchiora Fijałkowskiego, Arcybisk. Metrop. war. Marsz żałobny, przez *Ksaw. Syrewicea*. Warszawa, nakł. M. Glücksberga, lit. W. Otto, str. 7.

Stankiewicz M. F. Polonez. Warszawa, nakł. E. Wende i spół., lit. J. V. Fleck, str. 5.

Zbiór ulubionych śpiewów z towarzyszeniem fortepianu. *Schubert*: Pożegnanie. Warszawa, nakł. J. Kaufmann i spół., lit. W. Otto, str. 3.

Münchheimer Adam. Pamiątka z dn. 11 października 1861 r. Salve Regina, śpiéw żałobny wykonany w kościele św. Jana w Warszawie w czasie żałobnego nabożeństwa za duszę ś. p. ks. Antoniego Melchiora Fijałkowskiego, Arcybiskupa i metropolity warszawskiego. Warszawa, lit. A. Dzwonkowskiego i spół. str. 8, kop. 45.

Krajcewicz W. Taniec polski z XVIII wieku ułożony na skrzypce i fortepian. Piotrków, nakł. A. Marczewskiego, litogr. G. Gebethnera i R. Wolffa, k. 47 1/2.

Krajcewicz W. Taniec polski z XVIII wieku, ułożony na fortepian. Piotrków, nakł. A. Marczewskiego, lit. G. Gebethnera i R. Wolffa, k. 22 1/2.

Krzyżanowski Ignacy. Piosnka wieśniaczki litewskiéj, słowa *Władysława Syrokomli*. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i Wolffa, str. 10, kop. 45.

Nowakowski J. Regrets Morçeau de Salon pour piano. Op. 58, lit G. Gebethnera i R. Wolffa, str. 8, kop. 52 1/2.

Moniuszko S. Macierzanka, pieśń z czeskiego *J. Grejnerta*. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, lit. M. Fajansa, str. 5, k. 22 1/2.

Moniuszko Stanisław. Marsz żałobny ułożony na fortepian, wykonany w Warszawie w czasie eksportacyi zwłok Arcybiskupa metropolity warszawskiego, Antoniego Melchiora Fijałkowskiego do kościoła metropolitalnego św. Jana. Warszawa, nakł. i lit. A. Dzwonkowskiego i spół. str. 5, kop. 30.

Dawne czasy, marsz wojskowy ułożony na fortepian. Warszawa, nakł. J Kaufmann i spół., lit. W. Otto, str. 3.

Jackiewicz A. Pamiątka 12 sierpnia, Polonez na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufmann i spół., litogr. W. Otto, str. 3.

Zbiór ulubionych śpiéwów z towarzyszeniem fortepianu. *Łada K.* Ponska wiejska, słowa *A. Wojcickiego.* Warszawa, nakł. J. Kaufmann i spół., lit. W. Otto, str. 3, kop. 15.

Janusz. Wianki, zbiór melodyj polskich na fortepian. N. 1 Mazurek: „Moja Basiu." Warszawa, nakł. J. Kaufmann i spół., lit. W. Otto, str. 3.

Komorowski Ignacy. Ośm śpiéwów polskich. Wyd. 2-gie. Warszawa, nakł. i litogr. G. Gebethnera i R. Wolffa, str. 37, rs. 1 kop. 50.

Freyer A. Kompozycye kościelne. Salve Regina na cztéry głosy męzkie. Dz. 13. Warszawa, nakł. i litogr. G. Gebethnera i R. Wolffa, str. 8, kop. 30.

Noch Ryszard. Requiem, śpiéw żałobny na chór mieszany, z towarzyszeniem (ad lib.) fortepianu lub organów, wykonany przez Instytut muzyczny warszawski, w czasie pochodu pogrzebowego ś. p. ks. Antoniego Melchiora Fijałkowskiego, Arcybiskupa metropolity warszawskiego w d. 10 października 1861 r. Warszawa, lit. G. Gebethnera i R. Wolffa, str. 8.

Moniuszko Stanisław. Muzyka kościelna. Modlitwa na mezzo-sopran albo baryton, z towarzyszeniem organów. Warszawa, nakł. autora, lit. W. Otto, str. 6.

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Matka, opowiadanie dziecinne, wierszem z 12 rycinami. Warszawa, nakł. i litogr. A. Dzwonkowskiego i spół., w 8-ce mniejsz., kart 12.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Grudzień 1861 r.—Wszystkie pisma peryodyczne dotąd wydawane, wychodzić będą i w roku 1862.—Gazeta Warszawska zapowiada drukowanie w odcinku: *Dalszego ciągu Pamiętników Kwestarza* ś. p. Chodźki.—Gazeta Polska zapewniwszy sobie współpracownictwo Karola Szajnochy, Augusta Bielowskiego i innych znakomitszych pisarzy polskich, ma drukować w odcinku pracę historyczną K. Hofmana p. n.: *Rodzina Sobieskich* ze źródeł zupełnie nowych i nie znanych; listy L. W. *O instytucyach kredytowych*, oraz J. I. Kraszewskiego: *Kartki z podróży po Europie.* Przypomina zarazem ogłoszony konkurs na monografią historyczną, której termin nadesłania wyznaczono na dzień 2 marca 1862 r. Rozprawa uznana, otrzyma premium 2,000 złp., i drukowaną będzie w odcinku Gazety Polskiej.—*Ruch muzyczny* z Nowym rokiem, przybrał tytuł: „Pamiętnika muzycznego i teatralnego:" pismo tygodniowe, poświęcone muzyce i rzeczom dramatycznym.—Pamiętnik religijno-moralny; Tygodnik illustrowany; Kółko domowe; Tygodnik (Magazyn) mód; Pamiętnik i Tygodnik lekarski; Przyjaciel zdrowia i Przyjaciel dzieci; Czytelnia niedzielna; Kmiotek; Jutrzenka, tygodnik dla Izraelitów polskich; Księga świata, zapowiedziały dalsze wydawnictwo: równie jak *Dziennik powszechny*, pismo urzędowe, podług dotychczasowego planu, który daje temu dziennikowi coraz większe znaczenie i upowszechnienie, gdyż obejmuje w swych ramach najważniejsze wiadomości żywo obchodzące każdego obywatela Królestwa Polskiego.

— Po śmierci ś. p. Joachima Lelewela pozostało wiele rękopismów nie drukowanych dotąd; z notaty udzielonéj nam przez brata zmarłego, Prota Lelewela, podajemy ich spis szczegółowy.

1) Historya polska od Ziemowita do Stefana Batorego, pisana w r. 1813, a później poprawiana i przed 1830 r. już do druku przygotowana.

2) Historya powszechna od najdawniejszych czasów, aż do końca XVIII wieku.

3) Obraz dziejów starożytnych, pisany w Łucku 1820 r.

4) Historya powszechna od upadku państwa rzymskiego na Zachodzie (z mappami).

5) Założenie Rzymu.

6) Odpowiedź Helclowi w rzeczy Statutów wiślickich.

7) O stroju polskim.

8) *Historyka* komentowana (drugie wydanie).

9) Nauki dające poznać źródła historyczne, z mnóstwem dodatków.

10) *Księgi bibliograficzne*, wydanie w dwóch tomach wyczerpane oddawna z handlu księgarskiego, pomnożone przypisami, i trzeci tom w rękopiśmie dodany. Jest życzeniem, wydanie drugie zrobić we 3 tomach, jako znacznie rozszerzone.

11) Ulotne wiersze Joachima Lelewela.

Prócz tych pozostawił wiele rozpraw w języku francuzkim godnych przekładu, treści numizmatycznéj, historycznéj i archeologicznéj. Obszerna korrespondencya zajmie niezawodnie kilka grubych tomów, jeżeli do jéj wydania przyjdzie. Wszystkie rękopisma gdyby ogłoszone zostały drukiem, pokazałyby ogrom pracy, któréj się ten mąż, w chudobie i prostocie żyjąc, oddawał. Księgarz i wydawca pisma ś. p. Lelewela, ma historyą polską wcielić do dzieła: *Polska i jéj rzeczy*, które w takim razie nie siedm ale więcéjby obejmowało tomów. Dobrzeby było, ażeby te dzieje z właściwą kartą tytułową, mogły być jako oddzielne nabywane dzieło.

— Wiadomo czytelnikom naszym o założeniu w Warszawie *czytelni* przy Towarzystwie Dobroczynności, która udziela bezpłatnie książki. Pomysł ten piękny i szlachetny, zawdzięczamy księciu Tadeuszowi Lubomirskiemu, zaszczytnie znanemu i na polu literackiém. Ażeby ułatwić zakładanie czytelni, których potrzeba i korzyści są powszechnie uznane, a zarazem wykazać z jak małym kosztem zakładane być mogą po innych miastach Polski, po zasięgnieniu rady osób z piśmiennictwem oznajomionych, sam założyciel pomienionéj czytelni ułożył katalog dzieł mogących wejść do składu innych. Numer pierwszy katalogu czytelni przy niniejszym poszycie Biblioteki Warszawskiéj dołączamy, mając przekonanie, że pomysł ten zacny znajdzie wkrótce licznych naśladowców wpoczciwych zabiegach ku oświacie biedniejszéj braci naszéj.

— W Paryżu na posiedzeniu w Bibliotece polskiéj, opróżnione krzesło prezydującego po zgonie ś. p. Adama Czartoryskiego,

zajął syn jego Władysław, i w obszernym głosie rozwinął wydatne punkta stanowiska obecnego.

— Wyszedł z pod prassy drugi poszyt *Grobowców polskich* za granicą, staraniem p. Józefa Reitzenheima wydawanych. Trzeci, a za nim następne poszyty szybko się ukażą, gdyż wydawca chce prędko ukończyć swoję publikacyą. W wydanym zeszycie są dwa grobowce: *Konstantego Linowskiego* i *Juliusza Słowackiego*. Wydawnictwo to uzupełnia dzieło znane: *Cmentarz Powązkowski* pod Warszawą, w którym są wszystkie pod stolicą Polski cmentarze opisane, i zeszyt *Drezdeńskich cmentarzy*, szacowną pracę, zacnego obywatela i pisarza Eustachego Marylskiego.

— Kiedy u nas od lat trzydziestu, z gruntu odmieniły się kalendarze, głównie co do treści artykułów, szczególniej zaś, co do przepowiedni astrologicznych zmian powietrza, Kalendarz Berdyczewski, nie odstąpił ani joty od starego kroju, a wydrukowany na r. 1862 w 23.000 egzemplarzy, śmiało zapowiada z góry wiosnę suchą i zimną, lato gorące, jesień pogodną a zimę zimną!!!

— W Brukselli od 1 listopada r. b. zaczęła wychodzić nakładem księgarza Zygmunta Gerstmanna *Biblioteka Domowa*. Tom pierwszy obejmuje dramat p. n.: „Jeremi Wiśniowiecki (Karola Drzewieckiego): dalsze tomy mają zawierać utwory Niemcewicza, Potockiego, Hofmanowéj, Chojeckiego, Chołoniewskiego, Wojnarowskiego, Olizara, Budzyńskiego, Jaraczewskiéj z Krasińskich i w. i. Tom każdy kosztuje dwa franki.

— W Wilnie Karol Chrzczonowicz wydał poemat oryginalny w 18 (!!!) pieśniach, obejmujący przeszło 10,000 wierszy, p. n.: *Messyasz!* Czy znajdzie czytelników utwór ten *oryginalny*, czas późniejszy pokaże.

— W Petersburgu Józefat Ohryzko ukończył przedruk pomnikowy *Voluminów Legum* i rozesłał ostatnie dwa tomy, obejmujące *Inwentarze* do tego dzieła. Zamiar piękny i szlachetny, jaki miał wydać dopełnienia tego zbioru praw, już po wydaniu pijarskiém ogłoszonych, musiał szanowny wydawca na późniéj odłożyć. Przedrukiem, jaki dał, zasłużył się dobrze literaturze ojczystéj i krajowi, bo nie wiodła go w tym żadna spekulacya handlowa, ale proste a uczciwe przekonanie obywatelskie, że posłuży dobréj sprawie

krajowej. W drukarni tegoż J. Ohryzki wyszły następujące dzieła: 1) *Ziemia i człowiek*, albo geografia fizyczna w stosunku do historyi ludzkości, przez Arnolda Gayot, przekład z angielskiego W. Sałackiego. 2) Rys dziejów Serbo-łużyckich przez W. Bogusławskiego. 3) Encyklopedya prawa Dra Ahrensa w przekładzie z niemieckiego. 4) Izajasza Tegnera *Frytiof*, tłumaczenie J. Wiernikowskiego. 5) *Dawna Akademia wileńska*, próba jej historyi od założenia w r. 1579 do ostatecznego jej przekształcenia w r. 1803, przez Michała Balińskiego.

— W Wilnie w drukarni A. H. Kirkora wkrótce wyjdzie dzieło użyteczne p. n.: *Praktyczne gospodarstwo wiejskie do potrzeb i miejscowości rolnictwa* na Litwie zastosowane, z dodaniem działu o urządzeniu gospodarstwa bezpańszczyznianego i stosownym podziale gruntów, przez Tomasza Snarskiego.

— Illustrowany abecadlnik historyczny dla dzieci polskich, przez Teofila Nowosielskiego, wyszedł nakładem Aleks. Nowoleckiego księgarza. Wydanie ozdobne, tak litografiami jak drzeworytami, treść doborowa a zajmująca, nadają nie małą wartość temu wydawnictwu. Piękny to dar dla polskiej dziatwy.

— Nakładem b. Towarzystwa rolniczego wyszła *Hygiena popularna* czyli nauka zachowania zdrowia dla ludu wiejskiego, ułożona przez Dra L. Bokiewicza. Wykład jasny, treść dobrze zastosowana do potrzeb ludu naszego, czyni tę książkę wielce użyteczną, która daje zarazem wymowne świadectwo zasług nakładcom, którzy we wszystkich kierunkach pragnęli na korzyść krajową działać, wiedzeni czystém uczuciem obywatelstwa.

— W Krakowie, d. 29 listopada r. b., na posiedzeniu nadzwyczajném oddziału nauk przyrodniczych i ścisłych, wybrano nowy zarząd tegoż oddziału: przewodniczącym pozostał professor Dr. Skobel, delegowanym do komitetu rektor Dr. Dietl, sekretarzem Dr. Oettinger. Dnia 2 grudnia, oddział nauk moralnych w Towarzystwie naukowém, odbył zwyczajne swoje posiedzenie, na którém odczytaną została rozprawa Józefa Mączyńskiego, członka Towarzystwa: „O pierwotném założeniu biskupstwa krakowskiego.” Poczém przystąpiono do wyborów rocznego zarządu. Prezydującym obrany ponownie Dr. Józef Kremer; delegowanym oddziału radca sądu wyższego (dawny senator b. rzeczypospolitéj) Dr. Kopt Wiktor,

sekretarzem Dr. Mecherzyński Karol. Towarzystwo naukowe krakowskie, zajmując się restauracyą pomników (z funduszów składkowych), co do odnowy monumentów rodzin jeszcze żyjących, poprzestaje tylko na zwróceniu na nie uwagi. Tak odezwano się o restauracyą nagrobka Jordanów (u św. Katarzyny), Elżbiety Tarnowskiej, Piotra Stadnickiego i Andrzeja Gostkowskiego (u Dominikanów), oraz Dobka Łowczowskiego (w Nowym Sączu). W skutku tego p. Romuald Gostkowski przedsięwziął odnowę nagrobka przodka swego Andrzeja († 1713), a Jan i Edward hr. Stadniccy, zabierają się do restauracyi wspaniałego monumentu Piotra ze Zmigroda Stadnickiego († 1608 r.). Towarzystwo zaś naukowe zamyśla zająć się odnową grobowca Kazimierza Wielkiego w katedrze, a właściwie umocnieniem go i naprawą uszkodzeń, jako też sprawieniem sarkofagu na szczątki króla Bolesława Wstydliwego. Na przywiedzenie do skutku pierwszego z tych projektów, posiada komissya restauracyjna 80 złr. funduszu składkowego.

— Nakładem księgarni Józefa Czecha wyszedł *Opis Krakowa i jego okolic.* Jest to przewodnik lepiej ułożony jak wszelkie dawniejsze, bo chociaż nie daje obszernych wywodów historycznych o zabytkach znajdujących się w tem mieście, zawsze objaśnia je treściwie. Do tego opisu dołączonych jest kilka drzeworytów; z tych mianowicie: Widok kościoła Panny Maryi i ołtarza Wita Stwosza, wykonany podług fotografii W. Rzewuskiego, dają najlepsze o tych zabytkach architektury i rzeźby wyobrażenie.

— W Krakowie ma wychodzić od Nowego Roku pismo w zeszytach co pięć lub sześć tygodni, pod tytułem: „Roczniki literatury polskiej." Obejmować będzie dokładny spis wszystkich wychodzących dzieł, pism, broszur, przez ubiegły czas, wraz z treścią i ocenieniem wartości; prócz dzieł znajdą tam miejsce i wzmianki o rozprawach naukowych, pomieszczanych w pismach czasowych, a także o utworach pędzla, dłuta i rylca. Wydawcą i redaktorem tego pisma jest p. J. Z. Wywiałkowski. Z tych kilku słów programatu łatwo zrozumieć, o ile dzieło podobnego rodzaju pożądanem jest dla nas. Czy dla literatów i uczonych, czy też dla ciekawych, będzie to ognisko zbiorowe, w którem się zbiegną objawy myśli i ducha całego narodu, dające miarę o jego postępie umysłowym. Cena nadzwyczaj przystępna, bo 20 złp. rocznie.

— Towarzystwo naukowe krakowskie, a mianowicie oddział jego archeologiczny zajmuje się odnawianiem pomników i nagrob-

ków po kościołach i od lat jedenastu krząta się około tego, mając fundusze po większej części ze składek dobrowolnych pochodzące. Podług sprawozdania ogłoszonego drukiem, w ten sposób odnowiono już dotąd kilkadziesiąt grobowców, a w samym roku bieżącym 32 nagrobków na korytarzach dominikańskich, gdzie p. Edward Stehlik, rzeźbiarz krakowski, dorobił brakujące rzeźby i nagrobki te do pierwotnego stanu doprowadził.

Wilno. Posiedzenie Kommissyi archeologicznéj.—D. 11 listopada odbyło się zwyczajne posiedzenie wileńskiéj archeologicznej kommissyi, pod prezydencyą hr. Eustachego Tyszkiewicza, w obecności czternastu członków téjże kommissyi i muzeum. Prezes zagaił posiedzenie w następnych słowach:

„Zagajając dzisiejsze nasze posiedzenie, niech mi wolno będzie zdać krótką sprawę z papierów archiwum po-Sapieżyńskiego z Dereczyna, które przed dwoma laty wcielone zostało do zbiorów naukowych naszego Towarzystwa. Są tu ocalone resztki papierów znakomitego i przemożnego na Litwie domu Sapiehów. Nie wspominając o tém co zbiory naukowe stolicy wzbogaciło, zdaje się, że w wypadkach ostatnich, pargamina ważniejsze i nadania królów, schronione być musiały w jednym z klasztorów OO. Bernardynów w dobrach Sapieżyńskich, gdyż przy ogólnej reformie i zmniejszeniu liczby tychże klasztorów, przeniesione zostały do biblioteki konwentu wileńskiego, gdzie się dotąd znajdują.

Nasze archiwum przy rozpatrzeniu, na trzy części rozdzielone zostało: pierwsza składa się z papierów majątkowych, w dzisiejszéj przemianie stosunków własności ziemskiéj, mogących mieć i prawny i ekonomiczny interes, a równie z rachunków hetmańskich, które nam stan ówczesny wojska litewskiego objaśniają. W drugim oddziale, znajdujemy w znacznéj liczbie inwentarze miast należących dziedzicznie do rodziny Sapiehów, a niektóre z nich XVI wieku sięgają i ważne stanowić mogą materyały dla badacza w tym przedmiocie. Trzeci oddział stanowi przeszło 40 tomów oprawnych listów pisanych do Sapiehów i ten pod względem historycznym na szczególną zasługuje uwagę. Czas, wilgoć, co te rzeczy najbardziéj psuje, naostatek niedbałe aż dotąd ich utrzymanie, wiele z tych ksiąg znacznie uszkodziły.

Rozpocząłem przegląd tych listów od korrespondencyi księdza Józefa hr. Sapiehy biskupa diocaezareńskiego, koadjutora biskupstwa wileńskiego, referendarza w. ks. lit. z lat 1752 i 1753. Listy te w kilku tomach stanowią korrespondencye adresowane do jego

osoby, dwa zaś tomy zawierają wyłącznie metrykę listów przez niego w owej dacie do różnych osób pisanych. Przeglądając te papiery dziwić się potrzeba, jak się w jednej osobie połączyć mogły: najwyższa gorliwość pasterza, ukształcenie na ów wiek wysokie, obywatelstwo prawdziwie nie zrównane, zarząd i administracya dóbr wzorowa, oddanie się interesom familii, która bez niego nic nie działała, ciągłe związki z uczonymi i chcącymi pracować, nakoniec to nie przerwane ogniwo związków z dostojnikami kościoła w dawnej Polsce, działając ciągle na korzyść religii, co wszystko imię tego prałata na ziemi litewskiej znakomitém uczyniło.

Niepodobna, panowie moi, ażebym zdając wam sprawę z téj korrespondencyi, nie starał się bliżej z nią was oznajomić. Załuski referendarz koronny, którego imię jako założyciela biblioteki stało się nieśmiertelném w kraju naszym, w nieprzerwanych z Sapiehą zostawał stosunkach. W licznych podówczas bibliotekach klasztornych ogromnéj dyecezyi wileńskiéj, Załuski za pośrednictwem Sapiehy odszukiwał dawne rękopisma i wydania. Zdaje się, że daleko z większą szło to łatwością, aniżeli jakikolwiek projekt wydania prac pożytecznych i znalezienia na to mecenasa. *Argenida* długo leżała w Wilnie nim wróciła do Warszawy, w tym stanie, w jakim do Litwy przybyła. Argenida, pisze biskup, ponieważ nie mogła w Litwie znaleźć *Poliarcha*, z kondolencyą moją nad jéj niepomyślną awanturą odesłaną będzie. Sapieha nawzajem posyłał do biblioteki narodowej wszystko, cokolwiek z obu drukarni wileńskich wychodziło, a te były: Jezuitów przy Akademii i ks. Franciszkanów.

Ciekawe są bardzo szczegóły, dotyczące pierwszéj wiosny życia księcia Massalskiego, późniejszego biskupa wileńskiego. Połączony związkiem krwi i osobistą z hetmanem Massalskim przyjaźnią, widząc nie pospolite w synu jego zdolności, poświęcając go służbie ołtarza, Sapieha czuwał nad każdym krokiem jego życia. Kiedy młody Massalski wyprawiony był przez ojca do Francyi i do Włoch, Sapieha miał przy nim swojego konfidenta, który go o najdrobniejszych szczegółach uwiadamiał. Zepsuty podówczas Paryż, źle wpłynął na umysł młodzieńca. Z Włoch daleko gorsze o nim dochodziły do Sapiehy wiadomości, mimo to jednak Sapieha zawsze najlepiéj attestował syna przed ojcem jego hetmanem i tylko w listach pisanych do księdza Śliwickiego wizytatora ks. Missyonarzy w Warszawie wspomina, że przy tak dobrém sercu i łagodnym charakterze młodzieńca, odosobnienie jego od świata poprawi

go z małych błędów jego życia, z których tylko zbytnią elegancyą wymienia.

Ksiądz Bohomolec był prawdziwym ulubieńcem Sapiehy. W liście do ks. Załuskiego przeniesienie go z Wilna do Warszawy przypisuje zazdrości starszych, że się takim człowiekiem na wyższym świecie pochwalić mogli. Bohomolec do biblioteki Sapiehy wszystkie swe prace przysyłał, a kiedy i Bohomolca przykre spotkały chwile, Sapieha w liście pisanym do niego, 15 stycznia 1753 z Wilna, tak się wyraża: „Bardzo się cieszę, że W. P. z nauk pojedynek z J. ks. Mignoniuszem obrócił się w traktat pacyfikacyi, i to nie zły koncept Włocha oszukać, i dokazać, że kochał tego, który z niego zażartował; wszystko to jest dowodem, że w naszym choć lodowatym kraju, jednakowo rozumy i dowcipy jeszcze nie pomarzły."

Zajście Sapiehy z Elżbietą z Ogińskich Puzyniną kasztelanową mścisławską, założycielką obserwatoryum astronomicznego w Wilnie, musiało być znaczne, kiedy przeciwna jemu strona utrudzała o to Ojca Św. W liście do ks. Zienkowicza biskupa wileńskiego tak powiada: „inci pani kasztelanowej Mścisław. zwyczajne alti spiritus jeszcze teraz we dwoje urosły, gdy ją papież nazwał *Ducissam*, rozumie, że jest wielką księżną litewską. Radziłem jéj ugodę przez affidowane osoby, odpowiedziała mi z zwykłą polityką, że się może obejść bez mojej medyacyi i absolucyi, chcąc prosto jechać do samego nuncyusza do Saksonii, dla pokazania mu Ojca Ś. breve do siebie pisanego, którego kopią posyłam. Jak widzę ułożyła sobie projekt, nie wiem czy bardzo nabożny, prawować się jak najdłużéj z suffraganem od siebie ufundowanym, z intraty tegoż samego Łuczaju, a onego przymusić, ażeby zdesperowawszy wszystkiego się odrzekł."

„Najbliższym jego konfidentem był ks. kanonik Łopaciński, późniejszy biskup żmudzki i wymiana korrespondencyi między nimi była ciągła; drobiazgi tylko z niéj mogące obchodzić Wilno zacytujemy, tojest, że podówczas w Wilnie było tylko trzech doktorów i jeden felczer do krwi puszczania. Sapieha żądając przysłania z Warszawy nowego felczera do Wilna, pisze, że ten jest stary i ma rękę nie pewną, a zalecając konieczną trzeźwość w nowym kandydacie, o tym jedynaku wileńskim nie daje podchlebnego zdania. W jednym z listów do Łopacińskiego uskarża się na ks. Baudouin, któren mu skwirczy o wypłatę assygnaty na 100 czerw. złotych, wydanéj w zbożu z majątku Bezdzież, składając całą winę na *Ceres Bezdzieską*, która w tym roku nie była nań łaskawą.

Do ważniejszych spraw władzy jego biskupiéj, odnieść potrzeba korrespondencyą z prymasem i pierwszymi dygnitarzami kraju, w celu nie dopuszczenia w Litwie mieszania się władzy świeckiéj do zarządu duchownego, w chwili kiedy już warszawski i pułtuski konsystorz zapozwane były do trybunału. Daleko może ważniejszą dla przyczyn miejscowych była obrona kapituły wileńskiéj przed królem Augustem III z oskarżeń rzuconych na nią przez duchowieństwo wschodniego obrządku, podanych do tronu przez posła ówczesnego rossyjskiego w Warszawie. Władając dobrze językiem francuzkim Sapieha, nie wiem czy bardzo prawdziwie, ale przynajmniéj bardzo zwycięzko interes ten objaśnił. Wybudowanie cerkwi w Zabłudowie, co zdaje się, że główne nieukontentowanie stanowiło, jeżeli z jednéj strony postawiło biskupa na chwilę w fałszywéj pozycyi, że się omylił w obrachowaniu ilości mieszkańców wschodniego wyznania, za to dało mu zręczny powód wytargowania jednego z kościołów ryzkich dla wyznania katolickiego w tém mieście.

Listy jego rekomendacyjne w owéj epoce musiały mieć większe daleko znaczenie. Wśród tych poleca on ks. Pawła Brzostowskiego piętnasto-letniego chłopaka i otrzymuje dlań kanonią wileńską za pośrednictwem księcia kanclerza Czartoryskiego. Wielu nas pamięta i znało jeszcze ks. kanonika Brzostowskiego: było to bez zaprzeczenia ostatnie ogniwo, które nas wiązało z tak oddaloną od nas a dzisiaj wspomnianą epoką.

Najwięcéj jest listów pisanych do ks. Śliwickiego wizytatora Missyonarzy w Warszawie, którego Sapicha był uczniem i do biskupa Hylzena, jednego z najznakomitszych i oświeceńszych podówczas prałatów.

Prywatne jego życie musiało być pełne najwyższéj kapłańskiéj przyzwoitości. Pisząc do synowca swego starosty onikształńskiego, tak się wyraża: „Czynię w. p. posłem pełnomocnym do brata mego, proszę, ażeby na bardzo krótki czas pożyczył mi książkę, którą wziął lat temu kilka u mnie z przyłączonym tu tytułem, także dwie gry *Birebi*, i drugą podobną do niéj; ta jak się zowie zapomniałem, ale widziałem ją tu u księżnéj wojewodziney nowogródzkiéj. Gdybym miał te dwie gry dla modelu szu, mógłbym je tu kazać zrobić, a potém to wszystko odesłać. Potrzebne mi są na następujące długie wieczory, czytać ustawnie i nie wolno i nie można. Karty albo kostki w ręku księdza, mojém zdaniem nie dobrze się wydają."

Polowania równie był nieprzyjacielem, nie wiem tylko dla czego świeckim osobom je odradzał; w liście do brata swego podkanclerzego litewskiego pisanym, donosi: „Mam relacyą, że się w. p. wespół z synowcem wybierasz na polowanie. Zaklinam w. p., ażebyś tego nie uczynił. Z łaski Pana Boga, tchórzem nigdy nie byłem i nie jestem, ale znam jako i świat cały, że to jest niebezpieczne polowanie, i że monarchowie najgłówniejszych w Europie strzelców mając, nieraz byli w niebezpieczeństwie życia; do tego prawdziwie jest to przeciwko wszelkim należytym konsyderacyom tak nie potrzebnie życie azardować: bardzo proszę tego nie czynić. Miałem w tém pisać do j. pani podkanclerzynej, ale będąc sposobnym, spodziewam się, że w. p. w tym liście wyrażonej braterskiej perswazyi usłuchasz."

Słaba, lubo nie do zarzucenia nie mająca jego strona, ograniczała się w tém, że podagrę która go silnie męczyła, *różą* nazywał, i że znieść nie mógł wyrażenia się księżnej Jabłonowskiej starościny czehryńskiej, która obrażona o nieprzyjęcie jéj kandydata w zaloty, w oczy mu powiedziała, żeś biskupie *złotem pisał* etc.

Reszta korrespondencyi archiwum po-Sapieżyńskiego, odkryć może wiele szczegółów interesujących dla dziejów miejscowych Litwy. W tém krótkiém sprawozdaniu starałem się tylko objaśnić listy ks. biskupa diocaezareńskiego, przekonany będąc, że z czasem całe to archiwum przy pomocy dostojnych naszych współczłonków, szczegółowiéj, i dostateczniéj objaśnione, obfite dla historyi wyda plony."

Następnie po przeczytaniu protokółu przeszłego posiedzenia, prezes uwiadamiając Towarzystwo o ukończeniu już druku w Petersburgu przez pana Józefata Ohryzkę Voluminów Legum, wezwał rz. członka p. Malinowskiego, ażeby objaśnił ważność samego dzieła jak niemniéj i nowego jego wydania. P. Malinowski tak przemówił:

„Odpowiadając na zaszczytne wezwanie czcigodnego naszego prezesa, jakiego znaczenia i pożytku jest nowe wydanie zbioru praw Korony polskiéj i Wielkiego Księztwa Litewskiego, znane pod nazwą Volumina Legum, sporządzone staraniem i nakładem p. Józefata Ohryzki, widzę się zmuszonym dla należytego objaśnienia tego przedmiotu sięgnąć pamięcią ubiegłéj przeszłości.

Pisane prawodawstwo polskie nie sięga za początek XIVgo wieku, bo lubo znajdują się przywileje z wieku XI, a w nierównie większéj liczbie z XIIgo, i w nich odwoływanie się do prawa polskiego, pierwsze atoli istotnie prawodawcze usiłowania należą do wieku Władysława Łokietka, jak to z równą przenikli-

wością, jak nauką i pracą za dni naszych najświetniéj przez Antoniego Zygmunta Helcla dowiedzioném zostało. Syn Łokietka Kazimierz Wielki, w połowie niemal XIV wieku, wydał tak zwany Statut Wiślicki, który z najwyższą wdzięcznością naród przyjął, za dowód zaś ogromnej potrzeby tego prawnego doręcznika niech i to służy, że gdy obyczajem wieku rzeczone prawo pisane było po łacinie, wnet Mazowsze dla własnego użytku postarało się o przekład jego na język polski a Ruś Czerwona na miejscowe narzecze rusińskie.

Druku jeszcze nie było; w licznych pargaminowych i papierowych kodeksach rozbiegło się to prawo po kraju i wnet najdobroczynniejsze skutki rozlewać poczęło.

Ze śmiercią Kazimierza Wielkiego, rodzina królewska Piastów wygasła.

Naród, rozrządzając koroną, wezwał na tron dom Andegaweński w osobie Ludwika króla węgierskiego, i odtąd zbiór Wiślicki zawierający tylko prawa cywilne i kryminalne, a w części kanoniczne, pomnożony został prawem politycznem narodu, obejmującém stosunki władzy najwyższéj z poddanymi. Gdy Ludwik węgierski potomka płci męzkiéj nie miał, koronę jednak polską jednéj z dwóch córek zapewnić pragnął, zwoływał więc częste zjazdy wysokich dostojników polskich do Koszyc i tam w ponawianych umowach coraz nowe ustępstwa czynił, byleby Polacy jednę z córek jego Maryą lub Jadwigę na tron wzięli.

W ostatnich dwudziestu latach, Opatrzność kierująca ludzkością do wielkich światodziejowych celów, postanowiła trzy wielkie plemiona: polskie, litewskie i ruskie, zlać w jednę cywilizacyjną całość dla wielkiego chrześciańskiego zadania, położenia granic zalewającej północ Europy muzułmańskiéj dziczy i dla uczynienia uczestnikami zachodniéj wiary i oświaty, pasujących się z barbarzyństwem, plemion.

Połączenie Korony z Litwą wprowadziło nowy żywioł do prawodawstwa polskiego, a mianowicie żywioł międzynarodowego prawa. Odtąd do Statutu Wiślickiego, do którego wpisane już zostały umowy między Koroną a poddanymi, weszły dyplomata połączenia między Litwą a Polską. Wnet atoli po zespoleniu sił Polski, Litwy i Rusi, Władysław Jagiełło i Jadwiga postanowili powetować wiekowe krzywdy zadane obydwom krajom przez niewdzięczny i wiarołomny niemiecki zakon krzyżaków; umowy więc z wielkimi mistrzami znowu pomnożyły zbiór praw krajowych: bo według przemagających wyobrażeń polskich nie tylko same stosunki mię-

dzy obywatelami jednéj ziemi, choć różnych częstokroć stanów, ale i dowody posiadania całości krajów koronnych, ale i sąsiedzkie umowy całość granic zabezpieczające, poczytywano za własność ogólną, której każdy strzedz i bronić był powinien. Pod panowaniem syna Jagiełły, Kazimierza, rozwinęły się i dojrzały prawa ludowe.

Zjazdy obywatelskie coraz liczniejsze i częstsze dały początek późniejszym sejmom, w których przedstawicielstwo narodowe doścignęło swego ostatniego kresu, na nieszczęście w jednym tylko stanie, co wyrodziło najzgubniejsze w przyszłości klęski. Za Kazimierza Jagiellończyka, Prusy dobrowolnie poddały się koronie polskiéj; zapewnione im miejscowe prawa i stosowna do ich potrzeb polityczna działalność pomnożyła zbiór praw polskich nowym żywiołem, który już odtąd na drodze stale obranéj rozwijać się miał przez trzy stany rzeczypospolitéj: króla, senat i izbę poselską.

Pod koniec panowania Kazimierza Jagiellończyka, piérwszy zbiór praw polskich wydrukowany został za granicą, ale mniéj starannie; nie znalazł powodzenia w narodzie: nie uważano go za obowiązujący, wkrótce więc ta księga znikła z obiegu, tak dalece, że dziś stanowi niesłychany bibliograficzny zabytek.

Dopiéro od kanclerza Jana Łaskiego pod panowaniem Aleksandra Jagiellończyka poczyna się porządne wydawnictwo praw polskich. Statut jego wydany w Krakowie 1506 roku, przyjęty był za obowiązujący.

We dwadzieścia sześć lat późniéj, Zygmunt I rozkazał wielkim ówczesnym prawnikom Mikołajowi Taszyckiemu, Bernardowi Maciejowskiemu, Jerzemu Myszkowskiemu, Benedyktowi Izbińskiemu, Wojciechowi Polickiemu i Mikołajowi Kaczanowskiemu, ułożyć systematyczny zbiór prawa już i zapadłemi za jego panowania uchwałami zwiększony.

Dla przyczyn, w które byłoby zbytecznem tu wchodzić, piękna ta myśl nie przyszła do skutku.

Również jak praca Jakóba Przyłuskiego w 1553 roku wydana, nie stała się obowiązującą. Jednak statut Przyłuskiego, jako dzieło podręczne przyczyniło się wielce do upowszechnienia znajomości prawa.

Wnet Jan Herburt, późniéj kasztelan sanocki, wydał w roku 1557, tak zwany statut i z rozkazu Zygmunta Augusta, sam go w r. 1570 na język polski wytłumaczył, co tak się narodowi podobało, że praca Herburta aż do wydania zupełnego zbioru praw, powagi sądowéj nabrała i powszechnie posługiwano się nim w praktyce.

Słusznie Herburtowi ta sława należy, że przez tłumaczenie swoje, znajomość praw w narodzie upowszechnił.

Już od czasów Zygmunta I zaczęto prawa na pojedyńczych sejmach uchwalone wydawać, a nawet po raz pierwszy wyszedł zbiór konstytucyi od roku 1550 do 1578, ponawiany w 1581. Idąc w ślady Przyłuskiego, wydał Sarnicki w 1594 ogólny zbiór praw koronnych po polsku, lecz mniéj trafny układ nie dozwolił mu upowszechnić się w narodzie.

Jan Januszowski wydał podobnież w r. 1600, statuta, prawa i konstytucye koronne w języku polskim i łacińskim, którego układ tak się podobał, że odtąd praca Herburta poszła w zapomnienie i już Januszowski po sądach zapanował.

Mimo atoli tak liczne usiłowania prywatnych, coraz mocniéj dawała się czuć potrzeba ogólnego zbioru praw koronnych. Józef Załuski biskup kijowski, wezwał Stanisława Konarskiego, aby się tą pracą zajął.

Wielki ten mąż, którego życie było nieprzerwaném pasmem wielkich dla kraju usług, wnet przystąpił do wydania w sześciu Volumenach rzeczonego zbioru i w 1732 r., wydał tom I cały łaciński, obejmujący okres dwóch wieków, to jest prawa od roku 1347 do 1547. Tom II wyszedł w r. 1733 i zawiera konstytucye od 1550 do 1609 już wszystkie w języku polskim. Tom III wyszedł w r. 1735, zawiera konstytucye od 1611 do 1640.

Tom IV od 1641 do 1668, wyszedł w r. 1737.

Tom V, konstytucye, od 1669 do 1697, wydany w r. 1738.

Tom VI obejmuje konstytucye od roku 1697 do 1736, drukowany w r. 1739.

Na tym szóstym tomie zatrzymała się praca wydawnictwa Konarskiego, która lat 7 trwała. Następne dwa tomy siódmy i ósmy, wydrukowane zostały w r. 1782 już za staraniem zgromadzenia ks. Pijarów, pod kierunkiem ks. Teodora Wagi, bo Konarski piękny i cnotliwy swój żywot już był zakończył.

Przez 127 lat od ukazania się pierwszego tomu wydania Konarskiego, a przez 77 od wydrukowania już po jego zgonie ostatniego, ten zbiór praw był jedyném wydaniem zbioru obowiązującego wszystkie kraje dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj.

Po upadku Polski, tylko w krajach, które przeszły pod panowanie rossyjskie, moc jego prawodawcza ocalała w guberniach: wołyńskiéj, podolskiéj i kijowskiéj, pomocnicza zaś w Litwie i na Białéj Rusi.

Egzemplarze, chociaż w ogromnéj liczbie wybite w drukarni pijarskiéj, wyczerpały się przez tak długi przeciąg czasu i cały zbiór ośmiu tomów dochodził do ceny kilkudziesięciu czerw. złotych.

Jeszcze lat niewiele a stałby się prawdziwą bibliograficzną rzadkością.

Lecz zapytanie dostojnego naszego prezesa zmierza głównie do tego, o ile ponowienie edycyi tego zbioru, który przestał już być obowiązującym, jest ważném pod względem nauki i moralnego wpływu.

Zgóry śmiało powiedzieć można, że w tych ostatnich czasach, w których przedruki ważnych naukowych prac przeszłości stały się tak częstemi, w których Biblioteka Polska Turowskiego i powtórne wydanie Słownika Lindego tak znakomite trzymają miejsce, mimo całą doniosłość zasługi wydawców, dorównać one nie zdołają ogromnéj zasłudze p. Józefata Ohryzki.

W całém piśmiennictwie polskiém nie ma dzieła, któreby w tak wysokim stopniu jednoczyło podwójną wartość wiedzy i ducha. Pod względem nauki, Volumina Legum obejmują wspaniały obraz dziejów ojczystych więcéj niż pół tysiąca lat obejmujący, zapewne nie w powieści zdarzeń, ale w najwybitniejszych chwilach narodowego życia, w jego prawach, ustanowieniach kościelnych, sądowych, tyczących się oświecenia, handlu, przemysłu, wojskowości, stosunków międzynarodowych, słowem całego zewnętrznego i wewnętrznego bytu narodu.

Każdy, ktokolwiek nie tylko pracuje nad poznaniem dziejów ojczystych ale i w celu rozszerzenia obrębu ich znajomości, nie potrafi obejść się bez podręcznego radzenia się Volumina Legum, bo w nich oprócz praw cywilnych i kryminalnych, znajdzie cały przewód już od śmierci Zygmunta Augusta elekcyi królewskich, spisywanych z powoływanemi na tron królami *paktów konwentów*, akta konfederacyi, processa polityczne, nagrody wielkim mężom kraju: słowem znajdzie opisane wszystkie najważniejsze chwile narodowego życia.

Powaga zaś świadectw w Voluminach Legum zawartych jest tak stanowcza, że jéj żadna inna dorównać nie zdoła. Pod względem utrzymania podań rodzinnych, nie znam dzieła, któregoby czytanie równie stanowczy wpływ wywrzeć mogło. Nie ma w kraju ani jednego zasłużeńszego nazwiska, któreby gdziekolwiek na kartach tego zbioru nie zabłysło pięknem światłem obowiązku lub zasługi. Nie już nie mówiąc o tych ojcach narodu, których stany sejmujące uwielbieniu potomności przekazały, nie nie mówiąc o poważném

gronie biskupów, senatorów, posłów ziemskich, któż z żywszém biciem serca nie odczyta imienia swego przodka lub nawet imiennika w liczbie wyborców królów.

Odczytując uchwały sejmowe, prócz rzadkich zdarzeń, gdy zabobon ćmił jasny rozum sejmujących stanów, któż z rozrzewnieniem i wdzięcznością Bogu nie podziękuje za to, że mu tak poważnych, cnotliwych przodków zdarzył.

Prawa polskie tchną uczuciem pobożności i miłości chrześciańskiéj a przemawiają językiem tak pięknym, tak szczeropolskim, że w nich wzorów prawdziwéj narodowéj mowy szukaćby należało. Sprawiedliwie więc autor Pamiątek starego szlachcica powiedział, że czytając konstytucye, zdaje się jakbyś najpiękniejszą modlitwę czytał. Upowszechnienie więc takiego dzieła w narodzie jest nieopisaną zasługą, odczytywanie jego wraża młodzieży cześć i uszanowanie dla przodków. Rozpamiętywając dzieła czynności przodków, pozbywamy się zarozumiałości, że obowiązki obywatelstwa lepiéj od nich pojmujemy. Zgłębiając duch praw przez nich uchwalonych, pierś wzdyma się godziwą dumą, że posiadamy tak drogi klejnot, tak nieoceniony zbiór narodowych podań narodowéj mądrości.

Dzięki więc zacnemu Józefatowi Ohryzce, za przedsięwzięcie i dokonanie tego pięknego wydawnictwa i to w ciągu dwóch niespełna lat, wówczas kiedy wsławiony poprzednik jego w tymże samym zawodzie Stanisław Konorski, 7 lat potrzebował na wydrukowanie o 4tą część mniéj obszernego dzieła.

Towarzystwo nasze, podzielając zapewne ten pogląd na zasługę p. Ohryzki, może znajdzie właściwém wezwać go do grona współpracowników swoich. Tak chlubny początek, zapowiada najpiękniejsze w przyszłości plony."

Na ten wniosek rzeczyw. członka p. Mikołaja Malinowskiego, który został poparty przez samego prezesa i innych obecnych członków, p. *Józefat Ohryzko* został jednomyślnie obrany członkiem rzeczywistym Kommissyi archeologicznéj i połączonego z nią muzeum.

Nakoniec odczytany został spis ofiar, które w ubiegłym miesiącu wzbogaciły bibliotekę i zbiory muzeum.

— Władysław Syrokomla, którego liczne prace czytamy w Kuryerze Wileńskim, jako współpracownika tego pełnego treści i doborowych artykułów pisma, umieścił w kilku numerach Kuryera obszerny życiorys Ignacego Chodźki, autora cudnych obrazów litewskich. Po zakończeniu dołączył jeszcze dodatek o ostatnich chwilach zmarłego pisarza, z którego podajemy ustęp:

„Czcigodna małżonka Chodźki, pani Ludwika z Mackiewiczów, w liście swoim do mnie z d. 7 października b. r. skreśliła ostatnie chwile swojego nieodżałowanéj pamięci męża. Nie wahamy się ich powtórzyć, bo własne pełne uczucia i niewyszukane słowo bolejącéj żony, większe na czytelniku uczynią wrażenie, niż opowiadanie obcego pióra.

„W dniu ostatnich już swych imienin, pisze pani Chodźkowa, dnia 31 lipca, błogosławiąc wnuków, zapłakał, bo wnuczka Marynia, która bierze w domu wychowanie, z własnéj już myśli napisała mu życzenia i wdzięczność za jego opiekę. Jakże on pocieszył się tém, jakże to jego rozrzewniło. Na drugi dzień, 1 sierpnia, ach! któż przewidział, był to ostatni dzień jego życia! Od kilku dni nie wiele uskarżał się na ból w piersiach. Przejechał się ze mną o wiorst kilka w sąsiedztwo i wracając (była to trzecia godzina po południu), siedząc w pojeździe, rozmawiał ze mną najlepiéj i nucił ulubioną swoją piosnkę. Wraz po powrocie było dla dziatek przyjęcie w ich pokoju, bo to były imieniny starszego wnuka. Oni go ugaszczali; kilka osób było familijnych i ja razem. Spojrzał na około i wyrzekł: „o jak miło być w rodzinném kółku"! i zapłakał. Mój Boże! już zbliżała się okrutna chwila! czasem na sofie kładł się, znowu wstawał, przywoływał mnie, ucałował i mówił; „biedna ty moja Ludwiko"!, bo on znał, co będzie ze mną nieszczęśliwą, gdy już pozostanę sama na tym świecie.

„O siódméj godzinie położył się we własnym pokoju na łóżku, w pół godziny było mu słabo i coraz więcéj to się powtarzało. Ach! o saméj ósméj godzinie otoczony był przez domowych: życie drogie już ustało. Sądziłam, że jest osłabiony; przypadłam, nogi ucałowałam. Porwano mnie, odprowadzono i już go więcéj nie widziałam. Byłam na drugim grobie w Wojstomiu obok córki w katakumbie; oblewam te święte miejsca łzami, umieram tam z głębokiego żalu, a umrzeć nie mogę"!

Jeżeli cokolwiek zdoła cię, zacna wdowo pocieszyć w boleści, to niech pocieszy myśl, że rodziną opłakującą Chodźkę, jest całego kraju czytający ogół, że strata twoja jest naszą wspólną, dotkliwą stratą.

Nasze uczczenie ukochanego rodzinnego pisarza, który *służbę poczciwéj sławie* wypisywał, jako godło na każdém swém dziele, kończymy słowami Kochanowskiego:

„Cnocie niebo zapłata i wieczne wesele,
W rozkoszach tego świata źle pokładać wiele;
Wszystko to jako trawa czasu swego miniet
Ale sława poczciwa i po śmierci słynie",

Lwów. Niedawno Szlązk, w którym szeroko rozgoszczony żywioł germański rozszerza się coraz bardziéj, wypiérając żywioł słowiański, zażądał od Galicyi pomocy w sprawie obchodzącéj ogół. Redaktor Gwiazdki Cieszyńskiéj, pojmując obowiązek innego stanowiska, zamierzył rozszerzyć ramy swego dziennika i w tym celu odezwał się do Galicyi o pożyczkę 2,500 zł. reń. potrzebnych na kaucyą. Wschodnia Galicya pojmując ważność téj sprawy złożyła pozypadającą na nią część. Ale co jest dziwniejszém i czego nawet zrozumieć trudno, w Zachodniéj Galicyi wszelkie w téj mierze przczynione kroki okazały się bezskutecznemi. Znaleźli się wprawdzie i chętni, ale znaleźli się i tacy, którzy dla niewiadomych i niepojętych przyczyn, nietylko że w niczém do składki się nie przyczynili, ale nawet odmówili chętnych.

A jednak redaktor Gwiazdki Cieszyńskiéj miał pewne prawo odezwać się do Galicyi; przed kilką bowiem laty, kiedy poczciwi chłopi szlązcy dowiedzieli się, iż na wybudowanie domu dla Towarzystwa naukowego krakowskiego potrzeba znacznych funduszów, sami ofiarowali składkę. Ubożuchna to była składka, bo i mieszkańcy byli ubodzy, ale wskazuje ona ich uczciwość i pojęcie potrzeby ogółu. Sprawa domu dla Towarzystwa bowiem nie była li tylko sprawą miejscową. Redaktor Gwiazdki Cieszyńskiéj nie żałował trudów, pośredniczące pomiędzy Szlązakami a Towarzystwem krakowskiém, które przez wymowne usta czcigodnego swego prezesa, kasztelana Wężyka, oceniając znaczenie ofiary Szlązaków, wyraziło im serdeczną podziękę. Galicya zatém zaciągnęła dług wdzięczności względem Szlązka: ale niestety! kiedy przyszło się z niego uiścić, okazała smutne bankructwo moralne.

—We Lwowie mają wkrótce powstać nowe dzienniki: oprócz „Pracy" wydawanéj przez p. Twardowskiego, pisma zeszytowego poświęconego głównie sprawom urzędników prywatnych, przemienić się ma Dziennik literacki, skoro nowe prawo prasowe wejdzie w życie, w pismo polityczno-literackie i rozszerzy swój zakres. Oprócz tego ma wychodzić nowy dziennik polityczny pod tytułem: „Duch Czasu". Korrespondent lwowski do „Neueste Nachrichten" upewnia, że redakcya tego dziennika zapewniła sobie współudział wielu znakomitych publicystów i literatów.

—Życie i nauki Jezusa Chrystusa są chrześciaństwa skarbem, jakiego nie miał i nie ma żaden naród innéj wiary. Z tego źródła

wypłynęła pociecha w przygodach znikomego życia naszego, jakiéj nie dała żadna nauka świata: mądrość, jakiéj nie doszło najgłębsze filozofów myślenie; ofiara, jakiéj przykładu nie wystawił żaden najwznioślejszy heroizm.

Nic ma też nic szacowniejszego nad księgi ewangelistów, które w staropolskim przekładzie Wujka mają ten niewypowiedziany urok dla nas, że nigdy nie przestanie być miło czytać je i rozpamiętywać.

Światła szanowna dama polska, wychowana w domu pobożności i wysokiéj czci dla duchowego udoskonalenia człowieka, umyśliła życie i nauki Jezusa Chrystusa wystawić w obrazkach wykonanych sztuką godną szczytności przedmiotu i objaśnionych każdy odpowiednim wyciągiem z Nowego Testamentu, dosłownie z przekładu ks. Wujka wyczerpniętym.

Każdy z mających rozleglejsze wyobrażenie o stanie sztuk pięknych a w szczególności o rytownictwie i malarstwie, utyskiwał, że tak rzekę, nad tém zagęszczoném u nas pokrzywdzaniem sztuki, ilekroć mu przedstawiły się przed oczy tak nazwane obrazki, tojest rycinki wyobrażające przedmioty pobożne. Wreszcy saméj zastanowiwszy się nad niezmierną ich liczbą, krążącą w ręku różnych klass pobożnego ludu, nieraz mimowolnie się pomyśliło: iłużby te dzieła sztuki świetnych zwolenników jéj nie przyczyniły, gdyby nosiły piętno wykonania, zdolnego miłością jéj natchnąć.

Pomyślenia takiego nie uniknęła i przedsiębierczyni dzieła, o którém powiedzieć tu chcemy. Wielbicielka malarstwa, sama nawet biegle władająca pędzlem, odwiedzająca wszystkie znakomite galerye europejskie, do każdéj sceny z życia Chrystusowego, wystawiający ją słynny obraz wybierała i według téj zasady całość zebrawszy, powierzyła przeniesienie jéj na obrazki zawołanemu drobnych rycin mistrzowi, panu Berlin, wsławionemu swą sztuką w Paryżu.

Tym sposobem utworzyło się dzieło z 66 pięknych i doskonałych rycinek złożone, z których każda przedstawia wykonane na mały rozmiar arcydzieło sztuki malarskiéj, a na odwrotnéj stronie ma wydrukowany, w polskim języku i poprawnie, objaśniający wyciąg z Biblii ks. Wujka.

A ponieważ w głównem wydawczyni życzeniu, mieściło się jak tylko można najrozleglejsze upowszechnienie tak doskonałych obrazków polskich pomiędzy ludem naszym, dozwoliła więc ona sprzedawać je równie pojedynczo, jak i całemi zbiorami, naznaczając w obudwu razach cenę niezmiernie odległą od téj, jakaby mo-

gła pokryć koszta wydania. Życzący nabyć odrazu zbiór zupełny, otrzymują go z ryciną naczelną i w okładce, za cenę w której oznaczeniu przodkowała myśl, że wydanie jest tylko ofiarą złożoną na ołtarzu chwały niebieskiéj i narodowéj zasługi.

Ta już jedna pobudka przywiązuje nas do dzieła nowego pomysłu. Cóż dopiero, gdy rozważymy, że to jest historya czynów Zbawiciela, od narodzenia Jego aż do zmartwychwstania, któréj każdy rozdział, w niejednéj chwili życia, tak słodko jest przeczytać; że ta historya opowiedziana jest świętemi wyrazami Ewangielii w szacowanym przez nas przekładzie, a przedstawiona pędzlami sławnych szkół malarstwa, przeniesionemi na rylec paryzkiego artysty; że to jest nakoniec ofiara światłéj, bogobojnéj, zacnéj i bezinteresownéj damy narodu naszego, dana przez nią temu narodowi: ani wątpić można, że dzieło, o którém mówimy, u każdego prawego Polaka wysoką wziętość pozyska.

Pod ogólnym więc tytułem: *Nowy Testament. Żywot Jezusa Chrystusa według Ewangielistów, w stalorytach zdjętych z obrazów wielkich mistrzów,* dzieło to złożone jest w egzemplarzach dotąd z Paryża przybyłych, w księgarni G. Gebethnera i R. Wolffa Nr. 17, na Krakowskiém Przedmieściu, a można go dostać i we wszystkich innych księgarniach warszawskich i na prowincyi po cenie złp. 13 gr. 10 za zbiór zupełny, a po gr. 6 za obrazek oddzielnie.

— Nakładem księgarni polskiéj A. Dzwonkowskiego, wyszedł kalendarz (noworocznik) illustrowany dla Polek na r. 1862. Rok 2gi. Na czele mieści popiersie Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj (z życiorysem). Z Polek piszących mamy tu prace Eleonory Ziemięckiéj, Deotymy, Maryi Ilnickiéj, Bielejowskiéj, Pruszakowéj, J. Janiszewskiéj; z pisarzy znanych J. I. Kraszewskiego, K. Wł. Wójcickiego, T. Lenartowicza, J. K. Gregorowicza, J. Łepkowskiego, J. Mączyńskiego, Syrokomli, A. Grozy, Władysława Anczyca i w. i. Wydanie ozdobne i staranne.

— W zakładzie geograficznym Perthes'a wyszła „Karta geognostyczna Karpat północnych na Szlązku, oraz pogranicznych części tych gór w Morawie i Galicyi". *(Geognostische Karte der Nord-Karpathen in Schlesien mit dem angrenzenden Theile von Mähren und Galizien).* Jestto praca p. L. Hohenegger, dyrektora zakładów górniczych arcyksięcia Alberta austryackiego. Do karty wyobrażonéj na arkuszu podłużnym dodane zostały tekst objaśniający i tablica profilów kopalnianych. Przestrzeń wyobrażona na karcie

ciągnie się z północy na południe od granicy pruskiéj do granicy węgierskiéj, a ze wschodu na zachód od Andrychowa po za Odrę.

— Dnia 11 grudnia rozpoczął publiczne prelekcye na cele dobroczynne ks. Jan Koźmian, który ma zamiar w 12 odczytach skreślić stan Polski pod panowaniem Jagiellonów. W wstępnéj prelekcyi (która trwała $2^1/_2$ godzin) ks. Koźmian dał treściwy pogląd na poprzednie dzieje Polski i na ducha, jaki się w nich od zawiązku chrześciaństwa rozwijał i wzmagał. Był to treściwy a jasny i naturalny wykład pierwiastków tak materyalnych jak i moralnych, które na podstawie chrześciaństwa i Słowiańszczyzny składały się przez wieki na tę wspaniałą budowę, jaką nam w dziejach Polski przedstawiają czasy Jagiellońskie. Trzeba dodać, że ks. Koźmian mówi z pamięci bez żadnéj notatki, czego jednak słuchacze wcale nie czują.

— W bibliotece dawnéj arcybiskupów gnieźnieńskich w Łowiczu, zachowało się kilka ważnych pomników przeszłości; pomiędzy temi własnoręczne rękopisma Ignacego Krasickiego niektórych prac. Znalazł się także odpis dziejów Długosza, nieznany jeszcze naszemu badaczowi Aleksandrowi Przezdzieckiemu, co przygotowywa wydanie dzieł tego historyka, które do pomnikowych publikacyj naszych czasów należeć będzie.

— P. Adolf Chmieliński wydał z rękopismu broszurę p. n.: „*Stanowisko historyi polskiéj przez Dominika Szulca*", które zmarły badacz napisał dla panny Anieli Michałowskiéj, jako podstawę w jéj kształceniu się historycznem. Wydawca zapowiada, że wkrótce ogłosi drukiem *Estetykę* i *Logikę*, pierwszą z notat ś. p. Dominika Szulca, drugą podług jego planu i myśli rozwijanych w wykładach publicznych i prywatnych. Fundusz, jaki się ztąd da zebrać, w części obróconym będzie na pomnik i wydanie dzieł ś. p. Dominika Szulca.

— Wkrótce ma wychodzić w Warszawie Tygodnik literacko-naukowy w języku hebrajskim pod nazwą *Hacfiro*, tojest: „Zorza", pod redakcyą znanego z licznych prac naukowych, oraz tłumacza na język hebrajski dzieł Humboldta p. Zeliga Słonimskiego. Tygodnik ten na wzór podobnych wychodzących w Wilnie p. t. *Hakarmel* i w Odessie p. t. *Hamelic*, obejmować ma oprócz wiadomości tyczących się Izraelitów i o literaturze hebrajskiéj, także wykłady popularne z nauk przyrodzonych i politechnicznych z odpowiedniemi drzeworytami.

— Redakcya *Kurjera Wileńskiego*, ogłosiła prospekt na dalsze wydawnictwo swego pisma na rok 1862. Zakończa takowy temi słowy: „Skład redakcyi pozostaje ten sam co i w roku bieżącym: Mikołaj Malinowski. Władysław Syrokomla, Maurycy Krupowicz, Wincenty Korotyński, Kazimierz Paszkowski, Tomasz Snarski, Władysław Kulikowski.

„Nadto redakcya Kurjera ma zapewnionych stałych korrespondentów w głównych stolicach Europy i Ameryki, oraz prawie we wszystkich ważniejszych punktach kraju. Zasłużeni i znakomici nasi pisarze i literaci, jak dotąd tak i nadal, nie odmawiają nam swojego współczucia i pomocy.

„Wymieniamy tu imiona tych, na których współpracownictwo w roku następnym szczególnie liczymy: Adamowicz A. F., Akielewicz M., Baliński Michał, Bochwic L., Brzezina Marya, Chodźko Dominik, Deotyma, Gieranoński O., Groza Aleks., Galwia, Gliński A., Gozdawa Józef, Jastrzębski Jan, Jastrzembski Andrzéj, Jelski, Koronowicz Wal., Kolankowski A., Maciejewski Karol, Muchliński Antoni, Mikulski Jan, Narbutt Teodor, Nowakowski Fer., Nowosielski Antoni, Odyniec A. E., Oskierko A., Padalica Tadeusz, Pawłowicz Ed., Pepi X, hr. L. Potocki, Prusinowski Jan, Pług Adam, Reykowski Donat Dr., Rożniatowski, Renier Anicety, Sowiński Leonard, Swida Sydalia, Szyszko Józef, Tamulewicz Kajetan, Towieński L. Dr., Tyszkiewicz Eustachy hrabia, Tyszkiewicz Konstanty hrabia, Tyszyński Alex., Weryha Art., Włodkowski Wit. ks., Zenowicz Ignacy, i w i.

„Redakcya z pewną dumą wyznać może, że otwierając gościnnie kolumny swojego dziennika młodym pracownikom, nie jednego wprowadziła już w szranki piśmiennicze. I dziś odzywamy się do nich, śmiało i ufnie niech składają w nasze ręce owoce swéj pracy. Każdy objaw talentu, powitamy radośnie, każdym dobrym nabytkiem podzielimy się z publicznością, poszanujemy zwykłą a chwalebną skromność autorów, nie zrazimy lekceważeniem lub szyderstwem niczyich dobrych chęci, a wprowadzenie w publiczne szranki każdego młodego zapaśnika, poczytamy dla siebie za prawdziwą zasługę i nagrodę usiłowań naszych.

„Kończymy szczerém podaniem bratniéj dłoni tym wszystkim, którzy prace i usiłowania nasze ocenić potrafili, jak również i tym, którzy w sądach swoich o piśmie naszém niezawsze dali dowód dojrzałéj bezstronności; jednym i drugim służyć będziemy miłością i prawdą. Oby ta miłość i prawda znalazła współczucie w sercach

tych szczególnie, którzy *nie czytając Kurjera* naszego opatrznie tłumaczą usiłowania nasze!

— Z Poznania otrzymujemy wiadomość o przygotowaniach do wspaniałego wydania wszystkich drukowanych i w rękopismach będących dzieł Piotra Skargi. Publikacya ta będzie owocem zbiorowej pracy i zachodów grosza kapłanów polskich w Wielkiém Księztwie Poznańskiem."

— Dnia 16 grudnia r. b. w stolicy tegoż Księztwa, w pałacu Działyńskich, odbyło się zebranie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, pod przewodnictwem prezesa Augusta Cieszkowskiego. Ten zagaił posiedzenie mową poświęconą głównie pamięci zmarłego poprzednika swego Tytusa Działyńskiego i innych zgasłych członków i pracowników Towarzystwa. Po odczytaniu pięciu zadań konkursowych, wyznaczonych przez Towarzystwo, których termin upływa z piérwszym stycznia 1863 r., prezes czytał rozprawę treści filozoficznéj: *O drogach ducha*, pełną wzniosłych myśli i wybornym napisaną językiem. Rozprawa ta mieścić się będzie w drugim tomie Roczników Towarzystwa.

— Pismo Zbiorowe Wileńskie na r. 1862 zawiera: 1) Artysta Literat, K. Wł. Wójcickiego. Życiorys i treść pism humorystycznych Aloizego Żółkowskiego redaktora Momusa. 2) Pamiętnik Józefa Rudnickiego od roku 1806 do 1815. 3) Hellada p. L. Sowińskiego. 4) Cmentarz, W. Syrokomli. 5) Piekła część trzecia Dantego, przekład A. Stanisławskiego. 6) Rzecz o litewskich słownikach i ogólny pogląd na kraje litewskie, p. K. A. K. 7) Zbiór niektórych wspomnień mogących posłużyć do dziejów b. uniwersytetu w Wilnie, D. C. Chodźki. 8) Wiadomości z życia professorów wydziału lekarskiego, zaczerpnięte z archiwum i rękopismów biblioteki tegoż uniwersytetu, p. Dra J. Majera. 9) Notaty z podróży Kon. hr. Tyszkiewicza. 10) Sprawa Karwickiego, J. Bartoszewicza. 11) Księga protokółów Franciszkańskich prowincyi ruskiéj od roku 1625—1650, J. Bartoszewicza.

— W piérwszéj połowie grudnia rozpoczął współpracownik, pisma naszego i członek wydziału literackiego, Kazimierz Kaszewski w szkole przygotowawczéj prelekcye filozofii. O piérwszéj, tak pisze Gazeta Warszawska w Nr. 295. „Professor, ze zwykłą prawdziwemu talentowi skromnością, nie wyczerpując uwagi młodych słuchaczy, ani też swego ducha na przemowę, do jakowéj miałby zu-

pełne prawo, ze względu na samo nazwisko i wzniosłość przedmiotu, odrazu wstąpił w dziedzinę nauki nauk, określiwszy słowem przystępném, powolném i dokładném, co to jest filozofia? jaki jéj cel? jaką ona ma i mieć powinna znaczenie dla ludzkości?

Wedle warunków tego świata, umiejętność filozofii poczynać się musi od poznania człowieka, a zatém od poznania, od świadomości, od umienia samego siebie.

Ze starożytnych myślicieli, Sokrates streścił ją w znanéj formule »Nosce te ipsum» (poznaj siebie samego), z nowszych Dekart w aksiomacie »Cogito, ergo sum» (myślę, więc jestem) ją wypowiedział.

Następnie p. Kaszewski, przeszedłszy pobieżnie jakie to imiona przyłożyły się do ustalenia pojęć o filozofii, sprawiedliwie przytoczył, że z Polaków Kopernik i Jędrzéj Śniadecki jedynie w drodze wytrwałego rozważania (indukcyi), doszli do ważnych i na całą ludzkość pożytecznych odkryć prawd i wywodów. Ażalisz ci myśliciele mieliby u nas pozostać bez następców?

Ale sama dwoistość natury człowieka (przez którą wedle naszéj polskości on jest *czołem wieku*), rozkłada filozofią na dwie główne części, to jest: na *Psychologią*, traktującą o duszy i jéj własnościach i na *Fizyologią* mającą za przedmiot równosilny jéj pierwiastek: to jest materyą, ciało, zmysły, ustrój, jakkolwiek ta ostatnia w ścisłém znaczeniu nie wchodzi w obręb filozofii. Ztąd potrzeba poznania człowieka przez nie.

Daléj professor napomknąwszy, że oba te działy nauki, mające na celu człowieka, w ostatnich dopiéro czasach zyskały sobie prawo na systemat, rzędem trafnych wywodów, przychodzi do uznania, że niedostateczność, niedokładność zmysłów, że samo to nawet, iż bez widocznéj posługi tychże, dusza, myślenie odbywa swoję czynność, daje pierwszeństwo wykładowi psychologii, od któréj też następną prelekcyę rozpocznie.

Korząc się wraz z p. Kaszewskim przed tajemnicą stworzenia, a zatém przyznając nieudolność ludzkiéj wiedzy i dokładnego wyświetlenia, w jaki sposób na siebie działają owe dwie strony człowieka, opuściliśmy audytoryum nie bez głębokiego wzruszenia, na widok kilkuset młodzieży naszéj, słuchającéj wykładu z takiém oddaniem się jak jeden, wreszcie nie bez wdzięczności za pełen prostoty, jasności i godności wykład, dążący do obudzenia w nas potrzeby wniknięcia w siebie samych.

— Tłumaczenie Kroniki Helmolda przez J. Papłońskiego, już się zaczęło drukować w zakładzie typograficznym Kowalewskiego;

przekład ten, przez uczonego badacza Słowiańszczyzny opracowany, będzie drogocennym darem dla literatury historycznéj naszéj. Do tłumaczenia dołączoną zostanie mappa sam tekst objaśniająca.

— Znany badacz ojczystego języka Adolf Kudasiewicz, wydał owoc długiéj pracy: „Kurs początkowy nauki języka polskiego".

— Redakcya *Roczników gospodarstwa krajowego*, ogłosiła prospekt na dalsze wydawnictwo, który w całości podajemy: „Roczniki gospodarstwa krajowego, liczące 20ty rok swego istnienia, w roku przyszłym 1862 wychodzić będą stale, jak dotąd w poszytach miesięcznych od 8 do 10 arkuszy.

Roczniki ogarniając treścią swoją wszystko, cokolwiek się tyczy gospodarstwa krajowego, w najrozleglejszém tych wyrazów znaczeniu, w szczególności mieścić będą: 1. Artykuły stronę wyższą moralną gospodarstwa krajowego podnoszące, rozwijające przystępnie i nauczająco traktaty w materyi ekonomii politycznéj, w związku z ogólnym postępem gospodarstwa krajowego. 2. Artykuły traktujące wszelkie pojedyncze gałęzie przemysłu wiejskiego, opisy gospodarstw, poglądy na stosunki i życie ludności wiejskiéj, mianowicie też, odnoszące się do sprawy czynszowania włościan. 3. Artykuły naukowe w związku z gospodarstwem będące; wiadomości o odkryciach, wynalazkach, postrzeżeniach i badaniach na drodze postępu nauk przyrodzonych, tak miejscowe jako i zagraniczne. 4. Rozbiory i relacye dzieł krajowych i zagranicznych, dotyczących gospodarstwa krajowego. 5. Wiadomości statystyczne, krajowe i zagraniczne. 6. Bibliografią dzieł krajowych i zagranicznych gospodarstwa dotyczących. 7. Wiadomości handlowe. 8. Obserwacye meteorologiczne. 9. Korrespondencye tak z kraju jako i zagranicy. Redakcya Roczników gospodarstwa krajowego pragnąc zjednać pismu swemu współpracownictwo osób najwszechstronniéj uzdatnionych, przyjmować gotowa i przyjmuje nadsyłane od wszelkich autorów, we wskazanych wyżéj kierunkach prace, które skoro uznane zostaną za przydatne do jéj pisma, redakcya na żądanie autorów płaci za nie, a to stosownie do zasad przez siebie przyjętych lub podług szczegółowéj z autorami umowy. Prenumerata na 12 miesięcznych poszytów, wynosi wraz z kosztami przesyłki pocztowéj złp. 50. Skład główny w Warszawie w księgarni G. Gebethnera i R. Wolffa.

— Nadesłaną odezwę redakcyi *Kółka Domowego*, pisma mającego nie małą a zasłużoną wziętość, zamieszczamy dosłownie. „Od redakcyi Kółka Domowego. Pismo nasze poświęcone polskim rodzi-

nom w nadziei, że im zastąpić zdoła pożytecznie, czczéj i jałowéj treści zagraniczne tego rodzaju publikacye, w nowo rozpoczętym roku, równie jak w zeszłym wychodzić będzie w tymże samym kierunku i formacie z dodatkiem rycin mód odbijanych w Paryżu, a zastosowanych do potrzeb naszych, tablicy wzorów haftów, form udzielonych nam przez najpierwsze magazyny i deseni robót kanwowych, o czém zawiadamiając, czujemy się w obowiązku złożyć podziękowanie osobom, które utrwaliły jego istnienie, zapisując się w samym początku w liczbę prenumeratorów, również jak i tym, które listami pełnymi współczucia i zachęty niosły nam z różnych stron kraju wieść radosną, że dążność i uczucia nasze zrozumiane i ocenione zostały. Niepodobnaby nam było odpowiedzieć godnie zamierzonemu celowi bez pomocy znanych ze światła i talentów współpracowników, którzy zasilali i nadal zasilać przyrzekli artykułami swemi Kółko Domowe, jako to: professor Józef Kremer, pan Adam Goltz, professor L. Zeiszner, professor Dr. Szokalski, panie: Eleonora Ziemięcka, Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), Sabina z Gostkowskich Grzegorzewska, Katarzyna z Lipińskich Lewocka, Seweryna Pruszakowa, Marya Ilnicka i Julia Janiszewska. Pośpieszamy zatém wynurzyć im całą wdzięczność naszą. Nie będziemy powtarzać warunków prenumeraty pisma, które znaleźć można we wszystkich księgarniach, stacyach i urzędach pocztowych; dodajemy tylko, że ułatwiamy wszelkie polecenia i sprawunki prenumeratorów naszych, oraz, że do grona wyżej wymienionych kolaboratorów przybywają nam nowi, do których pozwolił się również zaliczyć znakomity nasz pisarz Lucyan Siemiński."

— Podaliśmy wiadomość z listu o mającym wychodzić piśmie nowém w Poznaniu: umieszczamy teraz w całości prospekt, pisma tego naukowo-literackiego, p. n. *Tygodnik Poznański:* „Od 1go stycznia roku przyszłego wychodzić będzie w Poznaniu pismo naukowo-literackie, co tydzień jeden arkusz, pod tytułem: *Tygodnik Poznański.* Kommunikując zamiar ten Szanownéj Publiczności, sądzimy, że uiszczamy się z długu oddawna ciążącego na Wielkiém Księztwie Poznańskiém i jego stolicy, i zabieramy się do zaradzenia dotychczasowéj potrzebie z dobrą otuchą i nadzieją, że usiłowania nasze znajdą uznanie i poparcie w Publiczności. Głównem naszem zadaniem będzie, z wyłączeniem politycznych, religijnych i socyalnych kwestyj, przedstawiać obraz ruchu umysłowego, krajowego i zagranicznego w literaturze, oświacie i przemyśle, i dzielić się z Publicznością nabytkami poszukiwań na polu naukowém w formie przy-

stępnéj. Ku temu celowi *Tygodnik Poznański* obejmować będzie następujące działy: 1) Rozprawy naukowe rozmaitéj treści, pamiętniki, życiorysy, opowiadania historyczne, opisy zajmujące, wiadomości o ruchu przemysłowym w Polsce i t. d.; do tego działu należeć będą także korrespondencye. 2) Przeglądy literatury bieżącéj krajowéj i zagranicznéj. 3) Rozmaitości z dziedziny nauk i przemysłu.

Abonament kwartalny wynosi w Poznaniu 1 tal., na poczcie $1^1/_4$ tal. Zapisywać się można w Poznaniu w księgarniach Poplińskiego, Żupańskiego, Kamieńskiego i Merzbacha i po wszystkich ekspedycyach pocztowych w kraju i za granicą.

Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane pod adressem podpisanego redaktora.

Dr. *Kaźmierz Szulc*,
przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 19.

---

† Dnia 12 grudnia r. b. umarł w Warszawie Tomasz hr. Potocki o godzinie 5 z rana. Zwłoki jego przeprowadzone koleją żelazną do Koniecpola, dóbr zmarłego (w powiecie piotrkowskim) tamże pochowane zostały. Strata to bolesna dla całego kraju. My wspomnienie nasze uzupełniamy wstępnym artykułem Gazety Polskiéj N. 297:

„Zgon znakomitego obywatela, nietylko żałobą napełnia serca ziomków, ale nadto w pierwszéj chwili bolesnie daje uczuć stratę, jaką sprawa publiczna ponosi przez ubytek pożytecznego i wytrwałego pracownika. Umiarkujmy jednak żal tém przekonaniem, że chwila zgonu jest zarazem chwilą tryumfu dla prawego męża i że strata, jaką kraj ponosi, nagrodzoną być musi odziedziczeniem myśli i czynów, szlachetnych zamiarów i pięknych przykładów, jakie zmarły współbraciom swoim w spadku przekazał; żadna bowiem siła moralna nie ginie: każda nas wzbogaca, lecz zarazem odpowiedzialność naszą powiększa.

Pod tym względem z szczególną, zaprawdę szczodrobliwością rok ubiegający, nasz moralny zasób i moralną odpowiedzialność naszą wzbogacił. W ślad za odeszłemi do grobu sędziwemi mężami, którym w uroczystych obrzędach cześć zasłużona była oddaną, wśród niemniéj wymownéj ciszy, odchodzi od nas mąż wierny powołaniu swemu *justus ac tenax propositi*, który widoczne i zaszczytne zajmował miejsce między obywatelami dobrze krajowi zasłużonemi.

Tomasz Potocki był, można powiedzieć, prawdziwym umysłowym wodzem najważniejszéj władzy krajowéj, tojest sprawy ustanowienia i ustalenia własności rolniczéj. Z przezornością i stanowczością prawdziwego wodza, który w trudnych okolicznościach sił nie roz-

prasza, ale je wszystkie zbiera na spełnienie jedynego zadania, w którém upatruje węzeł położenia; Tomasz Potocki całą działalność ostatnich kilkunastu lat pięknego życia swojego poświęcił na przyprowadzenie do dojrzałości planu uwłaszczenia włościan, działając pismami, mową, radą, wpływem obywatelskim, przykładem, pracą w Towarzystwie rolniczém, którego tak wydatnym i wpływowym był członkiem, wreszcie stanowiskiem urzędowém, które dlatego tylko przyjął, że widział w niém pomoc do służenia najważniejszemu krajowemu zadaniu

Wykazanie naglącéj potrzeby urządzenia stosunków własności rolniczéj, z uwagą nietylko na teraźniejszość, ale na potrzeby przyszłych pokoleń; wykazanie konieczności odniesienia tego urządzenia do potężnych i żadném niepowodzeniem nieprzepartych celów cywilizacyi, sprawiedliwości i moralności; wykazanie możności załatwienia téj sprawy wśród okoliczności trudnych, tudzież możności przeprowadzenia wszelkich przygotowawczych czynności nawet wśród okoliczności najtrudniejszych; wykazanie wykonalności praktycznego programatu, usuwającego w imię prawdy i rozsądku wszelkie możliwe kollizye interesów i dążeń ze strony czynników do téj sprawy wpływać mogących; ujęcie wreszcie całego przedmiotu ze stanowiska faktycznych stosunków prawnych, towarzyskich i ekonomicznych, a zarazem ożywienia takowego gorącym zapałem obywatelskim, skierowanym do osiągnięcia możliwie dostępnych ulepszeń: oto, co cechuje działalność Tomasza Potockiego, jako obywatela i publicysty.

Tomasz Potocki mniemał, iż między najpilniejszemi zadaniami kraju, ani kilka z nich, ani dwa nie mogą być równéj ważności: najważniejszém musi być jedno, a w takim razie wszystkie inne powinny być miane za podrzędne i o tyle dopuszczalne, o ile pierwszemu nie przeszkadzają.

Pisma jego, z których wymieńmy tu tylko *O urządzeniu stosunków rolniczych* i *Poranki karlsbadzkie*, jakkolwiek odznaczające się wyczerpującą dowodliwością, niepospolitą jasnością poglądu i wytrawnością sądu, nie dałyby zupełnéj miary jego uzdolnień, gdybyśmy zarazem nie podziwiali prawdziwéj sztuki, z jaką argumentacya i ton obu tych pism, zwłaszcza drugiego, zastósowanemi zostały do klassy czytelników, których przekonanie pragnął zniewolić. Tomasz Potocki bowiem nie dbał wcale o sławę autorską; pisma były dla niego tylko środkiem, jednym ze środków działania na opinią: był on więc w najlepszém znaczeniu tego wyrazu publicystą, a jednak nie ubiegając się o ozdoby stylu, napisał wiele stronnic, które pod względem czystości języka, szlachetnéj prostoty i naturalnego wdzięku, przypominają najlepsze rozdziały Pana Podstolego.

Mocno przekonany o zbawienności swoich przekonań, Tomasz Potocki nie pochlebiał aspiracyom, zapewnionego pod sobą gruntu nie mającym; może czasem nie bez szorstkości o nie potrącił, w wa-

żnéj chwili poszedł drogą, jaką mu przekonanie głosem publicznym nie wsparte wskazywało: pomimo tego jednak nic stracił ani zaufania, ani prawdziwéj popularności. Takie rzeczy temu się tylko udają, o kim wątpić nie można, że miłość powszechnego dobra jego czynami kieruje, że niemożliwą jest dla niego sprzeczność między celem a przekonaniem, między środkami a sumieniem.

Kto znał Tomasza Potockiego, a raczéj kto stanowisko jego zrozumiał, ten nie mógł bez uszanowania patrzéć na tę postać fizycznie ubezwładnioną, lecz ożywioną ogniem wewnętrznym, który promieniami światła i ciepła bytność swoją czuć dawał; ten nie mógł nie uszanować przekonań, z wyrozumowaną predylekcyą zwróconych do ocalenia tych elementów życia zbiorowego, które coraz droższe, jak owe księgi Sybilli, warte są jak największych usiłowań i poświęceń.

Zakończymy własnemi jego słowami: „doskonałości na téj ziemi człowiek nigdy nie osiągnie, ale wzdychać do niéj i ciągle dążyć do niéj, oto jego chlubne zadanie, jego święty obowiązek". (O urządzeniu stosunków rolniczych, str. 551).

† Tegoż samego dnia 12 grudnia, we wsi Luboni pod Rawiczem, w Wielkiém Księztwie Poznańskiém umarł generał Franciszek Morawski licząc około 80 lat wieku, sędziwy weteran i nestor naszych poetów. Poezye jego były pokarmem lat naszych pacholęcych, młodzieńczych i sędziwszych. Bajki wyborne, równie jak tłumaczenia Bajrona, zajmą poczesne miejsce w literaturze naszéj. Poemat jego *Dworzec mego dziadka*, możemy liczyć jakby pierwsze wstępne karty do *Pana Tadeusza*. Pragnąć należy, ażeby zbiór zupełny prac ś. p. Morawskiego, który się liczył do grona dawnego Towarzystwa przyjaciół nauk, mógł być ogłoszony w starannem wydaniu.

K. Wł. W.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Listopad, 1861.

Listopad, 1861. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ʰ14ᵐ45ˢ,7 czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy					Wilgotność bezwzględna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle	
		6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny	6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. rano	10 god. rano	4 godz. w.	10 godz. w.	deszczu	z śniegu	stóp	cali
1		738.95	739 56	737.91	738.03	738.61	+ 9°.9	+10°.1	+ 8°.3	+ 6°.0	+ 8°.57	91.7	pochm.	pochm.	pochm.	poch. dés.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	3.5		1	7
2	●	739.76	741.10	741 04	738.31	740.05	4.9	7.5	8 9	6.8	7.02	91.5	Pochm.	pr. pog.	pochm.	pochm.	PdZ.	PdZ.	Pd.	PdW.	0.8		1	8
3	Prig.	736.44	739.09	741.50	743 81	740.21	6.8	7.3	7.6	4.1	5.70	84.7	pochm.	pochm.	nap. pog.	pogodny	—	Z.	PdZ.	PdZ.	3.9		1	10
4		745.81	747.49	748.71	750.63	748.08	4.4	6.0	6.6	5.8	4.12	78.0	pochm.	pochm.	nap. pog.	pochm.	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.			1	10
5		751.79	752 02	751.58	752.39	751.94	2.6	3.6	5.6	4.7		82.5	pr. poch.	nap. pog.	pogodny	pochm.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.			1	9
											5.20	93.0												
6		752.40	752.15	750.38	749.23	751.04	4.6	5.2	6.4	4.6	6.20	93.0	nap. pog.	pr. pog.	pochm.	poch. dés.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.			1	9
7		745.99	744.29	739.48	739.13	742.22	4.1	5.9	7.9	6.9	5.23	89.0	pochm.	pochm.	dészcz	pochm.	PdZ.	PdW.	PdZ.	PdZ.	2.0		1	9
8		740.27	742.08	740.33	738 90	740.39	3.6	5.7	6.2	5.6	8.70	96.5	pogodny	pogodny	pochm.	poch dés	PdZ.	PdZ.	—	—			1	9
9		737.95	738.22	735.93	732.83	736.23	6.7	8.5	9.7	9.9	5.80	96.2	pochm.	pochm.	pochm.	dészcz	—	PdW.	—	Pn.	8 2		1	9
10	☽.	737.66	741.46	746.27	747.26	743.16	8.9	6.0	5.8	2.5			poch.dés.	pochm.	pr. pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	PdZ.	10.5		1	10
											4.27	91.0												
11	Rów.	747.12	746 59	747.08	748.91	747.42	1.4	3.7	6.2	5.8	3.04	85.5	pr. poch.	nap. pog.	pochm.	poch.dés.	Pd.	Pd.	Z.	Z			1	11
12		751.53	752.85	752.33	752.56	752.32	1.7	3.5	6.0	0.8	1.53	100	pogodny	pogodny	pogodny	pr. pog.	Z.	Z.	Z.	PdZ.			2	1
13		751 62	751.69	750.32	749.04	750.67	— 0.6	1.2	3.1	2.5	6.53	96.2	poc. mgła	poch. mg.	poch. mg.	pr. poch.	PdW.	—	PnW.	W.			2	1
14		742.87	739.18	735.44	735.22	738.18	3.1	5.2	9.3	8.5	5.51	93.7	poch.dés.	pochm.	pochm.	poch.dés.	PdW.	Pd W.	PdZ.	Z.	1.4		2	0
15		735 67	735.74	735.15	737.17	735.93	5.2	6.2	7.1	3.8			pochm.	nap. pog.	nap. pog.	nap. pog.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.			2	0
											3.00	84.2												
16	Apog.	758.63	740.34	741.46	743.73	741.04	1.2	3.4	4.6	2.8	1.97	87.7	nap. pog.	nap. pog.	pohm.	nap. pog.	PdZ.	PdZ.	PdZ	PdZ.			1	11
17	☾.	744.02	743.88	742.38	744.68	743.74	0.0	2.0	4.5	1.4	0.50	93.2	pogodny	pr. pog.	nap. pog.	pr. poch.	Pd.	PdW.	PdZ.	PdZ.			1	11
18		748.24	751.47	754.31	758.06	752.99	— 0.2	— 0.4	0.8	— 2.5	— 3.22	87.7	pr. poch.	pochm.	pochm.	pr. pog.	PnZ.	PnZ.	Z.	PnZ.		3.5	2	1
19		762.77	763.87	762.32	760.14	762.28	— 5.8	— 4.8	— 1.0	— 1.3	0 48	94.0	pogodny	pogodny	pochm.	pochm.	Z.	Z.	Z.	PdZ.			2	5
20		752.44	751.46	751.46	752.41	751.94	— 0.2	— 0.6	1.0	1.4			pochm.	pochm.	poch. dés.	poch. dés.	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.			2	5
											2.38	83.7												
21		749.70	748.72	748.21	748.74	748.84	2.3	3.1	3.3	2.3	6.31	67.0	poch dés.	pr. pog.	pochm.	pochm.	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	1.7		2	4
22		745 26	743.70	742.36	742.03	743.34	1.7	6.4	9.9	7.5	8.00	72.5	nap. pog.	nap. pog.	pochm.	pochm.	Pd.	PdZ.	PdZ.	ZdZ.			2	4
23		735.75	734.81	736.36	739.15	736.54	9.3	11.4	8.8	2.5	2.12	85.2	pochm.	pr. poch.	pochm.	nap. pog.	PdZ.	Pd.	Z.	Pd.	0.2		2	5
24		740.09	742.90	745.71	749.25	744.49	4.5	3.2	2.1	— 1.3	2.90	93.0	pochm.	pochm.	pr. poch.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Z.			2	6
25	☾.	753.42	757.15	758.58	760.53	757.42	— 3.3	— 3.7	— 1.2	— 3.4	— 5.37		pogodny	pog. mgła	pogodny	nap. pog.	PnZ.	—	PnZ.	W.			2	5
											0.62	94.2												
26	Rów.	759.67	758.48	756.11	754.08	757.09	— 6.9	— 5.2	— 3.1	— 6.3	— 1.05	89.2	pogodny	pogodny	nap. pog.	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			2	4
27		751.22	751.41	750 99	750.79	751.10	— 2.5	— 0.4	0.2	0.1	1.05	84.7	pr. poch.	pochm.	poch. dés.	pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	2 0		2	2
28		748.11	748.09	746.51	748.78	747.87	0.0	1.0	1.4	1.6	1.72	90.7	pochm.	pochm.	poch dés.	pochm.	PdW.	PdW.	Pn.	PnZ.	2.7		2	2
29		752.82	754 71	755.69	755.83	754.76	1.7	1.6	2.3	1.4	2.47	96.7	pochm.	nap. pog.	pr. poch.	pochm.	PnZ.	Z.	Z.	PdZ.			2	3
30		753.62	752.84	751.14	750.74	752.08	— 1.1	1.2	5.4	5.4			pogodny	nap. pog.	poch. des.	pochm.	Pd.	Pd.	Pd Z.	PdZ.			2	2
											3.36	87.4												
Śr.		746.37	746.91	746.56	747.08	746.73	+ 2°.25	+ 3°.46	+ 4°.73	+ 3°.00	+ 3°.36										36.9	3.5	2	0.5

	m.	d.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.73	27	7.022
Najwyżéj barometr dochodził d. 19 o g. 10 r.	763.87	28	2.621
Najniżéj — — d. 9 o g. 10 w.	732.83	27	0.861
Średnia dzienna zmiana barometru	5.56		2.509
Największa dzienna zmiana barometru d. 13 — 14 o g. 4 w.	14.88		6.592
Średnia wysokość barometru jest mniejsza o od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	3.83		1.697
	750.56	27	8.719
Średnia temperatura listopada wynosi	+ 3°.36 C.	+	2°.69 R.
Największe ciepło dochodziło d. 23 o g. 10 r.	+ 11.40 „	+	9.12 „
Największe zimno — d. 26 o g. 6 r.	— 6.90 „	—	5.52 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.71 „		2.17 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 23 — 24 o g. 10 r	8.20 „		6.56 „
Średnia temperatura jest większa o od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	2 17 „		1.74 „
	+ 1.19 „	+	0.95 „

Termometrograf wskazał: Maximum: + 11°.6 C. = + 9.3 R. d. 23 po połud.
Minimum: — 7°.5 „ = — 6.0 „ d. 26 i 27 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 87.4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 5.77 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 3.8 setnych od normalnéj (91.2).

Ilość wody spadłéj z dészczu co do wysokości wynosi 36.9 mil. czyli 16.35 lin. par.; ze śniegu 3.5 mil. czyli 1.55 lin. par. razem wody z deszczu i śniegu 40.4 mil. czyli 17.90 lin par; mniejsza o 0.8 mil. czyli o 0.37 lin. par. od ilości wody jaka u nas średnio w listopadzie spada.

Stan elektryczności atmosferycznéj co do jéj natężenia średni miesięczny jest 22.4 stopni; największe natężenie siły elektrycznéj dochodziło: 62 stopni d. 25 o godz. 10 rano.

Dni pogodnych było 3, napólpogodnych 14, pochmurnych 13.

Dni dészczu 14 (d. 1, 2, 3, 6, 7, 9, 10, 14, 16, 20, 21, 23, 27, 28).
— śniegu 1 (d. 18).
— mgły 2 (d. 13, 25).
Wiatrów mocnych 20 t. j. (11 PdZ., 2 PdW., 2 Pd., 5 Z.).
Wiatr panujący Południowo-Zachodni.

Listopad r. b. był pogodny, suchy i przeszło o półtora stopnia R. cieplejszy niż zwykle; szczególnie piérwsza połowa miesiąca odznaczała się ciepłem. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 7, 9, 14, 15, 23; najzimniejsze d. 18, 19, 25, 26. Trzy dni: 25, 26, 27; po ostatniéj kwadrze i około przejścia księżyca przez równik niebieski odznaczały się zmianą temperatury, barometru i kierunku wiatru. Barometr utrzymywał się nizko; średnia jego wysokość miesięczna jest o 1.7 lin. par. mniejsza od normalnéj. Największa zmiana dzienna barometru wynosiła 6.59 lin. par. z d. 13 na 14. Deszcze lubo padały dość często te jednak były nie obfite i powietrze było suchsze niż zwykle. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3:6:21; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 3:14:13.

Na słońcu pokazywały się liczne plamy.

Dnia 12 o godz. 10 mi.n 43 sek. 19.5 rano przypadło przejście planety Merkurego przez tarczę słońca (t. j. drugie dotknięcie wewnętrzne brzegów planety i słońca).

D. 12 wieczorem koło białe otaczało księżyc.

D. 27 od godz. 7 min. 42 do godz. 8 rano, to jest w czasie wschodu słońca, świetna tęcza podwójna jaśniała w stronie Północno-Zachodniéj nieba.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle ..... stóp 2 cali 0.5 n. m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 24..... stóp 2 „ 6.0 „ „
„ „ najmniejsza „ d. 1..... stóp 1 „ 7.0 „ „

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém, co dzień o godzinie 8 rano.

O TOWARZYSTWACH WZAJEMNÉJ POMOCY.

PRZEZ

Ludwika Górskiego.

I.

ZASADY OGÓLNE.

Towarzystwa wzajemnéj pomocy we Francyi i Belgii *sociétés de secours mutuels*, w Anglii *Friendly societies* nazwane, są to w najrozleglejszém znaczeniu stowarzyszenia osób obowiązanych składać peryodycznie pewne kwoty pieniężne, w celu utworzenia funduszu, będącego własnością niepodzielną wszystkich członków towarzystwa, a przeznaczonego do wspierania tych między nimi, którzy ulegną wypadkom aktem zawiązania się towarzystwa przewidzianym. Taką jest definicya ogólna, którą tym towarzystwom daje p. Laurent w szacownem swém dziele *Le Paupérisme et les associations de prévoyance.* W tém obszernem brane znaczeniu, Towarzystwa wzajemnéj pomocy zastosowane być mogą do wszystkich stanów, położeń, w przewidywaniu najrozmaitszych wypadków ludzi dotykać i szkodę im przynosić mogących. Wszakże tak rozległe ich zastosowanie dotychczas się nie spotyka; towarzystwa te, oprócz rzadkich wyjątków, składają się

dotąd z ludzi, których dzienny zarobek utrzymuje, a nawet głównie z rzemieślników i robotników fabrycznych, i służą do ubezpieczenia ich bytu, w różnych wypadkach statutami każdego towarzystwa przewidzianych.

We Francyi, któréj organizacya towarzystw powyższych najbliżéj jest nam znaną, mają one cele wyraźnie wytknięte i prawami osobnemi określone. Według nich Towarzystwa wzajemnéj pomocy są stowarzyszeniami osób, które małą peryodyczną opłatą tworzą fundusz wspólny, przeznaczony na pomoc i wsparcie dla uczestników swoich w razie ich choroby. Pomoc ta obejmuje oprócz moralnéj opieki stowarzyszonych nad chorymi, zapłatę lekarza, apteki, oraz wsparcie pieniężne, wynagrodzić mające utratę zarobku; nadto w razie śmierci członka towarzystwa, ponosi ono koszta pogrzebu. Oprócz tego, towarzystwa zadosyć czyniące pewnym warunkom przez rząd wymaganym, mogą także mieć na celu udzielanie stałego wsparcia w starości i tym sposobem zabezpieczać całe życie uczestnika. Jakie są te warunki, później przy szczegółowym rozbiorze organizacyi towarzystw we Francyi powiemy. Chociażby jednak towarzystwa te ograniczały się na udzielaniu robotnikom wyżéj wymienionych pomocy w chorobie, już przez to samo byłyby instytucyami wielkiego moralnego i materyalnego pożytku dla pojedynczych osób i dla ogółu społeczeństwa. Kto się zastanowi nad tém, czém jest praca robotnika w dzisiejszém społeczeństwie, i czém choroba dla człowieka, jedynie z dziennego zarobku utrzymującego siebie i rodzinę; kto przy tém pomyśli, jak przeważną część ludności, mianowicie w przemysłowych i oświeconych krajach, stanowią robotnicy, jak ich byt materyalny i usposobienie moralne wpływają silnie na stan społeczeństwa całego: ten pojmie i uzna całą ważność towarzystw podobnych. Nietylko one pożytecznością celu, ale jeszcze składem swoim i formą, zasadą, na któréj się opierają, środkami, których używają, tak trafnie odpowiadają potrzebom i pojęciom dzisiejszego społeczeństwa, że mnożenie ich i rozwijanie stało się przedmiotem gorliwych usiłowań pojedynczych ludzi, i szczególnéj nad niémi najoświeceńszych rządów opieki.

Pierwotną myśl i zawiązek Towarzystw wzajemnéj pomocy, autorowie o nich piszący, głównie dawnym bractwom religijnym przyznają (1).

Znajduje się dotąd we Francyi kilka towarzystw, początek swój od bractw w XVI i XVII wieku biorących: takiém jest Towarzystwo św. Anny w Paryżu, z bractwa tegoż imienia powstałe w czasie rewolucyi francuzkiéj; takiém Towarzystwo panotechniczne z bractwa Matki Bożéj Narodzenia w r. 1720 zawiązanego wychodzące. Trzynastu innym najdawniejszym towarzystwom paryzkim, podobny początek przypisują.

Idea więc religijna połączenia się w modlitwie i dobrych uczynkach, w celu wzajemnego zaskarbienia sobie wiekuistéj pomyślności, dała i tu początek utworzeniu stowarzyszeń mających na celu ubezpieczenie wzajemne doczesnego bytu, więcéj dzisiaj niż dawniéj zagrożonego.

Błędem jednak byłoby mniemać, że potrzeba ubezpieczenia losu ludzi z pracy rąk żyjących, w dzisiejszym dopiero wieku powstała. Potrzeba ta jest tak starą jak społeczeństwo ludzkie, a jéj zadośćuczynienie było zawsze ważném zadaniem społeczném, przedmiotem różnych praw i urządzeń, rozmyślań filozofów i przyjaciół ludu, nakoniec polem działania dla serc zagrzanych miłością Boga i bliźnich. Środki tylko w tym celu używane zmieniały się, i zmieniać się musiały odpowiednio do ducha czasu i stanu pojęć między ludźmi. Cechy i korporacye rzemieślnicze, mniéj lub więcéj patryarchalne, układy stosunków między ludnością rolniczą a ówczesnymi panami ziemi, podatki dla ubogich, taksy i ciężary publiczne były to i są dotąd jeszcze formy i środki w różnych czasach i krajach używane, bądź bezpośredniego przyjścia w pomoc biedniejszym, bądź też powiązania społeczeństwa w pewne organiczne jednostki, do których oprócz innych celów i korzyści, łączył się przeważnie wzgląd zapewnienia nieudolniejszym i uboższym ochrony i opieki. Zaprzeczyć jednak nie można, że im więcéj dzisiaj pomnożyła się ludność i rozwinął przemysł, im większą on zatru-

(1) Laurent w dziele wyżéj przytoczoném. Nie mniéj o nim Lacroix. *Histoire des anciennes corporations d'arts et métiers.*

dnia liczbę robotników, dla których zdrowie i siły fizyczne są jedynym kapitałem; im więcéj nakoniec bogactwo daje przywilejów, a rozdział onego wyraźniejsze między ludźmi czyni różnice: tém silniejszą i naglejszą jest potrzeba obmyślenia takich środków, któreby ubezpieczając los ubogiego, odpowiadały zarazem dzisiejszym pojęciom i zasadom społecznym. Wszystkie wyżéj przytoczone środki, polegały mniéj więcéj na pewném przymusowém ścieśnieniu wolnéj woli człowieka, tojest na ujęciu go mimo jego woli, w pewne wyjątkowe przepisy i ograniczenia dla niego ułożone, z których nie każdemu daném było wyłamać się i uwolnić. Jakkolwiek niektóre z tych urządzeń dotąd w wielu krajach istnieją, każdy przyzna, że dzisiaj już one potrzebie czasu nie odpowiadają, i że nowe środki zabezpieczenia losu robotników, opierać się winny na téj niewzruszonéj zasadzie, którą społeczeństwo ludzkie długą koleją pracy i walki zdobyło i z świadomością skutków za podstawę stosunków swoich położyło, tojest, na zupełnéj wolności osobistéj każdego człowieka w tém wszystkiem, co nie jest publiczném prawem, wszystkich zarówno obowiązującém wzbronione. *Wolność osobista* i z niéj płynąca *odpowiedzialność* za czyny i drogi postępowania wolą człowieka obrane, oto dwa wielkie bieguny sfery pojęć dzisiejszych, dwa filary, na których porządek społeczny coraz mocniéj układać się zamierza. Pod opieką tych zasad ubogi czy bogaty, nieukształcony czy oświecony, mają równe prawo wolnego wyboru pracy i zarobku, oraz wolnego użycia ich owoców; ale zarazem jak jeden tak drugi za wybór ten i użycie odpowiedzialność *dźwigają* i *dźwigać chcą*.

Piękna to i szlachetna zasada, któréj urzeczywistnienie we wszystkich objawach życia społecznego i we wszystkich stosunkach ludzkich jest, powiedzieć można, hasłem epoki dzisiejszéj, sztandarem usiłowań w imię postępu podejmowanych.

Jeżeli jednak zważymy, jak wielkie są różnice położeń i stopni wykształcenia między ludźmi, jak dalece ten wybór łatwiejszym jest dla jednych niż dla drugich, i jak różna w skutkach odpowiedzialność za złe lub dobre użycie owoców pracy, bo co jednym tylko uszczerbkiem

mienia, to drugim nędzą zagraża; przyznać musimy, że aby nierówności koniecznie z saméj natury rzeczy i urządzeń ludzkich wypływające, różnice usposobień i zdolności, różnice majątku i położenia do pewnego stopnia zrównoważyć: potrzeba, aby społeczeństwo podawało uboższym i słabszym, możność użycia środków zabezpieczenia losu, czerpanych w ich własnéj woli i w ich własnych siłach. Takim potężnym środkiem jest prawo wzajemnego stowarzyszenia, jednoczącego pojedyncze siły i zdolności wszystkich uczestników, bądź dla spotęgowania pracy i ułatwienia produkcyi na korzyść wszystkich, bądź dla ochrony i ubezpieczenia losu tych, których okoliczności od ich woli niezależne do upadku przywieść mogą. Bez prawa stowarzyszenia i opieki nad niém rządów, owa zasada wolności i równości powszechnéj, stałby się mogła narzędziem poddaństwa dokuczliwego więcéj niż dawne, bo opartego głównie na zależności ubogiego od bogatego. W średnich wiekach ludzie wolni dobrowolnie nieraz oddawali się w poddaństwo feodalnym panom, dla ubezpieczenia swego bytu od obcéj napaści; bez prawa stowarzyszenia, bez instytucyj podających możność ubogim ubezpieczenia ich losu w chorobie i starości, przewaga kapitału i intelligencyi równie smutne wywołałby mogła następstwa.

Towarzystwa wzajemnéj pomocy, z któremi czytelników poznajomić zamierzyliśmy, są niewątpliwie najobfitszą w skutki i zasadom społeczeństwa dzisiejszego najodpowiedniejszą formą stowarzyszeń podobnych. Zawiązane dobrowolnie, zarządzane samodzielnie w granicach ustawami wskazanych, mające na celu pomoc wzajemną, w dwóch najtrudniejszych dla robotnika okolicznościach życia, tojest w chorobie i starości, a pomoc tę zapewniające przez stałe składki, nie na korzyść wnoszącego, ale na korzyść wszystkich uczestników składane, towarzystwa te mają w sobie żywioły instytucyj nietylko materyalnie zabezpieczających los uboższych, ale na ich moralność i wykształcenie silnie działających. Jest w nich bowiem uszanowana zasada wolności i odpowiedzialności, ale zarazem jest idea braterstwa i solidarności, wzmocniona węzłem wzajemnego interesu; jest zobowiązanie do oszczęd-

ności każdego uczestnika, nie doraźnéj i chwilowéj, ale ciągłéj i peryodycznéj; jest ofiara swego mienia dla dobra drugich, a zarazem ubezpieczenia swego losu ofiarą współbraci; jest dobry uczynek i roztropna przezorność, jest zarząd samodzielny w granicach ustawą wskazanych; nakoniec jest pole zbliżenia się i wpływu dobroczynnego dla oświeceńszych i możniejszych, którzy jako członkowie honorowi, do towarzystwa należéć mogą na równych z innemi prawach i obowiązkach. De Gerando téż słusznie powiada, że robotnik należący do Towarzystwa wzajemnéj pomocy, spogląda w przyszłość z większym spokojem, patrzy na ludzi pogodniejszém obliczem.

Porównywano często działalność tych towarzystw z kassami oszczędności, jednym lub drugim większą skuteczność i dobroczynniejszy wpływ przypisując. Nie podobna zaprzeczyć wielkiéj użyteczności kass i ich zbawiennego wpływu; ale natura téj instytucyi jest zupełnie od towarzystw odmienną. Nie ma tu pola do porównawczego ocenienia: obie instytucye dopełniają się wzajemnie, i w obu równocześnie oszczędny i przezorny robotnik udział miećby powinien.

Kassa jest zbiorem oszczędności w miarę możności i dobréj chęci składanych. Właściciel książeczki czyli funduszu w kassie złożonego, nie obowiązuje się do niczego względem nikogo. Może fundusz ten nowemi oszczędnościami pomnażać, do wysokości prawem zakreślonéj, lub nie pomnażać; może go w każdéj chwili odebrać lub zastawić: nic go nie wiąże, nic względem drugich nie obowiązuje. Kassa oszczędności jest to osobista jego kassa, z któréj może robić taki użytek, jaki mu się podoba. Ale jeżeli nie zaciąga zobowiązań względem drugich, nie ma téż także i zabezpieczenia dla siebie. Długa choroba, późna starość, łatwo nagromadzone latami fundusze wyczerpnąć mogą; strwonić je także może chwila obłędu i zapomnienia, nieszczęśliwa spekulacya i tyle innych powodów, które uczestników do wycofania nagromadzonych oszczędności skłaniają. Statystyka kass oszczędności we Francyi przekonywa, że wnioski do nich składane, co lat sześć przez wnoszących odbiérane bywają.

Inne są zupełnie cechy towarzystw. W nich oszczędność jest obowiązkową i ciągłą, bo uczestnik obowiązuje się regularnie pewną kwotę do ogólnéj kassy składać, i składek wniesionych samowolnie odebrać nie może. Fundusz kassy jest wspólną wszystkich własnością; korzysta z niego zarówno ten, co go od lat wielu zasila, jak i ten który świéżo do towarzystwa wstąpił (1). Wszyscy uczestnicy robią małe ofiary z dochodu, aby każdego z nich od wielkiéj straty ubezpieczyć. Ten, któremu zdrowie stale służy, nic wprawdzie nie dostaje, choćby najdłużéj do towarzystwa należał, ale żyje w bezpiecznéj ufności, że mu choroba chleba nie odbierze; ten, którego choroba położy, korzysta i bierze dziesięć razy więcéj niż złożył. Dodajmy jeszcze, że przy religijném, poczciwém usposobieniu ludu, jakie jest u nas, pierwszy choć bezpośrednio nie korzysta, cieszy się, że jego praca i oszczędność posłużyła drugiemu mniéj szczęśliwemu. Drugi ma uczucie wdzięczności dla wszystkich spółbraci towarzystwa. Tworzą się węzły braterstwa, rozwija uczucie miłości bliźniego, zwłaszcza jeżeli w łonie towarzystwa zachowuje się duch religijny. Są więc towarzystwa te poniekąd kassami oszczędności, ale kassami ludzi związanych węzłem assocyacyi, służącemi dla wszystkich razem w wypadkach przewidzianych. Kassy oszczędności mają cechę instytucyi rozwijającéj przymioty indywidualne człowieka, towarzystwa rozwijają jego przymioty społeczne; tamte odpowiadają doskonale niektórym charakterom i położeniom, te są szczególniéj właściwe dla robotników z dziennego zarobku żyjących w wielkich siedliskach fabryk i przemysłu. Jedne drugim bynajmniéj nie przeszkadzają, i owszem skoro robotnik do towarzystwa należący, może jeszcze nadmiar zarobku do kassy składać, tém lepszy jest los jego, bo otwiera mu się widok użycia nagromadzonego kapitaliku na rozwinięcie przemysłu. Kassy oszczędności nie są tyle instytucyą ubezpieczającą los robotnika od wypadków nieprzewidzianych, jak raczéj dopomagającą mu do podniesienia jego zamożności i użycia onéj na polepszenie bytu. Choroba

(1) Najwięcéj rok jeden czasu wymaganym bywa statutami, od wstąpienia do towarzystwa, aby członkowi dać prawo korzystania z jego funduszu.

lub starość prędko zużyją zebrane w kassie oszczędności fundusze; ale nawzajem, jeżeli choroba nie nastąpi, starość wcześnie sił nie złamie, właściciel funduszu może go korzystnie użyć i byt polepszyć. Towarzystwa zaś są instytucyą głównie ubezpieczającą i moralizującą.

Na tę ostatnią ich cechę radbym szczególniéj zwrócić uwagę czytelników, mianowicie tych, którzyby nabrali ochoty do pracowania nad zawiązaniem u nas Towarzystw wzajemnéj pomocy. Jest rzeczą nie zaprzeczoną, że jakkolwiek wpajanie zasad religii i moralności chrześciańskiéj w kościele i szkole, jest pierwszym i najistotniejszym warunkiem umoralnienia, działanie to jednak aby owoc wydało, potrzeba, aby ludzie w najrozliczniejszych stosunkach i okolicznościach społeczeństwa żyjący, podtrzymywani byli w swych dobrych dążnościach pewnemi instytucyami, prawami i obyczajami, które przyrodzoną ułomność naszą wspierając, pobudzają do dobrego, chronią od poduszczeń brudnych namiętności i pokus, a piękne i wzniosłe cele życia, nieustannie na pamięć przywodzą.

Tego dobroczynnego wpływu instytucyj ułatwiających ludziom utrzymanie się na dobréj drodze, pobudzających do pracy, do przezorności i wstrzemięźliwości, a zawsze na poszanowaniu wolnéj woli człowieka opartych, potrzebują szczególniéj wszelkiego rodzaju robotnicy, dla których praca jest kapitałem, a moralność i przezorność głównym środkiem ubezpieczenia od niedostatku i nędzy: dla nikogo bowiem złe towarzystwo, chwilowe zapomnienie, do którego robotnik tyle ma okazyi, tak smutnych nie sprowadza następstw. Towarzystwa wzajemnéj pomocy są wielką przeciw tym upadkom bronią. W organizacyach swoich mają one mnóstwo środków kontrolujących postępowanie członków, a zarazem zapobiegających, aby przyjęci do ich grona członkowie, nie ulegali pokusom złego, owszem, aby się ciągle wzajemnym wpływem kształcili i na dobréj drodze utrzymywali.

Do pierwszéj kategoryi należy wolny wybór członków towarzystwo składać mających. Człowiek złego prowadzenia, nie rzetelny, nie wstrzemięźliwy, przyjętym nie bywa, a skoro już przyjętym został, winien być wykréślonym z grona członków. Choroba wynikła ze złego prowadzenia

się, nie daje też według zwykłéj towarzystw organizacyi, prawa do żadnego wsparcia.

Do środków drugiéj kategoryi należą: resursy rzemieślnicze, osobno urządzone czytelnie, wynajmowanie ogrodów publicznych w pewnych dniach i godzinach dla użytku i przyjemności członków i innych wiele podobnych, na które ustawy towarzystwa część funduszów użyć pozwalają. Ale najwięcéj skutkuje sama zasada dobrowolnego, niejako solidarnego zjednoczenia, wyrywająca robotnika ze szkodliwego mu osamotnienia, i ta myśl, że pomoc w chorobie i starości otrzymywana nie jest wyżebranym darem, ale owocem własnéj każdego uczestnika zasługi. To uczucie podnosi jego godność osobistą, w któréj jest zaród szlachetnych usiłowań, siła do walki z przeciwnościami i skuteczna przeciw złym pokusom obrona. Doświadczenie daje o moralnych skutkach towarzystw najwymowniejsze świadectwo. Dr Chalmers w znaném swém dziele powiada, że porównywając w Anglii stan moralny, członków towarzystw tamtejszych (zwanych Towarzystwami przyjaciół), ze stanem robotników pobierających wsparcie z parafii, spostrzega się różnicę tak wielką, iż trudno zrozumiéć, że ci ludzie na jednéj ziemi zrodzeni zostali, że są synami jednéj ojczyzny. Znajdujemy sprawozdania konferencyi Towarzystwa nauk moralnych w Anglii z r. 1859 wzmiankę, że nieprzezornością i najgrubszemi obyczajami odznaczali się oddawna w Londynie furmani powozów publicznych. Skoro tylko udało się między niemi zawiązać towarzystwa wzajemnéj pomocy, żony i matki tych ludzi najżywsze z tego ukontentowanie objawiły. Morton Erden powiada, że niema przykładu, aby najuboższy nawet członek Towarzystwa przyjaciół zażądał wsparcia parafialnego. Toż samo o Francyi mówi de Gerando, że nigdy członek towarzystwa nie żądał wsparcia z bióra dobroczynności. P. Emil Girardin twierdzi, że we Francyi cieśle, najsilniéj towarzystwami wzajemnemi powiązani, tak dalece odznaczają się dobrém prowadzeniem, iż nadzwyczajnym jest wypadkiem, skoro zdarzy się spotkać cieślę na ławkach sądu poprawczego.

Powiedzieliśmy wyżéj, że Towarzystwa wzajemnéj pomocy, dlatego są środkiem pomocy potrzebie i duchowi

czasu dzisiejszego najodpowiedniejszym, ponieważ opierają się w organizacyi swojéj na zasadzie wolności i odpowiedzialności.

Wolność przystępowania lub nieprzystępowania do towarzystwa, wolność przyjęcia lub nieprzyjęcia osoby podającéj się, wolność przyrzeczenia ilości i jakości pomocy każdemu uczestnikowi, wolność nakoniec zarządzania sprawami towarzystwa przy zastosowaniu się do praw i przepisów ogólnych dla towarzystw wydanych: oto konieczne kardynalne warunki pomyślnego rozwoju i moralnego wpływu towarzystw. Gdzie w społeczeństwie niema jeszcze dostatecznego wykształcenia, aby w tych warunkach towarzystwa zawiązywać się i dobrze rządzić się mogły, tam inne środki wykształcenia i pomocy użyte skutecznie być mogą, ale dobrych skutków z Towarzystw wzajemnéj pomocy na innéj zasadzie urządzonych, spodziewać się nie można. Słusznie powiedział jeden z młodych dzisiejszych publicystów: „że potrzeba, aby rozum publiczny wyprzedzał postęp działań, ale nigdy postęp działań rozumu publicznego wyprzedzać nie powinien" (1).

Ponieważ jednak, jak skutek z przyczyny tak z wolności wypływa nieodłącznie odpowiedzialność, Towarzystwa przeto wzajemnéj pomocy szczególną roztropnością rządzić się powinny, aby uniknąć téj moralnéj odpowiedzialności, jaka na ich przewodników spada za złe lub lekkomyślne spraw tych rządzenie, za którém idzie bolesny zawód dla uczestników towarzystwa i strata ciężko przez nich zapracowanego grosza. Ponieważ zawiązywanie się towarzystw ma najpowszechniéj na celu udzielanie pomocy w chorobie i starości, wynika ztąd obowiązek oparcia obietnic uczestnikom czynionych na rachunku chorobliwości i śmiertelności, ile być może najściślejszym. Obietnic ułudnych, rachunkiem nieusprawiedliwionych, choćby w najlepszéj wierze lub w celu zachęcenia uczestników do udziału w towarzystwie, zasada odpowiedzialności czynić zabrania.

(1) Il faut mener la raison publique au delà du progrès des choses, jamais le progrès des choses en avant de la raison publique. (*Victor Modeste du Pauperisme*).

To nas prowadzi do zakończenia tego wywodu zasad Towarzystw wzajemnéj pomocy, krótką wzmianką o rachunkach, na których one operacye swoje opierają.

Wiadomo powszechnie, że obserwacya stopnia śmiertelności ludzkiéj, w różnych krajach robiona, doprowadziła do ułożenia tak zwanych tablic śmiertelności, na których towarzystwa ubezpieczenia na życie, kassy dożywotnie i emerytalne, operacye swoje opierają. Te same więc tablice służą za podstawę tym Towarzystwom wzajemnéj pomocy, które pensye dożywotnie uczestnikom zapewniają. Na ich zasadzie ustanawiają one wysokość składki przez uczestnika wnosić się mającéj, wysokość obiecanéj pensyi dożywotniéj i wiek, od którego pensya ta ma być pobieraną.

Tablice te najprzód w Anglii ułożone były: tam bowiem idea stowarzyszenia w celu ubezpieczenia się wzajemnego najpierwéj powstała i w wykonanie była wprowadzona. Pomijając początkowe prace Halleya i Simsona w tym przedmiocie, wymienić wypada na piérwszém miejscu tablice śmiertelności przez D^ra^ Price z Northampton w r. 1783 ułożone. Obserwacya dokonana na 4689 osobach zmarłych w Northampton, od r. 1735 do r. 1780, służyła za podstawę do ułożenia tych tablic piérwszych, mających powagę naukową. W roku 1829 M. Finlaison ułożył nowe tablice oparte na znacznie mniejszym stosunku śmiertelności. Następnie bliższe badanie przedmiotu przekonało, że ułożenie tablic ogólnych dla ludzi wszelkiego stanu i położenia ścisłych rezultatów dać nie może, i że aby dojść do tego celu, dla każdego stanu, rzemiosła i miejscowości osobne tablice byćby powinny. W ten kierunek zwrócone zostały prace i badania tegoczesne. Najznakomitszą z nich jest praca p. Neisson. Porównywając on stopień śmiertelności ogółu społeczeństwa, ze śmiertelnością ludzi różnych professyj i położeń, doszedł do tego wniosku, iż najmniejsza śmiertelność jest pomiędzy ludźmi klassy pośredniéj, tojest mającemi zapewnione utrzymanie, ale nic więcéj, i że długość życia członków Towarzystwa wzajemnéj pomocy, jest większa od długości przecięciowéj ogółu mieszkańców. We Francyi matematyk Déparcieux jeszcze w r. 1748 ułożył tablice śmiertelności, opierając się na obserwowaniu śmiertelności osób zapisa-

nych do *tontyn* podówczas we Francyi istniejących. Tablice te dotąd są bardzo cenione; one podobno służą za podstawę dla instytucyi ubezpieczeń dożywotnich lub pośmiertnych w naszym kraju istniejącéj.

Niektórzy jednak zarzucają im, iż ponieważ ułożone były na zasadzie obserwacyi śmiertelności u osób klassy wyższéj, gdyż takie tylko do *tontyn* ówczesnych należały, nie mogą z dokładnością służyć, do obliczania śmiertelności w ogóle społeczeństwa, i że ztąd zbyt długi termin życia zakreślają. W liczbie wielu innych tablic późniejszych wyszczególnić potrzeba, jako najwięcéj wziętości mające, tablice p. Montferrand, w r. 1838 ułożone.

Obliczenia przypadków choroby są dla Towarzystw wzajemnéj pomocy ważniejsze od tablic śmiertelności, gdyż jak to późniéj wyjaśnimy, zapewnienie pensyj dożywotnich w pewnych tylko warunkach i przy pomocy instytucyj rządowych (jaką jest we Francyi kassa wsparcia dla starców), przez Towarzystwa wzajemnéj pomocy czynione być mogą. Wsparcie zaś w chorobie jest zawsze jednym z główniejszych celów każdego Towarzystwa wzajemnéj pomocy. W przedmiocie tym Anglicy wyprzedzili znacznie Francuzów. Piérwsze obliczenia w tym celu zrobione były przez cytowanego wyżéj D^ra^ Price. Wyszedł on z zasady, że między chorobą a śmiertelnością u ludzi, ścisły stosunek zachodzi: „ponieważ choroba śmierć sprowadza, (mówi on) musi być między temi dwoma wypadkami stosunek, jaki zachodzi między przyczyną a skutkiem." Obliczenia jego na téj czynione zasadzie, okazały się bardzo niedostatecznemi. Najważniejsze prace w tym przedmiocie podjęli pp. Ansell, Ratcliff i Neisson sekretarzę kilku towarzystw ubezpieczenia. Prace p. Neisson są oparte na obserwowaniu przeszło stu tysięcy faktów, a więc i z tego względu największą mają powagę. Z tablic przez niego ułożonych, wypada przecięciowo na całą ludność Anglii, że człowiek do 10 lat życia choruje 0,46 tygodnia rocznie, do 20 lat 0,83 tygodnia, do 40 lat 0,93 tygodnia, w 50 latach, dwa tygodnie na rok, w 60 cztery, a w 65 ośm tygodni. Następnie czas choroby pomnaża się o siedm tygodni, co każde pięć lat przybyłego wieku, aż do 80 roku życia. Oprócz tych do ogółu odnoszących się wypad-

ków, p. Neisson starał się wykryć liczebne prawa chorobliwości u ludzi żyjących, osobno po wsiach, osobno w mniejszych i większych miastach, osobno nakoniec w kilku różnych stanach i rzemiosłach (1).

Ta część pracy największą jest jego zasługą. Z porównań tych doszedł do wniosku, że stopień chorobliwości po wsiach jest mniejszy, jak w miastach, mianowicie od 23 do 63 roku życia, od 63 zaś do 75, stosunek zmienia się na korzyść miast; lecz po 75 roku znowu na korzyść wsi przechodzi. Stopień chorobliwości w mniejszych miastach, których ludność 30 tysięcy dusz nie przenosi, jest także mniejszym niż w wielkich. Nakoniec badania p. Neisson zaprzeczyły zupełnie axiomatowi Dra Price o stosunku prostym wypadków choroby do śmiertelności. Przekonywa on, że stopień chorobliwości bywa wielki w niektórych miejscowościach lub professyach obok małéj bardzo śmiertelności.

Pan Neisson porównywając owoce swych badań z tablicami używanemi przez wielkie Towarzystwo wzajemnéj pomocy angielskie *old fellows* zauważył, że wysokość składek w tém towarzystwie jest za małą w stosunku do obietnic uczestnikom uczynionych, i że na téj drodze dłużéj postępując, będzie ono zmuszone zlikwidować swoje fundusze. Przestrzeżone przez niego towarzystwo poleciło p. Ratcliff ułożenie nowych tabell. Tabelle te korzystniejsze nieco przedstawiając uczestnikom widoki, są przez znaczną liczbę towarzystw w Anglii używane.

Tak te jak wiele innych tablic tego rodzaju angielskich, różniąc się w cyfrach zgadzają się jednak na następujące wnioski: 1. Że wypadki choroby pomnażają się z wiekiem. 2. Że miejsce i rodzaj zatrudnienia wywierają wpływ przeważny na stopień chorobliwości w każdym wieku człowieka. 3. Że choroby częściéj dotykają kobiety jak mężczyzn, chociaż śmiertelność między kobietami jest mniejsza.

We Francyi poszukiwania zmierzające do oznaczenia stopnia chorobliwości dotąd uczynione, nie mają ważności i gruntowności prac angielskich, wyżéj przytoczonych.

(1) W dziele: *The contributions on vital statistics.*

W roku 1809, Morgue porównywając przez lat pięć liczbę chorych w szpitalach paryzkich z ludnością ubogą tegoż miasta, doszedł do wniosku, że człowiek choruje w przecięciu 7 dni rocznie. De Gerando ilość tę na 8 do 9 dni oznaczył. Dopiéro piérwszy p. Debouteville ułożył francuzką tablicę chorobliwości opartą na tablicy Towarzystwa filantropijnego szkockiego, wprowadziwszy do niéj zmiany z różnicy śmiertelności między Anglią a Francyą zachodzące. Według niéj liczba dni choroby od 26 do 70 lat wieku jest 18 ½ dni rocznie.

Francuzkie Towarzystwa wzajemnéj pomocy trzymają się zwykle przy udzielaniu wsparcia w chorobie, téj praktyką nabytéj reguły, że wysokość wsparcia dziennego nie powinna przenosić miesięcznéj składki przez uczestników składanéj. Zachowanie téj reguły zaleca także komissya nadzorcza, nad temi towarzystwami ustanowiona, w raporcie z r. 1857 cesarzowi złożonym. Z tego krótkiego obrazu zasad, na których opierają się Towarzystwa wzajemnéj pomocy, przekonywamy się, że one nie są instytucyami dobroczynnemi w zwykłém znaczeniu tego wyrazu, bo nie mają na celu bezpośredniego wspierania ubogich przez możniejszych, ale należą do instytucyj zapobiegających nędzy, i w ich szeregu bodaj najznakomitsze trzymają miejsce. Przez szczęśliwą jednak kombinacyą w organizacyi swojéj, dopuszczającą członków honorowych, którzy składki wnoszą, ale z nich nie korzystają, a z resztą na równi z innemi członkami do zarządu towarzystwa należą, podają one możność bogatszym przyczyniania się do zapobieżenia nędzy, co jest najpiękniejszém dobrze zrozumianéj dobroczynności zadaniem, a zarazem zbliżając uboższych do możniejszych, mniéj ukształconych do oświeceńszych, otwierają tym ostatnim pole osobistego wpływu bardzo pożytecznego dla instytucyi i dla ogólnego dobra społeczeństwa. Dzisiejszy cesarz Francuzów, wielki oddawna Towarzystw wzajemnéj pomocy zwolennik, będąc jeszcze prezesem rzeczypospolitéj, powiedział do członków tegoż towarzystwa w Lugdunie te słowa: „Towarzystwa wzajemnéj pomocy, takie jak ja rozumiem, łączą między sobą różne klassy społeczeństwa, usuwają uczucie zazdrości między niemi istnieć mogące, łagodzą w znacznéj czę-

ści skutki nędzy, powołując dobrowolnie bogatszych, aby nadmiarem majątku, a ubożsi owocami oszczędności przyczyniali się do dobra instytucyi, w której pracowity robotnik znajduje zawsze pomoc i opiekę. Jest więc mocno stałym zamiarem dołożyć wszelkiego starania, aby po całéj Francyi upowszechnione były, bo w moich oczach one najskuteczniéj posłużą nie do rozwiązania zadań niepodobnych, ale do wsparcia prawdziwie cierpiących, pobudzając zarówno do poczciwości w pracy i do miłosierdzia w bogactwie,"

ODPOWIEDŹ
NA JEDNO PYTANIE (*).

Zdziwisz się pewnie, kochana siostro, że ktoś nieproszony odpowiada na twoje zapytanie i zdziwisz się jeszcze bardziéj widząc, jak nieudolna ręka bierze się do pióra, które podajesz mistrzowi. Tak jest, pismo, to nie moja rzecz; pierwszy raz w życiu i pewnie ostatni ośmielam się na krok taki śmiały. Ale bo też nigdy nie nęciła mnie tak pokusa, nigdy nie żałowałam tak serdecznie, że Bóg nie dał mi wysokiego polotu myśli i potęgi słowa, jak teraz, kiedym posłyszała szczery głos zbolałego serca wołającego o ratunek.

Ha! serce odezwało się do mnie; więc choć niewprawną ręką, ale z serca odpowiem na ten głos bratni, a ty, nieznana siostro, zrozumiesz mnie i nie będziesz szukać pięknéj pozy w braterskim uścisku, który chcę ci przesłać.

Oh! bolesne, straszne są te rany serdeczne, których ani łzami zalać, ani uśmiechem zakryć, ani modlitwą zażegnać nie można. Boli i boli, i z dniem każdym jakaś

(*) W nr. 113 Tygodnika illustrowanego z r. z., zamieszczoném było *Jedno pytanie*, w którém niewiadoma autorka zapytuje Gabryelę „czy istota, która pierwsza gorzki smak rozczarowania czuć nam dała, jest za to odpowiedzialną? czy ona stanęła na życia naszego drodze jako *fatalizm*, jako *zło konieczne*, czy jako *wina*? Nie chodzi tu o pojedyncze indywidua, ale o pojęcie, o zasadę; nie chodzi o rozczarowanego, ale o to, jak się ma względem niego sprawca rozczarowania. Czemuż to życie nie jest poematem! zdaje się, że ono ma wszystkie dane aby zostało dramatem. Czy w ludziach, czy w sobie szukać do jego rozwinięcia warunków?"

nowa iskra paląca pryśnie ci do serca, to ze wspomnienia, co za tobą zorzą szczęścia jaśnieje, to ze słonecznych nadziei, co gdzieś daleko przed ciebie uciekły, to z łuny pożaru, co żalem i nienawiścią płonie w tobie; a wszystko pada na serce jak na stos ofiarny, gdzie wszystko, co kochane, co marzone, popieleje i ginie na zawsze: ginie razem z tobą. Czujesz, że ciężarem ciała tylko przylegasz martwo do ziemi, a duch twój, co tak błogo marzył, kochał i wierzył, zapada gdzieś w nicość. Nie, siostro, nie patrzmy dłużéj w ten obraz. Tam nienawiść, tam zemsta, tam Boga nie ma; tam człowiek w żywém ciele umiera; taki obraz i takie serce nazywa się piekło.

A czy znasz ty, siostro, starą powieść o tym cudownym ptaku, co piękny w ogniu się kąpał i gorzał póty aż całkiem spopielał, a potém z popiołów jeszcze piękniejszy wylatał pod niebo?

W staréj powieści ptak ten nazywał się Feniksem, nową kolebką jego bywał ogień; w nowéj powieści ptak ten zowie się człowiek, a ogień ten zowie się czyściec.

Człowiek goreje ogniem własnego serca, boleje nad tém, że dawna jego cudna wiara, jego miłość, jego marzenia w popiół się rozpadają; wyrywa się z ognia, przedłuża mękę swoją; pragnie choć cierpieć, byle coś ze swéj dawnéj piękności ocalić: byle nie zniknąć. Ale napróżno męczy się i cierpi, bo dawny człowiek musi, musi się w nim do ostatka wypalić, jeżeli chce odżyć na nowo.

Ach! zawołasz może, czyż w téj ogniowéj kolebce odrodził się światu choć jeden człowiek? Czy podobna przenieść wszystkie męki rozbitego lub zdeptanego serca i złożyć je na nowo tak, żeby w niém miłość i wiara mogły zamieszkać? Z prawdą w sumieniu i z pociechą w sercu odpowiadam ci, można: wielką jest łaska Boska. Byłam umarłą w żywém ciele i odrodziłam się sobie i światu; przestałam wierzyć, kochać, a dziś kocham i wierzę i już się o utratę tych moich skarbów nie lękam. A jak mi teraz w duszy pogodnie, jak mi jasno spojrzéć za siebie i przed siebie, to możesz osądzić, kiedy na wołanie twoje o ratunek, biegnę do ciebie z całą swoją przeszłością, z braterską miłością odszukuję wszystkie zagojone rany serdeczne, i bez bólu, bez zawiści wpatruję się

w nic, ażeby lepiéj poznać, co to się dzieje w duszy mojéj nieznanéj siostrzyczki. Ot tak, przytul swoją stroskaną główkę do mojego serca, a ono ci wypowie swoje dzieje, potém ci wyszepce swoje pociechy; aż w końcu może Bóg da, że i z twojego serduszka dobędzie się głos dobréj woli, wiary i miłości: może twoje łzawe oczęta pogodniéj spojrzą po świecie. Ach! gdyby się to stało, jakżebym była szczęśliwą!

* * *

Ach! żałuj, moja droga, żeś dziesięć lat temu nie znała Feliksa. Ja dopiero od téj chwili zaczęłam żyć prawdziwie, kiedym go poznała. Wyobraź sobie młodzieńca, którego młodość przystroiła w swoje najpiękniejsze klejnoty; gdzie on je zbierał, jak się niemi zdobił, tegom nigdy nie mogła odgadnąć: wiedziałam tylko, że wszystko był winien Bogu i sobie. Sierota od dzieciństwa, w tęsknocie i w pracy zebrał wszystkie skarby ubóstwa i wszystkie siły i nadzieje pracy.

Na czole jego jakąś powiewną chmurką zawisło tęskne marzenie, w oczach jaśniał zapał czystego a mężnego serca, co śmie sięgnąć po wszystko, bo w czystości swéj wierzy, że wszystko co dobre i piękne, to mu się z prawa bożego należy. Młodziuchne czarne wąsiki hardo zawijając się do góry, stały jak dwa szyldwachy przy końcach ust;—a, zazdrościć im takiéj placówki! Gdybyś ty choć raz w życiu widziała takie usta, tobyś od razu zrozumiała wszystkie tajemnice porannéj zorzy, błyskawicy i eolskiéj arfy.

Wyobraź sobie, że mój Felo, poważny jak mąż dojrzały, a piękny jak wiosna, siedzi naprzeciw mnie i słucha uważnie opowiadania naszego starego półkownika. Zwykła chmurka na jego czole groźnie ciemnieje, oczy z jakimś niepokojem przebiegają od ust mówiącego do szaréj wstążeczki na jego piersiach, czarne pierścienie włosów drżą na głowie jak grzywa lwa gniewnego: Felo cały utonął w przeszłości. Oh! dobrze, dobrze, nie spłoszy mojego wzroku, co trwożliwie jak motyl na kwiatku, na nim spoczywa. Półkownik skończył, zadumał się i z westchnieniem wyrzekł:

—Ja od samego początku mówiłem, że się to na nic nie przyda, ale młodzież zawsze jednaka; po mnie inni będą wołać: stójcie szaleńcy! a młodzież szalona ich nie usłucha.

Jaka z tych słów wywiązała się walka strudzonéj i zwątpiałéj starości z młodością pełną zapału i nadziei, jak harmonijnie z każdém tętnem uczucia i myśli cała postać Feliksa to promieniała przyszłością, to tytanicznym porywem groźnie stawała naprzeciw zwątpieniu, ile prawd, ile poezyi słyszałam w jego natchnionéj mowie i widziałam w przelotnéj grze twarzy; tego wszystkiego ci powtarzać nie będę: pamiętam tylko, że z tego wieczoru tajemniczo wyniosłam pytanie, czy Feliks jest mędrcem czy poetą, czy pokusą dla mnie?

Domyślasz się pewnie, żem sobie odpowiedziała: że jest tém wszystkiém razem.

To było piérwsze nasze spotkanie.

Byłam wtedy młodziutką dziewczyną i doprawdy, byłam bardzo dobrém dzieckiem. Kochałam wszystko, co się da kochać, pieściłam wszystko, co wolno pieścić, a modliłam się, a czytałam, a śpiewałam, a śmiałam się tyle, że mi pierwsze lata młodości nieustającém szczęściem i pogodą płynęły. Byłam przytém taka ładna, że najładniejsza na całą okolicę. Ale o tém, tom długo nie wiedziała na pewno, bo chociaż lusterko i moja poczciwa Nastusia mówiły mi w garderobie, żem sobie wcale niebrzydka, ale za to mama ganiła mi zawsze to nosek trochę zadarty, to kibić za niską, i tak przez tę matczyną obawę o moję próżność zawszem wątpiła o sobie: bo już to mojéj kochanéj mateczce wierzyłam na ślepo. I jakże było nie wierzyć, kiedy w mojéj ośmnastoletniéj główce zamęt był taki, żem w niéj ładu dojść nie mogła, a o każdą poważną prawdę, im dłużéj pytałam sama siebie, tém bardziéj błąkałam się w labiryncie zaczarowanych pałaców, z których dopiero mama wyprowadzała mnie na świat rzeczywisty.

Pamiętasz, przez jakie to kryształowe krużganki i słoneczne blaski wyobraźnia wprowadza nas w życie? Kiedy nareszcie o krótkiéj sukience nikt ci już nie wspomina i na uroczystych imieninach w sąsiedztwie wszyscy

wyrywają cię sobie z rąk do rąk w mazurze, wtedy śmiało już powiadasz sobie: jestem, żyję.

Po takiém piérwszém poczuciu swojego bytu w świecie, zaczęła się moja bałamutna wędrówka myśli po zaczarowanych pałacach przyszłości. Marzenia moje nie biegały już odtąd między kwiatkami i ptaszkami jak dawniéj, ale zwoływały do mnie cudnych rycerzy i królewiczów, co ukradkiem wymykali się z dawnych bajeczek piastunki, z przeczytanych powieści i poematów, i odświeżywszy się w sposób odpowiedni do potrzeby, przybrawszy się dla niepoznania w szaty niby rzeczywistego życia, biegli do mnie otoczeni gronem moich serdecznych przyjaciółek. Myśl moja przerzucała ich w oka mgnieniu z miejsca na miejsce, ze smutku w wesele, z cnoty w cnotę, ze zgiełku zabaw w jakieś samotne ustronie, gdzie już nie wrzawą uciechy, ale szeptem pieszczoty dolatywały mnie słowa miłości, przysięgi, szczęścia. A nad wszystkiemi tysiącznemi zmianami w kalejdoskopie mojéj wyobraźni bywało zawsze tak jasno, tak pogodnie, że mi się aż serce z piersi wyrywało, żeby téż prędzéj zstąpiły na świat widome te cuda przyszłości; żeby téż prędzéj zobaczyć tego mojego królewicza, któremu wymarzyłam już i serce ogniste, i umysł genialny i głos grzmiący do rozkazu, a pieszczony do pieszczoty: tylko twarzy jego nie mogłam dopatrzéć w żadném marzeniu.

Nie sądź jednak po tém rozmarzeniu mojém, żeby ono miało być skutkiem zaniedbania poważnego kształcenia umysłu. Przeciwnie, sięgałam po wszystko, co tylko piękne i wzniosłe, a nawet wykradałam ojcu grube tomy, o których mawiał, że to nie dla kobiét pisano, i byle tylko nie było w nich matematyki, łamałam sobie głowę póty, pókim nie rozplątała tajemniczéj siatki myśli. Właśnie téż te studya pokątne doskonale mi posługiwały przy budowie babilońskiéj wieży przyszłości, ztamtąd brałam materyał na rusztowania i na wiązadła, ile razy mi w jakim zaczarowanym pałacu nie szła robota. Gdybym téż nie miała takiéj dzielnéj pomocy w swoim rozumku, nie byłaby mama miała tyle kłopotu z przerobieniem moich pojęć o świecie i o życiu. Dopieroż to biéda była i żal serdeczny, ile razy przyszło zamieniać moich królewiczów na prostych szlachciców, co to niby dobrze robią,

że jak umieją tak Pana Boga chwalą, na chleb pracują, kochają żony i dzieci i na żywot wieczny sobie zarabiają nie awanturując się zbytecznie w żywocie doczesnym. A jak to bolało, kiedy wypadło obcinać moje górnolotne skrzydła i z chmur przyszłości, z gwiazd wymarzonego życia zstępować na ziemię i ujrzéć się odrazu przy kredensie, albo w oborze przy krów dojeniu. Ach! ja tak lubiłam piec bułki na mleku i smarzyć przeróżne konfitury, ale żebym marząc o przyszłości, miała w myśli przeprowadzać uroczyście ogórki z własnego ogrodu do beczki, i myśléć, że z namaszczeniem małżonki będę grubo watować szlafrok dla męża; oh! z tém okropnie trudno mi się było pogodzić.

Ile razy wyobrażałam sobie tego mojego, którego nie umiałam nazwać, tom siebie przy nim widywała tylko wtedy, kiedy go będę słuchać mówiącego w jakiém wielkiém kole poważnych obywateli, co chwytać będą każde jego słowo, a mnie serce będzie rosnąć ze szczęścia i dumy; albo kiedy siedzącemu na dzielnym koniku podam ostatni raz małego Władzia do pożegnania. A kiedym chciała pomyśléć coś nakształt scen Odyssei, tom klęczała z trwogą i z nadzieją po całych dniach i nocach przy jego łożu, a on mnie słabnącym głosem pocieszał, i nawet gdy chory, mężniejszy odemnie dodawał otuchy wątłéj niewieście. To téż ile razy odważyłam się pogwarzyć z mamą o moim królewiczu, zawsze kończyło się na tém, że rada nie rada, musiałam zamilknąć i wysłuchać konkluzyi: „moja Helenko, życie nie jest bajeczką ani poematem, w życiu jest tylko praca, dla męża miłość i posłuszeństwo, dla ludzi przyjaźń i czasem chwilka uciechy, a resztę Bogu trzeba polecić i nie piąć się próżno do siódmego nieba". Mnie się po tych słowach nieraz serdeczne westchnienie z piersi wyrwało, ale jak mi kochana mateczka głowę do piersi przytuliła, a jeszcze w czoło pocałowała, tom już gotowa była nietylko zejść z marzeń na ziemię, ale nawet uwierzyć wszystkiemu i za jéj głosem pójść wszędzie gdzie każe.

* * *

Przy takim stanie umysłu i serca spotkałam piérwszy raz Feliksa. Mojemu wymarzonemu królewiczowi

brakowało twarzy: Feliks był piękny, a w oczach jego i w słowach przeczułam treść swoich dawnych marzeń: mój królewicz odział się więc w postać Feliksa.

Możesz sobie wyobrazić, jaką on biedak musiał szaloną wędrówkę odbyć w mojéj myśli przez te kilka godzin, kiedym zasnąć nie mogła i widziałam go na wszystkich szlakach marzenia. Nazajutrz dowiedziałam się, że się mamie podobał, bo mówiono o nim powszechnie, że jest chłopiec ukształcony, pracowity i moralny; ojciec pochwalił jego zdanie o koniecznéj potrzebie zamienienia w naszéj Wulce czteropolowego gospodarstwa na sześciopolowe: nic mnie więc już nie krępowało w pokusie pokochania go całą siłą świeżego serca. Zaraz też znalazłam w swojéj erudycyi, że Feliks znaczy po polsku szczęśliwy, co miało być dobrą wróżbą dla mnie i dla niego; z galeryi znakomitych ludzi spoczywających w mojéj pamięci, wybrałam czterech najsympatyczniejszych, którzy razem wzięci dopiéro zrównoważyć mieli tę doskonałość, do jakiéj Felo kiedyś dojdzie, a dla któréj posiada wszystkie odpowiednie warunki. Tak zdobiąc go sobie w chwilach samotności, przekonywałam się potém naocznie, że te wszystkie piękności i jasności tak doskonale do niego pasują, jak gdyby z niego były zdjęte.

Pokochałam go też, ach! pokochałam tak, jak to mówi owo stare porównanie: jak Bóg dobrą duszę. On mnie także pokochał, coraz częściéj w naszym domu bywał: nareszcie oświadczył się mnie i rodzicom. Moje marzenia miały się więc spełnić naprzekor wszystkim teoryom o praktycznym świecie.

Dni szczęścia nie będę ci opisywać: odczytaj je we własnych wspomnieniach. O piérwszych wrażeniach młodości rozpisałam się obszerniéj dlatego, ażeby nam łatwiéj było rozpoznać tajemniczą drogę życia, gdy będziemy wiedzieć zkąd wyszłam i gdziem się potém znalazła.

We dwa lata po owém pierwszém spotkaniu, Feliks mieszkał niedaleko Wulki w sąsiedniéj wiosce, którą dzierżawił, kochany i szanowany w całéj okolicy, ubóstwiany przezemnie, bywał codzień prawie w domu rodziców moich. Dzień ślubu naszego już był oznaczony

i miał się odbyć za kilka miesięcy. On domek odświeżał i urządzał, matka moja cała zajęta była wyprawą, a ja, to właśnie trudno określić com ja wtedy robiła, o czém myślałam? Byłam szczęśliwa: w myśli szczęśliwa, w sercu szczęśliwa, w modlitwie—szczęśliwa: szczęście zalało mnie tak, że tylko to jedno uczucie brzmiało w duszy mojéj.

Myślałam tylko o narzeczonym: on był moją wiarą, moją miłością, moją nadzieją, mojém wszystkiem. Czasem, kiedym z trwogą pomyślała, że śmierć, albo źli ludzie mogliby mi go zabrać, to mi na chwilę aż serce drętwiało od trwogi; ale wnet z dziecięcą ufnością myślałam: nie, to być nie może: on mój, mój, niczyj więcéj: ani nikt z ludzi, ani śmierć nawet nie ma prawa do niego. Zwątpienie o jego sercu nigdy ani cieniem przez myśl mi nie przeszło: prędzéjbym była o sobie, o matce, o Bogu nawet, niż o nim zwątpiła.

Że od jakiegoś czasu jego pogodne czoło częściéj drgało tajonym niepokojem, że czasem zamyślony, z wzrokiem gdzieś w pustéj przestrzeni utkwionym, milczał i rękę moją z swéj dłoni mimowolnie wypuszczał, tom sobie tłumaczyła, że on biedak tyle ma kłopotów z urządzeniem nowego gospodarstwa i domu: więc nic dziwnego choć się tak ciężko zaduma. A kiedy po długiém milczeniu zmarszczył brwi i splotłszy palce wyciągnął ręce przed siebie potrząsając głową jakby z niéj chciał jakiś ciężar zrzucić, tom go tylko z trwogą badała czy nie chory, czy mu się co złego w domu nie wydarzyło, i spojrzeniem błagałam jego oczy o wesoły promyk.

Poczciwy mój Felo, wtedy jak dziecko posłuszne, nastrajał usta do śmiechu, choć go słuchać nie chciały i ściskał moję rękę tak, że mi nieraz aż palce pobladły, a potém zrywał się nagle i przypomniawszy sobie jakąś bardzo pilną sprawę do załatwienia w domu, odjeżdżał po krótkiém pożegnaniu. A mnie żal było i jego chmurnéj twarzy, i tego, że tak prędko odjechał, i najbardziéj tego, że mnie tą razą nie nazwał żadném świątecznem imieniem.

Bo dla niego nie nazywałam się chrzestném imieniem, tylko stosownie do tego, pod jakiém wrażeniem zostawał;

patrząc na mnie, nazywał mię: „moja dobra, moja śliczna, moja jasna;" a tak mi zawsze trafił na imię, że w tém jedném słowie mogłam całe jego serce jak w zwierciadle widzieć.

Ale czego nie dopatrzą nawet oczy kochanki, to serce matki przeczuje. Moja mateczka jakoś posmutniała; często patrzyła na nas badawczo i wieczorem dłużéj się niż zwykle modliła. Aż raz po takim nagłym odjeździe Feliksa, kiedym ja stojąc przed domem ścigała go oczyma w zmroku wieczornym, matka niby zniechcenia, ale drżącym głosem zapytała mnie:

—Czyście wy się, dzieciaki, posprzeczali z sobą?

—Ach! gdzież tam! wszakże my jedną duszą w dwóch ciałach żyjemy.

—A czemuż Feliks taki był smutny i milczący? Nie mówił ci nic? Może jaka szkoda w gospodarstwie?

—Nie mówił: on się nigdy na nic nie skarży, choć pewnie nieraz dobrze skłopotany. Ale on taki dobry, że nie chciałby mnie ani na chwilę zmartwić.

—Spróbuj go wybadać jak przyjedzie. Ja się dowiadywałam przez naszych ludzi, czy tam co złego nie zaszło; ale mi powiedzieli, że wszystko dobrze idzie. Zapytaj go wreszcie otwarcie co mu jest; możeby się co na to poradziło: przecie nas powinien jak własnych rodziców uważać.

I po tych słowach mateczka wpatrzyła się we mnie tak, aż mi serce zadrżało niewiedzieć czemu. Com ja się téż téj nocy napłakała! nie z obawy o swoje szczęście, ale dlatego, że mama mówiła o Feliksie tak jak o zwyczajnym człowieku, o którym można dowolnie różne domysły tworzyć.

Nazajutrz, ledwie jego konik wysunął się z lasu, wybiegłam przed dom radując się myślą, że jak mnie Felo zobaczy, to lotem ptaka przyleci. Ale powiewam chustką i klaszczę w dłonie, a on powolnym stępem posuwa się poważnie i przypatruje się pszenicy przy drodze. Schowałam się naprzekorę do domu i dopiero kiedym usłyszała jego kroki w pokoju, zerwałam Zosi, mojéj młodszéj siostrze, wianek habru z głowy i ubrawszy się w niego, wybiegam przyśpiewując jego ulubioną piosnkę.

„Na środku pola—Stoi topola" i staję w progu wołając: dokończ! A on zamiast odśpiewać mi: „Powiedzże mi, moja luba, jaka twa dola?" z dziwném uśmiechem odpowiedział: „za topolą habry rodzi jałowa rola."

Serce mi zadrżało tak jak wczoraj po zapytaniu matki; ale z wesołą twarzą witam go i poprawiając wianek na głowie, mówię śmiejąc się:

—Ciekawam, jak też ja się dzisiaj nazywam?

—A cóż? Helena, tak jak wczoraj i jak jutro.

Łzy mi się w oczach zakręciły i z wyrzutem wpatrując mu się w oczy, z których pragnęłam najskrytszą myśl wyczytać, zawołałam:

—Niedobry! Tobie coś jest, a mnie nic nie mówisz: martwisz się sam, bezemnie.

—Dziecko! nic mi nie jest. A, prawda: deszcz zmoczył mi w nocy koniczynę na pokosach.

—Wielka rzecz! Deszcz zmoczył, to słońce wysuszyło; żeby się też zaraz tak martwić i takim złym przyjeżdżać! Czy to my na naszém gospodarstwie tak po każdym deszczu będziemy sobie psuć szczęście? Oh! toby nam strasznie smutno było.

—Nie bój się, będzie nam wesoło: kupiłem dwie beczki wapna, każę izby wybielić, a jeżeli chcesz, to jeszcze kupię minii i każę pomalować czerwone lampasy: cały dom będzie się uśmiechał. A i meble obstalowałem z czerwoném pokryciem.

—Daj pokój, nie mów tak do mnie!

—Nie wierzysz? daję ci słowo: czerwony adamaszek wełniany, w bardzo dobrym gatunku.

Rozpłakałam się ulewą łez. Biedny chłopiec łajał się i targał wąsy tak, że aż ja musiałam przed nim w jego własnéj obronie stanąć, prosząc go żeby się na mojego króla nie gniewał.

—Jak ty się możesz gniewać na mojego złotego Fela? Ty chyba nie wiesz kto on jest?

I z roskoszą wysypałam przed nim cały skarbiec klejnotów i barw tęczowych, w które stroiłam go w duszy. Słuchał, a czoło mu drżało i oczy dziwnym bólem

pałały; wreszcie stłumionym głosem i jakby sam siebie nie słysząc, wymówił;

—Teraz ty daj pokój, bo ja będę płakać. A prawdę mówisz, to był śliczny chłopiec.

—Kto? Czy ty nie wiesz o kim ja mówię?

—Wiem.

I zaraz zaczął opowiadać jakieś sąsiedzkie nowiny, do których i ojca i matkę i Zosię nawet zwabił, a tak mu żal było opuścić najmniejszy szczegół, że na cały wieczór starczyło rozmowy dla wszystkich. I pożegnaliśmy się jak z codziennym gościem, ale gościem.

Odtąd co chwila jakieś nowe widma powstawały w mojéj myśli; w głowie bywało mi tak ciężko, a tak pusto, żem nie mogła nigdy pomyśleć o tém, o czém chciałam, tylko mi szalonym zawrotem migotały przed oczyma wszystkie wykochane, wypieszczone, czarowne pałace przyszłości; a co się który przesunął, to po nim ciężéj w głowie było, jak gdyby się tam w gruzy rozsypał. Rachowałam godziny, minuty do przybycia Feliksa, a kiedy już wszedł, tom się go bała i nie śmiałam ust otworzyć, i strach mi było usłyszéć co on powié? jakim głosem? W najsłabszych pozorach, z całą podejrzliwością bojaźni dopatrywałam wszędzie jakiś zamach na moje szczęście.

On tymczasem jak mógł, wypogadzał twarz, mówił głośniéj niż zwykle, jak gdyby chciał sam siebie zagłuszyć; to znów milczał upornie i patrzył posępnie i pasował się sam z sobą, a pragnąc mnie zadowolnić, powtarzał słowa miłości, któremiśmy dawniéj mawiali. Lecz mimowolnie często pomiędzy wyrazy, które wprzód z uroczystém przejęciem wymawiał, wpadało mu jakieś szyderstwo, z którego się wydobywał i znów wpadał w inne.

Pamiętam, jak raz odjeżdżając do domu, jednym rzutem wskoczył na konia i szarpnąwszy cugle, uderzył biednego kasztana tak, aż szpicruta w kawałkach na ziemię upadła. Koń zerwał się jak szalony, po kilku skokach osadził go na miejscu; wolniutko przejechał przez dziedziniec a dojechawszy do drogi, jak strzała puścił się galopem.

Nazajutrz kiedy z trwogą pytałam go, czy go kasztan gdzie w drodze nie zrzucił i litowałam się nad biednem

zwierzęciem, odpowiedział mi, że mu zazdrości tego uderzenia i tego szarpnięcia munsztukiem.

—Jakto? zazdrościsz mu: jego to pewnie okropnie bolało!

—Tak, ale czuł, że go boli i miał się na kogo gniewać.

—A czy tobie nie lepiéj z uczuciem szczęścia i z tém że masz kogo kochać? Wszakżeś ty szczęśliwy, bo kochasz! Wszak kochasz? Powiédz: wszak kochasz?

—Droga moja, nigdy tobie nie skłamałem i nie skłamię, choćbyś ty nawet tego chciała.

—Więc powiedz: kochasz?—co?—kochasz?

—Ja nie wiem! wiem tylko, że chcę cię kochać. Tak, chcę i będę kochać! Chybabym nie żył!

Czułam, że świat mi się z pod stóp usuwa: w oczach mi się zrobiło ciemno, słowa nie mogłam wymówić, tylko łkaniem wyrywało mi się z piersi: chce kochać,—będzie kochać.

Kilka chwil przetrwaliśmy tak w milczeniu, aż Feliks schwyciwszy głowę w obie ręce wyszeptał sam do siebie:

—To zbrodnia, to zbrodnia!

Jego głos oprzytomnił mnie dopiero: w jednéj chwili tysiące myśli i uczuć zatrzęsły mną, i głosem powolnym, stanowczym wymówiłam:

—Biednyś ty! biedniejszy odemnie! Dobry mój, chcesz mnie kochać! każesz sobie kochać! Biedny! nie męcz się: to nie zbrodnia. Nie kochasz mnie: żegnam cię, a Bóg mi świadkiem bez zawiści w sercu.

Oh! ciężko to wymówić słowo rozstania, ale cięższe jeszcze to jutro co przychodzi po rozstaniu; to jutro, w którém na pociechę sobie już nawet łudzić się nie możesz i już niczego spodziewać się nie wolno. A tych pustych i ciemnych dni widzisz przed sobą takie długie pasmo, że jak zechcesz zmierzyć je myślą, to aż wieczności sięgniesz i nie dopatrzysz końca, tak jak nie dojrzysz dna przepaści gdy nad nią staniesz.

* * *

Co zostaje w sercu po złamaném uczuciu? To samo uczucie na wspak odwrócone. Dobra, jasna, kochająca

strona serca zamiera, a wszystko co ujemne, co złe i szpetne, to żyć zaczyna: wzmaga się, rośnie, olbrzymieje.

Fatalność jakaś pędzi cię wtedy po téj saméj drodze, po któréj niegdyś tak błogo było iść do szczęścia. Z żalu przechodzi się w rozpacz, z niechęci w nienawiść, z poczucia krzywdy w pragnienie zemsty; aż się nareszcie serce całkiem zaleje rozpaczą i nienawiścią tak samo, jak wprzód pełném było szczęścia i miłości. A im większém było szczęście twoje, tém bardziéj boleć będziesz po jego utracie; im silniéj kochałaś, tém zapamiętaléj będziesz nienawidzieć; im ufniéj wierzyłaś, że Bóg ma w szczególnéj opiece twego ukochanego, tém zuchwaléj będziesz wyzywać pomsty na wiarołomcę. Wszystko, coś zebrała do serca na szczęście, na ukochanie, na siłę, to wszystko się przeciw tobie obraca i pokutuje w twojéj duszy i prześladuje cię za niespełnione marzenia, za skłamaną przyszłość, za zmarnowane skarby uczucia; a cały ten korowód pokutniczy wlecze się wszędzie za tobą istnie jak cień zabitego za mordercą.

Serce, co spotężniawszy wiarą i miłością, zczerniało potém zawodem i nienawiścią, to jak wróg w domu wychowany: zna doskonale wszystkie twoje skarby i nie przepomni o niczém, co było ci miłém a co ci można na większą boleść odebrać. Więc po rozbiciu twojego największego ukochania i twojéj najsilniejszéj wiary, zagarnia w obojętność lub w nienawiść wszystko inne, tak, że nareszcie zostajesz w życiu samotna, uboga, ze wszystkiego odarta; patrzysz na życie i na świat jak na gruzy, z których już tylko pamięcią wywołujesz piękności i szczęście, ale z których już nic dla swéj przyszłości złożyć nie możesz.

Jak długo przetrwałam w takim stanie, nie wiem. Cierpiąc nie dbałam o czas, a późniéj nie chciałam nigdy przetrząsać do obrachunku tych ciemnych dni, co jak łachmany nędzy wlokły się niedbale, nie zostawiając po sobie żadnych takich wrażeń, coby mogły spaść w serce do tego skarbca, który z ziemskiego życia do wieczności przenosimy. Com przez ten czas robiła? trudno określić. Drażniłam się z sercem własném i czém mogłam tylko, poruszałam krwawiącą ranę, ażeby choć w bólu czuć życie.

Marne takie życie. Czytałam wtedy wiele i to mądrych rzeczy, a niczegom się nie nauczyła; próbowałam nawet pisać, i popsułam tylko dużo czystego papieru. Śpiewałam same rozpaczliwe wyjątki z oper i ballady o wiarołomnych kochankach, aż mi obrzydły wszystkie pieśni, bo mi każdy głos ludzki i ptasi powtarzał wiersz ze Świtezianki: „Oj! biada temu, za życia biada i biada jego złéj duszy."

Rodzice chcieli mnie rozerwać, rozbawić; więc mnie wozili po różnych widowiskach i zabawach, a ja wszędzie znajdowałam coś takiego, co podrażniało mi serce na nowo. Wszędzie widziałam tylko złe i winowajców: cudze szczęście wydawało mi się kłamstwem; co inni nazywali wzniosłem, to dla mnie było śmiesznem; a już najsurowszą byłam dla swoich rówieniczek, z których każda wydawała mi się podejrzaną o odebranie mi mojego Feliksa. Nawet ile razy moja młodziutka siostra Zosia, zaszczebiotała do mnie o swoich marzeniach, tak jak ja dawniéj do mamy, to mi się zdawało, że ona szydzi ze mnie, że mi wykradła moją przeszłość z serca i tacza ją przedemną jak popsute cacko.

W takim stanie zastał mnie cios straszny, który dawniéj spadając byłby mnie wstrząsnął piorunową siłą: moja kochana matka umarła. Przez czas jéj choroby byłam prawdziwie niezmordowaną, nienasyconą w staraniach około jéj zdrowia; z najsubtelniejszą pamięcią uczucia otaczałam ją wszystkiem, na co się tylko serce zdobyć może, a jednak pamiętam, że choć gwałtem chciałam żal i trwogę z głowy do serca napędzić, czułam, że serce moje zdrętwiałe było i nic w niego wsiąknąć nie mogło. Śmierć matki była dla mnie jakby uderzeniem, co wstrząsnęło wszystkie struny mojéj myśli; serce mnie tylko fizycznie bolało. Zachorowałam na bicie pustego serca, tak samo jak się choruje na katar.

Feliksa przez cały ten czas nie widziałam ani razu; wiedziałam tylko, że się nie ożenił, że mieszka w sąsiedztwie tak jak dawniéj, że do kościoła jeździ do miasteczka, ażeby mnie w parafii nie spotkać, i że się zamknął u siebie tak, że z nikim prawie nie żyje. Piérwszy raz zobaczyłam go przy grobie matki. Piękny i straszny był wtedy, gdy

ze łzami w oczach rzucał garść ziemi do grobu, a tak oczyma przyległ do trumny, jakby u zmarłéj przebaczenia błagał. O! to już nie był ten człowiek, któregom w dniach szczęścia widywała, choć jak dawniéj piękny; ale ta twarz, którą dawniéj młodość i szczęście wdziękiem i nadzieją wiosny pogodnie rozpromieniały, teraz dziwnie jakoś była zaćmiona, jak zwierciadło kiedy się parą pokryje i martwém szkiełkiem się stanie.

Zdziwiłam się późniéj sama sobie, że widok jego nic a nic mnie nie wzruszył, jak gdyby to był całkiem obcy człowiek, jak gdyby pomiędzy nim a moim dawnym Feliksem nic wspólnego nie było.

Po śmierci matki cały ciężar domowego zarządu spadł na mnie. Przy pracy mniéj miałam czasu na drażnienie się z sobą, i bywały już dnie, w których życie moje zaczęło się wtaczać w tę głęboko wyrzniętą koléj gospodarskich zajęć, gdzie myśl nie sięga daléj jak do obory, i nie głębiéj jak do piwnicy. Ale za to, kiedy w chwilach wolnych od zatrudnień pozwoliłam sobie zagłuchnąć i zaślepnąć na wszystko, co mnie otaczało, i zeszłam do swoich skarbów zaklętych w przeszłość, a zbogaconych świeżą mogiłą matki, wtedy nic w świecie nie mogłoby mnie wyrwać z zadumy i przypomnieć mi że żyję.

Dziwne też to serce ludzkie. Po śmierci matki zaczęłam ją kochać tak, żem ją czuła w sercu, na co nie mogłam się zdobyć w czasie ostatnich dni jéj życia. Jak się to stało, nie wiem; ale wspomnienie umarłéj było pierwszém mojém ukochaniem w nowém życiu. Ha! kto wie? ona mnie tak bardzo kochała, a świętych obcowanie, to największy skarb naszéj wiary.

* * *

Na samotnych dumaniach o przeszłości, które się zwykle kończyły rzewném wspomnieniem matki, schodziły mi nieraz całe godziny.

Pamiętam, raz, był to wieczór wiosenny, pogodny, cichy jak sen młodości, taki sam wieczór jak wtedy, kiedy razem z Feliksem, na téj saméj ławeczce w ogrodzie marzyliśmy o szczęściu: kukułka tak samo odzywała się niedaleko, drzewa tak samo drżały lekko liśćmi i kwiatem

i zdawały się szeptać między sobą o szczęściu, a w stawie gwiazdy odbijały się objawieniem nieba na ziemi. Zdawało mi się na chwilę, że wszystko co się później stało, to był tylko sen przykry. Nieśmiało spojrzałam w niebo, chmurka przesunęła się szybko i zasłoniła gwiazdę, w którą patrzyłam; odezwała mi się myśl dziecięca, że to pewnie dusza jakaś po niebie przelata: może dusza mojéj matki.....

Za tą myślą o umarłéj, przyleciały do mnie wszystkie mary minionéj przeszłości, wszystko co było szczęściem, a jest wspomnieniem, i bez słów, bez obrazów zlało się to w duszy mojéj w jedne wielką chmurę, co mi wszystkie gwiazdy przesłoniła i ciężko mi się zrobiło na sercu, i tęskno za tém co minęło, i tęskno z szumem drzew, co mi żale jakieś szeptały, i tęskno z kukułką, co się naigrawała nademną. A tak mi cicho i martwo było w tém dumaniu, jak gdybym sama jedna była na świecie.

Wtém od domu doleciał mnie srebrny głosik mojéj Zosi, co samotna także, tęsknie zanuciła sobie:

„Ach! powiedz mi co to życie, archaniele mój."

i na tém przerwała, a głos jéj jakby wszystek wpadł do duszy mojéj: tak mi to pytanie rozebrzmiało po wszystkich zakątkach myśli i uczucia. Cała przeszłość moja pytała, co to życie? i serce bolejące ranami pytało, co to życie? i duch mojéj matki pytał, co to życie?.... Aż łkając od płaczu, rzuciłam ku niebu pytanie. Ach, powiedz mi, co to życie, archaniele mój!

I archanioł mój wysłuchał mnie, i odpowiedział mi, bo pierwszy raz wtedy ujrzałam, że życie, to każda chwila moja, każda zła czy dobra, miła sercu czy bolesna. Że moje młodociane marzenia to było życie, że potém szczęście moje było także życiem, że moje łzy i cierpienia to także życie. Tak, te wszystkie różnorodne chwile, to jakby paciorki jednego różańca. Czemuż to mój różaniec tak mi się rozsypał, że każda perła prysła osobno, to w zapomnienie, to w szczęście, to w żal, żem aż nie mogła poznać, iż to jednego życia różne chwile! Czemu to moje życie tak nic a nic nie podobne do marzeń? Czemu się ono nie stało ani urzeczywistnieniem marzenia, ani nawet tą znośną, choć zimną praktyką, o jakiéj mi matka mówiła?...

O! długo, długo myślałam nad tém i nieraz jeszcze błagałam w modlitwie mojego archanioła i matkę o odpowiedź; aż nareszcie zdobyłam ją na silną wiarę i na pociechę dla siebie i dla ciebie, nieznana siostro.

Czemu życie moje nie wyśpiewało się poematem, lecz splotło się we wszystkie warunki na to, by zostać dramatem? Czemu ten straszny fatalizm zdmuchnął z duszy mojéj motyli rój marzeń i słoneczny blask zapału? Czém było? czém jest? czém się stanie jeszcze życie moje?

Było, jest i będzie dla mnie tém, czém mądrość Boża uczyniła je dla wszystkich braci moich. Życie nie jest niczém inném, tylko życiem: jest doczesną odzieżą ducha, co zstąpił na ziemię po to, by prawo Boże wypełnić. A prawo to tak jest widoczném, tak głośno daje świadectwo o sobie zarówno na życiu milionów jak i jednostek, na stuleciach całych i na dziesiątkach lat człowieka; zewsząd woła ono na mnie: jesteś człowiekiem na obraz i podobieństwo Boże, będziesz stwarzać świat mocą woli własnéj.

Więc duch mój chwyta wątki rozliczne, to z nieba, to z ziemi i przędzie z nich włókna, co się mają spleść w jednę całość i stać się odzieżą myśli Bożéj, życiem mojém.

Wolno ci, człowiecze, wybierać co zechcesz: czy złote włókna w niebie pochwycone, czy zgrzebną przędzę poziomo rosnącą przy ziemi; wolno ci się odziać w świąteczną purpurę, którą jaśnieć będziesz nad innemi, i wolno chodzić w codziennéj siermiędze. Tylko nie wolno ci igrać z życiem, chwytać swawolnie wszystko co ci się pięknem wyda, czepiać, gdzie tylko dosięgniesz, luźne siatki pajęcze jak na igraszkę i odbiegać od nich gdzieindziéj i znów gdzieindziej.

Życie w ideale, to jak owa Chrystusowa sukienka nieszyta, któréj żołdacy nie mogli rozdzielić, bo była jednolitą. Tak życie drobnemi oczkami splata się z marzeń, uczuć, myśli i pracy; zerwiesz-li jedno oczko téj sukienki, już ci się cała rozpada.

Ja młodzieńczym duchem chwytałam purpurowe i słoneczne włókna, co mi natchnieniem z lepszego świata spływały i w marzeniach rozpinałam z nich pajęcze siatki,

ciesząc się ich barwą tęczową. A kiedy mi matka marzyć zabraniała i mówiła, że życie moje ma być pasmem dni powszednich, tom opuszczała ręce i z pokorą czekałam, rychło-li czas przyniesie gotową siermięgę i wdzieje ją na mnie. Kiedym z nauki i z pieśni zdobywała prawdę i wzniosłość, co niby barwnemi perełkami wplatać się miały w nieszytą sukienkę moją, tom je składała do duszy jak do skarbca na zamknięcie. Do serca mego zstąpiło szczęście, miłość, co nowym blaskiem miała rozjaśnić życie moje i rozświetlić wszystko co ciemném było; ja z miłości uprzędłam nową siatkę pajęczą i zawiesiłam ją między niebem a ziemią, i z rozkoszą w nią się wpatrywałam; stworzyłam tak nad sobą i wkoło siebie niby całą galeryę luźnych obrazków, z których każdy innéj był treści.

A teraz smutno mi i bolesno w duszy, że te moje cudne siatki porwały się i uleciały każda w inną stronę i nie ma w co przyodziać biednego życia. Marzenia stały się marą, co przed rzeczywistością ucieka, a nawet téj siermięgowéj codziennéj praktyki nie starczyło dla mnie.

O! te prawa Boże tkwiące w duchu naszym, to najstraszniejszy fatalizm. Wolno ci, człowiecze, swoje dzisiaj z czego zechcesz złożyć, ale musisz, musisz przyjąć to jutro, co z niego wyrośnie.

* * *

To odkrycie było piérwszą moją pociechą, po któréj otworzyło mi się serce dla bliższych, dla tych, którzy ciągłém obcowaniem wplatali się w życie moje. Ach! z jakąż ja radością myślałam wtedy, że moją kochaną Zośkę osłonię swojém doświadczeniem od tych klęsk, przez jakie sama przeszłam, że jéj marzenia się spełnią, że jéj się życie nie porwie na szmatki złotolitych tkanin nadziei i ciemnych całunów zawodu! Ona téż całym ogniem młodego serca przylgnęła do mnie i marzyła dzieweczka i budowała kryształowe pałace przyszłości, słowo w słowo tak samo jak ja kiedyś. Pracowałyśmy téż razem nad tém, jakby te jéj czarodziejskie budowy podeprzeć rzeczywistością i życiem w nich zamieszkać.

Ale zostawało mi jedno jeszcze pytanie, co mnie jak widmo prześladowało i stawało pomiędzy mną a świa-

tem i ostrzegało, nie kochaj, nie wierz, bo będziesz zdradzoną. Walczyłam sama z sobą i nie mogłam rozwiązać pytania, czy dlatego, że moje serce nie wierzy ludziom i z miłością do nich nie biegnie, więc Zosię mam zakuć w potworny pancerz niewiary i obojętności? Czy lepiéj dla niéj wyrzec się raju, niż być w nim na krótko, a potém zostać z niego wygnaną? Feliks był taki szlachetny, taki jasny, a zdradził. Kiedy on złamał wszystką moję wiarę i zabił we mnie miłość: czy wiara nie jest naiwnością, a miłość marą? Ta myśl dręczyła mnie i bólem złamanego życia dla siebie i trwogą braterskiego serca dla siostry, któréj chciałam matkę zastąpić.

Jak się to często zdarza, tak i tą razą znalazłam odpowiedź między wielkiemi prawdami, na które mniéj zwracamy uwagi dlatego, że wielkie a powszednie, a tak już oklepane, że ich się już tylko dzieciom każemy uczyć. Gdyby nie mały Wojtuś, syn wyrobnicy, którego Zosia uczyła katechizmu i czytania, możebym była jeszcze długo męczyła głowę nad zagadką. Chłopczyna tępéj był pamięci, więc wbijał sobie każdą zadaną lekcyą, w głowę jak gwóźdź w ścianę; siadł też raz pod oknem mojego pokoju i ucząc się przykazań Boskich z jakiegoś starego elementarza, ciągle powtarzał mi nad uchem:

— „Piérwsze, nie będziesz miał bogów cudzych przedemną, a to jest najpiérwsze i największe przykazanie". I te wyrazy monotonnie, natrętnie jak skrzypienie okiennicy, powtarzały się póty, aż mnie określiły jakiémś czarnoksięzkiém kołem, i powtarzałam je razem z Wojtusiem i w takt za niemi poruszałam igłę, i wypłoszyły mi wszelką myśl z głowy.

Wojtuś nauczył się przykazania i daléj przeczytał:

—„Pytanie,— co się ma rozumieć przez to przykazanie"?

— I ja także zapytałam siebie, jakich to cudzych bogów mieć nie wolno? zkąd obce bogi mogą powstać w sercu człowieka? Bóg jest prawdą, miłością, pięknością, jest wszystkiém co święte i wielkie; więc poganin chyba złemu, fałszowi, zbrodni cześć Boską oddaje? Więc w świecie pogańskim nie było serc czystych i tęsknych porywów ducha ku niebu? O! nie, lud grecki wybrańców

swoich za wielką miłość, za poświęcenie, za wzniosłość ubóstwiał, a jednak było to pogaństwo i ubóstwieni śmiertelnicy przeszedłszy z Olimpu do historyi, stali się tylko ludźmi na obraz i podobieństwo Boże. A musiało być w nich widome podobieństwo Boże, kiedy tak wielką czcią ich nagradzano, i wielkim musiał być ten lud, co tak uświęcał myśl Bożą objawioną w życiu.

Natrętny głos za oknem ucichł, a ja swobodną już myślą przeniosłam się w świat starożytny na obchód olimpiady.

Z tłumów ludu tchnącego zapałem i poezyą wydzierała się do mnie postać tego, co zdobył wieniec; postać ta wypływa coraz jaśniéj, coraz bliżéj, wyobraźnia moja stroi tego wybrańca we wszystkie blaski, na jakie się zdobyć może: już serce ogniste bije w piersi jego, już umysł jego promieniem geniuszu jaśnieje nad tłumem, już mężna postać hardo kroczy ku mnie, już tuż, tuż, blizko już go widzieć mogę, spoglądam w jego twarz: to Feliks!

Mimo woli i wiedzy mojéj ten piękny, ten jasny z przeszłości wykradł się niewołany i stanął przedemną wtedy, kiedym chciała jakiegoś półboga zobaczyć. Przelękłam się własnéj myśli tak samo, jak dziecię lęka się widma, słuchając bajeczki. Odpędzam go, szukam innéj postaci, a obraz Feliksa powraca w każdéj i spojrzeniem swojém wypowiada mi wszystką miłość, wszystką wiarę, wszystko szczęście, których był niegdyś treścią dla mnie. Aż ze zgrozą odpycham od siebie marę jak szyderstwo, a na ukaranie jego i siebie za olimpijską igraszkę przerzucam myśl swoją w jednéj chwili w rzeczywistość i nie szczędząc Feliksowi ciemnych barw kłamcy i wiarołomcy, na odwet rzucam przed zbladłą postać jego swoje serce, w którém miłość i wiara wydarte, zostawiły po sobie próżnią, jak doły po oczach w trupiéj głowie.

Serce zadrgało mi bólem zawodu i skargą, a w duszy było mi głucho i ciemno jak w grobie.

Wtém Wojtuś za oknem odezwał się: „Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną". Te słowa jakby wyrzutem spadły na mnie i ocuciły z zadumy. Machinalnie powtórzyłam je w myśli i zapytałam: czyż tamten pięk-

ny i dobry obcym był Bogu? Wszakże tam była moja wiara, moja miłość: ja wierzyłam w niego, jak.... w Boga. Tak, ja jak w Boga w niego wierzyłam, bo wtedy myśl moja po dwóch szlakach tylko biegła: w niebiosa do Boga, na ziemi do niego. On był dla mnie wszystkiém: prawdą, pięknością, miłością, jak gdyby wszystko co Boskie na ziemi, w nim jednym tylko lub przez niego było.

Dawniéj w marzeniach i w świecie kochałam wszystko co dobre i piękne, a pragnieniem sięgałam wszędzie, gdzie tylko myśl dosięgnąć mogła, od pięknego kwiatka aż do ideału. Dla wiary swéj szukałam prawdy wszędzie, gdzie ją myśl mogła wytropić, począwszy od bajek piastunki aż do Ewangelii. Ach! i jak było nie wyrywać się sercem do przyszłości, do ideału, kiedy w świecie tyle było piękności do ukochania, tyle prawd żywych składało się na wiarę w ludzi i w ideał. A kiedy potém Feliks zajaśniał w duszy mojéj miłością i sercem swojém odpowiedział na wszystkie tęsknoty i marzenia, wtedy myśli i uczucia moje zbiegły się ze wszystkich szlaków, po których prawdy i piękności szukały i w nim spoczęły na obchód wielkiego święta, które było szczęściem. On był wszystkiém dla mnie: był moim bogiem na ziemi.

Po utracie Feliksa ja nie mogłam mieć wiary ani miłości w sercu, bom je w nim wyłącznie złożyła; więc razem z nim odeszły odemnie skarby moje.

Spadł mój bożek z piedestału, na którym go postawiłam i rozprysnął się w ziemską brzydotę. Nieśmiertelne uczucie, co miało w wieczność przejść z nami, tak prędko umarło w jego sercu i ciężarem trupa przywaliło moję wiarę!

A ta moja dawna wiara nie była złudzeniem; ja zbudowałam ją na prawdach, co się do mnie z tysiąca pokoleń odzywały świadectwem swéj nieśmiertelności, na świętych obietnicach, co mi królestwo Boże na ziemi wskazały i na tém objawieniu, com z lepszego świata przeczuciem przyniosła i co na mnie w modlitwie natchnieniem spływało. O! to nie były złudzenia, co miały zniknąć! Co święte, to zawsze święte, choć znieważone, choć zdeptane w śmiertelnéj obsłonie swojéj, to jednak nieśmiertelném życiem trwa wiecznie. A co piękne i wznio-

sle, co duszę moję nadziemską rozkoszą wzrusza, to nie umiera razem z wrażeniem, lecz zawsze życie wieczne w doczesném roznieca. Choć zdrajca świętą sprawę Judaszową zbrodnią skala, ona zawsze świętą zostanie i wiara w nią nie będzie nigdy dzieciństwem.

Boże! ja zgrzeszyłam przeciw najpierwszemu i największemu przykazaniu, ja w człowieka wierzyłam jak w Boga, więc z nim razem straciłam wiarę w to, co Boskiem jest i nieśmiertelnem! Wielkiém jest moje cierpienie, bo też i grzech był wielki: ja byłam..... poganką!

Za tém słowem przyleciało do mnie widmo *Beniamina*, co u stóp innéj *poganki* złamał swoje życie rozpoczęte w miłości i natchnieniu. Beniamin odepchnięty przez Aspazyą, na resztę życia pozostał chodzącym trupem, co umiał na pamięć cnotę i prawdę, a serce spopielało w nim na zawsze.

Zgroza niewypowiedziana wstrząsnęła moją duszę, kiedym pomyślała, że życie moje zsunęło się na tę fatalną pochyłość, po któréj spada się w nicość. Nieśmiertelny duch mój, co przed chwilą rozpamiętywał wiekuistą piękność i prawdę, po wszystkie wieki jaśniejące w świecie, z chrześciańskiém męztwem wyzwał nicość do walki: z piersi moich wydarło się westchnienie pokutne i modlitwa, w którą zagarnęłam świat cały i wszystkie bóle serdeczne i Feliksa, co z myśli mojéj łzawém okiem w niebo spoglądał. Czułam wtedy, że mi serce życiem i przyszłością bije, wyrywa się w świat i w niebo na ukochanie prawdy i piękna; ach! to była jedna z najwznioślejszych chwil mojego życia, w owéj chwili nieśmiertelny duch mój otrząsał się z pogańskich więzów doczesności.

* * *

Czy znasz ty, siostro, te chwile, kiedy po długiéj niemocy człowiek powraca do zdrowia i jak gdyby na nowo na świat się narodził, cieszy się każdą drobnostką, któréj dotknąć może, każdém słowem posłyszaném i mimowolnie obraca się ku słońcu, jak gdyby promienie jego chciał pochwytać tém ciałem, co już zastygnąć miało.

Ja tak samo powracałam do życia po téj długiéj niemocy, co już dotknięciem śmierci ściskała mi nieraz

duszę. Radowałam się do każdego uczucia, co mi w sercu zadrżało i z rozkoszą słuchałam, jak mi się znane dawniéj głosy odzywają w duszy, niby przypomnienie z lepszego świata. Z uniesieniem wyciągałam ręce ku niebu, gdzie znów jaśniały nademną te słoneczne blaski miłości i prawdy, co karmiły młodość moję: wszystko co mi w sercu zastygło, co się tam we łzach rozpłynęło, co od żalu poczerniało: to wszystko zbierałam w modlitwę, w tęskną spowiedź ducha i niby matce mojéj podawałam do pieszczoty i pociechy, i tak zgłową utuloną na jéj łonie, jéj miłością otoczona, czułam jak w duszę moją zstępuje uroczysta cisza, co mi świat cały pokojem i miłością pokrywa. I coraz więcéj przybywało mi jakichś czyscowych duszyczek, co się w modlitwie mojéj garnęły do nieba, i coraz więcéj w sercu mojém było ukochania, co do mnie ze świata biegło i nawzajem z serca wychylało się na świat miłością.

Już odtąd nie stawał w myśli mojéj ten Feliks z Kainowém czołem, co mnie dawniéj wszędzie ścigał. Ten mój, ten kochający, to szczęście moje, przeniósł się z przeszłości tam, gdzie mi go już nikt nie odbierze, tam gdzie matka błogosławiła myśl moję i gdzie w uroczystéj ciszy wybiegały naprzeciw mnie wszystkie skarby w życiu zebrane. Tam nieraz długo, długo wpatrywałam się w jego postać rozpłynioną w świetle i słuchałam niemej mowy jego poetycznéj duszy, co rozkosznem tchnieniem opowiadała mi miłość i szczęście. A ten drugi Feliks, ten co żył i nie kochał mnie, to był dla mnie zupełnie inny, obcy człowiek, z którym nie miałam nic wspólnego, nic: ani żalu, ani przypomnienia, ani tęsknoty. Zapomniałam prawie, że ten rzeczywisty żyje na świecie.

Zosia widząc, że śmieléj może rozwijać przedemną swoje marzenia bez obawy podrażnienia moich bolesnych wspomnień, póty je nieraz snuła i nęciła mnie w przeszłość, że za jéj myślą, jak po ścieżce dobrze znanéj wracałam do piérwszych dni młodości i z rozkoszą opowiadałam jéj piérwsze wrażenia i niepokoje serca, co nie śmié jeszcze sięgnąć po szczęście, i trwożliwie biegnie ku niemu i cofa się i lęka. Z oczętami utkwionemi we mnie i wstrzymując oddech słuchała, jak gdyby się bała

spłoszyć ten obraz, co w myśli jéj się odbijał. A kiedym jéj opisywała młodzieńca w całym blasku jasnéj duszy i ognistego serca, to mi się ze łzami na szyję rzuciła, wołając:—Ach! powiedz mi, powiedz, czy Kazimierz będzie tak kochać? czy to mój królewicz wymarzony? Ach! ratuj mnie, siostro! mnie tęskno za nim, a on może nie myśli o mnie!

Na to pytanie, które mi Zosia z trwogą rzuciła, Kazimierz wkrótce sam odpowiedział, a mnie serce rosło pociechą na widok ich szczęścia, lecz nieraz i obawą o przyszłość zadrżało.

— W kilka dni po zaręczynach, Kazimierz, co pod swojém pogodném spojrzeniem nie mógł ukryć żadnéj myśli, przyjechał taki smutny i jakby cierpieniem zmęczony, żeśmy go obiedwie z trwogą poczęły badać o przyczynę tego. Długo nie chciał nam wyznać prawdy, zaklinał nas w imię naszéj własnéj spokojności, żeby go uwolnić od pytań; wreszcie widząc, że się Zosi łezki w oczach kręcą, zasłonił oczy jakby z nich chciał niemiły obraz zetrzeć i z niechęcią wymówił:

— Po co wam ta wiadomość? Feliks był dziś u mnie.

Zosia aż krzyknęła ze strachu, bojąc się, czy ten co siostrę jéj porzucił, nie stara się jéj szczęścia także zniweczyć i Kazimierza jéj odebrać. Kazimierz tymczasem jak gdyby już sam do siebie, cicho wymówił:

— To okropne, zostać takim upiorem na postrach ludzi. O! on prawdę mówił: — Zosiu, aniele stróżu mój, ty mnie nigdy nie opuścisz!

— Zkąd tobie takie myśli?— z trwogą zapytała Zosia.

— On mi je przyniósł. Wszedł dziś do mnie niespodzianie i po zimném przywitaniu siadł naprzeciw mnie zamyślony i milczący, jak gdyby nie słyszał moich zapytań; wreszcie zerwał się gwałtownie i zawołał namiętnie:

— „Dajże mi pokój z mojém zdrowiem i z sianem i z pszenicą! czyż ta nuda natrętna wszędzie się ma wlec za mną? Po co innego tu przyjechałem. Słuchaj, wiem, że się masz żenić: jesteś młody, znam cię dawno, żeś wart szczęścia: więc szkodaby ciebie, żebyś się miał zmarnować. Prawda, żeśmy się dawno nie widzieli, ale pamiętasz pewnie, jakim byłem przedtém; przypatrz mi się teraz

dobrze, a jeżeli umiesz czytać w duszy ludzkiéj, to mnie odgadniesz".

To mówiąc, Feliks odsunął się na kilka kroków, szeroko otworzył oczy i zapytał:

— Pustą izbę widzisz przez okna? prawda? A jednak ona dawniéj mówiła, że mi oczy płoną tak, jak okna w zwierciadlanéj sali przepełnionéj łuną światła i weselną wrzawą. Słyszysz? mówił daléj, uderzając ręką w piersi, to się tak samo odzywa, jak kiedy wieko trumny przybijają; bo téż tam jest trup mojego serca. A wiesz ty, czemum ja się tak zmienił? Dlatego, żem był tém, czém ty jesteś teraz: byłem zaręczonym z dziewicą, ze szczęściem, z przyszłością, a potém skłamałem temu wszystkiemu com ręczył. Więc strach mi teraz o ciebie, a bardziéj jeszcze o tych, co pewnie w ciebie tak samo wierzą, jak we mnie kiedyś wierzyli.

Prawda, że to śmieszne występować, jako obrońca téj, któréj się najcięższą krzywdę wyrządziło? Ale bo to, widzisz bracie, sumienie, sumienie to strasznie natrętny wierzyciel: musisz mu oddać wszystko co tylko masz. Ja téż przychodzę na twoje ręce spłacić cząsteczkę długu, bo mi sumienie szepnęło, że moje doświadczenie może się tobie przydać: więc zrób mi tę łaskę i posłuchaj cierpliwie tego, co ci powiem.

Jestem najmocniéj przekonany, że masz szczery zamiar ożenić się ze swoją Zosią i że żadnéj zdrady nie knujesz, boś człowiek uczciwy; więc nie jesteś ani oszustem, ani złodziejem. Bo trzeba rzeczy nazywać po imieniu: jeżeli ktoś udaje miłość dlatego, że chce dostać pieniędzy, tojest takim samym oszustem, jak wszyscy fałszerze; a jeżeli ktoś znęcony pięknością i wdziękiem, sięga do cudzego serca po to tylko, żeby z niego wykraść chwilę uciechy i uciec: tojest złodziejem tak samo, jak ten, co sięga do cudzéj kieszeni. Więc nie o kryminalnych sprawach chcę ci mówić, bo wiem, że nic podobnego nie popełnisz; ale jest coś straszniejszego jeszcze nad krzywdę komu innemu wyrządzoną. O! wierz mi, najstraszniejszém jest to kłamstwo, w którém sam sobie skłamiesz; najzaciętszym jest ten wróg, co w tobie samym mieszka. Zdradzić innych, to zbrodnia; ale zdradzić siebie,

zabić siebie, to piekło. Ja byłem wtém piekle, i dlatego pustka wygląda z mojéj głowy i z moich piersi.

Znałeś mnie dawniéj, ale nie wiem, czyś znał obydwóch Feliksów, co w jedném ciele mieszkali. Nie dziw się temu co mówię i nie bierz mnie za waryata, bo w saméj rzeczy było we mnie dwóch ludzi, co jednocześnie żyli i walczyli z sobą póty, aż obadwa skonali i została po nich nicość.

Byłem poetą, bo poezya płynęła do mnie ze świata i z ducha wieszczów, więc mi się dusza rozkołysała w marzenia; alem się głośno wyrzekał poezyi, jako bałamuctwa co zwraca człowieka z drogi poważnéj pracy i psuje głowę, w któréj pragnąłem pomieścić wszystko co zdobył rozum ludzki. Byłem artystą, bo mi się serce z piersi wyrywało do piękności; ale gniewało mnie wszystko, co już ujęte w formę, małością swą urągało uczuciu mojemu. Mnie trzeba było obrazu, coby w jednéj ramie pół świata i dziesięć wieków odtworzył; hymnu, coby pioruny zgłuszył i milionom klęknąć kazał: kobiety, coby oczyma gwiazdy zaćmiła i licem swojém zawstydziła obrazy poetów. Byłem rozbrojonym rycerzem i pragnąłem walki; ale nie mizernéj bijatyki o smaczny kęs chleba, albo o jakąś drobną zdobycz; mnie trzeba było z mieczem, jak błyskawica sunąć na Farysowym biegunie przodem tysiąca niezwyciężonych i chwili nie stając, drzeć się przez trupy pobitych potęg piekielnych i lecieć daléj, daléj bez końca, póki na ostatnim trupie nie pomszczę ostatniéj krzywdy i ostatniego brudu ze świata nie zepchnę.

A te porywy poezyi, artyzmu, męztwa, to nie były chwilowe zabawki wyobraźni; o, nie! to wszystko wrzało w każdéj kropli krwi mojéj, rozsadzało myśl moją, naciągało muszkuły, wyrywało serce z piersi, z taką ufnością we własne siły, żem się po świecie rozglądał jak władca, któremu wolno wybierać wszystko co zechce, sięgać po wszystko i wszystko zdobyć. Serce wrzało mi zapałem, a umysł świadczył, że zapał mój był czystym, że to czego pragnę, to prawdą jest i pięknem, że to co spełnię, dobrem będzie, że duch mój orlim lotem wyrywa się ku niebu; więc nic dziwnego, że ziemia małą i brudną

mu się wydaje ze swojemi powszedniemi warunkami życia. Pomyśl jeszcze, że te wszystkie pierwiastki zalegały duszę moją chaotycznie razem zmieszane, tak, że nie umiałem zdać sobie z nich sprawy, czułem tylko, że one są zarodem tego świata, co się zwać będzie życiem mojém.

Czém ja byłem wtedy? nie sielankowym młodzieńcem, ani bohatérem dramatu. Byłem bystrym potokiem, co pędzi, nie wiedząc dokąd; byłem gorącym promieniem słońca, co strzelił ku ziemi i na cokolwiek padnie, to rozpłomieni; byłem przyszłością, obietnicą, pragnieniem.

Helena piękną była, a serce jéj jaśniało blaskiem młodości i zapału; więc wplótłem ją wkoło tych gwiazd, co w duszy mojéj świeciły. Czém ona będzie w życiu mojém? o to nie pytałem tak samo, jak nie troszczyłem się o to, co się stanie z mojemi marzeniami; dobrze mi było z jéj postacią w myśli i błogo w sercu z uczuciem dla niéj: więc uniosłem ją tam, gdzie przebywał cały świat mojéj duszy; jéj przyszłość dostroić się miała do tego tonu, na jaki młodość śpiewała mi życie; w niéj także widziałem chaotyczną potęgę, na którą składały się: piękność, wzniosłość, prawda i wszystkie tajemnice ideałów.

A tak zuchwałą była młodość moja, że dość mi było zapragnąć czegoś, ażeby być pewnym, iż się to musi spełnić. Pragnąłem, żeby moja wybrana była ideałem, więc dość mi było na tém i wierzyłem, że jest nim rzeczywiście: więc kochałem ją tak jak wszystko co mi porywało serce pięknością i prawdą; o! i więcéj jeszcze nad to wszystko, bo kochałem ją także i spojrzeniem, i ściśnieniem ręki i słowami, w których rozkołysana myśl moja z rozkoszą wybiegała do niéj i blaskiem miłości odbijała się od jéj serca. Kochałem też tak ogniście, jak ognistą była młodość moja; kochałem tę, co na tle Heleny odbiła się w duszy mojéj obrazem czarownym, upragnionym, a tak miłym, jak miłém jest artyście dzieło jego.

Ale rozzuchwalona młodość nie staje w biegu, gdy ją raz puścisz potokiem pragnień z ufnością w siłę własną. Helena kochała mnie tak jak tylko kobiéta kochać jest zdolną; mnie nużyła jéj miłość, co na mnie zawsze jednakiém szczęściem i uczuciem spoglądała: za słabe były pie-

szczone słowa i piosnki, za blade jéj marzenia o przyszłości. Ona szczęśliwa tém, co starczyło na poślubienie serc naszych, pragnęła tylko toż samo szczęście na całe życie i w wieczność przenieść; więc rozsnuwała nieraz przedemną nitkę swoich marzeń, równiutką, jasną, jak promień słońca, a równą aż w nieskończoność. Mnie niedosyć było tego co ona marzyła: to jéj szczęście, po którém życie nasze miało się tak gładko toczyć, wydawało mi się nie szczęściem, ale szyderstwem z życia, z tego życia, co rączym pędem miało mnie nosić po samych blaskach i coraz nowe skarby rzucać przedemnie; jéj marzenia wydawały mi się zdradą czyhającą w przyszłości, a Helena zaciążyła w myśli mojéj brzemieniem, co spętać miało moje lotne życie. Ze zgrozą i z obawą widziałem, jak natrętnie czepiać się będzie wszystkich chwil moich, jak nieodstępną towarzyszką moją będzie ta codzienna rutyna życia, którą z pogardą dawniéj odpychałem w duszy. I trudno mi było uwierzyć, że to czego pragnę, nie spełni się, z oburzeniem odsuwałem myśl pogodzenia się z rzeczywistością i z uparta ufnością, że musi się spełnić to czego chcę; czekałem, rychło-li w mojéj narzeczonéj zajaśnieje wymarzona towarzyszka moja.

A z oczu i ze słów Heleny jaśniała zawsze taż sama miłość szczera, wierząca i prawdziwa, bez kłamanych obietnic. Jéj się zdawało, że kiedy przy mnie serdecznem tętnem uderzała jéj każda krwi kropelka i dusza cała była miłością, to i mnie spojrzenie jéj szczęściem napełnia. A mnie wtedy serce wrzało walką poczucia obowiązku z niespełnioném pragnieniem; w głowie mojéj zawrót był taki, jak gdyby wszystkie tytaniczne walki, które miałem w życiu toczyć, odbywały się w mózgu moim. I coraz bliżéj, coraz zuchwalej występowały z myśli mojéj widma i biednéj dziewczynie zaglądały w oczy, i przysłuchiwały się jéj myślom, naigrawajac się nad nią i nademną; aż nareszcie będąc przy niéj, czułem się samotnym tak jak gdyby nic, zupełnie nic nas nie łączyło; i gorzéj mi nawet było przy niéj niż w samotności, bo każde jéj spojrzenie, każde słowo drażniło mnie bólem i szyderstwem. A kiedy tak jeden mój człowiek, ten co dawniéj nosił mnie pod nad ziemią, wyrywał się z więzów miłości, wtedy drugi mścił

się za to, że długo zapomniany nie należał do świątecznych chwil szczęścia. Za to teraz surowo wołał na mnie: coś rozpoczął miłością, to dokończ sumieniem; musisz milczéć, choć upadasz w walce, musisz skłamać marzeniom i zamknąwszy oczy, iść daléj drogą obowiązku, iść aż do ołtarza, nie pytając o przyszłość.

Ale takie czyste i kochające serce, jak serce Heleny, oszukać się nie da: ona mnie odgadła, wydarła ze mnie prawdę, którą chciałem ukryć i odeszła odemnie jak od umarłego."

Przez chwilę Feliks milcząc, natężonym wzrokiem wpatrywał się w pustą przestrzeń, jak gdyby w niéj widział jakiś obraz bolesny, a potém potrząsnął mnie za ramię i szyderczo zapytał:

— „Czemu nie mówisz, żem ja zbrodniarz? nie lękaj się, oswoiłem się z tym wyrazem, bom go sobie już tysiąc razy powtórzył. Wszakże gdzie życie czyjeś padło w nicość, złamało się i uschło, tam był winowajca: słyszałem téż nieraz, jak ludzie winę moją sądzili, i milczałem; słyszałem także, jak inni z pobożném westchnieniem mówili, że to grzech ciężki zatruć czyjeś życie, i milczałem. Bo w duszy mojéj był ciężar większy niż grzech i niż wina, bo w niéj było nieszczęście. Czy ty rozumiesz, co to jest nieszczęście? to straszna męka bez nadziei, to sumienie, co ci myśl wyżera, to twoja podeptana duma, to żal i hańba, to życie własną ręką złamane. Bracie, jeżeli dusza twoja także rozdarta jest na dwoje: na marzenie, co dumnie spogląda po świecie, i na życie, w którém pragniesz szczęścia, to proś Boga, żebyś umarł wprzód, nim ulecą z twojego serca miłość i silna wola, co pierścieniem otaczają ci duszę i wiążą cię w całość."

Milczeliśmy obadwa przez chwilę, aż wreszcie ja nieśmiało zacząłem mu wspominać o łasce Boskiéj, o pracy; Feliks nie dał mi dokończyć i zerwawszy się gwałtownie, z szyderczym uśmiechem stanął przedemną i rzekł:

— „Ha! chcesz mnie pocieszyć i dać zbawienną naukę? daj pokój, jeszcze nie wszystko stracone. Choćby mi szatan sto razy stanął na drodze, ja sto razy plunę mu w oczy i pójdę daléj. Tak, pójdę tam, gdzie się duch mój wyrywa, gdzie się idzie przez cierpienia i przez walkę, nie

przez szczęście. Wiem, że dziś wszyscy patrzą na mnie jak na pieniądz wytarty, którego nikt wziąć nie chce; ale ja was wszystkich jeszcze zadziwię: wy będziecie musieli na nowo uwierzyć we mnie i zaświadczyć mi głośno, żem nie skłamał obietnicom swoim i waszéj ufności w moję przyszłość. Tylko mi trzeba życia! życia! swobody! mnie tu ciasno wtém mrowisku gospodarstwa i sąsiedzkich plotek! Wiesz, bracie, wyrywam się nareszcie ze swojéj klatki: zwinąłem gospodarstwo, pozbyłem się tego wszystkiego, co jak mech mnie obrosło, i wolny jak ptak puszczam się w świat, gdzie mnie oczy poniosą. O! marne, nędzne to życie! pracować, męczyć się lat kilka, przykuć się do jednego miejsca i do jednych ludzi, otoczyć się całą siecią niewolniczych łańcuchów, po to, by nareszcie wszystkie porozrywać i wyjść z niczem na wolność! Co ja z sobą uniosę z tylu wysileń, cierpień i pracy? nic, nic: tylko trochę goryczy w sercu na pamiątkę lat minionych. Gdyby to można i tę pamiątkę rzucić na progu i zapomnieć, że żyłem i rozpocząć życie na nowo. Żegnam cię, może się więcéj nie zobaczymy, bo za kilka dni wyjeżdżam z tych stron na zawsze."

To mówiąc Feliks konwulsyjnie ścisnął moją rękę i odjechał.

* * *

Kazimierz skończył, a długo potém nikt z nas nie śmiał słowa wymówić, ani spojrzeć przed siebie, żeby nie wywołać jakiego widma, co zdawało się krążyć w powietrzu nad nami.

Przez cały ciąg opowiadania myśl moja szalonym pędem przebiegała wszystkie chwile poruszone wspomnieniem, od piérwszego drgnienia miłości w sercu aż do rozstania. A w téj panoramie myśli postać Feliksa migotała przed oczyma mojemi jakby w łunie pożaru: dzika młodość jego, co mu płomień roznieciła w duszy, porywała go z przed oczu moich i z poza blasku jaskrawego ukazywała mi go to dumnie spoglądającego przed siebie, to znów unoszącego się marzeniem nademnie i nad świat cały, a w miarę jak w sercu jego wzrastała walka hardéj młodości ze świętemi prawami życia, krwawa łuna zalewała

go i zasłaniała przed wzrokiem moim. Aż wreszcie znikł pożar, z którym on walczył i przed oczy moje potoczyła się postać złamana, spalona, ciemna jak człowiek w martwy żużel zmieniony.

Teraz zrozumiałam, czemu to przy grobie mojéj matki jasna dawniéj twarz Feliksa wydała mi się taką startą, taką zatraconą. To on, to ten sam człowiek, na którym młodość jaśniała niegdyś jak rosa o wschodzie słońca; tak, ten upadły to nie żaden obcy: ja widziałam go we wszystkich bolesnych przemianach. On pójdzie teraz w świat szukać nowego życia, a na czole jego będzie napisano: oto był młodzieniec na obraz i podobieństwo Boże, a stał się mężem podobnym do zgliszcza; i serce jego obumarłe skarżyć się będzie Bogu, że się złamało przy mnie.... On jak bogacz przyszedł do mnie dzielić się skarbami swemi, a teraz odchodzi biedny, samotny, jak sierota i nic, nic nie bierze na zaczątek nowego życia, a żyć pragnie i szamoce się z nicością, co mu duszę śmiertelném dotknięciem ziębi. Chce zapomnieć: nie zapomni. Wiecznież pamięć moja cierniem tkwić będzie w jego duszy i czuwać, by nie odrosło uschnięte życie jego? O! tak, to ten sam człowiek: on nosi mnie w sercu poczuciem nieszczęścia, tak jak dawniéj obietnicą szczęścia mnie nosił. Boże! ratuj go, bo zginie Tobie i światu ten, co był stworzon na obraz i podobieństwo Twoje!

Serce wezbrało mi bólem i litością tak, żem pobiegła do moich świętych i na kolanach błagałam Boga o pomoc dla nieszczęśliwego. Nie, on nie odejdzie takim sierotą! w imię Ukrzyżowanego ja kocham go jak brata, bo on cierpi i upada; ja wymodlę Boże, u Ciebie pociechę i życie dla niego. Boże podnieś złamaną duszę, zwiąż życie rozerwane, bo to zbłąkane dziecię Twoje, to brat mój ze szczęścia i z cierpienia! uczyń cud, łaskę, daj mi go zbawić modlitwą i przebaczeniem!

Ze łzami w oczach i z silną wiarą wyciągałam ręce ku niebu, a w bladém świetle wieczorném rysował się nademną krzyżyk, dawny upominek matki; a z krzyża spoglądał na mnie Ten, co wszystkich grzesznych braci odkupił i świat upadający podniósł, i związał złamaną jego młodość z dalszém wiekowém życiem.

Pociechą szczęścia błysnęła mi myśl jak natchnienie; Feliks nie odejdzie wświat ubogim sierotą: ja zwiążę jego życie tym krzyżem, co do niego z miłością wyciągnie ramiona; w tym krzyżu on uniesie całą przeszłość swoję przebaczoną, pocieszoną, i ujrzy błogosławieństwo nad przyszłością swoją i bratniém uczuciem wspominać będzie chrześciankę.

* * *

Siostro, nie skłamałam ci na wstępie téj spowiedzi mojéj, wyznając, że w sercu mojém po burzach i cierpieniach pogodnie jest i jasno, że w niém jest miłość i wiara, że mnie stać nawet na świąteczne chwile szczęścia. O! tak, miłość i wiara, to największe błogosławieństwo życia. Jak nie wierzyć, kiedy prawda nieśmiertelna, myśl Boża, nawskroś przenika wszystko, co mnie otacza i niewidzialnie krąży w sprawach ludzkich, choć nieraz przykryta zwierzchu doczesną skorupą fałszu, błędu, lub słabości, kryje się gdzieś głęboko jak źródło podziemne długo ukryte dla oka, nim wytryśnie czystym zdrojem. Jak nie kochać, kiedy Bóg dobry tyle piękności rozlał dokoła, kiedy w sercach ludzkich tyle jest dobrego do ukochania i tyle biédy do współczucia. Bez miłości wsercu własnego życia nawet nie udźwigniesz: w miłości łaska Boża przez serce twoje przepłynie i na świat zstąpi dla ciebie i dla braci.

W kilka miesięcy po odjeździe Feliksa przypadkiem wpadł w moje ręce list jego pisany do Kazimierza bez oznaczenia czasu i miejsca. Posłuchaj co on sam o sobie mówi:

„Ciężko to w sercu i w sumieniu, kiedy człowiek rachując się z przeszłością, widzi się tak odłużonym, że chyba nigdy nie zdoła spłacić długi zaciągnięte u świata. Jak bankrut do ksiąg swoich, tak ja biegnę często myślą do tych skarbów, co spływały mi zewsząd do duszy po to, by w niéj wyrosnąć na siłę, na uczucie, na cząstkę człowieka. Co się z niemi później stało? w co się zamieniły? jak ja oddam światu to com od niego zapożyczył? zbiorę ż ja jeszcze kiedy to wszystko, co mi się rozprysło w chwile szczęścia i smutku, w cmentarne krzyże przeszłości i w tajemnicze zapytania ku przyszłości? Oh! ciężko mi, ciężko na sercu; tęskno spojrzeć za siebie i straszno rzucić myśl

przed siebie. Z dwóch krańców mojego życia spoglądają ku sobie dwie postacie jak dwaj bracia, co całą głębią bratniego uczucia w zawiść zmienili; ludzie przebaczą, Bóg przebaczy, a ci dwaj sobie nie przebaczą. Patrz, ten pierwszy, to młodzieniec strojny w słoneczne promienie poezyi i nadziei, wyciąga ręce ku przyszłości, dumnie rzuca przed siebie obietnice, namiętnie chwyta wszystko co piękne, co rozkoszne, i czystém sercem przysięga, że nic za darmo nie bierze, że każdą iskierkę pochwyconą w duszę, słońcem rozpromieni. A ten drugi, to jakaś szara postać przesłoniona chmurą: nie dojrzysz go jasno, nie rozpoznasz jego twarzy, bo on padł jak kłos zimną bryłką gradu podcięty; ale usłyszysz głos, co nad nim woła: „Kainie, gdzie jest brat twój?" O! to głos dobrze znany, to cały chór przeszłości: to głos mojéj matki, co znacząc krzyż święty na mojém czole, mówiła do mnie, pociecho moja! To głos mój własny, którym w modlitwie wołałem, Ojcze mój! To szum téj lipy, co między liście swoje zbierała tajemne szepty rodziméj ziemi i tęskny powiew cmentarzy i szumiała nademną: „synu mój!" To pieszczony głos téj, co miłością i wiarą spoglądała na mnie i mówiła: „szczęście moje!.." Powiedz mi, bracie, powiedz, czy to prawda, że ja im wszystkim skłamałem, żem ich wszystkich żywcem pogrzebał?... O, nie! Boże, Ty jeden wiesz, żem im nie skłamał, żem nie zbluźnił Tobie! Nie, oni żyją, bo mi serce drga ich pamięcią, bo klęczą w duchu przed tém błogosławieństwem *młodości mojéj*.....

Nie, ja już o nic nie pytam ciebie, bom spojrzał na ten mały krzyżyk, z którego odkupienie na mnie spływa: on wypowiada mi wszystkie tajemnice życia i nad burzą wewnętrzną jasnością pokoju świeci.

Błogosławieni pokój czyniący, błogosławioném niech będzie serce, co godłem zbawienia zażegnało burzę w duszy mojéj.

Po co ja piszę do ciebie? nie, ja nie do ciebie piszę; ja myślę tylko i myśl swoję posyłam tobie, ażebyś w ciszy wieczornéj powtórzył ją w duchu, i posłyszał jak w tedy lipa rzewnie nad tobą zaszumi, jak koło ciebie przepłynie tęskne westchnienie, co poleci za twą myślą, choć ty jéj słowami nie wypowiesz, a znieba zstąpi błogosławieństwo

do serca twojego. To myśl moja czarodziejską siłą zwoła te cuda i zadrży roskosznie w duszy twojéj; ja po taką chwilę szczęścia ślę myśl moję do ciebie."

To była ostatnia moja wiadomość o Feliksie. Co się z nim później stało, nie wiem; ale to wiem w głębi serca, że człowiek, co kocha przeszłość swoję i jak przed błogosławieństwem schyla głowę przed tém, co świętém jest choć znieważoném, taki człowiek nie umarł sobie i światu, i nie będzie się Bogu skarżyć, że miłość rozdarła się raną w sercu jego. Ja go zobaczę jeszcze kiedyś, może aż w niebie; ale zobaczę go jasnym duchem na obraz i podobieństwo Boże.

Za minione szczęście, co chwilą tylko błysnęło mi w życiu, ja w modlitwie błagam o życie i pokój dla niego. Boże! za wszystkie cierpienia, co długo krwawiły mi serce, za wiarę w krzyż, co upadających podnosi, Ty ześlesz mi kiedyś tę pociechę, że na śladach życia mojego nie będzie skargi ni śmierci niczyjéj.

* * *

O Zosi i o Kazimierzu nie byłabym już więcéj wspominała, gdyby nie to, że ona w téj chwili właśnie ciekawie wychyla główkę przez moje ramię i żali się, żem nic nie napisała o ich małym Władziu, co się z rąk matki wyrywa i bawi się mojemi włosami. Zosia długo nie chciała przystać na to, żeby miłość miała być w życiu tylko jednym więcéj, choć największym skarbem; żeby nad uczuciem trzeba było czuwać i pracować tak samo jak nad każdym darem Bożym, co łaską na nas spływa jak natchnienie, ale skoro raz już przyjmiemy go do serca, staje się dla nas polem pracy, drogą ciągłego postępu ku ideałowi, pod karą utraty tego dobra. Ona tak samo jak ja niegdyś, chciała w Kazimierzu zamknąć cały świat swéj myśli i uczucia; miłość dla niego zdawała jéj się świętością, któréj nie można sądzić, ani rozumem dotykać bez świętokradztwa; ale w imię marzeń, któreśmy razem rzucały w przyszłość, w imię ideału, do którego sercem tęskniła, niewidzialną ręką przeprowadzałam ją brzegiem tych przepaści, w które zsunęło się życie moje. Kazimierz z uśmiechem wyrzuca

jéj nieraz, że zdobywać musi szczęście jak ów rycerz w bajce, co po tysiącznych przeszkodach wszedł nareszcie do zaczarowanego pałacu, a i tam jeszcze musi przejść przez sto krużganków, przez tysiąc komnat, nim znajdzie tę królewnę, co się tak czarami otoczyła, że im dłużéj jéj szuka, tém bardziéj ją kocha.

— Jakto? woła za mną Zosia, więc ty nic o tém nie piszesz, żeśmy szczęśliwi?

O! tak, szczęśliwi są moi ukochani i szczęście nie uleci od nich, bo zrosło się z ich życiem, z niego płynie i z niém razem wzrasta. A z mojemi ukochanemi, z moją bogatą przeszłością, z pogodą i miłością w sercu i mnie tak jasno w duszy, że na kolanach składam Bogu dzięki za każdą, każdą chwilę życia, bo ze wszystkich, czy miłych sercu, czy bolesnych, świeci Jego miłość i prawda.

Zapytasz może, nieznana siostro, czemum ja późniéj za mąż nie poszła? Oh! moja droga, poranna jutrzenka pół widnokręgu obejmuje, i wszystko co żyje, ku niéj z miłością spogląda i blask jéj blaskiem odbija; tęcza po burzy choć piękna i jasna, ale wązką smugę zatacza i nad spłakaną ziemią wzniesiona, ku słońcu tylko spogląda. Ach! czyżto tak łatwo spotkać człowieka, od którego słonecznéj duszy serce moje mogłoby tęczą zajaśnieć!

dnia 16 grudnia 1861 r.

Helena .....

ŻYCIE I PISMA
SALOMONA MAJMONA.

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

(Dokończenie).

Zdolności Majmona jakkolwiek wielkie, nie były jednak twórcze: nie miał on daru wielkiéj inicyatywy, któryby doprowadził go do nowych odkryć w tajemniczéj krainie nadprzyrodzonego świata; ztąd też, lubo w rzeczach filozofii pisał wiele, oryginalnie i gruntownie, to wszakże z pomysłów jego nie wypłynął żaden nowy system determinujący wszystko co jest, w porządku duchowym i materyalnym. Nie stoi on więc na stanowisku takich mędrców jak Plato, Leibnitz lub Kant, ale mieści się bardzo zaszczytnie na linii pośredniczącéj między jednostkami niepojętemi dla ogółu, a ogółem samym. Ci ludzie względem nauki twórczéj są mniéj więcéj tém, czém wirtuozi względem wielkich kompozycyj: oni nadają głos i wymowę milczącym nutom głębokiego mistrza, które przez nich tylko dochodzą do pojęcia wszystkich. Majmon podobnie jak angielski Clarke, prowadził kontrollę i krytykę różnych systematów, i tym sposobem rozświecał ich znaczenie, dopełniał tam gdzie uczuwał brak, prostował to co mu zdawało się krzywém, protestował lub approbował w miarę tego co i jak widział samodzielną myślą. Niechę-

tni obrzucali go mianem eklektyka lub kompilatora, bezstronni widzieli w nim i widzą myśliciela oryginalnego i głębokiego krytyka.

Pierwiastkowe stanowisko jego, od czasu jak na dobre zasiadł w naukowym gabinecie, było rzeczywiście eklektyczném, i nie mogło być inaczéj. Szukał on nauki i prawdy, brał ją zatem gdzie tylko mógł i wszystko, cokolwiek uznał za korzystne, przyswajał sobie jako materyał i grunt, na którym miał dobudować coś z własnéj myśli. Z kolei więc był on zwolennikiem wszystkich systematów: perypatetyk, Lejbnicysta, Spinozysta, Kantysta, nareszcie sceptyk, przywiązywał się zawsze do tego systematu, który w swoim czasie za najprawdziwszy uważał. W końcu dostrzegł przecie, że wszystkie te systemata zawierały w sobie coś prawdy i mogły w pewnym względzie być przydatnemi: trzeba było tylko umieć je właściwie osądzić i wyzyskać na korzyść własnego umysłu. Najdłużéj zatrzymał go przy sobie Spinoza, nie dlatego zapewne, że był jego współwyznawcą, gdyż Majmon zbyt wiele dał dowodów, że się podobnemi predylekcyami nie uwodził; ale pociągnęło go snadź ku Spinozie pewne podobieństwo umysłowego usposobienia, tojest niepodległość. O ile Lejbnitz naukę swoją kierował do wyobrażeń wiary chrześciańskiéj i dla udowodnienia odrębnych bytów pojedynczych, ustanowił nieskończony szereg monad aż do ostatniéj, *monas monadum*, która zamyka szereg, jest zewnątrz niego i panuje nad nim, przez co jedynie utrzymuje się dogmat stworzenia i osobistości Boga odrębnéj od świata; o tyle Spinoza w swojéj *substancyi* obejmuje wszystko, utrzymując, że Bóg i świat są jedném i tém samém w substancyi, że Bóg jest substancyą wszech rzeczy, a to co my nazywamy stworzeniami, są to tylko modyfikacye czyli przypadkowości: tym sposobem niweczy on odrębność bytów indywidualnych. Naturalnie, że Spinoza przy takiéj zasadzie nie mógł znieść żadnéj religii, nie związał się z żadnym kościołem, we własném tylko sercu zbudował świątynią temu Bogu, jakiego sobie wyobraził. Nie znalazła miru ta jego teorya pomiędzy współczesnemi i późniejszemi filozofami; Majmon jednakże porównywając tę teoryą z innemi, przyznał jéj tę przynajmniéj wyższość, że ona docho-

dzi do jakiegośkolwiek rezultatu i cośkolwiek rozwiązuje, kiedy inne chcąc godzić rozumowanie z dogmatem, nakręcają tylko a w stanowczéj chwili zawsze im się urywa. Daremnie występowała przeciw niemu szkoła Mendelsona i Wolfa; przekonał on jéj zwolenników, że oni sami nie dowierzają swoim słabym argumentom, a tylko w politycznych widokach stosują je do ogólnych wierzeń i zdań, obawiając się przyjąć odpowiedzialności za śmiałość wystąpienia w kierunku przeciwnym, wymierzonym ku obronie wyklętego systematu. Łatwo to, mówił, rozprawiać o Bogu istniejącym zewnątrz świata, ale nie łatwo sobie istnienie takie wyobrazić, gdyż zejść musimy wtedy, do jakiegoś czczego abstraktu: jeżeli zaś zechcemy ten abstrakt czemkolwiek zdeterminować i ograniczyć, wtedy Bóg przestaje być tym Bogiem, który jest wszędzie i na każdém miejscu. Majmon wykazywał tylko trudność, jaką napotyka myśl w rozwiązaniu sobie téj zagadki i niedostateczność dotychczasowych teoryj filozoficznych, tak świetnie podówczas wykazaną przez Kanta; nigdy jednakże sercem nie przypadał do systematu Spinozy, chwilowo tylko pociągniętym był rozległością umysłu i wykładem wielkiego myśliciela. Zapał jednakże, jaki go w téj chwili ogarniał, uczynił go czynnym obrońcą Spinozy; przyjaciele i przeciwnicy, którzy po większéj części samodzielnie nad kwestyami filozoficznemi nie myśleli, ale przyjmowali na wiarę rezultaty jakiegoś panującego systematu, nie zrozumieli Majmona, tém samém nie poszli za nim. Mendelson, który lawirował tylko w obec Majmona, nie chciał przeciwić się jego poglądowi na tę rzecz, wewnętrznie nawet aprobował tę niezależność myślenia; oświadczył mu też, że lubo nie jest jeszcze na prawdziwéj drodze, jednakże nie powinien krępować biegu myśli, gdyż, jak Dekart słusznie powiada, powątpiewanie jest początkiem gruntownych badań filozoficznych.

Cóżkolwiekbądź żarliwa obrona Spinozy i zupełna swoboda sądu, jaką w ogóle odznaczał się umysł Majmona, przyczyniła mu niemało kłopotu. Zazdrośni a małoduszni przeciwnicy skorzystali z jego otwartości, aby go ogłosić za rozsiewacza niebezpiecznych zasad; oskarżeniem tém ścigali go gdzie się tylko ruszył: jednakże lubo takiém

postępowaniem zatruwali mu życie, nie zdołali przecież skłonić go do hipokryzyi lub ustępstwa; co najwięcéj wystraszali go na czas jakiś z Berlina, dokąd on znowu, po uciszeniu się wywołanéj burzy powracał. Z drugiéj strony, przyjaciele nawet zwracali jego uwagę i naglili, aby sobie obrał *stan* jaki, lub przynajmniéj odbywał studya według jakiegoś planu, coby go doprowadził do pewnego stałego zawodu. Namawiano go na medycynę i aptekarstwo, ale Majmon raz oddany naukom spekulacyjnym, nie mógł gwałtu naturze swojéj zadawać i wolał pozostać w proletaryacie politycznym, niż rzucać się do zawodu, któryby go odwodził od zamiłowanych studyów, tembardziéj, iż ciężarem nie potrzebował być tak dalece nikomu, gdyż, pomimo różnych na niego kresek, byli jeszcze ludzie rozsądni, którzy ubiegali się o to, aby go ściągnąć na nauczyciela, a wszystkie pisma peryodyczne wyższego rzędu zapraszały go do siebie na współpracownika: przy takiéj pomocy mógł się opędzić biedzie.

Stanął u Mendelsona, pomiędzy kilku ludźmi dobréj woli, projekt, ażeby Majmon dla zaszczepienia oświaty pomiędzy pogrążonemi w grubéj ciemnocie żydami polskiemi, wydawał umyślnie dla nich naukowe książki w języku hebrajskim, jako jedynym dla nich zrozumiałym; książki te, kosztem projektujących wydrukowane, miały się darmo lub za bardzo nizką cenę rozchodzić pomiędzy ludem. Zachodziła tylko kwestya od czego zacząć, aby pracę i nakład jak najbardziéj upożytecznić; miał to być bowiem piérwszy wyłom uczyniony w murach zarosłych chwastami przesądu, zabobonu i nieświadomości, wszelkiemi siłami przez miejscową teokracyą podpieranéj. Radzono tedy najprzód dać historyą żydowskiego narodu, któraby wykazywała jego pierwiastki religijne, rozwinięcie jego polityczne, nareszcie przyczyny upadku i prześladowań, i w tym celu wskazywano francuzkie dzieło p. Basnage. To znowu proponowano na początek ułożyć według Reimarusa wykład religii naturalnéj i moralności z rozumu wypływającéj. Majmon jednak, jako znający miejscowość i nieubłagany despotyzm rabiniczny, oparł się temu stanowczo. Historya, jakkolwiek mogłaby być nauczającą, nie wychodziła jednak poza szranki izraelityzmu, którego

i tak za wiele było między żydami polskiemi, i o to właśnie chodziło, aby ich z tego zaklętego koła wyciągnąć; co do traktatu o religii naturalnéj, to przedmiot taki, dostępny dla kilku ludzi ukształceńszych, byłby dla ogółu obojętnym i niezrozumiałym; co większa, oba te pisma, gdyby tylko cokolwiek zadrażniły przywidzenia lub ambicye rabiniczne, a uniknąć tego przy porządnym układzie było niepodobieństwem, przepadłyby pod klątwą teokracyi i nie wydały żadnego skutku. Z żydami polskiemi trzeba było podówczas tak ostrożnie postępować, jak z chorym nakłanianym do zażycia lekarstwa: trzeba było sztuką i postępem zdobywać przyjęcie dobrodziejstwa oświaty. Sam wreszcie Majmon uważał, że teokracya, jakkolwiek w zasadzie szkodliwa, była wówczas w Polsce tak silnie związana z egzystencyą narodową żydów, że gwałtowne pozbycie się jednéj, pociągnęłoby za sobą zniweczenie drugiéj. Lud ciemny, pozostawiony naraz bez żadnego przewodnictwa, musiałby się rozsypać, gdyż jedna tylko teokracya trzymała go w kupie. Nie należało więc jéj drażnić, ani psuć kredytu, ale korzystać z jéj wpływów, i starać się właśnie wpływy te uzacnić i upożytecznić, to jest dostarczać, o ile można, jak najliczniejszy kontyngens światłych i postępowych rabinów, którzyby stopniowo we właściwym kierunku kształcili pokolenia. Kształcenie to zaś podług Majmona, nie miało się opierać na odrębności, na mrzonkach autonomicznych z daleką nadzieją samoistnego bytu politycznego, ale na zastosowaniu się do ducha czasu, przejęciu miejscowych form obywatelskich i zdobyciu sobie praw równości, do czego postęp ogólnych wyobrażeń miał ułatwić drogę w Polsce, jak ją ułatwiał gdzieindziéj, a oświata samych interesowanych główną miała być dźwignią: myśl tę przeprowadzał Majmon pod rozmaitemi postaciami, gdzie tylko się podawała, w artykułach do pism peryodycznych nadsyłanych. Żeby więc w piérwszém wydawnictwie nie zadrażnić sprawy a przynieść istotny pożytek, Majmon postanowił stanąć na zupełnie obojętnym co do religii gruncie, i w tym celu zamierzył wydać dzieło matematyczne, ale takie, któreby było w związku z ogólną kulturą umysłu i obejmowało spółczesny postęp nauki z właściwym filozoficznym

poglądem. W tym celu wziął on za przewodnictwo łacińskie dzieło matematyczne Wolfa, wypracował kompletny kurs matematyki i przedstawił go projektującym; ci jednakże zobaczywszy rękopism gruby i przeplatany figurami do miedziorytów, przestraszyli się kosztu i cofnęli przyrzeczenie nakładu. Co się z tém dziełem później stało, dziś niepodobna nam było dowiedzieć się, ale widać, że projekt działania zdała na oświatę żydów polskich zachwiał się lub upadł, gdyż dalszych wzmianek o nim nie napotykamy. Prócz tego, w tymże samym celu choć zapewne z podobnym skutkiem, nieco później za pobytem we Wrocławiu ułożył Majmon traktat o naukach przyrodzonych podług zasad Newtona, oraz przełożył na język hebrajski „Godziny poranne" Mendelsona.

Mówiliśmy poprzednio o wpływach, jakie różne systemata filozoficzne wywierały na umysł Majmona. Wracając do tego przedmiotu, dodajemy, iż królujący podówczas na tronie filozoficznym Kant ostatecznie go ku sobie pociągnął, tak, iż sądząc Majmona z jego pism tylko, nie gdzieindziéj jak pod szkołą Kanta umieścić go możemy. Nie ma to jednakże znaczyć, aby filozof nasz był tylko bierną reprodukcyą i cieniem Kantowskiéj nauki: bynajmniéj, tchnienie mistrza nie zniweczyło samodzielności uczucia; Majmon wziął tylko broń od Kanta, ale używał jéj według własnego pomysłu i woli. Broni téj użył nasamprzód przeciwko samemu mistrzowi.

Kiedy wyszła nareszcie na widok publiczny sławna po wszystkie czasy „Krytyka czystego rozumu", stała się ona odrazu przedmiotem wielu rozpraw w uczonym świecie. Majmon studyując ją, powziął zrazu o każdym dziale ciemne tylko wyobrażenie; następnie wczytując się głębiéj, rozjaśniał ją sobie myśleniem własném, ażeby utrafić w myśl autora, i tym sposobem stał się panem całego systematu, przejąwszy przedmiot sam przez się, tylko że według wskazówek Kanta. Że zaś poprzednio już tymże samym sposobem dochodził do przyswojenia sobie systematów Spinozy, Huma i Lejbnitza, obecna więc praca, jaka odbywała się w jego umyśle, była niejako zjednaczaniem wszystkich tych systematów. Uwaga za uwagą, objaśnienie za objaśnieniem, dopełnienie za do-

pełnieniem utworzyły szereg samoistnych spostrzeżeń, które nareszcie połączone i usystematyzowane niechcący uformowały kompletną „Filozofią transcendentalną", jednę z największych prac Majmona. Była to niejako odpowiedź i krytyka na „Krytykę czystego rozumu" Kanta, pod wpływem jego nauki i w formie jéj napisana, ale z poglądem znacznie już, w sceptycznym kierunku, rozszerzonym. Zgadza się w tém dziele Majmon na dogmatyczną stronę filozofii Kanta i uważa ją za nieprzepartą; ale dąży zarazem do wykazania, iż ona ze strony sceptycyzmu Huma podlega wszelakim zarzutom. Ku temu rozwija on ściśle i w całéj obszerności system sceptyczny na wielkie umartwienie nietylko dogmatycznéj, ale nawet tak zwanéj krytycznéj filozofii. Trudno tu nam byłoby wskazywać szczegółowo różnice, jakie zachodzą pomiędzy jedném a drugiém dziełem, raz dlatego, że różnice te z saméj natury przedmiotu są nadzwyczaj subtelne i prowadzą do technicyzmu, który w specyalnéj tylko mógłby figurować rozprawie; powtóre, że praca ta naszego ziomka jest tak z rozmaitemi systematami skomplikowaną, iż bez względu na nie, zrozumieć jéj i zainteresować do niéj byłoby niepodobieństwem. Przy poprzednich nawet wiadomościach i doskonale uprawionym umyśle tak ona trudną jest do zrozumienia, że kiedy wyszła na świat, to trzej urzędowi i najbardziéj spekulacyjni krytycy wręcz odmówili o niéj sprawozdania w pismach publicznych, składając się brakiem sił do zstąpienia w takie głębokości; czwarty podjął się, ale także podobno nie podołał, tak, iż Majmon w żaden sposób nie mógł dowiedzieć się, jakie wrażenie ta jego praca zrobiła w uczonym świecie. Przez pośrednictwo jednego z przyjaciół posłał on ją przed wydrukowaniem Kantowi, który długo zwlekał z odpisem, nareszcie odpowiedział pośredniczącemu między innemi w te słowa: „Cóż to ty sobie myślisz, kochany przyjacielu, przysyłając mi taki ogromny plik najsubtelniejszych zaciekań i to nietylko do przeczytania ale i do przemyślenia? mnie, który w 66 roku życia jeszcze obarczony jestem planem rozległéj pracy. Byłem już przez pół zdecydowany zwrócić rękopism, ale jeden

rzut oka odkrył mi odrazu dzielność téj pracy i przekonał zarazem, że żaden z moich przeciwników nietylko głównéj myśli mojéj nie pochwycił tak dobrze jak p. Majmon, ale mało który posiada tę przenikliwość, coby mu ułatwiła drogę do tak głębokich poszukiwań. To więc zachęciło mnie do pilnego odczytania rękopismu. Dzieło p. Majmona zawiera tyle genialnych spostrzeżeń, że wydanie go na widok publiczny jak najświetniéj, sądzę, może zalecić autora i t. d.". W liście zaś do samego Majmona pisał Kant: „Szanowny panie! Pragnąłem, ile było w mojéj możności zadosyć uczynić twojemu życzeniu; jeżeli zaś nie wygotowałem obszernego sądu o twojéj pracy, jak sobie tego życzyłeś, to o przyczynie tego dowiesz się z listu do pana H. Wstrzymało mnie od tego nie lekceważenie, którego nie dopuszczam w sobie względem żadnéj poważnéj i całą ludzkość obchodzącéj pracy, témbardziéj téż względem takiéj jak twoja, która w saméj istocie okazuje niepospolity dar do najgłębszych nauk".

Przeświadczony wewnętrznie i zdaniem Kanta utwierdzony w przekonaniu, że dzieło to jego może nań zwrócić uwagę, chciał Majmon przez nie trafić do umiłowanego celu, tojest zrobić coś na korzyść współziomków; dając tedy do druku, dedykował je Stanisławowi Augustowi, jako królowi téj ziemi, na któréj się urodził. Czyniąc to Majmon, chciał przypomnieć monarsze zaniedbane plemię, wykazać jego niedolę i upokorzenie, a zarazem dowieść, ile kraj cały cierpi na tém, że przez zupełne zapomnienie o żydach ubezużytecznia tysiące umysłów, które możnaby na korzyść jego obrócić, obmyślając właściwe środki oświaty. Wszystko to, co tylko do tego celu zmierzać mogło, co tylko zdolne było poruszyć serce monarchy i chętnego oświacie człowieka, wyraził Majmon w téj dedykacyi, spodziewając się nadać tém rozgłos sprawie żydowskiéj i usługi swoje w téj mierze zalecić. Ale i tu ścigało niepowodzenie biednego agitatora. Zaniósł on jeden egzemplarz do posła polskiego w Berlinie z prośbą o wręczenie królowi; poseł obiecał to uczynić, ale pod rozmaitemi pozorami zwłóczył od dnia do dnia: nareszcie wcale nie posłał, tak, że książka ta ani tą, ani inną drogą wcale rąk królewskich nie doszła. Gdyby to nawet

nastąpiło, wątpię jeszcze, czy zostałby osiągnięty cel przez Majmona pożądany. Jego „Filozofia transcendentalna" wyszła z druku w r. 1790, tojest w czasie, kiedy rozpocząć się miały największe zawichrzenia w Polsce; nie pora więc była myśléć o reformie żydów. Cóżkolwiekbądź, jakikolwiek był skutek bliższy czy dalszy téj pracy i tego kroku Majmona, dzieło jego stoi jako dowód wysokich i obywatelskich chęci, a nadewszystko miłości dla kraju i ziomków, któréj pomimo oderwania się od ziemi umysłem i ciałem nie stracił, ale owszem coraz bardziéj ją w sobie podsycał. Gdzie tylko ma sposobność, wszędzie jakby z chlubą i rozkoszą powtarza Majmon: jestem żyd polski, jestem *urodzony Polak* i t. p., jak gdyby umyślnie dla odróżnienia się od piszących wspólnie z nim po niemiecku i w duchu nauki niemieckiéj. Dziwna miłość i istotnie bezinteresowna dla kraju, któremu, prócz utrapień, nic Majmon nie zawdzięczał. Wprawdzie Niemcy podciągnęli Majmona pod swoje szkoły a tém samém i pod swą narodowość, i nic dziwnego: słuszność wyznać każe, iż on im tylko zawdzięcza wyższą kulturę umysłu; ale z drugiéj strony uzurpacye te, które dziś przechodzą nareszcie w śmieszność, przestały już niepokoić ludzi, a co do Majmona, to przecież zeznanie jego samego coś więcéj znaczy, jak etnograficzne zasady, któremi posiłkuje się niemiecka prawość. To téż biograf Majmona Wolf, to jedno tylko ma mu do zarzucenia, że tak wielki człowiek mógł się urodzić w Polsce: szczęściem, napomyka, że wychowanie i praca uczyniły go Niemcem.

Drugiém ważném, chociaż tylko w sferach abstrakcyjnéj nauki i obszerném dziełem Majmona jest jego „Nowa logika czyli Teorya myśli", która wyszła także w Berlinie r. 1794 z przydanemi do niéj „Listami Filaletesa do Enesydema". Jeżeli praca poprzednia dla swéj zawiłości mniéj zapewne była w obiegu publicznym, to znowu Logika poprzedzona zwłaszcza rokiem wprzódy rozprawą wysoko naukową „O postępie filozofii" i niemniéj ważnym traktatem „O kategoryach Arystotelesa", określiła stanowczo kierunek Majmona i wywarła znaczący wpływ na ruch filozoficzny współczesnéj epoki;

dlatego chcielibyśmy choć zlekka i w części dotknąć się jéj treści, aby wywiązać się względem czytelników obeznanych z teoryą Kanta rozwiniętą w „Krytyce czystego rozumu", w któréj zamierzał Majmon poczynić poprawki i opuszczenia zapełnić. Było w planie naszego filozofa utrzymać w swéj „Logice" stronę negacyjną i antidogmatyczną filozofii Kanta, z odrzuceniem strony pozytywnéj czyli doktrynalnéj: tymczasem z traktowania rzeczy wyniknął tak absolutny sceptycyzm, jakim nawet nie odznaczył się spółczesny mu filozof Schultze, największy sceptyk swego czasu. Głównie w tém dziele zwracają uwagę dowodzenia tyczące się wyobrażeń czasu i przestrzeni, tudzież określenie kategoryj. Pod względem pojęć przestrzeni i czasu Wolf za Lejbnitzem utrzymywał, że są to formy rzeczy samych w sobie, a zatém zupełnie przedmiotowe, o ile zmysły mają udział w pojmowaniu rzeczy; Kant znowu pojęcia te podawał za apryoryczne i czysto przedmiotowe formy zmysłowéj intuicyi. Podług Majmona zaś kwestya ta jest nierozwiązalną, gdyż my nie możemy wiedzieć, ani czém rzecz jest sama w sobie, ani czém jest w sobie zdolność pojmowania; wolno więc podług niego zasadę wyobrażeń przestrzeni i czasu odnosić tak do przedmiotu jak i do podmiotu: one jednakże stanowią to, co w attrybucyi zmysłów jest objektywnego, wyrażają bowiem nie stosunek przedmiotu do subjektu poznawającego, ale stosunki zewnętrzne przedmiotów między sobą; są one warunkiem apryorycznym wszelkiego realnego poznawania, gdyż za ich tylko pośrednictwem zmysłowe obrazy różnicują się pomiędzy sobą. Ale nie są one warunkiem możliwości przedmiotów zewnętrznych, za jaki my je uważamy przez proste złudzenie psychologiczne pochodzące ztąd, że nie możemy sobie wyobrazić przedmiotów we właściwém odróżnieniu inaczéj, jak tylko za pomocą tychże pojęć przestrzeni i czasu. Zdawałoby się, że takie rozumowanie zjedzie do idealizmu, tymczasem idealizm dla Majmona jest równie wątpliwym jak realizm, i to właśnie czyni go nieprzepartym sceptykiem. Idealizm, utrzymuje on, według którego przedmioty zewnętrznemi zwane są niczém inném, jedno modyfikacyami zdolności pojmowania czyli jaźni, jest niezbitym;

za czém wszakże nie idzie, aby był zgodny z prawdą. Można wprawdzie pojmować w sposób nieoznaczony rzecz samą w sobie jako istniejącą po za obrębem umysłu, ale niepodobna jest zdeterminować ją jako taką. Byłoby to bowiem sprzecznością utrzymywać, że pojmujemy po za obrębem umysłu rzecz zdeterminowaną, kiedy ona zdeterminować się nie da inaczéj tylko przez myśl. Z tém wszystkiém jednak we wszelkiém poznawaniu zmysłowém umysł nie wychodząc z siebie, może odróżnić dwa pierwiastki: tojest najprzód to co zmienia się równocześnie ze zmianą organu, a tém samém zawisłém jest od stanu subjektu; następnie to co pozostaje niezmiennem, a zatém tkwi w objekcie. Piérwszy tedy pierwiastek jest tém, co poznawanie ma najsubjektywniejszego, drugi stanowi to co jest objektywném. Wrażenia zmysłowe zależą od subjektu i równo z nim ulegają zmianie, ale z tém wszystkiém my inaczéj pojąć nie możemy przedmiotu, jak tylko w przestrzeni; pojęcie więc przestrzeni stanowi to, co jest objektywnego w pojęciu ciała, tak samo jak wszelka myśl zdeterminowana przypuszcza wyobrażenie czasu. Ztąd wniosek, że ze wszystkich nauk istotnie objektywną jest tylko czysta matematyka, poznawanie zaś empiryczne opiera się na złudzeniu powszechnie uprawnioném.

Teorya ta Majmona jest nie tyle modyfikacyą i sprostowaniem nauki Kanta, jak spotęgowaniem jéj raczéj w kierunku przeciwzmysłowym. Taż sama egzageracya objawia się w traktowaniu *kategoryj*, które filozof nasz subtelnie od *form* myśli odróżnia. Formy myślenia, twierdzi Majmon, są to możliwe stosunki pomiędzy przedmiotami wcale nieokreślonemi, a kategorye są to też same stosunki, o ile uważamy je za rzeczywiste pomiędzy przedmiotami nieokreślonemi wprawdzie, ale określnemi. Formy więc są warunkiem kategoryi, te bowiem, aby się urzeczywistnić przechodzą przez formy. Kategorye są to własności zasadnicze czyli konieczne, z góry określone, wszystkich realnych istności; formy zaś nie są własnościami (praedicatum), ale są to tylko sposoby z góry określone stósowania ich do przedmiotów w ogóle. Tak naprzykład, pod względem predykatu jakości, twierdzenie jest piérwszą formą myśli, któréj odpowiada kategorya

rzeczywistości. Obraz kategoryj ułożony przez Majmona jest prawie tenże sam co Kanta, tylko, że nasz filozof inaczéj stara się je wyprowadzić. Wszystkie formy myślenia, wszystkie objawy sądu, sprowadza on do jedynego ogólnego prawidła, tojest określności (determinabilitas), którą każdy sąd przypuścić musi; z niéj to należy bezpośrednio wyprowadzać kategorye, gdyż zasada ta panuje nawet nad formami. Formy te mają określenie negatywne w zasadzie zaprzeczenia, a pozytywne w zasadzie określności, czy to myśli o pojedynczym przedmiocie, czy téż sądu w ogóle. Według Majmona forma sądu hypotetycznego nie jest inną od formy sądu kategorycznego; niesłusznie zatém Kant z piérwszéj wyprowadza kategoryą przyczynowości, która rzeczywiście zlewa się z kategoryą substancyi. Jeżeli więc nie ma istotnéj różnicy pomiędzy drogą kategoryczną i warunkową, to wszystkie sądy są kategoryczne, czy to one będą twierdzące czy przeczące, ogólne czy szczegółowe. Zaczém idzie, że wszelki akt sądu, wszelka zatém myśl w ostatnim rozbiorze spoczywa na idei substancyi, realności, na przedmiocie wiedzy w sobie, jak go nazywa Majmon, czyli na pojęciu przedmiotu określnego; oderwijmy więc, idąc za nim, sam przedmiot, a dojdziemy z nim razem do pojęcia *określności;* jestto zatém ta sama prawie droga, któréj po Majmonie trzymał się Fichte.

Ale nie dosyć jest zbudować coś pozytywnego, trzeba jeszcze spróbować, czy to się nie obali, i otóż wychodzi na scenę wielka kwestya, grunt sceptycyzmu Majmona i w ogóle wszelkiego sceptycyzmu idealistycznego. Filozof nasz zadaje sobie pytanie, jakiém to my prawem stosujemy tę najwyższą kategoryą realności; jakiém prawem, myśląc, sądząc, przypuszczamy, że nasza myśl i sąd mają za przedmiot coś istniejącego zewnątrz nas, nie zależnie od myśli, która go determinuje. Otóż sceptyczne te kwestye rozwija Majmon we wspomnianych „Listach Filaleta do Enesydema" czyli poprostu do podobnegoż sobie sceptyka, Schultzego. Ten wszelką krytykę rozumu poczytywał za przywidzenie. Majmon nie odrzuca jéj, ale nie sądzi, aby ta, jaką wskazał Kant, była jedynie możliwą. Sceptycyzm Schultzego ograniczał się twierdzeniem, iż

filozofia sama nie zdołała ustanowić nic absolutnie pewnego co do rzeczy samych w sobie, ani co do granic władz intellektualnych, gdy tym czasem tę ostatnią sprawę stanowczo przypisuje sobie krytyka filozoficzna. Nie przeciwił się wreszcie Schultze temu, że zasady logiczne są miarą wszelkiéj prawdy, z tém tylko zastrzeżeniem, że syllogizm nie mógł nas doprowadzić do poznania natury rzeczy wziętych w sobie. To też Majmon zbija go zaraz, zapytując: jeżelić prawa myśli ważne i skuteczne są względnie do przedmiotów w ogóle, to czemużby nie miały być ważnemi względnie do rzeczy tak jak one są same w sobie: sceptycyzm jego jest głębszy i gruntowniejszy. Przypuszcza on z Kantem, że są pojęcia i zasady apryoryczne, zgadza się na poznawanie czyste, stosujące się tak do przedmiotu myśli w ogóle, czego dowodzi logika, jak i do przedmiotów poznawania a priori, czego dowodzi matematyka czysta; ale zaprzecza temu, iżby też same pojęcia apryoryczne, te czyste zasady, mogły absolutnie stosowanemi być do doświadczenia, gdy tymczasem Kant stosowanie to przypuszczał jako fakt samowiedzy. Ten fakt, według Majmona, jest tylko złudzeniem psychologicznem, ostatecznie więc kategorye mogą być prawnie stosowane tylko do przedmiotów czystéj matematyki.

Takie tedy zarzuty sceptyczne, popierane silném i wysoko naukowém rozumowaniem, nie pozostały bez wpływu na dalszy pochód filozofii niemieckiéj; one widocznie natchnęły Fichtego w początkowym zawodzie filozoficznéj pracy, z tego też powodu Niemcy w historyi swojéj filozofii zaszczytne Majmonowi naznaczyli miejsce.

Trzeciém jego znakomitém dziełem, chociaż więcéj wykładowém niż samodzielném jest „Słownik Filozoficzny" klassycznéj po dziś dzień wartości, z tego mianowicie powodu, że jest on niejako kursem historyi filozofii i obrazem rozmaitych teoryj. W gromadzie systematów, jakie przebiegał Majmon, napotkał on bardzo naturalnie różnice poglądu na rzecz tę samą, różnice, które wypływały z odmiennego punktu wyjścia autorów i ich indywidualnego przekonania. W rzeczach filozofii inaczéj być nie może, w matematyce bowiem tylko jako w nauce opartéj na definicyach i pewnikach, prawdy są ogólne, nieodmienne

i *apriori* ustanowione: to jest, że nikt nie może inaczéj zapatrywać się *np.* na linię lub jéj stosunek do powierzchni czy bryły, ale wszyscy zgodzić się muszą na jedno; każdy tylko w miarę swego uzdolnienia, szczuplejsze lub obszerniejsze wyprowadza z tych stosunków prawdy: tymczasem w filozofii każdemu wolno inaczéj zapatrywać się na szczegóły i fenomena, z czego różne wypływają rezultaty. Otóż w słowniku Majmona wyrazy objaśniają się w sposób zupełnie swobodny, tojest autor nie przechyla się do żadnego szczególnego systematu; lecz określa je albo definicyą wszystkim systematom wspólną, albo też kilku definicyami właściwemi różnym systematom: jest to zatém praca professora raczéj niż myśliciela, tém zgodniejsza z charakterem filozoficznym Majmona, iż on jako przeważnie sceptyk, w największéj liczbie wypadków nie przechylał się do żadnego zdania, ale stanowił opozycyą. Żeby bliżéj objaśnić tę pracę, weźmy pierwszy lepszy wyraz: *np. prawo.* Wyraz ten w znaczeniu ogólném, w sposób wszystkim systematom moralności właściwy, objaśni się przez uporządkowanie czynów z wolnéj woli wypływać mogących, nie wdając się w to, czy to uporządkowanie służy do jakiego celu, czy nie służy, a w piérwszym razie jakiego ten cel jest rodzaju. Inaczéj się rzecz ma, kiedy przychodzi do znaczenia szczegółowego: wtedy prawo w systemacie Epikurejskim będzie temże uporządkowaniem mającém za cel szczęśliwość, w stoickim niepodległość, w Wolfiańskim głównie doskonałość, w Kantowskim praktyczny rozum. Do tego łączą się zasady za i przeciw, w moc których każdy systemat określa podług siebie pożytek i prawdę.

Pomijamy tu już kommentarz nad „More-Nebuhim" Majmonidesa, do którego sam Majmon jakąś szczególną przywiązywał wagę; pomijamy również wiele pism pomniejszych i rozpraw w różnych kwestyach filozoficznych po dziennikach rozproszonych: gdyż chciawszy to z pewną dokładnością określić, trzebaby obracać różnemi systematami, co wystarczyłoby na kilkotomową monografią. Z pomiędzy dzienników, Majmon był głównie współpracownikiem przeglądu „Metafizyki doświadczalnéj" (*Erfahrungsseelenkunde*), wydawanego przez Moritza.

Przy takich zdolnościach, przy tak dobrych chęciach nie mógł jednak Majmon celów swych urzeczywistnić; tak przynajmniéj jak sobie to marzył w młodzieńczéj imaginacyi, wówczas, kiedy tylko z poddasza rodzinnéj chaty spoglądał na roztaczający się przed nim widok niedoli współziomków i współwyznawców. Młodemu zdawało się, że wszystkie środki są do zdobycia, że dosyć przemówić do serca i rozsądku, aby być wysłuchanym; nie przewidywał jeszcze, wiele to przyszłość człowieka chowa niespodzianek, które rzuca mu pod nogi jedną po drugiéj, aby go zbić zdrogi, zniechęcić, obezwładnić. Historya jego jest historyą wszystkich niecierpliwych entuzyastów. Majmon chciał za życia swego w ciągu lat kilkunastu, dokonać tego, co się dzieje wiekami; chciał żydów wydobyć z ciemnoty i zabobonów, téj drugiéj niewoli egipskiéj, i uczynić ich rozsądnymi obywatelami. Prosta rzecz, iż to nie mogło tak porywczo nastąpić, każdy zasiew musi regularnym trybem wykiełkować i dojrzéć; w natłoku i ruchu czynności nie spostrzegał tego Majmon, iż jego rozmaite kroki, któremi on daleko nie sięgał, bezużytecznemi jednak nie były, tu i owdzie rzucone słowo, zmienione przekonanie, tu i owdzie choć pojedynczo zaszczepiona myśl postępowa, jego własny nareszcie przykład niewidzialnie tam gdzieś wydały swój skutek. Ludność żydowska od jego czasu uczyniła znaczny postęp nawet w miejscach najniedostępniejszych, a komuż to zawdzięczyć jeśli nie ludziom, którzy podobnemi jak Majmon kierowali się uczuciami. Za największą przeszkodę w działaniach swych zawsze i uporczywie Majmon uważał rabinizm, z nim téż prowadził najzaciętszą walkę słowem i czynem, od niego rownież na każdym kroku doznawał ciężkich prześladowań, ale ani na krok nie ustępował i cienia słabości nie okazał. Najkategoryczniéj co do rabinizmu wyraził się Majmon z powodu zamierzonego w Berlinie pewnego bardzo pożądanego wydawnictwa peryodycznego. Ponieważ zdanie takiego człowieka nie może być bez powagi, a dzisiaj jeszcze w wielu razach znajdzie zastosowanie, przeto przytoczymy tę okoliczność, starając się ją oddać o ile można słowami samego Majmona. Towarzystwo młodych Izraelitów

z rozmaitych stron zamierzyło zjednoczyć się w celu uprawy języka hebrajskiego. Uważali oni i bardzo słusznie, że nieszczęśliwy stan żydów tak we względzie *moralnym* jak *politycznym* pochodzi z braku rozsądnego wykładu Pisma i z samowolnego tłumaczenia tegoż przez rabinów źle w samym języku hebrajskim usposobionych. Brakowi temu zaradzić miało pismo miesięczne, zawierające studya nad językiem hebrajskim na źródłach oparte, objaśnienia trudniejszych miejsc Pisma Ś., poezye hebrajskie, rozprawy prozą, tłumaczenia pism pożytecznych i t. d. Majmon nie wróżył pismu temu powodzenia, i oświadczył, że o ile zna zasady i usposobienia rabbinistyczne, to wątpi, żeby ten środek przynieść mógł jaką zmianę. Naród żydowski, powiada, pomijając przypadkowe modyfikacye, stanowi pod cieniem teokracyi nieustającą arystokracyę. Uczeni, którzy tworzą szlachtę tego narodu, jako ciało prawodawcze, przez tyle wieków potrafili się w takim szacunku postawić względem gminu, że robią z nim co tylko chcą. Ten wysoki szacunek jest naturalnym haraczem należnym silnemu od słabego. Jeżeli bowiem ludność podzieloną jest na tak nierówne stany, jak gmin i uczeni, z których piérwszy, w skutek nieszczęśliwéj doli politycznéj całego plemienia, nie ma najmniejszéj świadomości nietylko w obrębie pożytecznych nauk i kunsztów, ale nie rozumie nawet praw religii własnéj, od czego przecież jego wiekuiste dobro zawisło; zmuszonym jest tedy wykład Pisma Ś., ustanowienie wypływających zeń przepisów religijnych i prawideł stosowania ich do szczególnych przypadków, złożyć całkowicie w ręce ciała uczonego, które on na swoim utrzymuje koszcie. Uczeni zasię starają się, brak znajomości języka i rozsądnéj egzegezy zastępować własnym geniuszem, pomysłowością i dowcipem. Dosyć jest przeczytać talmud z kommentarzem *Tosphyth*, aby powziąć wyobrażenie do jak wysokiego stopnia dochodzi uprawa tych talentów. Produkcye ducha nie cenią się u nich podług stopnia dążności i pożytku, ale podług stopnia spotrzebowanego przy nich talentu. Ktoś, co rozumie dokładnie język hebrajski, co biegły jest w Piśmie Ś., ażeby nawet miał w głowie całe *corpus juris* żydowskie (co doprawdy nie jest bagatelą), nie wiele dlatego ma u nich zachowania.

Za największą pochwałę nazwą go *Chamor nossa sepharim*, co znaczy: księgami opakowany osieł. Ale niechno zdarzy się taki, co własnym konceptem z uznanych praw wyprowadzi nowe, potworzy subtelne dystynkcye, rozwiąże ciemne przypowieści, takiego gotowi niemal ubóstwić. Można więc sobie łatwo wyobrazić, jak mało przez takich ludzi cenioném jest wszystko, co dąży jedynie do rozszerzenia wiedzy, ukształcenia smaku, podniesienia godności ludzkiéj i tym podobnych, według nich, drobnostek; a jednak tacy to ludzie, i to nie w małéj tu i owdzie rozrzuceni liczbie, są sternikami tego po wszystkich morzach tułającego się statku. Wszyscy najprzedniejsi mężowie, żeby nie wiedzieć wiele posiadali nauki i gustu, są u nich idyotami. Dlaczego? bo nie studyowali talmudu, rozumie się na ich sposób. Sam Mendelson za życia, z téj strony jedynie uważanym był przez nich za człowieka wyższego, że uchodził za dobrego talmudystę.

Tacy téż ludzie nigdy i nigdzie Majmonowi pokoju nie dawali, zatruwając mu życie pogróżkami i strofowaniem o kacerstwo. Gdy wydalił się na czas z Berlina do Wrocławia, szukając polepszenia losu, już go tam poprzedziły listy uryaszowe, tak, że musisł aż u chrześcian szukać protekcyi i znalazł ją u professora Garwego, który go według zasługi ocenił; znalazł przyjaciela i doradcę w izraelskim poecie Efraimie Kuhe; znalazł nareszcie mecenasa w osobie hrabiego Kalkreita, który mu na całe życie miejsce i utrzymanie obok siebie przeznaczył. W ciągłym zostający niedostatku, umiejący pracować tylko a nie zbierać Majmon, mógł nareszcie mieć głowę spokojną przynajmniéj o byt materyalny, ale spokojem tym nie długo się cieszył. We wsi Siegesdorf na Szlązku, w majątku hr. Kalkreita dokonał pracowitego żywota pod koniec r. 1800, mając zaledwie lat 46. Uczeni ludzie mocno uczuli śmierć towarzysza, ale złośliwy zabobon i po za granicą życia nie złożył prześladowczéj broni: talmudyści z Wielkiego Głogowa zlecieli się, aby pogrzeb jego niepokoić, dając tém ostateczne świadectwo, że kamień jest dość zwyczajną nagrodą proroka.

Ze wszystkich działań Majmona i wspomnień, jakie po nim pozostały, pokazuje się, że był to człowiek nie-

skazitelnego charakteru, energiczny a skromny i miłujący ludzkość, przytém usposobienia trochę niespokojnego i jakby awanturniczego. Nie mógł nigdy długo na jednem miejscu dosiedzieć, nieraz rzucał się gdzieś bez celu, zadzierał bez koniecznéj potrzeby; nie ganimy mu tego wszakże, iż nie umiał, jak to powiadają, spolitykować: owszem radzibyśmy jak najwięcéj widzieć takich ludzi, którzy wszędzie i bez ogródki fałsz nazwą fałszem i podłość podłością, nie wdając się w żadne modyfikacye i nie okładając bawełną tego właśnie, co powinno być jawném całemu światu. Majmon takie postępowanie posuwał do ostateczności, i to właśnie przyczyniło mu dużo nieprzyjaciół a z niemi dużo goryczy; on zaś odpłacał im to jedynie demaskując ich i paraliżując, ile mógł, szkodliwe działania. Z walki ze światem wyszedł skaleczony ale czysty; jest jednakże jedna okoliczność w jego prywatném życiu, nie dosyć w biografiach wyjaśniona, która, zdaniem naszém,przynosi ujmę jego charakterowi. Majmon opuszczając kraj, zostawił w nim żonę i syna, Dawida. W ciągu całego życia nie widzimy w nim najmniejszéj troskliwości, nie powiem już o żonę, któréj bez niego mogło być bardzo dobrze, ale o dziecko, które bez niego musiało zmarnieć, i nawet tak się zapewne stało. Zajęty sprawami ogółu myśliciel i obywatel, nie umiał być ojcem, a zła to bardzo rekomendacya. Żona szukała go to listownie, to przez osoby trzecie, żądając rozwodu, na co on zgodzić się nie chciał; przyjechała nareszcie sama do Wrocławia, nalegając na męża, aby albo wracał do Litwy, albo się z nią rozwiódł. Majmon chciał przy sobie zatrzymać syna, na rozwód nie pozwolił i do domu wracać nie myślał, gdzie, naturalnie, życie dla niego, w kole arendarzy i rabinów było już niepodobieństwem. On chciał wrócić do kraju, ale już z pewną missyą, a tu wypadki i okoliczności wcale się na to nie składały. Koniec końców żona nie chcąc zostawać w obcym kraju, wymogła na nim rozwód i odjechała go, ale wraz z synem, i jakoś Majmon nie bardzo tęsknił za dzieckiem. Nie chcąc być apologistą lecz wiernym sprawozdawcą życia Majmona, notuję i ten szczegół bynajmniéj na stronę bohatéra nie przemawiający.

Ktoś może nas jeszcze zapytać, w czém nas obchodzi ten człowiek, jaki ma związek z naszym narodem, kiedy dotykalnie nic dla kraju nie zrobił, kiedy porzucił go na długie lata i pracą nawet własną drugim tylko przysparzał kapitału umysłowego. Na to łatwa odpowiedź: my nie obrachowujemy na zimno rezultatów czyichś działań, ale patrzymy też na chęci, pobudki i środki. Winąż to jest Majmona, że w kraju nie było szkoły publicznéj, którąby go przyjęła, a choćby to i nastąpiło, cóż on się mógł w takiéj szkole nauczyć, nawet w akademii wileńskiéj lub krakowskiéj? Jegoż to jest winą, że już jako człowiek wyższy szukając wstępu do kraju drogą najzaszczytniejszą, tojest drogą pracy, odepchniętym został obojętnie i bezmyślnie, że poseł polski nietylko nic za nim nie przemówił, ale nawet dzieła jego przesłać królowi nie raczył. Któż to wié wreszcie, ile było Majmonowego wpływu w téj odrobinie postępu, jaki się już okazał, w tém powolném ale nieustającém zbliżaniu się członków jednego kraju, choć różnych wyznań, do wspólnego stołu pracy. Myśl przebiega od ucha do ucha, jeden się nad nią zastanowi a drugi już ją w czyn wprowadza; trzeci przystępuje do gotowego, nie pytając już o źródło zkąd się to wzięło, i tak różnemi kanałami chęć człowieka dobréj woli nurtując, rozpływa się w życiu publiczném. Co pewna, to że w końcu zeszłego wieku sprawa żydowska u nas nie będąc ani nawet w zawiązku, już na początku bieżącego stulecia, tojest zaraz po śmierci Majmona, raptownie wychyliła się na świat. Już ją porusza Czacki i Niemcewicz, już broszury interesują ku niéj uwagę publiczną, każdy w miarę swego pojęcia spieszy z radą lub informacyą.

Do wiadomości o życiu i działaniach Majmona przyszedłszy oddzielną drogą, tojest przeglądając wcale nie polskie foliały, jużeśmy mieli, kréśląc te notatki, dopuścić się niesprawiedliwości i oskarżyć nasz ogół o obojętność dla człowieka, którym słusznie możemy się pochlubić. Tymczasem w ciągu pracy zabłąkała się do nas broszura, z któréj powzięliśmy przekonanie, że już w r. 1821 b. uniwersytet warszawski dopominał się o miejsce należne dla Majmona w naszym panteonie naukowym. Pro-

gram publicznego posiedzenia tegoż uniwersytetu (1) zamieszcza rozprawę professora wydziału prawa, Klemensa Urmowskiego, w któréj szanowny professor krótko, ale w serdecznych słowach przebiega życie Majmona i kréśli jego tytuły do współczucia ziomków. Tém chętniéj téż chwilę tę po latach równo czterdziestu, wiążemy z dzisiejszą i nanowo zwracamy uwagę na zapomnianą ojczystą świetność.

Dzisiejsze interesa i stosunki nasze nie sprzyjają zajmowaniu się na obszerniejszą skalę studyami filozoficznemi; lecz jeżeli w bardziéj sprzyjających okolicznościach uczujemy tego potrzebę i zaczniemy porządkować inwentarz naszéj własności filozoficznéj, nie możemy pozostawić Majmona jedynie na półkach księgarni niemieckich: byłaby to nie do darowania obojętność i lekceważenie dorobku narodowego. Przy zainteresowaniu się do zdobyczy poczynionych na tém polu przez szkołę niemiecką w drugiéj połowie zeszłego stulecia, z czém nas tak dobrze obeznawa dzieło ś. p. Gołuchowskiego pośmiertnie w tym roku wydane, dopiero prace Majmona mogą być i ciekawe i należycie ocenione, wtedy dopiero obowiązkiem naszym będzie tłumaczyć je na język polski: wcześniéj nie miałyby dosyć interesu. Majmon jako filozof dobrze wydać się może tylko w ogólnym obrazie filozoficznéj mozaiki zeszłego wieku; oderwanego ztamtąd trudno rozpoznać. Dodać musimy i to, że wykład jego, lubo często przyjemny i obrazowy, w ogóle jednak nie jest łatwego pożycia; wyrzucano mu to nawet w swoim czasie, ale on wręcz oświadczył, że pisze dla adeptów, i pragnie aby nad pismami jego nie tylko myślano, ale i natężano myśl, hartując ją do wysokich zagadnień. Z tém wszystkiem i dziśby nie zawadziło mieć po polsku choćby jego autobiografią, dzieło z pism jego najpopularniejsze a bardzo interesujące, jak dla ogółu, tak szczególniéj dla naszych izraelskich współziomków.

Dnia 31 lipca 1861 r.

(1) Posiedzenie publiczne królewsko-warszawskiego uniwersytetu na uczczenie pamiątki uczonych mężów a mianowicie Polaków, przy ukończeniu kursu rocznego nauk, odbyte dnia 31 lipca 1821 r.

DO MAGNATÓW WĘGIERSKICH
PRZEBYWAJĄCYCH ZA GRANICĄ.

(Z PETOEFIEGO).

W krzepkim narodzie gangreno wcielona!
Mogęż ja o was pomyśléć bez wstrętu?
Gdybym był ogniem, oh! jabym wam z łona
Rdzeń jadowity wypalił do szczętu.

Czemuż mi nie stać palących płomieni;
Lecz ja mam oręż, tym orężem słowo:
Pieśń ma niech wstydem czoła wam zrumieni,
Niech wam przekleństwem zahuczy nad głową.

Czyliż ta ziemia do zbytku ma złota,
Że go wasz skarbiec pomieścić nie może?
Oh nie! tu naród jak łazarz sierota
W ciężkiéj niemocy już zalega łoże.

A wy to złoto, co przywrócić miało
Stargane siły, zamiast nieść mu w darze,
Pełnémi garśćmi rzucacie tak śmiało
Obcym bożyszczom, na cudze ołtarze.

Tu lud wyciąga z błagającym wzrokiem
Dłoń po jałmużnę: wam litość nie znana;
Tu krew ze łzami wciąż płynie potokiem,
A u was płyną strumienie szampana.

Bićda w ojczyste przygania was progi,
Gdy wam szkatuła wypróżni się do dna,
By pot wycisnąć z krainy ubogiéj,
Co z waszéj łaski odarta i głodna.

Ależ szaleńcy! jak wy bez litości
Osierocacie matki ziemi łono,
Tak grób odtrąci wasze grzeszne kości,
Tak niebo duszę odtrąci spodloną!

S. Pruszakowa.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Przekład utworów scenicznych Cervantesa, przez Alfonsa Royer.—Historya literatury francuzkiéj, Nisard'a —Ostatni tom dzieł Voltair'a.—Voltaire oczyszczony.—Doroczne posiedzenie Akademii nauk.—Wiadomości literackie.

Pod napisem „Teatr Cervantesa" znany literat Alfons Royer, wydał francuzki przekład czterech sztuk i ośmiu krotochwil (entremeses) autora Don Kiszota; resztę utworów scenicznych Cervantesa, tłumacz daje poznać ziomkom z rozbiorów, licznych cytacyj i nauczającéj przedmowy, którą na wstępie swéj pracy umieścił. Tym sposobem pan Royer odbudowuje niejako cały teatr Cervantesa, zębem czasu zredukowany do sztuk dziewiętnastu.

Cztéry sztuki przetłumaczone w całości, przedstawiają cztéry rodzaje, w jakich pisał Cervantes. *Pedro de Urde Malas* jest tak zwaną komedyą *picaresque*, czyli malującą obyczaje hiszpańskiéj ludności ruchoméj, koczujących aktorów, malarzy, kuglarzy i ich służbę, niewartów przypominających Kryspenów i Frontenów staréj francuzkiéj komedyi. *Waleczny Hiszpan* jest dramatem rycerskim, w którym Maury z chrześcianami prześcigają się w odwadze i kurtuazyi. *Cristoval de Lugo* jest dramatem religijno-mistycznym. Przeplatana obrazkami obyczajowemi sztuka ta opiera się na katolickim dogmacie łaski, i dowodzi z góry przekonanym słuchaczom, iż największy zbrodzień żałujący szczerze za grzechy w godzinę śmierci, zostaje oświecony łaską Bożą i zbawiony mimo swych zbrodni. Czwartą nakoniec, przetłumaczoną z rzędu sztuką, jest

Numance tragedya epiczna, która zjednała autorowi nazwę kastylskiego Eschylesa.

Entremeses, jedno aktowe krotochwile pisane prozą, poznajamiają czytelnika z ludem, wyrobnikami, żołnierstwem, rzemieślnikami, zakrystyanami, przekupniami, żebrakami i oszustami, mieszaniną, z której wówczas składała się najniższa warstwa społeczna.

Opierając się na wyrokach wydanych przed dwustu laty, wszyscy prawie późniejsi krytycy oceniają nizko sceniczne utwory Cervantesa: wyjąwszy jego tragedyi *Numance*, jedném słowem „nędzota" całe obszerne dzieło tego hiszpańskiego dramaturga wepchnęli w przepaść zapomnienia. Lenistwo ludzkie, zwykle chętnie przystające na wszelkie gotowe opinie, mianowicie jeżeli one uwalniają nietylko od rozbierania, ale nawet od przeczytania kilku tomów, przyjęło tak absolutnie wyrok potępienia, który przeszłość na dziele Cervantesa przykleiła, że już ani na myśl nikomu nie przyszło przekonać się naocznie o jego słuszności.

We Francyi, najmniéj ciekawéj płodów cudzoziemskiego geniuszu, pierwszy dopiéro Royer począł w tym przedmiocie powątpiewać o sprawiedliwości średniowiecznych sądów. „Pomyślałem sobie, mówi w przedmowie, być nie może, żeby taki dowcipny i głęboki pisarz jak autor Don Kiszota, taki wielki filozof i zabawny narrator, ilekroć chodzi o wystawę śmieszności ludzkich, napisał pięćdziesiąt komedyj, w żadnéj ani śladu geniuszu swego nie zostawiwszy!"

Zwątpienie tą razą wydało pożywne owoce. Przyszły tłumacz wziął się do czytania utworów scenicznych Cervantesa. Ażeby się nie zrazić na wstępie, zaczął od chwalonéj tragedyi. *Numancia* podobała mu się niezmiernie. „Tragedya ta, powiada, jedyna jaką Cervantes napisał, przedstawia obraz przerażający, rzekłbyś krwią i łzami malowany. Grozę tragiczną autor podnosi tu do najwyższéj potęgi; styl jego w niektórych scenach siłą swoją przypomina *Prometeusza*."

Zasmakowawszy w Cervantesie, Royer zagłębiał się coraz daléj w jego dzieło i w końcu tak je pokochał, iż część przetłumaczył, a resztę podał w treści. Tym spo-

sobem zbogacił ojczystą literaturę bardzo pięknym nabytkiem.

W przedmowie Royer zaprowadza paralellę pomiędzy Cervantesem a Lopezem, zastanawia się nad istotną wartością ich dzieł a powodzeniem jakiego w swoim czasie doznały. Przytoczone fakta dowodzą tu jeden raz więcéj, że prawdziwa zasługa, prawdziwy geniusz, za życia zawsze ustąpić musi pierwszeństwa jaskrawéj mierności, trafiającéj w smak modzie i przelotnéj namiętności.

Utwory sceniczne Cervantesa przedstawiane były w Hiszpanii aż do roku 1587, w którym to czasie zjawił się Lope de Vega, owo „cudo natury", jak go sam niezawistny rywal z uwielbieniem zowie. W tym właśnie roku grano z nadzwyczajném powodzeniem zagubioną komedyą Cervantesa *Confusa*, którą on za arcydzieło swoje uważa. Komedye młodego Lopeza wnet zaćmiły blask téj sztuki; wkrótce lud już tylko jego sztuk żądał, a o Cervantesie słyszéć nie chciał. Ażeby nie zostać pokonanym w sposób upokarzający przez młodego współzawodnika, Cervantes usunął się z areny, z postanowieniem nie pisania dla teatru, dopóki wzięcie Lopeza nie minie.

Kiedy po świetném powodzeniu pierwszéj części Don Kiszota, Cerwantes pozbawiony sposobu do życia, był zmuszony szukać kawałka chleba, liczył lat czterdzieści, miał strzaskaną pod Lepantem rękę i zdrowie stargane pięcio-letnią na algerskich galerach niewolą.

Obarczony liczną rodziną, nie mogąc znaleźć w ojczyznie choćby najlichszego urzędu, Cervantes starał się usilnie o posadę audytora w Ameryce, „owym, jak ją zowie, przytułku zrozpaczonych Hiszpanów, świątyni bankrutów, jaskini zbójców, schronienia graczów, ochronie kobiet zgubionych, obłędzie powszechnym a niczyjém zbawieniu." Szczęściem dla potomności, nie mógł wyprosić u rządu tego skromnego kątka, którego na nowym świecie pragnął.

Zmuszony do bezwładności na polu czynu, gwałtem na literackiém stanowisku przytrzymany, wziął się znów do pióra, i przegryzując suchym chlebem, pisał.

W roku 1615 licząc lat sześćdziesiąt ośm, wydał szesnaście sztuk nowych i drugą część Don Kiszota,

którego część pierwsza wyszła dziesięć lat pierwéj, w 1605 roku.

Przez ten czas Lope, od chwili wyrugowania Cervantesa z teatru, sam zasilał narodową scenę z niesłychaném powodzeniem. Kiedy rozpoczął swój zawód dramatyczny, było w Madrycie tylko dwa teatra; kiedy go skończył po pięćdziesięcio-letniéj pracy, było ich cztérdzieści, i wszystkie jego dziełami żyły. Lope napisał tysiąc ośmset komedyj trzech aktowych, każda złożona co najmniéj z dwóch tysięcy wierszy; prócz tego, cztérysta *Autos Sacramentales*, czyli dramatów religijnych. Wszystkie te sztuki były grane, a połowa ich jest drukowana. Antonio Gil de Zarate w swoim *Manuale de literatura* zapewnia, że wszystkie pisma Lopeza czynią razem 133 tysiące stronnic i dwadzieścia jeden milionów wierszy.

Dzieło to przyniosło autorowi przeszło sto tysięcy dukatów, summę na swe czasy ogromną, nie rachując podarunków od Filipa III i IV, oraz wszystkich wielkich panów.

Cervantes żył ubogi, a umarł w nędzy. W roku 1616 pochowano go jak nędzarza, na cmentarzu zakonnic Trynitarek, do których klasztoru córka jego wstąpiła. W kilka lat późniéj zakonnice przenosząc się do innego klasztoru, zapomniały o grobie zmarłego gościa tak dalece, że dziś nie ma nawet śladu nędznego kamyka, który niegdyś wskazywał, gdzie złożono kości nieśmiertelnego autora Don Kiszota.

W 1635 roku, drugi wielki pisarz hiszpański Lope de Vega, oddał także Bogu ducha w klasztorze św. Franciszka, którego był zakonnikiem. Żałoba była powszechna: cały Madryt szedł za trumną swojego bożyszcza. Książe krwi królewskiéj osobiście prowadził orszak: dwór, grandy i rycerstwo, korporacye religijne i wyrobnicze, odprowadzały ciało na miejsce wiecznego spoczynku. Skoro wsunięto trumnę do lochów kościoła św. Sebastyana, cały naród zaszlochał...

Zupełnie inaczéj dwaj ci pisarze wydają się potomności. Całe niezmierne dzieło Lopeza, tak ubóstwiane i płacone niegdyś, teraz z toni zapomnienia ledwie starą sławą niekiedy błyska; nieznane prawie za granicą, w Hisz-

panii dawny urok straciło. Któż nie zna, któż nie admiruje Don Kiszota, któremu za życia autora tylko bezpłodna dostała się pochwała... „O! jakże różne przed prawdy mistrzynią są orły, chociaż wszystkie jeden hałas czynią!"

Życie Cervantesa, podobnie jak życie Mickiewicza, przedstawia przykry, na szczęście rzadki w dziejach ludzkości widok człowieka, za życia uznanego geniuszem a walczącego z niedostatkiem aż do grobu. Prawda, że pierwszy walczył z nędzą w kraju, a drugi za granicą; ale odmienność epoki różnicę tę znosi.

Dwaj królowie hiszpańscy jeden po drugim wstąpili na tron, i nie przyszło im na myśl dać kawałek chleba Cervantesowi, jeżeli nie za pisarską sławę, to przynajmniéj za rany odniesione w obronie ojczyzny, za dziesięć lat służby żołnierskiéj i pięć lat ciężkiéj na galerach niewoli. Występna ta obojętność nie da się nawet wytłumaczyć niewiadomością, bo Cervantes o nędzy swojéj sam pisał, w sposób nie szlochający, ale żartobliwy, który daleko łatwiéj uwagę możnych na dolegliwości ubogich zwraca. Oto jak drwi sobie z biedy w swéj *na Parnas podróży*.

Obaczywszy go Apollo przybywającego w swe państwa, woła:

— O! Adamie poetów! o! Cervantesie! Cóż znaczy ta torba i te łachmany?

— Ja mu na to: Panie, ubogi jestem, więc tak chodzę. On znów do mnie: — Oby cię obsypano dobrodziejstwy! boć przecie złożyłeś kaucyą będąc odważnym żołnierzem, jak tego dowodzi twoja skaleczała ręka: wiem, żeś stracił władzę w lewéj dla chwały prawéj. Wiem także, iż Boskiego natchnienia, które masz w piersi, twój ojciec Apollo nie dał ci napróżno. Świat zna twe dzieła kłusujące na grzbiecie Rosinauty, i od zawiści cię obroni."

W IV rozdziale tegoż poematu, Apollo mówi mu jeszcze:

— Chcesz-li być pocieszonym i wesołym? Zwiń płaszcz, siądź sobie na nim i nie dbaj o resztę. Czasami fortuna więcéj jest honorowaną u tego, kto nań zasługuje, niż u tego, co ją posiada. Cerwantes na to:

— Uważam, panie, iż nie postrzegasz, że nie mam płaszcza.

— Niemniéj przeto chętnie cię widzę, odrzekł Apollo.—Cnota jest płaszczem, który wspaniale odziewa ubóstwo.

Co dziś najwięcéj uderza czytelnika rozpatrującego się w ówczesnym teatrze hiszpańskim, to to, że najsławniejszemi autorami mnogich sztuk, z których złożony, byli księża: Torres Naharro, Lope de Vega, Calderon, Morets Tirso de Molina, Solis i mnóstwo innych; Cervantes nawet przywdział, trzy lata przed śmiercią (2 kwietnia 1615), habit franciszkański. Aktorowie idąc za przykładem autorów, często żywot w klasztorze kończyli.

Teatr hiszpański urodzony z kościoła, długo zachował ślady swego pochodzenia. *Autos sacramentales*, sztuki oparte na katolickich dogmatach, są podwaliną tego olbrzymiego budynku. Mimo to, duchowieństwo wydawało edykt za edyktem, celem powściągania scenicznéj rozpusty; żaden wszakże z tych edyktów nie wszedł w wykonanie, bo potrzeba wzruszeń była wtedy u Hiszpanów silniejsza niż chęć zbawienia duszy. Na starość szli pokutować za grzechy i pokutowali szczerze, ale za młodu szalenie bawić się musieli, mianowicie w swym ulubionym teatrze. Teatr hiszpański jest też synem własnych wnętrzności: nie autorowie, ale gust ludu nadawał mu grunt i formę. W teatrach północnych przeważała po wszystkie czasy publiczność złożona z klass wyższych: w hiszpańskich i włoskich, do dziś dnia przeważa lud. On klaszcze i gwiżdże, on wypuszcza petardy na znak zadowolenia, lub ciska ulęgałkami, na znak pogardy. Tłum ten namiętny, zarówno w sypaniu pochwał jak nagan, szumiący jak ocean pod gołém niebem (sale teatrów dziennych w Hiszpanii i Włoszech są bez dachu), wyrokował o wartości sztuki, potępiał lub koronował autorów.

Ponieważ lud hiszpański nie miał doskonałego smaku ludu ateńskiego, który Eschylesowi swojemu raz nie pozwolił dać nagrody, dlatego, że w tragedyi „zbyt jaskrawemi barwami odmalował sytuacyą", nic dziwnego, że świetnemu Lopezowi dał paszport do nieśmiertelności i pieniędzy na drogę, a głębokiego Cerwantesa zostawił własnemu przemysłowi.

Członek Akademii i uniwersytecki dostojnik, Nisard, przed dwudziestą laty wydał był rodzaj manifestu przeciw literaturze łatwéj, w którym okrutnie sponiewierał Wiktora Hugo, panią Sand i całą tak zwaną wtedy szkołę romantyczną. Dziś w nowém dziele pod tytułem *Historya literatury francuzkiéj*, tenże Nisard, w sądach łaskawszy, nie tylko już nie przeklina, ale gotów wielbić tych, których niegdyś smażył na wolnym ogniu. Lepiéj natchniony niż dawniéj, przyznaje się do winy i żałuje za grzechy tak gorąco, iż gotów swemi akademickiemi rękami uwić wieniec i położyć go na czole poety wygnańca, którego niegdyś, jako dyrektor szkoły normalnéj, gromił uniwersyteckiemi piorunami.

To stare dzieje! zawołacie. Prawda. Zostawmy je więc na stronie, a zajmijmy się przejrzeniem ostatniéj pracy Nisarda.

Nauki i smaku jéj nie brak. Czwarty i ostatni tom *Historyi literatury francuzkiéj* wieńczy godnie pomnik wzniesiony narodowemu piśmiennictwu: oceniając bowiem innych autorów, Nisard stworzył sam dzieło, które mimo kilku niesprawiedliwych wyroków, w ogromnym korpusie krytycznym literatury tegoczesnéj, stanie na prawém skrzydle.

Krytyka nigdy nie była tak rozmaitą, obszerną i wszechstronną jak teraz. Czy to starożytne czy nowe wezmą dzieło, krytycy dzisiejsi umieją rozwikłać cały kłębek myśli i uczuć autora, wykazać charakter epoki, działanie jéj na umysł piszącego, okoliczności prywatne wśród jakich żył, publiczne i domowe wpływy, jakim podlegał: słowem odfotografować z pomocą słońca wiedzy świat jego fizyczny i moralny. Tym sposobem, patrzymy niemal na tajemniczą pracę wyobraźni pisarza, zgadujemy preokupacyą autora w chwili, kiedy to lub owo dzieło tworzył. Krytycy dzisiejsi tłumaczą czytelnikom literaturę za pomocą historyi, i tą drogą do sprawiedliwéj doprowadzają oceny.

Nisard trzymając się téj metody, pierwéj nim francuzką, zajmował się literaturą rzymską. Wyszydzając dowcipnie poetów łacińskich z czasów upadku, szydził z współczesnych poetów francuzkich, o których teraz le-

piéj trzyma: strzały wymierzone w Syliusza, Senekę i Lucyana, utkwiwały w piersi kolegów, a owa historya literatury starożytnéj, była w istocie ku oswobodzeniu grobu klasycyzmu przedsięwziętą krucyatą.

Od owego czasu Nisard wielki postęp uczynił. W książce, o któréj mowa, nie płata już takich figlów romantykom; stał się poważniejszy i bezstronniejszy: zmężniał i podrósł.

W czwartym tomie *Historyi literatury francuzkiéj*, autor przebiega piśmiennictwo zeszłego stulecia. Rozległy i ponętny ten przedmiot dostarczył Villmainowi treści do nader wymownych prelekcyj, ale kopalnia tak obfita, że z niéj po nim, nie mało jeszcze wydobyć mogą inni. Nisard nie wykładając z katedry, ale pisząc książkę, mógł głębiéj wkopać się w przedmiot. Tak też się stało: z rozmaitszych punktów niż Villemain nań się zapatruje i ogarnia szersze obszary: i szkoda, że po samych szczytach stąpa.

Metoda Nisarda jest następująca. Przeczytawszy kilka razy dzieło pisarza, którym się zajmuje, przejąwszy się nim, wchłonąwszy go w siebie, że tak powiem, zdaje sprawę z doznanego wrażenia, uzasadnia je uwagami, i wydaje sąd ostateczny o wielkich pisarzach zeszłego wieku, poglądając na nich z wysokiego trójnoga, do którego tylko ostatnie słowa ich mądrości dolatują.

Taki sposób pisania jest wyborny dla czytelników światłych, ale dla tych, co się chcą czego nauczyć, całkiem nie pożyteczny. Kto zna dzieła Lesaga, Beaumarchai'go Regnard'a, Diderota, d'Alemberta, Massillona, Rollin'a, Voltaira, Roussa, Vauvenargu'a i t. d., z rozkoszą słuchać będzie pisarza mówiącego o nich z nauką i dowcipem; czy autor jego zdanie powtórzy, czy też poda mu swoje wyrezonowane pojęcie i tém zwróci uwagę na szczegół zapomniany lub pominięty, czytelnik wysoko ukształcony, z dzieła wyniesie pożytek; professor równie światły jak Nisard, dozna tu prawdziwych przyjemności umysłowych, takich, jakich dorównywający Micheletowi dziejopis doznaje czytając jego historyą. Ale mniéj wykształcony człowiek, taki co nie czytał owych autorów a chciałby się właśnie czegoś dowiedzieć o nich od Nisar-

da, próżno otworzy jego księgę, nic a nic tam nie zrozumié, tak jak nie zrozumié wyroku, kto nie zna całéj sprawy.

Może ktoś zarzuci, że tacy pisarze jak Michelet, jak Nisard, nie piszą dla ogółu, że im chodzi o *jakość* nie o *ilość* czytelników. Na to odpowiemy, że arystokracya wiedzy wydaje nam się z wszystkich arystokracyj najgorszą. Literatura nie jest religią, a historya nie jest dogmatem; rozbierać je i rozstrząsać, każdy ma prawo: ci przeto, co o nich gadają, powinni gadać jasno. Czas, żeby umysły wyższe wyjęły światło z pod korca, żeby pojęły, że zadaniem ich rozpowszechniać wiedzę, a nie rozprawiać o niéj z kolegami językiem im tylko zrozumiałym, dla reszty zaś słuchaczy brzmiącym jak niemieckie kazanie. Można nie pisać dla szkół elementarnych, a być jednak zrozumianym po za obrębem Akademii francuzkiéj.

Voltaire, Rousseau, Buffon i Montesquieu, cztery wielkie figury górujące wiek XVIII, głównie zajmują Nisarda. Sądzi on je nie tak wolnomyślnie jak Villemain, ale tam gdzie go doktryna za rękaw nie ciągnie, jest głębszy od Villemain'a. Montesquieu osądzony bardzo sprawiedliwie, jak się o tém czytelnik może przekonać z następującego wyjątku: „Imaginacya i namiętność nigdy nie smakowały w pismach Montesquiego: nie przemawiał on do namiętności, jak wielcy uwodziciele, nie mówił do imaginacyi, jak wielcy ludzie. W jego zamiarze dobrze czynienia ludzkości, brakowało walki i cierpienia. Nie dość się gniewał na złe. Podejrzywają, iż przez wzgląd na siebie, praktykował wstrzemięźliwość, jaką dla honoru, rozsądku i prawdy zachował w kwestyach, w których tak łatwo je skompromitować służąc im. Sława zbyt mało go kosztowała. Jestto jeszcze jedna cecha jego wspólna z Montaigniem: tak był szczęśliwy i tak dobrze pokierował swoje życie, że nań nic złego nie spadło nawet od strony niechętnéj, a geniusz wydaje się być jego najwygodniejszą pozycyą. Prawdziwie wielcy ludzie męczą się służąc ludzkości, zakłócają swe życie, ażeby nasze polepszyć. Montaigne i Montesquieu są raczéj wielkie duchy, niż wielcy ludzie."

Doszedłszy do Voltaira i Roussa, Nisard usiłuje zwalić wyroki o nich przez ogół wydane. Dyrektor szkoły normalnéj nie lubi genewskiego filozofa, a mniéj jeszcze fernejskiego: pierwszego zwie utopistą, drugiego chciałby kropidłem z umysłów wystraszyć; ale Voltaira krzyżykiem nie odżegnać. Z pozwoleniem, czy bez pozwolenia Nisarda, Voltaire i Rousseau, czucie i rozum, przejdą wieki trzymając się za ręce; razem tworzą oni wielką całość: jeden mówił do serca, drugi do głowy ludzkości; Voltaire w imię mądrości ziemskiéj, Rousseau w imię Boże. Rousseau chciał, żeby pomiędzy Stwórcą i naturą stał tylko człowiek wolny. Voltaire elektrycznem światłem wiedzy oświecił drogi wyprowadzające ślepą ludzkość z błędnego koła nędzy, a Rousseau wołał: naprzód! naprzód! ludzie poczujcie i uczcijcie w sobie Boga! Jan-Jakób był większy, Voltaire prawdziwszy; ten przedewszystkiem szukał prawdy i wszystko dlań poświęcał, Rousseau porzucał ją, ilekroć przeszkadzała mu być wzniosłym. Jan-Jakób, który był lokajem i skradł wstążkę, twierdził, iż każdy człowiek jest pół-bogiem noszącym w duszy wspomnienia nieba; Voltaire, który się urodził wielkim panem, twierdził, że człowiek któremu wszystko wolno, kradnie owoc zakazany i zabija Abla.

Spierali się też nieustannie z sobą dwaj filozofowie; w gruncie jednak wysoko się cenili. Rousseau skwapliwie podpisał się na liście składek na posąg dla Voltaira; ten, czekał tylko sposobności, żeby w jego objęcia się rzucić, choć mu zdaleka wygrażał. „Ha! morderco! dam ja tobie! wołał Voltaire, przeczytawszy *Lettres de la Montagne*. „Rousseau wybiera się do ciebie", rzekł ktoś z boku. „A niechże przyjdzie! odparł gospodarz, dam mu smaczny obiadek, odstąpię swego łóżka i powiem: gościu mój miły, oto najlepsze mego domu jadło, oto najwygodniejsze w domu łóżko, „*faites moi le plaisir d'être heureux chez moi*". (historyczne).

Nisard przeszedłszy wszystkie dzieła Roussa: *Discours sur l'inégalité des conditions, le Contrat Social, Emile, Nouvelle Heloise, Confessions*, woła po trzykroć: utopie! utopie! utopie! Ogromne dzieło Voltaira kilku też wykrzyknikami

chce zmazać. Trochę to za śmiało. Powinien się długo namyślać, kto się ośmiela rugować z Panteonu trumny, które tam wstawił naród cały, a po nad niemi na gmachu wyrył napis, przed którym mimowolnie chyli się czoło: „*Aux Grands Hommes, la Patrie reconnaissante*".

Studyum Nisarda zatrzymuje się na progu XIX wieku. Jednak stanąwszy na nim, pisarz spostrzega zdaleka sławy literackie naszych czasów i kilka kartek im poświęca. Rozdział ten w dziele grający rolę dodatku, jest ważny. Dziejopisy, filozofowie, poeci, powieściarze uszykowani w szeregi, podlegają lustracyi, wszakże dość dyskretnéj, bo bez apelu. Ale chociaż Nisard nie nazywa nikogo po nazwisku, poznać łatwo o kim mówi. Pochwał dla Lamartina, Hugona i Musseta nie szczędzi. „Wiersz autora „Medytacyi" przewyższa harmonią Racinowskie rytmy. Autor „*Notre-Dame de Paris*" jest najświetniejszą gwiazdą w poetyckiéj plejadzie XIX wieku.

Doszedłszy z kolei do romansu, Nisard naznacza w nim piérwsze miejsce „genialnéj kobiecie, któréj imię jest we wszystkich ustach" i oświadcza, że „jéj jednéj (pani Sand) należy opróżnione miejsce Châteaubrianda". Nisard chwali mianowicie przedostatnią manierę autorki *Indyany*. Oto, jak o niéj mówi:

„Ludzie dobrego gustu wybrali z ogromnego dzieła powieściarki naszéj te romanse, w których z serca ludzkiego i mądrości wszech czasów snuje przenikające efekta; piękność moralna tam łączy się z pięknością poetyczną. Rozrzewniające przygody, obyczaje sielskie, przecudne naszéj Francyi krajobrazy, wieśniaczy język przedziwny, styl *Confessyi*, ale łatwiejszy i piękniejszy, odnaleziony pędzel Bernardina-de-Saint-Pierre: wszystko to razem uczyniło niektóre sielanki pani Sand równie popularnemi, jak *Pawła* i *Wirginią;* równie jak ta powieść więcéj się przyczyniła do sławy Bernardina, niż jego *Studya* i *Harmonie*, podobnie sielanki, o których mówię, więcéj zaważą w dziele genialnéj pisarki, niż wszystkie jéj romanse, w których porusza kwestye społeczne".

Przeczytawszy powyższy wyrok, już zbyteczna pytać Nisarda, czy na sławném posiedzeniu Akademii, gdzie debatowano, komu przysądzić cesarską nagrodę, głosował

za panią Sand: nietylko głosował, ale w *Historyi literatury francuzkiéj* powiada dlaczego.

Ostatecznie, dzieło szanownego akademika, chociaż tendencyjne, nie zawsze z prawdą się rozmija, a uwagami trafnemi często oświeca ciemne miejsca w obrazie piśmiennictwa XVIII wieku.

A propos! Wyszła tu książka pod tytułem: „*Ostatni tom dzieł Voltaira*". Nie sądzimy, żeby to był *ostatni*, podzielając w téj mierze zdanie Nodiego, który powiedział kiedyś: „Do końca świata ludzie będą znajdowali niewydane karty Voltaira, a jego dzieła kompletne będą zawsze niekompletne".

Cóżkolwiekbądź, tom tak zwany ostatni, uchodzi tu za taki i czytany jest chciwie. Poprzedza rzecz historya tego zbioru, napisana przez Jules-Janina; zdobi go portret pięknéj Emilii, a nadaje mu cechę autentyczności *fac simile* testamentu Voltaira, napisanego w ośmdziesiątym trzecim roku życia, pismem równém i młodém. Prócz tego są jeszcze inne ciekawe dokumenta, jak naprzykład, kartki od spowiednika, jeżeli nie od spowiedzi.

Z powodu testamentu pan Didier włożył na czele książki wstęp, w którym opowiedziawszy, jak Voltaire hojnie sypał jałmużny, pisze: „Prawdziwy testament Voltaira nie jest ten, który tu widzimy, ale ten, który zawarty w stu tomach pism jego, przekazuje rozsądek i sprawiedliwość ludzkości".

Jest mnóstwo listów w tym tomie, niektóre bardzo piękne, adresowane są do rozmaitych znakomitości ówczesnych płci obojéj. W każdym nawet ulotnym bileciku, Voltaire kreśli prawa rozsądku lub estetyki, nigdy nie mówi próżno. Oto, co pisze między innemi do młodego dramaturga, który rady jego zasięgał:

„Racine, piérwszy człowiek, który miał gust we Francyi, jak Corneille jest piérwszym, który miał geniusz; przedziwny Racine myślał, jak pan. Wystawa teatralna wtedy tylko jest pięknością, kiedy wchodzi w skład przedmiotu; inaczéj jest tylko dekoracyą. Wypadki o tyle tylko zajmują, o ile są naturalne: napuszysta deklamacya zawsze czcza. Wiersze, które najłatwiéj zostają mi w pamięci, są te, gdzie zasada przeobraża się w uczucie, te, któremi

poeta nie chciał zadziwić słuchacza, tylko naturalnym sposobem mówi mu co mówić powinien. Oto wiersze, jakie ja lubię".

W nowo wydanym tomie są także wiersze; nie należą wszakże do rzędu tych, które Voltaire *lubi*. Gdyby ktoś zwrócił na to jego uwagę, odpowiedziałby pewnie ustępem, który w jego ostatnim tomie znajdujemy: „Nic to w porównaniu z wiecznością! Podczas kiedy my tu na naszém mrowisku wydzieramy sobie źdźbło słomy lub listek laurowy, świat rusza swoją drogą zakreśloną niezmiennemi i wieczystemi prawami, pod które podporządkowany także atom ziemią zwany".

Więcéj zapewne obeszłoby Voltaira to, co tu z jego „*Wiekiem Ludwika XIV*" się stało. Historya zaprawdę pocieszna!

Ponieważ Rada oświecenia publicznego, na posiedzeniu 28 grudnia 1854 r. zamieściła „*Wiek Ludwika XIV*" w poczet książek mających iść do rąk uczni, ultramontanie odkomenderowali natychmiast egzorcystę, nakazując, ażeby jak najspieszniéj dzieło Voltaira dla użytku szkolnéj młodzieży *przyrządził* i takowe do biblioteki szkolnéj napowrót wsunął. Stało się wedle rozkazu. Jak niegdyś Loriquet, braciszek od tak zwanéj *Chrześciańskiéj oświaty*, kompilując z rozmaitych autorów historyą francuzką dla szkół, nie wspomniał w niéj o wielkiéj rewolucyi ani o Napoleonie, tylko o Bonapartym „zdatnym generale Ludwika XVIII, który zakłócony porządek przywrócił"; podobnie teraz ów *odkomenderowany*, z gorliwością godną lepszéj sprawy, dokonał żądanych poprawek. Ale cóż ztąd wynikło? Skandal, nic więcéj.

Dzienniki liberalne wykrywszy rzecz, podniosły w niebogłośne krzyki: wydrukowały natychmiast oryginał, a obok skrobanki i dodatki bezimiennego korrektora. Tak zestawione te dwa teksta, dostarczyły Paryżowi przedmiotu do wylania żółci i celu do wystrzelania zdawna nagromadzonych nabojów morderczego dowcipu.

Trzeba przyznać, że atakowane przez Voltaira stronnictwo zemściło się okrutnie, pozbawiając go w oczach młodego pokolenia, nietylko bystrości, ale nawet rozsądku.

Podobny do owego *rapena*, który z rozkazu księcia Orleańskiego przerabiał głowy Corregia, cenzor przekształca wszystkie obrazy Voltaira. Przedmowa, w której autor przedstawia ciemności średniowieczne, skrócona o połowę, poopuszczano nawet tak nie rażące ustępy, jak następujący: „Przez dwieście lat geniusz Francuzów był ciemiężony gotyckim rządem; wśród waśni i wojen domowych, nie mając ani praw, ani obyczajów stałych, męczył się, co lat kilkadziesiąt zmieniając mowę zawsze grubą. Szlachta niesforna, znała tylko wojnę i próżniactwo, duchowieństwo nie pełniło swych obowiązków, a ludy bez przemysłu, bez opieki, butwiały w nędzy".

Opis stanu Europy przed Ludwikiem XIV, nieszczęścia ściągnione przez nietolerancyą religijną, potoki krwi wytoczone w imię ambicyi i fantazmu: wszystko to wybielone na czysto w szkolnéj edycyi, lub zastąpione kilku słowami zupełnie innéj treści. Żywy obraz obyczajów XVII wieku wyrzucony.

Jeżeli wypadki ówczesne przedstawiają niejakie podobieństwo z dzisiejszemi, baczność cenzora rośnie, scyzoryk staje się czynniejszy, a czasem i całe karty wydzierają się bez ceremonii. I tak naprzykład, Voltaire opowiedział szczegółowo obelgę wyrządzoną ambasadorowi francuzkiemu w Rzymie i głośne zadośćuczynienie, jakie za nią wymógł Ludwik XIV. Bezimienny cenzor chcąc przeciwnie pokazać ziomkom, że Francya była zawsze pokorną u stóp Watykanu, wyjął z książki cały ten rozdział. Po co gadać młodzieży, że papież napróżno wzywał państw katolickich na ratunek swéj władzy doczesnéj; po co wyjawiać, że wojska arcy-chrześciańskiego monarchy prowadzone przez marszałka Francyi, o ledwie że nie oblegały Watykanu?

Ażeby godnie zakończyć dzieło, egzorcysta Voltaira pod rozdziałem XXIV napisał: *Koniec.* Pięć następujących rozdziałów nie powinny wcale istnieć; mowa w nich o swobodach kościoła gallikańskiego, którego wszelki ślad chcieliby zatrzeć dziś ultramontanie, o kalwinizmie za czasów Ludwika XIV, o przyczynach wypędzenia Jezuitów i tym podobnych gorszących rzeczach.

Taka historya zowie się w szkołach dziełem Voltaira. Cała prasa liberalna domaga się wycofania jéj z rąk młodzieży. „Nie dawajcie wcale Voltaira, jeżeli wam się nie podoba, wołają dzienniki, ale go nie przekręcajcie. Minister zapewne o tém nie wie, a jeżli wie, to biada nam, biada wychowaniu, biada szkołom, w których nienawistne krajowi stronnictwo może bezkarnie na swą korzyść fałszować historyą".

Akademią nauk odbyła swoje doroczne posiedzenie w nieliczném zebraniu; tylko dwudziestu członków Instytutu krzesła swoje zajęło, ławy publiczności były prawie puste. Zasmucające pustki sali, w dniu tak uroczystym, przypisują dwom powodom: zmianie godziny sessyi, i temu, iż wiedziano, że sekretarz wieczysty Flourens, będzie czytał pochwałę niemieckiego anatoma Tiedemana, który nie używa wielkiéj sławy we Francyi.

Flourens widocznie cierpiący i zachrypły, odczytał półgłosem rzecz swoję: wrażenie nie było silniejsze od organu czytelnika, nad czém tém więcéj ubolewać przychodzi, że pochwała Tiedemana jest jedną z najpoprawniejszych i najuczeńszych biografij, jakie napisał Flourens: wyroki naukowe wyraźnie uzasadnione w tém studyum, gruntowność i znajomość przedmiotu wybitne: kreśląc życiorys heidelberskiego doktora, szanowny akademik skreślił całą historyą fizyologii z piérwszéj połowy XIX wieku.

Wymienienie nagród rozdanych przez Akademią nauk za prace ogłoszone w ciągu 1861 r., poprzedziło odczyt Flourensa. Wymieniamy główniejsze nagrody jako mogące obchodzić cały świat uczony.

Nagroda astronomii została podzieloną pomiędzy pp. Tempel, Luther i Goldschmidt, z których każdy odkrył po dwie planety. W ciągu roku 1861, sześciu astronomów odkryło dziewięć planet.

Nagroda mechaniki nie została rozdaną.

Nagrodę statystyki otrzymał pan Rigaut za część statystyczną książki pod tytułem: „*Opis i statystyka rólnicza kantonu Wissembourg.*" Nagrodę z 1857 r. zabrał p. Block za „*Statystykę Francyi.*"

Nagrodę Frémont, przeznaczoną „na zachętę uczonemu" otrzymał p. Niepce de Saint-Victor, wynalazca fotografii na szkle. Z wynalazku tego, z którego świat od lat dwudziestu ciągnie zyski, wynalazca najmniejszéj materyalnéj nie osiągnął korzyści; słuszna więc, że mu akademia w części tę bezinteresowność nagrodziła.

Nagroda margrabiny Laplace, składająca się z dzieł kompletnych, Laplace'a *(Mécanique Celeste, Exposition du Système du monde; Traité des probabilités)*, dostała się, jak zwykle, piérwszemu uczniowi wychodzącemu ze szkoły politechnicznéj.

Nagrodę fizyologii experymentalnéj otrzymał p. Hyrtl z Wiednia, za swoje poszukiwania anatomiczne, oraz pan Kühne z Berlina, za rzecz o muskułach i nerwach.

Nagrodę medycyny i chirurgii przyznano pp. Lallemand Perrin i Duroy, za dzieło pod tytułem: „*Du rôle de l'Alcool et des anasthesiques dans l'organisme.*"

Nagrodę Joecker, największą z wszystkich (6,000 franków) otrzymał p. Pasteur, nie za żadne odkrycie, ale za prace rozmaitéj treści w rozmaitych epokach dokonane, o których sprawozdawca akademicki bardzo niedokładne dał pojęcie. Zeszłego roku tenże pan Pasteur dostał wielką nagrodę fizyologii za poszukiwania chemiczne; tego roku dano mu nagrodę Joecker'a, za poszukiwania dotyczące fizyologii. P. Pasteur jest oczywiście ulubioném dzieckiem Akademii.

Przejrzawszy zwykły program Akademii nauk, przekonać się można, iż znaczna część nagród nie została rozdana. Uczone grono nie tłumaczy się z tego uszczuplenia swéj hojności. Uczeni francuzcy i zagraniczni, którzy posłali swoje prace do Instytutu w odpowiedzi na konkursowe zadania, domagają się głośno, ażeby Akademia raczyła przynajmniéj powiedzieć, co się z ich dziełami stało?

Ot i wszystkie poważniejsze nowiny literackie, które w tym hałaśliwym nad wszelki wyraz, a wyłącznie zabawie poświęconym czasie, udało nam się schwytać we francuzkiéj stolicy. Wśród stosów książek, tyle pięknych zewnątrz, ile czczych wewnątrz, upatrzyliśmy jednę tylko z noworoczną datą, o któréj wspomnieć warto. Jestto *Żywot Bacona*, napisany znakomicie przez professora logiki

Emila Charles. W przyszłéj naszéj kronice pomówimy obszernie o tém dziele.

— Amyot, księgarz wydawca, wydał ważną książkę pod tytułem: „*Recueil des Traités, Conventions et Actes Diplomatiques Concernant la Pologne.*" Zbiór ten zawierający w jednym tomie dukumenta z ciągu ubiegłych lat stu, (od 1762 do 1862), zajmuje 1171 stronnic bitego druku. Jestto rodzaj historycznego słownika, nieoszacowanéj wartości dla dziejopisa owéj epoki. Do złożenia téj księgi, wydanéj pod pseudonimem hrabiego d'Angeberg, dostarczył dokumentów margrabia Noaille, oraz znany posiadacz zbiorów historycznych, Leonard Chodźko.

— „*Przegląd Europejski*" nabył redaktor „*Revue Contemporaine,*" ale bez inwentarza, jeżeli tak powiedzieć się godzi. Współpracownicy umyślnym listem ogłosili, że nie brali udziału w ugodzie pana Dentu z panem Calonem. Revue Contemporaine kupiła więc tylko tysiąc stu prenumeratorów.

— Były redaktor *l'Universa*, Ludwik Veuillot wydał dwa tomy pod tytułem: „*le Parfum de Rome*". Tytuł książki, oraz znany każdemu sposób myślenia autora, uwalniają nas od wszelkich komentarzy.

— Ernest Hamel wydał znowu tom studyów historycznych, pod napisem: „*Histoire de la grand reaction catholique sous Marie Tudor*". Poprzedza rzecz o upadku katolicyzmu w Anglii.

— Znany powieściopisarz Aleksander Weill, wydał książkę pedagogiczną, pod tytułem: „*Mój syn*", czyli „*Nowy Emil*".

— Księgarz Hachette zapowiedział obszerne dzieło z trzystu obrazkami, napisane przez Ludwika Figuier, pod tytułem: „*le Savant du foyer, ou Notions scientifiques sur les objets usuels de la vie*".

Nakoniec nowina historyczno-artystyczna: cesarz Napoleon III kupił za półtora miliona od księcia Demidowa muzeum Napoleońskie, zebrane przez tegoż księcia na wyspie Elbie.

WYPRAWA GARIBALDEGO DO SYCYLII.

WSPOMNIENIA OSOBISTYCH WRAŻEŃ,

SPISANE PRZEZ

Maksyma Du Campa.

III.

KALABRYA.

I.

Nad ranem dnia 24 sierpnia 1860 r. odebrałem rozkaz przygotowania się do marszu na Kalabryą; wiadomość ta, wyznaję, mocno mię ucieszyła, gdyż poczynałem się już ogromnie nudzić w Messynie. Wysławszy natychmiast do Fary konia, gdzie na pontonowe statki miał być zabrany, sam udałem się do miasta dla oddania kilku pożegnawczych wizyt.

Dywizya generała Turra, z wyjątkiem brygady Ebera, oczekującéj z całym sztabem na parowce mające ją przewieźć na ląd stały, znajdowała się już po drugiéj stronie cieśniny. Dwóch nas tylko miało towarzyszyć generałowi, którego zdrowie nadwerężone trudami pierwszéj kampanii, budziło w sercach jego przyjaciół ciągłą obawę. Od trzech dni, Turr nie mógł się podnieść z łóżka; wycieńczony pożerającą gorączką, osłabiony krwawym kaszlem nie dającym się niczém ułagodzić, podnosił się jak mógł na posłaniu, wydawał rozkazy, czuwał nad organi-

zacyą służby wojennéj, dyktował listy, upadając bezwładnie pod naciskiem ogromnéj pracy. A kiedy powodowani uczuciem przyjaźni, prosiliśmy go ażeby odpoczął, ażeby wstrzymał się z zamiarem wylądowania aż do sił powróci, odpowiadał nam: „Nie, dzisiaj o godzinie czwartéj wsiądziemy na statek.” Nigdy jeszcze dzielniejszego hartu energia nie zamieszkiwała wątlejszego ciała; żadne cierpienie nie było w stanie wstrzymać go od spełnienia rozlicznych obowiązków dowódzcy: przekonałem się o tém najlepiéj będąc ciągle przy jego boku. Wygórowane uczucie czynienia swéj powinności, zagłuszało w nim i pokonywało wzrost straszliwéj choroby. Patrząc na jego wątłą konstytucyą, trudno było uwierzyć, ażeby był zdolnym do tylu potężnych czynów, jakich już tysiące dokazał; ci zaś, co żyli w jego towarzystwie, kochali go i wielbili, bo z trudnością tylko można napotkać w jednym człowieku obok wielkiéj odwagi, tyle w obejściu się słodyczy. Szczupły, wysokiego wzrostu, na bladém jego obliczu nacechowaném pewném rycerskości piętném, błyszczą żywe, wilgotne, melancholiczne oczy, wzbudzające mimowolną dlań sympatyą. Wrodzona dobroć charakteru, odwaga i świetne czyny, jakiemi się odznaczył, czynią go niezmiernie popularnym; żołnierze go uwielbiają: gdzie się tylko pokaże, oczy wszystkich za nim się zwracają. Pomimo swéj młodości (1), zdobył on już sobie pozycyą godną pozazdroszczenia; obrońcy niezależności narodowéj wiedzą, iż mają w nim gotowego zawsze dla ich sprawy generała, który już dał liczne próby swéj dzielności, i na którego w każdéj chwili liczyć mogą. Węgry winni mu są wdzięczność bez granic, onto bowiem imię ich podniósł do wysokiego w Europie rozgłosu; onto zaszczepił nasiona silnego węgiersko-włoskiego przymierza; przez niego dwa te narody w krwawego chrztu kąpieli, braterskim węzłem jednéj sprawy połączyli się z sobą na wieki. Spytajcie Włochów co to są Węgry, odpowiedzą wam: „To generał Turr;” spytajcie Węgrów co to są Włochy, odpowiedzą: „To Garibaldi.” Dwa te imiona zdają się być na zawsze złączonémi.

(1) Stefan Turr urodził się 10 sierpnia 1824 r. w Baja, w komitacie Bako-Bodrog.

Od 1848 roku, generał Turr bił się tylko za niepodległość narodów. Podczas wojny krymskiéj, miał on sobie poleconą przez rząd angielski, jako pułkownik na jego żołdzie zostający, nie wiem już jaką missyą nad Dunajem. Wiadomo, że Austryacy złapawszy go, osadzili w więzieniu, gdzie jako zbiegłemu oficerowi cesarskiemu, miano mu proces wytoczyć; ale energiczne wdanie się Anglii, któréj słów w podobnych wypadkach lekceważyć nikt się nie ośmieli, uwolniło go ze szponów austryackich: Turr został wypuszczonym. Umysł ten daleko sięgający, a wytężony zawsze w jednym kierunku, tojest, w wyszukiwaniu sposobów, za pomocą których mógłby ojczyznę swoją wybawić z gniotącego ją jarzma, widząc wojenne ruchy przygotowujące się we Włoszech, 1859 roku, stawił się przed Garibaldim, zażądał walczyć przy jego boku i tym sposobem wziął czynny udział w zwycięztwach pod Komo i Warese. W bitwie pod Brescia, padł ugodzony nieprzyjacielską kulą; kość idąca od łokcia do łopatki u lewéj ręki strzaskaną była na trzy części; po wielu miesiącach kuracyi podniósł się z łoża boleści, lecz kaleką: dzisiaj ramię to wisi prawie bezwładne i zaledwie jaką maleńką przysługę jest wstanie mu wyświadczyć.

Kiedy postanowiono wyprawę do Sycylii, Turr tylko co wyleczony, pragnął koniecznie do niéj należéć. Dnia 6 maja wsiadł na statek wraz z przyjacielem swoim Tuckorym, który pierwszy położył życie dla sprawy niepodległości ziemi włoskiéj. W Marsalii, pod Kalatafimi, w Palermo, gdzie znów był rannym, Turr zawsze obok Garibaldego, czuwał z nim gdy inni wypoczywali; studyując jeograficzne karty, wyszukiwał dróg, przygotowywał wszystko do bitew mających się stoczyć: jedném słowem niczém nie zmordowanéj pracy, którą w nim inni naśladować pragnęli, dawał liczne dowody. Po wzięciu Palerma udał się do Katany, lecz tutaj nie starczyło mu sił na walczenie z zabójczym z powodu gorąca sycylijskim klimatem; w miesiącu czerwcu zapadł ciężko na zdrowiu. Garibaldi zląkł się o niego; pojął, iż ten młody człowiek, co z takiém wylaniem służy jego sprawie, będzie miał z czasem wielkie do spełnienia dla ojczyzny swojéj obowiązki: wysłał go więc na ląd stały, ażeby odpoczął

i przyszedł do zdrowia. Generał Turr udał się tedy do wód Aix w Sabaudyi. Nabrawszy nieco sił, w pierwszych dniach sierpnia 1860 r., w Genui, jak już wyżéj mówiłem, wsiadł znowu na statek, ażeby dokończyć rozpoczętéj kampanii. Żołnierze ujrzawszy swego generała, powitali go okrzykami radości; ale w Messynie ciężka praca nań oczekiwała, bo Garibaldi odjeżdżając, zostawił mu naczelne dowództwo całéj armii przygotowującéj się do wylądowania: więc téż upadał pod ciężarem niewczasu, olbrzymiéj pracy, a zdrowie jego w chwili właśnie zamierzonego przejścia cieśniny, na nowo go odbiegło.

Jednakże głuchy na rady i prośby przyjaciół, o godzinie w pół do piątéj z rana, gotów już był do podróży: wsiadłszy do powozu mającego nas odwieźć do portu, za przybyciem tamże, udaliśmy się na oczekujące nas czółno. W głębi tego małego statku przez krajowców nazwanego *lancia*, generał Turr w silnym paroksyzmie febry, trzęsąc się cały, położył się na materacu, zasłaniając ręką oczy przed blaskiem rażących promieni słońca. Dziesięciu marynarzy schwyciło za wiosła, odgłosy przyjaciół pozostałych na brzegu, odezwały się życząc nam szczęśliwéj podróży, i ruszyliśmy w drogę. Dla uniknienia silnych prądów wody i nieprzyjaznego dosyć wiatru, musieliśmy się trzymać blizko brzegów; tym sposobem popłynęliśmy do Fary, gdzie generał potrzebował wydać niektóre rozkazy. Słońce już było zaszło i zmrok zapadał gdyśmy tam przybyli; statki mijały się na wszystkie strony, spiesząc na miejsca swego przeznaczenia; trzy parowce ziejące parą, niby olbrzymie orły, wydawały krzykliwe świstawką odgłosy sygnałujące się wzajemnie; oficerowie biegali nawołując żołnierzy posilających się na drogę w markietańskich szałasach; tutaj prowadzą na statki konie, które spłoszone wyrywają się, skaczą, stają dęba i tłuką się kopytami; tam łoskot bębnów i chrapliwy głos trąb wzywa do apelu; kapitanowie, porucznicy, sierżanci, wołają swych ludzi: ci krzyczą, ci śpiewają, a wszyscy klną co się zmieści. Spełniwszy to po cośmy tu zawinęli, wydaliliśmy się nareszcie z téj istnéj wieży babilońskiéj, płynąc wzdłuż cieśniny ku kalabryjskim brzegom. Wiatr był nam przeciwny, marynarze nasi prędko się zmęczyw-

szy, opuszczali ręce robiąc słabo wiosłami. Wtedy generał chcąc ich zachęcić wołał: „No, moje dzieci, płyńcie prędzéj." Na chwilę z większą energią brali się do roboty, ale to nie długo trwało i znów statek nasz zdawał się ustawać w drodze. Znużeni taką powolną podróżą, obwinąwszy się w płaszcze, staliśmy jeden obok drugiego nieruchomi i zmartwieni widokiem człowieka pragnącego jak najrychléj wydostać się ze statku i wypocząć w swém łóżku, aż tu jeden z naszych odwracając się zawoła: „Patrzcie, oto neapolitańska fregata goni za nami!" Żart wybornie się udał, marynarze co żywo schwycili za wiosła i dalejże niemi robić, ale to tak silnie i szczerze, iż statek z nadzwyczajną szybkością począł płynąć po morzu. Schyleni, nie śmiejąc podnieść do góry głowy, ani spojrzéć po za siebie, ciężkiém tylko *han! han!* oddechem piersi swoich, głuche przerywali milczenie. Nigdy jeszcze delfin zmykający przed rekinem nie robił zapewne takich susów, jak teraz nasza *lancia*, tylko woda rozbijana wiosłami pryskała na wszystkie strony. Po pewnym przeciągu czasu, jeden z majtków pyta: „A co, czy jeszcze widać fregatę?" Odpowiedziano mu: „Dogania nas, róbcie prędzéj wiosłami." Nareszcie zbliżamy się do brzegu i to z taką gwałtownością, iż połowa statku przynajmniéj wsunęła się na ziemię. „Ale gdzież ta fregata?" „Ba! zlękła się takich jak wy zuchów i popłynęła sobie na pełne morze." Domyślili się majtkowie wybiegu; gniewać się nie było o co, a my tymczasem wysiedliśmy na ląd stały.

Ze trzydzieści domów, kościołek, kilka ogrodów otoczonych w kształcie amfiteatru wysokim murem, oto Kanitello (Canitello), mieścina położona pomiędzy fortecami Punta del-Pezzo i Scyllą. Oficerowie oczekujący na nasze przyjęcie, zaprowadzili nas do probostwa, gdzie dla generała Turra i jego sztabu, urządzono kwaterę. Ogromny przestrach panował w tym księżowskim domu: myślałby kto, iż sam lucyper z czeredą towarzyszących mu djabłów objęli go w posiadanie. Proboszcz ze swym bratem syndykiem (1) jąkając się, drżąc i kłaniając z obawy, począwszy od generała Turra aż do ostatniego mastalerza,

(1) Urząd syndyka tamtejszego, odpowiada naszemu burmistrzowi.

tytułowali nas wszystkich „jaśnie wielmożnymi generałami." Biédni ci ludziska, z śmiertelną bladością na twarzy, poprzedzając nas, pokazywali odzienie swe zniszczone, podarte, z dziurami na łokciach i kolanach, widocznie w celu okazania nam swéj pozornéj nędzy, umyślnie przybrane. Najwyraźniéj, miano nas za najostatniejszych w świecie bandytów. Proboszcz nasz, obrzydliwy szpetnością starzec, wykrzywiał do przymuszonego uśmiechu swe oblicze, w którém dwoje czerwonych oczu wświdrowane głęboko, błyszczało jak rozpalone węgle. Krzykliwy głos jego, w miarę zwiększającego się strachu, przybierał coraz wyższe tony. Brat jego syndyk, wysoki i gruby drągal, na wszystko, o co go zapytano, odpowiadał wznosząc ręce do góry i jak do modlitwy składając je na piersiach: „Darujcie nam jaśnie wielmożni państwo! ale my jesteśmy biedni ludzie." Na ten widok serce nam się krajało. Patrząc na to poniżenie godności człowieka, mogliśmy dopiéro pojąć, co za okropny ucisk musiał dolegać te żyjące istoty. Domownicy naśladując państwa, stali jak głąby patrząc na nas z rozwartémi ustami, nie śmiejąc zrobić kroku, nie śmiejąc drzwi otworzyć od ulicy, gdy który z naszych pukał. Tymczasem z sąsiednich domów rozlegały się śpiewy i zagłuszające na cześć Garibaldego okrzyki.

Co chwila wojska nasze na brzeg wysiadały i w owém miasteczku się rozkładały; z każdém zjawieniem się świeżo przybyłéj osoby, gospodarze domu większym strachem zdawali się być przejmowani a głos proboszcza, o dwa albo trzy tony w górę się wznosił. Około jedenastéj godziny, zaproponowano nam kolacyą i wkrótce usłyszeliśmy chrapliwy krzyk koguta na pieczyste zarzynanego. W godzinę późniéj, siedliśmy do stołu nakrytego glinianemi, powyszczerbianemi miskami, tudzież starymi żelaznymi sztuccami. Proboszcz i syndyk tłumaczyli się z tego jak mogli mówiąc, iż całe swe srebro wysłali do Neapolu w celu odnowienia go i nadania mu świeższego fasonu, i że z wielkim ich żalem, tak wysokich gości zmuszeni są niegodném tém nakryciem przyjmować. Nic na to nie odpowiedzieliśmy, bo w saméj rzeczy, mało nas nakrycie stołu obchodziło; lecz jeden z towarzyszy wyciągnął

z pod czerwonéj koszuli trzos, mogący zawierać w sobie około 6000 franków, a oddając go księdzu rzekł: „Ten pas przeszkadza mi, bądź łaskaw księże, zatrzymaj go dojutra przy sobie:" zaczerwienił się proboszcz po uszy, nie wiedział co z sobą zrobić, tak go ta nauka zmieszała. Wtedy pułkownik Spangaro, człowiek dzielnego i szlachetnego serca, począł do gospodarzy domu przemawiać językiem zastosowanym do ich inteligencyi, tłumacząc w jakim celu tu przybywamy i dlaczego tak a nieinaczéj postępować jesteśmy zmuszeni. Potém chcąc zupełnie kalabryjskiego księdza uspokoić, zaczął przedstawiać mu po imieniu wszystkich oficerów w około stołu zasiadających. Przypadek chciał, ażeby właśnie byli to ludzie, którzy dobrowolnie poporzucali domy zamożne, dobry byt i niezależną towarzyską pozycyą, dla bezinteresownych trudów i pracy, w celu oswobodzenia ojczyzny włoskiéj od gniotącego ją jarzma. Słysząc to wszystko biédny proboszcz zaledwie mógł dać wiarę; tytuły, jakich nie spodziewał się nigdy słyszéć u siebie, do reszty zawróciły mu głowę: „Więc ten generał, rzekł, którego taką czcią otaczacie, musi być przynajmniéj królewskim synem?" „Nie, odpowiedziano mu, on jest tylko najdzielniejszym z nas, dlatego wybraliśmy go naczelnikiem naszym." Ale podejrzliwe księżysko, ruszył głową na znak niedowierzania, lecz udał, że gotów jest wierzyć temu, iż generał Turr nie jest czém innem nad to, za co go przedstawiamy. „Czy macie tu jaką szkołę?" zapytałem. Na te słowa wzniósł ręce i oczy do nieba mówiąc z przerażeniem: „Ach! nie, dzięki Bogu!" We wszystkich prawie wioskach królestwa neapolitańskiego, przez które wypadało mi przechodzić, zadawałem te same pytania i wszędzie taką odpowiedź mi dawano. Widać, iż proboszcz uwierzył w końcu, że nie jesteśmy ludźmi tak niebezpiecznymi, bo skoro wniesono kawę, małe srebrne łyżeczki ukazały się w filiżankach. Widok ich pobudził nas do ogólnego śmiechu, syndyk zaś wykrzywiając się obrzydliwie, ochrzypłym głosem wołał: „Jaśnie wielmożni panowie raczą mieć wzgląd na nas biednych ludzi". Po kolacyi zamiast pójść spać, zostaliśmy długo jeszcze rozmawiając i przypatrując się z okien wylądowywaniu naszych

ludzi i koni; krzyki i wrzaski towarzyszące mu zawsze, nie przeszkadzały jednak spać na piaszczystym brzegu całej brygadzie. Raptem, proboszcz nasz przestraszony wpada do sali, drzwi ostrożnie zamyka, pokazując nam list w ręku. Po wstępie, dziwnie nie jasnym i niezrozumiałym, powiedział nareszcie, jak mu to wielką przykrość sprawia, widzieć tylu znakomitych ludzi idących dobrowolnie na śmierć najpewniejszą, i że za największy chrześciański poczytuje sobie obowiązek, zakomunikować nam pewną wiadomość, którą w téj chwili dopiero odebrał. Wtedy oddaje nam ów list: był to rodzaj urzędowego cyrkularza, wysłanego zapewne do wszystkich księży i proboszczów prowincyj neapolitańskich, uwiadamiający ich, iż pomimo opłakanych wypadków, jakie krajem wstrząsają, niepowinni oni przestawać modlić się za pomyślność i zdrowie króla, gdyż sam święty January raczył okazać się Franciszkowi II, i przyrzekł mu, iż w końcu tego jeszcze miesiąca, cała szatańska armia i jéj lucyper wszechmocą Najwyższego Pana, do szczętu zniszczoną będzie. Przyrzekliśmy najsolenniéj księdzu proboszczowi zachować w sekrecie udzieloną nam wiadomość, podziękowaliśmy mu za jego o nas troskliwość i rozeszliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz skoro świt, wszedłem do generała Turra dowiedzieć się o jego zdrowiu: zastałem go ubierającego się. Ponieważ zbywało nam na środkach transportowania, a kraj w tym względzie żadnych resursów dostarczyć nie mógł, więc potrzeba było użyć barki dla przewiezienia naszych rzeczy wodą do Palmy, gdzie na nas miały oczekiwać. Żołnierze udali się drogą ciągnącą wzdłuż morskiego wybrzeża, maszerując etapami aż do Bagnary, a my konno mieliśmy tam ich poprzedzić. We wsi ruch i zamieszanie panowało ogromne: chłopi biegali za kurczętami sprzedając je więcej dającym; dziewczęta z okien uśmiechały się do naszych żołnierzy zasyłających im rękami pocałunki; dzwon kościelny wzywał nabożnych do mszy porannéj, i ujrzałem proboszcza, jak odziany w duchowne suknie, przechodził przez tłum rozstępujący się przed nim z uszanowaniem. O godzinie siódméj, generał Turr siadł na konia i ruszył poprzedzony kilku

kawalerzystami; szeroki błękit nieba niezakłócony żadną chmurką, roztaczał się nad naszemi głowami; zielone liście drzew figowych rzucały cień wkoło siebie, a miły od strony morza wietrzyk, łagodził nieco skwarne promienie palącego słońca. Droga prowadziła wciąż przez góry, skały, wąwozy, często obok głębokich i niebezpiecznych przepaści: tylko pył wznoszony kopytami naszych koni, dokoła nas otaczał. Generał Turr, dzięki swéj potężnéj energii, zwalczył w sobie chorobę i pospiesznie dążył tam, gdzie powinność go wzywała. Wydobywszy się przecie z nieznośnéj bezczynności, na jaką byliśmy w Messynie skazani, oddychaliśmy pełną piersią powietrzem przesyconém aromatycznemi pierwiastkami roślinności; rozmawialiśmy, śmieliśmy się, jako ludzie zawieszeni w pośrodku najważniejszéj akcyi swego życia, jako ludzie pełni najpomyślniejszéj otuchy: jednem słowem, jako ludzie szczęśliwi i zadowoleni z życia.

Przejeżdżaliśmy około forteczki Torre-Kavallo, któréj bramy poroztwierane, zdawały się zapraszać nas do wejścia. Kilkunastu żołnierzy idących z Redżio, zmęczonych marszem, spało na ziemi w cieniu wyniosłéj góry. Wkrótce przybyliśmy do małego i ruchliwego miasteczka, zbudowanego w szerokiéj skalistéj kotlinie w kształcie lejka, a ztamtąd na odosobnionym cyplu skały, po nad piaszczystą przystanią, ujrzeliśmy straszliwą twierdzę Scyllę, strzegącą i grożącą morzu. Okoliczni mieszkańcy, nasi żołnierze, kobiety i dzieci, wszystko to cisnęło się ku jéj murom, przechadzało się po zwodzonych mostach, dotykało armat, zwiedzało kazamaty, otwierało i rewidowało magazyny, z nieudaną radością licząc znalezione w nich stosy szynek zostawionych przez neapolitańskich wojowników. Wesołość panowała wszędzie, a miasto przystroiło się jakby w dzień świąteczny. Jednakże kilka przystojnych, chociaż ponurych dziewcząt stało na uboczu, patrząc w stronę cytadelli; kto wié, może nie jedno młode serduszko zabrali z sobą piękni grenadyerowie Franciszka II; do jednéj więc, któréj groźny wzrok zdawał się zdradzać wewnętrzny niepokój, rzekłem: „O moja śliczna, jeżeli twój kochanek z tornistrem na plecach

pomaszerował do Neapolu, pociesz się, bo w gronie Garibaldczyków mających tu stać garnizonem, znajdziesz z pewnością wielbicieli, a czerwone koszule warte są niebieskich mundurów." „Pleciesz jak na mękach, odpowiedziała, kochanek mój jest marynarzem i ciężko dnie i noce pracuje na morzu, nie tak, jak ci próżniacy żołnierze, których robactwo toczy w koszarach. Złą jestem, bo pozwolono odejść bezkarnie tym łajdakom; lepiéj było popodrzynać im gardła, jak wieprzom"! Nie mając tego dosyć, odwróciłem się do drugiéj, mówiąc: „A ty moja kochana, dla czego tak dziko spoglądasz"? Ona na to z gwałtownością odpowiada: „Bo jeden nikczemnik kapitan uciekł, nie zapłaciwszy mi za trzy kamizelki, które mu uszyłam. O! przysięgam na Boga, że jeżeli go kiedy spotkam, nożyczkami ślipia mu wykłuję"!

Incidit in Scyllam, qui vult vitare Charybdim.

Będąc w Scylli i znajdując się w podobnéj okoliczności, cytacya łacińska zdała mi się być nieuniknioną. Poszedłem odszukać moich towarzyszy wypoczywających w kawiarni i posilających się chlebem moczonym w ochłodzonéj śniegiem wodzie. Miasto chociaż niewielkie, jednakże dosyć jest zamożném; powiadają, że handel, jaki prowadzi jedwabiem i winem, niemałe korzyści mu przynosi; ale wyznaję, że tutejsze wino używające największéj w Kalabryi wziętości, z powodu dziwnie cierpkawéj słodyczy, nie przypadło mi wcale do smaku. Więc téż podczas całéj téj do Neapolu męczącéj podróży, trzymałem się zwyczaju, do którego na Wschodzie przywykłem, tojest, do szklanki świeżéj wody dolewałem pół filiżanki mocnéj czarnéj kawy; wszystkim tedy odbywającym podróż w czasach wielkiego gorąca, gdy są zmęczeni i spragnieni, ten wyborny w takim razie trunek zalecam.

Ruszywszy daléj w drogę prowadzącą zawsze brzegiem morza, zostaliśmy zdziwieni przepyszną wszędzie wegetacyą: tysiące strumieni spływało z pomarańczowych, cytrynowych i figowych lasów, ozłoconych z wierzchu promieniami słońca i otoczonych w około puchem gęstéj i zielonéj trawy. Upojeni widokiem pięknéj natury, poczęliśmy recytować, jak kto mógł ustępy z ogrodów Armidy Tassa. Orszak nasz powiększył się idącymi przed

nami mieszkańcami Scylli, którzy jako ochotnicy, spieszyli do Bagnary połączyć się z Garibaldim. Dzielny to lud, barczysty, tęgo zbudowany; pewnego rodzaju łapcie obwijające nogę, służyły im za obuwie, na głowie mieli długie niebieskiego koloru lniane czapki, za szerokim pasem błyszczała rękojeść noża, na ramieniu zaś nieśli długie, przypominające kształtem albańskie karabiny. Przed każdym z nas uprzejmie się kłaniali, wołając: *Viva la Talia una!* „Gdzie dążycie?" zapytałem jednego. „Do Wenecyi"! odpowiedział. Nieopodal od brzegu płynie wielki parowy statek, ale tak napełniony wojskiem, że wszystkie na nim miejsca dosłownie są zapełnione; po białym długim płaszczu poznali z łatwością jadącego na naszym czele generała Turra, więc okrzyki na jego cześć rozległy się ze statku; każdy czapeczką witał ukochanego dowódzcę, a muzyka zagrzmiała marsza wojennego. Parowiec ten zatrzymał się u stóp wioski Favozzana chcąc tamże wysadzić na ląd żołnierzy, ale generał dał rozkaz, ażeby płynął do Bagnary, ponieważ jak wieść niosła, Neapolitańczycy na równinach monteleońskich czekali na nasze spotkanie. Droga, którąśmy jechali, a którą także maszerowało wojsko idące od Redżio, ciągnęła się samém wciąż wybrzeżem; morze w tém miejscu było bardzo głębokie i większego nawet rozmiaru statki z łatwością płynąćby tu mogły. Gdyby więc jedna tylko nieprzyjacielska parowa fregata chciała nas eskortować i kartaczowym z dział swoich ogniem prażyć, nie ma wątpliwości, iż ogromną klęskę zadaćby nam mogła, bo ogień nasz karabinowy ani jéj dosięgnąć, ani zatrzymać w biegu nie byłby w stanie. Szczęściem, podobna myśl nikomu w głowie nie postała, a jedyne niebezpieczeństwo zagrażało nam tylko od skwarnych promieni sierpniowego słońca, przed którymi każdy jak mógł się zasłaniał.

W okolicach Bagnary fizyognomia kraju przybierała już cechę widocznie tropikalną; w mieście mnóstwo palmowych drzew mieszało się malowniczo z kłębami aloesów i nopalów: myślałbyś, iż jesteś na Wschodzie, brakło tylko wysmukłych minaretów, brakło przeciągłego nawoływania muzeinów. Bagnara, jakkolwiek w nieregu-

larnym amfiteatrze zbudowana, mile wpada w oko; zdaleka zdaje się, iż jakiś olbrzym porozrzucał umyślnie na skałach tu i owdzie bez żadnéj symetryi domki, ażeby oryginalniéj i wdzięczniéj wyglądały. U spodu szeroka płaszczyzna oddziela ją od morza, na niéj suszą się powyciągane rybackie łodzie, mnóstwo warsztatów z pozaczynanemi statkami, zdają się świadczyć o znacznéj w tych stronach obfitości lasów; tutaj właśnie Józef Bonaparte, niegdyś król neapolitański, zamierzał urządzić główny skład materyałów i ciesielskie warsztaty dla swéj przyszłéj floty przeznaczonéj na podbicie Sycylii: ale pomimo największéj chęci Napoleona I marzącego zawsze o wielkiéj na tę wyspę wyprawie, na niczém się jakoś skończyło.

Szafran kosencki, wina sycylijskie i kobiéty bagnarskie, powiada kalabryjskie przysłowie; i ma słuszność, bo istotnie, kobiéty tutejsze cudownie są piękne. Piękność ich atoli nic ma nic wspólnego z typem greckim a więc zimnym, poważnym, nakazującym, jakby wespół z bogami Olimpu do panowania przeznaczonym; lecz owszem jest dziką, gorącą i téj ciemnéj niby opalonéj cery, co stanowi wyłączną własność saraceńskiéj rasy. Najpiękniejsze z tych niewiast, mogłyby być córkami egipskiego sfinksa i ateńskiéj minerwy. Siadłszy w cieniu dużego domu na jednéj z główniejszych ulic, miałem sposobność przypatrzeć im się dowoli; każda z nich niosła na głowie ciężki kosz naładowany żywnością, którą żołnierzom naszym sprzedawały; ciężar ten z pewną wytwornością rękami przytrzymywany, był powodem poważnego ich chodu i imponującego wyprężenia ciała. Oblicze ich nieruchome, z wzrokiem naprzód wytężonym, zdradzało świadomość swych wdzięków; wiedziały one dobrze, iż wzrok każdego mężczyzny zwracał się za niemi, że każdy z uwielbieniem im się przyglądał. W téj nadmorskiéj krainie, kobiéty zmuszone są ciężko pracować: kiedy mężczyzna trawi większą część swego życia na morzu, one tymczasem spełniają gospodarstwa domowego obowiązki, wypędzają bydło na paszę, zbierają oliwki, uprawiają ziemię i t. p. Ciężar na głowie nie jest jedyny, jaki noszą: często za plecami matki wygląda ciemna, z rozczochranemi włosami główka, z dziwną ciekawością przyglądająca się tobie. W rzad-

kich chwilach wytchnienia od pracy, można je widzieć siedzące przed chatą z przędką w ręku i pieśnią żałosnéj melodyi, swe dzieci w kolebce usypiające.

W samém mieście, czyniono przygotowania do świetnéj illuminacyi. Kto jest w stanie kiedy zliczyć, jak wiele kosztowała wyprawa Garibaldego lamp, kagańców, któremi mieszkańcy Obojga Sycylii fetowali go na każdym kroku? Kościoły, kaplice, dachy domów, okna, wszystko to dosłownie żarzyło się zapaloném hojnie światłem. Szczęściem, oliwy w tym kraju niebrakło wcale: pod skwarném słońcem, oliwki prędko dojrzewają; lecz ponieważ zwyczaj włoski nakazuje, ażeby każda illuminacya trzy dni koniecznie trwała, więc można się było obawiać, ażeby całoroczny zbiór oliwy tym sposobem nie został skonsumowanym.

Na kilka godzin przed naszém przybyciem, Garibaldi opuścił już Bagnarę, zastaliśmy tylko pułkownika Frapollego, tego samego, z którym wsiedliśmy na statek w Genui. Członek parlamentu turyńskiego, były toskański minister wojny po wypadkach 1859 roku, zdolny organizator, znany wszystkim uczonym stowarzyszeniom podróżnik, Frapolli dla ojczystéj sprawy, porzucił swe naukowe zajęcia, niosąc jéj w ofierze doświadczenie światłéj głowy, odwagę dzielnego serca. Mało jest kwestyj historycznych, moralnych lub filozoficznych, którychby potężnym swym rozumem nie dotykał, albo na ich rozwiązanie nie wpływał, i wiele razy okoliczności pozwalały mi zetknąć się z tym człowiekiem i w towarzystwie jego dłużéj pozostawać, tyle razy za najszczęśliwszego z ludzi się poczytywałem. Garibaldi dał mu zlecenie powrócenia nazad do Sycylii i przypilnowania wysyłki wojsk już nie na Reggio i Scyllę, jak to z razu postanowione było, lecz więcéj na północ, bo przewidując silny Neapolitańczyków opór przez zajęcie pozycyi z tyłu Kosenzy i Sapry, można było przeciąć nieprzyjacielowi odwrót i uskutecznić groźny ruch na Salerno. Manewr ten, mający na celu rozdzielenie i rozdrobnienie a zatém osłabienie sił Franciszka II, zajmujących i strzegących drogę wiodącą do Neapolu, był pomysłu samego pułkownika i z tego mianowicie względu, ważnym się wydawał, na przypadek gdyby ludność niezbyt ocho-

czo za zbliżaniem się naszém powstawała: z rozdzieloną armią nieprzyjacielską, łatwiéj moglibyśmy sobie dać radę.

Kiedy Frapolli wsiadł do małéj barki, mającéj go odwieźć do Fary, my udając się na spotkanie Garibaldego, wsiedliśmy do powozu; ale miły Boże, cóż to był za powóz! Na wyniosłych i długich osiach, wisiało niebieskie pudło, na którém żółtym kolorem wymalowane były gwiazdy, księżyc, słońce, a w pośrodku nich męka Chrystusa Pana. Wewnątrz obite w wzorzyste desenie wytartém i podziurawioném płótnem, z powodu wystających z boków ostrych gwoździ, zmuszeni byliśmy do niezwykłéj przy opieraniu się czujności. Wchodziło się do powozu po sześciu stopniach; trzy konie ciągnęły tę niemiłosiernie trzęsącą przedpotopową landarę, a przez duże otwory z wierzchu, słońce swobodnie raziło nas swemi ognistemi strzałami. Furman mając pod nogami ogromny worek siana, więc kolanami dotykając brody, zaciął konie; ruszyliśmy z hałasem przypominającym najstraszliwsze hurragany, a jednak miejscowy syndyk obecny naszemu wsiadaniu, rzekł z pewną chlubą: „Jest to powóz najpiękniejszy w całéj okolicy!"

Droga ciągłemi na prawo lub lewo zboczeniami, prowadziła wciąż pod górę, i kiedy zdawało nam się, iż znaczny już kawał musieliśmy od miasta ujechać, aż tu w głębi niby przepaści widzimy znów Bagnarę, z jéj licznemi płaskiemi domkami. W miarę jak zmęczone dobrze konie pięły sie ciągle pod górę, południowa natura kraju zmieniała się stopniowo: ciernia i głogi zajmowały miejsce mirtów, krajobraz stawał się coraz podobniejszym do Francyi. Oto kasztany, lipy i dęby; a gdyby nie stada siwych wołów leżących w cieniu i przeżuwających melancholicznie trawę, myślałbyś, iż jesteś gdzieś w okolicach Bretanii. Znacznego rozmiaru folwarki tu i owdzie spotkać było można, każdy z nich na froncie bramy lub domu miał zwykle napis właściciela: *tenuta di Paolo Faliscarpa*, *tenuta di Giovanni Sanpolito* i t. d. Kiedyśmy obok nich przejeżdżali, z okien twarzyczki ciekawych niewiast wyglądały, wieśniacy zaś zajęci robotą w polu (tutaj bowiem znaczna odległość od morza nas rozdzielała), zdejmując z głowy czapki, uprzejmie nas witali. Wszystko tu oddychało ciszą

i spokojem, jak gdyby spełniająca się w tym kraju rewolucya nie istniała wcale; ludzie tutejsi pozdrawiając nas słowami: *salute fratelli*, nie zdawali się w nas widzieć żołnierzy, lecz spokojnych współobywateli. W jednéj wiosce blisko miasteczka Seminary, posłyszelismy w miejscowém narzeczu śpiew; o ile z niektórych trudnych do zrozumienia słów wnosić można było, zdawał się być treści następującéj: „Niech żyje Garibaldi! Niech żyją czerwone koszule! Czerwony kolor jest najpiękniejszy, bo jest kolorem krwi za wolność przelanéj! Tylko stanął nogą na czarnéj kalabryjskiéj ziemi, a Burbonowie przestali już panować!"

Nareszcie dojechawszy do najwyższego szczytu góry, droga na dół spuszczać się poczęła i w miarę jakeśmy zjeżdżali, natura znów przybierała barwę południową. Nieopodal od miasta Palmy, wjechaliśmy w las oliwkowy ale tak piękny, jakiegom jeszcze nigdy nie widział. Bezwątpienia, oliwne drzewa rosnące na dolinach Smyrny są ogromne, szerokie, okazałe, i można je śmiało uważać za patryarchów swego rodu; oliwki ateńskie, ma się rozumieć te tylko, które wandalizm turecki podczas wojny greckiéj o niepodległość przy życiu zostawił, są również wspaniałe; oliwki jerozolimskie tak poważne swoją odwieczną starością, milczące świadki wielkiego i wzniosłego dramatu w ich oczach niegdyś spełnionego, wzbudzają swemi okaleczałemi od nieubłaganego czasu kształtami, pewien rodzaj głębokiego dla siebie szacunku. Lecz ani ich można porównać z temi, jakie tutaj w okolicach Palmy rosną. Drzewo to rośnie zwykle nizko, kurcząc się grubieje, ściska w licznych konarów splotach, liście na niém są rzadkie, mało cienia dające; zamiast pnąć się w górę, woli ono chylić się do dołu, jakby dlatego, ażeby łatwiéj owoc swój oddać téj ziemi, z któréj czerpie życia swego soki. Tutaj oliwki zasobne są w liście jak buki, wyniosłe jak lipy, potężnemi swemi konarami pną się majestatycznie w górę, roztaczając w około siebie cień obfite. Przypatrywałem im się z uwielbieniem, niemogąc od nich oczu oderwać; mimowolnie powtarzałem w duszy: „Ach! jakżebym tu żyć pragnął!" Ale czyż spokój może być gdzieindziéj, jak nie wewnątrz nas samych? Żałuję mocno tych biednych żydów wiecznych tułaczy, co go nigdy znaleźć nie mogą.

Czyż istnieje on nawet w grobie? Wątpię, śmierć jest tylko chwilowym odpoczynkiem.

II.

Krótko zabawiliśmy w Palmie, bo powiedziano nam, iż armia neapolitańska oczekuje nas w Monteleonie. W saméj rzeczy, nieprzyjaciel wsparty o mury twierdzy, korzystając z równin otaczających to miasto, z łatwością mógł rozwinąć kawaleryą i artyleryą, na których nam właśnie zupełnie zbywało i nietylko wstrzymać nas w pochodzie, lecz nawet zmusić do niekorzystnego dla nas pod każdym względem odwrotu. Rozsądek więc nakazywał nam przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności; nakazano mi tedy wraz z pułkownikiem Telekim zwrócić się do Bagnary, ażeby przyspieszyć pochód brygady Ebera; co się zaś tyczy generała Turra, ten znajdował się już przy boku Garibaldego. Nie chcąc wracać dopiéro co przebytą drogą, skręciliśmy ku morzu, ażeby uniknąć męczącéj i niebezpiecznéj podczas nocy przez góry podróży; po godzinnéj blizko najokropniejszéj w pośród skał, przepaści i wąwozów przeprawie, dostaliśmy się już o zmroku nocnym do brzegu i tam nająwszy barkę wsiedliśmy w nią; czterech silnych majtków porwało za wiosła: barka ruszyła w drogę.

Przepływaliśmy obok stromych i wysokich brzegów, bałwany morskie rozbijając się o nie, zdawały się jak ukryte psy za płotem wyszczekiwać na nas. W oddaleniu posłyszeliśmy piosnkę rybaka zapuszczającego w głębiach toni sieci; powietrze było świeże i miłe zarazem. Sandor Teleki i ja, obwinięci: on w burnus, ja w marynarską kapotę, bom swojéj zapomniał nieoględnie w Bagnarze, nie mogąc spać, poczęliśmy rozmawiać. Może sądzicie, iż przedmiotem naszéj rozmowy była wojna? Garibaldi? spodziewane bitwy? Messyna albo Neapol? Nie, myśl nasza błąkała się po Paryżu; przywodziliśmy sobie na pamięć drogie sercu naszemu osoby, które może w téj saméj chwili z niespokojnością myśląc o nas, mówiły do siebie: „Gdzie oni są"? Następnie sięgnęliśmy w odleglejsze jeszcze strony, w ową epokę, gdy Węgrzy

z takim godnym uwielbienia wysiłkiem walczyli za tę wolność, którą jakiś poeta nazwał *wielką niewdzięcznicą!* Towarzysz mój opowiadał o młodych latach swoich, gdy pełen swobody możny pan transylwańskiéj krainy, zabawiał się polowaniem, potém kiedy jako szef sztabu jednego z najdzielniejszych w tym wieku wojowników, walczył za niepodległość; potém o swojém w fortecy Arad uwięzieniu, o wyroku na śmierć go skazującym; o ucieczce swojéj; o przybyciu w obdartych łachmanach i boso do Turcyi, gdzie jako znakomitego zbiega, czekało pełne grzeczności przyjęcie: nakoniec życie swoje tułacze, napojone na każdym kroku goryczą, zawodem, niepewnością, zwątpieniem, rozpaczą, lub zwodniczą nadzieją za lada powiewem rzeczywistości rozpryskującą się bez śladu. Podczas, gdy on to wszystko opowiadał, godziny nieznacznie upływały i o piérwszéj po północy, jakieś gorejące światełka ukazały się oczom naszym: była to Bagnara.

Wysiadłszy na ląd, ażeby się dostać do brygady Ebera i wręczyć mu rozkazy, musieliśmy przechodzić pośród śpiących na piasku żołnierzy; o godzinie czwartéj z rana, brygada w marsz wyruszyła. Tę samą drogę, którąśmy wczoraj przed wieczorem w powozie przebywali, musieliśmy teraz odbyć konno i trzeba przyznać, iż blask jasnych promieni wschodzącego słońca, również wspaniale piękną tę okolicę przedstawiał. Cóżto za raj ziemski ta Kalabrya! jakieżto bogactwo natury! Niczego tu nie brak: ani wody, ani ziemi, ani słońca, ani ludzi. Jakże niegodziwym musiał być rząd tutejszy, kiedy systematycznym uciskiem kraj tak we wszystko obfity, przywieść mógł do takiego stopnia ubóstwa i nędzy? Jedyna droga, przez którą powozy mogą przejeżdżać, prowadząca z Reggio do Neapolu, istnieje dopiéro od lat czterdziestu; przedtém z powodu licznych jam, wąwozów, przepaści, błota i kamieni, tylko na grzbiecie konia albo muła, przebywać ją było można. Do miast leżących w większém nieco od morza oddaleniu, nikt nie ośmielał się zaglądać: musiano od nich stronić jak od zapowietrzonych. „W całéj Kalabryi nie mógłem znaléźć jednéj nawet drukarni",

pisał Massena do króla Józefa (1); mnie się zdaje, że dzisiaj to samo jeszcze dałoby się powiedzieć. Jakkolwiekbądź do wielu rzeczy byliśmy tu już przygotowani, przecież zdarzały się takie, które nas w osłupienie wprawiały. W Bagnarze potrzeba mi było napisać list, lecz nie było pióra; z dziesięć domów przetrząśnięto, zanim jedno znaleźć się udało. „Etna, jestto arsenał, w którym Bóg pomieścił swe pioruny dla zniszczenia Saraceńczyków", rzekł do mnie pewien obywatel messyński. Sądząc naiwnie, iż frazes ten jest sobie poprostu jakąś poetyczną metaforą. „Czy to który z sycylijskich poetów tak powiedział?" zapytałem. „Nie żaden poeta, odparł z żywością, ale ksiądz proboszcz na kazaniu grożąc, iż jeżeli regularnie spowiadać się nie będziemy i jeżeli prędko składki na wybudowanie kościelnéj dzwonnicy nie złożymy, to Pan Bóg przeciwko nam obróci te pioruny." „I cóż, złożyliście składkę?" „A jakże, przyznam się, że nie miałem wcale ochoty być zabitym od pioruna; a potém z powodu mocnego zapachu siarki przyciągającéj zawsze djabła, jak wszystkim wiadomo, każdy dotknięty gromem, idzie prosto do piekła". Otóż cały system dawniejszego neapolitańskiego rządu, maluje się w tych słowach; ażeby łatwiéj wyłudzić od biédnych ludzi pieniądze, musiano ich straszyć wszelkiemi sposobami i utrzymywać w największéj i najgrubszéj ciemnocie.

Przybywszy do Palmy, stanęliśmy w kwaterze generała Turra, brygada zaś nie zatrzymując się wcale, maszerowała daléj do miejsca swego przeznaczenia, chociaż tutejsi mieszkańcy przygotowali się na gościnne jéj przyjęcie. Samo miasto jest dosyć duże, zabudowane nie regularnie jak wszystkie kalabryjskie miasta, lecz zamożne z przyczyny znacznego handlu, jaki prowadzi z portami Śródziemnego morza. Na jednym nawet domu, znalazłem pysznie zawieszonego złotego orła na błękitnéj tarczy, jako godło zawiadamiające o mieszkaniu konsula francuzkiego. Pierwszą zaraz czynnością rady miejskiéj po zwaleniu burbońskiego rządu, było przekształcenie nazwisk

(1) Mémoire et Correspondance politique et militaire du roi Joseph, t. III, p. 157.

ulic; jakoż na wielkich tablicach czytać można odręczne napisy: *ulica Garibaldego*, *ulica Wiktora Emanuela*, *plac Niepodległości*. O zachodzie słońca udałem się na wzgórek panujący nad dolną częścią miasta dotykającą morza, i wtedy to mogłem dopiero ocenić śliczne położenie Palmy. Pomiędzy dwiema urwistemi skałami, przypominającemi morskie brzegi Normandyi, lecz pokrytemi bujną i ciemną zielonością, na spadzistym stoku ciągnącym się w głąb morza, rozsiadło się miasto przyozdobione gęsto rosnącemi palmami. Wegetacya tutaj jest tak silną i bogatą, że przybiera kolor prawie czarny; jak na wybrzeżach fenickich, różowe laury kwitną po nad wodą, same pnąc się wysoko po granitowych skałach. Roślinność okolic Palmy jest tak pełną życia i wdzięku, że jéj z niczém porównać nie można; mnóstwo strumieni sączących się w ziemi, wilgocią swoją niweczą wpływ palących promieni słońca; w zimie znów wysoka temperatura ciepła, odświeża i zabezpiecza ją od szkodliwych podmuchów północnego wiatru. Na zachodzie tonące w czerwonawéj mgle zachodzącego słońca, wznoszą się po nad morskiemi falami wyspy Eolskie; trochę dalej od strony Afryki, Sycylia strome swe brzegi okazuje, a z jéj łona wyrasta olbrzymia dymiąca góra: to starożytna Etna; dzisiaj lud tutejszy inaczéj ją nazywa. Arabowie ujrzawszy Etnę, dali jéj nazwę *Dżebel*, co znaczy górę nad górami; Sycylijczycy nazwę tę zwłoszczyli na Dżibello (Gibello, Monte-Gibello), następnie przez zepsucie na Mondżibello (Mongibello): lud zaś w narzeczu swojém przezwał ją *Muncibeddu*. Geografia narodów często podbijanych, obfitą jest w pleonazmy tego rodzaju powagą czasu uświęcone.

Kiedyśmy przybyli do Palmy, Garibaldi był już ztąd daleko; nie oglądając się wcale na eskortę swoję, z niesłychaną szybkością biegł wciąż naprzód, jak gdyby przykładem swéj niecierpliwéj ruchliwości, chciał zmusić Opatrzność do prędszego spełnienia przeznaczeń swoich. Jeżeli się gdzie na chwilę zatrzymał, to tylko dlatego, ażeby rozpytać się o potrzebne mu wiadomości, ażeby dać jaki rozkaz, ażeby list napisać, i znów pędził gwałtownie naprzód, gdzie go przeznaczenie wzywało. Sztabowi oficerowie biegli za nim, wytężając wszystkie swe siły,

mordując i zajeżdżając na śmierć konie, byle go tylko dogonić; a kiedy nareszcie zastali go na nocnym odpoczynku, kiedy myśleli, że przecię na chwilę odpoczną sobie, aliści dowiadują się, że znów jest od nich daleko. Później dopiéro, zrozumiano powody téj nadzwyczajnie szybkiéj jego podróży; wzniecając gdzie się ino pokazał powstanie, Garibaldi postanowił bez wytoczenia kropli krwi włoskiéj przybyć do Neapolu, i cudownie dopiął założonego celu.

Noc jeszcze trwała, gdy opatrzeni w przewodnika udaliśmy się w dalszą drogę. Obok nas pośród głębokiéj ciemności, białe jakieś widma przesuwały się milcząco: były to palmijskie niewiasty idące z żywnością do obozowisk rozłożonych w pobliżu miasta. Świtać dopiéro zaczęło, gdyśmy przybyli na szeroką i nagą płaszczyznę, na któréj gdzieniegdzie sterczały łodygi ściętéj kukurudzy; trzy lub cztéry palące się ogniska, napróżno starały się pochłonąć gęstą mgłę z wznoszących się w około wilgotnych moczarów. Żołnierze nasi stojący w szeregach, drżeli z zimna podczas apelu, gdyż noc była chłodną a rosa do kości przejmującą. Nareszcie pobudka się odezwała, napół śpiące oczy zaraz się rozwarły, dobry humor natychmiast wrócił, awangarda biegnąc wysunęła się naprzód; stanęliśmy na czele kolumny obok brygadyera Ebera: trąbki zagrzmiały sygnał pochodowy, i ruszyliśmy naprzód.

Tutaj kraj przybrał już inną powierzchowność: góry znikły, wszędzie gdzie okiem rzucić płaszczyzna; po lewéj stronie morze zaokrągla się w zatokę Gioja rozszerzając się ku przylądkowi Vaticano; na prawo zaś, z tyłu rzędem wytkniętych po nad drogą plantacyj, błotniste torfowe niziny, które zapewne zamieszkuje w jesieni blada rusałka *mal'aria*, rozciągały się bez końca. Pomimo wielkiego upału piekącego nam okropnie głowy i ręce, marszu na chwilę nie zwolniono; tylko od czasu do czasu uderzono w bębny, zagrano na trąbach, ażeby nadać cokolwiek więcéj energii żołnierzom upadającym pod straszliwém brzemieniem gorąca. Jedynie Sycylijczycy, odziani w wełniane czerwone koszule, nic sobie nie robiąc ze skwarnych promieni słońca, tak dalece denerwujących pół-

nocnych mieszkańców Italii, wyśpiewywali ochoczo swoje piosnki narodowe. Nareszcie, na końcu płaszczyzny ujrzeliśmy dwa zielone i gęsto ocienione pagórki, niby strażnice małego schowanego za niemi miasteczka Rosarno; zostawiwszy go na prawo, jako miejsce odpoczynku, wybraliśmy lasek oliwny, którego drzewa pięknością swoją przypominały nam te, któreśmy w Palmie podziwiali. W żywność nie byliśmy wcale bogaci: śniadanie moje składało się z trzech tylko surowych pomidorów. Żołnierze rozbiegli się po lesie, skradając na palcach, strzelali kulami do niewinnych wróbli siedzących na drzewach; chociaż tego rodzaju polowanie, niewiele mogące przynieść szkody temu ptastwu podniesionemu niespodzianie do godności zwierzyny, surowo było zakazane, ależ trudno ochotnikom wzbronić strzelania. Położywszy się w cieniu figowego drzewa na zgarniętych naprędce kukurydzowych liściach, słyszę jak Węgier jeden trzymając za uszy świeżo zabitego prosiaka, zbliża się do gromadki madziarskich oficerów i z pocieszną miną obróciwszy się do majora Mogyorody rzeknie: „Mój dowódzco, czy mogę przyjąć podarowane mi przez jakiegoś wieśniaka to śliczne prosię?" „Nie wierzę w ten podarunek, kłamiesz; zabiłeś go, a wiesz o tém, iż to surowo jest zakazane." „Nie, mój dowódzco, nie zabiłem go, tylko ten wieśniak prosił mię bardzo ładnie ażebym go przyjął, a w dodatku wypytywał się o zdrowie Kossuta." „Jak możesz wiedzieć iż pytał się o zdrowie Kossuta, kiedy po włosku nie rozumiesz?" „Poznałem to po jego minie." Na takie *dictum acerbum*, nie było już co odpowiedzieć; odciąwszy naprzód roztrzaskaną od kuli głowę, nadziano prosiaka na stępel od karabina, ażeby gó upiec na ogniu.

Niedaleko nas, szemrał sobie strumyczek w cieniu woniejącéj mięty, pod drzewami oliwnemi wysoko rosnąca paproć, liście swe szeroko rozpinała; wznoszący się pochyło wzgórek ozdobiony piękną zielonością, cudownie odbijał na fioletowém tle gór daleko na horyzoncie się ukazujących. Byłbym tu chętnie cały dzień przesiedział, puszczając wodze rozmarzonéj urokiem wspaniałéj natury wyobraźni; ale obowiązek nakazywał mi udać się

do Milety, porzuciłem więc nie bez pewnego żalu to miłe schronienie, zostawiwszy w niém brygadę wyczekującą aż słońce schyli się ku zachodowi: wsiadłem na konia i sam poprzedzony tylko przewodnikiem, udałem się w drogę.

Była to właśnie południowa pora; słońce jak piekielnym żarem prostopadle paliło, rękojeść mego pałasza gdym się jéj dotknął, parzyła gdyby z ognia wyjęta; konie nasze zmęczone i okryte potem, zaledwie nogi stawiać mogły: do tego kurzawa w kształcie słupa otaczając nas, ćmiła wzrok i oddech tamowała. Krajobraz ślnił tak mocném światłem, że patrzéć na niego nie można było; czarne zaś i suche drzewa, zdawały się wyskakiwać z nieubłaganego tła lazurowego. Grobowe milczenie panowało wokoło; tylko gdzieniegdzie zdyszana krowa głowę swą z pośród wysoko rosnącéj trawy ukazywała, zresztą nic, nawet ptaki poukrywały się w cieniu. Pod wpływem tego nadzwyczajnego gorąca, wszystko zamilkło, natura zdawała się być omdlałą, my tylko jedni byliśmy w ruchu. Pośród gęstych kłębów kurzu, spostrzegłem idących przedemną ludzi. Bylito włościanie widnego niedaleko ztąd i jakby przyczepionego do skały sioła; wszyscy są uzbrojeni, prowadzi ich jakiś młody, mogący mieć około lat trzydziestu ksiądz, wysokiego wzrostu, szerokich ramion, apoplektycznéj cery, ubrany w krótkie spodnie, jedwabne pończochy, w szerokim złotym galonem obwiedzionym na głowie kapeluszu, z przypiętą do piersi z wstążek czerwonego, zielonego i białego koloru kokardą. Gdym się do nich zbliżył, zprezentowali broń, a ksiądz stanąwszy przed koniem i wziąwszy się pod-boki, junackim głosem bez wytchnienia począł krzyczéć: „Niech żyje Garibaldi! Niech żyje nasz król Wiktor Emanuel! Niech żyje Italia! Niech żyje jedność! Niech żyją czerwone koszule! Precz z Burbonami! Precz z Austryakami! Precz z biskupami! Precz z podatkami!" Biédne człowieczysko, z tak nadzwyczajném wysileniem chciał mię przekonać o szczerości swego sposobu myślenia, iż nietylko że mię nie przekonał wcale, ale owszem, przykrość mi sprawił. Nie odpowiedziawszy nic na te krzyki, ograniczyłem się na zapytaniu: „Jak daleko ztąd do Mi-

lety?" On znów począł wołać z całych piersi: „Niech żyje Garibaldi! Niech żyje nasz król!..." A ja tymczasem spiąwszy konia ostrogami, pobiegłem galopem, zostawiając w tyle całą tę manifestacyą, która po krótko trwającéj naradzie, ruszyła daléj w swoją drogę.

Przybywszy nad rzekę Messymę w obecnéj chwili tak wyschłą, iż zaledwie strumykiem nazwaćby się ją godziło, musiałem przeprawiać się przez most, ale tak stary i zniszczony, że konie w żaden sposób przez niego przejść nie chciały. To mi przypomniało niedbalstwo, jakie w najwięcéj opuszczonych prowincyach państwa tureckiego spotkać tylko można. Podróżni, którzy odbywali kiedy drogę z Aia-Suluk w Azyi Mniejszéj, gdzie są sławne efezkie ruiny aż do Sardes, powinni sobie przypomnieć pod Tyra i Birke, szeroko płynącą rzekę nazwaną w tamtych stronach Meandrą, a na niéj niebezpieczny i zdradliwy most. Deski leżące na nim w poprzek są tak od siebie oddalone, iż potrzeba zsiąść z konia i przeskakiwać z jednéj na drugą. Konie oczywiście przestraszone łoskotem wody pod nim płynącéj, wspinając się nie chcą w żaden sposób przechodzić przez niego; więc ażeby uniknąć grożącego niebezpieczeństwa, potrzeba wzdłuż rzeki szukać sobie miejsca przez które możnaby się wpław przeprawić. Otóż to administracya porty ottomańskiéj takie pułapki na życie ludzkie nastawione, nazywa mostami, stojący zaś na Messymie, a przez który właśnie przeprawiać mi się wypadało, do téj saméj kategoryi śmiało zaliczonym być może.

Płaszczyzna rozciągająca się na około tego mostu, składająca się z piasku i błota, wydaje się być ruchomą; spalona z wierzchu od słońca, a gnijąca od wilgoci u spodu, trawa z trudnością tylko na niéj porasta. Wszystko w téj smutnéj okolicy nosi na sobie piętno jakiéjś chorobliwości i zniszczenia; kilka wznoszących się smutnie zwirowatych pagórków, służą za schronienie jaszczurkom za najmniejszym szelestem szukającym w nich schronienia. Drzewa poznikały ztąd zupełnie a z niemi zieloność tak mile ozdabiająca łąki; tylko wrony tu przebywają, tylko koników polnych świerkanie słyszeć tu można. Pod stertą słomy, ujrzałem leżących neapolitańskich żołnierzy,

zapewne dezerterów należących do brygad pod Villa-San-Giovanni przez nas otoczonych. Zawołałem ich, sierżant który nimi zdawał się dowodzić wystąpił naprzód: „Gdzie idziecie?" zapytałem. „Do domu; porzuciliśmy już służbę." „Gdzie jest reszta waszych towarzyszy?" „Ulecieli jak ptaki każdy w swoję stronę." „Do której należycie brygady?" „Do brygady Brigantego." „Gdzie teraz jest wasz generał?" Na te słowa, ludzie ci a było ich dziewięciu, zmieszali się i raptem obróciwszy, poczęli co sił uciekać. Przewodnik mój chciał za nimi gonić; kazałem mu zostać na miejscu i pilnować swojéj drogi. Co mogła znaczyć ta raptowna ucieczka? Później dopiéro zrozumiałem okropny jéj powód.

Straszliwy upał wciąż nam dokuczał; przed każdą chatą, obok któréj wypadało nam przejeżdżać, towarzysz mój zatrzymywał się i pomimo méj rady, prosił o wodę do picia: „Kiedy nie mogę wytrzymać z pragnienia," odpowiadał. A im więcéj pił, tém więcéj pić mu się chciało. „Lecz co to jest, że pan nic nie pije?" zapyta. Wówczas pokazałem mu mały kawałek krzemienméj skałki, którą ciągle w ustach trzymałem. „Ah! może to i dobre; wolałbym jednakże szklankę dobrego wina."

Na szczycie pewnego wzgórka, ujrzałem oddział żołnierzy odzianych w ciemno-zieloną barwę, jaką zwykli nosić Toskańczykowie; należeli oni do dywizyi Medicego, a pod wątłym cieniem kilku drzew oliwnych, dla zabicia czasu, bawili się obracaniem w młynka na ręku karabinów, noszeniem ich na palcu, rzucaniem w górę i chwytaniem w powietrzu. Przechodząc obok nich, uczyniłem uwagę, iż zabawa taka może być niebezpieczną: „Eh! co to szkodzi" odpowiedzieli. Nie ujechałem dwudziestu kroków, słyszę wystrzał, odwracam się i widzę jak jeden z nich chwieje się, krzyczy i upada jak długi na ziemię. Rozpinamy jego koszulę i widzimy, że kula wpadłszy niżéj piersi, przeszyła go na wylot. Biedny chłopiec, zsiniał cały, pot śmiertelny wystąpił mu na czoło, oczy przymykać się zaczęły. Oparliśmy go o drzewo. „Pozwólcie mi zasnąć, rzeknie, głowa mi cięży niezmiernie." Jakiś wóz jedzie; wysławszy czém było można, kładziemy go na nim: w pół godziny później już nie żył.

III.

Jak się łatwo domyśleć, pod wrażeniem głębokiego smutku, przybyłem do Milety. Miasteczko wydało mi się szkaradném: wybudowane w czworobok, przecięte trzema szerokiemi ulicami, w téj chwili było niezwykle ożywione i ruchliwe, gdyż Garibaldi w niém się znajdował. Dyktator leżąc napół w cieniu zaimprowizowanego naprędce z prześcieradeł i dywanów namiotu, przeglądał rozłożone na ziemi mappy. Dwóch księży stojąc, patrzyło nań z dziką jakąś ciekawością, podczas gdy on słuchał deputacyi złożonéj z monteleońskich mieszkańców, błagających go, ażeby pośpieszył do nich jak najprędzéj i uwolnił od neapolitańskiego garnizonu, gotowego co chwila dopuścić się tamże największych nadużyć. Zresztą, wojsko królewskie, mówili, czyniło wszelkie do odwrotu przygotowania, zamyślając, jak się zdaje, pod rozkazami generała Ghio, bronić przejścia w wąwozach prowadzących do Kosenzy. Tego tylko się obawiają, czy opuszczając Monteleone, nie zechcą zrabować miasta. „Biegnę tam zaraz" odpowiedział Garibaldi i skoczywszy do powozu, ruszył co konie wyskoczyć mogły; w ślad za nim, to pieszo, to konno, jak kto mógł poleciał. Na chwilę tylko mogłem się widzieć z generałem Turrem, bo i on spieszył dogonić maszerującego zawsze galopem naczelnego wodza. Skoro przybyli do Monteleony, na ich widok całe miasto powstało, a garnizon wyniósł się natychmiast, nieobejrzawszy się nawet.

„W Redżio rybacy, w Katanzaro tkacze jedwabiu, w Mileto rozbójnicy i księża!" powiada znowu stare kalabryjskie przysłowie. Mileto po strasznem trzęsieniu ziemi w r. 1783, podczas którego we wnętrznościach ziemi całe prawie zagrzebane zostało, teraz odbudowawszy się z gruzów na nowo, wygląda jakby świeżo postawione. Kilkanaście szop, seminaryum, pałac biskupi i połowa kościoła, o szpetnéj, cynkiem krytéj kopule, oto Mileto. Niegdyś było ono ulubioną siedzibą normandzkich książąt; więc téż obdarzono go obficie darowiznami i nadano mu zwierzchnią władzę nad licznemi koloniami, poosiedlanemi wychodźcami upadłego cesarstwa greckiego; do dziś dnia,

kolonie te, jako to: Jerocarno, Potame, Dafina, Policastro i inne, zachowały nazwy zdradzające swe pierwotne pochodzenie. Obecnie, nędzna ta mieścina, liczy zaledwie dwa tysiące mieszkańców. Z całéj swojéj dawnéj świetności, zachowała tylko rezydencyą biskupią, sam biskup jednak dowiedziawszy się o naszém zbliżaniu, umknął natychmiast. Mnóstwo czarno odzianych mnichów snuło się na każdym kroku, przypatrując się nam z obawą i jakby zdziwionych, że na głowach naszych djabelskich rogów, a u nóg długich zakrzywionych pazurów nie widzą. Kiedy koło nas przechodzili, nizko się kłaniali jako ludzie gotowi z rezygnacyą na wszelkie ze swéj strony dla nas ustępstwa; wzrok ich był ponury, ruchy bojaźliwe, głos niepewny i drżący.

Dnia 25 sierpnia, czyli na dwa dni przed naszém do Melity przybyciem, w téj nędznéj i obrzydliwéj mieścinie, odegranym został straszliwy i ohydny dramat. Piętnasty neapolitański pułk liniowy, cofając się z Villa-San-Giovanni, stanął tu i rozłożył się w ulicach obozem; oficerowie pełnili swoję powinność dobrze, ale żołnierze widząc z przerażeniem, że aż do samego Neapolu wystawieni będą na trudy ciężkiego i nieustannego marszu, gwałcąc prawa wojskowéj karności, niepomni przyjętych na siebie obowiązków, zaczęli się pokątnie odzywać, ażeby im wolno było odejść do domów, ażeby ich na nieograniczony urlop rozpuszczono. Oficerowie widząc wzmagające się coraz więcéj szemranie, nie śmieli temu zapobiedz, tłumaczyli tylko żołnierzom, że i oni zmuszeni są pełnić rozkazy wyższéj władzy. Tymczasem generał Briganti konno, w towarzystwie jednego służącego ukazuje się przed nimi; żołnierze obaczywszy go krzyczą: „do domów chcemy, do domów! zabić go!..” Briganti niezważając nic na te krzyki, jedzie daléj. Minąwszy Mileto, dostał się już na drogę prowadzącą do Monteleony, gdy wtém zwraca konia niespodzianie. Cóż za niewidzialna siła zmusza go do powrotu? Czy chęć stawienia czoła wojskowemu rokoszowi, czy zbuntowane żołdactwo uspokoić myślał, ocalając tym sposobem na przypadek jakiego wybuchu, od niechybnego rabunku miasto; czy nareszcie posłusznym był tylko téj niewidzialnéj ręce, która popycha niekiedy ludzi ku speł-

nieniu przeznaczenia swego? Niewiadomo. Lecz skoro się wojsku ukazał, krzyki i groźby coraz silniéj rozlegać się poczęły. Stanął on na placu przed szopą służącą za stajnie dla pocztowych koni; chciał coś mówić, aż tu dwa strzały uderzają w konia: koń pada i tarza się w piasku. Służący przestraszony ucieka. Oficerowie jak skamieniali, nie śmieją słowa przemówić. Generał Briganti podniósłszy się z ziemi, z dziwną spokojnością i odwagą idzie naprzeciw zbuntowanym. Mówi im o swéj starości, przypomina liczne dowody ojcowskiéj pieczołowitości, jakie miał zawsze dla nich; wspomina o karności, bez któréj żołnierze są tylko uzbrojonymi bandytami. Wzburzenie ustaje, nawet uspakajać się zdaje; gdy jeden z podoficerów przystąpiwszy do generała, rzeknie: „Buty moje są podarte, muszę chodzić prawie boso, kiedy ty masz doskonałe!" To powiedziawszy strzela do niego. Więcéj jak pięćdziesiąt karabinów dało także ognia. Podoficer przyskakuje, ściąga z nóg buty, reszta żołdactwa upojona mordem, rzuca się i bagnetami dobija swego starego generała. Z wielką tylko trudnością zdołano wydrzeć poszarpane resztki ciała z rąk tych wściekłych ludzi i ukryć je w miejscowym kościele. Rozbito następnie kilka sklepów z cygarami, winem i innemi napojami i do szczętu takowe zrabowano. Jakiś szał mordów opanował tę tłuszczę. Zwrócili się do kościoła, wybili drzwi, a porwawszy trupa za nogi i ciągnąc po ziemi, okrywali go obelgami bez końca, wyrywali mu włosy, wąsy; wpakowawszy w dziury po wydartych oczach prochu, ogniem go podpalali, przetyczką od broni nos mu przebijali... Było to cóś okropnego... Kiedy się już dostatecznie mordem nasycili, zebrawszy się znów na placu, poporzucali broń i rozbiegli się bandami na wszystkie strony za miasto. Oficerowie, milczące świadki téj straszliwéj sceny, spełnili do dna kielich własnego pohańbienia. Mieszkańcy Milety skostnieli z przerażenia. Zatrzymano kilku z tych nędzników, wypytując: „Dla czegoście zamordowali generała?" „Bo on był Burbończykiem," odpowiedzieli jedni; „bo był liberalistą," mówili drudzy. Jeden tylko prawdę powiedział: „Zabiliśmy go, ponieważ był naszym generałem!"

Zaprawdę, słyszałem i czytałem mnóstwo najnikczemniejszych potwarzy, rzucanych na tę zacną i poczciwą armią dowodzoną przez Garibaldego; ci nawet którzy mieli najważniejsze w jéj oczernieniu powody, nie śmieli jednakże wymyśleć takiéj zbrodni, jakiéj to regularne wojsko, którego przeznaczeniem miało być przywracać wszędzie porządek, dało przykład nie zaprzeczony. Znane mi są oszczerstwa wymierzane na Garybaldczyków, nie zbijam ich, bo upadły same z siebie, w proch się rozwiały: takie bowiem jest przeznaczenie wszelkiego kłamstwa. To tylko mogę powiedzieć, że przez cztéry miesiące dzień i noc żyłem z tą armią i ani jednego przykładu niesforności nie widziałem. Wydawano i wypełniano rozkazy bez żadnéj trudności, gdyż wszyscy oficerowie i żołnierze przejęci byli jednym duchem, do jednego wspólnego celu razem dążyli: tym zaś celem było oswobodzenie Italii. Podczas długich i nudnych etapów, podczas deszczów i upałów, podczas zimnych i wilgotnych nocy na awanpostach pod Wulturną, czy zbrakło lub opóźniono dostarczenie żywności, czy w pośród pospiesznych marszów, nie dano godziny czasu dla pokrzepienia snem osłabionych członków, nie zdarzyło mi się nigdy usłyszéć gniewu lub narzekania. Raz tylko, pamiętam, oficer uniósł się do takiego stopnia zapomnienia, iż uderzył w twarz jednego z swoich żołnierzy; żołnierz ten zbladł i po krótkiéj wewnętrznéj dla powstrzymania się od wybuchu walce, rzekł: „Jestem człowiekiem wolnym, i chociaż uznaję w panu mego zwierzchnika, jednakże nie masz prawa mię bić; pan sam także masz nad sobą starszych i oni to wyrządzą mi sprawiedliwość.” W istocie, zaniósł skargę do zwierzchności a oficer został skazany na areszt i o mało rangi swojéj nie postradał. W przechodzie przez tyle miast i wiosek, jednéj kradzieży nawet nigdzie nie spełniono, tylko w ogrodach i to podczas największego gorąca, można było dostrzedz błąkających się z pragnienia maruderów. Jeżeli zaś dawał kto w tym względzie zły przykład, to nigdy Włosi ani żołnierze, ale raczéj cudzoziemcy, noszący na czapeczkach swoich większą ilość galonów, aniżeli to im prawnie należało. Zresztą, skoro win-

nego odkryto, wydaleniem bez ceremonii z szeregów, wkrótce sprawiedliwość wymierzono.

Znajdował się atoli w Milecie człowiek, którego los generała Brigantiego i jego rozpierzchłych żołnierzy mało co obchodził; był nim syndyk: litość brała patrzéć na jego kłopoty. Obarczony żądaniami, którym miejscowe środki w żaden sposób wystarczyć nie mogły, nie wiedział sam kogo słuchać, nie wiedział co czynić. Ponieważ jedna tylko droga istnieje z Redżio do Neapolu, więc cała armia przez Miletę przechodzić musiała; co godzina tedy oficerowie ordynansowi wysyłani naprzód przez swe brygady, wpadali do miasta, pokazując syndykowi rozkaz niezwłocznego przygotowania na wieczór, na jutro, na pojutrze, tyle a tyle tysięcy racyj chleba, ryżu, mięsa i wina. Syndyk rozłożywszy wszystkie te rozkazy przed sobą na stole, patrzał na nie osłupiałym wzrokiem, a objąwszy głowę rękami, oddawał się największéj rozpaczy. Kiedy go mocniéj naciskano, krzyczał wzywając wszystkich świętych na pomoc; lecz święci nie słuchali go wcale, a racyj jak nie było tak nie było. Przypatrywałem się téj scenie z pewnym rodzajem złośliwéj ciekawości, gdyż wiedziałem, iż od rana brygada nasza w Rosarno odebrała już swój prowiant. Jakiś stary oficer z dziwną filozoficzną wytrwałością, kładł syndykowi przed oczy rozkaz, którego on z równym ze swéj strony uporem czytać nie chciał: „Mości syndyku, w Hiszpanii podczas wojny domowéj, kiedy syndyk nie dostarczył nakazanéj liczby racyj, wiesz pan co z nim zrobiono? wieszano go." Syndyk skoczył jak oparzony, zerwał z szyi chustkę, chwyta za wiszący na ścianie pęk sznurów, a rzuciwszy go oficerowi pod nogi: „A więc powieś mię, zawołał, a w ręce cię jeszcze pocałuję. Wołacie o racye! o racye! Zkąd ich wezmę? Wolę żebyście mię powiesili! Cóż! chcecie mię wieszać? Nie! No to bywajcie zdrowi!" Nieszczęśliwy syndyk wyleciał z domu jak z procy, a machając po nad głową rękami, drapnął nie obejrzawszy się po za siebie. Wzięto się tedy na inny sposób, posłano jednego z adjutantów do Monteleony i w kilka godzin zwieziono ztamtąd żywności podostatkiem. Całą noc szukano wszędzie syndyka, ale gdzieś znikł jak kamfora.

Na drugi dzień z rana, przybyliśmy do Monteleony; okolice tego miasta obfite są w roślinność a ziemia zdaje się być tłustą i bardzo urodzajną; widok ich tém przyjemniejsze czynił wrażenie, iż wczorajszy smutny krajobraz w świeżéj jeszcze miałem pamięci. Piękność tych pól sławną była w starożytności. Prozerpina uciekłszy z Sycylii, przybyła zbierać kwiaty na łąkach Hipponium, nazwanych późniéj Vibona-Valentia a teraz Monteleone. Samo miasto wznosi się w kształcie amfiteatru, nad niém zaś panuje stare o wysokich wieżach zamczysko, jakby nad przepaścią zawieszone. Promienie słońca spadające prostopadle z góry, nadawały mu kolor prawie czarny. Dziwny ten efekt słoneczny, miałem już sposobność obserwować w krajach więcéj jeszcze na południe posuniętych, mianowicie w pustyniach otaczających morze Czerwone. Szczególniéj w godzinach południowych, natura zdaje się tam wpadać w jakieś senne marzenie, światło zaś bywa wtedy tak mocne i rażące, iż prawie ciemném się wydaje. Na każdym kroku spotykaliśmy pełno żołnierzy, a taki ruch i gwar w mieście panował, że biédne płoszone wciąż jaskółki, których tu niezmierna moc istniała, nie wiedziały co z sobą począć, gdzie znaleźć schronienie. Na wielką naszych żołnierzy pociechę, w monteleońskich koszarach, zajmowanych przedtem przez królewskich żandarmów, znaleziono ogromny zapas kawaleryjskich butów tak nazwanychh botfortów, długich aż za kolana i sztywnych jak drzewo. Mogło ich tam być z kilkaset par służących do codziennego jako i galowego użytku. Odrazu chęć posiadania onych butów, jak mania jaka zawróciła wszystkim głowy; żołnierze daléj w prośbę: „Panie oficerze, każ nam je wydać; panie kapitanie, błagamy o buty!" Wydano pewną część należącym do kawaleryi; lecz na gorące prośby piechurów i ich także obdzielić musiano. Szczęśliwi z posiadania tych ciężkich i nie wygodnych machin; przechadzali się po mieście:

„Dumniejsi od kapitana płynącego na admiralskiéj barce"

jak powiada dawna piosneczka; stukając obcasami, brzęcząc ostrogami, które nieraz poplątawszy im nogi, zmuszały do ścierania nosem kurzu na ziemi. Rozsądniejsi porzucali na drugi zaraz dzień te istne męczarni narzędzia,

ale inni wytrwalsi, trzymali się z nich ostro i przypominam sobie, iż w sześć tygodni jeszcze później, w głównéj kwaterze Santa-Maria, widziałem wielu żołnierzy kroczących tryumfalnie w tych skórzanych lejkach; głośna sława uwieńczyła w końcu te ich nadludzkie usiłowania; brygada, do któréj należeli, nadała im przydomek: *monteleońskich buciarzy*. Trudno sobie wyobrazić i pojąć, nieprzezwyciężony urok, jaki wszelkiego rodzaju obuwie a mianowicie buty, wywierają w ogólności na żołnierzy. Paweł de Flott padłszy śmiertelnie ugodzony, ruszał się jeszcze, kiedy mu z nóg buty skradziono; gdyby nie podoficer zazdroszczący butów, generał Briganti możeby dotąd żył jeszcze.

Przy odgłosie muzyki wygrywającéj najpiękniejsze marsze, wieczorną już porą opuściliśmy Monteleone. Droga z prawéj strony wykuta w skale, prowadziła po nad samém morzem. O ile przy słabym blasku księżyca widzieć można było, krajobraz wydawał mi się być bardzo pięknym; drzew oliwnych, morwowych i winnic, nie brakło tu wcale. Około godziny jedenastéj, spostrzegliśmy mnóstwo nad brzegiem morskim światełek: było to miasto Pizzo, do któregośmy wstąpić postanowili, podczas gdy nasza brygada szła daléj w swoją drogę. Z wielką biedą w nocy i pośród ciasnych uliczek, udało nam się znaleźć mieszkanie syndyka; z większą jeszcze przyszło nam wydostać od niego przedewszystkiem worek owsa, tak dla naszych zmęczonych i zgłodniałych koni potrzebnego. Już to Pizzo, nie zdawało mi się być kompleksyi zbyt liberalnéj; łatwo to sobie wytłumaczyć z powodów licznych dobrodziejstw, jakiémi neapolitańscy Burbonowie od czasów ich restauracyi mieścinę tę obdarzali. Przypadkowe pochwycenie Murata tego „pięknego króla," jak go tu powszechnie nazywano, spowodowało na miasto istny potop łask monarszych, które rozwiały się dopiéro za naszém tutaj przybyciem. Gdybym był miał czas potemu, chętnie byłbym zwiedził miejsca pamiętne straszną katastrofą 13 października 1815 roku. Doprawdy, Murat miał swoje wady, lecz jego świetne rycerskie przymioty, zasługują na pewne z naszéj strony współczucie. Ostatnie słowa, które wyrzekł, najlepiéj malują człowieka jakim był: „Strzelaj-

cie w piersi a twarz szanujcie!" Zamach jego stał się śmiesznym, jak wszystkie tego rodzaju projekta, których powodzenie nie usprawiedliwia. Pizakane (Pisacane) człowiek wielkiego serca, stający w obronie lepszéj sprawy, wiedział najprzód, iż szlachetne jego poświęcenie, jeżeli pomyślnym skutkiem nie zostanie uwieńczone, potępioném będzie, a od okrutnéj i haniebnéj śmierci nic go nie zasłoni. Przed rozpoczęciem wyprawy swojéj, w któréj raniony poddawszy się, został zabity kijami i jak wilk wściekły rozszarpany widłami, pisał te słowa: „Jestem przekonanym, iż jeżeli zamiar mój się powiedzie, cały świat mi przyklaśnie; w przeciwnym razie, głos publiczny przeciwko mnie się obróci: nazwą mię szaleńcem, ambitnym, burzliwym, a ci zwłaszcza którzy sami nigdy nic nie robiąc, lubią tylko krytykować innych, skrupulatnie roztrząsać będą moje postępki, znajdą w nich wiele błędów, obwinią mię o brak rozumu, serca i energii." Biédny Pizakano! jakiż to krwawy żal został w sercu tych, co cię bliżéj znali! Najznakomitsi włoscy ludzie, mają go bezustannie w swéj pamięci; jeden z naszych generałów, wylądowawszy z wojskiem w Sapri, zemdlał wymawiając to imię, gdyż tam właśnie Pizakano swój pierwszy krok postawił, wzywając naród do broni. W testamencie swoim, całą polityczną teoryą streścił w tych dwóch słowach: *wolność, stowarzyszenie.* Która z wielkich idei religijnych, politycznych lub moralnych, nie miała swoich męczenników? Czyż ich krew wylana, czyż wspomnienie ich poświęcenia, nie utorowały drogi następcom pragnącym dokończyć rozpoczętego przez nich dzieła? Są chwile, w których zapomina się o skompromitowaniu sprawy przez tak nazwanych szaleńców i utopistów dla ducha ofiary, jaką dla ludzkości uczynili; cierpienia niewolnika z wyspy świętéj Heleny, przygotowały drogę dla drugiego cesarstwa; porażka pod Nowarą, jest matką solferyńskiego zwycięztwa: może długo trwałe męczeństwo Wenecyi zbawi ostatecznie Włochów.

Kiedy o godzinie piérwszéj po północy, przybyliśmy do obozu po prawéj stronie drogi rozłożonego, ludzie w głębokim śnie pogrążeni byli; powózki z bagażami w jeden szereg ustawione rozciągały się wzdłuż krawę-

dzi żywym płotem zarośniętéj ścieżki. Księżyc znikł już z firmamentu, więc gwiazdy ruchomém swém światłem migocąc, zdawały się chcieć nam go zastąpić. Wszędzie głęboka cisza panowała; tylko głuchy chrzęst chrupiących strawę koni i mułów, tylko płaczliwe odgłosy mówiących przez sen żołnierzy, ją przerywały. Położywszy się na gołéj ziemi i wsparłszy głowę na siodle, myśl moja uniosła mnie w krainę przeszłości, w ową szczęśliwą życia mego epokę, kiedy młody, z duszą swobodną i niezależną, sypiałem pod jasném niebem, na gorących jeszcze po całodziennym upale piaskach; wielbłądy obok mnie przeżuwały swój pokarm, a przewodnik ich czuwał podniecając ogień, dla oddalenia dzikich zwierząt zamieszkujących pustynią. Pomimo trudów i wielkiego nieraz zmęczenia, jest w tym rodzaju życia coś moralnie pokrzepiającego, budującego nawet, co czaruje i uzupełnia naszą egzystencyą. Już to natura ludzka ma swoje dziwne kaprysy: illuzye szybko po sobie następują, a kiedy wymogi cywilizacyi na chwilę z objęć swych człowieka wypuszczą, zdaje mu się, iż zupełnie już jest od nich wyswobodzonym. Wieleżto razy budząc się pośród tych wędrownych nocy i widząc to niebo tysiącami gwiazd błyszczące nad głową moją, zdawało mi się, że jestem całkowicie swobodnym, i z rozkoszą napawałem się potęgą nieznanéj mi aż dotąd wolności! Uczucie to z taką siłą ogarniało mię całego, że błogosławiłem z całéj duszy przypadkowi, który mię ze snu przebudził; wtedy wznosiłem oczy do nieba z myślą, iż sam, niby zgubiony, czuwam w nieskończonym obszarze wszechświata. Długo marzyłem tak nie śpiąc; pomału jednakże sen począł mię ogarniać i przymykać powieki, lecz chrapliwy odgłos trąb zbudził mię niebawem. Świetna gwiazda Wenery jaśniała jak maleńkie słońce z poza drzew obóz nasz okalających. Na wyniosłym pagórku ujrzałem stojącego trębacza grzmiącego ranną pobudkę, smutną, przeciągłą, jakby napiętnowaną melancholiczną cechą nocy. Żołnierze nasi jak grobowe cienia powstali z ziemi, wyciągając swe ramiona i otrząsając z siebie resztki snu ostatniego. Zapalono ognie; okrzyki dowódzców rozlegać się poczęły, woły zaprzęgane do wozów ryczały; nieubłagana trąba grzmia-

ła wciąż na wszystkie strony. O, trąbo! co znaczy odgłos twój rozlegający się nad głowami tych młodych ludzi? Czy budzisz naród do życia? czy ranną pobudkę niepodległości wygłaszasz?

Po dobrym popasie, konie nasze nabrały niezwykłéj dzielności; więc téż z Sandorem Telekim znacznie naprzód wyprzedziliśmy brygadę naszą. Z brzaskiem dnia, ujrzeliśmy na prawo wznoszące się góry, na lewo zaś błotniste dotykające morza niziny. W pobliżu przystań świętéj Eufemii pełna smutnych z 1806 roku wspomnień, roztapiała się w niebieskawéj barwie poranku. Tutaj to właśnie, pomiędzy rzeczkami Angitola i Lamato, 4 lipca generał Reynier został pobity przez Stuarta dowodzącego Neapolitańczykami, których ten generał z Sycylii przyprowadził. Następstwa téj klęski były ogromne: utraciwszy niższą Kalabryą, Reynier z wielkim trudem zdołał zaledwie schronić się aż w Katanzaro. Ludność zamieszkująca te okolice z taką wściekłością przeciwko Francuzom powstała, iż generał angielski powodowany uczuciem ludzkości, wyznaczył dziesięć dukatów za żołnierza a piętnaście za oficera, którego powstańcy żywcem do jego kwatery dostawią. Wszyscy właściciele większych dóbr, będący w podejrzeniu, iż nie sprzyjają nowemu stanowi rzeczy, skazani byli na zagładę. „W mieście Nicastro, pisał król Józef do Napoleona (1), dowódzca gwardyi honorowéj, po wyłupieniu mu oczów został ukrzyżowanym; całą jego winą było to, iż przyjmował mię w swoim zamku.” Skoro żołnierze francuzcy popadli w ręce chciwego krwi tłumu, palono ich żywcem, mordowano bez litości. Straszliwa ta wojna, jeżeli ją wojną nazwać się godzi, dająca się po części usprawiedliwić ze strony Kalabryjczyków, gdyż powstali przeciwko obcéj przemocy, trwała aż do kapitulacyi Gaety (18 lipca 1806 r.); dopiero kiedy Massena używszy wojsk oblegających to miasto przybył do Kalabryi i oswobodził generałów: Verdiera i Reyniera zamkniętych piérwszego w Kosenzy, drugiego w Kassano, zdołał kraj ten uspokoić, lecz także nie bez użycia do tego również ohydnych i godnych

(1) Memoires et Correspondance politique et militaire du roi Joseph t. II, p. 391.

potępienia środków. Wówczas już nawet, rząd neapolitański Burbonów, nienawistnym był ludowi; wprawdzie okrzyk „Niech żyje król" był hasłem dla powstańców; lecz to pewna, że nie tak dla króla jak raczéj dla wyparcia najezdników za broń chwytano. Co się zaś tyczy okrucieństwa, w podobnych okolicznościach przez Kalabryjczyków okazywanego, trudno ich bezwarunkowo potępiać; wrodzona dzikość tych górali podniecana religijnym fanatyzmem ciemnych i fanatycznych księży, do jakichże nadużyć nie była zdolną! Co myśléć naprzykład o kapłanach, którzy nie wahali się głosić z kazalnic, iż Chrystus ukrzyżowanym został w Jerozolimie przez Francuzów za żydów przebranych! W roku 1851, jeden z tutejszych obywateli pytał mię, czy to prawda, że Napoleon I miał zwyczaj każdego poranku pić świéżą krew z żołnierza umyślnie w tym celu dla niego zarzynanego, a co nawet miało być głównym powodem jego na wojnie powodzenia. Wszystkie ludy nieoświecone są do siebie podobne: można w nich wmówić co się podoba. Hindusowie są przekonani, iż kompania indyjska jest starą panną w słomianym kapeluszu na głowie i zielonemi okularami na nosie; Turkomani utrzymują, iż papież jest wielowiecznym staruszkiem zamkniętym w pudełku, którego wieko czasami uchyla pytając się, czy prędko będzie koniec świata.

Po drodze, w cieniu wysokich odłamów skalnych, spotykaliśmy wielu opóźnionych w marszu piechurów śpiących na ziemi z bronią w ręku. Jakiś jezdziec zbliża się, budzi ich i napędza do gonienia brygady, do któréj należeli: to Menotti, starszy syn Garibaldego, dzielny i wesoły młodzieniec, „żwawy do tańca i do różańca" jak to powiadają.

Po długim dosyć pochodzie, spostrzegliśmy jakiś dom zgorzały, którego zgliszcza tu i owdzie dymiły się jeszcze. W około niego i przy drodze, stało kilkunastu wieśniaków przypatrujących się smutnie zniszczeniu. Jakaś stara kobiéta ujrzawszy nas biegnie, a szarpiąc na piersiach okrycie, bije się pięściami; nie mogąc zrozumiéć jéj krzyku i płaczu, zsiadamy z koni, uspakajamy biédną staruszkę kładąc jéj w rękę pieniężny datek, najskuteczniejszy środek pociechy jaki jest na świecie, i nareszcie

tyle byliśmy w stanie zrozumieć, iż wczoraj neapolitańscy żołnierze przechodząc tędy pod rozkazami generała Ghio, weszli do domu wołając, ażeby im dano jeść i pić. Następnie zrewidowawszy całe mieszkanię i zabrawszy wszystko co tylko w niém było, wypłazowali nieszczęśliwą staruszkę a w końcu rozrzuciwszy w domu kukurydzowe snopy, podpalili takowe. Pożar trwał dzień i noc całą: z wyjątkiem murów wszystko w popiół obrócone zostało. Biédna kobiecina patrząc na tę ruinę, zanosiła się od płaczu. Wieśniacy wznosząc ramiona do góry, klęli grożąc pięścią w stronę, którą złoczyńcy się udali. Siedliśmy sobie w cieniu tych okopconych i od trawiącego ognia spękanych murów, staruszka widząc to nasze dla swego nieszczęścia współczucie, po dwudziesty już raz poczęła znowu opowiadać nam, jak „te psiawiary" bili ją, jak jéj dom spalili. Wtém widzimy nadciągającą kawaleryą pod dowództwem Kazellego (Caselli), zaraz także generałowie Sacchi i Bixio, ukazali się na czele swoich brygad. Staruszka obaczywszy taką massę nadchodzących ludzi, wybiegła na drogę płacząc i bijąc się w piersi. Każdy z oficerów wcisnął jéj po kilka piastrów w rękę, tymczasem gniéw jéj doszedł do szaleństwa. Porwawszy garść gorącego popiołu, rzuciła nim w kierunku północnym krzycząc: „A, zbóje, a tchórze, ażeby was Bóg ciężko skarał, ażeby wam ręce uschły a ciała wasze spaliły się w piekle na węgle!"

IV.

Po godzinnym wypoczynku, udaliśmy się w dalszą drogę. Upał był tak niezmierny, jakiego od roku 1850, czyli od pobytu mego nad brzegami Martwego morza, nie pamiętam jeszcze. Przebywaliśmy przez dwa łożyska wyschłych zupełnie rzek; oprócz krzemieni i rzadkich krzaków wrzosu, nic zgoła oko więcéj dostrzedz nie mogło. Przy jednéj z tych rzeczek, na rozciągającéj się dosyć szeroko płaszczyznie, ujrzeliśmy ślady wczorajszego pomiędzy Kalabryjczykami a żołnierzami Franciszka II starcia. Nieprzeliczone stado kruków staczało teraz walkę z tysiącami różnego rodzaju rojów much o posiadanie kilku opuchłych już z rozkładu mulich trupów. Za zbliżeniem się

naszém, kruki zerwały się krącząc i zataczając w locie koła nad zdobyczą swoją. Porzuciwszy wielki gościniec wiodący do Nikastry, wzięliśmy się na prawo ku Majdzie (Maida), które to miasto na szczycie góry, niby spłaszczona olbrzymia żółwia skorupa, ukazało się przed nami. Po spadzistéj, pomiędzy dwiema przepaściami ciągnącéj się drodze, z trudnością tylko spuszczać się można było. Powierzchowność Majdy jest ponura: czuć zaraz, iż lud ją zamieszkujący, musi należeć do téj silnéj i napoł dzikiéj rasy, dla któréj zemsta jest najmilszém uczuciem. Jeżeli to prawda, co mówią poeci, iż miejscowość przejmuje zwykle piętno uczuć zajmujących głównie ludzi w niéj zamieszkałych, Majda powinna być nieubłaganą i bez litości w nienawiści swojéj. Na samym zaraz wstępie, uderzył nas ruch i gwar przypominający rój zbuntowanych szerszeni. Wszystko co żyło chwytało za broń; piętnastoletnie dzieci i starcy wiekiem pochyleni, niosąc na ramionach długiego kalibru karabiny, każdy z nożem za pasem, biegli na plac gdzie się wszyscy zbierali. Na dany znak, mieli wyjść i połączyć się z baronem Stoko (Stocco), sławnym patryotą, od roku 1848 będącym na wygnaniu, a który niedawno wróciwszy, wzywał swych ukochanych Kalabryjczyków do walki na wroga. Spieszono więc ze wszystkich stron dla łączenia się z tym dzielnym naczelnikiem górali, a Majda cała dosłownie, biegła na jego wezwanie. Ludzie ci zamieszkujący wyniosłe szczyty gór i oddychający czystą i zdrową atmosferą, wydali mi się żwawi, zręczni, śmieli i pomimo pozornéj szczupłości bardzo muszkularni; czoło nizkie przysłonięte puklami czarnych włosów, oczy nadzwyczaj do siebie zbliżone wązkim a wydatnym nosem, obliczu ich nadawały wyraz pewnego rodzaju ostrości przypominającéj orlą głowę. Piérwsze dwie czerwone koszule, jakie ujrzeli, były właśnie nasze, więc téż łatwo sobie wyobrazić przyjęcie! jakiegośmy tutaj doznali. W godzinę późniéj przybył Menotti, a objąwszy nad Kalabryjczykami dowództwo, udał się zaraz z nimi w drogę.

Syndyk miejscowy zaprosił nas do siebie w gościnę; oczywiście przyjąwszy z ochotą, udaliśmy się do ogromnego gmachu przez niego zamieszkałego, niby pałacu ale w bardzo mizernym stanie będącego; w kątach wysokich sklepień, pająki założyły sobie wygodną siedzibę,

gzemsy wszędzie poobrywane, schody połamane, brud na każdém miejscu, ale w ogólności dom ten był imponujących rozmiarów. Matka naszego gospodarza, przyjęła nas w ogromnéj freskami malowanéj i marmurami wykładanéj sali; była to kobieta już wiekowa, chuda, wysoka; oczy jéj pozbawione rzęs, krwawą obwódką obwiedzione, rzucały wzrok bystry i niepewny zarazem; cera jéj była zwiędłą i żółtą, jako ludzi podległych silnéj i nieuleczonéj chorobie; ciemne włosy zakrywały do połowy pomarszczone czoło: ubraną zaś była cała czarno. Skoro przestąpiliśmy próg sali, zbliżyła się do nas, a pochyliwszy się raczéj aniżeli pokłoniwszy, przytłumionym swym głosem, nadając mu pewną rozciągłą intonacyą, podobną zresztą do psalmodycznego śpiewu, rzekła: „Jestem matką czterech synów i dwóch córek, najpiękniejszych dzieci w okolicy; trzech moich synów poszło połączyć się z zesłanemi nam od Stwórcy obrońcami, czwarty pozostał, ażeby czuwać nad miastem, przygotować żywność i uzbrojenie; moje córki, służące i ja, szyjemy czerwone koszule, skubiemy szarpie, ostrzymy noże, lejemy kule. Ten, którego kochałam z całéj duszy, którego własnemi rękami w śmiertelny całun spowiłam, ojciec mych dzieci a mąż mój, którego kiedy byłam piękną, nieprzymuszoną wolą za dozgonnego towarzysza wybrałam, zasiadł już w niebie otoczony blaskiem i majestatem Najwyższego. Więcéj jak ktokolwiek, walcząc i chroniąc się w górach wołał on: „Niech żyje wolność!" Gdyby był doczekał tych pięknych dni, będących pociechą serca mego, umarłby z radości; lecz patrzy on na nie z wysokości swéj siedziby i błogosławi was, was wszystkich, którzy nosicie barwę obrońców niepodległości! Uzacniliście i uświęciliście na zawsze dom mój, gdyście do niego weszli; gdzie stąpicie, tam pszenica wyrośnie, wzrok wasz zapładniać będzie winną latorośl, bo duch Boży cyrkuluje w żyłach krwi waszéj, a staniecie się zawsze i wszędzie zwycięzcami! Wy jesteście *prawem*, więc nie możecie być zwalczonymi! Potrzeba ażeby wszystko powstało i szło za wami! potrzeba wyrznąć w pień rojalistów, rzucić ich w góry na pastwę wilkom, z dymem puścić ich pałace, wyrwać z wnętrzności kobiet ich dzieci i głowy ich rozbić o kamienie! Powinniśmy to uczynić przez pamięć tych drogich dla nas cieniów, które przez nich męki cierpieli

i którzy wieczną zemstę dla nich nam przekazali! Boże! wysłuchaj prośby mojéj! niech zginą nikczemni i podli Burbonowie! niech chleb ich w popiół, niech wino ich w truciznę się zamieni! niech złoto jak ogień parzy im ręce! niech zdrada czuwa przy ich boku! niechaj bezpłodność dotknie ich wnętrzności! niechaj w doczesném i przyszłém życiu będą przeklęci!" Kilka sług będących świadkami téj sceny, przeżegnawszy się wyrzekły: *amen!*

Skamieniałem słuchając a nie mogąc przerwać téj straszliwéj mowy. Ona zaś, spokojna, podtrzymywana nienawiścią graniczącą z szaleństwem, wymawiając te okropne słowa niby lekcyą, do któréj z dawna się przygotowywała, odwróciwszy się w końcu do domowników, rzekła: „Czy konie zaprowadzono do stajni? Dać im beczkę owsa i słomy podostatkiem, bo dźwigały obrońców naszych; przygotować obfitą i jak tylko być może najlepszą kolacyą! Panowie raczcie mieć wzgląd na ubóstwo mego domu, lecz takim jakim jest, oddaję go na wasze usługi; spalcie go gdy wam się podoba; nasz majątek, nasze pola, nasze śpichrze, wszystko do was należy: bierzcie, bierzcie! Szczęście to, którego w téj chwili doznaję, wystarczy mi na całe życie, gdyż doczekałam nareszcie wyzwolenia drogiéj naszéj Kalabryi!" Łatwo się domyślić, że postawa nasza w obec téj dziwnéj niewiasty, była dosyć ambarasującą; po kilku wybąkanych bez związku słowach, zasłoniwszy się zmęczeniem podróży, udaliśmy się do przeznaczonych nam komnat. Po doskonałéj uczcie obsługiwanéj pomimo naszych próśb, przez samę gospodynią, spaliśmy wybornie.

Samo miasto zbudowane jest na licznych odłamach i wypukłościach góry, to téż ma pozór szczególnie garbaty; wiele ulic jest tak spadzistych, że tylko piechotą przebywać je można. Majda swemi wązkiemi uliczkami, nizkiemi domkami, mnóstwem zaułków a przedewszystkiem swoją nadzwyczajną nieczystością, przypomina bardzo miasta wschodnie. Prawdę powiedziawszy, jest to ogromna kupa śmieci i brudu, z pośród któréj tu i owdzie większe domy wystają. Na środku ulic leżą wszelkiego rodzaju kuchenne i stajenne nieczystości, a nad niemi roje brzęczących much wraz z kudłatemi płowéj maści psami, zdają się żyć w największéj przyjaźni. Wieprze i prosięta, wycierają się na każdym kroku, rozkładając na środku

drogi, i biada śmiałkom odważającym się niepokoić lub poruszać ich w tych improwizowanych legowiskach. Dzieciaki w brudnych, podartych koszulkach, gonią się z psami i prosiakami, tarzając w kurzu lub błocie. Na progach domów, kobiety wyciągnąwszy się niedbale, patrzą w niebo, nucąc jaką melancholiczną piosnkę, czeszą się, wiszczą i to z taką jawnością, z jaką to czyni znany żebrak ze sławnego Murylla obrazu.

W podróżach moich czyniłem sobie nieraz spostrzeżenia, które tu pod sąd czytelników oddaję. Śmiało rzec można, iż pomiędzy czystością miasta, a religią przez jego mieszkańców wyznawaną, jest zawsze pewien rodzaj powinowactwa. Im więcéj która religia jest materyalną, tém więcéj ci, co ją praktykują, okazują skłonności do niejakiego w rzeczach czystości zaniedbania, i przeciwnie: im więcéj jest spirytualną, tém większy porządek i schludność w jéj adeptach widzieć się daje. Za główny w tym względzie typ, służyć tu mogą wyznawcy talmudu, czyli religii wyłącznie na materyalnych pierwiastkach osnutéj; następnie idzie islamizm nakazujący wprawdzie dla wiernych pięć dziennych ablucyj, lecz dozwalający pozostawać miastom w stanie takiego zaniedbania, iż bez psów, wron, jastrzębi, myszy i szczurów zajmujących się własnowolnie oczyszczaniem ulic i placów publicznych, morowe powietrze z pewnością miałoby tam główną swoję i nieustanną siedzibę. Islamizm w rzeczy saméj, jest tylko przekształconym judaizmem, w życiu przyszłém widzi on jedynie dalszy ciąg ziemskiego bytu zmysłowością do najwyższego stopnia ozdobionego. Im więcéj katolicyzm jest absolutnym czyli ultramontańskim, tém więcéj zwolennicy jego zapominają o zbawiennych skutkach czystości. Włochy i Hiszpania są tego najwymowniejszym dowodem. Francya mniéj już warunkom tym ulega, bo gallikanizm ją w części broni i zasłania, a od lat kilku protestancka Anglia nie mały wpływ na nią wywiera. W miarę, jak się zbliżamy do krajów protestanckich, schludność przybiera coraz widoczniejsze a nawet wyszukane cechy: w sektach pewnych metodystów dochodzi ona do przesady, staje się istną manią, jak o tém najlepiéj można się przekonać, w niektórych holenderskich miastach, a mianowicie w wiosce Broeck. Cóż to za

obrzydliwą nieczystości plamę stanowią w Amsterdamie żydzi, w zajmowanym przez siebie wyłącznie cyrkule! A w Szwajcaryi, jakaż to nagła i ogromna różnica istnieje pomiędzy katolickiemi a protestanckiemi kantonami! Śmiało więc można powiedzieć, że im więcéj ludzie w wyznaniu swojém zbliżają się do judaizmu, tém brudniejszymi są; im więcéj zaś się od niego oddalają, w tém większéj czystości życie pędzą. Poganizm tyle przynajmniéj co hebraizm, odznaczał się w tym względzie absolutném zaniedbaniem; kwitnął on z całą siłą w południowych Włoszech, w starożytnéj Grecyi, a ślady jego nie zniknęły dotąd zupełnie; czyż Kalabrya i sam nawet Neapol, nie są jedną olbrzymią kałużą brudu? Myśl oczyszczenia miast w tém państwie nie powstała jeszcze nigdy w głowie mężów składających administracyjne ciała rządu, a Majda śmiało może służyć za wzór godny zastanowienia: jest ona ideałem nieczystości.

Jednakże, miasto to rzucone na samotnéj górze, stojące na puchowym piedestale gęstéj roślinności, pięknie się zdaleka wydaje. Jest ono podobne do strzeżącéj okolicę placówki, w chwili niebezpieczeństwa gotowéj zawsze przed innemi do walki. Dolinę rozciągającą się u stóp Majdy, przeciętą rzeką Lamato zamyka na zachodzie zatoka morska św. Eufemii, na północy zaś niby forteczne mury, wysokie szczyty apenińskiego łańcucha. Pod koniec dnia, gdy gęste mgły wznoszące się z błotnistych dolin, rozwiały się i znikły pomału w przestrzeni, ujrzeliśmy zdaleka trzy szerokie łuny: były to przez cofających się Neapolitańczyków zapalone folwarki.

Nazajutrz, słońce już wysoko wzbiło się po nad góry, gdyśmy dopędzili przeprawiającą się przez wyschłą w części rzekę Lamato naszą brygadę. Szeregi żołnierzy były więcéj niż zwykle ścieśnione, maszerowano w porządku; wysłano oddział na tył dla napędzania ociągających się w pochodzie, awangardę więcéj jak dni poprzednich pomnożono. Z powiększeniem baczności lepszy zaraz humor ogarnął wszystkich. „Co to znaczy?" „Przysłano do komendanta brygady Ebera depeszę, w któréj stało, że Neapolitańczycy oczekują na nas w Tiriolo." Wzięliśmy się do przejrzenia mapp; w istocie pozycya dobrze została

wybraną: Tiriolo oddalone ztąd o kilka mil tylko, wznosi się na wyższéj jeszcze górze, aniżeli Majda.

Przyspieszono kroku w nadziei spotkania nareszcie tych niewidzialnych nieprzyjaciół, którzy jak śnieg za powiewem południowego roztapiający się wiatru, znikali ciągle przed nami. Droga prowadziła wciąż pomiędzy wąwozami; gdzieniegdzie na ukazujących się pięknych dolinkach, wysadzanych oliwnemi drzewami, można było ujrzéć pasące się bydełko i domki, w których tylko kobiety same pozostały. Około godziny jedenastéj przybyliśmy do Marcellinara małego miasteczka, należącego do barona San-Severino i gdzie pan ten w dużym niby obronnym domu przemieszkiwał; otrzymaliśmy tam nowe rozkazy, które nas na miejscu wstrzymały. Tiriolo Neapolitańczycy opuścili, nic więc nie przeszkadzało już w danéj wojsku naszemu po tylu męczących pospiesznych marszach od czasu wylądowania w Kalabryi, dłuższego nieco odpoczynku. Jednakże żołnierze nie byli z tego zadowoleni, a radość, z jakąby w innym razie przyjęto tę wiadomość, zawiedziona nadzieja spotkania się z nieprzyjacielem przytłumiła.

Garibaldi był tak przekonanym, iż wojsko Franciszka II pod dowództwem generała Ghio będzie bronić pozycyi pod Tiriolo, że wydał do armii swojéj rozkaz dzienny następujący: „Żołnierze! Od kilku miesięcy Italia najdroższe swoje nadzieje złożyła w wasze ręce. Ponieśliście już trudów niemało, a oto w nagrodę nowych jeszcze od was wymagam. Losy kraju naszego we 24 godzin będą rozstrzygnięte. Nie wątpię o skutkach tego ostatniego moich towarzyszy broni wysilenia!" Neapolitańczykowie widząc się w Tiriolo otoczonymi powstaniem, zagrożeni przybyciem czerwonych koszul, opuścili zajmowane przez siebie stanowiska i cofnęli się w wąwozy Soveria, zasłaniając tym sposobem miasto Kosenzę i broniąc drogi doń prowadzącéj. Lecz te same względy niebezpieczeństwa, które ich zmusiły do opuszczenia Tirioli, okazały się być jeszcze gwałtowniejszemi w Soveryi; tutaj także cała okolica była pod bronią; baron Stoko ze swemi Kalabryjczykami szybkim nadzwyczajnie marszem okrążył ich i odciął im komunikacye z Kosenzą, a tu Gari-

baldi staje z frontu dla stoczenia bitwy. Wojsko nieprzyjacielskie zniechęcone ciągłém niepowodzeniem, zdemoralizowane zupełnie rozprzężeniem karności, czego skutki widzieliśmy wszędzie po drodze, nie było w stanie stawić długo oporu ludziom, których serca gorąca wiara w zwycięztwo zapalała. Więc też generałowie neapolitańscy widząc to, kapitulowali, oddawszy Garibaldemu dwie baterye artyleryi, mnóstwo koni i mułów wielce nam potrzebnych. Skutki soweryjskiéj kapitulacyi były znaczne, bo tym sposobem miasto Kosenza odkryte, pozbawione zostało wszelkiéj obrony. Generał Kardarelli (Cardarelli) komenderujący tamże brygadą, pojął, że położenie jego jest bardzo krytyczne: wiedział on dobrze, iż nasze wojska sycylijskie codziennie wylądowywały w Paoli i Sapryi, a to w celu przecięcia drogi wiodącéj do Neapolu. Słusznie tedy osądził, że niegodną byłoby rzeczą rozlewać napróżno krew ludzką, tém więcéj, iż znajdując się w pozycyi niezdobytéj prawie, honoru swego na szwank nie narażał. A zatém kapitulując, zdał władzę miasta w ręce uformowanego już nieco przedtém narodowego komitetu. Wojsko którém dowodził, składało się z pułku karabinierów, jednéj kompanii żandarmów, jednéj bateryi granatników i dwóch szwadronów ułanów. Cóż mogła zrobić ta garstka ludzi przeciw powstaniu i armii naszéj? Obwiniano powszechnie neapolitańskich generałów o podłość, a nawet o zdradę w Kalabryi: to niesłusznie. Byli oni ciągle odcinani i tak dalece jedni od drugich odosobniani, że pomimo najlepszych chęci, mając za przeciwnika człowieka najczynniejszego w świecie i niewyczerpanego w cudowne a nagłe pomysły, nic zgoła korzystnego dla siebie uczynić nie mogli. Na dowód téj niesłychanéj czynności powiem, iż od Redżio do Neapolu liczą 28 wojskowych etapów; brygada nasza odbyła takowe w dni czternaście, licząc w to dwudniowy wypoczynek w Marcellinaryi i takiż w Katanzaro (1). Atoli pomimo nieodłączonych od szybkiego marszu trudów, zapał żołnierzy był tak wielki, iż Sirtori szef naczelnego sztabu

(1) Miejscowi furmani (vetturini), na odbycie drogi z Redżio do Neapolu potrzebują dni dziesięć.

musiał go aż rozkazem dziennym mitygować. Można więc powiedzieć bez przesady, że całą Kalabryą i Bazylikat, przebiegliśmy kłusem prawie. Cokolwiekbądź, Kardarelli w kapitulacyi swojéj zobowiązał się pod słowem honoru nie występować z bronią przeciwko sprawie jedności włoskiéj, króla Wiktora Emanuela, dyktatora Garibaldego, wojska jego i uruchomionéj gwardyi narodowéj. Nadto, przyrzekł jeszcze udać się i pozostać w Salernie; etapy jego były naprzód przewidziane i wskazane wraz z dniami na wypoczynek przeznaczonemi; zresztą, z wyjątkiem trzystu karabinów pozostawionych na składzie w kwaterze Santa Teresa, wyszedł z bronią i bagażami. Skutkiem téj kapitulacyi, wyprawa nasza do Kalabryi stała się istnym militarnym spacerem, wprawdzie dosyć męczącym, lecz wolnym od niebezpieczeństwa. Mieliśmy przed sobą otwartą drogę aż do Salerny, bo każdy z nas był wtedy przekonanym, że król Franciszek II na czele swéj armii, swoich Szwajcarów i Bawarczyków, na których wierność tyle wówczas pokładano nadziei, wyjdzie tamże na nasze spotkanie, broniąc żarliwie wejścia do swéj stolicy. Nakazany wojsku naszemu wypoczynek, zdawał się jeszcze potwierdzać to mniemanie, i sądziliśmy, że Garibaldi zbierze całą armią w Kosenzy, albo w Lagonegro dla wydania monarchii neapolitańskiéj walnéj i stanowczéj bitwy.

W Soveryi, dyktator odebrał z rąk królewskiego posłańca pana Cecilia, list napisany z rozkazu Franciszka II-go z datą 27 sierpnia. W liście tym król przyrzekł Garibaldemu pod warunkiem, iż tenże nie będzie się starał obalać rządu burbońskiego, oddać całą Sycylią, która zostanie wezwaną do postanowienia przez głosowanie powszechne o swoim losie; wolne przejście dla niego i jego armii przez posiadłości neapolitańskie z wyjątkiem tylko Neapolu; trzy miliony dukatów w złocie; współudział na sześciomiesięczny przeciąg czasu dla atakowania Austryaków w Wenecyi i armii papiezkiéj w Ankonie, na co podejmuje się dostarczyć pięćdziesiąt tysięcy królewskiego wojska i marynarkę; i w dodatku prawo werbowania w całém królestwie ochotników. Łapka nie zręcznie była zastawioną; Garibaldi nie mógł się dać w nią schwy-

tać. Nic mógł on zresztą zapomnieć, iż Franciszek II jest synem Ferdynanda, który w r. 1848 wyznał w obliczu całego świata: „iż wraz z innymi monarchami półwyspu, pragnie on wysyłając znaczny kontyngens lądowy i morski, wziąć udział w świętéj wojnie niepodległości włoskiéj," co jednak nie przeszkadzało mu w dniu 15 maja, kartaczować swego ludu, cofnąć solennie zaprzysiężoną konstytucyą i odwołać wojska wysłane na pomoc powstałéj Wenecyi (1). Garibaldi wiedział dobrze, iż pomiędzy dwiema zasadami, które, niech tam kto jak chce obwija w pozory, są w gruncie najgłówniejszym powodem wojen od wieku wstrząsających Europą, przymierze i zgoda jest niepodobną. „Jedno z dwóch jest za wiele na tym świecie," powiedział Lucyan Bonaparte i ma w tym względzie słuszność zupełną. Garibaldi wiedział z resztą, iż gdyby uległszy słabości charakteru, przyjął proponowane sobie warunki, zadrwiliby, wyszydzili i wyśmieli go ludzie, których polityczne przekonania opierają się na tym aksiomacie: „że koniec usprawiedliwia środki." Garibaldi wiedział nakoniec bardzo dobrze, iż przyjąwszy te warunki w przypuszczeniu, że młody król szczerze i uczciwie mu je ofiarował, w takim razie doprowadziłyby one do systemu federacyjnego, a on szuka i pragnie tylko jedności włoskiéj. Więc téż Garibaldi odmówił, słownie zdaje mi się, nie odpisawszy wcale na list królewski. *M. K.*

(1) Planat de La Faye, *Documens et piéces autentiques relatifs á Manin*, t. I, p. 285. Potrzeba czytać w tym samym tomie str. 247, o krzyku rozpaczy i boleści, jaki zdrada ta wydobyła z piersi Leopardiego, posła króla Obojga Sycylii przy dworze sardyńskim: „pułkownik Lahalle zabił się, pułkownik Testa padł z żalu ugodzony apopleksyą. O! wieczna hańba Burbonom!" Dowódzca armii zanim jeszcze wyszedł z Neapolu, otrzymał już bezpośrednio od króla rozkaz, zabraniający mu rzekę Pad przekraczać

TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH,

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiém, zatwierdzone zostało dnia 30 października 1860 r., a piérwsze zebranie ogólne członków rzeczywistych odbyło się dnia 13 grudnia tegoż roku. Celem zebrania był wybór komitetu zarządzającego sprawami Towarzystwa, tudzież delegacyi rachunkowéj, w końcu roku kontrolującéj takowe. Odtąd komitet w zastosowaniu się do ustawy, trudnił się gorliwie wprowadzeniem w życie instytucyi, która przyznać trzeba, z upływem roku pomimo tylu nieprzyjaznych okoliczności, uzyskała rozwój nie pospolity. W dniu 30 grudnia r. 1861 odbyło się piérwsze losowanie publiczne dzieł sztuki, w ciągu roku z wystawy nabytych, w obec członków rzeczywistych Towarzystwa, Prezydujący w komitecie wice-prezes Towarzystwa E. Rastawiecki skorzystał z téj sposobności, by w zagajeniu obznajomić członków Towarzystwa i publiczność z tokiem czynności komitetu, a spraw i rozwoju Towarzystwa samego. Głos ten jego zamieszczamy w piśmie naszém, jako do historyi pięknéj i pożytecznéj instytucyi krajowéj przydać się mogący.

Panowie!

Czynność dzisiejsza losowania dzieł sztuki, na rok bieżący z wystawy zakupionych, zgromadza tu po raz pierwszy większe grono członków rzeczywistych Towarzystwa; po raz téż pierwszy komitet staje w obec mocodawców swoich. Korzystać mi z téj sposobności należy,

by choć bardzo treściwie wskazać wam, panowie, rozwój i stan obecny instytucyi naszéj, w czém, jak mniemam idę naprzeciw waszym życzeniom, a słusznéj o dobro Towarzystwa dbałości. Że roczne rachunki nie są jeszcze zamknięte, wiadomość ta, objaśniam wstępnie, w przybliżeniu dziś tylko wskazana być może.

Członków rzeczywistych liczymy obecnie 681. Z żalem powiedzieć mi przychodzi, że z nich 67 zalega dotąd w opłacie dowodów składkowych.

Na członków honorowych komitet zaprosił osób 10, w tych liczbie pań sześć, znawstwem i zamiłowaniem sztuki odznaczonych.

Dowodów składkowych sprzedaliśmy 1632.

Ogólna summa dochodów wraz z zasiłkiem rządowym wynosi rubli srebrem 11,619.

Z tego na zakup dzieł sztuki do losowania, przeznaczoną została summa rubli srebrem 5,100.

Fundusz rezerwowy wynosi rs. 130; fundusz zaś na zakupy do zbiorów Towarzystwa i konkursa, wzrósł do rs. 653. Fundusz ten dotąd został nie tknięty, wkrótce jednak obmyślone będzie jego stosowne użycie. Atoli zbiory Towarzystwa z ofiar prywatnych świetny uzyskały początek, mianowicie w darze znakomitego obrazu zgonu Barbary, przez lubowników sztuki krajowéj poczynionym; w księdze oryginalnych rysunków artystów włoskich, przez panią Anielę *Bromirską* podarowanéj; w kilku takoż dziełach sztuki i starożytności dotyczących. Spodziewać się trzeba, że obok przyszłych zakupów przez komitet zarządzonych, zbiory Towarzystwa, przy życzliwém dlań usposobieniu ogółu, nie przestaną być zasilane hojnie podobnymi powyższym dary.

Do źródeł dochodów wskazanych ustawą, są procenta z summ uzbieranych, a po pewnym czasie dopiero użytych. Było tedy w obowiązku komitetu, odpowiednie z funduszami urządzenie się. Doznaliśmy w tym względzie chętnéj pomocy w kassie ordynacyi hr. *Krasińskich*, która przyjmując w depozyt w ciągu roku wpływy Towarzystwa, otwiera nam do ich wysokości kredyt bezprocentowy, a płaci sama procent czwarty od summ do niéj składanych. Procent ten w r. b. stanowi summę rs. 128.

Przygotowana na ten rok reprodukcya, zadowolni jak mniemamy, wybranym przedmiotem i miejscowém wykonaniem. Kosztuje ona nas drogo, bo około 2,000 rubli, wszakże sprzedażą egzemplarzy ilość akcyj przechodzących, wydatek ten w części pokryty zostanie.

W obowiązkach komitetu jest także zawiązywanie stosunków z innemi tego rodzaju Towarzystwami. Weszliśmy téż w bratni stosunek z Towarzystwem krakowskiém, rozpoczęty z naszéj strony zamianowaniem prezesa i wice-prezesa członkami honorowymi, zasilany następnie wymianą akcyi i reprodukcyi. Towarzystwo niemieckie zgłasza się właśnie do nas z Kolonii o zawiązek podobny; komitet zajmie się niebawem zaproszenia tego bliższym rozbiorem.

Poprzednia wystawa krajowa przy jéj zwinięciu, znalazła się w posiadaniu summy rs. 1200; ten kapitał oddany nam został do stałegu użytku, jako kassa zasiłkowo-pożyczkowa. Z niéj udzielane są pożyczki na dzieła sztuki do wystawy przyjęte, a kassy téj konto prowadzone jest oddzielnie.

Dzieł sztuki wystawionych mieliśmy w ogóle 283, z nich 29 nabyły osoby prywatne.

Zwiedzających wystawę za opłatą, było w ciągu roku osób przeszło 8,000, dochód téż z tego źródła tyleż złotych wynosi. Dochód ten przechodzi znacznie koszt najmu lokalu, a jest wybitną miarą rozwiniętego w publiczności do sztuk pociągu.

Przecie dały się słyszéć głosy przeciw pożyteczności instytucyi naszéj i samego sztuk pięknych w kraju rozwoju: zaprzeczyć takiemu twierdzeniu najsilniéj, czuję być w powinności mojéj.

Wszystkie umiejętności i nauki ogólną wiedzę ludzką stanowiące, połączone są z sobą jakby w jeden nie przerwany łańcuch, w którym każda podpiera, objaśnia i zasila drugą. W łańcuchu tym, świetném, brylantowém, rzec można, ogniwem są sztuki nadobne. Jakoż po wszystkie czasy narody w znaczenie wzrosłe, wykształceniem odznaczone, umiały cenić ważność i wzniosły powab sztuki, szczyciły się ich u siebie rozwojem. I dziś na świecie tak samo się dzieje, a wszędzie w miarę wzrostu ukształ-

cenia duchowego, przybywającego wewnętrznego życia, wzmaga się do sztuk pociąg jakby popędem wrodzonym. Bo też dla człowieka duchowo żyć i zajmować się umiejącego, sztuka przynosi urok niewypowiedziany, uszlachetnia jego uczucia, jest mu cenną rozrywką, nieraz osłodą i pociechą życia. Atoli w wieku tym naszym szukającym wszędzie praktycznéj pożyteczności, wykazać należy jaką przynieść nam sztuki mogą. Nie powiem o budownictwie, bo pożytek jego powszechnie uznany; sztycharstwo, litografia i drzeworytnictwo niesłychane świadczą wysługi w rozpowszechnieniu nauk: jest też do życzenia, żeby znajdowały częstsze zastosowanie w dziełach do użytku młodzieży i ludu, zwłaszcza w wykładach religii, dziejów i nauk przyrodzonych.

Chromolitografia nieodzowną jest do wiernych przerysów rozlicznych pomników i zabytków przeszłości. Rysunki biegle wykonane. ważną są pomocą dla rozmaitych fabryk i rękodzielniczych wyrobów; w krajach obcych dostarczają takowych wprawni artyści, i u nas byćby to powinno. Podobny dziś użytek świadczy snycerstwo w drzewie. Jest również do życzenia, żeby świątynie Pańskie przyozdabiały się w obrazy i posągi, odpowiednie wzniosłości zadania i miejsca powadze. Miło jest każdemu posiadać rysy osób ukochanych, odtworzone trafnie, z uczuciem i żywotnością; miło też wszystkim widzieć wydatne z przeszłości zdarzenia, czy lubych miejsc widoki, z wzniosłém poczuciem a wprawą oddane.

Wszystkie te i tym podobne pożytki wiadome są u nas dobrze ogółowi, pojedyncze więc zarzuty nie znajdą uznania. Rozwój początkowy Towarzystwa naszego, rokuje mu nadal przyszłość pomyślną; zależeć to wszakże będzie głównie od dalszego publiczności współczucia, obok ciągłego postępu w utworach artystów: życzę więc tego z serca obustronnie.

KRONIKA LITERACKA.

Wzory sztuki średniowiecznéj i z epoki odrodzenia, po koniec wieku XVII w dawnéj Polsce, wydane przez Alexandra Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego; w Warszawie i w Paryżu. Dwie serye od roku 1853 do roku 1858.

Już kilka lat upłynęło od chwili pojawienia się téj szacownéj publikacyi artystycznéj, a jednak dotąd nic o tém nie wspominaliśmy; trudno bowiem było mówić o dziele, które wychodząc poszytami, nie przedstawiało nie tylko całości, ale nawet pewnéj części, mogącéj dać gruntowne o jego zakresie i wykonaniu wyobrażenie. Wszelki tedy sąd o niém uważaliśmy za przedwczesny i uwłaczający pracy, która już w swém założeniu zapowiadała niepospolitą artystyczną wartość. Ponieważ obecnie mamy dwie całkowite serye przed sobą, i spotykamy się z wieloma przedmiotami, któreśmy w naturze widzieli, wyrobiliśmy sobie pojęcie o wartości téj publikacyi, i chętnie podzielimy się niém z czytelnikami. Gdy jednak dzieło to jest wskróś artystyczne, i wymaga specyalnéj znajomości historyi sztuki, aby dobrze zrozumianém być mogło przez większość społeczeństwa, nie wiele jeszcze wtajemniczonego w tę ważną i bardzo interesującą gałąź wiedzy ludzkiéj: przez wzgląd na pożytek ogółu i poszanowanie dla tak sumiennéj pracy, nie możemy pominąć skreślenia chociażby najtreściwszego, historyi sztuk plastycznych w zakresie samémże dziełem objętym.

Odchodzimy tu od przedmiotu, bo nie oceniamy wprost wartości artystycznéj dzieła; jednakże zdaje nam się, że to tylko pozorna odwłoka, bo w istocie, przedmiot główny, który rozpatrywać mamy, tym tylko sposobem zyskać może na jasności, i zamiast

przemijającego wrażenia, dać nam wyższe pojęcie wartości swéj historycznéj i estetycznéj.

Nie trudno spotkać się z mniemaniem, że wśród gwałtownych wywrotów społecznych, ludzkość zmienia się odrazu, a wstępując w zupełnie nowe życie, zaciera wszelkie ślady przeszłości. Tymczasem, rzecz się ma zupełnie inaczéj; bo nawet wtedy, gdy historya zrywa chwilowo pewne ogniwo w łańcuchu wypadków, niebawem zwraca się, by go na nowo tém silniéj doń uczepić. Zagłębiwszy się myślą w dzieje Rzymu, współczesne z życiem apostołów chrześciaństwa i pierwszych ich duchowych spadkobierców, zobaczymy, że jakkolwiek walka pogaństwa z nową ideą chrystyanizmu, skończyła się tryumfem ostatniéj, jednakże świat pogański, ginąc jak ów wąż mistyczny, zadał ranę przeciwnikowi i zatruł jego krew żywotną. I nie mogło być inaczéj! Cywilizacya tak potężna jak rzymska, nie mogła zginąć ze świata, nie oddziaływając długo jeszcze na swoich zwycięzców.

Ważną jest rzeczą przypomnieć, że zamierające pogaństwo usiłowało odżywić się przez allegoryą. Neo-platonicy byli pod tym względem naukowymi przedstawicielami, ogólnéj potrzeby i dążności umysłu ludzkiego. Dlatego też, pomniki sztuki religij pogańskich za cesarstwa, są coraz bardziéj symboliczne. Nie przedstawiano już wtedy wypadków z historyi bogów i bohaterów, jako przedmioty interesujące same przez się, ale jako symbole filozoficzne życia, duszy, śmierci i t. p. Orfeusz, Meleagra, Niobe, Psyche, straciwszy swą indywidualność, stają się mytami pełnemi znaczenia; a religie podbitego przez Rzym Wschodu, podają myśli zachodniéj przedmioty pobudzające do zadumy i głębokiego zastanawiania się, jak np. obrzędy i przedstawienia całkiem symboliczne pojęć religijnych wyznawców słońca. (Mithras). (1).

Gdy sztuka chrześciańska rozwijać się zaczęła, przyswoiła sobie niektóre z tych symbolów, i dlatego też spostrzegamy w freskach katakumb, Chrystusa w postaci Orfeusza nawracającego niewiernych, uspakajającego dzikie zwierzęta, rozrzewniającego skały i drzewa dźwiękami lutni.

Jeżeli weźmiemy na uwagę prawo umysłu ludzkiego, mocą którego każdy symbol może przetrwać ideę przez siebie reprezen-

(1) Ath. Coquerel fils. Des Beaux arts en Italie au point de vue religieux 139.

towaną i sam się nie zmieniając, zmieniać znaczenie i pojawiać jako przedstawiciel idei zupełnie nowych, nie będziemy się dziwić, że wiele form pogańskich zagadkowych i przedstawiających często nieokreślony i mętny spirytualizm ostatnich czasów, przeszło do sztuki chrześciańskiéj.

Chrystyanizm wprowadzony przez nawróconych żydów w świat rzymski, okazał się w piérwszéj chwili nieprzyjaznym sztuce. Najdawniejsze kamienie grobowe nie mieszczą na sobie żadnych postaci, ale tylko napisy głęboką rzewnością tchnące; napotykamy tu tylko pojęcia o życiu i spokoju pośmiertnym. Chrystus wyobrażony bywa piérwszą i ostatnią literą alfabetu greckiego, A—Ω Alfa i Omega. Daléj spostrzegamy na grobowcach anaglify czyli rzeźby wklęsłe, zapełnione farbą czerwoną, minią, wyobrażające palmy; symbole męczeństwa i zwycięztwa męczenników (1), (Apok. 7—9). Gołębica niosąca gałązkę oliwną jest symbolem zbawienia; ryba oznacza chrześcianina, podług słów Jezusa do Piotra i Andrzeja: „Uczynię was rybakami ludzi." Późniéj ten sam znak jest zastósowany do imienia Jezus Chrystus, Syn Boży, Zbawiciel, bo początkowe litery tych słów składają grecki wyraz, ryba. Znajdujemy także kotwicę, jako symbol nadziei.

„Jestem prawdziwym szczepem," powiedział Chrystus. (S. Jan XV, 1—7. Tę allegoryą często spotykamy na grobowcach chrześcian, z czego poganie byli zadowoleni, bo uglądali w tym znaku, jakby przypomnienie czci Bachusa. Zjawiają się późniéj dzieci nagie, często skrzydlate, zajmujące się wszelkiemi staraniami około winnicy; następnie Chrystus pod postacią baranka. Te naiwne allegorye pochodziły z pewnego poczucia niebiańskiéj czystości, ale nie trwały długo. Wstręt do materyalnego przedstawiania bóstwa i pojęć religijnych, przyniesiony przez pierwszych apostołów, uległ przewadze tradycyj pogańskich; symbole mnożyły się, a nie odpowiadając wymaganiom myśli ludzkiéj, zastąpionemi niebawem zostały, przez bardziéj odpowiednie sztuce i pojęciu indywidualnego Boga, kształty ciała ludzkiego.

Piérwsza postać Chrystusa, jaką napotykamy w katakumbach, wyobraża Dobrego Pasterza: Zbawiciel przedstawiany jest jako młodzieniec bez brody, w rzymskiéj tunice po kolana, niosący zbłąkaną owieczkę. W takiéj postaci bywał przedstawiany w płaskorzeźbach albo freskach, pełny idealnego wyrazu. W tych

(1) Ob. Historya powszechna Cezara Cantu, przekład L. Rogalskiego T m III str. 714.

piérwszych objawach sztuki chrześciańskiéj, wiele znajduje się wyobrażeń mitologicznych: często napotkać można figury bożyszcz, wyobrażające rzeki, góry, miasta; dzień, noc i t. p.; np. bożek Jordan wsparty na urnie jest przytomnym na chrzcie Chrystusa. Niema w tém nic dziwnego, wiadomo bowiem, że Dante, Michał Anioł, Kamoens, całe nawet średnie wieki, do tajemnic chrześciańskich dodawały często wyobrażenia bóstw i symbolów pogańskich.

Zmienia się postać rzeczy, gdy po trzech wiekach milczenia i nędzy chrystyanizm wychodząc nareszcie z katakumb i podziemnych kaplic Włoch, zasiada z Konstantynem na tronie Cezarów. Dotąd skryty w ziemi, trzymać się on musiał w ciasnych szrankach, zadawalać rzeźbą i malarstwem; teraz gdy już wypłynął na wierzch, obejmie on w posiadanie cały świat starożytny, zawładnie jego pomnikami i na swój pożytek obróci; zawładnie wszelką twórczością ludzką, podniesie ją ku nieznanemu Bogu, skieruje ku objawieniu nowéj idei. Samowładztwo swoje, nowa idea okaże nietylko w nadaniu wszystkim sztukom jednakowego piętna, ale jeszcze w tak ścisłém ich zjednoczeniu, że chcąc dać dziś jakie takie wyobrażenie historyi, rzeźby i malarstwa, od architektury oddzielić nam jéj niepodobna, i pomimo to, iż pomniki téj sztuki w zakres ocenianéj przez nas publikacyi artystycznéj nie wchodzą, dajemy tutaj ogólny jéj zarys.

W czasie gdy Konstantyn przeniósł stolicę do Bizancyum, oprócz arcydzieł Aten i Koryntu, których nie naśladowano już wcale, istniały w tamtéj części państwa rzymskiego dwa rodzaje architektury. Obok stylu rzymskiego, który pomimo usiłowań Cezarów, nie mógł się przyswoić na téj ziemi wdzięku, pojawiały się tu już piérwsze zarysy nowego stylu, który podobny do téj nowo podnoszącéj się idei, opuszczającéj tradycye starożytne, aby się zapuścić w świat i marzenia nieznane, otrząsał się z uświęconych praw Egiptu, Aten i Rzymu, a marząc i subtylizując z kolei, obalał architraw, wznosił arkadę nad arkadą, kopułę nad kopułą, usiłując oddać kamieniem, marmurem, bujne pomysły wyobraźni: i tysiącami lekkich i wyniosłych kolumn, mnogością kapitelów, listewek, ozdób fantastycznych, olśnić oczy i zachwycić umysł.

Miejsca i daty pojawienia się tego stylu, trudno już dziś określić, to tylko pewna, że kolebką jego był Wschód, i że się zjawił w drugim wieku po Chrystusie. Styl ten zrazu nieśmiały i niemowlęcy, rosnąc z dniem każdym, zdobywa sobie powoli niezależność, aż wreszcie pod Justynianem, wyswobadza się w zupełności, i wolny, śmiały, oryginalny, rozwija niewyczerpane bogactwo swéj

fantazyi w kościele Śéj Zofii, pomysłu Izydora z Miletu. Od téj chwili styl ten zyskuje sobie ogólne w państwie bizantyjskiem uznanie, a architektura rzymska zdawna opuszczona, ustępuje miejsca stylowi nowogreckiemu czyli bizantyjskiemu, który odtąd panuje samowładnie na Wschodzie.

Pod tą nową formą mało cenioną przez wielbicieli starożytnego greckiego stylu, ale uznaną przez wielbicieli piękna, objawiła się nowa idea, odżył geniusz dawnych architektów Grecyi, a choć nie tak poprawny i surowy, jak starożytny, ale za to świetny młodością i życiem: śmielszy, fantastyczniejszy, cudowniejszy. Tęsknota za światem nieznanym, rzucona w serce ludów, nie wytrysła wprawdzie na téj ziemi pełnéj nieokreślonego uroku w zupełne oderwanie, w strzelistą, duchem wyśpiewaną modlitwę, jak to później spostrzeżemy na Zachodzie, ale niemniéj jest to modlitwa człowieka, co rozkuty z więzów tradycyi i prawideł krępujących polot jego wyobraźni, poczucie téj wolności i przeczucie nowego życia w darze swemu Stwórcy niesie. Świątynie bizantyjskie skupione wewnątrz, ześrodkowane w sobie jak dusze piérwszych chrześcian; na zewnątrz kapryśne, fantastyczne, dowolne jak piérwsze uniesienia młodzieńcze, przypadły doskonale do kontemplacyjnego ducha i ruchliwéj wyobraźni Wschodu.

Za architekturą idzie w ślad rzeźba i malarstwo: nieodłączne od niéj, stanowią jéj dopełnienie i ozdobę, nosząc na sobie tęż samą cechę bujnéj fantazyi, toż samo naiwne zamiłowanie efektu, tęż samą dążność do zachwycenia rozmaitością i olśnienia bogactwem, które w malarstwie przechodzi w jaskrawość kolorytu i nadużycie złoceń. Zaniedbanie natury, skutek nowéj idei pogardzającéj ziemią, dało się uczuć dotkliwie rzeźbie i malarstwu i odbiło się nietylko w rysunku twarzy, ale i w fałdach draperyi sztywnych i jakby w jeometrycznych liniach spadających bez wdzięku i prawdy; w rzadkich jednak zabytkach, uszłych przed powodzią barbarzyńców i szałem obrazoburców, napotykamy głowy z pewnym charakterem, chociaż z nich wieje jakaś surowość marmurowa, cechująca brak życia. Pomimo wad przegląda z tych zabytków myśl wyższa, chociaż mętna i nieoznaczona, pewne usiłowania duchowe do wyrażenia mistycznych pojęć, bez możności uwydatnienia ich na zewnątrz jasno i dobitnie.

Pomniki te oglądane dziś przez nas, stroną swoją duchową robią na nas wrażenie zerwanéj w połowie myśli, przytłumionego uczucia w chwili jego wybuchu; i nic też dziwnego, boć te pomniki rzeźby i malarstwa nie stanowiły osobnéj w sobie zawartéj cało-

ści, jak się to ma z dzisiejszymi pomnikami, ale stanowiły cząstkę jednéj wielkiéj religijnéj myśli, wypowiedzianéj całością świątyni, na którą się wszystkie sztuki składały.

Kościół objąwszy władzę użył sztuki do rozszerzenia wiary, a kierując w tę stronę myśl ludzką, strzegł pilnie zarówno zetknięcia się z pogańskiém pięknem, jak i wyróżnień dowolnych i indywidualnych, mogących stać się groźnemi dla powstającéj wiary.

Malarze byli tylko wykonawcami wizerunków ku czci religijnéj przeznaczonych, a gdyby który z nich poważył się iść za własném natchnieniem, wizerunek taki byłby uznany za heretycki, jako oddalający się od tradycyjnego typu. Wizerunki te przedstawiały Chrystusa, Maryą, lub też Świętych, nigdy zaś przedmioty wzięte z fantazyi, bo kościół mocą swoją sprzeciwiał się sztuce w pojęciu artystycznem. Lud czcił te wizerunki nie jako figury przedstawione, ale jako symbole uświęcone w pojęciach mistycznych. Niektóre uważano jakoby cudem zdziałane lub też cudami słynące, nie zaś jako utwory sztuki. Żywa jednak wiara piérwszych chrześcian, jaśniała z poza przepisów, i ślady swéj twórczości przekazała nam w mozaice, którą Grecy bizantyjscy z większém zamiłowaniem jak inne rodzaje sztuki malarskiéj uprawiali. Temu to zamiłowaniu winniśmy przechowanie tradycyi malarstwa, mozaika bowiem nie służyła tylko do kopiowania malowanych obrazów, jak to miało miejsce późniéj, ale była kompozycyą oryginalną, a z powodu swéj trwałości i blasku, nader w onych czasach cenioną.

Z tego cośmy powiedzieli, widzimy, że Grecy w świecie chrześciańskim piérwsi ujęli berło sztuki i że tę sztukę do wysokiego zwłaszcza w budownictwie podnieśli stopnia; od nich przejęli ją Arabowie, od nich przeszła ona na Zachód, gdzie i my też za jéj śladem pójdziemy.

Na Zachodzie w chwili wyswobodzenia się religii chrześciańskiéj nie ma tak, jak na Wschodzie rywalizacyi pomiędzy dwoma rodzajami architektury: styl rzymski panuje tu wyłącznie. Dyoklecyan wprawdzie z wojen prowadzonych w Azyi wynosi upodobanie do tego stylu samowolnego i nieoznaczonego, jakim jest w początkach styl nowogrecki, i ślady tego upodobania spostrzegać się dają w pałacu jego w Spolatro; ale wątła ta roślinka wzrastająca w siłę z każdym dniem w państwie greckiém, zwiędła we Włoszech. Utrudniona z czasem coraz więcéj komunikacya pomiędzy dwoma państwami, różność geniuszu tych dwóch ludów, wreszcie rozerwanie religijne zatamowały na długo wszelkie

stosunki Wschodu z Zachodem. Zachód zamiast utworzyć nowy typ do nowéj idei, odrzuciwszy świątynie dawnych bogów, zbyt małe dla wiary ludzkość całą objąć mającéj, a do tego sprofanowane obrządkami pogańskiemi i w obrzydzeniu u chrześcian będące, przyswoił sobie wielkie gmachy sprawiedliwości, rozsiane gęsto po wszystkich miastach Włoch, znane pod nazwą bazylik.

Dawne przeznaczenie bazylik w oczach biskupów przemieniających je na świątynie nie przynosiło im zakały, bo chrystyanizm rzymski instynktowo przeczuł już swoje posłannictwo i starał się nietylko o zapewnienie tryumfu ewangelii, ale i o zaprowadzenie młodzieńczéj i silnéj swéj organizacyi na miejsce strupieszałéj organizacyi dawnego społeczeństwa. Bazyliki odznaczały się na zewnątrz surową prostotą: nie zdobiły je ani rzędy kolumn, ani gzemsy rzeźbione, ani frontony bogate i majestatyczne: były to proste mury, poprzecinane oknami zaokrąglonemi od góry, ozdobione pod dachem skromną listewką. Wewnątrz dwa rzędy kolumn tworzyły trzy galeryc, z których środkowa dosięgała szczytu, dwie zaś inne przecięte były w swéj wysokości drugiém piętrem przeznaczoném dla dostojników państwa; wprost środkowéj galeryi znajdowało się zagłębienie w kształcie półkola zwane trybunałem. Bazyliki łatwo się dały zastósować do nowego przeznaczenia: trybunał nazwano absydą, miejsce sędziego zajął biskup, próżne miejsce za galeryami podzielono na trzy części: w środkowéj stanął ołtarz, ściany zaś powleczono malowidłami przedstawiającemi sceny z Pisma Świętego i różne symbole mistyczne. Bazyliki przetworzone zostały tym sposobem na świątynie chrześciańskie, rozkład ich architektoniczny stał się artykułem wiary, i dzięki temu przyswojeniu, zapewniono panowanie stylowi rzymskiemu.

Zachód pod względem architektury przyjąwszy rzecz gotową, nieskłonnym się okazał do nowatorstwa i w innych sztukach; w pozostałych a nader rzadkich pomnikach owego czasu widzimy tenże sam styl i też same co na Wschodzie usiłowania, do wydania głębokiéj mistyczności nowéj wiary.

Wśród ciągłych napadów barbarzyńców, nieustających wojen i sadowienia się nowych społeczeństw na ruinach dawnego, sztuka zakwitnąć nie mogła; ludy przechodziły tutaj tak szybko, że nie mogły myśléć o pozostawieniu na ziemi śladów swego przejścia i ustępując jedne drugim, zaledwie zdołały przekazywać tradycye. Kościół zaś, który sam jeden nie przemijając, zdolny

był wyryć ślady swojéj myśli, zajęty uporządkowaniem nowego społeczeństwa, na drugim planie musiał pozostawić sztuki.

Sztuka budownicza Wschodu wciska się wprawdzie po kilkakroć na Zachód, to w czasie egzarhatu raweńskiego do Włoch, to za panowania Karola Wielkiego do Francyi, ale nie znajduje współczucia. Po śmierci wielkiego monarchy nikt już nie podjął tak gorąco idei cywilizacyi; wiek IX i X grube zasuły ciemności, które jeszcze powiększyła przesądna wiara w blizki koniec świata. Architektura szczególniéj na tém ucierpiała; wiara, ta jedyna dźwignia świątyń słabła z dniem każdym; ludy zniechęcone, wyczekujące ostatniéj swéj chwili, nie niosły już trudów i skarbów na budowanie świątyń Bogu: to téż najopłakańszym wiekiem dla sztuki jest nieszczęśliwy wiek X.

Z brzaskiem XI wieku otwiera się na Zachodzie nowa epoka dla sztuki. Wyswobodzone przez Ottona Wielkiego z tyranii możnowładców miasta włoskie, otwierają swoje porty. Wschód przynosi im swe wonie, tajemnice, skarby nauki i sztuki; wtedy zjawia się na nowo we Włoszech sztuka wschodnia, a odmłodzone i chciwe nowości ludy przyjmują ją z uniesieniem. Wenecyanie i Pizańczycy piérwsi dają jéj u siebie schronienie; staje kościół św. Marka i wspaniała katedra pizańska, idą w ich ślady i inne miasta i w krótkim czasie Włochy całe pokrywają się pomnikami sztuki wschodniéj. Styl ten zrazu prosty i surowy w swéj wspaniałości, elegancki i lekki następnie, zdobi i rozwija się z dniem każdym i przez dwa wieki panuje samowładnie w zdobytéj przez siebie Europie.

Od połowy XII wieku nowe żywioły zaczynają pracować wśród młodzieńczych ludów; są to też same żywioły chrześciańskie, ale tą razą Zachód ich objawicielem. Gdyby rzeczywiście trzeba było nowych dowodów dla wykazania wszechmocy wiary, cudownego wpływu, nieprzepartéj władzy katolicyzmu w średnich wiekach, znaleźćby go można w historyi sztuki. Na głos téj wiary głusi słyszą, ślepi widzą, paralitycy chodzą; strefy mgliste tracą swój wpływ, ludy stężałe od zimna czują w swém łonie twórcze ciepło: zapala się ich wyobraźnia i pod gorącém słońcem wiary w tysiączne mieni się barwy, tysiączne przyjmuje kształty. Tam, gdzie cała potęga i bogactwo pogańskiego Rzymu nie zdołało utworzyć ani jednego pomnika sztuki, tam katolicyzm wznosi arcydzieła: posłannictwem katolicyzmu było nietylko owładnąć rozum i serce człowieka, ale jeszcze rozszerzyć granice twórczości i w najbardziéj odrętwiałych ludach rozniecić wiarą uczucie

piękna. Tych ludów użył katolicyzm następnie jako narzędzia do wzniesienia po wszystkich stronach ziemi świadków swéj potęgi, aby świadczyły po wszystkie czasy, że gdziekolwiek wiara chrześciańska się zaszczepiła, tam kwitnęła sztuka chrześciańska. Z tego stanowiska uważana historya sztuki, jest nauką piękną i bogatą. Staje przed nami, jakby jedna wielka rodzina pomników z jednéj myśli zrodzona, jedną i tąż samą aureolą otoczona i podobieństwem swojém o wspólnym początku świadcząca. Następnie pod tą wielką jednością ileżto nam się objawia przyczyn i różnic, ile rozmaitości, ile odcieni wywołanych okolicznościami mniéj lub więcéj łatwemi do uchwycenia. Na dobrém ocenieniu okoliczności miejscowych i praw ogólnych władnących niemi, zależy historya sztuki średnich wieków.

Te dwie wielkie kwestye zlekka tu jednak mogą być tylko dotknięte. Początek, kształcenie się i postęp sztuki na Zachodzie od XII do XVI wieku, znanéj pod niewłaściwą nazwą gotyckiéj, jest początkiem, kształceniem się, postępem wszystkiego, cokolwiek naonczas w Europie rodziło się, kształciło, dążyło do postępu. Sztuka rozwijała się na tych samych prawach co języki, państwa, narody, instytucye, i przewodniczyła rozbudzeniu się ludów. Płynąc z wiary, również jak i sztuka bizantyjska i wierze zawdzięczając swoję twórczość, sztuka gotycka nie była już jak sztuka bizantyjska obcą i przyswojoną Zachodowi rośliną, korzeniami wszczepioną tylko w kościół i kanony, i wraz z kościołem prawem zdobyczy ziemię obejmującą: ale było to drzewo swojskie, sokami ziemi rodzinéj napojone, a żywotność swoję czerpiące z ducha ludów. Początek sztuki gotyckiéj, to początek wyzwalania się, wyswobadzania miast i ludów, to wylanie się kościoła na zewnątrz, sekularyzowanie się społeczeństwa, duch stowarzyszeń, po za obręb klasztoru przeniesiony. Dawniéj sztukmistrzami byli tylko mnichy, tylko księża i ludzie należący do kościoła; odtąd tylko ludzie świeccy, tylko stowarzyszenia świeckie na wzór klasztornych regułą ujęte i tajemnicą otoczone.

Te prawa ogólne z idei chrześciańskiéj płynące, otworzyły drogę prawom szczegółowym i okolicznościom miejscowym: sztuka przyjęła na siebie piętno usposobienia ludów, wśród których się rozwijała, a pomniki architektury, rzeźby, malarstwa, wykazują nam dobitnie nietylko ogólny charakter średnich wieków, ale i szczegółowy charakter ludów. Zjawiają się piérwsze mętne zrazu i niewyraźne usiłowania nowego stylu; Zachód przemówił, jestto jeszcze język niewyrobiony jak język pierwotnéj ludzkości,

ale za to wszystkie ludy chrześciańskie go rozumieją, chwytają, kształcą i rozwijają. Z Francyi, w któréj się najprzód styl ten ukazał, przenosi się w samym końcu XII wieku do Anglii, w XIII jest już w Niemczech, Włoszech, Polsce, w całéj Europie.

Zbudzona na nowo twórczość człowieka, ogarnia wszystkie kierunki myśli, obejmuje wszystkie sztuki. Architektura występuje tu znów jako matka, do któréj łona tulą się wszystkie inne: postawić świątynię Bogu, wlać w nią wszystko cokolwiek w duchu ludzkim tęskni, pracuje, marzy i spodziewa się, jest w owych czasach najgorętszém pożądaniem ludów, i temu pożądaniu zadość czynią sztukmistrze.

Architektura wyraża już teraz nie tęsknotę za światem nieznanym, ale wiarę w świat doskonalszy, wyższy, do którego człowiek dąży całą potęgą swego ducha. Nieskończoność zawarta w jego wnętrzu, zakreślona kołem w świątyni bizantyjskiéj, strzeliła w proste ku niebu wyciągnięte linie, a świątynia gotycka tak lekko wsparła się kolumnami swemi na ziemi, iżby znać było, że ona tak jak człowiek gościem tylko na świecie, że ona duchem jego ducha. Krzyż grecki przedłuża się, podnosi wysoko, i z téj wysokości obejmuje ziemię.

Rzeźba, malarstwo, posłuszne téj myśli, wypożyczą od żywéj natury przyrodzonych jéj kształtów, a zidealizowane i rozmnożone w nieskończoność rzucą na mury świątyni, aby wraz z niemi pięły się do nieba. Rzeźba we wszystkich swych utworach, a mianowicie w postaciach ludzkich, ożenek swój z ziemią wyrazi w dążeniu do indywidualności. Figury staną się obrazem ludzi żyjących w pewnym czasie i miejscu, ludzi co kochali i cierpieli, a w przejściu swém po ziemi zasłużyli się Bogu. Postacie te ubłogosławione łaską Bożą, jakkolwiek surowe i ku niebu się wydzierające, odchodząc, miłosne spojrzenie ziemi rzucają, pociągając za sobą wszystko co na ziemi płacze, cierpi, tęskni i kocha.

Początki sztuki średniowiecznéj, tak jak każde początki są zrazu mętne i nieoznaczone: w architekturze widzimy gotyk zmieszany z stylem bizantyjskim; w rzeźbie tak jak w pierwszych czasach sztuki greckiéj, figury trzymane w typie uświęconym obrządkami religijnemi lub przepisami szkoły, draperye sztywne, fałdy policzone i symetryczne; w XIII wieku zjawia się swoboda, czystość rysunku, giętkość form, wdzięk, ruch i życie; w XIV rzeźba traci czystość stylu, ruch jest przesadny, draperye łamane; w XV przesada wzrasta, przechodzi w manieryzm, formy są dziwaczne i nienaturalne.

Malarstwo tworzące osobne obrazy i takie jak my je dziś rozumiemy, nieznane było średnim wiekom, nie ograniczało się jednak ozdobą książek, jak to wielu mniema: wielkie w pomysłach jak architektura, potrzebowało do rozłożenia swéj myśli murów świątyni, i nie miało nic wspólnego z mikroskopowemi arcydziełami cierpliwości, których akuratność i wdzięk podziwiamy. Społeczeństwo podzielone wówczas było na dwa odrębne i odosobnione od siebie światy: jeden całkiem cichy, pracowity, cierpliwy; drugi zuchwały i czynny. W klasztorach mówiono umarłym językiem, w zamkach i wsiach narzeczem młodém i pełném życia; to téż wtedy, kiedy malarze klasztorni zdobili pracowicie weliny, malarze artyści, prawdziwi malarze téj epoki, rywalizując z architektami, rzeźbiarzami i rytownikami, rzucali śmiałe arabeski i surowe postacie na mury i sklepienia kościołów i zamków.

Żleby ten rozumiał architekturę średnich wieków, i bardzo fałszywe miał pojęcie o wielkich utworach budownictwa i rzeźby, gdyby w swéj myśli nie wyobraził ich sobie pokrytych od góry do dołu kolorami i złotem.

Ze wszystkiego co do nas przyszło ze Wschodu, najbardziéj i najogólniéj upowszechniło się zamiłowanie i potrzeba koloru. Przyszło do tego, że wszystko chciano mieć kolorowane, nawet światło, a promienie słoneczne nieinaczéj przenikały do wszelkich budowli, jak tylko przez barwy czerwone, żółte i niebieskie (1). Zwyczaj szkieł kolorowanych z tego zamiłowania wypłynął i był następstwem koniecznem nowego systemu zdobienia i namiętności koloru całkiém wschodniéj. Już w VII, w VIII, na początku IX, następnie w XI wieku objawia się cząstkowe i przemijające upodobanie do koloru. Po wojnach krzyżowych kolor tryumfuje i przez trzy wieki Europa rozmiłowywa się w nim jak niegdyś Grecya.

Co się tyczy ołtarzowych obrazów, te nie były tak jak dzisiaj samoistne i niezależne od ozdób, któremi są otoczone. Przeciwnie, najwpierw wykonywano dyptyki z drzewa, czyli tablice z przedziałami powiązanemi między sobą; następnie zdobiono je w liczne ornamenta rzeźbione w kształcie małych piramidalnych ołtarzyków (framug): pomiędzy temi ornamentami malarze umieszczali figury świętych; snycerze i stolarze zostawiali im także inne miejsca do malowania. Jakimkolwiek był przedmiot ma-

(1) Patrz, Etudes sur les beaux. arts par L. Vitet. Tom 2. str. 65.

lowany, zawsze dawano tło złote, obłoki, aureolę i draperye świętéj postaci.

To, cośmy wyżéj wspomnieli o charakterze i postępie rzeźby gotyckiéj, stosuje się i do malarstwa; wznosi się ono, rozwija i upada w XIV wieku razem z innemi sztukami plastycznemi, ustępując miejsca nowej idei i nowemu porządkowi rzeczy.

Hasło nowéj epoki podają Włochy, one jedne nie dzieliły ogólnego do sztuki średniowiecznéj zapału, one pozostały przy stylu bizantyjskim, i one też w XIV wieku otwierają nową epokę, znaną pod nazwą epoki odrodzenia. W średnich wiekach wyzwalały się ludy, teraz wyzwalają się sztuki, wyróżnia indywidualność. Na wzór wyswobadzających się indywiduów, każda sztuka zapragnęła stanąć o sobie, i sama przez się całkowitą myśl wyrazić, każdy sztukmistrz pozostawić na świecie ślady swego przejścia. Zanim jednak Włochy otworzyły nowy okres sztuki zwany odrodzeniem, odznaczający się fantazyą weselną, kipiącą szczęściem i wdziękiem, wprzód jeszcze przyjąwszy w łono swoje ideę romantyczną Zachodu, rozwinęły ją na pierwiastkach rodzimych. Gotyk włoski, to kwiat północy w fantazyą ludu południowego wszczepiony, i na wzorach klassycznych rozwinięty. Przedstawicielem jego również jak i zwiastunem dalekiéj jeszcze epoki Odrodzenia jest Mikołaj z Pizy budowniczy i rzeźbiarz, r. 1265, który studiując starożytne rzeźby a mianowicie płaskorzeźbę przedstawiającą Meleagrę, zdobył sobie styl, przewyższający pięknością manierę współczesnych artystów. Prace jego odznaczają się pięknością form i pełną wdzięku prostotą draperyi. Płaskorzeźby grobowca św. Dominika w Bolonii, do najpiękniejszych rzeźb jego dłuta należą. Mikołaj z Pizy najwięcéj jednak odznaczył się w architekturze. Kościół św. Trójcy we Florencyi, który w trzysta lat późniéj zyskał uwielbienie Michała Anioła, dzwonnica kościoła Augustyanów w Pizie, która służyła za wzór Bramantowi, wybudowana została podług rysunku Mikołaja z Pizy. Liczne jego prace rozrzucone po całych Włoszech, dały popęd do nowych pomysłów, i obok dawnéj rutyny, ustaliły teoryą i wzory przyjazne postępowi. Piérwszym malarzem stanowczo już epokę gotycyzmu włoskiego cechującym jest Cimabue 1240—1300, uczeń bizantyjskich malarzy, którego senat florencki przywołał na przewodnictwo szkoły malarstwa tego miasta.

Wszyscy pisarze, którzy zastanawiali się nad postępem sztuki w tym okresie, jednozgodnie wysoko cenią dzieła Cimabua, i w istocie są one bez porównania wyższe od wszystkiego, cokol-

wiek sztuka w nowéj téj fazie utworzyła. Pomiędzy nim a jego współczesnymi daleko większa zachodzi różnica, jak pomiędzy nim a mistrzami XV wieku.

Styl Cimabua jest jeszcze przeważnie bizantyjski, dopiero uczeń jego i następca w talencie, Giotto, wyzwolony z więzów tradycyi, rozpoczyna styl allegoryczny i już głęboko indywidualny. Imaginacya jego nie jest skrępowana niemocą formy, owszem widzimy, że prawdziwa gwiazda geniuszu przez zrozumienie piękności natury, prowadzi go do świątyni wdzięku i prawdy. Twarze jego są pełne życia, gruppy tworzą całość harmonijną, a ruchy figur szlachetne i prawdziwe. W malowidłach jego znajdujemy cudnéj piękności głowy, często porównywane z głowami Rafaela. Przejście od sztuki bizantyjskiéj do gotyckiéj już dokonane. Giotto wskazuje cel i drogę, a dwa wieki rozdzielające go od Rafaela, rozwiną już tylko w całéj pełni nowy styl, znany pod nazwą Odrodzenia.

Giotto umiera (r. 1336) i był tém dla malarstwa, czém Bokacyusz nieco późniéj dla literatury włoskiéj. Pierwszy dał on swéj sztuce formy, zdolne wyrazić wszelką myśl.

W następstwie Petrarka usiłował obudzić w społeczności swojéj zamiłowanie sztuki starożytnéj; wyrzucał mieszkańcom Rzymu obojętność, z jaką pozwalali niszczyć i zabierać pomniki rozrzucone po kampanii rzymskiéj. „Nie wstydzicież się, pisał on, frymarczyć podle tém, co uszło rąk barbarzyńskich przodków waszych, sprzedawać kolumny i posągi a nawet grobowce, w których spoczywają popioły waszych ojców".

Około połowy XV wieku odkrycie kilku arcydzieł literatury greckiéj i łacińskiéj i świéży napływ uczonych greckich uciekających do Włoch, po wzięciu Konstantynopola, odżywiły na nowo zamiłowanie sztuk i nauk. Wawrzyniec Medyceusz wyłożył wielkie summy na utworzenie w ogrodach klasztoru św. Marka we Florencyi, muzeum starożytności. Tam to Michał-Anioł i cała szkoła florencka czerpała u samego źródła uczucie piękna i prawdy.

W tymto czasie odkryto posągi starożytne, a mianowicie: Apollina belwederskiego, Laokona, Merkurego, Herkulesa spoczywającego i t. p. (1).

(1) Apollin belwederski wykopany przy końcu XV wieku, w okolicy przylądka Antium. Laokon w Rzymie 1506 r., w termach Tytusa. Merkury w Rzymie 1510 r. Herkules w spoczynku 1540 r., w łaźni Karakalli.

W piérwszéj połowie epoki Odrodzenia przypadającéj pod koniec XIV wieku, sztuka rozwija się już szybko i samodzielnie. Artyści poczuwają w sobie wzrastającą idealną siłę, ale znajomość form, muskułów ciała, ruchu, zostaje im jeszcze do zdobycia. Perspektywa i umiejętność światło-cienia, bez których nie masz złudzenia istotnego, nie są im jeszcze znane; ztąd też figury w obrazach nie stoją na właściwych planach, a pojęcie skurczów jeszcze słabe i nieudolne. Jednakże artyści XV wieku obejmowali wszystkie niemal sztuki i nauki, a wielu z nich odznaczało się znajomością nauk ścisłych, jakoto: fizyki, medycyny, filozofii, również jak poezyi i muzyki. Starożytni jakkolwiek nie znali perspektywy jako nauki, stosowali ją jednak przez samo uczucie prawdy, jak to również czynili malarze epoki Odrodzenia, zanim Brunelleschi podniósł ją do ścisłości naukowéj.

Rzeźba najwięcéj była uprawianą we Florencyi: odlewano tam ze srebra i bronzu wiele posągów i płaskorzeźb. Już w r. 1300 Andrzéj z Pizy wykonał był sławne drzwi bronzowe, do których w sto lat późniéj dorobił odpowiednie Ghiberti. Malarstwo zyskało na tym kierunku i przyszło do gruntownego pojęcia gry muskułów i plastycznego odtwarzania pięknych kształtów człowieka.

Większa część artystów florenckich, w XV wieku zajmowała się złotnictwem. Orcagna, Lucca della Robbia, sławny ze swych prac z glinki przepalanéj (1). Ghiberti, Brunelleschi, Donatello, Verrochio i młodszy chociaż im współczesny, Dominik Ghirlandajo, wszyscy modelowali z wosku lub gliny przedmioty, które rzeźbili lub cyzelowali złotnicy i sztycharze. Z tego to powodu zdobyli sobie tę wysoką znajomość form, która tak wybitną była cechą szkoły florenckiéj.

Jeżeli malowanie olejne było dla wzrostu sztuki tak ważném odkryciem jak bussola dla poznania świata, drzeworytnictwo i sztycharstwo stało się tém dla sztuki, czém drukarstwo dla myśli. Rytowanie na drzewie poprzedziło rytowanie na srebrze i miedzi, tak jak użycie drzewa w drukarstwie poprzedziło użycie metalu.

Vasari powiada, że sztychowanie na metalach wzięło swój początek w sztuce cyzelowniczéj, bardzo starożytnéj, a która szczególnie w XV wieku była rozpowszechnioną i przez Benvenuto Celliniego do możliwéj doskonałości posuniętą. Cyzelowano wówczas apparaty kościelne, ornamenta relikwiarzy, okładki mszałów, patyny, srebra stołowe, rękojeście mieczów, szkatułki, bransolety,

(1) Do Faenza, zkąd powstała nazwa fajansu.

sprzączki nawet, które noszono u kapeluszy i t. p., słowem prawie wszystkie wyroby złotnicze. Cyzelowania te wyrabiano rylcem na srebrze. Tym sposobem nietylko wykonywano arabeski, ale przedmioty historyczne a nawet i portrety. Napełniano następnie rówki cyzelury mieszaniną ołowiu i srebra, która z powodu czarnego koloru, dostała od starożytnych nazwę nigellum, a Włosi dali jéj nazwę niello. Czarny ten kolor odbijając od błyszczącéj białości srebra, tworzy dla oka złudzenie światłocienia. Niedługo potém sztycharstwo zostało wynalezioném (1); jako materyał trwalszy, miedź zastąpiła srebro, a ręczne wyciski prassa. Kilka lat późniéj za czasów Rafaela, sztycharstwo na miedzi rozporządzało wszystkiemi środkami do wydania piękności malowideł. Marek Antoniusz Rajmondi, sztychował pod okiem Rafaela, wszystkie jego malowidła i rysunki. Wohlgemuth nauczyciel Alberta Dürera 1526 (Włosi twierdzą, że Parmigiano) wynalazłszy sposób sztychowania zwany *agua forte*, dał popęd do wyższego jeszcze postępu. W XVII wieku, Augustyn Carracci, Edelink, Masson, Audran i Revet, najznakomitszemi byli w téj sztuce mistrzami.

Doprowadziwszy historyą sztuki od piérwszych jéj zawiązków w chrześciaństwie, aż do zupełnego rozkwitu epoki Odrodzenia, nie sięgamy daléj, bo to cośmy dotąd treściwie przedstawili, wypełnia już zadanie, jakieśmy sobie na wstępie położyli, a przedmioty, jakie we Wzorach sztuki średniowiecznéj mamy rozpatrywać, tym zakresem historyi są objęte. Zanim jednak szczegółowo oceniać je zaczniemy, wypada nam jeszcze rzucić kilka ogólnych uwag dotyczących rozwoju sztuki w Polsce.

(1) Kwestya kiedy i kto wynalazł sztukę sztycharską, długo rostrzygniętą nie była. Niemcy i Włosi walczyli z sobą o piérwszeństwo. Piérwsi przypisywali ją Marcinowi Schoengauer, odnosząc piérwsze jego sztychy do roku 1460; drudzy nie mogąc ściśle oznaczyć daty, odwoływali się do tradycyi, na mocy któréj Tomasz Finiguerra, uczeń sławnego malarza Massaccio, znakomity już w r. 1450 rysownik i rytownik, miał odkryć przypadkiem sposób odbijania na papierze, wykonywanych na metalu niellów; lecz nie mając na to żadnego innego prócz tradycyi dowodu, w rozszerzeniach swych upaść musieli. Dopiéro w r 1797 ksiądz Zani, słynny znawca sztuki, przybywszy do Paryża dla zwiedzenia gabinetu sztychów, odkrył odbicie na papierze z niellu Finiguerry, odnoszące się bez zaprzeczenia do roku 1452; a w r. 1802 ogłosił swoje odkrycie całemu uczonemu światu, w dziele pod tytułem: *Materiali per servire alla storia dell'origine de' progressi dell'incisione in rame.* Niemiec Bartsch usiłował jeszcze rzecz tę podać w powątpiewanie, ale dowodzenia jego bezzasadne upadły, a dziś już nikt nie wątpi, że honor tego wynalazku należy się Florencyi. (*L. Vitet. Etudes sur les beaux arts*). Tom I stron. 255.

Jak każdy lud Europy miał swoje własne życie, swój własny duchowy organizm, i skutkiem tego posłannictwo wybitne względem samego siebie i innych ludów, tak też i owi pierwotni Słowianie, z których wyrosła Polska i jéj dzieje, mieli własne swoje religijne, umysłowe i polityczne życie. Prawdę tego życia potwierdzili już dziś, nieskłonni do przyznania czegokolwiek Słowianom niepodlegli uczeni niemieccy, uznając Słowian za pierwéj od Germanów w Europie osiadłych, od których później nadeszłe Germany piérwsze zarody cywilizacyi przyjęły (1). Samoistność ta jednak długo zaprzeczana i cień rzucony na pierwotne dzieje ludu naszego, przez uczonego autora Prawodawstw słowiańskich, który ducha słowiańskiego niemowlęcym uznawszy i po za Słowianami szukając objaśnienia zasady społecznego i politycznego ich życia, Niemcom przyznał wszelką w dziejach pierwotnych tego ludu pojawiającą się twórczość, niemniéj jak autora Lechickich początków Polski, twierdzącego, że Lechici założyciele państwa byli to Skandynawy, Normany, ci sami, którzy późniéj Słowianom Nowogrodu i Kijowa panowali—sprawiły, iż wszelkie poszukiwania archeologiczne, świadczące o istnieniu sztuki u Słowian, pracowicie zebrane i opisane w różnych dziełach, nie zwróciły uwagi ogółu.

Teorya o pochodzeniu Lechitów niemieckiém lub normandzkiém, głębiéj rozważona ma obszerne znaczenie. Odmawia ona Słowianom samoistności, mocy poczęcia i rozwinięcia twórczo czegokolwiek u siebie, a na takich zasadach historycznych, wszelkie dzieło traktujące o sztuce, stawało się mniéj lub więcéj dokładném zebraniem luźnych szczegółów całości organicznéj pozbawioném, a tém samém mało zajmującém.

Po bliższém zbadaniu dziejów okazało się, że Słowianie, lud z pokolenia Jafeta, bardzo wcześnie, bo na czternaście wieków przed Chrystusem, wyruszywszy z Azyi, osiadł na północno-zachodniéj stronie Europy i rozszerzając się coraz bardziéj, złączył się z osadami greckiemi ponad ujściem Dniepru, Bohu i nad brzegami morza Czarnego założonemi, i z państwem rzymskiém, dosięgając brzegów Adryatyckiego morza. Lud ten wcześnie osiadły, przywiązany do swéj ziemi, śpiewny, wesoły, szlachetny, jak mówi Śty Otto, od chwili pojawienia się swego na polu dziejowém, zdradza w całym swoim charakterze, głębokie do sztuki usposobienie.

(1) Patrz Pismo zbiorowe J. Ohryzki.

Lud ten budownik, przyjmuje cywilizacyą od Greków i Rzymian, rozwijając ją samodzielnie u siebie; przepłyną po nim dążące na rozbicie Rzymu, dzikie, niezakochane w ziemi ani w stałych siedzibach Germany, wezmą od niego piérwsze zarody cywilizacyi, lecz z usposobienia zdobywcze i rozbiorcze, napełnią świat szczękiem swego oręża i przyćmią na chwilę dzieje ludu budownika. Wypłynie on jednak na wierzch, stawi sobie z własnych piersi przedmurze, obroni swą ziemię, ocali narodowość. Ale nie na tém się skończą zapasy z Teutonami: niemiecka uczoność zapragnie wydrzeć Słowianom samodzielność i twórczość duchową, jak niegdyś pragnęła wydrzeć ziemię. Sztuka, prawodawstwo, dwa główne objawy życia samoistnego narodowego, za wypożyczone od Niemców uznane zostaną. Prześliźnie się jednak nie zdoławszy dotknąć gruntu rzeczy i ta zawierucha naukowa; dzieje Słowian, najlżejsze ślady duchowego ich życia, staną się przedmiotem troskliwych badań: one wykażą w właściwém świetle charakter i prace przodków naszych. Zwrot ten, jakkolwiek niedawny, już niejakie objaśnienia i wskazówki do historyi sztuki u Słowian podał (1).

Opierając się zatém na dotychczasowych odkryciach, wsparci na ogólnym i koniecznym rozwoju ducha ludzkiego, sprawdzonym dostatecznie tak na narodach starożytnych jako i nowożytnych, historyą sztuki u Słowian możemy podzielić na trzy okresy.

Piérwszy okres stanowić będą kamienne groby, gęsto na naszéj ziemi znajdowane, w których składano ciała zmarłych niepalone. Staranna budowa tych grobów, dowodzi wiary w nieśmiertelność duszy, olbrzymioś głazów piérwsze dziecinne pojęcia grozy, strachu, do któréj to epoki odnieść także należy zbłąkane z owych czasów a widziane późniéj owe bogi kilkogłowe, groźne i silne, wspominane i opisywane po niemieckich kronikach. Słowianie w téj epoce żyją jeszcze wspomnieniami pierwotnéj ojczyzny, wielbią naturę, korzą się przed nią, dają umarłym młoty, bogom zwierzęce głowy.

Następuje jednak ważna przemiana w wyobrażeniach religijnych, idealizuje się i wznosi pojęcie nieśmiertelności, ciała zmarłych są palone, pojawiają się w grobach ozdoby, ślad już bardziéj rozwiniętego uczucia piękna, w życie społeczne, w życie codzienne wchodzącego. Lud strojny i zdobny, musiał téż mieć zdobniejszych i piękniejszych bogów, sztuka bowiem płynąc z religii i będąc owocem myśli, zatrudnia się przedewszystkiem z konieczności

(1) Józef Kraszewski. Sztuka u Słowian.

w tejże myśli istniejącéj, rzeczami Boskiemi, usiłując uwidomić dla ziemi pojęcia i wyobrażenia religijne. Myśl o Bogu nie zaś potrzeba, zbudziła do życia człowieka: piérwszy wschód słońca stał się dla niego piérwszém objawieniem wielkości i miłości Boga, nieskończone przestrzenie ziem i wód, piérwszém objawieniem nieskończoności, świat dzieło Boże, przedmiotem czci i uwielbienia.

W tym świecie, z którego się jeszcze nie wyróżnia, widzi on niszczące i odradzające potęgi, a ujęcie w symbol tych potęg staje się piérwszém dziełem jego myśli, piérwszym zawiązkiem sztuki, i trzeba długiego czasu, zanim sztuka z tych wyżyn w życie społeczne wpłynie i rozszerzone uczucie piękna w strojach i sprzętach się objawi. Na téj zasadzie wsparci, możemy przypuścić śmiało, że epoka palenia ciał zwana epoką bronzu, z powodu znajdujących się w grobach różnych ozdób z tego metalu, jest już epoką wyższego rozwoju religii i sztuki, epoką piérwszego pojawienia się jednogłowych malowanych kolorami bogów, koło których mnożą się symbole siły, potęgi, zemsty, dobroczynnéj opieki, ładu, gościnności i innych cnót i przymiotów. Znajdowane małe posążki bożków misternie niekiedy wykonane, same przez się pewną już myśl wyrażające, których znaczna liczba dochowała się do naszych czasów; duch miłości, pokoju, zgody, przeważnie z tych utworów wiejący, do téj je dozwala odnosić epoki.

Trzecia epoka żelaza, najbliższa nas, w któréj znajdujemy ciała palone i niepalone, dowodzi już wnikania nowéj idei, a upadku staréj. Giną tradycye pogańskiéj Słowiańszczyzny wsparte w sztuce wpływem Grecyi i Rzymu, bogi się mnożą, ale dobiegając już epoki chrześciaństwa, pomimo wyżéj udoskonalonéj formy, słabsze pojęciem i potworniejsze; robota w nich pospieszna, znać, że już odchodzą, że się boją, bo straszyć usiłują. Ginie oryginalna sztuka na pierwiastkach narodowo religijnych oparta, ścierają się niebawem ślady jéj z ziemi. Słowianie są ostatnim w Europie pogańskim ludem; szybko téż i krwawo zachodzi nad nimi słońce starożytnego świata. Ludy germańskie chciwe łupu, zaprawione w morderstwach ze świeżemi jeszcze wspomnieniami zdeptanego przez siebie państwa rzymskiego, nie słowem i przykładem, jak piérwsi chrześcianie, ale mieczem i gwałtem opowiadać będą nową wiarę, a ujemnym i rozbiorczym wpływem, opóźnią wzrost i rozwijanie się samodzielne cywilizacyi słowiańskiéj. Taka jest jednakowoż duchowa siła tego ludu, że zaledwie zdołał on ustalić swoje granice i powściągnąć łupieztwa Niemiec, już wszyst-

kiemi porami wciągając w siebie światło wiary Chrystusa, wprowadza jéj zasady we wszystkie objawy życia narodowego.

Duchowieństwo z Włoch i Niemiec wnosi do Polski piérwsze wyobrażenia sztuki chrześciańsko bizantyjskiéj, a Bolesław Chrobry od połowy panowania zwróciwszy przeważnie oręż i widoki swoje ku Wschodowi, nowe ujście tradycyom bizantyjskim otwiera. Pozostałe też z owych czasów zabytki, nietylko że nie są niższe od zachowanych z tychże samych czasów zabytków innych ludów, ale niektóre nawet odznaczają się pewném usiłowaniem wyrażenia duchowego znaczenia pojęć mistycznych, co jest już nader rzadkie w téj epoce. W dalszym ciągu sztuka w Polsce, również jak i u wszystkich ludów Europy rozwijając się na jednakowych pierwiastkach religijnych, nosi na sobie oprócz ogólnéj chrześciańskiéj cechy, wyraźne piętno tradycyj bizantyjskich: świątynie, zamki, rzeźby, apparata kościelne, tenże sam mają styl, ten sam wyraz duchowy, z małą tylko w budowlach przez klimat wymaganą różnicą.

Nastają średnie wieki. Świetne czasy gotyckiéj sztuki odbiły się i u nas w tém, co miały w sobie ogólnego, Boskiego i ludzkiego zarazem; mieliśmy swoich mistrzów, pozostały nam ślady ich prac i niemylne wskazówki wielkiego w sztukach przodków naszych zamiłowania. O ile nam okoliczności historyczne dozwoliły, przykładaliśmy się do powiększenia skarbnicy ogólnéj ludów; dziś jednakże po tylu straszliwych przejściach, mało już na naszéj ziemi pozostało śladów téj pracy. Dzieła architektoniczne oparły się tu i owdzie wpływowi wojny i czasu, malarstwo i rzeźba prawie całkiem zaginęły. Na świadka jednak przeszłości i dorobek na przyszłość pozostał nam ołtarz Stwosza w kościele Maryackim w Krakowie, a na wyłączny użytek kilka figurek tegoż mistrza kipiących życiem narodowém. Z epoki Odrodzenia, chociaż daleko nas bliższéj, mniéj jeszcze pozostało śladów; nowy ten głos wzywający ludy do nowych usiłowań, jakkolwiek nader nam sympatyczny z powodu swéj indywidualności, nie mógł być dosłyszanym przed szczękiem oręża, a jeżeli tu i owdzie stanął pomnik, pierś wezbrała natchnieniem, to wnet jedno i drugie pochłonęły nieszczęścia publiczne.

Skreśliwszy pokrótce ogólne dzieje sztuki i naznaczywszy stosunek szczegółowy sztuki w Polsce do tychże ogólnych dziejów, niejako za komentarz do ocenienia artystycznego dzieła służyć mające, przystępujemy do wyliczenia niektórych zabytków wyróżniających się od innych wyższą estetyczną wartością.

Wyszczególnienie to będzie krótkie, raz dlatego, że wszelkie opisy dzieł plastycznych nie dają nigdy jasnego o nich wyobrażenia; powtóre, że objaśnienia historyczne szczegółowe, potrzebne do dobrego ich zrozumienia, umieszczone są już obok wizerunków i niepotrzebnie na tém miejscu byłyby powtarzane.

Kielich Dąbrówki z X wieku, srebrny pozłacany, cały ozdobiony rytowaniem czarną farbą napuszczoném (nielle), wyobrażającém sceny biblijne ze Starego i z Nowego Testamentu, symboliką swą okazuje charakter sztuki bizantyjskiéj. Figury, jakoto Mojżesz uglądający Boga w krzaku gorejącym, oraz Chrystus na krzyżu i dwie postacie obok krzyża stojące, z których jedna przedstawia Polskę chrześciańską, a druga zwyciężone pogaństwo, znajdujące się na patynie od tego kielicha, okazują wyraźne silenie się na wyrażenie oderwanéj myśli w plastycznych kształtach, niedomierzających wyrazem podniosłości ducha. Brak proporcyi, niezgrabność i sztywność kształtów, właściwa téj epoce sztuki, i tu się wyraźnie odbija. Całość jednak tego kielicha jest bez zaprzeczenia formy prostéj i poważnéj, a symbolika myśli w rozmaitych figurach i emblematach wyrażona, głęboką religijnością nacechowana.

Relikwiarz katedry kujawskiéj z X wieku, z jednéj sztuki drzewa dębowego, miedzianą blachą pokryty, na któréj na tle emaliowaném wyżłobiony jest Chrystus w gronie apostołów, oddający chorągiew chrześciańskiego kościoła św. Piotrowi.

Relikwiarz łęczycki z XI wieku, w kształcie książki z blachy srebrnéj trybowanéj, którego odwrotna strona przedstawia Chrystusa na krzyżu, a N. Pannę i św. Jana płaczących u stóp Jego. Kielich i patyna srebrne, pozłacane i niellowane, fundacyi Konrada ks. mazowieckiego, z XIII wieku, są wykonane z równą prostotą religijną i uczuciem głębokiéj wiary. Nie ma tu piękności kształtów, smaku mogącego zadziwić oko nasze; ale pomimo to czujemy powiew natchnionéj myśli i wiary, która w ubóstwie formy gorącą modlitwą serca do nas przemawia. Głowa srebrna św. Zygmunta króla burgundzkiego, w Płocku, przez Kazimierza W. sprawiona 1370 r., a wykonana przez Stanisława Zemelkę złotnika płockiego, świadczy o wyższém już wtedy pojęciu téj sztuki. Zabytek ten daje nam dokładne wyobrażenie surowego stylu, otrząsającego się już z form bizantyjskich. Kontury téj głowy są wprawdzie jeszcze ostre, ale charakter całości imponujący wyrazem, również jak pojęcie proporcyi części i traktowanie partyi włosów, znanionują cechy budzącego się artyzmu. Głowa ta dla zalet, jakie

posiada, może być policzoną do najpiękniejszych zabytków ówczesnego złotnictwa.

Chrzcielnica w kościele św. Jana w Toruniu, należy do najdawniejszych zabytków tego rodzaju. Łuki framug zdobiących ją do okoła okazują przejście ze stylu romańskiego do gotyckiego: należy więc do wieku XII lub XIII.

Kielich Kazimierza W. w Trzemesznie, srebrny pozłacany, wypukłą rzeźbą i emalią ozdobiony, zawiera na części środkowéj, w sześciu medalionach, na tle z emalii rytowane głowy: Zbawiciela, N. Panny i cztery inne ewangelistów. Na podstawie w gotyckich medalionach są trzy postacie emaliowane, których znaczenia trudno dziś odgadnąć. Cała podstawa ozdobiona jest w łuki bizantyjskie, połączone z liściowemi ozdobami. Kielich ten nosi na sobie cechy dwóch stylów, tojest: bizantyjskiego i gotyckiego, przedstawiając epokę przejścia, a został sprawiony r. 1351.

Krzyż Kazimierza W. w katedrze krakowskiéj, złoty, drogiemi kamieniami wysadzany, kształtu grecko-ruskiego, z początku wieku XIV, zdobny w sploty liści urozmaicone postaciami konnych rycerzy i ptaków, wskazują styl sztuki bizantyjskiéj, która w XIV wieku ustąpiła przed rozwijającą się przeważnie sztuką gotycką. Cudowny obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj jest niezaprzeczenie najdawniejszym zabytkiem bizantyjskiego malarstwa w kraju dochowanym. Władysław książe opolski, w r. 1382 z zamku bełzkiego go przywiózł i na Jasnéj Górze w kaplicy umieścił.

Do najdawniejszych zabytków gotyckiego malarstwa z XIV wieku, w kraju, należy malowanie ścienne (al fresco) w kaplicy przy kościele Lędzkim, przedstawiające w framudze ostrołucznéj, podzielonéj w szerokości na dwie części przedziałem, u góry pięć Mądrych Dziewic z koronami na głowach, a z zapalonemi lampami w ręku. W dolnéj połowie, św. Mikołaja w stroju podróżnym, otoczonego mnóstwem różnych figur klęczących.

Do najdawniejszych malowań zdobiących katedrę krakowską z XIV wieku, należą wizerunki św. Wojciecha i św. Stanisława, malowane na pozostałych drewnianych, szafiastego ołtarza gotyckiego stylu podwojach, na tle złocistém zdobném w liście i arabeski.

Obraz nadgrobny Wierzbięty w Ruszczy, z XV wieku, przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus na ręku, naprzeciw któréj stoi w całéj postawie św. Grzegórz papież z tyarą na głowie, polecający Najświętszéj Pannie rycerza klęczącego Wierz-

biętę z Branic. Obraz ten malowany pierwotnie na tle złotém, które później z powodu uszkodzenia zmienione zostało, nosi na sobie cechę stylu szkoły średniowiecznéj.

Chrzcielnica w kościele św. Krzyża w Bodzentynie, z r. 1492, kamienna, w stylu gotyckim rzeźbiona, z napisem Jezus, Marya, wielką powagą i prostotą się odznacza. Relikwiarz na głowę św. Floryana, przez królowę Zofią czwartą żonę Władysława Jagiełły, katedrze krakowskiéj ofiarowany, otoczony dokoła niszami gotyckiego stylu, w których pomieszczone są posążki świętych, bardzo pięknym jest zabytkiem złotnictwa XV wieku.

Grobowiec Kazimierza Jagiellończyka, z czerwonego centkowanego porfiru wykuty, w stylu gotyckim i wytwornego smaku, ornamentami i figurami ozdobiony, przez W. Stwosza r. 1489, należy do najpiękniejszych pomników rzeźby z XV stulecia.

Obrazy z XV wieku a mianowicie Dysputa doktorów w przytomności króla Władysława Jagiełły r. 1431, oraz pokłon Trzech Króli przejęte przeważnie duchem gotycyzmu, ważnym są zabytkiem ówczesnego malarstwa, wskazującym, jak długo u nas ten styl się utrzymywał, pomimo rozwijającego się we Włoszech stylu Odrodzenia.

Do najpiękniejszych malowideł zdobiących pargaminowe rękopisma również gotyckiego charakteru, należą miniatury pontyfikatu Erazma Ciołka z XVI wieku, przedstawiające: obrzęd koronacyi króla Alexandra w katedrze krakowskiéj; król ukoronowany, siedzący na majestacie wśród téjże katedry i hołd królowi składany. Są to istotne arcydzieła czystości kolorytu i subtelnego wykończenia.

Relikwiarz na głowę św. Stanisława, z XVI wieku, w stylu gotyckim wykonany, wysokie daje wyobrażenie o doskonałości złotnictwa krajowego. Talerz emaliowany króla Alexandra, z XIV wieku, wytwornemi arabeskami zdobny, okazuje wyraźne cechy znamionujące epokę Odrodzenia.

Nagrobek kardynała Fryderyka Jagiellończyka, przez Zygmunta I bratu postawiony 1503.

Do tego czasu należy bardzo piękna monstrancya i relikwiarz Zygmunta I, zachowane w skarbcu częstochowskim; niemniéj relikwiarz św. Zygmunta wykonany w smaku Odrodzenia, ofiarowany katedrze krakowskiéj 1518 r. przez Zygmunta I i Bonę Sforcyę w tymże roku zaślubioną królowi.

Klejnoty po Zygmuncie I.

Miecz Zygmunta Augusta skruszony na pogrzebie w Krakowie, którego górna część pochwy i rękojeść pokryta jest misterną rzeźbą w stylu włoskim, z r. 1540, niezwykłą odznacza się pięknością.

Klejnoty z XVI wieku.

Obrazek Matki Boskiéj po królowéj Maryi Ludwice, dwóch z kolei królów, Władysława IV i Jana Kazimierza małżonki, tak pod względem malowania, jako i rzeźbionéj ramki, zabytek ten jest niepospolitéj piękności.

Wiele moglibyśmy znaléźć dowodów historycznych, wyjaśniających powody rozwoju sztuki złotniczéj w owym czasie, ograniczymy się tu tylko na wymienieniu tych, które najwięcéj mają związku z przedmiotem naszym.

Oprócz stosunku z Włochami z powodu królowéj Bony i zamiłowania téjże w zbytku kunsztownym i artystycznym, przyjaźń Zygmunta I dla Maksymiliana cesarza niemieckiego, a ztąd zbliżenie się do Niemiec przyczyniło się do wzrostu złotnictwa krajowego. Niemcy w onych czasach krzątały się już bardzo około sztuki: Norymberga ulubione miasto cesarza Maksymiliana, położona między Renem a Dunajem, przez swój handel, przemysł i stosunki z Wenecyą stała się jedném z najznakomitszych miast cesarstwa. Wszystkie kunszta stykające się ze sztuką, a mianowicie: złotnictwo, płatnerstwo, bronzownictwo i sama nawet sztuka rzeźbiarska, malarska i drzeworytnicza, podniosły się do wysokiego stopnia. Żyli w niéj podówczas sławni złotnicy: Ludwik Krug, Marcin Zagiel; rzeźbiarze: Piotr Wischer z pięcią synami, Pankracy Lebenwolf, Kraft; malarze: Wolgemuth, Kasper Rosenthaler, europejskiéj sławy Albert Dürer przyjaciel naszego Wita Stwosza i Hans młodszy brat Alberta Dürera, który był malarzem Zygmunta I około r. 1505 (1).

Upodobanie, jakie Zygmunt August miał w złotnictwie, wiele przyczynić się mogło do uprawy téj sztuki w Polsce, wiedząc zwłaszcza, że „do klejnotów i rzeźby na nich trzymał król Jana Giacomo z Werony", przy którym wielu złotników krakowskich kształcić się mogło. Miecz Zygmunta Augusta przysłany mu od papieża Pawła III 1540 r. w stylu włoskim wykonany, należy do najpiękniejszych pamiątek z owych czasów.

Tarcza ze zwycięztwem Leszka Czarnego znajdująca się w zbrojowni królewskiéj w Dreznie po nad zbroją wyrobu sławne-

(1) Patrz, Słownik malarzy polskich. B. E. Rastawieckiego. Tom I str. 153.

go Benvenuto Celliniego, wykonana w stylu Odrodzenia, dla króla Jana III, z wieku XVII, na szczególną uwagę zasługują.

Ołtarzyk hebanowy w skarbcu częstochowskim, kielich królewicza Karola Ferdynanda w Płocku; pochwa od szabli hetmana Żółkiewskiego i buławy znajdujące się w skarbcu częstochowskim.

Zbroje, jakie znajdujemy w niniejszém dziele, wszystkie są bardzo piękne i stanowią niepospolity materyał dla malarzy historycznych.

Zbroja króla Stefana Batorego, stalowa, pasami z arabesków złotych przyozdobiona, wśród których jaśnieje na piersiach męka Zbawiciela, jest wykonana z takiém pojęciem sztuki płatnerskiéj, że dla powagi swéj i prostoty, ideałem zbroi nazwaną być może. Bogatsza o wiele i kunsztowniéj wykonana, ale mniéj poważna jest zbroja księcia Radziwiłła Sierotki. Obie znajdują się w zbiorze ambryjskim w Wiedniu. Trzecia zbroja łuskowa ze złotym orłem i piórami na hełmie Jana Sobieskiego, bardzo szacownym jest równie zabytkiem.

Ornaty pozostałe z dawnych czasów okazują nam pracę nacechowaną prawdziwie religijną myślą, oraz niepospolitym smakiem wykonania. Robiono je najczęściéj z bogatych materyj lub aksamitu i haftowano złotem, srebrem, lub perłami. Po środku umieszczano krzyż dzielony na części gustownemi ornamentami, w których wykonywano epizody z życia świętych. Figury rzeźbiono z drzewa i obciągano jedwabnym haftem, ztąd też obrazki te podobne są do malowanych płaskorzeźb.

Do najpiękniejszych zabytków tego rodzaju należy: ornat perłowy w skarbcu częstochowskim z XIV wieku, przedstawiający św. Pawła apostoła i św. Pawła pustelnika, oraz ornat Kmity z męczeństwem św. Stanisława z XVI wieku w katedrze krakowskiéj.

Przedstawiwszy w krótkości historyą sztuki i wykazawszy w jakim stosunku mają się do niéj zabytki pozostałe w Polsce, zobaczyliśmy, że sztuka wyrasta z wiary a żyje i rozwija się tradycyą dziejową; prawdziwą tedy przysługę wyświadczyli krajowéj sztuce ci, co zebrawszy mozolnie prace naszych poprzedników, stawiają nam je przed oczy, abyśmy przejrzawszy się w zwierciadle przeszłości zobaczyli, czém byliśmy, a czém nam być przystało.

W zakresie malarstwa stoimy bez zaprzeczenia o wiele wyżéj od naszych przodków, chociaż daleko jeszcze od dzisiejszego

ideału; ale potężnego dłuta Wita Stwosza nikt jeszcze nie podniósł, a jeżeliśmy znacznie pod względem formy postąpili, nikt się nie dobił takiego poczucia charakteru, a cóż dopiero wzniosłéj myśli religijnéj.

W złotnictwie, kunszcie tak ściśle ze sztuką zbratanym, wyroby ręki zastąpiły wyroby myśli. Upadek złotnictwa wprawdzie dał się uczuć i w całéj Europie, ale kiedy inne narody biorą się już na seryo do dzieła, usiłując związać zerwaną tradycyą, my bezmyślnie na chwałę Bożą, produkcye rzemieślnicze jako ofiary pobożności składamy (1). O ornatach niegdyś tak misternie ręką kobiecą wyrabianych nie ma już nawet co mówić, myśl poważna przodków, daleka już od nas; chińszczyzna pod tym względem zupełna, i życzyćby należało, aby fundatorowie aparatów kościelnych, czy to świeccy czy duchowni, dbali nie mówimy już o dobro kraju i postęp sztuki, ale o przyzwoitość chwały Bożéj, a przeglądaniem tego dzieła smak swój estetyczny wykształcić chcieli.

Zastanowiwszy się nad całém dziełem, bez wahania musimy mu przyznać wysoką wartość artystyczną. Nigdzie nie spostrzegamy pośpiechu, lekceważenia lub braku staranności; owszem przekonywamy się, że głębokie zamiłowanie rzeczy ojczystych i niepospolite znawstwo kierowało wydawnictwem tego dzieła, a wszystkie przedmioty przez doskonałych rysowników wykonane, z sumienną starannością odbiła chromolitografia.

Ludwik Buszard.

Powiastki polskie przez Fr. hr. Skarbka. Ozdobione dziesięciu drzeworytami wedle rysunków Kostrzewskiego. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego 1861, w 8-ce, str. 118.

Powiastki te uważać raczéj należy jako wspomnienia autora, spisane albo z własnych wrażeń, albo téż z podania. Wszystkie nawet mają tę raczéj formę i jedna tylko p. n.: *Dwie siostry*, zbliża się więcéj do powieści w maleńkich rozmiarach. Ułożone są w ten sposób, że z każdego okresu zmian, jakie nasza ojczyzna przecho-

(1) P. Damiron, znakomity badacz starożytności, wydawca Roczników archeologicznych, założył niedawno pracownię złotniczą, z któréj wychodzą znakomite apparaty kościelne.

dziła, wspomnienie obudza właściwe czasy. Tak *Wyprawa kujawska* jest wspomnieniem 1794 r. Kościuszki i oblężenia Warszawy przez Prusaków; *Hulanka w sądzie*, zaboru Kujaw przez tychże Prusaków; *Łukasz Stempel* z czasów pruskich, gdy Warszawa zamienioną została ze stolicy rzeczypospolitéj w miasto prowincyonalne pruskie, wnijścia Francuzów do Polski, utworzenia Księztwa Warszawskiego, i wyprawy do Moskwy 1812 r. *Dwie siostry*, to ustęp piękny z r. 1809, bitwy pod Raszynem, śmierci walecznego Cypryana Godebskiego i powrotu wojsk zwycięzkich narodowych po wypędzeniu z granic Księztwa Warszawskiego przeważnéj armii austryackiéj. Do tegoż okresu należą: *Przewoźnik*, *Jeniec wojenny* i *Jaszczułt*. Do ostatnich najbliższych nam a najsmutniejszych, należy powiastka, p. n.: *Mundur*.

Kto żyje wspomnieniami narodu swego, kto zna chociażby z podania dzieje jego, dla tego powiastki Fr. hr. Skarbka, drogocenną będą książką.

„Po żniwie (pisze autor w przedmowie), jakie historya na polu dziejów towarzyskich dokonywa, pozostają ściernia, na których można jeszcze zebrać plon obfity upuszczonych kłosów, które szkoda zostawić w polu, które zebrać warto, żeby z nich upleść wianek do gospodarskiego domu, po dożynkach przez żniwiarzy przeznaczony. I ja uplotłem wianek z kłosów i kwiatów na ojczystém ścierniu zebranych: zachowałem w przybytku pamięci mojéj zasuszone listki i ziarna, które, lubo dziś pozbawione dawnéj świeżości, barwy i woni, przypominają jednak czém były, gdy je ziemia ojczysta wydała, karmiła i do wzrostu doprowadziła."

Sam autor w téj przemowie przyznaje, że to są: „obrazki wspomnień współczesnych zdjęte z natury."

Kto przeżył tyle zmian krajowych jak autor, ten ma bogatą skarbnicę drogocennych wspomnień. Dał nam już je dawniéj w *Pamiętnikach Seglasa*, w *Dodosińskim* i w *Panu Staroście*, jednéj z najpiękniejszych powieści w literaturze naszéj. Jest jednak jeden okres najulubieńszy Fr. Skarbka, a tym są czasy Księztwa Warszawskiego. Najwięcéj z nich dał nam téż obrazków w wydanych *Powiastkach polskich: Pan starosta* sięga téż czasów pruskich, a głównie tego okresu. Kreśląc powieści tamtéj epoki, przeszedł na stanowisko poważnych dziejów: jemu téż zawdzięczamy pierwsze a zaprawdę wysokiéj wartości dzieło, *Dziejów Księztwa Warszawskiego*.

Bo téż to były czasy pełne zapału i poświęcenia, na które patrzał nasz autor młodémi jeszcze oczyma. W dziejach Polski

ustęp ten historyczny jaśnieje szczególniéj: dokładny obraz całéj społeczności naszéj we wszystkich odcieniach, dałby nam nie mało nauki. Lud wyzwolony zyskuje wolność osobistą bez własności, i z tego nierozważnego kroku, na który wpłynęła jedynie resztka panów polskich z czasów rzeczypospolitéj, zbieramy gorzkie owoce. Z ludu tego żołnierze przechodzą zwycięzkim krokiem całą Europę, secinami giną we Włoszech, w Hiszpanii, tysiącami w śniegach Północy: ci co ocaleli, potrafili zdobyć sobie stopnie oficerskie, bo w téj wielkiéj armii nie pytano kto szlachcic czy chłop, ale kto waleczny? Ciekawe to były postacie: ludzie ci nie umiejący po większéj części czytać i pisać, jakżeż się wykształcili w życiu obozowém. Oni to byli pierwowzorami dla nas, czém chłop polski być może z wrodzonym rozsądkiem, chłopskim rozumem, a szlachetnością charakteru, jeżeli szczerze mu dopomożemy do oświaty. Prawo obywatelstwa rozszerzone dla ludu, da siłę pokrzepiającą na całą przyszłość narodowego życia.

Autor dał krótkie wspomnienie o *Jaszczułcie*, który przeszedł w tradycyą narodową. Rzeczywiście postać tego awanturniczego rotmistrza z pułku jazdy Strzyżewskiego, musi obudzać podziwienie słuszne. Więcéj krąży o nim podań wiarogodnych pomiędzy tymi, co go znali osobiście. Zjawia się on jak widmo z 1809 r. we dwadzieścia dwa lat późniéj i ginie pod Ostrołęką w r. 1831 w krwawéj a pamiętnéj bitwie.

Powiastki polskie zdobi dziesięć drzeworytów wedle rysunków F. Kostrzewskiego: ale drzeworytów chwalić nie możemy, bo zepsuły dobre rysunki naszego artysty! Zresztą wydanie staranne i poprawne. Szczupła ta książka co do rozmiarów, ale bogata w treść rzeczy, zasługiwała na taką edycyą; wartość jéj bowiem nieporównanie jest wyższą nad mnóstwo powieści znanych w 2, 4 i 6 tomach, któremi karmiono przez lat wiele młode pokolenie polskie. Opowiada wdzięcznie i rzewnie nieraz z humorem wypadki, językiem czysto rodzimym i potoczystym. Znaleźli także w tych powiastkach miejsce nasze dzielne chłopy wiarusy *(Przewoźnik, Mundur)*, co ze szlachtą szli na równi w krwawych bojach pod chorągwią Napoleona I, czy pod skwarném słońcem San-Domingo, Hiszpanii, depcąc Maurów ślady, jak w mroźnéj Północy, co sami jedynie przyśli z bronią w ręku na granicę Polski, gdy *stara gwardya* zgłodniała i przeziębła, rzucała broń w pamiętnym odwrocie. Tym wojakom należy nasza cześć i wspomnienie braterskie.

K. Wł. W.

Machiawell, jego życie i pewne wybitne strony zawarte w jego dwóch głównych pismach historyczno politycznych, przez Ludwika Żychlińskiego. Poznań 1861 r. — Żaden z pisarzy świata nie był podciągniętym pod tak dwuznaczną opinią jak Machiawell. Kiedy jedni widzą w nim doradzcę ucisku działającego na szkodę rządzonych, drudzy korzą się przed jego patryotyzmem i demokratyczną zmyślnością. Nie musiała być czysta zasada i intencya Machiawella, kiedy nie chciał, czy nie potrafił wypowiedzieć jéj w sposób jasny i nie pozostawiający żadnéj co do charakteru piszącego wątpliwości; kiedy imię jego aż po dziś dzień przetrwało jako symbol podstępu i zdrady. Z hałasu, jakiego narobiły jego teorye, mógłby go ktoś wziąć za człowieka bardzo za życia wpływowego; tymczasem rola jego była nader podrzędną, ograniczającą się na funkcyi prostego sekretarza lub biernego wykonawcy dyplomatycznych zleceń. Prace jego polityczne, jak *Traktat o księciu* (o Panującym) i *Rozprawy nad Liwiuszem* — nie były natchnione czynném działaniem około spraw publicznych, ale były owocem cichych dumań, odbywanych zdala od wszelkich interesów polityki. Nie powiemy, ażeby z pism jego nie można było poznać człowieka, w którym bije obywatelskie serce; serce dobrego Włocha, który z boleścią spogląda na kraj szarpany niezgodą wewnętrzną i najazdami obcych: rady też jego do tego głównie zmierzają, aby przez skupienie władzy w jednę a silną rękę, niezgodę zgnieść i tamę najazdom położyć. Cel bardzo piękny, ale o ten nie trudno; najważniejszym interesem tu są środki, i w nich też leży cały sekret dwuznaczności opinii Machiawella. Tu bezwzględna sprawiedliwość usunięta na bok, a na tronie bóstwa osadzona polityka, która też istotnie od czasów Machiawella, podniesiona do wysokości systematu, stała się bóstwem europejskiém. Usunięcie najemników i zaprowadzenie wojska narodowego, przez Machiawella proponowane, jest zapewne tym środkiem, którego nikt zganić nie może, ale jest to środek szczegółowy; cały zaś charakter działania politycznego zmierza do tego, iż nad krajem zapanować powinien człowiek jeden bez względu na to, czy godziwemi, czy zbrodniczemi środkami, byle tylko wyswobodził Włochy z pod jarzma barbarzyńców. Środki zatém, pomiędzy któremi bezwzględne zbrodnie poczytują się za względne cnoty, zastosowane do wszystkich artykułów życia publicznego, nadają pismom Machiawella ten charakter wstrętny, oburzający tych, co nie mają ufności w takim sofizmacie, aby złe dało się godziwie użyć jako fundament do dobrego, i zbrodnię nazwaliby zbrodnią, chociażby ona

niebo nawet otworzyć obiecywała. Pogląd Machiawella jako polityka był głęboki, co się pokazuje ztąd, iż on w XVI żyjąc wieku i zapatrując się na współczesny sobie świat, z tego co widział, wywnioskował drogi, jakiemi ludzkość przechodzić będzie zdążając do politycznych reform, i jak na dłoni spisał stan rewolucyi francuzkiéj i działań Napoleona. Pisma jego z powodu mnóstwa analogii do teraźniejszego położenia Włoch, budzą dziś wiele zajęcia, ale, ściśle wziąwszy mało przedstawiają humanitarnéj nauki, témbardziéj dla nas. W każdym jednak razie nad traktat o „Panującym" przekładamy *Rozprawy*, które nierównie więcéj mieszczą spostrzeżeń głębokich, wartości ogólnéj i trwałéj.

Autor niniejszéj rozprawy krótko ale umiejętnie streścił charakter pism Machiawella, kto więc chce być o nich poinformowanym, temu chętnie zalecamy przeczytanie téj broszurki, témbardziéj, iż jest to, zdaje się jedyna praca, jaka o Machiawellu ukazała się w języku naszym. (*x.*)

KORRESPONDENCYE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Mam zaszczyt upraszać imieniem Towarzystwa naukowego poznańskiego, o zamieszczenie załączonych konkursów, w swém pismie.

Poznań, d. 4 stycznia 1862 r. *Leon Wegner.*

Dnia 16 grudnia 1861 r. odbyło się posiedzenie publiczne Towarzystwa Przyjaciół Nauk tutejszego, na wielkiéj sali pałacu Działyńskich. W obec nader licznie zgromadzonéj publiczności, któréj część znakomitą stanowiło świetne grono dam naszych, zagaił posiedzenie prezes Towarzystwa hr. August Cieszkowski. Wspomniawszy o ważniejszych wypadkach, zaszłych w rozwoju Towarzystwa w ciągu roku upływającego, poświęcił w dalszéj przemowie swéj, serdeczne słowa pamięci i czci zmarłym tegoż członkom. Wspomnienie Tytusa Działyńskiego, Joachima Lelewela i ks. Adama Czartoryskiego, których zgon dla kraju całego bolesnym był ciosem, następnie zgasłych przedwcześnie młodych pracowników Jana Romanowskiego i Antoniego Rozego, rzewne w przytomnych wywołało współczucie. Nie mniéj serdeczne i rzewne słowa czci i żalu poświęcił przewodniczący pamięci zgasłego świeżo Franciszka Morawskiego, generała wojsk polskich. Przez uroczyste powstanie oddało zgromadzenie, na wniosek przewodniczącego, cześć pełnemu zasług żołnierzowi i obywatelowi i znakomitemu pisarzowi temu.

Następnie odczytał sekretarz Towarzystwa zadania konkursowe naukowo-literackie, przygotowane przez Towarzystwo, które przy końcu sprawozdania niniejszego dosłownie powtarzamy.

Z kolei odczytał przewodniczący ustęp z filozoficznéj pracy swéj pod nazwą: „O drogach ducha," która w drukującym się drugim tomie Roczników Towarzystwa w całości będzie umieszczoną.

Po zasolwowaniu posiedzenia publicznego, przystąpiło Towarzystwo na zwyczajném posiedzeniu ogólném, do mianowania nowych członków honorowych, na których zaproszeni zostali jednomyślnie następujący panowie: 1) Kamiński Ludwik. pułkownik wojsk polskich i członek byłego Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego; 2) książę Władysław Czartoryski, prezes Towarzystwa hist. polskiego w Paryżu; 3) Ludwik Wołowski, członek Instytutu francuskiego; 4) Bronisław Trentowski, professor uniwersytetu w Frejburgu; 5) Czajkowski Antoni, professor prawa

w Petersburgu; 6) Ludwik Zeyszner prof. uniw. krak. 7) Klaczko Julian; 8) Kalinka Waleryan; 9) Dr. Metzig w Lesznie; 10) Dr. Pertz, bibliotekarz w Berlinie i 11) Dr. C. W. Smith, professor języków słowiańskich w Kopenhadze.

W końcu pan Rzepecki, nauczyciel szkoły realnéj tutejszéj, wybrany został podobnież jednomyślnie na czynnego członka Towarzystwa.

Odczytane na posiedzeniu publiczném zadania konkursowe, które Towarzystwo podaje do wiadomości pisarzów polskich, brzmią następnie:

I. Towarzystwo Przyjaciół nauk Poznańskie ogłosiło przez odezwę z d. 1 lipca 1858, umieszczoną w pismach polskich trzech dzielnic dawnéj Polski, konkurs do napisania: „Historyi włościan i stosunków ekonomicznych w dawnéj Polsce," podejmując się zarazem przysądzenia naznaczonéj przez dzisiejszego prezesa swego nagrody 1000 talarów w pruskiéj monecie, najlepszéj z prac, które w ciągu dwóch lat następnych nadesłane zostaną.

Kiedy w terminie naznaczonym nie nadesłano pracy, ogłosiło Towarzystwo zadanie to powtórnie w pierwszym tomie Roczników swoich, naznaczając termin nadesłania pracy do dnia 1 lipca r. b.

Gdy i to ogłoszenie pozostało bez skutku, postanowił Zarząd Towarzystwa, zważywszy doniosłą ważność przedmiotu i zamierzając zachęcić do wykończenia pracy tych, którzy ją może rozpoczęli, przedłużyć ponownie czas do nadesłania prac na 12 miesięcy i zakreślić termin prekluzyjny do dnia 1 stycznia 1863 roku.

Zadanie to, w którego pierwotnéj osnowie oprócz terminu prekluzyjnego nic się nie odmienia, ogłasza się przeto z tym dodatkiem, że nietylko prace nowe, lecz i ogłoszone drukiem od czasu założenia Towarzystwa naukowego tutejszego, do udziału w konkursie przypuszczone będą.

II. Zmarły w sierpniu 1858 r. śp. Norbert Bredkrajcz, mieszkaniec powiatu pleszewskiego, zapisał majątek swój, składający się z około 15,000 tal. „na wspieranie literatury ojczystéj za pomocą wydzielania nagród za napisanie najlepszych dzieł, bądźto dramatycznych, na dziejach ojczystych opartych, bądźto historycznych, ekonomiczno-politycznych, lub filozoficznych." W testamencie swym mianował nieznanego sobie hr. Alfonsa Taczanowskiego wyłącznym spadkobiercą i wykonawcą ostatniéj woli swéj, poruczając mu zarząd legatu swego, wyznaczenie i ogłoszenie zadania konkursowego, ocenienie wartości dzieł nadesłanych jemuż samemu lub osobom przezeń wybranym, a wkońcu przyznanie nagrody autorowi dzieła uwieńczonego, ze stowego wpływającego z zapisu.

Hr. Alfons Taczanowski przyjął włożony na siebie obowiązek, zajął się dochodzeniem legatu, złożonego z różnych niepewnych hipotek i ocalił część znaczną funduszu śp. Bredkrajcza w ilości 5500 tal., które ze stowem po pięć od sta zabezpieczył hipotecznie na wsi Kucharki. Następnie uznając za rzecz właściwą, by wykonanie myśli śp. Bredkrajcza nie przez prywatną osobę, lecz przez stowarzyszenie naukowe, sposobem publicznego nastąpiło konkursu, przedłożył hr. A. Taczanowski w czerwcu r. b. Towarzystwu naukowemu tutejszemu życzenie, ażeby zajęło się ogłoszeniem zadań konkursowych, w przedmiotach wymienionych, jako też ocenieniem prac nadsyłanych i przysądziło nagrodę 500 tal. czyli 3000 złp. powstałych z dwuletniego stowego, za pierwszą pracę uwieńczoną.

Towarzystwo P. N. P. wywięzując się z włożonego na siebie zaszczytnego obowiązku, postanowiło za pierwszy przedmiot konkursu obrać zadanie treści historycznéj.

Uznając zaś z jednéj strony wielką ważność opracowanych należycie monografij, tak pod względem umiejętnym, jako też pod względem wpływu tychże na oświatę i moralne usposobienie narodu; z drugiéj strony uwzględniając dotkliwy w piśmiennictwie naszém niedostatek życiorysów znakomitych postaci, szczególnie z ostatniego stulecia dziejów naszych: uważało Towarzystwo za rzecz słuszną, podnieść pamięć najsławniejszego i zarazem najpopularniejszego przy schyłku upłynionego wieku męża, jakim był bez zaprzeczenia Kościuszko.

Życie męża tego, stojącego na zwrocie dwóch stanowczych chwil w dziejach naszych, t. j. chwili ostatecznéj niedoli i poniżenia, i chwili ożywionych usiłowań narodu, zmierzającego do odzyskania bytu za pomocą zbiorowych sił krajowych, dotychczas w sposób odpowiedni przedstawione nie zostało.

Towarzystwo P. N. P. ogłasza przeto niniejszém konkurs do napisania: „Żywota Tadeusza Kościuszki."

Zapraszając w myśl ś. p. Bredkrajcza wszystkich pisarzów polskich do ubiegania się o nagrodę, pozwala sobie Towarzystwo podać najogólniejsze tylko warunki, które przy rozwiązaniu zadania uważa za niezbędne.

„Żywot Tadeusza Kościuszki" powinien być oparty nietylko na tle wypadków współczesnych krajowych, na które mąż ten często nader przeważny wywierał wpływ; lecz otoczony także treściwym poglądem na równoczesne położenie górujących państw europejskich, o ile takowe z narodem naszym w bezpośrednich zostawały stosunkach, lub pośrednio na losy jego wpływały.

Ponieważ Kościuszko znakomite zajmował stanowisko, jako wódz naczelny, dowodzący narodowi swemu na polu bitew, i jako mąż stanu, przewodniczący mu w wewnętrznych i zagranicznych jego sprawach; a nadto w charakterze człowieka prywatnego, wybitnemi odznaczał się przymiotami umysłu i duszy: dlatego trzy te strony w opisie żywota jego, główną piszącego zwrócić powinny na siebie uwagę.

Ocenienie wojennych jego czynów, tak w Ameryce jak i na własnéj ziemi; wyjaśnienie politycznych jego zasad, jakiemi się powodował w zarządzie wewnętrznym kraju, kiedy ster tegoż dzierżył w ręku swoich; jako też wykazanie głównych przynajmniéj usiłowań dyplomatycznych u rządu francuzkiego i u dworu rakuskiego i pruskiego, któremi narodowi swemu, pośród walki jego o byt udzielny, pomoc zjednać pragnął; wreszcie przyczyny dobrowolnego ustąpienia jego z widowni politycznéj i pogląd na życie jego prywatne: oto są szczegóły, które złożyć mają obraz żywota téj najznakomitszéj postaci w upłynionem stuleciu dziejów naszych.

Pod względem formy uważa Towarzystwo za rzecz najmocniéj pożądaną, ażeby piszący, mając na uwadze naukę i pożytek ogółu narodu, starał się nadać pracy swéj jak największą prostotę, jasną, żywą obrazowość, i artystyczne wykończenie.

Prace konkursowe, które w polskim języku pisane być winny, zechcą autorowie przesłać najdaléj do dnia 1 stycznie 1863 r. na ręce sekreta-

rza Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Każdą nadsyłaną pracę należy opatrzyć w dewizę i dołączyć list zapieczętowany, tęż samę dewizę na okryciu noszący, który imię, nazwisko i miejsce zamieszkania autora powinien zawierać.

III. Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego otrzymał w sierpniu r. b. pismo bezimienne, zaopatrzone podpisem: „Polak plemienia białorusińskiego," w którém szanowny rodak nasz objawia życzenie, ażeby Towarzystwo nasze ogłosiło konkurs do napisania rozprawy, odpowiadającéj na pytanie: „Czem były dla Polski praca i oszczędność, oraz próżnowanie i zbytek, i czém się dla niéj w przyszłości stać mogą." Jako nagrodę za pracę najlepszą w tym przedmiocie, przesłał piszący, fundusz odpowiedni, z postanowieniem, że rozprawa uwieńczona powinna pozostać zupełną własnością autora.

Towarzystwo P. N. P. wywięzując się z udzielonego sobie zaszczytnego poruczenia, i naznaczając nagrodę na 100 dukatów, czyli 300 tal. w monecie pruskiéj, ogłasza przeto niniejszém konkurs do napisania rozprawy:

„Czém były dla Polski praca i oszczędność, oraz próżnowanie i zbytek, i czém się dla niéj w przyszłości stać mogą."

Prace konkursowe, które w polskim winny być pisane języku, zechcą autorowie przesłać najdaléj do dnia 1 stycznia 1863 r. na ręce sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego.

Każdą pracę nadsyłaną należy opatrzyć w dewizę, i dołączyć list zapieczętowany, tęż samę dewizę na okryciu noszący, który imię, nazwisko i miejsce zamieszkania autora wewnątrz zawierać powinien.

IV. Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie wyznacza niniejszém pięćset złotych polskich nagrody, za napisanie najlepszéj rozprawy: „O życiu i zasługach Erazma Ciołka czyli Vitelliona, słynnego w wieku XIII matematyka i optyka polskiego.

praca ta powinna głównie zawierać:

1) Życiorys Ciołka, oraz zebranie i porównanie wiadomości, przemawiających za lub przeciw mniemaniu, iż miejscem urodzenia jego był Kraków.

2) Wyjaśnienie, o ile Ciołek w dziele swojém; Vitellionis Thuringopoloni περὶ ὀπτικῆς sive de natura, ratione et projectione radiorum visus, lumiuum, colorum, formarum etc korzystał z dzieła Araba Alhazena o optyce.

3) Wykazanie ważności prac jego o optyce, tudzież wyjaśnienie, o ile i w jakiéj mierze przyłożył się samodzielnie do postępu nauki o świetle.

Do konkursu przypuszczają się tylko prace w języku polskim pisane, które najpóźniéj do dnia 1 stycznia 1863 r. mają być przesłane na ręce sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego.

Każda praca powinna być opatrzoną w dewizę, którą należy położyć także na dołączonéj do niéj zapieczętowanéj kopercie, zawierającéj wewnątrz wyraźnie napisane nazwisko i miejsce zamieszkania autora.

Praca uwieńczona nagrodą zostaje własnością autora, z tém przecież zastrzeżeniem, że Towarzystwo P. N. P. będzie miało prawo ogłoszenia jéj

drukiem, jeżeli autor w przeciągu roku po odebraniu jéj, podać jéj do druku nie zechce. Prace nieuwieńczone, zwrócone będą autorom najdaléj w przeciągu szesciu miesięcy po terminie powyżéj oznaczonym.

V. Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie, uznając za jeden z głównych obowiązków swoich, przyczyniać się w miarę sił do rozpowszechniania oświaty w téj tu części dawnéj Polski, zamierzało w samym zawiązku istnienia swego, rozpowszechniać znane wypadki naukowe, pomiędzy liczną częścią społeczeństwa naszego, która, odebrawszy pierwociny wykształcenia szkolnego, dla braku książek stósownych i odpowiednich, nader znikome odnosi z niego korzyści.

Starając się zaradzić ważnéj potrzebie téj, postanowiło Towarzystwo zachęcić pisarzów naszych, do zajęcia się przygotowaniem dzieł elementarnych, przez wyznaczenie odpowiednich honorarów za prace, które mu w przedmiocie tym nadsyłane będą, i przez ogłaszanie takowych własnym nakładem.

Zostawiając autorom zupełną swobodę w wyborze przedmiotów, wyłącza Towarzystwo jedynie pytania, dotyczące bieżącéj polityki, które paragrafem drugim ustaw, z zakresu czynności jego uchylone zostały.

Pod względem wykonania prac, pozwala sobie Towarzystwo to tylko położyć zastrzeżenie, ażeby takowe stały na równi z dzisiejszym rozwojem nauk i umiejętności, a odznaczając się czystym, jasnym i dostępnym językiem polskim, odpowiadały zarazem najważniejszym potrzebom umysłowym, nader licznéj części mniéj wykształconych ziomków naszych.

Towarzystwo wzywa przeto szanownych pisarzów naszych, ażeby mu nadsyłali prace, w myśli powyższéj ułożone. Zarząd Towarzystwa będzie powierzał takowe właściwym wydziałom do ocenienia, następnie zajmował się podaniem ich do druku i przyznaniem odpowiednich honorarów autorom, którzy takowe w przeciągu dwóch miesięcy po nadesłaniu pracy, doręczone mieć będą. W tymże przeciągu czasu zwracane będą autorom prace, które Towarzystwo celowi wyrażonemu uzna za nieodpowiednie.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W zeszycie grudniowym 1860 r., Redakcya Biblioteki pod rubryką *Wiadomości literackie*, doniosła o wykryciu we wsi Dobieszewku pod Kcynią cmentarzyska słowiańskiego, w którém znaleziono rozmaite naczynia gliniane w znacznéj liczbie, bo aż 150 sztuk. Redakcya zapewnia, iż wykopalisko to rzuci światło na życie domowe społeczności przedchrześciańskiéj, skoro szczegółowo opisane zostanie; wnosiéby z tego można, że podobny opis już przez którego z badaczy przedsięwziętym został. Nim to jednak nastąpi, pozwolę sobie zwrócić uwagę przyszłego badacza na rozprawę pana Falbe: „Vases antiques de Pérou," pomieszczoną w Mémoires de la Société royale des Antiquaires du Nord, à Copenhague (1840—1844, section russe, str. 131), w któréj między innemi jest wzmianka o wy-

obrażeniu ptaszka z czerwonéj gliny, uważaném za wyrób Peruwian z epoki przed-Kolumbowskiéj. Ptaszek ów zbliża się wielce do wyobrażeń tego rodzaju, znajdywanych razem z innemi starożytnościami rzymskiemi, a które uchodzą zwykle za dziecinne zabawki. „Nie dzielimy przekonania tych, mówi pan Falbe, którzy zaliczają do zabawek nawet *malutkie* talerzyki, kubki i miseczki, znajdowane razem z takiemiż naczyniami *wielkości zwyczajnéj*; mniemamy owszem, iż fabrykowanie tych przedmiotów miało na celu uczynić dostępnemi, dla najuboższych nawet, naczynia przeznaczone do składania na grobie zmarłego skromnych ofiar obowiązkowych, i że używanie ich jako cacek było drugorzędném.” Chociaż więc może używano tych ptaszków za zabawki, autor wspomnionéj rozprawy mniema, iż służyły właściwie za pokrywy dzbanów ofiarnych, powołując na dowód naczynia wykopywane w Apulii i dzbanek znaleziony w Toskanii, w miejscu gdzie stało niegdyś miasto Clusium, stolica króla Porsenny, dziś przechowany w zbiorze króla duńskiego. Sądziłby zatem wypadało, że i znaleziono pod Kcynią zabawki były raczéj wotami ofiary pogrzebowéj, mającemi jakieś nieznane symboliczne znaczenie.

W każdym razie nie można pospiesznie wyrokować, iż każde grobowisko na ziemi naszéj znajdujące się, jest cmentarzem słowjańskim. Tyle ludów różnych przechodziło tędy, tylu zdobywców deptało jéj powierzchnią! Musiałyć przecież i po nich pozostać pewne pamiątki, choćby tylko grobowe. Ten wzgląd zasługuje na baczną uwagę.

Kcynia leży przy dawnéj drodze wodnéj, Noteci; podbój normandzkich Lachów, wedle hypotezy Szajnochy, tu główne założył ognisko; owóż nie od rzeczy będzie tu przypomnieć o pogańskim grobie, odkrytym w r. 1836 niedaleko tejże drogi wodnéj, to jest: na lewym brzegu Wisły, w pobliżu Gdańska. Znaleziono tam naczynia zwane *kanopejskiemi*, napełnione spalonemi kośćmi, znajdujące się dziś w muzeum pałacu *Monbijou* w Berlinie, (patrz Ledebuhr, Das Königliche Museum vaterländischer Alterthümer im Schlosse Monbijou zu Berlin, p. 14, Tab. II, nr. 1409—11). Pomorze bałtyckie (którego południową granicę stanowiły właśnie brzegi Noteci), więcéj niż inne prowincye polskie obfituje w podobne grobowiska. Oprócz odkrywanych w naszych czasach, należy tu wspomnieć owe, o których wzmiankują średniowieczne dyplomata. Akt krzyżacki z r. 1323 opisując granice dóbr klasztoru oliwskiego, prowadzi linią graniczną po różnych znakach „ad tumulum paganorum” (Rzyszcz. Cod. dipl. Pol. II, 680); zaś akt z r. 1233, kreśląc podobnież granice majętności klasztoru kolbackiego, wymienia „monticulos Suineromoguliz” (ibidem, str. 592). Godném uwagi, że już w wieku XIV zwano starożytne groby *grobami pogan*, chcąc zapewne przez to oznaczyć należenie ich do innego obcego plemienia; że w XIII wieku jeden z takich grobów zwał się *mogiłą Swinera*, imię z brzmienia swego niesłowiańskie.

Uwagi powyższe przekonywają, jak mniemam, iż badania archeologiczne, przynosząc ważne usługi historyi, winny same opierać się na danych historycznych, i że przed wyprowadzaniem wniosków z pewnego wykopaliska o stanie przedwiecznéj oświaty, należy się wprzódy dobrze zastanowić nad tém, do jakiéj narodowości wykryte pamiątki należą?

Dotknę jeszcze innego przedmiotu, nie będącego wprawdzie w związku *z grobami pogan*, ale nie obojętnego dla dziejów naszych. Chodzi tu o cięcie Chrobrego w złotą bramę Kijowa, o którem świeżo pisał *Tygodnik Illustrowany* w Nr. 64. Rzecz się ma tak.

Przed kilką laty wykryty został zabytek literatury ruskiéj XIII wieku, pod tytułem: „Molenije ku swojemu kniaziu Jarosławu Wsewołodowiczu," w którem autor prosząc o ułaskawienie księcia, wspomina jak przodek jego również Jarosław, syn Włodzimierza zwyciężył Świętopełka (zięcia Chrobrego); wspomina nadto o zwycięztwie Boniaka nad Ugrami (1097 r): „tako i Boniak Sudiwyj...." Owóż znany wydawca małoruskich pieśni, Maksymowicz, tak to miejsce objaśnia: „oczywista, że w Molenii" napisano *Sudiwyj* zamiast *Szełudiwyj*, jak właśnie Boniak nazwany jest u Nestora (1096 r.). Taki miał widać przydomek słynny wódz połowiecki u południowych Rusinów. W gubernii podolskiéj znajduje się uroczysko z przywiązaném doń dotąd podaniem miejscowém, że tam okopawszy się, stał *Hetman Boszniak Szołudiwyj*. Ten mniemany hetman Boszniak, wedle mego zdania jest nikt inny, tylko han Połowców Boniak, działający w tych okolicach w końcu XI wieku. U historyków polskich przechowuje się podanie o mieczu szczerbcu Bolesława Chrobrego: *ale gdy ów król wjeżdżał do Kijowa (1018 r.), złotéj bramy jeszcze nie było.* Że zaś Boniak uderzył w nią swą szablą, o tém zap'sana jest tradycya w Latopisie Kijowskim pod r. 1151, gdy przy opisie słynnéj bitwy kijowskiéj z Jurym, powiedziano: „tuże (nad Łybedią) i Sewencza Boniakowicza dikaho Połowczyna ubisza, i że biaszet' rekł: choszczu sieczi w Zołotaja Worota, jako że i otec moj!" (1). Jakie ma na to dowody Maksymowicz, że złota brama w r. 1018 jeszcze nie istniała, tego nie powiada. Zawsze jednak zasługuje na uwagę wytknięta przez niego okoliczność, że i han Boniak i syn jego Sewencz dobijali się, jakby o zaszczyt jaki, o cięcie w bramę Kijowa. Wiadomém jest z dziejów, że Chrobry podczas wyprawy ruskiéj miał w swych szeregach najemne wojska Połowców (2); być więc może, iż patrzący na wjazd króla do stolicy Rusi, wodzowie połowieccy, uniesieni dumą zapragnęli późniéj uderzać również swym mieczem w bramę kijowską. Okoliczność ta jednak potrzebuje bliższego rozpatrzenia, zwłaszcza, że gdy wszystkie kroniki, począwszy od Galla (ed. Bandtkie, pag. 46), chórem opiewają wyszczerbienie się miecza na wrotach kijowskich, gdy dzisiejszy dziejopis panowania Chrobrego powtarza za niemi opis tego zdarzenia (3); przeciwnie autor *Polski wieków średnich*, rozbierając krytycznie zdobycze Bolesława, umyślnie o owém cięciu przemilcza, jakby o niém wątpił wcale (4).

Petersburg. *S. L.*

(1) Patrz wydawane w Moskwie pismo „Ruska Biesieda," 1856, tom III, str. 138, w przypisku.

(2) J. L. Polska wieków średnich, wydanie z r. 1856, t. II, str. 178.

(3) K. Szajnocha, Bolesław Chrobry, str. 183

(4) Patrz w miejscu wskazaném wyżéj w przypisku drugim.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Wiele i bardzo wiele mówimy i piszemy o potrzebie szerzenia oświaty pomiędzy ludem wiejskim, ale zachodzi pytanie, czy dosyć zadajemy sobie pracy w wyszukiwaniu praktycznych środków, do tego celu szybko i bez straty czasu wiodących.

Ochrony i szkoły są wprawdzie najgłówniejszym środkiem szczepienia oświaty pomiędzy młodém pokoleniem ludu wiejskiego, zwłaszcza o ileby nałożenie przymusowéj kary znagliło rodziców do posyłania dzieci na naukę.

Ale myliłby się niepomału, ktoby sądził, że nie jest rzeczą możliwą wpływać bezpośrednio zaraz na oświecenie starszego pokolenia; mylilby się, powtarzamy, ktoby całą nadzieję wszczepienia w lud nasz zdrowych pojęć religijnych, obyczajowych i ekonomicznych odkładał rozpaczliwie do odchowania młodego pokolenia, pod wpływem ochron i szkółek, których liczba, niestety, dotąd tak jest nie wielka.

A przedewszystkiem, kiedyśmy mimochodem o ochronach i szkołach tutaj wspomnieli, to powtórzyć musimy, co się już nieraz powiedziało, że zanim zakłady te upowszechnią się po kraju i ujmą wychowanie ludu wiejskiego w pewien regularny systemat, każda obywatelska rodzina, jéj dzieci i domownicy, powinni być ogniskiem, około którego gromadzić się mają dzieci wiejskie; ogniskiem, szerzącém ciepło wiary i moralności i światło elementarne, które to ostatnie, chociażby na początek do nauki czytania było ograniczone.

Ale wróćmy do środków szerzenia oświaty pomiędzy starszemi wiekiem mieszkańcami wiosek. Należy tu mieć na pamięci, że nauka czytania jest dopiéro środkiem zaczerpywania z dobrych książek oświaty; że umiejący czytać jest niejako narzędziem, za pośrednictwem którego światło z książek nietylko do jego własnéj głowy i serca dostać się może, ale zarazem powinno rozpowszechniać się pomiędzy ludnością czytać nie umiejącą, lecz któréj nie zbywa ochoty do słuchania i zrozumienia czytanego przedmiotu.

Przyglądając się z blizka, jak się to po wsiach z tém dzieje, nastręczyły się nam dwa spostrzeżenia. 1. Że nieraz chłopak lub dziewczę, które się czytać nauczy, dla braku dalszéj zachęty, albo po prostu dla braku książek do czytania, często bardzo czytać zapomina po kilku latach, albo znajomość czytania ogranicza na książce do nabożeństwa, którą w końcu prawie na pamięć umie, a żadnéj innéj książki nie widzi. 2. Że nieumiejący czytać włościanie, radzi czytania słuchają, i skoro tylko mają w chacie swojéj kogoś, czy z rodziny, czy z czeladzi nauczonego, witają z radością i niejaką dumą każdą nową książkę do chaty przyniesioną, jak tego mamy świeży dowód na kalendarzu ludowym na rok 1862, który po raz piérwszy chaty nasze nawiedza i nadzwyczaj ludek zaciekawia i zapewnie w ogromnéj massie się rozejdzie.

Z tych tedy postrzeżeń wynika, że umiejących czytać po wsiach, należy stale i ciągle zasilać dobremi i pożytecznemi książkami, aby oni naj-

przód dla siebie upożyteczniali umiejętność czytania; a następnie używać ich należy i zachęcać jak najmocniej do głośnego czytywania, czyli to w kółkach własnych ich rodzin, czyli też w obec liczniéj gromadzących się do jednego miejsca starszych mieszkańców, z wsi całéj lub okolicznych domostw. W tym względzie potrzeba tylko dobréj woli, pilności, przykładu i zachęty ze strony dworu, a przytém niejakiego wydatku na założenie biblioteki wiejskiéj, celowi odpowiedniéj, którąby z kolei zasilała wszystkich czytać umiejących, z warunkiem sumiennego oddawania książek pożyczonych i utrzymywania ich w czystości i porządku. Rzecz tę uważam za tak ważną i konieczną, iż pozwolilibyśmy sobie zajęcie się gorliwe i jak najszybsze tym przedmiotem podnieść do znaczenia świętego obowiązku każdego obywatela téj ziemi i jego rodziny i domowników.

O biblioteczce więc takiéj pomówmy bliżéj.

Pisma peryodyczne, jak Czytelnia Niedzielna i Kmiotek, tak trafnie celowi odpowiadające, stanowią niejako piérwszy zasiłek, tak dla czytających jak i dla słuchać lubiących wieśniaków: ale gdzie, że się tak wyrazimy, apetyt czytania jest rozbudzony, to pisma te nie wystarczają. Gdzie jest np. kilkadziesiąt rodzin gospodarzy wiejskich i czeladzi i służby dworskiéj, gdzie przeto, wśród długich zimowych wieczorów, lub wśród dni świątecznych, jest kilkadziesiąt rodzinnych kółek, pośród których znajduje się niejeden dzieciak lub podrostek, albo też i starszy czytać umiejący, to dla nich siła potrzeba strawy książkowéj, a to tém bardziéj, gdy nowość i rozmaitość przedmiotu budzi ciekawość i ochotę do słuchania i czytania.

Tutaj nastręczy się pytanie, z czego zebrać biblioteczkę, kiedy książek ludowych tak mało? Otóż rozpatrzywszy się bliżéj w téj rzeczy, udało nam się zebrać kilkadziesiąt książeczek i książek dla ludu, niezmiernie na początek odpowiednich (1), kosztem najwięcéj od kilkudziesięciu do stu złotych, co przecież nie jest wydatkiem, na który nie stać byłoby właściciela majątku ziemskiego, rozumiejącego co to jest miłość kraju i w czém polega jego prawdziwe dobro i pomyślność. Nie przeczymy, że liczba pożytecznych książeczek dla ludu jest nie wielka, ale zawsze jest czém zacząć. Nie pozostaje nam, tylko jak odezwać się:

1. Do poczuwających się w możności pisania dla ludu naszego z prostotą, jasnym, przystępnym stylem, a czystym, wolnym od prowincyonalizmów językiem, aby w kwestyach obyczajowych, społecznych, naukowych lub ekonomicznych, brali się śmiało i bez straty czasu do pióra, byle z Bogiem, wiarą a miłością w sercu i aby tym sposobem zwiększali ubogą jeszcze spiżarkę książkową naszego ludu (2).

2. Do wydawców, aby taniemi edycyami ułatwiali możność rozpowszechnienia pożytecznych dziełek ludowych. Znajdują się bowiem niektóre u nas tak kosztowne wydania, że ich nabycie dla ludu jest prawie niepodobném. Za wzór tanności służyć mogą rozmaite powiastki, wierszyki i rozprawki, po większéj części bardzo celowi odpowiednie, wydawane w Bochni i Wadowicach w cenie gr. 6, 8, 15 i t. p.

(1) W książki te zaopatrzyła mię księgarnia p. Celsa Lewickiego, w gmachu Teatru.

(2) Wybornym wzorem dobrego ludowego wykładu jest Nauka Obyczajowa dla ludu, przez ks. Grzegorza Piramowicza. 1811.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

3. Do sumiennych krytyków, aby stali na straży wychodzących dziełek dla ludu, bo książka nie po Bogu dla ludu napisana, łatwo truciznę do chat włościańskich przynieść może. A i tak już nie pomału mięsza się w głowach poczciwego ludu, i miasto szczeréj wiary i jasnych chrześciańskich pojęć, zasadą każdego porządku społecznego będących, budzą się w nim zachciewania i namiętności, przynoszące wielką krzywdę rdzeniowi jego serca.

4. A nakoniec do obywateli, obywatelek, ich rodzin i domowników, aby wsparci pomocą zacnego duchowieństwa, wszystkie środki powyżéj wskazane szczepienia oświaty pomiędzy ludem wiejskim, bez straty czasu wprowadzili w wykonanie, i wcielili w obyczaj niejako życia wiejskiego, nie żałując ani własnéj osobistéj pracy i poświęcenia, ani wydatku, które Bóg dobry wróci im stokrotnie, nie tylko zadowoleniem sumienia z spełnionego obowiązku, ale niewątpliwemi owocami, jakie szybkie rozszerzenie oświaty i moralności w ludzie naszym dla pomyślności ogólnéj zrodzić nie omieszka.

Adam Goltz.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

Miesiąc Grudzień 1861 roku.

DZIEŁA.

Encyklopedya powszechna Tom IX, Zeszyty 74, 75 i 76. Warszawa, 1861, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8-ce str. 112, 113—224, 225—336, okł. druk. Każdy zeszyt kop. 35.

Rappaport Zenon. Pamiętniki Wampira czyli Wampir w świecie artystyczno literackim. Obrazki, szkice, epizody, życiorysy, felietony, zarysy obyczajowe; oraz pomniejsze komedye, drobne poezye i przekłady. Z drzeworytami. Tom II gi, Część 5-ta. Warszawa, 1861, druk w 8-ce większ., str. od 75—152.

Zdania św. Ojców kościoła o czytaniu Pisma Świętego, dla chrześcian ewangelików, przekład z *Leandra von Ess.* Warszawa, 1861, druk A. Ginsa, w 12-ce, str. 110.

Hodowla zwierząt domowych gospodarskich *Augusta v. Weckherlin'a*, z niemieckiego, podług drugiego wydania, przełożył *Cezary Haller*, uzupełnił podług trzeciego wydania *Piotr Seifman*. Część pierwsza, Zasady ogólne. Warszawa, 1861, nakł. b. Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiém, druk Gazety Polskiéj, w 8-ce, str. IV, 208, kop. 75.

A. M. (Matuszewski). Zabawne przygody Niemca. Warszawa, 1862, nakł. autora, druk braci Hindemith, w 16-ce, str. 122.

Wiązanie dla grzecznych panienek. Początki czytania polskiego, z 24 obrazkami kolorowanemi. Wyd. 2-gie poprawione i powiększone. Warszawa, 1862, nakł. B. Lesmana, druk Ch. Kelter i S. Rothmühl, w 8-ce, str. 94.

L. M. Nauka czytania ułatwiona. Nowy elementarz dla szkółek i ochron polskich. Warszawa, 1862, druk J. Psurskiego, w 12-ce, str. 167, okł. druk.

Wolski Włodzimierz. We dworku, sceniczny utwór w jednym akcie. Warszawa, 1861, nakł. A. Dzwonkowskiego i spół., druk J. Glücksberga, w 8-ce, str. 64, okł. druk. (Biblioteka teatralna czyli wybór sztuk oryginalnych i tłumaczonych przedstawianych na scenach teatrów warszawskich. N. 3).

Sailler Jan-Michał ks. Teologia pasterska, z niemieckiego przełożył *Leon Rogalski.* Tom I. Warszawa, 1862, nakł. Michała Glücksberga, druk J. Glücksberga, w 8-ce większ., str. 288, okł. druk.

Gawarecki Zygmunt i Kohn Albin. Rolnik polski. Tomów dwa, z wielu rycinami. Zeszyt 5-ty. Warszawa, 1861, nakł. A. Dzwonkowskiego i spół., druk J. Jaworskiego, w 8-ce, str. od 343—438, okł. druk.

Droga krzyżowa, najprzód krwawemi Zbawiciela świata śladami uprzywilejowana, potém w kościołach braci mniejszych świętego Franciszka Reformatów wielko-polskiéj prowincyi i innych fundowana. Warszawa, 1861, druk Banku Polskiego, w 16-ce, str. 32.

Felicyan. Z daleka i z bliska, powiastka. Warszawa, 1862, nakł. Lewickiego, druk K. Kowalewskiego, w 8-ce, str. 131.

Rogalewicz A. Przewodnik dla Garbarzy. Warszawa, 1862, nakł. ks. T. Lubomirskiego, druk Gazety Polskiéj, w 8-ce, str. II, 58, XII, II, okł. druk. (Biblioteka rzemieślnika polskiego).

Nowosielski Teofil. Illustrowany abecadlnik historyczny dla dzieci polskich, zawierający w sobie: początkowe nauki syllabizowania i czytania, pacierz, przykazania Boskie, treść nauki chrześciańskiéj, opowiadania z życia sławnych mężów Polaków, powiastki moralne, nauczki moralne i modlitewki, początki arytmetyczne, ważniejsze wypadki z dziejów polskich, abecadłowym porządkiem wierszem p. M. J. opisane, krótkie wiadomości z historyi polskiéj, prozą i wierszem, wyjątki z historyi świętéj, początki geografii, wiadomości z nauk przyrodzonych. (Ozdobiony 12 rycin. litografowanemi i 44 drzeworyt. w tekście). Warszawa, 1862, nakł. A. Nowoleckiego, druk K. Kowalewskiego, w 8-ce, str 192.

Opowiadania o pańszczyznie, kazał wydrukować piśmienny Mateusz Gralewski z Mazewa, od Łęczycy, do czytania dla swoich braci, krewnych, wszystkich znajomych i nieznajomych. Warszawa,

1861, nakł. C. Lewickiego, druk J. Ungra, w 8-ce, str. 25. (Odbicie z Czytelni niedzielnéj).

Kraszewski Józef Ignacy. Jasełka, wyciąg z Pamiętników Ktosia. Kijów, 1862, nakł. L. Idzikowskiego, druk Gazety Polskiéj, w 8-ce mniejsz., T. 1—4, str. 268, 291, 336, 320. (Przedruk z Gazety Polskiéj).

Łukowski Jan. Kurs języka polskiego. Praktyczna grammatyka polska na zasadach historyczno-porównawczych dla użytku młodzieży polskiéj. Kurs 1 obejmujący fonetykę i etymologją. Warszawa, 1862, nakł. autora, druk J. Psurskiego, w 8-ce, str. nieliczb. 3, liczb. 99, okł. druk.

Poselstwo Lorda *Elgin* do Chin i Japonii w latach 1857, 58, 59, opisał *Wawrzyniec Oliphant* sekretarz prywatny hr. Elgin, przekład z angielskiego przez *A. z Kr. M.* Zeszyt 1. Warszawa, 1862, nakł. A. Nowoleckiego, druk K. Kowalewskiego w 8-ce, str. 177.

J. J. Ampere. Przejażdżka po Ameryce. Stany Zjednoczone, Kuba, Mexyk. Przełożona z francuzkiego na polski, przez *T. z Radwańskich Swietlicką.* Tom I. Warszawa, 1862, nakł. J. Błaszkowskiego, druk J. Psurskiego, w 8-ce, str. 320, spisu rzeczy nieliczb. 3., okł. druk.

Węgry pod względem historycznym, artystycznym, literackim i społecznym, podług najlepszych i najnowszych źródeł, głównie: podług dzieła wydanego przez Towarzystwo pisarzy francuzkich, pod kierunkiem madziarskiego historyka J. Boldenyi, wraz z poglądem na stosunki tego kraju z Polską, Austryą i innemi państwami europejskiemi, przekład z francuzkiego przez *S. P.* przypisami do historyi polskiéj odnośnymi uzupełnił *Kazimierz-Władysław Wójcicki.* Dzieło ozdobione przeszło 60 drzeworytami, artystycznie wykonanemi w Paryżu. Zeszyt 1. Warszawa, 1862, nakł. A. Nowoleckiego, druk J. Jaworskiego, w 8-ce większ., str. 80, okł. druk.

Ordo divini officii et sacrificii ad usum Cleri saecularis Dioecesis Plocensis pro A. D. 1862 Auctoritate et mandato, Illustr. ac Reverend. D. D. Thomae Francisci Mysliński Praelati, Custodis Ecclesiae Cathedr. Plocensis, Sede Episcopali Plocensi vacante Vicarii Capitularis et Administratorii Dioecesis Plocensis, conscriptus ac editus. Varsoviae, typis K. Kowalewski, w 8-ce, p. 58, 12.

KALENDARZE.

Noworocznik (kalendarz) illustrowany dla Polek na rok 1862. Rok 2-gi. Warszawa, 1862, nakł. A. Dzwonkowskiego, druk J. Glücks-

berga, w 8-cc, str. nieliczb. 24, liczb. XXVIII, 290. X, i spisu rzeczy nieliczb. 2. Zawiera prócz wiadomości kościelnych, astronomicznych i informacyjnych, następne artykuły:

Seweryna Pruszakowa, p. *Jana-Kantego Gregorowicza*. Wspomnienie, p. *Eleonorę Ziemięcką*. Niewiasty polskie w XVI wieku, p. *Kazimierza-Władysława Wójcickiego*. Fragment, p. *Józefa Ignacego Kraszewskiego*. Marya Leszczyńska, obrazek historyczny, p. *Edwarda Lubowskiego*. Życie w naturze, szkic *Józefa Łepkowskiego*. Kilka słów o rodzinie Adama Mickiewicza. Elekcya Anny Jagiellonki, p. *Juliana Bartoszewicza*. Przegląd bibliograficzny z r. 1861, p. *Józefa Prackiego*. Szkic z rzeczywistości, p. *Eleonorę Ziemięcką*. Dawna niewiasta polska, p. *Alexandrę z Chomętowskich Borkowską*. Djabły pod wieżą Maryacką, p. *Józefa Maczyńskiego*. Dziewica Izraelska, p. *Belejowską*. Mąż dla bytu, p. *Władysława Bogusławskiego*. Poezye. Wiedza i wiara, p. *Antoniego Nowoleckiego*. Jak Polki wpłynąć mogą na rozwój oświaty ludu, p. *Albina Kolina*. Z przejażdżek po Ukrainie, fizyognomia Ukrainy, bujność i plenność jéj ziemi, p. *Henrykę Federowicz*. O koniecznéj potrzebie dla kobiet, wiadomości z nauk przyrodzonych, p. *Józefa Sosnkowskiego*. Ogród duchowy, p. *Aloizego Kuczyńskiego*. O potrzebie wyższego wykształcenia naukowego dla kobiet, z powodu wpływu ich na wychowanie i oświatę mężczyzn, p. *Wincentego Statkowskiego*. Szkice geologiczne, p. *Władysława Anczyca*. Gospodarstwo domowe, p. *N. Kurowskiego*. O białéj biegunce u ptastwa domowego, p. *Lewandowskiego*. Uprawa melonów, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Kwadrillater czyli krosienka do krzyżowéj roboty, przez *tegoż*.

Kalendarz ludowy illustrowany na rok 1862, ułożony przez Franka z Wielkopolski. Rok pierwszy, wyd. 2-gie. Warszawa, nakł. i druk J. Glücksberga. w 8-cc mniejsz., str. XXVI, 96. (Treść wymieniona w poprzednim zeszycie Biblioteki, przy pierwszém wydaniu).

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik Religijno-moralny. Serya 2, T. VIII, N. 12, M. grudzień, 1861, zawiera:

Wykład Pisma Świętego: Przejście Jordanu, p. ks. *W. Serwatowskiego*. Literatura włoska w sprawie papiezkiéj, p. ks. *M. Nowodworskiego*. Duchowieństwo francuzkie, przez ks. *J. Szpaderskiego*. Święty Tomasz apostoł Brazylii, p. ks. *K. S.* Korrespondencya z Paryża: Żywot ks. Veanney proboszcza d'Acr, p. *C. Miłosza*. Przegląd literatury duchownéj. Kronika

kościelna i rozmaitości. Kronika zagraniczna. Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna.

Roczniki gospodarstwa krajowego. Tom XLV, Poszyt 2. M. listopad, 1861, str. od 201—362, zawiéra:

Pole doświadczalne w Marymoncie, p. *Miłosza*. O ile korzyści ze sprzedaży przychowku podnieść mogą dochód owczarni, który dotąd głównie ze sprzedaży wełny osiągamy, p. *Jana Górskiego*. Czy najwyższe wyrównanie wełny w runie da się pogodzić z doskonałą nabitością i obfitością wełny lub nie, a w ostatnim razie, o ile korzyści takiego wyrównania mogą przeważyć brak obfitości wełny? p. *Władysława Wolffa*. Czy wychów drobiu może stać się ważniejszą gałęzią przemysłu rolniczego i czy poprawienie ras krajowych jest pożądaném, p. *Taraszkiewicza*. Rozmaitości. Bieżące wiadomości rolnicze. Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc wrzesień 1861 rok.

Przyjaciel zdrowia. M. grudzień, 1861, N. 6, zawiera:

O przywidzeniach i złudzeniach. O włosach (dok.). O tranie rybim. Apteczka domowa. O odchodach ludzkich i ich użytku. Rozmaitości.

Tygodnik Lekarski. M. grudzień, 1861, NN. 49—52, zawierają:

Groer: Zapalenie tkanki łącznéj ręki prawéj. *Sciborowski:* Przegląd czynności szpitala św. Alexandra w Willanowie w roku 1860 (dok.). *Drużyłowski:* Zastosowanie elektryczności do terapii (c. d.). *Trojanowski:* Krzeczek tarantula (dok.). *Bałwański:* Spostrzeżenie bólu połowicznego głowy, nerwowego, natury syfilitycznéj. *Majkowski:* Sprawozdanie lekarskie ze szpitala św. Piotra w Grójcu. *J. F. D.:* Uwagi nad perforacyą. *Jabłko:* Sprawozdanie z czasopism oftalmologicznych. *Janikowski St.:* Nowiny z medycyny publicznéj. *Eborowicz:* Wyciągi z pism zagranicznych. *Tock L.:* Wiadomości farmaceutyczne. *Sciborowski:* Wiadomości z pism zagranicznych. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Ruch Muzyczny. M. grudzień, 1861, NN. 49—52, zawierają:

Prospekt na Pamiętnik muzyczny i teatralny. Jeden tom prac dramatycznych Feuilleta. Działanie prądu elektrycznego, zastosowane do wydawania tonów. Karol Strawiński, p. *M. Jelskiego*. Narodowość w życiu i w dramacie. Korrespondencye. Rozmaitości. Gazeta muzyczna.

Kółko domowe. Poszyt 9, M. grudzień, 1861, zawiera:

Urywek z moich pamiętników: Lato w Willanowie w roku 1821, p. *Katarzynę z Lipińskich Lewocką*. Emerencya i Pauli,

obrazek z historyi Szwecyi, p. *Julię Janiszewską*. Spotkanie w Maryenbadzie, komedya w 2-ch aktach, p. *Józefę Śmigielską*. Ogród botaniczny w Paryżu, p. *J. Śmigielską*. Wspomnienia historyczne z miesiąca grudnia. Hymn do szczęścia, p. *Deotymę (Jadwigę Łuszczewską)*. O ubiorach. Przytém rycina mód i tablica roboty kanwowéj.

Przyjaciel Dzieci. M. grudzień, 1861, NN. 36—39, zawierają:

Dzieje narodu polskiego, p. *Leona Rogalskiego* (c. d.). Historya święta, p. *Michała Szymanowskiego* (c. d.). Rozmowa o srebrze. Napoleon Bonaparte. Jeździec pancerny, p. *Kazimierza-Władysława Wójcickiego*. Krucyata dzieci w XIII wieku. Ochrony, p. *Józefa Heppen*. Baśń o żelaznym wilku, poemat *Antoniego Czajkowskiego*. W przeddzień Bożego Narodzenia. Adryan Florent. Na co są stworzone różne istoty. Rozmaitości. Myśli. Zdania.

Jutrzenka, Tygodnik dla Izraelitów polskich. M. grudzień, 1861, NN. 23—26, zawierają:

Uwagi do życiorysu Salomona Majmona. Gmina izraelska miasta Wielunia, p. *Fabiana Cohna*. Opis kolonii Łabędź i Ksawerów, p. *Fr. Str.* Ważna wiadomość bibliograficzna. Obraz wychowania młodzieży izraelskiéj. Wyjątki z dzieł rabinicznych, p. *C. i z J.* Statystyczna wiadomość o szpitalu Starozakonnych w Warszawie, p. *H.* Słówko o literaturze żydowskiéj. Czy żydzi mogą być rolnikami? p. *St. H.* Sprawozdanie półroczne. Gwiazda i aniół, p. *Ad. Rutkowskiego*. Korrespondencye. Bibliografia. Rozmaitości.

Magazyn Mód. M. grudzień, 1861, NN. 49—52, zawierają:

Wigilia Bożego Narodzenia. Wjazd Anny arcyksiężniczki austryackiéj, narzeczonéj króla Zygmunta III do Krakowa. O zabawkach dziecinnych. Zarysy przeszłości naszéj. Poezye. Korrespondencye. Gwiazdka. Nowości zagraniczne. Mody. Opisy robót. Przepisy kuchenne. Opisy rycin mód i wzorów. Szarady.

Tygodnik Illustrowany. M. grudzień, 1861, NN. 115—118, zawierają:

Powrót po napadzie Tatarów, obraz Loefflera, z drzewor. Tytus Działyński, p. *Juliana Bartoszewicza* (dok.). Kościół berdyczowski OO. Karmelitów, p. *Bolesława* z Ukrainy, z drzew. Pomnik Cypryana Godebskiego na Cmentarzu Powązkowskim pod Warszawą, p. *Kazimierza-Władysława Wójcickiego*, z drzewor. Sawa Caliński, p. *tegoż*. Wycieczka do Gdańska, p. *Deotymę (Jadwigę Łuszczewską)* (c. d.). Teofil Lenartowicz,

p. *Wojciecha Grochowskiego*, z drzewor. Kościół św. Jura we Lwowie, z drzewor., p. *K. W.* Kalwarya żmujdzka, z drzewor. Kościół w Staromieściu, z drzewor. Wincenty Kadłubek, p. *Juliana Bartoszewicza*, z drzewor. Alexander Morsztyn pod Chocimem, z drzewor. Śmierć Stefana Czarnieckiego, z drzewor. Kościół i klasztor ks. Dominikanów w Rossieniach na Żmujdzi, p. *J. W.*, z drzewor. Łoboda i Nalewajko, p. *Augusta Bielowskiego*. Marcin Bielski, z drzewor. Kościół św. Bartłomieja w Koninie, p. *A. L.*, z drzewor. Kaplica Zygmuntowska i krypta w katedrze krakowskiej, z drzewor. Statua króla Łokietka w Wiślicy, z drzewor. Kronika sztuk pięknych. Kronika tygodniowa. Poezye. Korrespondencye. Szachy. Rebusy. Zadanie konikowe.

Kmiotek. M. grudzień, 1861, NN. 49—52, zawierają:

Opowiadania Góralczyka z historyi polskiéj. Co sądzić należy o tém, tak często między ludem powtarzaném zdaniu: „Dobrego karczma nie zepsuje, a złego kościół nie naprawi." Drzewo oliwne. Obrzędy kościelne. Zachwycenie. Niebo, wiersz. Kilka słów o książeczce „katechizm rolniczy." Drzewo chlebowe. Wieśniak polski u Ojca Świętego. Boże Narodzenie. Dlaczego u nas bieda. Smutna a prawdziwa śmierć Wojciecha Hulacza. Kilka słów od Kazimierza Góralczyka co pisze Kmiotka, do tych braci włościan co go czytają. Zakończenie starego roku. Pieśń na dzień św. Młodzianków. Kazimierz Wielki i Zbroja.

Czytelnia Niedzielna. M. grudzień, 1861, NN. 48—52, zawierają:

Jan Zamojski hetman wielki koronny. Moc prawdziwa, obrazek z pierwszych wieków chrześciaństwa. Wpływ lasów na zmniejszenie powodzi i obfitość wód w rzekach. Gniezno. Opowiadanie o pańszczyznie. Włochy. Okolice Krakowa. Poczciwe ladaco. Pustelnicy pod Kazimierzem. Gawędy warsztatowe. O wpływie lasów na zmniejszenie upałów i zimna. Przed wrotami wiersz. O lewém dolném powiślu. Opowiadanie panienki. Różności,

Gazeta Warszawska. M. grudzień, 1861, NN. 286—309, zawierają:

Niektóre uwagi dotyczące artykułu: „O drogach bitych w Królestwie, p. *F. B.* Historya o Pra-pra-pra-wnuku i Pra-pra-pra-dziadku, powieść w dwóch częściach, p. *Teod. Tom. Jeża*. Helmold, p. *Jana Papłońskiego*. O kwestyi włościańskiéj, p. *A. W.* O użyteczności nauki prawa rzymskiego, p. *J. K. Skibińskiego*. O koniecznéj i naglej potrzebie i obowiązku zakładania biblioteczek wiejskich po dworach, gminach i plebaniach, dla użytku ludu. Tomasz Potocki, wspomnienie po-

śmiertne. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Gazeta Polska. M. grudzień, 1861, NN. 285—308, zawierają:

Listy redaktora z podróży. Pisma Waleryana Łozińskiego, p. *Romana Zmorskiego*. Przegląd Roczników gospodarstwa krajowego z m. listopada. Kopciuszek, powieść *Józefa Ignacego Kraszewskiego*. O prawie drukowém austryackiém. Wspomnienie o Tomaszu Potockim. Kurs początkowy języka polskiego, przez *Adolfa Kudasiewicza*, przegląd p. *Wł. Sabowskiego*. Ś. p. Karol Lipiński. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Pszczoła. M. grudzień, 1861, NN. 284—307, zawierają:

Prawdy powszednie. Freski. Sardynia. Humoreski *Władysława Sabowskiego*. Ramotki po *Auguście Wilkońskim*. Korrespondencye. Rozmaitości. Wiadomości bieżące.

Kuryer Warszawski. M. grudzień, 1861, NN. 284—307.

Dziennik Powszechny, pismo urzędowe, polityczne i naukowe. M. grudzień, 1861, NN. 53—75, zawierają:

Prace Towarzystwa historycznego w Moskwie, (dok.). Działanie prądu elektrycznego, zastosowane do wydawania tonów. O podatkach obecnie w Królestwie Polskiém istniejących. Staropolska wiejska gmina, w zasadzie swéj i rozwoju, według rękopismów i dawnych druków przedstawiona (dok.) Uwagi nad dotychczasowém błędném wychowaniem domowém młodzieży, p. *Ig. Boczylińskiego*. Opis starożytności znajdujących się w Królestwie Polskiém (c. d.). Wiadomości bieżące z nauk ścisłych, p. *Władysława Skłodowskiego*. Bibliografia warszawska za miesiąc listopad 1861 r. Rozbiór dzieła: „Vetera Monumenta," p. *Juliana Bartoszewicza*. O wykształceniu lekarza, p. *Wiktora Szokalskiego*. Słowianie południowo-zachodni. Wiadomości z polskiéj Fauny, p. *Władysława Taczanowskiego*. Bibliografia rossyjska, francuzka, niemiecka, za m. listopad 1861. Przedstawienie sekretarza stanu przy Radzie stanu, w przedmiocie projektu do ustawy górniczéj. Książki na gwiazdkę. O prawach wierzycieli do spadku po dłużniku pozostałego. Rys postępu literatury żydowskiéj w ostatnich czasach w ogóle i prace polskich żydów w szczególności, p. *Seliga Słonimskiego*. Listy o rzeczach społecznych, p. *A. Miniszewskiego*. Prace Akademii nauk w Petersburgu. Jurisprudencya. Statystyka. Gospodarstwo, handel, przemysł.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. grudzień, 1861, NN. 288—311, zawierają:

Żebraczka (c. d.). Pod parasolem. Mój stryj bandyta.

Warschauer Zeitung. M. December, 1861, NN. 272—295, zawierają:

„*Wann*" *und „wie" sollman heizen? ein Beitrag zur Diätetik von Dr. med.* Karl Reclam. *Reiseerinnurungen aus dem Riesengebirge. Ueber das plötzliche Weiss-oder Grauwerden der Haare. Eine Reise in Russland. Lokalbericht. Vermischtes.*

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. M. grudzień, 1861, NN. 95—102, zawierają:

Instrukcya dla Domu zleceń rolników z nad Warty i Pilicy, pod firmą Rucz, Siemieński, Zielonka i spółka (c. d.). Azot ze względu na nowe stanowisko, jakie w rolnictwie przybiera. O narzędziach i sprzętach rolnika polskiego XIX stulecia, wyrabianych w fabrykach krajowych i używanych w gospodarstwach naszych. O dochodzie gruntowym i jego wynajdowaniu. Roczne sprawozdanie Domu handlowo-komissowego rolników kaliskich. O użytkach z powierzchni leśnych, p. *Stefana Tartkiewicza*. O domach komissowych i biurach zleceń do interesów ziemiańskich. Praktyka musi zawrócić. Nowe spostrzeżenia co do koniczyska. O oficyalistach i służbie prywatnéj. Zapytań kilka do czytelników Korrespondenta, dotyczących budowy młynów, p. *G. R.* Korrespondencye. Wiadomości handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta Rolnicza. M. grudzień, 1861, NN. 47—52, zawierają:

Katechizm rolniczy dla młodzieży wiejskiéj, p. *Wincentego Darowskiego*. Domy zleceń ziemian polskich (dok.). O wpływie lasów na gospodarstwo rolne i o sposobie zagospodarowania lasów (c. d.). Szczepienie owcom ospy ochronnéj. Przegląd krytyczny dziełka Władysława Klepaczewskiego: „O stosunkach owczarstwa," p. *A. K. Stelmasiewicza*. Listy statystyczno-rolnicze w Wielkiém Księztwie Poznańskiém, p. *Władysława Jankowskiego* (c. d.). O domach komissowych i biurach zleceń do interesów ziemiańskich, p. *Józefa Celińskiego*. Nóż ogrodniczy, p. *A. K. Stelmasiewicza*. O szkodliwym wpływie dymów fabrycznych na wegetacyą lasów, p. *Zdzisława Niedabylskiego*. Kalendarze warszawskie na rok 1862 pod względem ich ważności i użytku w gospodarstwie wiejskiém, p. *A. K. Stelmasiewicza*. Najnowsze sposoby wychowania zdrowych i rosłych koni (c. d.). Motyka walcowa, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Drapacz leśny. Kwestye otwarte do dyskussyi piśmiennéj, p. *Seweryna Buczyńskiego*. Polska bibliografia rolnicza. Wspomnienie pośmiertne o ś. p. Tomaszu Potockim. Przegląd krytyczny dziełka Seifmana, p. t.: „Kastracya krów."

Korrespondencye gospodarske. Nowiny i ogłoszenia gospodarskie.

MUZYKALIA.

Wązowski M. Zapomniane skrzypki moje, mazurek do śpiéwu z towarzyszeniem fortepianu, słowa *E. Wasilewskiego*. Warszawa, nakł. R. Friedlein, lit. W. Otto, str. 11, kop. 45.

Złotaszewski Józef. Modlitwa do Boga-Rodzicy, śpiew z towarzyszeniem fortepianu lub fisharmoniki. Warszawa, nakł. i litogr. G. Gebethnera i R. Wolffa, str. 5, kop. 22½.

WIADOMOSCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Styczeń 1862 r. — Gdy stagnacya ciąży jednakowo w zwyczajnym handlu księgarskim, ożywienie tegoż handlu, widzimy w nowym zupełnie kierunku. Ruch widoczny objawia się w wydawnictwie dzieł potrzebnych dla oświaty ludowéj i książek naukowych, ze zwrotem na naukę dziejów starożytnych i literatury, których przez lat tyle musieliśmy zaniedbać. Ma się wkrótce otworzyć księgarnia dzieł wyłącznie ludowych. Już rozpoczęto prace około wydania w obrazach dziejów polskich, historyi świętéj i działów historyi naturalnéj, na użytek ochron i szkółek wiejskich. Zwrócono uwagę na literaturę tak zwaną *straganową*, ażeby ją zaopatrzyć w broszury prawdziwéj wartości we wszystkich kierunkach, mogących przeważnie wpłynąć na oświatę ludową. Wiadomo jak liche książeczki dotąd, lud umiejący czytać kupował po straganach miejskich i jarmarcznych. Wkrótce będzie miał swoją biblioteczkę doborową: położono w tém wydawnictwie zasadę, ażeby arkusz druku więcéj nad 5 do 6 groszy polskich nie kosztował. Przygotowuje się nadto instrukcya wychowania domowego, czyli przewodnik idący w pomoc wszystkim dobrej woli ludziom, chcącym się ze swéj strony przykładać do nauki ludowéj w czytaniu, rachunkach i pisaniu. Wkrótce obszerniejszo w téj mierze złożymy sprawozdanie naszym czytelnikom.

— Encyklopedya powszechna, podług prospektu bez przerwy wychodzi: wkrótce litera *G.* ukończoną zostanie. Spodziewać się należy, że redakcya wciągu bieżącego roku, dojdzie do litery *K.*, jednéj z największych dlatego, że tu wiele z pod *C* przejść musi. Wątpliwość co do ukończenia tak ogromnego dzieła ustała, a ułatwienie wydawcy, że dzieło to wychodzi bez prenumeraty, daje możność do nabycia takowego pojedynczemi zeszytami.

— Tygodnik Illustrowany, utrwaliwszy byt swój, cieszy się ciągłém powodzeniem. Wkrótce redakcya umieści oprócz wielu zajmujących artykułów, podania narodowe o *Twardowskim* czarodzieju i o *Borucie* słynnym djable łęczyckim, z wybornemi rysunkami Juliusza Kossaka. Rozpocznie też powieść Felicyana Faleńskiego, znanego z talentu poety i powieściopisarza. Zakład drzeworytniczy J. Ungra, wydawcy tegoż Tygodnika zaleca się coraz piękniejszemi drzeworytami, a młodzież krajowa wykształca się w nim ciągle.

— Przeglądając archiwum dawnych akt w Płocku, natrafiliśmy na historyczny ślad znajdowania się niegdyś kopalni ołowiu w Mazowszu. W aktach zakroczymskich *perpetuitatis*, książce 3, na oskarżenie o nieprawne dobywanie ołowiu, Mikołaj wójt z Mogilny (czy to nie jest teraźniejsze miasto Mogielnica, położone w byłém województwie mazowieckiém, powiecie czerskim?) musiał przysięgę składać według następnéj dosłownie tu wypisanéj roty: *Term. Zacroczim sub anno 1440. Nicolaus Advocatus de Moglno dt. † contra ducatum*: „Jacom ołowu smoglonsko (z Mogilańskiéj) gori nyewicopal alem gij v. nagennycz (u najemników; tojest u dzierżawiących kopalnię) kupyl".

— Dnia 7 stycznia r. b., po długiém zamknięciu *Teatr Wielki* otworzono przedstawieniem opery Mercantego *Bravo*. *Teatr Rozmaitości* zamknięty.

— *Pszczoła Północna* wychodząca w Petersburgu, rozpoczęła z nowym rokiem drukować w odcinku poemat Mickiewicza *Grażyna*, tłumaczony przez W. Wenediktowa. Utwór ten wielkiego poety nie był jeszcze tłumaczony na język rossyjski, i obecnie czytelnicy rossyjscy poraz pierwszy z nim się zaznajamiają. Redakcya Pszczoły Północnéj nabyła także drugi poemat Mickiewicza *Wallenrod*, w przekładzie tegoż tłumacza, i ogłosi go zaraz po ukończeniu Grażyny.

— Pismo Walerego Wielogłowskiego *Ognisko*, poświęcone rolnictwu, przemysłowi, rękodziełom i sztukom pięknym, ma na nowo wychodzić w Krakowie.

— Z drukarni Stauropigialnéj we Lwowie, wyjdzie poemat w języku (?? narzeczu) rusińskim p. n. *Swiatyj weczer* przez professora Eugeniusza Zgarskiego. W téjże drukarni rozpocznie się druk 3 tomu *Starożytnych miast halickich* (*Starodawnyje halickije goroda*), które to dzieło wydaje zeszytami prof. J. Szaraniewicz i dyrektor gimnazjum W. Ilnicki. Tom pierwszy obejmował *Starożytny Zwienigród*, tom drugi: *Starożytny Lwów*. W trzeciéj części mieć będziemy opis *Trembowli*. Ważne to wydawnictwo dla monografii miast naszych w dawnéj rzeczypospolitéj i dla historyi Galicyi.

— Nikodem Biernacki, znany artysta skrzypek, w Wiedniu wydaje: „Pieśni i tańce rusińskie". Publikacya ta wychodzi zeszytami, i przy melodyi dołączone są pieśni w narzeczu ludowém.

— W zakładzie typograficznym w Pradze Czeskiéj F. Tempskiego, wychodzą w nowém wydaniu J. Szafarzyka *Starożytności Słowiańskie* i historya Czech, Palackiego. Piérwsze mamy w przekładzie polskim: na drugie oczekujemy. Księgarz i nakładca nasz Alexander Nowolecki, ma zamiar po wydaniu *Historyi Węgier*, zająć się drukowaniem tłumaczenia dziejów Czech, które przyjął na siebie Julian Bartoszewicz, opatrując takowe licznemi przypisami, w ustępach gdzie się łączą takowe z dziejami polskiemi. Będzie to jedna z najważniejszych publikacyj i prawdziwa przysługa dla dziejów narodowych.

—We Lwowie wyszedł kalendarz na r. 1862 dla Rusinów, p. n. *Lwowianin, miesiacosłów*. Oprócz wielu użytecznych wiadomości dla miejscowych, w części literackiéj odznacza się powieść: Djabeł rozkochany: *Zakochanyj czort*.

— Do odznaczających się zakładów fotograficznych w naszém mieście, pomiędzy piérwszemi, policzyć możemy nowy p. J. Mieczkowskiego, który kilka lat poświęcił pracy, w udoskonaleniu się w téj sztuce. Fotografie tu wyrabiane bez retuszu odznaczają się wiernością rysunku, efektem, pięknością tonów i gustem artystycznym w układzie. J. Mieczkowski piérwszym jest z naszych fotografów, który jeszcze w r. 1855, robił już próby biletów wizytowych fotograficznych.

— Wkrótce wyjdzie z druku, w drugiém wydaniu zasłużonego naszego pedagoga T. Dziekońskiego, dzieło p. n. Jeografia na tle historycznem osnowana, czyli rys jeografii w połączeniu z historyą' przekład z francuzkiego. Wydanie to zawierać będzie wiele znacznych zmian od piérwszego, które wyczerpane zostało z handlu księgarskiego.

— Donieśliśmy o zgonie Franciszka Morawskiego generała b. wojska polskiego. Podamy teraz szczegóły biograficzne:

Urodził się d. 2 kwietnia 1783 roku, w dawném województwie poznańskiém, we wsi Podliszki. Zmarł d. 12 grudnia w *Luboni*, we wsi swéj w Wielkiém Księztwie Poznańskiém. J. I. Kraszewski pisze (Gazeta Polska, N. 305 z r. 1861): Był synem Wojciecha Dzierżykraj Morawskiego, dziedzica dóbr Bolęcina i Karchowa, i Zofii Szczanieckiéj. Obie te rodziny do dawnych w Poznańskiém i znaczniejszych się liczyły. Początkowe wychowanie pobierał w domu rodziców, gdzie jak sam opowiadał, aż cztérech nauczycieli do tego trzymano; następnie przeszedł na pensyą do Leszna do niejakiego Chyliczkowskiego. Daléj znowu powrócił do domu, gdzie emigrant Francuz l'Abbé Bienaimé dalszém kształceniem się jego zajmował. Skończywszy te przygotowawcze nauki, wysłany był na uniwersytet do Frankfurtu nad Odrą, gdzie zostawał lat cztéry; potém pracował przy sądzie kryminalnym tamecznym i złożywszy w Kaliszu egzamen auskultatorski przed prezesem Danckelmannem, był tam przez lat dwa. Nie można zaprzeczyć, że w ten sposób użyta młodość dziwnie dobrze przygotowała go do przyszłego życia, którego różnych stron zaraz z początku dotykać musiał. Z owéj praktyki sądowniczéj poszedł na gospodarstwo, wraz z bratem Józefem do Kotowiecka, potém do téj Luboni, w któréj miał długie życie zakończyć. Tu go doszła wiadomość o bitwie pod Jena, porzucił więc wioskę, pospieszył do Poznania i zaciągnął się do gwardyi honorowéj Napoleona, 1806 r. Mianowany zaraz podporucznikiem, po bitwie pod Czczewem porucznikiem, a późniéj w oblężeniu Gdańska 1807 r. ranny w nogę, kapitanem; Morawski poczuł już w sobie stanowczo powołanie rycerskie. Los mu ani ran, ani nagród nie szczędził; przy oblężeniu Kołobrzega ranny w ramię siekańcami, otrzymał kawalerski krzyż Virtuti militari. W r. 1809 odbył kampanią austryacką, jako adjutant generała Fiszera. Po bitwie pod Raszynem, gdzie miał dziewięć razy przestrzelony mundur, został podpułkownikiem i przeszedł do 12-go pułku piechoty Księztwa Warszawskiego. W tymże roku był w kilku bitwach jeszcze i przy obronie Sandomierza, a po wnijściu do Krako-

wa posłany został na zdobycie Wieliczki, z której Austryacy nie upierając się bardzo ustąpili. W r. 1811 z pułkiem swym był przy fortyfikowaniu Modlina, potém wkrótce przed kampanią 1811 r. został gros-majorem w tymże pułku; a że dowódzca jego generał Wejssenhof, wezwany został na szefa sztabu namiestnika Zajączka, komenderował pułkiem tym, aż do Smoleńska. Tu (1812) przeznaczony został na szefa sztabu dywizyi generała Kniaziewicza. W bitwie téj, w któréj pod sobą konia utracił, dostał krzyż kawalerski legii honorowéj. Całą tę kampanią odbywał w tymże charakterze szefa sztabu i miał udział we wszystkich bitwach, nawet pod Tarutinem. Mianowany pułkownikiem, dowiedział się o tém dopiéro za powrotem do Warszawy, gdyż kuryer z podpisem nominacyi jego, nie mógł dojechać do armii. W czasie sławnego odwrotu, był pod Wiazmą i Berezyną. Po powrocie do Warszawy przeznaczono go na adjutanta komendanta sztabu ks. Józefa Poniatowskiego. Przez niego z depeszami wysłany do Napoleona, znajdował się w bitwie pod Bautzen. W kampanii saskiéj przeszedł do kawaleryi jako szef sztabu dywizyi jazdy ks. Antoniego Sułkowskiego, przy którym był we wszystkich bitwach, a nakoniec pod Lipskiem, gdzie krzyż zloty legii honorowéj otrzymał.

Po śmierci ks. Poniatowskiego, gdy ks. Sułkowski objął dowództwo naczelne wojska polskiego, mianowany został szefem sztabu głównego i w tymże stopniu był potwierdzonym przez Dąbrowskiego. Był w bitwach pod Hanau i pod Paryżem; lecz tu już tylko jako świadek jeździł z marszałkiem Marmontem, gdyż nie należał do organizacyi pułków będących na linii bojowéj i wliczony był do kampanii honorowéj oficerów nie objętych organizacyą.

W roku 1814 po abdykacyi Napoleona, posłany był przez Cesarza Aleksandra do Danii, dla sprowadzenia brygady jazdy polskiéj, która się tam znajdowała. Przy nowéj organizacyi wojska przez W. K. Konstantego, mianowany podszefem sztabu głównego, a w roku 1819 generałem brygady. Po roku 1831, przebywszy lat kilka w Wołogdzie, otrzymał dymissyą i wyniósł się do majątku swego w W. K. Poznańskie.

W kilka lat po powrocie z Wołogdy, mieliśmy przyjemność poznać generała Morawskiego, w czasie jego pobytu u ojca żony, szambelana Wierzchowskiego w Stydyńcach, gdzie jakiś czas z dziećmi swémi bawił, bo żonę był wcześnie bardzo utracił, i matkę im sam z siostrą nieboszki zastępował. Ten wśród poleskich lasów skryty miły kątek, ze swym gospodarzem, który był typem najmilszych i najczcigodniejszych ludzi Stanisławowskiéj epoki i kółka puławskiego,

pamiętają dobrze wszyscy mieszkańcy okolicy, owego siwowłosego, uśmiechnionego staruszka, dwoje ślicznych generała dzieci i uprzejmą gospodynią domu. General nigdy tu długo nie przesiadywał; przypominamy sobie, że nie mogąc znieść bezczynnego życia, zajmował się wówczas tłumaczeniem któregoś z poematów Byrona, jeśli się nie mylę Parisiny. W ciągu całego swojego zawodu wojskowego, nigdy on nie wyrzekł się pracy umysłowéj i poczuwszy się poetą, dotrwał wierny powołaniu do śmierci.

Talent jego stawi go między pierwszémi téj epoki, zwłaszcza pod względem formy wdzięcznéj, języka i wielkiéj prostoty; Morawski nie zadał mu nigdy gwałtu, nie przeszedł jego granic, i dlatego wszystko co pisał nosi cechę naturalności, natchnienia, spokoju. W chwili wielkiéj walki o słowa między klassykami a romantykami, nie zajął on wyłącznego stanowiska, nie zaparł się obozu, w którym pierwsze stawił kroki, ale nie występował namiętnie przeciwko nowościom, czując, że tu jak wszędzie, prawda była we środku. Z Brodzińskim wraz Morawski stoi też dziś jako łącznik między dwoma epokami literatury, których obu pojmował piękno i rozumiał niedostatki. Oprócz mów przygodnych, zostawił po sobie listy wierszem, bajki, które były jego formą ulubioną, śliczny obrazek: „Dworzec mego dziadka" i trochę tłumaczeń.

Imię jego, dla którego nie szukał on głośności przebojem, zostanie poszanowaném w literaturze naszéj. Przyjaciel Koźmiana, Niemcewicza, Niemojewskiego, przez część życia znaczną szedł porwany wirem tego wiekowego prądu, który go zbliżył do najgłówniejszych wypadków i najwydatniejszych ludzi epoki; drugą część spędził cicho na wsi, rozmyślając o przeszłości.

Zgon jego był tak piękny jak życie. Umarł z największą przytomnością umysłu. Na godzinę przed śmiercią kazał się z krzesła odprowadzić do łóżka po kilkakrotnéj utracie krwi ustami; poczém wyspowiadał się, przycisnął syna oburącz do piersi i przemówił: „wzrok mój ciemnieje, podajcie mi krzyż," a gdy mu go podano: „nie ten, ale tamten, co nademną wisi nad łóżkiem." Wziął więc krzyż w ręce, zaczął go całować i spokojnie zasnął wśród tego na wieki, tak, że otaczający go chwili wyzionięcia ducha dostrzedz nie mogli. Od niejakiego czasu przeczuwał śmierć i ciągle o niéj mówił. W wigilią śmierci rozporządził synowi i synowicy, aby go pochowano skromnie, bez żadnych wystaw, nie w sklepach pod kościołem, ale na cmentarzu pomiędzy braćmi i aby żadnych kazań ani mów nie było. Taka była ostatnia jego wola, podniesionym wypowiedziana głosem.

— Teofil Borzęcki nauczyciel przy szkołach w Kielcach, przygotował do druku dzieło użyteczne dla uczącéj się młodzieży, p. n.: *Logika popularna poprzedzona krótką historyą duszy.*

— W Pamiętniku gubernii wileńskiéj p. Korewa, w rozprawie o *Karaimach* w gubernii wileńskiéj, z którego dowiadujemy się, że w Trokach i powiecie trockim, znajduje się do sta rodzin tego plemienia, podług rewizyi naliczono 254 dusz męzkich i 240 żeńskich mieszczan trockich, należących do stanu opodatkowanego. W ogóle Karaimy stanowią 0,06% całéj ludności gubernii wileńskiéj. Przesiedleni oni tu zostali w r. 1399 przez Witolda z Krymu i wtedy otrzymali przywileje królów polskich, ostatecznie zatwierdzone w latach 1835 i 1836. Na zasadzie tych przywilejów, zabronione jest żydom rabinom stale przemieszkiwać w Trokach, i całe plemie karaimskie wolne jest od spisu wojskowego. Pod wszelkiemi innémi względami Karaimy używają praw i przywilejów na równi z innémi opodatkowanemi stanami cesarstwa.

— Dziennika politechnicznego wyszedł zeszyt V za rok 1861 i obejmuje: O fabrykacyi i rafinowaniu oleju. Drenowanie zastosowane do budowl. O oszczędności materyałów palnych drzewnych przy produkcyi żelaza. Regulator Roynetta, do napełniania wodą kotłów parowych. Wielkie piece w Neüstadt przy Rübeuberge w Hanowerskiem. Imary i Copeland młot parowy. Pług przez Wincentego Wrześniowskiego. Zasady do wyrachowania ilości materyałów i robót w kosztorysach dzieł maszynowych, w miarach nowopolskich: oraz w wymiarach rossyjskich. Rysunki są dołączone: Olejarnie, Wielkie piece, Figury do pługa.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności zwróciło uwagę na dzieci żebrzące po ulicach, a w zamiarze usunięcia tego nie przyjemnego dla mieszkańców widoku i zapobieżenia wszelkiéj szkodliwości następstw, Towarzystwo to od 1 kwietnia r. z. otworzyło przy ulicy Czerniakowskiéj przytułek, bezpłatnie przyjmujący chłopców od 7 do 14 lat wieku. Opiekunowie, których dozorowi poruczono ten zakład, starają się o umieszczenie pomienionych dzieci bądź w mieście u rzemieślników, bądź na prowincyi. Dla uzyskania zaś funduszu potrzebnego na utrzymanie zakładu, Tow. Dobr. przedsięwzięło z rokiem przyszłym wydawać swój kalendarz, z którego dochód po odtrąceniu kosztów druku i papieru, przeznacza się na pokrycie wydatków przytułku. Kierunek części astronomicznéj kalendarza, przyjął dyrektor

Obserwatoryum astronomicznego, W. Baranowski; rozmaici zaś inni uczeni i literaci miejscowi przyrzekli współpracownictwo swoje. Kalendarze uważamy za zręczny środek do rozpowszechniania pożytecznych w kraju wiadomości, przeto szczęśliwi będziemy, mogąc powitać nowego w świecie kalendarzowym przybysza. Dalsze o tém przedsięwzięciu szczegóły podamy w swoim czasie; dziś zapowiadając kalendarz Warsz. Towarzystwa Dobroczynności, chcieliśmy tylko wcześnie mu zamówić miejsce tak na stołach salonów miasta, jako i u spokojnego pod wiejską strzechą kominka.

Posiedzenie oddziału Archeologii i Sztuk pięknych w Towarzystwie nauk. krakowskiém, odbyte w dniu 20 października 1861 r. —Jedném z głównych zajęć Oddziału na tém posiedzeniu, pierwszém po dwumiesięcznych feryach, była sprawa restauracyi kaplicy Lipskich w kościele katedralnym krakowskim. Już przed kilką laty p. Józef Żychliński z Husarzewa pod Poznaniem, przez żonę z rodziną Lipskich skoligacony, oświadczył się był z gotowością odrestaurowania rzeczonéj kaplicy, ofiarując na ten cel kwotę 900 fl. m. k., a do zastępowania go w téj rzeczy w Krakowie, p. Józefa Łepkowskiego, członka Tow. Nauk, a obecnie zastępcę prezydującego w Oddziale arch. i szt. pięk., w zupełności umocował. Gdy atoli po zrobieniu kosztorysu restauracyi, summa ofiarowana okazała się niedostateczną, rzecz cała poszła w odwłokę. W r. b. Oddział poruszając tę sprawę na nowo, postanowił do współudziału w nakładzie na powyższą fabrykę zawezwać innych, żyjących dotąd potomków rodziny Lipskich, i poruczył dwom członkom swoim: pp. J. Kremerowi i J. Łepkowskiemu, uczynienie stosownych w téj mierze kroków. Panowie ci uznali za najstósowniejsze udać się do samegoż p. Żychlińskiego, żądając po nim, aby od siebie wezwał żyjących członków rodziny swéj żony, do zwiększenia ofiarowanéj przezeń summy. Gdy atoli p. Żychliński ponowił tylko ze swéj strony obietnicę i gotowość ofiarowania każdéj chwili na ten cel, nie już 900 fl. m. k. ale 600 talarów, przeto Oddział postanowił wezwać p. Parysa Filippiego, aby przejrzawszy dawny kosztorys wynoszący 3000 fl. m. k., oznaczył to co najgwałtowniejszéj wymaga restauracyi, następnie nie czekając na zebranie się większego funduszu, za porozumieniem się z Najprzewielebniejszą kapitułą krakowską rozpocząć fabrykę, a w końcu za pośrednictwem sprawozdania zamieszczonego w dzienniku *Czas*, zawezwać rodzinę Lipskich do wzięcia udziału w podźwignieniu upadającego pomnika jéj przodków, co téż niniejszém czynimy, w nadziei, że głos nasz daremnym nie będzie. Rodzinne pomniki tego rodzaju są zarazem pomnikami

narodowemi; ale naród bezpośrednią opiekę rozciąga nad niemi dopiero wtedy, gdy rodzina zupełnie wygaśnie lub podupadnie. Dopóki jednak to nie nastąpi, obowiązek opieki zostaje przy niej, w której to świętej powinności, nikt wyręczać i ubiegać ją nie ma prawa.

Następnie gdy za jednę z akwarel p. Karola Hoffmana, z których przedaży dochód przeznaczył tenże na restauracyą pomnika Kazimierza W. w Katedrze, wpłynęło 45 fl. w. a., a w ciągu niniejszego posiedzenia p. Zyg. Ant. Helcel powiększył ten fundusz ofiarą 35 fl. w. a. za akwarellę, jaka mu za tę cenę z pomiędzy pozostałych oddaną będzie, przeto Oddział postanowił w stosownym czasie rozpocząć restauracyą wyżej wspomnianego pomnika, i wyznaczył do zbadania na miejscu stanu jego komissyą zajmującą się w ogóle restauracyą pomników, a to w porozumieniu z prześwietną kapitułą. Przedewszystkiém rozpoczęte będą reparacye najgwałtowniejsze, a nie godzi się wątpić, że troskliwość publiczna o tak świetny zabytek sztuki i przeszłości, jakim jest grobowiec Wielkiego Piasta, hojnym datkiem przyczyni się do dzieła jego restauracyi i postawi Oddział w możności dokonania jéj z jak największą dokładnością.

Po załatwieniu wreszcie innych spraw wewnętrznych Oddziału, podskarbi Tow. przedstawił liczne dary przesłane w ciągu feryi dla Towarzystwa, z których tutaj wymieniamy tylko te, które kwalifikują się do Muzeum, lub Oddziału arch. szt. pięk. bezpośrednio dotyczą; a mianowicie:

Od W. JKs. Janoty: medal bronzowy dla gen. Radeckiego i sześć pieniążków.

Od W. J. Wojciechowskiego; *a*) 4 plany klasztoru Karmelitów w Wiśniczu; *b*) 4 oryginalne dokumenta pargaminowe: wiadomość o starożytnościach Wiśnicza,

Od W. Kar. Zajchowskiego: 22 monety rzymskie, między któremi 21 miedzianych, a jedna złota Walentyniana III.

Od W. Maryi Pniewskiéj: 20 sztuk monet miedzianych, bronzowych i srebrnych.

Od W. Maryana Koskowskiego: *a*) 20 monet srebrnych, 1 złota, 4 miedziane, a jedna papierowa; *b*) kindżał w pochwie skórzanéj.

Od W. Dra. Karola Mohra: ostroga wykopana w lesie Bielańskim i pieniążek miedziany.

Od W. Władysława Sawiczowskiego: 2 banknoty polskie na 25 i 50 złp.

Od W. Ferd. Nowakowskiego: asygnacya na 100 złp. z r. 1831.

Od księcia Adama Sapiehy: 4 monety srebrne z czasów Władysława Laskonogiego.

Od W. Edwarda Kozłowskiego: 2 srebrne monety.

Od W. Fr. Wężyka b. prezesa Tow. nauk, krak. medal bronzowy z popiersiem Lelewela.

Od W. Hipol. Seredyńskiego podskar. T. N. K. banknot Koszutowski na 10 fl. i pierścionek roboty więźnia stanu.

Od W. Konrada Fihausera: 8 monet srebrnych i 7 miedzianych wykopanych w Brusniku i Januszkowicach.

Od W. Xawerego Krzeczunowicza: 55 monet srebrnych polskich wyoranych świeżo w Komarowie.

Od W. Stanisława Krzyżanowskiego: 18 sztuk monet i złotówką polska papierowa.

Od W. Modesta Turczewicza: moneta srebrna wschodnia i banknot węgierski na 2 fl.

Od W. Władysława Łuszczkiewicza: 13 monet i rysunek lekcyi Stanisława Augusta przez Canalettego z r. 1776.

Od W. Kajetana Żeromskiego: *a*) rostruchan cynowy z r. 1721; *b*) 2 kule kamienne; *c*) 2 monety srebrne Jana III wykopane w mogiłach szwedzkich w Hodakówce (obw. rzeszowskim).

Od W. Udalryka Heitzman: *a*) krwawnik z rzniętym na nim św Michałem, z rękojeści szabli Michała Żelińskiego dziedzica Przewłoki w Sandomierskiém; *b*) 2 kawałeczki marmurów kolorowych z Rzymu.

Od generała Józefa hr. Załuskiego: 10 sztuk monet polskich i 2 sztuki obcych.

— W litografii A. Dzwonkowskiego wyszedł wizerunek w całéj postaci i na dzielnym koniu Berka Joselowicza rodaka naszego wyznania Mojżeszowego, szefa szwadronu w 5 pułku strzelców konnych, który zginął pod Kockiem w 1809 r. Wojownik nasz przedstawiony w bermecy i mundurze pułku swego z dobytą szablą, spogląda spokojnie na towarzyszów broni, którzy uderzywszy szarżę na huzarów, już ich zastęp złamali i przymusili do ucieczki. Litografia, która jest wykonaną podług wybornego rysunku Juliusza Kossaka, zaleca się staranném wykonaniem i pięknem odbiciem.

— Nakładem Alexandra Lewińskiego księgarza wyszła część czwarta dzieła p. n. Leśnictwo polskie przez Alexandra Połujańskiego, obejmująca przepisy ochrony lasów.

— W drukarni Józefata Ohryzki, nakładem autora, w Petersburgu wydano: Rys dziejów Serbo-łużyckich przez W. Bogusławskie-

go. Dzieło wysokiéj wartości i sumiennych studyów. Powiemy o niém obszerniéj w dziale właściwym: tu zwrócić musimy uwagę na zakład typograficzny J. Ohryzki. Wszystkie książki z niego wychodzące odznaczają się nietylko najstaranniejszém odbiciem, pięknością druku, papieru, ale staranną także korektą i broszurowaniem nie tandetném, ale trwałém, bo każda forma jest szytą. Może to być wzorem dla naszych wydawców, którzy dla małéj oszczędności, rzucają książki w handel księgarski, które po rozcięciu kart, rozlatują się całe. Jest to usługa czy zmowa z introligatorami, ażeby po jedném przeczytaniu dzieła, właściciel był zmuszony do oddania go do oprawy trwalszéj.

— P. Maxymilian Nowicki, dawniéj w Samborze a dziś we Lwowie professor, przez długi czas zbierał i z naukową ciekawością rozpoznawał owady swoich okolic. W Samborze jeszcze ogłosił przy programacie szkoły tamecznéj na r. 1858 spis gatunków chrząszczowatych, a w r. 1860 wydał już nie prosty spis, czyli katalog, ale nader pożądany od cudzoziemców przegląd krytyczny rodzajów i gatunków, do których się odnoszą motyle Galicyi wschodniéj, a zatém polskie. Obiedwie te prace p. Nowickiego wykonane są w języku łacińskim i druga mianowicie zapisuje dziś jego imię w poczet naturalistów europejskich. Tytuł jéj jest: *Enumeratio lepidopterorum Haliciae orientalis* etc. Ale p. Nowicki obierając łaciński język w celu uczynienia postrzeżeń swoich wiadomemi dla naturalistów każdego narodu, ma na względzie i korzyści literatury własnéj, dotąd tak niezamożnéj w dzieła podobnéj treści; pracuje więc obecnie nad polskiém dziełem o motylach, które w następujący wykonać ma sposób. Na czele gatunków każdego rodzaju, stanie nazwisko rodzajowe, najprzód łacińskie a po niém polskie; potém nastąpią przytoczenia najważniejszych o tym przedmiocie dzieł klassycznych; pod przytoczeniami umieści dyagnozę łacińską, a po téj obszerny opis po polsku. Po opisie każdego gatunku poda jeszcze wiadomość o sposobie życia jego i jego gąsienicy i t. d., na samym zaś końcu domieści rozkład geograficzny. Rodzaje i plemiona będą także scharakteryzowane. Pod względem układu p. Nowicki trzymać się będzie najcelniejszych autorów niemieckich, jakoto: Herrich-Schefera, Lederera i t. p. Do dzieła będą dodane czarne tabliczki ikonograficzne do terminologii, tudzież 4 tablice kolorowane, przedstawiające do 120 gatunków takich, które są: 1) nowe: 2) problematyczne, 3) naszemu krajowi właściwe, a główną ozdobą zbioru p. Nowickiego będące. Zakończy książkę kalendarz gąsienic i samych motylów. Dzieło to hr. Włodzi-

mierz Dzieduszycki własnym kosztem każe drukować, lecz ograniczając wydanie do 500 egzemplarzy.

— Przy budzącym się u nas humanitarnym kierunku w wychowaniu, dla którego jedną z głównych podstaw służyć mają języki starożytne, zanim na samodzielne prace się zdobędziemy, korzystać nam wypada z dzieł mających wziętość po szkołach zagranicznych. Do takich należy elementarny podręcznik tak nazwanych *starożytności rzymskich* Duńczyka E. F, *Bojesena*, znany z przekładów w Niemczech, Anglii i Holandyi. Autor w ścisłym systemacie, z nadzwyczajną jasnością obejmuje wszystkie strony publicznego, prywatnego i umysłowego życia starożytnego Rzymu, jako rezultaty głębokich poszukiwań na polu religii, prawa, historyi i filologii dokonanych przez najsłynniejszych uczonych. Dzieło to przełożył z niemieckiego p. *Boczyliński*, nauczyciel gimnazyum radomskiego i już oddane do druku. Szkoły nasze będą miały w niém wielką i niezbędną pomoc; martwy dotychczasowy, po większéj części w słowniku i grammatyce oparty wykład, bardzo się ożywi, pobudzi młode umysły do poznania świata, z którego dzisiejsza cywilizacya nasza pożywne swe soki czerpie. Wkrótce tenże tłumacz wykończy nam i drugie dziełko *Bojesena*: Starożytności greckie, o tyle wyżéj od pierwszego stojące, o ile przedmiot sam więcéj interesujący i o ile więcéj i gruntowniejszych poszukiwań na polu tém zrobili głośni w uczonym świecie mężowie, jak *np.* Boeckhmeier, Schöman, Otf. Müller, Wachsmuth, Hermann i inni.

— Mówiliśmy już o wydaniu dwóch części ostatnich Inwentarzy Voluminów Legum, wydanych w przedruku Józefata Ohryzki w Petersburgu. Część pierwsza obejmuje Inwentarz Ładowskiego, A. J. Zaluskiego, Żeglickiego i Teodora Wagi, z potrzebnemi dodatkami i poprawami na nowo powtórnie przedrukowany, i służy do VI pierwszych tomów: część 2-ga obejmuje Inwentarz nowy, do uchwał do r. 1780 uchwalonych, przez ks. Teodora Ostrowskiego, na wzór dawniejszego ułożony, służący do VII i VIII tomu Voluminów Legum. Tak więc w ciągu lat dwóch prawie, Józafat Ohryzko stosownie do ogłoszonego prospektu, spełnił pomnikowego dzieła przedruk, i tą publikacyą zasłużył sobie na wdzięczność narodową, tém więcéj, że najmniejszy cel spekulacyi, nie rzuca cienia na to przedsięwzięcie nacechowane gorącém uczuciem obywatelskiém. Komissya archeologiczna wileńska, w dowód uczczenia téj zasługi, mianowała jednomyślnie członkiem swoim Józafata Ohryzkę. Pięknem, sumiennem a staran-

ném wydaniem Voluminów Legum, złożył dar drogocenny dla nauki dziejów ojczystych, robiąc to dzieło dostępném dla każdego, przez cenę nizką, pokrywającą tylko koszta nakładu, jakie wyłożyć musiał na tak wielkie przedsięwzięcie księgarskie. Nie oglądał się na pomoc żadnych mecenasów i dobrze zrobił: ogół, to najlepszy mecenas, i ten pewni jesteśmy, nie zawiedzie szlachetnego wydawcy.

— Księgarnia Behr'a w Berlinie, zapowiedziała wydanie ważnego dla dziejów naszych dzieła: *Inwentarz wszystkich w ogóle i po szczególe przywilejów, aktów, dyplomatów, pism i pomników znajdujących się w Archiwum królewskiém w zamku krakowskim przez komissarzy jego królewskiéj mości i rzeczypospolitéj wyznaczonych do rewizyi i skomentowania wszystkich pism, w temże archiwum znajdujących się, sporządzony w r. 1682.*

— Znany z licznych i znakomitych prac na polu finansowém Piotr Falkenhagen Zalewski, przesłał do Roczników gospodarstwa krajowego rozprawę: *Teorya i praktyka banków w zastosowaniu do naszego kraju*, która ukaże się i w osobnéj odbitce.

— We Lwowie, w drukarni stauropigialnéj wyszedł tom II-gi dzieła: *Zwyczajów i obrjadów narodnych* Ignacego Halka, obejmujący opisy obrzędów ludowych i pieśni wyjętych wiernie z ust ludu.

— Nakładem A. Nowoleckiego księgarza, wyszedł pierwszy zeszyt przekładu z angielskiego dzieła p. n.: „Poselstwo Lorda Elgin do Chin i Japonii, w latach 1857, 1858 i 1859, opisane p. Wawrzyńca Oliphanta sekretarza prywatnego hr. Elgin. Przy zeszycie drugim wydawca zapowiada dodanie sześciu rycin, tekst sam objaśniających.

— Na rok 1862, wyszedł *Rocznik leśniczy*, dzieło zbiorowe. O téj publikacyi powiemy obszerniéj w dziale kroniki literackiéj.

Wilno. Posiedzenie Kommissyi archeologicznéj. Dnia 11 b. m. odbyło się dwunaste z kolei zwyczajne posiedzenie Kommissyi archeologicznéj pod przewodnictwem prezesa hr. Eustachego Tyszkiewicza i w obecności 18 członków rzeczywistych, honorowych i współpracowników. Prezes zagaił posiedzenie następującém przemówieniem:

„Zagajając dzisiejsze dwunaste i razem ostatnie w tym roku posiedzenie, winien jestem zdać sprawę przed przezacném towarzystwem naszém ze stanu ogólnego, jak samego Towarzystwa, tak

i połączonego z niém Muzeum. Dzięki Opatrzności, pomimo rozmaite przeszkody i przyczyny od nas niezależne, stan ten nie jest bynajmniéj gorszy od tego, jakim był w roku minionym.

„Opłakiwać nam potrzeba kilka strat bolesnych, jakiemi Opatrzności podobało się nas dotknąć. Michał Homolicki, były professor uniwersytetu wileńskiego szereg ich otworzył. Już w gronie naszém czytane były przez dostojnego professora Adamowicza niektóre ustępy życiorysu tego znakomitego męża. Pozostałe w rękopismach jego prace wręczone zostały szanownemu współkoledze naszemu p. Adamowi Kirkorowi, od którego Towarzystwo z upragnieniem dziś zdania sprawy oczekuje. Drugim z rzędu był hr. Tytus Działyński, którego imię grono członków naszych zdobiło. Wzbogacił on wydaniami swojemi bibliotekę naszą i z całych swoich zbiorów pewnie najbogatszych na całéj ziemi polskiéj w Kórniku, dozwolił korzystać Towarzystwu naszemu. Wdzięczność mu więc największą i cześć popiołom jego niesiemy, lubo słabe są naszéj prowincyi żale, bo strata tego znakomitego człowieka do strat całego narodu należy. Téj wiosny upadły na zdrowiu pożegnałem tu jeszcze mojego zacnego przyjaciela, pełnego życia i zdrowia Ignacego Chodźkę. Wracając z wód, na drodze dowiedziałem się o jego śmierci. Nie znajduję słów dostatecznych dla opisania gorzkiego żalu, jakim mnie wiadomość ta przejęła. Któż nie zna jego Obrazów litewskich i któż ich nie uwielbia? Już życie i prace jego szczegółowie są opisane. Ja tylko szczycąc się przyjaźnią i bliską z nim zażyłością najwięcéj z jego zgonem straciłem, bo nie było żadnéj chwili przykréj lub trudnéj do zniesienia, w któréjbym jego rady nie zasięgał, a w téj dziwnéj jego prawdzie i prostocie ducha, nie znajdował największéj pociechy w skołatanem życiu i największéj ulgi w cierpieniach. Oby duch twój, który w twych pracach orzeźwiał serca Litwinów, który weń wlewał najdroższe dobra z swego twórczego źródła, bo miłość i przywiązanie do ziemi rodzinnéj, oby zawsze czuwał nad nami i za grobem jeszcze, zacny Litwinie, nie rozerwał tych związków, które nas dotąd ożywiały.

„Tysiąc rubli srebrem rocznie z podskarbstwa państwa assygnowane, połączono z roczną opłatą członków Towarzystwa, postawiły nas zupełnie w stanie niezależnym. Obowiązkiem jest moim przedstawić wam, panowie, budżet roku teraźniejszego.

Pomimo wielu zaległych opłat od członków:

Przychód w roku 1861 wynosił:

1) Ze skarbu	874 rub.	99 kop.
2) Z opłat od członków	710 „	50 „
	1585 rub.	49 „

Rozchód w 1861 roku.

A) Na deficit z roku przeszłego	88 rub.	64 kop.
1) Na pensye konserwatorowi, kancelaryi i służbie	775 „	— „
2) Drzewo opałowe	50 „	24 „
3) Światło	9 „	69 „
4) Rzeźbiarzowi Stehlikowi za Światowida i Kochanowskiego	62 „	50 „
5) Nabycie książek, pargaminów i transport z Berlina	43 „	27 „
6) Półki i najęcie krzeseł	9 „	60 „
7) Stolarzowi Rodziewiczowi za 12 katederek i stół do biblioteki	290 „	— „
8) Wydatki kancelaryjne i na utrzymanie czystości	28 „	75 „
9) Podróż konserwatora dla sprowadzenia kollekcyi owadów	64 „	59 „
10) Reparacya dachu	13 „	— „
11) Kominiarz	3 „	— „
12) Reparacya różnych przedmiotów i opatrzenie pieców	24 „	— „
13) Długi szklarzowi i sukiennikowi . . .	34 „	— „
14) Arenda gimnazyum	60 „	— „
15) Witryny do owadów	24 „	— „
16) Grodzieńskiéj izbie dóbr państwa zwrócono za transport posągu bronzowego . .	20 „	— „
	1600 rub.	28 kop.

W tym roku odwiedzających muzeum mniéj było niż zwykle, z powodu fabryki, jaka się w murach naszych odbywała, gdyż zaledwie 1151 osób instytucyą tę odwiedziło. Z tych mężczyzn było 4790, dam 1361. Powinienem tu wspomnieć o zaszczytnych odwiedzinach muzeum téj wiosny przez J. C. W. Wielkiego księcia Michała Mikołajewicza.

Przejdźmy teraz do darów, jakie w tym roku wzbogaciły nasze muzeum. Ofiarujących osób było 237; przedmiotów ofiarowanych było 13,731. Do znaczniejszych darów należą:

1) Od jw. generał adjutanta Nazimowa dawna chorągiew miasta Wilna.

2) Kollekcya konch professora warszawskiéj akademii Konstantego Górskiego, egzemplarzy 1,324.

3) Kollekcya owadów barona Grossa, egzemplarzy 10,000.

4) Książek przybyło tomów 803.

5) Nabyto od cechu garbarskiego trzy księgi przywilejów, jednę pieczęć, dwa dyplomata i dwa buzdygany.

6) Pan Karol Bayer ofiarował odcisk drzwi Bolesławowskich z katedry gnieźnieńskiéj.

Muzeum nabyło: kollekcyą płazów z 100 egzemplarzy.

„ grzybów z 109 „

Nie mogę nie zwrócić tu uwagi Towarzystwa na gorliwość zacnych Litwinów, którzy gdziekolwiek i z jakichkolwiek będąc powodów oddaleni, nie zapomnieli o zbiorze naukowym miejsca pierwiastkowego swego wychowania, Wilna. I czy Kukiel Bronisław z Japonii, czy Małachowski Antoni z Saratowa, Bakszewicz Mikołaj z kopalń jenissejskich w Syberyi, Zimodro z brzegów Kaspijskiego morza, ksiądz Przyjałgowski z Kronsztadu i tylu innych, wszyscy oni imiona swe w liczbie dobroczyńców naszéj instytucyi na zawsze zapisali. Im to będziemy wdzięczni za pomoc, jaką w usiłowaniach naszych przynieśli; bo nigdy celem naszych starań być nie przestanie, dopomaganie zbiorami naszemi uczącéj się młodzieży w braku zupełnym gabinetów przy wileńskim naukowym okręgu.

W teraźniejszym roku, na posiedzeniach, przeczytanych było ośm rozpraw historycznych i jedna z nauk przyrodzonych.

Byliśmy w tym roku w ciągłych i nieprzerwanych związkach z Towarzystwami naukowemi, jak następuje: Estońskiém naukowém w Dorpacie, Historyczném i starożytności w Rydze, Cesarską biblioteką w Petersburgu, Cesarskiém archeologiczném towarzystwém tamże, Kijowską archeograficzną kommissyą, Towarzystwem historyczném i starożytném w Odessie, Muzeum w Pradze, Towarzystwem naukowém w Moguncyi, Towarzystwem naukowém w Zgorzelicach (w górnych Łużycach), Towarzystwem styryjskiém w Gracu, Towarzystwem krainskiém w Lublanach (Lajbach).

Prace Kommissyi ograniczają się w tym roku na wydaniu opisania Dźwiny, przez hr. Adama Platera, na zupełném prawie ukończeniu druku drugiego tomu Skarbca Daniłowicza i druku księgi O gotowości wojennej, z rękopismu naszéj biblioteki, kosztem hr. Włodzimierza Platera. Winienem tu wspomnieć, że egzekutor ostatniéj woli ś. p. księdza Kazimierza Lenartowicza Pijara, znakomitego niegdyś professora akademii duchownéj wileńskiéj, nadesłał na ręce szanownego członka naszego, p. Jana Sidorowicza 200 rs., przekazanych testamentem zmarłego, na powiększenie funduszów wydawnictwa dzieł Daniłowicza.

Czytelnia publiczna przy bibliotece naszego Towarzystwa jest już urządzona zupełnie. Okoliczności od nas niezawisłe wstrzymują jéj otwarcie. Pan kurator okręgu naukowego rozkazał oddać nam

salę przytykającą do gmachów muzeum, dla umieszczenia w niéj biblioteki Towarzystwa. Będzie to dla nas wielka dogodność oddzielić księgozbiór od zbiorów muzeum, z któremi dziś niewłaściwie jest połączony. Da Bóg i trudności w urządzeniu téj sali pokonane zostaną, a księgi dotąd uzbierane przydadzą się wszędzie i zawsze, bo dotąd nigdy i nigdzie w krajach oświeconych książka niepotrzebnym sprzętem nie była.

Zamykając to sprawozdanie krótkie, którego szczegóły przedstawione w urzędowym raporcie miejscowéj władzy, sekretarz naukowy na następném posiedzeniu udzielić wam, szanowni panowie nie zaniedba, pozwalam sobie złożyć najczulsze moje podziękowanie wszystkim współkolegom, którzy w tegorocznych pracach udzielić mi swéj pomocy raczyli i z rzewném uczuciem wdzięczności zachowam w mém sercu pamięć tych wszystkich ofiar i wytrwałéj pracy, którym muzeum nasze swój byt i rozwój zawdzięcza".

Potém po odczytaniu protokułu przeszłego posiedzenia, zabrał głos rz. czł. A. H. Kirkor i wywiązując się z danego sobie przez Towarzystwo polecenia, zdał sprawę z rozpatrzenia rękopismów pozostałych po ś. p. professorze Homolickim w obszernym artykule, który tutaj w całości umieszczamy:

„W liczbie rękopismów pozostałych po ś. p. prof. Homolickim, jednym z najważniejszych i najbardziéj interesujących nietylko dla archeologa, ale i dla każdego miłośnika naszego grodu rodzinnego jest bez zaprzeczenia dzieło pod nadanym mu przez ś. p. Homolickiego, we własnoręcznéj notatce jego na osobnym szpargale spisanéj, tytułem następującym: „Fragment z historyi kościoła katedralnego wileńskiego". Treść tego dzieła oznaczona przez samego autora następnie: grób, nagrobek i ołtarz Witolda w staréj katedrze wileńskiéj; inne jego wspomnienia i nadania w tym kościele; ustępy i dodatki w związku z niemi, albo w zbliżeniu zostające". Na okładce i w kilku innych miejscach rękopism ten nosi ogólny tytuł: „Fragmenta Witoldowskie", jak i za życia ś. p. Homolicki w rozmowie zawsze tę pracę nazywał.

Pamiętamy dobrze początek i wzrost stopniowy téj mozolnéj pracy ś. p. Homolickiego. Bylto mąż wielkiéj nauki, wielkiego serca; ale nie ubliżymy jego pamięci, skoro wynurzymy zdanie, że zbywało mu na potędze twórczego geniuszu. Bylto głęboki, sumienny i nadzwyczaj pracowity badacz dziejów ojczystych; pomimo jednak wielkiéj nauki i najrozleglejszych wiadomości mało zostawił nam prac samoistnych bez szczególnéj jakiéj pobudki napisanych: wszystko bowiem co wypracował, nazwaćby można raczéj krytyką, chociaż

krytyką nieraz głębiéj i jaśniéj rzecz wyświetlającą, niż samo dzieło obrane za przedmiot rozbioru. Wilno Kraszewskiego zrodziło długi szereg artykułów w Wizer. i Roztrz. nauk., które razem zebrane utworzyćby mogły spory tom; a kiedy już zabrakło wątku do dalszéj pracy, ś. p. Homolicki wiele kart napisał, krytykując i poprawiając własne poprzednio przez siebie wypowiedziane zdania. Tak było i ze wszystkiemi jego pracami: pobudka do wprawienia w ruch tego zacnego umysłu, leżała zwykle zewnątrz niego.

Owoż i pobudką do napisania w mowie będącego Fragmentu była następująca okoliczność. Kiedy w r. 1851 dostojny nasz prezes powziął szlachetną myśl wskrzeszenia pomnika Witoldowi, chodziło o dokładne oznaczenie miejsca, gdzie mianowicie ten pomnik ma być wzniesiony? Hr. Eust. Tyszkiewicz udał się z prośbą do prof. Homolickiego, i to właśnie zrodziło myśl głębszego zbadania przedmiotu. Pobudzony do działania, chociaż w ciągu lat dwóch miejsce dokładnie było oznaczone i sam pomnik już je zajął d. 27 maja r. 1853, ś. p. Homolicki nie ustawał w badaniach, praca jego zolbrzymiała i oto mamy przed sobą spory rękopism sumiennych, nader ciekawych i nie jedną kwestyą rozstrzygających studyów, z dziejów grodu naszego.

Wszakże nad wszelki wyraz sumienny autor uważał tę pracę jeszcze za niedostatecznie wykończoną i zostawił ją bez należytego uporządkowania i przepisania, gdyż ciągle snadź aż do końca myślał o jéj udoskonaleniu.

Rękopism ten składa się z 211 dużych, niesposzytych półarkuszy, oprócz kilkuset dodatków, not, przypisów na osobnych szpargałach. Wiele stronnie przekasowano, zapewne w zamiarze przerobienia, co jednak do skutku nie przyszło.

Po ścisłém przejrzeniu całéj téj pracy, możemy ją podzielić na XI rozdziałów i podać treść jéj jak następuje:

Rozdział I. Miejsce grobu Witolda i ołtarza ś. Michała. Ołtarz i nagrobek Witolda. Ołtarz Witoldowski Bożego Ciała. Położenie jego nie w kaplicy, lecz w głównym gmachu kościelnym. Zniknienie nagrobka i ołtarza Witolda. Dwie uchwały kapitulne o jego wznowieniu. Co się stało ze szczątkami bohatera?

Rozdział II. Uposażenie ołtarza Witoldowskiego. Ołtarz św. Krzyża, albo dziesięciu tysięcy męczenników w pośród kościoła, wznowiony przez Waleryana biskupa. O kaznodziejach katedralnych, biskupim i królewskim. Ołtarz Witoldowski był tylko jeden i pierwiastkowo jedna tylko altarya. Przyczyny zmieszania go z ołtarzem św. Krzyża pośród kościoła. Kaznodzieja kapitulny.

Rozdział III. Kapelan Witoldowski ś. Michała. Kaplica Januszowska.

Rozdział IV. Ustęp o tarczy herbownéj pod kaplicą Januszowską znalezionéj. Domysł o trumnie biskupa Jana z książąt lit.

Rozdział V. Psałterzyści Witolda. Msza codzienna i cotygodniowa, solenne anniwersarze za duszę Witolda. Obraz Witolda w dawnéj katedrze Wil. Ustęp o jéj ostatniém przebudowaniu.

Rozdział VI. Kaplica Gasztoldowska i plac dawny zajęty przez marmurową kaplicę ś. Kazimierza.

Rozdział VII. Chorągwie zwycięzkie w dawnéj katedrze zawieszone. Czy były w ich liczbie przyniesione przez Witolda z bitwy Grunwaldzkiéj? Ustęp o miejscu zgonu i o latach wieku św. Kazimierza królewicza. Chorągiew uwielbienia ś. Kazimierza wyznawcy.

Rozdział VIII. Nadanie Witolda dla kapituły. Kanonik wojewoda. Niektóre dawne opłaty i daniny. Czy Witold z gruntu odbudował katedrę wileńską?

Rozdział IX. O najdawniejszych sprzętach katedry wileńskiéj zaginionych, ze szczegółowym wielu tych, oraz i późniejszych sprzętów opisem.

Rozdział X. Sprzęty Gasztoldowskie. Monstrancya Gieranońska, nagrobek Wojciecha Gasztolda.

Rozdział XI. Dawne ubiory święte katedry Wil. z daru panującéj rodziny, dochowane po koniec XVI wieku.

Samo to pobieżne wyliczenie treści rozdziałów Fragmentu, przekonać może, jak jest ważnym ten nabytek dla archeologii krajowéj.

Niepodobna nam tu wchodzić w drobiazgowy rozbiór dzieła; przytoczymy kilka tylko szczegółów, zawierających nowe w dziedzinie historyi lub archeologii odkrycia, lub sprostowania dawnych opisów i mniemań naszych historyków.

Zacznijmy od najważniejszego zadania całego dzieła, a mianowicie w jakiém miejscu w katedrze wileńskiéj pogrzebiony został W. ks. Witold? Zasłużony nasz badacz dziejów litewskich Teodor Narbutt, opierając się na kronice lit. Bychowca, wskazał dokładnie, że zwłoki Witolda spoczęły w katedrze, w chórze kanoniczym, po lewéj stronie, blizko drzwi zakrystyjnych (Dz. Nar. Lit. t. VII. Dod. XII, 137); ale nie dla wszystkich jasném było, gdzie się podówczas mieściły zakrystya i chór? Kraszewski w hist. Wilna (T. II, 228) powiada, że Witold pogrzebiony w *kaplicy* zwanéj altaryą ś. Michała archanioła: lecz i to wcale nie wyświetlało rzeczy. Dopiéro praca Homolickiego rozjaśnia to wszystko, a mianowicie, że Witold pogrzebiony *nie w kaplicy*, lecz w głównym gmachu kościelnym, przy ołtarzu ś. Michała,

w chórze, na lewéj stonie, wedle drzwi zakrystyi, przy grobie żony swéj Anny, w którym za życia jeszcze dla siebie samego Witold miejsce wiecznego spoczynku wybrał. Miejsce to przypada, podług skazówek dziejów kapitulnych i świadectwa kronikarza litewskiego, w południowéj części prezbiteryum, na boku epistoły ołtarza Bożego Ciała i bliżéj ku środkowi wielkiego ołtarza, pomiędzy pierwszą i drugą parą filarów kościelnych. Nie możemy tu nie zwrócić uwagi, że Homolicki, opierając się na kronice Lit. przytoczonéj przez Narbutta, a nadto dodając, że opowieść kronikarza stwierdza się zapisem Witolda na dobra Ihumenów, tém samém uznaje autentyczność wspomnionéj kroniki, podawaną w wątpliwość przez niektórych naszych historyków.

Opowiedziawszy smutne koleje kościoła katedralnego i kilkakrotne niszczenie pomnika Witolda, Homolicki ze zgrozą mówi o krzywdzącéj, a tak szeroko rozpowszechnionéj wieści, że nawet niektórzy pisarze uwierzyli w jéj prawdziwość, i na téj chwiejnej podstawie obwiniali kapitułę i W. Gucewicza za zniszczenie jakoby nagrobka Witolda w czasie ostatniéj restauracyi katedry. Dziwna, że powodem do tego posądzenia była wzmianka opisującego wizytę katedry Wil. w r. 1828, zawierająca niesłuszne oskarżenie kapituły, któréj tenże wizytujący był członkiem, i Gucewicza, który tak zaszczytnie krajowi się zasłużył. Następnie, podając ciekawe szczegóły o losach, jakie spotkały pomniki Witolda, aż do ostatniego przebudowania katedry, Homolicki wpada na następujący pożądany wniosek: „Jeżeli trumienka była głęboko wmurowana, nie traćmy wszelkiéj otuchy, że kości wielkiego Witolda jeszczeby i dotąd w ścianie kościelnéj tkwić mogły. Pocieszajmy się myślą, że olbrzym Righiego stoi tylko na straży szczędów olbrzymiéj sławy bohatera, i nigdy już nie dopuści, żeby je świętokradzka ręka znieważać miała"!

W dalszym ciągu spotykamy ciekawe szczegóły o zwłokach św. Kazimierza. Wiadomo, że niektórzy z historyków twierdzą, jakoby zwłoki św. Kazimierza królewicza, przed wystawieniem nowego dla nich przybytku, były na czas pewny przeniesione do zamku Miedzickiego; inni znowu, że Kazimierz św umarł jakoby w Grodnie. Homolicki, opierając się na dziejach kapitulnych, na pismach Kojałowicza, we dwadzieścia lat tylko później pisanych po wprowadzeniu ciała do nowego przybytku (Miscellanea, 1650), w końcu na znanéj mowie Sarbiewskiego, stanowczo zaprzecza jednemu i drugiemu twierdzeniu. Że św. Kazimierz umarł w Wilnie, dowodnie przekonywa wyżéj wspomniana mowa Sarbiewskiego, z któréj Homolicki przytacza następujący wyjątek: „uwielbiany książe nawiedzi znowu (przy obnoszeniu ciała po mieście) rodzinny pałac królów, który cnotliwém,

pobożném i nieskalanem życiem, a świątobliwym *zgonem* ubłogosławił i poświęcił." Nie mniéj też głębokie badania i wyświetlenie prawdy co do lat wieku ś. Kazimierza i innych szczegółów jego życia, kanonizacyi, przeniesienia zwłok, w końcu saméj kaplicy w kat. Wil. napotykamy w téj pracy Homolickiego.

Nigdzie nie znajdziemy tak ciekawych i ważnych szczegółów o *chorągwiach* wojennych, które dawniéj złożone były w katedrze, a których śladu dochodzi autor w opowiadaniu powziętém przez Narbutta, za młodych lat jego od proboszcza ś. Jańskiego kościoła, do którego, w ciągu restauracyi katedry, przeniesione było jéj nabożeństwo z częścią dawnego sprzętu; Homolicki bowiem jest przekonany, że owe zbutwiałe i poszarpane szmaty chorągwi wojennych, w zamczystéj szkatule pod koniec zeszłego wieku szczególnym trafem otwartéj, znalezione, niczém inném być nie mogły, chyba szczątkami znaków bojowych, nadaremnie przez biskupa Jerzego Tyszkiewicza i kapitułę wyszukiwanych.

Znikły one podczas zajęcia zamków wileńskich od r. 1655 do 1661. W ciągłéj prawie kolei późniejszych niepowodzeń, zamieszek, lub odrętwienia krajowego, zapomniano o tych świadkach pomyślniejszéj i pełnéj chwały przeszłości. Opisując te szczęty chorągwi, Narbutt wspomina o brodach krzyżackich z bitwy Grunwaldzkiéj, które na rozkaz Witolda pozdzierano i na sznur jedwabny nanizano, a których ślady były pomiędzy szczętami chorągwi. Homolicki wpada na domysł, że to mogły być włosienie od rozpadłych buńczuków, które splątane i w oddzielne kosmy skłębione, bardzo łatwo nakształt bród krzyżackich, siwych, płowych i ryżych wyglądać mogły. Wieść o zdzieraniu bród i zawieszaniu ich w Wilnie i na zamku krakowskim, jak to Schuetz, Kotzebue i inni pisarze niemieccy dowodzą, Homolicki przypisuje nienawiści niemieckiéj ku Polakom. To samo prawie zdanie o mniemanych brodach, wyczytaliśmy później w pięknych *Szkicach historycznych* Karola Szajnochy, chociaż żaden z obu piszących o pracy drugiego nie wiedział. Jestto fakt bardzo chlubnie przemawiający na korzyść przenikliwości historycznéj równie Homolickiego jak Szajnochy.

Rzadkie dziś i mało jest znane dziełko *Kwiryna Knoglera* austryaka, dawniéj dworzanina kardynała Jerzego księcia Radziwiłła, wielbiciela biskupa B. Wojny, panegirysty jezuitów, a co dziwna, zarazem professora logiki i wymowy w szkole wileńskiéj wyznania helweckiego i przyjaciela Andrzeja Wolana. Homolicki szeroko mówi o tym niepojętym człowieku i o dziele jego *Teatrum* świętego Kazimierza.

W żadném piśmie niema tak szczegółowego opisu wprowadzenia chorągwi i ogłoszenia kanonizacyi ś. Kazimierza, 10 maja 1604 r.

Ciekawy to opis, dokładnie malujący ów wiek i jego zwyczaje. Mamy tu cały program processyi do kościoła ś. Stefana i napowrót; opowieść o bocianie, który się zjawił na Rudnickiéj ulicy, a spuściwszy się po nad samą chorągiew i przez chwilę na jéj wierzchołku przysiadłszy, przeleciał zwolna po nad miastem *wskazując drogę świętemu pochodowi*; wreszcie, co najciekawsza, aż 3 dyalogi, którym (mówi Homolicki) w ogólności brak natchnienia poetyckiego, lecz za to dostatek wszystkiego, co dziś odstręcza nas i gniewa, dziwaczne zespolenie i zmieszanie rzeczy świętych ze światowemi, pojęć chrześciańskich z wymysłami pogańskiéj mitologii. Jeden z tych dyalogów był wyprawiony na tarasie bramy Rudnickiéj, a w nim główną grało rolę *uosobione Wilno*, w postaci niewiasty. Ta występowała zrazu smutna, obleczona w tragiczną powłóczystą szatę, i opłakiwała niedolę kraju; ale następnie pocieszona przez przybyłych aniołów, którzy zapewnili, że Bóg, za pośrednictwem ś. Kazimierza, a przejednany szczerą pokutą i poprawą mieszkańców, zdarzy pomyślniejszą przyszłość krajowi, wdziewa świetną szatę godową od złota, pereł i kamieni, a z wiankiem kwiecistym na głowie, szybko się spuszcza z Rudnickiéj bramy, wskazuje wóz tryumfalny z zaprzęgiem w kwiaty i wieńce ustrojonym, którym zwinnie kierując, przewodniczy w dalszym pochodzie. Knogler na seryo upewnia, że *Wilno jak najdoskonaléj rolę swą odegrało!* Homolicki przytacza następny pocieszny ustęp z opisu Knoglera: „Trzebaż mi się rozwodzić, jaką miał mowę Lew Sapieha, odbierając w imieniu króla, z rąk Grzegorza Święcickiego kanonika listy apostolskie i chorągiew chwały ś. Kazimierza? Mówi z mocą i powagą, jak lew; roztropnie, jak senator; wybornie i ozdobnie, jak kanclerz; a czy mądrze, *sapienter?* oto już ani pytaj: bo nie darmo zwał się *Sapieha!*" Homolicki radzi, ażeby dziełko Knoglera, dla wielu szczegółów, stan owoczesny miasta i kraju charakteryzujących, oraz znamion ogólnych wieku, przełożone zostało na język polski.

Do rzędu wielu kwestyj historycznych, które autor rozstrzygnąć usiłuje, zaliczyć należy pytanie: czy rzeczywiście Witold z gruntu odbudował katedrę wileńską? Narbutt, opierając się na źródłach krzyżackich, pisze, że kościół katedralny spłonął do szczętu wraz z zamkiem w roku 1398; Witold dźwignął nowy, piękny, w gotyckim stylu w r. 1407. Homolicki, nie znajdując o tém wyraźnéj wzmianki w aktach kapitulnych, zaprzecza zupełnemu odbudowaniu kościoła, sądząc, że pożar był tylko uszkodził, lecz nie zrujnował go do szczętu. Jednakże sam autor ze zwykłą sumiennością mówi, że akta kapitulne zaczynają się dopiéro od wieku XVI, że w tychże aktach późniéj mianują

zawsze Witolda *pierwszym katedry wileńskiéj fundatorem*, tak, że ostatecznie kwestyi téj za rozstrzygniętą uważać nie możemy.

Sporządzony przez Homolickiego gruntowny i dokładny opis sprzętów katedralnych zaginionych, oraz przechowanych do dzisiejszych czasów, dla archeologii krajowéj ma nader wielkie znaczenie: w żadném dziele o Wilnie nic podobnego nie znajdziemy.

Pod koniec jeszcze XVI wieku było w skarbcu katedralnym 230 naczyń i sprzętów, srebrnych i złotych. Autor szczególną zwraca uwagę na te, o których z herbów, napisów, lub innych wskazówek dojść było można, że z daru wielkich książąt i królów albo ich małżonek niezawodnie pochodziły. Sprzętom Gasztoldowskim, monstrancyi Gieranońskiéj i nagrobkowi Wojciecha Gasztolda poświęcono w téj pracy osobny rozdział, zawierający nader ciekawe studya.

Te kilka szczegółów, sądzę, że dostatecznie przekonać potrafią, jak jest ciekawą i nauczającą praca ś. p. Homolickiego. Ale dla archeologii i dziejów grodu naszego jest to skarb, nad który w tym przedmiocie droższego mieć nie możemy. Trzeba było kilkudziesięciu lat życia, i takiego życia, jakie pędził ś. p. Homolicki, w pracy, samotności, z nauką i dla nauki, ażeby być zdolnym do skreślenia tego pięknego obrazu przeszłości naszéj, do wydobycia na jaw tylu wspomnień, tylu pamiątek, które czas, rozruchy, ciemnota, a nieraz i zła wola przez tyle wieków niszczyły. Homolicki dla Wilna był najpotężniejszą dźwignią wiedzy archeologicznéj. Jeżeli w Wizer. i Roztrz. Nauk. postrzegamy niekiedy wątpliwości, wahanie się w zawyrokowaniu; w niniejszém dziele widzimy męża, który z powagą i godnością mistrza kreśli nam dni ubiegłe, z dobroduszną naiwnością, właściwą tylko tak wysoce ukształconym charakterom i takiéj prostoty i zacności duszy; wyznaje czego nie wie, a czegoby nauczyć się pragnął, śmiałym rylcem kreśli nam takie zabytki, o których istnieniu już prawie nikt nie wiedział. Piękna to spuścizna dla nas, dla naszego Towarzystwa, którego ś. p. Homolicki był członkiem, stale najgorliwszy biorąc udział we wszystkich dążnościach naszych, sprzyjając nam z głębi serca i nigdy i nikomu nie odmawiając swoich rad i uwag.

Umiejmy więc uszanować tę piękną pracę pośmiertną i nie szczędźmy usiłowań, ażeby o ile można najrychléj wyszła na widok publiczny.

Prócz téj drogocennéj puścizny, chcę tu powiedzieć jeszcze słów kilka o innéj pośmiertnéj pracy Homolickiego, któréj szczęśliwym posiadaczem zostałem. Jest to spory artykuł p. t. „*Kilka wspomnień o Józefie Franku*," z 227 str. arkuszowych się składający, na czysto przepisany, przejrzany i poprawiony przez samego autora. Pracę tę

przeznaczył był Homolicki do wydawanéj przezemnie przed kilką laty „*Teki Wileńskiéj,*" lecz po zamknięciu tego pisma zostawała u autora i dopiéro po śmierci jego, wręczoną mi została przez zacnego przyjaciela zmarłego prof. A. F. Adamowicza. Pod skromnym tytułem *Kilka wspomnień* wiele tu się zgromadziło ciekawych szczegółów do historyi miasta Wilna i byłego uniwersytetu wileńskiego. Praca ta pod względem naukowym niższą jest daleko od poprzedniéj, lecz dla większości czytelników, niewtajemniczonych w archeologią, daleko więcéj mieć może ogólnego interesu. Obie zaś te prace połączone i wydane razem stanowiłyby spory tom, wielce wzbogacający piśmiennictwo krajowe.

Jeżeli przełożenie moje zgadzać się będzie z zamiarami czcinajgodniejszego naszego prezesa i całego szanownego grona, chętnie przyjmę na siebie redakcyą i wydanie obu tych prac w ciągu następnego 1862 r., cały dochód jaki być może z wyprzedaży, przeznaczając na korzyść Towarzystwa.

Do Fragmentu Witoldowskiego uważałbym za właściwe a nawet konieczne dodać wszystkie dokumenta tyczące się wznowienia pomnika Witoldowi w r. 1853.

Jeszcze jedna uwaga.

Człowiek, który całe życie poświęcił wyłącznie nauce, który przez lat przeszło 20, po wyjściu z grona uniwersytetu, oddawał się zbadaniu przeszłości miasta rodzinnego, a w pracach swoich zostawił piękny wzór do naśladowania; człowiek taki już z tego jedynie względu godzien jest zaiste, ażeby pamięć jego na zawsze pozostała w kraju rodzinnym. Ale Homolicki nie samemi tylko wysokiemi zaletami pisarza i uczonego zasłużył na chlubną o sobie pamięć; wzniosłe jego zalety człowieka chrześcianina, dopominają się również uznania, i grzechemby było, nie przekazać potomności tych wzorów cnoty, prawdy i miłości, jakie zostawił po sobie. A jednak, pamiętamy przecie, jakie to zdziwienie było wielu, tu nawet w Wilnie, kiedy umarł Homolicki. Kto to jest? co on zrobił? za co tak chwalą? tyle ludzi na pogrzebie? sam biskup celebruje! pytano z dziecinną ciekawością. Byli tacy, którzy samotnika nigdy w życiu nie widzieli. Zaprawdę, kto za życia nie szukał chwały, godzien potrzykroć być uwielbionym po śmierci!

Kurjer Wileński ogłosił piękny, wzniosły ustęp z młodości Homolickiego, mistrzowskiém piórem Mikołaja Malinowskiego skreślony.

W téj izbie posiedzeń naszych słyszeliśmy wiele pięknych ustępów tego pięknego żywota, przez szanownego professora Adamowicza

opowiedzianych. Ale tego wszystkiego zbyt jeszcze mało. Homolicki zasługuje na szczegółowy życiorys, dokładne ocenienie prac jego, dotąd dla wielu z imienia nawet nieznanych, bo na żadnéj się nie podpisywał.

Nikt nam oprócz czcigodnych kolegów, Malinowskiego i Adamowicza, tyloletnich przyjaciół zmarłego, takiego życiorysu dać nie może.

Taki życiorys, dodany do prac ś. p. Homolickiego, uzupełni dzieło, a wydaniem jego Towarzystwo nasze spełni obowiązek, jaki nań wkłada poczucie sprawiedliwości i uznanie zasług i cnót zmarłego członka."

Po przyjęciu przez Towarzystwo wniosku podanego przez rz. czł. A. H. Kirkora względem wydawnictwa rękopismów pozostałych po ś. p. prof. Homolickim, rzeczywisty członek i sekretarz naukowy Maurycy Krupowicz odczytał skreślony przez siebie „Rys historyczny zamieszek w Rydze z powodu wprowadzenia tam przez Stefana Batorego kalendarza gregoryańskiego". Rozruchy to znane w historyi pod imieniem kalendarzowych, zaczęły się w 1585 r. i ciągnęły się przez lat pięć, nim je wyrok kommissarzów królewskich, Seweryna Bonara kasztelana krakowskiego i Lwa Sapiehy kanclerza W. W. ks. lit. poskromił, skazując na gardło trzech przewódców Giese'go (nazwanego przez kommissarzów Katyliną ryzkim) Brinckena i Rotgera Torka.

Po odczytaniu tego artykułu sekretarz naukowy przedstawił Towarzystwu oryginalny dekret kommissarzów królewskich Bonara i Sapiehy, ferowany przeciw Rotgerowi Tork, 28 sierpnia 1589, które Towarzystwo historyi i starożytności nadbałtyckich prowincyj w Rydze uprzejmie dla zdjęcia kopii ze zbiorów swoich naszemu Towarzystwu nadesłać raczyło.

Następnie prezes złożył Towarzystwu systematyczny katalog kollekcyi muszli profes. Konstantego Górskiego, stanowiącéj obecnie własność muzeum przez niego samego w chwilach wolnych od zajęć obowiązkowych własnoręcznie spisany i sporządzony wedle najnowszych pojęć naukowych. Katalog ten nosi tytuł następny:

„*Index systematicus Conchyliarum, quae a sua propria collectione segregit: ac musaeo Vilnensi, pro usu amicorum rerum naturalium donavit Constantinus Górski, magister Philosophiae Professor zoologiae et anatomiae comparatae in Academia Med. Chirurg. Varsaviensi, societatis natur, Scrutator. Dorpatens. member ordinar. Hunc indicem, secundum opera J. de Lamarck Histoire naturelle des animaux sans Vertébres etc. 2-me édition par Deshays et Milne Edwards (Par. 1835) et Dr. B. A. Philippi:* „*Handbuch*

der Conchyliologie und Malacozoologie. Halle 1853 donator ipse conscripsit. Dat. 1861 m. september, possessio Salanty".

Katalog ten będzie piękną dla Towarzystwa naszego pamiątką pracy uczonego professora, a razem wzorem dla prac podobnego rodzaju przy dalszym wzroście zbiorów naturalnych muzeum.

Potém na wniosek prezesa hr. Tyszkiewicza, rzeczywistego członka barona Rossiliona i sekretarza naukowego obrani zostali jednomyślnie w poczet członków rzeczywistych znani już zaszczytnie z swych prac naukowych w dziedzinie historyi i archeologii Dr. A. Buchholtz prezes Towarzystwa historycznego w Rydze i Dr. C. E. Napierski autor znanego wszystkim badaczom dziejów Indeksu historyczno-dyplomatycznego.

Nakoniec odczytany został spis ofiar, które wzbogaciły zbiory muzealne w miesiącu ubiegłym.

Wilno. Maurycy Orgelbrand wydał za granicą nową edycyą *Pielgrzyma w Dobromilu:* obejmuje str. 428. Bez rycin kosztuje złp. 3 gr. 10, z kilku rycinami złp. 4 gr. 20, a z 16 rycinami złp. 8.

— Z drukarni Syrkina wyszło drugie wydanie powiastki księdza Felińskiego, p. n.: „Chciwość ukarana." Ks. Feliński prócz kilku książek religijnych, jest także autorem kilku powiastek treści moralnéj, zalecających się szlachetną dążnością. Dziełko o którém mowa, należy do udatniejszych prac autora.

— *Kuryer Wileński* przez kilka numerów drukował rozprawę P. R. Rozniatowskiego, p. n.: „Krytyka, Historya literatury polskiéj przez Juliana Bartoszewicza." W któréj występując przeciw J. Łukaszewiczowi, nie znajduje w dziele J. Bartoszewicza nic do nagany, i w tych słowach zakończa swój rozbiór:

„Zbliża się pora długich wieczorów, deszczów, słoty i śnieżnych zamieci. Po pracach gospodarskich na polu, sama natura zmusza nas skupić się w kilku pokojach, w kółku rodzinném; wreszcie skupić się w sobie samych. Korzystajmyż z chwil tak dogodnych dla umysłowéj pracy.

W długie zimowe wieczory, zebrawszy dzieci koło siebie, można czytywać książkę p. Bartoszewicza, i po każdym ustępie pomówić z niémi o przeczytanéj treści, zapytać o jakim to pisarzu była mowa? kiedy żył? jakie były ważniejsze wypadki jego życia? co pisał? i czém zasłużył na pamięć rodaków? a tak i zasoby własnych wiadomości się powiększą, i dzieci skorzystają, i czas pożytecznie i miło upłynie."

— Pani Lucya z G. Rautenstrauchowa, wydrukowała we Lwowie *Kalendarzyk ścienny historyczny*, złożony z 365 kart na każdy dzień roku. Na każdéj kartce, oprócz dnia miesiąca, przypadającego

patrona lub święta i zapisków kalendarzowych o wschodzie i zachodzie słońca i t. p., jest umieszczona rocznica historyczna na ten dzień przypadająca. Kalendarzyk podobny, przywołując na pamięć codziennie najważniejsze wypadki dziejowe, obznajmia z niemi ogół i rozpowszechnia ich znajomość. Dlatego kalendarzyk ten powinienby się znaleźć na ścianie w każdym domu, w szkółkach wiejskich i t. p.

— Julian Klaczko w Paryżu ogłosił drukiem *Korrespondencye Mickiewicza.*

— W Krakowie, w drukarni uniwersyteckiéj, wyszła rozprawa napisana przez prof. Michała Koczyńskiego, Dra. obojga prawa, pod tytułem: „Uwagi nad kodeksem karnym Królestwa Polskiego, wprowadzonym w wykonanie d. 1 stycznia 1848 r." Gdy dotąd uczeni prawnicy niemieccy niezaniedbujący zastanawiać się nad tego rodzaju pojawami, nie zrobili żadnych uwag nad pomienionym kodeksem, prof. Koczyński zajął się jego rozbiorem, oczekując poparcia lub odparcia swoich uwag od prawników Królestwa Polskiego, mogących najlepiéj ocenić praktyczną wartość tego kodeksu. Sięgając daléj w tym przedmiocie, podaje on ogólny pogląd na dawne prawodawstwo polskie, jakotéż na kodeks karny od 1818 r. obowiązujący do czasu wprowadzenia nowego kodeksu.

— P. Franciszek Mikulski z Krakowa, zamierzający wydać: *Słownik żywotów zasłużonych w literaturze polskiéj mężów*, wezwał wszystkich uczonych, tudzież krewnych ich i przyjaciół, aby biografie tychże, bądź żyjących, bądź zmarłych nadsyłać mu raczyli. Jest to jak się zdaje najlepszy sposób zebrania dokładnych, dobrze charakteryzujących opisywane osoby wiadomości.

— W końcu grudnia r. z. wyszła z druku piérwsza książka biblioteki rzemieślnika polskiego; jest nią *Przewodnik dla garbarzy*, ułożony przez p. A. Rogalewicza, nauczyciela gimnazyum realnego. Wydawnictwo dziełem tém rozpoczęte policzyć należy do wyłącznie humanitarnych usiłowań, bo wyprzedza epokę, w któréj wydawnictwa podobne będą mogły przynosić u nas zysk wydawcy. Poparte i upowszechnione przynieść jest zdolne wielkie korzyści dla rękodzielników naszych; ci bowiem w braku podobnych przewodników, nabywają nateraz wiadomości swego fachu dotyczące a niekiedy błędne, jedynie przez praktykę w rękodzielniach.

Autor w przedmowie usprawiedliwił się z pozornie słusznego zarzutu, jakiby mu uczyniono, że użył wyrazów technicznych, cudzoziemskich, a psujących czystość mowy polskiéj; powodem skłaniającym go do tego, jest ułatwienie rzemieślnikowi przywykłemu do nazwisk używanych w garbarniach. Do ułożenia dzieła tego przyłożyli się radą na doświadczeniu opartą, pp. K. A. Temler i L. Szwede, właściciele jednéj ze znakomitych garbarni naszego kraju, a kopia przywi-

leju królewskiego z r. 1777, stanowiącego cech garbarski w Warszawie, zamyka całość Przewodnika.

Wkrótce wyjdzie *Przewodnik dla kowali* ułożony przez p. Alexandra Miecznikowskiego, t. j. druga książka téj pierwszéj w naszym języku biblioteki, któréj nakładcą jest J. T. książe Lubomirski.

— Władysław Syrokomla (Ludwik Konradowicz) wydał: *Życie i pisma Ignacego Chodźki*, które poprzednio było drukowane w Kuryerze Wileńskim.

— Otrzymaliśmy pierwszy numer Tygodnika poznańskiego. Format w czwórce mały jak *Przyjaciela zdrowia*, z tą różnicą, że ma tylko arkusz druku; dla szczupłości ram, mało może obejmować artykułów. W zeszyciku tym czytamy początek rozprawy *Sprawa Zborowskich;* George Sand i namiętność w romansach, i korrespondencye. Życzymy mu jak największego rozpowszechnienia, a tém samém szanownym wydawcom zyskania środków, do rozszerzenia objętości swego pisma, które jest koniecznem, aby mogli pewny, stały charakter mu nadać.

— Czytamy w *Kuryerze Wileńskim*. „Wiadomo, że we Francyi ukształcenie wyższe akademickie kosztuje dosyć dużo; zwłaszcza egzamina przy wyjściu z zakładu i dla otrzymania stopnia doktora wymagają niemało zasobów i są nader uciążliwe dla biédnych. Zamiast zaradzenia téj uciążliwości, francuzkie ministerstwo oświecenia postanowieniem swojém świeżo wydaném, zmusza do robienia jeszcze większych rozchodów na egzamina. Wedle tego rozporządzenia wszystkie rozprawy studentów (théses), powinny się koniecznie drukować w pewnym jednostajnym formacie, takiemi a takiemi czcionkami, i w pewnéj z góry wskazanéj drukarni uprzywilejowanéj, która z łaski ministerstwa ma zapewnione umową daleko wyższe ceny, niż się w innych drukarniach praktykują. Na mocy tego kontraktu opłata od arkusza druku w zakładzie uprzywilejowanym wyższą jest o 14 franków, a wydanie skromnéj rozprawy ze 160 stronnic czyli 10 arkuszy objętości, kosztować będzie 140 franków więcéj niż uprzednio. Oprócz tego, w gorącym czasie egzaminów, drukarz monopolista zawalony będzie robotą, za tém więc pójdzie mitręga, lub nawet zupełne niekiedy spóźnienie się na termin. W obec traktatu handlowego z Anglią, rozporządzenie obecne wygląda tak zabawnie, że trudnoby było wstrzymać się od śmiechu nad pedanteryą pana ministra, gdyby los kształcących się nie wywoływał całkiem przeciwnego uczucia. Przeklęta formalistyka! gdyby ktoś obrachował, ile w życiu ludzkiém pożera ona czasu i pracy, przerazilibyśmy się ogromem cyfry".

— Jędrzéj Moraczewski wydając w r. 1853 *Konfederacyą Gołąbską* z ocalonego rękopismu, nie umiał nazwać autora téj ważnéj pracy, lubo na jednym z arkuszy rękopismu znalazł jakby na próbę pióra napisane wyrazy „Wyrwicz Opat Hebdowski z powinszowa-

niem r. 1793": oświadczył jednak, że nie wypływa ztąd, aby za autora uważać Wyrwicza. Tymczasem Wyrwicz jest rzeczywiście autorem téj pracy. W dodatku do nr. 46 Korrespondenta krajowego i zagranicznego na str. 925 znajdujemy krótki nekrolog ks. Karola Wyrwicza dnia 6. czerwca 1793 zmarłego, w którym czytamy, że ułożył historyą konfederacyi w Gołąbiu zaszłéj, co zostaje w rękopiśmie, a styl Wyrwicza popierał pewność.

— Prof. Foliks Berdau, współpracownik naszego pisma, przygotował nowe dzieło: *Florę Karpat, Bieskidów i Pieninów*, którego druk już został rozpoczęty.

---

† W grudniu 1861 roku umarł w Poznaniu ksiądz dziekan *Antoni Tyc*, znany jako pisarz. Wydał on: 1) Dzieje Starego i Nowego Przymierza opowiedziane dla użytku młodzieży (Leszno i Gniezno, 1844: drugie wydanie 1850). 2) Takież Dzieje dla użytku szkół elementarnych 1845. 3) Lekcye i ewangelie na wszystkie święta i niedziele całego roku, podług przekładu Jakóba Wujka, 1841 r. 4) Wybór kazań oryginalnych, z najlepszych naszych dawniejszych i nowszych kaznodziejów zebrany, 1845 r.

† Dnia 16 grudnia 1861 r. umarł w Galicyi, w majętności swojéj Urłowie w Złoczowskiém Karol Lipiński nestor skrzypków. Urodził się w m. listopadzie 1790 r., w Radzyniu. Ojciec jego artysta muzyczny, w szóstym roku już życia młodemu Karolowi począł tłumaczyć nuty. Pierwiastkowo uczył się Lipiński na wiolonczelli od Kremes'a Wiedeńczyka, urzędującego we Lwowie. W lat parę grał już koncerta Romberga; porzucił później ten instrument, a wziął się do skrzypców. W 20 roku życia, już był tak cenionym, że w r. 1810 został powołany na dyrektora orkiestry teatru lwowskiego, które to obowiązki lat 4 sprawował. W r. 1814 pojechał do Wiednia dla usłyszenia sławnego skrzypka Spohra; usłyszawszy go znowu się oddał pracy. W tymto czasie spróbował sił w kompozycyi i napisał dwa kaprysy na skrzypce, wydane później w Lipsku u Petersa. W roku 1817 udał się Lipiński do Włoch. W przejeździe dał kilka w tym kraju koncertów, jak n. p.: w Medyolanie, z powodzeniem. W Placencyi usłyszał Paganiniego, gdzie poznawszy się bliżéj z owym mistrzem, grywał z nim koncerta na dwoje skrzypców, po niektórych miastach włoskich. W r. 1818 wrócił Lipiński do kraju i powszechną zwrócił na siebie uwagę. Ubiegano się go słyszéć nietylko w Polsce, lecz w Niemczech i Rossyi, mianowicie Petersburgu, gdzie zawsze zaszczytnego doznawał przyjęcia.

W miesiącu grudniu 1827 r. Lipiński po raz pierwszy przybył do Warszawy i dał 5 koncertów z ogromném powodzeniem. W dwa lata później zjawił się w Warszawie Paganini, Lipiński zaś

wracając z Rossyi przybył także powtórnie do Warszawy i obaj wtedy ogłaszali koncerta. Nie zadługo potém Lipiński powrócił do Lwowa i począł w cichości pracować nad zupełném swojém ukształceniem. W roku 1835 zjawił się w Niemczech, zamierzał nadto odwiedzić Francyą i Anglią. W Paryżu w r. 1836 dał koncert w ogromnym salonie ratusza, z nadzwyczajném powodzeniem. Od roku 1838 Lipiński stale osiadł w Dreźnie, gdzie go król saski mianował pierwszym nadwornym skrzypkiem i dopiero niedawno przeniósł się do Galicyi i tu żywota dokonał, utraciwszy na kilka lat przed śmiercią, władzę w ręku w skutek paraliżu.

Ostatni raz w Warszawie był Lipiński w roku 1844, powracając z wycieczki koncertowéj do Petersburga i Kijowa. Z utworów Lipińskiego rozmaitemi czasy w Niemczech wydawanych, najważniejsze są trzy koncerta, mianowicie tak nazwany *militarny*, *tria* dwa na dwoje skrzypców i wiolonczellę, kilka polonezów, tudzież fantazyą z Purytanów, Lunatyczki i t. d.

Obszerny życiorys zmarłego skrzypka, podała najpierw w swoim czasie gazeta muzyczna Lipska z roku 1835; życiorys ten pomieścił w tłumaczeniu Cichocki w swoim Pamiętniku muzycznym w Warszawie, w r. 1836 wydawanym.

† Dnia 19 grudnia 1861 r. we Lwowie, umarł po krótkiéj słabości Alexander hr. Stadnicki, syn Antoniego ze Żmigrodu, uczony badacz ojczystych dziejów. Oprócz wielu rozpraw pomniejszych, drukowaliśmy w naszém piśmie obszerne studyum: *Rozbiór statutu wiślickiego*, wydanego przez Zygmunta Helcla, który w osobnej odbitce znajduje się w handlu księgarskim. Oddzielnie wydał: *O wsiach tak zwanych wołoskich na północnym stoku Karpat.* Lwów, 1848 r., w 4-ce, str. 92. Zapisał swój majątek 40,000 zł. reńskich na cele publiczne, pozostawiwszy braciom dożywocie w połowie na dochodzie z tego kapitału. Drugą zaś połowę przekazał na ogłoszenie drukiem aktów archiwum tak zwanego Bernardyńskiego, dlatego, że go umieszczono w kościele OO. Bernardynów. Archiwum to zawiera ogromną ilość aktów zwiezionych z całego kraju, niezmiernie ważnych. (Brat jego żyjący Kazimierz jest autorem ważnego dzieła w 2-ch tomach, p. n.: „Synowie Gedymina." Dodajemy tę uwagę dlatego, że niektóre pisma codzienne, przypisały je ś. p. Alexandrowi).

† Dnia 4 stycznia 1862 r., umarł we Lwowie Hyacynt Łobaszewski, professor przy tamtejszym uniwersytecie, dyrektor ogrodu botanicznego, znany z prac naukowych w zakresie botaniki i historyi naturalnéj. Zwiedzał wielokrotnie w celach naukowych rozmaite strony kraju, zwłaszcza: Karpaty, i był jednym z największych znawców flory karpackiéj. Umarł po krótkiéj chorobie w 46 roku życia.

† Dnia 16 stycznia r. b. umarł *Alexander Batowski* w Kulikowie, majętności swéj rodziny: znany z prac na polu historycz-

ném. Wydał drukiem: 1) Niektóre rękopisma księgozbioru Zakładu Naukowego Imienia Ossolińskich. Lwów, 1843. 2) Katalog biblioteki odnowskiéj. 3) Rejnold Hejdenstein i Franciszek Bohomolec, pisarze żywota Jana Zamojskiego kanclerza i hetmana wielkiego koronnego. Lwów 1854. 4) Sprawa z poselstwa Marcina Kromera do Ferdynanda cesarza, w latach 1558, 1563. Lwów 1853. Wiele prac pozostawił w rękopiśmie, między temi przygotował do druku *Tinecia*, t. j.: zbiór dokumentów dotyczących opactwa tynieckiego.

† Dnia 16 stycznia r. b. umarł w 84 roku życia Dyonizy Zubrzycki, autor wielu dzieł, z pomiędzy których godniejsze uwagi w języku polskim są: *Kronika miasta Lwowa, i historyczne badania o drukarniach rusko-słowiańskich w Galicyi.* W języku rossyjskim wydał: *Historya Rusi Czerwonéj* w 3ch tomach i przygotowany do druku dyplomataryusz tejże prowincyi.

† Dnia 17 stycznia r. b. umarł w Warszawie *Andrzéj Kucharski*, b. professor i emeryt, znany jako uczony filolog. W ostatnich czasach pracował nad słownikiem jeograficznym ziem słowiańskich, przywracając wszystkim miejscowościom dawne, narodowe nazwy, dziś zniemczone. Jak dalece posunął tę pracę w rękopiśmie, nie wiemy.

† Dnia 19 b. m. i r. umarł w Warszawie *Edward Pohlens*, komissarz leśny przy komissyi rządowéj przychodów i skarbu, przeżywszy lat 42: znany z nauki, współpracownik Encyklopedyi powszechnéj, wydawanéj obecnie nakładem S. Orgelbranda.

† Dnia 22 b. m. i r. umarł Hieronim Łabędzki wice-dyrektor wydziału górniczego; współpracownik naszego pisma od samego zawiązku. Autor znakomitego dzieła w 2-ch tomach: „Górnictwo w Polsce 1841 roku, Początków nauki kopalnictwa 1843 r." i wielu rozpraw, które ogłaszaliśmy w zeszytach pisma naszego. Przygotował już od lat kilku *Słownik górniczy*, złożony z 16,000 wyrazów; zostawił przerobione i pomnożone do drugiego wydania *Górnictwo w Polsce*. Śmierć w saméj sile wieku H. Łabędzkiego, nietylko okrywa smutkiem rodzinę i grono licznych przyjaciół i znajomych, ale jest stratą dla kraju. Był to mąż prawdziwie naukowy, łącząc przytém prawość i szlachetność charakteru.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować.—Warszawa, d. 20 Stycznia (1 Lutego) 1862 r.
Cenzor, Radca Kolleg. *Stanisławski.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Grudzień, 1861.

Grudzień, 1861. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ˢ·14ᵐ·45ˢ·,7 czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Obmiany księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy					Wilgotność względna powietrza	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle	
		6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny	6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. w.	10 godz. w.	dészczu	śniegu	dnia	o 7
1	Perig.	748.45	748.20	787.88	748.29	748.20	+ 5°.2	+ 6°.4	+ 6°.2	+ 5°.0	+ 5°.70	93.7	pochm.	pochm.	poc. dész.	pochm.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	3.6		2	2
2	☽.	748.29	751.89	752.77	753.40	751.61	+ 4.3	+ 2.9	+ 3 1	+ 0.2	+ 2 62	86.0	pochm.	nap. pog.	pr. pochm.	pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.			2	2
3		754.73	755.04	754.98	755.40	755.04	— 1.7	— 1.3	+ 0.8	— 0.3	— 0.62	83.5	nap. pog.	poch. mg.	pochm.	pochm	Z.	Z.	Z.	Pn.			2	2
4		656.42	757.03	757.14	757.00	756 89	— 1.5	— 0.7	— 1.6	— 4.0	— 1.95	89.2	pochm.	nap. pog.	pochm.	pochm.	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.			2	2
5		757.02	757.69	755.50	752.95	755.79	— 6.3	— 5.0	— 4.8	— 4.6	— 5.18	93.5	pogodny	pochm.	pr. pochm.	pochm.	PnW.	Z.	PnW.	PnW.			2	2
6		751.06	751.32	751.03	750.88	751.07	— 1.3	— 0.2	— 1.5	— 2.9	— 1.47	93.5	pochm.	pochm.	pohcm.	pochm.	W.	W.	PnW.	PnW.		2.0	2	3
7		749.64	549.82	749.26	748.80	749.38	— 2.7	— 0.9	— 1.3	— 1.2	— 1.52	95.7	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW.	PdW.	PdW.	PdW.			2	2
8		749.76	751.56	753.02	755.04	752.34	— 1.5	— 1.9	— 1.3	— 1.5	— 1.55	95.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			2	2
9	☽.	757.83	759.48	761.13	762.91	760.34	— 1.3	— 0.5	— 0.2	— 0.2	— 0.55	93.8	pochm.	pochm.	poc. śnieg	pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			2	2
10	Rów.	763.06	762.95	762.30	761.69	762.50	— 3.1	— 2.0	— 2.7	— 4.5	— 3.07	95.0	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			2	0
11		760.34	760.57	760.07	760.06	760,26	— 3 7	— 4.2	— 3.5	— 4.6	— 4.00	95.0	pochm.	pogodny	nap.pog.	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			2	1
12		758.67	758.55	757.70	757.87	758.19	— 7.1	— 4.2	— 3.1	— 2.3	— 4.17	95.7	pochm.	poch. mg.	pochm.	pochm.	PdW.	PdW.	Pd.	PdW.			2	0
13		757.21	757.13	756.52	755.87	756.68	— 2.5	— 0.9	— 1.5	— 1.7	— 1.65	95.7	poch. mg.	poch. mg.	poch. mg	pochm.	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.			2	0
14		753.76	753.24	751.61	750.70	752.33	— 1.9	+ 0.6	— 0.9	— 0.1	— 0 53	95.5	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	PdW.	PdZ.	PdZ.	PdZ			2	0
15		746.48	743.85	737.38	735.82	740.88	+ 1.4	+ 2.9	+ 3.3	+ 0.8	+ 2.10	95.5	pochm.	pochm.	poc. dész.	pochm.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.	3.4		2	0
16		735.97	738.98	738.90	739.50	738.34	+ 1.4	+ 2.3	+ 2.0	+ 2.1	+ 1 95	95.0	pochm.	pochm.	poc. dész.	pochm.	PnZ.	PnZ.	Z.	PnZ.	2.5	2.0	2	2
17	☺.	742.96	746.07	746.30	745.13	745.11	+ 1.6	+ 1.1	+ 1.2	+ 0.8	+ 0.18	95.0	pochm.	poch. mg.	poch. mg.	poch mg.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		1.0	2	3
18	Apog.	741.58	738.06	734.96	736.34	737.73	+ 0.8	+ 0.6	+ 1.5	+ 2.3	+ 1.55	95.0	pochm.	śnieg	dészcz	dészcz	—	Pd.	Z.	PdZ.	5.0	2.0	2	3
19		742.75	748.05	748.90	752.90	747.65	— 0.9	— 0.9	— 4.0	— 12.0	— 4.45	95.0	śn ég	pochm.	pochm.	nap. pog.	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		6.2	2	4
20		757.11	758.76	759.32	759.56	758.69	— 12.8	— 11.3	— 6.1	— 4.6	— 8.70	95.0	pogodny	pogodny	pochm.	pochm.	Pn.	Z.	Z.	Z.			2	6
21		759 55	758.96	758.81	758.11	758.86	— 2.7	— 1.7	— 1.7	— 2.4	— 1.25	93.2	pochm	poch. mg.	pochm	pochm.	Z.	Z,	PdZ.	Z.			2	6
22		755.61	754.84	751.73	750.72	753,22	— 2.1	— 1.5	— 0.7	— 0.7	— 1.21	89.7	pochm.	pochm.	śnieg	pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.			2	6
23	Rów.	748.52	750.44	752.62	754.87	751.61	+ 0.4	+ 0.1	— 2.5	— 5.0	— 1.75	93.5	pochm.	nap. pog.	nap. pog.	pogodny	Z.	Pn.	Pn.	PnZ.			2	6
24	☾.	756.39	757.28	757.65	758.17	757.37	— 3.5	— 3.5	— 4.2	— 4.0	— 4.02	95.0	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	PnZ.	Z.	Z.	Z.			2	4
25		858.78	759.58	760.16	761.05	759:89	— 1.1	+ 0.4	+ 0.4	+ 0.2	— 0.02	95.0	pochm.	pochm.	poch. mg.	pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.			2	5
26		761.32	761.63	760.27	759,72	760.73	— 0.2	— 0.2	— 0.3	— 0.9	— 0.40	95.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.			2	5
27		759.60	762.34	764.92	766.45	763.34	— 0.5	— 0.7	— 0.7	— 5.8	— 1.92	95.7	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Zn.	PnZ.			2	5
28		764.79	764.90	763.81	761.89	763.85	— 6.1	— 4.2	— 2.9	— 5.4	— 4.13	95.2	pochm.	poch. mg.	pochm.	pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.			2	5
29	Perig.	755 87	754.03	750.40	750.58	752.72	— 2.9	— 2.5	— 1.1	+ 0 7	— 1.43	95.0	pochm.	poc. śnieg	pochm.	pochm.	Z.	Z.	P.	Z.		1.5	2	6
30		758.06	761.68	761.98	767.04	762.94	— 6.1	— 6.5	— 8.4	— 10 3	— 7.82	95.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogoony	Pn.	Pn.	n	Pn.			2	6
31	☽.	764.40	762.32	754.74	750.50	757.99	— 12 4	— 10.5	— 8.6	— 4 8	— 9.08	95.0	pogodny	pogodny	nap. pog.	pochm.	PdZ.	PdZ.	Pd.	Z.			2	5
Śr.		754.06	754.66	754.09	754.17	754.24	— 2°.28	— 1°.55	— 1°.42	— 2°.31	— 1°.89	94.3									14.5	11.7	2	3.7

	m.	c.	l
Średnia wysokość barometru miesięczna	754.245	27	10.354
Najwyżéj barometr dochodził d. 30 o g. 10 w.	767.04	28	4.03
Najniżéj — — d. 15 o g. 10 w.	735 82	27	2.17
Średnia dzienna zmiana barometru	4.963		2.198
Największa dzienna zmiana barometru d. 30 — 31 o g. 10 w.	16.54		7.33
Średnia wysokość barometru jest większa o od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	751.486	27	9.130
Średnia temperatura grudnia wynosi	— 1°.89 C.		— 1°.51 R.
Największe ciepło dochodziło d. 1 o g. 10 r	+ 6.4 „		+ 5.12 „
Największe zimno — d. 20 o g. 6 r.	— 12.8 „		— 10.24 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.706 „		2.16 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 18 — 19 o g. 6 r	14.3 „		11.44 „
Średnia temperatura jest większa o	0.59 „		0.47 „
od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	— 2.48 „		— 1.98 „

Termometrograf wskazał; Maximum: + 6 .6 C. = + 5.3 R. d. 1 po polud.
Minimum: — 12°.8 „ = — 10.24 „ d. 20 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 94.3 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4.51 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest prawie równa normalnéj (94.6).

Ilość wody spadłéj z dészczu co do wysokości wynosi 14.5 mil. czyli 6.42 lin. par.; ze śniegu 14.7 mil. czyli 6.51 lin. par. razem wody z deszczu i śniegu 29.2 mil. czyli 12.93 lin par; mniejsza o 9.7 mil. czyli o 4.30 lin. par. od ilości wody jaka zwykle u nas w grudniu spada (38.9 mil.=17.93 lin. par.).

Stan elektryczności atmosferycznéj co do jéj natężenia średni miesięczny jest 20.7 stopni; największe natężenie siły elektrycznéj dochodziło: 36 stopni d. 20 o godz. 10 rano.

Dni pogodnych było 3, napółpogodnych 10, pochmurnych 18.

Dni dészczu 4 (d. 1, 6, 15, 17).

— śniegu 6 (d. 4, 6, 18, 19, 22, 29).

— mgły 10 (d. 3, 12, 13, 14, 16, 17, 21, 25, 27, 28).

Wiatrów mocnych 14 PdZ.=2, Z =4, PdW.=3, PnZ=1, Pn.=3, PnW.=1).

Wichrów 5 (Z.=4, PdZ.=1, PnZ.=1).

Wiatr panujący Zachodni, w piérwszéj połowie miesiąca często były Wschodnie. Grudzień r. b. był dosyć pogodny, o pół stopnia R. cieplejszy niż zwykle; piérwsze dwa dni i cztéry środkowe: 15, 16, 17, 18 były ciepłe; przeciwnie dwa dni ostatnie znacznie mroźne; w ogóle miesiąc ten pod względem temperatury był łagodny lecz zmienny; zmiany temperatury przypadały d. 2—3, d. 3—4, d. 14—15, d. 18—19, d. 24—25, d. 25—26; największa zmiana dzienna wynosząca 11.44 stopni R. przypadała d. 18—19 po pełni księżyca. Barometr w ogóle utrzymywał się wysoko osobliwie w dniach: 9, 10, 11 przy wietrze Południowo-Wschodnim i po przejściu księżyca przez równik niebieski; także i w ostatnich siedmiu dniach przy wietrze Zachodnim; zwykle barometr osobliwie w porze zimowéj stoi najniżéj przy wietrze zachodnim w. t. r. przeciwnie najwyżéj się przy tym wietrze utrzymywał. Deszcze i śniegi w piérwszéj połowie miesiąca były dosyć często ale nie obfite. W średnim stanie w Warszawie, w grudniu spada tyle wody z deszczu co i ze śniegu, w. t. r. szczególnym zbiegiem ilość wody z deszczu jest prawie równa ilości wody ze śniegu. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3,4:5,1:22,5; w r b. stosunek tychże dni jest jak 3:10:18. Mgły osobliwie w drugiéj połowie miesiąca były częste.

Plamy na słońcu pokazywały się często osobliwie w dniach: 10, 20, 24, 30, 31.

Dnia 31 o godz. 3 min. 23 przypadło zaćmienie słońca całkowite u nas częstkowo w przedziale chmur widzialne.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle ..... stóp 2 cali 3.7 n. m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 20, 23, 29 i 30 stóp 2 „ 6 „ „
„ „ najmniejsza „ d. 10, 12, 13, 14 i 15 stóp 2 „ 0 „ „

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém, co dzień o godzinie 8 rano.

Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém w roku 1861 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza; jego szerokość geograficzna 52° 13′5″, długość w czasie 1ᵍ 14ᵐ 45ˢ.7, czyli w łuku 18° 41′25.″5 na wschód względem południka paryzkiego.

ROK 1861	WYSOKOŚĆ BAROMETRU W MILIMETRACH SPROWADZONA DO TEMPERATURY LODU TOPNIEJĄCEGO							TEMPERATURA PODŁUG TERMOMETRU STUSTOPNIOWEGO							PSYCHROMETR Wilgotność średnia miesięczna biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza.					STAN NIEBA.									Ilość wody spadłej w milimetrach		KIERUNEK WIATRU								Elektryczność atmosferyczna	WYSOKOŚĆ WODY na Wiśle pod Warszawą					
	ŚREDNIA					Najwyższa	Najniższa	ŚREDNIA					Najwyższa	Najniższa	ŚREDNIA					Dni pogodnych	Dni napół pogodnych	Pochmurnych	Dżdżu	Śniegu	Grada	Mgły	Błyskawic. i gromów	Błyskawic bez gromów	Wichrów i wichrów mocnych	z		Północny	Północno-Wschodni	Wschodni	Południowo-Wschodni	Południowy	Południowo-Zachodni	Zachodni	Północno-Zachodni	średnie natężenie miesięczne	Średnia miesięczna	Najwyższa	Dnia	Najniższa	Dnia
MIESIĄCE	6 godz. rano	10 godz. rano	4 go. wieczór	10 go. wieczór	miesięczna			6 godzina rano	10 godzina rano	4 god. wieczór	10 god. wieczór	miesięczna			6 g. r.	10 g.r.	4 g.w.	10 g. w.	miesięcz.											deszczu	śniegu										stop. cali	stop. cali		stop. cali	
Styczeń	753,87	754,41	753,98	754,50	754,20	765,31 d. 28	739,10 d. 16	—10°,21	— 9°,53	— 8°,53	— 9°,11	— 9°,34	+ 2°,6 d. 26	—25°,1 d. 15	—	—	—	—	—	2	13	16	2	11	—	2	—	—	8	8,0	37,6	15	2	5	20	5	6	58	12	38°,5	7 5,8	9 3	31	6 11	1
Luty.....	751,16	751,68	751,38	751,45	751,43	759,69 d. 26	735,76 d. 12	+ 0,09	+ 1,32	+ 2,83	+ 0,70	+ 1,19	+ 10,6 d. 23	— 4,0 d. 13	98,3	91,6	86,8	97,0	93,5	2	8	18	8	4	—	17	—	—	12	9,3	4,9	1	1	7	38	19	7	34	4	15,8	10 3,7	13 5	18	8 4	25
Marzec.....	745,28	745,55	745,48	745,66	745,49	758,12 d. 24	725,95 d. 12	+ 0,78	+ 4,09	+ 7,06	+ 3,01	+ 3,73	+ 20,2 d. 30	— 6,6 d. 15	94,3	78,6	69,2	87,9	82,5	8	11	12	17	7	—	7	—	—	15	30,5	10,1	1	2	0	41	21	16	25	15	17,5	6 7,5	9 10	1	4 11	25
Kwiecień ...	749,51	750,05	749,41	749,92	749,72	763,53 d. 10	737,43 d. 26	+ 2,10	+ 5,61	+ 7,96	+ 3,62	+ 4,82	+ 18,7 d. 1	— 5,4 d. 24	89,1	69,1	60,7	84,0	75,7	5	10	15	9	7	6	8	1	1	25	28,2	10,6	8	8	1	3	4	9	26	13	18,9	4 3,3	8 8	1	2 11	30
Maj.....	748,44	748,85	748,12	748,43	748,46	755,92 d. 15	738,17 d. 7	+ 7,38	+ 11,78	+ 14,85	+ 9,05	+ 10,76	+ 30,0 d. 14	— 2,0 d. 2	84,4	63,5	54,8	78,8	70,2	4	12	15	16	3	3	3	—	—	19	36,7	1,8	14	3	6	8	14	10	16	8	12,6	3 8,2	13 5	9	2 2	10
Czerwiec ...	749,51	749,99	748,61	749,36	749,37	757,21 d. 14	740,04 d. 29	+ 16,58	+ 21,68	+ 24,43	+ 17,66	+ 20,09	+ 31,2 d. 28	+ 5,5 d. 18	78,6	57,7	49,6	74,1	65,0	16	8	6	12	—	—	6	6	—	15	39,2	—	7	13	12	11	5	10	10	7	14,0	5 1,8	10 8	9	3 0	4, 5
Lipiec	747,56	747,82	747,15	747,43	747,49	752,85 d. 31	742,67 d. 28	+ 17,53	+ 22,56	+ 24,70	+ 19,06	+ 20,96	+ 31,9 d. 24	+ 8,6 d. 4	82,0	59,7	53,6	77,2	68,1	12	11	8	9	—	—	2	7	1	9	138,2	—	7	7	7	15	11	10	16	11	17,8	3 11,0	5 8	18	2 5	31
Sierpień	750,23	750,49	749,97	750,13	750,20	756,36 d. 2	736,74 d. 10	+ 14,60	+ 19,51	+ 22,16	+ 16,19	+ 18,12	+ 31,9 d. 13	+ 8,7 d. 23	86,6	64,3	52,0	77,6	70,2	8	11	12	8	—	—	6	2	1	22	35,0	—	6	5	1	9	8	16	57	22	18,6	2 0,0	2 7	3	1 8	24, 25
Wrzesień ...	748,12	748,62	748,12	748,62	748,37	759,23 d. 13	739,89 d. 24	+ 9,85	+ 14,32	+ 16,22	+ 11,59	+ 12,99	+ 27,5 d. 3	+ 1,7 d. 22	93,6	75,3	68,2	86,3	80,7	2	14	14	19	—	—	3	1	—	13	45,2	—	13	9	4	13	16	21	37	7	23,2	2 4,4	3 2	27	1 11	1,2,10,11
Październik .	757,18	757,70	756,75	757,00	757,15	767,27 d. 15	741,75 d. 31	+ 3,67	+ 8,03	+ 12,22	+ 6,57	+ 7,62	+ 22,1 d. 10	— 4,1 d. 28	94,9	78,2	61,9	87,9	80,7	15	11	5	1	—	—	13	—	—	6	5,0	—	1	24	5	51	6	4	12	5	24,4	1 11,4	2 10	21	1 7	27—31
Listopad ...	746,37	746,91	746,56	747,08	746,73	763,87 d. 19	732,83 d. 9	+ 2,25	+ 3,46	+ 4,73	+ 3,00	+ 3,36	+ 11,6 d. 23	— 7,5 d. 26, 27	91,0	84,2	83,3	90,7	87,4	3	14	13	14	1	—	2	—	—	9	36,9	3,5	1	1	1	16	10	49	21	5	22,4	2 0,5	2 6	24	1 7	1
Grudzień ...	754,06	754,66	754,09	754,17	754,24	767,04 d. 30	735,82 d. 75	— 2,28	— 1,55	— 1,42	— 2,31	— 1,89	— 6,6 d. 1	— 12,8 d. 20	95,6	91,7	92,1	93,2	93,2	3	10	18	4	6	—	10	—	—	19	14,5	14,7	14	9	2	24	6	14	46	8	20,7	2 3,7	2 6	20	2 0	13
Średnia roczna.	750,108	750,560	749,969	750,312	750,237	767,27 d. 15 Października	725,95 d. 12 Marca	+ 5°,195	+ 8°,440	+ 10°,600	+ 5°,586	+ 7°,705	+31°,9 d. 24 Listop. i 13 Sierp.	—25°,1 d. 15 Stycznia	89,9	73,9	66,6	84,9	78,8	80	133	152	119	39	9	79	20	3	172	426,7	83,2	88	84	51	249	125	172	358	117	20°,4	4 4,11	13 5	18 Lutego 19 Maja	1 7	27 Paźdz. 1 Listop.

	milimetr.	c.	l
Średnia wysokość barometru roczna	750,237	=27	8,577
Najwyżej barometr dochodził d. 15 października	767,270	=28	4,100
Najniżej „ „ d. 12 marca	725,950	=26	9,811
Największa zmiana roczna barometru	41,320	=1	6,289
Średnia zmiana miesięczna barometru	3,94	=	1,75
Średnia zmiana dzienna barometru	3,66	=	1,63
Największa zmiana dzienna barometru dnia 21—22 Stycznia o godzinie 6 rano	20,08	=	8,90
Średnia wysokość roczna barometru jest wyższa o	0,309	=	0,137
od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	749,928	=27	8,440

Średnia temperatura roczna jest	+ 7°,705 C.	=	+ 6°,164 R.
i ta jest większa o	0,379 „	=	0,304 „
od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	+ 7,326 „	=	+ 5,860 „
Największe ciepło dochodziło d. 24 Lipca i d. 13 Sierpnia	+ 31,9 „	=	+25,52 „
Największe zimno d. 15 Stycznia	— 25,1 „	=	—20,08 „
Największa zmiana roczna temperatury	57,0 „	=	45,60 „
Średnia zmiana miesięczna temperatury	4,91 „	=	3,93 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2,68 „	=	2,15 „
Największa zmiana dzienna temperatury w Maju d. 14—15 o godz. 10 rano	17,10 „	=	13,50 „

Miesiące: Luty, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Listopad, Grudzień, były ciepłejsze; przeciwnie: Styczeń, Kwiecień, Maj, Wrzesień, Październik zimniejsze niż w stanie normalnym, szczególnie Styczeń był mroźny.

Uważając miesiące: Grudzień (1860 r.), Styczeń, Luty r. b. za miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień, Maj za wiosenne; Czerwiec, Lipiec, Sierpień za letnie; Wrzesień, Październik, Listopad za jesienne, wypada:

temperatura zimy	—4°,19 C.	=	—3°,35 R. niższa o 0°,55 C.
„ wiosny	+ 6,44 „	=	+ 5,15 „ „ 0,61 „
„ lata	+19,72 „	=	+15,78 „ wyższa o 1,53 „
„ jesieni	+ 7,99 „	=	+ 6,39 „ „ 0,32 „

od temperatury tychże pór w stanie normalnym, półroczne zimowe było przeszło o pół stopnia Celsiusza zimniejsze, przeciwnie lato o półtora stopnia cieplejsze niż zwykle.

Średnia wilgotność powietrza jest 78,8 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 8,52 granów na 1 metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 2,6 setnych od normalnej (81,4).

Miesiące: Marzec, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Październik, Listopad były suche; przeciwnie: Luty, Kwiecień, Maj, Wrzesień wilgotne.

Ilość wody spadłej wynosi co do wysokości:

z deszczu	426,7 milimetrów,	czyli 15 cali	9,03 lin. par.
ze śniegu	83,2 „	„ 3 „	0,86 „

razem: z deszczu i śniegu 509,9 milimetrów, czyli 18 cali 9,89 lin. par. to jest o 109,84 milimetr. czyli o 4 cale 0,66 lin. par. mniej, od ilości wody, jaka średnio u nas w roku spada (619,74 milimetrów=22 cale 10,54 lin. par.). Najwięcéj wody spadło w Lipcu, najmniéj w Lutym i Październiku; w jednym miesiącu Lipcu spadło wody blisko jedna trzecia część całéj ilości rocznéj. Ilość wody ze śniegu jest piątą częścią wody z deszczu; w miesiącu Grudniu w stanie średnim ilość wody z deszczu wyrównywa ilości wody ze śniegu, co i w tym roku miało miejsce.

W całym roku było dni pogodnych 80, napół pogodnych 133, pochmurnych 152, deszczu 119, śniegu 39, mgły 79, gradów 9, błyskawic z grzmotami 20, błyskawic bez grzmotu 3, wichrów 24, wiatrów mocnych 148. Wiatr panujący był zachodni, częste były także południowo-wschodnie.

Stan elektryczności atmosferycznéj co do jéj natężenia średni roczny jest 20,4 stopni, największe natężenie siły elektrycznéj było w Styczniu, najmniejsze w Lutym, Marcu i Maju.

Jeżeli rok uważać będziemy jako całość podzieloną na 100 równych części, i w tych częściach wyrazimy liczbę dni pogodnych, napół pogodnych i pochmurnych; wypada w średnim stanie z 35 lat poprzedzających (1826—61) stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jak 17 : 32 : 51, w r. b., stosunek tychże dni jest jak 22 : 37 : 41; co pokazuje, że rok bież. pogodniejszy był niż zwykle. Miesiące: Czerwiec, Lipiec i Październik były pogodne; przeciwnie: Luty, Wrzesień i Listopad niepogodne.

W ogóle rok 1861 należy do lat suchych, ciepłych i pogodnych.

Zima była niepogodna, w początku i środku bardzo mroźna, w końcu łagodna i wilgotna, w ogóle o 0,4 R. zimniejsza niż zwykle; średnia jéj temperatura jest—3°,35 R., szczególnie Grudzień 1860 r. i Styczeń 1861 r. odznaczały się znacznemi mrozami, pierwszy z tych miesięcy był o 1,61 stopni R., drugi o 3,34 stopni R. zimniejsze niż zwykle; przeciwnie Luty był o 3,64 stopni R. cieplejszy niż w stanie normalnym. W Styczniu śniegi spadły obfite; wiatr panujący był zachodni; w Grudniu i Styczniu częste były północne, a w Lutym południowo-wschodnie.

Wiosna niepogodna, znacznie spóźniona, o 0,49 stopni R. zimniejsza niż zwykle; średnia temperatura téj pory jest +5,15 stopni R. Początek jéj, osobliwie druga połowa marca była łagodna i niezwykle ciepła, środek i koniec zimny i niepogodny, jakoż Kwiecień był o 1,92 stopnie R., maj o 2,2 stop. R. zimniejsze niż zwykle, druga połowa marca była o 2,3 stop. R. cieplejsza od drugiéj połowy Kwietnia, co jest przeciwném zwykłemu biegowi temperatury. Śniegi i zawieje połączone z wichrami, były w téj porze częste; wiatry panujące były: zachodnie, w Marcu częste południowo-wschodnie, w Maju północne.

Lato pogodne, gorące i nader suche, osobliwie w początku i środku, średnia temperatura téj pory jest +15,78 stopni R., o 1,22 stopni R. wyższa od normalnéj; upały i susze począwszy od dnia 27 Maja, trwały przez Czerwiec, Lipiec do d. 20 Sierpnia; Czerwiec i Lipiec były o półtora stopnia cieplejsze niż zwykle; szczególnie druga połowa Lipca i pierwsza połowa Sierpnia odznaczały się niezwykłą suszą i gorącem. Wiatry panujące w ogóle były zachodnie, prócz tych były także częste południowo-zachodnie, południowo-wschodnie i północno-zachodnie.

Jesień z początku niepogodna, wilgotna i chłodna, w środku i przy końcu pogodna i nader sucha, w ogóle o 26 stop. R. cieplejsza niż zwykle. Średnia temperatura téj pory jest +6,39 stop. R. Wrzesień który zwykle u nas bywa pogodny i suchy, w t. r. przeciwnie był niepogodny i zimny; Październik lubo chłodny był jednak pogodny i suchy; koniec téj pory osobliwie Listopad był o 1,74 stopni cieplejszy niż zwykle; w ogóle pora ta była sucha i pogodna. Wiatr panujący zachodni, częste także były południowo-wschodnie.

— Ostatni mróz z wiosny dochodzący do pół stopnia R. był dnia 20 Maja nad ranem, a pierwszy w jesieni—2 stopnie d. 16 Października.

— Ostatni śnieg z wiosny padał d. 8 Maja, a pierwszy w jesieni d. 18 Listopada.

— Zorza północna pokazała się d. 29 Stycznia między godziną 8 a 9 w wieczór, po któréj nastąpiła zmiana temperatury.

— Koło białe otaczało słońce d. 16 Kwietnia o godz. 6½ rano, i d. 8 Sierpnia między godz. 8 rano a 1 po południu.

— Koło świetne otaczało księżyc d. 11 Października o godz. 9½ wieczorem, i d. 12 Listopada o godz. 12 w nocy.

— Świetna tęcza podwójna jaśniała d. 9 Sierpnia o godz. 7 po południu, i d. 27 Listopada między godz. 7 a 8 rano.

— Na słońcu liczne plamy pokazywały się w ciągu całego roku.

Stan wody na Wiśle w ogóle był niski, największa wysokość średnia miesięczna była w Lutym, najmniejsza w Listopadzie.

Średnia wysokość roczna wody stóp 4 cali 4,11 n. m. pol.

Najwyżéj woda dochodziła . . . „ 13 „ 5 d. 18 Lutego i d. 9 Maja.

Najniżéj „ „ . . . „ 1 „ 7 d. 27, 28, 29 Października i 1 Listopada.

Wisła pod Warszawą stanęła dnia 2 Stycznia w południe. Lody na Wiśle ruszyły d. 17 Lutego o godz. 10½ wieczorem.

O TOWARZYSTWACH WZAJEMNÉJ POMOCY.

PRZEZ

Ludwika Górskiego.

II.

O organizacyi Towarzystw wzajemnéj pomocy we Francyi, Anglii, Belgii i Prusach.

Wspomnieliśmy wyżéj, że są wyraźne ślady pochodzenia Towarzystw wzajemnéj pomocy we Francyi od bractw i konfraternij religijnych. Dodać tu wypada i to, że zniesienie cechów i korporacyj rzemieślniczych w roku 1781 wskazało rzemieślnikom potrzebę połączenia się węzłami innego rodzaju, w celu zabezpieczenia swego losu. Zaczęły się więc zawiązywać różnego rodzaju towarzystwa mające na celu wzajemną pomoc, ale których skład i ustawy nie są nam znane. Rząd rewolucyjny nie chętném patrzał na nie okiem: obawiał się, aby pod tą formą nie powstały na nowo cechy, i nie wróciły do życia bractwa religijne, których był najsurowiéj zakazał. Za cesarstwa policya paryzka w r. 1806, wzbroniła rzemieślnikom jednego rzemiosła zawiązywać między sobą stowarzyszeń, a to dla zapobieżenia zmowom wcelu podwyższenia ceny zarobków; wydała więc rozporządzenie, mocą którego więcéj jak 10 rzemieślników jednego rzemiosła do Towarzystwa wzajemnéj pomocy należeć nie mogło.

To rozporządzenie przeszkodziło dalszemu rozwinięciu towarzystw. Dopiéro ku końcowi cesarskich rządów, gdy surowość policyi zmniejszyła się, i wciągu piérwszych lat panowania Burbonów, towarzystwa mnożyć się zaczęły. Było ich w Paryżu w r. 1822, 132, złożonych z 10,350 robotników. W innych miastach Francyi, w których policya cesarska mniéj była trwożliwą, towarzystwa zawiązywały się ciągle głównie pomiędzy rzemieślnikami. W Bordeaux gdzie było przed rewolucyą, jak świadczy p. Laurent, przeszło sto korporacyj i bractw religijnych, wszystkie prawie po rewolucyi zamieniły się na Towarzystwa wzajemnéj pomocy, i ślad tego pochodzenia w statutach swoich zamieściły. Toż samo prawie nastąpiło w Lugdunie, Marsylii, Lille i innych miastach. Od roku 1830, podczas panowania Ludwika Filipa, mnożyły się i wzmagały te instytucye po całéj Francyi. Szybki postęp przemysłu fabrycznego, panowanie to cechujący, głównie przyczynił się do tego. Do rewolucyi lutowéj w r. 1848 było już ich we Francyi 1584. Zostawały one do téj epoki bez żadnéj wyłącznéj ze strony rządu opieki, i podlegały ogólnym przepisom prawa o stowarzyszeniach. Stosownie do artykułu 291 kodexu karnego francuzkiego, wszelkie stowarzyszenia z więcéj jak 20 osób złożone, nie mogły być zawiązywane bez specyalnego pozwolenia rządu i pod warunkami, jakie rządowi przepisać się podobało. Ustawy więc towarzystw rozpoznawane były przez prefektów, niekiedy nawet przez centralną władzę. W braku praw Towarzystwami wzajemnéj pomocy opiekujących się, niektóre instytucye dobroczynne służyły im za przewodników i doradców. Takiém było wyżéj wspomniane Towarzystwo filantropijne paryzkie, jeszcze przez Ludwika XVI założone, które przez lat 40 wszelkich dokładało starań, aby towarzystwom w stolicy Francyi być pomocą; takiém było Towarzystwo dobroczynności w Marsylii, które 117 towarzystw w tém mieście założyło; takiemi także były towarzystwa przemysłowe w Nantes, wolnego współzawodnictwa w Rouen i wiele innych. Rewolucya w roku 1848 głównie pod wpływem teoryi o organizacyi pracy dokonana, poruszywszy do głębi kwestyą stowarzyszeń robotników, nowy dała popęd zawiązywaniu się Towarzystw wzajemnéj pomocy, i zwró-

ciła na nie szczególną rządu ówczesnego uwagę. Zgromadzenie prawodawcze w r. 1849 wybrało z łona swego komisyą do przygotowania projektu do prawa organizującego podobne stowarzyszenia. Projekt przez kommissyą przedstawiony, przyjęty i zatwierdzony został bez zmiany. Na mocy tego prawa Towarzystwa wzajemnéj pomocy dopełniające warunków prawem tém przepisanych, uznane zostały za instytucye *publicznego pożytku* i prawami osób cywilnych obdarzone. Warunki te jednak były bardzo uciążliwe. Towarzystwa żądające być uznanemi za instytucye publicznego pożytku, powinny były nietylko komunikować władzy ustawy swoje i wewnętrzne regulamina, ale nadto poddać się nadzorowi władzy municypalnéj, uwiadamiać prezydenta lub burmistrza na trzy dni wprzódy o każdém posiedzeniu, na którém on miał prawo zasiadać, komunikować prefektom, podprefektom, lub zlecenie od nich mającym, wszystkie protokóły, rachunki, książeczki i t. p. papiery, składać coroczne sprawozdania z swych czynności, nie rozwiązywać się bez pozwolenia rządu, a w razie rozwiązania poddać się formom likwidacyi przez prawo wymaganym. Towarzystwa te nie mogły obiecywać członkom swoim pensyj dożywotnich. Skoro fundusze kassy towarzystwa przenosiły 3,000 franków, przewyżka do kassy rządowéj depozytów *(caisse de depots et consignations)* składaną być musiała.

Towarzystwa zadosyć czyniące tym warunkom, uznane jako instytucye pożytku publicznego, obdarzone zostały następnemi przywilejami:

1. Mogą składać do kass oszczędności fundusze wyrównywające summie wniosków każdemu z ich członków prawem dozwolonych.

2. Mogą przyjmować zapisy i ofiary za upoważnieniem prefekta, skoro składają się z ruchomości i nie przenoszą 1,000 franków wartości, a za upoważnieniem rady stanu, jeżeli ofiara przewyższała tę cyfrę lub była nieruchomością.

3. Otrzymują darmo od gminy lub municypalności lokale na zebrania swoje i uwolnione są od kosztów stempla i wpisów.

W warunkach, których wymagało prawo dla towarzystw chcących być uznanemi za instytucye pożytku publicznego, poznać łatwo epokę, w któréj toż prawo stanowione było. Po groźnych koalicyach robotników w r. 1848, wśród dzikich lub niedorzecznych teoryj, jakiemi w owym czasie umysły ich karmiono, zgromadzenie prawodawcze uznawało z jednéj strony konieczną potrzebę ustalenia i rozwinięcia Towarzystw wzajemnéj pomocy, upatrując w nich słusznie jeden z najskuteczniejszych środków zaspokojenia robotników; z drugiéj zaś było pod wpływem obawy, aby towarzystwa te nie stały się ogniskami nowych przeciw porządkowi publicznemu knowań.

Wobec tak ciężkich warunków, sześć tylko towarzystw po rok 1860, za instytucye pożytku publicznego uznanemi zostały.

W roku 1852 Ludwik Napoleon, wówczas prezes rzeczypospolitéj, wydał dekret organiczny o Towarzystwach wzajemnéj pomocy. Oddawna on zajmował się z szczególném upodobaniem kwestyą zabezpieczenia losu robotników. Przyszedłszy do władzy dążył tém usilniéj do urzeczywistnienia myśli, które go w prywatném życiu i na wygnaniu zatrudniały, bo w zabezpieczeniu losu robotników, widział jeden z głównych środków utwierdzenia swéj władzy. Ale autor idei Napoleońskich zbyt silnie wierzy, że inicyatywa rządu przeważnie kierować społecznym postępem powinna, zbyt wielkim jest zwolennikiem centralizacyi władzy, aby mógł rozwój Towarzystw wzajemnéj pomocy ich własnym siłom zostawić. Dekret z r. 1852, jakkolwiek nie pogwałcił wolności towarzystw w głównych ich organizacyi zasadach, otaczając one jednak bezpośrednią opieką rządu, wprowadzając pewne zastrzeżenia, uczynił z nich instytucyą na poł rządową. Być może, że usposobienie umysłowe Francuzów domagających się wszędzie udziału rządu, obcych idei samorządu angielskiego, nadania tego charakteru wymagało. Przyszłość pokaże, czy organizacya dzisiejsza dla rozwoju towarzystw korzystną, czy też szkodliwą będzie.

Dla dokładnego objaśnienia czytelników, umieszczamy dosłowne tłumaczenie tego organicznego dekretu z dnia 26 marca 1852 r.

TYTUŁ I.

Organizacya i cel Towarzystw wzajemnéj pomocy.

Artykuł 1. Towarzystwo wzajemnéj pomocy założone być ma za staraniem wójta i proboszcza w każdéj gminie, w któréj potrzeba onego uznaną zostanie.

O potrzebie téj wyrzecze prefekt po wysłuchaniu zdania rady municypalnéj. Jedno towarzystwo może jednak być zawiązane dla dwóch lub więcéj gmin sąsiedzkich, skoro ludność każdéj nie będzie dochodziła tysiąca mieszkańców.

Artykuł 2. Towarzystwa te składają się z członków uczestniczących i członków honorowych. Ci ostatni płacą składki naznaczone, lub czynią ofiary towarzystwu, ale nie biorą udziału w korzyściach statutami zapewnionych.

Artykuł 3. Prezes każdego towarzystwa nominowanym będzie przez cesarza. Bióro towarzystwa wybrane i nominowane będzie przez członków stowarzyszenia.

Artykuł 4. Prezes i bióro stanowić będą o przyjęciu członków honorowych. Obowiązkiem prezesa jest przestrzegać i pilnować wykonania statutów towarzystwa. Bióro sprawować będzie zarząd towarzystwa.

Artykuł 5. Członkowie uczestniczący nie mogą być przyjęci inaczéj, jak przez głosowanie i większością głosów zebrania ogólnego towarzystwa. Liczba członków uczestniczących przenosić nie może pięciuset osób, może jednak być powiększoną z upoważnieniem prefekta.

Artykuł 6. Towarzystwa wzajemnéj pomocy będą miały na celu zapewniać wsparcie czasowe swym członkom w chorobie, kalectwie i długiéj niemocy, oraz ponosić koszta ich pogrzebu. Będą mogły także obiecywać dożywotne pensye, jeżeli dostateczną liczbę członków honorowych miéć będą.

Artykuł 7. Statuta towarzystw w departamencie Sekwany przedstawione będą do zatwierdzenia ministrowi spraw wewnętrznych, a prefektom w innych departamentach. Statuta te stanowić mają o wysokości składek przez

każdego członka wnosić się mających, na zasadzie tablic chorobliwości i śmiertelności sporządzonych przez rząd lub przez niego zatwierdzonych.

TYTUŁ II.

O prawach i obowiązkach Towarzystw wzajemnéj pomocy przez rząd zatwierdzonych.

Artykuł 8. Towarzystwo wzajemnéj pomocy *zatwierdzone*, może dzierżawić nieruchomości, posiadać ruchomości i wykonywać do tych praw odnoszące się czynności. Może za upoważnieniem prefekta przyjmować dary i zapisy ruchomości, których wartość nie przechodzi 5000 franków.

Artykuł 9. Gminy obowiązane są dostarczyć bezpłatnie towarzystwom zatwierdzonym mieszkanie potrzebne dla ich zebrań, oraz książeczki i rejestra potrzebne do administracyi i rachunkowości; gdyby fundusze gminy na to nie wystarczały, wydatek ten ponoszony będzie przez departament.

Artykuł 10. W miastach, w których pobieraną jest opłata municypalna od konduktów pogrzebowych, towarzystwa potrącone mieć będą $^2/_3$ części téj opłaty od pogrzebów ich kosztem sprawianych.

Artykuł 11. Wszystkie akta dotyczące Towarzystw wzajemnéj pomocy zatwierdzonych, wolne będą od opłaty stempla i wpisów.

Artykuł 12. Dyplomy będą mogły być wydawane przez bióro towarzystwa każdemu członkowi uczestniczącemu. Dyplomy te służyć im będą za pasporta i książeczki legitymacyjne pod warunkami przez rozporządzenia ministeryalne określonemi.

Artykuł 13. Skoro fundusze kassy towarzystwa mającego więcéj jak stu członków, przenosić będą 3000 fr., przewyżka składaną będzie do kassy depozytów i konsygnacyi (*caisse de depots et consignations*). Jeżeli towarzystwo składa się z mniej jak stu członków, przelew ten wy-

konany być ma, skoro fundusz kassy przenosić będzie 1000 fr. Stopa procentowa od summ złożonych ustanawia się na 4 ½ %.

Artykuł 14. Towarzystwa wzajemnéj pomocy zatwierdzone, będą mogły składać do kass oszczędności kwoty wyrównywające summie tych, jakie każdemu członkowi pojedynczo wnosić do kass jest dozwoloném, i będą mogły także pozostające w końcu każdego roku fundusze składać do kassy pensyj dożywotnich, na rzecz swych członków rzeczywistych.

Artykuł 15. Zmiany w statutach przez towarzystwo wprowadzone, uważają się za nieważne, skoro nie zostaną zatwierdzone przez prefektów. Rozwiązanie towarzystwa tylko za podobném że zezwoleniem, ważném będzie.

Wrazie rozwiązywania się Towarzystwa wzajemnéj pomocy, członkom do niego w chwili téj należącym zwrócone zostaną ich składki, po potrąceniu z nich wydatków na każdego członka poniesionych; zwrot ten nastąpi o tyle, o ile fundusze towarzystwa na to pozwolą. Jeżeli zaś będzie jaka pozostałość, ta zostanie rozdzieloną pomiędzy towarzystwa lub zakłady dobroczynne w téjże gminie zostające; w braku jednych i drugich rozdzieloną zostaje między Towarzystwa wzajemnéj pomocy w tymże departamencie istniejące, w stosunku do liczby ich członków.

Artykuł 16. Towarzystwa zatwierdzone, będą mogły być zawieszone, lub rozwiązane przez prefekta, za zły zarząd, niewykonanie statutów, lub przekroczenie rozporządzeń niniejszego prawa.

TYTUŁ III.

Ogólne przepisy.

Artykuł 17. Towarzystwa wzajemnéj pomocy uznane za zakłady pożytku publicznego, na mocy prawa z dnia 15 lipca 1850 r., będą używały wszystkich korzyści niniejszym dekretem przyznanych towarzystwom zatwierdzonym.

Artykuł 18. Towarzystwa nieupoważnione, istniejące lub w przyszłości zawiązane, będą mogły korzystać z roz-

porządzeń niniejszego dekretu, skoro statuta swoje do zatwierdzenia prefektowi przedstawią.

Artykuł 19. Ustanowioną jest przy minsterstwie spraw wewnętrznych, komissya nadzorcza *(Comission supérieure)* zachęty i nadzoru Towarzystw wzajemnéj pomocy. Składać się ona będzie z 10 członków przez cesarza mianowanych.

Obowiązkiem będzie téj komissyi zachęcać i dopomagać do zawiązywania towarzystw i do rozwijania ich działań, czuwać nad wykonaniem postanowień niniejszego dekretu i przygotowywać instrukcye i rozporządzenia, jakie do wykonania onego potrzebnemi się okażą.

Będzie przedstawiała do medalów i innych zaszczytnych odznaczeń członków honorowych i rzeczywistych, których uzna zasługującemi na to.

Będzie przedstawiała do zatwierdzenia ministra spraw wewnętrznych, statuta towarzystw z departamentu Sekwany.

Artykuł 20. Towarzystwa wzajemnéj pomocy składać będą corocznie prefektom raporta o swoim stanie moralnym i finansowym.

Corocznie także komissya nadzorcza złoży cesarzowi raport o stanie towarzystw, i przedstawi mu projekta mogące rozwinąć i udoskonalić instytucyą.

Takiém jest prawo urządzające stan Towarzystw wzajemnéj pomocy przez rząd zatwierdzonych. Dodać tu potrzeba, że towarzystwa, które warunkom w dekrecie powyższym zadość nie czynią, mogą również swobodnie istnieć, ale nie korzystają z przywilejów tamtym nadanych i podpadają pod przepisy prawa ogólnego o stowarzyszeniach, o których poprzednio już wspomnieliśmy. Nieco później cesarz Francuzów uposażył Towarzystwa wzajemnéj pomocy stałym funduszem 10,000,000 franków. Procent od téj summy przeznaczono: 1^0 na zapomogę dla towarzystw, ktre mimo całéj roztropności swojéj organizacyi, wyjątkowemi klęskami dotknięte zostały; 2^0 na wzmocnienie funduszu rezerwowego w towarzystwach nowo

założonych; 3% na uposażenie funduszu wsparć dożywotnich. Na ten ostatni cel, procenta te głównie dziś obracane bywają.

Przytoczony wyżéj dekret nie usunął bynajmniéj prawa z r. 1850 przez zgromadzenie prawodawcze wydanego, ale ustanowił nową kategoryą towarzystw zatwierdzonych przez rząd, téj organizacyą przepisał i przywilejami ją obdarzył. Znajdują się przeto obecnie we Francyi trzy kategorye Towarzystw wzajemnéj pomocy:

1. Towarzystwa uznane za zakłady pożytku publicznego na zasadzie prawa z r. 1850, których jest, jak powiedzieliśmy, bardzo mała liczba. Mają one ten przywiléj, że mogą posiadać, nabywać, przyjmować dobra ruchome i nieruchome jakiejkolwiek wartości, a przytém korzystają z dogodności dekretem z r. 1852 nadanych.

2. Towarzystwa zatwierdzone przez rząd, które stworzył dekret wyżéj przytoczony; mogą one tylko posiadać majątek ruchomy i nie mają prawa przyjmować darów przenoszących 5000 fr. wartości.

Według raportu wyższéj komissyi nadzorczéj w roku 1858 cesarzowi złożonego, towarzystw tych było w tymże roku 1940, członków honorowych 48,850, uczestniczących 236,113. Majątek towarzystwa wraz z funduszem dożywotniego wsparcia przez nich złożonym, wynosił 9,641,685 fr.

3. Towarzystwa prywatne, nieuznane i niezatwierdzone przez rząd, podpadające pod ogólne prawo o stowarzyszeniach. Mają one także prawo składać fundusze do kass oszczędności do wysokości 8000 fr., i do kassy wsparć dożywotnich. Towarzystw podobnych znajdowało się w r. 1858, według wyżéj cytowanego raportu, 1,920.

Zarzucają słusznie poniekąd dekretowi, że polecając założenie Towarzystw wzajemnéj pomocy w każdéj gminie wkroczył w zakres tego, co swobodnemu działaniu stowarzyszeń rząd zostawić powinien; powtóre, że ścieśnił wolność zarządów towarzystw stawiając warunek nominowania prezesów przez cesarza. Obyczaj silniejszy od samego prawa zmodyfikował rzeczywiście ostrość tych obu przepisów. Piérwszy warunek stał się podobno w prak-

tyce martwą literą. Albowiem ponieważ uznanie potrzeby zawiązania towarzystwa jest artykułem pierwszym dekretu prefektom i radom municypalnym zostawione; przeto w praktyce tam tylko uznanie to miewa miejsce, gdzie towarzystwa samodzielnie się zawiązują. W nominowaniu zaś prezesów, rząd roztropnie czyni, mianując osoby przez towarzystwa wskazane: dotychczasowe nominacye szczęśliwie wypadały. Pośrednictwo komissyi nadzorczéj wielką w tém jest pomocą. Zwrócić też potrzeba uwagę i na to, że prezesi są tylko stróżami statutów i wykonania przepisów zarząd zaś zostawiony jest członkom bióra każdego towarzystwa.

Zarzucają także, że dekret zbyt ścieśnił atrybucye towarzystw, ograniczając ich działalność do wspierania w chorobie i do ponoszenia kosztów pogrzebu. W innych krajach, a mianowicie w Anglii, Towarzystwa wzajemnéj pomocy zawiązywane bywają do najrozmaitszych celów, stosownie do rodzaju i potrzeb osób one zawiązujących. Ludwik Napoleon zajęty głównie zabezpieczeniem losu robotników, słusznie upatrywał w chorobie, najważniejszy powód ich upadku, i do odwrócenia onego skierował cel towarzystw, obdarzonych przez niego znakomitemi przywilejami i funduszami, nie wzbraniając wszakże egzystencyi towarzystwom w innych celach zawiązanym. I tu jednak praktyka zbyt ciasne granice prawa rozszérzyła. Komissya nadzorcza objaśniając dążności dekretu, oświadczyła, że cele zawiązywania towarzystw, w dekrecie wskazane, nie mają być uważane jako wyłączające wszelkie inne; że owszem jest do życzenia, aby towarzystwa zawiązywane były w celu zaspokojenia rozlicznych potrzeb, ze stosunków miejscowych lub osobistych wynikających.

Nakoniec zarzucają dekretowi, że pozwala towarzystwom obiecywać udzielania pensyj dożywotnich. W istocie jakkolwiek obietnica pensyj dożywotnich jest jedną z najponętniejszych, przez które towarzystwa do udziału w nich zachęcają, wyznać jednak potrzeba, że jest dla egzystencyi i pomyślnego rozwoju towarzystw najniebezpieczniejszą. Tablice śmiertelności nie uwzględniają dosyć stopnia śmiertelności między robotnikami różnych przemysłowych zawodów, aby służyć mogły za pewną podsta-

wę towarzystwom, bez narażenia ich na częste zawody a w końcu na bankructwo. Potrzebaby podnosić wysokość składek do stopy przechodzącéj możność zwykłą robotników, aby im one wsparcie w chorobie i dożywotnie pensye mogły zapewnić. Doświadczenie przekonało, że towarzystwa obiecujące pensye dożywotnie, najczęściéj upadały, zostawując uczestników przez długie lata składki wnoszących, bez żadnéj pomocy. Zdarza się to najczęściéj w Anglii, gdzie prawo obietnicę pensyi dozwala. Rozwiązanie w ciągu naszego wieku 6,850 towarzystw w Anglii, téj okoliczności głównie jest przypisywane. Z tego téż powodu zgromadzenie prawodawcze francuzkie, prawem z roku 1850 wzbroniło obiecywania pensyi towarzystwom chcącym być uznanemi za instytucye publicznego pożytku. Prawo belgijskie absolutnie zabrania Towarzystwom wzajemnéj pomocy obiecywać pensye. Wszyscy prawie ekonomiści przestrzegają prywatne Towarzystwa wzajemnéj pomocy, aby się nie obowiązywały do płacenia pensyj dożywotnich.

Ludwik Napoleon inną poszedł drogą: sądził on, że Towarzystwa wzajemnéj pomocy nie osiągną całkowicie celu, jaki w jego myśli mieć powinny, jeżeli nie zabezpieczą robotnikom ich doli w starości. Do osiągnienia tego celu dwa główne widział środki: pomoc ze strony bogatszych i uposażenie ze strony rządu. W téj myśli dekretem organicznym, wyżéj przytoczonym, wtedy tylko towarzystwom obiecywać pensye dożywotnie pozwolił, skoro w statutach swoich przyjmowanie członków honorowych zamieszczą. Domyślnym tego zastrzeżenia celem jest, aby składki członków honorowych i ofiary, jakie czynić mogą, służyły na utworzenie funduszu pensyj dożywotnich; składki albowiem członków uczestniczących i inne towarzystw fundusze, wystarczyć powinny na pomoc w chorobie, pokrycie kosztów pogrzebu, lub na inne cele, jakie sobie towarzystwa wyznaczą. Ten sposób użycia funduszu od członków honorowych jest tylko dekretem tym wskazany, ale nie obowiązujący. W przybraniu członków honorowych przez towarzystwa widział też Napoleon środek zbliżenia i pogodzenia między sobą oddalonych klas społeczeństwa: chciał bogatym dać mo-

żność przyjścia najskuteczniéj w pomoc pracowitemu ubóstwu, chciał w sercach ubogich uczucie wdzięczności dla dobroczynnego bogactwa zaszczepić. Środek ten jednak ani finansowo wystarczającym być nie mógł, ani politycznym celom cesarza zadosyć nie uczynił. Potrzeba było dać rządowi udział i główną zasługę w zabezpieczeniu pensyj dożywotnich. W téj myśli dekretem z dnia 26 kwietnia 1856 r., który poniżéj umieszczamy, ustanowił on stały fundusz pensyj dożywotnich.

Aby działanie tego funduszu dokładnie zrozumieć, wiedzieć potrzeba, że we Francyi od roku 1850 istnieje kassa pensyj dożywotnich dla starców *(caisse de retraite pour la vieillesse)*. Kassa ta przyjmuje wnioski od każdego mieszkańca, chcącego zapewnić dla siebie lub dla innéj osoby pensyą dożywotnią; najmniejsze wnioski od każdego mieszkańca chcącego zapewnić dla siebie lub dla innéj osoby pensyą dożywotnią; najmniejsze wnioski są pięcio frankowe; najwyższa pensya, jaką sobie zapewnić można w téj kassie, jest 750 franków rocznie; do wysokości 360 franków pensye nie podlegają aresztom. Nie można korzystać z pensyi aż po skończeniu lat pięćdziesięciu życia. Tablice pensyi są ułożone na zasadzie procentu składanego 4 ½ % z uwzględnieniem tablic śmiertelności Deparsiego. Wnoszący każdą kwotę winien zadeklarować, czy zastrzega zwrot kapitału po śmierci swojéj, lub czy go nie zastrzega. Jeżeli kapitał jest zastrzeżony, odbierają go bez procentów po śmierci właściciela pensyi jego sukcesorowie lub legataryusze. Naturalnie, że w takim razie wysokość pensyi wolniéj przyrasta, niż wtedy, kiedy kapitał nie jest zastrzeżony (1).

Fundusz pensyj dożywotnich dla Towarzystw wzajemnéj pomocy, przez cesarza Napoleona ustanowiony, jest w ścisłym związku z kassą, któréj organizacyą skreśliliśmy.

(1) Świeżo wydaném prawem, pod datą 12 czerwca 1861 roku uregulowany został dokładniéj jeszcze zarząd kassy wsparcia dla starców, i wysokość pensyj dożywotnich do 1,200 fr. podniesiono. Od daty otwarcia kassy w r. 1851 do r. 1858 wniesiono do powyższéj kassy 51,658,815 fr., z których połowa z zastrzeżeniem zwrotu kapitału, a druga bez zastrzeżenia.

Dekret ustanawiający powyższy fundusz jest następujący:

TYTUŁ I.

O utworzeniu funduszu pensyj dożywotnich.

1. Kwota franków 200,000, wzięta z procentów od summy uposażenia Towarzystw wzajemnéj pomocy, użytą być ma na utworzenie funduszu wsparcia dożywotniego, przeznaczonego dla tych Towarzystw wzajemnéj pomocy zatwierdzonych przez rząd, które na ogólnych swych zebraniach zobowiążą się część kapitału rezerwowego na korzyść tego funduszu obracać.

2. Kwoty pochodzące z procentów od uposażenia towarzystw, kwoty na mocy artykułu poprzedniego przez ogólne zebrania przeznaczone, nakoniec zapisy i dary specyalnie na powiększenie funduszu pensyj dożywotnich czynione, mają być składane do kassy depozytów i konsygnacyj, w któréj będą przynosiły procent stósownie do art. 13 dekretu organicznego, z d. 26 marca 1852 r. Procenta przewyższające wysokość udzielanych pensyj dożywotnich będą składane corocznie na kapitał.

3. W razie rozwiązania towarzystwa, minister spraw wewnętrznych, na przedstawienie kommissyi nadzorczéj postanowi, jaki użytek z funduszu pensyj ma być uczynionym. Fundusz ten będzie mógł być użytym na pensye dla uczestników rozwiązanego towarzystwa. Jeżeli nie otrzyma tego przeznaczenia, będzie przyznanym innym towarzystwom téj saméj gminy, posiadającym fundusz pensyj dożywotnich, a gdyby ich w gminie nie było, innym towarzystwom tegoż samego departamentu.

4. Część funduszu pensyi, którą towarzystwo dostarczy, będzie mogła być lokowaną w głównéj kassie pensyj dożywotnich, bądź z zastrzeżeniem kapitału, bądź z całkowitém jego ustąpieniem; część zaś tegoż funduszu, która z uposażenia rządowego pochodzi, nie może być ustępywaną, lecz po śmierci pensyonowanego kapitał jego pensyi wróci do funduszu pensyj dożywotnich.

TYTUŁ II.

O likwidacyi i wypłacie pensyj.

5. Pensye wypłacane będą przez kassę główną pensyj dożywotnich dla starców.

6. Towarzystwa wybiorą na zebraniu ogólném kandydatów do pensyj dożywotnich z pomiędzy członków uczestniczących, mających więcéj niż 50 lat wieku i od lat najmniéj dziesięciu składki wnoszących. Toż samo zebranie oznaczy wysokość pensyi.

7. Uchwały w artykule 6 opisane, przesłane będą za pomocą prefektów ministrowi spraw wewnętrznych, który one kommissyi nadzorczéj zakomunikuje do rozpatrzenia i zatwierdzenia.

8. Minimum pensyi oznacza się na 30 franków, maximum nie może w żadnym razie przewyższać pomnożonéj przez 10 składki rocznéj, składanéj do towarzystwa, do którego uczestnik należy.

Od czasu ustanowienia powyższego funduszu, kommissya nadzorcza corocznie większą część procentów od owych 10 milionów stanowiących uposażenie towarzystw na korzyść tego funduszu obraca. Tym sposobem wzrasta on znakomicie i poręcza towarzystwom możność zapewniania pensyj dożywotnich. Dodajmy, że prawo pobierania pensyi od lat 50 dekretem zakreślonych, uważa się za minimum wymaganego wieku. Towarzystwa w statutach swoich zwykle od lat 60 lub 65 pensye dawać obiecują. Kwota pensyi także ściśle oznaczoną z góry w statutach nie bywa, ale udziela się taka, na jaką fundusz pensyi każdego towarzystwa wystarcza. Na zapewnienie 100 franków rocznéj pensyi członkowi lat 65 mającemu, potrzeba kapitału 2,213 fr. To daje miarę, jak ostrożnemi być muszą towarzystwa w zapewnianiu pensyj dożywotnich stale z góry oznaczonych.

Od daty założenia funduszu pensyj do 1 stycznia 1859 roku, 1265 towarzystw złożyło do niego przeszło 2,500,000 fr. Kommissya nadzorcza w raporcie swoim z r. 1858 przewiduje pomnożenie funduszu corocznie o jeden milion i zapewnia, że za lat 20, skoro dzisiejsi członkowie towarzystw dosięgną starości, kassa funduszu 20 tysiącom członków po 100 franków pensyi corocznie wypłacać będzie w stanie.

Nie dosięga to rozmiarów, jakie dla Towarzystw wzajemnéj pomocy dzisiejszy władca Francyi przewidywał, gdy na księgach towarzystwa w Lugdunie napisał: „Nie będzie już ubóstwa dla chorego robotnika, ani dla tego, któremu starość pracować nie dozwala". Nie pierwsze to i nie ostatnie słowa zbyt śmiałéj obietnicy, któréj, silniejszy nad gieniusz człowieka, bieg wypadków lub natura rzeczy ludzkich dokonać nie pozwoliły. Bo téż cel tak obszerny nie da się otrzymać żadnym pojedynczym środkiem, jakkolwiek trafnym, żadnym mechanizmem najlepiéj obmyślanym przez jednego, jakkolwiek potężnego człowieka. Nie kusząc się zatém tak odległemi widokami, uznajmy naprzód, że rezultat zapowiedziany przez kommissyą złożoną z ludzi światłych i prawych jest dosyć pięknym, aby do osiągnięcia onego, pracę i ofiary pojedynczych ludzi, oraz część funduszów rządowych poświęcić; powtóre, że w warunkach, w jakich prawo Towarzystwa wzajemnéj pomocy przez rząd zatwierdzone postawiło, mogą one obiecywać uczestnikom swoim pensye dożywotnie bez obawy narażenia się na upadek, a członków na bolesny zawód, skoro tylko w ustanawianiu wysokości pensyi rządzić się będą roztropną przezornością.

Ten jest krótki rys stanu Towarzystw wzajemnéj pomocy we Francyi i praw niemi rządzących. Widzimy, że jedne z tych towarzystw są zupełnie prywatne podpadające jedynie pod ogólne prawo o stowarzyszeniach; drugie przez rząd zatwierdzone, mają osobne przepisy ich stan i stosunek do rządu urządzające; tamte nie mają żadnych prawie przywilejów, nie doznają szczególnéj opieki rządu, nie ulegają téż żadnej innéj kontroli prócz téj, jaka z ogólnego prawa o stowarzyszeniach wypływa:

te zaś w zamian za znakomite przywileje i szczodre uposażenie rządu, stósować się muszą w zarządzie swych interesów do pewnych acz nielicznych zastrzeżeń przez rząd wymaganych i poddać się jego kontroli.

Tak odmienne warunki egzystencyi tych dwóch głównych rodzajów towarzystw, wskazują widocznie dążenie rządu, ażeby skłonić towarzystwa prywatne sposobem dobrowolnym do przyjęcia jego opieki i poddania się jego przepisom. Nie chciało prawo wzbraniać tworzenia się samodzielnych prywatnych towarzystw, gdyż byłoby to przeciwném duchowi i zasadniczéj myśli, téj instytucyi; ale zostawiając je bez żadnéj kontroli, a tém samém narażając na liczne błędy i zawody, których towarzystwa prywatne zupełnie same sobie zostawione, często doznają, zniewolić je do żądania zatwierdzenia rządu, a tém samém do poddania się jego przepisom. Głównym przeto błędem prawa o Towarzystwach wzajemnéj pomocy we Francyi jest, zdaniem naszém, pozostawienie zbyt wielkiéj towarzystwom prywatnym swobody, która je naraża albo na upadek, albo prowadzi do przyjęcia szczególnéj opieki i kontroli rządu. Wymaganie od towarzystw prywatnych pewnych warunków zabezpieczających je od złudzeń i błędów byłoby rzeczywiście liberalniejszym względem nich ze strony rządu krokiem, niż pozostawienie ich bez żadnéj kontroli obok szczodrego uposażenia i uprzywilejowania towarzystw przez rząd zatwierdzonych.

Stan ten jednak wypływa, jakeśmy wyżéj powiedzieli, z natury i usposobień społeczeństwa francuzkiego, którego rząd jest wyrazem i przedstawicielem. Centralizacya władzy, udział i inicyatywa rządu we wszystkich ważniejszych reformach i urządzeniach społecznych, tak jest jeszcze ściśle zrośniętą z charakterem i obyczajami narodu, że zanim uczucie samorządu głębiéj mass jego nie przeniknie, organizacya Towarzystw wzajemnéj pomocy na drodze dzisiejszéj długo jeszcze postępować i skutecznie rozwijać się może.

ANGLIA.

Charakter narodu angielskiego i natura jego rządu, odbija się także w organizacyi Towarzystw wzajemnéj pomocy.

Towarzystwa te wcześniéj tam, niż gdziekolwiek się rozwinęły, wcześniéj téż prawodawstwo krajowe niemi się zajęło. Badacze dziejów angielskich ślady istnienia towarzystw jeszcze przed podbojem Normandów znajdują. Wprowadzenie protestantyzmu, a za nim idące zniesienie zakonów, bractw i korporacyj religijnych, które były obfitém źródłem pomocy dla biednych; następnie większy niż gdziekolwiek wzrost przemysłu fabrycznego, oraz duch stowarzyszenia i samorządu narodowi angielskiemu właściwy, dały silny popęd tworzeniu się Towarzystw wzajemnéj pomocy, znanych tam pod pięknym tytułem: *Towarzystw przyjaciół.*

Już w r. 1793, za panowania Jerzego III, wydany został piérwszy prawodawczy akt, dotyczący Towarzystwa przyjaciół. Uznając we wstępie wysoką pożyteczność tych towarzystw, przyznaje im zupełną wolność zawiązywania się i zarządzania swemi sprawami; ale nadaje zarazem przywileje tym towarzystwom, które dla własnego swego dobra poddadzą się pewnym zastrzeżeniom przez prawo oznaczonym. Akt ten kilkakrotnie modyfikowany pojedynczemi rozporządzeniami, jest w zasadzie swojéj podstawą prawa ogólnego o Towarzystwach przyjaciół w r. 1850 przez parlament wydanego, a dotąd obowiązującego. Według niego Towarzystwa przyjaciół mogą być zawiązywane dla wszelkich celów, za legalne przez rząd uznanych, a mianowicie w celu:

1. Udzielania po śmierci członka towarzystwa, kwoty pieniężnéj jego żonie, dzieciom lub rodzicom i dla płacenia kosztów pogrzebu członka towarzystwa i jego rodziny.

2. Dawania pomocy w razie choroby, kalectwa, starości i owdowienia stowarzyszonym, oraz wdowom i sierotom po nich pozostałym.

3. Zabezpieczenia się od strat pochodzących z pomoru bydła, pożarów, zatonięcia, zalewów i od wszelkich

tym podobnych klęsk, mogących być rachunkiem prawdopodobieństwa przewidzianemi i obliczonemi.

4. Nastręczania stowarzyszonym możności nabywania po najniższéj cenie opału, odzieży, pożywienia, narzędzi do pracy i produktów surowych.

5. Zapewnienia dzieciom dobrego i odpowiedniego wychowania.

6. Ułatwienia emigracyi.

Oprócz powyższych celów, aktem specyalnym parlamentu z r. 1836, upoważniono zawiązywanie Towarzystw wzajemnéj pomocy, w celu ułatwienia członkom nabywania domów na własność. Cel tego aktu jest głównie polityczny, aby mnożąc właścicieli pomnożyć liczbę wyborców.

Widzimy więc, jak obszerne cele prawo angielskie, towarzystwom zakreślać pozwala. Kontrola rządu nad towarzystwami temi w następujący sposób jest wykonywaną. Statuta każdego towarzystwa winny na mocy wyżéj przytoczonego prawa zawierać tytuł towarzystwa, miejsce w którém istnieć zamierza, cele zawiązania, warunki przyjmowania członków, wysokość składek, rodzaj zabezpieczenia wraz z tabellą, która służyła do oznaczenia jego, sposób zarządu, obowiązki każdego urzędnika towarzystwa, lokacyą funduszów, nakoniec w jaki sposób spory, zachodzić mogące między towarzystwem a jego członkami, sądzone będą.

Rozliczność celów towarzystw przez samo prawo w Anglii wskazanych, spowodowało także ważne w témże prawie zastrzeżenia, że każde towarzystwo kilka korzyści członkom swym zapewniające, powinno w ustawie swojéj zamieścić, że z dochodu składek, specyalna kassa dla każdego przedmiotu ubezpieczenia założoną będzie.

Zastrzega także prawo dla większego towarzystw bezpieczeństwa, że kassyer towarzystwa powinien złożyć kaucyą w pieniądzach i oprócz tego dwie odpowiedzialne kaucye przedstawić. Fundusze towarzystwa powinny być składane w kassach oszczędności, albo zamienione na papiery publiczne, akcye banku lub kompanii indyjskiéj, lokowane na hypotekach, albo wypożyczane stowarzyszonym w stosunku summy jaka im jest zapewniona polissą

dożywotniego dochodu. Rozwiązanie towarzystwa może nastąpić tylko za zgodą $^5/_6$ członków. Fundusze po rozwiązaniu pozostałe, winny być użyte na cele ustawą przewidziane. Członek dłużéj od 5 lat w towarzystwie zostający, ma za każdy pięcio-letni okres jeden głos więcéj, jednak więcéj nad 5 głosów mieć nie może. Jedna osoba może należéć do kilku towarzystw, z warunkiem jednak, iż korzyści przez nią w ten sposób otrzymywane, nie przenoszą jednorazowego wsparcia w kapitale 100 funt. szter., lub pensyi dożywotniéj 30 f. szter., lub wsparcia w razie choroby 1 funta na tydzień. Towarzystwa zarządzane są przez wybranych administratorów zwanych *trustee*. Administrator ma prawo stawać przed sądem w imieniu towarzystwa. Ma obowiązek składać corocznie registrarowi raport o stanie towarzystwa i co lat 5 raport szczegółowy według wzorów przepisanych. Spory pomiędzy członkami mają być rozstrzygane przez wyznaczonych arbitrów, a spory towarzystwa z osobami trzeciemi rozsądzane są summarycznie w ostatniéj instancyi przez sądy hrabstwa.

Te są główne obowiązki, jakotéż przywileje towarzystw legalnie istniejących. Oprócz tego prawo samo rozróżnia dwa rodzaje towarzystw, tojest: towarzystwo *wpisane* i towarzystwo *poświadczone*. Te ostatnie oprócz obowiązków i praw wyżéj przytoczonych, a towarzystwom wpisanym wspólnych, mają jeszcze niektóre przywileje, które poniżéj przytoczymy.

Różnica zaś tych dwóch towarzystw jest następująca:

Każde towarzystwo chcące korzystać z dobrodziejstwa prawa, winno przedstawić w dwóch egzemplarzach ustawę z tablicą rachunkową, na któréj operacye swoje opierać zamierza, urzędnikowi specyalnemu, zwanemu registrar; ten rozpatruje ustawę i tablice, i jeżeli w ustawie nic prawu przeciwnego nie znajduje, a tablice są zatwierdzone przez sekretarza *(actuary)* administracyi długu krajowego, albo przez sekretarza pięć lat przynajmniéj urzędującego w jednéj z kompanij ubezpieczeń na życie w Londynie, Edymburgu lub Dublinie, w takim razie uznaje towarzystwo za *poświadczone*. Jeżeli zaś tabelle nie są przez jednego z powyższych urzędników stwierdzone,

a ustawy także nic prawu przeciwnego nie zawierają, towarzystwo uznane jest tylko za *wpisane* czyli zaciągnięte do urzędowéj listy towarzystw.

Przywileje towarzystw poświadczonych, są następujące:

1. W razie bankructwa lub śmierci administratora swego, towarzystwo ma pierwszeństwo przed innemi wierzycielami do wysokości summy, jaką mu jest dłużny.

2. Mają prawo składać fundusze do banku angielskiego na rachunek administracyi długu publicznego i pobierać procent.

3. Akta towarzystwa są uwolnione od opłaty stempli i wpisów.

4. Summy przez towarzystwo wypłacane po śmierci jednego z członków, a nie przenoszące 50 funtów szter. wolne są od opłaty stempla.

5. Wypłaty uczynione przez towarzystwo domyślnym sukcessorom zmarłego towarzysza, nie mogą być przez rzeczywistych spadkobierców u towarzystwa poszukiwane.

6. Tylko towarzystwa poświadczone, pensye dożywotnie obiecywać mogą.

Szczegóły wyżéj przytoczone dają poznać ducha prawa angielskiego. Ma ono na celu zapobiedz złemu administrowaniu funduszami towarzystw tak uprzywilejowanych jako i nieuprzywilejowanych, bez rozciągania nad niemi drobiazgowéj kontroli; uprościć ile można najwięcéj zarząd ich interesów; nakoniec zachęcić je do oparcia przyrzeczeń swoich na najdokładniejszym ile być może rachunku.

Oprócz towarzystw wpisanych i poświadczonych, znajdują się także w Anglii towarzystwa, wcale kontroli rządowéj nie poddane, i istniejące tylko na podstawie ogólnego prawa o stowarzyszeniach. Częste jednak bardzo upadki towarzystw podobnych, skłaniają je coraz więcéj do przyjmowania opieki rządu nad sobą. Liczba wszystkich Towarzystw wzajemnéj pomocy w Anglii, nie jest dokładnie wiadomą. Ostatnie urzędowe cyfry wykazują 14 tysięcy towarzystw zatwierdzonych, to jest wpisanych i poświadczonych, złożonych z 1,600,000 członków; roczny ich dochód 112 milionów złp., a kapitał 256 milionów złp. wynosił.

Towarzystw niezatwierdzonych liczba niewiadoma. Według obliczeń najprawdopodobniejszych znajdowało się ich w r. 1850 około 20,000, złożonych z 1,400,000 członków, posiadających rocznego dochodu 80 milionów złp., a majątku 200 milionów złp. Jedno towarzystwo *Old Fellows* w Manchester, nie wpisane ani poświadczone, składało się w r. 1844 z 242,126 członków, miało 13 milionów złp. składek rocznych i 64 milionów złp. kapitału.

BELGIA.

Pomimo znakomitego rozwinięcia przemysłu, mianowicie fabrycznego w Belgii, od lat kilkunastu dopiéro Towarzystwa wzajemnéj pomocy w właściwém ich znaczeniu, upowszechniać się zaczęły. Istniały tam wszakże dawniéj i istnieją dotąd kassy wsparcia dla rzemieślników przy wielkich zakładach fabrycznych. Właściciele tych zakładów potrącają robotnikom na rzecz kassy część zarobków, i sami równą kwotę od siebie do tejże kassy składają. Fundusz zebrany służy na wsparcie dla robotników uległych kalectwu, chorobie lub dla wszystkich w razie zawieszenia robót, albo zniżenia stopy zarobków. Kassy te bywają zarządzane najczęściéj przez właścicieli zakładów. Najwięcéj są one upowszechnione w zakładach górniczych, tak licznych w Belgii. Rząd sam przyczynia się własnemi funduszami do uposażenia tych kass. Posiadają one obecnie do 2 milionów franków rocznego dochodu, a przeszło 80,000 uczestników.

Właściwe Towarzystwa wzajemnéj pomocy, zaczęły się mnożyć głównie od r. 1848, a prawo w r. 1851 wydane utrwaliło ich byt, nadało im prerogatywy i zakreśliło ich granice.

Dla lepszego objaśnienia prawo to w całości umieszczamy.

Art. 1. Towarzystwa wzajemnéj pomocy, których celem jest zapewnić pomoc czasową, bądź członkom swoim w przypadku choroby, kalectwa i długiéj niemocy, bądź wdowom i rodzinom po nich pozostałym, ponosić koszta pogrzebu, ułatwiać członkom za pomocą zebranych oszczędności nabywanie sprzętów, żywności lub zaspokajanie in-

nych potrzeb; będą mogły być *uznane (reconnues)* przez rząd, skoro dopełnią warunków niżéj wymienionych. W żadnym razie towarzystwa te nie będą mogły zapewnić pensyj dożywotnich.

Art. 2. Towarzystwa wzajemnéj pomocy, które będą chciały być przez rząd *uznanemi*, złożą egzemplarz projektu statutów władzy gminnéj tego miejsca, w którém się zawiązują. Władza ta prześle wciągu miesiąca, projekt ten wraz ze swemi uwagami, deputacyi nieustającéj rady prowincyonalnéj, która o ich przyjęciu postanowi, zastrzegając uzyskanie zatwierdzenia rządowego.

Art. 3. Towarzystwa wzajemnéj pomocy *uznane* przez rząd, będą miały następujące prerogatywy:

a. Mogą stawać przed sądem, i praw swoich bronić przez wybrane osoby; jeżeli jednak sprawa przechodzić będzie kompentencyą sędziego pokoju, uzyskać muszą poprzednio upoważnienie od delegacyi rady nieustającéj prowincyonalnéj: służyć im będzie jednak możność odwołania się do króla, w razie odmowy upoważnienia. Będą mogły otrzymać uwolnienie od kosztów procedury, jeżeli zastosują się do postanowienia królewskiego, na mocy artykułu szóstego wydaném być mającego.

b. Wszystkie akta w imieniu, lub na korzyść towarzystw sporządzane, wolne będą od kosztów stempla i wpisu. Będą również wydawane darmo i uwolnione od powyższych opłat, wszystkie świadectwa, akta, plenipotencye, odwołania i inne, które towarzysze w charakterze członków towarzystwa czynić będą.

c. Mogą przyjmować zapisy i dary przedmiotów ruchomych, pod warunkiem zadość uczynienia formalnościom przepisanym § 3 artykułu 76 prawa gminnego.

Art. 4. Każda osoba 18 lat wieku mająca, może należeć do Towarzystwa wzajemnéj pomocy przez rząd uznanego, zaciągać w niém zobowiązanie i wykonywać prawa towarzyszom służące.

Małoletni 15 lat mający, przyjętym być może za zezwoleniem ojca lub opiekuna. Upoważnienie ojca lub opiekuna zrobione ma być na piśmie, lub ustnie, przed delegowanym członkiem zarządu towarzystwa, w obecności 2ch

świadków, którzy z delegowanym protokół téj czynności podpiszą.

Art. 5. Kobieta zamężna może za upoważnieniem męża, należeć do Towarzystwa wzajemnéj pomocy przez rząd uznanego.

Gdyby mąż upoważnienia dać nie chciał, sędzia pokoju po wysłuchaniu stron, może upoważnić żonę, może to też uczynić wrazie nieobecności męża, lub jeżeli on nie jest w stanie objawić legalnie swą wolę.

Art. 6. Postanowienia królewskie oznaczą:

a. Warunki i rękojmie, pod jakiemi zatwierdzenie statutów Towarzystwa wzajemnéj pomocy, udzielaném będzie.

b. Warunki, pod któremi towarzystwa te będą mogły bronić się przed sądem bezpłatnie.

c. Powody, które sprawić mogą odwołanie aktu zatwierdzenia.

d. Formalności i warunki rozwiązania towarzystw i likwidacyi funduszów.

e. Użycie funduszów pozostałych w razie odwołania lub rozwiązania towarzystwa, zawsze jednak fundusze te będą przyznane towarzystwom tego samego rodzaju, a gdyby ich nie było, biórom dobroczynności. W ostatnim razie rząd będzie mógł położyć warunek zwrotu funduszu Towarzystwom wzajemnéj pomocy, które w przeciągu lat pięciu w tejże saméj gminie zawiązywane będą.

Art. 7. Członkowie towarzystw, którzyby wykroczyli przeciw postanowieniom królewskim, wydanym na mocy § 3, 4 i 5 powyższego artykułu, ulegną karom oznaczonym art. 1 prawa z 6 marca 1818 r.

Art. 8. Burmistrz albo delegowany członek rady gminnéj będzie mógł zawsze obecnym być na posiedzeniach towarzystw *uznanych.*

Art. 9. W ciągu dwóch piérwszych miesięcy każdego roku, Towarzystwa wzajemnéj pomocy, *uznane* przez rząd, złożą administracyi téj gminy, w któréj się znajdują, rachunek wpływów i wydatków rocznych, według wzoru przez rząd przepisanego. Udzielać będą wszelkich objaśnień przez rząd wymaganych, dotyczących obrotu funduszów towarzystwa.

Art. 10. (przechodni).

Postanowienia organiczne wydać się mające na mocy art. 6 niniejszego prawa, przedstawione zostaną do zatwierdzenia izbom najpóźniéj w ciągu posiedzeń r. 1854.

w Bruxelli, dnia 3 kwietnia 1851.

Leopold.

Wkrótce potém, postanowieniem królewskiém utworzoną została kommissya nieustająca, zajmować się mająca zastosowaniem prawa powyższego; jéj téż poruczoném zostało ułożenie przepisów organicznych artykułem 6 przewidzianych. Kommissya ta złożoną została, témże postanowieniem, z osób światłych i dobrem klass uboższych oddawna się zajmujących. Raport téj kommissyi w pierwszym zaraz roku ministrowi złożony, zawiera bardzo nauczające uwagi nad środkami upowszechnienia i rozwinięcia Towarzystw wzajemnej pomocy.

Według raportu z r. 1859 znajdowało się w Belgii Towarzystw wzajemnéj pomocy uznanych 27, członków 5118, a dochód roczny wynosił 93,100 franków. Oprócz tego znajduje się w Belgii wiele towarzystw nieuznanych, ale ich liczba nie jest dokładnie wiadomą.

PRUSY.

Według opinii D^ra^ Lette zamieszczonéj w interesującym obrazie stanu robotników ubogich w Prusach, przedstawionym kongresowi dobroczynnemu w Frankfurcie w r. 1857(1), myśl zakładania Towarzystw wzajemnéj pomocy powstała tam dopiero w r. 1844, gdy po przemysłowéj wystawie niemieckiéj w tymże roku w Berlinie odbytéj, związało się tamże Towarzystwo centralne dla dobra robotników *(Central-Verein für das Wohl der arbeitenden Classen)* którego tenże Dr. Lette jest prezesem.

Mało jest już dzisiaj, powiada on w ogólnych wyrazach, możniejszych zakładów fabrycznych lub górniczych, któreby nie miały kass wzajemnego wsparcia dla robotników chorych i starców.

(1) *Über den Zustand der Arbeiter und der armen Bevölkerung im Preussischen Staate.*

Szczególniéj obfitują w nie prowincye nadreńskie, w których postęp fabrycznego i górniczego przemysłu najwięcéj się rozwinął, oraz miasto Berlin. Opieka rządu nad temi towarzystwami zapewnioną została prawami z d. 9 lutego 1849 r. i z d. 3 kwietnia 1854 r., mocą których kassy wsparcia w chorobie, po śmierci lub w innych nadzwyczajnych wypadkach, mogą być po gminach zakładane, a nawet gdyby samodzielnie zawiązać się nie mogły, rząd po wysłuchaniu opinii władzy gminnéj i miejscowych rzemieślników, instytucye podobne sam zawiązać jest mocen. Kassy, których statuta uzyskają rządowe pozwolenie i zatwierdzenie, mają sobie przyznane prawo osób cywilnych. Prawa wyżéj przytoczone obowiązują nadto właścicieli fabryk do płacenia na rzecz kass wsparcia, połowy składek przez robotników wnoszonych. Rozporządzenie to odejmuje tym kassom charakter instytucyj samodzielnych, jakiemi Towarzystwa wzajemnéj pomocy być powinny, i wskazuje, że idea stowarzyszenia samodzielnego robotników, mało dotąd w tym kraju jest rozwiniętą. Tę samą uwagę potwierdza organizacya kass dla chorych rzemieślników w Berlinie *(Kranken-Kasse)*, mocą któréj wszyscy w Berlinie zamieszkali czeladnicy i robotnicy fabryczni, obowiązani są pewne składki statutami określone, wnosić do kass powyższych, za co pomoc lekarską, bądź w pomieszkaniach, bądź w szpitalach darmo otrzymują. Właściciele fabryk także do utrzymania kass powyższych, przez pewne oznaczone opłaty są obowiązani.

Rozporządzenia podobne, jakkolwiek zbawienne być mogą, odejmują tym kassom charakter wolnych towarzystw, a tém samém nie zapewniają owych moralnych skutków, o których we wstępie wspomnieliśmy.

Natomiast znajdują się w Prusach liczne stowarzyszenia, mające na celu albo ułatwienie kredytu ubogim rzemieślnikom, albo zakupywanie wspólne tańszym kosztem bądź materyałów surowych, bądź przedmiotów do życia potrzebnych. Stowarzyszenia podobne *(Vorschuss-Vereine)* związywać się poczęły głównie w latach 1848 i 1849, i mają tak wyraźny charakter Towarzystw wzajemnéj pomocy, że obszerniejsza o nich wzmianka zdaje nam się

być tu potrzebną. Stowarzyszenia te, których p. Schulze-Delitsch jest gorliwym propagatorem, złożone są z członków rzeczywistych i z członków honorowych. Jedni i drudzy składają małą opłatę wstępną, i wnoszą co miesiąc pewną, także nader małą składkę. Skoro zbierze się liczba dostateczna członków, zawiązuje się między nimi towarzystwo, prostym aktem urzędowym. Członkowie obowiązują się tym aktem do solidarnego zabezpieczenia zwrotu pożyczek przez towarzystwo zaciąganych; korzystać z pożyczki może tylko członek stowarzyszenia. Towarzystwo opierając się na solidarném poręczeniu wszystkich członków, ma kredyt przystępny i pod dogodnemi warunkami. Otrzymane pieniądze pożycza swym członkom po wyższym nieco procencie, który jednak jest daleko niższy od tego, jaki pojedynczy rzemieślnik kredytu potrzebujący opłacić jest zmuszony, jeżeli jeszcze jest tak szczęśliwy, że pieniędzy dostać może. Na wysokość udzielanych przez towarzystwo pożyczek wpływa przeważnie moralny charakter czyli osobisty kredyt członka pożyczki żądającego. Dochód z przewyżki procentu obracany jest na utworzenie funduszu rezerwowego i na powiększenie kapitału obrotowego. Tym sposobem towarzystwo przychodzi powoli do własnego kapitału, którego na udzielenie pożyczek używa. Wtedy członkowie stają się uczestnikami spółki, czyli spólnikami bankowemi. Peryod ten zwykle w 6 lub 7 latach bywa osiągany. Ten sam jest sposób postępowania stowarzyszeń mających na celu zakupywanie materyałów surowych lub narzędzi rzemieślniczych. Doświadczenie przekonało, że towarzystwo o 40 do 50 procentu taniéj przedmioty te nabywa i z małym zyskiem je przedaje spólnikom, którzy mogą tym sposobem utrzymać konkurencyą, z większemi fabrycznemi lub rękodzielnemi zakładami. Według p. Schulze-Delitsch, było już 1859 r. w Niemczech 118 podobnych kredytowych stowarzyszeń, a te wszystkie w ciągu niespełna lat dziesięciu powstały. W 45 towarzystwach bliżéj mu znanych, było członków 10,000, wypożyczyły one w ciągu roku 1858 talarów 2,086,036, a czysty dochód wynosił 104,094 talarów.

III.

O zawiązywaniu Towarzystw wzajemnéj pomocy w kraju naszym.

W Królestwie Polskiém, jak również i w innych częściach Polski, nie istnieją jeszcze, o ile mi wiadomo, Towarzystwa wzajemnéj pomocy. Cechy i korporacye rzemieślnicze dotąd *de facto* istniejące, trzymają poniekąd ich miejsce między rzemieślnikami.

W Warszawie cechy płacą koszta kuracyi w szpitalu za czeladnika do cechu wpisanego, majster zaś ponosi a przynajmniéj ponosić winien, też koszta za ucznia, który u niego pracuje. Leczenie rzemieślnika w jego własném mieszkaniu kosztem cechu, nie jest we zwyczaju. Tak urządzona pomoc lekarska, jakkolwiek bardzo chwalebna, nie ma charakteru Towarzystwa wzajemnéj pomocy. Brak tu wolnéj woli rzemieślnika, który może chcieć lub nie chcieć należéć do towarzystwa, brak tego osobistego pielęgnowania chorego przez współtowarzyszów w własném jego mieszkaniu, brak swobodnego wyboru przez towarzystwo członków do niego należéć pragnących.

Powiedzieliśmy wyżéj, że korporacye rzemieślnicze są to urządzenia minionéj epoki, w owym czasie nader potrzebne, ale które zasadom dzisiejszego społeczeństwa nie odpowiadają; wspomnieliśmy, że ich rozwiązanie dało popęd do zawiązywania Towarzystw wzajemnéj pomocy i innych między rzemieślnikami. I u nas także w miarę jak resztki urządzeń korporacyjnych znikać będą, towarzystwa te zawiązywać się zaczną. Mniemamy, że pora téj przemiany nadeszła. Zreorganizowanie władzy municypalnéj w stolicy i innych miastach, powołanie do niéj przez wolny wybór, obywateli powszechném otoczonych zaufaniem, spodziewać się każą szybkiego na téj drodze postępu.

Gdy w innych krajach Towarzystwa wzajemnéj pomocy zawiązywać się najprzód zaczęły między rzemieślnikami i robotnikami fabrycznemi, u nas pierwsze objawy podobnych instytucyj spotykają się w klassie najwyżéj

ukształconéj. Znane nam są dotąd trzy instytucye podobne, wciągu lat ostatnich zawiązane, o których tu wspomnieć winniśmy, temi są:

a) Kassa wsparcia podupadłych lekarzy, wdów i sierot biednych, po lekarzach pozostałych.

b) Kassa wsparcia podupadłych farmaceutów, i

c) Towarzystwo wsparcia podupadłych artystów muzyki.

Pierwsza z tych instytucyj, jakkolwiek nosi pewne cechy Towarzystwom wzajemnéj pomocy wspólne, ponieważ jednak ma na celu wspieranie podupadłych lekarzy oraz ich wdów i sierot, bez względu czyli byli lub nie członkami kassy (1), jest więc ona istotnie tém tylko, czém ją szanowni jéj założyciele mieć chcieli, tojest: kassą wsparcia dla osób, które w pełném poświęcenia zawodzie lekarskim siły stargawszy, losu swego i rodzin swoich zabezpieczyć nie zdołali: czyli piękną bardzo i wszelkiéj pochwały godną instytucyą dobroczynną, ale nie jest *stowarzyszeniem wzajemném.*

Taż sama uwaga stosuje się do Kassy wsparcia farmaceutów, na wzór poprzedniéj utworzonéj, z tą jeszcze różnicą, że przeważny udział władzy rządowéj w zarządzeniu interesami téj kassy, odejmuje jéj charakter wolnego i odpowiedzialnego stowarzyszenia.

Natomiast Towarzystwo wsparcia artystów muzyki, ma wszelkie warunki Towarzystw wzajemnéj pomocy. Złożone z artystów i amatorów muzyki, zapewnia ono wsparcie dożywotnie lub czasowe wrazie choroby lub kalectwa, tylko uczestnikom towarzystwa. Przyjęcie na uczestnika towarzystwa od komitetu zależy, i zastrzeżone jest warunkami dobrego zdrowia i prowadzenia się przyzwoitego. Opłaty wpisowego i miesięcznych stałych składek, są pod względem wysokości podzielone na trzy klassy, od których zależy wysokość wsparcia obiecanego. Członek towarzystwa opłaty nie wnoszący, lub źle prowa-

(1) Artykuł 8 ustawy powiada: „Składka sama przez się nie daje prawa do żadnéj pensyi, i tylko przy równych zkądinąd okolicznościach, osoby wnoszące składkę, lub ich pozostałe rodziny, mieć będą pierwszeństwo do wsparcia."

dzący się, winien być z towarzystwa wykreślony przez postanowienie ogólnego zebrania. Zarząd towarzystwa powierzony jest komitetowi, przez zebranie ogólne wybranemu. Są więc tu wszystkie warunki zwykłych Towarzystw wzajemnéj pomocy.

Zastanawia tylko w ustawie tegoż towarzystwa wysokość zapewnionych pensyj, nieodpowiadająca wysokości składek przez uczestników wnoszonych. Składki te bowiem podzielone na trzy klassy, wynoszą złp. 1, 2, lub 3 miesięcznie, wsparcie zaś roczne wynosi złp. 180, 300, lub 420, stosownie do tego, czy uczestnik składkę 1, 2, lub 3 klassy uiszcza. Nadto artykuł 11 ustawy daje prawo do pensyi każdemu uczestnikowi, który od dwudziestu lat do towarzystwa należy, i ma jeżeli jest mężczyzną 50, a jeżeli kobietą 40 lat wieku; pensye także obiecane są wdowom i sierotom, w połowie lub całości, stosownie do warunków ustawą przewidzianych. Nie wiemy, na jakim rachunku opierają się obietnice tych pensyj; jeżeli jednak przypomnimy sobie, że organizacya funduszu dożywotniego dla Towarzystw wzajemnéj pomocy we Francyi, nie pozwala zapewniać pensyj dożywotnich, przenoszących składki roczne przez 10 rozmnożone, pomimo znakomitéj pomocy, jakie fundusz ten ze składek od członków honorowych i z uposażenia rządu utrzymuje, mamy powód do obawy, czy Towarzystwo artystów muzyki zbyt szczodrém w obietnicach swych nie było. Nie znamy wprawdzie funduszów stałych towarzystwa, ani kapitałów jakie posiadać może z daru osób dobroczynnych. Uwagi przeto nasze raczéj ze strony teoryi, niż ze strony praktyki uczyniliśmy.

Wszystkie te trzy instytucye potwierdzone są przez Komissyą spraw wewnętrznych.

Urządzenia krajowe nic o Towarzystwach wzajemnéj pomocy, a więc i o warunkach przez rząd od nich wymaganych, nie wspominają. Zostają one przeto pod ogólnym przepisem prawa o stowarzyszeniach, które w artykule 338 *Kodeksu kar głównych* i *poprawczych* zabrania zawiązywania jakichbądź towarzystw bez wiedzy i pozwolenia rządu. Nie jest nawet do życzenia, aby rząd Królestwa dziś już warunki, pod jakiemi Towarzystwa wzajem-

nėj pomocy zatwierdzane być mogą, z góry przepisywał, skoro towarzystwa te dotąd wcale nie istnieją. Instytucye podobne w każdym kraju odpowiednio do ducha narodu i potrzeb jego społecznych, formują się i wykształcają. Przepisy rządowe określać winny ich prawa i obowiązki, tylko ze stanowiska dobra ogólnego. Określenie to zatém wtedy dopiero trafném będzie, skoro charakter tych instytucyj i ich główne cechy widocznie się objawią.

Ponieważ zachęcenie do zawiązywania Towarzystw wzajemnéj pomocy głównym jest tego artykułu celem, sądzimy przeto, że kilka uwag nad środkami do tego zmierzającemi właściwie ono zakończy.

Jakkolwiek Towarzystwa wzajemnéj pomocy są instytucyami wolną wolą uczestników swych utworzonemi, nie idzie jednak zatém, aby inicyatywa téj myśli nie miała być podaną klassie uboższéj i mniéj wykształconéj, przez oświeceńszą i zamożniejszą.

Co więcéj, dobra organizacya i dobry zarząd interesami towarzystw zależy od wielu warunków, które znać dokładnie potrzeba; ztąd w kraju, w którym instytucye te są jeszcze nieznane, płynie konieczność opiekowania się powstającemi towarzystwami, oświecania ich dobrą radą przez osoby bliżéj przedmiot ten znające.

We Francyi i w Anglii zawiązywały i rozwijały się piérwsze towarzystwa, pod sterem i opieką najczęściéj towarzystw dobroczynnych lub innych specyalnie w tym celu zawiązanych. Przykład ten i nam za wzór służyćby powinien, bo w przedmiotach tego rodzaju, lepiéj uczyć się od umiejętniejszych, korzystać z ich doświadczenia, aniżeli własnym kosztem doświadczenia nabywać.

Towarzystwo filantropijne paryzkie, założone jeszcze przez Ludwika XVI, najpiérwsze zajęło się wyszukiwaniem Towarzystw wzajemnéj pomocy już istniejących i ich upowszechnianiem. Do r. 1847, mówi p. Laurent, tojest do czasu, w którym w obec dokonanych postępów, uznało ono swą missyę za skończoną, było ono główną centralną agencyą dla towarzystw paryzkich, i te udawały się do niego po pomoc i radę. Towarzystwo filantropijne najrozmaitszych używało środków, aby zachęcić do zawiązywania Towarzystw wzajemnéj pomocy. Udzielało ma-

łe zasiłki pieniężne towarzystwom więcéj jak 60 członków liczącym, oznaki honorowe tym, które się najlepiéj rządziły, przyjmowało na swój koszt zapłatę lekarzy radę członkom towarzystwa udzielającym, wydawało mnóstwo popularnych pisemek z mechanizmem organizacyi, towarzystw oznajmiających, oraz coroczne sprawozdania z czynności wszystkich towarzystw pod jego opieką zostających. Adwokaci paryzcy, przez toż towarzystwo zachęceni, ofiarowali się udzielać bezpłatnie rady w sprawach towarzystw, i rozstrzygać kwestye sporne między członkami a zarządem w sposobie kompromissów.

Równie ważne dla upowszechnienia Towarzystw wzajemnéj pomocy, oddało usługi Towarzystwo dobroczynności w Marsylii. Działanie swoje rozpoczęło od tego, iż utworzyło w swém łonie wydział osobny pod tytułem Rady wyższéj, którego zadaniem było zawiązywać, organizować Towarzystwa wzajemnéj pomocy w Marsylii, i stosunki między niemi utrzymywać. Lecz w r. 1841 Rada wyższa oddzieliła się od Towarzystwa dobroczynności, i od téj chwili samodzielniéj działając, największe zasługi w upowszechnianiu i organizowaniu towarzystw położyła. Sposób jéj działania na szczególną zasługuje wzmiankę, ponieważ, zdaniem naszém, najskuteczniéj u nas zastosowaném być może.

Rada wyższa Towarzystw wzajemnéj pomocy, zawiązawszy się w osobne towarzystwo, położyła sobie za cel organizowanie i instalowanie nowych towarzystw, sprawdzanie ich rachunków, interpretacyą ustaw i regulaminów, rozstrzyganie sporów w łonie towarzystw zajść mogących, nakoniec połączenie towarzystw pod jéj nadzorem będących węzłami wzajemnych stosunków, któreby ułatwiały każdemu z nich wprowadzanie zmian i ulepszeń w innych dokonanych. W tym celu wszystkie towarzystwa pod opieką Rady wyższej będące, otrzymały wspólny regulamin. Jednym z jego warunków jest uznanie ze strony towarzystw Rady wyższéj jako władzy sądzącéj spory między członkami a zarządem towarzystw zachodzące. Wyroki Rady są ostateczne i nie pociągają żadnych kosztów. Na mocy tegoż regulaminu ogólne zebranie każdego towarzystwa wybiera członków zarządu,

ci zaś obierają kassyera towarzystwa. Układ ten jest bardzo słuszny: ponieważ bowiem członkowie zarządu są solidarnie odpowiedzialni za całość funduszów towarzystwa, powinni zatém mieć prawo wybrania osoby, któréj fundusze powierzają. Rada corocznie sprawdza i zatwierdza rachunki towarzystwa. Do składu Rady należy dwóch członków każdego towarzystwa, tojest prezydujący w niém obecnie i jego poprzednik, który przybiera wówczas tytuł syndyka i jest naturalnym w Radzie obrońcą stowarzyszonych w kwestyach spornych z zarządem. Pod wpływem tego urządzenia, Rada wyższa zawiązała od początku swego istnienia, tojest od r. 1821 do 1858. 117 nowych towarzystw, a razem z dawniéj zawiązanemi kieruje ona sprawami 147 towarzystw w Marsylii.

Podobnym postępując torem rozmaite stowarzyszenia w innych miastach i prowincyach Francyi, przyczyniają się do zawiązywania i kierowania sprawami Towarzystw wzajemnéj pomocy.

O ile nam wiadomo, Warszawskie Towarzystwo dobroczynności, powzięło już myśl zawiązywania Towarzystw wzajemnéj pomocy i stosowny wniosek o upoważnienie siebie do téj czynności rządowi podało.

Krok ten zewszech miar pochwały godny, pomnoży tak liczne już dla dobra ubogich mieszkańców Warszawy zasługi tego Towarzystwa. Spodziewamy się jednak, że tak jak z Towarzystwa dobroczynnego Marsylii, wyłoniło się osobne stowarzyszenie czuwające i opiekujące się Towarzystwami wzajemnéj pomocy, tak też i w Warszawie utworzy się stosowne w tym celu stowarzyszenie, które już dlatego samego skuteczniéj działać będzie mogło, że nie będzie częścią Towarzystwa dobroczynnego. Towarzystwa bowiem wzajemnéj pomocy potrzeba, ile możności, od instytucyj ściśle dobroczynnych odróżniać. Zawiązanie osobnego stowarzyszenia lub przynajmniéj utworzenia w łonie Towarzystwa dobroczynności osobnego wydziału zajmującego się specyalnie kierowaniem Towarzystwami wzajemnéj pomocy pod jego wpływem zawiązanemi, uważam za środek najskuteczniéj wpłynąć mogący na upowszechnienie tych instytucyj, dobrą ich organizacyą i dobre onemi zarządzanie.

Działanie wydziału trzy główne miećby powinno kierunki: zachęcać do zawiązywania Towarzystw wzajemnéj pomocy, pomagać do ułożenia ustawy, nakoniec dla zawiązanych pod jego wpływem towarzystw być radą opiekuńczą i kontrolującą a oraz sądem sporów w łonie towarzystw powstać mogących.

Główne warunki dobréj organizacyi Towarzystw wzajemnéj pomocy, które przy układaniu ustawy mieć trzeba na uwadze, są następujące:

1. Towarzystwa unikać powinny wszelkich operacyj losowych, które zmieniłyby zupełnie ich naturę.

2. Towarzystwa zawiązujące się w jednéj miejscowości powinny mieć centralną opiekuńczą władzę, któréj obowiązkiem byłoby rozpatrywać i zatwierdzać ustawy, kontrolować rachunki, ułatwiać lokacye funduszów, sprawdzać i poprawiać tablice śmiertelności i chorobliwości, sądzić ostatecznie spory między towarzystwami, lub między członkami towarzystw a ich administratorami zachodzące.

3. Do składu towarzystw mogą należeć mężczyzni i kobiéty; jest jednak bardzo do życzenia, aby żony wraz ze swemi mężami do towarzystw należały. Ponieważ jednak zarobek kobiét bywa mniejszy, ztąd stopa składek dla nich osobno ustanowioną być powinna i wsparcie w chorobie lub starości do wysokości składek zastosowane. Kobiéty w zarządzie towarzystw żadnego udziału mieć nie powiny (1).

4. Towarzystwo składać się może, albo z osób jednéj professyi lub rzemiosła, albo z osób różnych professyj. Przeważająca jest liczba takich towarzystw, które są za-

(1) Długi czas było to kwestyą sporną czy kobiéty do Towarzystw wzajemnéj pomocy należeć mogą lub nie. Kwestya ta jednak stanowczo na korzyść przyjmowania kobiét jest roztrzygniętą, z tém jednak zastrzeżeniem, aby ani udziału w zarządzie, ani głosu na zebraniach ogólnych nie miały. Niektórzy poważni autorowie, tę tylko radziby widzieć wprowadzoną reformę, aby kobiety zamężne wraz z mężami do towarzystw należały, a kobiéty nie zamężne osobne tworzyły towarzystwa, do których kilku mężczyzn w charakterze członków honorowych koniecznie należéćby powinno. Takie towarzystwa kobiéce już istnieją we Francyi z bardzo dobrém powodzeniem i moralnym wpływem.

wiązane między ludźmi jednego rzemiosła, lub rzemiosł sobie podobnych. Ma to za sobą tę dogodność, że osoby te znając się lepiéj, chętniéj też towarzystwa wzajemne między sobą zawiązują, a zawiązawszy, lepiéj wzajemnie się przestrzegają i w chorobie lub starości staranniéj pielęgnują. Ważnym także względem jest, że osoby jednego rzemiosła lub rzemiosł sobie podobnych, ulegają równym przypadłościom śmiertelności i choroby, a tém samém ustanowienie wysokości składki jednostajne dla wszystkich być może.

Towarzystwa, do których należą ludzie różnych professyj, zawiązują się zwykle między osobami lokalnie zbliżonemi, jako to: między mieszkańcami jednego miasteczka, cyrkułu i t. p. Jeżeli sposób życia i rodzaj pracy więcéj jedne osoby od drugich na choroby wystawia, lub większéj śmiertelności jest powodem, w takim razie obliczenie wysokości składek dla każdéj professyi odpowiednio stopniowi śmiertelności lub chorobliwości, osobno zrobione być powinno.

Niektóre towarzystwa zastrzegają wspólność wyznania religijnego między uczestnikami. Dzieje się to, gdy towarzystwo obierając na patrona swego, jednego ze świętych, obowiązuje się zarazem do niektórych wspólnych religijnych praktyk, co jest niezaprzeczenie silną towarzystw spójnią. U nas, gdzie tłem charakteru narodowego jest żywa wiara i religijność, gdzie każdy Polak, jakiegobądź wyznania, katolik, żyd lub protestant, religijnym obrządkiem wszystkie ważniejsze sprawy namaszcza i podnosi, sądzimy, że Towarzystwa wzajemnéj pomocy, wtedy lepiéj się rozwiną, i skuteczniéj na umoralnienie działać będą, skoro między wyznawcami jednéj wiary zawiązane, wzajemne o zapewnienie bytu doczesnego staranie, wzajemną i wspólną uświęcać będą modlitwą.

5. Wysokość składek powinna być stanowioną odpowiednio do stopy zarobków, a obiecane wsparcie ściśle do wysokości składek, oraz do przypadków choroby i do długości życia zastosowane. Ułudne obietnice, zbyt szczodry szafunek funduszów, są zgubą Towarzystw wzajemnéj pomocy, i ciężką krzywdę wyrządzają tym, którzy im zaufawszy, dla braku funduszów nabyte prawa utracają.

6. Jeżeli towarzystwo kilka rodzajów ubezpieczeń w sobie łączy, jako to, np.: zapewnienie wsparcia w chorobie, i zapewnienie pensyj dożywotnich, potrzeba, aby fundusz dla każdego ubezpieczenia był oddzielny i osobną stanowił kassę.

7. Wszelkie wsparcia miłosierne z funduszów towarzystwa, powinny być wzbronione. Każdy uczestnik otrzymać winien wsparcie jako rzecz z prawa mu należną, a nie jako dar dobroczynny.

8. Ustawa określać powinna, w jakich razach uczestnik wychodzący z towarzystwa, traci prawo do złożonego funduszu.

9. Zaprowadzenie zmian w ustawach towarzystwa, winno być określone warunkami zabezpieczającemi prawa nabyte stowarzyszonych.

10. Rozwiązanie towarzystwa nastąpić może tylko za zgodą znakomitéj większości uczestnikow, i w takim razie sposób likwidowania funduszów powinien być w ustawie przewidziany.

Oprócz tych główniejszych zasad organizacyi, które przy układaniu ustaw dla Towarzystw wzajemnéj pomocy, potrzeba mieć na uwadze, są jeszcze szczegóły wewnętrznego zarządu i prowadzenia instytucyi, które rada nadzorcza wskazywać i ich wykonania przestrzegać powinna. Dotyczą one sposobów lokowania funduszów, prowadzenia rachunkowości, urządzenia pomocy lekarskiéj, sprawdzenia istotnego stanu choroby i jéj przyczyn, nakoniec porządku obrad, który osobnym regulaminem określony być powinien.

Byt i postęp Towarzystw wzajemnéj pomocy, zależy od ścisłego i punktualnego wykonania tych szczegółów, od pilnego przestrzegania, aby formalności ustawami i regulaminem przepisane, ściśle wykonywane były.

Nie tajmy przed sobą, że w rzeczy tak u nas nowéj, piérwsze towarzystwa wiele trudności do przezwyciężenia mieć będą; ale pewni być możemy, że przy dobréj woli, wytrwałości i zawsze za niemi idącéj łasce Bożéj, instytucya ta rozwinie się i dobroczynne wyda owoce.

WYPRAWA GARIBALDEGO DO SYCYLII.

WSPOMNIENIA OSOBISTYCH WRAŻEŃ,

SPISANE PRZEZ

Maksyma Du Campa.

III.

KOSENZA I BAZYLIKAT.

I.

Żołnierze Garibaldego, albo raczéj, ażeby nie mówić tylko o tém, com widział na własne oczy, żołnierze brygady Ebera, dowiedziawszy się o kapitulacyi generała Kardarellego, niechętnie nowinę tę przyjęli. Pomimo ogromnego zmęczenia pragnęli oni przyjść do spotkania z nieprzyjacielem, a ten jak na złość cofając się wciąż, chwilę tę do nieskończoności odkładał; pozostało więc myśléć tylko o nabraniu sił do dalszych trudów: każdy téż jak mógł zabierał się do wypoczynku. Przez dwa dni naszego w Marcellinaryi pobytu, kwaterowaliśmy w pałacu barona San-Severino. Co do mnie, wyznaję, wypoczynek ten był wielce pożądanym, gdyż na samym wyjeździe z Majdy otrzymałem w nogę powyżéj kostki tak silne kopytem końskiém uderzenie, iż o mało z siodła wyrzucony nie zostałem. Z wielką tylko biedą mógłem w tym ostatnim marszu na koniu się utrzymać, tak mi noga spuchła i jakieś ciemne plamy na nią powystępowały. Położywszy

się w łóżko, dzięki staraniom pułkownika Ebera, przez 36 godzin mógłem cierpieniom moim pewną ulgę sprawić.

Łatwo tedy zrozumieć, dlaczego o Marcellinaryi żadnego czytelnikom opisu dać nie mogę; z otwartych okien mojego pokoju, widziałem tylko wierzchołki drzew figowych, daléj w pewnéj odległości góry, a na jednéj najwyższéj z nich małe miasteczko Tiriolo, przedstawiające się w perspektywie, niby jakie starożytnéj Grecyi ruiny. Dom naszego gospodarza, wydał nam się być dostatnim i obszernym; wszystkie schody wykute były z pięknego zielonego marmuru, zbytek niesłychany we Francyi, lecz który tutaj nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, gdyż obfite tego kamienia pokłady w pobliżu się znajdowały. Wilcze i lisie skóry porozkładane na posadzkach zdawały się świadczyć, że w okolicach tego miasta nie braknie myśliwskiéj zwierzyny.

Pomimo braku ruchu i bezczynności, na jaką skazany zostałem, nie nudziłem się wcale. Gospodarz nasz okazywał nam pewną uprzejmość, dowodzącą, że starożytna tradycya gościnności zachowała się aż dotąd nienaruszoną w Kalabryi; oficerowie zaś głównego naszego sztabu, rzadko mnie samego zostawiali: byli to po większéj części sami Węgrzy. Z natury swojéj dzielni a zarazem pełni naiwnéj prostoty, ludzie ci wzbudzali dla siebie wielkie współczucie. Rozmowni, wytwornéj, eleganckiéj powierzchowności, odważni w boju, uprzejmi i mili w obejściu się, przedstawiali oni typ, jakiego napróżnobym szukał pomiędzy Francuzami. *Gentleman* ma w sobie coś zimnego i ostrego, postępowanie jego polega zawsze na pewnych konwencyjnych formach; *gentilhomme* znów należy do rasy zatraconéj dzisiaj zupełnie, a wspomnienia jakie po nim zostały, nadają mu w postępowaniu coś protektorskiego i służalczego, coś odważnego i niemoralnego zarazem. Madziarowie są czémś więcéj jak to wszystko: są to rycerze, są to heroiczne dzieci. Dla nich powiastki pełne nadzmysłowych widziadeł mają jeszcze urok nadzwyczajny; ażeby zdobyć pięknego konia, który im się zdaleka podoba, gotowi są rzucić się z szablą w ręku w sam środek nieprzyjacielskich szwadronów. Zamknięci przez lat dziesięć albo i więcéj w *carcere duro*,

o łaskę nigdy nie proszą, tak samo jak w boju, nigdy się nie cofają. Żyłem pomiędzy nimi, wiem, że są to ludzie zdolni do wielkich rzeczy, dowiedli już i dowiodą tego niezawodnie. Przypominali mi oni wciąż Nibelungów: „Panowie ci sławni urodzeniem, sławni czynami i ludzkiém obejściem, cudów waleczności w posiadłościach Atylli dokazywali". A ów portret Sigefrida z niemieckiéj epopei, czyż nie da się w zupełności zastósować do generała Turra: „Ten dzielny wojownik rzadko wypoczywa; od czasu jak dzierży oręż, nikt nie śmié mu ubliżyć; on tylko bitew szuka, a sława jego imienia rozlega się po najodleglejszych krańcach świata!" Ojczyznę swoją Węgrzy namiętnie kochają; głos ich miesza się i tłumi, kiedy wymawiają: *Magyar ország*, ziemia madziarska; jest ona dla nich rodzajem ziemskiego raju, z którego czasowo wygnani, powrócą wywalczywszy go sobie. O kraju swym rzadko mówią, podobni w tém do zrozpaczonych kochanków, co pod nieobecność najdroższéj istoty, imienia jéj nigdy nie wymawiają. W Katanzaro, Eber wyborny muzyk, improwizował sobie na fortepianie jakieś smutne melodye. Prosiłem go, ażeby mi zagrał marsza Rakoczego. Oblicze jego zwykle bardzo blade, zarumieniło się raptem: „O nie! odpowiedział z żywością. W Węgrzech zagram ci go tyle razy, wiele zechcesz, ale tutaj, nie mogę".

Legia węgierska wchodząca w skład naszéj brygady, którą pułkownik Eber słusznie mógł się chlubić, dzieliła się na piechotę i jazdę; obecnie z powodu zupełnego niedostatku koni, kawalerzyści ku wielkiemu swemu zmartwieniu, zmuszeni byli odbywać drogę skromnie na piechotę, ciągnąc po gęstéj kurzawie swoje długie pałasze. Położenie takie było dla nich nieznośne i upokarzające zarazem: „Czy też widziano kiedy huzarów chodzących piechotą"? mówili, spuszczając smutnie głowę i pokazując zniszczone swe obuwie. Narzekając i mrucząc ciągle, przybyli tak aż do Neapolu, gdzie nareszcie wielce upragnionych koni znaleźli podostatkiem. Pułkownik Eber mający zawsze dla nich w pogotowiu słowa pociechy i zachęty, podczas gdy z powodu marszów odbywanych pieszo rozpaczy się oddawali, jest człowiekiem mogącym

mieć lat około trzydziestu sześciu, lecz w rzeczach dotyczących wojskowości niezmiernie zdolnym. Aż dotąd o tyle zajmował się rzemiosłem wojennem, o ile amator zajmować się niém może; w Czarnogórzu był przy boku Omera paszy, w Krymie z Anglikami, podczas kampanii włoskiéj z Piemontczykami. Przy wzięciu Palermu tak dalece się odznaczył, że Garibaldi powierzył mu dowództwo brygady na jakiś czas opuszczonéj przez generała Turra. A jednak Nandor Ferdynand Eber właściwie był tylko z powołania pisarzem; lecz jak powiada przysłowie: „każdy Węgier rodzi się huzarem". Wiadomo, iż *Times* posiada wielu niepospolitych korrespondentów, których na wszystkie strony świata w widokach swéj redakcyi wysyła; otóż Eber był jednym z nich, i w takimto charakterze podróżując długo po rozmaitych krajach, stał się niejako kosmopolitą, biorąc czynny udział w powyżéj wymienionych kampaniach. Temperament jego chłodny, przystaje wielce do obyczajów angielskich, czasami nawet miewa pewne ataki splinu, które jednakże na wrodzoną łagodność i dobroć charakteru nie wywierają szkodliwego wpływu. Jego niezmierne wiadomości naukowe, powołają go kiedyś pewnie do odegrania wielkiéj roli w swéj ojczyźnie, skoro okoliczności dozwolą mu do niéj wrócić.

Łatwo zrozumieć, że wspomnienia téj kalabryjskiéj podróży, będą mi zawsze drogie; nic tak bowiem nie łączy ludzi z sobą, nic tak nie wpływa na złagodzenie obyczajów, nic tak nie ułatwia wzajemnego pomiędzy sobą pożycia, jak ta pewność, że się pracuje wspólnie dla godnéj i słusznéj sprawy, wolnéj od wszelkiego osobistego interesu. Podczas czterech miesięcy spędzonych w sztabie generała Turra, złożonego jednak z tylu różnorodnych żywiołów, jakoto: włoskiego, angielskiego, węgierskiego i francuzkiego, nie słyszałem ani jednéj sprzeczki, ani jednego słowa przykrego lub nieprzyzwoitego. Jeżeli trafiały się w armii Garibaldego pojedynki, przyczyną ich były zwykle osobiste powody. Jeden z nich okropny, stał się przyczyną śmierci człowieka; ten atoli, który padł, ażeby się już nigdy nie podnieść, słusznie ukaranym został za nikczemną i obelżywą potwarz.

Namawiano mnie do pozostania tak długo w Marcellinaryi, aż się wyleczę i potém dopiéro wziąwszy powóz pocztowy dogonić brygadę, ale za nic w świecie zdaleka od niespodziewanych wypadków, jakie mogły się nadarzyć, w tyle pozostać nie chciałem. O godzinie 1 po północy, dnia 1 września wstałem na odgłos rannéj pobudki. Z obandażowaną nogą wsiadłem na konia jak mógłem i ruszyliśmy w drogę. Nic przyjemniejszego nad maszerowanie nocną letnią porą; orzeźwiające powietrze chłodzi członki, jak wilgotny pocałunek; kurzawa zaś cięższa, mniéj skora do wzbijania się w gorę i tak dusząca podczas dziennego pochodu, zdaje się być zaspaną. Zwykle też idzie się znacznie prędzéj, a jeżeli do tego i muzyka zagra jakiego marsza budzącego w odległych gór szczelinach drzemiące echa, słucha się jéj z rozkoszą nadzwyczajną. Rozmowa mimowolnie toczy się cichym głosem, a najprostsze przedmioty przybierając pod płaszczem nocy fantastyczne i olbrzymie kształty, co chwila dziwném zdumieniem przejmują.

Raptowna zmiana w nawyknieniach codziennego trybu życia, nie ma w sobie nic takiego, coby przykrość sprawić mogła, bo człowiek z cudowną łatwością do wszystkiego przyzwyczaić się może; i tak: śniadanie spożywa się o godzinie 10 wieczorem, obiad o 7 z rana; w dzień się śpi a w nocy czuwa. Jest się tu pozbawionym tego wszystkiego, co w zwyczajnych warunkach ucywilizowanego bytu, pewną konieczność znośnéj egzystencyi stanowi; najczęściéj wypada sypiać pod gołém niebem na materacu ze świeżéj trawy usłaném, mając za poduszkę siodło, albo mantelzaczek jaki; jeżeli rzeka, przez którą wypadnie przechodzić, nie wyschła do szczętu pod kanikularnym wpływem gorąca, wtedy robi się tualeta: gdy ręcznika zbraknie, słońce go zastępuje. Maszerując w ten sposób, zjada się z apetytem kawał suchego chleba, okraszonego zerwaną z drzewa nad drogą rosnącego figą, śmiejąc się z dziur w odzieniu, z filozoficzną rezygnacyą, dozwalając się trapić istotom, których Boalo (Boileau) nazwał:

„Spokojności człowieka najzawziętszymi wrogami".

W takiém tedy życiu nudzić się nie ma kiedy, skarżyć nie ma o co! Jeżeli doświadcza się czasami jakiego żalu i tęsknoty, to z pewnością ani za dobrém i wygodném łóżkiem, ani za miękkim fotelem, ani za delikatnym i wykwintnym stołem.

Ach! podczas tego nocnego marszu, za niczém wzdychać nie mógłem, bo natura cudownie piękną była. Księżyc „ten wszechwładny w krainie głębokiéj melancholii mocarz" jak go Szekspir nazywa, tak silnie świecił, że gwiazdy przy nim gasły zupełnie; tylko Wenus nic na blasku swoim nie traciła i zdawała się mówić: „Patrzcie, oto ja, najpiękniejsza ze wszystkich!" Droga wężykiem wiła się wciąż po górach; w dwóch miejscach potrzeba było przejeżdżać przez wysokie arkadowe mosty wznoszące się na rzece Korace (Corace) płynącéj pośród mnóstwa głazów. Z brzaskiem dnia, rzędy gęsto rosnącego rozmarynu, tudzież aloesy wyskakujące kwiatem po nad swe szerokie liście, niby ulepione z wosku wodotryski, witały nas aromatycznym swym zapachem. W ogrodach obwiedzionych kamiennemi płotami i rozłożonych na pochyłościach wzgórz w kształcie amfiteatrów, ogromne drzewa figowe i morwowe, nadawały im jakiś majestatyczny urok. Zdaje się, że ta część Kalabryi pod względem rolniczéj kultury, wyżéj stoi od téj, którąśmy już przebyli; o świcie widzieć tu już można ludzi pracujących w polu, kopiących ziemię, opatrujących drzewa, zasilających wodą skierowaną rowkami z obfitych źródeł, spragnione od upału rośliny.

Na skręcie drogi, ukazało się wieńczące wyniosłą górę, różowe od słonecznych promieni miasto Katanzaro. Resztki starych fortyfikacyj, nieużytecznych dzisiaj a datujących IX wieku, gdzieniegdzie go jeszcze okalały. Na stroméj niezmiernie drodze prowadzącéj do Katanzary, gwardya obywatelska oczekująca na nas, sprezentowała broń łącząc się z nami. W ulicach ścisk i tłok nadzwyczajny; kobiety szalone z radości powiewały chustkami, błogosławiąc nasze przyjście; dzieci biegały na wszystkie strony, starcy zaś wznosząc drżące swe ręce do góry, wołali: „Nareszcie przybyliście do nas"! Musieliśmy po-

stępować noga za nogą, bo lud z takim zapałem cisnął się pod konie, że o wypadek było bardzo łatwo. Okrzyki na naszą cześć rozlegały się pod niebiosy, zdawało się, że jedna pierś je wydaje, że jedne ręce nam przyklaskują. Całe miasto było tu zgromadzone; serdeczne wzruszenie 15,000 ludzi w jeden harmonijny akord się złączyło. Nasza muzyka wystąpiła naprzód, grzmiąc najpiękniejsze swoje marsze. Te odgłosy radości, widok tego upojonego szczęściem tłumu, witającego z zapałem trudnym do opisania pierwszą chwilę upragnionéj wolności, wzruszyło mnie do głębi duszy i tak za serce ścisnęło, że łzy strumieniem potoczyły się z oczu moich. Zaprawdę, taką jakąś radością pierś ma wezbrała, tak źródło téj radości czyste i szlachetne było, że błogiéj téj chwili w życiu mojém nigdy nie zapomnę.

Nie wiele więcéj mogę powiedzieć o Katanzaro nad to, com powiedział o Marcellinaryi, bo i tutaj także zmuszony byłem leżeć w łożku. Jednakże na drugi dzień po naszém przybyciu, wsiadłem do powozu ażeby miasto objechać. Dwie rzeki, jedna Allia (Alli), druga Fiumarella, zlewają się razem u stóp góry, na któréj zbudowane jest Katanzaro. Szerokie i strome łożysko tych rzek, zdobią małe wysepki. Piękny szereg pagórków ciągnący się aż do samego morza i ginący dopiero przy jego brzegu, a gdzie niegdyś Annibal zmuszony do odwrotu przez Rzymian, obronny swój obóz wystawił, urozmaicają wdzięcznie ten krajobraz. Na pagórkach tych drzewa są bardzo rzadkie, lecz samo miasto otoczone jest oliwkami, morwami i rosnącemi w rzędy granatami, zwieszającemi owoce swe aż do ziemi. Niedaleko od łożyska Allii, wznosi się olbrzymi klasztor kapucynów, ozdobiony z frontu ogrodem bujnéj roślinności. Widok z niego na morze, na góry i część Kalabryi, musi być cudownie piękny. Już to przyznać potrzeba, że w ogólności klasztory, zakładane są zazwyczaj w miejscach odznaczających się wdzięcznem położeniem. Rzekłbyś, iż rozmyślanie nad sobą samym i nad niewyczerpaną miłością Boską, niedostatecznem jest na utrzymanie ludzi związanych wiecznemi śluby ciągłego osamotnienia; więc też dozwolono im oddawać się kontemplacyi nad wspaniałą i zawsze piękną naturą.

Żebraków jest tu moc wielka; siedzą oni na drodze pod drzewami i lamentując wyciągają dłonie. Niektórzy z tych nieszczęśliwych, oszpeceni są okropnie chorobą, którą tylko doktor Pangloss nazwać się ośmieli; na dwóch lub trzech ludziach, poznałem jednakże skutki przypadłości nazwanéj niegdyś elefantiazis. Obrzydliwa ta choroba, nie jest atoli tak rzadką w Kalabryi jakby sądzić można: w Majdzie, widziałem jéj wiele przykładów. Wieki średnie odbijające się jeszcze tutaj w licznych przesądach i zabobonach, reprezentowane są także przez swe azyatyckie słabości; jestem pewnym, iż w Monteleonie, poznałem biały trąd, na twarzy jakiegoś żebrzącego człowieka.

II.

Dnia 3 września, nad ranem, pułkownik Spangaro, Sandor Teleki i ja, odebraliśmy depeszę od generała Turra, w któréj nam rozkazał jak najspieszniéj z nim się połączyć. Oddano pod nasze rozporządzenie powóz zaprzężony dwoma końmi i udaliśmy się zaraz do Kosenzy w nadziei, że zastaniemy tam generała i wraz z nim przybędziemy do Salerny, bo jak wieści niosły, Franciszek Ilgi w własnéj osobie szykuje się tam na przyjęcie naszéj armii.

Droga była piękna i szeroka, lecz nierówna, to w górę, to na dół wciąż wiodąca. Tym sposobem przybyliśmy do Tiriolo; na jednéj ale dosyć dużéj w téj lichéj mieścinie ulicy, ujrzeliśmy wojska nasze rozłożone obozem i oczekujące na zachód słońca, ażeby zabrać się do marszu. Podczas gdym spożywał obiad składający się z filiżanki czarnéj kawy i kawałka suchego chleba, zbliża się do mnie jakiś młody żołnierz w zielonéj koszuli, w jaką odziani byli ludzie generała Mediciego. Był to Francuz, który dostawszy się do kompanii złożonéj z samych Włochów a nierozumiejący języka, chciał się z niéj wydobyć; dowiedziawszy się że jestem jego współziomkiem, żądał ażebym go zabrał z sobą, czego w żaden sposób uczynić nie mogłem, gdyż powóz nasz i tak już był przepełnionym. Burgundczyk, rodem z okolicy Montbaru, zdradzony od

kochanki, nudził się niezmiernie w własnym kraju, a rzemiosło uprawiacza winnic, jakiém się głównie zajmował, zbrzydło mu straszliwie. Rok temu, jako popisowy, ciągnął los i miał pójść na żołnierza, ale niemając wcale ochoty do stanu wojskowego, a przytém posiadając mały majątteczek, kupił sobie zastępcę. Wyczytawszy w gazetach o tém co się dzieje we Włoszech, odkrył w sobie niespodzianie przymioty stanowiące wojaka; wziąwszy tedy do kieszeni trochę talarków, porzucił wioskę niepożegnawszy się nawet z przyjaciołmi; przybył następnie do Genui i wstąpił w szeregi ochotników. Teraz znów przekonał się, iż stworzonym jest tylko na uprawiacza winnic, że wojna nie podoba mu się wcale i z pewnym rodzajem niespokojności pytał: „Czy ona potrwa jeszcze długo?" Reflektowałem go jak mogłem, ale szkoda było słów. „Czy pan myślisz, że to jest zabawne, mówił daléj, żyć z takim stekiem dzikich ludzi, którzy jednego nawet słowa nie rozumieją po francuzku; z ciężkim karabinem na plecach od rana do nocy spacerować wciąż pośród najogromniejszéj kurzawy, nie mogąc nawet wypić szklanki poczciwego wina, bo w tym psim kraju, wino jest tak tęgie jak u nas wódka!" Późniéj nieco, pod Kapuą, w głównéj kwaterze naczelnego wodza, spotkałem go znowu i oświadczyłem mu, że teraz chętnie zabiorę go z sobą. — „Ah! dziękuję panu, odpowiedział; cóż ja będę robić we Francyi, w kraju tak chłodnym, gdzie wino niezmiernie drogie, gdzie człowiek musi pracować jak koń, ażeby z głodu nie umarł? Tutaj, przynajmniéj wino jest tanie, a do tego pobiera się jeszcze płacę wystarczającą na jakietakie uprzyjemnienie życia; zresztą, Włosi są dobre chłopcy, nigdy jeszcze nie byłem tak jak teraz szczęśliwym!" O! Francuzie, o mój bracie! skłaniam głowę przed logicznością i konsekwentnością rozumu czterdziesto-milionowego narodu, do którego nam także zaszczyt należéć!

Opuściwszy Tiriolo, przejeżdżaliśmy czasami obok nagich pól, albo uprawionych gruntów; to znów świeży zapach leśnéj roślinności dochodził nas z ochładzającym wietrzykiem nocy. Spangaro opowiadał nam szczegóły swego życia; słuchaliśmy ich z zajęciem. On także służył jako oficer w wojsku austryackiém, lecz kiedy w roku

1848 Lombardia powstała, znalazł się w szeregach jéj obrońców. W roku następnym, znajdował się w Rzymie i w tedy dopiero opuścił sprawę narodową, gdy ta wyczerpała wszystkie ratunku swego środki. Więc udał się do Grecyi, gdzie na utrzymanie życia zmuszonym był ciężko około roli pracować; potém w Egipcie założył dom handlowy i tam mu się dobrze powodziło; ale na wiadomość ostatnich we Włoszech wypadków, porzucił wszystko, ażeby przyłożyć się czynnie do odbudowania drogiéj swojéj ojczyzny. Trudno sobie wyobrazić, jak wielkie mnóstwo wygnańców zaludniało Wschód w roku 1849 i 1850; na każdym kroku można było spotkać tych nieszczęśliwych, trapionych smutkiem, rozpaczą, lub zwątpieniem, a jużto miasta przepełnione nimi były. W Aleksandryi, potrzebowałem puszkarza, pokazano mi zaraz Włocha: pochodził on z Medyolanu i po wzięciu tego grodu przez Radeckiego, nie chciał w nim dłużéj zostawać i aż tutaj się osiedlił. W Kairze, uszkodziwszy przypadkiem trójnóg od maszyny fotograficznéj, dałem go do naprawy Włochowi rodem z Bergamo, który po bitwie pod Kurtatone będąc rannym, tutaj się przeniósł i tego rodzaju robotą się zajmował. Przy pierwszéj Nilowéj katarakcie, jakaś barka z naszą się zetknęła, siedział w niéj baron Anca, jeden z deputowanych sejmu palermitańskiego. W Bejrucie, zatrzymuje mię na ulicy człowiek, prosząc ażebym mu dostarczył funduszu na udanie się do Jerozolimy: był to wenecyański oficer. Generał Guyon wjeżdżał do Damaszku w chwili gdym ja to miasto opuszczał. W Konstantynopolu, znalazłem mnóstwo Węgrów i Niemców, przyjmowanych gościnnie w téj stolicy państwa ottomańskiego. W Atenach, często bardzo zasiadałem do stołu z generałem Morandim, jednym z najwytrwalszych Wenecyi obrońców. W Beocyi, nawalne deszcze zmusiły mię do zatrzymania się na jakiś czas w osadzie Liwadyi; pewnego dnia, trzech ludzi zaczyna śpiewać pod memi oknami, proszę ich ażeby weszli do mieszkania. — „Zkąd jesteście? — Z Rzymu, gdzieśmy byli razem z Garibaldim.—Dokąd idziecie?—Aż do Aten, gdzie pragniemy znaleźć jaki kawałek chleba!" Wieleż to razy zdarzyło mi się spotkać tych pokornych bohatérów wielkiéj sprawy, którzy za nieograniczone swo-

je dla niéj poświęcenie, okropną i trudną do opisania nędzę cierpieli! Patrząc na nich, smutek rozdzierał serce; ale jakże godniejszym pożałowania był stan ich współrodaków, co zostali, ażeby być milczącymi świadkami upokorzenia ich ojczyzny! Podróżni, którzy zwiedzali Wenecyą po drugiém na nią najściu Austryaków, ze drżeniem tylko o tém wspominają.

Z pułkownikiem Spangaro zostawałem w najserdeczniejszych stosunkach przyjaźni; razem odbywaliśmy całą drogę, sypialiśmy pod jedném niebem, a rozmowa nasza mogła się przeciągać do nieskończoności, nie czując nigdy jéj utrudzenia. Złagodnym i miłym uśmiechem opowiadał on ciężkie wypadki swego życia i kiedym go pytał: „Jakim sposobem wycierpiawszy tyle, nie straciłeś nic na humorze?" odpowiedział mi: „Owszem, straciłem go zupełnie: przez długi czas byłem smutnym; lecz kiedy Italia poczęła kruszyć swe niewolnicze więzy, wrodzona méj młodości wesołość, powróciła znowu!" Przez ośmnaście lat żołnierskiego albo tułaczego życia, nie widział wcale matki swojéj; skoro poczuł się wolniejszym, pobiegł ją uściskać do Medyolanu. Zaledwie go poznać mogła. Co chwila, w dzień czy w nocy, biedna ta staruszka na palcach wchodziła raz wraz do jego pokoju. „Co chcesz, matko najdroższa?—Przyszłam się przekonać czyś ty naprawdę wrócił i czy nie porzuciłeś mię znowu." Jednakże opuścił ją wkrótce, ażeby wylądować w Marsalii i pod Kalatafimi bić się z taką zajadłością, że na tego ochotnika odzianego zawsze po cywilnemu, chociaż służył jako prosty żołnierz, zwrócono szczególną uwagę. Poznano wtedy, że tym walecznym i nieustraszonym żołnierzem, rzucającym się zawsze w bój najzaciętszy, był właśnie Spangaro; więc postawiono go zaraz na odpowiedniejszém jego przymiotom stanowisku. Jest to człowiek mogący posiadać lat około czterdziestu pięciu, wysokiego wzrostu, barczysty i silny nadzwyczajnie; uśmiechającą się zawsze piękną twarz jego, okala płowa broda; zdolności wojskowe posiada niepospolite, a w trudach kampanii, wytrwałym jest niezmiernie. Gdzie tylko niebezpieczeństwo, on tam piérwszym jest z pewnością. W bitwie nad Wulturną, gdzie dowodził brygadą, jeżeli nasze prawe skrzydło wyparte już przez Neapolitańczyków,

nie straciło zupełnie swéj pozycyi, bez wątpienia jemu to przypisać należy. Żołnierze kochają go nadzwyczajnie, a ponieważ każde słowo zaczyna zawsze od spójnika *Więc*, przezwali go tedy pułkownikiem *Dunque* (Więc).

Rozmawiając, czas nam prędko ubiegał i aniśmy się spostrzegli, jakeśmy przyjechali do Soweryi, zapełnionéj jaszczykami i armatami, które nam generał Ghio zostawił. Nasze biedne konie, nienawykłe do tak spiesznéj podróży, zapewne w celu rozrzewnienia nas, poczęły zwalniać kroku. Około północy stanęły zupełnie, oświadczając nam po swojemu, że daléj już nie pójdą. Coż było robić, chcąc nie chcąc, musieliśmy popasać. Siadłszy sobie przy jakimś strumyku, ludzie i konie, wzięliśmy się do posiłku. Potém, pod wielkim dębem położyliśmy się spać; strumyk szeptał jakąś piosnkę, gwiazdy mrugały na nas swemi złotemi oczkami, mięta zaś, oblewała nas świeżą mocną wonią.

O godzinie trzeciéj nad ranem, byliśmy już na nogach; założono konie i ruszyliśmy w drogę. Cóż to za kraj! na każdym kroku musisz podziwiać cudowną roślinność! Nigdy jeszcze starożytna Cybella nie wydała mi się tak płodną: zdaje się, że jedyném natury tutejszéj pragnieniem, jest rodzić i rodzić do nieskończoności. Żądajcie od niéj co tylko wam się podoba, ona zawsze jest gotową: zacząwszy od wspaniałych i pysznych owoców, aż do bogatych kruszców i marmurów, które chowa jeszcze w swém łonie, wszystko to rada jest oddać człowiekowi, byleby tylko raczył się schylić do niéj. Dzisiaj jeszcze, drugi Nelson mógłby pisać ten ustęp tak potępiający administracyą neapolitańską: „Mam przed oczami kraj najpiękniejszy na świecie, niewyczerpany w materyalne zasoby; a jednak z trudnością tylko są tu w stanie wystarczyć publicznym potrzebom (1)." Ziemia bogata, ludzie leniwi; ziemia uboga, ludzie pracowici:" przysłowie ma słuszność.

Mieliśmy nibyto powóz i dwa konie, ale w rzeczywistości jakbyśmy ich nie mieli, bo całą prawie drogę potrzeba było odbywać pieszo; biedne, ochwacone szkapy, zaledwie same wlec się mogły. Przebywszy rzeczkę Savu-

(1) Histoire de Nelson, d'après les depéches officielles, etc par E. D, Forgues.

to, wyschłą, jak wszystkie w téj porze roku, przybyliśmy piechotą do Rogliano, wyprzedzając powóz daleko w tyle za nami zostawiony. W mieście tém, znaleźliśmy pocztę a w stajni świeże konie. Dwóch pocztylionów w stroju ozdobionym mnóstwem wstążek, skoczyło na siodła i puściliśmy się w drogę jak strzała. Krajobraz zaczął się znowu zmieniać; drzewa rzadzéj się ukazywały, za to płaszczyzny coraz szerzéj się rozwijały. Zjeżdżaliśmy ciągle z góry po drodze w gzygzak wciąż prowadzącéj; wkrótce ujrzeliśmy gromadkę domków poprzedzonych niby okopami, nad któremi wznosił się mur, ale mocno popękany; były to szczątki fortyfikacyj zburzonych dwukrotném trzęsieniem ziemi w 1783 i 1854 r. Domki te, są właściwie przedmieściem Kosenzy, gdzie przybywszy, powiedziano nam, że generał Turr opuścił już to miasto wydawszy rozkaz, ażebyśmy starali się jak najrychléj z nim połączyć. Ale to nie było rzeczą tak łatwą, bo w żaden sposób nie mogliśmy dostać ani konia, ani muła nawet; więc należało zostać i czekać cierpliwie.

To co mówiłem o Majdzie, w zupełności możnaby powtórzyć o Kosenzy, gdyż pod względem brudu i nieczystości, dwa te miasta śmiało mogą z sobą rywalizować. W dodatku, ostatnie tak okropnemu uległo zniszczeniu podczas trzęsienia ziemi w 1854 r., że litość brała patrzeć na owe spękane i grożące lada chwila zawaleniem mury, pomimo podpór jakiemi zewsząd je otoczono. Kosenza zbudowana przy ujściu dwóch rzek: Baliento i Krati, rozciąga się szeroko po nad ich brzegami, wspinając pod górę leżącą za miastem, uliczkami w kształcie schodów bardzo wązkiemi i ciemnemi, z powodu znacznéj wysokości domów, z których okien tysiące nieczystości bez żadnéj uwagi na przechodnia mieszkańcy wyrzucają. Woda płynie tu obficie; na trzęsącym się drewnianym moście, żebracy rzędem ustawieni, męczą cię swemi płaczliwemi wrzaski; tuż zaraz pokazują miejsce, w którém jak tradycya niesie, Alarik pogrzebanym został w łożysku odwróconéj rzeki.

W dzień naszego przybycia, obchodzono w katedrze z wielką pompą nabożeństwo za spokój duszy braci Attilii i Emila Bandierów, bo zwłoki ich teraz dopiéro przenie-

siono na miejsce poświęcane. W roku 1848, kiedy południowi Włosi choć krótką chwilę mogli się cieszyć swobodą, wydobyto z ziemi ciała tych męczenników i wstawiono je z wielką okazałością do katedralnych sklepień; w rok później, jakiś neapolitański generał przywróciwszy nareszcie władzę Ferdynanda I^go^, rozkazał je ztamtąd wydobyć i poprostu wyrzucić na ulicę. Pobożne ręce zebrały tajemnie szczątki tych młodych patryotów i ukryły w pewném miejscu, a teraz na nowo ze czcią do kościoła przeniesione, spodziewać się należy, nie ulegną już żadnéj profanacyi. Historya o Bandierach jest już dosyć dawną, lecz wspomnienie o niéj jak w piérwszych dniach, zachowało się w pamięci wszystkich.

Kosenza ze swemi licznemi uliczkami i kilkopiętrowemi domami, dosyć jest ożywioną, jak przystoi na pierwszorzędne prowincyonalne miasto, w którém zresztą oprócz niezbędnych tylko potrzeb życia, nic innego zgoła dostać nie można; zgubiłem w drodze mappę Włoch, potrzeba mi było koniecznie drugiéj, wszędzie gdzie o nią się dopytywałem, dawano zawsze jednę odpowiedź: „w Neapolu może pan dostanie". Za to wizerunków świętych, obrazów przedstawiających piekło, czyściec i niebo, amuletów, szkaplerzy, różańców, relikwiarzy, medali poświęcanych lub mogących być poświęcanymi i t. p. rzeczy, jest tu moc niezmierna. Kosenza, to istna metropolia obrazo-chwalców. Dom, w ktorym stanęliśmy kwaterą, należał do jakiegoś możnego i dobrze myślącego, jak mówiono szlachcica; obawiając się nadużyć brygady Kardarellego, niepewny bezpieczeństwa własnéj osoby w obec zdemoralizowanego neapolitańskiego żołdactwa, ukrył się gdzieś w okolicy. Ściany tego domu, od podłogi aż do sufitu, zapełnione były niesłychaną ilością sztychów i litografij, przedstawiających wizerunki wszystkich świętych. Maleńkie jakieś obrazki poprzyczepiano do każdéj nogi od łóżka. Dlaczego? „Dla odegnania pcheł!" Taką nam dano odpowiedź gdyśmy się o to pytali. Pragnąłbym powiedzieć jak prezydent Brosses: „Zostawmy w pokoju te nędzne i niegodne świętéj religii naszéj zabobony tak wielce jéj ubliżające"; lecz trzeba wiedzieć, iż właśnie te

zabobony są istotną w tym kraju religią; przez nieto lud tutejszy pełen dzielności i wrodzonéj inteligencyi, popadł w pewien rodzaj trudnéj do uwierzenia moralnéj bezwładności; tutaj obrazek nie jest tylko odtworzeniem osoby świętéj, lecz jest świętością samą. Dotknąwszy go, popełnia się akt bezbożności. Wszelkie modły, ofiary, odnoszą się raczéj do obrazu, a nie do tego, co on przedstawia. W Neapolu, figura św. Januarego ma swój własny *dwór* składający się z regimentu posągów świętych, którzy jak powiadają, są od niego niżsi znaczeniem. W Rzymie, *bambino* (dzieciątko) *Ara Cœli*, posiada pieluszki z tak kosztownych i doborowych pereł, iż je szacują na kilka milionów; do tego ma jeszcze pyszny powóz galowy, w którym objeżdża chorych bez nadziei życia, przywracając im cudownie zdrowie, samą tylko obecnością swoją. Stara historya zbójców udających się po dokonaniu mordów i grabieży do figury *santissima madre* i składających jéj w ofierze jakąś część zdobyczy, jest istotnie prawdziwą. Dla większéj części Włochów a można powiedzieć dla wszystkich zamieszkujących prowincye południowe, obrazek jest Bogiem, do obrazka bowiem udają się z modlitwą, błagają albo obwiniają, lub przeklinają go. Umysły najświatlejsze nawet, dążące najgwałtowniéj za nowemi wyobrażeniami wieku, nie są w stanie otrząsnąć się zupełnie z téj tradycyjnéj spuścizny, przekazywanéj z ojca na syna, i podtrzymywanéj usilnie przez tych, którzy osobisty swój interes w tém mieć mogą. Na dowód przytoczę ciekawy przykład, jaki mnie samemu dosyć już dawno się przytrafił. Było to w miesiącu marcu 1851 roku; wracając z Peloponezu, wysiadłem na ląd we Włoszech, w małym porcie nazwanym Brindisi. Ażeby się dostać do Neapolu, nająłem powóz aż do Bari. Ztamtąd wraz z towarzyszem moim podróży, postanowiliśmy wziąć karetkę pocztową, w któréj zwykle na dwie osoby tylko na przodzie miejsca było. Jakiś młody człowiek zamówiwszy już przed nami jedno dla siebie miejsce, z wielką grzecznością odstąpił nam takowego, prosząc tylko, ażeby z nami mógł razem tę podróż odbyć. Oczywiście, chętnieśmy się na to zgodzili. Nadedniem, wsiadłszy we trzech do powozu, ruszyliśmy w drogę. Nieznajomy nasz

miał około lat dwódziestu dwóch; był on niepospolicie ukształconym, a chcąc przed nami popisać się ze znajomością francuzkiego języka, którym zresztą doskonale władał, nieustannie wciąż rozmawiał. Widać było, że czytał wiele i wiele też umiał. Marzył tylko o tém, ażeby być w Paryżu i obaczyć posąg Woltera. Recytował nam szumne wiersze zachęcające patryotów do wytrwałości, wzywające ich, ażeby z wygnania na ojczystą ziemię wracali i ażeby wzięli się ostro do króla neapolitańskiego, cesarza austryackiego i papieża. Jak łatwo się domyśleć, niewielkie tego rodzaju poezya na nas wrażenie uczynić mogła. Odpowiedzieliśmy na to, co nam odpowiedzieć wypadało i słuchaliśmy daléj tego młodego Brutusa deklamacyi. „Nam nie tyle idzie o wywrócenie monarchii, mówił, jak o zniszczenie przygniatającéj i ociemniającéj nas księżowskiéj władzy. Ludzi z odwagą nie braknie nam wcale, ale zbywa nam zupełnie na mężach genialnych, takich, jakimi byli Wolter, Russo i jakimi byli w ogólności encyklopedyści. Gdyby Włochy miały jak Francya, swój wiek XVIII, bylibyśmy stanęli jak wy, na czele ruchu cywilizacyi europejskiéj. Protestantyzm, co z najwyższych szczytów religijnych schodzi swobodnie w dziedzinę polityczną, mógłby nas jeszcze zbawić; lecz jakim sposobem zmusić naród do przyjęcia go, naród modlący się tylko nieustannie do starych spróchniałych wizerunków, służących wszystkim parafialnym myszom za bezpieczne schronienie? Patrzcie! oto wieśniak obok nas przechodzi! „Ach ty cielęca głowo, zawołał wychylając się cały prawie z powozu, co tam robisz głupcze przeklęty? Dlaczego kłaniasz się przed tą figurą? Wszak to kawał malowanego płótna, jeżeli tego nie widzisz, toś chyba od wołów twoich ciemniejszy!" W ten sposób długo jeszcze on rozprawiał; tymczasem słońce dobrze już przypiekać zaczęło. Filozof nasz, chciał zdjąć swoje palto, ale siedząc pomiędzy nami, z trudnością tylko mógł to uskutecznić. W tych tedy wyprężonych ruchach, kamizelka mu się odpięła, patrzę, aż tu wychyla się zawieszony na szyi szkaplerz z wizerunkiem Matki Boskiéj Karmelskiéj. Pochwyciłem go: „A to co znaczy?" pytam. Nieznajomy zmieszał się, spoważniał, a biorąc pobożnie

w ręce swe ów szkaplerz: „Ach! odpowiedział, to moja Najświętsza opiekunka" i pocałowawszy go ze czcią, ukrył na piersiach.

III.

Zdoławszy nakoniec dostać dwa muły, wyjechaliśmy z Kosenzy. Wszystkie brygady wchodzące do tego miasta, otrzymały rozkaz maszerowania natychmiast do Paoli, gdzie wsiadłszy na statki, miały płynąć do Sapri, a ztamtąd iść lądem do Salerny. Spodziewaliśmy się więc przybyć na czas i wziąć udział w bitwie mającéj nam otworzyć wrota Neapolu. Nasze dzielne muliska, chociaż całe życie trudniły się tylko noszeniem na grzbiecie swoim ciężarów, kłusowały bardzo mile, po dobréj, płaskiéj drodze, ciągnącéj się wzdłuż bagnistéj i niezdrowéj rzeki, a gdzie wegetacya jednakże dziwnie silną i bogatą była. Pomiędzy rozmaitemi pięknemi krzewami, widziałem wspaniałe włoskie wierzby, podobne do tych, jakie rosną nad brzegami rzek w Syryi, Grecyi, Azyi Mniejszéj i na wyspie Rodyjskiéj. Ogromne i tłuste łąki biblijnego pozoru, rozciągały się po lewéj stronie drogi, a na nich pasły się nieprzeliczone trzody bydła i koni, pilnowanych przez uzbrojonych w karabiny pasterzy. Spłoszone turkotem naszego powozu bekasy i łyski z miejsca swego żerowania, z krzykiem zrywały się do lotu. Z tyłu tego zielonego dywanu, rzeka Kratis, ze swoją błyszczącą stalową powierzchnią, ukazywała się nam czasami; ale strzegliśmy się w niéj kąpać, gdyż Strabon powiedział: „Woda płynąca w Sybaris czyni konie w niéj pojone płochliwemi, więc téż oddalają od niéj stada; ta zaś która płynie w Kratis, ma własność bielenia włosów ludziom i koniom w niéj kąpiącym się, ale zresztą leczy wiele chorób". Sądziłbym przeciwnie, że ona ich nabawia, gdyż powietrze gęste i pełne bagnistych wyziewów, jakiém się oddycha nad jéj brzegami, przechowuje w sobie miazmę febryczną z łatwością się udzielającą. Mieszkańcy tutejsi posiadają cerę ołowianą, białka oczów żółte, policzki wystające, a usta sine; jestto rasa ludzi niedołężna, błotnistemi wyziewami fizycznie osłabiona. Przez

ostrożność, wypiliśmy po szklance wina rozmięszanego z chiną: środek zalecany przez doświadczonych w tych okolicach podróżnych.

Przybywszy do Tarsyi, dostaliśmy zaraz pocztowych koni, a nieopodal w polu ujrzeliśmy ludzi należących do eskorty Garibaldego, pasących na pastwiskach konie. To nam się zdało być dobrą wróżbą. Dyktator jednakże wyprzedził nas o trzy dni drogi; ale mieliśmy zawsze nadzieję doścignienia go: „Ponieważ nie zatrzymał się wcale w Kosenzy, musi się zatrzymać i czekać na wojsko w Lagonegro;" takeśmy do siebie wciąż mówili, ażeby się pocieszyć z mimowolnego opóźnienia. Nadzieja nasza atoli była próżną, bo Garibaldi z równąż szybkością biegł ciągle naprzód i dopiero w Neapolu mieliśmy go dogonić. W saméj rzeczy, skoro tylko przyjął w Soveryi kapitulacyą generała Kardarellego, udał się zaraz do Kosenzy, gdzie jak wielu najpoufalszych oficerów mniemało, zatrzymać się musi czas dłuższy; lecz Garibaldi nie znał co to spoczynek i natychmiast puścił się w drogę. Czy wzywano go do Neapolu w przekonaniu, iż sama jego obecność rozbroi monarchię? Nie wiem; przeleciawszy przez Tarsię, Kastrowillaryą, Lagonegrę, tyle tylko się zatrzymał, ile potrzeba było czasu na powiedzenie kilku słów zachęcających, lub wezwać do broni tych, z którymi myślał przebiedz posiadłości papiezkie i dostać się aż do granic wenecyańskich. Na głos jego zewsząd się gromadzono, ze szczytów najniedostępniejszych gór zbiegano się tłumnie; miasta stroiły się na jego przyjęcie, mieszkańcy zaś, dzień i noc byli na nogach, zachwyceni zjawieniem się tego nadzwyczajnego człowieka, który jak piorun przemykał się przed nimi. Oficerowie ordynansowi nie mogli zanim nadążyć, gubili go często; jeden znich, Palermitańczyk przez pięć dni błądził, nie mogąc znaleźć swego generała. Tylko odgłosy radości rozlegały się w około niego, o niebezpieczeństwie nie było mowy, gdyż wojska neapolitańskie rozproszone, odsłoniły zupełnie drogę; zaledwie gdzieniegdzie tak jak my, spotkawszy jaki oddział zdemoralizowanych obrońców Franciszka II, wyciągał do nich przyjazną rękę. Czasami i to biegnąc zawsze naprzód, zatrzymywał tych ludzi na drodze: „Komu chcecie służyć?"

pytał ich.—„Italii!" Wtedy powierzał nad nimi dowództwo któremu ze swoich oficerów, a ten odprowadzał ich do najbliższéj brygady. Zamieniając niebieskie mundury na czerwone koszule, krzyczeli: „*Niech żyje Garibaldi!*" z większą jeszcze ufnością, aniżeli to miało miejsce podczas gdy wołali: „*Niech żyje król!*" Tak więc, w tym wściekłym kursie, umiał on znaleźć środek powiększenia swéj armii kosztem Franciszka II. Co się tyczy mieszkańców miast, przez które przejeżdżał, ci ujrzawszy go, wpadali w pewien rodzaj ekstazy. Ci do których przemówił, uchodzili w oczach drugich za coś osobliwego; czego dotknął, uważane było za relikwią. W przejeździe przez jakąś wieś, wszedłem do karczmy, ażeby się napić wina; widząc szklankę na półce, biorę ją; aż tu gospodarz z krzykiem z rąk mi wydziera: „Garibaldi pił z téj szklanki, zawołał, nikt już z niéj pić nie będzie." Takim to sposobem biegł on do mety swego przeznaczenia; my nie wiedząc co się z nim dzieje, ścigaliśmy w nadziei, że go przecie gdzieś dogonimy.

Aż do Spezzany, krajobraz jest bez żadnego znaczenia, blady, bezkolorowy; lecz kiedy się minie miasto i wjedzie po ciężkiéj drodze na sam szczyt wznoszącego się wzgórza, wówczas stajesz zdumiony w zachwyceniu. Oto natura w całéj swéj sile i piękności. Na zachód widzisz morze, brzegi jego tak są porosłe roślinnością, że giną w niéj prawie. Niezmierzona płaszczyzna zamknięta z północy łańcuchem ostrych szczytów gór fioletowéj barwy, roztacza się wspaniale u stóp twoich. Szmer żywych zdrojów płynących obficie, dochodzi cię z pośrodka dębowych i olszowych lasków; pola uprawne kukurydzą, mieszają się malowniczo z plantacyami bawełny o żółtawém, podobném do malwy kwieciu. Pomiędzy drzewami a wysoko rosnącą trawą, przebijają się maleńkie stawy, przy których bydełko pasie się spokojnie. Monotonny głos turkawek daje się słyszeć z pod gęsto liśćmi obsadzonych krzaków, a bociany, szanowane po wszystkich krajach, przechadzają się z senatorską powagą. Nie ma miejsca, gdzieby myrt, albo róże nie kwitły, nie ma kawałeczka ziemi, z któréjby trawa lub bławatki nie wyrastały. Pędzone siłą téj niepojętéj płodności ziemi, drzewa rozwijają się,

splatają, obrastają, w sposób nigdzie nie widziany. W jednych Indyach i to w najgorętszym tylko pasie, gdzie działanie słonecznych promieni wypala aż do kipienia szerokie moczarów przestrzenie, można zaledwie ujrzeć podobną roślinność. „Cóż to za kraj! zawołałem w głos mimowolnie. — Przeklęty kraj! odrzekł pocztylion; trawa szybko rośnie, ale człowiek prędko umiera. Błota Pontyńskie są czystém zdrowiem w porównaniu z temi obrzydliwemi płaszczyznami, nad któremi pan się tak unosisz; każdego wieczora febra wyprawia tu takie sarabandy, że dusza chrześciańska drży z przerażenia. — Jak nazywacie te płaszczyzny? zapytałem. — Nie wiem jakie tam uczeni dają im nazwiska, odpowiedział, my nazywamy je febrycznemi" *(febbricosa);* i mruczał daléj pocichu przekleństwa na tę ziemię zgniłą, pożerającą więcéj ludzi, aniżeli ich wyżywić jest w stanie. Na niéjto kiedyś wznosiło się sławne miasto Sybaris; znalazłoby się tu wiele ciekawych rzeczy, gdyby kto miał cierpliwość kopaniem ziemi się zajmować, bo rumowiska rozpieszczonego niegdyś grodu, nieustanne wylewy rzek Kratis i Koscilii, pokrywają je coraz grubszym, gęściejszym całunem mułu. Ja co przejeżdżając nie obawiałem się wcale zaraźliwych wyziewów panujących dzisiaj w miejscu gdzie stała pogańska Gomorra na wieki już pochłonięta, zachwycałem się pozorną pięknością okolicy i przypominałem sobie urocze krajobrazy Azyi Mniejszéj, gdzie oczy moje również cudowne widoki spotykały.

I nie przestałem się tak zachwycać, aż do Kastrovillari, dosyć dużego miasta, ozdobionego wznoszącą się wysoko wieżą, stanowiącą jedyny zabytek średniowiecznych fortyfikacyj. Przemieniwszy szybko konie, pomału jednak zmuszeni byliśmy jechać, gdyż potrzeba było przebyć wielką górę i dopiero wieczorem przybyliśmy do Murano, miasta tak dziwnie w amfiteatr zbudowanego, iż domy zdają się jedne na drugich stawiane. Oprócz ulicy będącéj zarazem głównym traktem pocztowym, zresztą chodzi się wszędzie po schodach. Jakieś wspaniałe ruiny wieńczą Murano: czy to jaka twierdza, kościół, pałac albo klasztor? Trudno było rozeznać. Czerwonawe od zachodu słońca niebo i gdzieniegdzie świecące już gwiazdy, prze-

glądały przez duże otwory drzwi i okien tych opuszczonych murów: był to efekt przypominający teatralne dekoracye. Na środku drogi stali rzędem mieszczanie, uzbrojeni i gotowi łączyć się z Garibaldim; skoro nas ujrzeli, otoczyli powóz: syndyk począł nas wypytywać; Spangaro dawszy mu zadowalniające instrukcye, po gorącém uściśnieniu rąk i po głośnych okrzykach na cześć włoskiéj jedności, udaliśmy się w dalszą drogę.

Ciemna noc otoczyła nas dokoła. Jakiego rodzaju krajobraz mieliśmy przed sobą, nie można było nic obaczyć; tylko czasami zdawało mi się, iż musiał być dziki i ponury, jakby dla czarownic z Makbeta przeznaczony. Nerwowe jakieś zmęczenie opanowało mię całego; nie mogłem zasnąć, chociaż pragnienie snu nieznośnie mi dokuczało. W Rotondzie (Rotonda), do któréj przybyliśmy o godzinie dziesiątéj z wieczora, potrzeba było się zatrzymać: koło u powozu pękło; posłano zbudzić kołodzieja. Mając przed sobą dosyć czasu, wszedłem do jakiéjś stajni, z kilku snopków słomy urządziłem sobie łoże i położyłem się spać. Po dwu godzinnym twardym śnie, zbudziłem się raptem, czując na mojéj twarzy coś ruchomego; był to kogut, który widać nos mój wziąwszy za grządkę, ogonem swoim szorował mi nielitościwie oczy.

Wyjeżdżając z Rotondy, droga pochylała się znacznie prowadząc ku brzegom rzeki Lao. Podczas gdy powóz nasz toczył się z ciężkością po ostrych kamieniach, jakieś nieme cienia wyszły z po za pieńków drzew rosnących nad wodą, a wziąwszy konie za uzdy, wprowadziły je w rzekę i takim to sposobem wydostaliśmy się na drugą stronę. Byli to ludzie przeznaczeni do strzeżenia brodu i odpowiedzialni za wszelki przypadek mogący się podróżnym w przeprawie przez tę rzekę przytrafić. O drugiéj godzinie nad ranem, w Kastellucio, musieliśmy czekać na zmianę koni; gwardya obywatelska odbywająca nocną służbę, otoczyła nas pytając o szczegóły dokonywających się wielkich wypadków. Pomiędzy tymi poczciwymi ludźmi, znajdował się człowiek, którego ukształcony umysł zdziwił mię niemało. Był on niegdyś neapolitańskim kupcem, interesa handlowe powoływały go często do Francyj, tym sposobem zwiedził Marsylią, Bordo, z czego się nawet

bardzo chlubił. Za każdém słowem powtarzał: „Ja co podróżowałem!" i czasami mówił także: „Ja co mam bibliotekę!" Rozmawiając o moralném usposobieniu kraju, powiedział wiele rzeczy ciekawych: „Tutaj w Kastellucio jest nas pięć tysięcy pięćset głów żyjących, a mamy tylko jednę szkołę; uczęszcza do niéj ośmiu albo najwięcéj dziesięciu dzieciaków: z téj liczby, dwóch zaledwie zostaje tak długo, że mogą się nauczyć czytać i pisać, reszta zaś kończy swą edukacyą na poznaniu abecadła i w ostatnim razie, na wypisaniu swego nazwiska. Na ogóle tutejszych mieszkańców, nauka wywiera pewien rodzaj dziwnego przestrachu, podtrzymywanego umyślnie przez księży, bo ciemnota i niewiadomość jest najgłówniejszą spólniczką ich władzy. Człowiek umiejący czytać jest tu źle widziany; posądzają go zaraz o bezbożność, o należenie do towarzystw sekretnych i takim otoczą go nadzorem, iż dla uniknienia podejrzeń, musi w spełnianiu swych religijnych obowiązków przesadzać; więc dla zyskania świętéj spokojności, nie waha się zostać hipokrytą. Tylko ciągłém uczęszczaniem na nabożeństwa, częstą spowiedzią i braniem publicznéj komunii, uwolnić on się może od prześladowania policyi, która w każdym więcéj nieco ukształconym człowieku, widzi tylko liberalistę, *karbonara*, bo ta ostatnia nazwa pozostała uświęconą w naszym języku. Pewien prowincyonalny intendent mówił mi, iż szuka sposobów na wyniszczenie wszystkich adwokatów, a kiedy go zapytałem, dlaczego taką nienawiścią pała przeciwko téj szanownéj klassie ludzi, odpowiedział: „Wszyscy adwokaci bez wyjątku i z konieczności, są Mazzinistami." W niektórych powiatach, księża proboszczowie odmawiają rozgrzeszenia matkom, które dzieci swoje wysyłają na naukę do Neapolu. W Salernie, arcybiskup głosił z kazalnicy, że oświata jest rewolucyą, a ponieważ każda rewolucya jest dziełem szatana, więc ci co ją rozszerzają albo w niéj udział biorą, są oczywiście poplecznikami diabłów, i jako tacy, przeznaczeni na zgorzenie w piekle. Król Ferdynand czytając dzienniki francuzkie, w których za wypadki 15 maja 1848 roku smagano go niemiłosiernie, zawołał: „Pismo jest wynalazkiem diabła!" Tutaj księża

trzymają się z rządem za ręce, idą zgodnie po drodze ciemnoty, popychając przed sobą naród cały. Duchowieństwo nietylko że jest sprzymierzeńcem rządu, jego wspólnikiem, ale więcéj jeszcze nad to wszystko, jest jego agentem, agentem straszliwym, bo władnącym duszami i posiadającym w swém ręku potężne spowiedzi narzędzie. Pod pozorem że księgi święte powiadają: „Błogosławieni prostaczkowie!" księża prawią do słuchaczy: „Cóż wy macie za potrzebę uczenia się? Wierzajcie naszemu słowu, to co umiecie, wystarczy aż nadto dla waszego zbawienia, a zbawienie wieczne jest jedyną rzeczą obchodzącą duszę człowieka." Ci wszyscy, którzy z wnętrza tych ciemnych sklepień, w jakie intelligencyą naszą gwałtem pakowano, zapragnęli wydostać się i biedz za światłem, byli prześladowani, więzieni i wyganiani z kraju. Każda wychodząca książka, jakąby nie była jéj treść, uchodziła za niebezpieczną: to głownia mogąca podpalić proch rewolucyjny. Jakiemi téżto ostrożnościami nie otaczano biedne książki! Cenzura duchowna, cenzura polityczna, cenzura policyjna, dla dzieł przychodzących z zagranicy, dla dzieł wychodzących z krajowych drukarni; a nad tém wszystkiém czuwał jeszcze z góry sam rząd, o zbawienie dusz swych poddanych niezmiernie troskliwy (1). Cenzorowie drżeli z bojaźni, iż może nie są dosyć surowi. Jednemu z nich, przyniesiono dnia pewnego rękopism o galwanizmie. Nie wiedział on wprawdzie co to jest galwanizm, ale słowo to musiało według niego mieć jakiś stosunek z kalwinizmem. „Musi w tém być, powiedział, jakiś atak wymierzony przeciwko papieżowi" i nie pozwolił drukować. Dla nieszczęśliwych dzieci, skazanych wzrastać w téj przymusowéj ciemnocie, system ten pociągał za sobą opłakane skutki. Wmawiano w nie, tłumacząc historyą o raju ziemskim, że Adam i Ewa dlatego z niego wypędzonymi zostali, iż zapragnęli nauki; jabłkiem z drzewa wiedzy, jest pismo i czytanie, sztuki przeklęte, popychające dusze na drogę wszystkich zbrodni, szczególniéj do największéj z nich, do

(1) Ciekawe nadzwyczajnie szczegóły o cenzurze włoskiéj w ogólności, można znaleźć w dziele Marka Monniera pod tytułem: *l'Italie est-elle la terre des Morts?*

roztrząsania dogmatu wiary, do roztrząsania czynów rządowych. Pierwsza wiedzie do herezyi, druga do chętki zakosztowania lepszgo rządu; w obu razach jest to bunt, jest to szatan, nieprzyjaciel Boga! (1) Maksymy te nie są wcale nowe, owszem, średniowieczni mocarze ziemi budowali na nich niegdyś swą władzę; a jeżeli kiedy wyobrażano człowieka uczonego, to nieinaczéj, jak na djabelskich skrzydłach lecącego do piekła, gdzie duszę swoję oddawna zaprzedał. Wielki potępieniec legendowy, to Faust, wynalazca druku.

—I jakiż środek mogący zaradzić téj przeciwko ludzkości zniewadze uważasz pan za najstosowniejszy?—zapytałem kupca. Obejrzawszy się ostrożnie, jak gdyby obawiał się być podsłuchanym, odpowiedział z cicha: „Jeden tylko: wychowanie powierzone wyłącznie ludziom świeckim i przymusowe, pod naciskiem kar najsurowszych; wolność ma prawo, a nawet obowiązek być niekiedy dyktatoryalną.”

IV.

Opuszczając Kastellucio, wjechaliśmy zaraz do Bazylikatu; kraj to piękny, ale mniéj malowniczy od Kalabryi. Góry są w ogólności sine i nagie; czuć że ziemia jest skalistą a trawa z trudnością tylko na niéj porasta. Łatwo zgadnąć, iż niedaleko ztąd musi być morze; jakoż w istocie, dostawszy się na wzgórzyste miejsce, mogliśmy dojrzeć bladą jego powierzchnią wraz z zatoką Polikastro. Kurzawa na drodze była koloru niebieskiego, jak to ma zwykle miejsce w kraju, gdzie łupek znajduje się w obfitości; ziemia miała pozór jakiś smutny, ponury; drzewa zupełnie prawie znikły, tylko spalone od słońca pastwiska, tylko wyschłe strumienie, tylko pogruchotane skały nagroma-

(1) W chwili powszechnego głosowania w królestwie Neapolitańskiém, ksiądz w mieście Ischia kazał z ambony, że ci wszyscy, którzy poważą się głosować *tak*, będą potępieni. I że dzieci które się z nich narodzą, również potępionemi będą. Wieczorem, mężowie znaleźli drzwi od swych domów zamknięte, żony bowiem nie chcąc już mieć żadnych stosunków z przeklętymi od Boga heretykami, nie chciały ich wpuścić do siebie; skończyło się na tém, że powłazili oknami.

dzone jedne na drugie dawnemi jakiemiś konwulsyjnemi wstrząśnieniami ziemi, tu i owdzie widzieć można było. Jakiś powóz pocztowy zbliża się ku nam, zatrzymujemy go. „Co słychać nowego w Neapolu?" „Nic." „Gdzie jest Garibaldi?" „Eh! kto to może wiedzieć." „Czy armia neapolitańska obozuje w Salernie?" „Tak powiadają!"

W Lauria, koło naszego powozu połamało się zupełnie. Potrzeba było czekać ze cztery godziny na nowe. Usiadłem w cieniu skały wystającéj nad drogą, przypatrując się robocie starego rymarza naprawiającego juki dla mułów. Śpiewał on sobie półgłosem jakąś piosnkę, przekłuwając w takt skórę, długą, żelazną igłą i to z taką swobodą i spokojnością, że mimowolnie zbliżyłem się do staruszka: „Cóż to, mój ojcze! wojna nie przestrasza was wcale?" Wstrzymał robotę, zwrócił na mnie pomarszczone o żółtéj cerze oblicze i patrzał wzrokiem, w którym zdziwienie się malowało. „Jaka wojna? zapytał. „A ta, którą my prowadzimy." „Ba! wy to nazywacie wojną? Jesteś młodym mój panie! To co wy robicie, podobném jest tak do wojny, jak ja podobny jestem do naszéj parafialnéj dzwonnicy. Widziałem ja wojnę, wiem tedy doskonale co to jest; widziałem ją dwa razy nawet, nie byłem natenczas większym od pańskiego pałasza, ale nigdy jéj nie zapomnę. Piérwszy raz było to w miesiącu sierpniu 1806 r. Lud tutejszy trzymał za królem, siedzącym wtedy w Sycylii i odbierał od niego pieniądze, amunicyą, broń i wszystko co potrzeba; w dodatku zjechał także kardynał Ruffo, święty prawdziwie człowiek, ale dla którego powiesić chrześcianina było rzeczą tak łatwą, jak mnie wymówić *pater noster*. Miasto nasze napełniło się uzbrojonymi wstrzelby ludźmi, zaprawionymi już dobrze w górach do tępienia Francuzów, którzy naówczas chcieli koniecznie, ażebyśmy zmienili religią i zostali żydami. Więc Francuzi przyszli nas atakować, bo ich srodze gniewało, żeśmy się w téj biednéj naszéj mieścinie zgromadzali. Ten co nimi dowodził, ubierał się w suknią naszywaną całą złotem; mówił po włosku, ale północnym akcentem: nazywali go Masseną. Zaczął nas tedy atakować z dołu, z góry, ze wszystkich stron. Miasto otoczone było murem; myśleliśmy że to zatrzyma Francuzów, ale gdzie tam: zwinni jak małpy, przez wierzch po-

przeskakiwali i oto są w mieście, biegają, krzyczą, zabijają—o szatany! Ludzie nasi schronili się do domów broniąc do upadłego. To także nie podobało się Francuzom, dalejże podkładać ogień: zapaliło się miasto, a oni bagnetami kłuli na śmierć kogo spotkali, kobiety gwałcili, domy rabowali. Trzy dni trwał pożar. Ja zdołałem dostać się w góry od strony Monte-Rotondo i na dobre mi to wyszło, bo ani dla dzieci, ani dla starców nie miano żadnego względu: zabijano wszystkich bez litości. W cztery lata później, za czasów króla Joachima, co tak pięknie jeździł konno, znowu byliśmy w ruchu przeciwko rządowi. Kilku Francuzów obdarto ze skóry; aż tu przybywa drugi generał nazwiskiem Manhès. Oj! była to twarda sztuka; ten żartów nie lubił. Ogłosił zaraz prawo składające się z wielu artykułów, za które jedna tylko wymierzaną była kara: kara śmierci. Po wszystkich drogach powystawiano szubienice, a na tych szubienicach wisieli ludzie. Straszna rzecz co się działo w Kalabryi i Bazylikacie! Skazanych na śmierć wpychano do lochów, osadzano w klasztorach obróconych na więzienia i tam ich głodem morzono. Wieża w Kastrowillari została w pamięci naszéj miejscem straszliwych męczarni; do dnia dzisiejszego wielu ludzi przechodząc około niéj, żegna się z trwogą. Tak wielką liczbę więźniów zamknięto w téj wieży, że ledwie mogli się ruszać. Jeść nie dawano im wcale, więc też wymierali z głodu, dusili się z ciasnoty. Powietrze było tak okropne, że nikt do niéj nie śmiał się zbliżyć. Żyjący rozrywali i pożerali umarłych; do tego przyłączyła się jeszcze zaraza. Ani jedna dusza nie została przy życiu: zgnilizna stoczyła wszystkich. Wieża stała się podobną do obrzydliwego szlachtuza, z którego żarłoczne kruki tylko wylatywały. Więcéj jak o trzy mile w około, czuć było zepsute powietrze. Kiedy z daleka ukazał się mundur francuzki, wszystko co żyło chowało się, polecając swą duszę Bogu (1). To mi była wojna, wiem o tém, bom patrzał własnemi oczyma; lecz to co wy

(1) Opowiadanie starego rymarza, nie miało w sobie nic przesadzonego. Potwierdzenie klęski, jakiéj Lauria uległa, można znaleźć w *Korrespondencyi króla Józefa*. Dnia 15 sierpnia 1806 r., Józef pisał do Napoleona: „Miasto Lauria posiadające siedm tysięcy mieszkańców, jest tylko stosem ruin; mężczyzni, kobiety i dzieci, w ogniu lub od ręcznéj broni poginęli." (T. III str. 124).

teraz robicie, w niczem do niéj niepodobne: nazwałbym to raczéj spacerem pożytecznym może dla zdrowia. Wojna! gadaj pan zdrów. Gdzież są ludzie których powiesiliście? Gdzież pogwałcone kobiety? Gdzie miasta i wsie w perzynę obrócone albo zrabowane? Gdzież są wasze sądy wojenne, gdzie szubienice? Dajcie mi pokój z waszą wojną, bo z przeproszeniem pańskiém powiem, iż na wojnie nie znacie się wcale." Kiwnąwszy gniewnie głową, stary rymarz wziął się do swojéj roboty. Wtém przechodzi obok nas kobieta, niosąc na głowie pełen kosz świeżych, zielonych fig; zatrzymałem ją i kupiłem kilka sztuk tego fruktu. Rymarz począł kląć: „I to płaci i powiada że prowadzi wojnę!" krzyknie z gniewem. „Do wszystkich djabłów! ci ludzie powaryowali!" Porzuciłem go śmiejąc się i słyszałem jak długo jeszcze mruczał w ten sposób.

Opuściwszy Laurią, krajobraz wydał nam się znowu bogatym w roślinność; osiczynę i dęby często można było spotkać; gdzieniegdzie duże kasztany okrywały swym cieniem kwitnące krzewy; potoki spadające gwałtownie z gór, rozbijały się malowniczo o skały, obrzucając nas niekiedy kroplami czystéj i spienionéj wody. Przebywaliśmy wiele drewnianych mostów, ale miły Boże! co to były za mosty! Tylko przyjazna podróżnym Opatrzność, mogła jedynie utrzymać w równowadze te dziurawe i trzęsące się ze starości na ludzi i konie pułapki, bo jedno silne uderzenie nogą, w powietrze wysadzić je było w stanie. Droga wykuta w skale, załamywała się ostro to w prawo, to w lewo, zupełnie jak malowane na płótnie w czasie burzy pioruny. O kilka mil od Lauryi, ujrzeliśmy wspaniałą kaskadę, stanowiącą początek rzeki *Treccheny*, nazwanéj także *Noce*. Na jednym skraju gościńca ukazało się raptem w dolinie Lagonegro, ze swoją szeroką ulicą, podobną raczéj do ogromnego placu. Tutaj tak samo jak w Kosenzy, niepodobieństwem było dostać koni, musieliśmy więc zatrzymać tego samego pocztyliona, który nas już wiózł od saméj Rotondy; biédny chłopiec, nie szło mu o siebie wcale, ale obawiał się, że konie ustaną mu w drodze. Wypytywaliśmy się o nowiny; mówiono nam, że Garibaldi musi być w Sala albo Eboli i że rojaliści stoją w Salernie. W mieście pełno było żołnierzy idących prosto z Kosenzy albo

przywiezionych morzem aż do Sapryi. Jak wieść niosła, cała armia miała się zebrać w Lagonegrze, lecz nikt z pewnością tego potwierdzić nie mógł, sami nawet dowódcy nie mieli żadnych w tym względzie rozkazów.

Na dwa dni przed naszém do tego miasta przybyciem, zdarzył się dosyć znaczący przypadek. Trzech oficerów należących do naszéj armii, idących z Sapryi, a odzianych w czerwone koszule, weszło do Lagonegry. Stało tam natenczas trzy tysiące piechoty neapolitańskiéj, jeden szwadron konnicy i dwie polowe baterye na środku placu ustawione. Zmięszani widokiem tak niespodziewanym, Garibaldczycy nie tracąc fantazyi, zasiedli przed kawiarnią, przyglądając się wojsku Franciszka II, stojącemu w wzorowym porządku. Patrzano na nich z pewnym rodzajem ciekawości, ale w któréj nie było ani śladu niechęci. Powstawszy, zbliżyli się do oficerów neapolitańskich i poczęli z nimi rozmawiać: „Dlaczego, powiedzieli nasi, cofacie się ciągle i nie wzbraniacie nam przejścia?" „Ponieważ będąc Neapolitańczykami, jesteśmy przedewszystkiem jak wy Włochami; pragniemy także widzieć Italią niezależną, a wiemy o tém bardzo dobrze, iż rząd króla Franciszka II nie jest czém innem, jak tylko narzędziem polityki wiedeńskiéj. Czy myślicie, że nam brakuje odwagi? Mylicie się; my wiemy, że obowiązek nakazuje nam powiesić was natychmiast jako buntowników; jednakże wolimy uścisnąć waszą dłoń przyjaznie mówiąc wam: do widzenia! Jak będziem wszyscy razem przed murami Wenecyi, obaczycie wtedy, że i my bić się umiemy." Słowa te były szczerym wyrazem uczuć od dawnego czasu przenikających wszystkie serca włoskie: nienawiść dla Austryi i dla wszystkiego co z nią jakikolwiek związek mieć mogło, oto źródło z którego wypływały. Flota pozostała długo wierną młodemu neapolitańskiemu monarsze; lecz kiedy dowiedziała się, iż zamierzał on wysłać ją do Tryestu, ażeby tamże na przyjaźniejsze dla sprawy absolutyzmu czasy oczekiwała, za wspólném porozumieniem się, bez wahania przeszła na stronę powstania, oddając się na usługi sprawie narodowéj.

Potępiając postępowanie armii neapolitańskiéj, potępiając ją często ze zbytnią surowością, nie uwzględniano zgoła aspiracyj wydzierających się ku idei niepodległości,

któremi serca wszystkich Włochów przepełnione były. Pod okiem króla, pod jego bezpośredniém dowództwem, armia ta podległa karności i przysiędze uosobionéj przytomnością monarchy, mogła dać i dała wielokrotne dowody nieustraszonéj odwagi; lecz zdala od niego i pod rozkazami ludzi, w których łonie przywiązanie do kraju staczało potężną walkę z obowiązkami ślepego posłuszeństwa, ojczyzna brała górę, zapominano o przymusowéj przysiędze, i jeżeli nie brano udziału natychmiast w rewolucyi, to przynajmniéj nie wstrzymywano jéj wcale. Postępowanie takie było dwuznaczne, szkodliwe nawet z wielu względów, bo dało powód oczernienia najszlachetniejszych dążności i przedłużało tylko niepotrzebny rozlew krwi, gdy jeden śmiały i stanowczy na korzyść narodowego ruchu czyn, mógłby temu wszystkiemu zapobiedz.

W Lagonegrze dowiedzieliśmy się, co generał Turr porabiał od czasu naszego z nim rozstania. Kiedy my lądem ścigaliśmy za nim, on ażeby się zbliżyć do Neapolu, obrał sobie krótszą nierównie drogę morzem. Z Kosenzy udawszy się do Paoli, zabrał z sobą wojska codziennie z Sycylii tam przypływające i wsiadł z niemi na przygotowane parowce. W chwili gdy miał ruszyć z portu, ukazała się neapolitańska fregata; nie mając ani jednéj armaty, ani jednego moździerza na pokładzie swoim, generał Turr miną nadrobił: flotyllę swoją składającą się z sześciu statków parowych, w bojowy szyk ustawił, oczekując niby na atak ze strony nieprzyjaciela. Tymczasem fregata dawszy zdaleka kilka strzałów, zdecydowała się odpłynąć na pełne morze. Wylądowawszy w Sapryi, Turr zabrał z sobą dawną Piangianiego dywizyą i udał się w marsz w takim jednakże kierunku, ażeby w potrzebie przechodząc pomiędzy Ebolą a Salerną, mógł się rzucić w górzyste okolice Kawy (Cava), uderzyć z tyłu na nieprzyjaciół i w razie gdyby na nas oczekiwali w Salernie, przeciąć im drogę do Neapolu. Odwrót ich atoli, śmiały ten manewr uczynił niepotrzebnym.

Jakoż około godziny ósméj z wieczora, w chwili gdyśmy poszli obejrzéć konie przygotowane do drogi, odbieramy depeszę datowaną 7 września 1860 r. „Dzisiaj o godzinie piérwszéj, Garibaldi wszedł do Neapolu.” Piér-

wsze uczucie jakiegośmy doznali, było przykre: żal i gniew opanował nas, wyznaję; drugie było nierównie lepsze, a nawet radosne, kiedyśmy się zastanowili nad wielkimi skutkami osiągnionymi wprawdzie kosztem olbrzymich trudów, lecz bez rozlania jednéj kropli krwi. Wtedy dopiero zrozumieliśmy zupełnie postępowanie Garibaldego, postępowanie dziwnie niekiedy nam się wydające, bo nie mogliśmy z razu pojąć w jakim celu biegnie on zawsze naprzód, zdaleka od swéj armii, w towarzystwie kilku oficerów nie mogących za nim nadążyć. Postanowił on opanować kraj krajem, odsunąć wszelkie oskarżenie zdobyczy i dowieść światu, że władza Burbonów jest tylko pewnym rodzajem uznanéj fikcyi, niknącéj za pierwszém podmuchem wiatru. Na jego widok wybuchało wszędzie powstanie. Ludzie za broń porywali, z przodu, z tyłu, na skrzydłach, nad głowami że tak powiem żołnierzy królewskich, rewolucya zbrojna w całéj potędze się okazywała; przerażeni tą straszliwą jednomyślnością ruchu, nurtowani wewnętrznie wielką ideą odradzającéj się Italii, rojaliści zawahali się. Na kalabryjskiéj ziemi tak jak w Sycylii, nie czuli się już panami tego ludu tylokrotnie przez siebie podbijanego, a zawsze nieprzyjaznego sobie; podobnie jak owi przed świątynią delficką barbarzyńcy, świętokradzką trwogą nawskróś przejęci zostali. Cofając się tedy z San-Giovanni do Monteleony, z Monteleony do Tirioli, z Tirioli do Kosenzy, z Kosenzy do Salerny, z Salerny do Neapolu i z Neapolu do Kapui, w tém ostatniém miejscu, król zamknął za nimi wrota i stanął na ich czele. Bezwzględne posłuszeństwo odzyskało swą potężną władzę, a ponieważ zagrożono rozstrzelaniem tych wszystkich, którzy nie będą się bić przeciwko własnéj sprawie, więc też przymuszeni, bili się z bojaźni kary, a nie dla zachowania i utrzymania systemu będącego hańbą ludzkości. Że pragnęli oni łączyć się znami, to nadzwyczajna liczba zabranych do niewoli żołnierzy w dniu 1 października, najlepszym jest tego dowodem. Tak więc ta armia, co przy wyjściu z każdego wąwozu, przez który musieliśmy przechodzić, mogłaby nas wstrzymać, albo wepchnąć napowrót, otwierała, że tak powiem przed nami swe sze-

regi i pozwalała przejść swobodnie. Garibaldi dopiął zamierzonego celu: zrewoltował Kalabryą przez Kalabryjczyków, a Neapol przez Neapolitańczyków. Gdyby się tylko ubiegał za sławą, któżby mu bronił manewrować w taki sposób, aby mógł wygrać jaką rozgłośną bitwę? lecz on bije się jedynie w ostateczności, bo kocha ludzi, a wylanie kropli krwi włoskiéj, sprawia mu z niczem nieporównaną boleść.

Co się tyczy Franciszka II, ten posłuszny ślepo życzeniom swego ojca, kontynuował z razu wewnętrzną politykę, którą dyplomatyczne dokumenta na jaw wyciągnęły, popierany i zachęcany przez królowę wdowę, kobietę dumną, gwałtowną, zamkniętą w ciasném kole średniowiecznych pojęć; naród w jéj oczach był jak ta stadnina pasących się owiec: musiał on na drodze swego życia schylać na dół głowę, w przeciwnym bowiem razie, śmierć dosięgała tych, co ku światłu wznosić się ją ośmielali. Gwałtowny obskurantyzm, będący jedyną polityką ojca, stał się polityką syna; tylko tendencye jego stały się jeszcze widoczniejszemi, silniejszemi. W nakazywaném pod wpływem przestrachu milczeniu, młody król nie widział zgoła nic innego, jak spokojne poddanie się woli jego. Dobrych rad atoli nie brakło mu wcale; wielkie narody nie wahały się wskazywać mu przepaści zwiększającéj się codziennie pod jego nogami, a którą jakby umyślnie wbrew wszystkim ludzkim prawom kopał pod sobą. Któż miał w nią być wtrąconym, on czy naród Obojga Sycylii? Tak kwestya była postawioną; posiadając choć trochę tylko zdrowego rozsądku, z łatwością można było z korzyścią dla siebie ją rozwiązać. Właściwie mówiąc, rząd już w kraju nie istniał: miejsce jego zajęła policya. I strworzyła się dyplomacya, bo w zapamiętałym uporze jednego człowieka, ujrzała narody przestraszone i pokój świata skompromitowany; pojęła ona, że najsłuszniejsza jaka kiedykolwiek była rewolucya, pochwyciwszy w swą rękę sławną Szenbrunską formułę, wyrzeknie: „Neapolitańska dynastya przestała panować, istnienie jéj niezgodne jest z pokojem Europy". Skoro tylko Garibaldi wylądował w Marsalii, okropny przestrach zawładnął dworem Franciszka II; a przecie był to jeden człowiek: ale

imię tego człowieka stało się hasłem, stało się symbolem opieki dla pokrzywdzonych, tojest dla wszystkich, którzy chcieli stanąć w obronie zdeptanych praw ludzkości, sława zaś jego była zakładem zwycięztwa. Udano się wtedy do protekcyi i pomocy obcych mocarstw: one nie raczyły nawet odpowiedzieć. Czy istotnie myślano nadaniem konstytucyi sparaliżować i wstrzymać ruch narodowy? Nie śmiem temu wierzyć; byłaby to jedna jeszcze więcéj iluzya. Cokolwiekbądź, dnia 26 czerwca, wydano *akt najwyższy*, przyrzekający szerokie ustępstwa. Ustępstwa *in extremis*, nigdy nikogo nie ocaliły.

Wiadomość o wejściu Garibaldego do Neapolu, lotem błyskawicy rozbiegła się w Lagonegrze: całe miasto natychmiast się uilluminowało. Nazajutrz rano, jeden z naszych, odebrał depeszę donoszącą, iż twierdze stolicy są jeszcze w ręku rojalistów; wprawdzie depesza ta nie zdawała się z tego powodu objawiać żadnéj obawy, lecz łatwo w umyśle każdego powstawała, gdyż straszliwa bitwa lada chwila mogła zakrwawić ulice neapolitańskie. Niezwłocznie téż ruszyliśmy w drogę. Wyjechawszy z Lagonegry, rzekłbyś, iż krajobraz sam przez się przybrał już pozór więcéj ucywilizowany i pozwalał przeczuwać sąsiedztwo stolicy. Szeroka i spadzista płaszczyzna rozciągała się pomiędzy łańcuchem niebieskawych pagórków. Mnóstwo wiosek z wystającemi w pośrodku nich ogromnémi murowanémi budynkami, rozciągało się wzdłuż widnokręgu: były to klasztory należące do rozmaitych zgromadzeń duchownych. Na drodze pełno było przechodzących neapolitańskich dezerterów; zatrzymywali się oni przed nami żebrząc jałmużny: od dnia wczorajszego nic jeszcze nie jedli. Domy przed którymi się ukazywali, zamykano; włościanie uciekali, albo odpędzali ich; odmawiano im kawałka chleba, bo nie płacili za niego: nie mieli pieniędzy. Wycieńczeni, osłabieni na siłach, z okaleczałemi z braku obuwia od ciągłego marszu nogami, ledwie się wlekli; nie obwiniali jednak swych dowódzców, którzy nieudolnością, albo nieoględnością swoją, przyprowadzili ich do tego opłakanego stanu.

Zatrzymaliśmy się chwilę w Sali (Sala); wtém potężny w oddaleniu grzmot doszedł do uszu naszych; niebo

pokryło się gęstemi chmurami pędzonemi z gwałtownością południowym wiatrem, który olbrzymie słupy kurzawy gnał przed sobą po polu. Atmosfera stała się ciężką i parną; senność poczęła nas ogarniać. „Wyśpimy się w Neapolu, rzekł Spangaro, dalej w drogę!" Wsiedliśmy do odkrytego szarabana, co nam za powóz miał służyć. Niebo zdawało się schylać ku ziemi; straszliwy wicher zginał drzewa jak wątłą trawkę; jaskółki znikły, tylko kruki przestraszone, krącząc co sił do gniazd swoich zmykały. Ogromny huk grzmotów, z dziwną szybkością zbliżał się do nas, a błyskawice wzrok nam ćmiły. Chmury rozerwały się nareszcie; deszcz zrazu kroplisty coraz się wzmagając, lunął kaskadą. Na drodze nie było widać żywéj duszy, żadnego domu, żadnego schronienia. Odzienie nasze wkrótce przemokło zupełnie. Dla wypuszczenia wody, musieliśmy przedziurawić pudło szarabana, bo nogi do kolan mokły nam niby w jakiéj kąpieli. I potop ten trwał bez przerwy z półtory godziny. Uspokoiło się nieco, gdyśmy przybyli do Auletty, gdzie nam konie zmieniono. Tutaj natura znowu przybrała pozór więcéj północny; modrzew, kasztan, gęściéj od innych drzew się ukazywał. Nad wielkim spadkiem wody, wznosi się mechaniczny tartak. „Do kogo ten tartak należy? zapytałem, czy do Neapolitańczyka?" „Oh! gdzietam panie, odpowiedziano mi z pewnym rodzajem zdziwienia wywołanego mojém zapytaniem, do Anglika!" Wszedłem do budynku, w którym para gospodarowała machając potężnemi piłami i trąc ogromne kloce drzewa, i zauważałem tę światłą i wyrozumowaną pracę, znamionującą głównie saksońsko-protestancką rasę ludzi.

Przejechaliśmy dwie rzeki: Fiume-Negro i Fiume-Bianco, po mostach wyniosłych wprawdzie, lecz pięknie i trwale z wielkich sztuk ciosu zbudowanych. Zdziwiło mię to, bo administracya neapolitańska niezwykła się zdobywać na takie przedsięwzięcia. „Kto te mosty postawił?" „Nie wiem, odpowiedział pocztylion; stoją one od czasu, jak nami Francuzi rządzili". Z nadejściem nocy, powstał chłód, drżeliśmy z zimna. Deszcz zaczął padać na nowo, a huk grzmotów zwiastował nam drugą burzę. Z powodu grubéj ciemności, niemożna było nic rozeznać. O pół-

nocy przybyliśmy do Eboli. Huragan nie ustawał na chwilę, pioruny trzaskały a deszcz lał jak z kadzi, z przestraszonemi zaś od takiéj nawałnicy końmi, nie można sobie było dać rady. Podczas gdy nam konie przeprzęgano, weszliśmy do kawiarni napełnionéj Garibaldczykami; ujrzawszy nas do nitki przemoczonych i zziębniętych, poczciwe wiarusy głośném „hurra!" nas przywitali. Jakiś młody oficer trzymając szklankę w jednéj a butelkę w drugiéj ręce, zbliża się do mnie i mówi: „Powinieneś pan do wody dolać trochę wina."

Opuściwszy Ebolę, musieliśmy jechać uważnie i noga za nogą, gdyż burza powyrywała mnóstwo drzew i poporzucała takowe na drogę; niebo poczęło się trochę rozjaśniać, a gwiazdy błyszczały już na dobre, gdyśmy o godzinie trzeciéj nad ranem przybyli do Salerny. Nareszcie, można było wysuszyć odzienie nasze w kawiarni, gdzie nas gwardya obywatelska serdecznie przyjmowała. Z brzaskiem dnia, dotarliśmy do Vietri i tam wsiadłszy zaraz do powozów kolei żelaznéj, znużeni podróżą, położyliśmy się na ławkach; wnet twardy sen zamknął nam powieki, że nie czuliśmy nawet, gdy o godzinie szóstéj maszyna w drogę ruszyła. W dwie godziny późniéj, dnia 9 września, w czternaście dni po naszém w Kalabryi wylądowaniu, przybyliśmy do Neapolu.

ZAMARZANIE I PUSZCZANIE WISŁY.

Przysłowie ludowe mówi:

Na świętego Grzegorza
Idzie zima do morza;

Co Lenartowicz tak nam opowiedział:

Wisła, ta nasza rodzinna rzeka,
Za jednym świętym długo też czeka.
Coraz to oryl, dręczony głodem,
Nad brzeg wychodzi, stawa nad lodem;
Na wierzbach wiszą szronu kożuchy,
Dokoła biało, świat pusty, głuchy:
Wszystko się człeku psuje, rozsycha—
A ty Wisełko głucha i cicha.
— Hej! albo matko idźmy już w drogę,—
A na to Wisła mówi:— Nie mogę,
Chociażbym rada, to ani razu:
Z nieba widzicie czekam rozkazu.
Gdy czas po temu.....
To święty Grzegorz, co siedzi w radzie,
Infułę jasną na głowę kładzie,
A pastorałem srebrnym gdy skinie,
Pękają lody—i Wisła płynie.

Święta praca.

Świętego Gregorza wypada d. 12 marca: okaże się poniżéj trafność przysłowia.

Wiadomości o epokach stawania i puszczania lodów na Wiśle, pod wielą względami nader są ważne; rzeczywistéj jednak wartości nabierają wtenczas dopiéro, gdy odnoszą się nie do jednego tylko miejsca, lecz do całéj rzeki.

Stawanie i puszczanie lodów nie może być w różnych punktach przebiegu Wisły jednoczesne, lecz następuje według warunków miejscowych temperatur, które są bardzo rozmaite, albowiem pomiędzy Krakowem a Gdańskiem różnica szerokości geograficznéj wynosi $4\frac{1}{3}$ stopnia, a różnica poziomu 688 stóp n. p.

Stawanie lodów poprzedza płynący *szron;* są to cienkie warstewki lodu, który następnie w większe i grubsze łączy się bryły, *krą* nazywane. Zwykle we 3 lub 4 dni po ukazaniu się kry, gdy mrozy kilku stopni dochodzą, bryły z sobą się spajają i cała rzeka zamarza. Gdy zima jest ostra, grubość lodu 3 stóp dochodzi.

Porównywając stawanie lodów w ciągu lat 45, od roku 1815 do 1860, w trzech punktach: pod Krakowem, Warszawą i Kwidzynem, dostrzegamy: że *najwcześniejsze zamarznięcie* Wisły nastąpiło pod Krakowem dnia 9 listopada r. 1858, w którymto roku stanęły lody 18 listopada pod Warszawą, a 19 listopada pod Kwidzynem. Pod Warszawą najwcześniéj Wisła stanęła: 10 listopada 1835 r.; jednocześnie stanęła pod Krakowem, a we trzy dni później pod Kwidzynem.

Najpóźniéj Wisła zamarzła:

pod Krakowem, dnia 4 lutego 1847;
pod Warszawą, dnia 16 stycznia 1846;
pod Kwidzynem, dnia 4 lutego 1853.

Nie zamarzła wcale:

pod Krakowem 4 razy, w latach: 1822, 1832, 1846, 1852;
pod Warszawą 3 razy, 1822, 1843, 1852;
pod Kwidzynem raz, 1822.

Dwukrotnie zamarzała:

pod Krakowem 11 razy;
pod Warszawą 6 razy;
pod Kwidzynem 10 razy.

Trzy razy zamarzała:

pod Krakowem w r. 1825, 1835, 1839;
pod Warszawą w r. 1840;
pod Kwidzynem w r. 1828 i 1849.

Najwcześniéj puściły lody:

pod Krakowem, 9 grudnia 1843 r.;
pod Warszawą, 17 grudnia 1819 r.;
pod Kwidzynem, 25 stycznia 1859 r.

Najpóźniéj puściły lody:

pod Krakowem, 24 marca 1858 r.;
pod Warszawą, 4 kwietnia 1840 r.;
pod Kwidzynem, 8 kwietnia 1853 r.

Okażemy teraz, jakie w ciągu lat 30, od 1830 do 1860 były różnice co do stawania i puszczania lodów w trzech miejscach przez nas obranych.

Wcześniéj stanęła pod Krakowem jak pod Warszawą:

dni 41 raz 1
„ 10 „ 1
„ 8 „ 1
„ 7 „ 1
} 4 razy

Jednocześnie . . . . . 14 razy (*)

Później: dni 3 raz 1
„ 4 „ 1
„ 9 „ 1
„ 21 „ 1
„ 50 „ 1
} 5 razy

Wcale nie stanęła 3 razy, brak wiadomości 4 razy.

Wcześniéj stanęła pod Kwidzynem jak pod Warszawą:

dni 42 raz 1
„ 19 „ 1
„ 4 „ 1
„ 3 „ 1
„ 2 „ 1
} 5 razy

Jednocześnie . . . . . 6 razy

Później: dni 2—4 razy 5
„ 6—9 „ 4
„ 11 „ 1
„ 28 „ 1
„ 34 „ 1
} 16 razy

Wcale nie stanęła 3 razy.

Widzimy z powyższego porównania, że lubo Kraków leży o 2,10 stopnia szerokości geograficznéj bliżéj południa jak Warszawa, przecież z powodu wyniesienia o 420

(*) Różnicy jednodniowéj nie uważamy.

stóp nad poziom Wisły w Warszawie, temperatura zamarzania średnio *wypada* jednocześnie prawie w obu tych punktach. Pod Kwidzynem zaś chociaż położonym od Warszawy o $1\frac{1}{2}$ stopnia na północ, tak z powodu niższego poziomu Wisły o 234 stopy, jako też z powodu bliskości morza, temparatura dłużéj bywa łagodną i zamarzanie następuje późniéj. Jakoż średnia temperatura z *grudnia* i *stycznia* wynosi:

pod Krakowem: $(-1{,}12)+(-3{,}58)=-2{,}35$,
pod Warszawą: $(-1{,}93)+(-4{,}00)=-3{,}00$,
pod Gdańskiem: $(-0{,}09)+(-2{,}02)=-1{,}5$,
pod Kwidzynem przypuścić można około $-2{,}0$ (*).

Inaczéj rzecz się ma w końcu zimy przy puszczaniu lodów.

Porównywając puszczanie lodów na Wiśle, w tym samym trzydziestoletnim okresie, znajdujemy:

Wcześniéj Wisła puściła pod Krakowem jak pod Warszawą:

dni	76	raz	1
„	64	„	1
44—	47	„	2
„	23	„	1
„	19	„	1
„	14	„	1
„	8	„	4
5—	6	„	2
3—	4	„	6
„	2	„	1

} 20 razy

Jednocześnie . . . . . 1 raz

Późniéj: dni 9 raz 1
„ 26 „ 1
} 2 razy

Nie zamarzła 3 razy, brak wiadomości 4 razy.

Wcześniéj puściła pod Kwidzynem jak pod Warszawą:

dni	15	raz	1
„	12	„	1
4—	5	„	2
„	3	„	1
„	2	„	4

} 9 razy

Jednocześnie . . . . . 6 razy

(*) Kwidzyn bowiem leży o 10 mil od morza i bliżéj Warszawy.

Później: dni 2 raz 3
„ 3 „ 2
5—4 „ 2
„ 8 „ 1
„ 19 „ 1
„ 28 „ 1
„ 35 „ 1
„ 49 „ 1
} 12 razy

Nie zamarzła 3 razy.

Okazuje to, że z wiosną temperatura w Krakowie wcześniéj się podwyższa jak w Warszawie; a tu późniéj jak w Kwidzynie, lubo już w mniejszym stopniu.

Temperatura średnia *lutego* i *marca* wynosi:

pod Krakowem: (—1.71)+(+1.91)=+0,10,
pod Warszawą: (—2.69)+(+0.37)=—1,58,
pod Gdańskiem: (—0.54)+(+1,44)=+0.90,
pod Kwidzynem przypuścić należy —1,10.

W ogólności, biorąc trzy miesiące zimowe: grudzień, styczeń i luty, mamy średnią temperaturę zimy: pod Krakowem—2,34, pod Warszawą—3,00, pod Gdańskiem—0,88, pod Kwidzynem około—2.

Te spostrzeżenia tłumaczą nam po części częste tworzenie się zatorów, których skutki bywają nieraz tak opłakane. Lubo zatory mają zawsze przyczynę miejscową, przecież gdyby puszczanie lodów wcześniéj przypadało na dolnych częściach rzeki jak na górnych, zatorów nie byłoby wcale, lub też byłyby mniéj częste i silne.

W latach, gdy zdarza się wczesna, łagodna temperatura w okolicach *dolnéj* Wisły i lody wcześniéj puszczą, nie tylko, że nie zdarzają się zatory, lecz i powodzie wiosenne daleko bywają mniejsze z powodu swobodnego odpływu wód gościnnych.

Przeciwnie, gdy lody na *górnéj* Wiśle wcześnie się poruszą w rozmaitych miejscach, nie mając wolnego odpływu, muszą się wspierać o stojące na miejscach poniższych lody, które nawet zwykle są grubsze. Lody takie, o ile się nie skruszą, podsuwają się częstokroć jedne pod drugie, i bywa: że całe koryto zapycha się niemi, jak o tém obszerniéj mówiliśmy w książce p. t. „Wisła" (*).

(*) Wisła, jéj bł g. własności i spławność. Warszawa. 1861. Część II.

Średnia epoka stawania lodów z szeregu lat 45 przypada: pod Krakowem dnia 21 grudnia, pod Warszawą i Kwidzynem 20 grudnia.

Średnia epoka puszczania lodów przypada: pod Krakowem 22 lutego, pod Warszawą 3 marca, pod Kwidzynem 10 marca.

Średni najniższy stan wody podczas zamarzniętéj Wisły jest pod Krakowem 1 stopa, 10 cali; pod Warszawą 2 stopy, 4 cale; pod Kwidzynem 6 stóp, 6 cali.

Średni najwyższy stan wody po puszczeniu lodów jest: pod Krakowem stóp 8 cali 5, pod Warszawą stóp 12, pod Kwidzynem stóp 16 cali 6.

Średni peryod od stawania lodów do ich puszczania wynosi: pod Krakowem dni 63, pod Warszawą dni 76, pod Kwidzynem dni 80.

Najdłużéj lody stały: pod Krakowem dni 106, pod Warszawą dni 124, pod Kwidzynem dni 126.

Po takiém szczegółowém porównaniu stawania i puszczania lodów w trzech punktach wziętych na górnéj, średniéj i dolnéj Wiśle, zastanówmy się nad tém zjawiskiem w ogólności, przyjmując daty pod Warszawą za średnie dla całéj rzeki.

To, co mówić będziemy, odnosi się do okresu od r. 1815 do r. 1860, na zasadzie wykazów i tablic w oddzielnéj książce zebranych, o któréj wyżéj była mowa. Wiadomości jakie posiadamy o stawaniu i puszczaniu lodów pod Warszawą, od r. 1724 do r. 1815 są niezupełne.

Jak się już wyżéj rzekło, najwcześniéj Wisła stanęła 10 listopada (1835), najpóźniéj 18 stycznia (1855).

Puściła najwcześniéj 17 grudnia (1819), najpóźniéj 4 kwietnia (1840).

Średnio okres zamarzniętéj Wisły obejmuje dni 76, a gdy wyjątkowe lata potrącimy, dochodzi 90 dni, czyli trzech miesięcy.

Okres ten średnio przypada bardzo ściśle na porę roku zimową astronomiczną, od 20 grudnia do 20 marca.

Zgadza się to z wypadkami uczonych prac p. Jastrzębowskiego, że zima fizyczna przypada u nas 5 gru-

dnia, a wiosna poczyna się 5 marca, kiedy średnia temperatura wynosi 0°, bo na ustalenie lodów potrzeba temperatury niższéj, a na puszczenie wyższéj jak 0°, która o 15 dni późniéj przypada.

Można więc przyjąć średnio, że wciągu 9 miesięcy, corocznie Wisła od lodów jest wolna.

Przypatrzywszy się bliżéj datom stawania i puszczania lodów na Wiśle wciągu dłuższego okresu lat, odkrywamy niejaką prawidłowość tego zjawiska:

1. Spostrzegać się daje pewna peryodyczność we wcześniejszém lub późniejszém stawaniu lodów.

2. Od najpóźniejszego stawania lodów, stopniowo co rok ono się przyspiesza aż do najwcześniejszego, a następnie stopniowo opóźnia. Od najwcześniejszego, puszczanie lodów co rok się opóźnia, a doszedłszy pewnego maximum, staje się wcześniejszém.

3. Im wcześniejsze jest stawanie lodów, tém wcześniejsze ich puszczenie i odwrotnie: za późniejszém stawaniem idzie puszczanie późniejsze.

Prawidła powyższe nie są ścisłe, bezwarunkowe, podlegają różnym wyjątkom tak jak inne, choć nie meteorologiczne prawidła.

Na poparcie powyższych spostrzeżeń nie będziemy czytelników nudzili wyliczaniem dat i ich kombinacyą. Podajemy obok wykreślenie, będące zmniejszonym ogólnym odrysem z szczegółowych tablic znajdujących się przy dziele o Wiśle. Z odrysu tego na jeden rzut oka zbadać można prawidłowość przez nas podaną, uważając długość linij poziomych, wyrażających przeciąg czasu, w którym Wisła lodem pokrytą była.

Długość tych linij odpowiada liczbie dni stojących lodów, a stosunek ten według początku i końca linii w kratkach miesięcznych, na oko ocenić można.

Czy szukać należy peryodyczności i odmian wskazanych, po części w ruchu ciał niebieskich, w którym *podobne* peryodyczności widzimy?

„Niezaprzeczonym jest wpływ naszego księżyca na ciśnienie powietrza, osady ciekłe i rozpraszanie chmur" powiedziano w Kosmosie. W posuwaniu się peryodów

Wykreślenie okazujące jak długo Wisła zamarzniętą bywała pod Warszawą od r. 1815 do 1860.

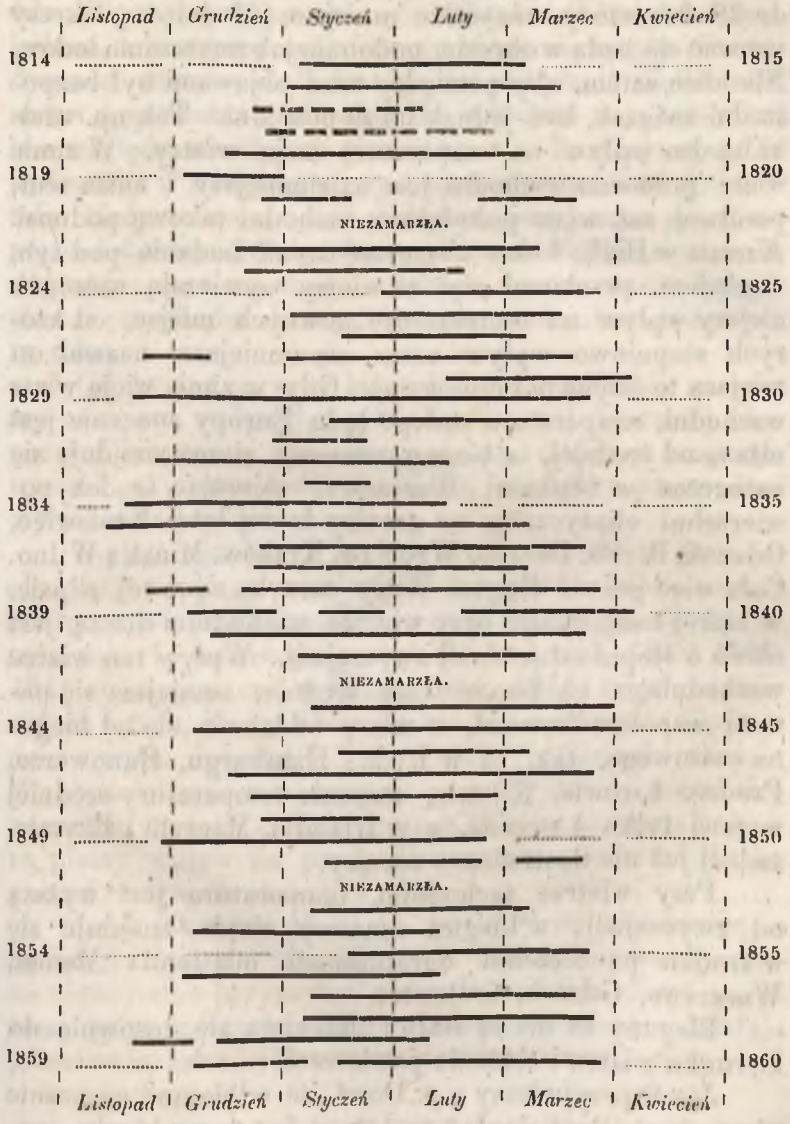

stawania i puszczania lodów na Wiśle, zachodzi też, pewne podobieństwo i analogia z peryodami w obiegu księżyca około ziemi. Jeżeli bowiem w sposób podobny od-

rysowi naszemu oznaczymy na liniach poziomych, wyobrażających lata, punkta największego zbliżenia się księżyca do ziemi (*perigeum*), wypadające w okresach od 25 do 29 dni, wtedy wszystkie mniejsze (25 dniowe) okresy usuwać się będą w obrazie, podobnie jak puszczanie lodów. Nie idzie zatém, aby pomiędzy temi objawami był bezpośredni związek, być jednak może pośredni. Tak np. wielki bardzo wpływ na temperaturę mają wiatry. W zimie wiatr północno-wschodni jest najzimniejszy i zniża temperaturę; zaś wiatr południowo-zachodni takową podnosi. *Kaemtz* w Halli, który obszerne czynił badania pod tym względem, przekonał się: że wiatry wywierają szczególniejszy wpływ na temperaturę pewnych miejsc, od których stopniowo wpływ coraz się zmniejsza; nazwał on miejsca te *biegunami czasowemi*. Gdy w zimie wieje wiatr wschodni, temperatura stałego lądu Europy znacznie jest niższą od średniéj, a biegun czasowy zimna znajduje się natenczas w bliskości Warszawy, zajmując środek powierzchni eliptycznéj, na granicy któréj leżą: Królewiec, Gdańsk, Berlin, Drezno, Wrocław, Kraków, Mińsk i Wilno. Cała więc prawie długość Wisły zamyka się w téj elipsie, w któréj temperatura przy wietrze wschodnim niższą jest około 5 stopni od średniéj zwyczajnéj. Wpływ ten wiatru wschodniego na temperaturę średnią, zmniejsza się pasami współśrodkowemi, w miarę oddalania się od bieguna czasowego, tak, że w Rydze, Hamburgu, Hanowerze, Pradze, Lwowie, Kijowie, zniżenie temperatury średniéj wynosi tylko 4 stopnie, a w Irlandyi, Marsylii i Rzymie, żadnéj już nie dostrzeżono różnicy.

Przy wietrze zachodnim, temperatura jest wyższą od zwyczajnéj, a biegun czasowy ciepła znajduje się w środku powierzchni ograniczonéj miastami: Memel, Warszawa, Gdańsk, Królewiec.

Bieguny te nie są stałe i zmieniają się stosownie do kierunku wiatru i ciążenia powietrzni.

Jeżeli przyjmiemy z p. Dove, że odbierana corocznie przez ziemię ilość ciepła, rozłożoną jest coraz innym sposobem na jéj powierzchni, moglibyśmy przypuścić, że rozkład ten zależny od wiatrów, zawisł w pewnym stopniu

od biegu księżyca; mianowicie od epok zbliżenia się jego do ziemi w połączeniu z działaniem słońca.

Teorye *Bakona*, *Halleya* i *d'Alemberta*, którzy wprost odnosili przyczynę powstawania wiatrów do biegu księżyca i ziemi, z postępem nauk, utrzymać się nie mogły. Peryodyczność wiatrów atoli, badaną dotąd była, z wieloletnich nawet spostrzeżeń, odnośnie do jednostki dnia lub roku, bez względu na dłuższe okresy czasu. Znajdujemy tylko u *Kaemtza* (*) niejaki wzgląd na peryodyczność kilkoletnią, kiedy ze spostrzeżeń *Schouwa*, przyjmując dowolnie pięcio i dziesięcioletnie okresy, różnice kierunku wiatrów wskazuje; lecz nie wnika on bliżéj w ten ważny przedmiot, i przechodzi do wynalezienia średnich na różne pory roku.

Gdyby zaś peryody biegu księżyca wpływały na wiatry panujące, wpływ ten musiałby się najwidoczniéj okazać pod biegunami czasowemi zimna i ciepła, a czas stawania i puszczania lodów na Wiśle, nie byłby przypadkowy jak dotąd mniemano.

Dodać winniśmy, że astronom *Szwabe* w Dreznie, obserwując plamy na słońcu od r. 1828—1850, znalazł postęp w ich przybywaniu i peryodyczność około 10 letnią, tak, że maximum przypadło w latach 1828, 1837, 1848, minimum zaś w latach 1834, 1844, tojest właśnie w tych latach, kiedy Wisła prawie nie zamarzała. Wprawdzie z wielu doświadczeń p. *Gautier* w Genewie okazało się, że oziębienie temperatury przypisywane plamom słonecznym, wynosi średnio tylko 0,42 stopnia, mają jednak te plamy wpływ na prądy elektryczne powietrzni, zależne od słońca, co okazał *Ampère*.

Lecz, jak mówi *Humbold* „gdzie w naturze na objaw ruchu, działają powtarzające się, nieznanéj peryodyczności różnorodne przyczyny, prawidło zostaje długo ukrytém, gdyż często przyczyny te, nagromadzone, działają przeciwnie, lub niejednakowo się wzmacniają".

(*) Lehrbuch der Meteorologie I. 218.

Wilhelm Kolberg.

BOŻY CUD.

(Z ALEXANDRA PETOEFIEGO).

Odkąd gwiazda dziejów jasno
W mroku wieków zbiegłych płonie,
My wciąż sami ręką własną,
Miecz topili w naszém łonie.
Ileżkroć pod tym mieczem krew ściekała w bród!
Że Węgry dotąd żyją — ach! to Boży cud!

Niezleczeni długie wieki,
Z naszą krwawą żyjem blizną,
A kto balsam niósł na leki,
Wszak płacono mu trucizną.
Zły duch ujął nas w matnię swych piekielnych złud:
Że Węgry dotąd żyją — ach! to Boży cud!

Jak psy, wciąż się gryźlim sami,
Rozgrzebując własne śmiecie;
Gdy tymczasem, dzwoniąc kłami
Lwy siadały nam na grzbiecie.
Srogi Turczyn i Tatar gniótł nieszczęsny lud:
Że Węgry dotąd żyją — ach! to Boży cud!

Patrzcie, oto wody, stawy
Toczą nurty — tak czerwono,
Oh! bo Mogoł wssał się krwawy,
Jak pijawka w nasze łono.
W trop za hordą pożoga — blady mór i głód:
Że Węgry dotąd żyją — ach! to Boży cud!

Oto Mohacz! król wśród błota
Zgrzązł, stawiając wrogom opór;
Włócznia jego już sierota,
Przekowana w twardy topór,

Wciąż spada nam na karki i krew toczy w bród:
Że Węgry dotąd żyją — ach! to Boży cud!

Co dziś począć biedny ludu,
Mrok tajemny przyszłość słoni;
Mamyż z nieba czekać cudu,
Mamyż ufać własnéj dłoni?
Bracia! ukrzepmy barki na prace i trud:
Że Węgry dotąd żyją — ach! to Boży cud!

S. Pruszakowa.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Bacon, jego żywot i pisma" przez Emila Charles.—Historya francuzka Bordier'a.—Obliczenie ludności we Francyi.—Teatra: Gaëtana, Champi, Mauprat „la Bouquetière des Innocents," dramat pana Bourgeois.—Książki naukowe.—Atlas powszechny Babineta.—Potwór morski.—Wiadomości literackie.

Professor logiki, Emil Charles, napisał *Żywot Bacona*, oraz rozbiór dzieł i doktryn średniowiecznego nowatora. Książka, przybywszy w stosownéj porze, znalazła mnóstwo czytelników. Ponieważ mieści nie mało nieznanych szczegółów i rzuca nowe światło na poważną postać mnicha-męczennika, przebiegniemy ją tu pokrótce.

Urodzony w hrabstwie Somerset, roku 1214, Rogier Bacon za młodu wolą rodziców na księdza przeznaczony, odbył nauki w Oxford, poczem, około roku 1234 przybył do Paryża.

W początku XIII wieku Paryż był przedewszystkiem stolicą nauk; tutaj tylko uczeni mogli otrzymać uroczyste uświęcenie swéj wiedzy, czyli pasport do potomności: z tego powodu Bacon przybył ukończyć nauki w Paryżu. Ukończywszy je, powrócił napowrót do Oxfordu, gdzie objął katedrę teologii.

Do téj chwili żywot Bacona nie odznacza się niczem nadzwyczajném. Dopiéro powróciwszy do ojczyzny z nad Sekwany, gdzie słuchał kursów professorów sławnych, jak Wilhelm d'Auvergne, Alexander de Hales, Wojciech le Grand, spotkał się oko w oko z przeciwnościami, które go już nie opuściły aż do śmierci.

Z początku ziomkowie otoczyli tłumnie katedrę młodego professora, ale wnet zgorszeni jego wykładem, odstąpili ze zgrozą, przełożeni zaś wygnali go z Anglii.

Wyrok wygnania wypadł z trybunału duchownego, Bacon bowiem wstąpił do nowicyatu Franciszkanów. Dominikanie i Franciszkanie, naówczas gorliwi protektorowie nauk, najwięcéj pomagali uczącéj się młodzieży; dlatego młody Bacon przystał do nich, mniemając, iż pod ich potężną opieką, lepiéj niż gdziekolwiek będzie mógł myśli swoje rozwijać. Odebrawszy wyrok wygnania, spostrzegł, iż się pomylił w rachubie, ale cofnąć się już było zapóźno.

Co powiedział? co uczynił? żeby na tak surową karę zasłużyć, jest to tajemnica, któréj historya nie odsłania, z wielkim żalem badaczy pragnących wiedzieć, jaką zbrodnią Bacon umiejący po grecku, po arabsku i po hebrajsku, dwudziesto-letnią pracą wtajemniczony w tajniki teologii, filozofii, chemii, fizyki i matematyki, człowiek arcy-uczony, oburzył przeciw sobie zwierzchników do tego stopnia, że go aż, jak szkodliwą gadzinę, z kraju wyrzucili.

Cóżkolwiekbądź, wypędzony z Anglii Bacon, 1257 roku przybył do Paryża.

Tu, w ciasnych zaułkach gościnnego miasta, odwiecznéj warowni niesfornych studentów, pod cieniem uniwersytetu, można było znaleźć pobłażanie, przynajmniéj w niektórych nie zupełnie heretyckich pojęciach. Ale Baconowi inaczéj pisano. Nawet w téj kryjówce nie uniknął on prześladowania: był mnichem, więc musiał słuchać rozkazów swojéj władzy. Przełożeni wyznaczyli mu na mieszkanie ciasną celę, rodzaj samotnego więzienia; dla ukarania zaś zuchwałego umysłu, zbyt ciekawego i zbyt niesfornego, zakazali pisać i czytać. Nadto, zabroniono mu obserwować gwiazdy i rozmawiać z nowicyuszami, ponieważ mowa jego łatwo zgorszyć ich mogła.

Bacon przeżył tak już lat ośm w niewoli, kiedy Guido Fulcodi, były żołnierz i doradca króla, obrany został papieżem pod nazwą Klemensa IV.

Będąc legatem w Anglii, Klemens słyszał wiele złego o Baconie, i dlatego właśnie zapragnął zawiązać korrespondencyą z osławionym wygnańcem. Ale nie mógł tego uczynić. W XIII wieku legaci papiezcy nie mieli pra-

wa wchodzenia w klasztorne mury: czuwali nad nimi zewnątrz, ale wewnątrz nie mieli żadnéj władzy. Zamkniętemu mnichowi zakazano odpisywać na listy legata.

Skoro dowiedział się o śmierci Urbana i obiorze Klemensa, Bacon wysłał potajemnie do Rzymu pewnego francuzkiego magnata z missyą do papieża. Papież kazał sobie podać kilka książek Bacona. Przeczytawszy je, pokiwał głową i rzekł: „Ponieważ protestuje tak gorzko przeciw niesprawiedliwości przełożonych; ponieważ, jak twierdzi, jest przez nich srodze prześladowany jako apostoł szkodliwéj nauki; papież powinien wiedzieć co on stawia na miejscu tego co jest: niech mi przyszle swoje wyznanie wiary."

Mając sobie powtórzone te słowa Klemensa, Bacon posłał natychmiast do Rzymu żądane pismo.

Czy zrozumiawszy ważność proponowanéj przez Bacona reformy we wszystkich szkołach chrześciańskich, czy tylko dotknięty skargą nieszczęśliwego więźnia, papież przeczytawszy jego manifest, zganił ostro niegodziwe obchodzenie się ze znakomitym nowatorem, i kazał go uwolnić natychmiast.

Uszczęśliwiony Bacon powrócił do ojczyzny. Wolny, protegowany przez papieża, roił o świetnéj przyszłości.... Ale marzenia jego krótko trwały. Opuścił Paryż w końcu 1267 roku, a 29 listopada 1268, Klemens życie zakończył.

Bacon miał więcéj odwagi niż przezorności. Oddany na pastwę zawistnéj ciemnocie, zapomniawszy, że już nie ma potężnego opiekuna, począł wywoływać wrogów swoich do walki, atakować publicznie dostojników kościoła, a co większa, dowodzić, że nauka Chrystusa źle przez nich jest zrozumianą i źle nauczaną.

Nie rzadki to przykład buntu w owych czasach. Najpobożniejsze pisma średniowieczne pełne są gorzkich obelg dla wysokiego duchowieństwa. Z łona wierzącéj ludzkości wytryskali sceptycy, którzy śmieli wdzierać się w granice ortodoxyi i w niéj czynić poprawki. Poprawki te nie robiły się wprawdzie publicznie, ale niemniéj przeto istniały, jak tego dowodzą liczne wyroki, ogłaszane przeciw uczonym heretykom. Bacon w sumieniu, nie poszedł daléj jak Erigen, Ben, Dinant lub Abelard, ale występował jawniéj.

Jezuici wymyślili fałszywe wieki średnie dla powszechnego użycia; twierdzą oni, że wtedy wszystkie wyższe umysły były posłuszne tejże saméj co lud dyscyplinie; że uczeni przybici do ziemi témże samém jarzmem, trudnili się tylko mniéj więcéj genialném wykładaniem raz przyjętych zasad. W wiekach średnich pokazanych przez erudycyą szczerą, rzecz się ma wcale inaczéj: wówczas, jak dzisiaj, a może więcéj niż dzisiaj, umysły wyższe dzielą się na nowatorów i konserwatorów, po wszystkie czasy z sobą wojujących. Jedyna różnica, jaką upatrzeć można pomiędzy filozofami nowoczesnymi a heretykami średniowiecznymi, jest ta, że ci ostatni śmieli wolno myśléć i mówić nie znając praw wolności. Ztąd nielogiczność w ich postępowaniu: czasem wielka zuchwałość, a czasem wielka słabość. Ztąd przegrana w walce z nieprzyjaciołmi.

Wszystkie systemata, wszystkie pojęcia nowe, mają jak ziarno, swój czas wschodzenia, kwitnienia i owocowania. Sprobuj plon przyśpieszyć, powiedz przed czasem, a co ważniejsza, dowiedz niezbitemi argumentami, że metafizyka bredzi, lub że ziemia się obraca, a będziesz wnet ścigany jako złoczyńca, pochwycony i karany publicznie w obec klaszczącego tłumu.

Taka jest zwykła koléj rzeczy.

W roku 1278, na ogólném zebraniu kapituły, wypadł wyrok skazujący Bacona i podobnego jemu Jana z Oliwy, na wieczne samotne więzienie. Skutkiem tego wyroku Bacon przesiedział w więzieniu lat czternaście. W ciągu tego czasu, Mikołaj III, Marcin IV, Honoryusz IV, Mikołaj IV, kolejno zasiadali na Stolicy Apostolskiéj. Za ich panowania nie było żadnéj nadziei dla Bacona. Zdawało się, że umrzéć musi w więzieniu bez ratunku; Opatrzność atoli, mniéj smutny przeznaczała mu koniec.

Po śmierci największego wroga swojego, Mikołaja IV, który prócz niego wielu innych Franciszkanów więził i prześladował, zakonnicy wypuścili na wolność Bacona wraz z innymi.

W roku 1292 Rogier Bacon liczący już wtedy 78 lat, ukończył dzieło, które można uważać za jego filozoficzny testament. Skoro w roku 1294 w klasztorze oxfordzkim życie zakończył, Franciszkanie wszystkie pozostałe po

nim papiery zebrali, i jak jastrzębia na bramie przybili długiemi ćwiekami na desce. W kilkadziesiąt lat dopiéro po śmierci Bacona, wyciągnięto z ciemnego lamusa ukrzyżowane rękopisy i wyprowadzono je na dzień biały.

Pan Emil Charles w dziele swojém wykazuje najprzód, ile nauki ścisłe zawdzięczają Baconowi. Bacon, zdaniem jego, był najuczeńszym naturalistą swego czasu; jednak, przypisują mu niesłusznie rozwiązanie kilku zagadnień przed i po za nim docieczonych. Oryginalnym jest Bacon mianowicie jako filozof.

W drugiéj połowie XIIIgo wieku, kiedy był w pełni sił umysłowych, dwie sekty sławne trudniły się wychowaniem młodzieży: po jednéj stali uczeni Franciszkanie pod naczelnictwem Alexandra Hales, sentencyonalnego mistyka, błąkającego się w chmurach urojonego świata; po drugiéj uszykowali się przezorniejsi i z pozoru pokorniejsi Dominikanie, ułożeni w szkole świętego Tomasza. Ci trzymali się doktryny Arystotelesa, i nie tylko nie przeczyli mu nigdy, ale usiłowali wykładać jego teorye zgodnie z dogmatami ewangelii.

Dwie powyższe szkoły toczyły z sobą bój najzażartszy z wszystkich, jakich ślad w historyi pozostał. Chociaż miłosierdzie chrześciańskie powściąga język mówców, płomień namiętności wybucha tam co chwila. Dyskutując słabe punkta swoich systematów, dwie współzawodnicze szkoły posuwają sofistykę aż do śmieszności.

Bacon wysłuchawszy jednych i drugich, stanął pośrodku walczących i zuchwale wyzwał do boju oba obozy. Franciszkaninem będąc, nie tylko nie uznał mądrości Alexandra, ale co większa, zarzucił mu nieświadomość najprostszych rzeczy; o nauce Tomasza świętego mówił z lekceważeniem. Dowiódł, że obie szkoły powołują się na powagę starożytnych, a nie znają ich wcale, nie ćwicząc się w językach umarłych. Że nawet Arystotelesa, którego imię powtarzają ciągle, nie rozumieją, i dlatego przypisują mu tyle sprzecznych zasad. „Ani jedni ani drudzy nie rozumiecie po grecku, rezonowania zaś swoje opieracie na tekscie tłumaczonym z greckiego na arabskie a z arabskiego na łacińskie, bardzo niedokładnie, a często wprost przeciwnie. Takim jest Arystoteles łacinników.

Jakże się dziwić, że w nim nie możecie odnaleźć śladów starożytnéj mądrości?"

„Czemu, wykładał daléj Bacon, ograniczać całą naukę na czytaniu dzieł autora, który mógł się mylić? Poco uczyć się tych ksiąg na pamięć? Księgą mądrzejszą od wszystkich dzieł Arystotelesa, daleko bogatszą, a do spamiętania łatwiejszą, jest ta, która sama otwiera się przed oczyma szukającemi prawdy: księgą tą *przyroda*. Daleko korzystniéj użyje czas, kto jéj się radzić będzie, niż ten kto ważyć zechce urojenia, oparte na abstrakcyach próżnych i lekkich, tak, iż je jedno dmuchnienie przeciwnika obala. Niegodne to igraszki poważnych ludzi, którym zaufała młodzież każdego ich słowa słuchająca, jak ewangelii. Nauczyciele, obserwujcie naturę, to najlepsza ze wszystkich metoda. Arystoteles sam był najbystrzejszym obserwatorem w starożytności; porzućcie jego księgi, a idźcie za jego przykładem: nie czytajcie, ale patrzcie i słuchajcie."

Żaden scholasta nic podobnego przed Baconem nie powiedział; pod tym względem jest on bez poprzednika. Był tak dalece nowym w swoim rodzaju, że za życia nie miał ani jednego ucznia: nie rychło ich się doczekał nawet po śmierci. XIIIty wiek się skończył i XIV upłynął, a nikt rady Bacona nie posłuchał. Tłum wolący trzymać się ubitego gościńca, szedł drogą przez uczniów Alexandra lub Tomasza wydeptaną. Realiści i idealiści ujadali się z sobą po dawnemu, wadzili ząb za ząb, o słowa, nie zważając bynajmniéj na otaczającą ich przyrodę. Dopiero w XVI wieku ozwały się echa powtarzające rady Bacona. Wtedy już nie nazwano ich podejrzanem nowatorstwem. Scholastyka niepowrotnie skończyła swoją rolę, zaczęto na nią powstawać zawzięcie i z kolei krzywo patrzeć na nieśmiałych, których skutki mającéj się dokonać rewolucyi naukowéj przestraszały. Dokonano jéj wreszcie, kiedy dziwném zrządzeniem losu, pojawił się na widowni świata drugi Bacon: kanclerz, baron de Verulam, Franciszek Bacon, i na ziemi pokrytéj gruzami, wystawił drugi pomnik wiedzy, na frontonie którego wyrył to jedno słowo: *obserwujcie*.

Odtąd oczy zaczęły patrzéć, a umysł wprawiać się do zrozumienia i sądzenia wszechrzeczy. Badano, zastanawiano się, sprawdzano, rozbierano, a z tego skupienia myśli i natężenia wzroku, wynikła nauka nowoczesna.

Tak tedy metoda, któréj swiat całą swoję wiedzę zawdzięcza, która jest podstawą wszelkiéj *pewności*, głoszoną była już w XIII wieku przez mnicha Franciszkanina, któremu za to spółcześni kazali długą odpokutować męczarnią.

Wiek XIX chcąc mu tę krzywdę nagrodzić, oddaje zupełną sprawiedliwość człowiekowi, którego możnaby nazwać pierwiosnkiem nauki, gdyż jak on, pod ziemią przeczuł słońce, i śmiałém przebił czołem twardszą od grudy ciemnotę.

We Francyi p. Daunou, sumienny mściciel wielu innych sław zapoznanych, złamał w obronie Bacona kilka włóczni z historyą podającą przeciw niemu fałszywe świadectwa. Po tém Wiktor Leklere upomniał się o zasługi literackie Bacona; po tém, p. Cousin pięknym stylem skreślił rozbiór jednego z dzieł biédnego mnicha, nie dawno znalezionego pomiędzy staremi rękopisami: nakoniec professor logiki Charles wystąpił z apologią Bacona.

Praca, którąśmy przesunęli przed oczyma czytelników naszych, jest z wszystkich najobszerniejszą i zawierającą najwięcéj szczegółów tak o życiu jak o pismach Bacona. Teraz brakuje już tylko zupełnéj edycyi dzieł jego. Słychać, że Anglicy zamierzają w ten sposób uczcić pamięć uczonego rodaka. Jakoż, najlepiéj tego dokonać mogą: Anglia posiada najszacowniejsze manuskrypta Bacona; nadto, mimo materyalnego rozwoju, zachowała głęboką cześć dla nauki, posiada mnóstwo towarzystw uczonych, które swojém staraniem i swoim kosztem wydały już nie mało mniéj ważnych rękopisów. Wydawcy dzieł Lanfranc'a, św. Anzelma, Jana Salisbury winni uczonemu światu zupełne wydanie dzieł Bacona.

Panowie Bordier i Charton wydali historyą francuzką dla ludu, w dwóch grubych tomach, ozdobionych rycinami. Potrzeba takiego dzieła czuć się dawała mocno, bo

chociaż o dziejach Francyi książek napisano co niemiara, w tém dopiero stuleciu pojawili się tu historycy na tę nazwę zasługujący.

W żadnym może kraju europejskim zmysł historyczny nie obudził się późniéj jak we Francyi. W początku XIX wieku, po trzechset latach piśmiennictwa, nie było tu ani jednéj dokładnéj historyi: mieli Francuzi mnóstwo kronik, niezliczoną ilość pamiętników, ale ani jednéj książki opowiadającéj cały ciąg dziejów.

Czemu naród tak ciekawy i lubiący czytać, tak mało pragnął poznać własną historyą? Różni różnie tłumaczą. Châteaubriand stwierdzający fakt ten w *Génie du christianisme*, kilka naznacza mu przyczyn, atoli, tylko koło prawdy krąży, jak mu się to najczęściéj zdarza: widzi powody podrzędne, a nie widzi, czy widzieć nie chce głównego. Żeby zrozumieć, ogarnąć i polubić historyą, ażeby ją pisać jak należy, potrzeba mieć najprzód swobodny przystęp do źródła wiedzy, oraz swobodę wyrażania myśli. Bez tych warunków, jakże ocenić wypadki? jak malować charaktery?

Grecy i Rzymianie żyjąc życiem publiczném, zatém czując ważność kwestyj, z którémi losy obywateli związane, stworzyli dziejopisarstwo. Zgięci pod jarzmem braminów Indyanie, nie mają żadnéj historyi. Któżby się spodziewał, że pomiędzy nimi a Francuzami w pewnéj epoce zachodzi pewne podobieństwo? A jednak tak jest. Przed rewolucyą 1789r., jedyna polityczna namiętność Francuzów była, adoracya swych króli.

Za Ludwika XIV pochlebstwo doszło do najwyższego stopnia śmieszności. Uważana ze stanowiska godności człowieka, literatura francuzka z XVII wieku jest ohydna. Gęste kadzidło tumanami wznosi się zewsząd ku wersalskiemu Bramie. Ktokolwiek (z wyjątkiem Molièra) brał pióro, to na to tylko, żeby na wszystkie tony powtarzać: wielki! wielki! Z ambon także naówczas nie Pana Boga chwalono; Huet, biskup d'Avranches, w obec akademii woła: „Czemuż tak długo wielbiłem w starożytności przykłady cnót, które wydawały mi się niezrównane? Wiek nasz zebrał je wszystkie, większe i czystsze w osobie monarchy, któremu na nasze szczęście, niebo nas poddało!"

Inny biskup, sławniejszy, Fléchier, przemawiając do króla, w imieniu tegoż uczonego grona, rzekł: „Akademia oddawna uprawiająca sztukę krasomówstwa, nie ma słów w tak rozległym przedmiocie. Pomieszana, drżąca, ogranicza się przeto na niemém uwielbieniu tego, którego nie może ani ogarnąć, ani wypowiedzieć."

Pośród nędzy dziesiątkującéj lud francuzki, autor *Lutrin'a* pyta:

„*L'univers, sous ton règne, a-t-il des malheureux?*"

Inny znów członek akademii nie mogąc powściągnąć zapału, wykrzyka: „Poeci żalą się iż nie mają słów dość jaskrawych na oddanie cudowności czynów Ludwika Wielkiego; historycy przeciwnie, utyskują, że nie ma dość prostych wyrazów do opowiadania, ażeby kiedyś tyle cudów bajką się nie wydały".

Bussy wygnany z Wersalu z powodu zaocznego uchybienia pannie Lavallière, pragnąc przebłagać króla, do najgrubszego gatunku pochlebstw się ucieka. Między innemi, wysztychował na portrecie króla te słowa: „Ludwik XIV król francuzki, rozkosz i postrach rodu ludzkiego".

Wady, nawet zbrodnie Ludwika XIV znajdowały równie bezczelnych panegirystów, jak jego dobre czyny. Faworytom okazywano cześć bałwochwalczą. Potrzebując w sprawach swoich poparcia pani Maintenon, arcybiskup Mailly w jednym liście zowie ją „największą, najwspaniałomyślniejszą i najświętszą duszą na świecie". A do jakiejże apoteozy dało powód odwołanie edyktu nantejskiego! Nie wiadomo co więcéj podziwiać: czy niecność natchnienia autorów, czy ich srogą obojętność dla prześladowanych ofiar.

Bałwochwalstwo nie kończy się ze śmiercią Ludwika XIV. Następca jego, Louis le Bien-Aimé, był celem nie mniejszéj adoracyi, chociaż ubóstwiać go, było nieco trudniéj.

Najlepszy to dowód nierozwinięcia zmysłu politycznego we Francyi. Przed stanowczą katastrofą nie było tu nigdy mowy o prawach narodu, ani o konstytucyi. Pierwsze pochwały rządu angielskiego wywołały wielkie zadziwienie: Francuzi nie chcieli wierzyć, iż jest naród,

nad którym monarcha nie samowładnie panuje. Skoro Montesquieu wydał „*Esprit des lois*", gdzie wychwala ustawy Wielkiéj Brytanii, nie zrozumiano go wcale: początkowo dzieło nie miało żadnego powodzenia. Rzecz bardzo naturalna: książka ani ducha, ani nawet zmysłu politycznego nie obudzi; książka wypływa z życia, z pragnień, nie one z niéj. Potrzeba było straszliwéj, kilkoletniéj walki, ażeby zwrócić uwagę powszechności na sprawy, od których losy ludzkości zawisły; ażeby rozwiać grubą ciemnotę polityczną, w któréj jeszcze pradziady dzisiejszych Francuzów drzémali.

Tak tedy faktem jest, że historyą we Francyi poczęto pisać dopiéro w XIX wieku. Mnogie i poważne dzieła dowiodły, że Francuzi wyszli już i pod tym względem z dzieciństwa i szybko czas stracony odzyskali. Jednakowoż zamiłowanie historyi tak późno obudzone w klassach wyższych społeczności nie udzieliło się jeszcze klassie średniéj, prawdopodobnie dlatego, że dziejopisowie francuzcy, jak Michelet, Thiers, Thierry i im podobni, nie pisali dla powszechności: pogląd ich za wysoki, za obszerny dla niewykształconych czytelników. Pierwszy Henryk Martin dbalszy o dobro ziomków, niż o własną chwałę, na wzór bliźnich swoich zmalał i opowiedział dzieje ojczyste w sposób zrozumiały każdemu; dzieło jednak jego zbyt obszerne i zbyt drogie, nie było przystępne ogółowi. Panowie Charton i Bordier zaradzili temu stanowczo, zachowując starannie ducha Martin'a, który jest duchem Francyi, streścili jego 20 tomów we dwa *in quarto* i objaśnili tekst ozdobnemi rycinami. Jest ich 600. Ludowe wydanie, dzięki zasobności i dobréj woli wydawców, sprzedaje się po franków 15, cenę niezmiernie nizką za dwa grube tomy we dwie kolumny, bitym drukiem drukowane.

— Historya nasuwa na myśl świeżo ogłoszone w *Monitorze* obliczenie ludności francuzkiego cesarstwa. Pierwszego stycznia ludność 89 departamentów wynosiła 37,382,225 mieszkańców. W ostatnim pięcioletnim peryodzie od 1857 do 1861 powiększenie wynosi 1,342,861 głów; ale odtrąciwszy od téj cyfry liczbę mieszkańców ziem przyłączonych, powiększenie istotne wynosi tylko 673,802.

Po krzykliwych scenach wywołanych w Odeonie przedstawieniem „*Gaëtany*" nędznéj sztuki About'a, która po czterech reprezentacyach umarła bez zmartwychpowstania; po owéj sławnéj manifestacyi studenckiéj, wystosowanéj nie przeciw autorowi złego dramatu, ale złéj wiary redaktorowi nienawidzonego Constitutionela, manifestacyi, którą po Szekspirowsku możnaby zatytułować: wiele hałasu dla niczego, zaległa w Odeonie cisza, a pośród niéj, jako gwiazdy na oczyszczonym z chmur lazurze ukazały się dwie piękne sztuki George-Sanda: „*Champi*" i „*Mauprat*".

Champi miał już sto reprezentacyj w Odeonie; teraz na drugie sto mu się zanosi, tak wśród gnębiącéj rzeczywistości wzniosła ta sielanka przystaje do spragnionych ideału serc młodych. *Mauprat*, który wśród ważniejszych zajęć przed dziesięciu laty przesunął się przez scenę prawie niepostrzeżony, teraz zachwyca, jak pierwszy raz widziane arcydzieło... i nic dziwnego.

Literatura francuzka nie posiada piękniejszego od Mauprata romansu. Nigdy Piranes ponurym rylcem nie wyrył groźniejszéj, potężniejszéj i straszniejszéj architektury, jak ów zamek de la Roche-Mauprat, zaczajony, niby zbójca w wąwozie. Wkoło niego stuletnie dęby szepczą przerażenie... przechodzień przyspiesza kroku, spostrzegłszy przeklęte mury, bo budynki, jak ludzie, mają swoje fizyonomie. Wysokie wały, głębokie fosy, wieżyce zębate jak dyadem Cybeli, most zawsze zwiedziony, zawsze spuszczona krata, tu i owdzie wyglądająca przez szparę żmija, tu i owdzie grubo zakratowane okno, na wszystkiém wyciśnięte czarne piętno czasu, dokoła las, zarośla i cisza, cisza dzika, niepokojąca, złowroga: takiém jest zamczysko Maupratów, jaskinia szlachty-rozbójników, którym w zapadłym kraju pomiędzy la Marche i Berry, wydaje się, że jeszcze żyją w wiekach średnich, chociaż już na horyzoncie błyska jutrzenka nowych wyobrażeń.

Z jakąż niezrównaną potęgą George Sand maluje daléj wnętrze téj jaskini łotrów, porujnowane komnaty, w których krew i wino płyną potokiem z równą przelewane obojętnością, których ściany jeżą się szczątkami zabitego zwierza, a ognisko wiecznie czerwone, zdaje

się oczekiwać torturowych narzędzi i nóg przybyszów, co tu zaszli przypadkiem lub umyślnie.

A jakaż to rodzina potworna i okrutna, te ostatnie Beryszońskie burgrafy! Bestyalskie ich twarze, niby familijne rysy przypominają dzika i hyenę, wszystkie instynkta zbrodni i grabieży, wypisane na tych ponurych obliczach, nigdy żadną poczciwą nieoświeconych myślą.

Takie typy żywcem z natury wzięte, tłumaczą straszliwe rewolucyi odwety.

Bandyci z urodzenia, dumni rabunkiem i mordem, przez lat 600 dokonywanym bezkarnie w ich rodzie, Maupraty niezdolni nagiąć się do wymogów prawa powszechnego, zatarasowali się w swém murowaném gnieździe ze zgrają opryszków, i tam drwią sobie z króla i jego urzędników, trawiąc życie na odpieraniu szturmów i pijanéj rozpuście. Jakaś szatańska, rozpaczliwa poezya wspiera herbownych rozbójników w téj walce bez wyjścia: bezeceństwo ich ma pewną wielkość dziką, która działa na wyobraźnią chłopów, niewolników ich i wspólników.

Wśród téj zbójeckiéj czeredy, najmłodszy potomek rodu, Bernard, porwany z domu otrutéj matki, rozwija się jak kot między szakalami: napół dziki a napół przyswojony. Jakim cudem ów młodzieniec mający przed oczyma najgorsze przykłady, nie korzysta z nich i znajduje w nienawiści moc oparcia się czartowskiéj przemocy, tego dowiedzieć się można w powieści: tam rzecz ta opisana z całym analitycznym rozwojem, którego teatr nie znosi.

Nie dla saméj tylko artystycznéj przyjemności kreślenia czarnych obrazów, w guście Anny Radcliffe, George Sand opisała tę jaskinią łotrów: myśl wyższa wiodła jéj pióro. Chciała najprzód pokazać, co to byli ci feudalni panowie; powtóre, dowieść, że fatalizm złego nie istnieje: że zkądkolwiek wyszedłszy, można zawsze dojść do dobrego. W Bernardzie złe skłonności przeważały: zostawiony sam sobie byłby pewnie został godnym potomkiem swego rodu; ale autorka postawiła przy nim, jako anioła stróża, rezolutną, dumną a czarującą Edmeę, stalowe rączki w jedwabnych rękawiczkach, postać niewieściéj wiotkości, a tak silnéj woli, że może bez podstępu pokonać Samsona. Bernard przechodzi nowicyat twardy, ale

żeby zasłużyć na miłość Edmei, wszystkie wytrzymuje kaźnie i wychodzi z nich człowiekiem.

Od pewnego czasu wszyscy prawie autorowie francuzcy wystawiają kobietę, jako potęgę demoralizującą, jako rodzaj syreny ciągnącéj na skały każdego, kto na wzór Ulisessa nie przywiąże się do okrętowego masztu i woskiem uszu sobie nie zalepi; malują niewiastę jako Ewę, gotową zawsze poczęstować Adama fatalném jabłkiem i o zgubę go przyprawić. Ten punkt widzenia ma swoję prawdziwą stronę, jak każdy; ale nie jest regułą, a lekcya moralna z takowéj bajki nie płodna....

George Sand z innego zapatruje się stanowiska i naznacza kobiecie piękniejszą rolę na świecie: zdaniém jéj, kobieta uczyniwszy ze szczęścia *nagrodę cnoty*, może uzacniać i podnosić wyżéj, niż jakabądź potęga. Zamiast zmuszać miłość do niecnych ofiar, Edmea czyni z niéj narzędzie doskonalenia duszy i umysłu. Pojęcie to idealne jest zarazem bardzo realne i okazuje się najprawdziwszém w wykonaniu. Nic piękniejszego, jak ta biała i czysta Edmea z żelazną wolą w duszy a niezmiennym ideałem przed oczyma. Jeżeli to tylko figura z romansu, tém gorzéj dla ludzkości.

Pod koniec życia Balzac bardzo zajmował się teatrem; gdyby był pożył, uparty ten geniusz byłby pewnie zdobył scenę. George Sand, która jako romansopisarz nie mniejszéj doszła sławy, podobnéj teraz ulega pokusie: teatr ją wabi, pierwsze próby dramatyczne powiodły się szczęśliwiéj, jak Balzakowi. Przy tak wysokiéj inteligencyi, chęć przyswojenia sobie formy, wprost na ogół działającéj, jest bardzo naturalną. Ale żeby wyróżnić się od gawiedzi scenicznych partaczy, George Sand powinnaby opracowywać same oryginalne przedmioty: robić z rozdziałów sceny, to praca dla geniuszu niestósowna. Można wziąć z książki przedmiot: toć Szekspir brał co się dało z Luigi da Potor, Bandello Belleforet i z kronik, ale nie tłumaczyć dosłownie romansu dyalogami, ubiorami i dekoracyami. W sztuce myśl każda ma swój kształt absolutny; właśnie dlatego, że Mauprat jest doskonałym romansem, nie trzeba go było przebierać w szaty dramatu. Na co przerabiać, co już raz było zrobione doskonale?

Praca taka byłaby potrzebną wtedy chyba, gdyby powszechność nie umiała czytać.

Prócz niedogodności dwóch wykluczających się wzajemnie kształtów, przedstawienie w teatrze sławnego romansu ma jeszcze inną niekorzyść. Wedle opisu autora każdy utworzył sobie ideał, który aktorowie zawsze psują. Stać się to nie może w dramacie nieznanym, gdzie osoby rozwijają się swobodnie, nie mając potrzeby stósowania się do wizerunków, które każdy widz przynosi z sobą na przedstawienie zdramatyzowanéj powieści.

Wytknąwszy tę wadę zasadniczą, przyznać trzeba, że George Sand umiejętnie dokonała przenosin z książki na scenę. Dzięki doskonałéj grze aktorów, wszystkie figury romansu poznać można. Nawet Edmea, owa Beryszońska Minerwa, dość do wzoru się zbliża: warto iść do Odeonu, żeby sobie odświeżyć w pamięci tę najdostojniejszą z bohatérek Sanda. Romansowa i czysta jak Diana Vernon, ale czulsza i milsza od niéj, Edmea łączy w sobie przymioty świętéj i amazonki: ma czystość dziewicy a odwagę rycerki; duszę złotą i żelazną, serce Rzymianki bijące pod wysmukłym stanikiem legendowéj czarodziejki. Ledwie ujrzysz, już kochasz tę córę przeklętego rodu, tę lilią wyrosłą na bagnisku, tę rusałkę, krewniaczkę Minotaurów.

Niezadługo przedstawią w Odeonie trzech aktową arcy-dowcipną komedyą Voltaira „*Monsieur de Boursoufle.*" Sztuka ta dotąd nie drukowana, znajduje się w świeżo wydanym ostatnim tomie dzieł sławnego filozofa.

Dramat historyczny pana Bourgeois „*la Bouquetière des Innocents*" przedstawiany obecnie w Ambigu, przypomina dawne dramata szkoły romantycznéj. Prawda dziejowa nieco pomieszana z fantazyą, zwykle dobrze się wydaje na scenie, mianowicie, jeżeli jak tą razą staranna wystawa przenosi widza we właściwą epokę.

Sztuka pana Bourgeois zaczyna się śmiercią Henryka IV, a kończy skonem Conciniego zamordowanego przed Luwrem. Jedyny zarzut, jakiby można uczynić autorowi, że oczernił szatana przedstawiając Conciniego jako wspólnika Ravaillac'a i mordercę Henryka IV. Nie myślę tu bronić Conciniego, ani jego wspólnicy Galigai; znane są intrygi i grabieże ulubieńca niegodnéj wdowy Henryka IV. Nie ma w dziejach Francyi brudniejszego panowania jak

regencya Maryi Medicis; Concini grał w niéj ohydną rolę; jednakowoż, wystawiając na scenie historyą, nie należy malować go podżegającego do mordu Ravaillac'a. Straszne to oskarżenie, bez cienia dowodów, znajduje się wprawdzie w niektórych pamiętnikach, ale poważni historycy nigdy go do dzieł swoich nie wpuścili. Zresztą, więcéj niż podejrzeniu można wierzyć człowiekowi, który na torturach, polewany wrzącą oliwą i roztopionym ołowiem, przysięgał do ostatniego jęku, że nie miał wspólników. Jeżeli co zdaje się niezawodne w historyi, to to zaprzeczenie.

Concini dość występny i bez tego, grzechy swoje okropnie odpokutował. Jest osobna książka z owéj epoki pod tytułem: „*Opis wierny wszystkiego, co się działo podczas śmierci marszałka d'Ancre.*" Autor, świadek naoczny, opowiada najprzód szeroko spisek króla przeciw poddanemu. Ludwik XIII z ulubieńcem Luynes, po całych nocach układa plany morderstwa. Niechęć jego przeciw Conciniemu podobna niechęci dziecka do niepozwalającego figlować nauczyciela. Concini trzy razy przypadkiem wymyka się z pod królewskiego noża. Nareszcie ostatnia godzina wybiła. Król zamknięty w komnacie, czekał spełnienia swoich rozkazów „tnąc scyzorykiem kawał pargaminu." Vitry, powiernik, wyglądał przybycia marszałka chodząc przed pałacem; ujrzał go niedługo jadącego konno wybrzeżem Sekwany, w towarzystwie trzydziestu szlachty. Skoro wjechał na most, oddano mu list; Concini zwolnił konia: wtedy Vitry zbliżył się i schwycił go za cugle. Marszałek krzyknął „*à moi!*" W téjże chwili trzech spiskowych strzeliło mu w twarz z pistoletów, inni przeszyli go szpadami. Zaledwie upadł, cały orszak począł krzyczeć: „niech żyje król!". Wtedy Ludwik XIII wyszedł na balkon i zawołał: „*Grand mercy, Grand mercy à Vous! A cette heure je suis roy!*".

Usłyszawszy królewskie podziękowanie, szlachta i lud zarówno nienawidzący Conciniego, zaczęli się pastwić nad jego trupem. Noc przerwała okrutną zabawę, ale skoro ranek zaświtał, tłum wyciągnął z kościoła zwłoki marszałka, i bijąc je kijami, zawlókł pod szubienicę na Pont Neuf. Tam, lokaj powiesił pana za nogi; potém ucięto mu głowę, potém ktoś wydarł mu serce i upieczone na węglach zjadł, wśród wycia rozjadłéj tłuszczy. Resztę ciała zaciągnięto

pod drugą szubienicę, na place de la Grève, i tam drugi raz powieszono, a nareszcie spalono, wśród bengalskich ogni.

Okrutniejszy niż ta męka, przed którą wzdryga się natura, był czyn ostatni. Narator powiada: „łuczniki, którzy pilnowali pietnastoletniego syna Conciniego, kiedy trup marszałka wisiał na moście, otworzyli okna i kazali mu patrzeć na powieszonego ojca, ażeby nauczył się żyć lepiéj". Nieszczęsne dziecko uderzone tym widokiem śmiertelnie, chciało się zamorzyć głodem. Anna Austryaczka posłała mu konfitur i kazała go przyprowadzić do siebie. Skoro stanął przed nią, królowa słyszawszy, że pięknie tańczy, kazała mu tańcować „dla rozrywki." Chłopiec połykając łkania, tańcował... Ale po tym tańcu grobowym, padł jak nie żywy. Sechł co dzień, nareszcie w kilka miesięcy po śmierci ojca, we Florencyi życie zakończył.

Tę to straszną prawdę, uokropnioną scenicznym światło-cieniem, przedstawiają w Ambigu. Morderstwo marszałka przeniesione na schody Luwru, tworzy scenę groźnie poważną, niby z obrazu Delarocha zdjętą. Młodego Ludwika XIII, wedle portretu, przedstawia bardzo dobrze kobieta. Henryka IV i Conciniego rolę, gra aktor Faille, naśladując wybornie charakter i postawę tych dwóch figur historycznych.

Grono pisarzy rozpowszechniających naukę, z każdym dniem wzrasta. Kiedy przed dziesięcią laty Ludwik Figuier począł wydawać w Paryżu swój *Rocznik naukowy*, zaledwie kilku liczył kolegów. Dziś, dzięki dobremu przyjęciu, jakiego od publiczności doznają, przystępne wykłady nauk ścisłych i przyrodzonych, jawią się częściéj niż powieści, które niedawno jeszcze były jedyną strawą umysłową ogółu.

Wymienimy tu najnowsze. A najprzód: dwa drugie tomy *Fantazyj naukowych* p. Berthond. Jestto dzieło należące do rzędu tych rzadkich płodów umysłu, które obudzają miłość nauki, zaspakajając zarazem potrzeby młodocianéj wyobraźni. Są to powiastki powiązane z sobą niby łańcuch przyrodzenia i tłumaczące cuda przyrody za pomocą nauki, która na skrzydłach poezyi do głowy czytelnika wlatuje.

Podobneż dzieło wydał redaktor Dziennika Ekonomistów, p. Mangin, pod napisem: *Podróż naukowa około mego pokoju.* Jestto naśladowanie w dziedzinie scyentyficznéj, znakomitego dzieła Ksawerego de Maistra. Łagodny pisarz sabaudzki, którego styl miły, tak dziwnie odbija od namiętnego fanatyzmu zbyt sławnego brata, co chciał wstrzymać pochód ludzkości, odbywa wkoło swojego pokoju podróż moralną: porusza, podnosi, kształci serce, rozwija duszę. Naśladując tę nadobną formę Mangin, fizyk, chemik i naturalista, napisał dzieło imaginacyjno-naukowe, poruszające wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiéj. Ciepło, zimno, para, elektryczność, historya naturalna, są kolejno studyowane przez podróżnego domatora, tém tylko różniącego się od swego poprzednika, że zamiast podróżować sam, ma obok siebie ciekawego towarzysza, któremu światła użycza.

Ponieważ wykład jest zbyt treściwy, radzą autorowi, żeby wydał tom drugi i w nim głębiéj przedmiot wyczerpał. Wtedy podobieństwo z dziełem de Maistra stanie się jeszcze większe, albowiem, jak wiadomo, tenże ogłosiwszy podróż około swojego pokoju, wydał drugą, pod napisem *Expedition nocturne autour de ma chambre.* Krytycy paryzcy w imię astronomii proszą p. Mangin, żeby napisał „wyprawę scyentyficzną nocną, około swego pokoju".

Henryk Parville, ostatni z przybyłych, nie jest ostatnim z talentów poświęcających się rozpowszechnianiu nauki. Świeżo przez niego wydane *Causeries scientifiques* są zbiorem artykułów, które autor drukował w odcinku Constitutionela. Zebrane w tom jeden wyszły dedykowane *au très savant prince de Polignac.* Autor jest biegłym inżynierem, dlatego na zdaniu jego w tym przedmiocie polegać można. O robotach wykonywanych teraz na ogromne rozmiary w Paryżu, sprawozdania Parvill'a mówią najdokładniéj.

—Kamil Delvaille wydał *Studya historyi naturalnéj.* Jestto także zbiór artykułów ogłoszonych poprzednio w przeglądach. W książce téj zauważaliśmy dobrze napisaną biografią Stefana Geofroy Saint-Hilaire, i wykaz dzieł syna jego, świeżo zmarłego Izydora Saint-Hilaire.

Wyszedł także trzeci tom *Rocznika Kosmosa* redagowanego przez p. Tremblay, wydawcy Kosmosa redagowanego przez ks. Moigno. Rocznik ten ma zastąpić *Annuaire du Bureau des longitudes*, pismo od czasu śmierci p. Arago zupełnie opuszczone. Artykuły kosmosowego rocznika na r. 1862, są podpisane najsławniejszemi w dziedzinie nauk francuzkich imionami.

Zapowiedziano nowy *Rocznik naukowy*. Redaktorem jego ma być członek Instytutu p. Fonville.

Rocznika naukowego Figuier'a wyszedł tom szósty. Zawiera obraz analityczny głównych wynalazkow i prac scyentyficznych, dokonanych w ciągu zeszłego roku. Na okładce wyrysowana wielka kometa 1861 r. Założony w r. 1857, Rocznik Figuier'a służył za wzór wszystkim późniejszym tego rodzaju publicystom. W rok po ukazaniu się jego, zaczęły się sypać jak z rękawa *Année littéraire*, *Année agricole*, *Année musicale*, *Année religieuse*, *anecdotique*, *comique*, *et tutti quanti*. Sędziwy protoplasta dotąd trzyma się dobrze i na uszanowanie zasługuje.

—Pan Babinet wydał wielki *Atlas powszechny geografii fizycznéj, politycznéj i historycznéj*, oraz *monograficzną mapę świata*, którą to pracą, jak twierdzą jego akademiccy koledzy „dokonał olbrzymiéj w nauce geografii rewolucyi". Rewolucyą zowią przyjaciele, poprawienie dawnego systemu kreślenia na mapie wizerunku ziemskiego globu.

Wziąwszy pod ścisłą kontrolę narysowane na płaskiéj powierzchni lądy, wyspy i morza, Babinet przekonał się, iż używany dotąd systemat rzutów (nakreślenie), jest wadliwy; zastąpił go przeto, rzutem nowym, który nazwał *rzutem regularnym* czyli *homolograficznym*.

Wedle téj nowéj metody skreślono *Atlas powszechny*, o którym mowa.

Pojąć łatwo, że wykonanie wiernéj reprodukcyi powierzchni globu, czyli mapy świata, z zachowaniem ścisłém stosunku odległości, jest rzeczą bardzo trudną, a nawet niepodobną. Ziemia ma kształt kuli; ztąd niemożność rozpłaszczenia jéj wizerunku bez szczerb, lub dodatków. Każda tedy mapa świata musi być błędna; roz-

sądnie można tylko żądać od geografa, żeby te błędy były jak najmniejsze.

Używano rozmaitych sposobów zdejmowania wizerunku ziemi; najpowszechniejsze są: *rzut Mercator'a* używany do map morskich, i *rzut stereograficzny*, używany do map zwykłych. Wedle piérwszéj metody brzegi są nakreślone w jednakowéj mierze od jednego do drugiego końca świata, rozległość zaś ziem i morz zaciera się w miarę oddalenia się od równika; w mapach świata stereograficznych, kraje położone w środku karty, stosunkowo do leżących nad brzegami, są zmniejszone do trzeciéj części.

Otóż Babinet sprostował błędy pochodzące z powyższych systematów, zastępując równoległemi liniami *prostemi* równoległe *krzywe*, dawniéj używane. Tym sposobem zmodyfikował znacznie położenie miejsc i rozległości rozmaitych części stałego lądu. Rzut Babineta dozwala wyobrazić dokładnie za pomocą różnych kawałków mapy, równe kawałki globu, i dać tym sposobem wyobrażenie dokładne o rozległości wszystkich działań lądowych, morskich i klimatycznych kuli ziemskiéj.

Ztąd poszło, że atlas Babineta ma zupełnie inną fizyognomią jak zwykłe. Ameryka północna i Syberya niezmiernie rozległe na dawniejszych kartach, na téj są zamknięte w ciasnych granicach; Afryka przeciwnie, daleko rozleglejsza wychodzi, mianowicie południowa; Europa zmalała, Australia bardzo urosła i t. p.

System Babineta lepszy od innych, do kréślenia kart powszechnych, nadaje się również do budowy map osobnych: w potrzebie, odrywa się tylko od kuli część żądana.

Zastosowanie użyteczne tegoż systematu, takie, że na równo pokratowanéj mapie, policzywszy kwadraty całe i ułomne pokrywające lądy i morza, dowiadujemy się natychmiast, jaki jest stosunek wody do ziemi na całym globie i dwóch półkulach. Tymże sposobem można łatwo obrachować rozległość rozmaitych lądów.

Na kartach, z których się składa *Atlas powszechny*, oznaczono: 1) państwa polityczne; 2) grunta, czyli formacye geologiczne; 3) źródła rzek; 4) kopalnie; 5) uprawy

i produkta roślinne lub zwierzęce; 6) rasy ludzkie i religie; 7) prądy i przeważne wichry: słowem wszystko, czego dziś ludzie od geografa wymagają.

Akademia nauk zajmowała się w tych czasach ciekawém zjawiskiem. Kapitan francuzkiego statku, p. Bouyer, złożył ministrowi marynarki raport szczegółowy, o spotkaniu na morzu, w okolicach Madery, potworu ogromnych rozmiarów, należącego do rodziny mięczaków, ale tak rzadko pojawiającego się na wód powierzchni, że istniejące jego opisy niektórzy naturaliści w rzęd bajek policzyli.

Raport kapitana korwety *Alecton*, wydał się tak ważny marszałkowi Vaillant, iż go natychmiast akademii nauk zakomunikował wraz z wizą francuzkiego konsula i wizerunkiem potworu. Oto treść niniejszego raportu:

Parowiec *Alecton* płynący do Cayenny, 2 grudnia, pomiędzy wyspą Maderą a Teneryffą spotkał potwornego zwierza, pływającego na wód powierzchni. Maść jego była ceglasta, długość najmniéj sześć metrów, nie licząc nawet ośmiu potężnych rąk, które otaczały jego głowę; ogromne oczy wysadzone ze łba, patrzyły z przerażającą nieruchomością; paszcza w kształcie papuziego dziobu, miała około pół metra szerokości. Ciało miękkie, śliskie, rozdęte w środku, przedstawiało ogromną massę ważącą wedle powierzchownego ocenienia, najmniéj 4000 funtów. Skrzele przyczepione przy ogonie, przedstawiały się jak mięsiste puklerze.

Skoro tylko ujrzano tę nadzwyczajną potworę, kapitan kazał manewrować tak, żeby zwierzę żywcem pochwycić: zrobiono stryczek, nabito flinty i przygotowano haki.

Kilka strzałów ugodziło zwierza; wtedy on dał nurka, przeszedł pod okrętem i pokazał się na drugiéj stronie. Haki nie chciały się trzymać w miękkiém cielsku: przebiwszy je jak masło, bez oporu wychodziły; cała więc nadzieja była w strzelbie. Dostawszy znowu kul kilka, zwierz znikał trzy razy i po kilku minutach znowu na wierzch

wypływał, machając niecierpliwie rękami. Okręt płynął wciąż za nim, lub stawał, ilekroć on się zatrzymał.

Polowanie takie trwało przeszło trzy godziny. Kapitan chciał koniecznie żywcem złowić potworę, nie śmiał atoli narażać życia majtków wysadzając ich w tym celu na małą łódkę, którą zwierz zamachem jednéj z swoich rąk ośmiu, mógł zatopić. Haki nie chwytały, kule nie brały, stracono już nadzieję pochwycenia, kiedy jedna z nich zarywszy w jakieś drażliwe miejsce, wytoczyła krwi strugę wraz z mocnym odorem piżma.

W téj chwili, korzystając z pomieszania potworu, które zdradzało mruganie oczu i konwulsyjne pięści ściskanie, zarzucono nań stryczek; ale sznur, po śliskiém ciele, od głowy zsunął się do ogona, gdzie zaczepiony o skrzele pozostał. Poczęto ciągnąć brzemię do góry. Większa połowa była już nad wodą, ale skoro ciężar stawał się coraz większy, sznur wpił się w ciało i odciął część tylną od przedniéj. Skaleczony potwór wpadł w morze i zniknął.

Trzeba było poprzestać na ogonie i skrzelach. Część wyłowioną odryscowano dokładnie, ukolorowano z natury i wraz ze skalą dołączono do raportu.

Na posiedzeniu akademii, pan Milne Edward obejrzawszy powyżéj opisane zwierzę, zawyrokował, iż należy do gatunku *cefalopodów* olbrzymich, o których wzmiankuje kilku naturalistów, a których części widzieć można zakonserwowane w londyńskiéj szkole chirurgicznéj.

Rodzaj ten mięczaków dziś niezmiernie rzadki, w starożytności musiał być liczniejszy. Arystoteles o nim wspomina; Pliniusz opisuje szczegółowo; Olaüs Magnus opowiada o morskim potworze tak wielkim „iż więcéj do wyspy niż do bestyi był podobny."

Z nowoczesnych naturalistów, Duńczyk Steenstrup, podaje szczegóły o olbrzymim cefalopodzie, którego w 1853 roku morze wyrzuciło na brzegi Jutland. Opis Duńczyka z opisem francuzkim zgodny. Zoolog ten zowie tego zwierza Architeuthis dux.

Późniéj, w 1860 roku, Harting opisał i wyrysował rozmaite części członka tejże rodziny, znajdującego się w muzeum utrechtskiem.

„Wszystkie te obserwacye nie stosują się do jednego gatunku cefalopoda, powiedział kończąc rzecz swoją pan Milne: jest ich zapewne wiele, ten atoli którego spotkał nasz okręt, do największych należy, wszystkie bowiem z podanych rozmiarów, o połowę są mniejsze."

Wyszedł 26 i 27 tom *Biblioteki Użytecznéj*. Piérwszy zawiera *„Historyą Restauracyi"* napisaną przez Fryderyka Lock; drugi *„Historyą Populurną Filozofii"* przez pana Brothier.

—Wyszedł zeszyt grudniowy *„Archiwów Dyplomatycznych;"* zakończa piérwszy rok zbioru. W ciągu r. 1861 *„Archiwa"* ogłosiły 700 dokumentów, blizko po dwa na dzień; wszystkie kwestye zajmujące polityków, są tam przedstawione bez uwag. Publikacya ta nasunęła myśl wydania w takiż sposób, dokumentów dotyczących Polski, z ciągu ubiegłych lat stu. Pomysł został wykonany staraniem margrabi de Noailles i Leonarda Chodźki. Książka wyszła u Amiota, podpisana pseudonimem margrabiego: „Comte D'Angeberg."

Zbyteczna rozwodzić się nad użytecznością podobnych publikacyj. W dzisiejszych czasach niewiary i złéj woli, to jedyny nauczający i przekonywający sposób pisania historyi. Ważność ksiąg takich z czasem wzrasta: nie jedna najświętsza prawda dziejowa do historyi bajecznéj zostałaby zaliczona, gdyby ślad jéj czarny na białém, w archiwach dyplomatycznych przystępnych każdemu, nie pozostał.

— Tom 31 „Biografii Powszechnéj" Michaud'a, kończy literę *O*, i zaczyna literę *P*. Dzieło składać się będzie z 42 tomów in 8vo, w dwóch kolumnach o 700 stronnicach bitego druku. W 31 tomie, znajdujemy mnóstwo biografij świeżo zmarłych znakomitości.

— Niezadługo wyjdzie z druku nowy tom poezyj Wiktora Hugo, pod napisem: *„Les Rues et les Bois."*

WŁOS SIWY.

(OCTAVE FEUILLET).

OSOBY.

FERDYNAND, mąż, lat 45.
KLOTYLDA, żona, lat 35.

Rzecz dzieje się w Paryżu.

Pokój Klotyldy ubrany wykwintnie. Drzwi w głębi i na prawo. Po lewéj stronie komin, na nim rozłożony ogień. Daléj okno, na stole płonąca lampa. Godzina 1sza po północy. Klotylda powraca z balu; na sukni lekkiéj, zarzucony burnus; wchodzi przez drzwi na prawo. Mąż zatrzymuje się w progu trzymając w ręku świecę, ma odejść w przeciwną stronę mieszkania, do siebie. Strój jego także balowy; z wierzchu paltot z podniesionym kołnierzem.

SCENA 1.

KLOTYLDA — FERDYNAND.

KLOTYLDA (*wchodząc*).

Dobranoc!

FERDYNAND (*stojąc na progu*).

Dobra noc! (*Spostrzega komin*). O! jaki dobry ogień u ciebie.

KLOTYLDA.

Chwała Bogu.... wracam cała przeziębła.

FERDYNAND (*zawsze na progu*).

Ja niemniéj.

KLOTYLDA.

Spodziewam się, że i u ciebie ogień być musi?

FERDYNAND.

Wcale nic. Znasz mój niedorzeczny nałóg zamykania pokoju.... No! chwilowa przykrość: trzeba ją przenieść..... wkrótce zapewne wyjdę.....

KLOTYLDA *(przerywając mu).*

Nie psuję ci projektów, ale jeśliś tak zziębnięty, wejdź na chwilę do mnie.

FERDYNAND (*zawsze na progu).*

Dziękuję ci sto razy; ale.....

KLOTYLDA.

Ale?

FERDYNAND.

Mógłbym cię....

KLOTYLDA.

A, to prawda..... Wejdź-że prędzéj i zamykaj drzwi za sobą. Radabym widzieć je zamknięte: jakkolwiek twoja rozmowa obecna jest pełna powabów, nie chciałabym ją jednak opłacić katarem.

FERDYNAND.

Więc jeśli pozwalasz, wejdę. *(Wchodzi).*

KLOTYLDA.

A drzwi zapomniane?

FERDYNAND.

A! przepraszam.... *(Zwraca się i drzwi zamyka; potém na stole stawia świecę, kładzie kapelusz i zbliża się do ognia).*

KLOTYLDA (*zdejmując z siebie klejnoty*).

Może usiądziesz?

FERDYNAND.

O! nic.... dziękuję ci... Nie chcę tu robić *installacyi*.... chciałbym tylko powrotu w sobie jakiéj takiéj *cyrkulacyi*... Patrz! Masz rymy....

KLOTYLDA

(*Posuwa ku kominowi wielkie krzesło, opiera się o jego poręcz i staje naprzeciw męża*).

Powiedz mi lepiéj, dlaczego ten swój pokój tak starannie zamykasz? Musi być w tém jakaś tajemnica.

FERDYNAND.

Tajemnica... nie! Stary nałóg: a jak powstał, zaraz ci opowiem. Pamiętasz Michała?

KLOTYLDA.

Michała?....

FERDYNAND.

Który służył u mnie przed naszém weselem... Nie pamiętasz? Widziałaś go sto razy u twéj matki, gdym bywał u niéj, starając się o ciebie.

KLOTYLDA.

Widocznie pamięć tracę..... Taki interesujący szczegół twego życia: a, zapomniałam go zupełnie... No! przypuśćmy, że ten Michał istniał.... Cóż daléj?

FERDYNAND (*trochę zmieszany żartobliwością żony*).

Ufałem temu człowiekowi bez granic.... dość ci powiedzieć, żem zostawiał pokój, sprzęty, wszystko, odemknięte; pewnego razu wychodzę, polecając mu, aby o godzinie 2 po północy rozłożył mi dobry ogień na kominie: wtém, nie wiem już co mi się przytrafiło; ale zamiast o god. 2, o 10 wróciłem..... A trzeba ci wiedzieć, żem miał właśnie wtedy lulkę doskonałą, nieporównaną, którą do dzieciństwa lubiłem.

KLOTYLDA.

Jakto? Więc paliłeś?

FERDYNAND

Nie... tak... z téj jednéj lulki i to przez wdzięczność dla przyjaciela, który mi ją darował, a także z entuzyazmu dla tytuniu tureckiego, który mi drugi mój przyjaciel ze Smirny przywiózł..... Znałaś ich obydwóch: poczciwe chłopcy!.. Ale kończę moję anegdotę: otóż, wracam niespodzianie o god. 10.... Woń mocna, a coś niby wschodnia bije mi w nos odrazu na schodach i podejrzenie we mnie budzi..... idę daléj na palcach... dochodzę tak do drzwi: zastaję je otwarte i widzę..... zgadnij?

KLOTYLDA.

Może przyjaciela, *dawcę lulki?*

FERDYNAND.

O! Bynajmniéj.

KLOTYLDA.

Więc droższego ci jeszcze, *dawcę tytuniu?*

FERDYNAND (*z niecierpliwością*).

Wcale nie: widzę..... Michała! Ale wyobraź sobie co robił? Rozpostarty w krześle, z największą flegmą czytał moje listy i palił z owéj lulki.

KLOTYLDA (*spokojnie*).

Straszliwe zdarzenie! I jakże, nie zniechęciło cię to do życia?

FERDYNAND.

Do życia? nie; ale do lulki zupełnie, i do Michała także. A teraz dobranoc! Dziękuję za gościnność.

KLOTYLDA.

Ogrzałeś się?

FERDYNAND.

O! nie. .. Ale choć udajesz uprzejmą i niby słuchasz uważnie, z całéj twéj postaci widzę, że chciałabyś, abym już wyszedł.

KLOTYLDA.

Zkądże to mniemanie? Może dlatego, że stoję: gotowa'm usiąść. *(Siada).* Zostańże chwilę, choćby dla osobliwości. *(Po chwili).* Jakże ci zszedł bal dzisiejszy?..... a raczéj, nie to-bym wiedzieć chciała..... Powiedz mi mój drogi, wiele lat mieć możesz? Ale tak, bez fałszu.

FERDYNAND.

Czterdzieści cztery. Na co ci to?

KLOTYLDA.

Henryka pytała mnie dzisiaj.... Wypytywała o to długo, natarczywie..... a ja nie umiałam odpowiedzieć.

FERDYNAND.

A cóż to ją obchodzi tak bardzo?

KLOTYLDA.

Nie wiem..... Skarżyłam się na bal z przyczyny silnego bolu głowy. Ona mi na to: „czemuż nie odjedziesz"? Mój Boże! rzekłam i dokończyłam odpowiedź giestem, wskazując ciebie. „Jakto?— zawołała zdziwiona Henryka—czyż być może, aby mąż twój dotąd bale lubił?"— I daléj pytać o twe lata. Oto moja powieść: nie lepsza wprawdzie, ale téż i nie gorsza od twojéj o Michale.

FERDYNAND.

To pewna. Ale wracając do twojéj pani Henryki, kto się urodził w dzień wielkiéj przegranéj wielkiego człowieka, mógłby mniéj trochę dat pilnować... a kto ma taką jak ona buzię, powinienby nawet wcale nie mówić. Co do mego wieku: skończę wkrótce lat 45. O! stary jestem.... stary jak Matuzal: wiem o tém i prawdziwie zdziwiony jestem... gdy. . *(Wykłada z pretensyą kołnierz swego paltotu)* mi się przytrafi... jak dziś naprzykład... usłyszyć serdeczne wyznanie kobiece.... I czy uwierzysz? Wcale pochlebne.

KLOTYLDA (*z obojętnością*).

Takie niespodzianki zdarzają się mężczyznom.

FERDYNAND.

Owóż mnie się zdarzyło.

KLOTYLDA.

Nic dziwi mnie to: jesteś piękny!

FERDYNAND.

Na to się nic zgadzam.

KLOTYLDA.

Ale doprawdy, piękny jesteś.

FERDYNAND.

To chyba żartujesz... Powiedz raczéj, żem zupełnie niełądny... niezgrabny.... niekształtny..... przyznam ci, że masz racyą. Ale cóż? Na świecie różne są gusta: bywają między niemi całkiem dziwaczne, nielogiczne, niepojęte.... wytłumaczyć tego nie potrafię: *sprawdzam tylko fakta. (Zbliża się do stołu i bierze świecę).* Teraz, naprawdę, dobranoc.

KLOTYLDA *(do siebie niby).*

A, to dziwna.... Pokazuje się, że bal był pełen scen i wyznań sentymentalnych.

FERDYNAND *(który już wychodził, wraca).*

Czy tak?

KLOTYLDA.

Nie mówię to wcale, aby cię zatrzymać: *sprawdzam tylko fakta.*

FERDYNAND.

Czy myślisz, żem się co nowego dowiedział? Mniemasz może, że nie wiem, iż około północy oddano ci tajemniczy bilecik!

KLOTYLDA *(powstając z żywością).*

Tego nie było!

FERDYNAND.

Czy się obrażasz niedokładnością opowiadania? zaraz się poprawię. Właściwie nie bilecik ci oddano, ale... ale.... zamawiano cię do walca. Podałaś swe notatki, prosząc, aby się tam zapisano. Wzięto i zapisywano się długo — długo..... a w końcu notatki wróciły do ciebie. Czyż nie tak? *(Na wpół z żartem).* Pokażże mi swą książeczkę.

KLOTYLDA.

Nie pokażę.

FERDYNAND (*śmiejąc się*).

Zrób jak chcesz, ale teraz przynajmniéj przyznaj, że mam racyą.

KLOTYLDA (*podając notatki*).

Masz!

FERDYNAND (*z udaną obojętnością*).

Tylko bez tego junactwa, Klotyldo: weź to sobie. Widzisz przecie, iż z zazdrości nie konam, przytomności umysłu wcale nie tracę; przeciwnie, mniemam, iż masz niezbity dowód siły mego charakteru i téj mocy moralnéj, która zawsze sobą włada. Jednak ostrzegam cię: są pewne granice, do których doszedłszy, nie byłbym już panem siebie.

KLOTYLDA

(*wpatrując się w męża. Po chwili siada i mówi dobitnie, powoli*).

A gdyby rzeczywiście który z tych panów tancerzy nadużył mych notatek, aby w nie napisać jaką słodko-nudną grzeczność: byłażbym winna?

FERDYNAND.

A! więc to tylko grzeczność? Mocno się cieszę. Powiedz może, żem źle wychowany, niedelikatny... ale ci wyznam.... nie grzeczności się bałem: obawiałem się sentymentalnéj schadzki.

KLOTYLDA.

Téj nocy zapewne?

FERDYNAND.

Tak przypuszczałem ....

KLOTYLDA.

I tutaj zapewne?

FERDYNAND.

Czemuż nie? (*Śmiejąc się*). Wszak masz ogród, balkon, drzwi ukryte prowadzące do ogrodu... rozporządzenia mieszkania wcale wygodne, coś z hiszpańska zakrawa... Tancerz twój musi być i waleczny i przytomny.... przezorny..... Zresztą, czyż nie wiemy, że kartka papieru mniejsza od kartki twéj książeczki nie raz była dostateczną, aby odkryć tajemnicę ważną i w rękę nieprzyjaciół oddać oblężone miejsce..... Oh! jak wznosisz ramiona i oczy do góry: czy chcesz, aby sufit świadczył o twojéj niewinności... o mojéj tyranii? Wierz mi, giesta to podejrzane, i stary, wytrawny sędzia, nie da się niemi oszukać.

KLOTYLDA (*z żywością*).

A ja z méj strony powiem, że ta pogardliwość słowa niczém nieusprawiedliwiona, ta pewność siebie do śmieszności posunięta, ta niegrzeczność, którą odpłacasz moją gościnność, są to środki

nietrafnie obrane, aby wywrzéć zbawienny wpływ na serce kobiece..... Takie zaczepki i napaści niesłuszne, bardziéj mogą zachęcić do złego kobietę, aniżeli ją od zła ocalić.

FERDYNAND.

Ja téż nie myślę ocalać nikogo. Gniewasz się bez racyi... nie łamże tego wachlarza.... Każesz — wnet wyjdę; ale bądźmy sprawiedliwi. Jeżeli mowa o zaczepkach, przyznaj, że piérwsze strzały z twoich rąk poszły... Niemi to przyprowadziłaś mnie do najniedorzeczniejszego opowiadania historyi Michała... Ile słów wymówiłaś, tyle było przycinków złośliwych wymierzonych do mnie... I kiedy? właśnie, gdy tu przychodzę, jakoby stary Nestor, król Pil... z gałązką oliwną w ręku i ze słodkiemi słowy na ustach.... gdy jak mówię, przychodzę tu z *najprzyjaźniejszém* usposobieniem. A wiesz, prawdę mówiąc, czemu tu jestem? Chciałem ci dać radę przyjaciela... doświadczonego w życiu. Taka rada ceni się na wagę złota.

KLOTYLDA.

Dajże ją, ale pod warunkiem, że jéj nie usłucham.

FERDYNAND.

A ja ręczę, że usłuchasz z gotowością... z zapałem. Jednak nim cię nią obdarzę, żądam objaśnienia. *(Waha się).* Przed chwilą dałaś dowód pewnéj odwagi.... Przywołajże ją ku sobie i odpowiedz mi jasno i szczerze na pytanie, które ci zrobię.... pytanie w ustach męża nieco drażliwe. Cóż,— odpowiesz?

KLOTYLDA.

Oczekuję pytania.

FERDYNAND.

Nie zdziwi cię ono.... Od lat ośmiu, czy dziesięciu byliśmy dla siebie tak zupełnie obcy, że cię zdziwić nie powinno. Oto je masz: powiedz mi proszę, czy biorąc rzeczy ściśle moralnie, nie masz po dziś dzień jakiego sumiennego zarzutu do zrobienia sobie?

KLOTYLDA.

O to tylko pytasz? *Nic prócz tego*, nie chciałbyś wiedzieć?

FERDYNAND.

Przyznaję, że to dosyć... wiele bardzo... Ale daję ci słowo honoru, że twéj odpowiedzi nie mąż słuchać będzie... a tak... tylko dobry znajomy.... kolega. Więcéj powiem: przyznaję, że osobiste postępowanie moje przez lat tyle upoważniało i ciebie bez zostawienia mi prawa nagany, do pewnéj wolności... No! zdaje się, żem bezstronny. Cóż ty na to? Daj mi odpowiedź, dam ci radę.

KLOTYLDA.

To warunek konieczny?

FERDYNAND.

Nieodbity.

KLOTYLDA.

I jak twe pytanie brzmiało?

FERDYNAND.

Poprostu, czy we względzie ścisłéj moralności masz jaki zarzut do zrobienia sobie?

KLOTYLDA.

Zarzut? powiadasz. *(Opuszcza głowę i trzyma ją w dłoniach).*

FERDYNAND.

Więc jednak potrzebujesz namysłu!?

KLOTYLDA (*po chwili milczenia z godnością*).

Nie wyrzucam nic sobie.

FERDYNAND (*oddychając swobodniéj*).

Czy tak? *(Po chwili).* Starajże się, aby tak daléj było. Oto moja rada.

KLOTYLDA (*śmiejąc się*).

A! to prawdziwe oszustwo.

FERDYNAND.

Przeciwnie: rada zdrowa i pomimo pozorów naj.... najbezinteresowniejsza. Może temu nie uwierzysz, ale Bóg widzi, że w tém wszystkiém co tu mówię, nie ma cienia egoizmu.... Idzie mi tylko o ciebie.... własną moją osobistość zupełnie pomijam.... wyobrażam sobie, żem jakiś pustelnik, derwisz stary, do którego groty przyszłaś. Jego téż stylem powiadam: „strzeż się, me dziecię, bo jesteś na progu wielkich błędów". Powiadam to zaś nie jako Koryfeusz moralności, bo wiem, żebyś mię wyszydziła — ale jedynie, jako człowiek rozsądny, wytrawny, doświadczony.

KLOTYLDA (*domyślnie*).

Rozumiem....Chcesz mi dać z lekka uczuć, żem już nie młoda.

FERDYNAND.

Ja? Broń Boże! Przeciwnie, głośno wyznaję, że jesteś w téj chwili w całym rozkwicie piękności, rozumu, wdzięków. Nigdym cię nie widział bardziéj powabną. Wszystkie twe zalety rozwinęły się w pełni.... Ale....

KLOTYLDA.

Ale?

FERDYNAND.

Ale masz lat trzydzieści cztery.

KLOTYLDA.

Niestety!

FERDYNAND.

Lat 34 wydzwonionych głośno. Otóż, kobieta w tym wieku poddająca się szalonemu uniesieniu serca, pisze na siebie straszny cyrograf nieuniknionych męczeństw; stawia na kartę i przegrywa zawsze spokój, szczęście, czasem nawet życie.

KLOTYLDA.

O, to mi okropną bajkę opowiadasz!

FERDYNAND.

Nie bajkę — nie: czystą prawdę. Mój Boże! Czyż to tak trudno pojąć?... Istnienie światowe ładnéj kobiety, otacza ją tak słodkiemi wpływami, takiemi pieszczotami, że najlepsza, najrozsądniejsza nawet, opłaca chwilę smutnego zapomnienia, ukrytemi łzami. Młodość i piękność są to w życiu ozdoby zbyt cenne, aby się je miało rzucić niedbale, nawet wtedy, gdy je godnie a powoli ręka lat dojrzałych z czoła zdejmuje. Cóż dopiéro, gdy ci je strąca z głowy dłoń ukochana i to porywczo, najbrutalniéj, a straszny wyrok śmierci usłyszysz z ust najdroższych tobie? Próba wtedy sto razy cięższa! Dopatrzyć piérwszéj swéj zmarszczki w nieubłaganéym lustrze — nie miło zapewne; ale odgadnąć ją w zwierciedle spojrzeń wybranego swego, w jego zimnym uśmiechu..... to już cios śmiertelny!... Wszak musisz pamiętać naszą znajomą Laurę, tę buzię różową zawsze uśmiechniętą? Umarła nagle pół roku temu i powiedziano głośno, że to był anewryzm. „Kobieta tak wesoła"!? wołałaś z zadziwieniem.... Dziś... powiem ci prawdę: ten anewryzm głoszony, to był nóż, prosty nóż kuchenny, dobrowolnie zatopiony w sercu.... sam widziałem.... pokazywał mi go lekarz... Teraz zapytasz: czemu?—Oto dopatrzyła zmarszczki więdniejącego już czoła w zimném oku twego dzisiejszego tancerza, jéj kochanka. Zjawisko to optyczne, dość pospolite.

KLOTYLDA (*z przerażeniem*).

I to prawda?

FERDYNAND (*zimno*).

Wątpisz? Mógłbym takich przykładów więcéj znaléźć:— nie jeden raz w życiu byłem świadkiem, jak ostatnie ułudy podstarzałéj kobiety, kończyły się konwulsyami konania.... Wiem, że nie zawsze tak tragicznie rzeczy się rozwięzują... Bywają serca silniejsze: te po koniecznéj z tego świata ucieczce ukrywają się z milczącą rozpaczą swoją w poważniejszych cieniach kościołów. Ale jakiekolwiek są jéj skutki, zawsze chwila ta niepowetowaném jest nieszczęściem dla kobiety.... Dlatego cię ostrzegam. Gdybyś mi była przed chwilą mniéj stanowczo odpowiedziała; gdybyś

była jedną z tych kobiet, których sentymentalne zboczenia na tuziny się obrachowują — pewno nie myślałbym zaradzać wypadkowi, który byłby wtedy tylko słusznie wymierzoną karą. Kto wie nawet, czybym nie widział cię wówczas z ukrytą radością, idącą ku niebezpieczeństwu i w niém ginącą..... Ale raczyłaś dotąd mieć wzgląd na mnie, wzgląd tém mi droższy, że nie zasłużony przezemnie... Odpłacam wdzięcznością i radą zbawienną..... zresztą zostawiam zupełną wolność.

KLOTYLDA (*powstając*).

Ależ kazanie! Znudziłeś mnie straszliwie; gdzie tam, dokazałeś więcéj: przebiłeś mury i uśpiłeś Ludwikę w drugim pokoju; już jéj wcale nie słyszę. Pozwólże mi twéj świecy: zaraz wrócę. (*Bierze świecę i wychodzi drzwiami w głębi*).

SCENA II.

FERDYNAND (*sam, zamyślony*).

A to co znowu?... Na co jéj ta świeca? niby i bez świecy do Ludwiki dojść nie można? cóż to, daleko? drzwi tylko podwójne... Coś tu podejrzanego.... a może to tylko zmieszanie.... albo proste roztargnienie.... Ale jakoś wyszła zbyt stanowczo.... Ona coś straszliwego spełnić chce może..... Ot dzieciństwo:— i cóżby zrobiła? (*Przysłuchując się*). Coś szeleści na schodach?... Wszak te drzwi ukryte z pokoju Ludwiki wychodzą.... Trzeba spieszyć... (*Zatrzymuje się nagle u drzwi i natęża ucha*). Nic! coś mi się przywidziało.... (*Wraca na środek sceny*). Cóż znowu tak długo robi? Może ucieczka zaimprowizowana nagle?.. Widzi podejrzenia obudzone i korzysta z ostatniéj zręczności... . Do takiéj głowy wszystko podobne.... Już to nieroztropnie się znalazłem, opowiadając historyą tego jéj tancerza i téj biednéj Laury..... Kobiety wcale nie stronią od ludzi, dla których inne życia się pozbawiły.... ten człowiek teraz może być prawdziwie dla niéj niebezpiecznym.... spisałem się jak głupiec.... (*Słucha uważnie*). A co, nie mówiłem? wyraźny turkot powozu... Ach! prawda... wszak tą ulicą całą noc fiakry jeżdżą.... Nie warto samemu być tak długo... nie wiedzieć co do głowy przychodzi.... Już to, że się coś niedobrego z tym młodym człowiekiem święci — to pewna!... A może chciała mnie tylko do zazdrości pobudzić..... ale w jakim celu?.. Przysiągłbym, że się coś na tę noc układało.... mam w tych rzeczach wypróbowany instynkt, który mnie nie myli.... (*Zbliża się do komina*). A notatki balowe,.. co? wzięła??.. Nie! zostawiła. (*Spostrzega się w lustrze*). O! doskonała fizyognomia męża.... przerażona.... blada... najśmieszniejsza w świecie.. i jak się tu z samego siebie nie śmiać.... (*Patrzy na zegarek*). No, postanawiam czekać spokojnie cały kwadrans.... potém wyjdę

i odkryję prawdę. Po spartańsku się znajdę! *(Zaczyna nucić jakąś piosenkę z opery, wnet przerywa ją i patrzy na zegarek).* Jeszcze mam 14 minut... Jest czas usiąść....*(Siada wygodnie w poręczowém krześle).* Śliczny pokoik! I co może być wdzięczniejszego na świecie, jak to gniazdeczko kobiety ładnéj... wykształconéj... skromnéj? Wszędzie widzisz piętno estetycznych upodobań, ślady białéj, idealnéj ręki... atmosfera przesiąkła jakąś wyłączną ulubioną wonią... całość zarazem rozkoszna i święta... jakiś pół-dzień wstydliwy, łagodzący połysk zbytku prozaiczny... coś jakby blaski księżyca oświecające samotną kaplicę włoską.... Raj cudowny, marzony przez nas wszystkich w latach 25 ... prawie zawsze już utracony w trzydziestu.... *(Zrywa się gwałtownie).* Oh! Teraz to nie przywidzenie.... wyraźne kroki w ogrodzie.... nikt mi nie zaprzeczy... *(Zbliża się do okna i odmyka je, w téjże chwili Klotylda w gustownym negliżu wchodzi).*

FERDYNAND *(zmieszany, do siebie).*

Ależ blada!

SCENA III.

FERDYNAND, KLOTYLDA.

KLOTYLDA.

Dobrze mówiłam.... Ludwika usnęła. Nie chciałam ją budzić... trochę długo zatrzymałam twą świecę.... Przepraszam... i.. dziękuję.

FERDYNAND.

Dobra noc: już odejdę.

KLOTYLDA.

Dobrze zrobisz: godzina trzecia po północy.

FERDYNAND.

Trzecia? Czy wiesz, że to zwykła godzina występków? *(Śmieje się).* Oh! już wychodzę. *(Wychodzi drzwiami na prawo).*

SCENA IV.

KLOTYLDA *(sama, mocno poruszona).*

Godzina występków.... tak... rzeczywiście... *(Po chwili).* Co on tu robił przy tém oknie?... Ah! ogród.... on taki jego miłośnik... *(Uśmiecha się).* Niebezpieczeństwo mi grozi z téj strony. Mój Boże! jak mi mocno serce bije... Za nadto pozwoliłam sobie... No! już nie pora się cofać... Trzeba przynajmniéj przytomności, zimnéj

krwi, rozwagi... a ja drżę cała!... Dziwaczę! cóż mi się stać może!... w najgorszym razie życie moje nie będzie smutniejsze, jak dotąd było..... Co to słychać? *(Zbliża się do drzwi).* Głos Ferdynanda... ależ krzyczy... ależ się gniewa .. *(Uchyla drzwi i słucha; Ferdynand na schodach głośno woła: „a ja ci powiadam, że to ty chybal.. Milcz!).* Co on mówi? Tak mi głośno serce uderza, że dosłyszéć, zrozumieć nie mogę.. .. Trzeba mi się koniecznie uspokoić..... *(Otwiera drzwi).* Ferdynandzie, Ferdynandzie.... co to ci się stało?

(Ferdynand wchodzi ze świecą i kluczem dużym w ręku).

SCENA V.

KLOTYLDA, FERDYNAND.

KLOTYLDA.

Na miłość Boską, co to być może?

FERDYNAND.

Czy uwierzysz? Niepodobna drzwi mego pokoju otworzyć.

KLOTYLDA.

Jakto? Tylko to? *(Śmieje się głośno).* Mój Boże! A ja się tak okropnie przestraszyłam!

(Siada na krześle i przytrzymuje ręką bijące serce).

FERDYNAND *(na stronie).*

To coś podejrzanego.... miałem racyą myśléć, że coś się tu święci téj nocy.... Ten okropny przestrach nienaturalny.

KLOTYLDA.

Czy doprawdy drzwi odemknąć nie możesz?

FERDYNAND.

Ale doprawdy.

KLOTYLDA *(z udaniem zwątpienia).*

Pewny tego jesteś?

FERDYNAND.

Najpewniejszy..... Nie rozumiem, co się stało... ale otworzyć niepodobna.... Klucz jednak mój! Zobacz! *(Ogląda go i dmucha weń).*

KLOTYLDA.

Więc jeśli tak, to posyłaj po ślusarza.

FERDYNAND.

O godzinie trzeciéj w nocy!.. Cóżto myślisz, że ci ludzie nigdy nie sypiają?... Muszę już przenocować w salonie... Kazałem Janowi,

aby rozłożył mi tam ogień i łóżko urządził.... Ale okropnie zły jestem... *(Robi kilka kroków ku drzwiom i zatrzymuje się).* Gdybyśmy... byli.... takiemi małżonkami, jak inni.... to kłopot nie byłby wielki.

KLOTYLDA (*z powagą*).

Co powiadasz? Proszę cię, powtórz.

FERDYNAND.

Na co? kiedyś i tak słyszała.

KLOTYLDA.

„Małżonkowie jak inni"?.... Zdaje mi się, że takich, jak my nie brak na tym świecie: jesteśmy z najpospolitszego gatunku.

FERDYNAND.

Tém gorzéj, tém gorzéj: wierz mi... Nie mamy się czém chwalić....

KLOTYLDA.

Ta uwaga trochę dziwnie brzmi w twych ustach... Możesz mieć prawdę: ale czyjaż wina?

FERDYNAND.

Czyja?.. Czy myślisz, żem zapomniał co się tu stało lat temu dziesięć, w tym samym pokoju?

KLOTYLDA.

Cóż to się stało? Ale przepraszam.... przerywam na chwilę.... Czy mnie oczy nie mylą? Bądź łaskaw, zbliż się... więcéj... więcéj...

FERDYNAND (*z niespokojnością*).

Co to?

KLOTYLDA
(*staje na palcach, pochyla się i wpatrując się mocno w męża*).

Nie!—Chciałam się przekonać, czy dobrze widzę.... spostrzegłam włos siwy na twéj lewéj skroni.

FERDYNAND.

Nie może być!!

KLOTYLDA (*odsuwając się od niego*).

Jest tak najpewniéj.... Teraz proszę cię, mów daléj:—cóż to się stało lat temu dziesięć?

FERDYNAND (*sparty na poręczy krzesła*).

Niby to nie wiesz!... Było to po weselu naszém w lat zaledwo parę... Wracaliśmy z balu tak jak dzisiaj.... nie przeczuwałem wcale co się stanie... usiadłem sobie tu na téj kanapie, jak prostaczek... najspokojniéj.... Wszak tak?

KLOTYLDA.

Tak... Usiadłeś i opowiadałeś mi dowcipy jakiéjś aktorki, wówczas pani wszechwładnéj twojego serca.... Ja ci przerwałam... Tyś zaczął ziewać nie skrycie i głośno..... Nieprawda?

FERDYNAND.

Tych szczegółów nie pamiętam.

KLOTYLDA.

A ja pamiętam: mówże daléj.

FERDYNAND.

Otóż, gdy się to dzieje — tobie nagle jakaś muszka w nosku zakręciła. Powstajesz z żywością i dość niegrzecznie prosisz mnie, abym wyszedł.... Zdziwiłem się mocno: ty przy swojém obstajesz.... Nie czułem się nigdy sułtanem, ani tyranem, jak ci się podoba czasem to utrzymywać — ale dziwactw takich nie lubię.... to nie do zniesienia!... Od słowa do słowa przyszło do kłótni.... do rozwodu niby między nami... Nie piérwszy to przykład.... takie epizody nie rzadkie w małżeństwach..... Kobiety — dziwne!.. zdaje się im, że podobne sceny mogą im powrócić zbałamuconego męża.... Zrobiłaś rzecz zwyczajną między wami:— dla chwilowego kaprysu poświęciłaś szczęście.

KLOTYLDA (*poważnie*).

Szczęście!? A to chyba żartujesz.... Wyjść za mąż za światowca twojego rodzaju, mieć za towarzysza życia najpróżniejszego, najzmienniejszego ze śmiertelników, iść w parze z lwem jak ty znakomitym — to może być chluba, splendor wielki, jeśli koniecznie chcesz tego uznania; ale szczęście? szczęście?.. nigdy!.. sam to pewno pojmujesz? Czy mniemasz, że długo oszukiwać można kochającą kobietę?... Zapewne... wszystkie złudzeniami życie rozpoczynamy... ale rzeczywistość wyprowadza nas z nich prędko.... Widzimy dobrze, jak pomimo ożenienia zostawiacie sobie młodocianych wybryków przywilej... jak poszukujecie powodzeń salonowych i niesalonowych, jak często a gorzko wzdychacie za utraconą cząstkę droższéj nad wszystko wolności... Prawda, że dziewicze serce kobiety nie pojmuje tego od razu... trzeba czasu dla zmierzenia tak okropnego, tak bolącego zawodu!... (*Z rozżaleniem*). Ale gdy oswoicie się z nami tak— tak— że już nawet objawy prostéj grzeczności ustają.... gdy lekceważenie i obojętność wyrażać się poczną co chwila i we wszystkiém....

FERDYNAND (*przerywając*).

Do tego się nie przyznaję: obojętnym nie byłem nigdy....

KLOTYLDA (*z coraz większą żywością*).

Pozwólże mi skończyć.... wiesz, żem dziesięć lat milczała... chcę raz ulżyć sercu... każdy mnie zrozumié... Przed chwilą wspom-

niałeś coś z przeszłości naszéj; powiedziałeś: „wracaliśmy z balu". Tak, ale jakże to się z tych balów powraca?... Przez kilka godzin świetnego wieczoru, widzi się męża swego rozwijającego wszystkie zalety swéj powierzchowności, wszystkie zasoby swego umysłu i najpowabniejszéj rozmowy.... Poszukiwany, pożądany wszędzie.... Nareszcie sama z nim się znajdujesz.. miło ci to... tak pragnęłaś tego!... Ale cóż to za zmiana?.. znikł światowiec wykwintny, został ci tylko aktor składający za kulisę, swe udane powaby i pragnący spocząć.... Przed chwilą zdobywca uśmiechnięty... najmilszy... teraz zwycięzca obciążony wawrzynami i przechwalający się niemi.... Jeśli usta otworzy, to dlatego chyba, aby ci najbrutalniéj opowiadać o swych powodzeniach wczorajszych i dać uczuć, że jutro nowe będą... Milczenie jego napiętnowane nudzi, a słowo każde zdradza!... O! Ferdynandzie.. w takiéj chwili gorzkiéj, okropnie gorzkiéj, wierz mi. ostatki naszych złudzeń niewieścich opadają.... rozumié się wtedy, jak *mało* się odbiera, za *wszystko* co się daje.... pojmuje się wyraźnie, jak podrzędne miejsce zostawione, nam, żonom, w życiu waszém... I jakkolwiek dusza zasobna być może w wyrozumiałość.... w przebaczenie... to jednak serce kochające prawdziwie oburza się na te pieszczoty fałszywe, na te kłamiące objawy urzędowego uczucia, które wy, mężowie, nazywacie waszém prawem, a my kobiety, bolącą obrazą... A! więc gdy koniecznie cierpieć trzeba, pragnie się cierpieć z godnością ... gdy życie przepłakać zmuszacie... pozwólcież nam płakać samotnie!...

FERDYNAND (*wzruszony*).

Klotyldo.... droga.... Raz już napisałaś wyrok na mnie... Jeśli go zmienić nie chcesz — nie mów lepiéj: wolę nie wiedzieć, jakie serce utraciłem w tobie.

KLOTYLDA.

Przeciwnie: muszę je raz wypowiedzieć głośno; obiecywałam to sobie, oczekując na zjawienie tego piérwszego na twéj głowie, siwego włosa.

FERDYNAND.

Oczekując mego siwego włosa? Czy to wyrafinowana niewieścia zemsta?

KLOTYLDA.

Może!.... (*Po chwili z uczuciem*). O! nie zemsta Ferdynandzie... to ukryte a głębokie uczucie, to ostatnia nadzieja przyświecająca memu życiu.... Posłuchaj! Gdym doszła do mniemania, że myśl twoja całkowicie oderwana odemnie goni z zapałem za tryumfami wielkiego świata — cóż miałam robić? Rezygnacya konieczną była... Zostawiłam ci zupełną wolność .. moja przy mnie została. Cierpiałam i czekałam..... młodość taka szalona! Powiedziałam sobie: mam lat 25.... darujmy mu lat kilka zupełnéj niepodległości.... on

się wyszumi i powróci do mnie... wtedy znajdę może w tych popiołach jakiś ułamek serca ocalony jeszcze.... Może pod temi piérwszemi śniegami lat już dojrzałych, zatli się lepiéj ognisko domowe.... wiosna mego życia samotna... smutna... może koniec jego słodszy będzie.....

FERDYNAND (*z uczuciem*).

Klotyldo.... Klotyldo....

KLOTYLDA (*drżącym głosem*).

O! ten włos siwy .. to mój wymarzony przyjaciel wyglądany długo w niepokoju.... Nie wiesz, Ferdynandzie, jak wiele nań liczyłam.. Powiedz, powiedz mi, dotrzyma'ż on swych kochanych obietnic?..

FERDYNAD (*z uczuciem, klękając przed żoną*).

O! moja Klotyldo.....

KLOTYLDA
(*pochyla się, aby męża w czoło pocałować, potém raptownie powstaje i śmieje się głośno*).

Ach! ach! ach! Więc i ty dać się pobić możesz?

FERDYNAND (*zmieszany*).

Nie rozumiem....

KLOTYLDA.

Przyznaj, że gdybym była mogła jeszcze minutę wstrzymać się od śmiechu, do łez doprowadziłabym cię pewno.....

FEDYNAND (*powstając z godnością*).

Doprawdy, Klotyldo....

KLOTYLDA.

Doprawdy— byłbyś płakał!.. Przyznaj, że w twym wieku łzy zabawnie wyglądają.....

FERDYNAND (*rozżalony*).

Jeśli nieraz i ciężko byłem winny — to w téj chwili odwetowałaś to sowicie: boleśnie mnie zraniłaś.

KLOTYLDA (*śmiejąc się*).

Gdzież to idziesz?

FERDYNAND.

Do salonu: wszak tam mam nocować.

KLOTYLDA

Więc ta mistyfikacya drzwi zamkniętych trwa dotąd?

FERDYNAND.

Ale w tém nie ma mistyfikacyi... żartu... To rzeczywiście zamek zepsuty... jakby weń piasku nasypano.

KLOTYLDA.

Któżby go nasypał? Chyba sam powziąłeś tę myśl dowcipną?

FERDYNAND.

Ale daj-że mi pokój!... O cóż mnie posądzisz daléj?

KLOTYLDA (*śmiejąc się*).

Więc to ja zapewne ten figiel — spłatałam?

FERDYNAND.

Nie podejrzywam cię o to.

KLOTYLDA (*idąc ku niemu*).

A dla czego? boś niędomyślny!.. (*Podaje mężowi rękę, którą ten z niedowierzaniem bierze*). A jednak — tak jest: ja to zrobiłam, licząc jedynie na ten kochany włos siwy.... (*Z uczuciem*). Cóż? przewiniłam bardzo? Przebaczysz? zapomnisz?

FERDYNAND (*ściskając ją mocno*).

O! Nie zapomnę nigdy: to pewna!

KRONIKA LITERACKA.

Stanowisko historyi polskiéj, przez Dominika Szulca. 1862. Str. 32 (a właściwie 20).

Mała ta rozprawka, napisana przez znanego badacza, nauczyciela, jako przygotowanie do nauki historyi polskiéj, dla jednéj z jego uczennic, wydana została przez wielbicieli jego talentu najprzód dla tego, mówi wydawca, „aby ta *głęboko obmyślana* i tak pięknie wypowiedziana *prawda* nie zaginęła", potém, aby zebranym z jéj sprzedaży funduszem pomnożyć summę mającą posłużyć do wydania dzieł ś. p. Szulca i postawienie mu pomnika. Cel bardzo chwalebny, lecz ograniczając się na jego wspomnieniu, zwracamy uwagę na samą rozprawkę. Ważność przedmiotu i imię autora skłaniają do pilniejszego zastanowienia się nad tą pracą.

Rozprawka składa się jakby ze wstępu i więcéj szczegółowego poglądu na bieg dziejów polskich.

Co się tyczy wstępu, ten oddany tak ciemnym, zawiłym językiem, że bez komentarza trudno go nam zrozumiéć. Powiada w nim autor: „Ani miłość ziemi rodzinnéj, ani *zachowanie należytego stosunku jednostkowego do całości społecznéj*, ani przywiązanie do języka ojczystego, nie stanowi jeszcze *wyższego* obywatelstwa: *rozwicie* dopiéro *zupełne w sobie istoty społeczności narodowéj*, wzmocnienie jéj myślą postępową, wyłonioną z głębi umiejętności i doświadczenia, przeniesienie duszy w czyn tworzy dopiéro prawdziwą cnotę obywatelską."

Usiłując sobie objaśnić ten wstęp tajemniczy, sądzimy, że autor uważał dwojakie obywatelstwo: jedno niższe, zasadzające się bardziéj na dobrych chęciach, na miłości ziemi rodzinnéj, poddaniu swéj woli jednostkowéj wymaganiom woli ogólnéj czyli pra-

wu i na przywiązaniu do języka ojczystego. Drugie wyższe, jakoby dopiéro prawdziwe, czynne, polegające na tém, aby przejąwszy się obyczajem ojczystym, tą mądrością, jaką przodkowie wyrobili myślą i czynem, dopatrzywszy w ich myślach i czynach celu, posłannictwa narodu,—pojąć, ile z tego posłannictwa już spełniono i co jeszcze do zrobienia pozostaje: więc przyjąć na siebie ten dalszy ciąg, ten jakby dług moralny i usiłować go spłacić „przenieść duszę w czyn."

Po takim trudnym do zrozumienia pierwszym ustępie, idzie drugi: „Postępowość przeszłości jest historyą"? Jeżeli tu wyrazy i pojęcia nie leżą na wspak, to Bóg wié co to jest takiego. Może dzisiaj takby to powiedziano: dzieje, życie narodu (i całéj ludzkości) rozwija się organicznie, stopniowo, ciągle; ten postęp nieustanny rozważa i zapisuje historya na duchowy pożytek przyszłości. Śledzić za rozwijającém się stopniowo życiem narodu, rozważać je i wysnuwać ztąd niezbędne obowiązki dla siebie, „jest właściwém usposobieniem," dojrzeniem obywatelskiém. „Z takiéj znajomości dziejów i instytucyj krajowych, mowi znów autor, wynika pewność i moc charakteru, oparta nie na *złudzeniu*, ale na gruntownéj znajomości rzeczy i dowodach." Aby zobaczyć jak autor rozwija swoje pojęcie o treści dziejów krajowych, przechodzimy do części szczególnéj.

„Istnienie Nadwiślan? (nazwisko ogólne, nieokreślne, nieznane w nauce, a najgłówniéj niedostateczne do oznaczenia Polaków) sięga dalekich wieków przed erą zwyczajną. Kronikarze wspominają o znacznéj ludności szczepu rozciągającego się od źródeł Wisły do morza Baltyckiego, *którego brzegi?* jednem pokoleniem polskiém od Hamburga do Rusi były zamieszkane. Lecz naród jako *całość jednéj części, nadzień?!* i mowy z drobnych bardzo powstał cząstków. Zup łna wiejskość stanowiła główne znamię zewnętrzne: żył w lepiankach, pokrytych słomą; czcił bostwa gospodarskie. Zamiast przemysłu *ubóstwo?* (może miało być rolnictwo), lecz przy prostocie życia, *obfitość wielka*, pochodząca z lasów, jezior, łąk, pasiek, roli.... Ale pod szarą zwykle kapotą biło serce ludzkości pełne. Społeczność przenikniona myślą równości, nie majątku, znaczenia, urody i *tym podobnych marzeń* (to nie marzenia, lecz właśnie rzeczywistość, tylko rzeczywistość niższa), ale równości-prawa dla wszystkich, ustanowiła u siebie prawo powszechne, które na cały lud rozciągało zasadę braterstwa i równości, *bez różnicy możnego i kmiotka. Wielkich właścicieli jak najmniéj*, tak dalece, że cały kraj był podobny do dzisiejszego

położenia Pobożan, Prasnyszan i Łukowian, tych szacownych zabytków *przedchrześciańskiéj* prostoty (to osady wojenne znacznie późniejsze przeciw Prusakom, Jadźwingom i Litwie) i ubóstwa, dumnego! z równości prawa i cnót czysto-ziemiańskich, niepokalanych próżnością i zatwardziałością serca. Miarkując z tego, co Starowolski powiada o ludności w Polsce, wypada na czasy przedchrześciańskie przeszło milion rodzin *nieskażonego charakteru*". Słowem byłoto Eldorado słowiańsko-polskie, czasy prostoty, równości, braterstwa i nieskażoności czysto ziemiańskiéj. Miała być opowieść dziejów i instytucyj krajowych oparta nie na złudzeniu, ale na gruntownéj znajomości rzeczy i dowodach, a tym czasem, mimo wielu przytoczeń *łacińskich* dla *młodéj panienki*, wystawiony przez autora obraz dziejów pierwotnych, jest fantastycznem złudzeniem. W takim stanie wymarzonéj świętości należało przodkom naszym skamieniéć jak Indyanie lub umrzéć, bo już niepodobny był żaden dalszy postęp, wszelki dalszy krok musiał być zepsuciem. Taki téż w istocie tytuł nosi drugi wstęp rozprawy, przedstawiający czasy Piastowskie. Podobne dowodzenia przypominają tych dobrodusznych moralistów, co to radziby, aby ludzie umierali dziećmi, bo wtedy niewinni i święci szliby prosto do nieba. Ależ człowiek to Adam ziemski, skazany na pracę, usiłowania i walkę, do których dano mu siły duchowe i fizyczne; on winien je rozwinąć i wywalczyć sobie raj własny, cześć i spokój jako nagrodę dzielności, zasługi i cnoty.

W drugim ustępie rozprawy znajdujemy *czasy zepsucia*, gdy szczęśliwsi w bitwach wojewodowie osięgli władzę książęcą. *Samowolni Piastowie wtrącili rzeczpospolitą w przepaść.* Ztąd zaślepienie i dowolność w ciągu całego ich panowania. Takim zaślepionym gwałcicielem był osobliwie Bolesław Chrobry!; Kazimierz I był odnowicielem (nie Polski), ale tylko duchowieństwa a z niém wpływu niemieckiego. Krzywousty swym testamentem wprowadził zasadę pierworodztwa! (właśnie jego testament, jeżeli był kiedy, ustalał zasadę starszeństwa w rodzie, zasadę starosłowiańską; pierworodztwo zaś popierali duchowni i zatwierdził je swojém *breve* Alexander III, uznając Kazimierza II zwierzchnim księciem polskim, mimo jego starszego brata Mieczysława Starego). Łokietek błądzi (str. 21), gdy władzę bierze w silne dłonie, a Kazimierz Wielki dla autora rozprawy jest tylko Starym! Współcześni zwali go przynajmniéj królem chłopków; potomność szanuje w nim mądrego prawodawcę, wybornego gospodarza, budownika i cywilizatora, który będąc ostatnim w swoim domu urządzał Pol-

skę Piastowską jako odrębną, samoistną potęgę, silną swoją cywilizacyą słowiańsko-chrześciańsko-zachodnią. Szlązk i Pomorze ustąpił nie „w widokach osobistych" (str. 16), ale czasowo, aż Polska wzmoże się w siły wewnętrzne, które gorliwie sposobił. Zresztą jeżeli i mniéj dbał o odzyskanie dawnych granic, co niesłuszna, to dlatego, iż jakby przeczuwał, że przed Polską daleko wyższe zadanie:—ona wkrótce swoją duchową potęgą miała ogarnąć i podbić ogromne państwo aż za Dniepr i Dźwinę. Potrzeba więc było tę potęgę duchową, jakby wykończyć i ustalić przez wspólny dla całego kraju statut, przez zakaz odwoływania się do zagranicznych sądów miejskich, w skutek czego i osadnicy niemieccy stali się obywatelami polskimi; przez założenie akademii i gospodarną rządność. To zrobił Kazimierz III i słusznie nosi tytuł Wielkiego.

Nigdzie autor nie sięga do głębi przedmiotu, tylko z lekka a dziwacznie szkicuje. O pierwotnym charakterze i przymiotach naszych przodków słusznie, że się rozwiódł obszerniej, bo to rodzima, główna podstawa przyszłego rozwoju narodu; szkoda tylko, że autor zamiast rzeczywistego obrazu popisał raczéj marzenia. Jak ten przyrodzony charakter narodu urobił się pod wpływem chrześciaństwa i cywilizacyi starożytno-zachodniéj, względy niezmiernie ważne; daléj jak naród użył swych sił i przymiotów dla dobra własnego i ludzkości, o tém ani słowa. Upatrywać stronę dodatnią tylko w epoce przedchrześciańskiéj, jestto widzieć zaledwie część oblicza narodu; przytém jego rysy wtedy jeszcze niepewne i mało różniące się od rysów innych ludów téjże rzeszy słowiańskiéj. Dopiéro pod wpływem chrześciaństwa i Zachodu, przyrodzony charakter narodowy odznaczył się i ulał w pewne inywidualne typy. Byłoto za Piastów, i dlatego ich czasy są okresem tworzenia się narodu, a nie zepsucia. Wszystko właściwe naturze polskiéj, dodatne i ujemne, już wtedy się złożyło; z czasem tylko naród się rozrósł i rozwinął terrytoryalnie i duchowo. Zamiast, ściśle opierając się na wypadkach, śledzić ten rozrost życia narodowego i wskazywać jego cel; autor ograniczył się tylko jedną stroną działalności człowieka i narodu — swobodą, „dozwoleniem jego siłom fizycznym i umysłowym możliwego wydoskonalenia" str. 5. Jestto wzgląd niezmiernie ważny ale niepełny, niedostateczny; to tylko jedna strona życia człowieka i osobliwie narodu, to dopiéro jego potentia, któréj niezbędném dopełnieniem jest druga strona — powinność, pewne zadanie, posłannictwo; to jego konieczność, to dopiéro jego życie *in actu* — rzeczywiste życie. Autor uwielbia ową pierwotną, patryarchalną jakoby równość i swobodę, po za którą

nie widzi nic wyższego. Lecz to swoboda właściwa dziecinnym czasom narodu, czasom, kiedy właściwie mówiąc, jeszcze nie było narodu, kiedy różne plemiona, z których z czasem się złożył, jeszcze odrębne pędziły życie. Kiedy z nich zaczął się urabiać naród, powstały dlań pewne obowiązki, pewna powinność, prawo, które spełnić było dlań koniecznością historyczną; jego wyższą, rozumną, jedynie rzeczywistą swobodą. Ta męzka, dojrzała, rzeczywista swoboda, poruszająca się w granicach rozumnie pojętéj konieczności, jest bardzo różną od pierwotnéj, patryarchalnéj, nie troszczącéj się o wyższe cele społeczne, egoistycznéj swéj—woli. Celniejsi Piastowie, jak Bolesław W., Śmiały, Łokietek i Kazimierz W. wskazali narodowi jego zadanie i cel, które spełniać było jego powinnością pod karą utracenia swéj odrębności, indywidualności narodowéj. Patryarchalna, przyrodzona swoboda, nieznosząca żadnego ograniczenia, bez względu na cel onego, usiłowała wyłamywać się od zakreślonéj szczerbcem konieczności historycznéj; wyrabiać sobie wyłączenia, przywileje od obowiązków powszechnych, ziemskich. Tak zaczyna się walka między przywilejem i prawem, między swą wolą i konieczną dla narodu powinnością historyczną. Prawo rozumnie i dojrzale, wysnute z obyczajów i potrzeb narodu, jest dlań prawdziwą swobodą; przywiléj, wyrabiający sobie wyłączenia, okienka od prawa, jest nadużyciem, swawolą, któréj skutki mogą być tylko nieszczęsne. Tam gdzie powstaje przywiléj, tojest cel prywatny, odrębny od ogólnych celów narodu, zaczyna się zepsucie. Tymczasem autor w 3 ustępie swojéj rozprawki, noszącym tytuł „poprawa" snuje obraz rozwijania się przywileju, czyli wyłączeń od prawa, od woli ogólnéj, uważając to za poprawę, za postęp! „Samowolni Piastowie, mówi autor, pogrążyli w przepaść rzeczpospolitą; dopiero 1374 *Loisz* węgierski dając *przywileje* szlachcie, tworzy nową erę w publicznem naszém prawie (!) Szlachetni Jagiellonowie dozwalają dojrzéć swobodom szlachty, a za Jana Sobieskiego uczucie równości braterskiéj doszło do najwyższego stopnia: to kulminacyjny punkt rozwoju narodu!" Ztąd cieszy się, gdy ciemni, niesforni tacy bracia Tersyci, w czasie wojny *kokoszéj* wzięli się do kamieni na Jana Tarnowskiego hetmana w. k. i kasztelana krak, „a więc najwyższego dostojnika świeckiego w Polsce", gdy się poważył gamić ich swawolę; lub gdy na sejmie elekcyjnym podcięli konia pod biskupem Karnkowskim, tak, że obadwa musieli ratować się ucieczką. W innem miejscu utyskując, że *kandydaci ludowi* nie dostali się na tron, opowiada autor, jak Górka i Kostka, wydający dziennie przez półroku na kuchnią, po 2,000 ta-

larów (osobliwsza zaleta elektów), podani na kandydatów do tronu, lecz stronnictwo aryanów górę wzięło i obrany został Stefan *de Somlio Bator*. Te zbyt gościnne a tak upokarzające obrazy z naszéj przeszłości, już dawno czasby zostawić powieściopisarzom; zaledwie talent Starego szlachcica mógł je w korzystniejszém malować świetle. Po tych złotych czasach swobody, gościnności, światła i znaczenia, kończy autor prawdziwie smutną naiwnością (stron. 32). „Czegóż Polsce brakło przy zgonie Jana Sobieskiego? Bez wątpienia światła i charakteru"! „Sas pierwszy aby z obcą pomocą utrzymać się na tronie polskim, wydał tajemnicę kraju polskiego (że w nim przywiléj, sobkostwo przemaga nad prawem, że uprzywilejowanym brak światła i charakteru)? Stało się: odtąd samodzielność Polski ustaje a potém i byt polityczny".

Tyle dziwactwa w myślach i terminologii w téj osobliwszéj rozprawie, że prawie każdą myśl, nie ledwie każde wyrażenie należałoby zbijać! Zamiast spokojnego, sumiennego przedstawienia treści dziejów krajowych, opartego na gruntownćm rozważeniu faktów, widzimy myśli tendencyjne, założone naprzód, wypowiadane z namiętném rzucaniem się, z pominięciem najogólniejszych nawet, zasadniczych prawd, przyjętych w nauce historyi. Z uradowaną ciekawością wzięliśmy tę rozprawkę do czytania, bo imię autora było rękojmią, że słowa jego rzucą jaśniejsze światło na tak ważny przedmiot; lecz po przeczytaniu znaleźliśmy, że literatura nic na niéj nie zyskała; że to praca bez żadnéj wartości naukowéj i historycznéj. Szkoda więc, że wydawca uniesiony uwielbieniem z innych względów słusznie należném ś. p. Szulcowi, ogłosił drukiem tę pobieżną jego pracę, któréj sam autor zapewneby nie publikował. *(W. G.)*.

Złota góra. Fałszywy król. Konfederat. Powieści Jana Zacharyasiewicza. Lwów, nakład Karola Wilda. 1861 r.

Mniéj więcéj każdemu znany jest rycerz, przechadzający się, choć mu ciasno nieraz, po holenderskim dukacie. Trzyma on w ręku pęk strzał. Jakbądź, mogą to nie być strzały Amora, choć znowu wielkie w nich podobieństwo do wachlarza, z po za którego Amor przywykł strzelać; w każdym razie jednak mniemać się godzi, że rycerz, który cały jest ze złota, nie może także

w złotém swojém ręku trzymać innych strzał jak złote, co łagodzi znacznie i tak już niezbyt morderczą ich powierzchowność, a nawet sprawia, że się nieledwie tęskni do ich ciosów, mając zwłaszcza na uwadze, że i serce rycerza także szczerozłote, musi być zdolne jedynie do zrobienia złotodajnéj krzywdy. W czarnoksięzkiém kole, po za obręb którego wyjść rycerzowi choćby i mógł, nie wolno, napisano jest słowy Micypsy czy też Salustyusza: *concordia parvae res crescunt.* Zaklęcie to, streszczające niegdyś zasady urządzenia społecznego, praktyczni Holendrzy, łącząc *utile dulci*, zapisali na miłym groszu, który też przez wdzięczność przeżył formę rządu usymbolizowaną na jego powierzchni. Ale nie koniec jeszcze na rycerzu i czarnoksięzkim jego obrębie. Na odwrotnéj stronie symbolicznéj blaszki, znajduje się też kwadrat umieszczony w kole, wyraźnie dający do zrozumienia: że połączonemi siły możnaby wymyśléć nawet kwadraturę koła; co ponieważ się nie stało dotąd, daje nieco do myślenia o skuteczności holenderskich sił połączonych, z których każda (jeśliby polegać na uosobieniu ich w wiązce strzał trzymanych przez rycerza) idzie w swoję stronę.

Zadanie powyższe próbował, jeśli nie rozwiązać (bo to rzecz raczéj praktyki, jak teoryi) tedy przynajmniéj wykazać w całéj jego marności, p. Zacharyasiewicz, w swéj powieści nazywającéj się *Złota góra*. Ta złota góra jestto dukat na wielki wymiar. Wyrysowany na niéj kwadrat ściśle równoboczny, wyobraża równość dobrych popędów, potrzebną do utworzenia jedności; a *circulus vitiosus*, z którymby go skojarzyć należało, to dawny nasz znajomy: *liberum veto*. Można sobie wyobrazić, jak trudno o zgodę w podobném stadle. Na domiar nieszczęścia, rycerzem odwrotnéj strony tego dukata jest potomek Sicińskiego. Trzyma on w ręku symboliczne strzały jak i jego kolega Holender, i tak samo każda z nich idzie w inną stronę; a on jeśli je pomimo tego jeszcze zatrzymuje w pięści, to zdaje się, że więcéj z obawy, iżby zostawione sobie nie rozmyśliły się inaczéj: z czego się pokazuje, że i szatan nawet zmuszony jest bacznie chodzić około swoich interesów, żeby się lada chwila nie stać niewypłacalnym.

Ale otóż z symbolu sprobujmy zstąpić do rzeczywistości.

Niejaka rodzina Boleszczyckich tradycyjnie od niejakiego czasu żyje w niezgodzie, pracując niejako około pomnażania akt sądowych. Datuje to od chwili, jak do niéj weszła jedna z Sicińskich. Wnuk téj Sicińskiéj, Jędrzéj Boleszczycki, ojciec kilkorga dorosłych już dzieci, probuje zaradzić złemu, trzymając żelaznym

wpływem całą rodzinę przy sobie. Dnie schodzą każdemu na właściwych zajęciach, ale wieczorami zgromadzają się wszyscy w tak zwanéj *szaréj komnacie*, gdzie ciepło kominka uosabia ognisko domowe stanowiące środek rodzinnego kółka. Nad kominkiem, niby zły duch rodziny i zarazem przestroga bierna, unosi się portret przeklętéj pamięci posła upitskiego. Nieraz probowano usunąć go ztamtąd, ale snać sentyment rodzinny dziwnie się go uczepił za grobem; każde przeniesienie konterfektu po za obręb kółka domowego opłacała rodzina ciężkiemi straty, aż wreszcie przestano kusić dłużéj widome w tém wyroki Boskie.

Wszystkie te rzeczy opowiada p. Symplicyusz Prawdzic, sąsiad Boleszczyc, człek wyraźnie predestynowany do ułożenia p. Zacharyasiewiczowi powieści. Przyjechał on po raz piérwszy, z tylko co poślubioną małżonką, w odwiedziny do Boleszczyckich, i oto, trzeba zdarzenia, że znagła zerwała się burza: ztąd niemożność powrotu do domu, ztąd potrzeba zanocowania u sąsiadów. Ha! następnie pokazuje się, że to przeddzień św. Floryana, dzień fatalny w rodzinie, jedyny do roku, w który święcie, choćby z końca świata zjeżdżać musi p. Krzysztof Siciński trapiony tęsknotą do rodzinnego kółka, którém we wszelkie inne dnie roku gardzi, pomiata, które kiedyindziej wyszydza i przeklina.

W tém miejscu pora jest zastanowić się nad szczególniejszą predestynacyą p. Symplicyusza Prawdzica. Człowiek ten nie ma bynajmniéj nałogu podsłuchiwania ani podglądania, a jednak wszystko musi widzieć i słyszéć. Trzeba, że ściana pokoju, który mu przeznaczono, jest wyjątkowo cienka, a nawet że znajduje się w niéj okienko, co jest jeszcze wyjątkowiéj. Miéć téż chce traf ślepy, że skoro cierpiąc bezsenność wyszedł przejść się po ogrodzie, zaraz tam spotkał księdza Ignacego, który mu dopełnił wszystko, czego mógł niedowidzieć, lub niedosłyszéć przez swoją wyjątkową ścianę z okienkiem. Następnie nadchodzi p. Jędrzéj nie dbając na reumatyzm w nogach, choć to po deszczu i późną nocą, żeby go jeszcze zupełniéj wtajemniczyć w sprawy swego domu. Potém łapią go na rozjemcę dwaj starsi synowie p. Jędrzeja, co go wtajemnicza w ich miłostki. Potém słychać przez okno co mówi panna Pulcherya z siostrzenicą w rzeczy jéj zamęścia; wreszcie przychodzi do niego najmłodszy syn p. Jędrzeja Makary, żeby mu się zwierzyć z prac swoich literackich. Słowem człowiek ten, szczęśliwy czy nieszczęśliwy, jest w całém znaczeniu tego wyrazu tém, co Francuzi nazywają *sac à confidences*.

Nazajutrz znów nie można odjechać do domu, bo zrana ma być nabożeństwo; potém znów nie można, bo w południe ma być obiad. Na tym obiedzie oświadcza nareszcie p. Krzysztof, że stérany życiem i bezpotomny, umyślił zapisać Boleszczyckim całą swoję fortunę, a tą jest dość znaczny majątek nazywający się Złota Góra. Znajdujemy, że nieco zanadto cieszy się z tego p. Jędrzéj, któremu jak dotąd szło tylko o pozyskanie Krzysztofa kółku rodzinnemu, ale—*nihil humanum ab homine alienum*,—p. Symplicyusz spisywał zapewne co widział.

Wszakże niedość na tym zapisie, nie dość na tym złotym objawie złotego serca, nie dość na tém przeszyciu złotemi strzały wszystkich naraz piersi w rodzinie. Na odwrotnéj stronie tego rycerskiego postępku musi być przecież kwadratura koła. W Złotéj Górze jest jeszcze skarb do odkrycia za wspólną zgodą. Oto testament, który o tém mówi: „Moim sukcessorom wiadomo czynię, że w ogrodzie na wzgórzu zakopany jest skarb wielki, nabyty przez niezgodę. Zgodą tylko można go wydobyć. A kto z niezgodą w sercu do dzieła przystąpi, ten zamiast skarbów wykopie powróz, to jest rozpacz żądzy zawiedzionéj. W jedności go szukając, zrobić można, że Bóg zdejmie klątwę z ukrytego skarbu... Wkładam obowiązek na mego syna Krzysztofa, aby go szukał... A gdyby on nie mógł, niech to uczyni p. Jędrzéj, aby skarb w rodzeństwie pozostał. Wiadomość o tém da mu Krzysztof w dzień św. Floryana, w szaréj komnacie przy kominku, bo wtedy będę ta● duchem obecny, aby się pokrzepić najlepszemi memi wspomnieniami. W tym dniu bowiem kochałem mego syna, w innych tylko samego siebie." *Floryan* m. p.

Tyle już będąc wtajemniczony w to wszystko, p. Symplicyusz Prawdzic zaproszony zostaje wraz z żoną do assystowania odkryciu skarbu. Nazajutrz tedy cała rodzina jedzie na miejsce. Ale już przez noc szatan potrafił nakłonić wszystkich do zgody swego pomysłu. Wprawdzie każdy w duchu postanowił sobie jedno; nie jestto przecie żadnym sposobem to, coby pomódz mogło do odkrycia skarbu. W oznaczonéj godzinie nikt się nie stawił na miejsce; każdy powiedział sobie, że jeśli będzie brakowało jego tylko jednego, drudzy skarbu nie dostaną. Stało się tedy, że wszyscy niby krzyknęli „nie pozwalam" i uciekli każdy w inną stronę. Pokazuje się z tego, że byle w złym celu, zgoda nie jest znowu rzeczą tak trudną.—Taka jest historya koła domowego ro-

dziny Boleszczyckich. Kwadrat równości dał mu uczuć, że ma ostre kanty. Ileżto kół sejmowych nie porozdzierały te kanty!

Koniec końcem Siciński obiecał swéj rodzinie *góry złote*. Nieledwie autor powieści zrobił to samo z czytelnikami. Jestto sobie powiastka z poczciwym celem, dość gładko, nawet dość ciepło napisana, a jednak jakoś nie przylega do serca. Może dlatego, że przez cały ciąg jéj nie ma gdzie spocząć umysłowi, bo szczegóły, zamiast skupiać interes zdarzenia, rozrywają tylko myśl mimowolnemi a nieustannemi uwagami nad możebnością wprowadzonych sytuacyj; może znowu, że wbrew usiłowaniom autora nie odkreśla się dość jasno przeciwstawienie popędów moralnych, bo nie widać nigdzie i u nikogo, choćby próby walki ze złém; ale najpewniéj dlatego, że ostatnie jéj słowo jest dyssonansem. W tym względzie wygląda ona nawet jak te rośliny sztucznie pędzone przez ogrodników, dla otrzymania przedwczesnego i przeto koniecznie *niewczesnego* kwiatu. Artystyczna téż strona powieści pozostawia wiele do życzenia. Rozwlekłość opowiadania szkodzi jéj niemało. Zresztą epoka zdarzenia nie jest tam dostatecznie odkreśloną; dzieje się to niby dziś, niby wczoraj, ale niemniéj działby się mogło jutro, lub onegdaj.

Druga z rzędu powiastka w tym zbiorze jest fraszką nie mającą także wielkich zalet, ale za to w wyższym jeszcze stopniu od poprzedniéj zalety nieprawdopodobieństwa. Mniemamy, że szlachcic z po za gór i lasów, który stracił rękę w obronie swego przekonania na jednym z najburzliwszych sejmików za Sasa, a potém lat czterdzieści przedumał na partykularzu o obowiązkach poczciwego człowieka, prędzejby sobie drugą rękę dał odrąbać, niżby przystał (zwłaszcza tak trefnie jak to zrobił p. Wilga), ażeby farmazon tam jakiś, szołdra zamorski, miał robić konterfekt jego ukochanéj Dorotki, ku prywatnéj a całkiem dwuznacznéj uciesze JMci Exstolnika w kusym fraczku i z kudłami pobielonemi mąką.

Ostatnia powiastka nosząca napis: *Konfederat*, przeszła jeszcze w nieprawdopodobieństwie dwie poprzednie. Proszę sobie wyobrazić konfederata, który wysłany z ważnemi papierami do Pułaskiego, upiwszy się zaprawionym podstępnie miodem, powierza takowe przyjacielowi swemu bednarzowi z miasta, i czeka na jego powrót lat 10 (wyraźnie lat dziesięć) i sześć tygodni, ani na krok nie ruszając się z jego zagrody. Mimowolnie garnie się tu uwaga, że jeśli już tak mało cenił interes kraju i konfederacyi, to czemu go téż choć ani razu ciekawość nie zdjęła, dowiedzieć się przy-

najmniéj, co się téż dzieje tymczasem z jego zagonem, że już nie powiem z témi, których na nim mógł zostawić? Także téż i zakąt to być musiał zaklęty, ta chata bednarzowa i miasteczko, że tam choćby mimowoli, przez całe lat dziesięć, nic nie doleciało o tém, co się tymczasem działo w kraju. Przecięż by choć żydzi furmani co się włóczą wiekuiście, choćby Węgier z olejkami, choć lada dziad, co nieraz w karczmie zasłyszy nie jedno. I to było jeszcze niedaleko Lwowa—dziwnie!

W ogóle, przeczytawszy te trzy powiastki p. Zacharyasiewicza, nie podobna nie zastanowić się nad tém: dlaczego téż autor porobił sobie tak wyjątkowe zadania, że nawet zdarzenia zwyczajne przyszło mu poopracowywać w sposób wyszukanie wyjątkowy? Dwie ostatnie powiastki są chybione w samém założeniu, dlatego wątpimy, żeby się je uratować dało nawet przy staranniejszém jak jest obrobieniu; ale Złota Góra mogła była wyjść więcéj zwycięzko. Zamiast opowiadanie téj powieści kłaść w usta naocznego świadka, mógł był to wszystko autor opowiedzieć od siebie. Autorowi godzi się być wszędobylskim: niech tylko zechce być abstrakcyą, niech tylko wybierze raczéj być powieścią jak opowiadaczem, zwłaszcza w warunkach tak skomplikowanych jak jest treść Złotéj Góry. P. Zacharyasiewicz nie jest początkującym, dał nam już wiele rzeczy lepszych; tą razą niezbyt mu się powiodło, ale téż nie sądzimy, żeby te trzy powiastki sam uważał za dzieło sztuki.

Tylko, że w takim razie lepiéj może było zachować je w tece aż do dalszego namysłu. Po upływie lat kilku autor sam potrafiłby ocenić bezstronnie swoje dzieło, i wtedy nie bylibyśmy zmuszeni go wyręczać. *(f).*

Historya naturalna ptaków zabawnych i użytecznych, czyli dokładne opisanie wszystkich śpiewających, naśladujących mowę ludzką, pięknie ubarwionych, domowych i użytecznych ptaków, i t. d. przez S. K. Pietruskiego. Lwów. 1861.

Jest to właściwie część druga pracy drukowanéj pod tymże samym tytułem w Krakowie, w r. 1860. Część tamta obejmowała historyą naturalną ptaków śpiewających; wiadomość o niéj i uwagi zamieszczone były w Bibliotece Warszawskiéj z roku 1860,

w poszycie wrześniowym, na stronie 676. Część zaś druga pod dodatkowym tytułem: „Drapieżne, gadające i piękne ptaki, ułożone i opisane podług zalecających je przymiotów" stanowi dalszy ciąg wyżéj wymienionéj pracy, chociaż w odmiennym formacie jest wydana. Składa się ona z wstępu i przedmowy, zawartych wraz z tytułami na 15 stronnicach, i z tekstu na 140. Dziełko to rozpoczyna autor od uwag stosujących się do obu tych części pod tytułem: „O ułaskawianiu ptaków, a mianowicie o układaniu wypuszczonych na wolność do wracania nazad, a zupełnie dzikich do przylatywania na okno i siadania na rękę;" gdzie opisuje bardzo zajmująco postępowanie, jakiem dochodził do przyswajania wielkiéj liczby ptaków hodowanych u siebie, jak również żyjących przy jego mieszkaniu, i interesujące rezultata temi środkami otrzymane. Poczém przechodzi szczegółowo gatunki ptaków krajowych drapieżnych dziennych; daléj ptaków drapieżnych nocnych; ptaków gadających i pięknie ubarwionych krajowych (wszystkie kruki, sójka, orzechówka, szpak) i zagranicznych (kilka papug i łuszczaków), do czego dołącza „niektóre sposoby tyczące się prędkiego i pewnego wyuczania ptaków gadać:" nakoniec opisuje niektóre ozdobne krajowe ptaki (kraska, jemiołuszka, żołna, dudek, krętogłów).

Nowe to dziełko, p. Pietruski przeprowadza zupełnie tak samo jak poprzedzające, nie ma więc potrzeby rozbierać je szczegółowo, gdyż zastąpić to może odesłanie czytelnika do wyżéj wymienionéj recenzyi. Równie jest interesujące, pełne ważnych i trafnych obserwacyj obyczajowych, sumienne i rzetelne jak wszystkie dawniejsze prace naukowe tego gorliwego i zasłużonego naturalisty; wzbogaca ono znajomość fauny krajowéj niemniéj ważnemi postrzeżeniami i szczegółami. Dla sprawozdawcy zaś niedogodniejsze od tamtych, mniéj jeszcze nastręczając sposobności do uwag i sprostowań; nie postrzega się bowiem żadnego ważniejszego szczegółu do zaprzeczenia, niektóre zaś małe niedokładności w wyrażaniu się, któreby mogły stanowić wady w dziele czysto specyalném, nic zupełnie nie zmniejszają wartości książki podobnéj treści, popularnie wyłożonéj. Lecz i tak drobnych szczegółów bardzo mało można było wyszukać; wymieniam je tu nie w celu krytyki, lecz przeciwnie dla wykazania staranności i znajomości przedmiotu autora, w którego pracy ważniejszych zarzutów wynaleźć niepodobna.

Opisując jaja, często P. Pietruski nazywa plamy kropkami, bez względu na ich kształty i wielkość; co szczególniéj nie może

się stosować do jaj krogulca i kruka, gdyż kropkowanie jest bardzo rzadkim wyjątkiem na jajach obu tych ptaków: najpospolitsze bowiem krogulcowe są grubemi ciemnemi plamami mazane w sposób bardzo charakterystyczny, tworząc najczęściéj dosyć wyraźne obrączki przy jednym z końców, albo też całkowicie go zamazując. Jaja zaś krucze są zwykle pobryzgane blademi plamami, kreskowane lub żyłkowane.

Pod puhaczem, wyrażenie się, że „mieszka w wielkich górskich lasach europejskich" nie jest zupełnie ścisłe: wiadomo bowiem, że w okolicach zupełnie płaskich jak nasza, ptaki te mieszkają w równinach po lasach suchych jak i błotnistych. Gdyby więc był autor opuścił ostatni wyraz, albo przynajmniéj dodał *głównie*, byłoby zupełną prawdą, gdyż czytelnik odnosiłby się tylko do kraju, w którym p. Pietruski przeprowadzał swoje obserwacye.

Orzechówka ma szczękę dolną nieco krótszą, nie zaś obie równe, jak się autor wyraża; prócz tego niejasne jest wyrażenie w opisie dzióba: „bardzo słabo łukowo zakrzywiony, prawie prosty, walcowaty dziób."

Pracy téj życzyć wypada jak najlepszego powodzenia, i polecić ją tak naturalistom, jako téż młodzieży, którą podobne utwory mogą zachęcać do szlachetnych i pożytecznych zajęć. Spodziewać się można, iż zostanie ona należycie ocenioną przez miłośników przyrody krajowéj i odróżnioną od nędznych i niedołężnych utworów, któremi w naszych czasach zarzucają i szpecą piśmiennictwo krajowe spekulanci literaccy, odważający się pisać o wszystkiém, a szczególniéj w przedmiotach, o których żadnego nie mają wyobrażenia, a nad któremi mozolna praca całego życia ludzkiego nie wystarcza. Tém więcéj pragnąć należy powodzenia, że szanowny autor oświadcza w przedmowie, iż od tego zależeć będzie wydanie na widok publiczny ostatniéj części téj interesującéj pracy, obejmującéj ptaki pożyteczne i domowe. Tym więc sposobem utworzy się dzieło nader ważne i pożądane dla ornitologii krajowéj, uzupełnienia którego z upragnieniem oczekujemy.

Pracę tę dedykował P. Pietruski Hrabiemu Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, uczonemu miłośnikowi przyrody i szczodrze wspierającemu rozmaitemi sposobami postęp nauk przyrodzonych w Galicyi. Zacny ten obywatel uposażył już tym sposobem piśmiennictwo naukowe krajowe wydaniem kilku ważnych dzieł, i w szlachetném swém poświęceniu jest niezmordowany. Wkrótce ma wyjść znowu na widok publiczny, jego kosztem, nader ważne dzieło entomologiczne, które mu równą chlubę jak i jego autorowi

przyniesie. Bodajby zasłużony ten miłośnik przyrody, pojmujący z całą szlachetnością socyalne swoje stanowisko, był należycie zrozzumanym, służył za przykład i znalazł jak najwięcéj naśladowców.

Poezya Ukraińska. Seweryn Goszczyński (*).

Pocci polscy dążyli powszechnie do czynnego życia; zdaje się, że czyn miał być dopełnieniem ich prac literackich i w pewnym względzie urzeczywistnieniem ich ideału. Według Mickiewicza, lord Byron rozpoczął dla poezyi nową erę, wskazując przykładem, *że potrzeba żyć według tego, jak się pisze.* Wierny téj zasadzie wielki poeta polski skończył żywot w Konstantynopolu w r. 1855. Bohdan Zaleski również występował tak w izbie, jak i na polu sławy. Zanim jeszcze Mickiewicz wygłosił zdanie powyżéj przytoczone, młody i znakomity poeta Gosławski apostołował tęż samą ideę, popierając ją przykładem i słowy. Taż sama dążność natchnęła późniéj Krasińskiemu niektóre myśli uderzające oryginalnością w *Nieboskiéj komedyi.* Owi pocci dążyli wszyscy do przeniesienia z pola sztuki, na pole czynu, swoich gorących natchnień. Opuścili przez uczucie obowiązku, spokojne sfery poezyi, mieszając się w burze ziemskiego żywota i spełniając w nich to, co uważali za swoje posłannictwo. Talent Goszczyńskiego rozwinął się w sposób przeciwny myśli Bajrona. Będąc przedewszystkiém człowiekiem czynu, od najmłodszych lat skazany na dziwne przygody, sztukę uważał tylko za rozrywkę; wśród burz huczących mu nad głową, szukał w niéj chwilowego ukojenia, ale gorączkowa chęć czynu, trawiła go bezustannie. Zdolności jego i wysoka uprawa umysłowa mieściły go w rzędzie najznakomitszych poetów polskich; ale obrał drogę zupełnie odrębną. Nie zstępuje on z wysokości sztuki na ziemię, aby oświecić czynność ludzką i opromienić ludzkie namiętności, ale ziemię raczéj i jéj namiętności z całą ich potęgą ziemską bijące tętnem

(*) W zeszycie na kwiecień r. z. podaliśmy streszczony artykuł o *Poezyi ukraińskiéj*, a głównie o *Bohdanie Zaleskim*, skreślony przez p. *Pawła de Saint-Vincent:* z pisma *Revue Contemporaine.* Teraz tegoż autora podajemy rozprawę, z tegoż pisma, z r. b. o Sewerynie Goszczyńskim, zastępując tłumaczenie wyjątków z poezyi naszego wieszcza, oryginalnym tekstem.

Przyp. red.

życia, zbroczone krwią, przenosi w wysokie sfery sztuki, gdzie szuka sam schronienia, ścigany dręczącym niepokojem: taki jest charakter wszystkich jego utworów.

Ktoby sobie nie zdał sprawy z tych szczegółów życia Goszczyńskiego, uważałby jego poemat *Zamek kaniowski* za utwór dziwaczny, za dziki owoc fantazyi podsycanéj krwią. Ten poemat kreśli ostatnie rysy walki bratobójczéj pomiędzy Polakami a Kozakami, z całym orszakiem nienawiści i zemsty. Poeta ożywia ten obraz dziwną mocą, a jednak stoi nieporuszony w pośród zwalisk, które gromadzi wkoło siebie. Nie ma litości dla bohatéra swego kozaka Nebaby, ani sympatyi dla chwilowego tryumfu Lachów, czyli Polaków, kładąc w usta kozaka imię Lachów, obarcza je straszną klątwą zaczerpniętą w osobistéj namiętności Nebaby, i w nienawiści żywionéj od dawnych czasów. Nakoniec opowiada niedolę, zawód i śmierć bohatéra swego bez wyjawienia własnych uczuć. Zapewne, że osobiste uczucia poety doznane wśród burzliwych życia kolei, wzbogaciły jego utwór nieporównaną siłą; lecz te żywioły wpłynęły w przedmiot, który opiewa, nie pozostawiając śladu osobistości. Gdy poemat ten pojawił się po raz pierwszy, świat literacki w Warszawie mocno był nim uderzony, ale przyjął go raczéj z milczącém podziwieniem, niż z tą gorącą sympatyą, z jaką witał harmonijne pieśni Bohdana.

Gdy minęło pierwsze wrażenie, krytyka warszawska nie mogła długo przemilczéć dzieła tak znakomitego, jak Zamek kaniowski. Najsłynniejszy z krytyków, młody Maurycy Mochnacki w dziele o polskiéj literaturze, oddał mu sprawiedliwość. Ocenił on szczególniéj wydatny koloryt miejscowy, cechujący ten utwór.

Na szerokiém polu rozhukanych namiętności, mordu i zdrady, w krwawych dziejach rzezi humańskiéj, poeta obiera sobie przedmiot. Głuchy odgłos krążącéj po kraju tradycyi kołysał natchnienia. Zgroza co nas przejmuje w poemacie, nie jest bynajmniéj skutkiem sztucznego wysilenia wyobraźni; wypływa ona raczéj ze zbiegu dwóch dramatycznych żywiołów. Smutne przeznaczenie poety spotkało się z okropném wspomnieniem przeszłości; połączone razem wydały obraz tragiczny złowrogiém naznaczony piętnem. Poeta błąkał się długo po miejscach, w których spełniły się krwawe czyny, pilnie zbierał podania z ust ludu; deptał po śladach krwi, po zgliszczach wsi pogorzałych od pół wieku; dotykał rdzawych noży, któremi niegdyś mordowano. Do tych żywiołów tragicznych dołączyły się inne naznaczone barwą miejscową. Przegroda Ukrainy zaludniona fan-

tastycznemi zmyśleniami ludu, pełna istot żyjących, które według powszechnéj wiary kierują losami i namiętnościami człowieka, cechuje ten utwór samoistném piętnem; groźna i ponura strona téj przyrody działała szczególniéj na poetę. Pszczoły lecące z brzękiem do ula, śpiewne słowiki, różnobarwne muszki i motyle, które ożywiają smętne a urocze dumki Bohdana, ustępują tu miejsca wilkom wyjącym po lasach, jaszczurkom, puszczykom, nietoperzom i sowom złowrogim. Tamte otaczają człowieka, tworząc miły i pełen wdzięku orszak, te zaś mieszają się do jego czynów, jakby gorzkie szyderstwo. Goszczyński w nowy zupełnie sposób, niż inni poeci, wyprowadza swój przedmiot. Znać tu człowieka czynu. Czytając Zamek kaniowski, widzimy, jak rzecz rozwija się logicznie i stopniowo, Sprzeczne namiętności występują, rosną i dosięgają szczytu, tonąc w myśli pierwotnéj, która je zrodziła i nadaje im silną jedność.

Ataman Nebaba jest najdzielniejszym kozakiem na Ukrainie. Jego odwaga, piękność i postawa męzka, zjednały mu serca wszystkich dziewcząt kaniowskich. Według poety:

Szczęśliwa, którą zaczepi uprzejmie,
Szczęśliwsza, którą uściskiem obejmie;
Szczęśliwsza jeszcze, najszczęśliwsza w świecie,
Czyją wstążeczkę w seledce zaplecie.

Ale Nebaba zapomniał tych chwilowych podbojów. Gwałtowna namiętność zapalona wdziękami Orliki, ogarnęła jego serce i panuje w niém wyłącznie. Orlika, skoro ujrzała atamana, pokochała go całą duszą, ale ściga ją téż zalotami rządca fortecy kaniowskiéj. Nebaba zna miłość naczelnika swego, a lubo pewien serca narzeczonéj, nie może jednak uwolnić się całkiem od zazdrości. Kiedy dziewczyna opowiada mu nalegania i obietnice, tego bogatego i możnego Lacha, kozak przerywa stłumionym głosem:

„Lepiéj byłoby nie słuchać, Orliko!"

Dziewczyna odpowiada mu pocałunkiem. Pod tą pieszczotą zapłonęły oczy Kozaka, zagrały ogniem jego żyły, powstrzymał jednak gwałtowną burzę serca. Pocałował ją tylko, a tym pocałunkiem:

W dziewicze usta zionął takie żary,
Jakiemi drzewo wypala dłoń mary.

Taka to miłość kozaka. Jak upiór, według podania ludu, musi on strawić życie téj, którą owionął swojém tchnieniem. Miłość to bez granic wyłączna, pochłaniająca w sobie wszelkie inne uczucia. Nie darmo téż mówi do dziewczyny:

Takie jak czujesz nie zgasną upały,
Niechże się teraz dotknie ich zuchwały,
To pieczęć klątwy na skarbach twéj twarzy,
A kto je ruszy, piekło go oparzy.

Ataman wierny jest jeszcze Polsce; gotów słuchać rozkazów dowódzcy, ale czuć już powstającą w nim walkę między uczuciem obowiązku, wrodzonym popędem, a pożerającą go zazdrością. Goszczyński, żyjąc wśród ludu, jak starożytni tragicy greccy, znajduje zawsze okrzyk trafny, dosadny, wyrażający namiętność krótkiém słowem. Żegnając Orlikę, kozak szepcze jéj złowrogo:

Widzisz, no, te wieże,
A czylisz darmo i ja noszę szable?
Jeśli poszepty uwiodą go djable,
Orliko słuchaj, i Bóg nie ustrzeże!

Podczas téj rozmowy, rządca przygotował sobie drogę do przyszłego tryumfu; potrafił on skłonić ku sobie Orlikę. Nie chciał wprawdzie użyć gwałtu przeciw dumnéj dziewczynie z rodu kozaczego, ale uciekł się do podstępu. Brat Orliki sprawia czaty nad trupem wisielca; według praw wojennych odpowiada życiem za czujność. Oderwany miłosném spotkaniem, złudzony nadprzyrodzonemi zjawiskami, zapomina rozkazu; poplecznicy rządcy odrzynają tymczasem wisielca. Te dwie sceny: porwanie trupa i rozmowa Nebaby z Orliką odbywają się razem i rozpoczynają poemat. Poprzedza je obraz malowniczy, lecz dziką otoczony barwą. Aby ocenić jego wartość, trzeba się przenieść nad Dniepr do zamku kaniowskiego, w czasy okropnych wypadków, które poeta opiewa:

Wspaniałe zamku kaniowskiego wieże
Wznoszą się w chmury jak olbrzyma ramie;
A dzielnéj ziemi powiewa z nich znamie,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów po jarach, górach rozpierzchnięty,
Igra jak dzieci pod piastunki okiem;
Dumne, że płyną pod olbrzyma okiem,

Poważnie kipią dnieprowych wód męty;
A lasy, świeże jak powab nietknięty,
Po górach dzikich, jak rozpaczy czoło.
Rozległe brzegi rozsiadły w około.

Wietrzna, jesienna zawyła noc zdala,
Warzą się wiry w zamąconém łożu;
Wre chmur kłębami i niebo jak fala;
Złośliwy obłęd, igra po bezdrożu.
Podróżny z cichém szeptaniem pacierza,
Mija rozdoły świstające trzciną;
W skrwawionych szponach zgłodniałego zwierza,
Dławione bydlę peryka doliną.
Pod szturmem wiatru co silnie dmie górą,
Słychać skrzypanie głównéj szubienicy;
Trup się kołysze, pies wyje ponuro,
Śmierć mu osiadła w zamku okolicy;
Szablą czasami pobrzękując krzywą,
Szyldwach wisielca, wzdłuż płaskiego wzgórza
Zwijając wąsy przechadza się żywo.

Żywioł nadprzyrodzony powiększa jeszcze okropność tych miejsc. Dwa puszczyki oznajmiają nam sieć intrygi osnutą przez rządcę. Jeden puszczyk siedząc w strzelnicy na wieży zamkowéj, wita kochankę ponurym okrzykiem:

Puszczyk Pierwszy.

Zkąd ci ten pośpiech i wesołe krzyki?

Puszczyk Drugi.

Patrzajno, patrzaj miluchna,
Oczkiem żywém jak blask próchna,
Patrzno i śmiéj się: bo twe śmiechy miłe,
Jak téj matki wrzask przestrachu,
Którą niedawno ostrzegałem z dachu,
Że chory jéj pieszczoszek, zalegnie mogiłę.
Jak djabli przy wisielcu snują się orszakiem,
Co oni wyrabiają z tym biednym kozakiem.
Cha, cha, cha!

Puszczyk Pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk Drugi.

Czekaj! widzisz, pod krzakiem coś białe majaczy:
To kochanka kozaka, widzieć go przychodzi,

I kozak wie o niéj, lecz go djabeł zwodzi;
Co tu kobiecych snuje się postaci,
Głosów podobnych co tu z każdéj strony,
Patrz! posłyszał ją, ujrzał: pędzi rozpędzony!
I z oka traci!

Puszczyk Pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk Drugi.

A tam znowu na górze, patrz! jeździec majaczy,
Podjeżdża ku szubienicy;
Szyldwach do rusznicy:
Krzemień klasnął, proch wybuchnął.
Djabeł dmuchnął:
Wszystko z wiatrem uleciało:
. . . . . .
Patrz, trup się urwał; patrz, wisi drugi:
Djabeł skory do posługi,
W jakiéj się pysze
Wesoły djabeł kołysze,
Jak zabawia towarzysze!
Jakie skoki, jakie śmiechy!

Puszczyk Pierwszy.

Coż się stanie z wisielcem, gdy kogut zapieje?

Puszczyk Drugi.

Parą się rozwieje.

Puszczyk Pierwszy.

A jak trupa nie znajdzie, co szyldwacha spotka.

Puszczyk Drugi.

Zmienić djabła raczy.

Puszczyk Pierwszy.

Cóż to wszystko znaczy?

Puszczyk Drugi.

Szatańska pustotka:.
Cha, cha, cha!
Szyldwach trupa nie ustrzegł, powieszą szyldwacha.

Poeta przebywając nieraz na Ukrainie, zbadał do gruntu jéj przyrodę i umiał ją wiernie odmalować. Pogląda on w oblicze téj matki, która nieraz tuliła go na łonie, a podchwytując skryte

objawy tajemniczego jéj życia, znajduje odpowiedni im oddźwięk w uczuciach serca ludzkiego. „Stary dąb, gaduła, opowiada mu stuletnie wspomnienia; nad brzegiem wody, zżółkły listek zawieszony na suchéj gałązce osiki, szeleści słabo i boleśnie. Zwarzony jesiennem tchnieniem, jak ojciec osierocony po dziatwie, pochyla się nad potok, pragnąc jak najrychléj połączyć się ze swemi! Tak głębokie zadumanie nad przyrodą, nadaje z jednéj strony obrazom Goszczyńskiego cechę rzeczywistości, ale z drugiéj napełnia nas niepojętym smutkiem, wskazując niestateczność rzeczy ziemskich i odkrywając zjawiska życia i śmierci. Obraz tego rodzaju maluje nam zachód słońca w pośród mgły jesiennéj. Dzieli on pierwszą część poematu i służy za wytchnienie między ustępami, w których dramat żywo postępuje. Patrząc w zachodzące słońce, poeta woła:

Gwiazdo świetna, wesoła, jak anioł młodości!
Gdy na złotym promieniu wiedziesz z sobą lato,
Jak jéj nadzieja; wtedy spoczywasz w ciemności.
Dzisiaj mglistą jesieni osłoniona szatą,
Jakże tęsknie opuszczasz niebo Ukrainy;
Gdzie wszystko jest pięknością niewinnéj dziewczyny;
Gdzie powietrze pogodne, jak blask jéj oblicza,
Czaruje w swych powiewach urokiem jéj tchnienia;
Gdzie wody odbijają światło jéj spojrzenia;
Gdzie pagórki ponętne, jak jéj pierś dziewicza;
Gdzie wietrzyk harmonią pieśni jéj powiewa:
Gdzie kwiaty płeć jéj mają, a jéj świeżość drzewa!
Czemuż, o smutna gwiazdo! w zachodzie jesieni,
Jak konające oko twój się okrąg mieni?
Ponury jest twój zachód i twój wschód ponury:
Kiedy się w chmurę kładziesz, kiedy wstajesz z chmury;
Pod rosą, co się dzisiaj promieni tak świetnie,
Jutro, przed ranem jeszcze, ten kwiatek zakrzepnie,
Jak śród zdrajczéj pieszczoty piękność uwiedziona.
Ten listek taki świeży, żalu nie wyszepnie,
Gdy z rodzinnéj gałązki wiater go odetnie,
I na wywiędłéj braci jeszcze dzisiaj skona!
Żegnam cię więc, o gwiazdo, przed smutnym noclegiem:
Jękiem listka, co głuchnie nad ogłuchłym brzegiem;
Wielkim hymnem żórawi, co ciągną ku morzu;
Rykiem trzody, co rzuca jałowe pastwiska;
Głuchym szumem, co stęka w zmartwiałych wód łożu;
Konającym promieniem, co z rosy połyska,
Gdy raz ostatni drżącą zimny wicher ściska!

Wśród tego krajobrazu, nasz bohatér czeka gorączkowo. Orlika dotrzymuje zawsze słowa; teraz jednak nie przyszła na

umówioną godzinę. Czarne przeczucia szarpią serce Nebaby. Rzuciwszy dokoła wzrok badawczy, kozak pochyla się nad ciche źródło, które płynie u stóp jego i stoi pogrążony w głębokiém zadumaniu.

I tak głęboko myśli w niém zanurzy,
Jakby w zwierciadle serca swego burzy;
A tam błękity maluje odbicie,
I obraz jego w odbitym błękicie,
Jakby go ręka stworzyła malarza.
Łuna tam słońca w zachodzie się mieni,
Obłędnym blaskiem gasnących płomieni:
Mierzchnące nieba gasi, to rozżarza.
W bledszym zachodzie zorza zaigrała,
I przez gałęzie bezlistnéj osiki
Zadrżały w wodzie żywe jéj promyki:
Ach! jakie życie! to oko Orliki!
Otóż się jawi i postać jéj cała;
Widzi, jak z góry krok przyspiesza skory:
A od pośpiechu lica żywiéj płoną,
A od radości częściéj bije łono,
A od powiewu co płącze kędziory,
I krasne wstęgi po plecach rozwija,
Z cienkiego stroju stan smukły przebija.
Już staje obok, już ją oto ściska;
Aż nagle zorza chowa się w obłoku:
Widmo zniknęło, ciemność na dnie stoku,
I o wiek cały szczęśliwość tak blizka;
A u kozaka taka myśl ponura,
Jakby mu w duszy osiadła ta chmura.

Zorza gaśnie razem z nadzieją. Wkrótce znika wątpliwość, albowiem tajemny goniec oznajmia Nebabie, co się stało w zamku. Orlika dla ocalenia brata w tym dniu jeszcze zaślubi rządcę zamku. Na tę wieść okropną:

Jak we mgle żółtéj wzrok jego słupieje,
Niby dłoń śmierci za serce chwyciła;
Taki po ciele zimny pot się leje,
A lodem zda się stygnąć każda żyła:
Usta mu drgają, kolano przyklęka,
Tylko się wierna za nóż chwyta ręka.

Ataman zrywa się wreszcie i jakby cień poganiany wiatrem biegnie pomiędzy zgromadzone i pląsające tłumy.

Czujemy w téj chwili, że szał namiętności popchnie bohatéra dramatu do ostatecznych następstw. Aby go zatrzymać

chwilę na téj pochyłości, trzeba było wprowadzić nową siłę, któraby zrównoważyła miłość Nebaby obłąkanego zazdrością i gniewem. Poeta znajduje ten nowy żywioł w tajemnicach ludzkiego serca i w podaniach miejscowych. W powieściach ludu złowrogie przepowiednie poprzedzają groźne wypadki. Przed rzezią w Kaniowie, widywano, jak mówią, niewiastę, według jednych obłąkaną, według drugich zaprzedaną mocom piekielnym, jak przebiegała okolicę, ktora miała być widownią srogich klęsk i oznajmiała je niezrozumiałemi słowy. Poeta przypuszcza, że bohatér jego popełnił niegdyś błąd, za co w głębi serca czuje tajemny wyrzut. Dziewczyna uwiedziona przez Nebabę, a potém opuszczona, będzie ową szaloną wiedźmą: w podaniach ukraińskich, istoty nadprzyrodzone, nie obojętne na piękność dziewic ziemskich spływają niekiedy po promieniu gwiazdy spadającéj i łudzą ich młodą wyobraźnią. Ksenia młoda i piękna dzieweczka, uległa takiéj niewytłumaczonéj ułudzie, a nocne jéj marzenia zwiastowały obłąkanie umysłu. Aby zakląć wpływ nadprzyrodzonego kochanka, potrzeba było, żeby ziemski młodzian podbił serce Kseni. Młody ataman wystąpił śmiało w zapasy. Urodziwy, odważny, postanowił ocalić dziewczynę; jakoż wydarł ją mocy czarodziejskich, zostawszy sam jéj kochankiem. Dziewczyna zhańbiona rzuciła się w fale Dnieprowe dla pokrycia wstydu. Wydobyta z wody, postradała zmysły na zawsze. Odtąd ścigała bezustannie zwodziciela, przebiegała miasta i wsie w łachmanach, strasząc lud ohydną postawą i groźnemi wróżbami. Uważano ją powszechnie za opętaną od złego ducha, a wstręt ku niéj okazywany przez atamana, utrzymywał wszystkich w tym błędzie. Tajemnica Kseni rozwija się dopiéro w trzeciéj części poematu. Spostrzegamy ją w pierwszéj, kiedy kozak zdradzony przez Orlikę, biegnie jak obłąkany w pośród tłumu. Zjawienie jéj zapowiada smutny okrzyk, podobny do głosu puszczyka: „Ho, hop Nebabo; ho, hop, atamanie," poczém ohydna postać ukazuje się nagle oczom naszym:

Wesele Kseni musi być nie małe,
Że obleciawszy w okrąg miasto całe,
Znajduje wreszcie, co tak długo szuka.
Wesele Kseni musi być nie małe:
Bo raźniéj skacze, bo donośniéj huka;
I kłami piekła dłonie larwy klaszczą,
I oczy larwy skrzą się piekła paszczą.
Jakże być wielkie musi jéj wesele,
Że bardziéj zbliża krok i tak już bliski;

Wszakże mu ona gotuje uściski:
Widać w jéj ruchach, widać to w jéj oku.
Kozak na wszystko odważa się śmiele,
Nie wruszy powiek, i nie cofnie kroku.
Już opętana w konwulsyjnym rzucie
Ma w jego ustach złożyć ust swych czucie;
Już chwyta szyję dłońmi wywiędłemi;
Już... i omdlała, leży już na ziemi.
Tylko pod pięścią skronie zachrupały,
A na oblicze zdroje krwi buchały!
Ho! hop, szatanie, bierz teraz co twoje,
Mruknął ataman!

Pierwszy wybuch rozpaczy rozbił się o wyrzut sumienia. Myśl zemsty przeciw uwodzicielowi Orliki, budzi się teraz niemniéj głęboka, lecz wyraźniéj określona. Poddaje mu środki pewniejsze i lepiéj prowadzące do celu. Gonta i Żelaźniak ukazali się w sąsiedztwie; wymordowali już ludność w Humaniu. Rozbójnik Szwaczka, okopał się w obozie niedaleko Kaniowa. Tam Nebaba idzie szukać zemsty. Zna go oddawna drużyna. Niech tylko przyłączy się do niéj, pomówi z dowódcą, przyrzecze im pomoc, okaże nienawiść ku Lachom, a przyjmą go z otwartemi rękoma. Zamyśla naprowadzić ich na zamek wiadomemi ścieżkami. Knując zamiar, wstępuje w łódkę i każe się wieźć ku miejscom, kędy zagrzmiało już hasło zniszczenia. Lekka łódka o skrzydłach łabędzich, ślizga wesoło po spienionych falach Dniepru, uciekając od miasta przeklętego. Zamek kaniowski i góry znikają zwolna z oczu w miarę, jak się łódź oddala:

„O! jak wspaniale za nocy zasłoną,
Jak rzęsném światłem okna jego płoną!
Niech sobie płoną, niech i rzęśniéj płoną!
Jak mnie dziś, jutro przyjdzie ciemno jemu,
Jutro, pojutrze zaświta inaczéj,
Biedny, kto mojéj zapragnął rozpaczy!"
Aż mu się piekłem krew zajęła cała,
Aż mu się czapka od włosów podniosła;
Od jego dreszczu aż się łódź zachwiała,
Aż się obejrzał rybak co u wiosła,
Kiedy te myśli jak piekła zarzewie
Przeszły piorunem przez Nebaby głowę,
A to gdy światło obaczył zamkowe."

Ataman przybiera postawę spokojną i rozważa w myśli zamierzone dzieło. Czarą zemsty napawa pierś spragnioną, wysączając ją po kropelce.

Druga część poematu rozpoczyna się nocą w obozie Szwaczki:

Kłębią się dymy, czerwony żar pryska,
Rośnie wal ognia, noc się zarumienia.
Pośród bijącéj krwawéj luny fali,
Jak mgliste duchy cienie drzew się kładą.
Daléj noc czarna: tylko w ciemnéj dali,
Jakby zaklętą rozsiany gromadą,
Bezwładny obóz groźnym snem usypia.
Tam się błysk stosu, ostrza piki czepia;
Tu współ-dobyty nóż czasem zabłyska,
Jak rozdrażnionéj gadziny oczyska.
Gdzieniegdzie znowu z pod burki kosmatéj,
Sen niespokojny wychylił pół twarzy,
I przez sen widać co każda z nich marzy;
To z brwiów zmarszczonych, to z wargi wąsatéj;,
Na téj śmiech dziki, klnące słowa na téj.
A tam przyjaciel i wierny, choć panu,
Koń ułożony tuż pod pana bokiem,
Strzeli niekiedy przebudzoném okiem,
Niby kochanie śród świata tumanu;
W saméj cichości, obraz niespokojny,
Nadzieją mordów kołysanéj wojny.

Szwaczka sławny był równie ze zbrodni, jak z odrażającéj brzydoty. Poeta określa go dosadnie w kilku słowach:

Przeciw Nebaby, jak odblask poczwarny
W chropawém lustrze siedział kozak drugi;
Na pierś obrosłą zwieszał się wąs długi,
Całe pół twarzy ściągał mu szram czarny;
A choć ogniste ledwo iskrzy oko,
W zatyłéj twarzy tak siedzi głęboko:
To Szwaczka.

Stary, otyły, dziwnie już ociężał i zleniwiał; potrzeba silnego bodźca, ażeby go skłonił do czynu. Kozacy szemrzą na zbyt przedłużony spoczynek; miłosne cierpienia Nebaby, nie budzą w nim prawie współczucia. Odchodzi też z gniewem, widząc, jak pijany starzec wpada w sen twardy, ołowiany. Na głuchy świst znany dobrze kozakom, drużyna zbiera się wkoło niego. Nebaba oświadcza zręcznie towarzyszom, iż chce tylko pożegnać się z nimi, lecz nie zamierza wyrywać ich ze słodkiego spoczynku, jaki im zapewnia obojętność starego atamana. On zaś pójdzie, jak mówi, do innego pułku kozaków, gdzie zaspokoi chciwą zemsty nienawiść przeciw Lachom. Długiéj téj mowie przywtarza cichy poszmer:

Mruk dobréj wrożby, podobny do gwaru
Pierwszego lodu, gdy go łamią fale.

Młody ataman korzysta z tego usposobienia i rzecze do drużyny:

„Teraz, kto tylko molojca ma duszę,
Kto się chce ogrzać przy zamku pożarze,
Kto chce opłukać pikę w polskiéj jusze,
Kto chce zaśpiewać przy pańskim puharze:
Idźcie do zamku, ja drogę pokażę.

Oczy kozaków zabłysły na te słowa, a podczas gdy pijany Szwaczka tonie pogrążony we śnie, dziki okrzyk powitał z radością krwawe hasło nowego wodza.

Podobny odgłos wędrowca krew ziębi
Gdy go wilczyca zwietrzywszy w puszcz głębi
Przeciągle wyciem ozwie się ponurem,
A za nią głodni zalotnicy chórem.
I razem głębie zastękały ziemi
Pod rumakami ciężko tętniącemi.
Stójcie! od wschodu dzień się zapłomienia,
Księżyc rumiany niby się krwią zbroczył,
W posępne chmury jak do śmierci loża,
Na cichych ranku wiatrach się zatoczył,
I jak złéj wieszczby wyszła drżąca zorza.

Postrach padł na całą Ukrainę. Liczne zgraje hajdamaków przebiegając kraj wzdłuż i wpoprzecz, paliły wsie, łupiły dwory, mordowały bezbronnych mieszkańców. Już odgłos okrutnych spraw Żeleźniaka i Gonty rozbiegł się daleko. Oddział Szwaczki stał groźno pod Kaniowem, a rządca pozbawiony środków obrony, zmuszony był przywołać zbrojną pomoc, aby uchronić zamek od zniszczenia. Mieszkańcy Kaniowa i okolic przejęci byli dziwną trwogą. Goszczyński wiernie skreśla ówczesny stan umysłów:

Z rękami w niebo, płakał lud skruszony,
Śród poświęconych sklepień Wszechmocnego;
Ściany świątyni wtorzyły płacz jego.
Księża śpiewali pokutnemi tony.
Kaniowskich dzwonnic jęczały wciąż dzwony,
W każdym ołtarzu światła wciąż pałały,
Nie ocenione słano zewsząd wota,
Z drogich kamieni, ze szczerego złota.
Wielkie ofiary, bo i strach nie mały!
Płakali wierni, płakali niewierni,
Wprzódy niżeli noc barwy poczerni,

Dzieci Solimy przed arką bóżnicy,
Bez płci różnicy, bez wieku różnicy
Upadli na twarz w pogrzebowéj bieli,
Jakby od gniewu Bożego olśnęli.
I w pyle ziemi czoła ponurzywszy,
Podnieśli głucho lament, żałośliwszy
Niźli go słyszał światu wiek daleki,
Na obcych brzegach Babylońskiéj rzeki,
I łzy Dawida z ich się ocz polały:
Szczere to płacze bo i strach nie mały.

Słaba załoga fortecy z odkrytą głową i bronią opuszczoną modliła się także pod szerokiém nieba sklepieniem: już się skończyła modlitwa:

„Amen i amen! powtórzono z skruchą.
Echa zamkowe ozwały się głucho:
Amen ich amen! tak smutny, nie miły
Jakby go poraz ostatni odbiły."

Po modlitwie, niewiasty zabrały się do zwykłéj pracy. Tu poeta przedstawia nam nagle, pełen wdzięku obraz dziwnie odbijający w pośród okropnych i ponurych obrazów poematu. Język Goszczyńskiego zawsze trafny i silny, zawiera wszelkie odcienia stósownie do przedmiotu, jaki kreśli pod jego piórem, obrazy i opisy przybierają kształty żywotne. Wiersze jego nie mają harmonijnéj melodyi dumek Bohdana, ani wytwornéj formy Mickiewicza. Są one niby wykute z granitu: powierzchnia ich częstokroć chropawa i szorstka; potęga i ścisłość w wyrażeniu stanowią ich główną cechę; umié jednak poeta nadać im wdzięk uroczy, gdy przedmiot wymaga tego po nim; weźmy naprzykład śliczny obrazek, przedstawiający nam zatrudnienia niewieście w zamku kaniowskim.

O! co za roskosz obejrzeć te grona,
Gdy za prababek bawiły się pracą:
Tu gazy blaskiem złota się bogacą,
Jak biała zima mrozem uiskrzona;
Tam czarodziejka u krosien schylona,
Tchu nie da słyszeć, nie zwróci spojrzenia,
I trzeba wierzyć widząc jéj oblicze,
Że blask tych oczu, to tchnienie dziewicze,
Cudowną władzą, kwiat wiosny rozplenia.
W téj białych rękach drut jasny i gładki,
Wydaje w mgnieniu różnowzore siatki,
Niby od wiatru i z wiatru tworzone,
Tak są przejrzyste i lekkie jak one.

A tutaj, okrąg głośniejszéj roboty:
Tutaj burzliwe furczą kołowroty,
Tutaj wrzeciono ze lnami miękiemi,
Brzmieje nieznacznie i gwiżdże po ziemi.
A pienie w prostéj, melodyjnéj nucie,
Lube, jak pierwsze miłości uczucie,
Ciche, jak łono co nie zna kochania,
Tęskne, jak pamięć rodzinnéj zagrody,
Pełne z tém miejscem, z tą godziną zgody,
Sferą harmonij urok ich osłania.

Orlika, młoda żona rządcy miała przewodniczyć tym pracom, a jednak chwilę tylko pozostała u krosien. Troska dręczy jéj umysł, boleść rozdziera serce.

Przez nieme wargi, przez ciemne spojrzenia,
W mgłach coraz grubszych jéj smutki się wloką,
A choć pierś westchnień, a łez pełne oko,
Jakby walczyły z niemi pierś i oko;
To łez nie puszcza, to więzi westchnienia.
Ach! pierwsza roskosz tak bardzo nie zmienia.
Nie gasi jagód, nie mrozi spojrzenia,
Żałobą duszy czoła nie ubiera,
Ciężkiém westchnieniem piersi nie zapiera.
Ach! pierwsza rozkosz w lubego objęciu,
Kiedy kochana i kocha, dziewczęciu
Daje czuć duszę życia anielskiego.
Lecz kiedy słabą, żądze gwałtu zbiegą
I co drugiemu sobie wypieszczono
W zmierzłéj lubości, obca rozkosz skradnie;
Piekło natenczas wciska się tam zdradnie,
I śmierć zapładnia oblubieńcze łono.
Czy się kto kiedy przypatrzył gangrenie?
Jak utajona tląc w sercu głębinie,
Na trupiem ciele wyjdzie małą plamą,
Jak coraz szerzéj, coraz ciemniéj mgleje,
Aż stosu śmierci dymem twarz odzieje:
Z młodéj Orliki smutkami toż samo.

Ten ustęp zapowiada już, jaką rolę ma odegrać w poemacie ta nowa Judyta, dawna oblubienica bohatéra naszego. Rządca powraca do domu, zaspokaja wszystkich, przynosi bowiem dobre wieści. Gonta i Żelaźniak ujęci już w niewolę. Zgraja Szwaczki otoczona w lesie poblizkim przez liczny oddział wojsk polskich. Gdy rządca idzie do sypialni, aby spocząć po drodze, dzika radość błysła na obliczu pani domu. Stara się uspokoić męża strwożonego daleką wrzawą. Znużony zasypia nakoniec.

Usnął: rządczyni wciąż mruga powieka,
Jak góra westchnień, ciężkie dla niéj łono;
I serce rwie się jakby je męczono.
I pot gwałtownych miotań ją uciska.
Cóżto tak przykro podrażnia jéj oczy?
Czegoż pot mdłości z jéj się lica toczy?
Jakaż na pierś jéj mogiła się tłoczy.
Czy to nie szatan igra z nią w beześnie,
By owoc, którym pierś przeklętą płodni,
Wykołysany jéj myślami wcześnie,
Stanął dojrzały na skinienie zbrodni?

Tegoż samego dnia Nebaba otoczony wojskiem polskiém, nic o tém nie wiedząc, zasypia w lesie na mogile pod cieniem odwiecznego dębu.

Niepomnych czasów, nieznana mogiła
W cieniach gęstego lasu się ukryła.
Nad boki mszyste, nad jéj szczyt okrągły
Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły
Ze sklepem dębu, co z lasów zarośli
Strzelał gałęzią widniéj i wyniośléj
Niż wieża Ławry, złotem błyskająca,
Pośrodku dzwonnic kijowskich tysiąca;
Starszy brat sławnéj puszczy Łebedyna,
Nie jednéj puszczy płemię on zaczyna;
Bo burze nieba i czasu wstrząśnienia
Tak się po jego przesuwały szczycie,
Jak téj piastunki, co chce uśpić dziecię,
Zmyślone groźby i głaszczące pienia.
Czy spiekłe lato piorunami sieje,
Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
Czy w nagich korach mroźna iskrzy zima,
Korona jego ciągle zielenieje:
Niby mąż wieków w mogile téj leży,
Niby myśl jego w kształt drzewa odziana,
I bohaterską posoką podlana,
Piastuje wieniec chwały zawsze świeży.

Pod tym dębem spoczywa ataman, sen jego niespokojny: widzi w nim odbite wszystkie przygody życia: na obliczu jego odbija cała męczarnia skrępowanych myśli: obrazy Orliki, jéj męża i Kseni przesuwają się przed nim. Nakoniec otwiera oczy i widzi nieznaną postać, niby nadziemskie zjawisko. Starzec ślepy ze śnieżnym długim włosem, siedzi u stóp drzewa, trzyma lirę na łonie, i dobywa z niéj splątane jakieś dźwięki. Śpiewacy tego rodzaju, przebiegają wciąż Ukrainę, i za jałmużnę, pła-

cą pieśnią, lub cudowną powieścią. Są oni piastunami odwiecznych tradycyj; obok tego roznoszą wieści i o współczesnych wypadkach. Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, Nebaba tłumaczy zjawienie się starca w sposób przyrodzony. Patrząc na tę postać szyderczą, bierze go za szpiega nieprzyjacielskiego, szarpie nim, i woła piorunującym głosem:

„Dziadu! kto jesteś? co robisz w tym borze"? Ta groźba nie ustrasza lirnika; zwolna, drwiącym głosem odpowiada mu na to: „Jeżeli twarz twoja, podobna groźnéj mowie, dziękuję Bogu, że mi wydarł oczy". Rozgniewany tą odpowiedzią ataman chwyta starca pięścią żelazną: lirnik chłodno odrzecze:

„Puść: strunę urwiesz, a nie kupisz nowéj".

Ten niezmącony spokój, oddziaływa na uczucia kozaka: w końcu Nebaba słucha z żywém zajęciem jego pieśni. Owa pieśń to taż sama, którą Ksenia przywoływała niegdyś z łona gwiazd, nieziemskiego kochanka.

Wypłyń, wypłyń z za obłoku,
Po błękitném przeleć niebie,
Ja kochanka wzywam ciebie
W lasu ciszy, w nocy mroku:
Ho hop! ho hop! wzywam ciebie.

Głucha ciemność wioskę kryje,
Zgasł kaganek w oknie chatki,
Sen zakleił oczy matki,
Moje serce bije, bije:
Do twojego serca bije.

O północnéj wyszłam porze,
Na burzliwą nie dbam porę;
Skoro mi blask luby gore,
Niechaj zgasną wszystkie zorze:
Całą noc przesiedzę w borze.

Kiedy promień twych warkoczy,
Spłynie na obłoki sinie,
Ziemia złotym dniem opłynie;
A mnie dusza, a mnie oczy,
A mnie serce szczęściem spłynie.

Starzec opowiada Nebabie historyą młodéj dziewczyny, i zaostrza słowa swoje, nie jednym szyderczym pociskiem, raniąc boleśnie serce kozaka. Kiedy nakoniec zawołał tak jak ona: ho-hop ho-hop atamanie! uwodziciel Kseni przyskoczył doń, i pochwycił

go z gniewem: wtém koń zarżał, Nebaba odskoczył od starca, a gdy powrócił, już śpiewaka nie było. Jakkolwiek zna dobrze miejscowość, kozak nie może nigdzie odkryć jego śladu. Czuje strach zabobonny; wyrzut sumienia wkrada się w jego serce. Groźne widmo kobiety przesuwa się przed nim. Daremnie chce zakląć to zjawisko, widzi nakoniec buchający ogień na wzgórzu; to umówiony znak: Lachy gotują napaść: kozactwo okrąża atamana. Ale myśl o Orlice, o rządcy i o zemście panuje w nim nad innemi. Ucisza głos sumienia, otrząsa myśl z wspomnień przeszłości, odrzuca precz złowrogie widma i woła:

Przeszło co było, i co będzie minie,
A co być musi, niechże się już staje.

Wskoczył na koń: snać gotów już do boju; krew w jego żyłach kipi: wrony koń pędzi jak strzała! Otóż i nieprzyjaciel; rozpoczyna się bitwa. Poeta opisuje krwawe przygody walki, w któréj dzielny ataman opiera się wściekło przeważającym siłom: w końcu ranny śmiertelnie, gdy wszyscy niemal bracia polegli obok niego, szuka ustroni, gdzieby mógł zatamować krew, co potokiem zalewa mu usta. W téj ostatniéj chwili, Kseni ukazuje się jeszcze, i narzuca mu tkliwą pomoc. Na ten widok, ataman przyciąga ją do siebie, i zatapia nóż w jéj sercu.

Poemat zrazu rozstrzelony, daléj postępuje prostym biegiem. Nebaba zajął miejsce Szwaczki, a Szwaczka zastępuje Nebabę. W tém widać bezpośredni wpływ Opatrzności na sprawy ludzkie, zresztą wszystko tu wypływa, ze zbiegu sprzecznych namiętności i wskutek wrodzonych zdolności działających w poemacie osób. Nebaba energiczny i zręczny, ma zrazu przewagę nad nałogowym Szwaczką, ale porwany młodzieńczym szałem, wpada w zasadzkę zastawioną przez Lachów, jakiejby może uniknął doświadczony poprzednik. Szwaczka przyćmiony zrazu przez młodego atamana, występuje z kolei. Rozbudzony ze snu, widząc się sam jeden, odgaduje powód opuszczenia, i ukazuje się w nowém świetle. Chce jednym zamachem pomścić się na Lachach, i na tych którzy go zdradzili. Zamyśla wyprzedzić Nebabę, w napaści na Kaniów, spalić zamek, nim ataman przybędzie i uprowadzić Orlikę. Ma on wiernych towarzyszów, w mieście i w okolicy. Niech się tylko ukaże, zbiegną niebawem do niego. Tworzy więc nowy zastęp oznajmiony przez Nebabę, z tajemną ścieszką, znając słabość załogi, napada straż i wdziera się w głąb zamku;

stary ataman idzie najprzód do sypialni Orliki: kozacy wyłamują drzwi, lecz stanęli jakby osłupieni, na widok okropnego zjawiska. Odziana w szatę białą, skrwawiona kobieta, chodzi po komnacie z nożem w ręku. Nie słyszy, ani łoskotu wyłamanych drzwi, ani chrzęstu palących się bolek, ani stąpania tłumnéj zgrai, ani groźnego okrzyku: lica jéj spokojne napozór.

Przed nią trup leży w rozrzuconém łożu;
W ręku nóż trzyma, krew pieni po nożu,
A na niéj całéj skrwawiona koszula,
Ona ją bierze, macza w trupa ranę,
I żmie ją niby i niby wypiera:
Potém martwego pościelą otula,
Wymawia z cicha słowa ucinane,
Zbroczoném płótnem cała się wyciera,
I wolnym krokiem idzie do zwierciadła.
Stanęła, z lampą w ręce konającą,
Spokojem, tylko oczy się jéj mącą.
Czerń rozjuszona właśnie wtedy wpadła
Gdy w téj postaci stała u zwierciadła.

Szwaczka wbiega niecierpliwy; na widok strasznego zjawiska przypomina słowa Nebaby, widok krwi budzi w nim chęć mordu: rzuca nóż i rani Orlikę. Szalone jéj osłupienie, ustępuje w obec bólu i trwogi. Krzyknęła na głos i ucieka długim rzędem komnat i krużganków: poeta po mistrzowsku opisuje tę ucieczkę zbrodniczéj kobiety, i szaloną pogoń napastników.

O zmykaj, zmykaj! w zbrodniach tobie równi
Ścigają ciebie przy iskrzącéj głowni,
Skopcony ogniem, krwią ofiar ociekły,
Toczy się Szwaczka przed rozjadłą zgrają;
Tu jego usta: „łamać drzwi" wyrzekły.
A tu drzwi nowe z zawias wypadają.
Długo trwać będzie ta igraszka dzika,
Ci dobrze gonią, ta dobrze umyka.
Zbestwiona pogoń drzwi po drzwiach wysadza,
Tu już stracili, tu znów krew ją zdradza;
Skoro o ścianę oprze się jéj ręka:
Tu drzwi łupnęły, tu zasuwa brzęka;
Tu biegiem skorszym zbrudziła podłogę;
Tu prawie słychać jak serce jéj bije;
Tu ją dokona przeznaczenie srogie,
Niech tylko drzwi te wyprze ramie czyje.
Już to ostatni przytułek za niemi
Chybaby szatan schował ją do ziemi,

Orlika utulona w kącie oczekuje losu swego; wtém straszny okrzyk rozlega się w tłumie, pożar rozpostarł się po zamku:

Prysnęły głownie, płomienie buchnęły,
Wstrzęsło ścianami, zaskrzypiało dachem,
I dach przetlały runął między ściany,
Jeszcze okrzyki skonania wrzasnęły,
Prysnęły głownie, dymy wybuchnęły,
Wirem się wzniosły ogniste bałwany,
Chwila i wszystko milczy pod pożogą.
Przetlona głownia cicho dogorywa,
Cicho dym wstaje, płomień się dobywa,
Jakby tam nigdy nie było nikogo!

W kilka dni po napadzie na miasto i na zamek, w okolicach Kaniowa, krucy tylko i wilcy sprawiali biesiadę, wydzierając sobie ciała trupów. Umierający Nebaba przywlókł się jeszcze w samą porę, widział gasnący płomień pożaru, który on przygotował, choć inna zapaliła go ręka. Wzrokiem wlepionym w zgliszcza, szukał daremnie śladu Orliki, która poświęciwszy go dla brata, pomściła go sama krwią rządcy. Ubiegłe chwile młodych lat, i miłości stanęły raz jeszcze w myśli atamana, w obec skonu. Zdało mu się nawet, że cień Kseni poważny i milczący, pełza ku niemu, i na ustach jego wyciska chłodny pocałunek. Długo lud przejęty zgrozą, uciekał od miasta, a szczególniéj od zamku. Jedna tylko postać siedziała na złomach głównéj baszty, z piką wspartą o ramie jak straż zaklęta, w śród tych ponurych zwalisk. Był to szkielet Nebaby, przestrach dzikich zwierząt i drapieżnych ptaków. Po obłąkanéj Kseni, która do ostatniéj chwili, czuwała nad kochankiem, pozostał tylko splot włosów, w pośród zielonéj murawy; a w tym splocie, mały ptaszek założył już gniazdeczko. Nakoniec, kiedy duch poety zwiedzał tę straszną ruderę, widział jeszcze po ścianach, czerwone ślady krwi, wyciśnięte ręką zabójczyni, gdy uciekała przed pogonią. Daremnie zacierano te plamy: ledwie zatarte, występowały znowu; wiecznotrwałe jak zbrodnia. Nie zasięgnął już wieści o ślepym lirniku, który się ukazał Nebabie w chwili tak ważnéj; ale w pośród popiołów znalazł przypadkiem złotą strunę jego teorbanu: świeciła ona zawsze cudnym blaskiem; ani płomień, ani długie lata i niepogody nie rdzewiły jéj wcale, a wiatr kochanek, przybiegał niekiedy z blizkiego lasu, i dawne odśpiewywał z nią dzieje. Ta samotna struna teorbanu, to podania ludowe! a ten wiatr, który dobywa z niéj urocze dźwięki, to nowoczesna poezya ukraińska, zakochana w tradycye.

Takim jest poemat Zamek Kaniowski, pomimo ponurych i okropnych scen jakie przedstawia, rozebraliśmy go szczegółowo, gdy zawiera w sobie piękności pierwszego rzędu, i liczy się do najznakomitszych utworów polskiéj literatury.

Goszczyński zajmował się również przekładem poematów Ossyana. Ogłosił też kilkanaście urywków poezyi lirycznéj: zapowiadają one, wśród burzliwego zawodu, kilka chwil spokojniejszych, w których geniusz poety wzbijał się w wysokie sfery rozmyślania. Wszystkie te poezye nacechowane są duchem głęboko chrześciańskim i filozoficznym, zamiłowanym w abstrakcyi sztuki i uczucia. W wierszu pod tytułem: *Szczęście człowieka*, poeta ogarnia myślą cztery życia epoki i w ostatniéj tylko znajduje szczęście prawdziwe.

Wyszedłeś na świat dziecięciem,
Matka tuli cię objęciem,
Przyroda w zawód rozkłada dziwy,
Wszystko cię wita wesoło,
Same pieszczoty w około;
A ty odpowiadasz płaczem,
Płaczesz nie wiedząc i czego i za czem?
Widać nie będziesz szczęśliwy.

Przebiegasz młodzieńcze lata,
Zrywasz wszystkie kwiaty świata,
Jak wietrzny mędrzec, jak wietrznik tkliwy,
Roskosz sama cię ugania,
Piękna, jak anioł kochania,
Chce jak szczęścia serca swego.
Ty jednak tęsknisz! zaczemże? do czego?
Widać nie jesteś szczęśliwy!

Dosiągłeś potęgi męża,
Zgniotłeś namiętności węża,
Ukołysałeś zapał tak burzliwy,
Coś pragnął wszystko posiadasz,
Wielkiemi skarbami władasz,
W zaszczyty chwała cię stroi;
Ciebie coś jednak smuci, niepokoi:
Jeszcześ widać nieszczęśliwy.

Choroba wieku nie miła,
Zgarbiła cię, wynędziła,
W dół spadły oczy i głowa siwa:
Teraz jesteś nieszczęśliwy!

Nie, rzecze dusza, włos siwy
Jest kwiatkiem innego życia;
Głowa się chyli do ziemi powicia,
Tam spiesz: tam szczęście przebywa.

Inny prześliczny wierszyk nad płaczącém dziecięciem, pełen jest także najtkliwszych uczuć i myśli głęboko filozoficznych; przytaczamy go tu w całości:

Jeszcze pół mrzące w anioła objęciu,
A już łzy leje, tak gorzko, tak wcześnie!
Może to ziemia cuci tak boleśnie?
Może to człowiek przyśnił się dziecięciu,
I zmora bytu w te pierwospy życia,
Odkrywszy jemu nagie swe ponęty,
Bólem powlokła pieszczotę powicia,
Łzami zalała śmiech nierozwinięty?
O! niechaj płacz ten przyjęty w daninie,
Przewodnią strugą przed tobą popłynie.
Naprzód, kupując przejście, i niech razem
Nasiewa drogę twéj pielgrzymki kwiatem;
Ależ-bo trzeba grobowym być głazem,
I patrzeć okiem trupa lodowatem,
By ci choć obce serce nie zabiło,
Całą miłości macierzyńskiéj siłą;
Że wywabiona na gody żywota,
Ufna, bezbronna, półrajska istota,
Pośród nadziei i żądz oblubieńca,
Uczuwa żądło cierniowego wieńca,
I w pierwszym kroku znosić musi tyle,
I dla téj tylko lichéj szaty ciała,
Kiedy już wieczność przeszłości przespała,
Czy to w kolebce światów, czy w umyśle.
Skłońcie się jednak z tém skarżącém czołem,
Skłońcie się w modłach przed jego aniołem;
Niech te kropelki w swoje łono zbierze,
Niech tam jak źródłem zamknięte jaśnieją,
By w skwarach życia, były mu nadzieją,
Były ochłodą, a módlcie się w wierze,
Iż prośby wasze mimo nie prześlizną,
Bo nie masz może, prócz łez za ojczyzną,
I boleśniejszych, i czystszych na ziemi,
Jak łzy rodziców, nad ich maleńkiemi.

Geniusz Goszczyńskiego, lubo z odmiennego wystąpił stanowiska, poszedł jednak w ślad za Mickiewiczem. Ten ostatni ze sfery sztuki i nauki, zstąpił na pole czynu. Stanąwszy tam poraz piérwszy, rozbił się o twarde zapory, i zawikłał w mistycy-

zmie objawienia. Goszczyński, człowiek czynu, w oddaleniu od kraju, nie mając gdzie czerpać poetycznych natchnień, zapuścił się w sfery marzenia; i tam widząc się sam jeden, zbłąkany jak wędrowiec w niezmierzonéj pustyni, dobiegł do téjże saméj mety co Mickiewicz i temuż samemu uległ obłędowi. Odtąd umilkła jego potężna muza.

Na tém ograniczymy uwagi nasze o Goszczyńskim i o poetycznych jego dziełach, dodając jeszcze słów kilka. Geniusz jego czynny, podniecony burzami żywota, podjął śmiało przedmiot ponury i smutny, jak pasmo jego dni własnych, wywołując z przeszłości stare podania, wysnuł z nich pierwszorzędny poemat: Zamek Kaniowski. Osobistość poety, jakkolwiek wzbogaciła tę pracę potężnym żywiołem, znikła jednak w przedstawieniu przedmiotu, pochłoniona wyższém natchnieniem artystyczném. Poeta wraca potém do burzliwego życia, a liryczne jego poczyc, znaczą jakby przydrożne słupy, ślady doznanych wstrząśnień i uczuć. Prawda żywotna cechuje wszystkie jego utwory: do Goszczyńskiego śmiało zastosować można słowa Padury, innego poety ukraińskiego:

„Nie wiemy co się dzieje w niebie, a na ziemi znamy tylko krew"!

W tém źródle Goszczyński czerpał przedewszystkiem natchnienie.

KORRESPONDENCYE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Kamieniec Podolski 1862.

L'erreur est la cause de la misère des hommes.
Malebranche.

Oddawna, t. j. od czasu, w którym poczuliśmy poniekąd potrzebę sami zająć się industryą i handlem, biorzem się często do pracy na tém polu jedynie z amatorstwa, bez żadnéj znajomości rzeczy, często bez znajomości nawet téj affery, w którą wkładamy swój kapitał. Gdy znikną, jak mary uludne, wymarzone zyski i naga zaświeci rzeczywistość; gdy zamiast dywidendy znajdziem w swym komptuarze deficit, wykrzykujem: „handel i przemysł nie w duchu naszego narodu; to rzecz żydowska, niemiecka; z charakterem polskim nie zgadza się tego rodzaju praca; nasze tradycye powiadają nam o rycerskich czynach przodków naszych, o tém jak krew przelewali za wiarę, ojczyznę i ludzkość; oni powstrzymywali własnemi piersi zapędy barbarzyńców naciskających ze wszech stron; wspominają razem, że przodkowie nasi posuwali pogardę nie tylko do ludzi, lecz i do stanów bawiących się przemysłem i handlem: szlachcic pod utratą szlachectwa nie miał prawa pracować w tych zawodach."

Nie zapominajmy jednakże, że się czasy zmieniły: całym światem ogarnął duch industryi i handlu; słowa Zachariae: „człowiek jest ulubieńcem natury, nie w takiém znaczeniu, że wszystko dla niego zrobiła, ale że mu dała moc zrobienia wszystkiego przez siebie samego", znajdują nawet u nas więcéj posłuchu; praca produkcyjna w poszanowaniu, honorowo próżniactwo i rycerski romantyzm w pogardzie. Nie mieczem Alexandrów i Cezarów w obecnych czasach roznosi się światło cywilizacyi: dziś skromnych kupczyków chmara przebiega puszcze dziewicze, piaszczyste przestworza bez granic, znosi góry, łączy morza: oni przelewają nie krew, lecz worki z pieniędzmi przesypują; śród burz i nawałnic nie tak często słyszym jęki ginących bez środków pomocy; świst pary rozlega się od krańca do krańca, parowica leci głosząc o wielkości i potędze ludzkiéj myśli. I u nas wiele się zmieniło, nie ustała tylko walka z ciemnotą i barbarzyństwem, lecz i dla ich zwalczenia inuéj w wielu razach należy używać broni.

Na przeszkodzie postępowi stoją staroszlacheckie przesądy przeszło stuletnie, pokonywane powoli nieubłaganą loiką i wytrwałością no-

wego pokolenia, wady organiczne naszego społeczeństwa i brak światła; im zaś wtórzą na romantyczno idyliczną nutę niektórzy z pisarzy belletrystycznych: oni milując poetyczny nieład, romantyczne błonie i błota, chatki w lasach z szumiącemi koło nich strumykami, nawet głód i nędzę tak poetycznie często opisują, tyle im nadają poetycznego uroku, że pochwyceni tém nieoględni czytelnicy odrywają się od pracy pożytecznéj, prozaicznéj, pogrążają się w marzeniach, bujają po za krańcami świata, unoszą się wyobraźnią w przestworza bez granic, dumają, marzą... w końcu głód poczyna dokuczać, praca rozpoczęta niedokonana, za nią nikt nie chce udzielić prozaicznych pieniędzy dla zakupienia chleba: z marzeń budzi głód, czarna rzeczywistość nie osłodzona pokarmem znękaną marzeniami ofiarę; mimowoli nasuwa się stara rzymska przypowieść: *primo vivere, deinde philosophare.*

Pewien nasz belletrysta, widać obrażony, że w foksalach zagranicznych kolei żelaznych nikt go nie znał tak jak w naszym kraju go znali, każdy z karczmarzy, karczem co mila sterczących, wróciwszy wyrzekł: „na Zachodzie człowiek przestał być sobą, stał się numerem, który przerzucają z wagonu do wagonu", i na wszystkich salonach powtórzono, szczególnie panny podążały się na zachodnią Europę: „*L'homme est un N°. c'est ridicule*"; zapomniały biedaczki, że w tym naszym biednym, poetycznemi drogami i karczmami obdarzonym kraju, one, gdy przywdzieją długą suknię, stają się dla młodzieży bawiącéj się romantycznem próżniactwem, czemże więcéj jak nie numerem cyfry posagowéj? Człowiek na Zachodzie staje się numerem na krótką chwilę, by późniéj drogiego czasu użyć na pożytek swój i ludzkości; u nas, każde poruszenie progressywne wskrzesza poruszenie przeciwne, mówi Ahrens. Wynikiem walki postępu z nieruchomą teraźniejszością jest rozwinięcie z jednéj strony dowodów lojcznych, z drugiéj do walki występują sofizmata; o ile pierwsze są proste, jako czerpane ze zdrowego zdroju myśli prawdy przedwiecznéj, o tyle ostatnie są zagmatwane; na poparcie pierwszych stają prawa natury, tak mało znane massie zaciemnionéj, odurzonéj mitycznemi podaniami, bajkami, romantyzmem; na tyle ostatnie mają dowody faktyczne w cofnionéj wstecz i strąconéj z drogi prostéj postępu biednéj ludzkości. Jeżeli powiemy (1): „wojna jest szkodliwą", natychmiast będziemy mieli odpowiedź: „jest szkodliwą ale razem konieczną: ona jest jak upuszczenie krwi choremu na zapalenie;" jeżeli odpowiemy nowa szkoła lekarska umie unikać takiéj końskiéj kuracyi, powiedzą nam, że jak wzruszenia organizmu pewnego indywiduum dla zdrowia są potrzebne, tak i wstrząśnienia organizmu państwowego, są także konieczne i potrzebne i t. d. i t. d.

Stanowiąc cząstkę integralną wszech ludzkości przez wspólne z nią życie, bierzem od niéj dobre, przyjmujem i przywłaszczamy złe; należąc do téj wielkiéj korporacyi świata całego, posiadamy korzyści i niekorzyści wynikające ze wszystkich wzajemnych stosunków; przez tę wspólność wad i dobra nie uwolniliśmy się jednakże od własnych krajowych wad i błędów; mając z życia wszechludzkiego sofizmata dla walki upornéj z postępem,

(1) Używamy tego przykładu „o wojnie" jako równie znanego z Szmithowskim przykładem „o szpilkach".

mamy też swoje krajowe sofizmata, jako wyniki ułomności indywidualnéj naszego kraju.

Mieliśmy dla wolających reform porządku, bolesnéj pamięci odpowiedź: „Polska nierządem stoi"; albo n. p. teraźniejszy chłopsko-szlachecki sofizmat przeciw nowatorom w gospodarstwie rolném; mówią: dopóki my gospodarujem po staremu, oni (zagraniczni) u nas kupują zboże; jak po niemiecku zaczniem gospodarzyć, czy nie będziem zmuszeni u nich w chleb się zaopatrywać? Nie raz na takie *dictum* chłopa skrobiącego się w głowę, schodziły z pola lekkie pługi i znów na scenę występowały ciężkie 6 wołowe pługyska, i to z obawy, by nie kupować zboża za granicą. Któż za lat sto uwierzy, że były u nas podobne twierdzenia?! W wielu miejscach na wieść o ziemskich bankach pozamykano szczelnie kufry, co dowodzi pojęcia rzeczy, potrzeb własnych i kraju.

Wglądnąwszy z blizka w życie naszego społeczeństwa, napotykamy massę anomalij, na wytłumaczenie których, jak z rogu obfitości sypią się jeden za drugim sofizmata; idyopatya szczególna ku stagnacyi umysłowéj, tak właściwa w kraju poruszonym niezupełnie wirem postępu nowoczesnego, nie pomału przyczynia się ku tworzeniu sofizmatów, bo jak w każdym kraju poddającym się nowéj cywilizacyi, tak i w naszym zgubne teorye ekonomiczne samopas wrywając się do nas, wywarły szkodliwy wpływ, i tém łatwiéj mogły niszczyć prawdziwe bogactwo naszego kraju, że nie posiadaliśmy żadnego organu polityczno-ekonomicznego; nie mając takowego i przyjmując w dobréj wierze odgrzewane Zonnenfelzowskie teorye, tuczyliśmy naszym chlebem włóczęgów germańskich, mniemając, że podnosim dobrobyt kraju; innym zaś, mniéj dbającym o dobro współbraci, dała powód podobna teorya do wyrugowania mniéj usposobionych naszych Słowian do pracy industryjnéj i zastępowania ich cudzoziemcami: przyznać jednakże należy, że szkockie barbarzyństwo, wypędzające ludzi dla owiec, mało było u nas znane i nigdy z gwałtownością nie było wprowadzane w praktykę. Chociaż rzeczywiście natura nasz kraj udarowała wszystkiem co tylko potrzebném jest dla bogactwa, jednakże śród bogactw przyrody panuje nędza: są skarby, my ich używać nie umiemy. Dotychczasowa praca pańszczyźniana w wielu miejscach pochłaniała wieki czasu marnie traconego, nieumiejętne produkowanie płodów surowych zmniejsza ich ilość, nieznajomość użytkowania czyni martwemi gotówki, któreby mogły być przeistoczone w stu procentowe kapitały.

Wszędzie, nawet w wyższych sferach umysłowych czuć się daje brak identyczności co do głównych pojęć w materyach gospodarstwa krajowego; przyznać się musim z pokorą, że nie znamy prawdziwie bogactwa kraju naszego; napamięć powtarzamy: nasz kraj bogaty, nie mając ani jednéj krajowéj statystyki, a niestety! nie możemy narzekać na brak talentów; próżną, rzec można, przynoszą krajowi chlubę, takie znakomitości jak p. Wołowski, śp. Tęgoborski, Skarbek, nawet i p. Falkenhagen Zalewski; nic nie przeszkadzało ludziom głębokiéj nauki a dobréj woli kierować ewentualnie za pośrednictwem czasopisma pojęciami rodaków w materyach gospodarstwa narodowego. Nie jednąbyśmy może u siebie odkryli Kalifornię! możebyśmy jaki Suez u siebie przecięli, nie jednoby z błędnych twierdzeń upadło, a co najwięcéj widzielibyśmy co warto w kraju

produkować, a co lepiéj z zagranicy sprowadzać; nauczylibyśmy się może żyć wygodniéj i oszczędniéj; wyrwalibyśmy z odrętwienia i ukrycia głębokiego, w imię korzyści własnéj, téj wszechwładnéj dźwigni, nie jeden tysiączek zapleśniałych talarów, rubli, złotówek; wirowałyby na pożytek społeczeństwa i korzyść swych właścicieli te okrągłe talizmany życia. Nieby nie przeszkodziło charakterowi i godności narodowéj, gdyby u nas obywatele kraju wykrzykiwali wraz z Basil'em: *l'argent! l'argent! je le méprise, mais je le garde.*

Z powodu braku czasopisma ekonomii krajowéj poświęconego, ludzie chcący przynieść pożytek bogactwu krajowemu muszą się uciekać albo do broszur, które nie zwykły u nas szybko cyrkulować, albo najczęściéj udają się do ustnéj propagandy, i za swe dobre chęci są najczęściéj traktowani jako marzyciele, a gdy proponują aferę, w któréjby sami chcieli wziąć udział, zyskują miano oszustów; a to dlatego, że szlachcic nie rozumiejąc o co rzecz chodzi, a widząc, że tu rzecz chodzi o jego pieniądze, zatyka uszy i nie chce nawet słuchać o czém mu mówią, obawiając się pokusy w powabnéj postaci zysku do niego się uśmiechającéj, najpożyteczniejsze zamiary pełzną na niczem. Największą jednakże przeszkodą dla rozwinięcia się życia ekonomicznego, prócz przeszkód wyżéj wspomnianych, jest stagnacya umysłowa. W wielu zakątkach naszego kraju mały wpływ wywarły tanio wydawane dzieła, mogące ogólny rzucić pogląd i nauczyć mniéj więcéj zdrowego zapatrywania się na rzeczy. Nie mieliśmy jednakże prawie żadnych dzieł traktujących wyłącznie o potrzebach naszego kraju. Dzieła tanio wydawane nie miały pokupu i mniéj jeszcze je kto czytał: ze zdań choćby najsławniejszych ludzi i z doświadczeń całych pokoleń, nikt u nas nie chce korzystać choćby daremnie.

Czego nam najwięcéj potrzeba? gdzie nasze kryteryum w tym przedmiocie? jakie znajdziem remedium na wszystkie nasze choroby?

Potrzeba nam najpierw znajomości siebie i zamiłowania w pracy, zupełnego zrzeczenia się na korzyść dobra publicznego, przywileju próżnowania. Nie za górami czasy, które nas przymuszą pracować; a mus i praca razem wzięte, mogą przykre sprawić wrażenie; ciężar ostatni podwójnie się może nam wydać nieznośnym. Nie mając środków teoretycznie nabywać niezbędnych wiadomości w zawodach handlu i przemysłu, powinniśmy z oględnością, przezornością i praktyką po za granicami naszego kraju nabywać konkretnych pojęć w materyach gospodarstwa krajowego.

Przy ledwo rozpoczynającém się życiu krajowo-ekonomicznem, nieocenionyby wpływ wywrzéć mogły premia naznaczone za rozprawy w materyach gospodarstwa krajowego: nie jedna takowa rozprawa, niepoczesna z powierzchowności, nie ubarwiona szumno górnemi frazesami, a co najwięcéj nie rymowana, mogłaby bezporównania pożyteczniejszy wywrzéć wpływ niźli najzjadliwsze komedyjki. Np. rozprawy na następujące temata: 1) O przyczynach i zgubnych skutkach życia nad stan w naszym kraju. 2) O środkach zaradczych dla uniknienia proletaryatu. 3) O klassie przemysłowéj i przemyśle w naszym kraju. 4) O rodzaju spółek i stowarzyszeń w naszym kraju, pożytecznie i stosownie do teraźniejszych okoliczności mogących się rozwijać.

W najcięższych czasach i przy najtrudniejszych okolicznościach praca na tém polu przynieść musi korzyść, zawsze przynosić będzie pożytek społeczeństwu, dla którego jest poświęconą; historya wpływu zdrowych pojęć ekonomicznych może nam służyć jako żywy przykład. Zakończę, przyznając się do nieudolności méj osobistéj, powtarzając z Ahrensem: *La vie future, rationellement conçue, ne peut être qu'une continuation de developpement et de perfectionnement plus ou moins facils, selon les capacités et la moralité acquise dans la vie actuelle.*

Marcin Wroński.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Z przyłączonego prospektu przekona się Redakcya, jaki cel osiągnąć pragniemy wydawaniem *Przeglądu lekarskiego.*

Pragniemy: ażeby zasoby nauki lekarskiéj nagromadzone u tylu zdolnych i doświadczonych lekarzy krajowych, spożytkowane i streszczone we właściwém czasopiśmie, stały się dobrem ogólném, wyzyskiwaném na korzyść nauki, ludzkości i kraju.

Pragniemy: ażeby obok ogólnéj nauki lekarskiéj, także szczegóły i właściwości naszego kraju pod względem hygienicznym, etiologicznym, patologicznym, endemicznym i epidemicznym ile możności były wyjaśnione; ażeby choroby ludowe, szkodliwe zwyczaje i sposoby leczenia ludu naszego, dokładnie zbadane zostały; ażeby wiadomości dotyczące odpowiedniego urządzenia naszych szpitali, ochronek, domów dla obłąkanych lub dla starców przeznaczonych, stały się udziałem kraju; aby lecznictwo ubogich, publiczne szczepienie krowianki, wykonywanie policyi lekarskiéj: słowem stan urządzeń hygienicznych jak się w całości przedstawia, dochodził do publicznéj wiadomości.

Pragniemy: aby przedewszystkiem lekarzy na prowincyi praktykujących, zawiadomić w najkrótszym czasie i najtańszym sposobem, o wszystkich ważniejszych spostrzeżeniach i doświadczeniach w dziedzinie naszéj nauki uczynionych. Podając tym sposobem szanownym kolegom przegląd ruchu naukowego, objawiającego się w kraju i za granicą, chcielibyśmy przyczynić się do oszczędzenia im czasu i trudów, któreby łożyć musieli na czytanie obcych obszernych dzieł i rozpraw.

Pragniemy: ażeby językowi ojczystemu stało się zadosyć; żeby równie jak inne ucywilizowane narody, naród polski w języku polskim uprawiał naukę lekarską, kształcił się i odpowiadał teraźniejszym wymogom czasu.

Pragniemy nareszcie: ażeby nasz Przegląd mieszczący doświadczenia, uwagi i życzenia lekarzy, stał się pośrednikiem między opinią publiczną lekarską i władzami rządowemi, a odkrywając niedostatki

i uchybienia urządzeń lekarskich kraju, zwrócił je do pożądanych ulepszeń.

W téj dobréj wierze podjęte wydawnictwo nasze, rości sobie niejakie prawo do współudziału kraju, a mianowicie szanownych kolegów.

Mamy przeto otuchę, iż szanowni koledzy zechcą nas wesprzeć udzielaniem nam swoich prac naukowych, uwag i doświadczeń, a zarazem przez swe wpływy między kolegami i obywatelstwem kraju liczną prenumeratą.

Liczna zaś prenumerata nietylko zabezpieczy byt i powodzenie tego czasopisma krajowego, ale pozwoli nam zarazem urzeczywistnić przyjętą jednomyślnie zasadę, wynagradzania odpowiednią kwotą pieniężną każdéj pracy piśmiennéj w Przeglądzie lekarskim umieścić się mającéj.

Kraków dnia 1 lutego 1862 r.

Komitet redakcyjny „Przeglądu lekarskiego"
Professorowie: **Bryk, Dietl, Majer, Skobel.** Dr. **Zieleniewski.**

Przegląd Lekarski, wydawany staraniem oddziału nauk przyrodniczych i lekarskich, C. K. Towarzystwa naukowego krakowskiego, pod redakcyą prof. Drów: Bryka, Dietla, Majera i Skobla, tudzież członka Towarzystwa Dra M. Zieleniewskiego.

PROSPEKT.

Gdy nauki wogóle, a przyrodnicze szczególniéj, były własnością niewielkiéj liczby zwolenników, gdy tém mniéj jeszcze być musiało takich, którzy do ich uprawy czynną przykładali rękę; gdy zatém plony ich pracy zwolna i bardzo nieznacznie gromadzić się musiały, a poczynione choćby i mylne naukowe wywody, nie obalane nawałem rychło po sobie następujących coraz nowszych spostrzeżeń, długo zatrzymywać mogły względną swoję wartość: nie wtenczas nie nagliło do ich spiesznego ogłaszania, mógł więc i badacz wypadki swojéj pracy długo pielęgnować i mnożyć, dopóki nie dorosły w całość, zdolną wypełnić jeśli już nie poważny foliant, to w każdym razie samoistne dzieło.

Miało to zapewne swoję dobrą stronę, mógł bowiem autor własne doświadczenia i oparte na nich przekonania dłuższéj poddawać rozwadze i tém dopiéro podzielić się ze światem, co już uważał za dostatecznie do tego dojrzałe.

Co jednak było dobrém pod warunkami sobie spółczesnemi, to niekoniecznie być takiém musi, gdy się warunki zmieniły. Plony naukowe zwolna gromadzone, coraz obfitszym robiły zasób wiadomości. A skoro każda z nich stawać się musiała pomocą lub źródłem dalszego postępu; przy rozmnożonych zatém środkach i zakresach pracy, objawy jéj musiały też być częstsze i coraz liczniejsze. Tak rozszerzone pole naukowéj uprawy musiało przywoływać w zawód coraz liczniejszych pracowników, a dobytki szczegółowéj pracy nie mogły długo

zostawać w ukryciu, bo ile z jednéj strony ogólny postęp wiadomości mógł ztąd ponosić uszczerbek, tyle znowu na odwrót, idąc daléj i bez téj pomocy, mścił się nad zaniedbaném ogłoszeniem wyrokiem przedawnienia, w obec którego praca w swoim czasie nowa i przydatna, przy spóźnionym objawie podubieżona ogólnym postępem, zgoła traciła znaczenie.

Jeżeli ten zwrot w naukowéj uprawie okazał się mniéj więcéj w każdéj gałęzi wiedzy, toć wynikło to z istoty rzeczy, że najwydatniéj wystąpić on musiał w naukach przyrody, opartych na spostrzeżeniach i doświadczeniach, dla jednego do wykonania niełatwych, a nawet niepodobnych, a przez samo wyrozumowanie prosto z głowy choćby też najpotężniejszéj wysnuć się nie dających. Nie dziw więc, że wywołane tą potrzebą, wystąpiły na widownię liczne czasopisma, stające się natychmiastowym objawem każdego drgnienia w naukowém życiu; nie dziw, że pragnący iść równo z postępem nauki, śledzić go musiał nietyle w osobnych dziełach, ile w pismach zbiorowych, pojawiających się w rychłych i coraz rychlejszych odstępach czasu; że tego używać musi pośrednictwa, ktokolwiek czy z obowiązku, czy z własnego popędu czuje się powołanym do popierania i wprowadzania w życie postępu nauki.

W tém przekonaniu C. K. Towarzystwo naukowe krakowskie, pragnąc, aby w duchu obowiązującéj je ustawy, działalność jego najskuteczniéj dla dobra nauki i pożytku kraju rozwijać się mogła, zgodnie z przedstawioną sobie w téj mierze myślą swojego oddziału nauk przyrodniczych i lekarskich, postanowiło, w uzupełnieniu innych swoich publikacyi wydawać pismo tygodniowe, poświęcone wyłącznie przedmiotom lekarskim i tym z pomiędzy innych przyrodniczych, które przynosiłyby dla tamtych bezpośrednią korzyść.

Zamiar ten dawno w łonie jego żywiony, przywiodły do dojrzałości dwa szczególniéj względy: rzeczywiste wymogi nauki, obok przywrócenia należnych praw językowi polskiemu w wykładach uniwersyteckich.

Nikt nie zaprzeczy, że chociaż nauka lekarska jest wspólną własnością wszystkich oświeconych krajów, przecież właśnie we względzie stanowiącym jéj cel ostateczny, znajdą się właściwości przywiązane tak dalece do stosunków miejscowych, że tylko wśród nich żyjący badacze mogą je zgłębić, wyjaśnić i wcielone do nauki uczynić pożądanemi dla niéj nabytkami. Sposób życia, stosunki społeczne, wpływy miejscowe fizyczne, wynikłe ztąd odcienia chorobowe i choroby swojskie: zaiste niemało to pole, w którego uprawie trudno się spuszczać na obcych pracowników. Jeżeli skrzętnie korzystamy z owoców ich pracy, słuszna, byśmy im wzajem dostarczyli własnych. Przy takiém równoważeniu zasługi, spokornieje zarozumiałość, a kraj i nauka odniosą bezpośrednią korzyść.

Jak dalece polski wykład nauk w uniwersytecie jest pod tym względem niezbędnym warunkiem, łatwo to ocenić. Swojska mowa rodzi swojskie myśli; swojskie zaś myśli są warunkiem téj samodzielności ducha, która zdolną jest wynaleźć właściwe drogi i kierunki

w uprawie takich nawet nauk, które spólne są zresztą wszystkim oświeconym krajom. Któż ze świadomych nie uzna tego, pomnąc na naukowy kierunek Niemców, Francuzów, Anglików? Żywioł polski miał także świetne chwile w tym naukowym zawodzie, party wszelako przeciwnemi kolejami losu nie zdołał nacechować go właściwym kierunkiem. I nic dziw; w tym bowiem czasie, gdy wszędzie języki swojskie zaczęły w uprawie nauk zastępować łacinę, w krajach dawnéj Polski język rodzimy w szkole i urzędzie był tylko efemerycznem zjawiskiem. Myśl obca tłumiła swojską, niszcząc w zarodzie wszelką samodzielność. Ilekroć pomyślniejsze chwile na to zezwalały, nie brakło na objawach jakiegoś ruchu samodzielnéj pracy, występowały książki i pisma treści naukowéj, którym jedynie trzeba było czasu, by się rozmogły i wzrosły ku zapełnieniu w ogólnym postępie szczerby, obcą pracą wypełnić się nie dającéj. Nadanie językowi polskiemu należnego prawa w uniwersytecie krakowskim nastręcza nam tę chwilę. Jakoż Towarzystwo naukowe, choć odłączone od uniwersytetu stoi samoistnie, przecież w czynnościach swoich na nim przeważnie opierać się musi; bo z grona jego zyskuje pracowników, nie z prywatnego upodobania, lecz z powołania i urzędu obowiązanych uprawiać naukę i krzewić oświatę. Dopóki język polski był w nim zaledwie cierpianym wyjątkiem, nie wiele zostało ogniw, które łączyły go jeszcze z Towarzystwem. Jakkolwiek bowiem w gronie ówczesnych professorów mogli być mężowie nauki; szczupłą jednakże była liczba znających stosunki kraju i pragnących pracować w duchu jego potrzeb. Dziś zmieniło się położenie. Uniwersytet, a w szczególności wydział jego lekarski zespóla się z Towarzystwem naukowém całym swoim składem, a czynność Towarzystwa staje się nawzajem objawem jego naukowéj pracy. Przybytek nowych sił możność téj pracy utwierdza, a sama możność rodzi obowiązek, któremu zadosyć uczynić, nakazuje czujna opinia kraju i własne sumienie.

Objawem tego przekonania ma być między innemi zamierzone pismo tygodniowe lekarskie. Wprawdzie rozbiory z téj dziedziny nauk znajdują pomieszczenie w Roczniku przez Towarzystwo dotąd wydawanym i nadal wydawać się mającym. Wszakże kierunek jego, zakres i sposób udzielania się publiczności tyle jest różnym od tych samych względów w zamierzoném piśmie, że to ostatnie nietylko treści Rocznika w niczem nie uszczupli, ale owszem stanie się dla niego uzupełnieniem zdawna pożądaném. Nie tylko bowiem, podobnie jak ogłaszane przez akademie i inne towarzystwa naukowe „Sprawozdania," stanie się treściwym gońcem i zwiastunem zamieścić się mających w Roczniku obszerniejszych rozbiorów; ale nadto obejmie i te wiadomości bieżące, które aczkolwiek dla lekarza postępującego z nauką wielce pożądane, w Roczniku przecież miejsca znaleźćby nie mogły: jak np. szczegółowe spostrzeżenia kliniczne, ustępy z wykładów klinicznych, wiadomości o postępie nauk lekarskich i pomocniczych, wiadomość o ogłaszanych pismach i t. d.

Takie to drobniejsze, a jednak dla żywotnego ruchu nauki konieczne wiadomości, doświadczenia, postrzeżenia, jeśli nie znajdą na

miejscu organu, który niezwłocznie udzieliłby je powszechności lekarskiéj, po większéj części marnieją bezużytecznie i przechodzą bez śladu. Gdzie zatem jest sposobność zbierania tego rodzaju codziennego plonu z naukowéj niwy, tam téż rodzi się obowiązek zużytkowania go w sposób jéj dobru najodpowiedniejszy.

Oddział nauk przyrodniczych i lekarskich Towarzystwa nauk. krak., zamierzając w téj myśli wydawać pismo tygodniowe lekarskie, nie spuścił i tego z uwagi, że piśmiennictwo polskie posiada już tego rodzaju organ, wydawany w Warszawie. Wszakże, im większą słuszność oddaje on zasłudze wydawnictwa warszawskiego, im z większą pociechą widzi pomnażające się w nim z każdym rokiem dobór i bogactwo treści, a przeto udział w kraju coraz powszechniejszy; tém mocniéj poczuwa się do tego, że nie wolno mu puszczać mimo siebie sposobności oddawania lekarzom krajowym podobnéj przysługi. Już zaś sposobność taką, a następnie obowiązek jéj zużytkowania, same przez się nasuwać się muszą w miejscu, posiadającém obok zakładów lekarskich uniwersytet i Towarzystwo naukowe z oddziałem poświęconym wyłącznie naukom przyrodniczym i lekarskim; w miejscu prócz tego oddzieloném od ogniska wydawnictwa warszawskiego, wprawdzie nie różnicą ducha i języka, lecz niemniéj utrudniającą wzajemne stosunki, a w części rodzącą odrębne potrzeby, polityczną granicą i przestrzenią 40 milową; w miejscu wreszcie, któremu pod karą przeniewierzenia się świetnym tradycyom, nie wolno zapominać, że było pochodnią przewodniczącą oświacie krajowéj, tém samém zaniedbywać wszelkich możliwych środków ku jéj popieraniu. Udział jaki znaleźćby mogło w tym duchu wydawane pismo, nie ubliży zasłużonéj wziętości pisma warszawskiego, bo starczy dla obydwóch publiczność lekarska na rozległych obszarach języka polskiego.

Wolni zatém obawy przyniesienia zamiarem naszym uszczerbku czyimbądź godziwym usiłowaniom, w chęci przysporzenia krajowi pożytku, jaki tylko spływać nań może z Towarzystwa naszego, przystępujemy do wydawania zapowiedzianego niniejszém *Przeglądu lekarskiego*.

W piśmie tém mieścić się będą następujące przedmioty:

1) Treść obszerniejszych wypracowań z zakresu przedmiotów lekarskich, na posiedzeniach Tow. nauk odczytanych, a w całéj rozciągłości w Roczniku zamieścić się mających.

2) Opisy każdego ważniejszego przypadku chorób, leczonych we wszystkich tutejszych klinikach, lub przez lekarzy szpitalnych, lub innych w tym celu nadesłane i za godne ogłoszenia uznane; jak również pierwsza wiadomość o spostrzeżeniach dokonać się mogących w pracowniach: fizycznéj, chemicznéj, anatomicznéj i fizyologicznéj.

3) Ważniejsze ustępy z wykładów uniwersyteckich, a mianowicie klinicznych.

4) Rychła wiadomość o ważniejszych spostrzeżeniach z dziedziny nauk lekarskich w powszechności, w szczególności zaś o odnoszących się do praktyki lekarskiéj, we wszelkich odcieniach.

5) Szczegółowy przegląd postępu każdéj gałęzi nauki lekarskiéj w ciągu poprzedniego roku, częściowo zamieszczanemi ustępami, każdego roku wyczerpnąć się mający.

6) Kronika bibliograficzna, zaciągająca wszelkie pisma i dzieła treści przyrodniczéj i lekarskiéj w kraju wydawane, tudzież zagraniczne ważniejsze.

7) Treść i ocenienie dzieł lekarskich krajowych.

8) Rozmaitości, obejmujące: *a*) wiadomość o czynnościach na każdém posiedzeniu oddziału nauk przyrodniczych i lekarskich Towarzystwa nauk, tudzież Komissyi balneologicznéj; *b*) wiadomość o rozporządzeniach dotyczących stanu szpitali, wydziału lekarskiego i w ogóle hygieny publicznéj; *c*) wiadomość dotycząca nominacyj lekarskich, obok starannie utrzymywanych nekrologów lekarzy krajowych i takichże pracowników we wszelkich naukach przyrodniczych; *d*) stan meteorologiczny według spostrzeżeń w obserw. krak.

W ogóle zatém treść Przeglądu stanowić będą następujące 4 główne działy:

I. *Prace oryginalne*, obejmujące trzy pierwsze kategorye przedmiotów wyżéj wymienionych.

II. *Pogląd na postęp nauk lekarskich w ogólności*, do którego należéć mają dwie kategorye dalsze.

III. *Część literacka* obejmująca kronikę bibliograficzną i krytykę.

IV. *Rozmaitości* treści wyżéj już wskazanéj.

Nie wszystkie z wymienionych tu przedmiotów mieścić się będą mogły w każdym numerze Przeglądu: będzie wszelako staraniem redakcyi, ażeby dając przewagę działowi pierwszemu, wszelkie inne w kolei należycie uwzględniać.

Redakcyą przeglądu zajmować się będą wskazani wyżéj członkowie Towarzystwa naukowego, którzy atoli w innych członkach oddziału nauk przyrodn. i lek., znajdą naturalnych swoich spółpracowników. Pomnąc prócz tego, że przez wydawanie Przeglądu Towarzystwo naukowe sięgnie do samych krańców swoich stosunków z publicznością lekarską, nie wątpi ono, że na odwrót zwróci ku sobie jéj udział pomocny, nietylko funduszowi, ale i treści Przeglądu.

Przegląd lekarski wychodzić będzie tygodniowo w objętości jednego arkusza co sobota w Krakowie, począwszy od dnia 1 marca 1862.

Cena wynosi: w Krakowie rocznie zł. 6, półrocznie zł. 3 w. a. w państwie austr. z przesyłką pocztową rocznie zł. 6 c. 60, półrocznie zł. 3 c. 30 w. a.

Przedpłatę przyjmują: w Krakowie, kancelarya Tow. nauk. ulica Sławkowska Nr. 282. Bióro redakcyi Przeglądu, ulica Mikołajska Nr. 345, tudzież wszystkie c. k. urzędy pocztowe, tak dla krajów koronnych, jak i dla zagranicy.

Pieniądze prenumeracyjne nadsyłają się *franco* do miejsc wyżéj wyrażonych.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

Miesiąc Styczeń 1862 roku.

DZIEŁA.

Encyklopedya powszechna. Tom IX, Zeszyty 77 i 78. Warszawa, 1862, nakład i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. od 337 – 348, 349—560. (Front Galwanizm). Każdy zeszyt kop. 35.

Historya powszechna w skróconym zarysie *Henryka Dittmara*, przełożona i uzupełniona przez *Oskara Stanisławskiego*. Pierwsza połowa. Historya przed Chrystusem. Zeszyt I, Warszawa, 1861, druk J. Ungra, w 8ce, str. 96.

Thiers A. Historya konsulatu i cesarstwa. Zeszyt LVIII. Warszawa, 1861, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. od 73 — 168.

Węgry pod względem historycznym, artystycznym, literackim i społecznym podług najlepszych i najnowszych źródeł, głównie: podług dzieła wydanego przez towarzystwo pisarzy francuzkich, pod kierunkiem madziarskiego historyka J. Boldenyi, wraz z poglądem na stosunki tego kraju z Polską, Austryą i innemi państwami europejskiemi. Przekład z francuzkiego przez *S. P.* Przypisami do historyi polskiéj odnośnemi uzupełnił *Kazimierz Władysław Wójcicki*. Dzieło ozdobione przeszło 60 drzeworytami, artystycznie wykonanemi w Paryżu. Zeszyt 2. Warszawa, 1862, nakł. A. Nowoleckiego, druk J. Jaworskiego, w 8ce większ., str. od 81 — 134, okł. druk.

Połujański Alexander. Leśnictwo polskie. Część 4. Ochrona lasów. Z figurami kolorowanemi. Warszawa, 1862; nakł. A. Lewińskiego, druk braci Hindemith, w 8ce, str. 75, II, okł. druk.

Czytelnia. Katalog dzieł składających czytelnię (Celsa Lewickiego) N. 1. Warszawa, 1862, druk Gazety Polskiéj, w 8ce, str. 8.

Roscher Wilhelm. Nauka ekonomii rolnictwa i ubocznych płodów surowych dla poświęcających się téj nauce i trudniących się stosowaniem jéj do spraw życia społecznego, z niemieckiego przełożył *P. S. Kupiszeński.* Warszawa, 1861, druk Gazety Polskiéj, w 8ce większ., str. 567.

Zejszner Ludwik. O mijocenicznych gipsach i marglach w południowo-zachodnich stronach Królestwa Polskiego. Warszawa, 1862, nakł. autora, druk Gazety Polskiéj, w 8ce, str. 50.

Żmijewski Eugeniusz. Sceny z życia koczującego. Tom III. Warszawa, 1862, nakł. A. Lewińskiego, druk braci Hindemith, w 8ce, str. 184.

Rościszewski Zygmunt. Mrzonki. Warszawa, 1862, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. 60.

Brambeus Baron (Józef Sękowski). Wielkie posłuchanie u Lucypera. Warszawa, 1862, nakł. B. J. Salzstein, druk A. Gins, w 8ce, str. 56.

Directorium Divini officii sacrisque sacrificiis rite persolvendis juxta generales et peculiares rubricas tam breviarii quam missalis nec non sacrae rituum congregationis ad usum Seraphici Ordinis minorum S. P. N. Francisci Conventualium et monialium S. Clarae Virginis ac tertii Ordinis utriusque sexus, authoritate A. R. P. M. Juliani Ościk Ministri Provin. ac Commissarii gener. pro an. n. Chr. 1862, post bissextilem secundo, pro provincia in Regno Poloniae dispositum. Cracoviae, typis Ż. J. Wywiałkowski, w 8ce mniejsz., str. 56, Dołączono: *Album Conventuum et Domorum Ordinis minorum S. Francisci Conventualium Actu existentium a Rever. Patre Magistro Salvatore Coeli ejusdem Ord. Ministro Gener. CII. Definitorio gener. exhibitum Romae Muse Majo An. 1860. Cracoviae, 1861, typ. Ż. J. Wywiałkowski,* str. 26.

Hugo Wiktor. Hernani, dramat, przełożył *Apollo Nałęcz Korzeniowski.* Warszawa, 1862, druk Gazety Polskiéj, w 8ce, str. 94.

Dusza przy żłobku Chrystusowym. Warszawa, 1862, nakł. ks. Missyonarzy, druk J. Psurskiego, w 12ce, str. 87, okł. druk.

Pienia religijne w kościele parafialnym w Końsko-woli zwykle używane. Warszawa, 1861, druk ks. Missyonarzy, w 12ce, str. 63.

Goetz Jerzy-Józef. Wiktoryna, albo moc wiary. Odpowiedź na pismo Dra Bretschneider: „Klementyna", z niemieckiego przełożył ks. *A. Dietrich.* Warszawa. 1861, druk ks. Missyonarzy, w 12ce, str. 277, okł. druk.

Ulanecki Stanisław ks. Najsłodsze Imię Jezus w 31 uwagach, w przykładach, modlitwach i aktach strzelistych na każdy dzień miesiąca, wiernym ku czci i rozmyślaniu przedstawione, z wykazem odpustów przez stolicę apostolską do tego nabożeństwa nadanych. Warszawa, 1862, nakł. ks. Missyonarzy, druk J. Tomaszewskiego, w 12ce, str. 136 i spisu nieliczb. 2, okł. druk.

Nowy złoty ołtarzyk, w którym się zawierają: Modlitwy poranne, wieczorne, do spowiedzi i kommunii św., Modlitwy nieszporne, Pięć sposobów słuchania Mszy św., Nabożeństwo do Trójcy Św., do Boga Ojca, Syna Bożego, Ducha Św, do N. Sakramentu, do Męki Pańskiéj, do N. Maryi Panny i śś. Pańskich, oraz przygodne, tudzież Hymny łacińskie i Pieśni polskie w kościele rzymsko-katolickim najczęściéj używane. Wyd. 2 znacznie pomnożone. Warszawa, nakł. i druk ks. Missyonarzy, 1862, w 12ce, str. XII, 828, okł. druk.

Droga do życia pobożnego św. Franciszka Salezyusza biskupa i książęcia geneweńskiego. Wyd. 2 poprawne. Warszawa, 1862, nakł. i druk ks. Missyonarzy, w 8ce, str. XX,332, okł. druk.

Nauka czytania języków polskiego i francuzkiego podług najnowszéj metody ułożona. Wyd. 4, Warszawa, 1862, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. 100, okł. druk.

Nowakowski Janusz Ferd. Życie i prace naukowe Jana Purkyne'go doktora medycyny i filozofii, professora fizyologii i dyrektora zakładu fizyologicznego przy uniwersytecie w Pradze czeskiéj i t. d. z portretem. Warszawa, 1862, druk Gazety Polskiéj, w 8ce większ., str. 130.

Prawo cywilne obowiązujące w Królestwie Polskiém, wydał *Stanisław Zawadzki*. T. III, Zesz. XXII i XXIII. (Prawo o Towarzystwie kredytowém z r. 1825, oraz Instrukcya z r. 1826 dla tegoż towarzystwa wydana. Instrukcya dla wydziałów hypotecznych z r. 1826. Dodatki i odmiany instrukcyi dla władzy towarzystwa kredytowego z r. 1829, oraz ar. 1—13 Prawa o towarzystwie kredytowém z r. 1838). Warszawa, 1862, nakł. wydawcy, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. 112, 113—224. Każdy zesz. kop. 30.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Rocznik leśniczy. Dzieło zbiorowe. Rok drugi. Warszawa, 1862, druk J. Ungra, w 8ce, str. 368, zawiera:

Wstęp. Życiorys Józefa Englerta, p. *K. Paprockiego*. Po wiośnie, p. *J. Krasuskiego*. Katechizm leśny, p. *J. Zwierkowskiego*. Spór co do użyteczności drzew leśnych, p. *J. Boruń-*

skiego. O wydmach w leśnictwie Ostrołęka, p. *J. Thugutta.* Opisanie leśnictwa Nowogród, p. *A. J. Hollaka.* Kilka słów o wyborze miejsca pod różne uprawy roślinne i o usprawnieniu rzek przez sadzenie drzew nad ich brzegami, p. *W. Jastrzębowskiego.* Słówko o handlu drzewnym, p. *Z. Janczewskiego.* O handlu drzewa w Gdańsku r. 1860. O potrzebie zwiększenia produkcyi nasion drzewnych, p. *J. Krasuskiego.* O stosunkach i obowiązkach leśników w służbie rządowéj zostających, p. *A. Połujańskiego.* Kilka słów o leśnictwie rządowém Łaznów, p. *J. Chabielskiego.* Rys z nauki przyrody, zastósowany do życia praktycznego w ogólności, a w szczególności do praktyki leśnéj, p. *W. Jastrzębowskiego.* Sposoby zakładania szkółek niektórych rodzajów drzew leśnych, p. *J. Wiśniewskiego.* Las jest mężem rzeki, p. *A. Połujańskiego.* Zadania myśliwego, p. *J. Ossowskiego.* Wzmianka o myśliwstwie w dawnéj Polsce, p. *P. Wrześniowskiego.* Przysłowia do lasów odnoszące się, p. *A. P.* O grzybach, p. *tegoż.* Jak nie należy sprzedawać drzewa w lasach, p. *A. J. Hollaka.* Przegląd literatury leśniczéj z r. 1861, p. *A. Połujańskiego.* Rozmaitości. Rocznik zarządu leśnego Królestwa Polskiego.

Książka zbiorowa ofiarowana Kazim. Wł. Wójcickiemu. Warszawa, 1862, druk S. Orgelbranda, Gazety Polskiéj, J. Ungra, K. Kowalewskiego, J. Jaworskiego, w 8ce większ., str. II, 450, II, zawiera.

Anczyc Władysław: Tyrteusz. *Baliński Michał:* Ostatni rozdział Pielgrzymki do Jasnéj Góry w Częstochowie, którą opisał w r. 1847 Pątnik XIX wieku. *Bartoszewicz Julian:* Jaczo z Kopnika. *Bielowski August:* Chasdaj Ibn-Szaprut. *Bogusławski Stanisław:* Wyjątek z komedyi w 3 aktach oryginalnie wierszem napisanéj: „Złoty młodzieniec, czyli niestety! i tacy byli". *Borkowska Aleksandra z Chomętowskich:* Rycerz zakonnik. *Brzozowski Karol:* Zdaleka. *Brzozowski Ludwik:* Pożegnanie poety. *Chęciński Jan:* Kołek bronowy. *Deotyma (Łuszczewska Jadwiga):* Oda do czynu. *Dmochowski Franciszek Salezy:* Gaul, poemat Ossyana. *Ehrenberg Gustaw:* Próba wykładu bajki Krasickiego: „Osieł i baran". *Faleński Felicyan:* Jako król Henricus jeszcze chyżéj bieżał z Polski, niźli do niéj był jechał. *Giller Agaton:* Podróż nad Gazimurem. *Grajnert Józef:* Nasze pragnienia. *Gregorowicz Jan Kanty:* Ustęp z historyi ludu wiejskiego w Polsce. *Gregorowicz Karol:* Ustęp o niektórych chorobach duszy. *Hubert Leopold:* Uroczystość z powodu ślubu księcia Augusta saskiego, późniéj Augusta III króla polskiego. *Jenike Ludwik:* Ifigenia w Taurydzie, dramat w 5 akt. Göthe'go. *Ilnicka Marya:* Dwie. *Karasowski Maurycy:* Wojciech Sowiński i jego słownik muzyków polskich. *Kaszewski Kazimierz:* Początek tragedyi Sofoklesa: „Trachinki". *Korzeniowski Apollo:* Pierwsza karta. *Korytyński Wincenty:* Dwie niwy. Na rozdrożu. *Kramstück Izaak:* Mowa z powodu

postawienia pomnika na mogile ś. p. Antoniego Eisenbaum. *Kraszewski Józef Ignacy*: Do.... *Kremer Józef*: O przenośniach i porównaniach. *Kunicki Leon*: Rywale. *Lenartowicz Teofil*: Bolesław Chrobry. *Lewestam Fr. Henryk*: O znaczeniu wieków średnich w historyi literatury powszechnéj. *Libelt Karol*: Filozof w Redutkale. *Maciejowski Wacław Alexander*: Pobieżny pogląd na początek, rozwój i koniec polskiego Liberum veto. *Malecki Antoni*: Młodość Juliusza Słowackiego. *Nauke A*: O Bacy i Szarkanie, gadka górali. *Norwid Cyprjan*: Do Pompejusza, oda Horacego. *Odyniec Antoni Edward*: Legia tebańska, legenda historyczna. *Pieńkowski Karol*: Wyjątek z dramatu: „O zmroku". *Plug Adam* (*Pietkiewicz*): Sen Booza. *Prusinowski Jan*: Nad morzem. *Pruszakowa Seweryna z Żochowskich*: Kazimierz Władysław Wójcicki. *Przezdziecki Alexander*: Dokumenta oryginalne tyczące się Jana Chryzostoma Paska. *Przybyslawski*: Wstęp do pieśni. *Rogalski Leon*: Słowianie w Afryce. *Sabowski Władysław*: Biała chata. *Wieniarski Antoni*: Jędrzéj Zamojski kanclerz w. kor. *Wilkońska Paulina*: Wyjątek z pogadanki o wychowaniu. *Zaleski J. Bohdan*: Pod krzyżem. Ideały. *Ziemięcka Eleonora*: Słowo wstępne do filozofii dziejów naszych. *Zmorski Roman*: Święto majowe, wyjątek.

Kalendarz ludowy illustrowany na rok 1862 ułożony przez Franka z Wielkopolski. Rok pierwszy. Wyd. 3. Warszawa, 1862, druk J. Glücksberga, w 4ce mniejsz., str. XXVI, 88. (Treść wymieniona pod pierwszém wydaniem w zeszycie grudniowym r. z. Biblioteki Warszawskiéj).

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik Religijno-moralny. Czasopismo ku zbudowaniu i pożytkowi tak duchownych jako i świeckich osób, pod redakcyą ks. *Szelewskiego*, wychodzi raz na miesiąc, w 8, Warszawa, druk J. Ungra, rok 21, Serya 2, T. XII, M. styczeń, 1862, N. 1, str. 120, zawiera:

Rzut oka na rok 1861, pod względem kościelnym, p. ks. *M. Nowodworskiego*. Wykłady Pisma Świętego: Zdobywanie obiecanéj ziemi, p. ks. *W. Serwatowskiego*. Pogląd na prassę katolicką w Niemczech, p. ks. *A. Szelewskiego*. Śpiew i muzyka kościelna, p. ks. *Franciszka Sławianowskiego*. Missye w Afryce p. ks. *Józefa Szpaderskiego*. Kronika kościelna i rozmaitości. Kronika zagraniczna. Wiadomości naukowe i Bibliografia duchowna.

Dziennik Politechniczny. Zbiór wiadomości z postępu: Inżynieryi, Budownictwa, Mechaniki i Technologii, oraz nauk związek z niemi

mających, wydawany przez *B. Marczewskiego* i *W. Marczewskiego*, Inżynierów. Warszawa, druk J. Psurskiego, w 4-ce większ. r. 1861, poszyt 5-ty, str. 87—102 i od 17—20, tab. 3, zawiera:

O fabrykacyi i rafinowaniu oleju, p. *Jana Kr. Pietraszka*. Drenowanie zastosowane do osuszania budowli. O oszczędności materyałów palnych drzewnych przy produkcyi żelaza (c. d.). Regulator Roynetta do napełniania wodą kotłów parowych (c. d.). Wielkie piece w Neustadt w Hanowerskiem. Imary i Copeland młot parowy. Pług przez *Wincentego Wrześniewskiego*. Postanowienia dotyczące układania kosztorysów na roboty wodne. Zasady do wyrachowania ilości materyałów i robót w kosztorysach dzieł faszynowych w miarach nowopolskich. Zasady do wyrachowania ilości materyałów i robót w kosztorysach dzieł faszynowych po wprowadzeniu wymiarów rossyjskich.

Tygodnik Lekarski, pod redakcyą Dra *Ludwika Natansona*, wychodzi raz na tydzień, w 4-ce, Warszawa, nakł. H. Natansona, druk Gazety Polskiéj. M. styczeń, 1862, NN. 1—5, zawierają:

Zieleniewski: Pogląd na ruch i postęp zdrojowisk ojczystych w r. 1860. *Delille:* O życiu zwierzęcém. *Koniuszewski:* Listy lekarskie. *Rolle*: Powiat Mohylewski nad Dniestrem, pod względem lekarskim. *Bałwański*: Eklampsya u pierwiastki przy końcu ósmego miesiąca ciąży. *Janikowski:* Nowiny z medycyny publicznéj. *Miłosz:* Mieszaniny lekarskie. *Sciborowski*: Wiadomości z pism zagranicznych. *Eborowicz:* Wyciągi z pism zagranicznych. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Przyjaciel zdrowia, pod redakcyą *Karola Gregorowicza*, wychodzi dwa razy na miesiąc, w 4-ce, Warszawa, druk Ig. Krokoszyńskiego. M. styczeń, 1862, NN. 7—8, zawierają:

Uwagi hygieniczno-medyczne dla stanu duchownego. Rozwój myśli o obiadach garnuszkowych (c. d.). O słuchu. O tranie rybim (c. d.). O przyczynach niezdrowego powietrza w porze zimowéj i początku wiosny w Warszawie. O odmrożeniach i środkach zaradczych. Apteczka domowa. Rozmaitości. Zdania. Myśli.

Pamiętnik Muzyczny i Teatralny (Poprzednio Ruch Muzyczny), pod redakcyą *Józefa Sikorskiego*, wychodzi raz na tydzień, w 4-ce, Warszawa, druk Gazety Polskiéj. M. styczeń, 1862, NN. 1—4, zawierają:

Jestli na czasie, co zamierzamy. Karol Lipiński. Z powodu poloneżów Ogińskiego. Jasełka. Jan Nepomucen Hoffmann. Muzyka w stosunku do sztuk innych. Wilhelmina Schröder Devrient i jéj dziennik. Ridendo castigantur mores. Korespondencye. Przegląd kompozycyj. Potpouri.

Jutrzenka, Tygodnik dla Izraelitów polskich, pod redakcyą *Daniela Neufeld*, wychodzi raz na tydzień w piątek, w 4-ce, Warszawa, druk Gazety Polskiéj. M. styczeń, 1862, NN. 1—5, zawierają:

Obraz wychowania młodzieży Izraelskiéj. Rzut oka na redakcyą Jutrzenki, przez *H. Glattsterna*. Pamiętnik Kowieński, p. *S. Trachtenberga*. Objaśnienie kilku zasad uniwersalnie religijnych, p. *J. L. D. Wienera*. Słowo w swoim czasie, p. *H. Nussbauma*. Ś. p. Jakób Eichenbaum. Szpital starozakonnych w Kaliszu, p. *M. Peretza*. Zakłady społeczne towarzystwa dobroczynności w Warszawie. Przyczynki do historyi żydów w polsce, p. *Ad. K.* Echo Syonu, p. *Wł. Sabowskiego*. Uwagi nad prawodawstwem b. rządu pruskiego, odnośnie do religii Mojżeszowéj, p. *O.* Hadryan i Rabi Jehoszuach b. Chanania, p. *sk.* Bibliografia. Rozmaitości. Korrespondencye.

Kółko domowe. Pismo poświęcone polskim rodzinom, wychodzi raz na miesiąc pod redakcyą *Alexandry z Chomętowskich Borkowskiéj* i *Józefy Śmigielskiéj*, w 8-ce większéj, Warszawa, druk J. Jaworskiego, rok 1. M. styczeń, 1862. Poszyt 10, str. od 289—320, zawiera:

Janusz Radziwiłł i Paweł Sapieha, przez *Józefę Śmigielską*. Uprzedzenie, wizerunek z życia, p. *Tąż*. Wspomnienia historyczne, p. *Alexandrę Borkowską*. El Fureidis, powieść wschodnia, Maryi Kummins, sprawozdanie, p. *Władysława Chomętowskiego*. Wspomnienia rodzinne, p. *Sabinę z G. Grzegorzewską*. O ubiorach, oraz objaśnienie tablicy rysunków. Przytem tablica rysunków i rycina mód.

Przyjaciel Dzieci pod redakcyą *Michała Szymanowskiego*, wychodzi raz na tydzień, w 4-ce, Warszawa, nakład Müncheimerra, druk J. Jaworskiego. M. styczeń 1862, NN. 40—43, zawierają:

W dzień Nowego Roku 1862, przez *Jana Chęcińskiego*. Historya Święta, p. *Michała Szymanowskiego*. Dzieje narodu polskiego, p. *Leona Rogalskiego*. Gawędy naukowe, p. *S. K.* Baśń o żelaznym wilku, p. *Antoniego Czajkowskiego* (c. d.). Koleżeństwo, p. *Aloizego Kuczyńskiego*. Przemysł wędrowny na ulicach Warszawy. Ignacy Krasicki, p. *Hipolita Skimborowicza*. Spacery po ulicach Warszawy, p. *Fr. Hr. Sk.* Marymont, p. *J. Warmińskiego*. Buńczuk turecki i strzała po Janie III. Młodość Tomasza Zamojskiego, p. *Leona Rogalskiego*. Bajeczki. Rozmaitości.

Tygodnik Mód i Nowości, dotyczących gospodarstwa domowego, pod redakcyą *Teofili Gregorowiczowéj*, wychodzi raz na tydzień, w 4-ce, Warszawa, druk K. Kowalewskiego. M. styczeń, 1862, NN. 1—4, zawierają:

Podmowy Towarzysza Kostki, obrazek historyczny, przez *Jana Kantego Gregorowicza*. Alexander (Sandor) Petoefi. Za-

rysy przeszłości naszéj. Korespondencye krajowe i zagraniczne. Poczye. Gwiazdka. Nowości zagraniczne. Mody. Szarady. Opisy wzorów i rycin mód.

Tygodnik Illustrowany, pod redakcyą *Ludwika Jenike*, wychodzi raz na tydzień w Sobotę, w 4-ce większéj, Warszawa, nakład i druk J. Ungra. M. styczeń, 1861, NN. 119—122, zawierają:

Alexander Fredro, przez *Lucyana Siemieńskiego*. Kazimierz Jaksa Komornicki, p. *J. P.* Czorsztyn. Sobótka, góra na Szlązku, p. *R. Z.* Towarzystwo kredytowe miejskie. Józef Szymanowski, p. *Kazimierza Władysława Wójcickiego*. Kościół Panny Maryi w Krakowie. Pieczęć pułku humańskiego lekkiéj jazdy, p. *W. J.....cki*. Zamek Tarłow w Piękoszewie. Pojedynek i jego powściągnięcie, p. *L. J.* Onufry Kopczyński. Szczekociny i pani Starościna Wolbromska, p. *Ant. Wien*. Kilka odpowiedzi na jedno pytanie. Szkoły poprawcze dla uliczników. Królewiec. Pisarze polscy: Stanisław Doliwa Starzyński, p. *Kazimierza Władysława Wójcickiego*. Ruch literacki w Galicyi. Jan Amos Komeński, p. *Kazimierza Kaszewskiego*. Dawne ubiory i uzbrojenia. Obrazy z Czarnogórza i jego pobrzeży. Kościół Bernardynek w Warszawie. Treść i zakres literatury. Kościół i klasztor po Bazyliański w Bytoniu, p. *Ant. Wien*. Kronika sztuk pięknych. Kronika tygodniowa. Korespondencye. Poczye. Rozmaitości. Szachy. Rebusy.

Kmiotek. Pismo tygodniowe illustrowane, pod redakcyą *Ludwika Władysława Anczyca*, wychodzi raz na tydzień w sobotę, w 4-ce, Warszawa, nakł. M. Glücksberga, druk S. Orgelbranda. M. styczeń, 1862, NN. 1—4, zawierają:

Opowiadania Goralczyka z historyi polskiéj. Wiadomość o poczciwych ludziach. Rady gospodarskie. Jak złe omijać. Krzywda zwierząt, obrazek tegoczesny. List Stacha z pod Kutna, do Kazimierza Goralczyka. List Gospodarza z Bielska do Kazimierza Goralczyka. Święta Agnieszka. Trzeba się koniecznie uczyć czytać nietylko młodym ale i starym. Kalendarz dla kmiotków. Kolenda. Bardzo ważna wiadomość dla kobiet wiejskich. Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka, a powoli z pomocą Boską wiejski naród się oświeci. O łakomym Franku Kosturku, co się na piśmie nie rozumiał. Bajki.

Czytelnia Niedzielna, pod redakcyą *Alexandry Petrow*, wychodzi raz na tydzień, w Niedzielę, w 4-ce, Warszawa, druk J. Ungra. M. styczeń, 1862, NN. 1—4, zawierają:

Jan Tarnowski Hetman W. K. O trzech siostrach, powieść. Okolice Krakowa. O Franciszku Karpińskim. Trumna złego człowieka, zdarzenie prawdziwe. O podatkach w Turcyi i we

Francyi. Jak się utworzył kraj polski. Opowiadanie panienki. Nauka zachowania zdrowia. Przy drzwiach kościołka. List ze wsi. Poezye. Różności.

Gazeta Warszawska, pod redakcyą *Józefa Kenigа*, wychodzi codziennie prócz niedziel i świąt. Warszawa, druk Gazety Warszawskiéj, fol. M. styczeń, 1862, NN. 1—24, zawierają:

Historya o Pra-pra-pra-wnuku i Pra-pra-pra-dziadku, powieść, p. *Teod. Tom. Jeża*, (c. d.). Kwestya oczynszowania z urzędu pod względem klassyfikacyi i wyrachowania dochodu z gruntów, p. *B. Aleksandrowicza*. Kwestye językowe, przez Głossofila, Zapyty językowe, przez Głossofila, rozbiory, p. *Jana Papłońskiego*. Przegląd literatury zagranicznéj: *I. Memoires et correspondance du Roi Jerôme et de la Reine Catherine. II. Histoire du Consulat et de l'Empire, par M. A. Thiers. III. Vie politique de Royer Collard. IV. Oeuvres et correspondances inedites de Mr. Alexis de Tocqueville*, p. *Kazimierza Jarochowskiego*. Kilka uwag o rozprzedaży i wydawnictwie książek dla ludu, p. *A. W.* Wycieczka Grudzińskiego starosty Rawskiego do Polski w r. 1712. Taksa, czy precz z taksą. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Gazeta Polska pod redakcyą *Józefa Ignacego Kraszewskiego*, wychodzi codziennie prócz niedziel i świąt. Warszawa, druk Gazety Polskiéj, fol. M. styczeń, 1862, NN. 1—24, zawierają:

Przegląd roku upłynionego. Listy Redaktora z podróży. Kopciuszek, powieść *J. I. Kraszewskiego*, (c. d.). Nowe i nienowe książki. Literatura popularno-naukowa, p. *Artura Zvatowicza*. Listy z Mokotowskiéj ulicy. Czy w epoce od 1 października 1861 r. dziedzic miał prawo domagać się od włościan opłaty za zaległą z ich winy pańszczyznę? Nauka czytania, p. *L. M.* rozbiór. Villiam Henryk Seward, Mąż stanu amerykański. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Pszczoła, pod redakcyą *Alexandra Niewiarowskiego*, wychodzi codziennie prócz niedziel i świąt, Warszawa, druk Jana Glücksberga, w 4-ce, większ. M. styczeń, 1862, NN. 1—24, zawierają:

Podróż do krainy dzikich, ze wspomnień Ameryki, p. Chateaubrianda. Ciotka panny de Guise. Wiadomości o Łotyszach. Fabryka nagrobków w Paryżu. Pan Kazimierz szlachcic zagrodowy, obrazek z życia wiejskiego, p. *Bronisława Z.* Wiadomości bieżące. Rozmaitości.

Kuryer Warszawski, pod redakcyą *Karola Kucza*, wychodzi codziennie prócz niedziel i świąt, w 4-ce, Warszawa, druk Kuryera Warszawskiego. M. styczeń, 1862, NN. 1—24.

Dziennik Powszechny, pismo urzędowe, polityczne i naukowe, pod redakcyą *Franciszka Maksymiliana Sobieszczańskiego*, wychodzi codziennie, prócz niedziel, świąt i dni galowych. Warszawa, druk J. Jaworskiego, fol. M. styczeń, 1862, NN. 1—23, zawierają:

Górnictwo krajowe, p. *Hieronima Łabęckiego*. Kalendarze na rok 1862, p. *Leona Rogalskiego*. Wiadomości bieżące z nauk ścisłych, p. *Wł. Skłodowskiego*. O sprzedaży mięsa w Warszawie, p. *Jana Maleszewskiego*. Prace akademii nauk w Petersburgu. Gabon, kraj na zachodniém wybrzeżu Afryki. Egzamina, p. *Józefa Korzeniowskiego*. Jak stoimy obecnie z naszem gospodarstwem, czy otrzymywane z niego dochody są odpowiednie i w czém powinniśmy się poprawić, ażeby rozwinąć obfitą i tanią produkcyą, p. *F. Miłosza*. Bibliografia Warszawska za miesiąc grudzień. Bibliografia rossyjska, francuzka, niemiecka. O podatkach obecnie w Królestwie Polskiem istniejących. Wiadomości o plantacyi liści tytuniowych w Królestwie. O starożytnych budowlach i innych dawnych zabytkach w Królestwie (c. d.). Udział szpitali w praktycznem kształceniu lekarza, p. *M. Sporzyńskiego*. O prawach wierzycieli do spadku po dłużniku pozostałego, p. *W. Dutkiewicza*. Ropuchy krajowe, p. *W. Taczanowskiego*. Badania historyczne, mianowicie na polu dziejów polski XVII wieku, p. *J. K. Plebańskiego* (c. d.). O potrzebie ulepszenia metody wykładu geografii i historyi, p. *Ignacego Boczylińskiego*. Kierunek realny i humanitarny, Gimnazya, Różnorodne metody uczenia języków, p. *Józefa Korzeniowskiego*. O regulacyi podatku gruntowego, p. *Feliksa Zielińskiego*. Kretomyszy krajowe, p. *Wład. Taczanowskiego*. Jurisprudencya Warszawskich Departamentów Senatu. Gospodarstwo, handel, przemysł. Wiadomości rozmaite.

Warszawska Gazeta Policyjna, pod redakcyą *Józefa Pękalskiego*, wychodzi codziennie, prócz niedziel i świąt, Warszawa, druk J. Ungra, w 4ce, M. styczeń 1862, NN. 1 — 24, zawierają:

Mój stryj bandyta (c. d.). Rozbójnicy peruańscy.

Warschauer Zeitung, wychodzi codziennie, prócz niedziel i świąt. Warszawa, druk braci Hindemith, fol., M. styczeń 1862, NN. 1—24, zawierają:

Only a penny! Die Zwölften in Thüringen. Die Deutschen in St. Petersburg. Deutsche Grammatik für die polnische Jugend von J. Z. (rozbiór p. Kiliana Pfunzig). *Karl Joseph Lipiński. Unser Geld. Lokalbericht. Vermischtes.*

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy, wychodzi przy Gazecie Warszawskiéj pod redakcyą *Konstantego Pathie* dwa razy

na tydzień w 4ce, Warszawa, druk Gazety Warszawskiéj, Miesiąc styczeń 1862, NN. 1–8, zawierają:

To złe koniecznie naprawić trzeba, p. *K. G.* Ostrożności, które przy urządzaniu gospodarstw płodozmiennych i pastwiskowych zachować należy. Zdanie mierniczego-ekonomika o zasadzie oczynszowania włościan w dobrach prywatnych. O angielskiém tuczeniu bydła. Projekt zaprowadzenia nowych miar wielkiéj objętości do płynów, oraz nadania wiarogodności miarom do ciał sypkich, w handlu zbożowym powszechnie używanym. O narzędziach i sprzętach rolnika polskiego XIX stulecia, wyrabianych w fabrykach krajowych i używanych w gospodarstwach naszych (c. d.). Sprawozdanie Domu zleceń rolników hrubieszowskich. Projekt przemiany trójpolowego gospodarstwa rolnego na płodozmienne i pastwiskowe, z uwzględnieniem potrzeb gorzelni i hodowli owiec. O rozprawie p. L. Górskiego, Uwagi nad obecnym stanem robotników wiejskich, p. *Teodora Kolbieckiego*. Korrespondencye. Wiadomości handlowe. Srednie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta Rolnicza, pod redakcyą *Adama Mieczyńskiego*, wychodzi raz na tydzień w 4ce, Warszawa, druk J. Jaworskiego. M. styczeń 1862, NN. 1—4, zawierają:

Projekt fabryk narodowych, przez *Zygmunta Jaroszewskiego*. Potęga pracy, p. *Wojciecha Urbańskiego*. Nowe gatunki jedwabników. Ustosunkowanie inwentarza do pól ornych, p. *Michała Paszkowskiego*. Koniczyna Szkarłatka, czyli Inkarnatka. Pługi, brony i walce używane do uprawy gruntów w hohenheimskim agronomicznym instytucie. Rozbiór dziełka Adama Goltza: Rady gospodarskie dla użytku wieśniaków ziemi naszéj, p. *A. K. Stelmasiewicza*. Rozbiór kwestyi o stosunku jednéj włóki ziemi do ilości inwentarza żywego i martwego, p. *W. Kurnatowskiego*. Najnowsze postępy i wynalazki rolnicze. O możności używania drugoletnich nasion, roślin i zbóż do zasiewów, p. *Jona Wilanda*. Przerabianie leżaków prostych na ule Dzierżonowskie, p. *Juliana Lubienieckiego*. Guano, jego skład, własności i sposób użycia. Korrespondencye gospodarskie. Nowiny i ogłoszenia gospodarskie. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

MUZYKALIA.

Stefani Józef. Przyjdź Duchu Święty (Veni Creator) skomponowane na 3 głosy i organy. Warszawa, nakład R. Friedleina, litogr. W. Otto, str. 5.

Dulcken Ferdynand Kwentyn. Śpiew kościelny Alexandra Stradelli, ułożony na fortepian. Warszawa, nakł. R Friedleina, litogr. A. Dzwonkowskiego i spół., str. 11, kop. 45.

Moniuszko S(tanisław). Ruta. Pieśń na jeden głos z towarzyszeniem fortepianu, słowa *J. Prusinowskiego.* Warszawa, nakł. R. Friedleina, str. 7.

Hölzel Gustave. Trois Chansons sans paroles, pour piano. Varsovie, lith. M. Fajans, str. 17, kop. 67½.

Dobrzyński Ignacy Feliks. Pieśń do N. Maryi Panny, na sopran, organ, chór, lub fortepian (ad libitum) wiersz *Karola Kucza.* Warszawa, nakł. R. Friedleina, lit. W. Otto, str. 7, kop. 30.

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Andrzej hrabia Zamojski. (Portret) litogr. *H. Aschenbrenner* w litografii A. Dzwonkowskiego i spół., fol.

Tomasz hrabia Potocki. (Portret) lit. *H. Aschenbrenner.* w litografii A. Dzwonkowskiego i spół., w 4ce.

Ks. Jan Dekert biskup, sufragan warszawski. (Portret) litogr. *H. Aschenbrenner* w litografii A. Dzwonkowskiego i spół., w 4ce.

Władysław Jagiełło K. P. W. ks. L. (Vladislaus Jagiello R. P. M. D. L. (Portret) podług *M. Bacciarelleyo* rysował *J. F. Piwarski*, nakł. i litogr. A. Dzwonkowskiego i spół., fol.

WIADOMOSCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Luty 1862 r. Ruch coraz większy pojawia się w handlu księgarskim. Księgarze nasi zaczynają zajmować się wydawnictwem tanich książek dla ludu. Nasze to b. Towarzystwo rolnicze dało pierwszy potemu popęd. Księgarnia G. Gebethnera przygotowywa Historyą polską z rycinami kolorowanemi, egzemplarz po złp. 2 obliczony. Księgarz Alexander Lewiński wkrótce rozpocznie wydawnictwo książeczek małych po gr. 10, obejmujących ustępy z Pisma Świętego, z dzie-

jów ojczystych, opisy krajowe, życiorysy świętych i znakomitych Polaków, powiastki i rozmaitości zastosowane do potrzeb ludowych. Zajmuje się tém wydawnictwem jeden z dawniejszych literatów naszych, i przygotował w tym celu już kilka książeczek. Publikacya ta wyjdzie p. n. *Czytania dla szkółek i ochronek wiejskich*. W łonie redakcyi Biblioteki warszawskiéj, zawiązany jest oddzielny komitet, który równie tanie wydawnictwo zamierza, ażeby podnieść tak zwaną *literaturę straganową*. Przedewszystkiem, z uwagi, że potrzeba *przewodnika* dla wielu dobréj woli ludzi, którzy radziby poświęcić się uczeniu lud nasz czytać, pisać i rachować, ale nie wiedzą jak się brać do tego: zajęto się przygotowaniem takiego przewodnika. Już jest gotowy w rękopiśmie i obejmuje wykład praktyczny nauczania, i rozwiązuje wszelkie wątpliwości, jakie mogłyby się nastręczyć nauczycielowi wiejskiemu. Do tego przewodnika, dołączonym zostanie alfabet ruchomy, oraz obrazki z dziejów świętych Starego i Nowego testamentu, powieści, wierszyki i wykład praktyczny przysłów narodowych: co wszystko stanowić będzie pomoc główną do wykładu, ucząc dzieci wiejskie w domu, w szkółce czy ochronce. Dodaną jest także nauka rachunku i czterech działań dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia. Następnie pójdzie szereg książeczek małych i bardzo tanich, bo nie przechodzących ceny 10 groszy polskich. Przedmioty do nich wybrane zostały takie, które przeważnie wpłynąć mogą na oświatę naszego ludu. Spodziewamy się, że w ciągu miesiąca, już damy obszerniejsze w téj mierze sprawozdanie czytelnikom naszym.

— Wzorów sztuki średniowiecznéj z epoki odrodzenia, po koniec XVII wieku w dawnéj Polsce, wydawanych przez Alexandra Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego, seryi III wyszły zeszyty: 5, 6, 7, 8, 9, 10; obejmują rysunki wraz z objaśnieniem polskiém i francuzkiém przedmiotów następnych: 1) Hełm ze zbiorów Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu. 2) Hełm czyli szyszak żelazny ze zbiorów Konstantego Świdzińskiego. 3) Tarcza ze zbiorów po Tadeuszu Czackim. 4) Pasy lite z wystawy starożytności w Krakowie. 5) Malowania ścienne w kaplicy św. Krzyża w katedrze krakowskiéj. Z księgi przywilejów miasta Krakowa Baltazara Boma z r. 1505. 6) Kupcy. 7) Krawcy. 8) Malarze. 9) Szkoła strzelecka. Z pontyfikału Erazma Ciołka (fotografowane z oryginału). 10) Poświęcenie dzwonu. 11) Poświęcenie księży. 12) Święcenie święconego i poświęcenie kaplicy domowéj. 13) Zakład kościoła. Z przykrością dowiedzieliśmy się, że serya ta zamyka całość tego pomnikowego dzieła. Rozprzedaż pomimo dostępnéj ceny, nie zwróciła znakomitych nakładów wydawców. Mamy nadzieję, że skoro w przyjaźniejszych czasach pozostałe egzemplarze rozkupione zostaną, szanowni wydawcy dalszych nie zaniechają seryj, mając pod ręką bogate zasoby, które wyczerpać nie tak łatwo. Sądzimy bowiem, że nie na trzy, ale na XX seryj w objętości wydanych, starczy materyałów, które godne są do umieszczenia w téj publikacyi. Jakkolwiekbądź, to co już ma-

my, zawdzięczamy gorliwości prawdziwie obywatelskiéj szlachetnych wydawców.

— Zapowiedzianego dzieła p. n. Węgry pod względem historycznym, artystycznym, literackim i społecznym, wyszły dwa pierwsze zeszyty, obejmujące dzieje Węgier do czasu powstania Rakoczego. Wydanie okazałe, format wielkiéj ósemki. Papiér piękny, równie jak druk, znać troskliwą staranność wydawcy. Dwadzieścia jeden drzeworytów zdobi te zeszyty. Odbicie ich czyni zaszczyt zakładowi typograficznemu J. Jaworskiego. Porównywaliśmy odbicie to z wydaniem paryzkiém, i śmiało możemy powiedzieć, że w niczem mu nie ustępuje. Obecnie wydawca A. Nowolecki dalsze zeszyty obejmujące dzieje wstrzymać musiał, z powodu nie nadesłania potrzebnych kliszy, a dla ukończenia w oznaczonym terminie całego dzieła, wydawać będzie opis Węgier i plemion zamieszkujących kraj ten, rozdziały obejmujące uwagi nad językiem, literaturą, zakończone szczegółowym życiorysem wielkiego poety Alexandra Pötöfi, wraz z przekładem wierszem najpiękniejszych utworów jego. Próbki tego tłumaczenia odznaczającego się wysoką wartością poetyczną, jak językiem, podaliśmy już w naszém piśmie.

— Pokup na Encyklopedyą powszechną znacznie się powiększył, gdy się ustaliło przekonanie i rękojmia, że pomnikowe to dzieło, bez przerwy posuwa się daléj. Dopóki starczyło Encyklopedyi Glücksbergowskiéj, nieprzychylni téj publikacyi głosili, że komitet redakcyjny przedrukowywa z niéj tylko artykuły. Tymczasem z literą *C*, ukończyła się tamta Encyklopedya, a nowa bez przerwy dotąd objęła litery *D*, *E*, *F*, *G*, o których trudno było głosić, że przedrukowano. Pisma nasze codzienne uporczywo zachowują dotąd milczenie, dając tylko ogłoszenia księgarza-wydawcy o każdym zeszycie. Dziś zdaje się, że cierpliwość i wytrwałość, a praca sumienna, zjednywają téj publikacyi opinią publiczną; wskazówkę tego zwrotu mamy w pokupie coraz liczniejszym zeszytów. Nabycie tak ważnego dzieła i rzec można niezbędnego dla każdego ukształconego człowieka, wydawca ułatwił wielce, gdy żadną prenumeratą nabywców nie obciążył, ale sprzedaje zeszyty pojedynczo. To téż widzimy teraz niemało kupujących zaległe zeszyty; zgłosiło się nadto wielu, którzy do razu wydane już tomy (a ukończonych zupełnie jest osiem) nabyli. Litera *G* ukończoną będzie z końcem marca r. b. Litery następne *H*, *J*, ukończone zostaną w r. b., i *K*, się rozpocznie.

— Otrzymujemy wiadomość że Karol Libelt pracuje w zaciszy wiejskiéj, nad skreśleniem obszernego żywota Stanisława Staszica. Będzie to praca odpowiedna godności i zasługom wielkiego pisarza i obywatela jakim był Staszic.

— Michał Baliński drukuje w Petersburgu u Józefata Ohryzki, dzieło o dawnéj akademii wileńskiéj.

— Jan Chryzostom Sławianowski sędzia appellacyjny, od lat kilku pracuje nad życiorysem Andrzeja Zamojskiego Kanclerza W. Koronnego; z nieznanych źródeł rękopiśmiennych zebrał bogate zasoby do tego przedmiotu, i praca jego przybrała obszerne rozmiary, gdyż w nią wchodzą i rozbiór praw projektowanych przez wielkiego kanclerza, i pogląd na czasy w których żył i działał. Sumienne te studya rzucą nie mało światła na okres bardzo ważny naszych dziejów i wiele faktów wyjaśnią zgodnie z prawdą historyczną.

— Tygodnik Illustrowany rozpoczął w r. b. seryę drzeworytów podług rysunków J. Kossaka, przedstawiających dawne ubiory polskie i uzbrojenia. Znakomity ten artysta, zebrał je z najautentyczniejszych pomników, i z całą sumiennością, bacząc jedynie na wymogi sztuki, co do staranności rysunku, odtwarza, i tym sposobem przeszłość narodu nieznaną, odżywia. Krótkie objaśnienie, jakie daje sam pod każdym drzeworytem, oznajamia z wiekiem każdym, z którego przedmiot wzięty, a zarazem co postacie przedstawiają. Piękna ta myśl, wykonana tak staranpie, nie małą pomocą będzie dla młodych naszych artystów malarzy, poetów i powieściopisarzy historycznych, a nawet dla dziejów wewnętrznych naszego narodu. Artysta ten z dniem 1 marca r. b. objął główny kierunek części artystycznéj Tygodnika Illustrowanego.

— W Wilnie wydanym został przez Jana Prusinowskiego i Maurycego Krupowicza, *Zbiorek pamiątkowy po ziarnie.* Dzieło to szlachetni wydawcy pierwotnie przeznaczyli na zapomogę brata po piórze Walerjana Tomaszewicza. Lecz gdy ten, przed wyjściem z druku tego dzieła, wraz z żoną na obcéj ziemi zakończył życie: dochód jaki się z niego okaże czysty, ofiarują na pomoce naukowe dla biednych uczniów i sierot, odznaczających się zdolnościami i zamiłowaniem do pracy. O pokupie książki téj, która odznacza się treścią i doborem, nie wątpimy.

— Na początku r. b. wyszła z pod prassy *Książka Zbiorowa*, ofiarowana K. Wł. Wójcickiemu. Pięćdziesięciu autorów złożyło tu utwory swoje: „znaczna część artykułów, niepośledniéj nawet wartości, (jak wyraża w przedmowie wydawca Adolf Hennel) spóźnionych w przesyłce, zostało w rękopiśmie. Prospekt zapowiadał arkuszy 12 do 15: książka jednak obejmuje do 30. Dzieło to, oprócz wartości literackiéj, ma tę osobliwość, że było drukowane w pięciu od razu drukarniach: (S. Orgelbranda, w drukarni Gazety Polskiéj, Józefa Ungra, K. Kowalewskiego i J. Jaworskiego).

— Nakładem księgarza Alexandra Lewińskiego, wyszedł tom 3 dzieła wielce zajmującego, p. n. *Sceny z życia koczującego*, przez Eugeniusza Żmijewskiego.

— W Berlinie wyszła Grammatyka języka polskiego, przez E. Rykaczewskiego, przeznaczona do użytku szkół polskich w Paryżu, p. n.

„*Grammaire de la langue polonaise contenant les règles appuyées sur les exemples tirés des meilleurs auteurs polonais, destinée principalement a l'usage des écoles polonaises a Paris. Berlin et Posen* 1861, księgarnia B. Behr'a: druk paryzki u Martineta, w 8-ce, str. 243." Na czele ma godło następne: „Języki jedne są proste i pierwiastkowe, to jest z żadnych obcych języków nie złożone i od żadnych nie pochodzące, wskazujące pokolenie ludu niemi mówiącego oddzielne i jak samorodne. Takim językiem ze starożytnych jest grecki, a dzisiejszych język słowiański, którego polski jest odnogą. Języki te, co do swych gramatycznych prawideł są najzawilsze, mają więcéj trybów, przypadków, rodzajów i liczb: i na to wszystko mają różne i osobne zakończenia, rzadko potrzebują zaimków i mało słów posiłkowych. Zrozumiałość, zwięzłość, pełność harmoniczna, są tych języków cechami i zaletami." (Jan Sniadecki. O języku polskim).

— *Wielkie posłuchanie u Lucypera z pism Barona Brambeusa.* Utwór satyryczny J. Sękowskiego po rossyjsku pisany, a wytłumaczony przed kilkudziesiąt laty i ogłoszony, teraz na nowo przedrukowany nakładem B. J. Salzsteina, znalazł pokup, i mało już pozostało exemplarzy z téj edycyi.

— Nakładem St: Arzta w Lublinie wyszły: „*Dzieje Starego i Nowego testamentu, ułożone przez Kazimierza Brodzińskiego.*" O wartości téj pracy Brodzińskiego najlepiéj przekonywa, że to jest dziesiąte wydanie w ciągu lat dwudziestu, a każde składało się najmniéj z 2,000 exemplarzy. Licząc więc jak najskromniéj, rozeszło się tego dzieła przeszło 20,000 exemplarzy.

— Józef Bohdan Zaleski zamierza wydać zupełny zbiór swoich poezyj. Będzie to piękny dar dla literatury ojczystéj.

— Hr. Działyński ma zamiar wejść w układy z rodziną Joachima Lelewela, w celu nabycia rękopismów wszystkich pozostałych po uczonym badaczu, oraz blach rytowanych do prac jeograficznych i numizmatycznych. Wartość takowych ocenioną została na 150,000 złp. przez znawców. Wiadomo, że rodzina pozostała po ś. p. Joachimie: brat Prot Lelewel i dwie siostry, ofiarowały bogaty księgozbiór jego dla szkoły w Batignole. J. K. Żupański zbiera materyały do V tomu, *Polska i jéj rzeczy.* Tom ten obejmuje: *Dzieje Litwy i Rusi*, rozprawy numizmatyczne o polskich tego rodzaju zabytkach pisane przez autora po francuzku, a w końcu dodaną zostanie rozprawa o wykopalisku w Trzebuniu. Otrzymujemy wiadomość, że tenże księgarz zamierza Polskę i jéj dzieje doprowadzić do dziesięciu tomów: w takim razie, z pozostałych rękopismów (wyjąwszy badań jeograficznych i historyi powszechnéj), łatwo daloby się wypełnić trzy jeszcze tomy, gdy wejdą w nie dzieje Polski, doprowadzone do panowania Stefana Batorego, nigdy nie drukowane, a przez autora w r. 1830 przejrzane i uzupełnione.

— Nakładem księgarni polskiéj A. Dzwonkowskiego, *Biblioteki Teatralnéj* wyszło trzy już zeszyty: piérwszy obejmuje komedyę *Odrodzony*, treść wzięta z powieści J. I. Kraszewskiego, *Dziwadła*; drugi: Scena za Scenę szkic dramatyczny w 4ch aktach; oba utwory prozą przez Karola Pieńkowskiego, ozdobione wizerunkami Jana Chęcińskiego i Jana Królikowskiego artystów dramatycznych. Piérwszy trafnie oddaje autora komedyi: *Szlachectwo duszy*, ale wizerunek Królikowskiego najmniejszego podobieństwa, ani charakteru oblicza nie ma. Za to w zeszycie 3, który obejmuje sceniczny utwór wierszem, p. n. *We Dworku*, Włodzimierza Wolskiego, wizerunek tego poety wybornie oddany.

— W Żytomierzu nakładem księgarni Jana Hussarowskiego, a w drukarni A. Kwiatkowskiego, wyszło dzieło wysokiéj wartości, p. n. *Kronika Dytmara* biskupa Merseburgskiego, jako jeden z najdawniejszych świadectw o Polsce: według wydania w zbiorze pomników niemieckich Pertza, przełożona na język polski i objaśniona przez Zygmunta Komarnickiego; wydanie okazałe, papier biały i gruby, druk bujny, staranność typograficzna, zwracają uwagę na zakład P. A. Kwiatkowskiego. Żytomierz dotąd nie wydał równie pięknego dzieła pod względem typograficznym: ogromna to księga obejmująca str. 374 samego tekstu, oprócz życiorysu Dytmara na czele str. XXIV, w wielkiéj czwórce. W dziale właściwym kroniki literackiéj damy obszerniejsze sprawozdanie o téj ważnéj publikacyi dla dziejów ojczystych.

— *Oskar Stanisławski* wydał następujący prospekt, który w całości ogłaszamy: „Widząc młodzież naszą tak skrzętnie zabierającą się do pracy, na rozległém i otwartém obecnie dla niéj polu nauki, i czując zarazem niezbędną potrzebę ułatwienia jéj, chociaż w małéj tylko cząstce, tych zaszczytnych dla niéj usiłowań: zamierzyłem przyjść jéj w pomoc dziełem, które w nauce historyi ogólnéj, koniecznie pod ręką mieć powinna, a na którém dotąd rzeczywiście jéj zbywało. W tym celu przyswoiłem naszemu językowi: *Historyę powszechną w skróconym zarysie Dra Henryka Dittmara*, dzieło chlubnie znane w znakomitszych zakładach naukowych niemieckich, jako najlepiéj odpowiadające swojemu przeznaczeniu. Wyborny wykład, jakim ono się odznacza, uzupełniłem jeszcze w następujący sposób: 1) wprowadziłem do niego na obszerniejszą stopę dzieje narodów słowiańskich, które w dziele niemieckiém opracowane są z mniejszą dokładnością i nieodpowiednio ważnemu stanowisku, jakie my, Słowianie, w wielkiéj rodzinie ludów świata zajmujemy; 2) opatrzyłem je wykazem dzieł historycznych, wydanych w ojczystym języku, mogących posłużyć za materyał do dalszych i głębszych studyów w tym przedmiocie; 3) opowiadanie ostatnich wypadków historycznych, przedłużyłem aż do roku 1860."

Dzieło to obejmie dwa spore tomy do 60 arkuszy bardzo ścisłego druku, w dużéj ósemce. Ustępy dotyczące dziejów polskich w oryginale zbyt szczupłe, rozszerzone zostaną odpowiednio do rozmiarów

dzieła. Tłumacz, dla ułatwienia nabycia tak szacownego a potrzebnego dzieła, wydaje je zeszytami. Cena dla opłacających z góry prenumeratę wynosi Złp. 20, dla płacących częściowo Złp. 24. Wydane już trzy zeszyty, dają dobrą rękojmią wartości całego dzieła.

— Zygmunt Gerstmann księgarz-wydawca w Bruxelli, ogłosił następny prospekt na *Bibliotekę domową*, który w całości przytaczamy. „Tegoczesne polskie piśmiennictwo świetny przedstawia obraz umysłowej narodu działalności. W każdéj prawie gałęzi mamy pierwszego rzędu pisarzy, z których nie jeden stanowić będzie epokę w dziejach literatury naszéj. Obok nich widzimy liczne grono pracowników, którzy skromniejsze, lecz niemniéj użyteczne oddali usługi krajowemu piśmiennictwu. Zważywszy nawet przeszkody, jakie utrudniały dotąd rozwój ducha narodowego, dziwić się przychodzi, iż nie bardzo nas inne narody wyprzedziły, pomimo ich niepodległego bytu i swobodniejszych instytucyj.

„Wszelako wpływ, jaki piśmiennictwo nasze wywiéra na ogólne ukształcenie narodu, nie może iść w porównanie z tym, jaki u innych widzimy. Miarą jego najpewniejszą jest liczba czytelników, tojest ilość drukujących się exemplarzy. Kiedy gdzieindziéj, każde znakomitsze dzieło drukuje się w kilku, często w kilkunastu tysiącach i większéj liczbie exemplarzy, u nas parę tysięcy jest już niezwyczajném zjawiskiem.

„Zkąd to pochodzi?—głównie ztąd, iż ceny książek u nas są tak niedostępne, że zamożni tylko nabywać je mogą; a że ich liczba w porównaniu z ogółem narodu, wszędzie jest nie wielka: wydawcy zmuszeni są stosować się do możebnego odbytu i ograniczać liczbę drukujących się exemplarzy. Ograniczenie takowe podwyższenie cen pociąga za sobą; wszystkie albowiem koszta wydawnictwa, przy małéj ilości exemplarzy, cenę ich koniecznie podwyższają. Gdzieindziéj, koszta te rozłożone na nierównie większą liczbę, czynią ceny przystępniejszemi dla ogółu, bez żadnego uszczerbku autora i wydawcy, owszem z większą jeszcze dla nich korzyścią.

„Tak więc u nas, wyższa tylko warstwa społeczeństwa korzystać może ze zbawiennéj oświaty, jaką piśmiennictwo wywiéra na ogół narodu. Zamożniejsi tylko nabywają książki; bibliotek prywatnych, których takie mnóstwo za granicą, u nas prawie nie ma. *Światło świeci tylko w górze!*

„Smutny ten stan zwrócił już uwagę ludzi kraj miłujących, którzy chcieli usunąć główne jego przyczyny, przez znaczne zniżenie cen znanych już, ale mało upowszechnionych książek. W tém szlachetném przedsięwzięciu odznaczyły się szczególnie: *Spółka żytomierska i Biblioteka polska Turowskiego*. Przyjęcie, jakiego doznała ta ostatnia, służy z jednéj strony za dowód, iż nie tylko tak zwane *nowości* mogą znaleźć wziętość u czytającego ogółu; z drugiéj zaś, iż nie każdy mógł korzystać z dawniejszych utworów, dla con zbyt wysokich.

„Niniejsza *Biblioteka domowa* również nie wiele obiecuje prac drukiem jeszcze nie ogłoszonych. Będzie to wybór takich, które mimo rzetelnéj wartości, mało dotychczas są znanemi lub wcale na widok publiczny nie wyszły. Przyjąwszy *taniość* za główną zasadę i zaletę przedsiębierstwa mojego, pragnę wejść ze wspomnionemi wydawnictwami w szlachetne a dla publiczności korzystne, współzawodnictwo. Mając sposobność przekonania się, o ile wysokość cen utrudnia upowszechnienie najlepszych i znakomitych utworów, mniemam, iż możebne zniżenie cen, będzie mi w mojém przedsięwzięciu rękojmią współudziału i wziętości u rodaków. Wiedziony jedynie pragnieniem służenia pożytecznie krajowi, mam niepłonną nadzieję przyczynić się choć w drobnéj części, do obudzenia umysłowego ruchu w klassie książek nabywać nie mogącéj. Przystępne dla wszystkich ceny, pozwolą mniéj nawet zamożnym *zakładać małe biblioteki* a zamiłowanie do czytania powszechniejszém się stanie.

„*Biblioteka domowa* zawierać będzie dzieła, *których wartość oceniła już krytyka*, a niektóre z nich policzyła do rzędu najcelniejszych utworów piśmiennictwa naszego. Powieści, poezye, dramata, podróże i inne literackie płody, urywkowéj, lekkiéj i poważniejszéj treści, *Kraszewskiego, Hofmanowéj, Wojnarowskiéj, Chołoniewskiego, Potockiego, Niemcewicza, Chojeckiego, Kosińskiego, Budzyńskiego, Olizara, Jaraczewskiéj z Krasińskich* i wielu innych, tworzą całość *rozmaitości pełną*, w któréj czytelnicy *wszelkiego stanu i wykształcenia* znajdą, już to drogie pamiątki narodowe, dziś zwłaszcza użyteczne przeszłości wspomnienia; już to zdrowe rady i głębsze myśli w kwestyach religijnego, politycznego i prywatnego życia; już to zajmujące obrazy, bez trudów kształcące rozum i serce; *słowem przyjemny a pożywny posiłek dla duchowych każdego potrzeb.* Wydanie jak najstaranniejsze. Cena każdego tomu wynosi dwa franki, i może być każde dzieło osobno nabywane."

Wyboru wcale chwalić nie możemy, bo zupełnie nie trafny, i pokazuje zupełny brak znajomości literatury polskiéj. Widzimy w nim więcéj spekulacyą jedynie księgarską: bo za przedruki licznych tomów, wydawca żadnego nie zapłaci honoraryum. Szumny prospekt nie podniesie wydawnictwa, które nie otoczy współczucie czytelników.

— Tenże księgarz, ogłasza drugi prospekt na *Bibliotekę powieści historycznych.* Zbiór najlepszych powieści, przedstawiających obrazy naszéj narodowéj przeszłości. To co dotychczas w tym rodzaju zebrał, obejmuje 15 tomów, w 16ce, każdy od 200 do 250 stronnic. Cena każdego tomu *1 frank, 75 centimów* w kraju i zagranicą.

Spis dzieł stanowiących Bibliotekę powieści historycznych:

Tom I i II *Lechia w IX wieku.* Powieść hostoryczna, przez W. B. Tomów 2.

Tom III. i IV. *Biała Kniehini.* Powieść historyczna z czasów Bolesława Wielkiego, przez W. B. Tomów 2.

Tom V. VI. i VII. *Maxymilian,* arcyksiąże austryacki, obrany król polski. Obraz narodowy z XVI. wieku, przez F. M. Tomów 3.

Tom VIII. i IX. *Wyprawa pruska* i półtora krzyża. Powieść historyczna z czasów Bolesława Wielkiego, przez W. B. Tomów 2.

Tom X. i XI. *Król wygnaniec.* Obrazek historyczny z lat 1714—1725, przez ***. Tomów 2.

Tom XII. XIII. XIV. i XV. *Maleparta*, powieść historyczna z XVIII. wieku, przez *J. I. Kraszewskiego.* Tomów 4.

Każde dzieło sprzedawać się będzie oddzielnie. Życzący sobie nabyć cały zbiór, mieć go mogą, płacąc z góry 22 fr. 50 ct.

— Michał Glücksberg księgarz warszawski ogłosił prospekt na Teologią pasterską X. Michała Sailera biskupa ratysbońskiego w przekładzie, znanego z tylu prac tłumacza, Leona Rogalskiego.

Układ Teologii Pasterskiéj Sailera wybornie odpowiada swojemu celowi. Wysłowienie jasne czyni ją przystępną dla wszystkich. Umiejętny wybór przytoczeń z Pisma Świętego, Starego i Nowego Testamentu, nadaje opowiadaniu powagę, obok rzewności. Obowiązki Pasterza dusz, wyłożone są tu z wszelkiemi szczegółami i pod wszelkiemi względami. Ojcowskie przestrogi z czułością i miłością udzielane, wprost przenikają do serca.

Dzieło niniejsze w przekładzie polskim będzie pomnożone odpowiedniemi dodatkami, jakich wymagają miejscowe potrzeby, a między innemi przepisami dotyczącemi utrzymywania aktów stanu cywilnego przez duchownych, aby się stać mogło księgą podręczną dla każdego Pasterza dusz w kraju naszym.

Teologia Pasterska posłuży za pożądane uzupełnienie wydanych już poprzednio Teologij Dogmatycznych i Moralnych XX. Guillois i Gousseta, stanowiąc zarazem w sobie odrębną całość. A że jest jedną z głównych części Teologii, przeto użyteczną będzie nie dla samych tylko proboszczów lub zarządzających parafiami, ale i dla wszystkich katechetów, nauczycieli religii w szkołach publicznych i prywatnych, kapelanów, spowiedników: słowem dla wszystkich osób duchownych, tak świeckich jako i zakonnych.

— Zasłużony professor i pedagog T. Dziekoński, ogłosił następny prospekt na dzieło p. n. *Rozmowa dziadka z wnukami*; „Całe życie spędziwszy w trudach około kształcenia młodzieży podjętych, jużto wprost jako nauczyciel i przewodnik szkoły; już téż pośrednio przez pisma drukiem ogłaszane, przy schyłku ułożyłem dziełko, ile mi się zdaje, korzystne i potrzebne, tak dla kształcącéj się obecnie młodzieży, jak szczególniéj dla téj, która już ukończyła w tych czasach naukę szkolną. Będzie to dla niéj uzupełnienie wiadomości w potocznem nawet życiu potrzebnych, w dotychczasowym zaś systemie, albo zupełnie pominiętych, lub urywkowo tylko napomkniony. W braku potrzebnego na ogłoszenie jego funduszu, postanowiłem odwołać się do przedpłaty, w téj nadziei, że gdyby tylko co dziesiąty z dawnych moich uczniów wziął jeden egzemplarz

dla swoich dzieci, w takim razie koszta druku zostaną pokryte, a ja więcéj nie pragnę. Rozmyślny wypadek niniejszéj mojéj rachuby będzie dla mnie zachętą do ukończenia drugiéj części, która obejmie naukę wymowy i poezyi.

Żeby łaskawym prenumeratorom dać jakiekolwiek wyobrażenie o treści dzieła, umieszczam tytuły rozmów:

Rozmowa I. O potrzebie kształcenia się wszechstronnego. Rozmowa II. O ważności języka łacińskiego w ogólném kształceniu. Rozmowa III. O korzyściach nauk technicznych. Rozmowa IV. O potrzebie kształcenia rozsądku. O uczuciu obowiązku. Rozmowa V. O racyonalizmie i spirytualizmie. Rozmowa VI. O filozofach greckich z napomknieniem o ich systematach. Symbolu. Rozmowa VII. Dalszy ciąg. Wyobrażenia religijne Greków i Rzymian. Mythologia. Rozmowa VIII. Dalszy ciąg Mythologii. Rozmowa IX. O półbogach i bohatérach ubóstwionych Grecyi. Rozmowa X. O żądzy sławy. W końcu przypisy zamknięte krótkim rysem geografii starożytnéj Grecyi."

— Znana z wielu prac literackich Julia Goczałkowska, wydaje od stycznia r. b. w Krakowie, pismo peryodyczne p. n. *Wieniec*. Wychodzi zeszytami dwa razy na miesiąc. Treść téj publikacyi prospekt następny wyjaśnia: „Celem i dążnością „Wieńca" będzie obudzać i podnosić uczucia dla religii i wszelkiego estetycznego piękna, rozpowszechniać poznanie, ocenienie i umiłowanie przedewszystkiem tego, co swojskie, nie odrzucając jednakże i z obczyzny tego co tylko da się przystosować i użyć na korzyść własną, słowem łącząc pożytek z zabawą, podawać czytelniczkom i czytelnikom naszym bez ciężkiego pedantyzmu w żywych obrazach wzory zdobiące umysł i podnoszące duch, nie zapominając też i strony utylitarnéj.

Treść „Wieńca" zatém składać będą: powieści niezbyt długie a zajmujące; życiorysy zasłużonych w narodzie ludzi; Polska w obrazach, czyli krótkie a malownicze opisy historyczno-statystyczne krajów polskich; opracowania moralne z szczególnym poglądem na rozwój wychowania narodowego klas wszystkich, nietylko w zakresie rodziny i domu, ale i zakładów wychowawczych i dobroczynnych dla niewiast i przez niewiasty prowadzonych, tak świeckich jak zakonnych; przegląd bibliografii, sztuk pięknych z recenzyą teatru: wreszcie opisy z wzorkami litografowanemi kroju sukien, mantyl, bielizny, haftów i robótek rozmaitych, w téj nadziei, że ich rozmaitość i dokładność zachęci niezawodnie siostry Polki do przyjęcia w dom swój z staropolską gościnnością i szczerém sercem w miejsce obcych w tym rodzaju przybyszów z Paryża i Berlina, za co znów my w podzięce nie omieszkamy przesyłać im od czasu do czasu pieśni narodowych z muzyką tak dawnych jak i nowszych.

Mając przyrzeczoną już pomoc niektórych znakomitości literackich w kraju, (których imiona podamy później) prócz tych, wzywamy uprzejmie z równą ufnością i dobrą wiarą każdego, kto obok łatwości pióra oddaje się praktycznie któremukolwiek z wymienionych w zwyż

przedmiotów, a przytém zgadzając się z objawionemi tu przez nas zasadami, pojmuje wymagania ducha czasu i szczerym jest przyjacielem postępu."

— *Tygodnik mód*, bez podnoszenia ceny prenumeraty, rozszerzył ramy swoje przez dodatki. Staranna redakcya, i dążność szlachetna, daje mu niemało upowszechnienie.

— *Kółko domowe*, pismo zeszytowe illustrowane, doborem artykułów znajduje coraz większą liczbę prenumeratorów: w każdéj rodzinie, miłującéj przeszłość narodową jest oczekiwanym gościem.

— *Przyjaciel dzieci*, z wybornemi drzeworytami, chętny pokup znajduje. Treścią swoją odpowiada zupełnie zadaniu swemu.

— *Przyjaciel zdrowia*, pod redakcyą Dra Karola Gregorowicza, zwraca coraz większą na siebie uwagę. Oprócz rozpraw lekarskich a popularnych i stosowanych do potrzeb domowych, odznacza się rozbiorem chorób duszy. W ostatnich numerach rozprawa o *mężtwie moralném*, każdego pisma byłaby ozdobą.

— Redakcya Biblioteki Warszawskiéj otrzymała rękopism powieści p. n. *Falkland*, naśladowanie z Bulwera a przytém list następny: „Lat temu kilka, będąc za granicą, szczęśliwym trafem, zdarzyło mi się poznać, a następnie zawrzéć nieco bliższą znajomość z Sir Edwardem Lytton Bulwerem, znanym powszechnie genialnym angielskim powieściopisarzem, a dziś, już wysoko stojącym mężem stanu. Kilka tygodni spędzonych w jego towarzystwie, nigdy z mojéj nie wyjdą pamięci.

„Bulwer, do znanego swego pięknego talentu, łączy najmilszy w towarzystwie a jemu tylko właściwy dar wymowy; po półgodzinnéj z nim rozmowie, odchodzi się z uczuciem, jakby się czytało najpiękniejszy poemat. Myśli jego, raz pełne ognia i namiętności, znów pryskające dowcipem i szalenie wesołe, za chwilę rzewnie smętne i fantastyczno-mistyczne, płyną z ust jego, porywającym potokiem wyrazów, który coraz dziwniejsze przybiera kształty. Słowem, on jeden może z pomiędzy wielu autorów, mówi jak pisze.

„Najcharakterystyczniejszą jednak cechą, tego dziwnego umysłu jest szczególny jakiś mistycyzm i nawet zabobonność (Bulwer wierzy w duchy, jak nasza poczciwa babka od kądzieli), który nawet we wszystkich jego dziełach, tak wyraźnie czuć się daje. Ujemna ta strona jego ducha, dawała często bardzo powód do rozmaitych dysput i rozpraw w naszém towarzystwie, w których kolejno, jedne osoby religią i wiarą, drugie zaś rozumowaniem przekonać go usiłowały. Jednego wieczora, po gorętszéj niż zwykle w tymże przedmiocie rozprawie, Bulwer, na potwierdzenie tego co mówił, przeczytał nam jeden z najpierwszych swoich utworów, powieść *Falkland*, za któréj rzeczywistość ręczył. Wrażenie, które podówczas doznałam, niezatarło ślady

w moim umyśle pozostawiło; postanowiłam zaraz przyswoić ten utwór literaturze naszéj. Po powrocie do kraju, wzięłam się do pracy. Zdawało mi się, że aby uniknąć téj sztywności i złego układu słów, które najpiękniejszą myśl w oryginale psują, jedynym sposobem jest, tak się przejąć myślą i celem autora, tak wniknąć w jego pracę, całkiem, że tak powiem przyswoić ją sobie, aby później, nie zaglądając już do oryginału, własnemi słowy rzecz całą ułożyć. W ten więc sposób starałam się Falklanda przełożyć, zachowując jak najskrupulatniéj treść i formę oryginalną, włożyłam tu więcéj swych własnych myśli i uczuć z pod serca, niż się tego po prostym przekładzie spodziewać można. Dałby Bóg! jeżeli te kartki wpadną kiedyś w ręce młodéj na pokusy wystawionéj rodaczki, aby nauką w sobie zawartą, wstrzymały ją, tak jak i mnie kiedyś już na brzegu przepaści!" *J. H.*

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj oświadcza szanownéj bezimiennéj autorce, że powieści téj drukować w swém piśmie nie może: wyszło bowiem tłumaczenie jéj polskie we Lwowie 1835—1836, przez Karola Langiego.

† Dnia 13 lutego r. b., w Kielcach, umarł Antoni Woelke, w 75 roku życia, zasłużony professor b. uniwersytetu warszawskiego.

† Dnia 13 lutego r. b., w majętności swéj Sielcu na Wołyniu, umarł Felix hr. Czacki w 79 roku życia, autor Historyi rewolucyi, po francuzku wydanéj w Paryżu przed kilką laty, któréj przekład już gotowy, i druk tomu 1go wykończonym został. Urodził się w r. 1783, z ojca Michała podczaszego koronnego, a brata rodzonego Tadeusza i Beaty z Potockich.

† Dnia 20 t. m. umarł w Warszawie Paweł Zaorski w wieku lat 82, niegdyś bibliotekarz biblioteki Rządowéj, biegły i uczony bibliograf. Zwłoki jego złożono zostały na cmentarzu Powązkowskim na wieczny spoczynek.

† Dnia 9 lutego r. b. umarł w 85 roku, półkownik b. wojsk polskich, Wojciech Dobiecki, we wsi Ostalowie w Radomskiém. Paź króla Stanisława, wojownik z pod Saragossy, następnie ordonator b. armii polskiéj, znanym jest i na polu literackiém. Wkrótce podamy naszym czytelnikom obszerniejszy życiorys tego pełnego zasług męża. *K. Wł. W.*

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować.—Warszawa, d. 16 (28) Lutego 1862 r.
Cenzor, Radca Kolleg. *Stanisławski.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Styczeń, 1862.

Styczeń, 1862. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie $1^{s}.14^{m}.45^{s},7$ czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny	6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	średni dzienny
1		744.12	741.66	741.10	747.40	743.57	— 2°.5	— 0°.5	— 3°.1	— 7°.7	— 3°.45
2		750.46	750.88	751 08	751.86	751.07	— 8.2	— 6.7	— 6 5	— 8.2	— 7 40
3		751.45	750.54	745.96	740.33	747.07	— 9.7	— 5.4	— 5.2	— 2.1	— 5.60
4		736.06	735.10	731.40	730 30	733 19	— 2.1	— 2.1	— 2.9	— 1.1	— 2.05
5	Rów.	732.58	732.50	732.68	731.48	732.31	— 6.9	— 4.0	— 8.6	— 9.7	— 7.30
6		731.58	736.68	738.56	743.12	737.49	— 14.5	— 13.2	— 9.7	— 10.1	— 11,87
7		748.14	751.22	751.36	747 79	749.63	— 8.2	— 11.2	— 10 1	— 7.8	— 9.32
8	☽.	743.20	743 55	744.47	747.18	744.10	— 3.1	— 0.4	+ 0.4	— 1.1	— 1.05
9		749.33	750.38	750.51	751.08	750.32	— 8.4	— 6.9	— 5 0	— 4.4	— 6.17
10	Apog.	748.42	746.70	740 29	737.94	743.34	— 3.6	— 1.3	— 2.5	— 0.0	— 1.85
11		738.50	739.72	740.96	740.82	740.00	+ 1.2	+ 1.5	+ 1,2	+ 0.2	+ 1.12
12		740.42	740.64	742.32	745.06	742.11	— 4.6	— 8.2	— 11,3	— 13.2	— 9.32
13		750.17	752.42	753.66	754.59	752.71	— 20.3	— 17.3	— 17.4	— 21.6	— 19.92
14		754.39	754.53	753.61	752 92	753.86	— 24.1	— 22.1	— 17.4	— 20.3	— 20.98
15		752.62	753.29	753.26	753.98	753.29	— 20.3	— 19.0	— 14,4	— 16.7	— 17.60
16	☉.	755.35	756.81	757.11	757.65	756.60	— 17.4	— 16.3	— 15.1	— 15.9	— 16.17
17		758.10	758.27	757.46	757.64	757.87	— 19.2	— 17.8	— 15.1	— 15.1	— 16.80
18		758.07	758.79	758.40	758.18	758.36	— 16.9	— 16.5	— 14.2	— 15.7	— 15 82
19		756.18	756.10	754.30	753.25	754.96	— 14.9	— 14.0	— 11.5	— 11.3	— 12.92
20	Rów.	751.57	751.14	750.51	751.21	751.10	— 10.9	— 9.7	— 8,0	— 8.0	— 9.15
21		751 21	752.82	753.49	754.53	753.01	— 8.0	— 5.6	— 3.3	— 7.1	— 6.00
22		755.21	755.89	755.59	755.85	755,63	— 7.1	— 4.6	— 3.9	— 3.4	— 4.75
23	☾.	755.51	756.88	756.43	756.65	756.37	— 2.9	— 2.5	— 1,3	— 2.8	— 2 37
24		755.97	756.26	755.55	755.01	755.70	— 3.9	— 2.7	— 2.7	— 3.1	— 3.10
25		753.48	753.28	751.79	749.44	751.93	— 5.6	— 3.9	— 1.3	+ 0.2	— 2.65
26	Perig.	747.36	746.88	750.37	753.42	749.51	+ 1.9	+ 3.3	+ 1.5	+ 0.8	+ 1.87
27		756.52	757.94	757.00	756.88	757.08	+ 0.1	— 0.2	+ 0.2	— 0.2	— 0.02
28		757.12	758.44	758.60	758.38	758.13	— 0.6	+ 0.0	+ 0.4	— 2.7	— 0.72
29		755.93	755.50	752.88	751.96	754.07	— 5.4	— 3.3	— 0 8	— 1.5	— 2.75
30	☽.	748.38	746.88	742.32	738.30	743.97	— 1.1	+ 0.8	+ 0.2	— 0.6	— 0.17
31		734.98	735.58	737.25	738 44	736 56	+ 1.4	+ 1.4	+ 1.6	+ 0 9	+ 1.32
Śr.		749.11	749.57	749.04	749.11	749.21	— 7°.92	— 6°.82	— 5°.99	— 6°.75	— 6°.86

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle	
	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. rano	10 god. rano	4 godz. w.	10 godz. w.	Z dészczu	śniegu	dnia	mies.
—	pochm.	pochm.	poc. śnieg	pogodny	Z4.	Z4.	PnZ4.	PnZ4		5 5	2	5
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ3.	PnZ3.	PnZ3.	PnZ1.			2	6
—	pohcm.	pochm.	śn ég	śniég	Z2.	Z2.	Pd2	Z2		3.0	2	6
—	pochm.	pochm	pochm.	pochm.	Z4.	PdZ3.	PdZ2.	Z3.		5.0	2	6
—	pogodny	śnieg	pog. mgła	pogodny	Z2.	PdZ1.	Zr.	Z1.		1 0	2	11
—	pogodny	pog. sm.	śniég zaw.	pochm.	Z2.	Z2.	Z4.	Z4.		3 0	3	5
—	śniég	pogodny	pogodny	pochm.	PnZ2	Z2.	Z2.	PdZ3.		2.0	3	11
—	poc. śnieg	poch. odw.	dész. mgł.	pochm	Z4.	Z4.	Z3.	Z1.		4.0	3	11
—	pogodny	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW2	PdW2.	PdW2			3	10
—	pochm.	pochm.	śnieg zaw.	poc. odw.	PdW2.	PdW2.	Pd3.	Z2.		4.0	3	10
—	poch. odw.	dészcz	pochm.	pochm.	Z3.	Z2.	PnZ2	Z1.	4.0		3	9
—	pochm.	pochm.	śniég zaw.	pochm.	W1.	W2.	W3.	W3.		2.2	3	7
—	pogodny	pogoony	pogodny	pogodny	PnW2.	PnW2	PnW1.	PdW1.			3	6
—	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW1.	W1.	W1.	W1.			3	7
—	pogodny	pog. sm.	pogodny	pog. sm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	PnW2.			3	7
—	pr. pogod.	nap. pog.	pochm.	pr. pochm.	Pn1.	PnW2.	Pn1.	PnW2			3	7
—	pochm.	poc. śniég	pochm.	poc. śnieg	PnW2.	PnW2.	PnW2.	PnW3.			3	7
—	pogodny	nap. pog.	nap. pog.	pochm.	W2.	PnW2.	PnW1.	PnW2			3	7
—	pochm.	poc. śnieg	pr. pochm.	pochm.	PnW3.	PnW3.	W3.	W3.		3.0	3	7
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W2.	PdW3	PdW2.	PdW2.			3	7
—	pogodny	pochm.	pogodny	pogodny	PdW2.	PdW2.	PdW1.	PdW2			3	7
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW2.	PdW2.	PdW3.	PdW3.			3	7
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW3	PdW2.	PdW2.	PdW3.			3	7
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW3.	PdW3	PdW2.	Pd1.			3	7
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW2.	PdW2.	PdW2.	Zd2.			3	7
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ2.	PdZ3.	Z3.	Z2.	2.1		3	7
—	pochm.	poch. mg.	śniég	pochm.	PnZ2.	Z2.	Z2.	Z2.			3	7
—	pochm.	poehm.	nap. pog.	pochm.	Z2.	Z2.	Z1.	PdZ1.			3	7
—	pogodny	pochm.	pochm.	pochm.	Pd2.	PdW2	Pd2.	Pd2.			3	7
—	pochm.	pochm.	śnieg	śnieg	Pd2.	Pd2.	Pd3.	Pd3.		2.2	3	7
—	poc. dész.	dészcz	poc. dész.	pochm.	Z2.	Z2.	Z3.	Z2.	4.0		3	7
—									10.1	34.9	3	5.4

	m.	o.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.245	27	8.122
Najwyżéj barometr dochodził d. 18 o g. 10 r.	758.79	28	0.368
Najniżéj — — d. 4 o g. 10 w.	730 30	26	11.739
Średnia dzienna zmiana barometru	4.55		2.017
Największa dzienna zmiana barometru d. 6 — 7 po przejściu księżyca przez Równik	16.56		7.336
Średnia wysokość barometru jest niższa o	2.19		0.970
od stanu normalnego z 36 lat poprzedzających	751.40	27	9.092
Średnia temperatura stycznia wynosi	— 6°.86 C.		— 5°.49 R.
Największe ciepło dochodziło d. 26 o g. 10 r.	+ 3.30 „		+ 2.64 „
Największe zimno — d. 14 o g. 6 r.	— 24.10 „		— 19.28 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.37 „		2.70 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 12 — 13 o g. 6 r.	15.70 „		12.56 „
Średnia temperatura stycznia jest mniejsza o	1.71 „		1.37 „
od stanu normalnego z 36 lat poprzedzających	— 5.15 „		— 4.12 „

Termometrograf wskazał: Maximum: + 4°.0 C. = + 3.2 R. d. 26 po połud.
Minimum: — 24°.6 „ = — 19.7 „ d. 14 rano.

Ilość wody spadłéj z dészczu co do wysokości wynosi 10.1 mil. czyli 4.47 lin. par.; ze śniegu 34.9 mil. czyli 15.46 lin. par. razem wody z deszczu i śniegu 45.0 mil. czyli 19.93 lin. par.; o 10.5 mil. czyli o 4.65 lin. par. większa od ilości wody jaka zwykle u nas w styczniu spada (34.5 mil. czyli 15.28 lin. par.).
Stan elektryczności atmosferycznéj co do jéj natężenia średni miesięczny jest 25.2 stopni; największe natężenie siły elektrycznéj dochodziło: 50 stopni d. 17.
Dni pogodnych było 3, napółpogodnych 8, pochmurnych 20.
Dni dészczu 5 (d. 8, 11, 26, 30, 31).
— śniegu 16 (d. 1, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 17, 19, 20, 22, 30).
— mgły 4 (d. 5, 8, 27, 31).
Wiatrów mocnych 17 (2 PnW., 2 W., 3 PdW., 1 Pd., 3 PdZ., 4 Z., 2 PnZ.).
Wichrów 5 (4 Z., 1 PnZ.).
Wiatr panujący z początku Zachodni, w środku Północno-Wschodni, na końcu Południowo-Wschodni.

Styczeń r. b. był niepogodny, mroźny, w śnieg obfity o 1.37 stopni R. zimniejszy jak zwykle, piérwsze dwadzieścia dwa dni były znacznie mroźne, ostatnie dziewięć łagodne. Średnia temperatura całego miesiąca jest — 5.49 stopni R. taka sama jak w r. 1855. Trzy dni: 11, 26, 31 przy wietrze Zachodnim były ciepłe; przeciwnie dni środkowe: 13, 14, 15 przy wietrze Północno-Wschodnim były najzimniejsze i razem najpogodniejsze. W stanie średnim piérwsze dwadzieścia cztery dni stycznia są najzimniejsze, potém zwykle następuje zmiana temperatury i odwilż co i w tym roku miało miejsce; największa zmiana temperatury dochodząca 12.56 stopni R. przypadła d. 12 na 13 przy zmianie wiatru zachodniego na wschodni. Barometr utrzymywał się niżéj jak zwykle; największa zmiana dzienna barometru wynosząca 7.34 lin. par. przypadła d. 6 na 7 po przejściu księżyca przez równik. Pod względem pogody miesiąc ten zbliżał się do stanu normalnego, albowiem w stanie średnim, w styczniu, stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3,9 : 6,5 : 20,6 w r. b. stosunek tychże dni jest jak 3 : 8 : 20: w piérwszéj połowie śniegi padały często.

Plamy na słońcu pokazywały się liczne.
Dnia 6 o godz. 8¼ rano, świetny słup wznosił się nad słońcem.
Dnia 6 o godz. 7méj wieczorem Wisła przed mostem stanęła.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle ..... stóp 3 cali 5.4 n.m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 7 i 8..... stóp 3 „ 11 „ „
„ „ najmniejsza „ d. 1..... stóp 2 „ 5 „ „

Uwaga. Liczby położone przy głoskach Z., Pd., Pn., W. i t. d. odznaczających kierunek wiatru, wyrażają moc albo siłę wiatru; i tak np. Z1 znaczy wiatr zachodni słaby, Z2 wiatr mierny, Z3 wiatr mocny, Z4 wicher gwałtowny i t. d.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém, co dzień o godzinie 8 rano.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1862.

—

Stron.

Ogłoszenie konkursu *Augusta Cieszkowskiego* I

Biografia.

Życie i pisma Salomona Majmona, przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 1, 283

Nauki społeczne.

O Towarzystwach wzajemnej pomocy, przez *Ludwika Górskiego*..... 233, 453

Opisy i podróże.

Wyprawa Garibaldego do Sycylii. Wspomnienia osobistych wrażeń, spisane przez Maksyma Du Campa. I. Sycylia. II. Kalabrya. III. Kosenza i Bazylikat. Tłumaczył z francuzkiego *Maurycy Karasowski.* 61, 321, 488

Literatura.

Stron.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. „O Dandyzmie i Brummelu" szkic obyczajowy p. d'Aurévilly.— Porównanie romansu francuzkiego z angielskim „Guy Livingstone", Lawrence'a.— Franciszka Hugo ósmy tom przekładu dzieł Szekspira.— „Krzysztof Kolumb" dramat p. Metespés. — „Wakacye doktora" komedya Rolland'a.— Odkrycia Bunsen'a i Kirchhoff'a.— Biografia ś. p. Izydora Geoffroy Saint-Hilaire.— Wiadomości literackie 108

Kronika zagraniczna. Dziennik ekonomistów (Journal des économistes) z piérwszego półrocza 1861 roku, przez *W. Ż.* 130

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Przekład utworów scenicznych Cervantesa, przez Alfonsa Royer. — Historya literatury francuzkiéj, Nisard'a.—Ostatni tom dzieł Voltair'a.—Voltaire oczyszczony.— Doroczne posiedzenie Akademii nauk.— Wiadomości literackie 304

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. „Bacon, jego żywot i pisma" przez Emila Charles.— Historya francuzka Bordier'a.— Obliczenie ludności we Francyi.— Teatra: Gaëtana, Champi, Mauprat „la Bouquetière des Innocents", dramat pana Bourgeois.— Książki naukowe.— Atlas powszechny Babineta.— Potwór morski.— Wiadomości literackie 534

Powieść.

Odpowiedź na jedno pytanie, przez *Helenę* 248

Poezya.

Do magnatów węgierskich przebywających za granicą. (Z Petoefiego), przez *S. Pruszakową* 303

Boży Cud. (Z Alexandra Petoefiego), przez *S. Pruszakową* 532

Dramat.

Hamlet królewic duński, dramat w 5 aktach Szekspira, przekład *Józefa Paszkowskiego* 23

Włos siwy. (Octave Feuillet) 556

Sztuki piękne.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, w Królestwie Polskiém 366

Rozbiory.

Stron.

Taras Szewczenko, studyum przez Leonarda Sowińskiego, z dołączeniem przekładu Hajdamaków. Wilno. 1861..... 159
Dzwonek. Pismo dla ludu. Lwów. 1860..... 164
Duma o Hiawacie Henryka W. Longfellow. Przekład Feliksa Jezierskiego. Warszawa. 1860..... 168
Pokłosie. Zbieranka literacka na korzyść sierot. Rok szósty Poznań. 1862. 177
Kalendarz ludowy illustrowany na rok 1862, ułożony przez Franka z Wielkopolski. Warszawa. 1861..... 179
Abecadlnik historyczny ułożony i rysowany przez A. Lerue. Warszawa. 1861. 180
Historya organizacyi sądownictwa w Królestwie Polskiém, przez Augusta Heylmana, radcę stanu Królestwa. Warszawa. 1861..... 181
Wzory sztuki średniowiecznéj i z epoki odrodzenia, po koniec wieku XVII w dawnéj Polsce, wydane przez Alexandra Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego; w Warszawie i w Paryżu. Dwie serye od roku 1853 do roku 1858. Przez *Ludwika Buszarda*..... 370
Powiastki polskie przez Fr. hr. Skarbka. Ozdobione dziesięciu drzeworytami wedle rysunków Kostrzewskiego. Poznań. 1861. Przez *K. Wł. W.* 394
Machiawell, jego życie i pewne wybitne strony zawarte w jego dwóch głównych pismach historyczno politycznych, przez Ludwika Żychlińskiego. Poznań. 1861..... 397
Stanowisko historyi polskiéj, przez Dominika Szulca. 1862. Przez *W. G.* 573
Złota góra. Fałszywy król. Konfederat. Powieści Jana Zacharyasiewicza. Lwów. 1861..... 578
Historya naturalna ptaków zabawnych i użytecznych, czyli dokładne opisanie wszystkich śpiewających, naśladujących mowę ludzką, pięknie ubarwionych, domowych i użytecznych ptaków, i t. d przez S. K. Pietruskeigo. Lwów. 1861..... 583
Poezya Ukraińska. Seweryn Goszczyński..... 586

Nauki przyrodzone.

Zamarzanie i puszczanie Wisły, przez *Wilhelma Kolberga*..... 522

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *A. Wagi*..... 184
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Leona Wegnera*..... 399
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *S. L.*..... 403
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Adama Goltza*..... 406
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Marcina Wrońskiego*..... 608
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od komitetu redakcyjnego *„Przeglądu lekarskiego"*..... 612

Stron.

Kronika bibliograficzna 187, 409, 618

Wiadomości literackie 201, 418, 629

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiem:

za miesiąc listopad r. z 229

— — grudzień r. z 449

— — styczeń r. b 641

Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem w roku 1861 robionych.

Ustawiczna potrzeba rozmnażania zakładów naukowych dla kształcenia młodzieży, w miarę wzrastających wymagań zdrowéj oświaty, natchnęła zawołanym pedagogom myśl zakładania nadal podobnych instytutów raczéj *na wsi*, aniżeli jak zwykle po miastach; mianowicie zaś w pobliżu miast znaczniejszych, a więc w położeniu takiém, któreby pomyślne warunki życia i wychowania wiejskiego z dostępnością pedagogicznych sił i środków miejskich, ile możności łączyło. Rozliczne i przeważne względy, nietylko hygieniczne albo ekonomiczne, ale też w najpełniejszém znaczeniu tego wyrazu pedagogiczne, przemawiają za tą myślą; a doświadczenie, aczkolwiek nie tak jeszcze obficie, jakby się spodziewać było należało, nie mało ją przecież poparło. Jakoż przebyła już ona stanowczą próbę doświadczenia, nietylko w owych akademiach rolniczych lub instytutach agronomicznych, które z natury swojéj umieszcze-

nia na wsi koniecznie wymagają; nietylko w seminaryach pedagogicznych najczęściéj dziś, bo najwłaściwiéj na wsi zakładanych, ale nawet w wielu innych, najściśléj naukowo-edukacyjnych instytutach, między którymi dość wspomnieć o wsławionych zakładach: Hofwyl w Szwajcaryi, Schulpforta w Niemczech i t. p., aby praktyczną doniosłość téj myśli, jak się należy ocenić.

Przekonany o jéj żywotności w ogóle, a zwłaszcza o jéj ważności dla kraju naszego, w którym życie wiejskie i polne tak statecznie nad miejskiém górowało, w którém przeto stosunków i potrzeb rolniczych, nawet przy najściśléj naukowém wychowaniu nigdy z oka spuszczać nie należy, ufny owszem w porównawczo zbawienniejszy u nas niż gdziekolwiek indziéj rozwój téj myśli; lecz pomny jak dalece skuteczne wykonanie i powodzenie wszelkiego dzieła, nie od samych moralnych warunków ale téż od materyalnéj jego podstawy zawisło, jak n. p. dobrze lub źle obmyślony plan saméj budowy mającéj mieścić instytut, już to założenie, już to dalsze utrzymanie onego, nie pomału ułatwić lub utrudzić może: umyślił podpisany członek redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, za pośrednictwem tejże redakcyi, zaprosić w drodze publicznego konkursu szanownych budowniczych ziomków swoich, jako najlepiéj z potrzebami, środkami i stosunkami wsi polskiéj obeznanych, do wypracowania planu na podobny instytut naukowy, w celu użyteczności publicznéj, a w warunkach ile możności prywatnym środkom dostępnych.

Nie ograniczając zgoła szanownych budowniczych, pod względem rozkładu, ani zewnętrznego kształtu budowy; uznając owszem swobodę, jaka w naturze wiejskiego planu leży, i od mnóstwa niezbędnych w mieście względów tak dalece uwalnia, iż bez paradoksu rzec można, że w mieście plan sto-

sować się musi do danego miejsca, gdy tymczasem na wsi, miejsce łatwo zastosować do danego a dobrze obmyślanego planu: podają się następujące uwagi nie jako obowiązującą normę, ale jako pożądaną bezwątpienia wskazówkę, do odpowiedniego celowi ułożenia rysunków.

Zakład naukowy o jakim mowa powinien zawierać:

I. Pomieszkanie dyrektora z kancellaryą zakładu.

II. Pomieszkanie dla trzech nauczycieli stałych (1).

III. Pomieszkanie dla 150 do 200 alumnów.

IV. Cztery audytorya, z których jedno urządzone amfiteatralnie do wykładów doświadczalnych.

V. Cztery pracownie dla alumnów, mogące w razie późniejszéj potrzeby, być obrócone na dodatkowe audytorya.

VI. Wielką salę biblioteczną, ile możności tak urządzoną i oświetloną, aby zarazem służyć mogła w pewnych godzinach dziennych za salę rysunkową, w uroczystości zaś instytutowe, za aulę.

VII. Laboratoryum chemiczne.

VIII. Gabinet fizyczny.

IX. Gabinet płodów przyrodzonych o ile potrzebnych do wykładu.

X. Ekonomat, obejmujący kuchnią, restauracyą, jadalnią dla alumnów lub całego instytutu, spiżarnią, piekarnią osobną lub w kuchni umieszczoną, wreszcie pralnią.

Krom powyższych potrzeb zakładu pożądane byłoby jeszcze:

(1) Przypuszcza się bowiem, iż nauczyciele dodatkowi po razie lub dwa razy na tydzień z poblizkiego miasta dojeżdżać, młodsi zaś i korepetytorowie w alumnacie, przy uczniach mieszkać mogą.

a) Sala do zabaw na dnie słotne i wieczory zimowe, o ile takowa nie dałaby się dogodnie i przyzwoicie w wielkiéj sieni wchodowéj, porządnie ku temu opatrzonéj, urządzić.

b) Czytelnia osobna, o ileby takowa już przy bibliotece obmyśloną nie była.

Rozstrzygnienie wszelkich zgoła szczegółów, odnoszących się do właściwości lub dogodności urządzenia, pozostawia się rozpoznaniu budowniczego, zajmującego się ułożeniem planu. Dla tego też nie celem wpływania na niczyje zdanie, ani tém mniéj narzucania jakichbądź przekonań; lecz jedynie celem wywołania najpraktyczniejszych rozwiązań, dołącza się tu kilka zagadnień, których kolejne rozważanie łatwo na wiele innych naprowadzi. I tak n. p.:

1. Czy budowa *kilkopiętrowa*, o ile dla miejskiego zakładu częstokroć niezbędna, dla wiejskiego owszem nie byłaby mniéj odpowiednią, bo z mnóstwem ciągłych niedogodności połączoną, pod względem kosztów założenia, pozorną tylko, a wcale nieistotną oszczędność przedstawiającą? Zkąd wypływa pytanie:

2. Czy cały instytut w jednym rozległym gmachu umieścić, czy też na kilka odrębnych budowli rozdzielić? a wszczególności:

3. Czy część zamieszkalną (sub Nr. 1, 2, 3,) nie odłączyć od gmachu poświęconego wyłącznie wykładom, pracom i zbiorom naukowym (Nr. 4—9 incl.).

4. Czy przynajmniéj całego Ekonomatu (sub Nr. 10), a jeśli nie ze wszystkiemi to z niektóremi jego częściami, nie wypadałoby zawsze w osobném skrzydle umieścić?

5. Czy też owszem niektóre części tegoż Ekonomatu, jak np. kuchnia, a nawet czyby laboratoryum chemiczne, jak to w nie-

jednym spotkać można zakładzie, nie dałyby się korzystnie i dogodnie w *podziemiach* (suterenach), urządzić?

6. Czyli raczéj przeciwnie, wszelkim suterenom, ile w mieście potrzebnym, na wsi stanowczéj nie dać odprawy, bo przy mnóstwie przeważnych niedogodności, przy zgoła bezstosunkowém do ich użyteczności podrożeniu całéj budowy, jedną tylko mają zaletę, tę zaś na innéj drodze, za pomocą nowszych okryć lub zastosowań, jak np. asfaltu, *portlandzkiego cementu*, i t. p. bez suterenów osiągnąć można.

7. Czy mianowicie ten ostatni preparat, acz napozór zbyt kosztowny do więcéj niż wyjątkowego użycia, nie opłaciłby się sowicie suchością i niespożytą trwałością murów przy mniejszéj tychże grubości? Czyby przeto nie wypadało go mieć na szczególnéj uwadze przy układaniu planu, już to na fundamenta w postaci *betonu*, już to do murów w stosownem pomieszaniu z wapnem, już to nareszcie do właściwych wyrobów, ozdób architektonicznych w postaci tak zwanego „lanego kamienia."

8. Czy oprócz tego w budowie poświęconéj nauce, nie wypadałoby uwzględnić, ile możności niektórych innych, byle doświadczeniem stwierdzonych i do kraju naszego *stosownych* a więc dla nas *niewzbronionych* postępów sztuki, bądź to n. p. w konstrukcyi dachów, lub wyboru materyału do ich pokrycia, bądź też znowu w niektórych zastosowaniach *żelaza*, tam zwłaszcza, gdzie użycie tego najplastyczniejszego, ogniotrwałego i do wielkich przeznaczeń w architekturze powołanego działacza, stało się już i u nas możebném, a nawet jeśli nie tak znaczną, jak w obcych krajach, to przecież zawsze choć stosunkową oszczędność na innym materyale, n. p. na ilości lub jakości drzewa, zapewnia.

Te i tym podobne pytania, które każdy przy układzie planu bezwątpienia sam sobie pomnoży, (np. przy rozważaniu czę-

ści zamieszkalnéj: czy pomieszkania dla alumnów oddzielne dla każdego, bądź w przegródkowy sposób *Grigonski*, bądź w inny, czy też wspólne sypialnie urządzić, a w tém lub owém przypuszczeniu jak najkorzystniéj piece i t. p. umieścić?) przy rozważaniu zaś części ekonomicznéj: czy restauracye wspólne dla nauczycieli i alumnów służyć mają, lub też do pomieszkań pierwszych osobne urządzić kuchnie i inne potrzeby gospodarcze? te wszystkie pytania dowodzą, z jaką swobodą artyści przystąpić mogą do rozkładu planu, wedle najlepszéj wiedzy z własnych przekonań.

Niemniejsza też swoboda pozostawia się co do zewnętrznéj postaci i architektonicznego stylu całego zakładu. Pożądaną jest rzeczą, aby ta postać, powagą i prostotą odpowiadając przeznaczeniu budowy, odznaczała się wybitném znamieniem od zwykłych zabudowań, zwłaszcza w gmachu głównym, jeżeli takowy oddzielnie od innych, właściwą i centralną część zakładu naukowego stanowić będzie. Powaga ta i prostota nie wyłącza bynajmniéj estetycznéj ozdoby, owszem ją na prawdę waruje; ale wyłącza przesadzoną ozdóbkowość, oraz wszelkie, jeśli tak wyrazić się wolno, „łamane sztuki", które jak nigdzie tak i w architekturze, nie są dobrego smaku znamieniem.

Termin trzy miesięczny wydaje się dostatecznym do obmyślenia i przynajmniéj przygotowawczego nakreślenia planów; nie idzie bowiem wcale o drobiazgowe, gładkie i ozdobne wykonanie rysunków, ile raczéj o organiczne pojęcie całości, akuratność w oznaczeniu ogólnych rozmiarów i jasne rzeczy przedstawienie. Pożądane będą mianowicie plany poziome (grundrysy), i widoki zewnętrzne (elewacye), ile możności przybliżonym kosztorysem opatrzone, a to na zasadzie cen miejscowych, dających się łatwo późniéj z odpowiedniemi cenami wszelkiéj miejscowości porównać. Wszelako i szkice nawet, byle dające

jasne wyobrażenie zamierzonego planu i choć na ogólnikowym kosztorysie oparte, przyjmowane będą do konkursu, pod warunkiem dokładniejszego później wypracowania, o ileby uwieńczone być miały.

Rozpisanie, bliższe oznaczenie warunków, oraz doprowadzenie do skutku niniejszego konkursu, zdaję redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, o ile podjąć się tego za dobre, sama uzna.

Wierzenica,
w grudniu 1861 r.

August Cieszkowski.

REDAKCYA
BIBLIOTEKI WABSZAWSKIÉJ.

Podając do wiadomości Szanownych PP. Budowniczych, powyżéj zamieszczone zaproszenie p. Augusta Cieszkowskiego i odwołując się z ufnością do ich współudziału, jako w rzeczy dobro ogólne na celu mającéj, domieszcza następujące bliższe objaśnienie warunków konkursu:

1) Nagroda za pracę, która uznana zostanie godną uwieńczenia, przeznaczona jest przez jéj dawcę w summie złp. 2,000 (rs. 300).
2) Pragnący mieć udział w konkursie, zechcą przygotowane przez siebie prace składać w redakcyi Biblioteki Warszawskiéj przy ulicy Senatorskiéj, Nr. 468/9, a to najdaléj do końca miesiąca kwietnia r. b.
3) Do każdéj składającéj się pracy na konkurs przeznaczonéj, należy dołączyć opieczętowane nazwisko i adres autora, opatrzone nadpisem lub znakiem takim, jaki na saméj pracy, tojest na planach i kosztorysach powinien być zamieszczony.

4) Redakcya Biblioteki Warszawskiéj po upływie wzmiankowanego wyżéj czasu, zaprosi kilku biegłych budowniczych jako znawców, i po rozpoznaniu złożonych prac, wyrzecze co do przyznania nagrody, a prace które nagrody nie otrzymają, zostaną za zgłoszeniem się zwrócone autorom, wraz z nie rozpieczętowanemi objawieniami nazwisk.

5) Objaśnia w końcu redakcya, że pożądaną jest rzeczą, aby ogół projektu czyniony był co do kosztów, w granicach staranniéj oszczędności, jako do wykonania przez prywatne siły przeznaczonego; tudzież, że wchodząc w myśl nagrododawcy, który czyniące się niniejszém zaproszenie uważa raczéj za podanie PP. Budowniczym możności przyczynienia się do oświaty i postępu rolniczego w kraju, jak za materyalne wynagrodzenie pracy; przyjmowane będą do konkursu nawet szkice z przybliżonym ogółowym kosztorysem, ażeby dla krótkości zakréślonego czasu, nie tamować możności skorszego udziału w nadsyłaniu projektów.

Biblioteka